Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz, Natalia Kłobukowska,
Hanna Jakubowska, Jolanta Mentelis, Jan Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik, tom III
Rok 1913 i początek roku 1914
Michał Römer
29 grudnia roku 1912 / 11 stycznia roku 1913
Bohdaniszki

29 grudnia, rok 1912 / 11 stycznia, rok 1913, sobota
Dużą część dnia zajęło mi dziś pisanie artykułu do „Przeglądu Wileńskiego". Chodzi o to, że my, demokraci polscy, zajmujący tu na Litwie i Białej Rusi stanowisko krajowe, nie możemy wybrnąć ze sprzeczności, jakie się wobec nas piętrzą przy zestawieniu prądów narodowych, nurtujących obecnie Polskę i budzących echa w naszych szeregach, ze wskazaniem pożytku krajowego. Na tle sytuacji międzynarodowej i zaostrzonego konfliktu Austrii z Rosją zbudziły się w Polsce poważne nastroje powstańcze i już organizują się nawet zawiązki ewentualnej akcji. Że prądy te są dla nas sympatyczne, że nie mogą być całkiem obce i obojętne – nic dziwnego. Prądy te wszakże są zbudowane na tendencjach austrofilskich, które w zastosowaniu do naszego kraju realnej wartości nie mają. Cokolwiek bowiem by się stało, niepodobna przypuścić, aby Litwa mogła być obecnie wcielona do Austrii. Jeżeli może być mowa o zmianie przynależności państwowej Litwy, to chyba tylko na rzecz wcielenia do Prus. Sympatie więc austrofilskie jako podstawa do ruchu czynnego nie są dla kraju naszego realne. Skądinąd wszakże niepodobna siedzieć bezmyślnie bez żadnej orientacji wobec sytuacji międzynarodowej tak poważnej, jaka jest obecnie. Wypadki mogą się rozwinąć całkiem nieoczekiwanie i mogą doprowadzić do okoliczności, których zgoła przewidzieć niepodobna. Nie można się dać zaskoczyć wypadkom na ślepo. Nie możemy przewidzieć, co się stać może, bo nie my kierujemy wypadkami, ale musimy wiedzieć ewentualnie, czego chcemy, musimy posiadać wyraźne kryterium, podług którego w odpowiedniej chwili, gdyby działać wypadło, działać byśmy mogli. Dla prawicy naszej, to znaczy dla obozu konserwatywno-endeckiego, kwestia ta nie nastręcza trudności, ponieważ oni już sobie zakreślili wskazania wyraźne a proste, polegające na tłumieniu wszelkiego ruchu. Gdy przyjdzie chwila, będą oni w ogóle wszelki czyn tłumić i staną do organizacji kontr-ruchu, ażeby na wszelki sposób salwować dogodny dla nich społeczny *status quo*, o który właściwie im tylko chodzi. My oczywiście, ze stanowiska demokratycznego wychodząc, nie możemy kierować się drogowskazami prawicy i streszczać całą naszą działalność w tłumieniu wszelkiego ruchu. Musimy stanąć na gruncie czynników rozwojowych naszego kraju, szczerze i po obywatelsku, choćby nas serce bolało, że w jakimś przesileniu dziejowym losy naszego kraju oddalają się od losów Polski i podczas gdy w Polsce żywotną będzie akcja powstańcza z jej skutkami ewentualnego wcielenia do Austrii, u nas żywotną może się okazać akcja inna, akcja zespołu z wewnętrzną rewolucją w państwie rosyjskim. Powtarzam, że przewidzieć wypadków nie możemy, ale powinniśmy być świadomie gotowi do działania w myśl wskazań, płynących z założeń potrzeb i sytuacji naszego kraju. W tym stanowisku uwzględnione być muszą nie tylko aspiracje polityczne, ale i społeczny kierunek rozwoju demokracji krajowej. To mi służyło za punkt wyjścia do myśli, wyłuszczonych w artykule dzisiejszym. Atmosfera bohdaniska działa na mnie trochę rozleniwiająco co do pisania.

30 grudnia, rok 1912 / 12 stycznia, rok 1913, niedziela
Zaproszony byłem na dziś przez Józefa Šukysa na wieczorek litewski pod Rogielami. Miałem wielką ochotę się wybrać, żeby się przyjrzeć jednemu z tych pierwszych przejawów budzenia się naszych włościan do życia kulturalnego. Musiałem atoli ukrywać to od Papy, który patrzy okiem niechętnym na wszelką próbę z mej strony do zbliżenia się do włościan. Papa upatruje w tym „bratanie się z chłopami”, gorszy się i boleje nad „schłopieniem” moim. W stosunku do innych osób, a nawet dzieci swoich Papa nie bierze za złe czy to odwiedzania chaty włościańskiej, czy w ogóle bliższego z włościanami stosunku. Co do mnie wszakże, to jest inaczej. Wiedząc o moich skłonnościach demokratycznych, Papa boi się ekscesów, drży obawą przed skrajnym chłopomaństwem, w ogóle uważa dla mnie stosunki z włościanami litewskimi za zgubne, za prowadzące do zatracenia ideałów polskich i przejęcia się manią sympatii chłopskich, litewskich, socjalistycznych itd., co w oczach Papy jest symbolem wszelkiej niecnoty. Nic więc nie mówiąc Papie, wyjechałem cichaczem po obiedzie z Bohdaniszek. Na Mamę zdałem powiedzenie Papie o moim wyjeździe w odwiedziny do Šukysa, ale to, że jadę na wieczorek włościański, powinno było zostać w sekrecie przed Papą. Po okropnej grudzie jednym konikiem noga za nogą dotarłem koło godz. 5 ½ do Dydaj. Tam już mię czekał niecierpliwie Šukys, który miał jechać ze mną na wieczorek do Sejbutisa do zaścianka Andrupis, położonego między Dydajami a Rogielami. Musiałem jeszcze napić się herbaty z Šukysem i przekąsić kiełbasą i prosięciną, ażeby zadośćuczynić gościnności jego, dopiero po sutym częstunku ruszyliśmy do zaścianka Andrupis. Wieczorki te powstały w tej miejscowości z inicjatywy Šukysa. Mieszkając przez czas dłuższy u mnie w Wilnie i bywając na wieczorkach w litewskiej „Rucie”, Šukys zainteresował się sztuką sceniczną i widząc, jaka to sprawia rozrywkę, postanowił, mieszkając na wsi, zaaklimatyzować ten rodzaj zabawy. Namówił przeto młodzież włościańską w swej wiosce Dydajach, żeby spróbowała zorganizować o własnych siłach widowisko amatorskie. Znalazł posłuch, zakrzątnął się, wybrał łatwe popularne komedyjki, zaimprowizował z gronem ochotników odpowiednie kostiumy i maski własnego pomysłu, sam wyreżyserował grę. Kilka takich przedstawień odbyło się w roku zeszłym i bieżącym w Dydajach ku wielkiej uciesze tak amatorów-artystów, jak widzów. Przedstawienia te odbywały się latem w pustej stodole i zabawa kończyła się tańcami. Stopniowo wieczorki te zaczęły się urozmaicać i doskonalić, żłobiąc pewną tradycję w zwyczajach miejscowych. Wieczorki te, uszlachetniając rozrywki młodzieży wiejskiej, rugują pijaństwo, kształcą obyczaje, krzewią pewną wyższą kulturę. Są one o całe niebo wyższe od zwykłych hulaszczych i bezmyślnych wieczorynek, czyli, podług nazwy miejscowej, „wakaruszek” wioskowych, gdzie zabawa polega głównie na szablonowych skocznych tańcach, rubasznym flircie i sprośnych konceptach, a kończy się zazwyczaj pijaństwem i nieraz rozpustą. Nowe wieczorki teatralno-taneczne przez krótki czas swego istnienia zrobiły duży postęp. Muzykę (kwartet) sprowadzają z Rakiszeczek sąsiednich; wprowadzono pieśni ludowe litewskie śpiewane przez chór zorganizowany przy kościele rogielskim pod kierunkiem organisty; wznowiono stare narodowe tańce litewskie, które już od dawna znikły w naszych stronach; dziewczyny zaczęły coraz częściej ubierać się na wieczorki w charakterystyczne litewskie stroje narodowe; na dzisiejszym wreszcie wieczorku wprowadzono po raz pierwszy nowe miejskie formy zabawy w postaci *confetti „serpantines”* i poczty ulotnej, do której sprowadzono duży wybór pocztówek ilustrowanych litewskich. Zabawa udała się znakomicie. Ze względu na zimę niepodobna było urządzić wieczorku w stodole. Lokalu więc udzielił zamożny włościanin Sejbutis, w którego domu (w zaścianku Andrupis) jest ogromna sala mogąca zmieścić do paruset ludzi. Scenę urządzono z pomostu z desek, który ustawiono w jednym końcu sali; dekoracje – z dużych tkanin,

zawieszonych w głębi, za którymi umieściły się jeszcze dokoła sceny kulisy. Za kurtynę służyła też tkanina, podejmująca się za pociągnięciem sznurka. Organizator i reżyser zabawy Šukys pełnił jednocześnie obowiązki suflera, siedząc za tkaninową dekoracją. Chociaż wieczór miał charakter prywatny i urzędowo liczyło się, że wstęp jest tylko za zaproszeniami osobistymi, ale publiczności zebrało się ile tylko sala wmieścić mogła; zbiegłą się cała młodzież ze wsi okolicznych, zwłaszcza z Dydaj, Rogiel, Mełduć, a byli i z Koś, Bejcz, Kurkleć i innych wiosek. Nikt nie sprawdzał zaproszeń, nikt nawet nie zapraszał formalnie. Wieczór prywatny za zaproszeniami osobistymi – to tylko forma urzędowa, bo dla takiego wieczoru wystarcza pozwolenie asesora (prystawa) rakiskiego, dla wieczoru zaś publicznego, a tym bardziej płatnego, wymagane jest pozwolenie aż od gubernatora. Asesor rakiski, który miał przybyć osobiście, nie przybył, jeno przysłał strażnika ziemskiego dla dozoru i reprezentacji władzy. Odegrane były dwie krótkie i popularne komedyjki z nauką moralną, mianowicie pierwsza o tym, jak diabeł nauczył ludzi pić i wyrabiać wódkę ze zboża, i druga o tym, że zła baba jest straszniejsza i szkodliwsza od diabła. Sens moralny pierwszej komedyjki ten, że wszelkie zło w życiu włościańskim pochodzi od wódki, drugiej zaś ten, że trzeba się strzec intrygi i w życiu małżeńskim nie ufać niczyim podszeptom z ubocza, ale opierać takowe na wierze wzajemnej i na szczerości. Grano wcale nieźle jak na amatorów z ludu. Po przedstawieniu i odśpiewaniu przez chór pieśni litewskich rozebrano scenę i na sali rozpoczęła się ochocza zabawa taneczna. W czasie przedstawienia pierwszy rząd krzeseł zarezerwowany był dla publiczności doborowej, wyróżniającej się od szarego tłumu. Była to właściwa śmietanka wiejska, arystokracja włościańska. Nikt z tłumu nie śmiał kwestionować pierwszeństwa tej arystokracji wybranej, nie śmiał ani pomyśleć o zajęciu miejsc honorowych w krzesłach. Po przedstawieniu ta sama arystokracja została zaproszona przez gospodarzy do osobnej kolacji w sąsiednim pokoju. Do arystokracji tej zaliczeni byli: ja, księża (proboszcz rogielski ks. Stakiełło i przyjezdny ksiądz Kisilis, bawiący na wakacjach w rodzinnej wiosce w Bejczach, dalej organizatorowie wieczoru Józef Šukys i mój kolega paryski Józef Petrulis, o którym z braku miejsca napiszę jutro, dalej gospodarze, to znaczy rodzina Sejbutisów i grono plutokracji włościańskiej z okolicy, mianowicie bogaty włościanin Wiesłas, żonaty z córką bogacza miejscowego Žvirblisa, z żoną, jego szwagier Žvirblis z żoną, brat księdza Kisilis z Bejcz i jeszcze parę osób. Petrulis zresztą do kolacji nie siadł, wolał zostać na sali wśród rozbawionej szczerej i serdecznej masy siermiężnej i kierować zabawą. Kolacja była paradna i obfita. Dano kiełbasy świeże, polędwicę wieprzową i kury pieczone; były tego całe stosy, obliczone na dziesiątki gąb. Do tego była świetna kapusta kwaszona i świetne ogórki solone, z trunków koniak, wino słodkie i znakomite piwo domowe. Potem podano herbatę, a do niej cytrynę, herbatniki i chrust. Po naszej kolacji do tegoż stołu zasiedli inni biesiadnicy. Opuściłem gościnną zabawę o północy.

31 grudnia, rok 1912 / 13 stycznia, rok 1913, poniedziałek
Byłem zaniepokojony z powodu obawy, że Papa spenetruje mój późny powrót wczorajszy i będzie się na mnie gniewał za „bratanie się z chłopami”. Musiałbym się wtedy tłumaczyć, dlaczego tak długo siedziałem u Šukysa; trzeba byłoby znaleźć jakiś pretekst, bo powiedzieć po prostu, że byłem na wieczorku litewskim u Sejbutisów – to wywołać ostateczne zgorszenie u Papy, dochodzące do zgrozy na wieść, że w wieczorku tym mógł brać udział ks. Stakiełło, znany wróg Polaków (osobistość istotnie ze wszech miar wstrętna). Papa nie zrozumie, że mogę być na wieczorku, na którym jest obecny ks. Stakiełło, i przeto bynajmniej nie tylko nie mieć żadnej wspólności z tym osobnikiem, ale go nawet stanowczo i szczerze potępiać. Musiałbym się więc wobec Papy wytłumaczyć jakoś wykrętnie, a to jest zawsze rzecz przykra i budząca niesmak w

sumieniu moim. Inaczej wszakże w takich razach postąpić nie mogę, bo naraziłbym jeno Papę na zmartwienie, dolał nową kroplę goryczy do stosunku naszego i przecie nic nie wskórał, bo Papę bym przekonać na rzecz moich poglądów nie zdołał. Na szczęście, Papa nic nie spenetrował i nawet penetrować nie próbował. Z pewnością nie był zachwycony moją wyprawą, zwłaszcza nocną, do Šukysa, ale żadnych do tego komentarzy nie robił i w ogóle nic mi o tym nie wspomniał. Nie uważał zresztą tego Papa za wielką zbrodnię, za jaką by już poniekąd uważał moją obecność na wieczorku, i był w dobrym na ogół humorze. Większą część dnia spędziłem na porządkowaniu brulionów rachunków moich z Mamą.
Chcę tu jeszcze do moich wrażeń wczorajszych dodać nieco o Józefie Petrulisie. Jest on moim kolegą z Paryża, człowiekiem, który ongi wywarł wpływ duży na mnie i nadał poniekąd kierunek moim poglądom i ideałom społecznym w stosunku do kraju. Jak każdy człowiek głębokiej wiary i silnej gorącej idei, Petrulis zdolny jest wywierać wpływ sugestywny i przekonywający na duchy pokrewne ideałami. Ale nie o tym chcę mówić. Rozpamiętywanie przeszłości byłoby tu, owszem, ciekawe, ale chodzi mi bardziej o teraźniejszość Petrulisa. Jest to człowiek niepospolity. Pochodzi z zamożnej rodziny włościańskiej z wioski Audry o 2 wiorsty od Rogiel, a o 7-8 wiorst od Bohdaniszek. Był oddany przez ojca do szkół, albowiem w rodzinie panował zwyczaj zostawiania całej gospodarki niepodzielnie jednemu synowi, za co inni synowie otrzymywali bądź wykształcenie, bądź wykwalifikowanie na rzemieślników zawodowych. Po ukończeniu szkół średnich wyjechał za granicę i uchylił się od powinności wojskowej w Rosji. Przebył za granicą długich lat kilka, może nawet z 10. Kształcił się naukowo dalej, chłonął z zapałem wiedzę, ale robił to po swojemu, nie specjalizując się w żadnej gałęzi, pragnąc posiąść wykształcenie uniwersalne. O dyplom się nie kusił nigdy, nie naginał się do żadnej dyscypliny szkolnej. Tułał się z miasta do miasta, ze wszechnicy do wszechnicy po krajach Europy Zachodniej. Był na politechnice, studiował prawo, słuchał medycyny, był na przyrodzie, filozofii, studiował nauki społeczne, historię, historię kultury itd. Był przez czas jakiś w Niemczech, najdłużej w Szwajcarii, potem w Paryżu, w Londynie. Zrzeszał też wszędzie rodaków-Litwinów, głosząc ewangelię zgody, współżycia i współpracownictwa wszystkich obywateli Litwy bez różnicy kultury, języka i narodowości. Był idealista i oryginał, samotnik i natchniony działacz. Potem przez czas jakiś redagował jakieś pisemko litewskie w Londynie (zdaje się, że „Laikas"). Po r. 1905 wrócił do ukochanej Litwy. Amnestia umorzyła jego winę za uchylenie się od powinności wojskowej. Po powrocie próbował pracy w prasie litewskiej, garnął się do życia publicznego, przez czas dłuższy zagrzał miejsce w Rydze. Wreszcie, mając na względzie ewentualny wybór na posła do Dumy od ludności włościańskiej, osiadł od roku przeszło w swej wiosce rodzinnej – Audrze. Gospodarką się tam nie zajmuje, jeno mieszka i korzysta z tej okoliczności, aby się oddawać pracy kulturalno-społecznej wśród włościan. Został przez włościan wybrany na ich stałego delegata do jezioroskiej komisji urządzeń rolnych, do której jeździ raz na miesiąc. Do Dumy nie trafił, choć miał wybór zapewniony, bo się w ostatniej chwili okazało, że wybór jego zostałby unieważniony ze względu na to uchylenie się ongi od powinności. Ale już wsi nie opuścił. Zdecydował się zostać na zawsze w środowisku włościańskim i tu swoja prace społeczną zamknąć, rozumiejąc, jaki tu jest brak na miejscu sił kulturalnych w życiu publicznym. Obecnie, będąc przez włościan obrany na kandydata do sądu gminnego, został przez naczelnika ziemskiego zatwierdzony na stanowisku prezesa rakiskiego sądu gminnego. Kandyduje też obecnie na stanowisko starszyny włościańskiego w gminie rakiskiej, ale tu naczelnik ziemski przeciwdziała jego wyborowi, nie życząc sobie widocznie na tym stanowisku człowieka niezależnego. Skarżył mi się wczoraj Petrulis, że jednak jest mu bardzo ciężko.

Włościanie przeważnie go nie rozumieją i choć mu wierzą, jednak wciąż się zastanawiają i dziwią, po co on, inteligent, siedzi w wiosce, księża patrzą okiem niechętnym na wpływy osobnika świeckiego i agitują przeciw niemu, wreszcie władze rządowe też śledzą każdy ruch jego i podejrzewają go o zamiary rewolucyjne. Krzepi go jedynie własna wiara w pożytek tej pracy. Chce być działaczem tylko kulturalnym poza polityką.

1 (14) stycznia, rok 1913, wtorek
Oto i rok nowy – 1913. Już i my, dążąc leniwie w ogonie świata europejskiego, spóźnieni co do daty o dni 13 (o ileż bardziej jesteśmy spóźnieni nie w dacie tylko, lecz w treści i poziomie kultury!), dotarliśmy do Nowego Roku.
Przypomina mi się przy tej okazji pewien szczegół mojego dziennika dziecinnego akurat sprzed lat 20, w dniu Nowego Roku 1893. Miałem wtedy rok 13 życia. Pisałem: „Już rok 1893!”. Zdawało mi się, że to jakaś osobliwość, jakiś wypadek w dziejach świata, że „już” rok 1893. Ale oto to „już” przerodziło się w „jeszcze” czy „dopiero”, bo gdzież hen w jakiejże odległości wydaje mi się już teraz , po leciech zaledwie 20, ten zadziwiający mię kiedyś r. 1893. A im dalej, tym coraz się będzie zatapiał w głębie przeszłości, aż się stanie starożytnością. Dziś już rok nowy nie zdumiewa, nie budzi tego niepokojącego wrażenia jakichś świtów nieznanych, jakie budził we mnie ongi. A było to wszakże głębokie i bezpośrednie czucie młodości, wyraz tęsknoty wylotu w przyszłość, radość postępu życia. Dziś nie cyfry lat, ale wypadki i zjawiska życia w stanie są tylko budzić takie wrażenia i tęsknoty. Natura moja przecie pozostała niezmienna, głęboko i szczerze tożsama w swej treści istotnej.
Spędziłem dziś dzień na wykańczaniu brulionów rachunków Mamy, które układać muszę z notesów moich. Sprawdzanie kasowe za cały rok 1912, tak rachunków ogólnych, jak specjalnych z zarządu Wiązowca, stanowi pracę dość dużą. Jutro przed wyjazdem muszę już z brulionów wypisać rachunki w stanie ostatecznym dla złożenia ich do rąk Mamy.
Przyjemnie mi upłynęły te święta w ciszy bohdaniskiej, w serdecznym spokoju rodzinnym, z rodzicami i Helcią. Czytałem dużo, popracowałem trochę, wszelkie troski i niepokoje się uśmierzyły, nerwy wypoczęły do syta, ciało też zaznało znakomitego spoczynku, umysł pracował bez wysiłku, statecznie i swobodnie. Karmiła mię też Mama na zabój. Była w tym wypoczynku szczypta sybarytyzmu – niewątpliwie.
Jeszcze wstąpię do Wiązowca, a potem już – Wilno. Nie zachwycam się pobytem w Wilnie. Jedno, co mi w Wilnie wróży zawsze uśmiech i szczęście, i spokój – bez zawodu – to moja Anna.

2 (15) stycznia, rok 1913, środa
Skończył się mój pobyt świąteczny w Bohdaniszkach. Postanowione już było z góry, że dziś wyjadę. Chętne bym jeszcze o parę dzionków pobyt przedłużył, ale tak mi czas i dalsze zajęcia są rozłożone, że zrobić tego nie mogę. Przede wszystkim, muszę być w Wilnie, bo nie jest wykluczone, że w tych dniach się odbędzie nasz sąd honorowy w sprawie między nami pięciu, Piłsudskim, Janulaitisem, Ślażewiczem, Mańkowskim i mną, a dwunastu pozwanymi przez nas panami, luminarzami obłudy wileńskiej, Michałem i Witoldem Węsławskimi, Dembowskim, Kończą, Józefem Hłaską, ks. Czerniawskim, ks. Songinem, Zmaczyńskim, Restytutem Sumorokiem, Strumiłłą, Malińskim i Zabłockim. W takim razie zmuszony już byłbym bezwzględnie do pozostania w Wilnie aż do zakończenia sądu tego. Jeżeli zaś sąd wyznaczony w tych dniach nie będzie, to po wstąpieniu do Wilna i upewnieniu się o tym muszę zaraz pojechać do Wiązowca, gdzie już dawno nie byłem i gdzie koniecznie dla spraw

leśnych i administracyjnych być muszę, a nie mogę z tym zwlekać, bo na 8 stycznia muszę znów wrócić do Wilna na dzień powrotu Anny z Libawy. Postanowione było, że wyjadę dziś rano na pociąg południowy. Ale tak mi się chciało przedłużyć choć trochę pobyt w Bohdaniszkach, zwłaszcza że i rachunków Mamy ostatecznie zakończyć bym wczoraj nie zdołał, że postanowiłem wczoraj opóźnić wyjazd dzisiejszy do pociągu przynajmniej nocnego. Mama była naturalnie uszczęśliwiona z tych kilku godzin mojej obecności, które zyskiwała, ale z Papą było ciężej i należało użyć fortelu. Papa bowiem nie lubi żadnych zmian w czyichkolwiek projektach, uważając człowieka, który bez koniecznego musu odkłada z góry uplanowany wyjazd do następnego pociągu, za lekkoduch, godnego nagany. Druga zaś okoliczność ta, że Papa ma awersję do jazd nocnych i uważa także za lekkomyślnych i niepoważnych wszystkich tych, którzy jeżdżą nocami, mając możność wyjechania we dnie. Ponieważ więc odłożenie mojego wyjazdu wpłynęłoby ujemnie na opinię moją w oczach Papy, przeto użyliśmy z Mamą fortelu i kompromisu. Mam, która wobec Papy korzysta z praw przywileju wyjątkowego, wzięła winę na siebie: oświadczyła, że nie zdążyła wczoraj spakować rozmaitych zapasów żywnościowych i gospodarskich, które przesyła przeze mnie do Wilna i do Wiązowca i że przeto skłoniła mię do opóźnienia wyjazdu. Żeby zaś uniknąć drugiego zgorszenia Papy – jazdy nocnej – postanowione zostało, że wyjadę z Bohdaniszek przed zmrokiem, zaraz po godz. 4 i już w Abelach na stacji przeczekam cały wieczór do pociągu, odchodzącego o północy. Tak też się stało. W Abelach przesiedziałem przeszło 6 godzin, które spędziłem przeważnie na czytaniu. Wreszcie po północy nadszedł pociąg, który mię zabrał.

3 (16) stycznia, rok 1913, czwartek
Rano przyjechałem do Wilna. Zaszedłem zaraz do Krzyżanowskiego dla poinformowania się o stanie sprawy honorowej. Okazało się, że w składzie osobistym przyszłego sądu zaszły zmiany. P. Stanisław Łopaciński, zapytywany listownie, odmówił przyjęcia roli superarbitra, powołując się na szwankujące zdrowie i zakaz lekarzy wszelkiego większego wysiłku umysłowego i nużących sesji. W liście, który p. Łopaciński wystosował do arbitrów naszych, jak tez do arbitrów strony przeciwnej, prosi on, aby jego odmowa nie była uważana za chęć uchylenia się od obowiązku obywatelskiego, za jaki on czynność superarbitra uważa. Nie dla wykrętu tylko, ale istotnie powołuje się na zły stan zdrowia. Uważa, że sprawa ta jest wielkiej doniosłości i wymaga takiego wytężenia myśli i takiej wszechstronności uwagi, iż brak mu sił do spełnienia tego zadania. Wobec tego powstała kwestia wyboru innego superarbitra. Nasi arbitrowie wszakże nie byli w stanie porozumieć się z arbitrem strony przeciwnej Meysztowiczem co do osoby superarbitra. Wreszcie nasi arbitrowie wpadli na pomysł następujący (po porozumieniu się ze swymi mocodawcami z wyjątkiem mnie nieobecnego): zaproponowali na superarbitra jednego z arbitrów strony przeciwnej, Lednickiego, z tym zastrzeżeniem, aby na jego miejsce arbitrem został ktoś inny, na którego by się nasza strona poprzednio zgodziła. Kombinacja ta do skutku doszła. Lednicki zaakceptował, drugim zaś arbitrem strony pozwanej został adwokat miński p. Witkiewicz. Sąd odbędzie się nie wcześniej niż za dni 10. Czy kombinacja ta okaże się dobrą – nie jestem w stanie przesądzać. Lednicki ma dużo taktu, ma głowę dobrą, stoi na stanowisku postępowym, więc o tendencyjność klerykalną posądzony być nie może. Ale to, że był na razie wybrany na arbitra przez jedną stronę, może go bądź co bądź usposobić dla strony tej, nam przeciwnej, trochę faworytalnie, a w każdym razie wpłynąć na pewną większą względność dla tych 12 panów. Suponuję, że rezultat, a przynajmniej tendencja sądu będzie taka, aby dać nam satysfakcję i zrehabilitować nas z zarzutów, którymi nas ci panowie obarczyli, i jednocześnie oszczędzić tym panom

upokorzenia, wrażenie ich winy jakoś osłabić. Zresztą, jakkolwiek będzie – zobaczymy. Tymczasem dowiedziałem się w Wilnie, że sprawa ks. Cyraskiego nabrała już sensacyjnego rozgłosu. Misterne machinacje „obrońców" ks. Cyraskiego, którzy dla obielenia go wylali stek pomyjów i oszczerstw na głowy nasze, zarzucając nam, sędziom w niedoszłym sądzie honorowym, jakiś rzekomy spisek, uknuty przeciwko katolicyzmowi i endecji czy polskości nawet – nie tylko że nie osiągnęły skutku zamierzonego i doprowadziły jeno do nowej, poważnej sprawy honorowej, ale jeszcze zaszkodziły Cyraskiemu i rozmazały skandal. Dla osób bowiem bezstronnych, nieuprzedzonych i nie zainteresowanych w tych porachunkach, o które „obrońcom" ks. Cyraskiego chodziło, sprawa wydała się tym brudniejszą, im bardziej „obrońcy" wysilali się przedstawić ją za owoc jakiejś tajemniczej intrygi. Gdyby ci obrońcy po prostu zajęli się tylko merytorycznym wyjaśnieniem treści zarzutów skierowanych do Cyraskiego i wykazali, że są one fałszywe, to wszystko byłoby się skończyło cicho. Ale po cóż było zamiast zbijania zarzutów przedstawiać je jako spisek przeciwko katolicyzmowi i polskości. Po co cała ta inscenizacja, po co przerzucanie się z roli obrońców czci do roli namiętnych oskarżycieli publicznych. Sprawia to wrażenie, że widocznie obrona posiadała słaby arsenał argumentacji merytorycznej i dlatego skierowała się na bezdroża subtelizacji oskarżeń. Podobno już i w prasie warszawskiej sprawę tę wywleczono, komunikując szereg drastycznych szczegółów o porwaniu dziewczyny, o naszej Macochiadzie itd. Prasa petersburska sprawę tę też poruszyła. Zrobiono ze sprawy tej sensację i skandal, a że prasa jest zawsze chciwa sensacji, więc okazję tę wyzyskała odpowiednio. Podobno już nawet prokuratura zwróciła uwagę na sensacyjne rewelacje prasy i zamierza rozpocząć śledztwo w stosunku do ks. Cyraskiego. Wiem o tym zresztą tylko ze słyszenia, to, co mi dziś opowiadano; nie wiem, ile prawdy w rzekomym rozgłosie tej afery.
O godz. 7 wieczorem wyjechałem z Wilna do Radoszkowicz, gdzie stanąłem o godz. 11 z minutami w nocy. Na stacji zastałem czekającego na mnie Jaśka. Korzystając z księżycowej nocy dojechałem ze stacji do miasteczka Radoszkowicz, ale już dalej, ze względu na noc, mróz i 16 wiorst okropnej drogi po grudzie, nie pojechałem i zanocowałem w miasteczku.

4 (17) stycznia, rok 1913, piątek
Rano, po nocy przespanej w lichym zajeździe, wyjechaliśmy z Jaśkiem z Radoszkowicz. Wyjeżdżając z miasteczka wstąpiłem na pocztę, gdzie ujrzałem i nabyłem po raz pierwszy marki pocztowe nowego formatu, których wzór jeden tu podaję. Nowy rysunek marek, przedstawiający wizerunki panujących rosyjskich, został zainicjowany od nowego roku 1913 z okazji 300-lecia domu Romanowych.

7-kopiejkowa marka dawniejsza:
7-kopiejkowa marka nowa:

Mozolnie, tak dla konia, jak dla nas, przebyliśmy z Jaśkiem 16-wiorstową paskudną drogę do Wiązowca. Zima w tym roku nie chce się ustalić na dobre. Dotąd nie ma sanny. W październiku i początku listopada sanna parokrotnie na wsi się ustanawiała, ale nigdy nie dłużej niż na kilka dni. Od połowy zaś listopada śnieg znikł, nastały deszcze i roztopy, drogi wiejskie przetworzyły się w grząskie bagna. Tak było do świąt Bożego Narodzenia. Od świąt – mróz stały, równy, po kilka stopni. Nie ma odwilży, ale nie ma też śniegu ani zawiei, ani w ogóle jakichś wyraźniejszych akcesoriów zimy. Od świąt śnieg padał, raczej prószył – często, ale w dozach minimalnych. Ziemia jest pokryta leciutką warstewką sypkiego proszku śniegowego, ale tak leciutką, że

wszystkie grudki zmarzłej ziemi w polu i na drodze sterczą obnażone. O sannie nie ma mowy. Na godz. 1 po południu dojechałem do Wiązowca. W drodze rozmawiałem dużo z Jaśkiem, który się już oswoił ze mną i nie jest wcale taki milczący i posępny, jak mi się wydawał na początku. Przeciwnie – uważam, że ma duszę miękką, wrażliwą, serdeczną, szczerą; jak wszystkie natury tego rodzaju, łatwo się tropi i wtedy zamyka się w sobie i jest skory do przygnębienia; gdy wszakże zaufa komuś, gdy zwłaszcza poczuje się traktowany po ludzku, to się otwiera szczerze i serdecznie, z prostotą i wiarą wielką. Jest to chłopiec subtelny i niegłupi, dodatni materiał na człowieka. Uczciwy też jest, prawy, rzetelny.
W Wiązowcu zastałem wszystko względnie w dobrym stanie. U Biesiekierskiego bawi w gościnie siostra jego młodsza. Mój pokój jest już wykończony; wygląda dobrze: czysty, obszerny, światły, ciepły. Postawiłem w pokoju moim bufet, łóżko, stolik czerwony z Bohdaniszek, nakryty ceratą, zawiesiłem szaragi, lusterko, dla ozdoby zawiesiłem stary jakiś szkic rysunkowy Elwiry (oczywiście: konie) i małą fotografię amatorską domu bohdaniskiego. Wszystko mam tu z Bohdaniszek, od grubszych mebli do samowara, lampy, lichtarzy etc. Mama o wszystkim pomyślała i we wszystko mię zaopatrzyła. Zawiesiłem też przywiezione obecnie z Bohdaniszek i tam zaimprowizowane firaneczki na oknach, bardzo miłe i dogodne. Do lasu już dziś nie chodziłem. Jedną tylko złą rzecz zastałem w Wiązowcu: to mój pies Bryś schudł okropnie. Jest zdrów i wesoły, ale bardzo chudy. Biesiekierski i Jasiek zapewniaja przecie, że Bryś karmiony był dobrze, a schudł tylko wskutek trzymania go przez parę tygodni na uwięzi. Widocznie Bryś ma ducha buntowniczego i kocha nade wszystko swobodę: gdy bowiem był na uwięzi, zdecydował się wyrazić protest w postaci głodówki – urządził podobno formalny „strajk głodowy”; on, mający apetyt wprost potworny, wilczy, nic do ust nie brał.

5 (18) stycznia, rok 1913, sobota
Z rana dziś byłem w lesie, obejrzałem szczegółowo tak zwany nr XVIII, sprawdziłem towary, wyrobione przez kupca z powalonych i przyjęte oraz zanumerowane przez Biesiekierskiego jako kontrola rachunku i spławu. Wieczór spędziłem w moim pokoju, zaglądając czasem do izby Biesiekierskiego i wydając rozporządzenia gospodarskie, przeplatane lekturą i lekką pracą umysłową. Bardzo mi tu miło. Pokoik mój coraz więcej mi się podoba; jest mi tu swojsko, zacisznie. Mam tu teren do pracy, mam też spokój wypoczynek, długie wieczory na zajęcia osobiste. Przy urządzaniu mojego pokoju znalazła się nawet niespodziane pewna rzecz, służąca mi za jedyną ozdobę artystyczną, która tu posiadam. Mianowicie jakimś dziwnym trafem (a może i rozmyślnie przez Mamę, która jest zaiste niewyczerpana w dostarczaniu do leśniczówki Wiązowieckiej wszelkich rzeczy) znalazł się tu wśród rzeczy, przywiezionych z Bohdaniszek w listopadzie przez Jaśka, pewien stary szkic rysunkowy roboty mojej siostry Elwiry, odwieczny, datujący się z pewnością sprzed lat 17-20. Jak tylko pamięcią sięgam, zawsze sobie przypominam ten szkic w Bohdaniszkach. Walał się on w Bohdaniszkach i zapewne spoczywał w jakiejś szufladzie przedhistorycznej, skąd dziwną koleją losów został przerzucony do puszcz mamyłowskich, do tej zapadłej leśniczówki, gdzie podniesiony został do najwyższej godności dzieła sztuki i zawisł zaszczytnie na ścianie, zdobywając tu wreszcie należny szacunek po długich latach tułaczki i poniewierki. Ze ściany tej spogląda on majestatycznie na stary bufet ikaźnieński, na czerwony stolik bohdaniski, służący mi tu za biurko, na łóżko moje, również z Bohdaniszek pochodzące, na ustawione na przeciwległej ścianie na podstawce drewnianej okrągłe staroświeckie lusterko bohdaniskie w czarnej oprawie, wznoszące się nad takąż czarną szkatułeczką z szufladką, dalej na szaragi z wiszącymi

na nich tutejszymi gratami moimi, na improwizowane firanki-sztory, przerobione kunsztownie ze starej bohdaniskiej kapy na łóżko w desenie imitujące dywan perski, wreszcie na drugą, już paradniejszą ozdobę pokoju tego – na małą fotografię amatorską domu bohdaniskiego, wspólnego źródła i gniazda wszystkich tych przezacnych sprzętów tutejszych. Szkic ten wzrusza mię bardzo i budzi sentymenty i wspomnienia serdeczne. Jest on nie tylko ozdobą, ale i przyjacielem niejako moim, towarzyszem lat dawnych, domownikiem swojskim, który wraz ze wszystkimi innymi sprzętami tego pokoju nawiązuje rzewną nić tradycji od Bohdaniszek i całej przeszłości mojej do tego zakątka leśnego. Zresztą jest tu przecie i Jasiek Podolski, jakby żywa cząsteczka Bohdaniszek, syn też starego sługi naszego od lat naszych dziecięcych, jest poczciwy młody pies Bryś, z półogonkiem typowym, syn Kurty, wnuk starego Kurty i Serwy, prawnuk Mopsy ikaźnieńskiej po dziadku, a po babce prawnuk psów pleszczenickich od c. Kazi Tyszkiewiczowej, wreszcie jest konik Prym, syn Damuti bohdaniskiej. Wszystko – i ludzie, i zwierzęta, i sprzęty – składają się na nić tradycji. Wracając do szkicu Elwiry, jest to rysunek pochodzący widocznie z albumu: jakaś wydarta karta albumowa, zarysowana z obu stron; na jednej stronie wzdłuż narysowane dwa pędzące rozhukane konie; na drugiej stronie u dołu w poprzek duży rysunek przedstawiający jakąś dziewczynę leżącą pod drzewem umarłą czy zemdlałą, nad nią klęczy zrozpaczony młodzian wspierając głowę na dłoni, za młodzianem koń, z którego on przed chwilą zeskoczył, trzyma głowę wyciągniętą spuszczoną, cugle opadły na ziemię, ogon rozwiany, siodło z krzyżykiem na przodku, w głębi w oddali jakiś futor ukraiński; u góry w kwadraciku osobnym pędzi w szczerym równym polu zapewne tenże młodzian konno z trąbką u ust mijając słup przydrożny. Całość jest prawdopodobnie ilustracją do jakiejś dumki czy poematu w stylu Malczewskiego czy Zaleskiego.

6 (19) stycznia, rok 1913, niedziela
Biesiekierski wyjechał przed świtem konno do Radoszkowicz. Ja zaś po wstaniu i wypiciu herbaty poszedłem z Jaśkiem do lasu. Poszliśmy w las serwitutowy w kierunku Gaju. Chciałem obejrzeć las i jednocześnie sprawdzić Jaśka znajomość lasu. Egzamin ten wypadł dla biednego Jaśka bardzo niepomyślnie. Okazało się, że nie tylko niewiele wie o tym, co się w lesie dzieje, ale i zupełnie się nie umie orientować, błądzi i kołuje, nie mogąc trafić dokąd trzeba. Kazałem się z domu prowadzić blisko granicy Ludwisia Wołodkowicza w kierunku rzeczki Konotopki. Jasiek poszedł naprzód, ja za nim. Omijając gąszcz, Jasiek wciąż tak się kręcił, że dążąc naprzód po niejakim czasie doprowadził mię, ku swemu wielkiemu i zdumieniu i strapieniu, zamiast do Konotopki, nazad do domu. Wówczas kazałem się prowadzić do sążenków osiny, złożonych w lesie przez Antoniego Waszkiewicza. Po wędrówce długiej, niespodzianie dla samego Jaśka, doszliśmy istotnie do tych sążenków, o których zresztą Jasiek niewiele wiedział i zdaje się, że je po raz pierwszy zobaczył. Stamtąd kazałem się prowadzić do ruczaju zwanego Wiązowcem, od którego nadałem nazwę całemu folwarkowi, oddzielającego Gaj od lasu serwitutowego. Jasiek mię poprowadził, ale znów tak niefortunnie krążył i kołował, że po pewnym czasie wróciliśmy do tych samych sążenków. Wówczas już ja się podjąłem roli przewodnika i doszedłem prostą drogą do Wiązowca. Jasiek biedny był zdetonowany i zmartwiony. Nie dziwi mię to, bo Jasiek jest dzieckiem pól, nie lasów. W ogóle w drogach się orientuje znakomicie. Przyjechawszy po raz pierwszy z Radoszkowicz po błędnych małych dróżkach podobniejszych do ścieżek niż do dróg właściwych, Jasiek potrafił już nazajutrz sam do Radoszkowicz pojechać nie błądząc i nie pytając o drogę. Ale w lesie traci zdolność orientowania się; wśród masy drzew, które mu się wszystkie wydają jednostajne, traci poczucie kierunku: nie może rozróżniać indywidualnych szczegółów lasu, jest w dziedzinie leśnej analfabetą. Nie

gniewałem się na Jaśka, bo rozumiem, że w tak krótkim względnie czasie nie mógł się przyzwyczaić do lasu, tym bardziej, że miał dużo roboty przy domu i że w ogóle był używany przez Biesiekierskiego tylko do zleceń mniej więcej mechanicznych. Zresztą w ogóle funkcje Jaśka są tu tylko pomocnicze względem Biesiekierskiego: właściwych obowiązków leśnika Jasiek nie ma i mieć by teraz nie mógł. Zaleciłem mu więc tylko, aby starał się przywyknąć i poznać las, aby obszedł wszystkie dróżki leśne i je sobie dobrze w pamięci zanotował, biorąc je za podstawę do orientowania się wewnątrz lasu; aby też w lesie wszystkiemu się przyglądał, na wszystko zwracał uwagę i o wszystkim, czego nie rozumie, zapytywał Biesiekierskiego, aby być *au courant* spraw leśnych. Trzeba, żeby się stopniowo wprawił, nauczył, posiadł sztukę znajomości leśnej.
Dzień mi zeszedł jak zwykle w Wiązowcu. Lubię ten las i lubię ten mój domek.

7 (20) stycznia, rok 1920, poniedziałek
Dziś dokonałem paru kapitalnych rzeczy w lesie, które były bardzo potrzebne, a których dotychczas nie udawało mi się dokonać. Sprzedałem mianowicie Hrynkiewiczowi z Ławcewicz cały pował na całej przestrzeni lasu z warunkiem całkowitego uprzątnięcia z lasu wszystkiego, co się wala, i umówiłem się z Czebotarem o sprzedaży suchostoju na drwa po rb. 7 za sążeń. Las Wiązowiecki jest bardzo zanieczyszczony: mnóstwo nie tylko gałęzi i chrustu się w nim wala, ale i rozmaitych wierzchowin, polan, belek i drzew zwalonych, złamanych, porzuconych. Wszystko to marnuje się, butwieje, zaraża las zgnilizną, szkodzi na młody porost. Oprócz tego, dużo stojących sztuk suchych, nieużytecznych, ulegających powałowi i zniszczeniu. Jakie były grubsze i lepsze sosny z suchostoju, te użyłem na budowę domu i odrynki, ale to kropla w morzu. Amatorów na pował nie znajdywałem dotąd i nie wiedziałem, jak się tego zbytecznego i szkodliwego balastu pozbyć. Ci, którzy się zgłaszali do kupna, chcieli brać pował tylko z suchostojem ogólnie po cenie bajecznie niskiej. W części lasu, zwanej Gajem, sprzedałem tak istotnie pował z suchostojem ogólnie temuż Hrynkiewiczowi, ale nadal tak sprzedawać nie chciałem, bo i ceny, nawet minimalnej, której żądałem, mi nie dawano, i nie chciałem się pozbywać bezwzględnie całego suchostoju. Miałem przeto w jesieni zamiar porąbać lepszą część powału i znaczną część suchostoju własnym najętym robotnikiem na drwa i ustawić sążnie, które bym następnie wyprzedawał. Ale robotnika dostać nie zdołałem, nawet po drogiej cenie, bo włościanie mieli perspektywę grubszych zarobków leśnych przy rąbaniu i wożeniu towaru zakupionego przez kupców u mnie, u Ludwisia Wołodkowicza i u cioci Łucji Wołodkowiczowej. Kupować zaś na drwa z ich własnym wyrębem i ustawieniem sążni włościanie się też nie kwapili. Jedyny poważny miejscowy kupiec na drwa, Czebotar, który ma kontrakt na dostawę drew do gminy („волостнаго правленія”) w Radoszkowiczach i który spekuluje na tym, kupując drwa po rozamitych lasach okolicznych, nie dawał mi tej ceny, której żądałem, pomimo że nie była ona wcale wygórowana. I nic ostatecznie poradzić nie mogłem. Chodząc po lesie, każdą razą ubolewałem nad głumieniem sie mnóstwa materiału i nad niemożnością doprowadzenia lasu do wyglądu kulturalnego. Toteż cieszę się, że mi się tak dziś powiodło, chociaż ceny, które otrzymałem, są niskie. Ale na sprzedaży na drwa, choćby po rb. 7, wyjdę lepiej, niż gdybym sprzedał suchostoj ogólnie na dzielankę razem z powałem, i zachowam suchostoju, ile zechcę, a pował sprzątnie mi Hrynkiewicz cały, wkrótce zaś nagromadzi się znów dużo nowego powału, tak większego, jak drobiazgu, po kupcach. Rad więc jestem z dnia dzisiejszego. Bieda teraz z wywożeniem towaru leśnego przez kupca. Śniegu nie ma. Sanna nie chce się ustalac, nie ma dotąd na nią żadnej nadziei. Szafarze kupca są już przygotowani do wywożenia towaru kołami. A jeżeli powiozą kołami, to szkody mi ta wózka wyrządzi ogromne, bo jakże to w gęstym lesie obrócić się na kołach z ogromnymi po

kilkanaściwe i 20 metrów wynoszącymi kłodami sosny towarowej. Żal mi opuszczać to kochane ustronie leśne, ale już jutro wyjechać muszę.

8 (21) stycznia, rok 1913, wtorek
Rano wyjechałem z Wiązowca. Z żalem opuszczałem to gniazdko ciche, leśne, gdzie mi czas płynie tak dobrze. Sądzę, że z wielką przyjemnością i nie mniejszym pożytkiem zamieszkałbym tu na stałe, gdyby się tak okoliczności złożyć mogły. Dziś jeszcze mowy o tym być nie może. Ale jeżeli tak się zdarzy – czego nie daj Boże! – że Mama umarłaby wcześniej od Papy, to sądzę, że prawdopodobnie bym się zdecydował na opuszczenie Wilna i zamieszkanie w Wiązowcu. Oczywiście odkupiłbym w takim razie Wiązowiec na moją własność wyłączną, to znaczy że musiałbym przyjąć na siebie spłatę na Wiązowcu wszystkich sióstr moich i Papy. Zapewne byłoby to lepsze, niż zachować administrowanie i eksploatację Wiązowca od imienia całego gremium współspadkobierców Mamy, którzy chciwością i drapieżnością (zwłaszcza Zyś Komorowski, Pruszanowscy i podburzony przez Zysia Papa) uniemożliwiliby mi pracę lub ewentualnie zrobiliby ze mnie swego parobka i niewolnika. Skądinąd wszakże i obarczenie siebie spłatami na Wiązowcu nie byłoby rzeczą lekką, bo miałbym kredytorów ciężkich i bezwzględnych. Gdyby mi się wszakże udało pozyskać pomoc wuja Ignasia Tukałły dla spłaty sióstr, co jesy rzeczą możliwą, bo wuj mi sprzyja szczerze, to kombinacja mogłaby się ewentualnie udać. Wuj mógłby mi udzielić pożyczki na dogodnych warunkach. W takim razie, zachowując Wiązowiec na własność wyłączną, gotów byłbym się tam osiedlić na stałe, a przynajmniej do czasu otrzymania Bohdaniszek po Papie. Dla mnie zamieszkanie w Wiązowcu byłoby nie tylko przyjemniejsze, ale i pożyteczniejsze niż mój obecny pobyt w Wilnie na adwokaturze. Samotmość i cisza wiejska nie ciążą mi bynajmniej: lubię je i pogłębiam w nich stokrotnie moją indywidualność. Adwokatura nie odpowiada bynajmniej moim upodobaniom; czuję, że w niej nigdy nie zasmakuję i nigdy nic wielkiego nie zdziałam. Na skutek rozmaitych względów rodzinnych, materialnych i w dużym stopniu przekonaniowych nie mogę się w Wilnie oddać wyłącznie pracy publicystycznej czy społeczno-literackiej, zrywając z firmą adwokatury. Skazany tu jestem na połowiczność między adwokaturą a doraźną okolicznościową działalnością publicystyczną i społeczną, wobec czego tak jedno, jak drugie, to znaczy tak adwokatura moja, jak działalność społeczna są jeno fikcjami i nie moga osiągnąć pełni swej wydajności. Działalność społeczna moja rozprasza się w Wilnie na dziesiątki poszczególnych czynności, które są jeno fragmentami luźnymi i nie składają sięna jedną wielką, harmonijną całość. Słowem, nie tworzą tu w Wilnie mojego dzieła, to znaczy nie wypełniam mojego zadania życiowego. A życie płynie i ucieka. Dziś mam jeszcze młodość, mam pełnię sił twórczych. Mam naturę taką, że kocham samotność, a na wsi ją posiadam najpełniej. W samotności skupiają się, pogłębiają i wytężają wszystkie władze ducha mego. Tam na wsi, czy to w Wiązowcu, czy w Bohdaniszkach, spożytkowałbym lwią część czasu mego – poza pracą gospodarską – na ulubioną moją pracę literacko-społeczną, do której mam powołanie i w której oddać mogę dla kraju zasługi poważne. Tego w Wilnie nie spełnię w tych warunkach, w jakich tu jestem. Miałbym też tam w Wiązowcu przy sobie moją kochaną i kochającą Annę.
Ale wrcam do dnia dzisiejszego. Jasiek mię odwiózł z Wiązowca na kolej, skąd pociągiem wieczornym o godz. 6 ½ przyjechałem do Wilna. Na dworcu spotkała mię Anna, która dziś rano z Libawy wróciła. Zastałem biedną Annę strasznie zmizerowaną, bladą, z sińcami pod oczami. Wygląda źle, jak po ciężkiej chorobie. Istotnie, dowiedziałem się, że była chora, że przeleżała kilka dni w czasie świąt, że się czuje bardzo osłabiona. Kaszle, ma ból w płucach, miewa co dzień gorączkę. Byłem bardzo

zaniepokojony, czego starałem się nie pokazywać Anie. Zaczynam się istotnie obawiać, aby Anna nie zapadła na suchoty, do których może mieć skłonność dziedziczną. Od czasu naszej znajomości mizernieje i często się czuje osłabiona tygodniami i miesiącami nieraz. Dziś wieczorem też miała niewątpliwie gorączkę. Zaprowadzę ją jutro do doktora. Do mego mieszkania nie zajechałem dziś wcale. Dziś i cały dzień jutrzejszy spędzę wyłącznie z Anną. Poszliśmy z nią na kolację do Niszkowskiego i na noc, jak zawsze w takich razach, do hotelu Wersal.

9 (22) stycznia, rok 1913, środa
Długo z rana nie wstawaliśmy z Anną. Cały dzień dzisiejszy aż do jutra przeznaczyliśmy wyłącznie dla nas dwojga. Do godz. 1 leżeliśmy w łóżku, czyli „oddawaliśmy się kiejfowi" – podług terminologii naszej. Opowiadałem Annie o wieczorku litewskim u Sejbutisów, na którym podczas świąt byłem, następnie o Petrulisie. Postać moralna Petrulisa, poświęcającego życie swoje pracy społeczno-kulturalnej wśród i dla włościan, osamotnionego w tej ofierze swojej, niezrozumianego przez włościan a śledzonego podejrzliwie i niechętnie przez władze i przez potężny kler, budziła entuzjazm w Annie. Kobiety są w ogóle skłonne do entuzjazmu, a moja Anna nade wszystko. Ma ona duszę piękną, wrażliwą na krzywdy i cierpienia ludzkie, rozpoznającą znakomicie prawdę i piękno od czczej próżności, obłudy i krzywdy. Przy swej głębokiej wrażliwości nie ma Anna wszakże nic z tej przeciętnej małostkowości i czułostkowości kobiecej, tak powszechnej i pospolitej. Jest to dusza złota, prosta, z kruszcu szczerego najszlachetniejszej szlachetności ulana. W obcowaniu duchowym z nią mam tyle rozkoszy, jak z żadną inną kobietą i w ogóle z nikim na świecie. Rozumiemy się z nią doskonale i Anna w każdej sytuacji rozezna głąb i naturę istotną rzeczy i wyda zawsze sąd zdumiewająco trafny, nieomylny a szlachetny.
Po obiedzie, który zjedliśmy w restauracji przy hotelu Niszkowskiego, zaprowadziłem Annę do doktora, ażeby się poradzić co do jej zdrowia. Poszliśmy do dr Oleszkiewicza, którego znałem przed 7 laty jako studenta jeszcze; wtedy pracował on u nas w administracji „Gazety Wileńskiej" i kochał się w Jadwidze Chróścielewskiej, która była korektorką w „Gazecie", a która później poślubiła współpracownika tejże „Gazety" Adama Giedwiłłę, zmarłego w roku zeszłym. Oleszkiewicz, który był wtedy zaręczony z Chróścielewską, szalał z zazdrości i raz w nocy, wpadłszy do jej mieszkania i zastawszy tam Giedwiłłę, strzelił do niego i ranił. Odnowiłem więc dziś znajomość z dr Oleszkiewiczem i prosiłem o poradę co do Anny. Znalazł, że żadnego groźnego procesu w płucach nie ma; jest jeno coś w rodzaju bronchitu i zwłaszcza anemia duża.

10 (23) stycznia, rok 1913, czwartek
Wreszcie dziś koło południa rozstaliśmy się z Anną po dwóch dniach spędzonych razem. Anna wróciła do swego mieszkania, ja zabrałem rzeczy z dworca kolejowego i pojechałem do siebie.
Wilno jest w pełnej gorączce karnawałowej. Bale, widowiska, zabawy następują jedne po drugich. Wczoraj odbyło się z olbrzymią pompą wspaniałe wesele arystokratyczne Łęskiego z Platerówną; ślub był dany przez arcybiskupa-metropolitę Kluczyńskiego, który przyjechał *ad hoc* z Petersburga; całe „towarzystwo" wileńskie spieszyło za biletami do kościoła dla przyjrzenia się tej uroczystości jak widowisku teatralnemu. Z okazji tej zjechały się do Wilna tłumy arystokracji krajowej, która w dalszym ciągu wyczekuje szeregu okazałych zabaw, mających się odbyć w ciągu dni najbliższych. Wilno jest pod znakiem powodzi arystokratycznej. Na ulicach spotyka się dużo karet, ruch jest ożywiony, kwiaciarnie i konfekcje damskie pracują i zarabiają, a w kieszeniach arystokratycznych tworzą się wyłomy, a w głowach arystokratycznych

pustki jeszcze przeraźliwsze niż zazwyczaj. Zapewne i Szuman zarabia przy tej okazji dobrze i rozmaite nowe miejsca uciech wileńskich, jak hotel Pałac, ogród szwajcarski – zbierają ruble, szampan się leje, kokoty i śpiewaczki skubią lubieżnych paniczów i sędziwych panów arystokratycznych, panny lalkowate na wydaniu tracą resztki swego człowieczeństwa i przetwarzają się w towar manekinów, ogarniętych manią zabawy i małżeństwa. Ten szał karnawałowy towarzystwa arystokratycznego, próżniaczego i samolubnego, jest ohydną orgią wyuzdania. Karnawałujący ludzie tej sfery stają się w tym czasie stadem ogarniętym psychozą szczególnego rodzaju. O niczym nie myślą, zapominają o świecie, o zagadnieniach jakichkolwiek. Myśl ich i namiętności kołują w ciasnym kręgu zabaw, intryg towarzyskich, wzajemnego zachwytu. Na ludzi, którzy są poza tym wirem, patrzą jak na jakieś biedne istoty upośledzone niższego rzędu, godne pogardy i litości. Nie rozumieją, jak można żyć poza tą manią, nie rozumieją nic poza swoją hecą. Jest to zresztą zjawisko zwykłe, że ludzie, których namiętności się rozpędzą w jakimś jednym kierunku, dotknięci zostają pewną atrofią, znieczuleni na wszystko inne, co wykracza poza tę namiętność. Jest to stan gorączki, stan hazardu takiż jak w karciarstwie, jak zresztą we wszystkim innym. Procesy takie, gdy się odbywają zbiorowo, w pewnych kołach czy gromadach ludzkich, dają dziwne widowisko opętania masowego, wizję sabbatu. Takież samo w istocie swej jest zresztą i opętanie rewolucyjne w wielkich momentach przesilenia społecznego. Ale ze wszystkich sabbatów takich najgłupszy jest ten sabbat karnawałowo-arystokratyczny, który co roku o tej porze szaleje. U nas w Wilnie jest on pierwotniejszy jeszcze niż gdzie indziej, bo arystokracja nasza jest kastowo ściślejsza, jest wyłączniejsza.
Wieczór spędziłem dziś znów u mojej Anny w jej cichym pokoiku na ustroniu.

11 (24) stycznia, rok 1913, piątek
Marynia, która całe święta Bożego narodzenia spędziła w Wilnie, dziś wyjechała na dni kilka do Bohdaniszek dla odwiedzenia Rodziców. Zostałem więc w mieszkaniu sam z dziećmi Maryni, Helcią i Stefusiem.
Tej zimy jest wyjątkowo wielki napływ osób z mej rodziny do Wilna. Sądziłem, że fakt ten okaże się krępującym dla mnie, że zmusi mię poniekąd do większego uczęszczania tych domów familijnych, do w ogóle życia wizyt towarzyskich. Tymczasem tak nie jest. Obecności tylu gniazd rodziny mojej nie odczuwam wcale. Wszystkie te „gniazda" są pochłonięte swoimi własnymi stosunkami, zwłaszcza zaś, jak obecnie, karnawałem. Z Pruszanowskimi prawie wcale się nie widuję. W pierwszych jeno dniach zamieszkania w Wilnie Kotunia była u nas parę razy, Ezechiel też zdaje się raz tylko czy dwa; ja u nich byłem parę razy przed świętami, Marynia też rzadko bywa. Są oni całkowicie zajęci zabawami, wywożeniem w świat Elizki. Tworzy się po prostu pewnego rodzaju mur chiński między tymi ludźmi, którzy biorą udział w karnawale arystokratycznym, a tymi, którzy są od ruchu tego z dala. Są to jakby dwa światy odrębne, obce sobie, a nawet poniekąd wrogie i niechętne. W okresie karnawałowym stosunki towarzyskie o wiele ściślej łączą ludzi niż stosunki krwi.
Wieczór spędziłem u Anny. Jestem nierad z siebie. Postanowiliśmy z Anną, ze względu na jej osłabienie, zachować zupełną wstrzemięźliwość w stosunkach naszych na cały miesiąc. Tymczasem dziś złamaliśmy nasze postanowienie, nie zdołaliśmy się utrzymać na wodzy. Nie jest to zresztą tylko moja wina, bo i Anna nie mniej ode mnie daje się zapalić namiętnościom. Dla zdrowia jej jest to bardzo szkodliwe, bo po wysileniu namiętności następuje u niej reakcja wyczerpania, osłabienia, anemicznego bólu głowy. Siły jej są tak wątłe, że pożądany jest dla niej nade wszystko spokój, jak największa bierność, brak jakichkolwiek podniet. To jest skuteczniejsze od lekarstw.

12 (25) stycznia, rok 1913, sobota
Wieczorem byłem na tradycyjnej dorocznej zabawie karnawału wileńskiego – na „Achu”. Jest to sztuka sceniczna, stanowiąca przegląd satyryczno-humorystyczny stosunków wileńskich, urozmaicona kupletami na tematy bieżące, tańcami charakterystycznymi na scenie itd. Co roku pisze sie nowy tekst „Achu”. „Ach” bywa odegrany zawsze siłami amatorskimi wileńskiej śmietanki arystokratycznej. Udział w grze w „Achu” uchodzi za pewien rodzaj patentu na przynależność do najwyższych sfer arystokracji. Panie i panowie ze sfer inteligencji miejskiej do „Achu” nie należą. Dla artystycznej okrasy gry dopuszczają się jeno nieliczne jednostki, nie należące do arystokracji właściwej – artyści lub śpiewacy zawodowi, dziennikarze, piosenkarze uzdolnieni (zdaje się, że wyjątki te robią się tylko dla mężczyzn, panienek zaś nie-arystokratycznych pod żadnym warunkiem się na scenę „Achu” nie dopuszcza). Tegoroczny „Ach” napisany został latem przez Benedykta Hertza na obstalunek organizatorów. Satyra zresztą jest w „Achu” słaba, blada: arystokracji nie wolno tykać powszechnie uznanych powag, bo stąd łatwo byłoby się dobrać do niej samej. Wszelka złośliwość i drapieżność są wykluczone, nie ma też żadnych aluzji politycznych czy narodowych, nie ma też schlebiania możnym: są to zalety satyry „Achu”, ale wadą jest zbytnie unikanie jaskrawości nawet w rzeczach nie mogących nikogo zadrasnąć, pewien lęk przed wyrazistością. Ładne są natomiast efekty dekoracyjno-świetlne i baletowe, ładne kostiumy, tańce, układ piosenek. „Ach” tegoroczny – „Ach VI” – odbył się w sali miejskiej. Tytułową rolę „Achu” grała p. Feliksowa Platerowa, drugą zaś najistotniejszą rolę, męską, grał z talentem znany artysta-śpiewak Bogucki. Z bliższych krewnych moich brali udział w „Achu”, mianowicie w tańcach, Zula Tukałłówna i Żorik Wołodkowicz. Podobno i Leon Römer powinien był mieć jakąś rolę, ale go nie zauważyłem na scenie. Elizka Pruszanowska nie brała udziału, bo jej Ezechiel nie pozwolił, ale zdaje się, że później żałował tego, choć się nie przyznaje. Zabawa „Achu” dla osób biorących w nim udział polega głównie nie na samym przedstawieniu, ale na licznych próbach poprzedzających, podczas których młodzież się poznaje, bawi, flirtuje, miewa wspólne herbatki, kolacje itd. Publiczności było dużo. Parter i galerie pełne. Karet moc niezliczona. Atroje elegenckie, panie w białych lekkich sukniach do gorsu, mężczyźni w parterze prawie wszyscy we frakach, nawet w najdalszych rzędach. Byłem jednym z bardzo nielicznych w tużurku. Po „Achu” była kolacja z tańcami u Żorża, na której nie byłem.

13 (26) stycznia, rok 1913, niedziela
Zdaje się, że wojna staje się coraz prawdopodobniejsza, pewna niemal. Układy londyńskie nie dały wyników decydujących, związek państewek bałkańskich znów się musi gotować do wojny, dokonany przewrót rządu w Konstantynopolu potęguje kierunek wojenny, postawa Austrii coraz bardziej stanowcza, opinia niemiecka odzywa się w tonie ostrym itd. A pod tymi znamionami nastrojów wojennych kryją się kapitalne konflikty dziejowe państw, krajów i narodów, które wcześniej czy później przełamać muszą utrzymywaną sztucznie równowagę *status quo*, nie odpowiadającą układowi żywych czynników procesów rozwojowych. Pomimo całej ohydy wojny, pomimo wielce niepewnych jej skutków w stosunku do kraju naszego – pragnę jej. Pragnę, bo zdaje mi się, że gorzej niż jest być nie może i że w każdym wyniku bądź co bądź zyszczemy. Jeżeli kraj nasz czy też jego część zachodnia, litewska, miałby być oderwany od Rosji i wcielony, wespół z Łotwą i Estonią, do Prus, to nie sądzę, ażeby coś stracił na tym. Obaw, które żywią pod tym względem Litwini i Łotysze, nie podzielam w całej rozciągłości. Że ucisk w Prusach będzie silny – nie wątpię, ale nie mniejszy jest w Rosji. Powiadają, że będzie systematyczniejszy, mądrzejszy, celowszy.

Zapewne. Ale też będzie mniej rabunkowy, mniej podobny do czynności psa, który leży na sianie, sam takowego nie je i nie dopuszcza doń krów czy koni. Za to wzmoże się u nas oświata i kultura materialna, z których ludność czerpać będzie zasoby do walki z uciskiem. Nasze zaś demokratyczne narody w tych krajach – Litwini, Łotysze i ewentualnie Estończycy – są już zbudzeni, zwarci, sprężyści, do uległości nie skorzy; są to narody dzielne, charaktery twarde i odporne. A kraje te się zbliżą przez to do kultury zachodniej, w Prusach zaś spotęgowałyby się przez to czynniki odśrodkowe, które wcześniej czy później pchnęłyby państwo do przebudowy związkowej, ewentualnie je rozsadziły. Gdyby zaś kraj nasz pozostał przy Rosji, to w razie jej porażki można byłoby się raczej spodziewać przyśpieszenia reform kapitalnych w państwie, z czego byśmy i my skorzystali, w razie zaś mało prawdopodobnego zwycięstwa Rosji i wcielenia do niej jakichś terytoriów na zachodzie też zyskalibyśmy *à la longue*, bo zwiększyłaby się w niej rodzina ludów i krajów obcych, a przez to urosłyby tendencje odśrodkowe. Zawiłe to są kombinacje, ale nie zastraszające wobec ohydnego stanu tego, co jest w Rosji teraz.
Słychać, że już i w Rosji przysposabiają wojsko do pogotowia wojennego. Podobno w Wilnie urządzają po nocach próbne sztuczne alarmy w pułkach, wymarsze, ćwiczenia. Prądy powstańcze w Polsce rosną i utrzymują społeczeństwo w stanie podniecenia i zdenerwowania. Do polskiej młodzieży wileńskiej nastroje te przeniknęły już dawno, a już podobno ukazują się pierwsze objawy manifestacji patriotycznych. Słyszałem dziś od dzieci Maryni, że w kościele św. Katarzyny dziś przed kazaniem młodzież szkolna zaintonowała chórem „Boże, coś Polskę” i podobno trzy zwrotki tej pieśni zostały odśpiewane.
Jedno mię tylko niepokoi w tych nastrojach naszych na tle spodziewanej wojny – to pogłębienie się rozdźwięku, a może, co byłoby szkaradne, ostrego i czynnego zatargu młodych żywych elementów polskich z litewskimi. Niewola i brak właściwej orientacji dziejowej działają szkaradnie. Młodzież polska, gorąca i szczerze myśląca, nie posiada zmysłu krajowego, łączy się bezwzględnie z uczuciami narodowymi polskimi i łączy kraj nasz z Polską. Tego Litwini nie znoszą, bo widzą w tym zaprzeczenie ich samodzielności, ich bytu, ich własnej przyszłości. Dziś utożsamianie Litwy z Polską jest nie tylko błędem, jest strasznym niebezpieczeństwem. Dziś bowiem w kraju tym jest świadomy i czynny element litewski, który z całą stanowczością odeprze taką dążność i nie cofnie się przed niczym dla zadania ciosu takim aspiracjom.

14 (27) stycznia, rok 1913, poniedziałek
Dowiedziałem się od Mańkowskiego, że do redakcji „Kuriera Krajowego” wstępuje Jabłoński, młody dziennikarz z Lublina, ten sam, którego w końcu roku 1911 angażowaliśmy na redaktora do projektowanego wówczas przez nas dziennika. Było to wtedy, gdy na skutek mojej opozycji pękły układy nasze z Ludwikiem Abramowiczem i my z Nagrodzkim i Krzyżanowskim pojechaliśmy do Warszawy dla znalezienia tam i sprowadzenia redaktora, który miał pod bezpośrednim moim kierunkiem objąć ster pisma. Wtedy wśród ewentualnych kandydatów, których nam wskazał Ludwik Krzywicki, był też Jabłoński. Ponieważ w Warszawie nikogo zaangażować nie zdołaliśmy, więc ja wyruszyłem osobiście do Lublina do Jabłońskiego. Opracował on tam w „Kurierze” lubelskim, organie postępowym, najlepiej redagowanym, najżywszym i najradykalniejszym bodaj z całej prasy postępowej prowincjonalnej Królestwa Polskiego. Był jednym z głównych współpracowników redakcyjnych pisma tego i jednocześnie kierował administracją. Nie zdecydował się wszakże wtedy na wyjazd do Wilna, wobec czego wróciłem z kwitkiem do Warszawy i z Warszawy wróciliśmy z Nagrodzkim do Wilna z pustymi rękami. Tymczasem po powrocie do

Wilna okazało się wtedy, że umowa z Gratzem na wydzierżawienie ogłoszeń, na której fundowaliśmy głównie byt pisma, została przez Gratza zerwana, wobec czego musiał też upaść sam projekt dziennika, zwłaszcza że i zorganizowanie redakcji okazało się na razie niemożliwe. Wtedy to Ludwik i Witold Abramowiczowie wydali numer próbny „Przeglądu Wileńskiego", do którego *volens nolens* musieliśmy wszyscy przystąpić z braku możności utworzenia innego pisma postępowego bez udziału Ludwika. Dziś stosunki i nastroje się zmieniły wśród członków tej grupy naszej: Ludwik jest triumfatorem, on zwyciężył nad kierunkiem moim, za nim dziś idzie ogromna większość naszej grupy i naszych sympatyków. Z koncesji na dziennik, która była wzięta kiedyś dla nas na imię dr Sumoroka, skorzystało inne grono ludzi za inicjatywą Białorusinów i ich sympatyków z „Naszej Niwy". I trzeba wyznać, że obecny „Kurier Krajowy" jest bliższy kierunku „Gazety Wileńskiej", który miał być w założeniu kierunkiem naszej grupy „przeglądowej", niż jest „Przegląd W." w redakcji Ludwika. I oto do tegoż „Kuriera Krajowego", do którego był on poprzednio przez nas angażowany, ale już będącego w innym ręku, dostaje się tenże Jabłoński. Jabłońskiego uważaliśmy za nieboszczyka, bo wkrótce po naszym niefortunnym powrocie z Nagrodzkim z Warszawy rozeszła się tu pogłoska, że Jabłoński w Lublinie odebrał sobie życie. I oto raptem w ubiegłym grudniu, gdy już „Kurier Krajowy" pod redakcją Mańkowskiego wychodził, otrzymuję ja list z Lublina od mniemanego nieboszczyka Jabłońskiego z zapytaniem, czy prawdą jest, że powstaje w Wilnie dziennik demokratyczny, i z oświadczeniem chęci do objęcia w nim posady czy współpracownika, czy administratora. Po porozumieniu się z Mańkowskim odpisałem Jabłońskiemu, że udział jego jest bardzo pożądany, ale że pismo jest materialnie słabe i że żadnych mocnych zobowiązań i gwarancji dać mu nie może. Jabłoński nic na to nie odpisał, ale w czasie świąt przyjechał sam do Wilna, a nie zastawszy mnie, skierował się bezpośrednio do Mańkowskiego, z którym się ułożył za rb. 60 miesięcznie. Dla „Kuriera Krajowego" będzie to, sądzę, dobry nabytek. Jest on dziennikarzem zawodowym i jednocześnie człowiekiem przekonań szczerych. Człowiek to młody, lat dwudziestu kilku. Ideowo stoi na stanowisku tzw. lewicy PPS, to znaczy jest socjalistą, przy czym ma pewne zabarwienie ludowe. Zna się na administracji pisma. Mańkowski chce zeń zrobić zastępcę swego, a stopniowo zdać nań całkowicie redakcję pisma. Oczywiście, że jako człowiek nowy, nie znający kraju, nie może być od razu samodzielnym redaktorem. Nie zna ani ogólnych stosunków układu sił i czynników rozwojowych w kraju, ani specjalnych stosuneczków i atmosfery obyczajowej wileńskiej. Toteż Mańkowski będzie musiał czuwać, kierować nim, orientować. Jako dziennikarz wszakże i człowiek inteligentny, zdoła zapewne rychło zorientować się w kraju. Zresztą z całej prowincji Królestwa Polskiego Lublin jest bodaj najwięcej względnie zbliżony do naszych stosunków litewsko-białoruskich. Oczywiście, że analogia jest bardzo daleka, ale bądź co bądź większa niż w zestawieniu do innych dzielnic polskich Królestwa. Zdaje się, że Jabłoński będzie dobrym nabytkiem nie tylko dla „Kuriera Krajowego", ale i w ogóle dla Wilna i dla demokracji naszej. Jednego się tylko boję, aby nie powstało nieporozumienie między nim a grupą „Kur. Kr." co do radykalizmu w tonie pisma, bo „K. Kr." tego unika, a Jabłoński wydaje mi się zdeklarowanie radykalny.

15 (28) stycznia, rok 1913, wtorek
Nasz sąd honorowy z dwunastu panami, który był wyznaczony na jutro, znów odłożony został do 2 lutego na skutek depeszy od superarbitra Lednickiego z zawiadomieniem, że jeden z arbitrów strony przeciwnej, Aleksander Meysztowicz, jest obecnie bardzo zajęty sprawami w Radzie Państwa, której jest członkiem. Opóźnianie się sądu tego jest rzeczą

bardzo przykrą, a zresztą stopniowo i sprawa sama traci na aktualności. Nie bardzo mi się też podobają pewne horoskopy na wynik tej sprawy, które zdają się już wyczuwać. Wybór na superarbitra Lednickiego, który był pierwotnie arbitrem z ramienia owych dwunastu panów, nie należy zapewne do kombinacji dla nas szczęśliwych. Wreszcie i jeden z naszych arbitrów, Władysław Malinowski, nie bardzo wydaje się mocny: przebąkuje coś, że nie ma w tym zajściu elementu zatargu osobistego i obrazy osobistej, w ogóle jakoś zdaje się skierowywać sprawę na grunt nieporozumienia. Przewiduję, że orzeczenie sądu będzie miało charakter kompromisowy, w którym wprawdzie zdjęta zostanie z nas plama świadomego dążenia do „odwracania sprawy", ale też i tych dwunastu panów nie zostanie merytorycznie potępionych. Z jednej strony, tych dwunastu panów stanowi taką wielkość w Wilnie, że działają hipnotyzująco na sędziów, pozbawiając ich swobody i niezależności w sądzie, z drugiej strony, pierwotne tło tej sprawy, tj. zatarg między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim, jest rozpatrywane zawsze przez jakiś dziwaczny pryzmat uosobienia w ks. Cyraskim polskości i świętości Kościoła. Nie chcę przesądzać faktów zawczasu, ale się boję, że czysta sprawa nasza może być na pół zatopiona w obłudzie pozorów i ratowania powagi zagrożonych „podpór społeczeństwa".
Wieczór spędziłem, jak zwykle, u Anny. Przyszła jej do głowy fantastyczna zachcianka, abym dziś przyszedł do niej we fraku, co też spełniłem. Nigdy się u mojej Anny nie nudzę. Zawsze mamy sobie dużo do opowiadania, gawędzenia, dyskutowania. Anna jest teraz usposobiona wojowniczo do karnawału; widzi w nim, słusznie zresztą, aroganckie rozpanoszenie się próżniaczej arystokracji, której nienawidzi. Podzielam tę jej niechęć, ale lubię czasem się pobawić podrażnieniem Anny, która się wtedy wścieka.

16 (29) stycznia, rok 1913, środa
Dowiedziałem się w sprawie aresztowanych esdeków, że kilku z nich, w tej liczbie i Edwarda Sokołowskiego, postanowiono zesłać administracyjnie na lat 4 do Kraju Narymskiego w Syberii, Domańskiego zaś na lat 3 tamże. Decyzja taka jeszcze nie zapadła, ale taki zapadł wniosek gubernatora, na którego podstawie zostanie zapewne oparta decyzja ministerialna. Esdecy ci zostali aresztowani w okresie jesiennej kampanii wyborczej do Dumy, pod koniec września, zaraz po wystawieniu osobnej kandydatury esdeckiej w Wilnie i odtąd siedzą w więzieniu. Śledztwo, prowadzone przez żandarmerię, nie dostarczyło ścisłych dowodów organizacji partyjnej, wobec czego sprawy sądowej im nie wytoczono, ale natrafiono przy tej okazji na ślady ich działalności w okresie rewolucyjnym i powzięto przekonanie, że należą oni istotnie do S.-D., wobec czego zastosowano do nich zesłanie administracyjne bez sądu. Robią się jeszcze w Petersburgu starania, aby złagodzić wyrok, a przynajmniej uzyskać pozwolenie na wyjazd za granicę zamiast zesłania na Syberię. Władze, stosując obecnie represje do esdeków wileńskich, składają sobie świadectwo co najmniej głupoty zupełnej. Obecnie bowiem tu w Wilnie esdecy nie mają żadnych wpływów i są zupełnie dla rządu i dla państwa nieszkodliwi. W naszym Wilnie, które nie jest miastem wielkoprzemysłowym i proletariackim, wpływy esdeckie są z natury rzeczy nikłe, a po rewolucji jeszcze niklejsze; zwłaszcza zaś teraz, wobec innych prądów, nurtujących nasz kraj w związku z sytuacją międzynarodową, kierunek esdecki nie jest aktualny. Walczyć z nim teraz w Wilnie i stosować doń represje – to nawet ze stanowiska rządowego jest kompletnym nonsensem.
Wczoraj znowu skonfiskowano numer bieżący „Przeglądu Wileńskiego". Nie wiadomo jeszcze, czy za mój artykuł pod tytułem „Gdzie szukać orientacji", czy za artykuł L. Abramowicza, czy za recenzję książki Grabca o r. 1863, czy za coś jeszcze innego. Jest to już druga konfiskata z kolei, bo skonfiskowany został również w czasie świąt ostatni

numer zeszłoroczny tegoż pisma. W „Przeglądzie W." w ostatnich czasach centralne miejsce zajęła sprawa sytuacji międzynarodowej, kwestia niepodległościowa i w ogóle ostra krytyka państwowości rosyjskiej. Widocznie zwrócona już została na to baczna uwaga władz i teraz można się spodziewać ponownych konfiskat, a może i rychłego zamknięcia pisma. Należałoby mieć w pogotowiu zapasową koncesję na wypadek zamknięcia pisma. Koncesji takiej tymczasem nie ma i zresztą niełatwo znaleźć kogoś, który by się zgodził dać swój podpis na urzędowego redaktora pisma, widząc represje, jakie się doń raz po razie stosują.
Na jutro Witold Abramowicz, Krzyżanowski i inni zwołują do lokalu klubu bankowego szersze grono osób spośród sympatyków „Przeglądu" oraz niektórych bardziej lewych – na pogawędkę-naradę w sprawie sytuacji międzynarodowej i wyjaśnienia sobie zasadniczych wskazań orientacji, którą wobec tego należy nam tu zająć. Początkowo była to myśl Bagińskiego o wznowieniu dawnych naszych „czwartków" lewicowych, ale potem Abramowicz i inni nadali temu zebraniu cechę ściślejszą. Listę osób zaproszonych oni też ułożyli; nie zgodzili się wpisać na tę listę Mańkowskiego jako zbyt zbliżonego do Białorusinów, ani tez nikogo z Litwinów, co uważam za błąd kapitalny. Moim zdaniem bowiem, jedną z najważniejszych rzeczy jest właśnie wymiana zdań z Litwinami, ażeby oba główne najbardziej uświadomione odłamy demokratycznej czy „postępowej" opinii krajowej – litewski i polski – zrozumieli się wzajemnie i jeżeli nie zażegnali, to przynajmniej osłabili głęboki konflikt w dążeniu i orientacji politycznej tych dwóch grup. Element polski bowiem, zwłaszcza lepsza, żywsza i szczersza część jego, przejmując się nastrojami powstańczymi, idącymi z Polski, i kierując się przeważnie orientacją austriacką, daje się unosić łatwo zrozumiałemu prądowi uczuciowemu, który ma zawsze charakter bezwzględny i nie licząc się z warunkami miejscowymi i specjalnym układem czynników rozwojowych kraju naszego gotów jest na oślep akceptować czynną akcję polską i przenieść ją żywcem na grunt litewski, utożsamiając mechanicznie Litwę z Polską. Litwini natomiast, którzy rozważają sytuację ze stanowiska krajowego, uznają orientację austriacką za zupełnie niestosowalną dla kraju naszego, widzą, że ewentualnie kwestia zachodzi o przynależności Litwy czy to do Rosji, czy Prus, ale w żadnym razie nie do Austrii, przynależności zaś do Prus przesadnie się boją, a na nastroje powstańcze polskie patrzą nieufnie i niechętnie jako na nowy jaskrawy wyraz zagarnienia przez Polaków Litwy na rzecz Polski. Konflikt, który się w tej postaci zarysowuje, może mieć następstwa tragiczne w razie nastąpienia wypadków przewidywanych.
A tymczasem arystokracja nasza szaleje, bawi się na zabój w karnawale tegorocznym, który dochodzi do wyuzdania. Nie pamiętam drugiego takiego karnawału w Wilnie. Dziś znów jakiś kulig zamiejski. Przed hotelem Żorża kilkadziesiąt dużych sań parokonnych, na kozłach chłopcy z kagańcami. Po obiedzie jazda do Słomianki.

17 (30) stycznia, rok 1913, czwartek
Odbyło się wieczorem nasze zebranie-narada w sprawie tzw. orientacji. Osób było niedużo. Przybyli tylko bracia Ludwik i Witold Abramowiczowie, Krzyżanowski, Klott, dr Boguszewski, inżynier Adolf, Budny, Bagiński, Nagrodzki, dr Jabłonowski, Gulbin i ja. Ludwik Abramowicz ze zwykłą sobie fanfaronadą informował nas o przygotowaniach powstańczych w Galicji, projektach i planach mobilizacyjno-okupacyjnych na wypadek wojny, popisując się zasobem wiadomości z taka pewnością siebie, jak gdyby to chodziło o jego własne osobiste plany. Ostatecznie niewiele nowego usłyszeliśmy, bo o tym wszystkim już wiemy. Sam ton Ludwika jest dla mnie tak wstrętny, że nie mogę go słuchać spokojnie. Wszystko polega u niego na przechwałkach osobistych. Nawet jak mówi o rzeczach poważnych, to ma myśl

zaprzątniętą nie samą rzeczą, o której mówi, ale próżnością osobistą, chęcią popisania się wiadomościami, chęcią zaimponowania. Zdaje się, że ta cecha u Ludwika coraz bardziej się rozrasta. Jest on jak purchawka: nadęty i niby pełny po wierzchu, a wewnątrz pustka, jałowość, nic. Człowiek ten nie myśli, nie pracuje nad sobą, niczego rzetelnie, prócz siebie, nie kocha. Samolub skończony, człowiek strasznie próżny. Ale dość o osobie tego pana. Przejdźmy do rzeczy. W dyskusji, która się wywiązała, zdania bardzo się podzieliły. Dr Boguszewski, Bagiński i ja mieliśmy zdania najbardziej zbliżone do siebie. Ja wypowiadałem się w myśl pilnej potrzeby nawiązania pewnego porozumienia z Litwinami (z postępową mianowicie inteligencją litewską) przynajmniej dla wzajemnego szczerego poinformowania się o aspiracjach i prądach, nurtujących tak nasze, jak litewskie koła, ażeby był między nami pewien kontakt, wiara wzajemna i może nawet pewne upodobnienie się koncepcji naszych, tym bardziej, że i wśród nas samych są prądy bardzo rozmaite. Co do młodzieży, to nie uważam za możliwe stłumienia w niej gorących nastrojów powstańczych, ale za możliwe i potrzebne uważam zwrócenie jej uwagi na sprawy i względy krajowe, ażeby umiała rozróżniać między Polską a Litwą i żeby nie popełniła fatalnego błędu przenoszenia żywcem koncepcji polskich na grunt stosunków krajowych. Młodzież polska, jako cząstka narodu polskiego, nie może traktować obojętnie polskich spraw narodowych; jeżeli się pragnie łączyć z ruchem narodowym zmierzającym do powstania, to może i powinna to robić w postaci niesienia wszelkiej pomocy ruchowi temu, ale nie w postaci bezpośredniego stosowania ruchu tego w kraju, gdzie takie stosowanie wydałoby skutki najfatalniejsze, bo nigdy Litwini nie pogodziliby się z tym, aby utożsamiano Litwę z Polską i za wszelką cenę akcją taką by zwalczali, uważając ją za sprawę obcą, zwróconą przeciwko samodzielności krajowej. Prądy więc powstańcze muszą być skierowane na zewnątrz, w stosunku zaś do kraju należy zachować lojalność obywatelską, nie narzucając mu charakteru polskiego. Klott, Budny i zwłaszcza Adolf przemawiali gorąco za oddziaływaniem na młodzież w kierunku zupełnego tłumienia wszelkich nastrojów powstańczych jako grożących najstraszliwszą klęską. Adolf zalecał przeciwstawianie ideałom powstańczym, które uważa za zgubne, ideałów pracy organicznej, krzewienie oświaty, kultury ekonomicznej i społecznej. W zapale posunął się aż do najostrzejszego potępienia wszelkiej myśli powstańczej, tak w teraźniejszości, jak w przeszłości, przeklinając rok 1863, co wywołało protesty obecnych. Zresztą tłumienie nastrojów uczuciowych u młodzieży, zalecane przez Adolfa i Klotta, jest co najmniej mrzonką. Młodzież czuje gorąco, a nastrój uczuciowy ma zawsze charakter bezwzględny, do którego argumentacja w rodzaju zaleceń pracy organicznej, obliczonej na szeregi lat ciężkiej żmudnej roboty – nie trafi. Nastrój uczuciowy pcha młodzież do poświęceń, do ofiar, do czynów bohaterskich. Stłumić tego niepodobna, a zresztą nastrój taki jest w danej chwili konieczny i ma swoje cechy dodatnie. Trzeba go jeno uchronić od szaleństwa, trzeba go skierować w łożysko właściwych zadań chwili, z uwzględnieniem odrębności warunków krajowych, która wymaga przede wszystkim odpowiedniego porozumienia naszego z Litwinami.

Zresztą nic z dzisiejszego naszego zebrania nie będzie. Zdania i opinie wśród nas samych są bardzo rozbieżne. Oddziaływać na młodzież poszczególni z nas oczywiście mogą i oddziaływają, ale o oddziaływaniu zbiorowym mowy być nie może, gdy jeden ciągnie do lasa, drugi do Sasa, a młodzież ta, na którą by to grono oddziaływać chciało, jest zwarta i spojona jednolitym nastrojem.

Ludwik Abramowicz proponował utworzenie jakiegoś bezprogramowego zawiązku organizacji, która by była gotowa, na wypadek znalezienia się w Wilnie podczas wojny w położeniu bezpańskim, objąć ster miasta w swe ręce. To mrzonka próżna. Ster znaleźć się może li tylko w ręku określonej grupy wyraźnej, mającej czy to program

ścisły, czy organizację realną i już z dawna funkcjonującą, a przede wszystkim grupy mającej mocne oparcie w jakichś masach ludności. Nigdy zrzeszenie *ad hoc* spreparowane, nie mające ustalonych wpływów, programowo niejednolite nie zdobędzie władzy i nie stanie u steru wypadków.

18 (31) stycznia, rok 1913, piątek
Wyjechać dziś musiałem z komornikiem sądowym, p. Sobotkowskim, do gminy rukojńskiej, położonej o wiorst 16 drogi konnej za Wilnem, w sprawie egzekucji należności kilkuset rubli, przysądzonych wiosny ubiegłej od całej rukojńskiej gromady włościańskiej („Рукойнскаго сельскаго общества") na rzecz klientki mojej Błażewiczowej. Sprawa skomplikowana, ciężka i przykra. Treść sprawy taka. W r. 1900 umarła w Rukojniach niejaka staruszka Bojarojciowa, która miała tam dziesięcinę ziemi nadziałowej. Po jej śmierci ziemią tą władała jej synowica Błażewiczowa. Spadkobierców bezpośrednich Bojarojciowa nie miała. Rukojńska gromada włościańska, która udzielała Bojarojciowej zapomóg za życia, licząc na to, że po jej śmierci zagarnie jej ziemię jako bezpańską, a więc przechodzącą z prawa do gromady, wytoczyła akcję sądową do Błażewiczowej, żądając zwrotu ziemi. Sąd ziemię przysądził gromadzie. Błażewiczowa, która nie zdołała wykazać swoich praw spadkowych, ziemię straciła. Ale tu się okazało, że stara Bojarojciowa, chcąc widocznie zabezpieczyą swą synowicę na wypadek odebrania od niej ziemi, wydała jej przed śmiercią weksel na rb. 500. Otóż po odebraniu od niej ziemi Błażewiczowa w r. 1905 wytoczyła akcję sądową z tytułu weksla do całej gromady włościańskiej, która zagarniając spadek bezpański po Bojarojciowej musiała jednocześnie przyjąć na siebie i odpowiedzialność za wszystkie długi spadkowe. Zeszłej wiosny Błażewiczowa otrzymała wyrok na rb. 500 z procentami od r. 1905, co razem z kosztami wynosi obecnie sumę przeszło 700 rb. Oczywiście, że uzyskiwanie całej tej sumy byłoby z krzywdą dla włościan, bo dług ten miał służyć w istocie tylko zabezpieczeniem ziemi, a nigdy wartość tej dziesięciny, nawet włączając poniesione przez Błażewiczową straty, nie mógłby wynosić ani w przybliżeniu 700 rb. Ale sprawa komplikuje się jeszcze przez to, że faktycznie ziemia ta przeszła już dziś na użytek kościoła, więc nie może być zwrócona Błażewiczowej w naturze, a skądinąd przez to korzyść z posiadania tej ziemi ma już nie tylko gromada rukojńska, ale cała parafia, tj. mniej więcej cała gmina, a przez to niesłuszne jest, aby odpowiadała za to li tylko ta jedna gromada. Jechałem więc do Rukojń z zamiarem załagodzenia tej sprawy i znalezienia wyjścia w postaci jakiegoś układu. Mróz był kilkunastostopniowy z ostrym wiatrem północno-wschodnim, gdyśmy jechali z Wilna z komornikiem Sobotkowskim w parokonnych saniach pocztowych. Sobotkowski przez całą drogę bawił mię długą detaliczną opowieścią o całym przebiegu swego życia, zwłaszcza zaś długiej skomplikowanej historii swego pierwszego małżeństwa. Jak zaczął swą opowieść w Wilnie przy wyjeździe z ul. Niemieckiej, tak skończył ją akurat w chwili, gdyśmy wjeżdżali do Rukojń. Pertraktacje z włościanami, naradzanie się etc. zajęło nam dużo czasu. Zdecydowałem się poprosić proboszcza miejscowego, ażeby on się zajął polubownym ułożeniem tej sprawy, wywierając z jednej stron nacisk na Błażewiczową, aby coś z sumy uzyskiwania strąciła, z drugiej zaś pociągając do udziału w jej odescedowaniu resztę parafian poza gromadą rukojńską. Ksiądz był właśnie wyjechał po kolędzie, przeto wypadło nam długo nań czekać. Wreszcie, gdy przyjechał, wieczór spędziliśmy u niego i jemu sprawę te na polubowne układy zleciliśmy. Wobec tego uniknęliśmy przykrej procedury opisywania nieruchomości włościan, którzy niewątpliwie są tu pokrzywdzeni ponad winę swej chciwości poprzedniej. Późnym wieczorem wracaliśmy do Wilna. Noc była mroźna,

gwieździsta. Raz sanie się z nami przewróciły. Sobotkowski zabawiał mię opowieściami o strasznych przygodach. Koło północy zziębnięci wróciliśmy do Wilna.

19 stycznia / 1 lutego, rok 1913, sobota
O niedzoelnek manifestacji młodzieży w kościele św. Katarzyny dowiedziałem się szczegółów następujących. Zainicjowali manifestację przeważnie postępowcy. Młodzież chciała śpiewać w kościele pieśni patriotyczne polskie podczas mszy za poległych w Powstaniu Styczniowym, która się odbyła w dniu 10 stycznia. O tych zamiarach młodzieży dowiedziała się wszakże zawczasu władza kościelna oraz przywódcy endeków. Użyto wszelkich wysiłków, aby młodzież odwrócić od tego zamiaru. Młodzież zresztą nie myślała o urządzeniu manifestacji wbrew starszemu pokoleniu, chciała raczej pozyskać jego aprobatę. Ostatecznie młodzież dała się przekonać i istotnie na mszy za poległych w dniu 10 stycznia żadnych pieśni nie śpiewano. Ale wśród młodzieży rozpoczął się ferment; część była niezadowolona z wdania się władzy kościelnej i przywódców endeckich, inna część natomiast była zdania, że istotnie narażać się na niebezpieczeństwo represji dla samej tylko demonstracji – nie warto. Wśród młodzieży endeckiej przeważało to drugie zdanie. Natomiast grono młodzieży spośród postępowców postanowiło wyrazić protest czynny w drodze odśpiewania pieśni patriotycznych w najbliższą niedzielę. 13 stycznia w niedzielę grono manifestantów, przeważnie z postępowców złożone (acz przyłączył się też do nich, jak się zdaje, młody Węsławski, syn doktora, prezes kółka młodzieży endeckiej), zebrało się w kościele św. Katarzyny, stojąc w zwartej gromadce w pobliżu ambony. Przed samym kazaniem z grona tego rozległ się nagle śpiew chóralny „Boże, coś Polskę". W kościele zapanowała na chwilę panika. Oficerowie, urzędnicy-katolicy, pewna część publiczności zaczęła opuszczać kościół, bądź nie godząc się zasadniczo na demonstrację, bądź się bojąc wkroczenia policji, wojska etc. Wszakże i z publiczności trochę głosów się przyłączyło do śpiewu. Księża, ażeby stłumić manifestację, kazali grać na organach, z czego się wywiązała kakofonia. Ksiądz zaś, który wszedł na ambonę, zaczął donośnym głosem: „W mię Ojca i Syna itd.". Po odśpiewaniu trzech zwrotek gromadka młodzieży się rozpierzchła i śpiew ustał. Gubernator jest o wszystkim poinformowany. Policja spodziewała się już 10 stycznia manifestacji, więc w kościele tak 10 stycznia, jak w niedzielę obecni byli szpiegowie. Podobno gubernator ma wszystkie nazwiska manifestantów, a za przywódców ma wskazanych młodego Niedziałkowskiego, obecnie studenta Uniwersytetu Petersburskiego, przywódcę młodzieży postępowej, i młodego Węsławskiego z gimnazjum Winogradowa, prezesa narodowców. Zdaje się, że kilka osób ze sfer poważniejszych w mieście jeździło do gubernatora dla załagodzenia sprawy. Słychać, że gubernator przesłał odpowiedni raport do Petersburga i teraz wyczekuje odpowiedzi stamtąd, a tymczasem nic nie przedsiębierze. Młodzież jest trochę wzburzona. Oskarża księży i matadorów ugodowo-endeckich ze starszego pokolenia, że ci rzekomo zdecydowani są w razie powtórzenia manifestacji rozkonspirować i wydać władzy całą organizację młodzieży, zwłaszcza postępowej. Ile w tym prawdy – nie wiem, ale wrzenie wśród młodzieży jest i jest wielka nieufność do sfer kierowniczych endeckich ze starszego pokolenia oraz do władzy duchowej.
Zaniepokoiła mię dziś Anna. Znowu kaszle mocniej, a jest wciąż osłabiona, nie ma apetytu, ma bóle w piersiach, jest blada i mizerna. Ma z pewnością bladaczkę, a obawiam się, aby nie miała też początków suchot, choć doktor tego nie znalazł. Powiedziała mi dziś, że przed kilku dniami pluła krwią.

20 stycznia / 2 lutego, rok 1913, niedziela

Prawie cały dzień spędziłem z Anną. Tylko wieczorem na jedną godzinę się z nią rozstałem, od g. 6 ½ do 9 ½, gdym poszedł na odczyt Patka w lokalu Klubu Szlacheckiego. Musiałem wszakże ukryć przed Anną, dokąd idę, bo biedaczka bardzo się martwi, gdy ją w niedzielę porzucam choć na chwilę „dla zabawy" – jak suponuje. Uważa, że mi milsza „zabawa" od pobytu z nią, a jednocześnie też bierze to do serca, że jej ze sobą nie biorę, że się jej rzekomo wstydzę. Udałem więc, że śpieszę wbrew chęci, a z konieczności jeno, na pilne posiedzenie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" do Żmujdzinowiczów.
Coraz bardziej niespokojny jestem o Annę. Co będzie z jej zdrowiem? Kaszel nie ustaje, raczej znowu się teraz zwiększa, jest suchy i ciężki. Gorączki nie ma, ale osłabienie i anemia – wielkie. Anna nie wspomniała, że dziś znowu spostrzegła ślady krwi przy pluciu. Oby to nie były początki suchot. Nie wiem, co przedsięwziąć, a trzeba przecie coś radzić, bo kochana dziewczyna topnieje mi w oczach. Jutro pójdę z nią znowu do doktora. Może potrzebny będzie wyjazd na południe. Jeżeli tak, to zapewne to się da zrobić, bo ma brata w Teodozji w Krymie, u którego mogłaby zamieszkać i znaleźć opiekę. Ciężkie tylko byłoby dla nas obojga to rozstanie, które w każdym razie musiałoby potrwać do kwietnia lub maja. Może obawy te są przedwczesne, ale przecie coś zaradzić trzeba, aby Annie zdrowie przywrócić. Pokoik jej w mieszkaniu o. Tura przy ul. Monastyrskiej jest zimny i wilgotny, co też musi źle wpływać na zdrowie. Sprawa mieszkaniowa jest dla Anny najcięższa, bo o znalezienie dobrego pokoju dla dziewczyny samotnej bardzo trudno.

21 stycznia / 3 lutego, rok 1913, poniedziałek
Niestety, doktor stwierdził dziś niewątpliwie początki suchot u Anny. Wobec tego zalecił jak najprędzej, jeżeli tylko jest możność, wyjazd na południe. Akurat w porę przyszła nam z Anną w tych dniach na myśl możność wyjazdu Anny do Teodozji, gdzie Anna ma brata. Teodozja, położona na południowym brzegu Krymu, ma klimat ciepły i łagodny i dużo słońca, co właśnie będzie dla Anny najwłaściwsze. Nie wiadomo tylko, czy brat Anny zechce ją do siebie przyjąć. Anna nie wątpi, że brat by zechciał, ale nie jest pewna bratowej. Brat ożenił się przeciwko woli rodziny, o czym bratowa, kobieta starsza od męża, wie i może wskutek tego żywić niechęć do rodziny mężowskiej, bojąc się intryg. Ale jeżeli nawet Anna nie będzie mogła zamieszkać u brata, to jednak do Teodozji pojedzie. Mając rb. 50 miesięcznie, Anna jakkolwiek się urządzić potrafi, a co jej zabraknie, to uzupełni z naszych oszczędności skarbonkowych. Od początku grudnia składam oszczędności do osobnej skarbonki, dokąd też i Anna coś czasem dorzuca. Postanowiliśmy z Anną, że połowa plonu skarbonki pójdzie na założenie stałego kapitaliku Anny, drugą zaś połowę przeznaczyliśmy na projektowaną latem podróż do Laponii i co zostanie – na jakieś nadzwyczajne wydatki Anny, jak suknie itp. Teraz ta nasza wymarzona podróż do Laponii upada, natomiast druga połowa oszczędności przyda się nam na pokrycie nadwyżki kosztów pobytu w Teodozji. Doktor zapewnił, że w tym początkowym stadium suchot parę miesięcy pobytu w Krymie może zupełnie zagoić płuca. Anna będzie musiała tylko dużo przesiadywać na słońcu, oddychać świeżym powietrzem, mieć spokój i dobrze się odżywiać. Nie tracę otuchy, choć wyznam, że mi bardzo ciężko i smutno. Kochane to biedactwo jest dla mnie najukochańszą istotą na świecie; dziś już nie mogę sobie wystawić życia bez Anny. Jest ona dla mniej więcej niż kochanką i żoną, jest przyjacielem, jest streszczeniem i uzupełnieniem całej istoty życia mego. Anna się smuci z wyjazdu; gdy pomyśli, że będzie musiała parę miesięcy spędzić beze mnie, to się przeraża pustki, płacze i z góry już tęskni. Wiem, że nie mniej ciężko i mnie będzie bez niej. Słabość Anny nie wpływa bynajmniej na zmniejszenie tętna jej uczuć: przeciwnie – uczucie jej coraz bardziej się

skondensowuje, zyskuje na sile, rugując z jej serca wszelkie inne myśli i przywiązania poza tą jedną miłością do mnie, wreszcie przelewa się w wyraz niezwykle rzewny. Zazdrosna też jest Anna, boi się wszystkiego, co by mię mogło zająć poza nią, a zwłaszcza boi się mojej namiętności do kobiet: teraz już nienawidzi kobiety i ma wstręt do wszystkiego, co tchnie miłostką i lubieżnością, pomimo że sama w stosunku ze mną ma temperament i żądzę gorącą. Postanowiliśmy, że wyjazd Anny nastąpi koło 10 lutego i że ja osobiście ją odprowadzę aż do Teodozji; nie mogę ja bowiem, moją żonkę serdeczną, moją jedyną, chorą i słabą, wypuszczać samą w świat tak daleki bez opieki. Sam ja odwiozę na miejsce, zalokuję, polecę lekarzowi. I oby mi zdrowa wróciła. Z trwogą myślę o przyszłości. Boże, miej litość, miej serce dla nas!
A teraz parę słów w innej materii. Doszła do mej wiadomości rzecz następująca. Władze kościelne obawiały się podobno powtórzenia wczoraj w kościołach manifestacji uczniowskiej, jaka miała miejsce niedzieli ubiegłej. Ostatecznie żadna manifestacja się nie odbyła. Ale w związku z tymi obawami ksiądz w gimnazjum Winogradowa w rozmowie z inspektorem tegoż gimnazjum Kraskowskim wymienił mu mnie z imienia i nazwiska jako rzekomego inspiratora tych demonstracyjnych śpiewów pieśni patriotycznych w kościołach przez młodzież. Jest to nie tylko wiadomość fałszywa, z palca wyssana, ale jest to na domiar akt denuncjacji paskudnej. Dobrze, że jestem z Kraskowskim w bardzo dobrych i bliskich stosunkach osobistych i że jest to człowiek porządny i uczciwy, który z tego nie tylko że użytku nie zrobi, ale jeszcze uważał się za zobowiązanego do uprzedzenia mię o tych wersjach za pośrednictwem Antoniego Łuckiewicza. Ale jeżeli ksiądz mógł taką rzecz komunikować jeszcze, to mógł też ją komunikować dyrektorowi albo jakiemuś inspektorowi innego gimnazjum, który może z tego zrobić użytek wręcz inny. W tych warunkach nie mogę być pewny, że i gubernatorowi nie komunikowano poufnie takich wersji. Jestem szczerze oburzony.

22 stycznia / 4 lutego, rok 1913, wtorek
Pogoda dziś bardzo przykra. Deszcz padał, śniegi topnieją na ulicach, wilgoć i przenikliwy wiatr na dziedzińcu. Byłem niespokojny o Annę. Wiem, że takie powietrze jak dziś najgorzej działa na suchotników. Wzdrygam się cały, gdy nazywam moją kochaną biedną Annę suchotnicą. Nie chce mi się wierzyć, że jest ona dotknięta tą straszną chorobą. Da Bóg, że to minie po pobycie na południu. Ale pod wpływem tej wilgoci i wiatru dzisiejszych – nie mogłem się oprzeć wrażeniu czy też głuchemu przeczuciu jakiegoś nieszczęścia. Zdawało mi się, że z każdą kroplą deszczu, z każdym podmuchem wilgotnego wiatru choroba jak jakiś potwór złośliwy wjada się coraz głębiej w te biedne płuca Anny, rani je i niszczy, przyśpieszając koniec tragiczny. Przesadzałem w obawach, ale uczucie strachu nabierało jakichś cech panicznych, przesądnych. Sam też chory byłem, mocno przeziębiony. Katar w całej pełni i rodzaj influency: odczuwałem łamanie w kościach, ziębienie, wieczorem gorączkę dość dużą. Chociaż Maryńka mi radziła, abym się położył i już dziś wieczorem nie wychodził, jednak wieczorem poszedłem do Anny. I tam się znacznie uspokoiłem, bo się przekonałem, że w stanie zdrowia Anny pogorszenia nie ma. Była tylko Anna w humorze kwaśnym, co jej się teraz często zdarza, bo osłabienie fizyczne wpływa ujemnie na system nerwowy, a stąd i złe humory, kaprysy, łatwość podrażnienia. Anna z natury nie jest wesoła i pusta; jest ona zawsze raczej skupiona w sobie, pełna kontrastów, pełna najrozmaitszych uczuć i myśli, które wciąż trawi i którymi się poważnie przejmuje. Jest to natura tragiczna, głęboka i skupiona. Zdenerwowanie Anny przyczynia się do pozbawienia jej resztek wesołości, robi ją skłonną do kaprysów i nastraja pesymistycznie. W takim właśnie usposobieniu dziś była.

23 stycznia / 5 lutego, rok 1913, środa
Rano napisałem dziś artykulik do „Kuriera Krajowego”, w którym, wyrażając opinię o szkodliwości przymusowego milczenia prasy w sprawach tak poważnych i aktualnych, jak obecne nastroje w związku z oczekiwanymi wypadkami wojennymi, napomknąłem o samej treści tych nastrojów oraz o ewentualnym stanowisku, jakie, zdaniem moim, należałoby wobec nich zająć. Sprawy tej bezpośrednio i jawnie poruszać w prasie nie można, a jest ona przecie tak poważna i tak żywotna, że wysuwa się dziś na czoło wszelkich zagadnień i że obowiązkiem obywatelskim jest wpływać na nadanie jej kierunku jak najlepszego. „Przegląd Wileński”, który próbował ją omawiać, był stale konfiskowany. Można o niej mówić i ją traktować li tylko metodą policyjną, jak to robi Baranowski w „Kurierze Litewskim”, ale taki sposób oddziaływania bynajmniej żadnego wpływu na wypadki i nastroje wywrzeć nie może. Wobec tego musiałem dotknąć przedmiotu tego jeno ubocznie, pod osłoną innej rzekomo treści, mianowicie szkodliwości ograniczeń prasowych.
Moje stanowisko w tej sprawie urobiło się pod wpływem poglądów dr Boguszewskiego i jest takie. Przemawiać do młodzieży mitygująco, tłumić w niej nastroje powstańcze, przeciwstawiać ideałom bojowym ideały pracy organicznej, szerzenia oświaty i kultury wśród ludzi – to to samo, co tłumić pożar argumentacją, co gasić ogień dowodami słownymi. Osobiście wolałbym zapewne, ażeby młodzież polska w naszym kraju przekładała obecnie ideały pracy organicznej nad ideałami powstańczymi, które są niebezpieczne, bo od nastrojów tych do szaleństwa – krok tylko. Ale to niepodobna. Niepodobna nie tylko dlatego, że nastroje te płyną przeważnie ze źródeł uczuciowych, są bezwzględne i maja potęgę żywiołu, ale też dlatego, że są one szlachetne, czyste i w najpiękniejszym, najdoskonalszym stopniu idealistyczne, a przeto dodatnie, szczytne, godne wiary i zapału. Są one wszakże niebezpieczne przez swą bezwzględność właśnie, przez to, że cechą ich, jak cechą wszelkich prądów uczuciowo-żywiołowych, jest nieliczenie się z realnymi warunkami działania, z okolicznościami chwili i miejsca. Niebezpieczeństwo tkwi tak w możności wybuchu jakiejś akcji w ogóle niewczesnej na całym terenie polskim, jak w szczególności w tych zawiłych warunkach układu narodowego w naszym kraju. Tu powstać mogą fatalne i tragiczne konflikty między prądami powstańczymi młodzieży polskiej a świadomością, a przeto i czynem ludności litewskiej, co zaś do masy białoruskiej, to ta wszelki ruch powstańczy polski traktowałaby jako pański, a przeto też byłaby mu przeciwną. Konflikty i starcia mogłyby być przeto tragiczne w łonie społeczeństwa krajowego, a co te prądy i ewentualne ruchy powstańcze mogłyby dać realnego krajowi? Zapewne nic, bo w sytuacji międzynarodowej na tle możliwych powikłań i apetytów mocarstw losy Litwy byłyby obecnie stanowczo inaczej skierowane niż losy Polski. Te przeto nadzieje, które przyświecają Polsce, Litwie dziś bynajmniej nie świecą. Poza tym, większość ludności krajowej, narodowo nie-polskiej, nie chce oddawać kraju w rolę służalczą Polsce i stanowczo by zaprotestowała przeciwko koncepcjom, przeszczepianym tu z Polski żywcem. Stojąc przeto na stanowisku obywatelskim krajowym, nie można akceptować prądów utożsamiających Litwę z Polską i wcielających ją całkowicie w sprawę polską. Tu więc trzeba pogodzić nastroje powstańczo-narodowe naszej młodzieży polskiej z obowiązkami obywateli kraju. Młodzież ta, jako bądź co bądź cząstka żywa narodu polskiego, nie może być obojętna na sprawy polskie, na te wielkie nadzieje, które dla Polski zabłysły (może urojone tylko, niestety). Ale w takim razie nastroje te mogą się wylać li tylko w takie kształty czynne, które będą polegały na organizacji pomocniczej względem ewentualnej akcji w Polsce z zachowaniem lojalności obywatelskiej w stosunku do Litwy i Białej Rusi, to znaczy bez przenoszenia powstania polskiego jako takiego na nasz teren krajowy.

A zresztą może to wszystko – to sen tylko, to pewna psychoza zbiorowa? Wszak sama ta wojna europejska, na której się wszystkie nastroje budują – to wielki znak zapytania. Może cała ta rzecz jest po prostu nierealna. Ale i psychoza jest zjawiskiem konkretnym. A któż zaręczy za skutki, jakie wydać może obecny stan podniecenia, jeżeli potrwa?

24 stycznia / 6 lutego, rok 1913, czwartek
Broniłem dziś w sądzie sprawy karnej niejakiego Majorenko. Sprawa była drobna, sądzona była bez udziału ławy przysięgłej. Oskarżenie polegało na zarzucie przywłaszczenia sobie przez Majorenkę nieprzysługującego mu tytułu urzędniczego, właściwie zaś chodziło o niedoszłą próbę drobnego oszustwa. Cały szereg drobnych spraw karnych z szarego życia codziennego, małych obrazków szarzyzny życiowej przemknął mi przed oczyma jak w kalejdoskopie, gdym siedział czekając na moją kolej obrony. Był tu strażnik ziemski oskarżony o to, że na świadectwie dla biednego włościanina-pogorzelca podpisał nazwisko uradnika (skazany został na wydalenie ze służby), był jakiś szlachcic z ziemian z pow. trockiego oskarżony o to, że w urzędzie pocztowym, spiesząc na pociąg, zniecierpliwiony formalistyką i już nawet szykanami urzędniczków pocztowych, pedantycznie sprawdzających dokumenty tożsamości przy wydaniu mu korespondencji poleconej, nie doczekawszy wydania takowej zawołał wybiegając: „Чертъ вас возьми с вашими письмами", przez co obraził funkcjonariuszów pocztowych podczas pełnienia przez nich czynności służbowych (skazany został na rb. 25 peny), dlaej były dwie młodziutkie, przystojne, ale strasznie obdarte, ciemne i z najniższych szumowin społecznych pochodzące dziewczynki-Żydóweczki, oskarżone o opór czynny i lżenie policji podczas aresztowania przez nią dezertera, brata jednej, a kochanka drugiej dziewczyny (skazane zostały każda na kilka miesięcy więzienia), wreszcie mój Majorenko, który skazany został na rb. 25 sztrafu, co mu zresztą niewiele zaszkodzi, bo kara ta stosowana nie będzie, gdyż obecnie odbywa on właśnie większą karę sześciomiesięcznego więzienia za oszustwo z wyroku Sądu Okręgowego Płockiego.
Wieczorem byłem u Anny, jak co dzień. Anna w humorze dziś dobrym, wesoła, szczebiotliwa, bardzo serdeczna. Humor i stan nerwów o wiele lepszy, ale gorączka od paru dni większa. Natomiast kaszel Anny stał się o wiele łagodniejszy, nie tak suchy, jak poprzednio i bardzo rzadki. Prawie wcale już nie kaszle. Mam nadzieję, że pobyt w Teodozji posłuży Annie znakomicie. Byle teraz stan się nie pogorszył do czasu wyjazdu.

25 stycznia / 7 lutego, rok 1913, piątek
Znowu jestem bardzo niespokojny o Annę: osłabiona jest bardzo, gorączkę ma większą, skłonność do potów i powiada, że ślady krwi przy pluciu są większe. Uskarża się też Anna na zwiększenie się bólu w płucach. Skądinąd wszakże Anna ma wątpliwości, czy doktor się nie pomylił i czy to nie jest jakaś choroba nie w płucach, lecz w żołądku czy kiszkach, bo powiada, że doświadcza wciąż wrażenia, jak żeby się wszystko u niej we wnętrznościach burzyło i przewracało. Postanowiliśmy pójść jeszcze raz się zaradzić do innego doktora; pójdziemy do dr Jabłonowskiego. Zdaje się wszakże, że już wyjazdu Anny do Teodozji w żadnym razie nie zaniechamy. Żałuje tylko, że zmuszeni jeszcze jesteśmy z wyjazdem tym zwlekać, a to dlatego, że ja przed jakimś 7 lutego w żadnym razie opuścić Wilna nie mogę, a chcę koniecznie odprowadzić Annę osobiście. Każdy dzień, który Anna spędza teraz w Wilnie, jak nożem mię tnie po sercu, bo jeżeli istotnie ma ona początki suchot, do czas do siedzenia w Wilnie jest najnieodpowiedniejszy: codziennie mamy słotę, wilgoć, deszczyk, błoto. Pokój tez Anny jest dla zdrowia niedobry: choć jest on wysoko na salce, jednak wilgoć ma wielką; w rogach na ścianach

zewnętrznych całe obicie, od dołu zwłaszcza, pokryte jest na dużej przestrzeni ciemną plamą wilgotnej pleśni. Sądziłem, że będzie lepiej, gdy się dużo palić będzie w pokoju, tymczasem to nie pomaga: w pokoju ciepło, ale parno tak od wilgoci, że aż duszno jak w łaźni; oddychać Annie powietrzem takim nie jest zdrowo.
W naszych sferach „przeglądowych", to znaczy przeważnie Abramowiczowskich, krążą pogłoski o tym, że „Kurier Krajowy" podobno ledwie dyszy i że lada dzień upadnie z braku środków. Nie wiem, o ile jest to prawdą. Że „Kurierowi Kr." ciężko – to pewne, ale sam z rozmów z redaktorem Mańkowskim i z moich obserwacji w redakcji nie zauważyłem, aby się zbliżało do zamknięcia pisma. Owszem, zdaje się, że zapał i dobra wiara nie opuszcza redakcji i zewnętrznie odniosłem wrażenie, że tam myślą raczej o planach na dłuższą metę i o jakichś lepszych urządzeniach, na co muszą być przecie jakieś środki. Świeżo zaś teraz przybył do „Kuriera Kr." nowy współpracownik, ewentualny na przyszłość redaktor – Jabłoński. Podejrzewam, że te wersje o rychłym upadku „Kuriera Krajowego" kolportuje starannie Ludwik Abramowicz z ukrytą chęcią szkodzenia pismu temu i dyskredytowania go. Jest on znakomitym intrygantem i człowiekiem próżnym i mściwym; jego miłość własna została obrażona tym, że przy powstawaniu „Kuriera Krajowego" dano mu tak wyraźnie do zrozumienia, że go na redaktora nie życzą; toteż nienawidzi teraz w głębi serca pismo i mści się. Do intryg zaś ma on zdolności niepospolite, większe, niż do czegoś innego. Żałowałbym „Kur. Kr.", gdyby miał upaść, choć mam mu do zarzucenia zbytnie umiarkowanie, powściągliwość w walce z wrogami demokracji i ludu, graniczącą z pokorą i zrzeczeniem się wszelkiej walki. Ideowy kierunek „Kur. Kr." jest dobry, ale stanowczo za mało wyrazisty, zbyt miękki.
Słyszałem, że na wczorajszym zebraniu grona „przeglądowców", na które nie poszedłem, postanowiono w myśl odwiecznego projektu Abramowiczów zawiązać wreszcie organizację, „bezprogramową", dla pracy kulturalnej. Taką przecie miała być nasza grupa demokratyczna, ale widocznie chodzi o jej przekształcenie i, jak sądzę, zmianę w doborze ludzi.

26 stycznia / 8 lutego, rok 1913, sobota
Dowiedziałem się o śmierci p. Antoniego Weyssenhoffa z Pokrewnia. Jest to jeden z najstarszych wiekiem i jednocześnie najbliższy z sąsiadów-ziemian bohdaniskich. Był rówieśnikiem Papy czy też o parę lat starszy. Safandułą był i nudziarzem, ale człowiekiem dobrym i wykształconym. Cały wiek przesiedział w swoim Pokrewniu, w najbliższym, bo tylko o 4 wiorsty, sąsiedztwie Bohdaniszek. Był u nas częstym gościem, starym znanym i zażyłym sąsiadem, toteż żal mi go jako człowieka, którego znałem od najwcześniejszego dzieciństwa mego. Kiedyś kształcił się na inżyniera wojskowego w Petersburgu, ale za czasów powstania r. 1863 przerwał studia i wrócił do majątku dla objęcia go w posiadanie; w powstaniu nie był i zdaje się, że nigdy żadnej z nim styczności nie miał. Ale już po powstaniu nie wrócił do szkół, pozostał na roli na zawsze. Kiepskim był zresztą rolnikiem, a miał długi i ciężkie interesy. Stetryczał, znudział, był długo starym kawalerem. Ożenił się późno, już za mojej pamięci, mając lat koło 50, z podstarzałą też panną, Kończanką z domu – ciocią Paulinką. Był naszym krewnym dalekim. Pod koniec interesy jego się poprawiły. Majątek jego, Pokrewnie, jest ładny. Ładnie też jest położony sam dwór, nad rzeką Krewną, z młynem. Umarł nie u siebie jednak i prawie nagle. Był z żoną u jej brata Kończy w Łukini w gościnie: uformował mu się tam jakiś wrzód w nodze, z którego widocznie umarł. Ponieważ jest bezdzietny, więc dziedziczyć po nim będą synowie brata jego Władysława – inżynier Jan Weyssenhoff z gub. mohylowskiej i malarz Henryk Weyssenhoff. Biedny stary.

U Anny dziś byłem przed obiadem. Zastałem ją w dobrym humorze, wesołą i, zdaje się, silniejszą i zdrowszą. Drżę ciągle o to jej biedne zdrowie. Każdą prawie razą, co u niej jestem, mam sposobność coraz nowego przekonania się i podziwiania przeczystej szlachetności jej natury. Jest w niej iskra święta ludzkości, którą tak w niej kocham, może nade wszystko, bo ta bardziej od wdzięków fizycznych zdobi ją i złoci.
Wieczorem byłem na posiedzeniu komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winogradowa. Mało się dotąd wprawiłem do spraw tego komitetu. Pierwszy rok dopiero, jak w nim jestem. Choć wybory do komitetu odbyły się we wrześniu, ale zbierać się on zaczął dopiero od ostatnich dni listopada, bo dopiero wtedy nastąpiło zatwierdzenie wyborów przez władze okręgu szkolnego. Na pierwszym posiedzeniu byłem, ale wtedy jeszcze zupełnie nowicjuszem się czułem i tylko się przysłuchiwałem. Potem dwa posiedzenia z konieczności opuściłem, bo raz byłem zajęty czym innym, a drugi raz nie byłem w Wilnie. Wreszcie dziś znowu poszedłem. Omawiane były przeważnie dwie kwestie: kwestia wychowania fizycznego i kwestia pobudzenia młodzieży do czytania. Co do pierwszej kwestii, to w łonie komitetu istnieje komisja specjalna wychowania fizycznego. Członkowie tej komisji dawali sprawozdanie i przedłożyli głównie dwa postulaty: zaangażowanie instruktora-dozorcy specjalnego do kierowania grami młodzieży na placyku gier przy ul. Starochersońskiej, co zostało od razu zaaprobowane jako rzecz pilna i nader pożyteczna, i zreformowanie oraz usystematyzowanie racjonalniejsze nauczania gimnastyki w szkole, co ma być dopiero omówione z władzami szkolnymi. Komisja też ta zaprojektowała zwołanie specjalnego ogólnego zebrania rodziców dla omówienia sprawy wychowania fizycznego, co zostało przez komitet przyjęte. Członek tej komisji dr Kowarski (Żyd), zredagował ładne wezwanie do rodziców w tej materii, które będzie rozesłane jednocześnie z zaproszeniem na ogólne zebranie. Co do podźwignięcia czytelnictwa wśród młodzieży, to tymczasem nic wyraźnego nie zostało uchwalone. Wybrano tylko na początek komisję biblioteczną, do której i ja trafiłem, ale bez dania jej określonych zleceń.

27 stycznia / 9 lutego, rok 1913, niedziela
Dziś niespodzianie Anna mi oświadczyła, że nie pojedzie do Teodozji. Upierała się przy tym postanowieniu i z całą stanowczością twierdziła, że nie pojedzie. Jak tylko czuje się trochę lepiej, to uważa, że nie jest chorą, doktorowi nie wierzy, powiada, że to doktor tylko wymyślił rzekome początki suchot i rzekomą potrzebę jazdy. Wstydzi się rozpieszczania siebie, stawiania na stopie jakiejś wydelikaconej lalkowatej panny, wyjeżdżającej dla poprawy zdrowia na południe. Ledwo mi się udało ją umitygować obietnicą, że zasięgniemy jeszcze w tej mierze zdania innego doktora. Przekonany jestem, że jednak wyjazd do Teodozji będzie w tej porze dla niej zbawienny, nawet jeżeli to nie są jeszcze początki właściwych suchot, sądzę wszakże, że takowe są, bo choć kaszel Anny jest teraz lepszy i osłabienie względnie mniejsze, ale gorączka ciągle, choć nieduża, jest i w ogóle wygląda Anna bardzo mizernie, bardzo anemicznie.
Do obiady chodziliśmy z Anną po mieście, potem byliśmy z nią w redakcji „Naszej Niwy" u Własowa i razem z Własowem – w kawiarni Bronisława.
Wieczór znowu spędziłem u Anny. Anna była niezmiernie serdeczna. Gawędziliśmy, przypominaliśmy sobie i opowiadaliśmy epizody z dziejów naszego dzieciństwa. Dzieciństwo Anny było oczywiście zupełnie inne niż moje. Urodziła się ona w biednej wyrobniczej rodzinie łotewskiej. Rodzice jej mieszkali z początku na wsi. Ojciec, kowal, służył we dworze. Po jakiejś wszakże awanturze znieważył on czynnie swego chlebodawcę-barona, stracił posadę i wyniósł się z rodziną do Libawy, gdzie pracował jako kowal w warsztatach jakichś. Anna w r. 1891 przyszła na świat już w Libawie. Wkrótce ojciec jej zapadł na suchoty i umarł, gdy Anna miała 4 lata. Ciężki był byt tej

rodziny i smutne dzieciństwo Anny. Do lat 7 Anna prawie że nie znała uciech. Gdy matka wychodziła o godz. 6 rano na robotę, zamykała najmłodszą Annę w mieszkaniu składającym się z jednego pokoju. Tam dziecko zostawało przez cały dzień zamknięte. Jedyne okno wychodziło na dziedzińczyk; widać było tylko głuchą ścianę przeciwległą i studnię z pompą pod oknem. W wyobraźni dziecka głąb studni była zaludnioną przez złośliwe swawolne duchy, które lada chwila mogły wyskoczyć stamtąd i rzucić się na biedną małą Annę. Wdrapywała się wtedy na szafkę i wpatrywała się stamtąd przez okno w studnię; siedziała sama w pokoju na szafie, przestraszona, smutna. Czasem krzyczała, płakała – bez skutku. Wieczorem zasypiała czasem na szafie, skąd ją matka po powrocie z pracy ściągała. Gdy już miała lat 7, przestano ją zamykać w pokoju. Wypuszczano ją już wtedy na dziedziniec. Biegała po dziedzińcu i po ulicy, która była na tym ubogim przedmieściu robotniczym niebrukowana, bawiła się w piasku, uganiała z dziećmi z domów sąsiednich. Z natury samolubna, nieposłuszna, dostawała często rózgi, ale gdy egzekucja rózeg miała się odbyć, uciekała, chowała się do matki, biegała naokoło przedmiotów, tupała nóżkami jak chochlik. Rosła jak dzika roślinka polna. Potem już uczyła się w szkółce, a wcześnie już i do pracy stanąć musiała. W tych tak ciężkich warunkach rośnięcia wyrosła jednak z duszą wrażliwą i niezmiernie szlachetną, z głębokim poczuciem sprawiedliwości społecznej, tęsknotą do prawdy i wiedzy. Rozwinęła się w człowieka o prześlicznej i przebogatej naturze psychicznej, jakiej by jej olbrzymia większość ludzi pozazdrościć mogła.

28 stycznia / 10 lutego, rok 1913, poniedziałek
Wizytę Anny u dr Jabłonowskiego odłożyliśmy na jutro, bo się okazało, że Jabłonowskiego chwilowo w Wilnie nie ma. Wieczorem byłem u Żmujdzinowiczów dla spisania bieżących rachunków Lietuvių Dailės Draugijos. Choć urząd, który piastuję w tym towarzystwie, mianowicie urząd kasjera, należy do najmniej przyjemnych, jednak cenię niezmiernie ten mój udział w zarządzie „Dailės Draugijos". Należę do zarządów wielu rozmaitych towarzystw, ale nigdzie bodaj nie doświadczam takiego zadowolenia, jak tutaj. Jest to bowiem instytucja żywa, czynna, której działalność ciągle kipi, która wykonywa pracę realną niezmiernego pożytku dla litewskiego rozwoju narodowego i dla kulturalnego rozwoju kraju. Brać bezpośredni udział w tworzeniu tej pracy, być współczynnikiem roboty, w którą się wierzy i której owoce się widzi – to rozkosz, wynagradzająca znakomicie żmudny nieraz trud pracy. Dwa lata spędziłem w zarządzie „Lietuvių Dailės Draugijos". Pokochałem towarzystwo i jego działalność. Oto teraz w lutym odbędzie się doroczne ogólne zebranie członków i, jak zazwyczaj, doroczne wybory zarządu. Czy zostanę nadal do zarządu wybrany – nie wiem. Wśród niektórych członków towarzystwa, z obozu nacjonalistów, jest niechęć do mnie i do mego udziału w zarządzie – wiem o tym. Nie jest to właściwie niechęć osobista, jeno niechęć do posiadania w zarządzie osobnika, który, choć sprzyja szczerze Litwinom i stoi na stanowisku krajowym, jednak sam właściwie Litwinem z krwi i z kultury narodowej nie jest. Tego przede wszystkim zdania jest redaktor Smetona oraz niektórzy inni z członków towarzystwa. Po zeszłorocznym zajściu z rzeźbą Rymszy („Walka") na wystawie litewskiej ten prąd do puryfikacji litewskiej towarzystwa, w drodze usunięcia z zarządu przynajmniej nie-Litwinów, może teraz wziąć górę. Żałowałbym szczerze, gdybym nie został wybrany, bo i skład kolegów w zarządzie Dailės Draugijos jest wyjątkowo sympatyczny (małżonkowie Żmujdzinowiczowie, adwokat Jan Vileišis i inżynier Stefan Kairys).
Teraz „Lietuvių Dailės Draugija" gotuje się do udziału w marcowej petersburskiej wystawie wiejskiego przemysłu domowego. W wystawie tej eksponenci i eksponaty z całej Rosji mają być reprezentowani podług guberni. Na gubernię wileńską

przedstawicielstwo niejako urzędowe wzięło Wil. Towarzystwo Rolnicze przez swą sekcję przemysłu domowego. Sekcja ta zaproponowała Dailės Draugii wziąć udział w wystawie z prawem wystawienia własnej kolekcji pod urzędową flagą sekcji T-stwa Rolniczego. Dopóki toczyły się w tej materii obrady z sekcją, która nam dawała na zorganizowanie naszych zbiorów 200 rb. z 700-rublowej zapomogi, udzielonej jej na ten cel przez centralny zarząd wystawowy, my w naszym zarządzie uznaliśmy za lepsze spróbować otrzymać bezpośrednie przedstawicielstwo na wystawie, ażeby móc wystąpić pod firmą własną bez żadnego protektoratu nad sobą. Zwróciliśmy się w tym celu wprost do komitetu wystawowego, który zgodził się nas przyjąć w charakterze samodzielnego eksponenta, dając nam osobne miejsce na wystawie płaszczyzną 3 sążni kwadratowych między gubernią wileńską a kowieńską i asygnując nam 300 rb. zapomogi na zorganizowanie własnego działu. Poza tym, zrobiono dla nas wyjątek eksterytorialności gubernialnej, dając nam prawo reprezentowania całej wytwórczości litewskiej w dziedzinie przemysłu domowego wiejskiego z terytorium Litwy etnograficznej. W łonie sekcji Towarzystwa Rolniczego trochę sarkają na „Dailės Draugiję”, że rzekomo wyłamuje się z solidarności krajowej i przenosi udział w wystawie na grunt wyłączności narodowościowej, ale mniejsza o to. „Dailės Draugija” ma już za sobą większą od tej sekcji tradycję organizowania zbiorów twórczości ludowej, przede wszystkim zaś nadaje zbiorom tym wyrazistszą indywidualność narodową. Zamiast terytorialności gubernialnej daje ona pierwiastek wytwórczości etnograficznej, tj. pierwiastek kulturalnie cenniejszy, wyrazistszy, mający w sobie cechę sztuki, stylu. Zbiory eksponatów napływają bardzo licznie, zwłaszcza tkaniny. Kolekcja nasza będzie ciekawa i charakterystyczna. „Dailės Draugija” przez swe coroczne wystawy wileńskie, na których jest stały zawsze dział sztuki ludowej, ma już rutynę gromadzenia zbiorów i ma łatwość w tej mierze, bo ma odpowiednią tradycję i zaufanie w masach. Na wezwanie „D. Dr.” zbiory płyną same, a prócz tego wydelegowaliśmy do rozmaitych miejscowości poszczególnych emisariuszów do kompletowania zbiorów. Przyjemnie spędziłem czas u Żmujdzinowiczów, gdzie prócz gospodarzy i mnie byli jeszcze rzeźbiarz Piotr Rymsza, Augustyn Janulaitis i brat zmarłego artysty Stanisław Čurlanis. Rozmowa była bardzo ciekawa.

29 stycznia / 11 lutego, rok 1913, wtorek
Kotunia Pruszanowska ustanowiła u siebie stałe dnie przyjęć, tzw. żurfiksy, we wtorki. Są to zwykłe na takich żurfiksach towarzyskich herbatki poobiednie z ciastami i owocami. Potem wieczorem podaje się już kolacja, na której zostają goście mniej etykietalni z rodziny i bliższych znajomych. Wybrałem się dziś wreszcie na taki „żurfiks”. Osób było jednak bardzo mało, sami najbliżsi właściwie, którzy też wszyscy, oprócz jednej p. Jundziłłowej, zostali potem na kolacji. Wilno po hucznych początkach karnawału arystokratycznego, który trwał ledwie tydzień czy jakichś dni dziesięć, uspokoiło się i ucichło. Karnawał arystokratyczny ustał całkowicie i Wilno wyludniło się kompletnie z bawiącego się towarzystwa wielkoświatowego. W chwili obecnej całe to towarzystwo przeniosło się do Mińska, gdzie teraz odbywa się szereg zabaw. Wieczorki i bale, które są obecnie w Wilnie, są już całkiem demokratyczne. Bawi się inteligencja miejska, handlowcy, rzemieślnicy, szare tłumy ludności uboższej. Arystokracja znikła bez śladu. Ponieważ zaś Pruszanowscy mają stosunki towarzyskie tylko ze światem „dobrze urodzonych”, a ze sferami właściwej inteligencji miejskiej, nie mówiąc już o niższych, nie mają żadnych znajomości, przeto pusto u nich i martwo, i nudno na wtorkach. Dziś oprócz gospodarzy, to znaczy Kotuni, Ezechiela, Elizki i mniejszych dzieci domowych, byli tylko c. Masia Bohdanowiczowa, Mania Ordzina, p. Świętorzecka (Wolmerówna z domu), p. Jundziłłowa (Dowgiałłówna z domu),

Maryńka Wołodkowiczówna i z mężczyzn ja jeden. Chętnie bym uciekł od tego towarzystwa, ale Ezechiel tak zatrzymywał, że musiałem zostać na kolacji. Każdą razą, co się zetknę z ludźmi z tzw. „towarzystwa”, to znaczy z naszej szlachty ziemiańskiej, doświadczam obrzydzenia na skutek zepsucia i wyrafinowanej perwersji ideowej tej klasy ludzi. Ile tchórzostwa, podłości, kłamstwa i aroganckiej bezczelności w głoszonych przez nich „ideałach” i poglądach! Trzeba ich widzieć „*en famille*”, w ich środowiskach i kółeczkach własnych, gdy mówią otwarcie, gdy się nie potrzebują oglądać na audytorium mas ludowych i udawać filantropów! Z jakim nikczemnym tchórzostwem i brutalnością zarazem mówią o wszelkich ruchach ludowych, o prądach demokratycznych, o usiłowaniach rewolucyjnych r. 1905, nie mówiąc już o socjalistach. Lud dla nich – to bydło, które o tyle tylko zasługuje na jakieś względy, o ile jest posłuszny i korny, nie upomina się o żadne prawa swoje i znosi wszystko dla dobra panów. Boją się tego ludu, nienawidzą wszelkie aspiracje tchnące ideałami praw ludowych, z rozkoszą mieszają z błotem wszystko, co w ogóle wyznaje jakieś ideały inne niż pasożytniczy ideał dominacji szlacheckiej. A stroją się sami natomiast w płaszcz rzekomego patriotyzmu i bohaterstwa, głosząc skrajny antysemityzm i bojkot Żydów jako rzekomych wyzyskiwaczy nieszczęsnego ludu. Jeżeli wyzyskuje Żyd-sklepikarz, to wyzyskuje dla nędznego kawałka śledzia, podczas gdy panowie, pędzący żywot pasożytniczy, na wyzysku opierają cały swój byt próżniaczy. Przy kolacji, po koniaku z kawiorem, zajadając tłustego indyka, rozprawiają na temat bojkotu biednych nędznych sklepikarzy-Żydów – dla rzekomej obrony ludu! „*Medice, cure te ipsum!*”. Od imienia Ludu, wara ci, próżniaku! Lud obronę swą zacznie od wyplenienia pasożytów, krzyczących jak najgłośniej on swej dla niego miłości. Trzeba zanotować, że najwięksi pasożyci u nas największy podnoszą rwetes przeciwko Żydom i stają się natchnionymi apostołami bojkotu. Dlaczego? Dlatego, że zależy im najbardziej na odwróceniu uwagi i gniewu mas wyzyskiwanych i pracujących – od siebie. Elementy czynne i twórcze spośród tegoż ziemiaństwa są o wiele umiarkowańsze w tej sprawie od elementów próżniaczych w rodzaju Pruszanowskiego. Dumny jestem, że nasz lud litewski już przejrzał i zna już swego najwłaściwszego wroga i oszukać się nie da, ale lud białoruski, a zwłaszcza najciemniejszy – wileński, ogłupiony przez księży, nic jeszcze rozeznać nie zdoła. Antysemityzm szlachecko-klerykalny u nas ma inne, paskudniejsze cechy od obecnego antysemityzmu mieszczańskiego w Królestwie. Tam podstawą jest konkurencja ekonomiczna wzrastającego i bądź co bądź pracowitego mieszczaństwa, tu – obłuda i podła intrygancka perwersja łotrowskiego pasożytnictwa.

30 stycznia / 12 lutego, rok 1913, środa
Przyszła wiadomość, że nocy dzisiejszej umarła śp. stara p. Justynowa Rosenowa z Gaczan. Staruszka miała już lat przeszło 80 i od lat dziesięciu czy więcej była schorowana, tak że wyglądała ledwo na cień człowieka, ale jakoś ciągnęła bez końca i przeżyła o lat kilka męża. Była to, zdaje się, najstarsza z wieku osoba spośród ziemian sąsiedztwa bohdaniskiego.
Dziś po obiedzie zebraliśmy się u Krzyżanowskiego dla narady w sprawie sądu honorowego z dwunastoma potentatami. Sąd ten ma się odbyć w sobotę. Zebraliśmy się wszyscy pięciu, stanowiący w komplecie stronę pozywającą, to znaczy Jan Piłsudski, Janulaitis, Mańkowski, Ślażewicz i ja wraz z arbitrami naszymi – Krzyżanowskim i Władysławem Malinowskim. Odczytaliśmy wspólnie, komentując szczegółowo, wszystkie dokumenty dotyczące sprawy, to znaczy protokoły posiedzeń arbitrów w sprawie niedoszłego sądu między ks. Cyraskim a Donatem Malinowskim, jednostronne oświadczenie arbitrów ks. Cyraskiego, „uchwałę” owych dwunastu pozwanych przez nas panów, artykuł Hłaski w „Kurierze Litewskim”, nasze oświadczenie zbiorowe,

opublikowane w odpowiedzi na „uchwałę” dwunastu panów, wreszcie akt pozwu. Omówiliśmy wszystko szczegółowo i doszliśmy do wniosku, że jednak sprawa nasza stoi dość mocno i że niepodobna, aby wyrok sądu honorowego nie dała nam satysfakcji. My z Janulaitisem od dawna już myślimy o tym, że nie dość będzie sądu honorowego z dwunastoma panami i że wypadnie jeszcze zareagować w jakikolwiek sposób na jednostronne oświadczenie b. arbitrów ks. Cyraskiego, które zostało opublikowane jednocześnie z uchwałą owych dwunastu panów, a które mieści w sobie twierdzenia nie mniej obrażające nas od twierdzeń uchwały, paskudne i wręcz niezgodne z urzędowymi protokołami wspólnych posiedzeń arbitrów. Nie wiedzieliśmy tylko, w jaki sposób zareagować nam wypadnie, bo pozwanie tych b. arbitrów Cyraskiego przed sąd honorowy mogłoby być już spóźnione. Aż oto Władysław Malinowski dał nam dziś projekt znakomity, ażebyśmy, mając moralne poparcie w wyroku sądu honorowego z dwunastoma panami, wystosowali po prostu list otwarty do owych b. arbitrów ks. Cyraskiego zarzucając im kłamstwo, obłudę i insynuację i ostro ich piętnując. To będzie istotnie najlepsze. Wszystko jednak będzie zależało od treści sobotniego wyroku sądu honorowego. Obawiam się, że wyrok ten będzie zbyt kompromisowy, zbyt łagodzący winę owych dwunastu panów.

31 stycznia / 13 lutego, rok 1913, czwartek
Wyjazd Anny do Teodozji zdecydowany ostatecznie, Nie poszliśmy już z nią wcale do żadnego innego doktora, bo pożałowaliśmy pieniędzy. Nic bowiem nowego nie dowiedzielibyśmy się, a czy początki suchot już są istotnie czy też ich nie ma – to w każdym razie wyjazd do Teodozji jest wskazany. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Anna jest bardzo osłabiona, wymizerowana i musi mieć bladaczkę. Wypoczynek, spokój zupełny przez parę miesięcy, klimat łagodny, ciepły, dużo słońca – wszystko to może jeno dodatnio oddziałać na ogólny stan zdrowia Anny, a jeżeli są przy tym suchoty, to pobyt w Krymie będzie tym bardziej skuteczny. W każdym więc razie kuracja ta będzie dobra. Poza tym, bardzo ważnym względem jest ten, żeby Anna przez czas jakiś wstrzymała się zupełnie od pożycia małżeńskiego i dlatego potrzebne jest oddalenie jej czasowe ode mnie. A skoro ma wyjechać, to już lepiej, aby wyjechała do Krymu niż gdzie indziej, zwłaszcza że już ten projekt jest ułożony i zapewniony.
Ale im bardziej się zbliża termin naszego rozstania, tym nam smutniej. Ja chwilami, gdy pomyślę, że przez dwa długie miesiące pozostanę bez Anny, doświadczam już z góry ostrych napadów tęsknoty i wrażenia pustki. Anna z ciężkim sercem myśli o tym oddaleniu i samotności, które ją tam czekają. Jest dla mnie taka serdeczna, tak tkliwa, jak tylko kobieta kochająca i to kobieta z taką duszą głęboką i wrażliwą, jak ona, być umie. Pod wpływem tych nastrojów tęsknoty i smutku z rychłego rozstania dusza Anny wydaje z siebie taką potężną moc miłości, taki zasób uczuciowości, że doprawdy czar jakiś i urok przemocny tryska pełnią z każdego słowa, każdego wyrazu jej twarzy, spojrzenia i ruchu i pochłania mię w przedziwnej atmosferze jakiejś nadludzkiej po prostu siły uduchowienia. Słowami mowy ludzkiej oddać tych wrażeń i nastrojów, tej ekspresji ducha – niepodobna.
Otworzyliśmy dziś z Anną skarbonkę naszą, do której od początku grudnia zaczęliśmy składać oszczędności moje. Dziś do skarbonki tej dorzuciłem grubą sumę 100 rubli na konto tych 900 rb., które mam jutro na rzecz honorarium mego otrzymać z wypłaty za las od Morgensterna. Po obliczeniu zawartości skarbonki (włącznie z tymi 100 rb.) suma oszczędności okazała się w kwocie 160 rb. 92 kop. Z tego połowa przeznaczona jest na założenie fundusiku zapasowego nietykalnego, który ma być naszą wspólną z Anną własnością i ma być ulokowany w Banku Handlowym na imię Anny. Słabe to są oczywiście początki, ale zawsze stopniowo coś się przecie uzbiera, a procenty od tej

sumki będą szły na utrzymanie Anny, co mi z czasem ulży w wypłacaniu jej pensji. Druga zaś połowa oszczędności będzie szła na wydatki nieprzewidziane, jak np. obecnie koszty podróży mojej i Anny do Teodozji.
Wieczorem byłem na zebraniu zarządu Lietuvių Dailės Draugijos u Żmujdzinowiczów. Praca towarzystwa rozwija się stale. Jest ciągły ruch, ciągle pomysły nowe, które się wcielają w czyn. Oto po wydaniu w r. 1912 pięknego albumu krzyżów litewskich, stanowiącego wybitny przyczynek w naszym krajowym dorobku artystycznym, teraz jest w toku sprawa wydania książki o Čurlanisie z reprodukcjami dzieł jego. Jednocześnie towarzystwo organizuje zbiory na petersburską wystawę ludowego przemysłu domowego, organizuje, jak zwykle, swoją własną wystawę doroczną w Wilnie. W ostatnich czasach utworzyła się przy towarzystwie sekcja specjalna imienia Čurlanisa dla zajęcia się planowego spuścizną artystyczną po zmarłym i w szczególności dla uporządkowania i wydania jego utworów muzycznych. Wreszcie teraz powstał nowy projekt wydania przez towarzystwo albumu motywów litewskiego zdobnictwa ludowego – rzecz pierwszorzędnej wagi kulruralno-artystycznej.

1 (14) lutego, rok 1913, piątek
Wieczorem przyjechała dziś do Wilna Mama. Jakaż różnica między zdrowiem Mamy obecnym a zdrowiem zimy zeszłorocznej. Wtedy przyjeżdżała Mama znerwowana, schorowana, w stanie umysłu graniczącym omal z obłędem manii na gruncie jakichś przeczuć klęsk materialnych itp. Poza tym, zapadła Mama na ciężką chorobę fizyczną całego organizmu, mającą źródło w sercu. Połączenie choroby fizycznej z fatalnym stanem nerwów sprawiało, żeśmy się już obawiali śmierci Mamy. Mama biedaczka była już w stanie ruiny. Teraz natomiast ma się wcale dobrze, tak fizycznie, jak nerwowo. Po prostu po chorobie zeszłorocznej odrodziła się jak feniks z popiołów. Właściwa geneza choroby Mamy zeszłorocznej mieściła się w obawach z powodu niedochodzenia do skutku działu spadku po śp. Babuni Tukałłowej. Dokonanie działu tego i udostępnienie przeto dla Mamy ciągnięcia grubych zysków ze sprzedaży lasu – uzdrowiło ją radykalniej i lepiej od wszelkich środków leczniczych. Mam przyjechała ze służącą Ewką, odprowadzona do Wilna przez lokaja Kazimierza. Do Wilna ciągną Mamę wręcz inne względy niż Papę. Papa już teraz co miesiąc regularnie wpada do Wilna, aby się zabawić, użyć życia towarzyskiego i rozrywek, których pozbawiony jest w samotności bohdaniskiej. W Wilnie lata po mieście od świtu do nocy jak młodzieniaszek, odwiedza setki znajomych i krewnych, co wieczór jest w teatrze. Nagada się przy tym co niemiara, nikomu do słowa dojść nie da, wyleje w słowach wszystko, co ma na sercu, wszystkir troski, żale i skargi na dzieci, wszystkie wrażenia, spostrzeżenia i domysły, namęczy się, nabawi i znów wraca zadowolony, ale i znerwowany, zmęczony na wieś, ażeby utonąć na miesiąc w ciszy i samotności, w dreptaniu gderackim po domu i w ulubionym spędzaniu długich godzin rannych w lesie na dokonywaniu detalicznych sprzedaży leśnych włościanom. Mamę natomiast ciągnie do Wilna przede wszystkim obecność moja. Kocha mię Mama niepospolicie i za największe szczęście poczytuje być przy mnie, czuć mię blisko przy sobie. Tu wysiaduje miesiącami nie ruszając się z domu, cichutko, lubiąc jeno odwiedziny sióstr swoich lub rozmaitych starych kumoszek, od których zbiera skwapliwie wszystkie nowiny, sensacyjne ploteczki i nieraz złośliwą obmowę. Wtedy się Mama rozkoszuje i niczego więcej do szczęścia nie pragnie, chyba tylko zaspokojenia poza tym swego łakomstwa. Teraz za wielkie bohaterstwo uważa Mama, że dotrwała w Bohdaniszkach aż do lutego, a obecnie nie ruszy się już stąd do wiosny.
Jutro mieć będziemy nasz sąd honorowy z dwunastoma panami. Pomimo że sprawa jest ciężka i ma dla nas wagę pierwszorzędną, a bardzo jest skomplikowana i trudna do

osiągnięcia takiego rezultatu, jaki jest dla nas pożądany i zdaniem moim słuszny, jednak jestem spokojny. Spokój ten czerpię w pewnym osobistym nastroju religijnym. Rzadko poruszam w myślach moich zagadnienia religijne, a jednak nie są mi one obce bynajmniej. Istotnie, byt Boga jest dla mnie zagadką. Tajemnicą jest cała głąb tych zagadnień Bytu i Boga, ale tajemnicą myśli metafizycznej i wiary, do której wara racjonalistycznej metodzie myślenia intelektualnego, Owóż jakkolwiek bądź, ale z tym ideałem prawdy i sprawiedliwości, który istnieje w mojej świadomości metafizycznej, jestem w tej sprawie jutrzejszej w zgodzie. Czy Bóg jest jako siła żywa i czynna ideału – dla mnie jest tajemnicą. Ale Boga srogiego i karzącego, Boga formuły prawnej, a tym bardziej opinii zdawkowej przeciętnej – nie ma i być nie może. Nie boję się więc i nie chcę znać Boga dewotek i faryzeuszów naszych, karzącego za niespełnianie obrzędów i wymagającego zgodności z prawdą formalną. Bóg jest albo jako siła pierwotwórcza ilości, a w takim razie wszelka władza jest mechaniczna, albo, jeżeli jest jako czynny i żywy ideał prawdy i sprawiedliwości w skojarzeniu jakości z ilością, to jestem w sprawie jutrzejszej z sercem czystym i otwartym, bo mam przeciw sobie obłudę i występek.

2 (15) lutego, rok 1913, sobota
Dziś wielki dzień sądu honorowego w głośnej sprawie naszej, tj. nas pięciu b. arbitrów Donata Malinowskiego z dwunastu panami, którzy ogłosili w „Kurierze Litewskim" i „Gazecie Codziennej" komunikat pod tytułem „Uchwała grona obywateli" zawierający fałszywe i obraźliwe dla nas twierdzenia o naszej roli jako arbitrów w niedoszłym sądzie honorowym. O godz. 7 wieczorem w wielkiej sali dyrekcji w lokalu Banku Ziemskiego zasiadł sąd w osobach superarbitra Aleksandra Lednickiego i arbitrów ze strony naszej, tj. pozywającej – Bronisława Krzyżanowskiego i Władysłąwa Malinowskiego, i ze strony pozwanej – Aleksandra Meysztowicza i Ignacego Witkiewicza. Ze stron obecni byli na sądzie: z naszej strony Augustyn Janulaitis, Józef Mańkowski, Michał Ślażewicz i ja (Piłsudski nie przyszedł ze względu na chorobę żony), ze strony zaś dwunastu panów wybranie przez nich przedstawiciele z ich łona pp. Tadeusz Dembowski, Maksymilian Maliński, ks. Józef Songin i Adolf Zmaczyński. Z naszej strony do referowania sprawy byłem wyznaczony przede wszystkim ja i dodatkowo Mańkowski. Gdy przyszło do referowania, to znaczy do uzasadnienia oskarżenia, jakie wobec sądu zgłaszamy względem tych dwunastu panów, zabrałem głos, ale choć byłem dobrze z góry przygotowany i miałem w głowie cały arsenał argumentacji, jednak brakło mi animuszu, podniecenie, a przeto i sprężystości w procesie myślenia i wykładu. Atmosfera sądu była jeszcze nudna, blada i ospała, toteż nudne, blade i rozwlekle wodniste było moje pierwsze przemówienie. Zainteresowania nie obudziłem, a przeto i wrażenia korzystnego nie wywołałem. Wypowiedziałem właściwie wszystko, ale tak, że w umysłach sędziów argumentacji mojej wyżłobić nie zdołałem. Po mnie przemówił Mańkowski – też blado, rozwlekle i nieinteresująco. Potem nastąpiło odczytywanie dokumentów, a więc autentycznych protokołów posiedzeń niedoszłego sądu między Donatem Malinowskim a ks. Cyraskim, dalej jednostronnego orzeczenia b. arbitrów ks. Cyraskiego w opublikowanym ich liście do mocodawcy swego, dalej artykułu Hłaski w „Kurierze Litewskim", dalej artykułu D. Malinowskiego z „Viltis", dalej sławetnej inkryminowanej „uchwały grona obywateli". wreszcie naszego oświadczenia zbiorowego w pismach. W toku tego atmosfera się znacznie ożywiła. Gdy zaś potem zabrał głos Maliński, który był generalnym mówcą strony pozwanej, nastrój żywego starcia ogarnął zebranych. Zbudziły się we mnie fantazja, werwa, lotność myśli. W replice mojej na mowę Malińskiego argumentacja trysnęła całą siłą logiki i przekonania z całą jędrnością wymowy i miary, ścisłością

określeń i twierdzeń. Replika ta udała mi się znakomicie, trafiła w samo sedno rzeczy, zainteresowała i wywarła wrażenie dodatnie na sędziach. Mańkowski, który znów przemawiał po mnie, mówił znowu blado i rozwlekle, a co gorsza – powiedział nieopatrznie kilka rzeczy niepotrzebnych, mogących jeno zaszkodzić naszemu stanowisku. Mówił znowu potem Maliński, znowu replikowałem mu udatnie i z werwą ja, przemawiał trochę, acz nie bardzo do rzeczy, Dembowski, odezwał się i Janulaitis. Przemówienia moje w obu replikach, zwłaszcza pierwszej, były niespodziewanie udatne i wyraziste – należą do najlepszych przemówień moich, jakie kiedykolwiek miałem. Maliński w przemówieniach swoich nastawał na słuszności i zasadności twierdzeń o odwracaniu przez nas sprawy na niedoszłym sądzie między D. Malinowskim a ks. Cyraskim, to znaczy potwierdzał całkowicie wszystko to, co w „uchwale grona obywateli" było skierowane do nas. Przy tym, chcąc zyskać przewagę moralną nad nami i licząc na efekt wymowy, naplótł sporo rzeczy nastroju lirycznego na temat pokrzywdzenia ks. Cyraskiego przez obmowę D. Malinowskiego oraz cnotliwego obowiązku obywatelskiego, jaki kierował rzekomo tymi dwunastu panami, występującymi w swej „uchwale" do walki z praktykami zniesławiania czci ludzi, napastowanych przez swych przeciwników politycznych. Rozwodził się o tym, choć to najmniej do rzeczy należy, bo o to właśnie chodzi, że my w niedoszłym sądzie honorowym działaliśmy nie w charakterze rzeczników obrony Donata Malinowskiego i jego twierdzeń, jeno w charakterze sędziów, arbitrów, to znaczy tych, którzy mają obiektywnie istotę zatargu zbadać i wydać orzeczenie. Że zaś ten sąd do skutku nie doszedł, to wynikło z przyczyny nie dającej się usunąć różnicy mandatów, to znaczy obiektu sądzenia między nami a arbitrami ks. Cyraskiego, podczas gdy „uchwała grona obywateli" robi nas wspólnikami D. Malinowskiego w jego zarzutach, skierowanych do ks. Cyraskiego, i winę za niedojście do skutku sądu składa na rzekome „odwracanie" przez nas sprawy. Najzaradniejszy w przemówieniu Malińskiego był patetycznie wypowiedziany zarzut, że właściwość nam tendencji inkwizycyjnych potwierdza się tym, żeśmy oto obecnie pociągnęli tych dwunastu panów przed sąd honorowy za swobodnie i jawnie wypowiedzianą przez nich opinię, w których dali jeno ocenę pewnego zjawiska życia publicznego; jest to, zdaniem Malińskiego, zamach na obywatelską swobodę wygłaszania opinii; tu dodał on, że z pewnością, gdybyśmy żyli w czasach średniowiecznych, zechcielibyśmy, wzorem inkwizycji, powlec na stos tych panów, ale że szczęśliwie żyjemy w czasach innych, czasach swobody i jawności opinii. Jakże brzmią dziwacznie te słowa swobody w takich ustach! Oni – w większości swej hołdownicy obłudy, a on, Maliński, karierowicz typowy wyrafinowany, człowiek żadnej wiary i żadnego znaku, spośród obłudników obłudnik i faryzeusz największy. Oni – zawodowi przysięgli gasiciele jasności i światła, ćmy nocne obłudnej opinii, płazy uprawiające geszefty i afery własne w bezkarności wartej kliki! Takimi są oni wszyscy prawie w mniejszym lub większym stopniu, a w razie potrzeby stroją się w płaszcz frazesu ideałów swobody! Odpowiadając Malińskiemu, odpowiedziałem w szczególności i na jego frazesowe, „wolnościowe" argumenty. Zwróciłem uwagę jego, że nikt z nas o etosie dla nich nie myśli. Swobody ich opinii nie tamujemy i nie zaprzeczamy im prawa wypowiadania takowej. Ale swoboda ta i jawność nakłada obowiązek odpowiedzialności również jawnej za twierdzenia zawarte w głoszonej opinii. Nie domagamy się zresztą takiej lub innej opinii tych panów o nas. Mamy też i my opinię własną o każdym z nich, jak wolno mieć i dawać im o nas taką, jaką się podoba. Ale jeżeli w głoszonej „opinii" swej przypisują nam oni czyny, których nie popełniliśmy i które uwłaczają czci naszej, to muszą za to odpowiadać przed nami. O północy obrady zostały zakończone i sędziowie zostali sami dla narady nad wyrokiem. Ogłoszenie wyroku odłożono na jutro. Przed naradą nad wyrokiem Lednicki

proponował nam pojednanie na tej zasadzie, że ci panowie stwierdzili, iż nie mieli zamiaru nas obrażać osobiście. My wszakże zażądaliśmy, aby stwierdzili oni prócz tego, że odwracania sprawy z naszej strony nie było, czego wszakże oni stwierdzić odmówili. Wobec tego wyrok jest nieunikniony.

3 (16) lutego, rok 1913, niedziela
Dziś zapadł wyrok sądu honorowego. Wczoraj w toku rozpraw z pytań, które zadawali sędziowie, zwłaszcza zaś superarbiter Lednicki, widoczna była myśl przewodnia jego, że zatarg ten jest wynikiem nieporozumienia. W myśl tej interpretacji Lednickiego należałoby tak rzecz rozumieć, że z naszej strony jako arbitrów Donata Malinowskiego w niedoszłym sądzie z ks. Cyraskim nie było odwracania sprawy, jak twierdziła „uchwała grona obywateli"; były natomiast pewne błędy formalne, jak np. niepotrzebny dopisek w protokole, zamieszczony po postanowieniu o rozwiązaniu sądu o tym, że moglibyśmy wziąć udział w sądzie na zasadzie pierwotnego mandatu naszego i bez ponownego porozumienia się z Malinowskim; że te błędy nasze, acz merytorycznie stanowiska naszego nie zmieniały, jednak mogły dać pozór dla takiego komentowania naszej intencji, jakie się mieści w „uchwale grona obywateli"; że więc tych dwunastu panów, aczkolwiek popełniło pomyłkę i niesłusznie pomówiło nas o chęć odwracania sprawy, jednak oszczerstwa nie popełniło. Taką była widoczna myśl przewodnia Lednickiego, toteż spodziewałem się wyroku w tym guście. Arbiter strony przeciwnej, Meysztowicz, też widocznie w tym kierunku zwracał interpretację sprawy, mocniej jednak akcentując błędy formalne stanowiska naszego jako podstawę logiczną dla inkryminowanych twierdzeń dwunastu panów.
Ułożenie wyroku trwało bardzo długo. Toczyła się walka gorąca między arbitrami naszymi a strony przeciwnej oraz Lednickim, który na ogół prowadził sprawę bezstronnie i kierował do umiarkowanego kompromisu. Sąd się naradzał wczoraj od północy do godz. 3 i dziś od godz. 11 ½ rano do godz. 3 po południu. Koło godz. 3 wyrok został ogłoszony. Wyrok długi; rezolucja właściwie poprzedzona jest obszerną motywacją. Motywy układają się w następującą argumentację: w spełnianiu przez nas czynności arbitrów w niedoszłym sądzie honorowym były istotnie pewne niedokładności; niedokładności te wyraziły się mianowicie w tym, że nie określiliśmy kompetencji sądu w formie pisemnej i że mandat ustny odbieraliśmy od Donata Malinowskiego każdy z osobna, co spowodowało niejawność stanowiska naszego i konieczność dla nas ponownego porozumienia się z mocodawcą, za czym poszło wobec niemożności porozumienia się zerwanie sądu, i że okoliczność ta stawiała stronę przeciwną, ks. Cyraskiego, w trudnej sytuacji; niedokładność ta była wszakże li tylko natury formalnej (nieuwzględnienie formy niezbędnej); drugą niedokładnością było niepotrzebne wpisanie do protokołu, już po stwierdzeniu wespół z arbitrami ks. Cyraskiego nieuniknionego rozwiązania sądu wobec różnicy mandatów – tego, że w zakresie naszego mandatu moglibyśmy brać udział w sądzie i bez ponownego porozumienia z mocodawcą. Dwie więc uznane zostały niedokładności w naszym postępowaniu: jedna określona została jako nieuwzględnienie niezbędnej formy, druga – jako rzecz niepotrzebna. Dalej wyrok stwierdza, że to mogło rzucić „niesłuszne" oświetlenie na nasze cele i zamiary, ale że wobec oświadczeń naszych na sądzie obecnym i po merytorycznym zbadaniu sprawy „nie może być mowy" o tym, ażebyśmy identyfikowali siebie z Malinowskim i że natomiast należy stwierdzić, że działaliśmy nie w charakterze rzeczników obrony D. Malinowskiego, lecz w charakterze sędziów w całym znaczeniu słowa. Z tego więc całego okresu argumentacji daje się wysnuć twierdzenie takie, że chociaż w postępowaniu naszym [występowały] niedokładności natury formalnej, to jednak nie wpływały one i nie zmieniały merytorycznie charakteru

naszego stanowiska sędziów-arbitrów – to grunt. Dalej wyrok stwierdza, że inkryminowane przez nas dwunastu panom ich twierdzenia, zawarte w „uchwale grona obywateli", dawały powód do posądzenia nas o ukryte cele i zamiary zerwania sądu między D. M. a ks. Cyraskim i niedopuszczenia takowego wyłącznie w interesie i na korzyść naszego mocodawcy. A więc obraźliwe dla nas posądzenia, które po zbadaniu sprawy przez obecny sąd honorowy okazały się niezgodnymi z istotną intencją naszą i z obiektywnym przebiegiem sprawy, miały rzeczywiście punkt oparcia w twierdzeniach „uchwały grona obywateli". Dalej wyrok stwierdza, że, aczkolwiek były powyższe niedokładności w naszym postępowaniu, które mogły niesłusznie oświetlić nasze intencje, jednak do tego rodzaju posądzeń, jakie się dają wysnuć z „uchwały grona obywateli", niedokładności te „nie upoważniały", tym bardziej, że w protokołach niedoszłego sądu, podpisanych bez zastrzeżeń przez arbitrów obu stron, wskazana została wyraźnie przyczyna niedojścia do skutku sądu, mianowicie – nie dająca się ustalić kompetencja sędziów obu stron, nie zaś nasza zła wola. Taka jest motywacja wyroku. To znaczy: niedokładności z naszej strony były, ale natury formalnej i takie, które nie spaczyły naszego obiektywnego stanowiska sędziów; niedokładności te nie upoważniały w żadnym razie do wniosków, które dają się wysnuć z „uchwały grona obywateli". Przez to samo już zostały potępione twierdzenia „uchwały" tych dwunastu panów jako bezpodstawne i nie wiążące się logicznie nawet z niedokładnościami, popełnionymi przez nas. A jednak oszczerczymi twierdzenia te uznane nie zostały, bo w motywach wpisany jeszcze punkt ostatni o tym, że dwunastu panami nie kierowała zła wola ani subiektywna chęć obrażenia nas (co nas zresztą bardzo mało obchodzi).
Po tej motywacji, którą tu analitycznie streściłem, następuje właściwa rezolucja, sformułowana w brzmieniu następującym: „Sąd uchwala: 1) uznać, że sprawa niniejsza wynikła, z jednej strony, na skutek niedokładności w postępowaniu pozywających jako byłych arbitrów p. D. Malinowskiego, a z drugiej, przez <u>niezgodną</u> z ich istotną intencją i <u>z wyjaśnionym</u> na sądzie <u>przebiegiem sprawy interpretacją</u> tego postępowania" (dalsze punkty rezolucji merytorycznie sprawy nie dotyczą; w rezolucji tej podkreśliłem te miejsca, które mają dla nas znaczenie zasadnicze i dają nam satysfakcję). Redakcja rezolucji jest kompromisowa i traktuje rzecz ze stanowiska nieporozumienia, ale w istocie rzeczy wyrok wyklucza nieporozumienie, skoro uznano, że interpretacja naszego postępowania w „uchwale grona obywateli" jest niezgodna z przebiegiem sprawy, tym bardziej, że w motywach wyroku wykazane zostało, że niedokładności nasze nie uprawniały do takiej interpretacji. Z tych względów wyrok dzisiejszy mnie zadowala. Kompromisowym jest raczej jego brzmienie niż treść. Gdy jest on czytany jednym tchem, to istotnie robi wrażenie kompromisowego, bo o tych niedokładnościach naszych mówi się mówi się dość długo i to właśnie w pierwszej części wyroku, przez co mimo woli niedokładności nabierają pewnego zaakcentowania; ale analiza wyroku jest o wiele korzystniejsza dla nas niż dla dwunastu panów. Pod wieczór w restauracji Żorża zaprosiliśmy Lednickiego na pogawędkę przy kawie.

4 (17) lutego, rok 1913, poniedziałek
Z wczorajszego wyroku sądu honorowego jestem osobiście zupełnie zadowolony. Jeżeli go zanalizować, jak to zrobiłem w tym dzienniku pod datą wczorajszą, to się okazuje, że ci pozwani przez nas panowie w swej pompatycznej „uchwale grona obywateli" ogłosili twierdzenie skierowane do nas, niezgodne z istotnym obiektywnym przebiegiem sprawy, którą rozważali. Postąpili więc co najmniej lekkomyślnie. Zważywszy, że ci panowie stanowią sam wybór – „śmietankę" sfer kierujących opinią publiczną i że ta „uchwała grona obywateli" była inscenizowana z taką niesłychaną deklaracją niezachwianej powagi i nieomylności i że na niej fundowano już nie tylko

obronę ks. Cyraskiego, ale jakąś wielką kampanię przeciwko rzekomemu spiskowi wrogów Kościoła, polskości i prawości obyczajów, to teraz, po stwierdzeniu przez bezstronny sąd honorowy lekkomyślności orzeczeń tych panów cała zainscenizowana afera upada jak bańka mydlana. Jest to bądź co bądź kapitalna klapa nie samej tylko „uchwały grona obywateli", ale całej tej machinacji politycznej, która „uchwałę" tą dla swych celów stworzyła i z niej narzędzie swe zrobiła. Oczywiście, oszczerstwo przez sąd honorowy uznane nie zostało w postępowaniu tych panów, choć myśmy ich właśnie pod zarzutem oszczerstwa pozwali. Ale tego trudno było nawet żądać. Trzeba olbrzymiej niezależności, odwagi sędziów – no i bardzo jaskrawych nadużyć w zachowaniu się podsądnych, aby orzec o takich powagach, o ludziach tak wpływowych i silnych, jak prezydent miasta Węsławski, jak Kończa, jak Zmaczyński, Strumiłło, ks. Czerniawski, Restytut Sumorok itd., że są oszczercami. Trzeba znać i rozumieć wagę tych ludzi w Wilnie, ich wpływy, zwartość i zachłanną potęgę ich kliki, dzierżącej samowładnie całe miasto i całą przemożną opinię w ręku, aby zrozumieć, jaki twardy orzech mieliśmy do zgryzienia i przeciwko jakiej sile porwaliśmy się do walki, acz w obronie własnej. Stwierdzenie lekkomyślności w działaniu tych panów – to już dla nas zwycięstwo wielkie, a dla nich cios dotkliwy. Na razie, słuchając jednym tchem odczytywany wyrok, otrzymuje się istotnie dla nas pewne wrażenie niezupełnie dodatnie. Wyrok bowiem jest długi i na początku dość rozwlekle wyłuszczone są niedokładności, które były z naszej strony. Dlatego też Janulaitis, Ślażewicz, Mańkowski odnieśli na razie wrażenie ujemne, jak gdyby sąd nas potępił. Wyrok jest tak zredagowany, że trzeba mieć zmysł krytyczny, aby przy odczytywaniu go jednym tchem pochwycić jego treść obiektywną, rzeczową, potępiającą tych dwunastu panów. Czytanie wszakże uważne wyroku, a tym bardziej analiza dokładna rozpraszają wszelkie pozory i nie zostawiają wątpliwości co do istotnej wartości i sensu wyroku. Toteż Janulaitis i Ślażewicz, gdym im wyrok przeanalizował, zostali zupełnie zadowoleni. O Piłsudskim nie wiem, bo z nim o tym nie mówiłem, ale ponieważ jest on znakomitym analitykiem, nie wątpię, że zrozumie wyrok należycie i będzie zadowolony. Mańkowski tylko kręci nosem, nie daje się przekonać i uważa wyrok za wykrętny i jezuicki. Ale bo Mańkowski nie ma zbyt wyrobionego zmysłu analitycznego i jest jeszcze człowiekiem niedojrzałym, za młodym, nie rozumiejącym wszystkich złożonych arkanów życia. Naiwnością byłoby sądzić, że w naszych warunkach można jedną sprawą honorową osiągnąć całkowitą bezwzględną satysfakcję choćby dla sprawy najczystszej z przeciwnikami tak wpływowymi, tak umiejętnie władającymi korupcją; że jednym wyrokiem da się radykalnie złamać i obalić zło tak zadawnione i tak możne, jak władze obłudnej, zwartej, głęboko zakorzenionej kliki. Pozyskać nad taką kliką wyrok miażdżący, bezwzględny – niełatwo, zwłaszcza ze taki wyrok tylko wtedy będzie miażdżący, gdy wydany będzie też przez ludzi wpływowych i znanych. Wyrok, wydany jednostronnie przez ludzi czystych, niezależnych, ale nieznanych – zwycięstwa nie da. A żeby był wydany niejednostronnie, trzeba, aby i strona przeciwna wzięła udział w doborze sędziów, a na sąd, złożony z osób li tylko niezależnych i nie liczących się z powagą kliki ona się nie zgodzi. W dodatku, nie jesteśmy społeczeństwem wolnym i nie znamy jawności, przesiąkliśmy biernością niewoli, mamy dusze i sumienie zatrute protekcjonizmem, uległością, służalczością. Niewielu jest u nas ludzi wolnych, odważnych, moralnie i społecznie uobywatelnionych. W tych warunkach walka jest ciężka. Opozycję trzeba tworzyć, trzeba ją wyrabiać, kształcić, nie zaś polegać na naiwnej nadziei łatwych efektów. Wyrok wczorajszy jest właśnie jednym z takich aktów tworzenia opozycji.

Znów jestem bardziej zaniepokojony o Annę. Miewa ona bardzo ostre bóle w okolicy żołądka, ciągłe, systematyczne. Nie mogą się one stosować do ewentualnego procesu

tuberkulicznego w płucach, bo proces ten zaczyna się od wierzchołków płuc, nie zaś u dołu w okolicy żołądka. Bóle w żołądku ma Anna zwłaszcza po jedzeniu i gdy się położy. Oprócz tego, cierpi na bezsenność z wieczora, co wszystko razem bardzo ją osłabia. Wygląda bardzo mizernie. Natomiast kaszel jest w ostatnich czasach o wiele słabszy, gorączki też nie ma. Sam nie wiem, może wcale suchot nie ma, a jest jeno ostra anemia połączona z jakimś specjalnym cierpieniem wewnętrznym czy też chronicznym żołądkowym. Może wyjazd do Teodozji jest wobec tego zbyteczny, może o co innego chodzi i zupełnie inną jakąś, specjalną metodę leczenia stosować należy. Wobec tego postanowiłem zaprowadzić jeszcze jutro Annę do dr Jabłonowskiego.

5 (18) lutego, rok 1913, wtorek
Poszliśmy dziś z Anną przed południem do dr Jabłonowskiego, jednego z lepszych wileńskich specjalistów chorób wewnętrznych. Doktor po zbadaniu Anny stwierdził, niestety, że proces tuberkuliczny jest już w wierzchołkach obu płuc, wobec czego uznał wyjazd do Krymu za bardzo pożądany, a nawet konieczny i to jak najprędzej. Tak więc klamka zapadła: do Teodozji jedziemy – w piątek. Ja tylko ją odprowadzę, zaopiekuję się na miejscu i zalokuję, a Anna zostanie tam na parę miesięcy. Dr Jabłonowski nie radzi Annie wracać do Wilna przed majem. Doktor twierdzi, że suchoty są u Anny w stadium dość szybkiego rozwoju, stan więc jest niepokojący. Co do bólów żołądkowych, to doktor przypuszcza, że w żołądku jest pewne owrzodzenie, które może pochodzić od przełykania flegmy zarażonej tuberkułami. Zalecił więc wody Vichy oraz dietę żołądkową, polegającą na unikaniu pokarmów mięsnych i w ogóle stałych i na odżywianiu się przeważnie takimi pokarmami, jak mleko, kaszki przeróżne itp., na co jednak Anna się krzywi. Biedaczka moja. Sądzę, że jeżeli istotnie Anna ma suchoty w stadium dość ostrym, to początki takowych muszą sięgać jeszcze zimy zeszłorocznej, bo już od zimy Anna zaczęła mizernieć i słabnąć, a już w Libawie latem, gdym był u niej i odbył z nią podróż do Rygi i Windawy, była ciągle osłabiona. Potem w jesieni, gdy do Wilna wróciła, na razie była mocniejsza, lecz wkrótce znów cherlać zaczęła, a koło Bożego Narodzenia zaczęła doświadczać ostrych bólów głowy i w ogóle osłabła bardzo, odtąd zaś jest wciąż słaba i wciąż chora. Mam nadzieję, że klimat Krymu południowego i słońce krymskie pomogą jej. Ciężkie nam będzie to rozstanie, ale obyż się opłaciło zdrowiem Anny. Kochamy się z nią tak serdecznie i tak się cenimy nawzajem, że związek ten nasz jest nam osłodą we wszelkich ciosach i strapieniach życia. Tym bardziej się niepokoję o Annę moją.
Wieczorem byłem dziś przez godzinkę u wujostwa Wołodkowiczów. Zdaje się, że wuj już dogorywa. Od dwóch przeszło lat się męczy i nie wiadomo, co ma. Zaczęło się to od bólów w dolnym krzyżu. Teraz nie może już ani wstawać, ani siedzieć. Jednym ciągiem jęczy żałośnie, stęka, woła doktora, coś mówi, chwilami nieprzytomnie. Jedynie morfina w dużych dozach, którą mu zastrzykują trzy razy dziennie, łagodzi mu cierpienie. W tych dniach na tyle wystąpiła u wuja na ciele plama ciemnoczerwona, która się powoli rozrasta. Zdaje się, że to gangrena.

6 (19) lutego, rok 1913, środa
Dziś wieczorem odbyło się u mnie zebranie dla poufnej pogawędki Polaków z Litwinami. Od dawna, gdy omawiane były u nas (przeważnie w grupie przeglądowej) kwestie wynikające z obecnej sytuacji międzynarodowej, czyli tzw. kwestie orientacji, zwracałem uwagę na to, że ponieważ nam chodzi o zajęcie stanowiska krajowego, ponieważ rozumiemy, że dla określenia naszych dążeń należy nam uwzględnić całokształt stosunków krajowych i wysnuć z nich potrzeby rozwojowe mas ludowych oraz wskazania odpowiednie, musimy przeto w pierwszej linii nawiązać kontakt i

porozumieć się z demokratyczną ludową inteligencją litewską jako wyrazicielką najbardziej świadomego i czynnego elementu mas ludowych w kraju – mianowicie włościaństwa litewskiego. Większość grupy przeglądowej wszakże zapatrywała się na to sceptycznie, sądząc, że wyglądałoby to na proszenie z naszej strony jakiegoś glejtu, jakiegoś przyzwolenia od Litwinów; że obrażałoby to poniekąd naszą godność i pozbawiałoby nas samodzielności, zaprzeczałoby uznawanej przez nas zasadzie o tym, że stanowimy w kraju jeden z elementów rdzennych, mających prawa obywatelskie równe z Litwinami czy Białorusami. Te względy przeciwko jakiemuś przedwczesnemu porozumieniu z Litwinami wysuwali zwłaszcza Krzyżanowski, Ludwik Abramowicz, a dalej Adolf, Turski, inni. Witold Abramowicz, który coraz bardziej wysuwa się na czoło grupy przeglądowej jako jej *leader* właściwy, był właściwie zawsze zwolennikiem porozumienia z Litwinami, ale, *primo*, nie chciał zbytnio nalegać na tym wobec pewnego oporu większości, *secundo* zaś uważał, że wpierw my powinniśmy sami mieć pewne wyraźne postulaty, a przynajmniej założenia takowych, ażeby porozumienie z Litwinami nie było tylko czczą gadaniną. Do tych uprzedzeń i obaw przyczyniła się w dużym stopniu powzięta *à priori* przez nas opinia o tym, że u Litwinów kwestia ta jest przesądzona i ustalona i że mianowicie odrzucają oni stanowczo w chwili obecnej wszelkie tendencje, skierowane przeciwko państwowości rosyjskiej na gruncie obecnych komplikacji międzynarodowych, a to ze względu na niebezpieczeństwo państwowości pruskiej, które Litwie zagraża, a które uważaliby oni dla siebie i narodu swego za klęskę. Do dnia dzisiejszego zdawało się nam wszystkim, że u Litwinów sprawa ta jest przesądzona i zupełnie wyraźnie rozstrzygnięta i że Litwini pokładają ewentualnie nadzieje i sympatie li tylko w wewnętrznej rewolucji rosyjskiej, lecz w żadnym razie nie w zmianie przynależności państwowej. W takim mniemaniu o nastroju Litwinów utwierdziły nas poszczególne spostrzeżenia, przede wszystkim więc znany artykuł Rimki w jednym z grudniowych numerów „Lietuvos Žinios", następnie zaś pewna dyskusja grona osób, która się odbyła w grudniu na ten temat, a na której z Litwinów obecny był Ślażewicz i przemawiał wyraźnie w duchu wyżej wskazanym. Ja sam też z niektórych poszczególnych spostrzeżeń i wniosków, wyciągniętych z przelotnych rozmów z Litwinami, miałem o nich to przekonanie i przyczyniłem się z pewnością do ustalenia w naszej grupie tego rodzaju mniemania, liczono bowiem na moją znajomość stosunków litewskich. W każdym razie wszakże, ja i niektórzy inni, aczkolwiek nie ze ścisłej grupy przeglądowej, ale pokrewnych odcieni demokratycznych, jak Bagiński, dr Boguszewski, uważaliśmy, że tym bardziej może należy porozumieć się z Litwinami bezpośrednio, aby wyklarować sobie szczerze podstawy, na których opierać należy taką lub inną orientację i przynajmniej uczciwie poinformować siebie wzajemnie o sympatiach i nastrojach, kiełkujących tak w polskich, jak litewskich kołach demokratycznych. Okazało się, że myliliśmy się w naszych wnioskach co do stanowiska Litwinów; dotąd bowiem w żadnej grupie litewskiej kwestie te nie były omawiane specjalnie i żadnej ustalonej orientacji Litwini dotąd nie mają; nie ma też bynajmniej pewności, że ostatecznie opowiedzą się oni po stronie państwowości rosyjskiej.

Zebranie więc dzisiejsze zwołane było z inicjatywy mojej i Bagińskiego. Zaproszonych było 9 Polaków i 9 Litwinów z rozmaitych poszczególnych grup demokratycznych. A więc Polacy: z grupy przeglądowej Witold i Ludwik Abramowiczowie, Piłsudski, Krzyżanowski, z lewicy przeglądowej Zasztowt, ja, z „Kuriera Krajowego" Mańkowski, z esdeków jedyny bodaj ocalały egzemplarz – Bagiński, wreszcie stojący poza wszelkimi grupami dr Boguszewski. Litwini: esdeków trzech – Michał Biržiška, Kairys i Janulaitis, z partii demokratycznej były poseł Bułat, redaktor Ślażewicz i popularny ustosunkowany Jan Vileišis, dalej bezpartyjny, a ciążący do esdeków, ale

zawsze samodzielnie myślący Šaulys, również bezpartyjny, a posiadający duże wpływy wśród radykalnej młodzieży litewskiej Szyling, wreszcie bezpartyjny, mało się polityką zajmujący, ale postępowy – malarz Antoni Żmujdzinowicz. Oprócz Piłsudskiego, Zasztowta i Ślażewicza, wszyscy przyszli. Na przewodniczącego powołano Kairysa. Litwini stawili się akuratnie pierwsi na wyznaczoną godzinę, co bardzo zaimponowało Polakom. Na razie obrady szły ciężko. Ja zagaiłem zebranie uzasadniając rację zwołania takowego, potem Bagiński w kilku słowach omówił sam temat obrad i wykazał wątpliwości, rozbieżności i wahania w nastrojach demokratycznych grup polskich w kraju na gruncie tego uzgodnienia orientacji. Ale z Litwinów nikt głosu nie zabierał. Byli oni zaskoczeni tematem, nie przygotowani. Nikt z nich nie decydował się przemawiać za innych, bo u nich same kwestie te nie były przedyskutowane. Po krótkiej przerwie zabrali głos bracia Abramowiczowie: Ludwik opowiadał o przygotowaniach powstańczych w Galicji, o nadziejach, nastrojach i tendencjach w Polsce; Witold wypowiedział racje, dla których, zdaniem jego, demokracja krajowa w Litwie winna się też opowiedzieć przeciwko państwowości rosyjskiej. Wtedy z Litwinów zabrali głos J. Vileišis i Bułat. Obaj, mówiąc we własnym imieniu, wypowiadali się w kierunku przeciwrosyjskim, nie bojąc się nawet ewentualnej państwowości pruskiej. Przez wszystkich mówców ustalone zostało w każdym razie to, że powstanie polskie jako takie byłoby tu w Litwie niemożliwe i szkodliwe i że orientacja powinna być orientacją krajową, co nie wyklucza oczywiście pomocy, jaką Polacy mogą stąd nieść powstaniu polskiemu, i dalej ustalono potrzebę przedyskutowania w każdej grupie osobno kwestii orientacji i następnie omówienia jej ponownie na wspólnym zebraniu, wobec czego zebranie dzisiejsze ma być odtąd wznawiane. Jest to więc pewien zawiązek organu stalszego.

7 (20) lutego, rok 1913, czwartek
Miałem dziś w sądzie obronę karną dość niepospolitą. Bronić mi wypadło rozbójnika i koniokrada, niejakiego Żełudkowskiego, oskarżonego wespół z innymi o dokonanie kradzieży konia. Rzecz nie byłaby osobliwa, gdyby nie to, że Żełudkowski sam się przyznał do kradzieży, sam właściwie z własnej ochoty całą sprawę wszczął, bo siedząc w więzieniu pod zarzutem innej zbrodni wezwał do siebie urzędnika policyjnego i opowiedział mu szczegółowo o popełnionej kradzieży konia, wydając wszystkich sprawców takowej, sam na sądzie się do winy przyznał i potwierdził szczegóły, zaprzeczając jeno teraz udziału innych współoskarżonych, i wreszcie obojętnym mu było, czy zostanie skazany i na jaką karę, bo z góry wiadomym było, że żadnej kary faktycznie stosować doń nie będą, bo świeżo został on już skazany za cały szereg innych popełnionych zbrodni (zabójstwo, koniokradztwo, okradzenie kościoła itd.) na 20 lat katorgi, przez co wszelka kara, jaką by mu teraz wymierzono, musi zostać pochłonięta przez tę katorgę i stosowana nie będzie. Moja więc rola na sądzie była właściwie żadna. Bronić go musiałem tylko z urzędu – bez żadnej potrzeby i celu. Toteż głupio się czułem i tylko z konieczności, dla formalności tylko wysiedziałem na sprawie i przemówiłem kilka słów bezcelowych, prosząc ławę przysięgłych o wyrozumiałość dla zbrodniarza. Zbój to zdeklarowany, cyniczny, świadomy fachu swego, wolny od jakichkolwiek skrupułów.
Całą resztę dnia zajęty byłem jednym ciągiem porządkowaniem rachunków rocznych i układaniem sprawozdania kasowego Lietuvių Dailės Draugijos. Za dziesięć dni bowiem odbędzie się doroczne walne zebranie członków towarzystwa. Ponieważ zaś jutro wyjeżdżam z Anną do Teodozji, skąd potem mam jeszcze przed powrotem do Wilna zajechać do Wiązowca, więc na zebraniu tym nie będę i muszę przeto sprawozdanie kasowe wykończyć teraz. Jest to robota piekielnie męcząca, nudna i ciężka, bo rachunki

te są skomplikowane i duże. Są osobne konta takie, jak wystawowe, premiowe, osobne fundusze im. Čurlanisa, konta depozytowe itd. Nie cierpię rachunków, a tu zmuszony jestem brnąć w nich po uszy w nader skomplikowanych pozycjach. Zaiste Liet. Dailės Draugija wkrótce już chyba będzie musiała mieć płatnego skarbnika, bo rachunkowość jej w miarę intensywnego rozwoju działalności rozrasta się do wymiarów bardzo poważnej pracy. Ażeby pracy tej podołać, należy bardzo dużo czasu móc jej poświęcać, a ja tego nie mogę. Rachunkowość więc jest teraz b. nieporządna – nie ma ścisłości zwłaszcza w dokumentach usprawiedliwiających wydatki, mniej więcej wszystko oparte jest na osobistym zaufaniu do skarbnika i osób wydatkujących.

8 (21) lutego, rok 1913, piątek
Dziś nastąpił dzień naszego wyjazdu z Anną do Krymu. Rano zajęty byłem dokończeniem rachunków rocznych Lietuvių Dailės Draugijos. Jak zwykle, okazało się, że trzeba dla równowagi kasowej dołożyć z własnej kieszeni. Oczywiście, że ta dopłata jest tylko fikcyjna, bo w istocie wszystkie pieniądze, zgodnie z pozycjami dochodów, musiały w swoim czasie wpłynąć na ręce moje i jeżeli teraz dla uzupełnienia luki muszę dopłacać z własnej kieszeni, to dlatego, że oczywiście zmieszałem poprzednio pieniądze towarzystwa z moimi własnymi i wydatkowałem na własne potrzeby. Jest to skutek braku systematyczności w rachunkach, ale niemniej skutek przykry, bo sam fakt obfitości gotówki na rękach ułatwia w ciągu roku wydatkowanie, za co potem trzeba pokutować, gdy się w końcu roku ujawnia nadmierny rozchód. Doprawdy, że to skarbnikostwo w L. Dailės Draugii jest dla mnie wielkim ciężarem. Skądinąd pragnąłbym pozostać nadal w zarządzie tego towarzystwa, ale dla tych względów finansowych oraz przeciążenia siebie pracą rachunkową, która zupełnie nie odpowiada memu usposobieniu i zdolnościom, wolałbym może zostać od tego zwolnionym. Wiem zaś, że żadnej innej godności prócz skarbnika w zarządzie towarzystwa tego piastować nie mogę. Naprędce, gorączkowo zakończyłem dziś rachunki, uzupełniłem brakującą sumę, naszkicowałem sprawozdanie kasowe i zdałem to wszystko Żmujdzinowiczom. Wykończyć sprawozdania w detalach już nie zdołałem. Wreszcie koło godz. 1 wpadłem do domu, pochłonąłem raczej niż zjadłem bifsztyk, spakowałem rzeczy i ruszyłem na ul. Monastyrską po Annę. Zastałem ją do wyjazdu gotową. W chwilę potem byliśmy już na dworcu kolejowym. Bilety wzięliśmy prosto do Teodozji przez Kijów. O godz. 2 z minutami wyjechaliśmy już pociągiem Kolei Poleskiej na Sarny. Jedziemy z Anną w klasie III. Podróż wykalkulowaliśmy w ten sposób, aby jak najmniej nocy być w drodze i w żadnym razie nie dwie noce z kolei, a to ze względu na uniknięcie zbytniego zmęczenia dla Anny. W tym celu zatrzymamy się w Kijowie i tam jedną noc spędzimy w hotelu.
Dobrze nam z Anną we dwoje w podróży. Gawędzimy, ja opowiadam Annie o krajach i ludach ziem, przez które przejeżdżamy. Do Lidy mieliśmy w wagonie dość dużo publiczności. W Lidzie wysiedli wszyscy Żydzi, bo zaszedł im szabas. Dalej było coraz puściej. W Baranowiczach zostaliśmy tylko we dwoje i jeszcze jeden pasażer. Za Baranowiczami wjechaliśmy w kraj, przez który po raz pierwszy w życiu jadę. Było to szczere Polesie, nudny kraj bagien i ludu smutnego, cichego, tkwiącego w archaicznej kulturze zwyczajów i przesądów odwiecznych. Była noc, więc położyliśmy się z Anną do snu. Ogromna ta dzielnica Białej Rusi, oddzielająca ją, a razem wiążąca ogniwem pośrednim z Ukrainą, uszła obserwacji naszej. Smutny cichy kraj, jakiś uśpiony, bezwładny, opuszczony od ruchliwego tętna życia. Obudziliśmy się już na Wołyniu. Były to Sarny, zmiana pociągu.

9 (22) lutego, rok 1913, sobota

W Sarnach spędziliśmy z Anną koło 6 godzin, od godz. 2 ½ po północy do godz. 8 ½ rano. Anna położyła się na drewnianej kanapce w bufecie i podesławszy sobie szal zasnęła, ja zaś usiadłem przy niej przy stoliku i pisałem i czytałem na przemian. O godz. 8 ½ rano wyjechaliśmy z Sarn pociągiem do Kijowa. Pociąg biegł wzdłuż przez Wołyń Północny, kierując się na wschód z lekkim zwrotem ku południowi. W wagonie naszym jechała cała duża paczka robotników-Polaków z Mazowsza, podążająca gdzieś za Kijów na pracę do fabryki posadzki. Było ich kilkunastu. Dzielne rozumne twarze, myślące i poważne, siwe oczy, jakaś serdeczna i rzewna prostota połączona z pewnym wyrazem troski i skupienia wyróżniały sympatycznie tę gromadkę proletariuszy polskich spośród masy jadącej publiczności. Smutne wszakże były ich twarze, nie było w nich tej werwy i tego wesela, które przywykliśmy łączyć z pojęciem charakteru polskiego. Ciężka dola robotnika, jego twarda praca, twardy byt walki z wyzyskiem – wyżarły z jego charakteru narodowego cechy lekkości i werwy swobodnej.
Przyglądaliśmy się z Anną z zajęciem krajowi, przez który mknął nasz pociąg. Równina przeważnie dokoła, jakby jeszcze dalszy ciąg Polesia. Ale oto stopniowo ziemia staje się lepsza. Od samych Saren wciąż lasy, laski, wyniszczone, przetrzebione, zaniedbane. Dużo w nich dewastacji, ale bądź co bądź charakter kraju – leśny. Wsie rzadkie, duże, niezwykła obfitość młynków wietrznych. Zaprzęgi robocze włościańskie – wyłącznie parokonne; wozy długie, drabiniaste; w wielu zaprzęgach – woły. Charakter miejscowości, zaprzęgów – taki sam aż do samego Kijowa. Równina rozległa wszędzie. Wszędzie aż do Kijowa takie same lasy. Dziwne, bo słyszałem, że Ukraina jest bezleśna; ale przeciwko oczywistości zaprzeczyć nie mogę. Dzień był słoneczny i miałem wrażenie, że słońce tu już jest widocznie wyższe, jaskrawsze niż u nas. Byliśmy więc w samym sercu Ukrainy. A jednak dźwięki mowy ukraińskiej rzadko dochodziły uszu naszych. Wszystko, co nosi na sobie piętno niejakiej ogłady powierzchownej, co choć trochę nad najniższy poziom chłopa wybiega, wszystko to w wagonie na modłę przynajmniej mowy rosyjskiej się przerabia. Na jednej ze stacji usiadł przy nas chłop należący do kategorii bogatszych, jak się z rozmowy od niego dowiedziałem; typowy Ukrainiec, a przecież starał się mówić po rosyjsku i dopiero z konduktorem zagadał najczystszą mową ukraińską. Śpi jeszcze Ukraina pod zaborem rosyjskim, nawet ta prawobrzeżna, bliższa Zachodu, słabszą tradycją państwową z Rosją związana. Mowa ukraińska ukrywa się wstydliwie w cieniu, zachowuje się tylko do użytku domowego, nie śmie błysnąć na zewnątrz i stanąć otwarcie i śmiało do szeregów samodzielnej odrębnej kultury jako równa z innymi, mająca takież prawo obywatelskie do życia i rozwoju. Wiem, że ruch ukraiński szerzy się przecie pod zaborem rosyjskim, wychodzą pisma, istnieją i są czynne rozmaite stowarzyszenia i związki kulturalne, społeczne i polityczne. Głębi i owoców ruchu tego oczywiście oceniać nie mogę na podstawie spostrzeżeń wagonowych, ale bądź co bądź ruch ten musi jeszcze przejść przez długi okres przygotowawczy, nim się rozwinie do poziomu ruchu masowego.
O godz. 5 stanęliśmy w Kijowie. Zajechaliśmy do hotelu, wyszliśmy na miasto, zjedliśmy obiad u Semadeniego na Kreszczatyku, zakupiliśmy trochę wiktuałów na dalszą drogę, przejechaliśmy się tramwajem nad brzeg Dniepru, zaszliśmy jeszcze do cukierni i na tym koniec, bo już się zbliżała północ; trzeba było śpieszyć do hotelu wypocząć przed dalszą drogą jutrzejszą. Byłem po raz pierwszy w Kijowie, lecz pobyt ten był tak krótki, że jakiegoś szczególniejszego wrażenia o Kijowie powziąć nie mogłem. Zwłaszcza że był wieczór i że poza Kreszczatykiem nic więcej nie widziałem, bo i brzeg Dniepru po ciemku żadnego uroku sprawić nie mógł. Miałem tylko wrażenie po prostu wielkiego miasta, bardzo rozrzuconego po górach, ale nic osobliwego, nic specyficznie kijowskiego nie zaobserwowałem; chyba tylko to, że wobec ogromnej szerokości ulic, przynajmniej Kreszczatyku, lampy elektryczne są tak rzadkie, iż

oświetlenie wieczorem jest zupełnie małomiejskie.

10 (23) lutego, rok 1913, niedziela
Wstaliśmy o godz. 6 rano i pociągiem o godz. 8 z minutami wyjechaliśmy z Kijowa na Połtawę. Za Dnieprem charakter kraju się zmienia. Znikły lasy; równina, step otwarty, gładki, bez żadnych zarośli. Wsie już bardzo rzadkie a duże, ciągnące się po parę wiorst co najmniej z niezliczoną ilością małych młynów wietrznych, których czasem jest po 20 i więcej na jedną wieś. Śniegu bardzo mało, prawie nie ma; ziemia czarna, bogata, pyszna. Wszakże bliżej ku Połtawie znowu śniegu więcej. Nie widać już typowych parokonnych zaprzęgów wołyńskich, zwłaszcza tak charakterystycznych zaprzęgów wołów. Znowu jednokonki z duhami rosyjskimi, jak u nas. Ruchu na drogach polowych mniej widać niż na Wołyniu i w Kijowskiem: może dlatego, że to niedziela. Zresztą drogi nie wyróżniają się niczym od ogólnego tła stepów. Step zimowy bezbarwny, milczący, martwy. Domki we wsiach białe lub brunatno-czerwone, ulepione z gliny. Drzewo stanowi tu luksus. Jak się dowiedziałem od włościan, za opał służy tu słoma. Są oni zresztą zupełnie z opału tego zadowoleni i nie tęsknią za innym. Gleba czarnoziemna dostarcza tu słomy w obfitości zapewne takiej, o jakiej nam się na naszych ubogich piaskach lub glinach ani śni. Jeżeli pszenica nie urodzi tu w ziarnie, to przecie słomy nie poskąpi. Pożytek nawozu jednak włościanie tutejsi uznają. Dumni są ze swej ziemi, z poczuciem wyższości i lekceważeniem słuchają o ziemiach innych niż czarnoziem, o krajach, gdzie nie rodzi pszenica, gdzie słońce nie świeci tak jasno, gdzie owoce są nie tak słodkie i smaczne; bez zazdrości też i nie mniej z lekceważeniem słuchają o wyższej kulturze rolnej, umysłowej i duchowej ludów Północy i Zachodu, gdzie pszenica nie rodzi; uważają te ludy za upośledzone z natury, za godne politowania, a politowanie u ludzi pierwotnych, u tych włościan połtawskich, to pewien stopień pogardy. Szalone też są tu ceny ziemi: tu i w sąsiedniej gub. charkowskiej dochodzą one, podług słów włościan, do rb. 600 za dziesięcinę. Z pogardą dowiadują się oni o naszych cenach takich, jak po rb. 250 za dziesięcinę, które u nas należą do cen najwyższych i to już tylko w miejscowościach z najlepszą glebą i z najwyższą kulturą. Słońce świeci jaskrawo. Wagon nasz pełen podróżnych. Stopniowo, w miarę oddalania się od Kijowa, wagon się wyludnia, potem stopniowo napływają nowe fale podróżnych i pod Połtawą już jest ścisk. Publiczność mieszana. Są półinteligenci, aferzyści ziemscy, spekulujący na kupnie i frymarce ziemią, rządcy majątków, kupcy, młynarze, Żydzi, stanowiący, jak zawsze, ruchliwy element handlowy, popi, jacyś mieszańcy nieokreślonych zawodów („разночинцы", jak mówią Rosjanie), wreszcie czystej krwi chłopi ukraińscy. Mowę ukraińską słychać dość często, nawet nie tylko wśród włościan, ale i wśród rozmaitych mieszańców i półinteligentów wiejskich. Słychać ją częściej nawet, niż się słyszało w wagonie na Ukrainie przeddnieprzańskiej (Wołyniu i Kijowskiem); ale wydaje się ona jednak mniej czysta, mniej oryginalna niż na Wołyniu, choć częstsza, powszechniejsza. Zresztą nikt tu nie mówi czystym językiem rosyjskim; wszyscy, nie wyłączając popów, kupców, spekulantów rolnych, acz nawet mówia po rosyjsku, to jednak z bardzo wyrazistym akcentem ukraińskim, czyli, jak tu mówią – „chochłackim", używając nawet żywcem niektórych wyrażeń szczerze ukraińskich. Żydzi tylko mniej mieszają ukraińszczyzny do mowy rosyjskiej, ale też nie są wolni od tego akcentu. Cały kraj i charakter ludności jest już ogromnie odrębny od naszego na Litwie i Białej Rusi, jeno Żydzi są ci sami, jakby żywcem od nas wzięci: ten sam żargon, te same twarze i ruchy typowe, ten sam charakter. Dziewczyny, panieneczki z półinteligencji są tu jakieś krzykliwsze niż u nas. Wśród tej mieszaniny ludności wagonowej była i para Polaków z pochodzenia, aferzystów ziemskich lub zajmujących posady rolne; są oni jednak zruszczali zupełnie, zasymilowani z ludnością miejscową

kraju tego, nie umiejący już nawet po polsku, obcy sprawom swej pierwotnej ojczyzny. Ciekawych wrażeń doznałem z zapoznania się z paru chłopami połtawskimi, jadącymi do guberni charkowskiej dla obejrzenia ziemi, którą kupili gromadą całą: jeden z tych włościan po raz pierwszy jechał pociągiem. Ciemni są oni, bardzo pierwotni i nieskomplikowani psychicznie, surowe dzieci ziemi. Rozpytywali mnie i Annę szczegółowo o wszystkim. Usiłowali mówić po rosyjsku, a gdym im zachwalił piękno ich rodzimej mowy ukraińskiej, to się nią popisywali trochę, ucieszeni. Traktowali nas jako obcoplemieńców z pewną wyższością; uważają siebie widocznie za coś lepszego, bardziej prawowitego w oczach Boga i prawa. Rozpytywali nas o kraju naszym, o narodowości, o religii. Nie dziwili się jednak i nie zachwycali tym, co im opowiadaliśmy. Dopytywali się, czy katolicy, jakim jestem ja, i luteranie, jaką jest Anna, są chrzczeni, i zdawało się, że nie bardzo wierzyli nasdzym zapewnieniom o chrzcie katolików i lutrów.
W Połtawie przesiedliśmy się do innego pociągu, idącego do stacji Łozowej w gub. jekaterynosławskiej. Był już wieczór, ciemno, więc obserwować ziemi z okien wagonu nie mogliśmy. Ale już charakter kultury krajowej i ludzi się zmienił. Z właściwej Ukrainy rolniczej wjechaliśmy do kraju o wybitnej kulturze przemysłowo-górniczej. Jest to Rosja Południowa, kraj węgla kamiennego, wytwórczości żelaznej, kraj fabryk i przemysłu górniczego. Publiczność inna niż poprzednio. Życie kipi gorączkowo, rozmowa o grubych interesach, o instalacjach ekonomiczno-przemysłowych. Wszyscy są jacyś ruchliwsi, żywsi, jakby podnieceni, zaprzątnięci interesem, coś notujący, coś omawiający między sobą. W mowie przecie brzmi jeszcze akcent „chochłacki”, acz łagodniejszy. Wszystko to wygląda intensywniejsze. Poziom kultury i inteligencji wśród publiczności klasy III wyższy. Przemysłowa gub. jekaterynosławska, okręg górniczy doniecki, Rostow nad Donem – nadają krajowi temu cechę odrębną wyższej kultury. Żydów bardzo dużo, ale są inteligentniejsi, gładsi, europejscy. Zresztą w ogóle w całej Ukrainie zadnieprzańskiej widziałem tylko światlejszych Żydów. Tej najciemniejszej masy nędzarzy żydowskich, jak u nas, tu nie spotkałem. Dziwnie odbija od tego tła wyższej kultury przemysłowej tego kraju dziki pierwotny wygląd włościan ukraińskich, którzy tu jechali. Wydają się oni jeszcze ciemniejsi i pierwotniejsi od połtawskich, a stroje noszą jakieś dziwaczne, przedpotopowe. Ze stroju nie można odróżnić kobiet od mężczyzn.

11 (24) lutego, rok 1913, poniedziałek
Po wyjeździe z Łozowej koło północy znaleźliśmy z Anną miejsca wolne i ułożyliśmy się do snu. Pociąg nasz pędził już prosto do Krymu – na południe. Obudziliśmy się rano już koło miasta Aleksandrowska (to znaczy jeszcze w gub. jekaterynosławskiej). Tu spotkaliśmy jeszcze raz Dniepr, piękne luhy naddnieprzańskie, drzewa na nich i wjechaliśmy do gub. taurydzkiej, dążąc wprost dalej na południe na Melitopol do Krymu. Wczoraj już w nocy przy wyjeździe z Łozowej dowiedziałem się w rozmowie od pewnego młodego Żydka, że w gub. taurydzkiej jest dużo kolonistów Niemców, czego dotąd nie wiedziałem. Sądziłem, że koloniści niemieccy mieszkają w większych skupieniach tylko w gub. saratowskiej i może w ogóle nad dolną Wołgą. Okazuje się, że i tu jest ich dużo. Jak mię poinformowano, są wśród nich lutrzy, katolicy i menonici. Ci ostatni, należący do sekty menonitów, nienawidzą podobno swych współbraci wyznania luterskiego i katolickiego. Na ogół Niemcy-koloniści są dobrymi gospodarzami, są skrzętni, zabiegliwi w gospodarstwie, staranni w uprawie ziemi, zamożni. Niektórzy z nich są nawet bogaci, mają kapitały, a jednak nie zmieniają swego trybu życia. Stanowią tu oni dużą siłę ekonomiczną w stosunkach wiejskich. Żyją wszakże odrębnie, nie zawierają żadnych związków małżeńskich czy towarzyskich z inną ludnością

miejscową. Są podobno bardzo skąpi, egoiści, nieuczynni i niegościnni. Cechy te służą im i przysparzają bogactwa i siły, ale przez ludność miejscową są bardzo dla cech tych nie lubiani. W drodze miałem bezpośrednią możność przekonania się o istotnej sile tej kolonizacji niemieckiej tak w Taurydzie Północnej, jak w Krymie. Na wszystkich niemal stacjach wsiadali do wagonu Niemcy. Wsłuchiwałem się w ich rozmowy, z niektórymi sam wszczynałem rozmowę. Mówią rozmaitymi narzeczami niemieckimi; o ile zdołałem zauważyć, w Północnej Taurydzie język ich jest czystszy niż w Krymie, przynajmniej bardziej zbliżony do literackiego. Po rosyjsku mówią nierźle, bez specyficznego akcentu germańskiego. Stanowią niewątpliwie element wyższej kultury wśród miejscowej ludności wiejskiej; nie tylko przez to, że są pracowitsi, trzeźwi, gospodarni, rozumnijesi, ale też przez obyczaje swoje, ubiór, cały układ psychiczny; mężczyźni ubierają się na wpół po miejsku, jak przeciętna półinteligencja powszechnie w całym świecie cywilizowanym; kobiety noszą suknie, paltoty watowane, na głowie niewielkie kapelusiki staroświeckie; w ogóle Niecy ci są subtelniejsi, układniejsi w obcowaniu między sobą i w stosunku na zewnątrz niż ich współobywatele wiejscy Ukraińcy, Rosjanie i Tatarzy. Po prostu o niebo całe są od nich wyżsi w poziomie kultury obyczajów. Charakteru są dość wesołego w rozmowach między sobą. Sądzę wszakże, że głębszego wpływu kulturalnego na ludność inną nie wywierają, bo tworzą istotnie odrębną i ścisłą kolonię, odrębne społeczeństwo zamknięte. Ale piędź za piędzią zdobywają tę ziemię, rozszerzają swój stan posiadania ziemskiego w Krymie kosztem Tatarów zwłaszcza, leniwych, skorych do kłótni, słabych moralnie i miękkich. Jak się sami Niemcy z dumą przechwalają, Krym jest już dziś krajem niemal niemieckim, przynajmniej wnętrze Krymu, ziemia, własność rolna. Nie brak wśród Niemców i biednych, wyrobników, bezrolnych, których też tu spotkałem. Dość duże jest stąd ich wychodźstwo do Syberii, gdzie umieją się oni znakomicie zagospodarzyć tam, gdzie włościanie rosyjscy mrą z głodu. Ubożsi Niemcy tęsknie wzdychają do kolonizacji w Poznańskiem. Wyrażali mi z sentymentem, jak by pragnęli się dostać do Poznańskiego, ile dobrodziejstw tam świadczy rząd niemiecki tym, którzy się tam osiedlają. Nie wiedzą nawet, co to jest Poznańskie, nie wiedzą, że to ziemia polska, nie bardzo nawet o Polakach słyszeli. Nie są oczywiście w stanie zrozumieć krzywdy, jaką tam ta kolonizacja wyrządza rdzennej ludności polskiej. Słyszeli tylko i marzą o tym kraju „Posen" jak o ziemi obiecanej. Wielu uboższych wywędrowało tam z tych stron, a pozostali mają od nich wieści, że im się dobrze dzieje. Toteż gdy bogatsi myślą i mówią czy o rozszerzaniu swych zdobyczy w Krymie, czy o wychodźstwie do Syberii, ubożsi, wyrobnicy, przygnębieni losem marzą i z tęsknym uniesieniem wspominają o jakimś dalekim a złotodajnym „Posen". Nie trafiło mi się spotkać jednego, który by coś słyszał o Kurlandii i Liflandii, choć wiem, że były przecie po r. 1905 próby ze strony niemieckich baronów nadbałtyckich sprowadzenia robotników rolnych do majątków swych spośród Niemców-kolonistów Rosji Południowej i nawet próby osadnictwa niemieckiego z tych elementów dla stworzenia przeciwwagi znienawidzonym przez baronów niemieckich Łotyszom. Próby te zresztą zawiodły i Łotyszów nie osłabiły ani rozcieńczyły, a rzesze tych importowanych do Łotwy Niemców spośród kolonistów Rosji Południowej wyglądały jak jakieś stada półludzi: jechali oni tam głodni, nędzni, oberwani, obrośnięci, z mnóstwem dzieci – widocznie były to jakieś odpadki z kolonistów-Niemców tutejszych, bo ci tutejsi o wiele lepiej tu wyglądają; zresztą były to zapewne rzesze nie stąd, nie z Krymu, lecz z jakichś innych stron, może z saratowskiej. Bądź co bądź, niemiecka kolonizacja rolna tu w Północnej Taurydzie i Krymie stanowi już ogromny czynnik ekonomiczny i oczywiście polityczny, którego waga zapewne coraz wzrastać będzie. Zewnętrznie tak Taurydа Północna, jak Krym nie zachwyciły mię. Step równy, bezludny, skroś zorany pod pszenicę. Lasku ani drzewka –

ani śladu. Osady ludzkie niezmiernie rzadkie. Step pokryty wskroś śniegiem; choć warstwa śniegu cienka, ale prawie że jednolita. Pod śniegiem kraj ten wygląda jak pustynia. Jak okiem sięgnąć – pustka, ani śladu osady ludzkiej. Osady tylko tam, gdzie jednocześnie stacja kolejowa. W wioskach drzew nie ma żadnych. Tylko przy wielkich osadach trochę wątłych drzewek. Domki kamienne białe sterczą smutno, jakimiś gromadami nagimi na nagiej ziemi. Jedyne, co ożywia ten step – to przyjezdni w oryginalnych bryczkach, zaprzężonych parą koni. Konie te są powszechnie u włościan bardzo piękne i rącze. W Północnej Taurydzie równolegle do Niemców i Tatarów mieszkają Ukraińcy. W Krymie Ukraińców masowo już nie ma, natomiast obok Niemców i Tatarów jest rozmaita napływowa pomieszana ludność rosyjska. Koło godz. 8 wieczorem stanęliśmy wreszcie u kresu naszej podróży – w mieści Teodozji nad Morzem Czarnym.

12 (25) lutego, rok 1913, wtorek
Wczoraj wieczorem przyjechaliśmy więc z Anną do Teodozji. Podług wskazówki, udzielonej mnie przez jakiegoś pasażera w drodze, zamieszkaliśmy w hotelu Moskiewskim (zwanym też niemieckim) przy ul. Policyjnej. Jest to nieduży hotelik, czysty i bardzo oryginalny. Zajmuje on cały domek piętrowy. Parter i piętro są identycznie skonstruowane i urządzone; wprost z ulicy wchodzi się do długiego korytarza, ciągnącego się wzdłuż całego domu; korytarz z prawej strony dotyka ściany zewnętrznej, całej niemal oszklonej ogromnymi oknami, wychodzącymi na stronę słoneczną; na lewo wzdłuż korytarza rząd nieprzerwany celek-numerów; każda celka ma drzwi i duże okno na słoneczny korytarz, natomiast okna zewnętrznego nie ma wcale; na każde dwie celki jeden wspólny piec żelazny, opalany z korytarza (drwami!); z parteru na piętro w środku korytarza schody żelazne; na piętrze rozkład i urządzenie identyczne. Wszystko białe, czyste, sympatyczne – przypomina jakąś lecznicę czy wygodne więzienie celkowe. Płacimy za pokój po rublu dziennie. W Teodozji zastaliśmy jeszcze resztki śniegu tak duże, że niektóre dorożki są jeszcze na saniach. Dorożki tu w ogóle parokonne, wygodne, obszerne, czteroosobowe. Wczoraj nie oglądaliśmy wcale miasta, bo było już ciemno i późno. Poszliśmy więc tylko na kolację do restauracji Centralnej, położonej przy ul. Nadbrzeżnej, to znaczy na wybrzeżu Morza Czarnego. Restauracyjka niewielka, choć uchodząca za najlepszą pono w Teodozji, ale porządna, czysto utrzymana, dobrze obsługiwana i zwłaszcza z dobrą kuchnią. Już to korzystam z pobytu w Teodozji, aby się zapoznać ze specjałami miejscowej kuchni tatarsko-kaukaskiej. Właściwość tej kuchni polega, zdaje się, głównie na rozmaitości specjalnych i – przyznać należy – bardzo smacznych potraw z mięsiwa młodego baranka: szaszłyk, pilaw itp. są tu istotnie niezrównane. Najadam się tego do przesytu. Inne specjalne potrawy miejscowej kuchni tatarskiej, jeżeli istnieją, to oczywiście nie zyskały prawa obywatelstwa w jadłodajniach powszechnego użytku i pozostały wyłącznie w zakresie zwyczajów kulinarnych Tatarów. Wczoraj uderzył nas z Anną brak symetrii w układzie miasta, chaotyczność w uplanowaniu zabudowań. Zwłaszcza w nocy, gdy orientacja jest trudniejsza, i przy pierwszym poznaniu miasta – ten brak symetrii jest rażący. Dziś rano wreszcie ujrzeliśmy i obeszliśmy główny ośrodek miasta w pełnym blasku jaskrawego słońca krymskiego, topiącego promieniami znaczne jeszcze pozostałości śniegu. O ile wszakże we dnie w słońcu jest ciepło, o tyle w nocy wciąż marznie. Dzień spędziliśmy z Anną tak: wstaliśmy dość późno po zmęczeniu tak długiej drogi, ale już wypoczęci; w cukierni niemieckiej wypiliśmy kawę, potem chodziliśmy po aptekach zapytując o lekarzy specjalistów chorób piersiowych, obejrzeliśmy przy tym miasto, byliśmy na obiedzie w restauracji przy hotelu Europejskim, potem u doktora, rozpytaliśmy się w policji o adres brata Anny, byliśmy

na poczcie, potem wzięliśmy dorożkę na godzinę dla przejechania się po mieście i wzdłuż will letnich, wyciągniętych linią nad zatoką morską, przeszliśmy się brzegiem morza, Anna poszła odszukać brata i istotnie dotarła do mieszkania jego, jeno go w domu nie zastała, potem byliśmy wieczorem w nędznym kinematografie, zjedliśmy kolację w restauracji Centralnej i niezbyt późno poszliśmy spać. Jednej z najważniejszych rzeczy – znalezienia mieszkania i stołowania dla Anny – nie tylko nie załatwiliśmy dziś, ale nawet nie szukaliśmy, bo Anna wpierw się porozumieć musi w tej materii z bratem, który może będzie wiedział o jakimś odpowiednim pokoiku dla niej i u którego może będzie się ona mogła umówić o stołowaniu. Odłożyliśmy więc to na jutro. U doktora byliśmy niejakiego Czarnieckiego, Polaka rodem z Wołynia, zaleconego nam w kilku aptekach i składach aptecznych. Jest to człowiek starszy, mruk, dość posępnego wyglądu; nie robi wrażenia lekarza energicznego i bystrego, ale go nam tak jednogłośnie zalecano, że postanowiłem już go nie zmieniać. Annie się doktor nie podobał, ale przyrzekła mi, że będzie do niego chodzić i słuchać go. Doktor po zbadaniu Anny potwierdził, że suchoty są, mianowicie w prawym wierzchołku płuc, ale ich stan nie jest groźny, bo są to dopiero początki, które mogą być uleczone. Poradził zastrzykiwanie arszeniku dla ogólnego wzmocnienia organizmu i tuberkuliny jako specjalnego leczenia suchot. Anna, która jest dość kapryśna i nie ufa medycynie i doktorom (ma ona tę wspólną cechę z całym ludem naszym), krzywi się na to leczenie, ale obiecuje, że się podda takowemu.

Dużo dziś chodząc i jeżdżąc po mieście skorzystałem, dużo zaobserwowałem bezpośrednio i nie mniej o wielu rzeczach w Teodozji się rozpytałem, uzupełniając tą drogą moje wrażenia o mieście, ludziach i kraju. Miasto jest ładne i oryginalne. Położone jest w dolinie, otwartej w kierunku morza i otoczonej dokoła i prawie zamkniętej półkolistym pasmem wzgórz. Właściwe śródmieście, mające wygląd przeciętnie europejski (aczkolwiek nie mniej oryginalne i charakterystyczne), położone jest w środku doliny nad brzegiem morza; dokoła w kierunku gór i na górach samych ciągną się przedmieścia, czyli tak zwane tu po rosyjsku z ukraińska „słobódki”, a więc słobódka Kwarantanna, gdzie istotnie mieści się ogromny dom kwarantannowy, w którym zatrzymywani są i poddawani rewizji lekarskiej pielgrzymi mahometańscy, wracający tędy z Mekki, dalej słobódka karaimska, zaludniona przeważnie przez Karaimów, i słobódka tatarska. W innej stronie za miastem, w kierunku wydłużonej linii równego wybrzeża morskiego, ciągnie się dzielnica will i ogrodów, służąca za letnisko dla przyjezdnych gości letnich. Teodozja, jak, zdaje się, wszystkie miasta wybrzeża krymskiego, zaludniona jest przez ludzi najrozmaitszych narodowości. Rdzeń ludności stanowią tu Tatarzy, Karaimi oraz najrozmaitsza napływowa ludność ze wszystkich stron Rosji, szukająca tu zarobku na wszelkich polach pracy. Handel miejski przeważnie jest w ręku Żydów i Karaimów; mnóstwo też jest Ormian, dużo Greków; wielki handel pszenicą jest podobno przeważnie w ręku Francuzów i Niemców. Choć wszyscy w śródmieściu posługują się na zewnątrz przeważnie językiem rosyjskim, jednak miasto ani z wyglądu zewnętrznego, ani z charakteru mieszkańców, ani z kultury swej nie jest wcale rosyjskim. Język rosyjskie gra tu rolę tylko języka wymiany zewnętrznej, jest czymś w rodzaju międzynarodowego esperanta dla całej tej różnobarwnej i różnonarodowej mozaiki ludnościowej. Właściwi Rosjanie zajmują tu tylko posady urzędników oraz zapełniają kadry najniższej kategorii ludności robotniczej na równi z Tatarami. Nie w ich ręku jest ster życia ekonomicznego, nie oni tu są czynnikiem twórczym kultury.

Niezmiernie ciekawe miasto i ciekawy kraj. Rad jestem, że posiadłem okazję choć do tak przelotnego poznania go.

13 (26) lutego, rok 1913, środa
Kwestia mieszkania Anny została rozstrzygnięta niezwykle łatwo i szczęśliwie, bez żadnych zachodów. Brat Anny, który tu mieszka i ma miejsce ogrodnika w ogrodach bogatego fabrykanta miejscowego Stamboli, otrzymał pozwolenie zalokowania siostry w jednym z domków pustych położonych w ogrodzie. Domku tego nie widziałem, bo przed bratem Anna nie ujawnia swego pożycia ze mną, a przeto nie mogłem tam pójść. Ale wiem od Anny, że jest to domek niewielki, pusty, w którym jest pokoik o dwóch okienkach. Tak więc Anna będzie miała mieszkanie darmowe i w bardzo zdrowym miejscu, wśród ogrodów. Stołować się zaś będzie u brata. Brat jej jest żonaty ze starszą od siebie kobietą, Łotewką także, rodem z Windawy. Żyje z nią dotąd bez ślubu formalnego, bo kobieta ta jest zamężna i rozwodu dotąd jeszcze nie ma. Wyjechał z ojczystej Łotwy tak daleko właśnie dlatego, żeby uniknąć dla siebie i żony oporu rodziny i gawęd oraz obmowy ludzkiej. Był on na razie wielce zaniepokojony przyjazdem Anny i widocznie nie chciał jej dopomóc w zalokowaniu się w Teodozji, ale potem żona jego, rozmówiwszy się z Anną i przekonawszy, że nie żywi ona żadnych zamiarów wrogich dla tego małżeństwa, okazała dla niej wiele serdeczności i troskliwości, chcąc oczywiście zaskarbić jej względy i zyskać przez nią poparcie w rodzinie oraz niejako usankcjonowanie małżeństwa tego. Tak więc kwestia najcięższa została nadspodziewanie pomyślnie rozwiązana: jutro już Anna się przeniesie z rzeczami do swego mieszkanka. A kwestia mieszkania była przecie zagadnieniem najcięższym: ceny pokojów w śródmieściu są tu niezwykle wysokie, podobno nie taniej niż 25 rb. miesięcznie; na przedmieściach, czyli słobódkach, utrzymania też są podobno szalenie wysokie.
Po obiedzie poszliśmy z Anną na przedmieście, czyli słobódkę tatarską. Przeszliśmy ją całą, pnąc się na strome zbocza góry wąziutkimi zaułkami po mokrej gliniastej ziemi. Ale za to widok, który mieliśmy, i wrażenia, których doznaliśmy, wynagrodziły nam sowicie fatygę. Dzielnica ta – to typowe miasto Wschodu, coś jakby żywcem wziętego czy to z miast tureckich, czy z Małej Azji. Gromady maleńkich, nie zawsze przewyższających wzrost ludzki, domeczków czy lepianek raczej, ułożonych z dużych niezgrabnych cegieł z szarej żwirowatej gliny miejscowej z takimże dachem i kominem z tejże gliny, rozrzucone bez żadnej symetrii i porządku, jak się dało, przytulone do zbocza góry lub jedną stroną do niej wciśnięte w jakieś wydrążenie zbocza. Wśród nieporządnej gromady tych domków szarych, białawoszarej barwy ziemi, biegną i krzyżują się również bez żadnego ładu i symetrii wąziutkie nierówne zaułeczki; małe brzydkie dziedzińce tych domków oddzielone są od zaułków niskim murem z takiejże szarej gliny. Co chwila z jakiegoś dziedzińca, drzwi domku lub zawrotu zaułka ukazują się malownicze postacie dziewczynek lub dziewczyn tatarskich, czasem bab starszych. Chłopcy charakterystycznych ubiorów żadnych nie mają, mężczyzn o tej porze w dzielnicy nie ma wcale, bo wszyscy są zajęci pracą w dolnym mieście i tylko na noc do swej dzielnicy rodzimej wracają. Oprócz więc małych dzieci, widać tylko same kobiety, lecz jakież malownicze i charakterystyczne! Wszystkie młode kobiety tatarskie, które widziałem, noszą na głowie fez ozdobiony blaszkami złotymi, ułożonymi w rozmaite figury; bluzki i spódniczki mają rozmaite, ale przeważnie kolorowe rozmaitych deseni; z przodu fartuszek; zdaje się, że ulubionym ich deseniem jest deseń w kratki; na głowę i ramiona zarzucają szal, którym się owijają; wyzierająca spod szala twarzyczka, ozdobiona na czole jaskrawym fezem, naszytym w desenie złote blaszek, cera ciemna, oczy wyraziste ciekawe, całość na charakterystycznym tle i w otoczeniu typowego środowiska wschodniego, sprawia prześliczne wrażenie kolorystyczne. Wśród dziewczyn tatarskich dużo jest bardzo pięknych o twarzach wyrazistych, uśmiechach zalotnych, podnieconych ciekawością. W dzielnicy tej, przynajmniej o tej porze roku

rzadko się ukazują Europejczycy-inteligenci, toteż przechodzeń tej kategorii ludzi budzi powszechne zainteresowanie tak u dzieci, jak dziewcząt, jak kobiet starszych; zdaje się, że skórka lisa w całku, naszyta na mufce Anny, oraz drugi lis, zarzucony na jej ramionach jako boa, podniecały szczególnie ciekawość młodych i starych Tatarek; dzieci albo uciekały w przestrachu, albo żebrały o kopiejkę; dziewczęta niektóre też się chowały i dopiero przez drzwi przymknięte świdrowały nas ciekawymi oczkami, cofając się i kryjąc twarz przy spotkaniu się z naszym spojrzeniem, inne wszakże nie bały się nas wcale, i owszem, śmiały się figlarnie widząc, że się im przyglądamy. Kobiety starsze mniej malowniczo się ubierają i fezów nie noszą wcale – zapewne jest to przywilej dziewczęcy. Bardzo charakterystyczna w Teodozji jest niezmierna ilość psów zdziczałych, włóczących się po mieście. Jest to też pono jeden z atrybutów kultury mahometańskiej. Psy są najrozmaitsze, ale przeważają szarobrunatne, podobne nieco do wilków. W dolnym mieście jest ich względnie mniej, za to w dzielnicy tatarskiej w górach jest ich co niemiara; ludzi wszakże w mieście nie zaczepiają, snują się jeno wszędzie, że rują i gryzą się między sobą zajadle. Podobno, jak mi opowiadał dorożkarz wczoraj, hycle je łapią i tępią, ale nie mogą wytępić, bo z wiosek zbiegają się coraz nowe zastępy tych zwierząt. Podobno Tatarzy nie zabijają wcale szczeniąt, toteż wszystkie, które się po wioskach tatarskich rodzą, rosną, a potem, nie karmione, uciekają do miasta. Dzielnica tatarska, którą dziś poznałem, sprawiła na mnie mocne wrażenie. Pierwszy raz ujrzałem żywe istotne miasto wschodnie. Dzielnica ta ma w Teodozji jakieś swoje życie odrębne; jest to miasto w mieście i *notabene* miasto prawie wyłącznie kobiece. Zawojów na twarzach tutejsze kobiety tatarskie nie noszą. Mieszkają w tej dzielnicy i inni ludzie, nie-Tatarzy, ale w bardzo niewielkiej ilości i tylko najubożsi. Nie ma tu żadnych magazynów czy kram, żadnego ruchu handlowego. Jest to miasto li tylko mieszkalne, zupełnie odrębne od reszty Teodozji. Tu mężczyźni-Tatarzy, po całodziennej pracy w dolnym mieście, wracają wieczorami do swych gniazd i rodzin, do swych zwyczajów rodzimych i tradycyjnej kultury, zrywając co wieczór związek z kulturą i środowiskiem europejskim, które dominują w dolnym mieście. Tu się przechowują w stanie dość czystym stare zwyczaje i stara kultura tatarsko-mahometańska, która już z właściwego miasta ustąpiła. Tylko dzięki temu faktycznemu odosobnieniu dzielnicy tatarskiej ten typowy szczątek Wschodu mahometańskiego, niegdyś dominujący w kraju całym, zdołał przetrwać żywym w bezpośrednim sąsiedztwie wręcz odrębnej i mocniejszej cywilizacji. Dzielnica tatarska a miasto dolne – to dwa światy, przeciwne sobie, a jednak cudownie się godzące na tym Wschodzie Czarnomorskim.

14 (27) lutego, rok 1913, czwartek
Zaiste jest pewna specjalna kultura czarnomorska, niepodobna ani do rosyjskiej, ani do europejskiej, ani też wyłącznie mahometańska. Składa się na nią przedziwna mieszanina ras, kultur i tradycji. Teodozja jest pod tym względem miastem typowym. Przedsiębiorczy i rafinowanie przebiegli Grecy i ruchliwi sprytni Ormianie grzebią się na tym śmietnisku ruin i wyzyskują niedbałość i apatię wymierającej kultury dawnych gospodarzy tego kraju, Tatarów. Zajęci li tylko geszeftem, ciągną zyski sprytnie, ale siły twórczej nie stanowią. Dawna kultura mahometańsko-tatarska, ongi władająca krajem, rozkłada się. Szczątki jej są żywe jeszcze, ale mocy zdobywczej – nie ma. Tatarzy, leniwi, dostarczają przeważnie kontyngentu najniższej ludności roboczej. Są wprawdzie i bogaci Tatarzy, ale jako masa są ciemni i bezwładni. O wiele większą żywotność posiadają oczywiście Karaimi, potomkowie dawnych Chazarów, groźnych rabusiów i włóczęgów Południa. Ujarzmieni ongi przez Tatarów, przyjęli oni ich język, ale przechowali narodowość, zwyczaje i religię judaistyczną. Zdaje się, że to jest jedyny

naród, który się nawrócił kiedyś masowo na judaizm, modyfikując wszakże nieco takowy na oryginalną modłę. Narodzik karaimski jest miniaturowy, rozproszony koloniami po naszej Litwie, Białej Rusi, Wołyniu i Galicji, a skupiony nieco mocniej w Krymie i zwłaszcza w Teodozji. Narodzik ten nie posiada własnego terytorium etnograficznego; jego trwanie opiera się ani na terytorium, ani na języku, ani na jakiejś koncepcji państwowej, jeno na sile i zwartości zwyczajów i religii. Sami Karaimi obliczają siebie na 10 000 głów, a liczba ta jest pono przesadzona, niż za mała. Choć tak nieliczni, są oni jednak energiczniejsi i silniejsi narodowo, a zwłaszcza ekonomicznie, od Tatarów; odznaczają się solidarnością, pracowitością i wytrwałością. Ogarnęli oni prawie cały handel miejski w Teodozji, a do nich też należą tacy bogacze, krezusy Teodozji, jak sławny tu Stamboli. Zwiedziłem dziś dzielnicę, czyli „słobódkę" karaimską. Zewnętrznie niczym się nie różnią od innej ludności miejscowej. W przeciwieństwie do Tatarów, ich odrębna narodowość i kultura opiera się oczywiście nie na cechach zewnętrznych, ale na wewnętrznej organizacji psychicznej. Żadnej architektury odrębnej, a tak charakterystycznej, jak u Tatarów, żadnych właściwych strojów własnych – u Karaimów nie dostrzegłem i o takowych nie słyszałem. Domki w dzielnicy ich są budowane albo na wzór ogólnych szablonów miejskich w Teodozji, albo, rzadziej, na wzór tatarski, ale bez cech odrębności specjalnej. Nie mają też odrębnego języka. Są dalej w Teodozji Żydzi, i to Żydzi dwóch odrębnych zupełnie społeczności i kultur, niejako dwie odrębne narodowości żydowskie. Jedna – to Żydzi nasi, zwykli, tacy, jakich my tu mamy, ci sami nawet; to Żydzi europejscy, czyli raczej ich kategoria specjalna, mogąca byś określona nazwą Żydów litewskich, bo w Litwie ten ich typ jest najlepiej uwydatniony i rozwinięty; to Żydzi zwani inaczej „Litwakami" (zastrzegam się, że nie używam tej nazwy w znaczeniu ujemnym, pogardliwym – wzorem antysemickiej terminologii warszawskiej); ci Żydzi litewscy, Żydzi pospolici są tu w Krymie elementem napływowym, choć coraz liczniejszym; mają oni pewne europejskie pojęcie odrębności narodowościowej, które się u nich powszechnie coraz bardziej wykrystalizowuje, posiadają kulturę, mają swoją własną inteligencję, garną się do wiedzy i cywilizacji ogólnej. Równolegle istnieje inna społeczność żydowska w Krymie; są to Żydzi miejscowi, od wieków tu osiadli; ulegli oni dominacji tatarskiej, a przeto i wpływom kultury wschodniej; mówią oni żargonem tatarskim, są o wiele niżsi w rozwoju kulturalnym od swych współwyznawców „Litwaków"; Żydów tych zowią tu „Krymczakami"; „Krymczaki" mają tu swoją osobną synagogę, osobny cmentarz od Żydów litwackich, choć religia ich jest identyczna; do Żydów „litwackich", czyli zwanych tu powszechnie rosyjskimi, „Krymczaki" żywia pewną niechęć, w każdym razie uważają siebie za odrębną społeczność; ze strony natomiast Żydów rosyjskich są usiłowania do podniesienia poziomu kulturalnego Krymczaków, wcielenia ich do ogólnożydowskiego ruchu narodowego. Żydzi tu, wespół z Karaimami, dzierżą handel miejski w ręku. Największą wszakże bodaj siłę twórczą stanowią tu, jak zawsze Europejczycy zachodni, a więc w organizacji wielkiego handlu eksportowego przeważnie Francuzi i Niemcy, w organizacji zaś wytwórczości rolnej wewnątrz kraju – Niemcy-koloniści, którzy się coraz bardziej wysuwają na czoło ludności rolniczej w Krymie. Ze wszystkich zaś tu obecnych narodowości najważniejszą bodaj rolę grają, zdaje się, Rosjanie, do których należy tu obecnie władza polityczna. Zapełniają oni sobą urzędy, posady mniej lub więcej oficjalne, skądinąd dostarczają imigracji napływowej na zarobki do miast, na usługę osobistą i zwłaszcza dostarczają bogatego elementu letniskowego. Twórczej wszakże roli w organizacji życia krajowego Rosjanie tu nie odgrywają. To sprawia, że panowanie rosyjskie jest tu tylko zewnętrzne, formalne i jako takie nie wiąże kraju tego organicznie z Rosją. Związek między Krymem a Rosją zachodzi może raczej przez drogi wywozu handlowego, bo Krym i Morze Czarne jest

wielkim pośrednikiem między Rosją a Kaukazem oraz innymi krajami Morza Czarnego i Śródziemnego, ale politycznego organicznego związku z Rosją kraj ten nie ma. Usunięcie dominacji rosyjskiej i zastąpienie jej przez inną, a zwłaszcza przez samorząd autonomiczny czy też rządy niepodległe, nie zmieniłoby tu oblicza kraju tego, chyba tylko że ustałby esperanto rosyjski. Obecność Rosjan jako takich nie jest tu w życiu krajowym konieczna: nie potrafili oni stać się niezbędnym czynnikiem twórczym. Krym może jeszcze kiedyś w przyszłości stworzyć nie mniejsze niespodzianki i komplikacje w stosunkach międzynarodowych europejskich, niż te, jakie wciąż wybuchają na Bałkanach. Dopóki potęga Rosji tu się nie zachwiała, władza jej pozornie trwa, ale w istocie kraj ten integralnie się do Rosji wcielić nie dał. Oprócz powyższych, jest tu jeszcze dużo innych narodowości, zwłaszcza spośród ludów kaukaskich. Ciekawe tu jest miasto przeróżnych świątyń. Są prawosławne rosyjskie i greckie, są świątynie ormiańskie, kościół katolicki (*notabene* w typowym gmachu meczetu z pięknym nietkniętym minaretem), świątynia luterska, domy modlitwy menonistów, sztundystów, synagogi karaimska, żydowska i Żydów-Krymczaków, meczety. Nie zwiedzałem ich, bo czasu nie miałem, jeno się o nich dowiedziałem. Zwiedziłem dziś we dnie muzeum starożytności teodozyjskie, zalokowane w gmachu w stylu greckim starożytnym, położonym na wysokiej górze, dominującej nad miastem, a zwanej Górą Mitrydata. Są tam przeważnie ułomki architektoniczne oraz naczynia z epoki starogreckiej, bizantyńskiej, dominacji Genueńczyków, wreszcie okresu turecko-tatarskiego. Są rzeczy ładne, ale niezbyt dużo. Zwiedzenia wszakże to warte, bo charakterystyka kultur, które się tu zmieniały, jest b. ciekawa. Z gór śliczny widok na miasto białe i na Morze Czarne. Morze Czarne w słońcu istotnie ma odcień czarniawy. Barwa morza tego wielce się różni od barwy Bałtyku. Teodozja – to dawna Kaffa. Dowiedziałem się, że i dziś lud miejscowy tak ją nazywa, nawet Rosjanie z ludu, którzy tu osiedli: wymawia dziś lud tę nazwę: „Kachna”, przy czym dźwięk „a” między „K” i „ch” zmiękscza się nieco i przechodzi w dźwięk „e”.
Przyszła dziś wreszcie chwila rozstania się z Anną, bo późnym wieczorem opuściłem już Teodozję, dążąc koleją na północ – do Ojczyzny mojej. Zajęty byłem spisywaniem tylu innych nowych wrażeń, których w tej podróży doznałem, że na moje wrażenia osobistego stosunku z Anną nie było miejsca. A było nam ze sobą dobrze, serdecznie, tak miło i tak swojsko, jak tylko wśród ludzi tak się kochających jak my być może. Osobiste wspomnienia tej podróży we dwoje, wspomnienia stosunku naszego z tego czasu zaliczę na zawsze do pięknych wspomnień szczęścia. Choć przekomarzaliśmy się czasami, choć Anna się dąsała na mnie, gdy ją zbyt ciągałem po gliniastym błocie biednej słobódki tatarskiej, jednak nic poważniejszego nie zmąciło pogody naszego stosunku i szczęścia. Byliśmy zawsze ze sobą i dla siebie wśród najliczniejszych wrażeń. Z bólem rozstaliśmy się na czas tak długi. Żalem mi się ściska serce na myśl, że nawet tej rączki mojej Anny mieć w dłoniach nie będę ani jej oczu typowych, tych pięknych nie ujrzę, ani oddechu jej na sobie nie poczuję – przez trzy miesiące.

15 (28) lutego, rok 1913, piątek
Smutno mi już i tęskno bez Anny. Jadąc do Krymu, z nią wciąż gawędziłem, z nią przez okno patrzałem, z nią razem obserwowaliśmy kraje i ludzi, których w drodze spotykaliśmy, wspólnie dzieliliśmy wrażenia nasze oraz kłopty i niewygodę podróży, słowem – żyliśmy i podróżowaliśmy we dwójkę wspólnie. Teraz odbywać musiałem tę samą długa podróż powrotną – samotnie. Co chwila mi jej brakło, co chwila doznawałem uczucia pustki. Tam bawiło mię i radowało opiekowanie się Anną, wspólne jedzenie w wagonie, wspólna myśl, wspólny frasunek; teraz – sam dla siebie i ze sobą tylko. Toteż z kilku większych stacji wysłałem kilka pocztówek do Anny,

uzupełniając choć w ten sposób luki tęsknej samotności. Nie jestem tez zupełnie pewny tego, czy klimat Teodozji istotnie posłuży skutecznie Annie. Sądziłem o tym klimacie, że jest łagodniejszy i cieplejszy, niż się przekonałem naocznie. Słońce tam wprawdzie pięknie świeci, ale powietrze dość ostre i duże są przejścia od ciepła dziennego do chłodu nocnego, do czego my, ludzie znad Bałtyku, przyzwyczajeni nie jesteśmy. Poza tym, Teodozja ulega podobno bardzo ostrym i przenikliwym wiatrom, które, gdy są chłodne w zimie, mrożą i w każdym razie studzą na wskroś ciało przez odzienie i mieszkanie przez ściany, a gdy są gorące latem, sprawiają zawieruchy kurzu i piasku. Tej ostrości klimatu boję się dla Anny. Zresztą drogę z Wilna do Krymu zniosła ona znakomicie i w Teodozji nie czuła się osłabiona, spała dobrze i wyglądała wcale zdrowo. Poza tym, oprócz wrażenia samotności i troski o zdrowie Anny, męczy mię perspektywa tak długiego fizycznego oddalenia Anny ode mnie. Nie myślę tu o stosunku płciowym, bo ten w obecnym stadium związku naszego nie gra już ani w przybliżeniu tej roli, jaką grał zimy ubiegłej i nie jest bynajniej względem ważnym (zdaje się, że obecnie dla mnie w stopniu o wiele mniejszym, niż dla Anny), ale o całokształcie fizycznej bliskości naszej: Annę kocham i chcę posiadać całą; nie tylko samo obcowanie psychiczne mię zajmuje, ale i wszystko, co jest nią i w czym się ona wyraża, a więc jej mimika, intonacja głosu, wzrok, oddech, plastyka kształtów, ręce, jej uścisk, jej włosy, jej ruchy, dalej nasze sprzeczki, nieporozumienia, podrażnienia Anny – wszystko, nie wyłączając jej kaprysików i przelotnej żywej gry jej humoru, uczuć, wrażeń itd., co przy oddaleniu fizycznym się zatraca. Korespondencja listowna w ogóle nigdy nie jest zdolna do zastąpienia obcowania bezpośredniego, zwłaszcza w związku miłości, a tym bardziej u nas z Anną, gdy się posługiwać musimy gwarą niemiecką, którą ani ja, ani ona dobrze nie władamy. W rozmowie, w obcowaniu ustnym – braki te nie grają już dla nas żadnej roli, bo wszelkie luki uzupełniamy czy to znanymi nam obojgu wyrazami polskimi, litewskimi czy łotewskimi, czy sposobem opisowym, czy gestem i rozumiemy się bez zastrzeżeń, ale co innego w słowie pisanym. Tam obcowanie nasze wciąż utyka na języku i idzie jak po grudzie.
Wyjechałem z Teodozji wczoraj koło godz. 11 w nocy tak samo III klasą, jakem przyjechał z Anną. Marszrutę wszakże mam teraz inną, prostszą widocznie, krótszą i wygodniejszą niż na Połtawę i Kijów. Jadę zresztą teraz nie do Wilna, ale na Mińsk do Wiązowca. Marszruta wypada *directe* przez Łozową na Charków, stamtąd na Worożbę i Bachmacz, skąd już Koleją Libawską na Mińsk. Cała podróż koleją aż do samych Radoszkowicz trwać będzie akurat dwie doby. W Teodozji siadłem do wagonu, który się w Dżankoj (bez przesiadania) przyczepia do pociągu idącego wprost z Sewastopola do Petersburga. Wagon ten ma platzkarty (miejsca numerowane) z osobną dopłatą. Lubię w ogóle odbywać podróże w miejscowościach nieznanych w klasie III. Choć jest niej wygodnie, ale z pewnych względów ciekawiej. Publiczność, którą się tam widzi, choć może mniej potrafi udzielić informacji w rozmowie, ale za to sama daje bogaty materiał do obserwacji bezpośredniej: mam wtedy bowiem przed sobą ten właśnie lud, o którego poznanie mi chodzi. Teraz wszakże, jadąc z Teodozji do Charkowa w wagonie platzkartowym, miałem tez tylko platzkartową publiczność, to jest nie tę z właściwego ludu miejscowego, ale albo o stopień wyższą, przynajmniej półinteligencką, bardziej obytą i skosmopolityzowaną, albo złożoną z rozmaitych elementów przejezdnych, pędzących po świecie w jakichś interesach okolicznościowych. Obudziłem się rano już poza Krymem właściwym, w Taurydzie Północnej. Za najbliższych współlokatorów wagonu miałem osoby następujące: jakiegoś niewyraźnej narodowości pana, mieszkańca Kowna, wracającego z Teodozji, dokąd jeździł w jakichś interesach handlowych, dalej jakiegoś bodaj czy nie Żyda z Kerczu, widocznie handlowca, dalej jakiegoś urzędniczka, zdaje się pocztowego,

wreszcie agenta Towarzystwa Okrętowego Czarnomorskiego z Teodozji, Rosjanina mówiącego akcentem „chochłackim”. Oprócz podróżnego z Kowna, reszta, choć nie należała do właściwego ludu miejscowego, składała się jednak z ludzi zamieszkałych stale w Krymie. Rozmawialiśmy trochę; dzielili się oni rozmaitymi wiadomościami o sprawach i interesach miejscowych, udzielali mnie informacji o Krymie, poruszaliśmy tez po trochę rozmaite tematy ogólniejsze z dziedziny polityki i spraw międzynarodowych. I oto bądź co bądź uderzył mię jeden zwłaszcza szczegół charakterystyczny: ludzie ci, nie wyłączając wojen, nie mają żadnego uobywatelnienia rosyjskiego. Nie tylko że nie pałają specjalną miłością do obecnych rządów rosyjskich, ale wprost nie mają wyraźnego poczucia związku z Rosją. Przeciwstawiają kraj ten Rosji, mówią o Rosji i sprawach rosyjskich jak o czymś, co nie jest bezpośrednio ich sprawą. Jeżeli nie ma u nich dziś wyraźnej i czynnej świadomości odrębnego obywatelstwa krymskiego, to znaczy świadomości autonomicznych, to niewątpliwie jednak, że instynkt, czyli nieuświadomiony zmysł autonomiczno-krymski, czyli obywatelski, jest w nich i że zabarwia on w sposób odpowiedni całą ich psychologię i ich stosunek do państwa. Ludzie ci są bądź co bądź obywatelami nie Rosji, ale Krymu, który w ich umyśle, jak w ich praktyce życiowej, stanowi jednostkę odrębną, nie stapiającą się z Rosją. Nie jest to tylko, jak zauważyć zdołałem, poczucie prowincjonalizmu, ale określony i wyraźny zmysł właśnie autonomiczny. Przeciąwszy gub. jekaterynosławską, wjechaliśmy o zmroku do charkowskiej. Lud właściwy obserwować mogłem tylko przez okna wagonu. O godz. 8 wieczorem byliśmy już w Charkowie, gdzie przesiedliśmy do pociągu na Bachmacz i zaraz odjechaliśmy.

16 lutego / 1 marca, rok 1913, sobota
Obudziłem się już w Bachmaczu, gdzie wagon nasz, idący z Charkowa, został przyczepiony do pociągu Kolei Libawskiej. Wkrótce w gromadce nas, podróżnych tego samego wagonu, zawiązała się wspólna rozmowa. Było nas siedem osób: ja, ten sam nieokreślonej narodowości mieszkaniec Kowna, jadący ze mną od samej Teodozji, bodaj czy nie Łotysz czy Niemiec nadbałtycki, choć z wyglądu bardziej podobny do jakiegoś Ormianina, dalej piękny rosły mężczyzna w sile wieku o wyrazie twarzy energicznym, o lekkim akcencie mowy ukraińskim, z pozoru chłop, a z wykształcenia kompletny inteligent, bodaj czy nie pracownik ziemski, znający znakomicie całą gub. charkowską i zwłaszcza stosunki włościańskie, dalej jakiś obskurny Rosjanin czy Tatar krymski podający się za Rosjanina, a włóczący się po świecie z wędrownym kinematografem, osobistość budząca odrazę, opój i błazen, starający się podszyć pod ton zebranych, a z gruntu jawny brutal, kłamca i tchórz, dalej dwóch żołnierzy, jadących na urlop do domu na Białoruś, jeden z Kaukazu, a drugi – z Krymu, i wreszcie jakiś młody wyrostek-chłopek spod Homla, słuchający wszystkiego uważnie, przemawiający rzadko, ale rezolutnie i do rzeczy, jakiś obdarzony sporym zasobem wrodzonej inteligencji. Rozmowa była ciekawa i czas płynął szybko. Zaczęło się od omawiania kwestii ewentualnej wojny, wciąż od jesieni wiszącej na włosku, a jakoś nie mogącej się wreszcie przechylić na szali skomplikowanej gry interesów międzynarodowych, z tego tematu przeszliśmy dalej na rządy wewnętrzne w Rosji itd., itd. Nadzwyczaj ciekawe jest zjawisko, że wszędzie powszechnie w Rosji jest olbrzymie niezadowolenie z rządów istniejących, niewiara do legalizmu władz, wszędzie duch krytyki i nienawiści do istniejącego ustroju, do metod rządzenia, do siły i sprawności Rosji. Można rzec, że cały lud jest podminowany wrogim nastrojem do państwa, a przynajmniej rządu. Nie wiadomo, na jakich elementach opiera się rząd i stronnictwa prawicy rządowej. Elementów tych spotkać niepodobna, a przynajmniej spotkanie takowych należy do fenomenów. Wszyscy, czy to inteligencja, czy chłopi,

czy żołnierze nawet uważają rząd w państwie za nieprawy, zły, szkodliwy, opierający się jeno na przemocy, za złodziejski nawet. Duch roku 1905 nie ulotnił się z nastroju ludności w państwie. W każdym razie, szczerego przekonanego lojalizmu, zapału dla Rosji, jaką ona jest obecnie, solidarności z rządem – ze świecą chyba szukać. Dopóki ludzie się nie znają, to, potrącając o kwestie polityczne, są ostrożni i powściągliwi; ale jak tylko się zwąchają, jak poczują, że nie ma wśród nich poplecznika rządu, wnet tryska krytyka jak najostrzejsza, a zawsze posłuch i uznanie budząca. Zdawałoby się, nic dziwnego, że nastroje takie są powszechne wśród ludności „obcoplemiennej", to znaczy nie-rosyjskiej, jak u Polaków, Litwinów, Łotyszów itd. Ale gdzież tam – u samych Rosjan nie mniej. Bo te miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, i ci ludzie, którzy tej udział brali – to nie „obcoplemienne". Tak ten inteligent, co mówił z „chochłacka", jak chłopek spod Homla, jak żołnierze, to nie byli ani jacyś „obcoplemieńcy" wyraźni, jakimi są Polacy czy Litwini, ani też świadomi narodowo Ukraińcy czy Białorusini. Wszyscy właściwie byli w retorcie rosyjskiej urobieni na Rosjan! Gdzież więc szukać tych „ludzi prawdziwie rosyjskich, tych milionów wiernych poddanych i sług Ojczyzny Carskiej! Dotąd znam tylko jedną ich kategorię – to część kresowych urzędników-Rosjan, ale i to właściwie jako elementy karierowiczowskie z ich łona. Kraj między Charkowem a Mohylowszczyzną zrobił na mnie w ogóle wrażenie kraju już bardzo zruszczałego kulturalnie, właściwie już rosyjskiego. Gubernie charkowska, czernihowska – choć to niby Ukraina i niby przejście do Białej Rusi, ale zdaje się, że to już Rosja najrzeczywistsza. Oczywiście, spostrzeżenia moje są bardzo powierzchowne i przelotne, nie mogące sięgnąć w głąb psyche tej ludności, ale bądź co bądź różnica między tym krajem a Ukrainą prawobrzeżną czy gub. połtawską, czy nawet jekaterynosławską jest pod względem narodowego oryginalnego zabarwienia kultury nawet na ogólnikowy rzut oka – olbrzymia. O wiele więcej charkowska i czernihowska zakrawają na Rosję, niż na Ukrainę. W pobliżu Homla ujrzeliśmy już pierwsze lasy, zwiastuny naszej Białej Rusi; w Homlu już lokaj w bufecie przemówił do mnie po polsku. Im dalej, tym bardziej docieraliśmy do rdzennej Białej Rusi. Oto już inne twarze włościan, inne kożuchy, siwe baranki na czapkach, inne brzmienie mowy. Wyrazy twarzy chłopskich słodsze, brody coraz częściej golone, kożuchy bez fałdowania z tyłu, bez tej jakiejś talii i kończyny na modłę spódnicy. Lud jakiś jakby bardziej zmęczony, cichszy, spracowany, szlachetniejszy w obejściu. Witaj, Biała Rusi, Ojczyzno moja, mleczna siostro Litwy! Kiedyż się obudzi ta wielka masa dzieci białoruskich, ujmie ster spraw swoich w ręce własne i w myśl hymnu poety Kupały upomni się o swą godność i wolność ludzką! Kiedyż wzorem Litwinów i Łotyszów stanie do wielkiego apelu Odrodzenia, zbuntuje się przeciwko panom swoim i wytworzy wolny naród obywateli lub przynajmniej ideał takowego, do którego odtąd niezłomnie kroczyć będzie!
Po północy pociąg mój dotarł do Radoszkowicz. Byłem u kresu mojej podróży. Jakże to już daleko byłem od Krymu i od mojej Anny ukochanej! W Radoszkowiczach zastałem Jaśka z koniem, ale nie jechałem dziś do Wiązowca, jeno zanocowałem.

17 lutego / 2 marca, rok 1913, niedziela
Po przenocowaniu w zajeździe żydowskim przy stacji kolejowej wyjechałem rano z Jaśkiem do Wiązowca. Dzień był słoneczny, piękny i wesoły, mróz ostry kilkunastostopniowy z silnym wiatrem, sanna znakomita. Po raz pierwszy bodaj miałem dobrą drogę do mego Wiązowca. W Wiązowcu zastałem wszystko w należytym porządku. Ze słów Biesiekierskiego dowiedziałem się, że eksploatacja lasu przez kupca postępuje energicznie, robota kipi, korzystając z dobrej drogi sannej.

Już wczoraj wieczorem dowiedziałem się w Radoszkowiczach o śmierci i pogrzebie śp. wuja Józefa Wołodkowicza. Umarł, zdaje się, we wtorek 12 lutego. We czwartek ciało jego przywieziono pociągiem pośpiesznym z Wilna do Radoszkowicz, w piątek zaś nastąpił pogrzeb uroczysty na cmentarzu parafialnym przy miasteczku Radoszkowiczach. Był to charakter niepospolity, butny i gwałtowny; awanturnik nieposkromiony, natura dzika i prosta, nie dająca się ujarzmić żadną kulturą. Miał temperament, fantazję, ani krzty zalet społecznych. Eksportacja z dworca kolejowego i pogrzeb odbyły się z wielką pompą. Liczny był zjazd rodziny i ziemiaństwa spokrewnionego z rozmaitych stron kraju, olbrzymie też masy ludu, zwołanego, a częściowo i spędzonego przez młodych Wołodkowiczów na tę ich uroczystość żałobną. Wołodkowiczowie, z właściwą ich naturze pierwotnej i nieskomplikowanej naiwnością, lubują się w świetnym *decorum* zewnętrznej okazałości. Masy ludu na pogrzebie potrzebne im były dla uświetnienia uroczystości, dla splendoru dekoracyjnego. Sprowadzone były te masy za cenę wódki, którą im lano do syta, liczna zaś służba, robotnicy, oficjaliści, dzierżawcy itd. z licznych dóbr Wołodkowiczowskich otrzymali nakaz stawienia się. *Decorum* było zainscenizowane umiejętnie z właściwą Wołodkowiczom sprężystością: stworzone zostało widowisko powszechnego żalu maluczkich, opłakujących śmierć pana, który był dla nich za życia jak najcięższym i jak najbezwzględniejszym; a z tym się Wołodkowiczowie nie liczą, że te masy, spędzone za cenę wódki, znakomicie pojmują wartość tej inscenizacji i, pijąc za duszę zmarłego, przyglądają się komedii pańskiej i kpią sobie z tych naiwnych uczuć teatralnych, rozgrywanych wobec trupa ojca.

18 lutego / 3 marca, rok 1913, poniedziałek
W lesie kipi życie. Szafarz kupca korzysta z drogi sannej, ażeby jak najwięcej towaru na spław wywieźć. Przez całą prawie zimę nie było drogi, toteż robota leśna i wywóz drzewa postępowały żółwim krokiem. Za to teraz, w przededniu wiosny, przy dobrej, a już zapewne niedługiej sannie, pośpiech idzie na gwałt. Wszystko, co było wyrąbane, zostało już niemal wywiezione. Pozostały jeno najcięższe sztuki, za które furmanki włościańskie żądają cen najwyższych, oraz została po całym lesie sześciorka i „sobaczka", już wyrobione, ale zostawione do wywozu na ostatek jako najlżejsze i względnie najmniej wartościowe. W dni powszednie las roi się od ludzi, ścinających nowe sztuki i rozpiłowujących powalone na towar, oraz od furmanek, które od świtu do wieczora snują się po lesie i wywożą, co jest przygotowane. Co dzień walą się dziesiątki nowych sztuk, które natychmiast po zwaleniu są rozcinane i wywożone. Biesiekierski z Jaśkiem ledwie zdążają zacechować, zanumerować i obliczyć towar dla wymiany kartek kwitacyjnych z szafarzem. Dwaj szafarze są w ciągłym ruchu. Wyznaczają włościanom sztuki do cięcia, zaznaczają na powalonych pniach miejsca, gdzie mają być one rozpiłowane, taksują, notują i sprawdzają wywóz. Biesiekierski z Jaśkiem mają oprócz tego dozór nad furmankami, aby lasu nie uszkodziły, nad rąbiącymi, aby spuszczali sztuki należycie, a szafarze prócz tego mają wypłaty, mają ciągłe kwestie z robotnikiem itd. Las się roi, żyje, wre. Ciągłe krzyki, nawoływania, popędzanie koni, trzask padających sztuk. Robota w pełnym toku. Włościanie mają zarobek świetny, ceny furmanek bardzo wysokie, bo naokoło mnóstwo lasów się jednocześnie eksploatuje, a sanna trwa krótko. Ale hulają też włościanie i piją nad miarę. W wiosce Trusewiczach, gdzie zamieszkali szafarze i gdzie się dokonywają wypłaty, u każdego gospodarza jest wyszynk wódki; gospodarze trzymają i sprzedają wódkę, pokupowali też beczkami śledzie, aby je sprzedawać do zakąski; szynkują i piją sami. Pieniądze się leją, jak się leje wódka; włościanie mają zarobku dziennego z lasu czasem po 5 i nawet więcej rubli. Gdyby lwia część tych pieniędzy nie ulatniała się i nie

zasilała kasy państwowej na monopol wódczany, to podniesienie dobrobytu włościańskiego z zarobków tych mogłoby być znaczne. Ale chłop-Białorusin jest niefrasobliwy i nie umie być skrzętnym w gospodarce pieniężnej. Gotówka jest dla niego przeważnie zbytkiem, źródłem doraźnej uciechy; toteż gdy ją czuje w kieszeni, to hula szeroko, bez troski o jutro, które przecie w jego pojęciu nie będzie innym, niż było dotąd, gdy gotówki tej nie było. Na tym niskim poziomie kultury ekonomicznej włościan naszych chłop nie zna kapitalistycznej wartości pieniędzy lub zna takową bardzo mało. Brak mu dotąd zmysłu kapitalistycznego, toteż taki okolicznościowy napływ pieniędzy sprawia jakiś powszechny szał użycia – i tylko. Niejeden wprawdzie coś z tego skorzysta trwalej, ale o ileż więcej się zmarnuje. Włościanie mają złoty czas, żartują, że nie potrzeba im teraz Ameryki, bo mają Amerykę u siebie. Hulają, używają pełni życia, na jaką ich stać. Są jak dzieci. Nie jest to właściwie jakaś szczególna cecha charakteru, jeno cecha poziomu kultury i niskiego stopnia gospodarki pieniężnej. Bo przecie ci sami włościanie umieją być skrzętni i zabiegliwi w robocie na roli i w dobytku. A że piją, to dlatego, że wódka daje im uciechę największą ze znanych im. Puszczają pieniądze nie dla wódki samej, ale dla uciechy, którą w niej znajdują. Szkoda, że niedostępne i nieznane im są jeszcze uciechy szlachetniejsze. Nie ich to wszakże wina.
Pies Bryś jest „oszelmowany", co sprawia Biesiekierskiemu wielkie strapienie. „Oszelmowany" – to znaczy, że ktoś dla swawoli czy przez złośliwą intencję wystrzygł mu kawały sierści na karku, wskutek czego pies wygląda, jakby miał kark oparzony czy chory na krostę. Takie „oszelmowanie" uchodzi tu za wielką krzywdę dla właściciela psa i wielką zbrodnię ze strony sprawcy. „Oszelmowanie" psa sprawia wstyd dla gospodarza. Sprawca jest oczywiście nie wykryty. Biesiekierski jest tym strapiony; posądza o „oszelmowanie" szlachcica Wieliczkę z Trusewicz – przez złość.

19 lutego / 4 marca, rok 1913, wtorek
Dzień minął w Wiązowcu jak zwykle. Do obiadu nachodziłem się dużo po lesie, towarzysząc Biesiekierskiemu i szafarzowi w czynności tzw. „przyjmowania" towaru od robotników. Dla szafarza kupca czynność ta polega rzeczywiście na przyjmowaniu roboty, wykonanej przez robotników rąbiących drzewa i rozpiłowujących towar, dla nas zaś jest ona rejestrowaniem towaru, stanowiącym podstawę do kontrolowania spławu i do obrachunku z kupcem. Chodziliśmy więc po lesie od pnia do pnia: Biesiekierski i szafarz notowali towar, wyrobiony z każdej sztuki ściętej, Jasiek numerował drzewo, inny włościanin stemplował drzewo cechą. Dokoła pełno sań i włościan, czekających na dokonanie „przyjęcia", aby sztukę przyjętą zabrać i wywieźć; mnóstwo się ich snuje z nami, inni gwarzą grupami, inni ładują drzewo na sanie, inni już je wywożą. Od wczesnego rana padał śnieg i szalała zawieja. Mróz stopniowo padał i wreszcie ustał zupełnie; nastała natomiast odwilż. Sanna już lada dzień się może zepsuć. Szafarze śpieszą gorączkowo z rąbaniem i wywożeniem drzewa. Codziennie kilka par włościan wyrabuje drzewa, codziennie po kilkadziesiąt sztuk się przyjmuje i zaraz tegoż dnie wszystko jest rozchwytywane przez furmanki i wywiezione na brzeg rzeki. Ogółem dotąd wywieziono przeszło 1800 sztuk (oprócz sześciorki i „sobaczki", których jeszcze nie wywożono). Szafarz się śpieszy, aby choć do 2000 sztuk dopędzić, nim droga nie ucieknie.
Z drogi jeszcze i z Teodozji wprawiłem się do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się, tak że teraz budzę się przed świtem po ciemku i już spać nie chcę, a za to z wieczora oczy mi się kleją i senność ogarnia straszliwa. Po obiedzie tez walczyć muszę z sennością. Może to skutek wiosny, która zawsze pobudza mię do senności. Nie wiem, dlaczego się tak dzieje, że na wiosnę więcej potrzebuję snu niż w innej porze

roku. Na wiosnę wszystkie zmysły intensywniej funkcjonują i może dlatego więcej wymagają spoczynku, więcej snu dla kompensaty swej wzmożonej wydajności.

20 lutego / 5 marca, rok 1913, środa
Dzień mokry, mglisty. Odwilż. Śnieg topnieje, sanna ucieka. Wywóz lasu jeszcze się odbywa, ale już wisi na włosku. Szafarz kupca nakazał już zaniechać rąbania nowych sztuk. Od rana Biesiekierski z Jaśkiem zajęci byli przyjmowaniem, tj. cechowaniem, numerowaniem i rejestracją towaru, wyrobionego ze sztuk ściętych. Na skutek przykrej wilgotnej pogody byłem w usposobieniu marnym. Leniłem się iść do lasu i w ogóle czułem się niezdarny do jakiejkolwiek czynności. Wreszcie poszedłem do lasu i włóczyłem się wśród pni i drzew powalonych, towarzysząc robocie przyjmowania drzewa. Biesiekierski też był coś kwaśny (może i jego pogoda źle usposabiała) i zdradzał skłonność do gderania mnie nawet i do krytyki moich rozporządzeń leśnych. Gdy trochę przesolił, potem widocznie się sam przestraszył i wydawał się po powrocie do domu zaniepokojony, trochę jakby zdetonowany i z lekka nadskakujący. Nie zrobiłem mu żadnej uwagi, ale wyjeżdżając pożegnałem go trochę chłodniej niż zwykle. Koło godz. 4 ½ opuściłem Wiązowiec, dążąc wreszcie do Wilna na Nowy Dwór, chciałem bowiem złożyć tu na miejscu wizytę kondolencyjną cioci Łucji Wołodkowiczowej po świeżej śmierci jej męża. Odwiózł mię, jak zwykle, Jasiek. W Nowym dworze nikogo już z gości pogrzebowych nie ma. Zostali tylko inwalidzi spośród rodziny samej: s. Łucja zmęczona po stracie męża, troskach tak długiego czuwania przy chorym i pogrzebu, Zuńka Chełchowska, leżąca w łóżku wskutek przeziębienia, Lolo Wołodkowicz, chory pono na anginę, i jedyna zdrowa – Maryńka Wołodkowiczówna. Spędziłem u nich wieczór i zanocowałem. Dom w Nowym Dworze staroświecki, wygodny, nawet dość okazały, a przynajmniej dostatni w urządzeniu wewnętrznym. Robi wrażenie typowego zasobnego gniazda szlachecko-ziemiańskiego, jakich coraz mniej w kraju. Zamożna szeroka własność szlachecko-pańska, tak dawniej powszechna, dziś już coraz rzadsza i rzadsza. Miejscami jakby olbrzymie plamy tłuszczu na chudopacholskiej ziemi naszej rozciągają się latyfundia magnackie, dokoła powszechnie roją się masy włościańskie, coraz gęściej rozsiewa się niewielka własność folwarkowa półpanków i półinteligentów, stanowiących liczną i pracowitą kategorię ludności, a oazy dostatnich typowych dworów szlachecko-ziemiańskich coraz rzadsze.

21 lutego / 6 marca, rok 1913, czwartek
O świcie wstałem i wyjechałem z Nowego Dworu na pociąg do Radoszkowicz. Wiózł mię stary Tomasz, stary sługa, który przesłużył w rodzinie naszej lat koło 40. Przez lat 20 służył wpierw krótko lokajem, potem furmanem u dziada mego Mieczysława Tukałły i u syna jego, wuja Ignacego, a następnie przesłużył 17 lat furmanem w Nowym Dworze u starych Wołodkowiczów. Jest typowym starym sługą, znającym nas wszystkich jeszcze z naszych lat dziecinnych i znającym na wylot wszystkie tajniki i szczegóły zakulisowe stosunków w całej naszej rodzinie. Gawędząc ze starym Tomaszem, po ohydnej drodze, po ślizgocie straszliwej – dojechałem na stację do Radoszkowicz, ale tak, że o mały włos się nie spóźniłem na pociąg. Żeby o dwie minuty później, już bym nie trafił.
Koło godz. 1 po południu byłem już w Wilnie. Z okazji wypadającej dziś jubileuszowej (300-letniej) rocznicy panowania dynastii Romanowów miasto udekorowane flagami i girlandami zieleni, na Placu Łukiskim parada wojskowa itd. W pismach ogłoszone streszczenie manifestu amnestii: zdaje się, że dla przestępców politycznych amnestia jest dość uboga. Uroczystościom ulicznym z powodu jubileuszu nie przyglądałem się.

Wszystkie te uroczystości, jak cały ten jubileusz – zainscenizowane, nakazane z góry, pełne obłudy i formalizmu.
W domu zastałem wszystko w porządku. Mam zdrowa, Marynia i jej dzieci – także. Marynia, która w zeszłym tygodniu była w Nowym Dworze i Radoszkowiczach na pogrzebie wuja Wołodkowicza i dowiedziała się tam, że mnie w tym czasie w Wiązowcu nie było, posądza, że cała moja podróż rzekoma do Kijowa była zmyślona i że może tam wcale nie byłem. Ale ani Marynia, ani ja nic sobie z tego nie robimy, bo Marynia nie próbuje nawet przenikać tajników mego życia osobistego i szanuje takowe zawsze. Zresztą zapewniłem ją, że w Kijowie istotnie byłem, choć dodałem półgębkiem figlarnie, że może i jeszcze dalej.

22 lutego / 7 marca, rok 1913, piątek
Mam zamiar spisać moje wrażenia z wycieczki do Krymu i wydrukować je w „Przeglądzie Wileńskim". Chodzi mi zwłaszcza o uwydatnienie etnograficzno-kulturalnych stosunków krymskich i tych procesów ludnościowych, które tam kiełkują pod zewnętrzną oficjalną powłoką państwowości rosyjskiej. Procesy kulturalne, kiełkujące w poszczególnych krajach i ludach, należących do państwa, są tym fermentem, który toczy i rdzą pokrywa ustaloną organizację rosyjskiej bryły państwowej. Toteż poznanie takowych ma wartość nie tylko informacyjną dla nas, którzy też należymy do kraju, pragnącego wyzwolenia z pęt narzuconej mu państwowości. Wstęp do artykułu tego zacząłem pisać w Wiązowcu, dzią zaś go dokończyłem; jest to tymczasem tylko wstęp, który dam jako osobny artykulik na początek. Całość będzie się składała oprócz tego wstępu jeszcze zapewne z dwóch artykulików drukowanych w kolejnych numerach „Przeglądu" i będzie miała tytuł zbiorowy „Listy ze Wschodu". Ponieważ wszakże byłem w Krymie *incognito* i chodzi mi o nieujawnianie tej wycieczki, więc podpisuję się zmyślonym nazwiskiem: „T. Nowik".
Dowiedziałem się, że ostatnie dwa numery „Przeglądu Wileńskiego" były znowu skonfiskowane. Pismo jest po prostu chronicznie konfiskowane. „Przegląd" miałby już teraz pięć procesów karnych pod zarzutem rozmaitych „zbrodni" państwowych, gdyby nie to, że amnestia wczorajsza wszystkie sprawy prasowe polityczne skasowała.
Wieczorem miałem wielką radość: przyszedł pierwszy list od mojej Anny z Teodozji, długi, bardzo serdeczny, ciekawy. Żargon niemiecki mojej Anny (bo trudno to nazwać językiem niemieckim) wygląda na piśmie jeszcze szkaradniej niż w naszej rozmowie ustnej, ale dla mnie brzmi on pięknie i słodko, bo w nim się streszcza myśl i serce tej mojej jedynej kochanej dziewczyny; umiem też znakomicie odcyfrować rebusy tego żargonu. Anna biedaczka tęskni, bo się tam nudzi, musi spędzać czas w bezczynnej samotności, a brat bywa dla niej szorstki, przykry; czuje biedaczka, o ile słodszy jestem dla niej ja od wszystkich braci i najbliższych chociażby przyjaciół, bo we mnie ma serce kochające, ma zawsze troskę gorącą, ma szczere zainteresowanie, ma oddźwięk dla wszelkich strapień i nastrojów swoich. Pisze Anna, że pogoda w Teodozji brzydka, mróz i zwłaszcza wiatr przenikliwy; nie może więc używać spaceru, nie może tym bardziej przesiadywać w ogrodzie i korzystać ze słońca krymskiego; spędzać musi czas w swoim pokoiku na lekturze książek łotewskich i swej gazetki libawskiej. Do doktora chodzi codziennie i już dostała trzy igły zastrzykniętego arszeniku. List Anny obudził we mnie gorące ostre uczucie tęsknoty i żalu po niej. O jakże daleko do maja!
Cały wieczór spędziła u nas Kotuńka, która przyszła rewizytować Mamę. Ezechiel jest z Mamą na bakier, przy każdej okazji dogryza Mamie i szuka zaczepki; widać, że tylko z konieczności, dla zachowania pozorów składa Mamie wizyty i utrzymuje stosunek. Kotuńka była dziś bez niego; też nie kwadruje ona z Mamą, ale bądź co bądź ma od

Ezechiela więcej taktu i ma przecie uczucie dziecka dla matki. Zresztą Kotuńka jest między Mamą a Ezechielem jak między młotem a kowadłem. Główne teraz pole żalów i rozdźwięków to kwestie spadkowe po rodzicach naszych. Od roku zeszłego, od czasu choroby Mamy, siostry, a zwłaszcza szwagrowie podnieśli alarm spadkowy. Są nieradzi z testamentu Papy, który uważają dla siebie za krzywdzący, są też zaniepokojeni oddaniem Wiązowca na moje imię, choć to jest tylko transakcja pozorna, dokonana dla uniknięcia procedury dzielczej, pogwarantowana odpowiednią prywatną umową moją z Mamą oraz zobowiązaniami formalnymi.

23 lutego / 8 marca, rok 1913, sobota
Zaniosłem Ludwikowi Abramowiczowi mój artykuł do „Ptzrglądu Wileńskiego" i pogawędziłem przy tej okazji, aby się dowiedzieć, co słychać nowego w Wilnie i czy nie zaszły jakieś ciekawsze rzeczy przez czas mojej nieobecności. Zdaje się, że nic osobliwego nie zaszło. Opowiadał mi Ludwik, że mają oni tu mały kłopocik z żandarmerią z powodu odczytu Michała Sokolnickiego, ale że na nic poważniejszego się nie zanosi. Literat Michał Sokolnicki, trochę historyk, trochę publicysta i polityk, gorący patriota, zacięty „frak", przyjeżdżał tu w początku lutego do Wilna dla poinformowania Wilnian o organizującej się w Galicji akcji przygotowawczej do ruchu powstańczego, skierowanego przeciwko Rosji w związku ze spodziewaną wojną. Odczyt Sokolnickiego odbył się w lokalu klubu bankowego, oczywiście nieurzedowo, bez wiedzy administracji, konspiracyjnie, pod pozorem poufnej kolacji towarzyskiej grona osób, zebranych w jednym z gabinetów klubu. Na odczycie tym nie byłem, bo odbył się on w wigilię mojego wyjazdu do Krymu, kiedy byłem bardzo zajęty. Osób obecnych na odczycie było podobno do 60 z rozmaitych kół polskiej inteligencji wileńskiej: przeważali postępowcy, była tez lewica, rozmaite odcienie umiarkowanych sympatyków postępu bezpartyjnych, trochę sympatyków endeckich, fronda endecka i wreszcie kilku wyraźniejszych właściwych endeków; sztabu endeckiego nie było, nie było też wcale ugodowców. Sokolnicki mówił długo i podobno bardzo pięknie i ciekawie, kilka godzin bez przerwy, po czym trwała jeszcze do późna w noc dyskusja i wymiana zdań. Wszystko się odbyło bez incydentu, ale potem, już po wyjeździe Sokolnickiego, dowiedziała się jakoś o tym żandarmeria i wszczęła dochodzenie. Ludwik Abramowicz też był w tej sprawie wzywany przez żandarmerię i badany, jak kilku innych. Zdaje się wszakże, że żandarmeria nie ma dokładnych informacji; ma tylko kilka nazwisk spisanych i jakąś ogólnikową pogłoskę, że wygłoszona była przez jakiegoś przyjezdnego „зажигательная речь" przeciwko Rosji. Ci, których żandarmeria wzywała na badania, umówili się poprzednio między sobą, że zeznają, iż to przyjeżdżał z Poznańskiego pewien publicysta, korespondent „Przeglądu Wileńskiego", w drodze z Petersburga za granicę (nazwisko podali zmyślone) i że wieczorem w klubie bankowym istotnie się odbyła kolacyjka w gronie kilku osób, na której ten pan opowiadał o ucisku Polaków w Poznańskiem i wypowiadał się jako prusofob i słowianofil, przyjaciel Rosji. Zdaje się, że się na tym rzecz umorzy bez dalszych konsekwencji. Zresztą i sama sprawa odczytu Sokolnickiego, gdyby nawet została ujawniona w prawdziwym świetle swoim, nie byłaby groźna, bo odczyt był tylko informacyjny i z góry świadomie wykluczone było wszelkie nawoływanie mieszkańców Litwy do jakiegokolwiek udziału w akcji galicyjskiej. Co najwyżej, mogłyby być przykre konsekwencje dla klubu bankowego.
O wojnie cicho. Chyba już jej nie będzie. Ileż to już czasu trwa ten stan naprężenia międzynarodowego, to ciągłe pogotowie wojenne! Od jesieni trwa to oczekiwanie z dnia na dzień, ta gorączka niepewności. Podobno w najbliższym czasie ostatecznie się

rzecz wyświetli i już albo wojna teraz wybuchnie, albo jej nie będzie. Demobilizacja Austrii byłaby sygnałem pokoju; dotąd wszakże to nie nastąpiło.
W nocy byłem z Maryńką na „reducie artystycznej”, ostatniej większej publicznej zabawie karnawałowej. Był to bal maskowy, poprzedzony kabaretem piosenkowym, wykonanym przez artystów teatru polskiego. Na tańcach nie byliśmy; zaraz po kabarecie o godz. 3 w nocy wróciliśmy do domu. Kabaret był dobry; dużo było gustu w doborze piosenek i kupletów, wszystko było lekkie, zajmujące, dowcipne. Na temat stosunków wileńskich było bardzo mało produkcji. Publiczność zabawiła się dobrze. Towarzystwo było mieszane; przeważała inteligencja miejska i świat teatralny. Śmietanki arystokratycznej było niewiele i widocznie nie chciała się ona mieszać z towarzystwem aktorek i wesołym nastrojem otwartej swobody kabaretowej.

24 lutego / 9 marca, rok 1913, niedziela
Dotąd wyrok sądu honorowego w sprawie naszej z dwunastu panami nie został opublikowany. Wyjeżdżając z Wilna, prosiłem Janulaitisa, aby się tym zajął, ale po powrocie dowiedziałem się, że to nie zostało zrobione, rac dlatego, że autentyczna kopia wyroku, zaświadczona przez superarbitra Lednickiego, została u mnie, a u Janulaitisa i innych była tylko prywatna kopia, której nie wypadało dawać do redakcji bez przedstawienia autentyku, a po wtóre dlatego, że podobno, jak mi mówił Janulaitis, Mańkowski jest przeciwny ogłaszaniu wyroku tego. Mańkowski uważa ten wyrok za jezuicki, taki, którego by i sam Salomon nie zrozumiał: nie daje on, zdaniem Mańkowskiego, satysfakcji ani nam, ani stronie przeciwnej i jednocześnie może być tak na naszą, jak na korzyść strony przeciwnej komentowany. Uznaliśmy wszakże, że trzeba ostatecznie tak albo inaczej rozstrzygnąć co do użytku, jaki chcemy zrobić z wyroku tego. Zebraliśmy się więc dziś o godz. 4 u Piłsudskiego wszyscy (Piłsudski, Janulaitis, Ślażewicz, Mańkowski i ja). Ja uzasadniałem konieczność ogłoszenia wyroku w obu tych pismach („Kurierze Litewskim” i „Gazecie Codziennej”), w których był ogłoszony obrażający nas komunikat dwunastu panów. Wyrok ten, który jest, zdaniem moim, dla nas zadowalający, zwłaszcza gdy się go czyta uważnie, analitycznie, jest istotnie tak ułożony, że pozornie obie strony usprawiedliwia i jednocześnie obie strony winą obarcza. To daje możność przeciwnikom naszym takiego komentowania wyroku, które kładzie nacisk wyłączny i jednostronny na to właśnie, co jest w wyroku dla nas niedogodne, a dogodne dla dwunastu panów. Oczywiście, że każdemu z publiczności pokazywać, odczytywać i dawać do analizy szczegółowej ci panowie wyroku nie będą, a ograniczą się na komentowaniu ustnym dowolnym; najlepszym zaś dla nich argumentem dla poparcia twierdzenia, że wyrok jest dla nas potępiający, będzie fakt oczywisty, że my sami go nie ogłaszamy, to znaczy, że sami go za niemiły dla siebie uważamy. Wobec tego ogłoszenie wyroku uważam za konieczne. Z argumentacją tą wszyscy się zgodzili. Mańkowski też nie oponował. My z Janulaitisem mamy jutro udać się do obu redakcji dla wręczenia odpisu wyroku i zażądania ogłoszenia takowego.
Dowiedziałem się, że odbyły się niedawno, w czasie mej nieobecności, wybory do komisji adwokackiej. Ja zresztą w wyborach tych udziału brać nie mogę, bo głos mają tylko przysięgli jako istotni członkowie korporacji, pomocnicy zaś głosu nie mają. W wyborach tych dokonała się mała rewolucja wewnętrzna. Przed wyborami odbyła się u Torchowskoja narada poufna grona kilkunastu adwokatów spośród elementów młodszych i żywszych dla ustalenia listy kandydatów do wyboru. Postanowiono zrobić zamach stanu i wprowadzić do komisji świeższy i żywszy element. Usunięcie wszystkich starych z komisji byłoby zbyt rażącą i jaskrawą demonstracją, niepotrzebną zresztą, bo niektórzy ze starych, jak zwłaszcza Restytut Sumorok, są ludźmi szanownymi i nie budzącymi żadnego niezadowolenia. Strumiłłę też postanowiono nie

usuwać. Natomiast Zmaczyńskiego uchwalono obalić jako człowieka skłonnego do protekcjonizmu i korupcji, który już kilkakrotnie pozwolił sobie bez ceremonii deptać względy koleżeńskie. Z Żydów postanowiono usunąć Friedmana, którego nie lubią za zarozumiałość i pewną elastyczność w uczciwości zawodowej, natomiast utrzymać Wygodzkiego, człowieka lubianego i koleżeńskiego. Tak się też na wyborach stało. Zmaczyński i Friedman upadli. Zwłaszcza upadek Zmaczyńskiego jest czynnikiem dodatnim jako odruch przeciwko rozwielmożnieniu i rozpanoszeniu się jego. Zmaczyński musiał przełknąć ten wstyd, a widocznie się nie spodziewał upadku, bo był obecny na zebraniu wyborczym. Będzie to nauczka dla takich panów, którzy zbyt się rozwielmożniają i lekceważą stosunek koleżeński, a jednocześnie będzie to pewna sanacja atmosfery korporacyjnej w komisji. Wybrani zostali do komisji: z dotychczasowych jej członków Restytut Sumorok, Strumiłło i Wygodzki oraz nowi Powołockij i Witold Abramowicz, obaj należący do poważnej opozycji, obaj niezależni i postępowi, obaj tacy, z którymi się w adwokaturze liczą i którzy na zewnątrz też reprezentują pewne kierunki opinii; na zastępców zaś do komicji wybrano Klotta i Jana Vileišisa – też dobrze.
Tu się cieszę z upadku Zmaczyńskiego na wyborach, a tu mam zaraz mówić o moim własnym upadku na innych wyborach, o czym się dziś dowiedziałem od p. Janowej Vileišisowej: mianowicie na ogólnym zebraniu „Lietuvių Dailės Draugijos", które się odbyło zeszłej niedzieli w nieobecności mojej, zostałem zabalotowany. Trochę to już przeczuwałem. Poprzednio bardzo mi zależało na tym, aby się w tym zarządzie utrzymać, ale już potem z innych względów nawet poniekąd pragnąłem tego. Obowiązki skarbnika są dla mnie najmniej miłe i najmniej odpowiednie ze wszystkich. Z natury nie jestem stworzony na regularnego systematycznego kasjera: to nie w mojej naturze, toteż istotnie dobrym kasjerem nie będę nigdy. Rachunkowość – to nie moja dziedzina czynności. I dla towarzystwa ze mnie w charakterze skarbnika niewielka korzyść, i dla mnie samego to uciążliwe i mało produkcyjne. Dla mnie ważne było ni skarbnikostwo ale należenie do zarządu i to z innych względów: ze względu na współudział w tej kipiącej a tak pięknej i pożytecznej działalności Dailės Draugijos. Ale teraz im bardziej o tym rozmyślam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że może tak właśnie należało, żeby mię nie wybrać do zarządu. Może pchać się do zarządów towarzystw ściśle litewskich, w ogóle brać jakiś decydujący udział w bezpośredniej zbiorowej działalności Litwinów, działalności narodowej – to może nieodpowiednie. Należeć do towarzystw a być w ich zarządach – to co innego. Moje zadanie, mija rola – to szerzyć ideę krajową wśród Polaków, w polskich kołach postępowych i demokratycznych szczepić zasady współpracownictwa obywatelskiego z Litwinami. Tu jest jeszcze b. dużo do zrobienia.

25 lutego / 10 marca, rok 1913, poniedziałek
Ta amnestia z okazji rocznicy dynastii Romanowów (gdzieżby się tam kto doszukał tej krwi „Romanowowskiej" w rodzinie carów „naszych"!) nie bardzo jakoś oczyściła grunt polityczny w Rosji z przeróżnych kar, dochodzeń i aresztowań administracyjnych. Prześladowanie młodzieży szkolnej jak było, tak jest, a bodaj i będzie – w pełnym toku. Coś skąpa ta amnestia i jakoś na komedię zakrawa, bo tymczasem w najbliższym otoczeniu nie o ulgach, ale o nowych wciąż represjach słychać. Zresztą jakżeby mogło być inaczej! Gdzieżby zwierz krwiożerczy, z pasożytnictwa żyjący, nagle się uniósł łaskawą miłością do ofiar! Dla pozoru potrzebna komedia – i tylko. Rząd państwa rosyjskiego a łaska, a wolność – toć antytezy. I oto w tym samym czasie, gdy amnestia stała się najświeższym faktem dokonanym, mam do zanotowania bodaj więcej niż dawniej represji. Oto z naszej młodzieży postępowej aresztowana została świeżo w

Petersburgu dzielna studentka Kobylińska, jedna z najlepszych, jakie były w uczniowskim kółku postępowców wileńskich. Zaraz też aresztowana została druga, tez dzielna, też uczestniczka kółka postępowego wileńskiej młodzieży, Rosenberżanka, również studentka petersburska, która zaraz po aresztowaniu Kobylińskiej wyjechała z Petersburga do Wilna, ale tu wzięta została. Za co one aresztowane zostały – dokładnie nie wiem. Nie są już one zresztą teraz regularnymi członkami kółka wileńskiego, bo pokończyły szkoły wileńskie i wyjechały na dalsze studia, ale należą do pionierek postępowej młodzieży wileńskiej.
I oto znowu dalszy ciąg innej represji – esdeków wileńskich. Domański z dwoma towarzyszami robotnikami wyjeżdża na deportację trzyletnią do Kraju Peczorskiego, nad tundry północno-wschodnie gub. archangielskiej, Edward Sokołowski – do północnych powiatów gub. tobolskiej w Syberii Zachodniej. Amnestia ich nie dotknęła. Widziałem dziś ich obu, Domańskiego i Sokołowskiego, i pożegnałem. Biedni. Skądinąd podróż taka i pobyt, dla mnie przynajmniej, byłyby ciekawe, gdyby zresztą nie były przymusowe i gdyby zwłaszcza mieć pieniądze, ale tych właśnie będą oni mieli brak dotkliwy.
Zdaje się, że to nasze zebranie z Litwinami, które się przed trzema tygodniami odbyło u mnie, w skutkach swoich okaże się nie bardzo dodatnie. Mianowicie jak Litwini po zebraniu tym zaczęli omawiać między sobą te kwestie, które od nas usłyszeli – o orientacji w związku z kombinacjami międzynarodowymi, ruchem powstańczym polskim itd. – i jak to się rozeszło wśród litewskich kół prawicy nacjonalistycznej, to tam skorzystano z tego, aby się rzucić na demokratów litewskich, którzy w tej pogawędce z grupami demokratycznymi polskimi udział brali, i urządzić na wielu coś w rodzaju nagonki, że niby to się oni poddają knowaniom polskim, dają się uwieść rozmaitym misternym kombinacjom ugody, ukrywającym istotną intrygę polską, skierowaną do powstania polskiego, zaboru Litwy itd. Nacjonaliści litewscy w każdej najniewinniejszej próbie nawiązania kontaktu demokratycznego, jeżeli tylko wchodzą w to Polacy, węszą tę „intrygę polską” i alarmują pokątnie opinię litewską wystawiając straszaków. Doszły mię o tym wieści prywatne. Nie wiem, czy demokraci litewscy zdobędą się na odwagę i niezależność nieliczenia się z tymi podszeptami swych nacjonalistów. Po tym zebraniu obecni na nim demokraci litewscy rozmaitych odcieni byli, jak wiem, pod najlepszym wrażeniem, jak też pod takimże wrażeniem byli obecni na zebraniu Polacy. Był bowiem nastrój szczery, była wspólność uczucia i myśli obywatelskiej. Nie wiem, czy demokraci litewscy, zwłaszcza nie esdecy, nie będą teraz zatruci zwątpieniem, zniechęceniem, a może i posądzeniami na skutek tych knowań nacjonalistów. Zwłaszcza że są oni sterroryzowani panoszącym się nacjonalizmem i reakcją w inteligenckich kołach litewskich, a ci z nich, którzy mieszkają w mieście, mimo woli mają słabszy kontakt z żywymi i bynajmniej nie reakcyjnymi uczuciami mas ludowych litewskich i przeto są dość dalecy od źródła otuchy.

26 lutego / 11 marca, rok 1913, wtorek
Zanieśliśmy dziś z Janulaitisem wyrok sądu honorowego do redakcji „Kuriera Litewskiego” i „Gazety Codziennej”. Hłasko trochę się zżymał, wyrażał pewne zastrzeżenia co do ogłaszania wyroku, powołując się na to, że prośba o ogłoszenie pochodzi tylko od jednej ze stron i że w wyroku samym nie ma decyzji o ogłoszeniu takowego. Zaznaczyliśmy, że skoro w piśmie ogłoszony był komunikat jako rzecz nadesłana, pochodząca nie od redakcji samej i skoro z powodu twierdzeń, zawartych w tym komunikacie, odbył się sąd honorowy, to wyrok takowego powinien być bezwzględnie, na żądanie choćby jednej strony zainteresowanej, ogłoszony. Tego wymagają elementarne względy etyki dziennikarskiej. Złożyliśmy przeto kopię wyroku

do rąk Hłaski i wyszliśmy. Nie przypuszczam, aby się zdecydował na nieogłoszenie. W „Gazecie Codziennej" jeszcze krócej sprawę załatwiliśmy.
Wieczorem pisałem artykulik do „Kuriera Krajowego". Chciałem napisać tylko o nowo założonym litewskim towarzystwie oświatowym „Rytas" dla szerzenia oświaty wśród Litwinów gub. wileńskiej, ale chcąc nadać artykulikowi pewną zaokrągloną formę, rozszerzyłem ramy jego i dałem rzut oka porównawczy na charakter kulturalno-narodowy Litwy właściwej, zachodniej, a pasa pogranicznego litewsko-białoruskiego. Artykulik wyszedł spod pióra ciekawy, treściwy; choć na ogół jest on ścisły, zwarty, ale dla małego formatu „Kuriera Kr." jednak trochę za duży. Uwydatniłem w nim dokonywający się obecnie proces unaradawiania się tej środkowej dzielnicy kraju, litewsko-polsko-białoruskiej, która dotąd miała zupełnie odrębną cechę nieokreśloności narodowej, tego, co w słowniku mowy miejscowej otrzymało specyficzną nazwę „tutejszości".
Teraz, gdy nie ma mej Anny w Wilnie, zmienił się znacznie tryb mego życia. Wieczory spędzam regularnie w domu, w ogóle więcej zużywam czasu na pracę i czuję się przykuty do miejsca. Ale mi tęskno i smutno. Ileż to jeszcze tygodni tej samotności, tej pustki. Dziś wieczór ostatków zapustowych, tłusty wtorek przed postem, a mnie nic precz na jakąś zabawę nie ciągnie. Cicho mi w duszy, nie pragnę zabawy.

27 lutego / 12 marca, rok 1913, środa
Rozmawiałem dziś z Mańkowskim o sprawach „Kuriera Krajowego". Pismo materialnie rozwija się względnie dobrze; prenumeratorów ma koło 900, sprzedaż uliczna wzrasta pomimo energicznego przeciwdziałania agentów „Gazety Codziennej". Oczywiście wszakże, że dotąd byt pisma nie jest jeszcze z własnych dochodów zapewniony; trzeba dokładać. Na zebraniu przyjaciół pisma, które się odbyło w czasie mojej nieobecności, postanowiono nie kołatać o subsydia, raczej jednorazowe ofiary, prywatne, ale zorganizować dla pisma w którymś z banków kredyt wekslowy na żyro kilkunastu gwarantów spośród sympatyków pisma. Obliczono, że do końca tego roku potrzeba będzie dopłacić do wydawnictwa od 2 do 3 tysięcy rubli; na podstawie zaś obliczeń wzrostu prenumeraty i wyprzedaży detalicznej oraz pewnych mniej lub więcej uzasadnionych domniemań zawnioskowano, że już ku końcowi roku pismo zacznie się opłacać, a stopniowo może zacznie już potem dawać nadwyżkę, z której przede wszystkim spłacany będzie dług z kredytu, a dopiero potem reszta użytkowana na polepszenie wydawnictwa. Czy rachuby te są zupełnie pewne, tego oczywiście nie wiem ani ja, ani nawet ci, którzy je budowali. Bez ryzyka, bez ofiar – żadne wydawnictwo u nas się nie może rozwinąć, a tym bardziej polskie demokratyczne. Tu więc przyjęto tę metodę, kredytową, dla ustalenia wydawnictwa, innej od metody przyjętej w „Przeglądzie Wileńskim", który się opiera na udziałach i zagwarantowanych subsydiach na pokrycie deficytu. Do żyrantów kredytu należeć mają między innymi Zasztowt, Zenon Kuncewicz z pow. lidzkiego, Józef Bukowski z pow. święciańskiego, firmowy wydawca pisma dr Sumorok i inni; liczą też na mnie. Lista żyrantów nie jest jeszcze ukompletowana. W wewnętrznej organizacji pisma dotąd jest jeszcze stan ciągłej formacji. Faktycznie zawsze kierownikiem pisma jest Mańkowski. Żadnej ścisłej ideowej grupy kierowniczej dotąd nie utworzono. Nie ma też zorganizowanego komitetu redakcyjnego. Jednym z głównych, a na zewnątrz niejawnych współpracowników pisma jest Białorusin Antoni Łuckiewicz, jeden z filarów „Naszej Niwy" i bodaj najdzielniejszy pracownik, a może i najtęższa głowa białoruskiego ruchu ludowego, który redaguje jednocześnie rosyjską kopiejkową „Вечернюю Газету"; Antoni Łuckiewicz trzyma się trochę w cieniu, nie wysuwa się jawnie na czoło „Kuriera Krajowego", ale faktycznie bodajże trzyma pierwsze skrzypce i wywiera wpływ

decydujący na kierunek i organizację pisma. Jest to człowiek bardzo wytrawny, stanowczy, systematyczny, człowiek silnej woli i energii oraz pracowitości, a umiejący się trzymać na wodzy i działać w porę. Dr Sumorok, który podpisuje pismo w charakterze urzędowego wydawcy i redaktora ospowiedzialnego, jakiegoś wybitniejszego wpływu na kierunek nie wywiera, choć się z nim redakcja liczy poważnie: jest on reprezentantem pisma na zewnątrz, jest przedstawicielem firmy, wewnątrz zaś tylko w jednym kierunku wyraźnie oddziaływa, to w kierunku niedopuszczania do jaksrawości w tonie, zwłaszcza w drażliwej kwestii antyklerykalizmu. Jabłoński z Lublina, który się zaangażował do „Kuriera Krajowego" i już przeszło od miesiąca w redakcji pracuje, a na którego pokładano wielkie nadzieje, licząc, że się on wyrobi na zastępcę redaktora i z czasem będzie mógł załkowicie zastąpić Mańkowskiego, zawiódł: Okazał się, jako publicysta, niezdolnym i niezbyt inteligentnym; poza robotą techniczną nie będzie on do niczego użytecznym. O wykwalifikowaniu go na redaktora dziennika mowy być nie może. Świetliński, wykolejony dziennikarz drobnej miary, który był przez Mańkowskiego do redakcji zaangażowany, jeszcze się okazał mniej zdolnym: teraz go już Mańkowski usunął od pracy redakcyjnej i zużytkuje go tylko w charakterze specjalnego agenta do zbierania ogłoszeń oraz tłumacza kroniki i depesz z języka rosyjskiego na polski. Taki jest zarys organizacji tego dziennika. Pismo jest pod względem informacyjnym dobrze prowadzone, co do kierunku ideowego też jest niezłe, bo jest niewątpliwie demokratyczne i szczerze krajowe, ale szwankuje nieco pod względem zbytniej mdłości tonu i oportunizmu w wykonaniu swych haseł ideowych. Dobrze byłoby, żeby się utworzyła ścisła grupa kierownicza na czele pisma tego.

28 lutego / 13 marca, rok 1913, czwartek
W dzisiejszych rannych numerach „Kuriera Litewskiego" i „Gazety Codziennej" opublikowany został wyrok sądu honorowego w sprawie naszej z dwunastu panami. Miałem dziś w sądzie rozmowę z Witoldem Abramowiczem, który mię zapytywał, czy życzę wstąpić na członka do nowej organizacji politycznej, utworzonej przez grupę osób. Tak więc usiłowania Witolda Abramowicza zostały w pierwszym stadium uwieńczone powodzeniem. Zawiązek organizacji stronnictwa został utworzony. Witold Abramowicz od dawna dążył do tego, systematycznie i wytrwale, z właściwą mu umiejętnością organizowania rzeczy i ludzi. Obecny zawiązek stronnictwa, który już się stał faktem, ma genezę swoją w organizacji grupy „przeglądowej". Pierwotnie, przy powstawaniu „Przeglądu Wileńskiego", szczupłe grono osób, które powołały pismo to do życia, utworzyło komitet redakcyjny, złożony z pięciu osób: Witolda Abramowicza, Jana Piłsudskiego, Zygmunta Nagrodzkiego, Bronisława Krzyżanowskiego i mnie. Był to zupełnie prywatny dobór ludzi przekonań mniej lub więcej pokrewnych, aczkolwiek nieco różnych. Była to ta garsteczka, która w dobie reakcji po latach 1905 i 1906 nie straciła ani przekonań swoich, ani chęci do pracy społecznej, ani wiary w demokratyczne zasady rozwoju. Przez lat kilka wciąż ta sama garsteczka myślała o wskrzeszeniu w Wilnie demokratycznego pisma polskiego, idącego śladami haseł zmarłej mojej „Gazety Wileńskiej". Oczywiście, że gdy w jesieni r. 1911 kwestia założenie pisma weszła na tory czynu konkretnego, ci sami ludzie ujęli rzecz tą w swe ręce. W samym początku powstały pewne tarcia między nami na gruncie zorganizowania redakcji. Wśród nas pięciu byli ludzie nieco różnych przekonań: byli dwaj dawniejsi pepeesowcy o ideologii tzw. „frackiej", tj. nie tyle socjalistycznej, ile wybitnie narodowo-państwowej – Witold Abramowicz i Piłsudski, był typowy ludowiec narodowy Nagrodzki, był Krzyżanowski, nie przedstawiający żadnego ścisłego kierunku, z usposobienia i przekonań radykał, ale nade wszystko wrażeniowiec

i analityk, nicujący zawsze i wszystko, byłem wreszcie ja z zupełnie odrębną własną ideologią demokratyczno-krajową. Kierunek, który miał być nadany pismu, był oczywiście kompromisem tych poszczególnych odcieni reprezentowanych przez nas. Redaktor pisma, Ludwik Abramowicz, do komitetu redakcyjnego urzędowo nie należał. My wszyscy pięciu byliśmy poza tym związani ze sobą solidarnością inną, o której tu wspominać nie będę, a która odegrała rolę niewątpliwą w całej tej formacji. Tak się poczęło to dzieło. W zasadzie obowiązywał kompromis odcieni przekonaniowych, reprezentowanych w naszym komitecie, urzędowo głoszony był kierunek „Gazety Wileńskiej" jako wyznanie wiary „Przeglądu Wileńskiego", ale w wykonaniu oczywiście przewagę otrzymał odcień dominujący w naszym komitecie, zwłaszcza że tegoż odcienia był sam redaktor, faktyczny wykonawca pracy – Ludwik Abramowicz. Ludwik Abramowicz zaczął kopiować na gruncie wileńskim kierunek postępu warszawskiego, stanowiącego jakąś mdłą zbieraninę frazesów pozbawionych wyraźnego gruntu ludowego z ciążeniami do nacjonalizmu i antysemityzmu, a jaskrawych i radykalnych tylko w jednym względzie – antyklerykalnym. Na razie, w pierwszym okresie wydawnictwa „Przeglądu", znać było w piśmie dwoistość, bo kierunkowi Ludwika przeciwstawiał się na łamach pisma kierunek mój, demokratyczno-krajowy, opierający założenia społeczne na pierwiastku ludowym bez względu na zróżnicowanie narodowe wewnątrz kraju, w dziedzinie zaś kulturalno-narodowej wyznający zasadę braterstwa w twórczym rozwoju wszystkich narodowości krajowych, wszystkich pierwiastków kulturalnych jako współczynników usamodzielnienia kraju i pogłębienia jego wydajności dziejowej. Witold Abramowicz i Nagrodzki, umysły, a zwłaszcza charaktery o wiele tęższe i bardziej twórcze od Ludwika, chociaż różnili się z nim pod tym względem, że są typowymi społecznikami i ludowcami, podczas gdy Ludwik buja w obłokach jakiegoś poza- i ponadklasowego postępu, godzili się z nim i mieli go za pożądanego pod tym względem, że przemyca on do haseł demokratyczno-krajowych nacjonalizm, któremu obaj oni w głębi ducha hołdują, i że tą drogą przygotowuje on grunt pod ich zasiew (wszakże ten ich zasiew będzie już niewątpliwie społecznie czynny). Mój kierunek został stopniowo w „Przeglądzie" zatopiony przez kierunek Ludwika. Potem przyszły wybory. W tym okresie Krzyżanowski, który poprzednio w komitecie redakcyjnym popierał przeważnie mój kierunek i w każdym razie kierował na lewo, uległ wyraźnemu zwrotowi ku nacjonalizmowi. Odtąd w komitecie redakcyjnym byłem już osamotniony. Po wyborach wszakże komitet nasz pierwotny rozszerzył się w grupkę większą, uzupełniwszy się elementami czynniejszymi spośród członków byłego demokratycznego komitetu wyborczego, popierającego kandydaturę poselską do Dumy Krzyżanowskiego. Grupka ta nazwała się partią demokratyczną, popularnie zaś znana była pod nazwą grupy przeglądowej. Należeli do niej, oprócz nas pięciu i redaktora Ludwika, jeszcze Turski, Budny, Zasztowt, Klott. Jedyny Zasztowt był sojusznikiem moim w opozycji demokratycznej w grupie tej. Odtąd rozpoczęły się systematyczne usiłowania Witolda Abramowicza do przetworzenia tej grupki naszej w zawiązek stronnictwa. Kreślić historie tych usiłowań nie będę, bo miejsca nie mam, choć to rzecz ciekawa. I oto teraz, jak mi Witold oświadczył, zawiązek stronnictwa już się zorganizował. Kto doń wchodzi – nie wiem. Wiem tylko, że Klott nic o tym nie wie i Krzyżanowski też, zdaje się, nie należy. Zasztowt też chyba nie przystąpił. Zwać się ma stronnictwo – Polski Związek Demokratyczny. Odmówiłem należenia do stronnictwa tego, bo w ogóle z natury mojej i z rodzaju umysłowości oraz specjalnych moich uzdolnień do pracy, a także działalności, którą sobie w życiu zakreślam, nie chcę się wiązać organizacją partyjną i poza tym mam pewne wątpliwości co do pewnych prądów nacjonalistycznych w tym gronie oraz co do charakteru demokratyczności przedsięwziętej pracy. Ale w zasadzie

uważałbym powstanie takiego zrzeszenia partyjnego za zjawisko w rozwoju krajowym dodatnie. Witold mówi o tym jako o fakcie dokonanym, ale zapewne to jeszcze bardzo słaby pączek. Witold zapowiada rozszerzenie tej organizacji na koła liczniejsze. Zobaczymy. Życzę szczerze, aby się rzecz ta ustaliła. Zgrupuje ona pewną garść ludzi, zagarnie pod uprawę społeczną pewien kawałek zadań leżących odłogiem i poza tym zostawi jeszcze niewątpliwie na lewo miejsce dla elementów bardziej radykalnych, głębiej demokratyczno-ludowych. Mówił mi Witold, że powstanie tego zrzeszenia nie wyklucza bynajmniej specjalnej organizacji redakcyjnej „Przeglądu", który organem partyjnym się nie stanie i będzie nadal w ręku tej samej garsteczki naszej. Wieczorem na małym zebrańku kilku osób z koła „Kuriera Krajowego" byłem zaproszony do wzięcia udziału w komitecie redakcyjnym tego pisma, który ma być utworzony i do którego mam wejść ja i Zasztowt. Zarezerwowałem jeszcze czas do namysłu, ale sądzę, że należenie do komitetów redakcyjnych obu tych pism jest możliwe, zwłaszcza teraz, gdy się wyodrębniła grupa osobna partyjna Witolda, do której nie należę.

1 (14) marca, rok 1913, piątek
Od Anny dawno już nie miałem listu. Wysłałem jej wczoraj pieniądze i list dłużny. Tęskno mi do niej i już się trochę niepokoję i irytuję, że listu nie ma. Jeszcze sześć długich tygodni postu do Wielkiejnocy, a potem już świtać zacznie nadzieja powrotu Anny, serdeczne i gorące oczekiwanie tej nieznanej jeszcze daty majowej, kiedy się znów połączymy. Oby tylko zdrowie wróciło Annie. Nie jestem bynajmniej pewny skuteczności klimatu tej Teodozji. Niepokoją mię ostre wiatry tamtejsze oraz kurz w porze upalnej potem.
Był dziś u mnie komornik sądowy Sobotkowski, który wrócił dziś z Rukojń, dokąd jeździł znowu dla opisywania majętności włościan rukojńskich na zaspokojenie należności, przysądzonej memu klientowi Błażewiczowi (patrz dziennik mój z dnia 18/I rb.). Opowiadał mi ciekawe rzeczy o tej procedurze, którą wykonywał. Istotnie zmuszony był przystąpić do spisywania ruchomości włościan. Roboty miał nie lada, bo całość tzw. gromady rukojńskiej składa się z kilku wiosek i paruset gospodarzy, z których mnóstwo jest drobnych. Rozbił całość długu na ogólną ilość dziesięciu, wyliczył, ile podług tego wypadnie na każde poszczególne gospodarstwo włościańskie, a wtedy rozpoczął opisywanie ruchomości i nakładanie aresztu. Powiada, że wędrował od wioski do wioski, musiał jak bocian brnąć przez bagna, wszędzie otoczony gromadą włościan i bab; zabierał się do opisywania kur, co budziło panikę wśród bab, a nawet czasem strach przesądny, aby na kury nie padł przez to zły urok; baby wtedy naciskały na mężów, aby wypłacili natychmiast wypadającą część należności i zwolnili kury oraz inny inwentarz od opisu i aresztu; w ten sposób zebrał Sobotkowski przeszło 600 rb. z ogólnej ilości należnych z tego długu siedmiuset kilkudziesięciu rubli. Do godz. 4 w nocy przyjmował jeszcze pieniądze i robił rachunek Naturalnie, że Błażewicz uszczęśliwiony. Choć dla włościan to niewątpliwie rzecz ciężka, ale jakoś ku końcowi tej procedury atmosfera się wypogodziła, humory włościan nabrały fantazji i zamiast kłótni i złości na Błażewicza, który ich tak nacisnął, zaczęli go podrzucać do góry na „hura!", a żonę jego też podrzucać w fotelu, żądając poczęstunku wódczanego za tak pomyślną zdobycz pieniężną. Z okazji tego długu mają tam oni jeszcze wyjaśnić między sobą jakieś pretensje wzajemne o samą podstawę należności i zwrócić się z tym do mnie. Niewątpliwie zaimponowało im to, że sprawę tę doprowadziłem do takiego dobrego rezultatu dla mojego klienta, toteż teraz w ich oczach urosłem na jakiegoś czarnoksiężnika niemal. W ogóle w pojęciu włościan, którzy prawa nie znają i nie umieją się w nim zorientować, zwłaszcza w ustawodawstwie tak zawiłym, jak

włościańskie w Rosji, sztuka adwokacka to nie tyle praca ścisła, ile jakaś sztuka maga, umiejętność czarnoksięska.
Wieczorem spędziłem parę godzin u Szklennika na zebraniu zarządu towarzystwa popierania kooperacji. Był Szklennik, Witold Abramowicz, ja oraz nie należący nawet, zdaje się, wcale do towarzystwa pomocnik adwokata Zmitrowicz. Dużośmy mówili o świeżo zakończonym zjeździe delegatów kooperatyw spożywczych w Dyneburgu i ich staraniach o utworzenie związku kooperatyw dla prowincji bałtyckich i litewskich z siedliskiem w Dyneburgu. Szklennik napadał ostro na to przedsięwzięcie, dopatrywał się w tym intrygi i ukrytej zachłanności centralistycznej związku kooperatyw moskiewskiego – zdaje się, zbyt jednostronnie, zbyt bezwzględnie i surowo, a niezupełnie słusznie rzecz tę przedstawiał, zrzędził, wszakże i trochę bardzo racjonalnych uwag dodał, np. o sztuczności wciągania gub. grodzieńskiej i większej części wileńskiej do związku, fundującego hurtownię w Dyneburgu, tworząc tą drogą wiązadło sztuczne, nieżywotne jako nie odpowiadające naturalnym konstelacjom rynkowym. W rezultacie tej dyskusji uznaliśmy za potrzebne zainicjować zjazd delegatów kooperatyw z gub. wileńskiej w Wilnie i zaprojektować utworzenie związku wileńskiego z hurtownią na miejscu. Szczegółowe omówienie tej sprawy odłożyliśmy na zebranie następne, które się ma odbyć 15 marca. Oczywiście, nie wiadomo jeszcze, czy uzyszczemy pozwolenie władz, które są w tych razach bardzo ostrożne i zawsze się liczą ze względami politycznymi nacjonalizmu rosyjskiego i wzmocnienia państwowości. Nie wiadomo też, czy sam Szklennik raptem przez te dwa tygodnie nie zmieni zdania i nie zniweczy tego projektu.
Pisałem dziś artykuł do „Przeglądu Wileńskiego” o sprawie młodzieży. Uwydatniłem wagę społeczną kwestii wychowania, rolę i cechy młodzieży w układzie społecznym, a jutro przejdę do krytyki polityki szkolnej represyjnej, praktykowanej obecnie w Rosji. Dzisiejsza pierwsza część artykułu udała mi się dobrze.

2 (15) marca, rok 1913, sobota
Większą część czasu do obiadu zajęty byłem dopomaganiem niejakiemu włościaninowi Tyszkiewiczowi do załatwienia rozmaitych formalności niezbędnych dla otrzymania z banków pieniędzy spadkowych mojego klienta Sadowskiego.
Poza tym, zajęty byłem wykończeniem artykułu „w sprawie młodzieży” dla „Przeglądu Wileńskiego”. Z artykułu tego rad jestem. Zużytkowałem do niego kilka tekstów z Ewangelii Mateusza o zgorszeniu młodzieży i o porównaniu Królestwa Bożego z ziarnkiem gorczycznym, które należy wsiać w siebie i ukształcić je w glebie własnej na drzewo, aby się zeń owoców doczekać. Ten ostatni tekst zwłaszcza należy do ulubionych moich w Ewangelii. Dawno już nie miałem Ewangelii w ręku, a kocham i wielbię tę księgę mądrości i głębokiego natchnienia. Kiedyś przed laty 8-9 w Paryżu studiowałem ją starannie i nawet pisałem komentarze do niej.
Cały wszakże dzień dzisiejszy byłem pod wrażeniem dominującym listu od Anny, niepokoju i troski o nią. Już rano w łóżku doznałem jakiejś trwogi z przywidzenia sennego. Snu całego nie pamiętam, wiem tylko, że nagle uderzyła mię wieść o zgonie osoby kochanej w Teodozji. Było to jakoś ni stąd, ni zowąd, bo wątek snu nie dotyczył, zdaje się, Anny. Obudziłem się od razu, przerażony. Wiedziałem, że to sen, ale wrażenie pozostało przykre. Po południu zaś, wróciwszy z miasta do domu, zastałem list Anny. Pierwsza część listu niezła, utyskująca przeważnie na nudę i samotność, pełna serdeczności dla mnie. Zabolało mię tylko to, co Anna pisze o swym zdrowiu. Powiada, że kaszle teraz więcej i czuje ból w piersiach; spaceru też mało używać może, bo choć już jest sucho, jednak wiatr wciąż chłodny i ostry. W drugiej natomiast połowie listu wyczytałem wiadomość, która mię bardzo a bardzo zaniepokoiła. List w ogóle

pisany jest widocznie nie jednym ciągiem, lecz z przerwami, stopniowo. Otóż zawiadamia mię tam Anna, że jej wymówiono mieszkanie w małym domku w ogrodach miejscowego fabrykanta i bogacza Stamboli, które miała bezpłatnie z okazji. Teraz Stamboli wynajął swą willę z ogrodami i tym domkiem jakiemuś generałowi, który ruguje Annę. Musi więc ona znaleźć sobie i wynająć pokoik gdzieś w mieście. Jest to i kłopot nie lada, i koszt dla Anny, i niepewność lokaty, zwłaszcza ze względu na warunki zdrowotne, o które przede wszystkim chodzić powinno, a które Anna skłonna jest zawsze bagatelizować, gdy o nią chodzi. Anna się żali, że ciężko jej będzie znaleźć mieszkanie, samej, bez pomocy niczyjej. Z pewnością, zwłaszcza, że znając jej charakter i usposobienie, wiem, że się będzie żenować, że się nie rozpyta o wszystkim należycie, a i z ceną będzie się bardzo liczyła i gotowa nająć Bóg wie co. Już to zbyt zaradna moja Anna nie jest, gdy chodzi o nią samą. Potrzebuje właściwie zawsze serdecznej i troskliwej opieki i pomocy. Lękam się tej zmiany pokoju dla niej. W czystszych dzielnicach miasta, gdzie powietrze jest lepsze i warunki dogodniejsze, ceny pokojów są bardzo drogie w Teodozji. A jak łatwo, zwłaszcza gdzieś na bocznych dzielnicach przedmieść, natrafić na brud, wilgoć w pokoju lub najgorszy kurz uliczny, który dla suchotników jest zabójczy, a przy wiatrach tamecznych zapewne bardzo duży. O cenę już mniejsza, zdobędę się i na większy pieniężny wysiłek pomocy dla niej, byle ona sama, taka zawsze delikatna, taka drażliwa w materiach pieniężnych, nie zanadto skąpiła dla ulżenia mnie. Co mi pieniądze wobec potrzeb jej zdrowia. W niej całe i wyłączne szczęście moje. Niepokoi się też Anna tym, że właśnie wyczerpały się jej pieniądze lutowe, a marcowych jeszcze nie ma, a tu potrzeba nagła zmiany mieszkania; prosi, aby prędzej jej wysłać. Wysłałem pieniądze już pozawczoraj, ale najgorsze to, że tak powoli idą przesyłki pocztowe z Wilna do Teodozji. List Anny nosi na stemplu pocztowym teodozyjskim datę 26 lutego, a na stemplu wileńskim datę 2 marca, to znaczy szedł cztery dni, od wtorku do soboty. Pieniądze więc, wysłane we czwartek, dojdą do niej najwcześniej jutro albo w poniedziałek i tyle dni niepokoju będzie miała biedaczka. Wiadomości te o zmianie mieszkania, o kłopotach Anny, w związku z wiadomością o niedobrym stanie zdrowia, przygnębiły mnie. Byłem przez dzień cały pod wrażeniem obaw i złych przeczuć. Wszak w Annie streszcza się teraz dla mnie całe szczęście, wszystko to, co ma powab, co jest pięknym i najgłębszym w życiu. Kocham ją bez granic, kocham nie miłością zakochanych młodzieńców, podlotków ani miłością erotyczną, ale miłością całej natury mojej w pełni dojrzałości i rozkwitu, całą siłą rozwiniętych władz moich, kocham życiem moim bez zastrzeżeń, bez wyjątku. Pracowałem, ale serce mię bolało. Mam jak ranę w sercu, która krwawi na każde wspomnienie o niedoli mej Anny. A wspomnienie to jest ciągle żywe. Nie mogę ani na chwilę całkiem zapomnieć, oderwać się od tej rany. Wciąż kiełkuje ta pamięć bolesna, wciąż gryzie duszę ten ból. Boleśniej już być nie może.

3 (16) marca, rok 1913, niedziela

Anna nie schodzi mi z myśli. Może być, że dotąd nie otrzymała jeszcze pieniędzy, wysłanych we czwartek, toteż nie może sobie nająć pokoiku, musi się tułać bądź tymczasowo u brata, bądź w hotelu, jeżeli z domku Stamboli już się wynieść musiała. Obecność brata, zdaje się, nie na wiele się Annie przydaje. Brat jej, człowiek tchórzliwy, zamknięty w sobie i egoista, jak mi się on z opowiadań Anny przedstawia (choć ona go zawsze broni przed taką moją opinią), bynajmniej nie jest zachwycony pobytem siostry w Teodozji i nie myśli zbyt się nią opiekować: zajęty jest sobą i rodziną własną, lęka się, aby Anna nie stała mu się ciężarem, zamiast przygarnąć serdecznie, rad by się jej pozbyć. Sądzę, że gotów on raczej dać Annie na drogę, aby się wyniosła, niż jej pomóc do zainstalowania się, zwłaszcza w chwili, gdy jest bez

pieniędzy. Rozumiem, jak ciężki jest dla Anny brak pieniędzy teraz, ile jej sprawia kłopotu i może upokorzenia nawet. A może jeszcze biedaczka trapi się w dodatku tym przypuszczeniem, że ja zapomniałem o niej i że się nie spieszę z ekspedycją pieniędzy. Biedne dziecko.

Dziś o godz. 1 odbyło się u Krzyżanowskiego zebranie grupy „przeglądowej", zwołane przez redaktora Ludwika Abramowicza. Okazuje się, że niezależnie od utworzenia się osobnego zawiązku organizacji partyjnej, stara rozszerzona grupa „przeglądowa" została zachowana dla kierownictwa pismem. Sądziłem, że będzie inaczej i że kierownictwo pisma wróci do rąk dawnego komitetu redakcyjnego, złożonego z pięciu osób, co uważałbym za lepsze, bo taki komitet mógłby większy wpływ wywierać na kierunek pisma niż luźna szeroka i liczniejsza grupa osób. Dla Ludwika wszakże taka szersza grupa jest lepsza od komitetu redakcyjnego, bo faktycznie mniej go ogranicza, zwalnia pismo od kontroli. W każdym razie, jakieś zebranie, czy to grupy, czy komitetu – niewątpliwie już było potrzebne. „Przegląd Wileński" od dawna był już zupełnie puszczony samopas. Po gorączce nastrojów niepodległościowych w ostatnim okresie wyczekiwania wojny – trzeba było się zastanowić i naradzić, jaki ma być nadal kierunek stały pisma, zwłaszcza że „Przegląd" mocno się tymi nastrojami przejął. W ogóle zasady krajowości, które „Przegląd" w założeniu swym miał wyznawać, mocno się w kołach „przeglądowych" w ostatnich czasach w opinii podkopały, i w ogóle zeszły jakoś na lekceważące macosze traktowanie. Na zebraniu dzisiejszym obecni byli: Ludwik Abramowicz, Krzyżanowski, Turski, Nagrodzki, Piłsudski, Zasztowt, Studnicki, Budny i ja. Ludwik Abramowicz zreferował swoje supozycje o tym, jaki powinien być kierunek pisma. Oświadczył, że, zdaniem jego, wyznawany przez nas dotąd pogląd o podziale społeczeństwa na kierunki na podstawie czynników społecznych był złudzeniem i że społeczeństwo polskie coraz widoczniej grupuje się i rozdziela na dwa zasadnicze obozy na podstawie li tylko czynnika politycznego – na obóz narodowo-niepodległościowy i obóz ugodowy, wbrew wszelkim różnicom społecznym. Że przeto trzeba odrzucić przestarzałe programy społeczne, które nikogo nie interesują i nikogo nie pociągają do czynu, i oprzeć się li tylko na czynniku politycznym, stanąwszy do obozu bądź niepodległościowego, bądź ugodowego, on zaś, Ludwik, wypowiada się całkowicie za obozem i programem niepodległościowym. Nie potrzebuję tu chyba wykazywać całej bezmiernej płytkości tego poglądu, który się wyląc może li tylko w głowie takiego analfabety społecznego, jak Ludwik Abramowicz. W istocie rzeczy chodzi tu Ludwikowi o rzecz inną. Chodzi mu niewątpliwie o to, żeby się uwolnić wreszcie od ciążącej mu skóry demokratycznej i uderzyć w popularną fanfarę nacjonalizmu, licytującego się z endekami w pierwszeństwie „patriotyzmu". Ludwik Abramowicz nigdy społecznikiem nie był i nigdy nie był demokratą, nie był ludowcem szczerym, ideowym. Okoliczności tylko zmusiły go do tego, aby przy powstaniu „Przeglądu" przyjąć tę maskę wobec nas, aby się na redaktorstwo dostać. Teraz czuje się już o tyle mocny, że może maskę odrzucić i próbuje pociągnąć za sobą całą grupę do odstępstwa od społecznych ideałów ludowych. Zaiste miałem rację wielką, gdy mu nie ufałem od początku i nie chciałem przystać na redaktorstwo jego. Znałem go dobrze jeszcze z czasów „Gazety Wileńskiej", wiedziałem, co to za ptaszek i dokąd on pismo nasze powiedzie. Tylko jeden Studnicki poparł dziś bezwzględnie Ludwika, poparł szczerze, bo też Studnicki nigdy innym nie był i być nie próbował. Ja pierwszy wypowiedziałem się przeciwko takiej koncepcji, a za mną wypowiedzieli się w ten sam sposób, przynajmniej w ogólnych zarysach, inni – Piłsudski, Krzyżanowski, Zasztowt, Budny – oczywiści Zasztowt najgoręcej. Wskazałem, jak jednostronne i mylne są podstawy twierdzeń Ludwika. W żadnym społeczeństwie, w żadnym narodzie ruch społeczny nigdy ustać nie może i nie ustaje. Jednocześnie, gdy widzimy w Polsce

obudzenie się gorące haseł i dążeń niepodległościowych, widzimy w tejże Polsce nieustający ruch twórczy społeczny, głęboki i nie mniej różnicujący dotychczasową budowę kierunków, niż kwestie polityczne – to ruch ludowy włościański, ruch wagi olbrzymiej, którego wyrazem jaskrawym i poważnym był świeży zjazd kółek Staszicowskich w Warszawie, dalej ruch kooperacyjny, na koniec silny ruch mieszczański, którego zgiełkliwym wyrazem jest akcja bojkotowo-antysemicka. Ruch polityczno-państwowy nie może też nigdy być od społecznego oderwany w narodzie. Kierunek niepodległościowy, jako odruch świadomy i niezbędny w narodzie żywym, winien być przez nas wyznawany, ale nie może się przeciwstawiać twórczemu rozwojowi społecznemu. Winniśmy uwydatniać, popierać i potęgować wszystko, co wpływa na polityczne i społeczne usamodzielnienie Litwy oraz najgoręcej się przyczyniać i dawać wyraz w prasie dla wyzwolenia i usamodzielnienia ludu w ruchu społecznym.
Wieczorem byłem u Żmujdzinowicza. Choć nie zostałem wybrany do zarządu Lietuvių Dailės Draugijos, jednak wprowadzono mię tam w charakterze kandydata. Zdaje się, że to zrobiono umyślnie dla mnie, aby mi nie dać poczuć usunięcia i dać mi satysfakcję oraz utrzymać mię dla zasady bądź co bądź w zarządzie. Poczciwie to i serdecznie ze strony moich kolegów kochanych z zarządu, a jednocześnie świadczy to o świadomej przeciwwadze prądowi nacjonalistycznemu u Litwinów, który by mię chciał wyrugować.

4 (17) marca, rok 1913, poniedziałek
W aspiracjach Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego dostrzegałem zawsze pewien odcień nacjonalizmu. Zawsze dawali oni przewagę tzw. interesowi narodowemu nad społecznymi interesami demokracji krajowej, ludu krajowego. Chodziło im więcej o utrwalenie i spotęgowanie wpływów polskich, niż o co bądź innego. Ich sympatie ludowe nie były, że tak powiem, czymś samodzielnym, jeno były zawsze środkiem dla ich dążeń narodowościowych, były wynikiem odpowiedniej koncepcji narodowej. Ale przynajmniej to jedno było u nich zawsze wyraźne, szczere, niewymuszone i wierzyli oni, że kultura narodowa polska w tym kraju, jak wszędzie, nie może zdobyć pełni praw obywatelskich i skuteczności wpływów i rozwoju, dopóki się będzie opierać wyłącznie na szlachcie, na obszarnikach, na elementach społecznie wstecznych, na przewadze klerykalizmu i wszelkich przeżytków przeszłości i że winna ona się oprzeć na twórczym pierwiastku ludowym, do którego należeć będzie przyszłość w społeczeństwie demokratycznym, winna się wyzwolić z rutyny i obskurantyzmu, stanąć pod znakiem postępu, myśli wolnej i usamodzielnienia ludu. Stąd płynęła ich szczera i gorąca sympatia ludowa oraz świadoma, głęboka niechęć do elementów wstecznych. Obszarników, szlachtę, klerykalizm, wszystko to, co utrwalało przewagę starego porządku nad nowymi prądami ludowymi, uważali oni za rzecz z punktu widzenia narodowego szkodliwą, którą należy zwalczać. Byli to więc narodowcy ludowi, usposobieni radykalnie bardzo – czerwoni. Ze sprawą narodową łączyli oni zmysł społeczny. W kraju naszym uważali oni za potrzebne obudzić i dążyć do usamodzielnienia tych mas ludowych, które mówią po polsku, słowem – jak najbardziej uspołecznić i unarodowić w kraju lud polski. Jakże skarlał i spaczony został ten program w tym, czego dziś chce Ludwik Abramowicz i do czego całą naszą grupę wzywa! U niego już pierwiastek społeczny został całkiem odrzucony. Powiada otwarcie i głośno, że programy ludowe, różnicowanie społeczeństwa – to furda, to złudzenie. Precz z sentymentalizmem ludowym, szukajmy sojuszników niepodległościowych – wszędzie. Jedyny radykalizm – to radykalizm polityczno-państwowy. Jest to najpłytsza ideologia nacjonalistyczna, jaka się zrodziła pod słońcem. Nigdy w historii męczeństwa

i walk niepodległościowych polskich, w których uczucie narodowe do szczytów bohaterstwa prowadziło ludzi, nie było ani jednego kierunku, który by odrzucał wszelkie ideały społeczne. Jedni byli „biali", inni „czerwoni", ale bezkolorowych – żadnych nie było, bo naród pozaspołeczny nie istnieje – to nonsens. Do jakiejże bezmyślności jałowej wzywa całą grupę Ludwik! Bez stanowiska społecznego radykalizm niepodległościowy – to fikcja, to obłęd, to zupełny rozbrat z życiem realnym. Poza tym, czysta niepodległościowość polska w kraju naszym – to rzecz dla kultury polskiej u nas, dla utrwalenia tu obywatelskiego stanowiska Polaków – zgubna. Sympatyzować i wspierać ruch niepodległościowy w Polsce, wspierać czynnie na zewnątrz – możemy. Ale tu w kraju musimy pracować nad usamodzielnieniem (w kierunku niepodległościowym) Litwy i Białej Rusi, musimy ani na chwilę nie zrywać z tym krajem, nie zapominać o tym, że tu żyjemy i że w kształceniu dziejów tego kraju musimy być czynni, inaczej bowiem zrezygnować musimy ze stanowiska współobywateli kraju i staniemy się kolonistami takimi, jakimi byśmy byli, mieszkając w Petersburgu czy Londynie. Byłby to nie radykalizm narodowy, ale samobójstwo narodowe. Dla ludów krajowych stalibyśmy się tym (przede wszystkim dla Litwinów), czym są Żydzi-Litwacy w Polsce, uważani za element obcy, nieuprawniony do równego obywatelstwa.
Wieczorem byłem dziś u Kraskowskiego na Antokolu, gdzie był też i Šaulys. Opowiadał mi Šaulys rzecz ciekawą, że projektuje on ankietę specjalną w sprawie współżycia polsko-litewskiego. Zwróciłby się z tą ankietą do szeregu wybitniejszych działaczy rozmaitych kierunków polskich i litewskich, odpowiedzi zaś dałyby niewątpliwie dużo ciekawego materiału. Nie wiem tylko, czy potrafi on to zorganizować, a mogłaby z tego powstać rzecz wartościowa.
Napisałem dziś do „Kuriera Krajowego" trzeci artykulik „O kraju naszym".
Od Anny nie mam nowych wieści. Dziś już musiała ona chyba otrzymać pieniądze, wysłane we czwartek. Ale kiedyż jeszcze otrzymam od niej list uspokajający. Z bólem myślę o tych kilku ciężkich dniach kłopotu i troski, które miała. Na zdrowie to nie może jej służyć. A nawet i po otrzymaniu przez nią pieniędzy nie jestem spokojny co do tego, czy potrafi ona się z mieszkaniem urządzić dobrze.

5 (18) marca, rok 1913, wtorek
Zaszedłem do Zasztowta dla porozmawiania o ewentualnym wstąpieniu nas dwojga do komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego". Zasztowt jest gorącym zwolennikiem „Kuriera Krajowego" i przekłada stanowczo kierunek jego nad kierunkiem „Przeglądu Wileńskiego". Projekt utworzenia komitetu redakcyjnego „Kur. Kr.", do którego weszlibyśmy my dwaj oraz faktyczny redaktor Mańkowski, trafia nam bardzo do przekonania. Istotnie jest to potrzeba pilna, bo biedny Mańkowski bije się sam jak ryba o lód, nie tylko o trudności materialne, ale i redakcyjne. Jest młody, nie ma wprawy dziennikarskiej, współpracowników ma w redakcji słabych, nie ma się w wielu rzeczach z kim poradzić, do kogo odwołać. Jedyna dotąd doświadczona i tęga głowa, z której pomocy może korzystać Mańkowski, to Antoni Łuckiewicz, ale sam on ma na głowie nadmiar pracy, bo jest wszędzie czynny: i w „Naszej Niwie", i w ruchu białoruskim, i w robocie postępowej rosyjskiej, i zwłaszcza w codziennej „Вечерней Газетѣ", której jest redaktorem. Wobec tego, że Antoni Łuckiewicz jest tak zajęty, może on co najwyżej zasilać „Kurier Krajowy" artykułami, co też robi, a poza tym systematycznej pomocy kierowniczej Mańkowskiemu dać nie może. Skądinąd nawet niebezpiecznie jest pod wielu względami wysuwać Łuckiewicza, jako Białorusina, na czoło pisma polskiego, bo już i teraz kolportowane są przez wrogów politycznych, a nawet przez „przyjaciół" z „Przeglądu" pogłoski, że „Kurier Krajowy" służy rzekomo interesom białoruskim, jest

dziełem białoruskiej „intrygi". Oczywiście to się robi dla zdyskredytowania pisma, ale z tym się liczyć trzeba poważnie. Mańkowski jest więc osamotniony, bo ani dr Sumorok, człowiek dobrych chęci, ale niegłęboki i nawet raczej tępy, ciężko myślący, ani rozproszona garść innych sympatyków pisma do żadnej pomocy się nie zdaje. Trzeba się nawet dziwić, jak w tych warunkach Mańkowski sobie radę daje i przecie wciąż stopniowo pisemko podnosi, polepsza. Chłopiec ten wyrabia się coraz bardziej na tęgiego pracownika, zyskuje na sprężystości, umiejętności taktu, w ogóle mądrości. A pismo codzienne nie jest przedsięwzięciem łatwym: co chwila powstają jakieś kwestie, zagadnienia nowe, nieprzewidziane, w których się trzeba natychmiastowo zorientować i znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Utworzenie komitetu redakcyjnego, złożonego ze mnie, Zasztowta i Mańkowskiego, byłoby dla pisma rzeczą bardzo pożyteczną, bo przekonaniowo jesteśmy bardzo zbliżeni i solidarni, obaj z Zasztowtem w pewnych i tych samych godzinach poobiednich jesteśmy w tym samym domu, ja u siebie, a on w biurze swoim o piętro niżej, wskutek czego porozumienie jest zawsze łatwe w każdej chwili na poczekaniu, bo i redakcja jest na tej samej ulicy Wileńskiej. Zasztowtowi ciąży już przynależność do grupy „przeglądowej", której kierunek coraz bardziej się oddala od haseł ludowych i od stanowiska obywatelstwa krajowego. Żałuje trochę Zasztowt zerwania tych zażyłych koleżeńskich stosunków z ludźmi z „Przeglądu", których lubi jako ludzi, przez sympatię osobistą, ale atmosfera ideowa, która tam panuje i która się coraz bardziej akcentuje, jest dlań obca. Zasztowt zwrócił moją uwagę na to, że wstąpienie nasze do komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego" winno być poprzedzone wystąpieniem naszym ze ściślejszej grupy „przeglądowej", która do kierunku „Kur. Kr." zaufania nie żywi. Ja osobiście uważałbym dla siebie za możliwe pozostanie równoległe nadal w grupie kierowniczej „Przeglądu", ażeby nie stracić tam terenu choć jakiegokolwiek oddziaływania w kierunku moich przekonań, ale zgadzam się, że powinniśmy zawiadomić grupę „przeglądową" o naszym wstąpieniu do komitetu „Kur. Kr." I spytać, czy grupa będzie w tych warunkach uważała za możliwe, abyśmy do niej nadal należeli. Tak też mamy zrobić. Zasztowt opowiedział mi jeszcze nieco szczegółów o tym tworzącym się nowym stronnictwie demokratycznym, zawiązywanym przez Witolda Abramowicza. Zasztowt był na kilku pierwszych zebraniach organizacyjnych i formalnie sam nie wie, czy się liczy za należącego czy nie do tego związku, ale czuje się skrępowanym i będzie musiał zgłosić formalnie swe wystąpienie. Witold Abramowicz powciągał do związku tego rozmaite elementy mocno niewyraźne i ciążące na prawo w kierunku nacjonalizmu i wielkiego umiarkowania społecznego. Przeto związek ten jest o wiele bardziej umiarkowany i prawicowy, niż sam inicjator i *leader* jego, Witold, który bądź co bądź jest szczerym ludowcem. On z Nagrodzkim tworzą tam lewicę. Należy jeszcze do związku tego Piłsudski, Studnicki, o innych nie wiem. Krzyżanowski, Klott, Ludwik Abramowicz – nie należą.
Wieczorem byłem na posiedzeniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Obecni byli: Żmujdzinowicz, Jan Vileišis, Kairys nowy członek zarządu Untulis, ja jako kandydat do zarządu, i nie należący do zarządu przedstawiciel sekcji imienia M. K. Čurlanisa przy „L. D. Dr." – Šiling. Kasjerem na dawne miejsce moje został obrany Kairys. Koledzy moi z zarządu czuli się trochę na razie skrepowani względem mnie; widoczne było, że przykro im osobiście, iż ja przez ogólne zebranie zostałem nie wybrany do zarządu. Chcąc mi te pigułkę osłodzić, podkreślali to, że jako kandydata do zarządu proszą mnie o branie zawsze stałego udziału w posiedzeniach i o czynną pomoc w pracy. Zachowali się bardzo przyjaźnie, bardzo po koleżeńsku. Nieprawda jest, że Litwini są bezwzględni, że są brutalni. Są oni bardzo delikatni, z pewnością nie mniej wrażliwi od szlachty, sądzę, że subtelniejsi nawet w stosunkach osobistych. Należeć do zarządu „Liet. D. Draugijos" albo mieć przynajmniej ciągle rękę na pulsie życia tego

towarzystwa tego i mieć udział czynny w działalności jego – to nie tylko wielka przyjemność osobista, ale i piękne pole do realnego czynu obywatelskiego. Towarzystwo to krzewi u nas najintensywniej kulturę artystyczną bezpośrednio w szerokich masach ludowych, wyzwala twórczość ludową do czynu, do energicznego tworzenia kulturalnego dorobku narodowego. W sprawozdaniu tegorocznym naszkicowana będzie historia działalności towarzystwa w pierwszym pięcioleciu jego istnienia (r. 1907-1912). Do aktualnych spraw chwili obecnej należą w towarzystwie: sprawa wystawy petersburskiej drobnego przemysłu domowego, sprawa unarodowienia spadku artystycznego po Mikołaju Čurlanisie i sprawa wydania książki o nim z reprodukcjami poszczególnych wybitniejszych dzieł jego. „Lietuvių D. Dr-ja" na wystawie petersburskiej ma lokalik osobny pod własnym szyldem. Eksponaty już są tam wysłane; pod względem ilości i jakości są one dobrze przedstawione. Z ciekawszych okazów rzeźby drzewnej oraz kilku charakterystycznych wzorów wyrobów tkackich wykonane są w pracowni fotograficznej Jana Bułhaka bardzo piękne odbitki artystyczne. Szkoda, że więcej brak mi miejsca.

6 (19) marca, rok 1913, środa
Wciąż nie mam jeszcze wieści od Anny, czy otrzymała pieniądze i jak się z mieszkaniem urządziła. Co prawda, na wiadomość o otrzymaniu pieniędzy za wcześnie, bo otrzymała je zapewne dopiero w poniedziałek i gdyby tegoż dnia list wysłała, to jeszcze bym go nie mógł otrzymać. Ale choćbyż o mieszkaniu coś Anna napisała, choćby w pocztówce najkrótszej: gdzie się lokowała tymczasem do czasu otrzymania pieniędzy i czy może ma już jakiś pokoik upatrzony, gdzie, jaki itd. Teraz nic o tym nie wiem; jak bomba spadła na mnie w sobotę ta niespodziana wiadomość o stracie dotychczasowego pokoiku – i odtąd nic więcej. A niepokój mój wzrasta tym bardziej, że wiem, iż właśnie w tym czasie Anna nie miała pieniędzy.
Wieczorem byłem na zebraniu towarzystwa popierania przemysłu domowego i sztuki ludowej. Było to zebranie ogólne, zwołane przez zarząd. Posiedzenie zarządu odbyło się w lutym w czasie mej nieobecności w Wilnie. Funkcje w zarządzie są podzielone w ten sposób, że na prezesa powołany został prezydent Michał Węsławski, na wiceprezesa – Ruszczyc, na sekretarza – redaktor Własow i na skarbnika – Jan Vileišis; reszta pięciu wybranych do zarządu – i ja w ich liczbie – są zwykłymi członkami takowego. Zarząd uważał, że dla tego, aby działalność towarzystwa była żywa, ażeby zainteresowanie pracą towarzystwa rosło, nie należy się ograniczać wyłącznie do działalności zarządu, lecz urządzać w ciągu roku ogólne zebrania członków dla omawiania spraw bieżących, organizacji pracy, wniosków zarządu itd. Słowem, należy nawiązać stały kontakt między zarządem a ogółem członków i skierować usiłowania ku temu, aby jak najliczniejsze koła członków do pracy czynnej wciągnąć. Jest to metoda bardzo dobra, zwłaszcza dla instytucji początkujących i takich, których działalność, których zadanie samo wymaga właśnie nade wszystko czynu zbiorowego, czynu społecznego. Tak sprawa przemysłu domowego, jak sztuki ludowej – należą właśnie do tych, które tylko zrzeszonym czynem społecznym dźwignięte być mogą. To spowodowało zwołanie dzisiejszego zebrania. Osób zgromadziło się dość dużo, od 20 do 30, w lokalu Towarzystwa Artystycznego Wileńskiego przy ul. Zawalnej, 21. Obecni byli przedstawiciele wszystkich narodowości krajowych. Spóźniłem się na zebranie i trafiłem już po odczycie Rybakowa, który miał być bardzo ciekawy. Prelegent referował o niektórych charakterystycznych cechach zdobnictwa ludowego i etnografii na podstawie swych wrażeń i spostrzeżeń osobistych z wycieczki na Polesie. Po odczycie demonstrował szereg szkiców etnograficzno-zdobniczych z natury, dokonanych w toku tej wycieczki. Następnie Wacław Łastowski z „Naszej Niwy"

wygłosił ciekawy referacik o garncarstwie w kraju naszym (właśnie na Białej Rusi). Scharakteryzował dawny stan garncarstwa w kraju, stan względnie świetny, jako wybitnej gałęzi wytwórczości artystyczno-rzemieślniczej, następnie obecny stan upadku i zaniku, wykazał treściwie i zwięźle przyczyny takowego oraz niezbędne środki do dźwignięcia go na przyszłość. Referacik Łastowskiego był ciekawy i rzeczowy, tak pod względem kulturalno-artystycznym, jak ekonomicznym. Potem w dyskusji omawiane były sprawy bieżące i szczególnie wnioski o działalności towarzystwa na najbliższą metę. Zadanie jest niezmiernie rozległe i skomplikowane, a strasznie w kraju naszym zaniedbane. Niechby towarzystwo wykonało choć małą cząstkę tego, co jest na tym polu do zrobienia, niechby tylko pierwsze ścieżki utorowało. W samej budowie towarzystwa jest pewna dwoistość: przemysł domowy jako zagadnienie ekonomiczne i sztuka ludowa jako zagadnienie kultury artystycznej. Że sztuka ludowa, jak etnografia, wiąże się dość ściśle z przemysłem domowym, zwłaszcza wiejskim, to pewne. Ale bądź co bądź przemysł domowy traktować należy w towarzystwie nie tylko jako narzędzie sztuki ludowej i etnografii, ale też jako samodzielne zjawisko natury społeczno-ekonomicznej. W chwili obecnej w towarzystwie jest przewaga faktyczna tendencji artystyczno-etnograficznej nad ekonomiczną, ale jednocześnie wszyscy zdają sobie jednak sprawę z tego, że obie te dziedziny muszą być traktowane i ujęte działalnością równoległą jako równie ważne i niezbędne. Nie brak też wśród członków towarzystwa ludzi, którzy sprawy ekonomiczne drobnego przemysłu pojmują i nimi się szczerze zająć pragną. Bardzo wielkim utrudnieniem jest brak u nas dokładnej znajomości stosunków istniejących w drobnym przemyśle krajowym. Uzupełnienie tej luki należeć winno do zadań podstawowych.

7 (20) marca, rok 1913, czwartek
Od niedzieli jestem trochę niezdrów. Sam nie wiem, co mi jest; mam ciągły prawie ból głowy, jakby reumatyczny. Nie ustaje on i po wyspaniu się; rano jest nawet większy niż we dnie. Czy to przeziębienie, czy coś innego. Wieczorami jest jakby lekki stan gorączkowy. Chwilami wyobrażam sobie, że to może początek tyfusu. Ból bowiem jest jakiś uporczywy i nie daje się całkowicie usunąć, pomimo rozmaitych środków.
Dziś napisałem aż dwa artykuliki, co mi się rzadko zdarza. Jeden napisałem z rana do „Kuriera Krajowego". Jest to artykulik sprawozdawczy z wczorajszego odczytu Łastowskiego o garncarstwie krajowym. Drugi napisałem pod wieczór. Zreferowałem w nim mianowicie całą sprawę owej napaści oszczerczej na nas po niedoszłym sądzie ks. Cyraskiego z Malinowskim. Dawno już miałem chrapkę na to, bo uważałem, że sprawa ta ma znaczenie ogólniejsze, bynajmniej nie osobiste tego. Jest to typowy wzorek obyczajowości publicznej sfer rządzących opinią w Wilnie. Ludzie, należący do kliki rządzącej, mający na sumieniu korupcję, z najwstrętniejszą obłudą stroją się w pióra cnoty i moralizatorstwa publicznego, rwąc szaty ze zgorszenia, gdy chodzi o przykrycie jednego ze swoich i miotając bezkarnie oszczercze gromy potępienia na przeciwników politycznych, kłamliwie i cynicznie, ufni w potęgę swoją. Ponieważ na skutek tych oszczerstw pozwaliśmy dwunastu z tych panów przed sąd honorowy, więc nie mogłem oczywiście zabrać głosu w tej sprawie publicznie, pomimo że uważałem to za potrzebne. Trzeba było czekać wyroku sądu tego, aby się na nim oprzeć. Wyrok, zdaniem moim, daje nam satysfakcję wystarczającą. Opierając się na nim, można wykazać całkowicie obłudę i nikczemność akcji, której byliśmy ofiarą. Ale formalnie dla nas, którzy bezpośrednio w sprawie tej braliśmy udział, wyrok jednocześnie wyczerpuje sprawę. Wyrok zaś ten jest tak pisany, że dopiero dokładna analiza tekstu jego uwydatnia całkowicie myśl jego główną, tę właśnie, która ma dla nas wartość. Pozornie zaś może się on wydawać kompromisem bezbarwnym. Wobec tego samo

opublikowanie tekstu wyroku nie wystarcza: ono tylko topi całą sprawę, rozwadnia ją kompromisowo w opinii publicznej, rzuca na całą rzecz bladą powłokę wyczerpania, załatwionego nieporozumienia. Dlatego też bardzo pragnąłem, aby „Kurier Litewski”, drukując wyrok sądu honorowego, dał jakikolwiek dopisek do tekstu, jakikolwiek, choćby najlżejszy komentarz, aby mieć pretekst do przeanalizowania tego wyroku w prasie piórem własnym. Bez takiego bowiem pretekstu formalnie nie było powodu do zamieszczania prócz samego tekstu jeszcze i komentarza do niego. Ale strona przeciwna była dość sprytna, aby nam nie dać okazji do komentowania wyroku. Wolała ona pozór kompromisu, niż ryzykowną próbę jakiegokolwiek tłumaczenia swego stanowiska, co ją narażało na uwydatnienie przez nas istotnego sensu wyroku, zagmatwanego w odpowiednio zręcznej stylistyce redakcyjnej. Wyrok został wydrukowany bez komentarzy, bez dopisków. Nie chciałem jednak na tym poprzestać, ale jak? Chodziło mi nie tylko o publiczne przeanalizowanie wyroku, ale też o zareagowanie odpowiednie już nie tylko w stosunku do dwunastu panów, z którymi mieliśmy sąd honorowy, lecz i tych innych, którzy się do tej samej akcji przyczynili, przede wszystkim więc tych pięciu byłych arbitrów ks. Cyraskiego, którzy pierwsi wszczęli akcję przeciwko nam, fałszując w publicznym liście do mocodawcy swego nasze zachowanie się wbrew protokołom niedoszłego sądu; oni to dali punkt wyjścia do twierdzeń pompatycznej uchwały dwunastu panów, oni też zawinili najwięcej, postąpili najnikczemniej, bo bezpośrednio sfałszowali fakty, zainscenizowali całą akcję dalszą. Wreszcie chodziło mi o osobny artykuł p. J. Hłaski, jednego z dwunastu, który rozwinął twierdzenie dwunastu panów do punktu kulminacyjnego, stwarzając jakąś rzekomą intrygę żywiołów wrogich polskości i kościołowi, której czynnymi aktorami nas zrobił. Przeanalizować wyrok bezstronnego sądu i na podstawie jego autorytetu wykazać obłudę i fałszerstwo naszych pierwszych bezpośrednich oskarżycieli, jałowość i bezpodstawność „intrygi”, stworzonej przez Hłaskę, rzeczywistą treść faktów oraz intencje brudne akcji, prowadzonej przeciwko nam – oto o co mi chodziło. Korzystając z tego, że dr Sumorok wspomniał mi przed kilku dniami, że warto w „Kurierze Krajowym” omówić treść wyroku, postanowiłem odpowiedni artykulik napisać i dać do „Kuriera Kr.” Pod najściślejszym pseudonimowym *incognito*, bo robić mnie to osobiście nie wypadało. Prasa zaś zawsze o tym mówić może jako o faktach, które miały miejsce publicznie. Artykulik też taki dziś napisałem, niedługi a dobrze trafiający w sedno rzeczy. Zaniosłem go zaraz do Krzyżanowskiego dla poradzenia się, ażeby jako człowiek niezainteresowany a bliski tej sprawy, bo był jednym z sędziów, powiedział, czy w tej formie wystąpienie w prasie jest możliwe i czy treść artykuliku dobrze wyraża fakty. Krępowało mię jeszcze to w stosunku do „Kuriera Krajowego”, że redaktorem jego jest Mańkowski, jeden z naszej piątki, i że jeżeli formalnie artykuł nie może być pisany przez jednego z nas, to i drukowany nie bardzo może być w piśmie redagowanym przez kogoś z nas pięciu, bo to rzuca cień subiektywizmu i poniekąd stanowić może ze strony Mańkowskiego pewne formalne wykroczenie przeciwko wyrokowi honorowemu, w którym powiedziano wyraźnie, że wyrok ten sprawę dla nas sam przez się oczywiście (w stosunku do dwunastu panów) wyczerpuje. Krzyżanowski potwierdził ten wzgląd na Mańkowskiego i uznał, że artykuł może być tylko w „Przeglądzie”, nie zaś w „Kurierze Kr.” drukowany. Krzyżanowski uważa, że w żadnym razie artykuł nie może pochodzić ode mnie, nawet pod pseudonimem, bo w razie zareagowania strony przeciwnej obowiązany byłbym bezwzględnie się ujawnić. Wydrukowanie jest możliwe tylko w takim wypadku, jeżeli znajdę kogoś, który przyjmie na siebie autorstwo i sam odda artykuł do redakcji jako od siebie. Przystałem na to i poprosiłem zaraz Ludwika Abramowicza, aby umieścił artykuł ten w

„Przeglądzie Wileńskim” jako jego własny, niekoniecznie pod swym nazwiskiem (byle się wszakże doń przyznał w razie czego). Ludwik przeczytał i zgodził się.
Wieczorem u Krzyżanowskiego miał się odbyć dalszy ciąg niedzielnego zebrania grupy „przeglądowej” dla dalszych debatów nad wniesioną przez Ludwika Abramowicza tak niefortunnie kwestią kierunku pisma. Zebranie było wszakże bardzo niekompletne i zapewne żadnej właściwej dyskusji programowej nie prowadziło ani żadnych rezolucji nie podjęło. Dokładnie nie wiem o tym, bo z powodu mego nocnego wyjazdu do Wiązowca musiałem opuścić wcześniej zebranie. Byli tylko Witold i Ludwik Abramowiczowie, Nagrodzki, Krzyżanowski, Zasztowt i ja. Oświadczyliśmy z Zasztowtem o naszym wstąpieniu do komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego”, zapytując jednocześnie, czy wobec tego grupa „przeglądowa” nie będzie uważała za niemożliwą naszą przynależność do niej na przyszłość, bo w takim razie musielibyśmy ją z żalem opuścić. Nikt kategorycznie nie zaoponował, nikt się bardzo nie zdumiał. Była to już rzecz mniej więcej spodziewana. Nie było tajemnicą, że Zasztowt i ja ciążymy raczej do kierunku, reprezentowanego przez „Kurier Krajowy”, niż do kierunku „Przeglądu”. Od dawna zdawano sobie sprawę, że my z Zasztowtem niezupełnie jesteśmy dopasowani do kapitalnych poglądów grupy „przeglądowej”, że stanowimy tu opozycję zasadniczą, że placówka ta nie jest właściwie naszą placówką. Skądinąd wszakże nie chcieliby oni nas tracić, nie chcieliby się nas pozbywać, nie tylko dla nas samych i dla zasady współdziałania poszczególnych odcieni pokrewnych, ale też dla swej własnej mocy, żeby na zewnątrz nasza przynależność do grupy była wiadoma, bo bądź co bądź moje imię daje pewną firmę w kołach demokratycznych. Co zaś mnie ucieszyło, to to, że jednak niektórzy z grupy „przeglądowej”, a przynajmniej taki Nagrodzki, jeden z najdzielniejszych, pod wpływem faktów pozbywają się po trochę zadawnionych uprzedzeń i żalów do „Kuriera Krajowego”. Nagrodzki widzi w „Kurierze Kr.” bądź co bądź narastający poważny czynnik prądów demokratyczno-ludowych, widzi i ocenia energię inicjatorów pisma tego, którzy potrafili z niczego zrobić rzecz żywą i coraz się utrwalającą, wreszcie widzi, że to pismo więcej zdziałać potrafi w kierunku drogiej mu sprawy ludowej, niż zdziałać potrafi „Przegląd”, organ małej garstki inteligenckiej, niezbyt sprężystej, jakiejś niejednolitej, wciąż kołującej i wyczerpującej się w gawędziarstwie, bez mocy, wiary i woli. Nagrodzki nie mówił tego, ale z niektórych uwag jego i z tego, jak przyjął nasze oświadczenie, widać było, co myśli. Jedyne, czego się on jeszcze w stosunku do „Kuriera Kr.” obawia, to wpływów białoruskich, aby się pismo nie stało wyrazem pośrednim nacjonalizmu białoruskiego. Jedynie Witold Abramowicz był widocznie niemile dotknięty naszym oświadczeniem. Zachował milczenie zupełne i widocznie coś w sobie ważył. Może ze smutkiem dostrzegał, jak mu się grunt spod nóg usuwa, jak to, do czego on parł, ta konsolidacja grupy „przeglądowej”, pryska i rozpada się na swoje organiczne cząstki składowe. Może żałował, że przez zerwanie z „Kurierem Krajowym” przeliczył się i myląc się co do szans utrwalenia się tego wydawnictwa, wypuścił nieopatrznie z rąk placówkę, do której teraz otwarcie niektórzy z nas się przyłączają, będąc gotowi nawet do opuszczenia szeregów przeglądowych.
Bezpośrednio po tym, jakby dla tym większego pognębienia nieszczęśliwej akcji „przeglądowej”, Krzyżanowski podniósł kwestię bytu „Przeglądu” i odczytał list Klotta, proponujący zamknięcie wydawnictwa i uzasadniający takowe. To pisze umiarkowany Klott, bynajmniej nie radykalny Zasztowt czy Römer. A motywuje tym, że pismo, wychodząc nieregularnie, poderwało sobie kredyt w opinii, a zajmując się wyłącznie prawie sprawami ogólnopolskimi i stając się w ostatnich czasach ekspozyturą prądów galicyjskich, straciło kontakt z życiem krajowym i stało się kosztowną zabawką,

niepotrzebną i pozbawioną wpływów. Dla biednych Abramowiczów propozycja ta była ciosem dotkliwym. Potem już wyszedłem.

8 (21) marca, rok 1913, piątek
O północy wyjechałem z Wilna i rano o godz. 6 stanąłem na stacji Radoszkowicze (Petryszki). Jadę dla obliczenia drzewa, wywiezionego przez kupca na brzeg rzeki do spławu. Wczoraj otrzymałem depeszę od Biesiekierskiego, że drzewo rzucają już do wody. Depeszą, wysłaną pozawczoraj, poleciłem Biesiekierskiemu rozpocząć obliczanie drzewa na brzegu, sam zaś miałem przyjechać w niedzielę rano. Wobec wszakże wiadomości o rzucaniu drzewa do wody, to znaczy przystąpienia do spławu, przyspieszyłem wyjazd. Ze stacji pojechałem furmanką najętą wprost na brzeg rzeki, do miejscowości zwanej Byk. Tam zastałem już Biesiekierskiego z Jaśkiem, zajętych właśnie obliczaniem drzewa. Nie wiedziałem dokładnie, jak się ta czynność dokonywa. Okazało się, że jest to rzecz bardzo prosta: na brzegu wywiezione sztuki leżą długimi rzędami; cały szereg takich rzędów leży wzdłuż rzeki. Chodzi tylko o zliczenie ilości sztuk w każdym rzędzie, następnie o zsumowanie całości i sprawdzenie, czy suma ta nie przewyższa sumy obliczonych i zakwitowanych w lesie przez szafarza kupca sztuk. Cała procedura obliczania trwała parę godzin. Wilenek ani towaru ciosanego nie obliczaliśmy, bo tymczasem na pierwszy spław idzie tylko towar duży, to znaczy całkowite bierwiona z pnia. Wilenek i ciosu trochę jest na brzegu, ale tymczasem to się nie spławia (nawet nie wolno przed spławieniem na małych rzeczkach dużego towaru, który ma pierwszeństwo bezwzględne), a zresztą ogromna większość tego jest jeszcze w lesie.
Ślicznie teraz na wsi. Wczesna wiosna tegoroczna spędziła już śnieg, którego zresztą było tej zimy bardzo niewiele. Pogoda słoneczna, jaskrawa. Słońce świeci i grzeje. Jest zupełnie ciepło, pomimo lekkiego wietrzyka marcowego. W polu roi się gdzieś w górze od skowronków, których śpiew, tak charakterystyczny i wesoły o tej porze roku, napełnia atmosferę życiem. Na brzegu rzeki, przy spławie, ludno i wesoło. Rzeczka, niewielka i zwykle ledwie się wąską smugą po dnie łożyska snująca, teraz pełna po brzegi, toczy swe wody z zapałem i fantazją: zdaje się – jest dumna ze swego stanu wielkości, pewna siebie, wyniosła; latem taka skromna, pokorna, mizerna na nędznym dnie swoim, teraz płynie majestatycznie, tworzy wiry, jest głęboka, poważna, groźna nawet, rwie brzegi, czasami przelewa się na łąki, funduje odnogi, przecieki boczne, zatoki, zbiera poddane dopływy. Zazwyczaj senna, lekceważona, teraz kipi życiem, ma wyrazistość żywiołu. Biedna rzeczka; ma i ona swoje dni chwały i potęgi, swoje gody życia. Jest spławna, ale latem jest w stanie znieść tylko drobniejszy towar, jak wilenkę, sześciórkę, nędzną „sobaczkę”, cios i to tylko „bydłem” (to znaczy sztuki luźne, niewiązane w płyty), o tej porze natomiast niesie towar wyborowy, idący na Prusy i Londyn, nawet powiązany w nieduże płyciki. Robotnicy, najęci do spławu, uwijają się na brzegu. Kręcą z brzózek wiązadła, wiercą szyje belek, pędzą bierwiona z rzędów i rzucają je do wody, łączą w płyciki, które następnie w sznur długi wyciągają itd. Robotnicy ci – to nie płytnicy (flisacy) właściwi. Oni tylko dowożą drzewo do Wilii, gdzie już inni je wezmą, powiążą w płyty i popędzą przez Wilno do Kowna – na Niemen. A stamtąd w płytach jeszcze większych popędzą je inni ludzie, przez ziemie litewskie – do Prus na morze, skąd towar wysortowany powędruje w okrętach ładownych do stolicy handlu drzewnego – do Londynu.
Przed wieczorem przyjechałem z brzegu rzeki do Wiązowca. Znowu na wieczór gorączka, choć ból głowy już mniejszy dzisiaj. Wcześnie koło godz. 9 poszedłem spać. Przed wyjazdem z Wilna nie miałem listu od Anny. Przykro mi to, bo właśnie pewno list przyjdzie teraz, gdy musiałem wyjechać, ale już się mniej niepokoję, bo widocznie

Anna się jakoś załatwiła, choćby doraźnie, z mieszkaniem, skoro nie pisze ponad zwykłą normę jednego listu na tydzień.

9 (22) marca, rok 1913, sobota
Chodziłem dziś dużo po lesie i przed, i po obiedzie. Dzień już teraz długi, równy nocy, a tak piękny w słońcu, że się go nie chce tracić i rozkoszą jest chodzić. W lesie słońca mniej, ale i tu ciepło, i tu ptaszki śpiewają. Na słońcu zaś za wiatrem już nawet trochę chwilami lekki skwar. Wieczorami wczoraj i dziś ukazywały się już błyskawice na niebie, zwiastuny nadchodzących burz, a wczoraj nawet grzmiało trochę. Przed obiadem chodziłem po lesie serwitutowym i byłem w Gaju, po obiedzie zaś w lesie nr XVIII, pod Kaszynem. Obejrzałem wszystko, stare zacechowane już „szurki" (sążenki) drew Czebotara z suchostoju, nowe poukładane szurki tegoż z brzozy surowej, stan podboru powału, sprzedanego Hrynkiewiczowi itd. W niektórych miejscach, gdzie było więcej starych towarowych sztuk sosny, teraz, po wyrąbaniu ich przez kupca las wygląda o wiele rzadszy, w innych – nie ma znaku. W lesie są jeszcze płaty śniegu zimowego, błota przeważnie jeszcze zamarzłe i tylko po wierzchu jest mała śliska i miękka powłoka błotnista, w wielu wszakże miejscach noga się już przesuwa głębiej. Głębiej w ziemi zamróz jeszcze trzyma porządnie. Najwięcej śniegu – to przy samym domu moim, zwłaszcza w zagłębiu między domem a młodniakiem sosnowym, bo to w cieniu i za wiatrem. Chcąc użyć specjałów leśnych, poleciłem Biesiekierskiemu, aby upatrzył jakąś dobrą brzozę i utoczył mi z niej soku. Brzozę tę się potem odda Czebotarowi do zrąbania na drwa, a ja będę miał z niej albo i z dwóch brzóz – soku do syta. Biesiekierski z Jaśkiem wywiercili dziurę w pniu, wstawili lejek i sok popłynął: krople soku spływają tak rzęsiście, że dzbanki gliniane bardzo prędko się napełniają. Biesiekierski z Jaśkiem przynieśli od Czebotara z Placówki duży kubeł drewniany z nakryciem, który będzie służył za rezerwuar dla soku tego. Dziś piłem go pod wieczór: smaczny, ale jeszcze za świeży, nieco za lekki. Zlany do kubła, przefermentuje i będzie znakomity. Czebotar, Nowik i inni poradzili, aby wrzucić do soku tego trochę gałązek porzeczki i kory dębowej: to podobno konserwuje sok brzozowy i chroni go od zepsucia. Gdy będę przyjeżdżać do Wiązowca, będę miał tu napój znakomity. Mam nadzieję, że i Annin moja go zakosztuje, bo chcę ją raz zabrać do Wiązowca na wiosnę; pokażę jej mój domek, las, spędzimy u parę dzionków na wilegiaturze zaimprowizowanej. Od dawna już ma ona ochotę do tego. Ale nocować będziemy tu nie razem, o, nie! To by się Biesiekierscy gorszyli. Anna spać będzie na drugiej połowie domu, z Biesiekierską. Biedna Annin, gdzie jest teraz i co porabia, gdzie się lokuje. Dawniej śpieszyłem z Wiązowca do Wilna, aby jakiś dzionek ukraść i z Anną wyłącznie we dwoje spędzić. Teraz w Wilnie pustka, nie ma jej. Ale śpieszę do Wilna też dla niej, dla jej listu, który się tam spodziewam zastać. Jutro jadę. Ale, czekając i pragnąc tego listu, zaczynam się go lękać. Oby jakichś złych wieści nie było! Sam nie wiem czemu, ale mię teraz lęk ogarnia, gdy myślę o chwili, kiedy wezmę list jej do rąk. Czy ma ona pokój dobry, czy potrafiła znaleźć. Jest niebaczna na zdrowie, niepoprawna pod tym względem. Anno moja, dziecko drogie, bądź błogosławiona w dobrym zdrowiu i spokoju.

10 (23), rok 1913, niedziela
Do obiadu zabawiłem w Wiązowcu, po obiedzie zaś wyjechałem na pociąg wieczorny do Wilna. Droga nie była tak zła, jak sądziłem. Tylko w kilku bagnistych miejscach było bardzo mokro, poza tym droga dość sucha. Wczesna wiosna, ciepło, słońce, wiatr osuszyły już znacznie ziemię.

Do Wilna przyjechałem o godz. 11 wieczorem. W domu zastałem tyle oczekiwany list od Anny. Rzeczywiście pieniądze, wysłane przeze mnie w zeszły czwartek, otrzymała dopiero w poniedziałek. Żeby móc nająć pokoik, musiała zastawić w lombardzie medalionik złoty i srebrną portmonetkę. Pisze, że pokoik ma malutki za rb. 18 miesięcznie, co jeszcze jest stosownie do cen teodozyjskich znośnie. Narzeka bardzo na Teodozję, pisze, że nie dotrzyma tam do maja i wróci wcześniej. O zdrowiu pisze, że jest nienajlepsze; od paru dni ma znów bóle w żołądku, jakie miała przed wyjazdem w Wilnie. To mię nie straszy, bo się lękam dla niej nie tych bólów żołądkowych, ale bólu w płucach, a na to się nie uskarża. Nie podobało mi się natomiast to, że pisze, iż się zwróci do innego doktora, bo powiada, że ze starym doktorem już nie może wytrzymać. Nie wiem, czy to tylko na ten jeden raz się zwróci do innego doktora, czy też zamierza na stałe przerwać leczenie u poprzedniego, co uważałbym za fatalne, bo tamten rozpoczął już jej systematyczne wstrzykiwanie arszeniku i tuberkuliny; kuracja taka wymaga ciągłości i metodyczności. Anna wszakże jest tak kapryśna, niewytrwała i samowolna, że gotowa istotnie przerwać kurację w połowie, tracąc całą jej wartość, a to dlatego, że ją męczą igły i że stary doktor nie budzi w niej zaufania. Istotnie wygląda on na ciemięgę, ale powszechnie w Teodozji zalecano go nam jako najlepszego specjalistę. Nowe będę miał źródło troski.
Napisałem dziś artykulik do „Kuriera Krajowego”, który zacząłem w Wiązowcu, a skończyłem w Wilnie – o potrzebie kooperacji jako środka uspołecznienia i wyzwolenia ludu. Zaznaczyłem w nim fikcyjność i jałowość praw i swobód politycznych bez społecznej czynnej samodzielności ludu w zorganizowanych zrzeszeniach gospodarczych. Myśl słuszna, ale artykulik się ułożył ciężki, nie dość głęboki w wyrazie. Nie jestem rad z niego.

11 (24) marca, rok 1913, poniedziałek
Dzień dziś tak ciepły, jak rzadko o tej porze. Było przeszło 15° Réaumura i to w cieniu, nie na słońcu. Powietrze wilgotne i parne, wieczorem duży deszcz.
Byłem wieczorem u Klotta. Zaprosił mię on do siebie z powodu przyjazdu Kasperskiego z Warszawy. Kasperski jest poniekąd kolegą moim o tyle, że skończył w Paryżu *l'École des Sciences Politiques*, w której i ja byłem. Ale nie byliśmy w szkole razem. Kasperski był przede mną i wyjechał właśnie z Paryża w tym samym roku (1902) na wiosnę, w którym w jesieni ja przyjechałem. Ale trafiłem tam jeszcze na świeżą tradycję pobytu Kasperskiego, dużo tam o nim słyszałem, jak on również, będąc w Warszawie, słyszał o mnie z Paryża. Poznaliśmy się osobiście dopiero w jesieni r. 1905, gdym przyjeżdżał do Warszawy dla kompletowania listy współpracowników oraz angażowania redaktora do „Gazety Wileńskiej”, która się wtedy tworzyła. Kasperski był wtedy sekretarzem i najczynniejszym wykonawcą „Nowej Gazety” Kempnera. Potem jeszcze przez lat kilka zajmował tę posadę, którą zdaje się obecnie zajmuje inny mój kolega z *École des Sciences Politiques* – Mirosław Poznański. Kasperski obecnie kieruje tylko „Gazetą Handlową” jako dodatkiem do „Nowej Gazety” i oprócz tego redaguje pismo większe handlowo-przemysłowe, wychodzące pod nazwą „Przemysł Krajowy” (zdaje się – miesięcznik). Gdyśmy się spotykali z Kasperskim w Warszawie za czasem „Gazety Wileńskiej” i potem, łączył nas stosunek dość bliski. Teraz jesteśmy sobie jakoś bardziej obcy. Kasperski, choć ma dużo sprytu, ruchliwości, umiejętności, jest jednak dość suchy; brak w nim zapału, brak jakiś szczerości wiary, brak pierwiastka idealistycznego. Zdaje się, że życie go napoiło sceptycyzmem i zrobiło zeń przeciętnego filistra, który się już ideą nie porusza.
Na herbatce zebrało się u Klotta kilka osób: oprócz niego i żony, pani Halki, która cięższej od wszelkich zawodów życiowych ujarzmić zdołała miękkiego męża i odwieść

go od mrzonek idealistycznych, byli jeszcze oboje Kasperscy, to znaczy on z żoną, dalej młodszy brat Kasperskiego, zamieszkały, jak się dowiedziałem, w Wilnie, dalej stary p. Jan Klott, stryj Janka, p. Antoni Pisani, p. Józef Łastowski i ja. Gawędziło się o rozmaitych banalnych potocznych rzeczach, wreszcie po kolacji towarzystwo zasiadło do kart, ja zaś, jako profan zupełny w tej gałęzi zabawy, uciekłem do domu. Atmosfera panowała typowa jak u Klotta: nastrój dobroduszno-filisterski, mdły, trochę umiarkowanego postępu i wolnomyślicielstwa w ramach sceptycyzmu salonowego, wszystko na ogół rozcieńczone zaprawą sybarytyzmu duchowego, zabijającego wszelkie odruchy żywe.

12 (25) marca, rok 1913, wtorek
Poszedłem dziś wieczorem na żurfiks do Kotuni Pruszanowskiej. Ezechiela już w Wilnie nie ma, Kotunia czuje się swobodniejsza. Wśród osób, które tam zastałem, była stryjenka Elżunia Bolesławowa Römerowa. Spotkanie to nie należało do zbyt przyjemnych dla mnie, bo ze stryjenką stosunki zerwałem od czasu, gdy ona w r. 1910 drogą skandalicznego rozgłosu forsowała separację Reginy ze mną. Rozstanie moje z byłą żoną moją Reginą było dla nas obojga konieczne i z pewnością ja nie mniej od Reginy pragnąłem takowego. Stryjenka wzięła na siebie wtedy rolę opiekunki Reginy. Nic bym przeciwko temu nie miał, bo z pewnością Regina potrzebowała opieki, i nie wątpię, że stryjenka kierowała się sercem i dobrą wolą. Ale z tej opieki nad Reginą zrobiła napaść na mnie: szerzyła o mnie wieści sensacyjne, omawiała mnie, nadała sprawie rozstania małżeńskiego rozgłos skandaliczny, komentując jednostronnie szczegóły, starając się w ogóle rzucić cień jak najgęstszy na mnie w opinii publicznej. Zamiast żeby się ze mną rozmówić, rzecz wyjaśnić, rozstanie i separację ułożyć bez skandalu publicznego, stryjenka, z gorliwości zapewne, przesadziła i zawarzyła awanturę niepospolitą. Za to mam żal do niej, który zachowam. Poza tym otoczyła specjalną opieką stosunek Reginy z francuską panną Elizą Courtot, najprzewrotniejszą intrygantką, jaką mi się zdarzyło kiedykolwiek spotkać. Mniejsza mi o osobiste stosunki przyjaźni Reginy, która już żoną moją nie jest i nie będzie. Chodziło mi jednak wtedy jeszcze o dziecko, o tę córkę moją Cesię, która się miała narodzić i którą jeszcze przez cały rok po narodzeniu kochałem i idealizowałem w myślach i sercu moim, nie znając jej nawet. Pragnąłem ustrzec to dziecko, moje przecie, jedyne, od wpływu intrygantki. Wiem że Regina jest niczym, a Francuzka wszystkim. Regina jest tylko narzędziem Francuzki, jest ofiarą hipnozy. Dziś i to mi już obojętne: dziecko jest mi obce i zapewne obce będzie; chyba że jak wyrośnie, pozna mię i zrozumie, i pokocha. Ale najprawdopodobniej wpływ otoczenia i wychowania całkowicie zabije w tym dziecku wszelkie pokrewieństwo ze mną. Dziś sprawy te są dla mnie dalekie, ale roli stryjenki Bolesławowej, tak bolesnej dla mnie, tak krzywdzącej mię ongi, nie mogę zapomnieć. Nie gniewam się na nią, rozumiem nawet jej pobudki szczere, acz błędne, ale żal do niej mam głęboki. Od tego czasu nie bywałem u niej i nie witałem się wcale. Dziś przywitać się musiałem, ale oczywiście poza urzędowym przywitaniem zachowałem zupełną rezerwę i ani zamieniłem z nią słówka rozmowy ani zwróciłem na nią najmniejszą uwagę.
Wieczorem po powrocie z żurfiksu Kotuni napisałem artykulik do „Kuriera Krajowego" o potrzebie krajowego związku kooperatyw spożywczych. Artykulik ten jest wstępem do drugiego, w którym omówię zjazd delegatów stowarzyszeń spożywczych w Dyneburgu, zaprojektowane na nim utworzenie związku, wagę i pożytek tego projektu oraz jego wady zasadnicze. Artykulik dzisiejszy udał mi się dobrze. Zaczynam się wprawiać stopniowo do pisania artykulików krótkich, miniaturowych, jakie są wymagane w pisemku tak małym i popularnym. Trochę mię to krępuje, bo nigdy

jeszcze takich króciutkich artykulików nie pisywałem, ani do „Gazety Wileńskiej”, ani do „Przeglądu Wileńskiego” tym bardziej. Ale się już po trochę przystosowuję. Wszakże i teraz jeszcze te krótkie artykuliki są dla „Kuriera Krajowego” nieco za długie. Mańkowski ceni je, ale zawsze utyskuje na ich wymiar. Po napisaniu dzisiejszego artykuliku zdecydowałem się dać pod nim po raz pierwszy w „Kurierze Krajowym” całkowity mój podpis z imienia i nazwiska.

13 (26) marca, rok 1913, środa
Rano napisałem drugi artykulik do „Kuriera Krajowego” w uzupełnieniu do wczorajszego wieczornego. Zatytułowałem do „Dzieło dyneburskie” i scharakteryzowałem w nim projekt utworzenia związku kooperatyw, powzięty na lutowym zjeździe delegatów stowarzyszeń spożywczych w Dyneburgu.
O godz. 8 wieczorem zebrał się po raz pierwszy nowy komitet redakcyjny „Kuriera Krajowego”. Komitet ten składa się z tzrech osób: Zasztowta, redaktora Mańkowskiego i mnie. Czwarty członek komitetu, Zenon Kuncewicz, jako zamieszkały poza Wilnem będzie niestały: będzie oczywiście brał udział w obradach naszych tylko wtedy, gdy będzie przyjeżdżał do Wilna. Chcemy być z Zasztowtem nie malowanymi tylko członkami komitetu, ale rzeczywiście brać czynny udział w sprawach pisma i w pracy kierowniczej. Redaktor Mańkowski, który będzie gospodarzem wewnątrz redakcji i wykonawcą faktycznym dyrektyw komitetu, będzie odpowiedzialny przed komitetem, na zewnątrz zaś wobec grupy udziałowców i sympatyków pisma odpowiedzialność za kierunek bierze na siebie komitet. Zebrania nasze postanowiliśmy urządzać jak najczęściej. Zasztowt jest pełny zapału i gorąco pragnie być czynny i pomocny w piśmie. Dotąd nie jest on jeszcze obeznany z wewnętrzną organizacją redakcji, toteż przede wszystkim chce wejrzeć w czynności redakcyjne, chce się zapoznać z całą techniką roboty i chciałby nawet ewentualnie znaleźć dla siebie jakiś specjalny dział pracy systematycznej. Dziś mówiliśmy przeważnie o organizacji redakcyjnej, dalej o szeregu rewelacji w stosunkach miejskich, które przygotowuje Mańkowski i o sprawach miejskich w ogóle. Co do wszelkich rewelacji, uznaliśmy, że muszą one mieć li tylko charakter krytyki obyczajowości publicznej i że ze względu na szczególną ostrożność i takt, niezbędne w tej materii, muszą one być w każdym pojedynczym wypadku poprzednio omówione i usankcjonowane przez nasz komitet. Co do spraw miejskich (przeważnie gospodarki zarządu miejskiego), uznaliśmy za niezbędną krytykę rzeczową tych stosunków z zachowaniem zupełnej niezależności opinii. Do innych spraw przejdziemy na następnym zebraniu.
Później wieczorem poszedłem z siostrą moją Marynią do Nagrodzkiego na zebranie grupy osób, która się tu tworzy dla wspólnego zakupu placu i zabudowania domków mieszkalnych użytkowych na wzór istniejącej od lat paru kolonii tzw. Montwiłłowskiej przy Placu Łukiskim. Myśmy suponowali zakupić i zabudować część placu dr Sumoroka przy nowej ul. Chersońskiej, która się otwiera od prospektu do Portowej. Jak się okazuje wszakże po bliższym rozejrzeniu się, wolna część placu tego nie będzie się nadawała do naszego projektu. Amatorów do spółki takiej znajdzie się dużo. Dziś na naradzie wstępnej u Nagrodzkiego oprócz nas z Maryńką i Nagrodzkiego, byli: Krzyżanowski z żoną, Budny, Witold Abramowicz i Korolec. Będziemy się oglądali za innym placem. Marynia ma zamiar stawiać domek na własne imię, ja zaś w imieniu Mamy tymczasem się tylko rozejrzę, bo nie wiadomo jeszcze, czy Mama do tego należeć będzie.

14 (27) marca, rok 1913, czwartek

Miesiąc dziś upłynął od dnia rozstania mego z Anną. Od czasu nie tylko trwania związku naszego, ale całej naszej znajomości, tj. blisko od dwóch lat, jest to pierwsze rozstanie tak długie. Nigdy dotąd nie spędziliśmy całego miesiąca bez siebie. Otrzymałem dziś list od niej. Nowe strapienie, nowy kazus. Każdy, niestety, list Anny przynosi wiadomość o jakimś kłopocie, o trosce bieżącej. To musi zmieniać mieszkanie, a właśnie w tym czasie pieniędzy nie ma, to ze zdrowiem jest źle, to doktora zmienia. Dziś jest rzecz poważna, wymagająca rozwagi poważnej i działania. Dawno już Anna się uskarża na ostre bóle w żołądku. Zawsze twierdziła, że czuje, iż doktorowie się mylą i że właściwe cierpienie jej – to nie w płucach, ale w żołądku czy kiszkach; że jeżeli coś w płucach jest, to względnie rzecz niewielka, a że natomiast w żołądku coś się dzieje złego, na co główną uwagę zwrócić trzeba. Skarżyła się na to już w Wilnie, ale doktor Oleszkiewicz nic w żołądku nie znalazł, doktor zaś Jabłonowski stwierdził lekkie owrzodzenie, ale przypisał je działaniu flegmy tuberkulicznej, połykanej przez Annę. Obaj doktorowie natomiast kładli nacisk na zaczynające się w płucach suchoty. Tak samo dr Czarniecki w Teodozji: uznał, że bóle żołądkowe to bagatela, a że główna rzecz – to niewątpliwie początki suchot, i postanowił kurować Annę wstrzykiwaniem tuberkuliny od suchot i wstrzykiwaniem arszeniku na wzmocnienie ogólne i usunięcie anemii. W ostatnim liście już Anna pisała, że bóle w żołądku się wzmagają i że zdecydowała się ona wobec tego zwrócić do innego lekarza. Byłem niekontent z tego, bo się obawiałem, że zaniecha wstrzykiwań i przerwie kurację, której metodyczność jest głównym warunkiem pomyślnego skutku. W odpowiedzi na ten list skarciłem Annę za zmianę doktora i nastawałem na tym, żeby wytrwała w raz rozpoczętej kuracji. Aż oto dzisiejszy list Anny przedstawił mi sprawę w świetle takim, że szablonowe obstawanie li tylko przy poprzedniej kuracji nie może być wystarczające. Anna już była u innego doktora. Powiada, że doktor ten znalazł coś poważniejszego w żołądku. Co mianowicie – tego Anna nie pisze, a zapewne i nie wie. Że nakazał jej jakąś specjalną kurację, ale taką, która by wymagała ze trzech miesięcy pobytu na miejscu w Teodozji. Że co do płuc, to znalazł, że są bardzo lekko zaatakowane i że to przejdzie, ale że z żołądkiem – to nie żarty, to coś wielkiego. Anna sama nie wie, co wobec tego robić i na co się decydować. Czy siedzieć w Teodozji, czego się jej bardzo nie chce, i rozpoczynać samej kurację, jaką przepisze doktor, czy może do Wilna wracać i tu się leczyć, boć dla żołądka miejsce pobytu różnicy nie robi. Ale tymczasem jest i wzgląd na płuca, i rozpoczęta kuracja wstrzykiwania, której Anna jednak nie przerwała. A tu jeszcze i inne kłopoty z tym związane: pokoik jej jest daleko, w dzielnicy letniskowej; chodzenie do miasta dwa razy dziennie, do doktora i na obiad, męczy ją; doktor zabrania jej tego chodzenia i każe zamieszkać w środku miasta, a tam jest znowu strasznie drogo. Słowem – Anna zbiedzona nie wie, co poradzić, czuje się okropnie osamotniona w tej pozycji, chciałaby się przygarnąć do mnie i zdać to na moją radę i opiekę, a ta komunikacja listowna jest nieznośnie długa: osiem dni co najmniej upływa na skomunikowanie się, to znaczy na list i odpowiedź. Przeraża ją to przedłużenie pobytu w Teodozji w samotności, gdzie potrzeba decyzji, potrzeba zrozumienia warunków kuracji itd. Biedna kobieta. Zatelegrafowałem jej zaraz, żeby była spokojna i żeby mi przysłała nazwisko i adres tego nowego doktora. Chcę do niego napisać i prosić, aby mi wyjaśnił szczegółowo, co jest z Anną i co za kuracja potrzebna. Może to zapalenie ślepej kiszki, może chodzi o operację jakąś. Czy ja wiem? Wielkie głupstwo zrobiłem, że jadąc z Anną przez Kijów, nie poradziłem się tam u jakiegoś profesora.

15 (28) marca, rok 1913, piątek

Drugi już tydzień upływa, jak się czuję niezdrów. W zeszłym tygodniu męczył mnie głównie ból głowy, trochę katar, wieczorami gorączka; teraz już od dni kilku głowa nie boli, ale czuję się wciąż niezdrów; zaczął się kaszel, ból w piersiach nawet chwilami, wieczorem jakieś ziębienie. Co to jest – nie wiem. Zapewne byłoby najlepiej, gdybym się tak na dni parę położył do łóżka, ale na to nie mogę sobie pozwolić. Zachodził dziś do mnie Stadziewicz dla pomówienia w sprawie pisma specjalnego, które się tu zakłada przez grono handlowców wileńskich. Ma się nazywać, zdaje się, „Przegląd Handlowo-Informacyjny" i wychodzić ma pono jako kwartalnik. Pierwszymi inicjatorami wydawnictwa tego byli Stadziewicz i drukarz Żukowski. Podpisywać będzie pismo Stadziewicz. Pierwszy numer chcą wydać w kwietniu. Pismo będzie poświęcone specjalnie sprawom ekonomicznym kraju, handlowi i przemysłowi krajowemu. Zdaje się, że niemałą rolę w wydawnictwie ma grać reklamowanie firm kupieckich miejscowych. Spraw politycznych pismo tykać nie będzie bezpośrednio i w ogóle ma być wolne od jakiegoś zabarwienia politycznego, chociaż nie wiem, czy się zdoła na takim gruncie neutralnym utrzymać. Sprawy rozwoju handlu, przemysłu i życia ekonomicznego bardzo blisko dotykają spraw politycznych, społecznych i narodowych, zwłaszcza u nas. Już dzisiaj, jak mi opowiadał Stadziewicz, są prądy do nadania pismu tej lub innej tendencji. Inicjatorzy pisma, a zwłaszcza mający je podpisywać Stadziewicz, chcą, ażeby pismo miało na względzie sprawy przemysłu krajowego jako takiego, a Stadziewicz myśli nawet wprowadzić w piśmie z czasem dwa równoległe teksty, polski i litewski, szczególnie dla artykułów dotyczących gub. kowieńskiej. Ze strony endeckiej natomiast spośród osób, do których się inicjatorzy zwracali czy to o współpracownictwo, czy o pomoc techniczną lub materialną dla wydawnictwa, jest tendencja wyraźna, żeby nadać pismu stanowczy kurs antysemicki do organizowania walki handlu i przemysłu chrześcijańskiego z żydowskim, oraz żeby usunąć pojęcie przemysłu „krajowego" i zastąpić je przez konkretne pojęcie przemysłu „polskiego na Litwie". Jak się w tych tarciach ułoży charakter pisma nie w projekcie tylko, lecz w wykonaniu, zobaczymy. Inicjatorzy są bardzo przeciwni tendencji nacjonalistycznej i zdecydowani są zaakcentować właśnie tendencję krajową, co zaś do kursu antysemickiego, to zdaje się, że chcą się wykręcić oportunizmem: nie propagować antysemityzmu jawnego i bojkotu, lecz w ogóle unikać wszystkiego, co by mogło się wydawać popieraniem przemysłu i handlu żydowskiego. Mnie się zdaje, że mieszczaństwo, którego organem będzie takie pismo, nie uniknie gruntu antysemickiego, jak też niewątpliwie narastająca burżuazja przemysłowa litewska przejdzie z czasem do ostrych haseł nacjonalizmu i bojkotu handlu i przemysłu nie tylko żydowskiego, jak dziś jest w Polsce, ale też właśnie polskiego. Tymczasem bądź co bądź powstanie pisma takiego wydaje mi się dla krajowych stosunków ekonomiczno-handlowo-przemysłowych pożytecznym. Obiecałem Stadziewiczowi dać artykuł do numeru 1 i wskazałem mu kilka osób, do których radziłem się zwrócić dla opracowań poszczególnych tematów.
Wieczorem byłem na posiedzeniu Zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Jak zwykle – było ledwie parę osób: Szklennik, Witold Abramowicz i ja. Wielkim zasiłkiem dla towarzystwa naszego jest zapomoga w kwocie rb. 1700 wyasygnowana w roku bieżącym przez istniejące w Wilnie Towarzystwo Popierania Pracy Społecznej. Sumę tę rozkładamy w budżecie naszym na dwa lata. To nam da możność szerszego rozwinięcia działalności. Postanowiliśmy zaraz utworzyć przy towarzystwie czynne biuro informacyjne, którego zadaniem będzie udzielanie wszelkich wiadomości i wskazówek technicznych i handlowych kooperatywom spożywczym, pośredniczenie w zakupach itd. Przy biurze będzie czynny specjalny instruktor, którego mamy zaangażować. Jednocześnie rozpoczniemy starania o otrzymanie pozwolenia na zjazd

delegatów stowarzyszeń spożywczych z gub. wileńskiej, ażeby na zjeździe tym związać naszą działalność i zwłaszcza nasze biuro informacyjne z poszczególnymi stowarzyszeniami. Tą drogą powstać już może zawiązek zrzeszenia stowarzyszeń jako podłoża do przyszłego związku. Biuro informacyjne ma zaraz dokonać ankiety w stowarzyszeniach gub. wileńskiej.

16 (29) marca, rok 1913, sobota
Ukazał się dziś numer bieżący „Przeglądu Wileńskiego"; wydrukowany jest w nim w przeróbce Ludwika Abramowicza ten artykulik o aferze, wynikłej z powodu sprawy Cyraskiego z Malinowskim, który ja pierwotnie napisałem i który dałem Ludwikowi z prośbą, aby go umieścił niby od siebie. Ponieważ Ludwik zgodził się wziąć na siebie autorstwo, więc nie mogę mieć doń pretensji o przeróbki, które porobił w artykule. Ale przeróbki są takie, że zasadniczo zmieniają cały sens wystąpienia. Właściwe tło obyczajowo-społeczne, które uwydatniłem w tej kampanii, wszczętej przeciwko nam przez obrońców „ładu" i sutanny, zostało w przeróbce Ludwika starte i zastąpione przez podkreślenie li tylko nietaktu i lekkomyślności w akcji oskarżycieli i oszczerców naszych. Społeczno-obyczajowa i polityczna natura tej akcji została zupełnie niemal nieuwzględniona, a przecie w tym jest właściwy sęk sprawy i to jej nadaje charakter rzeczy publicznej, która musi być uwydatniona i zdemaskowana jako akcja obłudy i gwałtu publicznego. W sprawie tej jest znakomity materiał do zdemaskowania łajdactw kliki rządzącej, która terroryzuje opinię, operując korupcją, fałszem, potwarzą i doskonałą solidarnością karierowiczostwa ze szwindlem i prywatą. Ze sprawy tej można byłoby zrobić jedno z narzędzi do walki z protekcjonizmem, który tu w Wilnie zapanował powszechnie niemal. Szkoda, że z tego artykuliku, który bił w sedno rzeczy, Abramowicz zrobił rzecz bladą, moralizatorską, wytykającą nietakt i lekkomyślność akcji, która w istocie swej była świadomym i kapitalnym przedsięwzięciem grona fałszerzy opinii. Że do grona fałszerzy trafiło kilku naiwnych baranów, to co innego, ale akcja jako taka była bynajmniej nie jakimś tylko wyrazem nietaktu. W tej postaci, w jakiej artykulik ten wygląda w przeróbce Ludwika, jest on właściwie zupełnie zbyteczny. Tak oto Ludwik lubi się chwalić jaskrawością, ale jaskrawość jego jest zawsze tylko jaskrawością tonu, drażniącym moralizatorstwem, podczas gdy w treści jest oportunistą zupełnym, jest niewolnikiem wszystkich utartych szablonów i pewników, których się dotknąć nie ośmieli.
Z przykrością widzę, że nie ma sposobu ustalić ściślejszego związku naszych kół demokratycznych inteligenckich z młodzieżą. Do tego się najwięcej nadają odczyty. Młodzież odczytów tych pragnie, prosi o nie, ale brak nam prelegentów. Od dłuższego czasu odczyty u młodzieży były wstrzymane, bo się młodzież z pewnych względów obawiała, że jest przez policję śledzona. Teraz odczyty miały być wznowione. Prelegentem na odczyt najbliższy miał być Witold Abramowicz (temat: „Ruchy społeczne w Królestwie Polskim"), ale już raz zawiódł; na dziś był znów zapowiedziany tenże jego odczyt i znowu Witold wyjechał z Wilna. Na poczekaniu zastępcy znaleźć nie można i w ogóle prelegentów brak. Na tematy społeczne nie ma umiejących i chętnych; odczytów przyrodniczych młodzież nie chce, bo jest przejęta gorączką polityczną, więc w rezultacie znów się zwraca do kołowania w niezdrowej atmosferze podniecenia politycznego. I teraz wobec zawodu Witolda młodzież oświadczyła, że już do Wielkiej Nocy odczytów społecznych nie potrzebuje, bo zamierza poświęcić swe zebrania omawianiu spraw politycznych. A zaiste sprawy społeczne lepiej kształcą młodzież od politycznych.

17 (30) marca, rok 1913, niedziela

Płuca mię mocno bolą, musi to być bronchit w ostrym stopniu. Obawiałbym się nawet zapalenia płuc, bo wieczorami wciąż też mam gorączkę lub ziębienie, ale podobno przy zapaleniu jest kłucie głębokie, a tego nie doświadczam.
Musiałem się mocno przeziębić kilkakrotnie. Teraz o to nie trudno, bo pogoda marcowa jest kapryśna i zmienna. Rano zimno, na słońcu ciepło, w cieniu tuż obok chłód, a zewsząd jakiś wiatr zdradziecki wypada i przenika.
Dnie teraz piękne, słoneczne, a przeziębienia się pozbyć nie mogę. W takie dni, gdyby tylko zdrowie służyło, przyjemnie chodzić, odbywać spacery. Niedziela dziś, jedne z „naszych" dni – jak nazywaliśmy niedziele z Anną.
Przechodziłem przez Cielętnik; dokoła już gwarno, w słońcu wiosnę czuć: jak miło byłoby przejść się z Anną, odświeżyć nasze zeszłoroczne wspomnienia spacerów po Ogrodzie Bernardyńskim itd. Nie ma jej, wiosna mi schodzi samotnie. Wymarzyłem sobie pojechać do Anny na Wielkanoc. Czy spełnię to – nie wiem. Byłaby to dla mnie radość i rozrywka nie lada. Zobaczę, jakie będę miał od niej wiadomości. Może będzie to nie tylko rozrywka, ale i potrzeba, jeżeli się okażą jakieś komplikacje z jej chorobą żołądkową.
Wieczorem zajęty byłem pisaniem dalszego ciągu moich „listów ze Wschodu" do „Przeglądu Wileńskiego", w których opisuję moje wrażenia z lutowej podróży do Krymu. Po powrocie z podróży napisałem „list" pierwszy, w którym dałem szeroki wstęp i zapowiedź opisania mych spostrzeżeń i wrażeń, co obecnie już muszę wykonać. Robię to dość niechętnie, bo ostatecznie poznałem stosunki krymskie tylko bardzo powierzchownie i do opisu tych wrażeń moich wielkiej wagi nie przywiązuję, a tymczasem jest pełno innej pilniejszej roboty publicystycznej, którą muszę dla tych bagatelnych „listów ze Wschodu" odłożyć.

18 (31) marca, rok 1913, poniedziałek
Dziś wreszcie czuję się zdrów. Ustał ból w płucach, ustał nawet kaszel i katar. Dziwnie, że tak jakoś od razu. Przed obiadem kończyłem mój drugi „list ze Wschodu" dla „Przeglądu Wileńskiego". O ile wczoraj praca ta mię nudziła, o tyle dziś znów mię zainteresowała. W „liście" tym, kreśląc moje spostrzeżenia o składzie ludnościowym Krymu, scharakteryzowałem Tatarów, Karaimów i Żydów. Zwłaszcza ci ostatni dostarczyli mi ciekawego wątku do refleksji o kształtach rozwoju kultury społecznej i narodowej. Poruszyłem głębiej kwestię żydowską jako narodową i społeczną i przeanalizowałem ją na zestawieniu dwóch społeczności żydowskich w Krymie – wpływowych Żydów rosyjskich i Żydów miejscowych. Jak zawsze – w toku pisania sam pogłębiłem myśl własną i porobiłem spostrzeżenia i wnioski, których bez tej analizy bym nie posiadł. Artykuł oddałem Ludwikowi Abramowiczowi. Będę musiał napisać jeszcze trzeci i ostatni „list ze Wschodu" o Krymie, w którym już wyczerpię temat, a omówię mianowicie imigrację handlową do Krymu ludów kaukaskich i Greków, martwą rolę politycznych gospodarzy kraju, Rosjan, kwestię europeizacji Krymu, rolę twórczą elementów zachodnio-europejskich w organizacji społeczno-ekonomicznej kraju i zwłaszcza sprawę kolonizacji rolnej niemieckiej. Całość tych „listów" będzie, mi się zdaje, ciekawa. Rozumiem jeno, że w „Przeglądzie" większego wpływu sprawy i rozważania takie nie wywrą, bo, *primo*, „Przegląd" jest dość mało czytany, a po drugie, publiczność tematy takie, choćby najgłębiej były ujęte, uważa za dość egzotyczne i albo ich nie czyta, albo mało się nimi przejmuje. A i to też jest mi w „Przeglądzie" niedogodne, że Ludwik Abramowicz dość arbitralnie bez poprzedniego omówienia koryguje artykuły, a właściwie nie tyle koryguje, ile z nich usuwa poszczególne cząstki, które nieraz w moich artykułach mają znaczenie kapitalne, a

Ludwik nieraz usuwa właśnie to, co stanowi esencję mojej myśli i co mię właśnie od jego kierunku różni.
Wieczorem miało być posiedzenia komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego”. Ponieważ Zasztowta nie było, więc byliśmy tylko ja i Mańkowski. Mańkowski poddał pod aprobatę komitetu, a właściwie w tym wypadku moją, projektowane przezeń zmiany w wewnętrznym składzie redakcji. Przede wszystkim, chce się pozbyć Jabłońskiego, który nie tylko się okazał niezdolnym i mało inteligentnym, ale też dość niechętnym do pracy i niezbyt życzliwym dla pisma. A że jest akurat dobry pretekst do pozbycia się go jako niby niebezpiecznego ze względów politycznych dla pisma (wrogowie pisma i czarnosecinowe sfery rosyjskie dopatrują się w „Kurierze Krajowym” rzekomo austriackiej agitacji, a Jabłoński jest poddanym austriackim i w tych dniach właśnie odbyła się u niego w nocy rewizja), więc tym się upozoruje konieczność jego usunięcia. Będzie to po prostu uwolnienie pisma od balastu, który jest niepotrzebny, a przecie kosztuje. Na miejsce Jabłońskiego Mańkowski projektuje mianować sekretarzem redakcji Timiriaziewa, który jest obecnie korektorem i tłumaczem. Zaś na korektora i tłumacza weźmie z powrotem Świetlińskiego, który obecnie był użyty za agenta do zbierania po mieście ogłoszeń. Ogłoszenia zaś mają być wydzierżawione Metzlowi, za rb. 7 000 rocznie. Mańkowski zapewnia, że transakcja z Metzlem w tych dniach dojdzie do skutku. Byłoby to świetne na początek, ale się boję, że jeszcze Metzl dużo wytarguje i dużo kłopotów i zawodów sprawi, nim ostatecznie dzierżawę ogłoszeń normalnie przyjmie. Timiriaziew, którego Mańkowski chce mianować na miejsce Jabłońskiego, jest z pochodzenia Rosjaninem, ale spolonizowany jest zupełnie i nienawidzi Moskali. Jest on z Warszawy. Żonaty jest z Polką i sam przyjął katolicyzm, za co stracił posadę w Warszawie i tu też takowej dostać nie może. Otrzymał już tu nawet miejsce w Zarządzie Miejskim, ale gubernator nie zatwierdził. Pochodzi podobno z rodziny dobrej zamożnej, ale ta go się wyrzekła jako renegata. Jest on w bardzo ciężkich warunkach materialnych i obarczony rodziną. Człowiek to, zdaje się, moralnie dodatni, choć trochę przez biedę wykolejony. Ale nie jest to człowiek zupełnie inteligentny i społecznie ideowy ani zapewne zbyt uzdolniony. Poważniejszej siły publicystycznej, a choćby dziennikarskiej z niego nie będzie. Jest to zaledwie półinteligent, który może się trochę w technicznej robocie wyrobić, ale chyba nic ponadto. Zaletą jego jest, że zna dobrze język polski i może dość gładko napisać jakiś lżejszy artykulik polemiczny. Zawsze to będzie tylko organizacja łatana.

19 marca / 1 kwietnia, rok 1913, wtorek
Dziś familijne tematy. Przede wszystkim o cioci Łucji Wołodkowiczowej. Ledwo że umarł mąż jej, wuj Józef Wołodkowicz, a tu się wykryło, że ciocia jest bardzo chora. Coś u niej jest we wnętrzu, na macicy i pęcherzu; jakieś wrzody i nowotwory; jest domniemanie, że to rak. Ciocia ma ciągłe krwotoki – stan jest ciężki. Lekarze-akuszerowie, którzy ciocię oglądali, dr dr Bujalski i Maczewski, nie orzekli kategorycznie, że to rak, ale mają to przypuszczenie. Robiono już cioci po kilkakroć opatrunki, coś tam nawet skrobano i czyszczono, a wreszcie lekarze uznali za konieczną operację i wysyłają ciocię za granicę. Pojedzie ciocia do Krakowa do prof. Wadera. Długo debatowana była kwestia o tym, kto ma cioci towarzyszyć. Zjechały się dzieci Cioci, Ludwiś, Zuńka Chełchowska z mężem, Staś z żoną, Kazio. Uprosili oni na koniec moją siostrę Marynię, aby pojechała z Ciocią. Maryńki Wołodkowiczówny, która by chciała jechać z matką, nie puszczają, bo bracia i Zuńka uznali, że dla młodej panny to „niestosowne” i „nieprzyzwoite”, aby miała dopatrywać matkę w chorobie podczas operacji, dokonywanej na macicy. Zuńka zaś niby jest tak nerwowa, że nie może dopatrywać, a raczej zaszkodzi matce. Zuńka zaś w istocie zgrywa komedię, bo

matki nie kocha i nie ręczyłbym za to, czy nie pragnie nawet jej śmierci, ażeby prędzej dojść do posiadania fortuny spadkowej; jest zresztą taka sybarytka i egoistka, że z pewnością nie chce znosić kłopotów i zmęczenia przy pielęgnowaniu chorej przed i po operacji. Z właściwą sobie przebiegłością i sprytem tak tragicznie demonstruje żal, rozpacz i wrażliwość, żeby się stało dla wszystkich oczywistym, że taka opiekunka i pielęgniarka przez zbytek subiektywnej wrażliwości do reszty wymęczy i zaszkodzi chorej. Dopięła też Zuńka swego – i nie pojedzie. Gdy Wołodkowiczowie i Chełchowski prosili, aby pojechała nasza Marynia, Mama na razie była temu przeciwna. Byłem pewny, że Marynia ustąpi i pojedzie. Tak się też stało – jedzie. Wbrew wszelkim względom, które przemawiają przeciwko jeździe Maryni (głównie wzgląd na jej dzieci i zaraźliwość raka), Marynię tak pociąga sama jazda za granicę, włóczęga, nowość wrażeń itd., że z góry można było być pewnym, że nie wytrzyma i nie oprze się pokusie. Ciągła odmiana wrażeń, ruchliwość – to namiętność Maryni.
W sobotę, zdaje się, czy w niedzielę Marynia z ciocią wyjeżdża. Towarzyszyć im też będzie najstarszy syn cioci, Ludwiś. Ciocia Łucja nie wie, że to może być rak u niej; może się domyśla trochę, ale kryje w sobie tę obawę. Ciocia starała się ciągle zbagatelizować wobec otoczenia tę chorobę, ale sama się strasznie niepokoi i przejmuje. Dopiero wczoraj czy dziś powiedziano cioci o potrzebie operacji. Wrażenie niedawnej jeszcze śmierci cioci Cesi Tukałłowej po analogicznej operacji z raka i świeża śmierć wuja Wołodkowicza – muszą jeszcze bardziej nastrajać pesymistycznie i niepokojąco ciocią Łucję. I trzebaż, że ta choroba rozwinęła się w swej groźnej pełni wtedy właśnie, kiedy dopiero zmarł mąż cioci po kilkuletniej ciężkiej chorobie i kiedy ciocia wreszcie po tylu trudach i ciężarach moralnych życia miała odzyskać cichy spokój starości i pełnię władzy ogromnym funduszem jako nie tylko właścicielka własnej fortuny, ale i dożywotniczka fortuny mężowskiej. Ciocia posiadła samodzielność zupełną i siłę ogromną w rodzinie swej nad dziećmi, aż tu choroba straszna stawia ją nad przepaścią śmiertelną. A trzeba znać ciocię i wiedzieć, co to za charakter potężny, co za głowa i jak w ręku cioci samodzielność i władza są narzędziami czynnego oddziaływania na cały los jej dzieci, na cały układ rodziny.
Drugi, o którym chciałem pisać, to Witold Römer, mąż mojej siostry Maryni. To jest człowiek istotnie nieszczęśliwy, człowiek żalu godny, ale też szacunku. Inny na jego miejscu dawno by upadł pod ciężarem życia, dawno by się udał po chleb łaskawy dalszej rodziny, która ostatecznie musiałaby się nim zaopiekować i coś mu obmyślić. Ale Witold pogardza łaską i wbrew wszystkiemu – li tylko na pracy i zarobku własnym polega. Jest schorowany, z trudem włóczy nogi, postarzały przedwcześnie – a pragnie i szuka li tylko pracy. Długo był w Moskwie bez miejsca. Oszczędności swoje z poprzedniej służby kolejowej na Kaukazie ulokował niefortunnie jako udział w jakimś artelu moskiewskim, z którego teraz nie może udziału wycofać. Trudnił się w Moskwie z braku posady sprzedażą detaliczną lampek elektrycznych, które gdzieś z rabatem kupował. Miał naturalnie grosze z tego. Posady wciąż znaleźć nie mógł. Wtedy przed paru miesiącami przeniósł się do Wilna, licząc, że tu życie tańsze i że łatwiej mu tu będzie o protekcję dla znalezienia posady. Nic wszakże znaleźć nie mógł; wszelkie protekcje zawodziły, a jego stan fizyczny nie zachęcał żadnego „chlebodawcy” do dania mu miejsca. I oto teraz otrzymał miejsce na kolei znów w Moskwie, za rb. 30 miesięcznie! Nędza. I pojechał.

20 marca / 2 kwietnia, rok 1913, środa
Dziwi mnie, że nie mam dotąd odpowiedzi od Anny na moją depeszę czwartkową, w której prosiłem ją o przysłanie mi nazwiska i adresu jej nowego lekarza.

Coraz głębiej mię toczy tęsknota za Anną. Czuję coraz bardziej, iż nikt mi nie jest tak bliski, jak ona; przed nikim nie jestem w stanie tak duszy otworzyć, jak przed nią, tak być całkowicie sobą, tak móc wszystko wyrazić; obcowanie z każdym innym człowiekiem jest zawsze poniekąd dyplomatyczne, maskowane, mniej lub więcej obłudne (może nie obłudne, ale w każdym razie nie bezwzględnie szczere). Za młodu łatwiej było o przyjaźń, o wypowiadanie się szczere; z wiekiem człowiek się jakoś skupia bardziej w sobie, mniej się staje ekspansywny, ostrożniejszy, bardziej zamknięty na zewnątrz. Stosunki przyjaźni zawiązują się trudniej, ludzie są twardzi, bardziej skrzepli. Tylko z nią, Anną moją, w złotych promieniach wzajemnej miłości, odzyskuję młodzieńczą ekspansywność, tę wyrazistość w obcowaniu, o którą już mi coraz trudniej w życiu. Toteż teraz ciąży mi bardzo samotność bez niej. Jestem rzeczywiście sam. Jestem jak Robinson wśród ludzi. Tęsknię do jej pięknych myśli, do jej głębokich a tak trafnych spostrzeżeń, do gry jej temperamentu i wrażeń, do jej wzruszeń i uczuć, tak zawsze prostych, przedziwnie szlachetnych, dźwięczących żywym odruchem na każdą krzywdę, na każdy ból dokoła. Bez niej jestem jak bez źródła dla duszy mojej. Z niej czerpię wszystkie najszlachetniejsze pierwiastki życia mego. Z radością myślę o mej wielkanocnej wycieczce do Krymu.

21 marca / 3 kwietnia, rok 1913, czwartek
Wieczorem napisałem artykulik do „Kuriera Krajowego" z powodu faktu pokrzywdzenia Litwinów przy nauczaniu religii w jednym z gimnazjów wileńskich. Chodzi o to, że okólnik kuratora wileńskiego okręgu naukowego ustanawia, iż tam, gdzie kapelan nie zna języka ojczystego uczniów, tam nauka religii w szkole musi się odbywać w języku urzędowym, tj. po rosyjsku. Litwini czują się tym pokrzywdzeni i głośno w prasie swojej się skarżą, wytykając polonizatorską działalność wileńskiej władzy duchownej, która dba li tylko o interesy narodowe Polaków, a takież interesy Litwinów do tego stopnia zapoznaje i zaniedbuje, że zostawia ich na pastwę rusyfikacji. Zdaniem prasy litewskiej, gorliwość polonizatorska diecezjalnej władzy kościelnej staje się w stosunku do Litwinów atutem ich rusyfikacji. W żalach Litwinów jest niewątpliwie dużo prawdy; istotnie władza duchowna nigdy by się nie ośmieliła zaniedbać w ten sposób interesów polskich, jak zaniedbała w tym razie litewskie, wiedząc, że społeczeństwo polskie podniosłoby taki krzyk i taki protest, całkowicie słuszny zresztą, że kler by był poważnie skompromitowany. Ze społeczeństwem polskim kler tu w Wilnie i diecezji wileńskiej liczy się na każdym kroku, bo społeczeństwo to jest tu silne, zwarte, bogatsze, stanowcze; kler jest od społeczeństwa polskiego zależny, zmuszony do liczenia się na każdym kroku ze stanowczymi żądaniami narodowymi Polaków. Litwini zaś tu, na wschodnich kresach etnograficzno-litewskich, są słabi i upośledzeni. Lud litewski jest tu ciemny i mało uświadomiony narodowo, inteligencja zaś narodowa, zamieszkała w Wilnie, choć jest gorąca, jednak i liczebnie jest dość słaba, i pieniężnie biedna, i wpływów nie ma takich, co Polacy, i jest pomawiana zawsze o to, że nieszczerze się upomina o prawa wewnątrz kościoła, bo jest niewierząca i bynajmniej o potrzeby religijne nie dba. W tych warunkach Litwini są tu zawsze traktowani po macoszemu; osiągają tylko stopniowo pewne ustępstwa o tyle, o ile potrafią wielki krzyk podnieść i krok za krokiem coś wywojować. Tylko energii, sprężystości i ciągłej, acz krzykliwej, wojnie, prowadzonej przez garstkę inteligencji wileńskiej i uświadomionych jednostek z ludu, zawdzięczają Litwini, że nie zjedzono ich dotąd w kaszy. Tak w tym wypadku wina władzy duchownej jest niewątpliwa; z pewnością, że nie była to wina rozmyślna i że nie chodziło specjalnie o to, aby uczyć dzieci litewskie religii po rosyjsku; ale jest wina niedbałości, wina obojętności, gdy chodzi o narodowe interesy Litwinów; władza duchowna wiedziała o okólniku, który

był szeroko omawiany i komentowany, i powinna była tak uwzględnić jego konsekwencje, aby się nikomu krzywda nie stała. Gdyby to chodziło o jakieś dzieci angielskie czy hiszpańskie, to mogłoby nie być kapelana, znającego ich język ojczysty Ale tu chodzi o język litewski, który zna mnóstwo księży w Wilnie. Kapelana zbraknąć nie może. A na skutek tej niedbałości stała się Litwinom krzywda poważna, bo tu chodzi nie o samą religię jako taką, ale o zasadę języka ojczystego w nauczaniu, zasadę wywalczoną z takim trudem i kosztem tylu wysiłków narodowych, osiągniętą co prawda w minimalnych granicach zastosowania, ale cenną jako talizman skonkretyzowanych w niej pragnień, walk i pierwszych zdobyczy narodu. Tak też tę rzecz przedstawiłem w artykule. Uwydatniłem krzywdę Litwinów, co zaś do winy władzy duchownej, to jej nie formułowałem stanowczo, jeno zaznaczyłem niedopuszczalność niedbałości.

22 marca / 4 kwietnia, rok 1913, piątek
Otrzymałem dziś list od jednego z moich kolegów i przyjaciół paryskich, Adama Neymana, z którym nigdy nie korespondowałem od czasu wyjazdu z Paryża. Neyman dowiedział się jakoś, że biorę udział w wydawnictwie „Przeglądu Wileńskiego" i niedawno przysłał mi pod adresem „Przeglądu" pocztówkę, na którą także pocztówką odpisałem. Teraz pisze list długi, w którym streszcza mniej więcej całe dzieje życia swego w ciągu tych lat 8 po ukończeniu Szkoły. Spędziliśmy z nim parę lat w Paryżu, jako koledzy z *École des Sciences Politiques*, ale dopiero w ostatnim roku, zimą i wiosną r. 1905, stosunek nasz się zacieśnił. Był to chłopiec bardzo miły, żywy, niegłupi wcale. Nie łączyły nas specjalne więzy ideowe, bo Adam Neyman nie miał nigdy inklinacji do ideałów społecznych: rozumiał je, podzielał nawet w dużym stopniu, ale się nimi nie przejmował, nie zapalał; kochał życie raczej dla użycia osobistego, miał szczyptę zawsze sceptycyzmu w umyśle; nie był zresztą bynajmniej egoistą suchym; był bardzo koleżeński, w stosunkach bliższych miał dużo serdeczności i niekłamanego uczucia; był trochę rafinowany w używaniu życia, chciał i umiał wydobywać z uciechy maksimum słodyczy i rozkoszy. Pamiętam nasze spacery i wycieczki po bruku paryskim i zamiejskie, pełne wrażeń, przygód nieraz romantycznych, uciech często erotycznych. Był on towarzyszem nie tyle ideałów moich, ile zabaw. Jako taki był niezrównany. Pamiętam zwłaszcza nasze wspólne przygody i zabawy z Bertą, młodą ładną robotniczką paryską, którąśmy poznali z Neymanem w budce tramwajowej przy teatrze Sarah-Bernard. Znajomość ta nasza z Bertą trwała przez kilka miesięcy. Była to ładna Paryżaneczka, żądna też uciech i wrażeń. Łaziliśmy z nią po kawiarniach, jeździliśmy za miasto wiosną, piliśmy, włóczyliśmy się w niedziele i święta dniami całymi. Jakich uciech nie mieliśmy z Bertą, jakich przygód i wrażeń! Była to dziewczyna gorąca, z dużym temperamentem, wesoła, swawolna, ale pieniędzy nie brała, bo się bawiła dla zabawy tylko. Byliśmy z nią raz i u modystek w zakładzie „Madame Julie" przy rue Poissonière, gdzieśmy się bawili podnieceniem zmysłowym Berty wobec orgii uciech zmysłowych, a raz pamiętam w parku St.-Cloud jakeśmy się *en plein air*[1] bawili z Bertą i szaleli w uciechach zmysłowych. Ten epizod z Bertą trwał długo, aż póki tejże wiosny nie zakochałem się w Susanne Richard, poczym już z Bertą zerwałem i wyrzekłem się z nią zabawy, czując nagle wstręt do niej. Byliśmy zawsze w Bertą i Adamem Neymanem we troje, a nigdy nie było nieporozumień lub zazdrości między nami. Bo nie kochaliśmy tej Bertki serdecznej, jenośmy się bawili. Dzisiejszy list Adama Neymana przypomniał mi żywo czasy i stosunki paryskie. Adam Neyman jest od lat kilku żonaty z Wiedenką, ma parę dzieci. Od niedawna zamieszkał w

---

[1]pod gołym niebem.

Kijowie, dotąd zaś przebywał na południu Rosji, gdzie się zajmował spekulacjami węglowymi, robiąc fortunę. Bieg życia jego był diametralnie przeciwny mojemu.
Pod wieczór byłem dziś na chrzcinach u Żmujdzinowiczów. Od miesiąca mają oni córeczkę, którą nazwali starym mitologicznym imieniem litewskim – Giedrė, upieszczone – Giedrytė.
Po obiedzie przyszła do nas stryjenka Elżunia Bolesławowa Römerowa, która już nawiązuje znowu stosunki z nami, zerwane od lat paru. Z parę godzin spędziła z Mamą, była bardzo serdeczna, uznała dużo słuszności w tym, co jej Mama wypowiedziała o jej roli w moim kryzysie małżeńskim z Reginą i bardzo serdecznie wyrażała chęć całkowitego pogodzenia się z nami i ze mną.

23 marca / 5 kwietnia, rok 1913, sobota
Miałem „*embarras de richesse*"[2] co do wyboru zebrania na wieczór. Aż trzy bowiem zebrania były zwołane i wszystkie trzy takie, na których pragnąłbym być: zebranie komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winogradowa, zebranie zarządu Towarzystwa popierania przemysłu domowego i sztuki ludowej i ogólne zebranie członków Wileńskiego Oddziału Wszechrosyjskiej Ligi Przeciwgruźliczej. Pierwotnie projektowałem na to ostatnie nie pójść, bo w zakresie walki z gruźlicą jestem najmniej kompetentny i obecność moja na tym zebraniu jest najmniej potrzebna. Wczoraj wszakże Nagrodzki prosił mię, abym był koniecznie, bo ma być dyskutowana i rozstrzygnięta bardzo ważna kwestia o tym, czy to towarzystwo ma być nadal oddziałem ligi wszechrosyjskiej, czy też organizacją samodzielną odrębną, wileńską. W naszym kraju wszystkie zagadnienia tego rodzaju, czy to chodzi o organizacje polityczną, czy o potrzeby ekonomiczne i kulturalne, nie mające pozornie nic wspólnego z polityką, mają faktycznie zabarwienie polityczne. Jest ciągła nieustająca walka o zwycięstwo jednej z dwóch zasad, czy zasady centralistycznej, forsowanej u nas zawsze przez Rosjan, czy też zasady samodzielności, inicjatywy krajowej, popieranej przez wszystkie elementy nie-rosyjskie. Czy to chodzi o kooperację, czy o społeczną walkę z gruźlicą – zawsze jest kolizja tych dwóch zasadniczych dążeń.
Poszedłem na to zebranie. Odbywało się ono w sali Zarządu Miejskiego. Zebrało się 100 członków wileńskiego oddziału Ligi. Nastrój był od początku podniecony, jak zawsze, gdy chodzi o walkę dwóch przeciwnych zasad. Nic bodaj tak nie roznamiętnia zbiorowości ludzkich, jak walka zasad. Argumenty wtedy tracą swoją moc przekonywania, są szermierką właściwie próżną, bo nigdy jedna gromada nie przekona drugiej gromady, już przekonanej z góry w kierunku wręcz przeciwnym. Na przewodniczącego zebrania obrany był Witold Abramowicz, co wskazywało, że decentraliści mają na zebraniu większość. Ze strony zwolenników centralizacji referował pułkownik Ałanczykow, ze strony zaś zwolenników usamodzielnienia towarzystwa referował Bagiński. Pierwszy uwydatniał korzyści, płynące z centralizacji i zrzeszenia wysiłków na wielkim terenie całego państwa, drugi kładł nacisk na potrzeby miejscowe. Nikt ze zwolenników usamodzielnienia społecznej akcji krajowej nie jest właściwie przeciwnikiem łączenia się w związki szersze, czy to państwowe, czy międzynarodowe. Ale zwolennicy tej zasady uważają, że wszelka akcja społeczna powinna być w założeniu swobodna, samodzielna, zupełnie autonomiczna; dopiero wtedy zdobędzie ona moc, uwzględni całokształt potrzeb miejscowych i zastosuje działalność do nich, a następnie powinno niewątpliwie mieć miejsce łączenie poszczególnych autonomicznych wysiłków zbiorowych w rozleglejsze związki federacyjne dla rozszerzenia i uzupełnienia akcji lokalnych. Zasada więc

[2]dosł. kłopot z bogactwem.

samodzielności nie przeczy zasadzie jak najszerszej solidarności i zespołu; jeno że zamiast opieki z góry stawia ona w założeniu wysiłek autonomiczny, oparty na pierwiastku czynnej samopomocy społecznej i na tym już buduje organizację związkową. U nas chodzi nie tylko o samą tę zasadę, ale też o to, że w niej i przez nią utwierdzamy pierwiastek krajowości, ten pierwiastek autonomiczny, który musi u nas być ciągle, systematycznie przeciwstawiany zachłanności centralizmu państwowego. Rosjanie są pod tym względem wręcz naszej tendencji przeciwni; nie tylko tendencje rusyfikatorskie skłaniają ich do tego, ale cała ich kultura, wykształcona na despotycznej i centralistycznej państwowości. Nie rozumieją oni tego pierwiastka samodzielności i czynnej samopomocy społecznej i są zawsze zwolennikami systemu opieki i liczenia na pomoc zewnętrzną. Starły się dziś te dwa światopoglądy, dwa prądy sprzeczne: większość stanowcza, złożona z Polaków, Żydów i Litwinów, a wynosząca 58 głosów, wypowiedziała się za usamodzielnienie towarzystwa, mniejszość rosyjska z 28 głosów – za zachowanie charakteru oddziału Ligi wszechpaństwowej. Rosjanie byli źli, próbowali kwestionować większość, wreszcie ich referent oświadczył, że zgłosi motywowane *votum separatum*. Nie znaczy to jeszcze, że towarzystwo już będzie teraz usamodzielnione, jeno że takie jest *desideratum* członków. Byłem jeszcze na zebraniu komitetu rodzicielskiego i zdążyłem pobiec jeszcze na zebranie zarządu t-stwa pop. drobnego przemysłu, ale się okazało, że takowe do skutku nie doszło.
Dotychczas nie mam listu od Anny. Ten brak wiadomości zaczyna mię nie mniej poważnie niepokoić, niż wiadomości złe.

24 marca / 6 kwietnia, rok 1913, niedziela
Otrzymałem dziś list od Anny; niezwykły nawet, bo polecony. Toteż byłem wielce zaniepokojony, gdym go miał otwierać. Wszakże treść jego całkowicie mię uspokoiła. List ten jest polecony tylko dlatego, że Anna chciała mieć pewność, że dojdzie; do dnia bowiem wysłania jego, to znaczy do środy ubiegłej, nie otrzymała jeszcze odpowiedzi na swój list poprzedni i przypuszczała przeto, że może zaginął. Strasznie jest utrudniona korespondencja przy tak marudnym kursowaniu poczty między Wilnem a Krymem. Na poprzedni list Anny, w którym się ona skarży na cierpienie żołądkowe i radzi się, co ma robić, odpowiedziałem depeszą, a list ze szczegółową odpowiedzią wysłałem dopiero w dwa dni po tym, w sobotę; listu tego do środy Anna jeszcze nie otrzymała i depeszy widocznie też musiała nie otrzymać, bo prosiłem w niej o przysłanie mi adresu nowego doktora, a Anna mi takowego nie przysyła i nic nie wie o tej prośbie. Depeszę adresowałem *poste restante*, jak wszystkie listy do niej, ale widocznie depeszę trzeba odbierać w innym okienku na poczcie niż listy, a Anna, nie wiedząc o niej i nie domyślając się, nie zgłosiła się po nią wcale. Głupie porządki pocztowe! Dzisiejszy list Anny – dobry. Pisze, że „igły”, to znaczy zastrzykiwanie arszeniku, odbiera co dzień, że stan żołądka jest lepszy i że w końcu kwietnia spodziewa się wrócić do Wilna. Nic jeszcze nie wie o moim projekcie przyjazdu na Wielkanoc do Teodozji, ale teraz, wobec jej spodziewanego powrotu w prędkim czasie po Wielkiejnocy, może projektu jazdy na Wielkanoc zaniecham.
Przed obiadem byłem w lokalu biblioteki „Знание” na zebraniu rady gospodarczej białoruskiego kółka muzyczno-dramatycznego, do którego jako członek należę. Jest to pierwszy zawiązek klubu białoruskiego w Wilnie na wzór Litewskiej „Ruty”. Kółko istnieje od dwóch lat, ale dotąd nie ma własnego lokalu, co mu bardzo utrudnia rozwój i funkcjonowanie. Musi urządzać rzadkie wieczorki w lokalach *ad hoc* wynajętych, co jest kosztowne i trudne. Brak lokalu stałego sprawia, że kółku brak spoistości, członkowie nie mają stałego terenu obcowania, całe kółko wegetuje. Kółko ma swój chór, drużynę amatorsko-teatralną, ale to wszystko w braku lokalu jest luźne, nie

sprężyste. Owóż teraz nastręcza się kółku sposobność posiadania lokalu własnego, oczywiście w drodze wynajęcia. Jest to lokal w tzw. zamku Raduszkiewicza nad Wilią za Zielonym Mostem. Lokal jest duży, wygodny (mieścił się tam poprzednio zjazd powiatowy, potem kinematograf). Punkt jest dobry, bo i pozycja piękna, i gmach bardzo ładny i śliczny widok na miasto z werandy i okien, i niedaleko od śródmieścia, i jednocześnie dla całych Śnipiszek byłby to ośrodek dla zabaw, bo byłoby to jedyne dla Śnipiszek miejsce rozrywek i wieczorki białoruskie ściągałyby całą ludność tej dzielnicy. Kosztuje ten lokal rb. 1200 rocznie, a biedne kółko białoruskie nie ma pieniędzy. Chcą biedacy posiąść ten lokal, wiedzą, ile na tym zyskają, ale kwestia, skąd dostać pieniędzy. Wszyscy inni mają bogatych protektorów, tylko biedni Białorusini takowych nie mają. Są oni pariasami w dziedzinie materialnej. Szukają mecenasów, szukają pożyczek na ten cel, i zdaje się, że mnie w tym celu zaprosili na dziś. Liczą jeszcze na pomoc pożyczkową od adwokata Łapina, od Osmołowskiego, od Prozorowa. Ja im nic nie obiecałem, bo nawet nie bardzo mam z czego, ale przyrzekłem, że osobiście Łapina postaram się do pożyczki namówić. Może im też coś pożyczę, bo należą oni do akuratnych dłużników, ale jeszcze nie wiem. Najgorsze jest to, że trzeba wynająć teraz, przed latem, kiedy w życiu klubów i kółek zabaw publicznych jest sezon martwy; to znaczy trzeba unieruchomić kapitał i to niemały w stosunku do środków kółka – do jesieni. Sprawa ostatecznie nie została jeszcze dziś rozstrzygnięta.
Po obiedzie byłem u c. Łucji Wołodkowiczowej, która jutro wyjeżdża z moją siostrą Marynią do Krakowa na ewentualną operację. Ciocia mię wezwała dla podpisania jej testamentu w charakterze świadka, co też zrobiłem. Testament dość bezbarwny, ale poza nim ciocia składa do rąk brata, wuja Ignacego Tukałły, sumę rb. 35 000 dla „wyrównania” czy regulowania sched spadkowych podług prywatnych zleceń cioci.
Pod wieczór byłem u p. Karpowiczowej na Małej Pohulance na posiedzeniu komisji bibliotecznej, wyłonionej z komitetu rodzicielskiego gimnazjum Winogradowa. Komisja ta składa się z trzech osób – p. Karpowiczowej, p. Zygmunta Karpowicza (nie męża i bodajże nie krewnego tej pani) i mnie. Oprócz nas przyszli jeszcze na to zebranie nauczyciel i nauczycielka języka polskiego z tegoż gimnazjum. Nauczycielki nazwiska nie wiem, nauczyciel zaś – to Cywiński, którego dotąd nie znałem. Jest to człowiek, który ma wybitny wpływ na polską młodzież wileńską, rzecznik ruchu skautów, człowiek ideowy, szczery, pełen wiary i zapału. Łączy on gorące ideały narodowe z nastrojem głęboko religijnym i światopoglądem humanitarnym. Z dzisiejszej znajomości wyniosłem o nim wrażenie dodatnie. Odczytaliśmy wspólnie katalog dzieł polskich biblioteki uczniowskiej w gimnazjum i spis dzieł zaprojektowanych do nabycia, który ewentualnie uzupełniliśmy i skorygowaliśmy. Przeważają utwory beletrystyczne, ale w doborze dość dobrym. Wniosłem projekt, aby przy uzupełnianiu biblioteki w dziale historycznym, społecznym i artystycznym, to jest w tych działach, które nie są objęte nauka szkolną, a należą do samokształcenia młodzieży, nawiązać nam poufnie kontakt z istniejącymi kółkami młodzieży, ażeby się one, na podstawie potrzeb własnych, wypowiedziały co do wyboru dzieł w tych zakresach. Chodzi bowiem o to, aby młodzież sama, stosownie do swojej pracy samokształceniowej, brała udział w decyzji co do kompletowania biblioteki użytkowej. Propozycja moja została w zasadzie przyjęta z uznaniem. Mam spróbować porozumieć się z kółkami młodzieży.
Wieczorem po powrocie do domu zastałem nadesłany mi w kopercie z Prus pierwszy numer wznowionego litewskiego „Varpasu” jako nielegalnego, a przeto swobodnego organu litewskiej partii demokratycznej. Ucieszyłem się szczerze, a numer ten podobał mi się bardzo. Jest konieczna potrzeba takiego wydawnictwa, w którym by się mogła

swobodnie rozwijać i krystalizować myśl i świadomość demokracji litewskiej, wolna od kompromisów i hamulców sztucznych.

25 marca / 7 kwietnia, rok 1913, poniedziałek
Byłem dziś na pogrzebie starego p. Mieczysława Ostachiewicza na cmentarzu ewangelicko-reformackim. Nie był to jeszcze bardzo stary człowiek, ale już od jakiegoś czasu poważnie niedomagał, tak że śmierć była spodziewana. Był to człowiek dość szeroko znany w Wilnie. Z zawodu był skromnym pracownikiem asekuracji, żył i utrzymywał rodzinę z pracy własnej. Pochodził ze średniej kalwińskiej szlachty powiatu poniewieskiego, gdzie dotychczas rodzina Ostachiewiczów ma nieduże posiadłości ziemskie. Ale osiadł w Wilnie, z Wilnem się zrósł i do Wilna przylgnął. Znany był więcej nie sam przez się, ale jako mąż swej żony, p. Kazimiery Ostachiewiczowej, literatki, która była luminarzem w rodzinie i wyrocznią nieomylną, gwiazdą przewodnią, dumą męża swego. Jak wszyscy kalwini, miał zawsze aspiracje do postępu i wolnomyślicielstwa. Dlatego też w miarę sił swoich popierał zawsze szczerze wszystkie zapoczątkowania postępowe; był w swoim czasie jednym z najgorętszych sympatyków czynnych „Gazety Wileńskiej", jej udziałowcem i członkiem rady gospodarczej z ramienia gremium udziałowego. Należał też do sympatyków czynnych „Przeglądu Wileńskiego". Był dość ruchliwy i miał wespół z żoną swoją pewne stosunki i wpływy w niektórych kołach inteligencji i zwłaszcza pań społeczniczek i tam umiał zawsze skutecznie agitować na rzecz tej sprawy, do której w charakterze sympatyka się garnął. Po pierwszym upadku „Gazety Wileńskiej" Mieczysław Ostachiewicz dużo się przyczynił do akcji ratunkowej, która wznowiła wydawnictwo. Miał on wszakże tę wadę, że posiadał swoje ambicyjki i był na punkcie takowych bardzo drażliwy; trzeba więc było być z nim bardzo ostrożnym i mieć dużo taktu, aby go w czym nie zadrasnąć, bo stawał się wtedy wrogiem; cechowała go też inna cecha ujemna – to zachłanność i faworyzowanie rodziny swojej; gdzie wszedł – tam ciągnął ze sobą rodzinę i wielkość swej żony. To się zwłaszcza wyczuwało w „Gazecie Wileńskiej", gdzie rodzina Ostachiewiczów dążyła ciągle do zachłanności familijnej. Dzieci nieboszczyka Ostachiewicza i jego wielkiej żony, pani Kazimiery, były zresztą uzdolnione, aczkolwiek miały te same pewne cechy niesympatyczne, ambicyjki i zachłanność. Córka ich, której nie znam, jest podobno najwybitniejsza z rodziny, ma zdolności niepospolite. Należała do PPS, teraz jest zamężna i mieszka czy w Galicji, czy w Królestwie. Syn Henryk, z przekonań esdek, stał się bardzo popularnym w Warszawie w r. 1905 w okresie wieców i strajków. Na największych masowych wiecach przewodniczył, grał rolę rozjemcy i trybuna ludu. Miał znakomity zmysł demagogiczny, umiał kierować tłumem, schlebiać mu i rozkazywać i być kochanym. Wyczuwał duszę tłumów i panował nad nią. Popularność jego w Warszawie wyrosła nagle i dała mu rozgłos duży, acz tylko chwilowy i lokalny. Po r. 1905 musiał wyjechać z Warszawy, chroniąc się od represji administracyjnych. W maju po wznowieniu „Gazety Wileńskiej" wszedł do jej redakcji, jako nie tylko zwykły współpracownik, ale jako współpracownik „autonomiczny", niezależny od redaktora, którym byłem ja. Takie stanowisko w redakcji wyrobił mu ojciec wpływami swymi w kolegium udziałowców pisma. Jako publicysta wszakże, Henryk Ostachiewicz okazał się bardzo mierny; był w redakcji w dużym stopniu zawadą. Ze mną stosunki jego były dobre, ale przez kolegów w redakcji był nie lubiany z powodu swej ambicji i wyniosłości; z sekretarzem redakcji, dzielnym Barlickim, był na noże. Nie był to człowiek zły i zdolności miał niewątpliwe, ale był trawiony niesłychaną ambicją i próżnością oraz zarozumiałością. Jego świetna popularność warszawska zupełnie go wytrąciła z równowagi i obudziła w nim po prostu fanatyzm, namiętność własnej wielkości. O ile zaś znał duszę tłumów i umiał nią

rządzić, o tyle w stosunkach z osobnikami ludzkimi nie umiał zyskać sympatii i nagiąć się do umysłowości i psychologii jednostek. W r. 1908 Henryk Ostachiewicz odebrał sobie życie, nie znajdując pokarmu dla swej wybujałej ambicji i nie mogąc znieść zapomnienia i cichego żywota. Był to człowiek tragiczny. Drugi syn Ostachiewiczów, Kazimierz, żyje dotąd i ma posadę w towarzystwie kredytowym w Wilnie. Ten jest najmniej wybitny w rodzinie.
Wieczorem byłem na pierwszym przedstawieniu nowej operetki polskiej. Grano operetkę „Wróg kobiet". Zabawiłem się dobrze.

26 marca / 8 kwietnia, rok 1913, wtorek
Przełajdaczyłem noc całą. Wstydzę się tego, ale, niestety, wyznaję. Budzą się jeszcze we mnie złe moce namiętności, które mię niegdyś we władzy trzymały. Od czasu związku mego z Anną zaniechałem tych orgii, zaprzestałem rozpusty. Aż oto teraz, po dłuższej nieobecności Anny, znów dzikie pragnienia zmysłowe wyszły z kryjówki i jęły mię kusić do uciechy. W naturze mojej jest pewna porywczość nastrojów. Gdy mię ogarnia nagle pragnienie zmysłowe, przychodzi ono jak burza, jak szał dziki, z którym walczyć nie zdołam. Taki moment przyszedł na mnie wczoraj wieczorem. Nie byłem w stanie walczyć i poddałem się rozkazom ciała i wyobraźni. Noc całą hulałem wściekle. Piłem, bawiłem się dziko, rozpustnie z dwiema dziewczynami. Dziś za to przez cały dzień, a zwłaszcza ranek, byłem na wpół przytomny i niezdolny do pracy. Dopiero pod wieczór nieco ochłonąłem, poprzednio się wyspawszy.
Nie samej orgii żałuję, ale tego skalania mego stosunku do Anny kochanej. Albowiem ją kochając, powinienem jej dochować wierności. Miłość powinna wykluczać związek fizyczny z innymi kobietami. Smutno mi, bo mam wrażenie, jakbym tą rozpustą nocną zadał ranę miłości mojej i uchybił Annie. A cóż mi jest droższego nad nią, co świętszego i prawdziwszego nad tę miłość naszą! Natura męska mieści w sobie głębokie pokłady bagna namiętności i instynktów dzikich, które chwilowo jak wulkany jakieś z niej wytryskają, mącąc najczystsze krynice uczuć. Ciężka jest walka z niimi.

27 marca, 9 kwietnia, rok 1913, środa
W „Przeglądzie Wileńskim", którego numer ostatni wyszedł wczoraj, Ludwik Abramowicz dał w rubryce z prasy polskiej notatkę polemiczną w stosunku do „Kuriera Krajowego". Ludwik Abramowicz od dawna już aspiruje do tego, aby móc rozpocząć polemikę z „Kurierem Krajowym". Chce on tego nie tylko dlatego, że „Kur. Krajowego" nie lubi i rad by mu zaszkodzić, ale też dlatego, żeby mieć okazję do podniesienia swojej marki i zasługi przez pognębienie pisemka demokratycznego, okrzyczanego przez sfery prawomyślne i nacjonalistyczne za pismo rzekomo beznarodowe i nawet wrogie polskości. Ludwik Abramowicz, który jest ambitny i chce sobie gwałtem zrobić karierę publicystyczną w społeczeństwie polskim, tylko w pierwszym okresie wydawnictwa „Przeglądu" (mniej więcej do wyborów zeszłorocznych) siedział przyczajony pod skórą pozorną demokraty i ludowca. Nigdy nie był społecznikiem i nigdy nie miał głębokich aspiracji ludowych. Czuł, że na stanowisku demokratycznym kariery wybitnej nie zrobi. Wejście do „Przeglądu" było mu potrzebne tylko czasowo, żeby mieć *pied à terre*[3] w Wilnie, gdy został wysadzony z „Kuriera Litewskiego" przez fuzję jego z endeckim „Gońcem". Gdy się poczuł w „Przeglądzie" silniejszym, gdy zdobył zaufanie większości grona „przeglądowego", uważał, że nastała wreszcie chwila rozpoczęcia działania na własną rękę. Zechciał wziąć za łeb całą garstkę demokratów czy postępowców „przeglądowych", narzucić jej

[3]punkt zaczepienia.

nowe koncepcje i poprowadzić ją za sobą, stając się jej *leaderem* i budując na niej karierę osobistą. Nie było to trudno, bo większość tej grupy była chwiejna, nastrojowa, usposobiona bardzo kompromisowo. W grupie tej błąkały się przeżytki pps-owskie, a demokratyzm jej był zatopiony w filisterstwie osobistym; zresztą byli to ludzie przeważnie zajęci zarobkowa pracą zawodową, oderwani od żywego kontaktu z ludem, od jakiegokolwiek realnego czynu społecznego poza pismem. Najniebezpieczniejszy dla zakusów Ludwika byłem ja, ponieważ jestem przekonaniowo najbardziej skrystalizowany, do kompromisów najmniej skory, słowem – zupełnie nie dający się prowadzić na pasku. Toteż pomimo że moja obecność w grupie dodawała jej wyrazistości i była przeto pożądana dla zwiększenia jej powagi w opinii, jednak Ludwik wolał stracić mię, byle celu dopiąć, niż mieć we mnie zawadę dla swych zamiarów. Dążył też do tego, abym z grupy wystąpił, ale to się dotąd nie uskuteczniło. Drugi, jedyny poza mną, który też się nie nadawał do szranków Ludwika, był w grupie Zasztowt. Ludwik skombinował, że najpopularniejszym konikiem, który go do upragnionej mety poniesie, będzie konik patriotyczny. Dosiadł go też szybko i mocno się w siodle osadził. Grając na uczuciach narodowych, które u nas z powodów zrozumiałych są wybitnie rozwinięte, zyskiwał popularność w szeregach dalszych, bynajmniej nie demokratycznych, i jednocześnie musiał też i w naszej grupie znajdywać oddźwięk sympatyczny. Jadąc na tym koniku, przeskoczył rychło z patriotyzmu na najczystszy nacjonalizm, wyzbywając się i odrzucając coraz jawniej pierwiastek społeczny i ludowy. Ludwik chce się otoczyć aureolą trybuna narodowego, gotując sobie stopniowo drogę do zupełnego zerwania z „przeżytkami" demokratyzmu i aspiracji ludowych. Ale nie dość mu, aby sam odbył tę ewolucję. Chodzi mu o to, aby ewolucję tę zaszczepić całej grupie, ją za sobą, jako swoją eskortę, poprowadzić. Toteż nad wyraz bolesne było dla niego powstanie „Kuriera Krajowego", który zaakcentował właśnie czystą linię pierwiastków ludowych i demokratycznych w rozwoju społecznym i dał punkt wyjścia do reakcji przeciwko nacjonalistycznej, a w gruncie rzeczy karierowiczowskiej imprezie Ludwika. Na próżno Ludwik z większością grupy „przeglądowej" próbował przy powstaniu „Kur. Kr." nałożyć ręce na to przedsięwzięcie i opanować je. „Kurier Krajowy" uchylił się od przywództwa Ludwika i „przeglądowców" i zaakcentował się zasadniczo w kierunku społeczno-ludowym. Stopniowo do „Kuriera Krajowego" przywarły elementy społeczno-ludowe z grupy „przeglądowej" – ja i Zasztowt. „Kurier Krajowy" stał się zawiązkiem grupy, która może się przeciwstawić tendencjom „przeglądowym" Ludwika, o ile ostatecznie ujawnią się one w postaci nacjonalizmu. Tą drogą unicestwiony został monopol grupy „przeglądowej" na przedstawicielstwo jedynego kierunku demokratycznego. Plan Ludwika częściowo przynajmniej został rozbity. Jeżeli poprowadzi za sobą, to poprowadzi tylko garść jednostek, a grupa demokratyczna pozostanie. Oczywiście, że „Kurier Krajowy" jest w tych warunkach dla Ludwika solą w oku. O, jakżeby on pragnął go zdyskredytować. Dotąd nie znajdywał jednak okazji do polemiki z „K. Kr.". Znalazł ja dopiero teraz i to bardzo zręcznie, biorąc asumpt z artykułu Mańkowskiego, w którym ten politykomanii spekulacyjnej ugodowców przeciwstawił potrzebę i moc twórczej pracy społecznej. Mańkowski tak ujął temat w swoim artykule, że można było rzeczywiście wywnioskować, jakoby zalecał apolityczność demokratycznego ruchu społecznego u nas. Ludwik zręcznie to wyzyskał i wykazał kapitalne błędy takiej koncepcji. Dałem więc w odpowiedzi na to artykuł zasadniczy, w którym tak ująłem temat, że wytrąciłem broń z rąk Ludwika.

28 marca / 10 kwietnia, rok 1913, czwartek

Miałem dziś w sądzie obronę karną. Broniliśmy wespół z Janulaitisem dwóch młodych Tatarów, braci rodzonych, z których jeden, służąc w Wilnie u kupca Kamienieckiego, skradł mu z kasy tysiąc kilkaset rubli; drugi zaś brat, mój klient, Abdul Magdiejew, otrzymał od brata te pieniądze i zawiózł je do domu do guberni niżniegorodzkiej na przechowanie. Zbrodnia się zaraz wykryła. Co do mojego klienta, to nie było żadnych dowodów, że wiedział o tym, że pieniądze są kradzione. Co zaś do starszego brata, Chasana Magdiejewa, to wprawdzie nie było żadnej wątpliwości co do faktu kradzieży, bo się sam kompletnie przyznał, to jednak widoczne było, że to nie jest zbrodniarz zawodowy, człowiek zepsuty. Wszyscy świadkowie, nie wyłączając poszkodowanego Kamienieckiego, któremu *notabene* wszystkie pieniądze zwrócone zostały, jak najlepiej świadczyli o osobie Chasana: był akuratny, trzeźwy, zręczny w pracy, chętny, nie budzący żadnych posądzeń. Widoczne było, że to był upadek doraźny, że chłopiec się pokwapił, ale pobudkę miał tę, żeby pomóc bratu. Słowem, osoby oskarżonych sprawiały tak dodatnie wrażenie, że sędziowie przysięgli uniewinnili obu. Zresztą komplet przysięgłych był bardzo pomyślny (przewodniczącym ławy przysięgłych był p. Ochotnicki, były poseł do III Dumy). W tych warunkach czynność obrony była przyjemna, bo materiał był wdzięczny i miało się wiarę w dobry skutek.
Wieczorem u Krzyżanowskiego odbyło się zebranie grupy „przeglądowej", na którym obecni byli: Krzyżanowski, Ludwik Abramowicz, Nagrodzki, Piłsudski, Klott, Studnicki, Turski, Budny i ja. Zebranie to zwołane zostało przez Ludwika Abramowicza, który odczytał i poddał dyskusji napisany przezeń referacik programowy. W referaciku tym miał Ludwik dokonać rewizji tzw. hasła krajowości. Wszakże to, co zrobił, co nam przedstawił, nie może być właściwie za program uważane. Jest to coś tak ogólnikowego i tak mglistego, że właściwie nie wiadomo, o co chodzi i co ma być robione. Rozwodził się Ludwik nad tym, że jedyne, co może wytworzyć ruch i dodać mocy jakiejś akcji – to wiara w ideę. Ideą taką, zdaniem jego, może być tylko idea narodowa. W żadnym razie nie może być zastąpiona ideą terytorialną, jak się dotąd pojmowało krajowość u nas, która jest koncepcją sztuczną i przeto, zdaniem Ludwika – martwą. Idea narodowa winna być wcielona w wielkie hasło Niepodległości Polski, z którym należy iść do ludności polskiej w tym kraju. A jednak za cel uważa Ludwika dla nas niepodległość Litwy, którą, zdaniem jego, można obudzić tylko przez propagandę niepodległości Polski. Czynnik społeczno-ekonomiczny Ludwik zapoznaje, wyraża się o nim z lekceważeniem, jako nie mogący zapłodnić wielkiego ruchu twórczego. Ludwik sam się w swych skomplikowanych tezach zaplątał. Zdaje się, że go za surowo sądziłem. Z dzisiejszego referatu wnoszę, że istotnie Ludwik stracił busolę orientacji ideowej i że rzeczywiście jest na rozdrożu, nie umiejąc pogodzić wyczuwanych przezeń ideałów narodowych z realnym ustosunkowaniem czynników rozwojowych w naszym kraju. Bodajże to nie jest tylko świadomym zaprzaństwem ideałów społeczno-ludowych, jak sądziłem, ale istotnie kryzysem ideowym jego przekonań. Co zaś zwłaszcza gmatwa kryzys ideowy Ludwika, to zupełny brak u niego wiary w hasła społeczne, które mu są obce w całym znaczeniu słowa. Wszyscy oponowali Ludwikowi. Ja kładłem nacisk na ruch społeczno-ludowy jako główną dźwignię wszelkiego rozwoju, a więc i narodowego. Budny zaakcentował tę tezę, że skoro tu w kraju istnieje lud polski jako jeden z ludów miejscowych, to wskazania narodowe winny polegać na wzmocnieniu tego ludu i zdobyciu dla niego odpowiedniego stanowiska i praw w ogólnym układzie polityczno-społecznym w kraju. Zresztą wypowiedziany był w ogóle szereg myśli ciekawych, które też udało się tym razem i Studnickiemu dobrze pogłębić. Przeniesiono dalszy ciąg dyskusji na wtorek.

29 marca / 11 kwietnia, rok 1913, piątek

W „Kurierze Krajowym" są felery poważne. Mańkowski, choć ma dużo zapału, dobrych chęci, wytrwałości i ruchliwości i choć niewątpliwie się już trochę wyrobił, jest jednak za młody na wyłącznego kierownika pisma; nie zawsze się orientuje należycie, nie ma też, niestety, umysłu głębokiego. Powiadają w ogóle, że od dziennikarza nie wymaga się głębi umysłu. To prawda, gdy dziennikarz jest tylko fachowcem, wykonawcą jakiegoś programu. Gdy jednak, jak u nas, powinien być nie tylko wykonawcą, ale i głową, i twórcą kierunku, to umiejętność myślenia i rozum są warunkami pierwszorzędnej wagi. Lubię szczerze Mańkowskiego i mam dużo uznania dla jego bezinteresownej i niewątpliwie wybitnie ideowej pracy, ale nie mogę zaprzeczyć, że jest trochę lekkomyślnie zarozumiały, ma nieco przesadnej brawury i ostatecznie zbyt głęboki nie jest. Artykuły też jego grzeszą wodnistością i są ogólnikowe, a przeto zazwyczaj jałowe, mało wyraziste. Ponad Mańkowskim niezbędne jest dla pisma kierownictwo bardziej skrystalizowane, mocne. Takim miał być komitet redakcyjny, utworzony z Mańkowskiego, mnie i Zasztowta. Faktycznie jednak komitet ten nie funkcjonuje, bo Zasztowt jest przeciążony rozmaitymi robotami i zupełnie się od spraw „Kur. Kr." usunął i zapowiada, że do końca kwietnia inaczej być nie może. Ja więc tylko trochę, i to doraźnie, wglądam w sprawy pisma i Mańkowskiemu pomagam wskazówkami lub czasem artykułami, ale to nie wystarcza. Faktycznie pismo wciąż jest na wyłącznej opiece Mańkowskiego. Nie ma też żadnej grupy sympatyków, która byłaby mniej lub więcej zorganizowana i mogłaby się stać środowiskiem, regulującym i kształcącym kierunek pisma. Tacy ludzie, jak dr Sumorok, Osmołowski, jakiś Mirski, którzy należą do tzw. sympatyków „Kuriera Kr.", i niby tworzyć mają jakiś zawiązek grupy, są to ludzie bardzo niewyrobieni przekonaniowo, połowiczni, chwiejni, mało inteligentni. Pod tym względem „Przegląd Wileński" góruje nad „Kurierem Krajowym". Tam bowiem jest bądź co bądź wyraźne kółko inteligenckie, zgrupowane przy piśmie i tworzący pewny ośrodek opinii przeciętnej. „Kurier Krajowy" tego nie ma; jest on odosobniony, oderwany od wszelkiego środowiska inteligenckiego. Gdybyż przynajmniej był związany bezpośrednio z jakimś ruchem ludowym, ale i tego nie ma. Wisi w powietrzu jako coś, co nie znalazło jeszcze czynnego kontaktu z życiem. Czytelnictwo „Kur. Kr." wzrasta, ale to nie daje mu jeszcze tej mocy, jaką by miał, gdyby był związany z jakimś ruchem czy kierunkiem istniejącym i żywym. Teraz kierunek w ręku Mańkowskiego jest dość nieokreślony, chwiejny, czasem nawet wewnętrznie niekonsekwentny. W zasadzie wyznawane jest stanowisko krajowe demokratyczne, polegające na stwierdzeniu potrzeby współpracownictwa demokracji krajowej wszystkich narodowości. Zasada ta jest w piśmie przestrzegana starannie, ale skądinąd w zakresie np. stanowiska narodowego polskiego, które musi być wyraźne i dobrze ustalone w stosunku do zasad krajowości, są jaskrawe niekonsekwencje. W niektórych artykułach, dotyczących zwłaszcza stosunku do Rosji czy spraw międzynarodowych, uderza nawet szowinizm, natomiast w innych artykułach jest przesada w kierunku odwrotnym i pismo posuwa się do zalecania jakiegoś zaparcia się przez Polaków ich potrzeb i interesów własnych i do jakiejś platonicznej ofiarności na rzecz Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, co oczywiście jest nonsensem, bo nie można żądać od narodu żywego, aby się zaparł siebie i stał jakąś ofiarą czy Donkiszotem dla innych. To się nie mieściło nawet w najbardziej humanitarnym i rycerskim haśle narodowym polskim XIX wieku – „Za naszą i Waszą Wolność". A dalej tego hasła iść niepodobna i nie potrzeba. Jestem za tym, aby nie taić żadnego faktu krzywdy, jeżeli się takowe ze strony Polaków wyrządzi Litwinom czy Białorusinom. Nie jestem wyznawcą „egoizmu narodowego" i nie będę zalecać walki demokracji polskiej z litewską, rozumiejąc, że w tym kraju cała demokracja musi być i jest w istocie solidarna. Ale nie można wzywać Polaków do zaparcia się praw swoich, jak nie

można byłoby wzywać do tegoż czy to Litwinów, czy Białorusinów. W „Kurierze Krajowym" są takie niekonsekwencje, a niewątpliwie, że szkodzą one pismu. Przychodzi na myśl, że byłoby dla „Kuriera Krajowego" rzeczą pierwszorzędnej wagi, gdyby się dało pozyskać dlań Nagrodzkiego. Jest to bodaj jedyny człowiek, który prowadzi tu robotę ludową śród mas polskich i ma stosunki żywe z ludem. Przez Nagrodzkiego „Kurier Krajowy" mógłby się do ludu zbliżyć, mógłby nie tylko teoretycznie prawić o zadaniach demokracji, ale dawać wyraz czynnie i praktycznie poszczególnym potrzebom ludowym. Ciężki jest los naszej prasy demokratycznej, bo głosi ona swe słowo nad polem leżącym odłogiem lub uprawianym tylko przez kler w kierunku dla demokracji wrogim.

30 marca / 12 kwietnia, rok 1913, sobota
Wieczorem było u nas liczne zebranie rodzinne na kolacji i herbacie. Oprócz nas, domowych, to znaczy Mamy, mnie, Helci (Ewy) i Stefusia, była Elizka Komorowska z synem Julkiem, która tu przyjechała na dni kilka, był Papa, który dziś wieczór niespodzianie przyjechał, zwabiony zapewne operetką, był Kotunia Pruszanowska z córką Elizą, była ciocia Rózia Tukałłowa z córką Zulą, była Mania Ordzina, Kazio Wołodkowicz, Maryńka Wołodkowiczówna i Henryś Wołłowicz.
Z Krakowa o cioci Łucji Wołodkowiczowej przyszły od mojej siostry Maryni, która tam z nią pojechała, wieści złe. Ciocia jest zalokowana w lecznicy prof. dr Rosnera. Doktor po szczegółowym zbadaniu cioci stwierdził, że ciocia ma istotnie raka na macicy. Dziś była depesza od Maryni, że w poniedziałek będą robili cioci operację. Kazio Wołodkowicz jutro wyjeżdża do Krakowa, ażeby być przy operacji. Ciocia Rózia też wybiera paszport zagraniczny dla siebie i dla Maryńki Wołodkowiczówny, ażeby w razie jakiegoś pogorszenia stanu c. Łucji móc tam natychmiast pojechać. Zdaje się, że i Staś Wołodkowicz z żoną jedzie. Z listów naszej Maryńki wiemy, że nie tylko że zamieszkała z ciocią w lecznicy, ale że nawet osobnego pokoju nie ma i mieści się z ciocią w jednym pokoju. Marynia tego robić nie powinna, jeżeli już nie przez wzgląd na siebie samą, to przynajmniej przez wzgląd na swe dzieci. Rak u cioci może być zaraźliwy – z tym się liczyć trzeba. Wystarczy, jeżeli Marynia będzie czuwała i opiekowała się ciocią, ale powinna mieć pokoik osobny. Wołodkowiczowie nie powinni się skąpić na osobny pokój dla Maryni, skoro ona robi tyle dla ich matki, że z nią pojechała i że się nią opiekuje w tak ciężkiej chwili z takim oddaniem. Napisałem dziś o tym do Maryni, prosząc ją, aby wymogła sobie pokój osobny, a teraz te same żądania powtórzyłem Kaziowi.
Papa był dziś w usposobieniu gderliwym. Napadł zwłaszcza na Henrysia, którego bardzo ostro wykrzyczał za to, że się źle uczy i ma pełno dwójek w świadectwie kwartalnym. Istotnie Henryś zaniedbuje się bardzo – we wszystkim. Ma na III kwartał pięć dwójek – z łaciny, algebry, geometrii, historii i fizyki. Jest próżny, samowolny, zepsuty. Bardzo dziwny jest jego stosunek z Cwietkową, dawną wieloletnią kochanką jego ojca. Cwietkowa mieszka obecnie w Petersburgu. Czym jest ona teraz i z czego żyje – nie wiadomo. Ale musi mieć duże środki, bo hojnie daje pieniądze Henrysiowi, co wywiera nader ujemny wpływ na chłopca, z natury próżnego i myślącego li tylko o dogadzaniu sobie. Henryś kilkakrotnie już w tym roku jeździł do Cwietkowej do Petersburga, na jej koszt naturalnie. Zawsze też jej kosztem sprawiał sobie w Petersburgu kosztowne stroje, hulał, zjadał kolacyjki, jeździł stamtąd do Moskwy. Będąc w gimnazjum, ma całkowite odzienie cywilne, dwa komplety marynarkowe, elegancki smoking, dwie pary lakierków itd. Chodzą pogłoski, że Henryś jest kochankiem Cwietkowej, która go za to tak hojnie opłaca. Czy to prawda – oczywiście nie wiadomo. Może jest ona tylko przywiązana do Henrysia jako do przybranego syna,

bo przecie przez kilka lat hodował się on przy niej, gdy jeszcze żyła ona z jego ojcem, Józiem Wołłowiczem. Ale ta łatwość pieniędzy, jaką ma Henryś dzięki Cwietkowej, bardzo go psuje, bo jeno podnieca w nim skłonność do hulania i uciech ze szkodą dla pracy i pogłębienia umysłu i serca. Rozwija to w nim egoizm i sybarytyzm, wyjaławia duszę dziecka, robi zeń trupa i prowadzi do przedwczesnego przesytu. Teraz strzeliła Henrysiowi do głowy myśl nowa, żeby po skończeniu w tym roku klasy i otrzymaniu świadectwa z 6 klas wstąpić do szkoły wojskowej. To by go ostatecznie wykoleiło i poprowadziło na drogę hulania i rusyfikacji, bo w ogóle brak w nim wszelkich ideałów i hamulców moralnych, nie mówiąc już o jakichkolwiek aspiracjach społecznych czy narodowych.

31 marca / 13 kwietnia, rok 1913, niedziela
Popołudniu w lokalu biblioteki „Знание" zebraliśmy się dla omówienia niektórych spraw „Kuriera Krajowego"; obecni byli: redaktor Mańkowski, dr Sumorok, Antoni Łuckiewicz, Zasztowt i ja. Dotychczas „Kurier Krajowy" był podpisywany przez dr Sumoroka jako urzędowego wydawcę i odpowiedzialnego redaktora. Rola ta ciąży dr Sumorokowi, który zapewne ma z tego powodu rozmaite przykrości, bo ilekroć „Kurier Kr." coś przeskrobie i narazi się możnym sferom konserwatywnym, tylekroć dr Sumorok musi znosić na sobie niechęć i obrazę tych sfer, co mu oczywiście do gustu nie trafia. Toteż doktor nagli, aby go prędzej zwolnić od podpisu. Mańkowski ma już zastępcę dla dr Sumoroka, młodego Halickiego, który się zgodził na podpisywanie pisma. Chodzi tylko o dokonanie formalności złożenia odpowiedniej deklaracji gubernatorowi.
Poza tym, omówiliśmy kilka rzeczy. Przede wszystkim sprawa zasadnicza o stosunku „Kuriera Krajowego" do wiadomości, podawanych przez pisma litewskie o faktach rzekomego czy prawdziwego ucisku Litwinów przez Polaków. Kwestia powstała z tego powodu, że niedawno temu „Kur. Kr." przedrukował z „Viltisu" wiadomość o tym, że szereg wybitnych osobistości z obozu polskiego czy sprzyjającego Polakom spośród których wymienieni zostali ksiądz administrator diecezji wileńskiej Michalkiewicz oraz poseł do Dumy z gub. wileńskiej, endek hr. Puttkamer, zwracali się do ministra Makłakowa i innych osób urzędowych, chcąc podstępnie zdyskredytować w oczach władzy Litwinów; osoby te rzekomo podawały się same za Litwinów najprawdziwszych, o Litwinach zaś insynuowały, że są to zamaskowani rewolucjoniści; robione to było w tym celu, aby akcję polską i litwinofobską przedstawić rządowi za godną zaufania i odpowiadającą istotnie potrzebom ludności litewskiej, akcję zaś litewską przedstawić za zbrodniczą i fałszującą wolę ludu. Jeżeli to prawda, to osoby te dopuściły się istotnie czynu haniebnego. „Kurier Krajowy", nie mając możności sprawdzenia faktu, przedrukował komunikat „Viltisu", nie ciągnąc stąd żadnych wniosków i stawiając sprawę pod znakiem zapytania, a wzywając osoby wymienione do dania wyjaśnień. „Gazeta Codzienna", organ zależny od władzy duchownej, zamiast dać na to odpowiedź rzeczową, obrzuciła „Kurier Kr." stekiem błota pomawiając go o oszczerstwo, pomimo że „Kurier Kr." prawdziwości faktu bynajmniej nie przesądzał. W odpowiedzi na to Mańkowski dał w „Kurierze Krajowym" artykuł „Pod światło", może nieco za ostry, w którym domagał się rzeczowego wyjaśnienia prawdy ze względu na poważność zarzutów prasy litewskiej. Dziś z powodu tej sprawy ukazał się w endecko-ugodowym „Kurierze Litewskim" artykuł wstępny, pisany, jak wiemy prywatnie, przez Dworzaczka, gdzie się kwalifikuje całą tę sprawę jako kampanię oszczerczą antypolską, i zarzuca się „Kurierowi Krajowemu" współudział w tej kampanii oraz ośmiesza się żądanie „Kur. Kr.", aby osoby tak poważne i wysoko stojące, jak ks. Michalkiewicz i Puttkamer, miały dawać sprostowanie i tłumaczenie na byle jakie zarzuty bandy

oszczerczej, uprawiającej oszczerstwo zawodowe. Oczywiście, że w nacjonalistycznym obozie opinii wileńskiej jest z tego powodu oburzenie na „Kurier Krajowy", który się pomawia o tendencje antypolskie. Dr Sumorok , który jest chwiejny i bądź co bądź boi się opinii, był zaalarmowany. Postawił on kwestię tak, czy w ogóle „Kurier Krajowy" może czerpać jakiekolwiek informacje z nacjonalistycznych źródeł litewskich, takich, jak „Viltis"; zdaniem dr Sumoroka – nie może i nie powinien. Na to odpowiedział Mańkowski, że w takim razie nie byłoby żadnego sensu wydawania „Kuriera Kr.", bo tym się właśnie różni pismo niezależne i nie hołdujące zasadom „egoizmu narodowego" od organów nacjonalistycznych, że nie ukrywa ono żadnych faktów krzywdy, wyrządzonej innym narodowościom współżyjącym, i że winno ono zawsze śmiało demaskować wszelkie nadużycia; a skoro pisma litewskie żalą się na krzywdę i wskazują na nią, to niezależne pismo polskie, zamiast ukrywać i zamilczać o tym, powinno się przyczynić do wyświetlenia prawdy; inaczej fakt krzywdy, zamilczany, tym bardziej potwierdzi swą prawdziwość w opinii całego społeczeństwa litewskiego. Dalej tak ja, jak Mańkowski wskazaliśmy, że wiadomości prasy litewskiej, o ile nie są przez nas sprawdzone, nie mogą i nie powinny być oczywiście przez „Kur. Kr." przesądzane, ale je podać do wiadomości ogółu polskiego należy, zostawiając w takich razach kwestię otwartą pod znakiem zapytania. Wreszcie do dyskusji tej dodał bardzo trafną uwagę Antoni Łuckiewicz, który wskazał, że tylko w społeczeństwie niewolnym prawo interpelacji jest utożsamiane z oszczerstwem: jak prawicowcy rosyjscy oburzają się na możność interpelowania i krytyki ministrów carskich, tak „Kurier Litewski" i nasi ugodowcy oburzają się na samą myśl, że ktoś z gminu, ktoś tak nikły, jak „Kurier Krajowy", ośmiela się żądać wyjaśnień od takich dygnitarzy społeczeństwa, jak ks. administrator diecezji i hrabia poseł endecki. Ostatecznie rozstrzygnęliśmy tę sprawę w myśl wywodów Mańkowskiego, moich i Antoniego Łuckiewicza i w tym też sensie ma Mańkowski napisać replikę „Kurierowi Litewskiemu", którą ma przed drukiem dać mi jeszcze do przejrzenia.
Druga kwestia została wywołana przez artykuł Mańkowskiego, odczytany nam w rękopisie. Artykuł ten jest poniekąd odpowiedzią na artykuł Jana Obsta, drukowany w „Kurierze Litewskim". Obst, uważając za uzasadnione pragnienie czy zwyczaj wielu Polaków litewskich – używania nazwy „Litwinów" w pojęciu terytorialnym, dzielnicowym, i chcąc wobec faktu istnienia innych Litwinów (w pojęciu narodowym), ustalić odpowiednie ścisłe terminy, odróżniające Litwinów terytorialnych od Litwinów narodowych, proponuje przezwać tych ostatnich tj. Litwinów narodowości litewskiej – „lietuwami" od ich istotnej nazwy w ich języku rodowitym. Propozycja Obsta jest dziwaczna i sztuczna. Mańkowski w odpowiedzi na to, wskazując, że niepodobna narzucić Litwinom narodowym nazwy innej, niż ta, do której mają oni prawo niewątpliwe w języku polskim (bo nazwa ta jest w tym języku jedyna), powiada, że zamiast wysilać się na nowe pomysły terminologiczne, należy jeno wyraźnie określać narodowość podług terminologii istniejącej, zupełnie ścisłej. Że Polacy powinni przestać nazywać siebie Litwinami i przyjąć ścisłą nazwę Polaków, oddając nazwę Litwinów – Litwinom. Mańkowski w artykule tym utożsamia wszystkich ludzi o kulturze polskiej z Polakami, kulturze litewskiej z Litwinami itp. Na to zwrócił uwagę Antoni, że u nas pojęcie kultury narodowej jako faktu obiektywnego niezupełnie i nie zawsze się utożsamia z pojęciem narodowości jako subiektywnego poczucia przynależności do narodu. Zjawisko to jest co prawda dziwaczne na pozór, ale ma uzasadnienie w naszych szczególnych i skomplikowanych warunkach układu kulturalno-ludnościowego. Istotnie u nas pojęcie narodowości jest tworem zupełnie subiektywnym. Są osobniki z ludu, których kultura jest rdzennie etnicznie-białoruską, a którzy mają się za Polaków, są inni, których kultura jest polska, a maja się za Litwinów

i odwrotnie. Z faktem tym trzeba się liczyć i ustalać terminologię narodową nie podług kultury, lecz subiektywnego pierwiastka narodowości. Jest to węzeł zaiste gordyjski w kraju naszym.
Wreszcie odczytany został w rękopisie mój artykuł programowy, w którym ustalam istotę stanowiska obywatelskiego jako prawa do wpływu na ogólne losy krajowe, które to prawo w myśl zasady krajowości przysługuje w całej rozciągłości Polakom, pomimo że stanowią mniejszość.

1 (14) kwietnia, rok 1913, poniedziałek
Dzień prima aprilis. „Kurier Krajowy" wystąpił z sensacyjną kaczką dziennikarską. Mańkowski skomponował historyjkę o rzekomym napadzie bandyckim na redakcję. Bajka jest ułożona w sposób dość prawdopodobny. Opisany jest cały napad z dokładnymi szczegółami dramatu. Ofiarami napadu są zmyśleni współpracownicy pisma w postaci uosobionych pseudonimów. Z. Jaworski, Bukowiecki, Kalinowski, Mirosław Maliński – są to osoby nieistniejące. Podpisy te są w piśmie tylko pseudonimami Mańkowskiego i Antoniego Łuckiewicza. Cała akcja dramatyczno-sensacyjnej bajki prima-aprilisowej jest ułożona bardzo realistycznie. Są oczywiście dla jaskrawości trupy, są pojmani a nieujawnieni z nazwisk bandyci, zresztą o jednym z bandytów są w zakończeniu podane szczegóły ujawnionej autentyczności zbrodniarza. Mańkowski od kilku dni zaprojektował tę bajeczkę prima-aprilisową. Radził się wpierw komitetu redakcyjnego, czy można taki „kawał" urządzić. Chodzi o to, że dziś w dniu prima-aprilis jest poniedziałek, kiedy normalnie pismo nie wychodzi. Bajka więc musiałaby być wydana jako osobny dodatek. Ja wypowiedziałem się przeciwko jej drukowaniu właśnie ze względu na to, że ukazałaby się ona nie w numerze, lecz w odbitce osobnej. Krępował mię wzgląd na to, że sprzedawanie osobnej odbitki, zawierającej zmyśloną sensacyjną bajeczkę, choćby prima-aprilisową, byłoby poniekąd nierzetelnym nabieraniem publiczności, która bądź co bądź może za wydany pieniądz żądać towaru rzeczywistego. Mańkowski wszakże nalegał na drukowaniu i wysuwał wzgląd na to, że bajeczka ta zrobi sensację na mieście i posłuży za reklamę dla pisma, a to jest zawsze dobre, zwłaszcza dla pisemka początkującego. Powiedziałem wreszcie, że jeżeli Zasztowt się zgodzi, to głos jego razem z głosem Mańkowskiego przeważy moją opozycję, a wtedy niech drukują. Zasztowt zgodę dał i dodatek z bajeczką został dziś wydany i puszczony. Sensacja niewątpliwie się udała. Tłumy na mieście zostały zelektryzowane wieścią o niezwykłym napadzie bandyckim na redakcję. Od rana mnóstwo ciekawych tłoczyło się przed redakcją oraz przed wejściem do szpitala św. Jakuba, gdzie w trupiarni miały być rzekomo złożone zwłoki nierozpoznanego bandyty. Niektórzy ze znajomych zaczęli od rana przyjeżdżać do Mańkowskiego po wiadomości. W wielu biurach, urzędach komentowano wiadomość, oburzano się na bandytów, telefonowano do szpitala św. Jakuba. Niektórym przychodziła na myśl data 1 kwietnia, ale bajka była tak realistycznie opowiedziana, że zdawała się niepodobna do prima-aprilisu. Wiem osobiście o kilku faktach uznania za prawdę. Dr Maciański opowiadał o tym każdemu z pacjentów i z każdym komentował straszne zdarzenie. W biurze rejenta Sierdiukowa było ogólne poruszenie. Sam rejent był w najwyższym stopniu poruszony; telefonował do szpitala i nie mógł zrozumieć, co to się stało i skąd to w szpitalu zaprzeczają temu, co wyraźnie w piśmie podane. Elizka Komorowska, gdym jej czytał opis „zbrodni", była bardzo przejęta. U dentystki Trawiszczyńskiej była p. Weyssenhoffowa; gdy się dowiedziała o wypadku, nie śmiała przyjść do nas, bo drżała na myśl, że i ja byłem wśród ofiar zdarzenia. Niektórzy na mieście gorszą się z takiego prima-aprilisu i uważają takowy za niestosowny. Rzeczywiście, na zwyczaje wileńskie

jest to może za śmiały żart, ale ostatecznie udał się on dobrze, spłatał figla miastu, a nikomu szkody nie wyrządził.

2 (15) kwietnia, rok 1913, wtorek
Ciocia Łucja Wołodkowiczowa zmarła. Wczoraj robiono jej operację w Krakowie w klinice dr Rosnera (ginekologa-chirurga). Po operacji otrzymaliśmy wczoraj depeszę tej treści: „Operacja przeszła szczęśliwie". Na tę wieść oblicza wszystkich się wypogodziły. Zdawałoby się, że wszystko poszło pomyślnie i że nadzieja na dobry wynik jest całkiem uzasadniona. Dziś na obiedzie była u nas cała prawie bliższa rodzina zebrana. Oprócz Mamy, dzieci Maryni i mnie, był Papa, była Elizka Komorowska z Julkiem, ciocia Rózia i Maryńka Wołodkowiczówna, która u nas na czas wyjazdu matki zamieszkała. Rozmowa była ożywiona, Papa był zwłaszcza w świetnym humorze, opowiadał facecje, sypał z rękawa przypowieści, anegdoty, żarty. Wtem dzwonek. Wyszedłem sam do przedpokoju i przyjąłem depeszę z Krakowa tej treści: "Stan groźny" z podpisem Stasia Wołodkowicza. Nie chcąc psuć humorów, a zwłaszcza przestraszać biednej Maryńki Wołodkowiczówny, która tak jest do matki przywiązana i dla której wiadomość ta byłaby ciosem, depeszę zataiłem. Tylko Elizce i cioci Rózi, gdy wychodziły, szepnąłem o depeszy. W niespełna może godzinę potem, gdym siedział przy biurku, przyniesiono mi drugą depeszę. Przeczułem, że to wieść o śmierci cioci. Jakoż odczytałem: „Matka zmarła. Przyślij mi odwrotną pocztą zezwolenie gubernatora na przewóz zwłok do Radoszkowicz. Telegram do gubernatora wysłany. Wołodkowicz Hotel Saski." A więc stało się. Operacja dobiła ciocię. Wywołałem Papę do mego gabinetu i oznajmiłem mu o śmierci. Mamie postanowiliśmy tymczasem nie mówić, jeno pokazać jej pierwszą depeszę o stanie groźnym, aby ją stopniowo przygotować. Mama tak była uspokojona wczorajszą depeszą, tak pogodna i daleka od myśli o niebezpieczeństwie, że gdyśmy jej z Papą pokazali depeszę o stanie groźnym, z przerażenia aż się za głowę schwyciła. Pojechałem zaraz do cioci Rózi, aby oznajmić o śmierci i poradzić się co do otrzymania zezwolenia od gubernatora na przewóz zwłok. U cioci zastałem Maryńkę Wołodkowiczówną, która ujrzawszy mię tak niespodzianie wybiegła, tknięta złym przeczuciem, pytając, czy coś się nie stało. Zapewniłem ją, że nic i tylko cioci Rózi na uboczu prawdę wyjawiłem. Po powrocie zastałem już Elizkę w domu u nas. Wiedziała już od Papy o śmierci. Ponieważ Elizka zna osobiście gubernatora, wziąłem ją ze sobą i pojechaliśmy razem do niego. Okazało się wszakże, że gubernatora nie ma w Wilnie, a wicegubernatora Podjakonowa nie zastaliśmy w domu. Wróciliśmy więc na dziś z niczym. Na wieczór przyszła i Kotuńka Pruszanowska, która już wiedziała o smutnej nowinie. Mamie i Maryńce postanowiliśmy dziś nie mówić. Maryńkę Wołodkowiczówną tylko uprzedzono, że stan jest bardzo groźny. Była biedaczka przerażona i zaniepokojona okropnie. Z twarzy naszych czytała, że jest źle. Bała się gorszej jeszcze prawdy. Wypytywała służbę, czy czegoś nie wie, zaglądała dziewczynom-służącym w oczy, wpatrywała się badawczo w twarze, by z oznak prawdę wyczytać. Po herbacie na prośbę i naleganie sióstr moich położyła się, a Elizka, Kotunia i Mama usiadły przy niej i do późna pocieszały ją, starały się rozerwać, otoczyły wielką serdecznością. Przyszła jeszcze trzecia depesza z powtórzeniem wiadomości o śmierci tej treści: „Mameczka umarła. Eksportacja na banhof sobotę. Oznajm wszystkim Wilnie". Jutro biedna Maryńka Wołodkowiczówna dowie się o prawdzie. Rano mam ją do tej wieści przygotować. Śmierć cioci spadła niespodzianie, jak piorun. Niedawna śmierć jej męża, wuja Wołodkowicza, była przewidziana i nikogo nie zdziwiła. Tam była bardzo ciężka i długa choroba i śmierć była niejako wyzwoleniem, była logicznym uwieńczeniem choroby. Natomiast śmierć cioci – to jakiś wypadek, to coś zupełnie nieprzewidzianego. Zwłaszcza śmierć ta jest

straszna w warunkach tych, w jakich nastąpiła. Ciocia czuła się zupełnie dobrze. Po zmęczeniu i wyczerpaniu, jakich doświadczyła w czasie długiej a tak ciężkiej choroby męża, po śmierci wuja odetchnęła, zaczęła wypoczywać. Nic cioci nie dolegało. Miała już spokój, miała wielki dostatek na starość, po życiu tak burzliwym zdawała się docierać do cichego portu. Miała dożywocie na całej fortunie męża oprócz fortuny własnej. Zamierzała powoli doprowadzić dzieci do polubownego układu dzielnego, aby ustalić byt i fortunę każdego z nich, a wtedy zrzekłaby się ewentualnie dożywocia swego. Tymczasem trzebaż, że otaczający ciocię zwrócili uwagę na stan jej organów wewnętrznych, na krwotoki, które miała itd. Zrobiono ruch, zawezwano doktorów, zaczęto ciocię badać, oskultować, ujawniono tego nieszczęsnego raka na organach kobiecych cioci. Ciocia się broniła, starała się ukryć chorobę, zbagatelizować ją, ale otoczenie po prostu zmusiło ją do uległości doktorom. Mama też się dużo przyczyniła do tego ruchu. Zjechały się dzieci cioci, zrobił się rwetes, przeforsowano konieczność operacji, wywieziono ciocię, która już się poddała i nie broniła, ale od razu straciła humor, pewność siebie, wpadła w przygnębienie. Wywieziono do Krakowa i oddano jak na rzeź. Było za dużo nianiek, za dużo gwałtu i nagłości.

3 (16) kwietnia, rok 1913, środa
Rano, jak tylko wstałem, wezwałem Maryńkę Wołodkowiczówną do mego pokoju, aby ją przygotować do strasznej nowiny o śmierci matki. Postanowiłem nie mówić jej od razu o śmierci, jeno wpierw oznajmić, że wieści są bardzo złe i że w nocy była depesza, że żadnej nadziei na uratowanie cioci nie ma. Byłem zresztą sam poruszony niedolą biednej dziewczyny, nie umiałem osłodzić tej pigułki boleści, nie wiedziałem, jak zrobić, aby Maryńkę jak najbardziej oszczędzić. Gdy przyszła, usiadłem z nią na kanapie i powiedziałem, jak wyżej. Maryńka była już od wczoraj pełna złych przeczuć; szła do mnie jak na wysłuchanie wyroku. Gdy weszła, od razu się zwróciła z pytaniem, czy przyszła jakaś zła wiadomość, a widać było z jej twarzy, z oczu, z całego wyrazu, że jest pełna męki i strasznego niepokoju. Gdym powiedział, że nie ma nadziei, zapłakała łkając głośno i tuląc twarz w dłoniach. Objąłem ją i oparłem jej twarz na ramieniu moim. Pytała, czy matka żyje jeszcze; powtórzyłem, że nadziei już nie ma żadnej, ale nie odważyłem się wyznać, że umarła. Co miałem mówić, jak ją pocieszać, skoro wiedziałem, że ciocia już umarła, że nadziei istotnie być nie może i że ta wiadomość nie może być osładzana łudzeniem na nadzieję, skoro to ma być przygotowaniem do powiedzenia jej prawdy ostatecznej, fatalnej, dokonanej bezpowrotnie. Milczałem, tuląc ją jeno płaczącą. Wspomniałem, jak się matka troszczyła o jej przyszłość, jak myślała o niej do ostatka. Po kilku chwilach weszła c. Rózia, która była przyszła do nas. Wtedy poszedłem do Mamy, aby ją też przygotować. Powiedziałem Manie, że ciocia jest umierająca. Mama się przeraziła, ale uspokoiłem ją tym, że trzeba mieć wzgląd na Maryńkę Wołodkowiczówną i stłumić w sobie ból, aby nią się zaopiekować. To poskutkowało na Mamę dobrze. Wówczas powiedziałem Mamie, że ciocia umarła. Przeszliśmy z Mamą do Maryńki, siedzącej u mnie z c. Rózią. Tymczasem już c. Rózia powiedziała Maryńce o śmierci matki. Była to ciężka i bolesna chwila. Biedna Maryńka traci w matce wszystko. Zostaje sierotą zupełną; nie ma własnego gniazda, nie ma domu swego. Ma tylko braci i ma siostrę Zuńkę Chełchowską. Ale Zuńka jej nie lubi i jest dla niej ciężka, przykra złośliwa; u Zuńki Maryńka z pewnością nie zamieszka. Z braci Ludwiś chciałby ją wziąć, ale Maryńka nie zechce, bo Ludwiś jest egoista i chciałby ją mieć za gospodynię swoją, a zresztą Ludwiś nie będzie jej przyjacielem i bratem serdecznym, jeno się będzie czuł opiekunem łaskawym i będzie ją traktował arbitralnie. Staś ma młodą żonę i u niego Maryńka byłaby tą trzecią, przybłędą kątnicą. Młodsi bracia Lolo i Żorik jeszcze nie

ukończyli nauk i nie mają własnych domów. Zostaje tylko chyba średni brat, Kazio. Ale zawsze u brata Maryńka nie będzie miała tego, co miała u matki. Biedna dziewczyna. Jedno ma tylko – to, że będzie bogata, a to niemały warunek do szczęścia. To duża rzecz oczywiście, ale tymczasem ciężko jej, a boleść utraty matki ukochanej – to cios ostry.
Załatwiłem dziś sprawę pozwolenia gubernatora na przewiezienie zwłok cioci, dałem do gazet ogłoszenie o śmierci. Wieczorem przyjechał z Rygi Lolo Wołodkowicz, którego spotkałem na dworcu kolejowym. Zajechał on do nas i u nas zanocował.

4(17) kwietnia, rok 1913, czwartek
Napisałem do „Przeglądu Wileńskiego" trzeci i ostatni „List ze Wschodu" o układzie ludnościowo-kulturalnym Krymu. Skreśliłem w nim przeważnie jałowy charakter imigracji rosyjskiej i zdobywczą kolonizację niemiecką. Pisząc do „Przeglądu", nie jestem nigdy pewien, czy mi Ludwik Abramowicz nie wykreśli tego, co ma właśnie dla mnie główną wagę w artykule. To mi zawsze odbiera ochotę przy pisaniu do „Przeglądu". Tak było z moim artykułem w sprawie młodzieży w przedostatnim numerze „Przeglądu", tak też z drugim „Listem ze Wschodu", gdzie mi Abramowicz wykreślił najważniejszą część o przekształcaniu się Żydów ze społeczności rasowo-religijnej w społeczność narodową pod wpływem przenikania kultury europejskiej do umysłowości żydowskiej. Dawniej, w pierwszych czasach wydawnictwa „Przeglądu", tego nie było. Wtedy Abramowicz bardzo się liczył ze mną i dawał mi zupełną swobodę wypowiadania się, choćby nawet nie podzielał zdania mego. Dziś, gdy się czuje mocny i gdy jest pewny swego stanowiska, bez ceremonii obcina myśli moje z artykułów, o ile nie odpowiadają one jego poglądom czy polityce. Twardy z niego człowiek. Dobry co prawda na redaktora, ale dla współpracowników ciężki.
Wrócił już dziś rano Ludwiś Wołodkowicz z Krakowa od zwłok matki. Kazio, Staś z żoną i moja siostra Marynia zostali w Krakowie do eksportacji. Dobrze i prawdziwie mówi przysłowie, że „*les morts vont vite*"[4]. Gdyby dziś ciocia Łucja mogła zmartwychwstać, już by nie tylko była zbyteczna dla dzieci, ale by im prawdopodobnie zawadzała. Opróżniła ona miejsce, które już wnet zostało przez dzieci zajęte. Więcej myślą już oni o spadku, niż o śmierci matki. Kwestia podziału spadku wysuwa się na plan pierwszy i budzi w każdym apetyty, zazdrość, niepokoje. A spadek jest bardzo piękny, bo i po wuju, i po cioci fortuna została duża. Jest do działu kilka majątków ziemskich, Nowy Dwór, Chełmica, Mamyły i Zacisze, duża kamienica w Wilnie przy rogu ulic Sądowej i Jarosławskiej i sporo kapitału, zapewne z kilkaset tysięcy. A spadkobiercy są drapieżni z natury, chciwi na pieniądze jak rzadko. Charaktery Wołodkowiczowskie, pełne nieokiełznanego temperamentu, jaskrawe, zaborcze, będą miały bogaty teren do walk wzajemnych i współubiegania się instynktów chciwości i spekulowania na wzajemnym oszukaństwie. Już wczoraj Lolo mi przedstawił swoje kombinacje dzielcze, a dziś znów Ludwiś wykładał mi swoje, oczywiście naginając je wyłącznie do pragnień własnych. Zdaje się, że głównym jabłkiem niezgody będzie walka o Nowy Dwór, który Ludwiś będzie usiłował urwać dla siebie z jak największą schedą ziemską, wypierając braci i krzywdząc zwłaszcza młodszych a pozorując to kunsztownie rozmaitymi pretekstami dobra ogólnego itd. Ciekawe to powstaną kombinacje w tym dziale. Wieczorem przyjechała do Wilna też Zuńka Chełchowska z mężem.

5 (18) kwietnia, rok 1913, piątek

[4] Fr.: „umarli odchodzą szybko", czyli umarli szybko są zapominani.

Byłem wieczorem u Szklennika na posiedzeniu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Obecni byli Szklennik, ja, redaktor Józef Hłasko, p. Żongołowicz i młody najęty funkcjonariusz towarzystwa, który pełnić będzie funkcje instruktora, niejaki p. Marian Bębnowski. Jest to człowiek młody, lat dwudziestu kilku, robiący wrażenie dodatnie, wykształcony; jest prawnikiem skończonym i oprócz tego skończył wydział ekonomiczny w wyższej szkole handlowej w Moskwie. Zna też język litewski, co jest bardzo potrzebnym, a bodaj niezbędnym warunkiem dla pracy w naszych stowarzyszeniach spożywczych. Jest też niegłupi, zdaje się być wyrobiony, przemawia z sensem i dość swobodnie i w porę wypowiada swoje zdanie, co wskazuje na pewną już umiejętność orientowania się i myślenia samodzielnego. Można się spodziewać, że kooperacja zyska w nim pracownika pożytecznego.
Ustaliliśmy datę i porządek dzienny mającego się odbyć w kwietniu ogólnego zebrania towarzystwa, następnie omówiliśmy kilka żywotnych kwestii bieżących, mających ogólne znaczenie dla sprawy kooperacji u nas. Niewątpliwie, że już sam fakt zaangażowania instruktora i rozpoczęcia czynności pośrednictwa handlowego przez biuro informacyjne naszego towarzystwa jest rzeczą ważną i krokiem postępu w naszych pierwotnych warunkach. Donioślejszą jeszcze sprawą jest sprawa zaprojektowanego przez nas zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych guberni wileńskiej. Decyzja o tym zapadła już na poprzednich posiedzeniach naszych, ale dziś jeszcze raz sprawę zjazdu omówiliśmy. Dawniej Szklennik wciąż się wahał z zaakceptowaniem takiego zjazdu, który by ogarniał tylko gub. wileńską. Chodzi o to, że towarzystwo nasze podług ustawy ma prawo funkcjonować li tylko w granicach tej jednej guberni, faktycznie wszakże działa nieurzędowo i w innych guberniach. Dopóki działalność ta była szczupła, jak dotąd, było to możliwe. Dotąd bowiem działalność ta polegała głównie na wydawnictwie i wyprzedaży wzorowych ksiąg rachunkowych, schematów itd. dla kooperatyw oraz na wyjazdach instrukcyjnych do stowarzyszeń samego Szklennika. Jeżeli wszakże organizować zjazd, systematyczne pośrednictwo handlowe, tym bardziej związek, to już oczywiście niepodobna bez zmiany ustawy rozszerzyć tego na sąsiednie gubernie. Zamknięcie się zaś w granicach gub. wileńskiej jest kombinacją sztuczną, nie odpowiadającą warunkom życiowym i potrzebom kooperacji. Z tego względu Szklennik długo się wahał co do zjazdu, nie chcąc się też przyznać publicznie wobec kooperacji krajowej do takiego zwężenia terenu działalności towarzystwa. Ale ostatecznie na to rady tymczasem nie ma. Chcąc działalność naszą rozwinąć, chcąc wystąpić czynniej, musimy przyjąć formalne warunki ustawowe, choćby były one niedorzeczne. Lepiej zapoczątkować zjazd choćby w ramach gub. wileńskiej, niż wcale go nie robić. Teraz, gdy już Szklennik zdecydował się na to i zrezygnował chwilowo z aspiracji tymczasem niewykonalnych, stał się on gorącym rzecznikiem zjazdu. Zresztą wszyscy podzielamy ten zapal, rozumiejąc, że zjazd taki tchnie życie w sprawę kooperacji i dźwignie ją w kierunku zrzeszenia związkowego. Zjazd projektujemy na sierpień czy wrzesień. Oczywiście, będzie to zależało od pozwolenia władz, które nie będą tego chętnie widziały. Postanowiliśmy kwestię zjazdu wnieść na ogólne zebranie. Poruszyliśmy też kwestię rozszerzenia naszej działalności na sąsiednie gubernie. Jest to stara kwestia, która wszakże nie jest łatwą, bo władze ze względów politycznych są przeciwne takiemu zespoleniu guberni. Było już nawet kiedyś wniesione podanie o takim rozszerzeniu, ale odpowiedzi nie było żadnej, a gdy Szklennik raz wspomniał o tym gubernatorowi, ten mu szorstko odpowiedział: „Вотъ видите, Вамъ только что разрешили на одну губернію, а Вы сейчасъ хотите на соседнія". Postanowiliśmy na razie nie wszczynać starań o to, aby nie budzić przedwcześnie podejrzliwości władz, zwłaszcza w chwili, gdy zamierzamy zwoływać zjazd.

Wreszcie długo omawialiśmy sprawę kosztorysu budżetowego. Gruba zapomoga, którąśmy otrzymali od Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej, ma być zużyta li tylko na opłatę instruktora przez dwa lata. Natomiast poza tym jest cały szereg potrzeb pierwszorzędnej wagi, które muszą być opłacone, podczas gdy źródeł dochodowych prawie nie ma. Potrzeba pieniędzy na najęcie pokoju dla biura informacyjnego, na wydatki kancelaryjne, na wydawnictwa, prócz tego Szklennik wskazał na konieczność subsydiowania przez towarzystwo nasze pisma kooperacyjnego „Życie Spółdzielcze", wydawanego przez Szklennika, wreszcie na koszty wysłania delegata na zjazdy i wystawy kooperacyjne. Rozumieliśmy konieczność tych wydatków, gdy wszakże zaczęliśmy obliczać dochody i kombinować sposoby ich zwiększenia, nie mogliśmy znaleźć wyjścia. Dochody normalne, najwyżej licząc, dać mogą 250-260 rb. rocznie, co stanowi krople w morzu. Zaczęliśmy się wysilać na kombinacje. Hłasko wskazywał, że jedyną drogą będzie znalezienie prywatnych ofiarodawców, których każdy z nas powinien w sferze swoich stosunków zdobywać na rzecz towarzystwa; wskazywał też, że wielkim ułatwieniem do tego będzie fakt otrzymania zapomogi od T-stwa Popierania Pracy Społecznej, co poniekąd stanowi dla nas patent użyteczności publicznej. Ja i Bębnowski zalecaliśmy skorzystać ze źródła dobrowolnego opodatkowania się niektórych przynajmniej, bardziej uspołecznionych stowarzyszeń spożywczych na rzecz naszego towarzystwa, o czym już u nas dawniej zachodziła mowa, bo kilku działaczy kooperatywnych podnosiło już tę kwestię i zwracało się z tym do nas. Wszystkie wszakże kombinacje nasze rozbijały się o krytykę Szklennika, który nam postawił pytanie, a potem wszystkie rozwiązania uznawał za niewykonalne lub połowiczne. Długo nas dręczył jak pedagog ucznia, a sam miał w zanadrzu gotowe rozwiązanie. Uważa on, że tylko związek kooperatyw może dostarczyć na wszystkie te potrzeby środków, a zdaniem Szklennika zjazd jesienny niewątpliwie utworzy związek, jeżeli nawet nie urzędowo, gdyby się to zrobić nie dało, to faktycznie, bo to jest konieczność, dyktowana arbitralnie przez warunki rozwoju kooperacji.

6 (19) kwietnia, rok 1913, sobota
Od 10 dni nie mam listu od Anny. Ostatnim razem Anna przysłała mi na moją prośbę nazwisko i adres nowego doktora, który ją teraz leczy. Przed kilku dniami napisałem do tego doktora, prosząc go informacje o stanie zdrowia Anny. List do doktora wysłałem na ręce Anny, żeby go sama doktorowi wręczyła i podpisałem się nazwiskiem Wolberg. Zrobiłem to ze względu na Annę, aby nie miała przykrości i wstydu, gdy przyjdzie do doktora list od obcego mężczyzny, zapytując o jej zdrowie, zwłaszcza że Anna mówiła doktorowi, że jest zamężna. O odpowiedź prosiłem doktora też na ręce Anny. Na ten list jeszcze nie mogę mieć odpowiedzi przed wtorkiem lub środą, ale poprzednio już Anna powinna mi była napisać. Tak ją prosiłem, aby pisała przynajmniej raz na tydzień, a tu 10 dni mię bez listu trzyma. I pieniądze miesięczne jej posłałem w końcu marca, które powinna już była otrzymać w zeszłą sobotę – i nic, ani słówka. Zaczyna mię to niepokoić. Co do listu doktora, to chodzi mi głównie o dowiedzenie się, jaki rodzaj żołądkowego cierpienia ma Anna. Co do płuc, to nie widzę potrzeby trzymania jej dłużej w Krymie, a teraz i u nas będzie czas ciepły i zdrowy, to już lepiej sprowadzę ją tu w końcu kwietnia, a w czerwcu zalokuję ją może na lato w Pohulance pod Dyneburgiem; będzie tam miała wieś, zdrowe powietrze, las sosnowy. Nie pozwolę jej spędzać lato w zaduchu miejskim, w Wilnie lub w Libawie. Jeżeli tylko Anna nie potrzebuje jakiejś niezbędnej kuracji żołądkowej i jeżeli takowa nie została jej w Teodozji rozpoczęta, to ją w końcu kwietnia z Krymu sprowadzę.
Jestem dziś pod dość przykrym wrażeniem wyniku pewnej sprawy cywilnej, którą miałem u sędziego pokoju. Sprawa jest drobna, wynosząca zaledwie kilkadziesiąt rubli,

wytoczona przez niejakiego Wulfowicza mojemu stałemu klientowi Cejtlinowi. Sprawę wygrałem, Wulfowiczowi sędzia pokoju odmówił, formalnie więc stało się zadość temu, czego się na sądzie domagałem, ale to mię właśnie niepokoi w sumieniu, albowiem żądanie Wulfowicza jest uzasadnione i sprawiedliwe. Wypełniłem tylko mój obowiązek zawodowy, przeciwstawiając żądaniom Wulfowicza argumenty przeciwne, ale byłem pewny, że sędzia pokoju przysądzi od Cejtlina sumę poszukiwaną, która się od niego słusznie należy. Miałem tylko pewność co do poszukiwanych procentów, że się one nie należą, ale co do kapitalnej sumy należności, to niewątpliwie się ona należy. Wyrok sędziego był dla mnie niespodzianką. Formalnie otrzymałem satysfakcję, ale wyszedłem z przekonaniem, że się przyczyniłem do niesprawiedliwości. Zawód adwokacki ma zawsze takie przykre odwrotne strony medalu. Jest on walką, jest szermierką, ale nie rycerską, bo chodzi nie o uwydatnienie prawdy i zdobycie sprawiedliwości, jeno o przewagę jednostronnego interesu bez względu na prawdę i na sprawiedliwą równowagę.
Wieczorem byłem króciutko na dorocznym zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przyszedłem późno na sam koniec zebrania. Przy odczytywaniu sprawozdania rocznego oraz dyskusji nie byłem. Trafiłem jeno na ostatni punkt porządku dziennego – wybory nowych członków zarządu i komisji rewizyjnej. Działalność Towarzystwa Przyjaciół Nauk jest pod względem naukowym jałowa. Niestety – z biegiem czasu zdaje się, że działalność ta nie tylko się pod względem naukowym nie podnosi, ale raczej zamiera. W tym roku nie wydano nawet rocznika. Jedyna wartość towarzystwa tego – to są nagromadzone zbiory jako materiał do pracy przyszłej, ale nawet te zbiory (na skutek zresztą warunków niezależnych od woli towarzystwa) nie są udostępniane. Jedną też z przeszkód do rozwoju i ożywienia działalności towarzystwa jest zachłanność endeków, którzy mocno trzymają towarzystwo w swym ręku i starają się nie dopuścić do zarządu elementów niezależnych, bojąc się zazdrośnie ujmy dla swych wpływów. Władza w towarzystwie jest w ręku typowej kliki, która wytwarza atmosferę martwą. Jakie tylko trafiały do zarządu elementy niezależne, nie-endeckie, zawsze się w prędkim czasie usunęły, nie będąc w stanie przełamać martwej atmosfery, wzajemnej adoracji i chińszczyzny endeckiej, rozwielmożnionej w zarządzie. Tak był tam kiedyś Ludwik Abramowicz i wycofał się, był Stanisław Kościałkowski, był świeżo dr Boguszewski. Zarząd wciąż dąży do dobrania albo merytorycznych endeków, albo choćby bezbarwnych kreatur endeckich, byle nie dopuścić do utraty wpływów. Tak teraz na miejsce ustępującego dr Boguszewskiego zarząd zaproponował kandydaturę młodego adwokata Burhardta, zięcia dr Węsławskiego, figurę bezbarwną, nic wspólnego z naukowością nie mającą. Jest to tępy wstecznik, człowiek ograniczony, niezdolny, karierowicz podlejszego gatunku. Co on może mieć wspólnego z godnością sekretarza w instytucji naukowej? Jest to po prostu synekura honorowa dla uległej kreatury endeckiej, aż wstyd doprawdy.

7 (20) kwietnia, rok 1913, niedziela
Wstąpiłem dziś do p. Antoniego Šutinasa, miłośnika i kolektora starożytności, dla obejrzenia zbiorów jego. Jest to człowiek już niemłody, trochę dziwak, Litwin z krwi i kości, typowy jako Litwin i jako miłośnik starożytności. Nie jest zresztą bynajmniej szowinistą, w ogóle polityką współczesną zdaje się mało interesować. Żyje w swoich zbiorach, które go obchodzą nade wszystko. Całą energię swoją skupił w tym miłośnictwie przedmiotów przeszłości, które się stało namiętnością i manią jego. Nie jest to archeolog zawodowy, znawca i uczony, który by zdołał prowadzić jakieś studia nad przeszłością i wzbogacić wiedzę. Po prostu lubuje się w rzeczach starych platonicznie i gromadzenie takowych oraz kompletowanie poszczególnych kolekcji

uprawia jako sport, który go roznamiętnia. Jest dyletantem, ale przez ciągłe gromadzenie i kolekcjonowanie nabył wprawę w orientowaniu się w przedmiocie swej pasji. Przez sam fakt gromadzenia przedmiotów, które by mogły poginąć oraz dobieranie kolekcji – jest pożyteczny. P. Šutinas ma jakąś posadę w Wilnie, która stanowi materialną podstawę jego bytu i ma domeczek własny na kresach Zarzecza przy ul. Popowskiej, gdzie się mieszczą jego zbiory. Chętnie gromadzi wszystko, co ma jakiś związek z archeologią lub historią kultury, poza tym wszakże ma kilka szczególnych specjalności, które wyodrębnił w kolekcjach osobnych, starannie uzupełnianych. Do takich należy kolekcja kart do gry i kilka kolekcji obrazków świętych, jak kolekcja obrazków wszelakich wizerunków Matki Boskiej Ostrobramskiej, tejże Poczajowskiej itd. Wśród tych kolekcji są okazy ciekawe i rzadkie, mające wartość artystyczną lub wartość wzorów rytownictwa i zdobnictwa krajowego. Liczne są też starożytne wykopaliska z brązu, sztychy i medale pamiątkowe, klisze, albumy itp. Ma pono komplet klisz do kart rysunku malarza wileńskiego Rustema i szereg innych osobliwości. Wśród albumów rysunkowych są niektóre bardzo piękne, zwłaszcza jeden, wykonany piórkiem robotą ręczną niepospolicie misternie. Po szczegółowym obejrzeniu tych zbiorów musiałem się podpisać w księdze autografów p. Šutinasa i pożegnałem go wreszcie, obiecując mu przysłać dwie talie kart galicyjskich z podobiznami bohaterów narodowych polskich, których on w swej kolekcji, zdaje się, nie ma.
Pod wieczór o zmroku ogarnęła mię dziś taka melancholijna tęsknota, jakiej dawno nie doświadczałem. Była to jakaś tęsknota do pełni życia, do wielkiej twórczości, która by pochłonąć zdołała całą energię moją, żal z powodu pustki i jałowej szarzyzny powszedniej tułaczki życiowej. Jak zawsze – tęsknota ta wylała mi się wnet w konkretne kształty tęsknoty za Anną, która jest dla mnie symbolem doskonałej wydajności życiowej, pełni uczucia, pochłaniającego w miłości całą duszę moją ze wszystkimi władzami psychicznymi w stanie najbardziej czynnym. Bez Anny życie moje toczy się leniwie i jest zamknięte jak ślimak w swej skorupie. Przy niej i z nią zyskuję dopiero całą ekspansywność twórczą mojej natury, staję się twórcą i autorem wspaniałego eposu życiowego. Jakże mi smutno, jak pusto bez niej. Biegłem do niej myślą, czepiałem się jej wspomnień i kształtów jej ciała i przepięknego ducha w mej wyobraźni. Błądziłem w jałowej pustyni samotności, rojąc wiele miraży, jak obłąkany podróżny w suchych piaskach Sahary roi o fantastycznych oazach, mamiąc zmysły złudzeniem. Smutny jestem i samotny bez Anny. Ręce mi opadają i energia opuszcza – w tej pustce, jaką bez niej doświadczam. A na domiar zaczyna mię coraz mocniej gryźć niepokój o nią, bo oto już 11 dni upłynęło, jak nie mam żadnej wieści od niej. Czy się jej coś nie stało, czy zachorowała, tam daleko ode mnie? Nie chcę jątrzyć tej troski, która zaraz w tej pustce wyrasta do rozmiarów katastrofy. Źle robi moja Anna, że mię tyle czasu bez listu zostawia. I jakby dla kontrastu, przez dziwną grę instynktów i tajemniczych władz natury ludzkiej, budzą mi się w reakcji do tej tęsknoty dzikie żądze orgii zmysłowej, szalone pożądanie rozkoszy. Zdaje mi się, że natura szuka instynktownie ucieczki i zapomnienia. Zwalczyłem te podłe żądze.

8 (21) kwietnia, rok 1913, poniedziałek
Znowu nie otrzymałem listu od Anny. Jestem coraz bardziej niespokojny: 12 dni upłynęło od ostatniego listu. Nigdy dotąd nie zostawiła mię tak długo bez wiadomości. Dziś wyjeżdżam do Radoszkowicz i Nowego Dworu na pogrzeb cioci Łucji Wołodkowiczowej. Jeżeli po powrocie z pogrzebu nie zastanę listu od Anny, będę telegrafować. Jeżeli tylko nie ma powodów specjalnych, o których lękam się nawet myśleć, to krzywdzi mię Anna tym milczeniem.

Wieczorem przyjechali po mnie Kazio i Lolo Wołodkowiczowie w automobilu cioci Rózi, aby mię zabrać na kolej. Pociągiem północnym wyjechaliśmy z Wilna. Oprócz Kazia, Lola i mnie jechał też z nami młody artysta-śpiewak, Litwin rodem z gub. wileńskiej, siostrzeniec i wychowanek któregoś z księży wileńskich, kształcący się w śpiewie na artystę opery. Głos ma bardzo piękny – baryton liryczny. Występował już wszakże w prywatnej operze wędrownej w Kaliszu. Śpiewa on teraz codziennie przy mszy św. W Ostrej Bramie. Tam go Kazio dziś rano posłyszał i tak śpiew jego upodobał, że go umówił na przyjazd do Radoszkowicz na pogrzeb matki, aby śpiewał na nabożeństwie żałobnym. Jechał też z nami Henryś Wołłowicz, który jedzie dalej, na święta Wielkiejnocy do ojca swego, do Kaługi.
Tym samym pociągiem, którym jechaliśmy, szedł wagon ze zwłokami c. Łucji. Wagon ten się spóźnił dzięki nieporządkom na kolejach rosyjskich. Wołodkowiczowie wystarali się o pozwolenie na przewiezienie tego wagonu pociągiem pośpiesznym z Wilna do Radoszkowicz, który odchodził z Wilna dziś o godz. 10 z minutami i wobec tego eksportacja zwłok z dworca w Radoszkowiczach do kościoła miała się odbyć dziś po południu. Tymczasem w Warszawie przyczepiono wagon ze zwłokami do pociągu towarowego, który przyszedł do Wilna dopiero dziś pod wieczór i dopiero teraz na nocny pociąg wysłano zwłoki do Radoszkowicz. Jak dalece zwykłą są rzeczą nieporządki na kolejach rosyjskich, świadczy ten charakterystyczny fakt, że biuro pogrzebowe w Krakowie, które zajmowało się ekspedycją zwłok cioci, podjęło się ekspediować zwłoki tylko do granicy, zastrzegając, że się podejmuje ekspedycji do wszystkich krajów, oprócz Turcji, Rosji i Rumunii, bo w tych trzech krajach są takie nieporządki i łapownictwo, że ani żadnych taks ścisłych ustalić niepodobna, ani przyjąć gwarancji za akuratny przewóz. Istotnie też Wołodkowiczowie sami się o tym przekonali, nie tylko teraz z tym epizodem wysłania zwłok pociągiem towarowym zamiast osobowego i opóźnienia przeto dowozu ich na pociąg pośpieszny, ale i na granicy, gdzie tyle im robiono przeszkód, pomimo że wszystkie formalności na zezwolenie przewozu zwłok były załatwione, że dopiero całym szeregiem łapówek udało się im przełamać opór urzędników komory granicznej. Po prostu dojono z Wołodkowiczów datki arogancko, bez żadnej ceremonii.

9 (22) kwietnia, rok 1913, wtorek
Raniutko o godz. 6 przyjechaliśmy do Radoszkowicz. Okazało się, że w tym samym pociągu jechał z nami też Mieczyś Tukałło ze swoją narzeczoną Klosią Szczyttówną. Ledwieśmy wysiedli i trochę się pomyli, gdy przyjechały z Nowego Dworu na spotkanie zwłok cioci Łucji – Maryńka Wołodkowiczówna, ciocia Rózia Tukałłowa i Zula Tukałłówna. Wagon ze zwłokami cioci odpędzono na tor zapasowy i otworzono. Zwłoki cioci leżały w czarnej trumnie metalowej, zalutowanej, z szybką szklaną w wieku nad samą twarzą zmarłej. Ta pierwsza trumna złożona była do drugiej, również metalowej, białej, a dopiero obie trumny w dużej drewnianej skrzyni dębowej. Trumnę wyjęto ze skrzyni i zdjęto wieko z trumny zewnętrznej. Przez wieko szklane zobaczyliśmy twarz nieboszczki cioci. Rozkład ciała, przynajmniej na twarzy, jeszcze się nie rozpoczął, a w każdym razie nie zepsuł rysów i nie nadwerężył skóry. Wyraz twarzy cioci nic się nie zmienił. Tylko oczy zapadły bardzo głęboko i skóra miała żółtą barwę trupią. Zresztą widok trupa sprawiał na mnie wrażenie bardzo przykre, jak zawsze. Wkrótce nadjechała reszta osób z rodziny, która miała towarzyszyć eksportacji zwłok z banhofu do miasteczka. A więc przyjechała reszta dzieci c. Łucji – Ludwiś, Józio i Staś Wołodkowicz z żoną, Zuńka Chełchowska z mężem, dalej moja siostra Marynia i Hektor Komorowski, którego Wołodkowiczowie sprowadzili swoim kosztem na pogrzeb z Krakowa. Dopiero koło godz. 9 przyjechali księża i rozpoczęła się

eksportacja. Trumnę położono na wóz żałobny, zrobiony z kar, pokrytych dywanami, zaprzężony w czwórkę koni, powożoną przez starego furmana Tomasza, który wiózł kiedyś wujostwo Wołodkowiczów do ślubu, a teraz raz po razie wiózł na cmentarz zwłoki obojga dawnych nowożeńców, wuja i cioci. Tylko parę pierwszych wiorst szliśmy za trumną pieszo. Potem rozlokowaliśmy się po powozach, które szły z tyłu i jechaliśmy aż pod miasteczko. Jechałem z najmniej sympatycznym z Wołodkowiczów – Ludwisiem. Ludwiś nic albo bardzo mało czuje po stracie matki. Nade wszystko myśli o dziale i o zdobyciu Nowego Dworu dla siebie. Jest on egoistą wyrafinowanym i niezwykle oschłym. Teraz w czasie eksportacji myślał tylko o własnej wygodzie i zajęty był tym, aby zapewnić sobie najwygodniejsze miejsce w faetonie, bez względu na gościnność w stosunku do innych osób. Z dzieci najmniej odczuli śmierć matki, jak się zdaje, Ludwiś i Zuńka, i może Józio. Zuńka dość teatralnie udawała chwilami rozpacz, ale najwięcej była przejęta śledzeniem i krytykowaniem złośliwym swej młodszej siostry, Maryńki, którą nienawidzi i względem której czuje chronicznie szaloną zazdrość. Natomiast Staś i Kazio byli głęboko poruszeni. Twarz Stasia była zmieniona, jakby zorana bruzdami cierpienia, wykrzywiona jak w chwilach najwyższego napięcia namiętności. Kazio bardziej panuje nad sobą, ale nie mniej od Stasia cierpi. O Maryńce nie ma co mówić: dla niej śmierć ta jest największą niedolą, toteż biedaczka wyglądała jak z krzyża zdjęta, a lgnęła tak do trumny matki, że zdawała się nie móc rozstać i że okrucieństwem było oderwanie jej od trumny, gdy nastał moment pogrzebu. Lolo jest nerwowy szalenie, schorowany fizycznie, słaby i niesłychanie wrażliwy; miał on histeryczne ataki spazmów, słaniał się i był prawie niesiony przez braci, a w twarz cioci tak się wpatrywał przez wieko szklane, jakby był przykuty jakimś magnetyzmem wzroku do trupa matki. Nabożeństwo żałobne, egzekwie i msza odbyły się z wielką solennością. Z chóru śpiewał artysta-śpiewak wileński, o którym wczoraj wspominałem. Ludu było dużo w miasteczku przy eksportacji i w kościele, a szczególnie na cmentarzu. Ksiądz w kościele wypowiedział mowę panegiryczną o cioci, sławiąc cnoty zmarłej, jej rezygnację wielką, jej miłość i litościwość dla ubogich, jej poświęcenie dla rodziny i męża, wreszcie podkreślając niezwykłe bolesne przejścia jej życia, robiąc czy to bezwiednie, czy świadomie aluzje do stosunku zmarłego wuja z tu obecną na pogrzebie ciocią Rózią, który to stosunek był dramatem życia nieboszczki cioci Łucji. Najcięższe były momenty wynoszenia trumny z kościoła i złożenia do grobu. Oprócz wyżej wymienionych osób z rodziny, które były obecne na eksportacji, w kościele i na pogrzebie byli też wszyscy inni, którzy do Nowego Dworu na tę smutną uroczystość przybyli. A więc Ignaś Tukałło z żoną, Józef Hrehorowicz, Wiktor Hrehorowicz, Mania Ordzina, moja siostra Elizka Komorowska, Mieczyś Bohdanowicz, Ignaś Bohdanowicz z żoną, Cenia Ludwisiowa Wołodkowiczowa, teściowa Stasia – p. Protasewiczowa z synkiem, Michał Zabiełło z żoną (Szczyttówną z domu, w której się kiedyś, podlotkiem będąc, podkochiwałem, a było to w roku 1895), Hieronim Wołodkowicz z żoną, ciotka Świdowa z Hranicz z synem Wiktorem i córką Julcią, p. Porowska z Mińska i oto bodajże wszyscy. Wołodkowiczowie kochają się w uroczystej pompie, w dekoracyjnych efektach nawet w najgłębszej żałobie i najszczerszym smutku. Jest to rys ciekawy ich temperamentu i natury, wytworzonej z połączenia werwy i samowoli szlacheckiej z krwią ruską i głębokim podłożem bizantynizmu w ich pierwotnej kulturze rasowej.
Z pogrzebu pojechali wszyscy do Nowego Dworu, gdzie zasiedli do sutego obiadu – stypy. Pod wieczór niektórzy już się zaczęli rozjeżdżać. Na pociąg północny do Wilna wyjechałem też ja z moją siostrą Marynią.

10 (23) kwietnia, rok 1913, środa

Przed godz. 6 rano przyjechaliśmy z Marynią do Wilna. W domu listu Anny nie zastałem. Byłem już poprzednio strasznie zaniepokojony milczeniem Anny, toteż teraz postanowiłem telegrafować do niej, tym bardziej, że jutro wyjeżdżam na święta do Bohdaniszek i że muszę przed wyjazdem coś wiedzieć o niej. Najgorsze domysły przychodziły mi do głowy; bałem się nawet śmierci Anny, a wyobraźnia pod wpływem niepokoju zaczęła mi snuć najfantastyczniejsze obrazy katastrofy, jaka mogła się stać z Anną. Teraz dopiero czułem cały ciężar straty, jaką bym w Annie poniósł. Nie wiem sam, jak nazwać uczucie, które żywię dla Anny. Więcej, niż kocham ją. Jest mi ona po prostu wszystkim ma świecie. Bez niej ginie dla mnie cały urok życia, a ja sam tracę rację bytu. Dopiero w niej życie moje zyskuje walor, blask i potęgę. Jestem odosobniony od świata całego, samotny, zamknięty w sobie i dopiero wobec Anny, w zespole z nią, otwieram się jak kwiat dla wydania z siebie całej treści mojego ducha. A że się otwieramy sobie oboje nawzajem, przeto w stosunku tym posiadamy całą pełnię naszego życia. Przerażenie mię ogarnęło na myśl o stracie Anny. Życie by dla mnie ustało. Wysłałem zaraz depeszę terminową z odpowiedzią opłaconą. Siedziałem w domu, trawiony gorączką niepokoju, czekając na odpowiedź. Wpierw wszakże, nim przyszła odpowiedź, listonosz przyniósł mi o godz. 11 list od Anny, tyle oczekiwany. Okazuje się, że Anna, uprzedzona przeze mnie o wysłaniu mego listu do doktora na jej ręce, czekała takowego, aby mi przesłać odpowiedź doktora jednocześnie ze swym listem i dlatego tak długo nie pisała. List doktora uspokoił mię. Anna istotnie była chora, ale nie tak strasznie, jak się tego obawiałem. Oprócz choroby w płucach, którą doktor określa jako stan kataralny wierzchołka płuc (nie wiem, czy to jest to samo, co suchoty), doktor powiada, że stwierdził u niej niedokrwistość, o czym wiedziałem, oraz zapalenie macicy i dokoła macicy, powiada wszakże, że teraz jest lepiej i że się spodziewa, iż wkrótce Anna będzie mogła wrócić. List Anny jest wesoły i pełny otuchy. Pisze, że się czuje o wiele lepiej, w pierwszych dniach maja skończy kurację arszenikową i natychmiast wróci do Wilna, wreszcie dodaje, ze jej nie poznam – tak utyła. W liście Anny włożony kwiatek przez nią zerwany, milutki, świeży, wonny. Co za radość, że się już rychło skończy ta moja smutna samotność.

11 (24) kwietnia, rok 1913, czwartek
O południu wyjechaliśmy z Mamą z Wilna do Bohdaniszek. Z nami jechała też Elizka Komorowska i Hektor, wracający z pogrzebu cioci Łucji do Kowaliszek. Podróż odbyliśmy bez przygód i zmęczenia, pomimo że wagony były przepełnione. W Abelach czekała już na nas czwórka koni i lokaj Kazimierz, wysłany na spotkanie Mamy. Powolutku, noga za nogą, dojechaliśmy do Bohdaniszek. Droga już względnie niezła, choć w kilku miejscach jest jeszcze duże błoto. Wiosna robi już postępy. Wczesne ciepło w marcu pobudziło już naturę do życia. W połowie marca ukazały się już pierwsze zwiastuny młodej roślinności i pączki na drzewach nabrzmiały. Chłody, które przyszły w końcu marca, zimne deszcze i śniegi wstrzymały rozwój roślinności, która wszakże teraz, gdy znów się ociepliło, tym bujniej kiełkować zaczęła. Ruń wszędzie piękna, gęsta, wysoka, na łąkach jaskrawić się zaczynają młode trawki, przy drogach i płotach bujnie się już rozrastają w promieniach słonecznych pokrzywy, łopuchy i inne ziele krzewiaste, krzaki zielenieją, z drzew tylko jeszcze bardzo nieliczne gatunki, jak np. czeremcha, puściły listki, inne już mają pączki zieleniejące, większość wszakże dopiero się budzi i ma jeszcze wygląd zimowy. Żaby już rechocą, bociany usadowiły się w gniazdach. W Bohdaniszkach zastaliśmy Papę oraz dzieci Maryni, które tu przed paru dniami przyjechały. Ze Stefusiem przyjechał też na święta jego mały korepetytor, Staś Jabłoński. W Bohdaniszkach nic nowego. Dowiedzieliśmy się tylko o śmierci

młodego Jaśka Kligysa z wioski Bohdaniszek, mojego chrzestnego syna, który umarł z suchot przed kilku dniami.
Po kolacji postnej poszliśmy zaraz wszyscy spać.

12 (25) kwietnia, rok 1913, piątek
Wielki Piątek! Dzień suchego postu, który w Bohdaniszkach jest najściślej przestrzegany. Dzień smutku i żałoby w świecie chrześcijańskim, uroczystego skupienia w ascetyzmie i rozpamiętywaniu krwawej męki Zbawiciela świata.
Ale tuż, równolegle do ascetyzmu i żałoby, gotują się już w kuchni gorączkowo do uczty największego wyuzdania instynktów użycia. Zaledwie bowiem dwa dni dzielą dzień dzisiejszy, symbol śmierci i ascetycznej rezygnacji, od dnia Zmartwychwstania, symbolu odrodzenia i triumfu życia. Podług idei chrześcijańskiej, Zmartwychwstanie jest odrodzeniem do nowego doskonałego życia, wolnego od skaz, ułomności i cierpień życia poprzedniego. Ofiarą męczeństwa odkupują się wszystkie grzechy i podłości życia ziemskiego i duch ludzki, oczyszczony, wyzwolony, zmartwychwstaje do szczęścia doskonałego. Jest w tym akcie głęboka wiara w ideał prawdy i harmonii doskonałej oraz nie mniej głęboka fatalistyczna rezygnacja, uznanie niemożności usunięcia konfliktów ziemskich w drodze stopniowej ewolucji. Z podłości walk wzajemnych, gry instynktów i namiętności ziemskich wybrnąć ludzkość nie zdoła inaczej, niż przez śmierć i krwawe męczeństwo, które są jeno logicznym uwieńczeniem istniejącego zła, jego konsekwencją konieczną. Głęboki rewolucyjny i męczeński akt odkupienia otwiera dopiero wrota do doskonałości wieczystej. Narody wszakże barbarzyńskie, które przyjęły naukę Chrystusa, przekształciły ją w swych zwyczajach i przystosowały do swych własnych legend kosmicznych, do starożytnych wierzeń narodowych. Zmartwychwstanie jako odrodzenie do doskonałości po głębokim akcie odkupienia przerodziło się w naszych zwyczajach w reakcyjne zwycięstwo natury i życia nad śmiercią fizyczną. Święto zmartwychwstania wyraża się w wyuzdanym zażywaniu rozkoszy ziemskich w postaci zwłaszcza orgii jedzenia (nasze polskie święcone). Z ascetyzmu jest zwrot nie do czystości i doskonałości, lecz do użycia i uciechy w szrankach istniejących instynktów i namiętności. I w najgłębszym skupieniu postu i żałoby, w Wielki Piątek, dzień tajemniczej męki odkupienia, cały dom chrześcijański zajęty jest przygotowaniem do rychłej uczty bestialnej, rzezią zwierząt i ptaków, pieczeniem babek i ciast wszelakich. Zamiast żałoby i męki jest właściwie oczekiwanie i pożądanie rozkoszy, a jedną się tylko właściwie ćwiczy cnotę – to cierpliwości, by się doczekać pojutrza i utrzymać pożądanie chwilowo na wodzy.

13 (26) kwietnia, rok 1913, sobota
Pomimo że już jest ciepło, to jednak powietrze wiosenne jest zmienne i zdradliwe. Po paru dniach pobytu na wsi nabawiłem się już kataru, którego pierwsze symptomaty poczułem wczoraj z wieczora, a dziś na wieczór mam go w całej pełni.
Dużo dziś grałem z dziećmi w krokieta. Skąd się wzięły bramki krokietowe, młotki i kule – nie wiem. Nie pamiętam, aby w Bohdaniszkach krokiet istniał, chyba bardzo dawno, gdym był jeszcze dzieckiem. Ale znalazło się wszystko – i w stanie wcale dobrym. Widocznie krokiet był kupiony dla dzieci Maryni, o czym nie wiedziałem. A że to nowina, więc gra się dzieciom podobała i nawet zapalała. Wszyscy jesteśmy bardzo kiepskimi graczami, tak dzieci, jak korepetytorek Stefusia, jak ja. Siły nasze były równe i każdy przeto miał równe mniej więcej szanse wygrania, co działało na wszystkich zachęcająco. Istotnie też wszyscy z kolei wygrywali. Najwięcej brał do serca grę Stefuś, który się roznamiętniał pragnieniem sukcesu i zniechęcał, gdy tylko

mu się nie powodziło, a gniewał szczerze na tych, którzy mu w grze szkodzili, szczególnie zaś z pogardą i niechęcią traktował grę Helci (Ewy).
Papa wyjechał po obiedzie do Kowaliszek na święcone, dokąd przyjechali w gościnę O'Rourke'owie. Papie chodziło o to, aby spędzić te dni z Marylą O'Rourke'ową jako najbliższą krewną swoją, córką jedynej siostry Papy, nieboszczki cioci Kazi Tyszkiewiczowej.
Pociągiem wieczorowym przyjechała do Bohdaniszek Marynia z Wilna.
Święcone już gotowe, stół tradycyjny w gościnnym pokoju zastawiony. Malowanie farbowanych jajek wypełniło nam część dnia dzisiejszego. Jutro – jedzenie do przesytu.

14 (27) kwietnia, rok 1913, niedziela
Wielkanoc. Święcone. Jedzenie sute do przesytu. Stół ze święconym ustawiony, jak od wielu lat, w pokoju gościnnym w tzw. nowym domu (ten „nowy" dom, czyli piętrowa przybudówka poprzeczna do „starego domu", datuje się już od roku 1885, podczas gdy dom „stary", osnowa domu bohdaniskiego, datuje się od roku ± 1874-1875). Na święconym w tym roku mała nas tylko gromadka osób domowych: Mama, Marynia, ja, dzieci Maryni – Ewa (Helcia) i Stefuś i niewiele co większy od Stefusia korepetytor jego – p. Staś Jabłoński. Toteż święcone jest niewielkie, choć, jak na tę kompanię, wcale obfite i zwłaszcza bardzo smaczne. Oto spis jadła, stanowiącego zastawę stołu ze święconym: z mięsiw indyczka nadziewana, prosię nadziewane, szynka pieczona w chlebie, głowizna, dwa cietrzewie, dwie pieczenie wołowe, cielęcina i odgotowana wędzona szyneczka barania; z ciast dwie żółte babki drożdżowe, jedna babka chlebowa, tort orzechowy, tort wiedeński (z dwóch warstw ciasta biszkoptowego, wyłożony marcepanem i konfiturami z głogu), dwa mazurki cygańskie z bakalii, jeden z zaprawą czekoladową, a drugi bez takowej, dwie bułki szafranowe – jedna słodka, druga przaśna oraz kilka bułek białych. Poza tym, jaja kolorowe, ser i rozmaite zaprawy. Brak w tym roku tradycyjnych szpekuchów.
Zabawiałem się z dziećmi tarzaniem jaj kolorowych. Dla większego urozmaicenia gry nadawaliśmy poszczególnym jajkom nazwy i dzięki temu każde jajko wyróżniało się i nabierało pewnej osobowości; w wyobraźni grających stawało się każde jajko jakimś osobnikiem żywym, oznaczonym imieniem i posiadającym właściwości indywidualne. Jajka te zresztą były malowane w rozmaite desenie i przeto różniły się wszystkie, a przy tarzaniu każde oczywiście inaczej się toczyło, zależnie od kształtu swego i stopnia twardości skorupy. Tarzanie jaj odbywało się w przedpokoju; korytko do tarzania było już wigilią przez stolarza Bobrowskiego sporządzone. Nazwy jajek były najrozmaitsze i najdziwaczniejsze: były więc Plamki, Indyczka, Amazonka, Bladaczek, Czerwonek, Siniaczek, Łańcuszek, Gwiazdołańcuszek, Przepaska, Oczko, Pi-pi, Linijki, Kurogwiazdki, Kogutogwiazdki, Jodełka, Mierzawczyk, Goli-łeb, Kikisza, Geometria, Żydek, Złotko itd. Zabawa szła znakomicie. Dla większego zaś zainteresowania dzieci na kilka najlepszych jaj wyznaczyłem premie. Mianowicie Przepaska była premiowana w 10 kopiejkach, Oczko i Kurogwiazdki w 15 kopiejkach, Plamki w 20 kopiejkach i Jodełka, która się szczególnie odznaczyła pod wieczór, zdobywając wiele jaj dla swego właściciela, została mianowana pogromcą i premiowana w 25 kopiejkach. Kto zdobywał jajko premiowane, ten zdobywał razem premium za nie, a tracąc jajko, tracił też premium na rzecz tego, który je zdobył. Ostatecznie premia posiedli ci, którzy w końcu gry byli właścicielami odpowiednich jajek. Dzieci były rozbawione i gra szła nader ochoczo.
Dzień był śliczny. W cieniu było 18 stopni Réaumura, w słońcu upał, powietrze parne. Atmosfera pełna życia. Roślinność w oczach się rozwija, drzewa zielenieją coraz bardziej. Już cały las kumszański, który przed dwoma dniami był jeszcze czarny, pokrył

się subtelną zielonością młodych listków brzozowych. Żaby bez ustanku żechoczą, kukułka zakukała gdzieś z dala. W oficynie wśród parobków i dziewcząt wesoło wre życie świąteczne. Gra muzyka harmonijki, skrzypiec i trąbek, przez dzień cały i do późnej nocy tańce, śmiechy, radosne głosy młodości, często śpiewy chóralne. A za oficyną na wzgórku przy wierzbie grupy parobczaków tarzają jaja kolorowe z korytka z kory drzewnej. Święto Zmartwychwstania. Wesoło.

15 (28) kwietnia, rok 1913, poniedziałek
Zabawa tarzania jajek i gra w krokieta – szły w dalszym ciągu. Chodziłem też na spacer, co o tej porze roku sprawia wielką przyjemność. Dzień byłby zeszedł równo, spokojnie, gdyby po obiedzie nie nastąpiła nagła przemiana w projektach. Mianowicie o godz. 5 przyjechał z Kowaliszek Papa z gotowym projektem, a raczej nakazem, abyśmy z Marynią jechali natychmiast do Kowaliszek, z powodu, że O'Rourke'owie jutro pociągiem wieczornym stamtąd wyjeżdżają. My z Marynią projektowaliśmy tam jechać jutro z rana – to byśmy i O'Rourke'ów jeszcze zastali, i przenocowali w Kowaliszkach, albowiem na pozajutro muszę być w interesie w Rakiszkach. Papa wszakże z takim impetem zażądał, abyśmy jechali natychmiast, że żadnych naszych perswazji i względów nie myślał słuchać. Powiedział, że się ułożył z Komorowskimi, iż nas odeśle do Abel na pociąg wieczorny, którym dojedziemy do Rakiszek, gdzie będą nas czekały konie kowaliskie. Gdym próbował przekładać Papie moje względy przeciwko projektowi, Papa się irytował i nalegał, że tak jest projekt ułożony i tak być powinno. Nie projekt Papy, ale ton rozkazujący i bezwzględny zniecierpliwiły mię tak, że wybuchłem wymówką, iż Papa się nami rozporządza jak małymi dziećmi. Oberwałem za to burę, bo Papa się żachnął, wpadł w gniew, rzucił się do mnie z krzykiem, że śmiem tak mówić, słowem – biedny Papa urządził scenę gwałtowną, wybuchł krzykiem i wybiegł sam z pokoju w najwyższej pasji. Nie chciałem się już oczywiście sprzeciwiać woli biednego Papy ani mu sprawiać przykrości i drażnić w kwestii zresztą tak w gruncie rzeczy błahej. Wiem, że biedny Papa jest słaby i że ta arbitralność i ten ton rozkazujący despoty – to tylko taki sobie fajerwerk samowoli, który maskuje właściwie nieśmiałość i wrodzoną delikatność jego. Poszedłem więc się przebrać i przygotować do jazdy, a potem pocałowałem Papę w rękę i prosiłem, aby się nie gniewał i wiedział, że naturalnie się do jego życzenia zastosuję. Natychmiast też pojechaliśmy z Maryńką i jej córką Ewą, ale nie do Abel, jeno wprost do Rakiszek na stację, gdzie spodziewaliśmy się zastać konie kowaliskie. Przyjechaliśmy parką roboczych koni, bo stajenne były zmęczone i zostały w Bohdaniszkach. Zdaje się, że dlatego głównie odsyłał nas Papa tylko do Abel albo Rakiszek, ale nie wprost do Kowaliszek, że się właśnie wstydził wobec O'Rourke'ów i innych gości kowaliskich pokazać, że jedziemy końmi roboczymi.
W Rakiszkach na stacji koni kowaliskich nie zastaliśmy. Czekaliśmy dość długo, wreszcie i pociąg, idący do Abel, przeszedł, a koni ani śladu. Stacja była pełna pijaków i próżniaków świątecznych. Przyglądaliśmy się ciekawym rodzajowym scenkom w grupach pijackich, młodzieży flirtującej, dzieci rozbawionych itd. i nie nudziliśmy się wcale. Ale czas biegł, a koni nie było. Nasze konie były już odprawione, furmanek po przejściu do najęcia już nie było. Widząc, że dłuższe czekanie będzie bezpłodne, zdecydowaliśmy się podejść w stronę Kowaliszek pieszo, zawiadomiwszy na stacji, którą drogą idziemy, aby na wypadek przyjścia koni powiedziano furmanowi, gdzie ma nas nadpędzić. Torem kolejowym doszliśmy do wsi Pogrurzdzia. Marynia była już zmęczona i dalej iść nie chciała, bo dalej i droga jest kiepska. Wobec tego dalej poszedłem pieszo sam. Moje niespodziane ukazanie się wywołało zdziwienie w Kowaliszkach. Okazało się, że się nas tam nie spodziewano wcale i nie brano projektu

Papy o naszej jeździe na serio. Zaraz posłano konie po Marynię do Pogrusrdzia i sprowadzono ją.

16 (29) kwietnia, rok 1913, wtorek
W Kowaliszkach zastaliśmy jeszcze wszystkich gości świątecznych. Oprócz domowych, tj. Zysia, Elizki, Hektora, Julka i małej Milusi, i oprócz nas, którzyśmy przyjechali z Bohdaniszek, to znaczy Maryni z córką Ewą i mnie, był jeszcze Karol O'Rourke, Maryla O'Rourke'owa, p. Czesław Komorowski, właściciel Podbirż z powiatu poniewieskiego, jego żona Mielżyńska z domu, p. Witold Morzycki, pani Krystyna Morzycka, siostra Zysia i dzieci ich – Miecio, Felek i mały najmłodszy, kilkuletni, którego imienia nie znam. Oprócz tych gości, był jeszcze wczoraj wieczorem p. Jan Przeździecki z Rakiszek, gwiazda naszego ziemiaństwa. Teraz stopniowo p. Przeździecki zyskuje w moim przekonaniu. Gdy się lepiej przyglądam jego działalności w naszych stronach, to jednak widzę, że poza wielu cechami ujemnymi, ma on też niewątpliwe zasługi. Na ogół jest on dla mnie niesympatyczny, ale nie mogę mu odmówić pewnego uznania. Prawda, że jest on dla włościan miejscowych w zakresie stosunków gospodarczych ciężki, nieraz ciśnie ich i krzywdzi, może nie zdając sobie nawet sprawy z tego, bo jest przeciwnikiem wszelkiej jakiejś troskliwości czy specjalnej względności dla włościan, uważając takową za czułostkowość. Przeździecki uważa, i ma poniekąd słuszność, że najlepszą szkołą dla włościan jest nie jakaś pomoc im udzielana, ale właśnie wyrobienie w nich poczucia, że każdy winien sam swego interesu dochodzić i na nim się opierać. Uważa, że poczucie to najlepiej się wyrobi wtedy, gdy włościanie zobaczą, że sąsiedzi ich wcale na nich nie zważają i uskuteczniają swe potrzeby i interesy choćby z ich szkodą, gdy to jest dla nich dobre. Przeździecki zerwał ze wszelką tradycją patriarchalizmu w stosunkach dworu ze wsią, a jednocześnie jest przeciwnikiem chłopomaństwa i specjalnych sympatii ludowych. Stanął on na stopie równego z równymi w stosunkach gospodarczych z włościanami, a że jest oczywiście silniejszy, więc równość tą użytkuje bezwzględnie na swą korzyść. Zapewne, że takie stanowisko równości formalnej przy nierówności faktycznej i przy forsowaniu li tylko interesu własnego, nie łagodzonego żadnymi względami sprawiedliwości i sympatii, jest w skutkach swoich bardzo uciążliwe dla włościan w ich stosunkach z dworem, ale niewątpliwie ma to przynajmniej tę zaletę, że nie ma w sobie obłudy. Zresztą Przeździecki jest pod tym względem istotnie szczery, bo tak pojmuje swoje obowiązki obywatelskie. W stosunkach gospodarczych uważa on siebie za wielkiego właściciela – i tylko; rolę swą, jako takiego, pełni bez drapowania się w pozory dobroczyńcy. Ale o ile w stosunkach gospodarczych hołduje on zasadzie równości formalnej na podstawie czynnika konkurencji interesów, o tyle w stosunkach towarzyskich i społecznych bynajmniej nie jest wolny od dumy i próżności. Uważa siebie za rasę lepszą od ogółu ludności i nie przykrzy sobie w uniżoności otoczenia. Nie zada co prawda specjalnego upokorzenia, ale jest rozpieszczony tą atmosferą uniżoności, która faktycznie go otacza i bierze to za rzecz naturalną, za hołd należny; sfera ziemiańska może bardziej od włościan manifestuje swą uniżoność wobec Przeździeckiego i wysila się w kadzeniu mu i pochlebstwach; Przeździecki się na tym poznaje i biorąc to za hołd naturalny i należny jest pełny pogardy dla natury ludzkiej, nad którą ma więcej szacunku dla pieniądza i zaszczytów. Ludzi niezależnych mało Przeździecki spotyka. Stąd płynie pewien zbytek zarozumiałości i pogardy w traktowaniu ludzi, cechujące Przeździeckiego. Skądinąd zaś tak Przeździecki, jak jego żona, Sapieżanka z domu, bynajmniej nie są obcy cnotom społeczno-obywatelskim. W pracy społecznej biorą oboje czynny udział. W zawodowych stowarzyszeniach ziemiańskich Przeździecki jest zawsze czynny, nie żałuje czasu i wysiłków. W zakresie

społecznych potrzeb ludowych wszelkie zapoczątkowania zbiorowe znajdują w nim poparcie chętne. Czy to chodzi o towarzystwa oświatowe litewskie, czy o organizację dobroczynności, czy o ruch spółdzielczy, czy o straż ogniową, zawsze Przeździecki udziela poparcia tak materialnego, jak czynnego, o ile zachodzi potrzeba. Żona jego też zajmuje się rozwojem drobnego przemysłu ludowego, szkolnictwa zawodowego dla ludu itd. Słowem – oboje robią dużo i nie tylko na rzecz swego interesu osobistego czy klasowego. Zbyt mądry i zwłaszcza zbyt głęboki Przeździecki nie jest, co zaś mię w nim najbardziej razi, to niechęć i pogarda dla kraju, w którym mieszka, i kultury oraz narodowości ludu naszego. Właściwie sam się do wytwarzania tej kultury pośrednio przyczynia, a jednak nikt chyba bardziej od niego nie lekceważy i nie pogardza tą Litwą i kultura narodową litewską, która choć nie sięga jeszcze szczytów cywilizacji europejskiej, jednak rozwija się i podnosi stale, a zwłaszcza ma tę moc niespożytą i gwarancję żywotności, że jest dziełem zbiorowego współpracownictwa całego ludu. Bądź co bądź, gdy tak oglądam i zestawiam Przeździeckiego z innymi już nie tylko arystokratami naszymi, ale nawet ziemianami, nie mogę mu odmówić wielu zalet i zasług w porównaniu do innych ludzi, o wiele sympatyczniejszych nieraz i mądrzejszych od niego. Siedzi w kraju, pracuje szczerze, jest ciągle czynny, ma swoje przekonania i stosuje się w praktyce do nich. Przecie jest to nie lalka, nie ekspozytura czegoś, ale człowiek sam z siebie. To mi się bądź co bądź w Przeździeckim podoba. O wiele wyżej stawiam go np. od Karola O'Rourke, który jest zupełnie innym typem bogatego obszarnika: Karol jest skończonym samolubem, sybarytą, tchórzem, myśli tylko o dogodzeniu sobie, jest pasożytem zupełnie nieprodukcyjnym. A ileż pogardy i tchórzliwej podłej nienawiści ma dla tych, z których pracy żyje.

17 (30) kwietnia, rok 1913, środa
Rano wyjechaliśmy z Marynią i Ewą (Helcią) z Kowaliszek. Ja miałem kilka interesów adwokackich w Rakiszkach, więc musiałem się tam na kilka dni zatrzymać, Marynia zaś pojechała do Rakiszek do Pajodupia do fabryczki sukna p. Treu'a dla zamiany wełny bohdaniskiej na sukno.
Zaszedłem w Rakiszkach przede wszystkim do proboszcza ks. Jankowskiego, który się zawsze do mnie zwraca po rozmaite porady prawne i skierowuje do mnie rozmaitych interesantów włościan. Ks. Jankowski ufa mi bardzo i jest ze mną w jak najlepszych stosunkach. Jest to człowiek bardzo uczciwy, skromny, szczerze oddany swoim obowiązkom, które traktuje nie tylko jako wypełnianie wymogów kultu religijnego, ale też jako posługi obywatelskiej na rzecz wszelkich potrzeb zbiorowych swych parafian. Jest on klerykałem niewątpliwie, w tym znaczeniu, że nie ogranicza kapłaństwa do kultu, lecz je uważa za powołanie do naturalnego przywództwa i kierownictwa wszystkich spraw społecznych parafii. Dlatego uważa on za szkodliwą wszelką akcję elementów radykalnych, które chcą lud i sprawy jego wyzwolić spod władzy i dominacji kleru; dlatego występuje ostro i zwalcza agitację demokratów czy ludowców litewskich i zakazuje z ambony czytania pism takich, jak „Lietuvos Žinios" i szczególnie „Lietuvos Ūkininkas"; dlatego też stosuje się podejrzliwie i niechętnie do wszelkich wpływów na lud – nielicznych miejscowych litewskich inteligentów świeckich, jak Petrulis, przeciwko któremu wiódł kampanię wśród włościan, aby go nie wybierano do Dumy, na starszynę, na sędziego gminnego itd., domyślając się w nim ukrytego demokratę-ludowca, pragnącego uzurpować przywilej kleru do kierownictwa ludu. Ale ks. Jankowski, będąc klerykałem, jest nim w znaczeniu dodatnim; chodzi mu mianowicie o wpływ kleru nie w interesie tegoż kleru, nie dla względów kastowych, ale li tylko w interesie samego ludu; wierzy on szczerze i mocno, że kler może być tą siłą bezstronną, wolną od względów na interes osobisty czy kastowy, która szczerze i

bezinteresownie prowadzić będzie lud po drodze kultury, oświaty i dobrobytu gospodarczego oraz doskonalenia moralnego. Sam on jest rzeczywiście takim i wierzy w tę bezinteresowną szczytną misję kapłańską w społeczeństwie ludzkim. Klerykalizm jego jest głębokim aktem miłości i ofiary, powołaniem kierownictwa i służenia dobru ogólnemu i ludowi. Jest to człowiek wielkiej cnoty i prawdziwej zasługi. Czyny jego odpowiadają ściśle słowom, wierze i przekonaniu. A czynny jest zawsze i zawsze dla dobra ogólnego parafian. We wszystkim niemal, co się w Rakiszkach robi siłami zbiorowymi, ks. Jankowski bierze udział czynny. Jest kierownikiem rakiskiego wydziału towarzystwa „Trzeźwości" („Blaivybė") i jego to staraniem założona tu została herbaciarnia i czytelnia tego towarzystwa. Stoi też na czele miejscowego wydziału towarzystwa oświatowego litewskiego „Saulė", które utrzymuje szkółkę ludową przy stacji kolejowej. W innych stowarzyszeniach i akcjach zbiorowych bierze też udział czynny. Główną wszakże jego zasługą w dziedzinie kulturalno-społecznej życia miejscowego jest zorganizowanie bardzo ważnej instytucji, jaką jest rakiskie katolickie towarzystwo dobroczynności. Jest to akcja pierwszorzędnej wagi – znakomita organizacja na wzór angielskiej organizacji dobroczynności parafialno-gminnej. Żebractwo zostało całkowicie z parafii rakiskiej usunięte. W każdej większej wsi są mianowani dwaj mężowie zaufania, kurator i wicekurator, którzy dostarczają zarządowi towarzystwa dokładnych informacji o osobach ubogich i potrzebujących zapomogi oraz służą do sprawdzania stanu ubóstwa osób, zgłaszających się bezpośrednio do zarządu. Kuratorów takich jest dwóch dlatego, żeby się mogli wzajemnie kontrolować i żeby zyskać gwarancję przeciwko możliwemu protekcjonizmowi. W mniejszych wioseczkach z konieczności jest tylko jeden kurator, zaścianki łączą się po kilka na jednego kuratora. Zarząd centralny składa się z ks. Jankowskiego (skarbnika i właściwego wykonawcy całej roboty), p. Jana Przeździeckiego (prezesa), panny Michałowskiej (sekretarki) i, zdaje się, jeszcze paru osób. W miasteczku towarzystwo utrzymuje stały przytułek dla ubogich z całej parafii, mieszczącym się w domu udzielonym przez p. Przeździeckiego. W przytułku jest pięćdziesięciu pensjonariuszy obojga płci w chwili obecnej. Większość jest ludzi starych, kilka obłożnych chorych. Ludzie samotni mieszczą się we wspólnych lokalach, osobno kobiety i osobno mężczyźni, zaś stadła rodzinne mają każde osobny pokoik. Ci, którzy mogą pracować, pracują po trochę (szarpią pierze itd.); ⅓ część zarobku daje się im do rąk, ⅔ idą na rzecz przytułku. Przytułek ma kilka krów własnych, własnego konia, sprzęty, własną praczkarnię, łaźnię. Pomocy lekarskiej udziela bezpłatnie dr Kozłowski, lekarstwa z apteki wydaje się z ustępstwem 50%. Na czele przytułku stoi gospodarz płatny, jest kucharka także stała. Oprócz tego, towarzystwo udziela zapomóg pieniężnych rozmaitym biednym rodzinom w parafii, od 2 i 3 do 5 rb. miesięcznie na rodzinę. Fundusze towarzystwa składają się z opłat członkowskich oraz datków dobrowolnych wszystkich parafian. W tym celu raz do roku gospodarz przytułku objeżdża całą parafję koniem przytułkowym i zbiera datki, które napływają bardzo obficie (włościanie dają więcej na towarzystwo, niż księdzu po kolędzie). Dają wszyscy, nie wyłączając Żydów, Rosjan i nawet popa, bo wszyscy korzystają z tego, że żebractwo zostało skasowane.

Istotnie żebraków w parafji rakiskiej nie ma obecnie wcale. Jedyna żebraczka, która została – to jakaś jedna miejscowa Cyganka, która się kocha we włóczędze i nie chce za nic iść do przytułku. W tym roku towarzystwo wybudowało dom własny w pięknym miejscu przy rynku, gdzie zostanie założona szkoła rzemieślnicza dla dzieci włościańskich. Przyjmowane będą dzieci za opłatą i oprócz tego bezpłatnie dzieci biedne. W szkole mają być nauczane następujące fachy: krawiectwo, szewstwo, kuśnierstwo, kowalstwo, ślusarstwo, stolarstwo, zduństwo, piekarstwo i jeszcze jakiś

fach dziewiąty. W tych dniach ma już przybyć krawiec dla nauczania. Dużo bym jeszcze mógł napisać o tej pięknej akcji, gdyby nie brak miejsca. Taka oto piękna organizacja utworzona została właściwie energią jednego człowieka woli i zapału. Załatwianie interesów w Rakiszkach zajęło mi prawie cały dzień czasu. Dopiero o zmroku wróciłem z Marynią z Rakiszek do Bohdaniszek.

18 kwietnia / 1 maja, rok 1913, czwartek
Wrócę jeszcze do dnia wczorajszego, ale już nie do ks. Jankowskiego i jego akcji społecznej. Chcę tu o czym innym pomówić. Dzień mój wczorajszy w Rakiszkach był dniem adwokackim. Oprócz porad prawnych i spraw, które mi zlecił ks. Jankowski, miałem jeszcze porady i sprawy zlecone przez zarząd tak zwanego banku „rakiskiego", właściwie towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, funkcjonującego na zasadach kooperacyjnych. Byłem umyślnie wezwany na dzień wczorajszy do Rakiszek przez zarząd tego towarzystwa na sesję do spraw prawnych. Wywiązałem się z tego zadania nieźle i przyjąłem do prowadzenia kilka uzyskiwań, zresztą bardzo uciążliwych i niepewnych. Gdy się wejrzy w sprawy tego towarzystwa, to włosy powstają na głowie ze zgrozy i obrzydzenia, widząc kradzieże i szelmostwa, które się tam przez dziesiątki lat uprawiały. „Bank" spółdzielczy rakiski istnieje od lat kilkudziesięciu (zdaje się, że założony został w 70-tych latach ubiegłego stulecia); jest to ten sam bank, który w r. 1888 czy 1889 okradziony został przez Antoszewskiego; kradzież ta była swego czasu bardzo głośna i skandaliczna. Antoszewski był żonaty z Komorowską (żona jego była moją chrzestną matką), rodzoną siostrą nieboszczki pani Felicji Piotrowej Komorowskiej z Radkun, matki mego szwagra Zygmunta; dzierżawił on od swego szwagra, Piotra Komorowskiego, Kowaliszki; był otoczony szacunkiem ogólnym ziemian i ludu, uchodził za człowieka nieposzlakowanej prawości i uczciwości; był to istotnie człowiek rozumny, pracowity i dzielny; on to przez wiele lat był w zarządzie rakiskiego „banku" spółdzielczego; faktycznie on jeden w „banku" pracował; jeden na barkach swoich całą robotę dźwigał. Za jego administracji kooperatywa kredytowa rakiska rozwijała się dobrze, były to jej świetne czasy; w interesach był ład, administracja była sprężysta, zaufanie ludności do instytucji było zupełne; operacje szły pomyślne, lud składał do „banku" swe oszczędności, z których gromadziły się kapitały i obrót pieniężny rósł. Antoszewskiemu tak wierzono, że na kontrolę nie zwracano uwagi; Antoszewski był niemal samowładnym panem kooperatywy; aż oto nagle rozeszła się wieść skandaliczna o kradzieży Antoszewskiego; skradł on kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy i uciekł za granicę i za morze do Ameryki ze swą kochanką, Marysią, praczką, porzuciwszy żonę. Wszelkie poszukiwania okazały się płonne. Popłoch ogarnął ludność. Zbrodnia Antoszewskiego była nie tylko zbrodnią sama przez się, ale i olbrzymia krzywdą społeczną, bo pieniądze ukradzione pochodziły z kopiejkowych oszczędności ubogiej pracującej ludności. Na tym się klęski instytucji nie skończyły. Jej dzieje dalsze – to jeden ciąg martyrologii. Po kilku leciech konsternacji i kulawych rządów zorganizował się nowy zarząd i instytucja miała znowu stanąć na nogi. Do nowego zarządu wchodzili między innymi p. Rudolf Kościałkowski, Onufry Kupść, Antoni Weyssenhoff i inni. Zdaje się, że należał też Henryk Kościałkowski z Wysokiego Dworu (zamordowany przed 3 czy 4 laty przez żonę i syna w sposób okrutny). Przewagę w zarządzie mieli znowuż ziemianie. Nazywało się, że wypełniają oni obowiązek obywatelski, że wykonywają pracę społeczną. W istocie rzeczy okradali oni instytucję systematycznie, przez cały szereg lat swojego zarządu, aż do r. 1903, gdy niespodziana rewizja rządowa wykryła nadużycia i wybuchł nagle nowy skandal. Z ziemian, zdaje się, że tylko jeden Weyssenhoff nie kradł, ale że był safanduła, więc go koledzy tolerowali, a on się niczego nie domyślał. Różnica z Antoszewskim była ta, że

gdy Antoszewski przez szereg lat prowadził interesy dobrze i wzorowo nawet, a potem wprost ukradł i uciekł, ci nowi panowie-gospodarze prowadzili sprawy najniedołężniej, usystematyzowali bezład, zaniedbywali pracę i chociaż nie kradli wprost, ale operowali malwersacjami na korzyść własną. To znaczy, że nie popełnili kradzieży, ale popełniali ciągłe oszustwa systematyczne. Nie zwracali do kasy zwróconych i uzyskanych pieniędzy, opuszczali pozycje w księgach, zaciągali pożyczki na podstawione osoby itd. Po prostu ohyda, do jakiej demoralizacji ci ludzie doszli. Niespodziewana rewizja ujawniła nadużycia. Zarząd został usunięty i oczywiście ci panowie musieli pokryć niedobory i należności, wypływające z ich nadużyć. Tylko jeden p. Rudolf Kościałkowski postąpił wtedy uczciwie. Zaczął żyć bardzo skromnie, oszczędzał się na wszystkim i spłacał przez szereg lat po trochę swój dług, spowodowany przez poprzednie nadużycia. Teraz po jego śmierci żona w dalszym ciągu spłaca. Ten się zrehabilitował. Kupść postąpił najpaskudniej. Wyjechał do Rosji, majątek swój Kroszty obarczył dodatkowymi fikcyjnymi długami i doprowadził do wystawienia go na licytację, a z licytacji kupił go jego syn rodzony, zwalniając się w ten sposób od płacenia długów i w szczególności długu „bankowi” rakiskiemu, inwentarz zaś i ruchomość sprzedał fikcyjnie bratu, p. Adamowi z Węgieryna. Dziś i Onufry, i Adam umarli, a syn Onufrego nie płaci, choć może się sposób znajdzie. Nie mniej brzydkich nadużyć popełnił nieboszczyk Henryk Kościałkowski, za które też mam teraz uzyskiwać należności od spadkobierców jego. Taka była filantropia „obywatelska” i „praca społeczna” naszych ziemian w Rakiszkach – po prostu mała Panama. Potem przez lat kilka, choć nie było kradzieży, jednak wciąż trwał bezład i gospodarka chaotyczna. Teraz jest nowy zarząd, włościański, z Petrulisem na czele, który chce się zabrać energicznie i stanowczo do sanacji gospodarki „bankowej”. Trzeba mieć nadzieję, że dopiero teraz, po odrzuceniu jarzma „opieki” pańskiej, instytucja może odżyje, choć już jest ona zachwiana i zdyskredytowana.

19 kwietnia / 2 maja, rok 1913, piątek
Rano wyjechałem z Bohdaniszek do Wilna. Jechałem razem z p. Stasiem Jabłońskim, małym korepetytorem Stefusia, który też wracał do Wilna. Całą niemal drogę, to znaczy cały dzień, czytałem. O godz. 7 wieczór byłem w Wilnie. W domu zastałem dwa listy Anny. Jeden, wcześniejszy, zwiastował jak najlepsze nowiny. Cały list utrzymany w tonie wesołym, pełny radości z powodu zbliżającego się dnia powrotu do Wilna. Anna pisze, że się w poprzednim liście pomyliła, wskazując datę wyjazdu z Teodozji na 4 maja. Doktor pozwala jej wyjechać 25 kwietnia. Anna zapytuje, czy może jechać z Teodozji do Kijowa, gdzie się mam z nią spotkać, nie zwykłą drogą lądową, lecz morzem przez Odessę. Po przeczytaniu tego listu zacząłem już kombinować, jak się mam urządzić, aby się skomunikować z Anną co do spotkania się, ciesząc się, że to już tak prędko nastąpi. Ale zaraz wziąłem do rąk drugi list i ten mię rozczarował i oblał jak zimną wodą. Anna pisze w nim, że była zupełnie zdrowa, gdy oto nagle od dwóch dni czuje się bardzo źle, jest chora i słaba i sama nie wie, co to jest. Nie wspomina o zmianie projektu co do terminu wyjazdu, ale oczywiście z tego, że jest chora, należy się domyślać, że projekty są w tej chwili w zawieszeniu. To mię znów zaniepokoiło i jednocześnie pomieszało szyki. Ten drugi list Anny jest datowany 9 kwietnia, to znaczy we wtorek w Wielkim Tygodniu. Odtąd 10 dni upłynęło, nie wiadomo, jak jest teraz ze zdrowiem Anny. Żadnych późniejszych wiadomości nie ma. Ponieważ już mało czasu zostaje do ewentualnego terminu wyjazdu Anny, a muszę się prędko zorientować i zadecydować o datach mego wyjazdu z Wilna na jej spotkanie i dnia spotkania w Kijowie, zwłaszcza że mam jutro jeszcze jechać do Wiązowca, więc zatelegrafowałem

zaraz do Anny z odpowiedzią opłaconą, zapytując, jak jest z jej zdrowiem i kiedy zamierza wyjechać z Teodozji.

20 kwietnia / 3 maja, rok 1913, sobota
Koło południa przyszła odpowiedź od Anny na moją wczorajszą nocną depeszę. Na zapytanie o zdrowiu nic Anna nie odpowiada, jeno telegrafuje, że wkrótce przyjedzie i prosi o przysłanie pieniędzy. Oczywiście, stan zdrowia jest zadowalający i nic już obecnie nie stoi na przeszkodzie do powrotu. Pieniądze dziś Annie wysłałem, jako też list, w którym dałem jej szczegółowe instrukcje co do zawiadomienia mię o wyjeździe i sposobach skomunikowania się dla spotkania naszego w Kijowie. Sądzę, że po otrzymaniu pieniędzy, to znaczy już za kilka dni, Anna wyjedzie i że pod koniec przyszłego tygodnia pojadę już do Kijowa na jej spotkanie.
Z powodu oczekiwania na depeszę Anny nie mogłem wyjechać rannym pociągiem do Radoszkowicz. Musiałem wyjazd odłożyć do pociągu wieczornego.
Skorzystałem z czasu, aby, prócz załatwienia kilku interesów, zwiedzić wystawę prac dziecinnych, która się dziś zamyka. Właściwa nazwa tej wystawy jest: „Sztuka w życiu dziecka". Wystawa jest urządzona staraniem Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego w lokalu szkoły rysunkowej p. Rybakowa. Jest na niej reprezentowana twórczość artystyczna dzieci do lat 14, poza tym dział wydawnictw dziecinnych i zabawek. Wystawa jest bardzo ciekawa, mnie zaś interesuje specjalnie ze względu na to, że wystawione są na niej rysunki siostrzeńca mego, synka Maryni, kochanego Stefusia Römera. Zdolności Stefusia są wybitne; zwłaszcza ciekawe są jego niepospolite kompozycje architektoniczne, niezwykle oryginalne w pomyśle, pełne fantazji, z dokładnym zachowaniem harmonii specjalnego stylu i proporcji kształtów, a wykonane bardzo ładnie pod względem techniki rysunku. Rysunki Stefusia wyróżniają się na wystawie z setek innych eksponatów. Uważałem, że publiczność, która dziś bardzo licznie była na wystawie zgromadzona, zwraca szczególną uwagę na rysunki Stefusia; słyszałem ludzi, wyrażających podziw dla oryginalności jego kompozycji, zachwycających się nimi i wróżących mu wielką przyszłość. Niektórzy powątpiewali, czy kompozycje te są istotnie samodzielne, czy nie są to kopie z jakichś wzorów.
Eksponatów na wystawie mnóstwo. Od niedołężnych, bardzo prymitywnych prób rysunkowych małych kilkuletnich dzieci do wcale wyszkolonych i mających znamiona talentu utworów innych dzieci – wszystko jest reprezentowane. Bardzo ciekawe są rzeczy z działu rzeźby, wycinanek itd. dziecinnych. Znakomite pod względem pedagogiki estetycznej są wykonywane w niektórych ochronkach czy tzw. „ogródkach" dziecinnych grupy plastyczne, wykonywane przez dzieci i obrazujące rozmaite tematy z bajek. Są to rozmaite pejzaże, obrazki, sceny rodzajowe z bajek, uplastycznione w grupach rzeźby, uzupełnionej przez wszelakie dodatki, wycinania, zdobienia itd. Całość wystawy otwiera nam świat duszy dziecinnej, odtwarzającej w kształtach plastycznych swoje wrażenia, tęsknoty, zapały, wysiłki do syntezy, słowem – dzieło urabiania się człowieka. O poszczególnych eksponatach dużo by się też dało powiedzieć.
Pociągiem wieczornym wyjechałem z Wilna. Koło godz. 4 byłem w Radoszkowiczach. Jasiek z koniem czekał na mnie. Noc była pogodna, dość ciepła. Nie chciałem więc nocować nigdzie i pojechałem wprost do Wiązowca. Powietrze nocne przesycone było cudownym zapachem wiosny, pękających pączków drzewnych i młodych listków. Gdzieniegdzie, jak w Udrance nad rzeczką, w Cyganowie, słowiki śpiewały prześlicznie w wiosennej pachnącej ciszy nocnej. Gdzie indziej sowa przeciągle wołała. Noc mi cała zeszła na jeździe. Od Bakszt zaczęło już po trochę dnieć. Wreszcie przed Daszkami świtanie zaczęło już na dobre rozwidniać powietrze i ziemię. Zerwały się w cieniach świtu skowronki, szybując z pieśnią coraz wyżej, w krzewach i laskach zaczął się

świergot i sprzeczki ranne rozmaitego drobiazgu ptasiego, z daleka zwoływały się już kukułki.

21 kwietnia / 4 maja, rok 1913, niedziela
Po nocy spędzonej na wózku przespałem cały ranek i wstałem dopiero koło godz. 2. Przeszedłem się po lesie, obejrzałem całą gospodareczkę, wydałem dyspozycje Biesiekierskiemu, zmówiłem Hrynkiewicza do otynkowania ścian w moim pokoju i na tym zeszła mi reszta dnia.
Dokoła domku mego w Wiązowcu wiosna utworzyła śliczne tło dekoracyjne. Polanka, na której wzgórku stoi nasz domek, otoczona jest lasem mieszanym z sosen, jodeł i brzóz. Te ostatnie w prześliczny sposób mieszają swoją świeżą, lekką zieleń młodych subtelnych listków z ciemną barwą iglastego lasu. Zwłaszcza piękny jest widok na dom z łoneczki, przecinającej w poprzek sam środek polanki. Domek zarysowuje się wtedy na tle młodniaku sosnowo-brzozowego. Brzózki w młodniaku są bardzo wysokie, wysmukłe jak kolumny, mają przepyszne kształty drzew z obrazów Böcklina.
Wewnątrz pokój mój jest wygodnie urządzony i podłoga jest świeżutko pomalowana. Używam tu prawdziwej rozkoszy wiejskiej. Napawam się widokiem, wonią przepyszną, piję trunek leśny – sok brzozowy, którego kwas dziki łagodzę przez pomieszanie go z miodem.
Wieczorem po ciepłym dniu słonecznym powietrze w mej polance leśnej przepełnione było upajającym zapachem młodej roślinności wiosennej. Co jest piękniejszego od tego skojarzenia wiosennych wdzięków naszej natury roślinnej w barwie, kształtach i zapachu! Chyba tylko kobieta może dla nas, ludzi, mieć przewagę piękna nad naturą. Zaiste mam w mej polance leśnej Wiązowca cudowne piękno. Widoczek ten jest swego rodzaju stylowym arcydziełem naszej natury krajowej.

22 kwietnia / 5 maja, rok 1913, poniedziałek
Dzień dziś bardzo chłodny. Sprawia wrażenie nie wiosny, ale późnej jesieni. Ostry wiatr północny dmie i studzi przenikliwie. Czy nie lody ruszyły z wielkich jezior północy – z Ładogi i Onegi? Ruch tych lodów ma zazwyczaj wpływ na ostudzenie temperatury u nas. Ale może już tu pod Mińskiem wpływ ten nie sięga, bo bądź co bądź punkt ten jest znacznie odleglejszy od jezior północnych, niż okolice Litwy Północnej, Semigalii i Inflant, to znaczy mniej więcej pozycja Bohdaniszek, która w moim pojęciu z przyzwyczajenia służy zwykle za kryterium miarodajne do określania warunków klimatycznych w kraju naszym. Zapominam zwykle, że kraj ten – Litwa i Białoruś – przez samą rozległość swoją nie może mieć klimatu jednolitego i że klimatyczna strefa dyneburska, do której należą Bohdaniszki, w żadnym razie za typową dla całego kraju uważana być nie może.
Z powodu chłodu umilkły ptaszki; jedna tylko nieznośna zięba, wróżka nieomylna chłodu i niepogody, dokuczliwa zwiastunka rzeczy niemiłych, nie milknie. Deszczu nie było, ale niebo całe zasnute pędzącymi chmurami. W chłodzie i pod niebem pochmurnym nie tylko się doznaje wrażenia zimna i wilgoci, ale i wrażenia wzrokowe się zmieniają. Barwy się zgęszczają w tonie posępnym i widok ogólny natury staje się bardziej dziki i ponuro-tragiczny. Ma to swój urok szczególnego piękna, właściwego naturze północnej. Młoda wiosenna zieloność listków drzew, która się wczoraj zdawała tak lekka i subtelna, dziś zapożyczyła od nieba twardych odcieni ołowianych i stała się w wyrazie ciężką, posępną, złą.
W lesie nie ustał z nastaniem wiosny ruch. Teraz główna robota dokonywa się w kierunku sprzątania i czyszczenia zaśmieconego przez cięcie zimowe lasu. Włościanie uwijają się po lesie, gromadzą grubsze gałęzie i żerdzie, a chrust drobniejszy palą.

Oczyszczanie odbywa się na rozmaitych warunkach, zależnie od tego, co się sprząta. Stosiki chrustu, gałązek i igieł płoną na ziemi, rozściełając dym po lesie. Obserwowałem dziś oryginalny zwyczaj włościan, z jakiegoś przesądu pochodzący. Paląc stos chrustu świszczą krótkim urywanym świstem, podobnym trochę do tego, jaki się używa przy pojeniu koni dla zachęcenia ich do picia, a przypominającym bardziej rżenie młodego źrebięcia, słyszane z daleka. Dowiedziałem się, że to świstanie służy do wzywania wiatru dla rozniecenia płomienia ognia w zapalonym stosie. Włościanie, mówiąc o tym, sami z tego żartują i widocznie nie bardzo już wierzą w skuteczność tego zaklęcia wiatru na ogień, ale jednak robią to: oczywiście zwyczaj, jak to zwykle bywa, przeżył swą własną podstawę pierwotną, z jakichś prastarych praktyk zabobonnych płynącą, i pozostał w użyciu siłą tradycji i inercji, jako *nudus usus*. Drobna to rzecz, ale ciekawa, jak wszystkie tego rodzaju pozostałości szczątkowe w kulturze ludu. Kiedyś praktyki takie musiały mieć swoje uzasadnienie i były wyrazem zastosowania pewnych zastrzeżeń i doświadczeń do potrzeb, były logicznym wiązadłem w całokształcie wierzeń i działań, dziś są jeno przeżytkami, z których mozolnie odczytywać możemy ślady kultury przodków naszych.
Wszystko i zawsze dokoła powoli się zmienia. Nie tylko zwyczaje i kultura, ale i rzeczy fizyczne. Oto teraz zniknąć ma najbliższa sąsiednia z Wiązowcem osada – Zaściszki. Wiązowiec mój się w zeszłym roku narodził, a sąsiednie Zaściszki idą na zagładę. Jest to mała ogrodowa osada na jedną rodzinę, „placówka", jak tu nazywają. Na placówce tej, położonej na kresach pól majątku, siedział drobny dzierżawca. Teraz Zaściszki wraz z Kaszynem przeszły na własność, po dziale zeszłorocznym, Ludwisia Wołodkowicza, który usunął z Zaściszek dzierżawcę i kasuje je, wcielając do Kaszyna. Z placówką tą ginie i sama nazwa Zaściszki o brzmieniu typowo litewskim. Zdawałoby się, że to jakaś naiwna nieśmiała próba usadowienia się tu, na terenie białoruskim, jakiejś naleciałości litewskiej, słabej i ninie wyrugowanej precz – w niepamięć. A ciekawe, skąd tu taka nazwa, czy to przez dwór nadana, czy zwyczajowo skądś utworzona, z jakąś naleciałością litewską. I sama zresztą nazwa dworu, metropolii Zaściszek – „Mamyły" – czy nie ma w brzmieniu zawartości litewskiej. Miejscowa ludność białoruska wymawia te nazwę „Mauyjły" albo wprost „Mauyły", a znanym jest faktem, że dźwięk „uj" albo „uy" jest litewskim odpowiednikiem słowiańskiego dźwięku „y", jak w wielu wyrazach, a z wyrazów względnie nowych np. „mydło" po lit. „muilas".

23 kwietnia / 6 maja, rok 1913, wtorek
Św. Jerzy, święto wielkie u prawosławnych, toteż w lesie ruch ustał. Ogromna większość włościan w okolicach radoszkowickich – prawosławna. Takiej ilości świąt, jaką mają i obchodzą prawosławni, rzadko spotkać gdzie indziej. Powszechnie powiadają w Europie, że kościół katolicki ma rozmaitych świąt do zbytku. Tymczasem święta katolickie wobec prawosławnych – to bagatela. Tu nie tylko że świąt jest dużo, ale jeszcze większe święta świętkują się po dni kilka, czasem po tygodniu. Zwłaszcza na wsi zwyczaj świętkowania jest zachowywany do przesady. Parobcy po dworach oczywiście nie świętkują tak długo, ale włościanie z lubością przedłużają wszelką okazję święta. Sami u siebie nie pracują i robotnika nie dostarczają. Każde święto jest wykorzystane skwapliwie dla wypoczynku, zabawy, próżnowania i nade wszystko pijaństwa. Pracowitością, skrzętnością gospodarczą – Białorusini na ogół nie grzeszą.. Umieją pracować, lubią zarobić, ale brak im systematyczności, brak zmysłu gospodarczości. A zabawę i hulanki lubią namiętnie. Nie będę, wzorem naszych ziemian, potępiał za to naturę Białorusinów i wyrzekał na zepsucia ludu. Rozumiem, że warunki ekonomiczne i kulturalne oraz cały układ społeczny przeszłości tego kraju i ludu wpłynęły na utrwalanie się tych cech abnegacji u włościan białoruskich. Są oni

bodaj najmniej winni, a już chyba jeżeli kto, to szlachta, to ziemianie ponoszą największą odpowiedzialność za przeszłość kraju i za jej ujemne skutki. Ale właściwie w historii nie ma win odosobnionych i żadnych poszczególnych ludzi i stanów społecznych nie można robić kozłami ofiarnymi procesów dziejowych.
Zwyczaj przesadnego świętkowania, który w ogóle właściwy jest prawosławiu i prawdopodobnie mieści w sobie wpływy Wschodu z jego aspiracjami do próżniactwa, komplikuje się na Białej Rusi jeszcze tym, że ludność miejscowa, oprócz świąt prawosławnych, czci także większe święta katolickie i ma przeto nową okazję do świętkowania. Katolicyzm ma na Białej Rusi ogromne wpływy i znaczenie, nie tylko śród ludności katolickiej, ale i tej, która formalnie jest prawosławną, tj. byłej unickiej. Białorusini prawosławni nie mają w naturze ani krzty fanatyzmu i prozelityzmu religijnego. Szanują oni i czczą równolegle obie religie, prawosławną i katolicką, i żadne usiłowania popów nie mogą przełamać tej tradycyjnej dwoistości religijnej chłopa białoruskiego. W subtelności dogmatyczne Białorusin się nie bawi i nie zna ich, dokoła w otoczeniu swym ma i prawosławnych, i katolików, którzy właściwie, tak jedni, jak drudzy, mają takie same wierzenia i wyznają jedną religię, będącą pomieszaniem obu. Litwin, który przywykł do jednolitości religijnej, który widzi wszystkich takichże jak on włościan-Litwinów tylko katolików, ma większe poczucie odrębności religijnej, większy fanatyzm; wszystkich innych, nawet chrześcijan, czy to prawosławnych, czy starowierów, czy lutrów uważa za obcych, za heretyków, będących w błędzie i godnych potępienia boskiego i ludzkiego. Białorusin włościanin natomiast nie robi tej różnicy między prawosławnymi a katolikami. Jeszcze z czasów unii, przez setki lat, przywykł on do utożsamiania religii obu obrządków, wschodniego i zachodniego. Tradycja ta zachowała się w ludzie i po skasowaniu unii i przymusowym „przewróceniu” unitów na prawosławie. W swoim własnym środowisku włościańskim widzi on nadal i katolików, i prawosławnych, którzy właściwie niczym się nie różnią, mają te same zwyczaje, przesądy, wierzenia, tryb życia, mowę itd. Jest przeto bardzo tolerancyjny i utożsamia obie religie, uważając różnice tylko za obrzędowe, a w duszy uważa to odgraniczanie religii za wymysł konkurencji popów z księżmi. W wielu chatach prawosławnych Białorusinów rozwieszone są w doskonałej zgodzie obopólnej obrazki i przedmioty czci katolickie z prawosławnymi. Wprawdzie i księża, i popi, i rozmaite czynniki zewnętrzne wpływają mocno w kierunku pogłębienia różnicy, ale dotąd to tradycyjne pomieszanie w pojęciu Białorusinów się utrzymało.
Wieczorem o godz. 7 wyjechałem z Wiązowca na pociąg nocny do Wilna. Dzień był bardzo zimny, taki sam jak wczoraj. Po obiedzie i kilkakrotnie wieczorem, gdym był w drodze, padał obfity śnieg.

24 kwietnia / 7 maja, rok 1913, środa
Raniutko przyjechałem do Wilna. Do obiadu byłem zajęty na mieście i w domu załatwianiem interesów. Po obiedzie poświęciłem resztę dnia aż do późnego wieczora na pracę literacką. W „Lietuvos Žinios” znalazłem nadzwyczaj ciekawy, obszerny, bo aż w trzech numerach drukowany artykuł pod tytułem „Podstawy współżycia”, omawiający kwestię współżycia narodowego w Litwie. Artykuł ten jest pisany z powodu artykułu Mańkowskiego (pseudonim: Jastrzębiec) pod takimże tytułem, drukowanego przed paru miesiącami w „Kurierze Krajowym”. Mańkowski dość powierzchownie i ogólnikowo potraktował kwestię waśni i zatargów polsko-litewskich, uważając takowe przeważnie za wytwór uprzedzeń wzajemnych, nieporozumienia, nieznajomości oraz obustronnego wichrzycielstwa elementów nacjonalistycznych. Za główne remedium uważa on zwalczanie szowinizmu i przypisuje prasie obojga narodów moc skutecznego zażegnania waśni i dokonania misji pojednawczej, o ile prasa ta

zechce zmienić odtąd swe postępowanie i zamiast jątrzenia wzajemnego, wytęży energię do notowania nade wszystko objawów sympatycznych i dodatnich, to znaczy twórczych w rozwoju i działalności obojga narodów. Wierzy, że tą drogą, przez „złoty most” prasy, przejętej poczuciem obowiązków obywatelskich, da się nawiązać nowa „unia kulturalna” dwojga powaśnionych chwilowo narodów. Nie zgłębia natomiast wcale istotnych, bardzo głęboko w stosunkach historycznych, społecznych, ekonomicznych, kulturalnych itd. zagnieżdżonych, a nader realnych czynników tego sporu i zatargu dziejowego. W odpowiedzi na to autor artykułu w „Lietuvos Žinios” kreśli wspaniałe studium analityczne czynników sporu polsko-litewskiego oraz całego układu stosunków narodowych w Litwie, będącego wyrazem bardzo skomplikowanych procesów ekonomicznych, społecznych i etnologicznych. Autor jest daleki od szowinizmu litewskiego, od nienawiści do Polaków, od uprzedzeń natury nacjonalistycznej. Nie waha się obnażyć sytuacji stosunków w całej ich treści wewnętrznej, ujawnić głębokie źródła rozdźwięków, które znamy wszyscy, ale o których przez konwenans, przez brak odwagi cywilnej, przez obawę narażenia się na brak patriotyzmu – my tu w obozie polskim demokratycznym milczymy, sprowadzając rzecz całą do banalnych nieporozumień i błahych płytkich wołań o zgodę i braterstwo. Autor nie tylko zgłębia istotę sporu polsko-litewskiego w jego czynnikach właściwych, ale też znakomicie rozszerza pole badania i diagnozy narodowej w Litwie, biorąc za temat kwestię współżycia narodowego w całej rozciągłości, nie zaś tylko polsko-litewskiego. Kreśli przyczyny, dla których Polacy nie mają bynajmniej prawa domagać się od Litwinów jakiejś faworyzacji przed innymi narodami, zaznacza względy, które dzielą Polaków od Litwinów, wykazuje, że akty historyczne, dokonane ongi przez klasy rządzące, nie mogą być dla współczesnych stosunków i potrzeb demokracji miarodajne, słowem – zrywa śmiało iluzje, którymi się nawet demokracja polska dotychczas łudzić lubi. Jest pesymistą co do możności usunięcia waśni polsko-litewskiej w warunkach obecnych, natomiast optymistą jest, a nawet entuzjastą, gdy kreśli obraz solidarny zespołu demokracji wszystkich narodów, nie wyłączając braterstwa demokracji polskiej z litewską. Słowa jego są przepojone wiarą głęboką w ideały ludowe i najszlachetniejszą aspiracją humanitarną. Na próżno będę tu streszczał wywody autora litewskiego. Przetłumaczyłem artykuł ten od deski do deski, uzupełniłem krótkim wstępem i zakończeniem od siebie, będąc pełny natchnienia pod wpływem humanitarnych przepięknych myśli autora. Chciałem pracę tę dać do „Przeglądu”, bo dla „Kuriera Kr.” jest za duża, ale w toku roboty, porwany pragnieniem lepszej propagandy tej pięknej rzeczy, zmieniłem zamiar i postanowiłem skierować ją do „Kuriera Kr.”, bo „Kurier” jest jako pismo codzienne więcej czytany od „Przeglądu” i artykuły w „Kurierze” mają więcej charakteru opinii demokratycznej, podczas gdy prace „Przeglądu” mają cechę raczej wypowiadania się poszczególnych osobników. Poradzę się co do tego jutro jeszcze z Zasztowtem. Dawno nie czytałem w prasie naszej tak pięknego, tak tchnącego głębokim duchem ludowym i humanitarnym artykułu, jak ten w „Lietuvos Žinios”. W obecnych czasach reakcji, gdy ideały skarlały, artykuł ten brzmi jak fenomen, jak feniks odrodzony z popiołów roku 1905. Autorem jego jest Rimka, prosty włościanin litewski – samouk, nie inteligent, jeden z najwybitniejszych obecnie i najbardziej samodzielnych publicystów litewskich kierunku demokratycznego. Przed rokiem, chroniąc się od represji za organizowanie związków litewskiej młodzieży wiejskiej, umknął za granicę i mieszka obecnie w Litwie Pruskiej. Jest to człowiek niepozorny, bardzo skromny, młody jeszcze, niezmiernie pracowity, myślący bardzo samodzielnie i gorącego serca. Niestety – niedługo zapewne pożyje, bo jest chory na astmę w wysokim stopniu rozwoju.

Po powrocie do Wilna nie zastałem dziś listu ani depeszy od Anny. Podług mego obliczenia, Anna powinna była dziś otrzymać pieniądze na drogę i mój list. Zgodnie z tym listem moim, musiała mi ona dać dziś depeszę z zawiadomieniem o dniu swego wyjazdu z Teodozji. Przez cały dzień czekałem tej depeszy, aż wreszcie doczekałem się na wieczór. Anna wyjeżdża z Teodozji dziś i prosi, abym ją spotkał w Kijowie w hotelu „Europa". Musiałbym wyjechać jutro, aby ją na czas jej przyjazdu w Kijowie spotkać. Ale jutro muszę jeszcze być w Wilnie; wyjadę więc do Kijowa dopiero pozajutro raniutko, aby tegoż dnia wieczorem być w Kijowie. Jutro zatelegrafuję do hotelu „Europa", aby Annę zawiadomiono o moim przyjeździe. Jeżeli wszakże Anna pojedzie morzem na Odessę, jak projektowała poprzednio, to może jeszcze ją w Kijowie uprzedzę.

25 kwietnia / 8 maja, rok 1913, czwartek
Wpierw nim zanieść artykuł wczorajszy (przekład artykułu Rimki z „Lietuvos Žinios") do redakcji, zaniosłem go do Zasztowta, któremu takowy odczytałem. Chodziło mi o poradzenie się z nim jako z człowiekiem bodajże mnie ideowo najbliższym spośród Polaków wileńskich i jako kolegą moim z komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego", dokąd artykuł ten skierować. Zasztowt po wysłuchaniu artykułu był nim zachwycony; i jego też przejął do głębi szczery mocny ton demokratyczny Rimki, pełny humanizmu i gorącej wiary w sprawę ludową. Zasztowt oświadczył się stanowczo za tym, aby artykuł umieścić w „Kurierze Krajowym", nie zaś w „Przeglądzie Wileńskim" i to nie tylko dlatego, że „Przegląd" jest mniej czytany, ale też dlatego, że „Kurier Krajowy" jest bliżej demokracji i tego humanitarnego ludowego stanowiska, którego tak pięknym i szlachetnym wyrazem jest właśnie artykuł Rimki. W „Przeglądzie" artykuł ten byłby faktem odosobnionym, głosem pojedynczym, informacją o nastroju Litwinów, podczas gdy na szpaltach „Kuriera Krajowego" stopi się on z tekstem jako część integralna pisma i będzie niejako zespoleniem się głosu demokratów litewskich z opinią demokracji polskiej. Zgodziłem się z Zasztowtem i zaniosłem artykuł do Mańkowskiego, któremu w obecności też Antoniego Łuckiewicza go odczytałem. Postanowiliśmy drukować go stanowczo w „Kurierze". Jak to wykonać technicznie, aby go umieścić na szczupłych szpaltach pisemka, to już będzie należało do Mańkowskiego. Rozpłatać artykuł szkoda, bo właśnie w całości on najbardziej zyskuje. Powstał projekt wydać go w numerze niedzielnym, dodając do pisma pół arkusza ponad format zwykły; dla opłacenia kosztu tego dodatku Mańkowski ma kołatać do kieszeni Zasztowta. Zasztowt – to człowiek, którego cenię niezmiernie, znakomity nabytek dla Wilna i dla sprawy demokratycznej. Ma duże i wielostronne zdolności, ogromną energię i ruchliwość, czynny jest zawsze i ciągle, wrażliwy na wszelki ideał piękny, pełny niepospolitego temperamentu, żywotny, wesoły, ofiarny. Nie sfilistruje nigdy, nie da zabagnić duszy swojej mętami ociężałego sobkostwa. Ma w sobie zapał żywy, ogromną żywotność młodości; należy do tych wybrańców natury, których wiek nie ugina i nie tępi, którzy są młodzi w wieku dojrzałym i zapewne w starości. Życie w nim kipi, a zawsze w kształtach szlachetnych i pięknych. Nic go dotąd nie ostudziło, pomimo że przeżył chwile rozmaite i że jest zajęty interesami i przedsiębiorstwami spekulacyjnymi, które zazwyczaj przytępiają ideową wrażliwość ducha ludzkiego. Zasztowt – to piękny typ człowieka. Ma zmysł społeczny wysoce rozwinięty, ma gorące poczucie prawdy i sprawiedliwości, ma serce, ma głowę gorącą, lecz dobrze funkcjonującą. Spryt też ma do interesów i znajduje w nich ujście dla swej energii i potrzeby ciągłego ruchu, a do czego się bierze, tym się przejmuje i oddaje całkowicie. Nie umie być połowicznym. Potrzeba ruchu i ciągłej czynności sprawia jeno tę ujemność w Zasztowcie, że się zbyt rozrzuca i bierze ponad siły i możność. Publicystą nie jest, do pracy społecznej jest

zawsze chętny, ale nie może wszystkiemu podołać i zbyt głęboko tkwi w interesach, aby móc się wyłącznie społecznej jakiejś jednej robocie oddać. Zresztą nawet w interesach i przedsięwzięciach spekulacyjnych nie przestaje być człowiekiem społecznym i humanistą. W biurach, na których czele stoi, stosunki z pracującymi są wzorowo szczere, koleżeńskie, ludzkie. To samo w zetknięciu z robotnikami. Jest ludowcem i humanistą nie w teorii tylko, lecz w praktyce codziennej. Kocha też muzykę, wszelkie piękno artystyczne, zabawę. Za to brak mu metodyczności. To człowiek, który zbyt dużo wydaje z siebie, zbyt jest ekspansywny, działa rzutami, skokami dużymi, nie zaś skupieniem.

26 kwietnia / 9 maja, rok 1913, piątek
Nastał wreszcie ten piękny i tyle oczekiwany dzień naszego połączenia się z Anną po tak długim rozstaniu. Koło 2 ½ miesięcy upłynęło od dnia, gdym ją pożegnał w Teodozji. Było to pierwsze tak długie rozstanie w ciągu dwóch lat naszego stosunku. Z Wilna wyjechałem na spotkanie Anny do Kijowa pociągiem pośpiesznym, wychodzącym o godz. 7 z minutami rano. Jest to pociąg prostej komunikacji, bez przesiadania w drodze, bardzo wygodny, bo się jest tegoż wieczora w Kijowie. Im bardziej się zbliżałem do Kijowa, gdzie miałem zastać moją Annę, tym większa mię ogarniała niecierpliwość, połączona z pewnym niepokojem i wzruszeniem. Nie byłem pewny, czy Annę już zastanę i czy nie wyjdzie jakieś nieporozumienie ze skomunikowaniem się naszym co do hotelów. Wreszcie, jak się spotkamy, jak się poczujemy wobec siebie po przerwie tak długiej w stosunkach bezpośrednich? W stosunku tak ścisłym, jaki nas łączy z Anną, przerwa w obcowaniu bezpośrednim żłobi rys głębszy, niż we wszelkim stosunku innym, bo się jest czulszym na wszelkie odcienie uczuć i wrażeń wzajemnych. Poza tym, nade wszystko obchodziła mię kwestia kapitalna, kwestia zdrowia Anny. W jakim stanie zdrowia ją zastanę po tym pobycie w Krymie?
Do Kijowa przyjechałem o godz. 9 ½ wieczorem. Z dworca kolejowego zajechałem wprost do hotelu Europejskiego podług wskazówki Anny w jej depeszy ostatniej. Od szwajcara się dowiedziałem, że Anna już jest, ale że w tej chwili wyszła na miasto. Ponieważ Anna przyjechała przede mną i musiała się już zameldować na podstawie swego paszportu panieńskiego, więc nie mogłem oświadczyć, że jest moją żoną, i musiałem dla pozoru wziąć numer osobny, w sąsiedztwie pokoju Anny. Za chwilę wróciła z miasta Anna i wbiegła zdyszana do mego pokoju. Uściskaliśmy się gorąco i zaczęliśmy gawędzić. Istotnie z twarzy Anna wygląda pełniejsza i zdrowsza, niż była. W rozmowie naszej na razie, pomimo żeśmy się ściskali i najserdeczniej do siebie garnęli, była mimo woli pewna sztywność, ślad rozłąki tak długiej. Dopiero gdyśmy poszli na kolację do restauracji Semadeniego, trochęśmy się rozkrochmalili i zyskali swobodę i równowagę w stosunku wzajemnym. Wszakże i potem, aż do uśnięcia ostatecznego, nie zdołaliśmy ustalić całkowitej swobody i tej bezpośredniości naszego normalnego obcowania. Do końca zachował się pewien leciutki odcień sztuczności dyplomatycznej w stosunku naszym. W hotelu położyliśmy się z Anną na noc w jednym pokoju, razem do łóżka. Zobaczyłem, że jednak Anna zupełnego zdrowia nie odzyskała. Na twarzy lepiej wygląda, ale ciało ma wymizerowane, wątłe, bynajmniej nie zdrowe i jędrne. Żal mi jej było biedaczki, żal taki, że się serce krajało, ale nie chciałem jej odbierać otuchy i ani pisnąłem jej o tym. Kruche to i słabe zdrowie mojej biednej, ukochanej nade wszystko Anny. Co i jak przedsięwziąć, aby ustalić jej siły, przywrócić jej moc zdrowia?
Dowiedziałem się od Anny, że za mało jej było pieniędzy, którem przysłał. Przyjechała do Kijowa z jedną kopiejką w kieszeni i, nie zastawszy mię, musiała zastawić

natychmiast w lombardzie portmonetkę srebrną i medalionik złoty, bo nie miała czym nawet dorożkę z dworca opłacić. Doktor w Teodozji został jeszcze nieopłacony.

27 kwietnia / 10 maja, rok 1913, sobota
Wstaliśmy z Anną późno po nocy niewyspanej, albowiem długo wczoraj z wieczora nie zasypialiśmy. Dziś już zupełnie się nawiązała między nami dawna harmonia i swoboda stosunku. Resztki sztywności i konwenansu prysły. Dopiero koło godz. 2-3 wyszliśmy na miasto. Chodziliśmy po ulicach Kijowa, zwiedziliśmy parę świątyń, wyróżniających się ciekawszą architekturą i zdobnictwem. Tak obejrzeliśmy z zewnątrz i wewnątrz bożnicę (kenesę) karaimską, zbudowaną przed laty kilkunastu w pięknym stylu mauretańskim. Z zewnątrz zwłaszcza fronton świątyni jest bardzo piękny i stylowy, może nawet przeładowany mnogością szczegółów zdobniczych. Wnętrze jest nie mniej piękne, stylowe w całym urządzeniu i ornamentyce, i charakterystyczne. Nasz przewodnik po świątyni, stary Karaim, szpetny i mający typowy wygląd eunucha, udzielał nam wskazówek, uwydatniał wszystko, co zdaniem jego było godniejsze zanotowania, szczycąc się wszelką wspaniałością i badając wrażenie, jakie na nas sprawia. Z przejęciem mówił o czystości starożytnej religii Karaimów, która się wywodzi bezpośrednio z nauki Mojżeszowej, wolna od naleciałości i zboczeń fałszywych, przyjętych, zdaniem jego, przez Żydów. Do Żydów i Talmudu stary Karaim pała nienawiścią. Pienił się dowodząc, że to tylko oni, Karaimi, są jedynymi prawymi spadkobiercami narodu izraelskiego i tradycji Mojżeszowej i że Żydzi są fałszerzami i wyrodnymi synami praojców. Nie chciał przyznać, że Karaimi mają w sobie jakąś krew inną, prócz najczystszej izraelskiej i że są mieszańcami pewnego odłamu Żydów ze starożytnymi ludami czarnomorskimi, przede wszystkim zaś z nawróconymi na judaizm koczowniczymi Chazarami. Sam zaś swym własnym wyglądem fizycznym najlepiej świadczył przeciwko słowom swoim, z fanatyzmu i zarozumiałości sekciarsko-narodowej płynącym: bowiem nie rysy semickie miał w sobie, lecz jakąś rasową maskę mongolską, pomieszaną z dzikim wyrazem koczowników stepowych Południa, jakich szczątki oglądamy w typach cygańskich i właśnie karaimskich. Następnie zwiedziliśmy piękny w stylu bizantyjskim duży sobór św. Włodzimierza. Wspaniałą ozdobę takowego stanowią wewnątrz malowidła ścienne Wasniecowa. Postacie tych malowideł, ich układ cały, od kształtu i ruchu do tła dekoracyjnego, barwy subtelne – wszystko utrzymane znakomicie w stylu sztuki cerkiewnej, pełne natchnienia i ducha mistycznego subtelnej symboliki greckiej. Długośmy zabawili z Anną w soborze, przyglądając się osobliwemu pietyzmowi snujących się po soborze rozmodlonych chłopów ukraińskich. Nastrój religijny u prawosławnych wyraża się cały w wypełnianiu pewnych czynności symboliki zewnętrznej, w symetrycznym i punktualnym wypełnianiu skomplikowanej sztuki sławienia Boga w określonych kształtach obrzędowych. Cały sobór pełny ołtarzyków, szczególnych ruchomych obrazów i przedmiotów kultu. Pielgrzym pobożny wędruje od jednego do drugiego, znaczy siebie wielkimi znakami przeżegnania, bije pokłony przed ołtarzami i obrazami, niektóre całuje, przed innymi zapala świeczki i tak obchodzi całą świątynię dokoła w nastroju najgłębszego rozmodlenia. Niektóre ołtarzyki i obrazy są widocznie bardziej od innych czczone, bo przed nimi wciąż się liczniejsze gromadki skupiają i goręcej i żarliwiej się kłaniają, a świeczek się przed nimi palą roje całe. Inne ołtarzyki są upośledzone – świeczek nie mają wcale, widocznie nie zasługują na to, mniejszą mają u Boga potęgę i uznanie, słabiej i nie tak skutecznie wspierają swych wielbicieli, toteż są opuszczone i mniejszą mają klientelę. Ciekawy jest kult krzyża Zbawiciela w jednej z głównych kaplic bocznych. Duża naturalnej wielkości rozpięta na krzyżu figura jest cała od pasa do dołu przykryta grubą warstwą przeróżnych

zawieszonych sukienek, przepasek, pasków itd. w jaskrawych barwach ukraińskich, tworząc piękną dla oka grę deseni i barw w malowniczym skojarzeniu takowych.
Anna biedaczka czuła się dzisiaj źle, zwłaszcza po obiedzie aż do wieczora. Znowu się odnowiły bóle wewnętrzne połączone z wielkim osłabieniem. Zdaje się, że nie płuca głównie szwankują u Anny. Jeżeli coś tam było w płucach – a zapewne nie suchoty – to musiało przez czas pobytu w Teodozji ustać. Anna nie kaszle wcale i bólu w płucach nie ma. Natomiast ma jakieś cierpienie wewnętrzne, które ją gryzie. Doktor teodozyjski określał to jako zapalenie macicy. Leczenie pomogło doraźnie, ale nie uzdrowiło. Anna na ciele raczej zmizerniała, niż się poprawiła. Wczoraj zaś z wieczora wypiła trochę przy kolacji, spać poszła późno i w nocy za dużo się wymęczyła ze mną, toteż dziś znów jej gorzej. Wstydzi się biedaczka tej słabości swojej jak kalectwa jakiego. Chciałaby być silna i zdrowa. Do tego ma anemię bardzo silną. Należałoby jej się zupełnie wstrzymać od związku z mężczyzną, ale namiętność jej przez chorobę nie zmniejsza się, lecz potęguje.

28 kwietnia / 11 maja, rok 1913, niedziela
Prawie cały dzień spędziliśmy z Anną za domem, na mieście. Zdrowie Anny, po nocy dobrze wypoczętej lepsze. Bóle wczorajsze i osłabienie minęły. Postanowiłem wszakże nie dać za wygraną i, korzystając z pobytu w Kijowie, naradzić się co do stanu zdrowia Anny u dobrego specjalisty-profesora. Jutro mamy się w tym celu zwrócić do prof. Wagnera, o ile się nam to uda, bo zazwyczaj trzeba się u niego zapisać zawczasu i czekać kolejki przez dni kilka lub tydzień. Anna na razie gorąco protestowała przeciwko radzeniu się u profesora ze względu na koszt, ale potem uległa.
Poznając Kijów, staram się go analizować i zwłaszcza zbadać jego stosunek do Ukrainy. Pozornie, w swej szacie zewnętrznej, Kijów nie sprawia wrażenia żywej stolicy narodowej. Mowa na ulicach miasta, w magazynach, w tramwaju – wszędzie rosyjska. Więcej się nawet słyszy języka polskiego niż ukraińskiego w tej stolicy Ukrainy. Dopiero gdzieś na przedmieściach, w jakiejś grupce nędznych wyrobników, w gromadce wiejskich pielgrzymów pobożnych, w rozmowie służby hotelowej w kredensie – dają się czasem usłyszeć dźwięki mowy ukraińskiej. Ma się wrażenie, że mowa ta się kryje wstydliwie, boi się światła dziennego i jawności, nie śmie dźwięczeć otwarcie, głośno, nie uznaje sama swego prawa obywatelstwa. To, co przede wszystkim tu woła głośno o Ukrainie, to wieśniacy na ulicach miasta. Od rana snują się po ulicach malowniczo i barwnie ubrane włościanki, przeważnie młode dziewczęta, w oryginalnych strojach ludowych. Większość ich nosi długie buty, grube jak słoniowe nogi, barwne chustki na głowach, zawiązane w sposób jakiś inny, niż noszą nasze włościanki; starsze kobiety mają pod kolorową chustką rodzaj jakiejś czapki twardej, u wszystkich głowy są obwiązane szeroko. Suknie noszą jaskrawe, przeważnie w drobne kolorowe desenie barwione, na sukni zaś paltocik zwierzchni takiż deseniowy, acz w tonie bardziej szarym; krój sukni oryginalny, spięty u pasa i fałdowany, rozchodzący się niżej w spódnicę krynolinową, szeroką; ulubiona barwa w deseniach – czerwona, przeplatająca się z najrozmaitszymi barwami innymi. Spódnice krótkie, kończące się mniej więcej w połowie między kolanem a kostką. Wygląd włościanek tak ustrojonych jest niepospolicie malowniczy i charakterystyczny. Pełno ich na wszystkich ulicach i na głównej arterii – na Kreszczatyku, w pełnym otoczeniu cywilizacji europejskiej, wśród bogatych oszklonych wystaw magazynów, wśród automobilów, tramwajów elektrycznych i tłumu wielkomiejskiego. Idą pojedynczo, parami, po kilka, niosąc przeważnie na ramieniu długi drąg z przymocowanymi doń po obu stronach garnuszkami glinianymi wydłużonego kształtu, przytrzymując drąg jedną ręką, a drugą wymachując miarowo w takt do szybkiego wielkiego kroku. Co niosą w tych

garnuszkach – nie wiem; są to może mleczarki, choć ilość ich jest tak niepospolicie wielka, że chyba całe miasto żywi się wyłącznie ich dostawą mleka. Oprócz tych pracowitych włościanek, pełniących oczywiście jakąś czynność gospodarczą, snują się po mieście, po wszystkich ulicach i chodnikach, tłumy innych włościan – to liczne kompanie pielgrzymów pobożnych, zwiedzających świątynie, klasztory i miejsca święte Kijowa. Na placach pod cerkwiami obozują oni, siedząc na ziemi wieńcem i spożywając posiłek, a potem wędrują dużymi gromadami od soboru do soboru, gapiąc się na pomniki, zwołując się na placach jak stadka istot osobliwych w tłumie mieszkańców wielkomiejskich. Wszyscy pielgrzymi mają stroje charakterystyczne; szablonowy ubiór miejski nie wyrugował jeszcze na Ukrainie strojów narodowych. Najciekawsze są stroje kobiece. W masach pielgrzymskich, acz przeważa jeden typ stroju, jednak można odróżnić rozmaite odcienie i szczególności odrębne, odpowiadające zapewne rozmaitym miejscowościom i częściom kraju, skąd pochodzą poszczególne pielgrzymki. Każda kompania jest zawsze jednolita. Kilka dostrzegłem kompanii, pochodzących widocznie gdzieś spod Białej Rusi, z guberni czernihowskiej lub może mohylowskiej czy mińskiej: inny krój sukien, spódnice długie, chustki zawiązane jak u nas, nie ma barw i deseniów, na nogach zamiast butów u kobiet – buciki albo łapcie. Ci włościanie ukraińscy, tak liczni w swych charakterystycznych strojach na ulicach Kijowa, to przepiękny żywy fragment dekoracyjny tego miasta. Wieczorem poszedłem z Anną na przedstawienie teatru ukraińskiego. Grano wesołą i dowcipną komedyjkę ukraińską, urozmaiconą śpiewami ludowymi i zabarwioną miłością ludu i swojskich obyczajów ukraińskich. Teatr był pełny. Było to ostatnie przedstawienie jakiejś trupy dramatycznej ukraińskiej. Entuzjazm był olbrzymi, owacjom dla artystów nie było końca. Zwłaszcza młodzież obojga płci, studenci i młode dziewczęta – szaleli i wyli, akcentując zapał uznania dla popularnych artystów. Widoczne było, że przedmiotem entuzjazmu jest nie tylko gra artystów, ale ukraiński narodowy charakter sceny. A jednak publiczność ta mówiła w rozmowie wyłącznie po rosyjsku. Ukraińskiej mowy w rozmowach nie słyszałem, choć umyślnie słuchałem pilnie.

29 kwietnia / 12 maja, rok 1913, poniedziałek

Ruch ukraiński, jako świadomy ruch masowy, nie ustalił się dotąd w Ukrainie rosyjskiej. Potencjalna siła ruchu tego jest bardzo widoczna, wszakże jego stan dynamiczny, czynny, zwłaszcza świadomie czynny, jest w stosunku do obszaru i masy niewielki. Wszakże do kraj olbrzymi – od Karpat aż do Krymu i pod Kaukaz. Ile rozmaitości poszczególnych, ile bogactwa fragmentów, ile odcieni kulturalnych, układów odrębnych na tej przestrzeni. Tam het marniejące szczątki Rusinów pod jarzmem madziarskim, tam Ruś prawosławna na Bukowinie różnojęzycznej, tam świadoma masa ukraińska w Galicji, walcząca czynnie o swe prawa, przodująca w kształceniu kultury narodowej, tam dzielni górale karpaccy, barwni Huculi, tu bliżej Ukraina prawobrzeżna – Podole, Wołyń i Kijowszczyzna, stamtąd na południowy wschód stepy i okręgi przemysłowe, przetłaczające Ukrainę w nowożytną formację kapitalistyczną szablonowej mikstury cywilizacyjnej, a tuż obok poetyczna Małorosja Połtawska i Charkowska, zlewająca się stopniowo na północy z Rosją. Wszędzie inne warunki, inne wpływy i formacje dziejowe. A na tej przestrzeni ogromnej i tak urozmaiconej lud barwny, pełny charakteru, niezmiernie wyrazisty w swych zwyczajach, tradycjach, w swej kulturze etnicznej. Rosjanie z obozu nacjonalistycznego twierdzą, że Ukraińcy stanowią cząstkę integralną narodu rosyjskiego i że język ukraiński jest jeno odmianą dialektyczną rosyjskiego; że większa zachodzi na przykład różnica między narzeczami ludowymi niemieckimi a niemieckim językiem literackim,

niż między „narzeczem” Ukrainy z ogólnym literackim językiem rosyjskim. Tak jest z pewnością. Zapewne też, że język stanowi jedną z kapitalnych cech i jednocześnie czynników formacji narodowej, ale nie on jeden jest bynajmniej miarodajny dla określenia bytu narodowości odrębnej. Właściwości etniczne, kulturalne, charakter, układ psychiczny, tradycje dziejowe, kultura ludowa – to wszystko się składa na utworzenie narodu. A Ukraina ma te cechy bardzo wyraziste i wybitnie różniące ją od wschodu i północy wielkorosyjskiej. I nie tylko we właściwej kulturze ludowej, w zwyczajach i etnograficznych cechach masy włościańskiej, ale w całej kulturze kraju i ludności, we wszystkich warstwach takowej. Ma ona wyrazistość wybitną kultury odrębnej i ma aspiracje swoje rodzime, które ją w rzędzie narodów stawiają, niezależnie nawet od stopnia odrębności językowej. Norwegowie mają język wspólny z Duńczykami, a są narodem, Chorwaci wbrew tożsamości języka nie są narodem serbskim, Francuzi walońscy są Belgami. A zresztą Ukraina ma kult i dla języka własnego, i kult ten w swych przodujących sferach świadomych, najintensywniej wyrażających jej odrębność i jej aspiracje autonomiczne, wciąż pogłębia i podnosi. Wielką dźwignią w rozwoju prądu ukraińskiego jest ten fakt, że posiada Ukraina część swojego terytorium z czteromilionową ludnością – pod zaborem austriackim. Ma tam czynną i świadomą unarodowioną masę ludową, ma inteligencję narodową, ognisko literatury, wpływ na rządy krajowe, szkolnictwo, a już w najbliższej przyszłości i uniwersytet własny. Galicja – to Piemont ukraiński, stanowiący ogromny atut w dziejach unarodowienia Ukrainy. Z obserwacji moich potwierdza mi się wrażenie, które miałem skądinąd zawsze o odrębności Ukrainy od Rosji. Nie tylko sama narodowość ukraińska jest czynnikiem tej odrębności. I Rosjanie ukraińscy, jak u nas Polacy litewscy, mają charakter i typ psychiczny i kulturalny odrębny od rosyjskiego. Są oni dziećmi tejże Ukrainy i streszczają w sobie jej zasadnicze charakterystyczne cechy. I zdaje mi się, że cała ludność Ukrainy, tak narodowa ukraińska, jak rosyjska, stanowi odrębną społeczność, która dopiero w organizacji autonomiczno-państwowej znajdzie najlepszy i jedyny odpowiedni wyraz dla swego bytowania zbiorowego. Stanowisko krajowe mniej więcej tak samo się tam kształtuje w stosunkach, jak u nas na ziemiach litewsko-białoruskich.
Pod wieczór poszliśmy z Anną do ukraińskiego klubu „Rodyna”, gdzie się miało odbyć posiedzenie Ukraińskiego Towarzystwa Narodowego i wygłoszone dwa referaty – „Z dziejów budowy pomnika Chmielnickiego w Kijowie” i drugi – szkic obyczajów szlachty ziemiańskiej na Ukrainie w 30-tych leciech wieku XIX. Słuchanie referatów nie sprawiało mi żadnej trudności. Wśród publiczności, tak jak wczoraj na przedstawieniu teatru ukraińskiego, tak i dziś na odczytach ukraińskich, widoczny był gorący entuzjazm dla wszystkiego, co tchnie miłością do Ukrainy i jej charakteru narodowego. Niewielka sala odczytowa klubu była przepełniona. Publiczność składała się z garstki ludzi starszych, a nawet sędziwych, widocznie starych wytrawnych miłośników i działaczy ruchu ukraińskiego, oraz tłumu entuzjastycznej młodzieży inteligenckiej obojga płci. Średnie pokolenie, będące w sile wieku, świeciło nieobecnością. Widocznie ruch ten entuzjazmuje młodzież i tylko nieliczne silniejsze jednostki trwają w ruchu na całe życie. Wśród publiczności rozmowy toczyły się w klubie prawie wyłącznie po ukraińsku.

30 kwietnia / 13 maja, rok 1913, wtorek
Postanowiłem jeszcze ten dzionek spędzić z Anną w Kijowie – ostatni dzionek naszych wakacji. Nie udało mi się naradzić co do zdrowia Anny u profesora. U profesorów tutejszych trzeba się zapisywać zawczasu i wyczekiwać po dni kilka kolejki. Chciałem

uzyskać przyjęcie wyjątkowo, poza kolejką, ale to mi się nie udało, a przedłużać już pobytu nie mogę.
Dzień nam minął z Anną jak mgnienie oka. Zwiedziliśmy parę ogrodów kijowskich, przejechaliśmy parostatkiem za Dniepr, wreszcie wieczorem poszliśmy do letniego teatrzyku ukraińskiego w ogrodzie miejskim, dość lichego zresztą.
Zdrowie Anny wydaje mi się kiepskie. Nie skarżyła się w tych dniach na nic, nie chorowała, ale osłabienie jest widoczne. Nie na wiele się zdał pobyt w Teodozji i kuracja arszenikowa. Mizerniutka jest moja Anna, wątła, słaba. Humor też miewa często kapryśny, bywa chwilami bardzo drażliwa, znerwowana, co też świadczy o złym stanie zdrowia. Nie wiem, co jej jest właściwie, ale jest w każdym razie niedobrze. Żal mi jej serdeczny; jest jak mała dziewczynka zbiedzona, zmęczona, słabiutka. Potrzebuje ona nade wszystko spokoju, wielkiej troskliwości, opieki i serdeczności. Wyrzucam sobie, że bywam dla niej chwilami niecierpliwy, kapryśny, a wtedy i szorstki. Biedaczka wszelką sprzeczką ze mną bardzo się zawsze martwi; nie umie panować nad sobą, sama w takich chwilach bywa cierpka dla mnie, jak zwykle ludzie znerwowani, potem zaś trapi się niepomiernie tymi małymi, drobiazgowymi utarczkami nerwów, jakie zachodzą między nami, płacze, wyrzuca sobie winy, gryzie się, przesadzając wady swego charakteru i czuje się biedactwo w takich chwilach samotna i opuszczona. Staram się to jej potem nagrodzić zdwojoną serdecznością, ale na zdrowie to jej szkodzi z pewnością. Mam w niej taką wierną kochającą towarzyszkę, taki piękny dar miłości, prześliczny krystaliczny charakter, niezwykle głęboką i szlachetną duszę ludzką, wrażliwą i subtelną a pełną poczucia sprawiedliwości i prawdy, że winienem jej nogi całować, bo jest ona bez porównania wyższa moralnie ode mnie.

1 (14) maja, rok 1913, środa
Pożegnaliśmy Kijów i pociągiem rannym wyjechaliśmy z Anną do Wilna. Pociąg kurierski szybko przebiegał ziemie i dzielnice, dzielące stolicę Ukrainy od stolicy Litwy, a właściwie spornej stolicy Litwy czy Białej Rusi, wiążącej dziś oba kraje, a w przyszłości stać się mogącą kością niezgody między nimi. Od godz. 9 ½ rano do godz. 11 ½ w nocy przesunęła się przed oknami naszego wagonu cała przestrzeń, dzieląca Kijów od Wilna. Po kilkugodzinnej jeździe po ziemi bujnej i płodnej Ukrainy, dotarliśmy koło godz. 2-3 po południu do wołyńskich kresów Polesia. Koło Sarn, gdzie się kolej „południowo-zachodnia”, kijowska, krzyżuje z główną arterią poleskiej, zaczynają się już mokre niziny ubogiego Polesia, urozmaicone pagórkowatymi ławami jałowego piasku, z coraz rzadszymi szmatami żyznej ziemi ukraińskiej. Od Sarn wjeżdżamy coraz głębiej w Polesie i w okolicach Łunińca jesteśmy w samym sercu bagien, w smutnym kraju trzęsawisk pińskich. Widok z okien wagonu coraz smutniejszy, coraz więcej żałosny. Na wiosnę błota te są jeszcze wydatniejsze, niż w innej porze roku. Wszędzie woda, wśród kępek nędznych zarośli, wśród karłowatych lasków, wśród traw sitowatych, na dużych przestrzeniach łąk, po których brodzi bydło, nieraz po pas grzęznące w trzęsawisku. Ma to swój pewien urok dziki, bo błota te zdają się mieć taką samą tragiczną potęgę żywiołu, ciążącego fatalnie nad człowiekiem i mającego władzę nad nim, jak potęga morza, gór itd. Mieszkańcy kraju takiego muszą być fatalistami, muszą mieć głęboki zmysł panteizmu kosmicznego oraz uzdolnienie do poważnego nastroju religijnego. Życie tu – to nie lekka swawola w wygodzie i w łatwym zaspokajaniu pragnień i potrzeb, to mus ciężki w poważnym skupieniu pracy niewdzięcznej. Wreszcie koło Baranowicz wypływamy z bagien i wjeżdżamy w typowy kraj litewsko-białoruski, falisto-pagórkowaty, urozmaicony widokami, pełny roślinności leśnej. Wreszcie robi się ciemno, zmrok zapada. W nocy przyjeżdżamy do Wilna. Zajechaliśmy z Anną do hotelu Sokołowskiego, gdzie zanocowaliśmy we dwoje razem.

2 (15) maja, rok 1913, czwartek
Rano opuściłem hotel i przejechałem z rzeczami do mego mieszkania. Anna została w hotelu, skąd będzie chodzić we dnie po mieście szukać pokoju do wynajęcia dla siebie. Odwiedziłem ją w ciągu dnia parokrotnie. Dużo obejrzała pokojów, ale jeszcze odpowiedniego nie znalazła. Chodzi o to, aby Anna mogła mnie przyjmować w swoim pokoju, a to nie wszędzie jest możliwe.
W „Kurierze Krajowym" jeszcze się nie ukazał artykuł Rimki z „Lietuvos Žinios", którego przekładu w tygodniu ubiegłym, przed wyjazdem do Kijowa, dokonałem. Okazuje się, że wydać pół arkusza dodatkowego do numeru niedzielnego nie udało się. Mogłoby to nastąpić, jak projektowaliśmy, tylko w tym wypadku, gdyby Zasztowt przyjął na siebie koszt wydania dodatkowego pół arkusza, ale Mańkowski krępował się poprosić o to Zasztowta. Wobec tego artykuł Rimki będzie musiał być rozbity na kilka części i drukowany w kilku numerach kolejnych. Mańkowskiego zastałem przygnębionego i zbiedzonego. Oczywiście biedak ma gorzkie zadanie redaktora pisma demokratycznego polskiego. Nie tylko jest redaktorem, ale musi też cały ciężar wydawnictwa dźwigać, wystarać się o pieniądze na opłatę kosztów, czuwać nad całą organizacja pisma. Niewdzięczne to zadanie, jedynie na ofiarności ideowej i wielkim wytężeniu energii fundowane. Ugina się biedak pod ciężarem tej roboty, czuje się zmęczony i niezdrów. Pismo wprawdzie się rozwija, poczytność rośnie powoli, wpływ się ustala, ale i źródła pomocy materialnej wyczerpują się, brak poparcia, niechęć lub obojętność sfer wpływowych – wszystko to wypełnia krzyżową drogę nieszczęsnego pisma. Cała niemal bogatsza inteligencja wileńska odwraca się od pisma, bo ogromna większość jest mu wprost wroga, mniejszość zaś „postępowa" jest co najmniej obojętna, żywiąc w sercu utajone aspiracje w kierunku nacjonalizmu i antysemityzmu, a oddalając się coraz bardziej od haseł demokratycznych i humanitarnych, którym „Kurier Krajowy" służy. Ta mniejszość – to grupa „Przeglądu Wileńskiego" i koło jego sympatyków. „Kurier Krajowy" jest dla nich obcy; sfera sympatyków „Kuriera Krajowego" mieści się przeważnie w niższych warstwach półinteligencji, nie mogącej subsydiować wydawnictwa. Mańkowski bije się więc jak ryba o lód i ma otuchę tylko w wierze w ideał, któremu służy. Czy oceni kiedyś i zapłaci uznaniem nasz wolny lud krajowy wysiłki tych pionierów jego sprawy, którzy dzisiaj dla idei ludowej znoszą prawdziwą martyrologię!
Od dwóch dni dzieją się w Wilnie znowu skandale na tle walk polsko-litewskich. Tym razem stroną winną są niewątpliwie Polacy. Z rozporządzenia administratora diecezji księdza Michalkiewicza Litwinom na majowe nabożeństwo ranne wyznaczony został kościół św. Jana. Nabożeństwo litewskie wyznaczone zostało na godz. 6 rano, to znaczy na taką godzinę, kiedy żadne inne nabożeństwo się nie odbywało. Żadnego przeto uszczuplenia nabożeństw polskich nie było i żadna krzywda Polakom się przez to nie stała. Aliści wczoraj od rana tłum dewotek i najlichszego pospólstwa, ziejącego nienawiścią do Litwinów, wypełnił kościół, aby przemocą nie dopuścić do nabożeństwa litewskiego. Grono pobożnych Litwinów, zebranych na nabożeństwo w kościele, uległo brutalnemu gwałtowi tłuszczy sfanatyzowanej, która dała upust swej namiętności litwinofobskiej. Lżono Litwinów, obrzucano ich przezwiskami, wymyślano od „pogan", „języka pogańskiego", „mariawitów", i nie dopuszczono ani do śpiewów, ani do kazania litewskiego. Dziś jeszcze większa tłuszcza litwinożercza się zebrała w kościele, zwabiona rozgłosem skandalu, i jeszcze namiętniej pogwałciła prawa Litwinów. Tłuszcza ta nie słucha perswazji kapłanów, nie daje się niczym poskromić. Gwałt ten, dokonany na Litwinach, rozprasza bajki o „braterstwie" polsko-litewskim i wskazuje, jakie uczucia żywi ciemny polski tłum wileński do Litwinów. Lud ten niepodobna

winić, bo w swoim rozumieniu broni on sprawy, w którą święcie wierzy. Napadając – broni. Ale ubolewać można nad ciemnotą jego, nad upadkiem kultury, zanikiem uczuć ludzkich i obywatelskich w skutku długiej agitacji nacjonalistycznej, najściślej zbratanej z klerykalną. Ta agitacja jest istotną winowajczynią sprawy. Na pogwałceniu Litwinów sprawa polska nie wygra nic, przeciwnie – straci dużo, a zyska jeno wstyd i upokorzenie, natomiast Litwini mieć będą zwycięstwo moralne jako prześladowani. Zwycięstwo polskie, zdobyte przez tłuszczę dewotek, będzie zwycięstwem Pyrrusa. Bolesny to fakt, smutny, napełniający ducha wstydem. Kucharka nasza, Litwinka Anusia Dirżysówna płakała po powrocie z kościoła – tak uczuła boleśnie prześladowanie Litwinów przez Polaków za język, za narodowość. Nic tak nie przysparza prozelitów sprawie litewskiej, jak tego rodzaju akty prześladowania i gwałtu. Anusia, przyjeżdżając do Wilna przed laty trzema, była narodowo obojętna i dopiero tu w Wilnie stała się patriotką litewską i znienawidziła Polaków, widząc stosunek ich pogardliwy, wrogi do Litwinów. Pryskają coraz bardziej iluzje o braterstwie, o zgodzie, o unii i miłości wzajemnej. Do jakiegoż stopnia zbrukają czyny roznamiętnionej tłuszczy i jej inspiratorów imię polskie i sprawę polską i do jakiego stopnia spodlą nieszczęśliwy męczeński sztandar narodowy Polaków.

3 (16) maja, rok 1913, piątek
Anna wczoraj i dziś do obiadu bezskutecznie szukała sobie mieszkania. Obeszła dzielnicę Rossę, Zarzecze i Antokol i nic odpowiedniego nie znalazła. Kilka pokojów względnie jej się więcej podobało, ale na żaden się ostatecznie nie zdecydowała. Po obiedzie odwiedziłem ją w hotelu Sokołowskiego i następnie poszliśmy z nią razem obejrzeć niektóre z pokojów, które ewentualnie mogłyby się nadawać do wynajęcia. Poszliśmy wprost na ulicę Monastyrską, gdzie w domu pod nr 13 Anna zanotowała jeden niezły pokoik. Pokoik ten się nam podobał i bez długiego namysłu zdecydowaliśmy się nań. Tak więc Anna będzie znowu mieszkała w tym samym domu, w którym mieszkała przeszłej zimy z r. 1911 na 1912. Pokoik teraz jest inny, nie ten sam, który wówczas miała i nie w tym samym domku nawet, ale na tym samym dziedzińcu. Dobrze jest to, że w tym domu znają już Annę jako dawną mieszkankę i że przeto nie będą się na nią krzywili z powodu mych częstych odwiedzin wieczornych. Będzie też Anna mogła korzystać z ogródka ładnego, który tam jest – jak w roku zeszłym. Pokoik nieduży, dość ciemny, z wejściem przez kuchnię, ale czysty, a zwłaszcza dobrze, że w znajomym domu. Los sprzągł Annę tradycyjnie z ulicą Monastyrską. Od dwóch lat zawsze przy tej samej ulicy znajduje pokoik.
Napisałem dziś artykuł do „Kuriera Krajowego" z powodu zajść polsko-litewskich w kościele św. Jana. Rano już był o tym artykuł w „Kurierze Krajowym", mój więc będzie drugi. Uważałem wszakże, że sprawa jest o tyle ważna i gorąca, że bynajmniej za wyczerpaną uważna być nie może. Chodziło mi zwłaszcza o uwydatnienie dwulicowości „Kuriera Litewskiego", który pisząc o tych zajściach, umyślnie we wstrętny sposób insynuował, żeby jakikolwiek cień rzucić na Litwinów i przenieść odpowiedzialność z bezpośrednich sprawców gwałtu na pogwałconych. Zasadniczo rad jestem z mojego artykułu, aczkolwiek miałem potem pewne wątpliwości co do drukowania go. Boję się, aby umieszczenie w dwóch numerach kolejnych dwóch artykułów zasadniczych na ten sam temat, krytykujących ostro brutalne przejawy nacjonalizmu polskiego i gwałtu, zadanego Litwinom, nie zaszkodziło pismu i nie dało przeciwko niemu broni do rąk wrogów w tak wrażliwej pod względem narodowym opinii polskiej. Trzeba się z tym liczyć, że nacjonalizm jest u Polaków rozwinięty przesadnie i że żadne względy humanitarne nie są w stanie trafić do umysłów, przejętych nastrojem nacjonalistycznym. Nie cofnąłem wszakże artykułu.

Wieczorem byłem u Szklennika na posiedzeniu Zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Na ogólnym zebraniu tego Towarzystwa, które się odbyło w czasie mego pobytu w Kijowie, wybrany zostałem do zarządu. W zarządzie wyznaczono mi funkcje sekretarza. Omówiliśmy dziś program zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych gub. wileńskiej, którego termin zwołania wyznaczyliśmy na 14 i 15 września. Podanie do gubernatora dla uzyskania pozwolenia na zjazd jest gotowe i wniesione zostanie po następnym zebraniu zarządu.
Od Szklennika poszedłem do Klotta na zebranie grupy „Przeglądu Wileńskiego”. Obecni byli na zebraniu: Klott, Krzyżanowski, Witold i Ludwik Abramowiczowie, Budny i ja. Ludwik znowu agitował za przyjęciem programu niepodległościowego, w zasadzie bardzo słusznego, ale zbudowanego na podstawie ściśle nacjonalistycznej z odrzuceniem społecznych haseł ludowych. Pod tym względem zebranie dzisiejsze nic nowego nie dało. Wałkowano dużo, ale wciąż tak samo, jak zawsze – zdawkowymi frazesami. Grupa „postępowców” przeglądowych chora jest na przedwczesny uwiąd starczy. Właściwie wszyscy oni albo prawie wszyscy wzdychają w głębi serca do nacjonalistycznych ideałów Ludwika, jeno przez zadawniony nałóg i tradycję wstydzą się jeszcze odrzucić jawnie hasła demokratyczne. Zdaje mi się wszakże, że ostatecznie po jakimś czasie koncepcja nacjonalistyczna Ludwika w tej grupie zwycięży. Obym był złym prorokiem.

4 (17) maja, rok 1913, sobota
Rano Anna wniosła się już do swego nowego pokoiku. Wieczorem ją odwiedziłem i poszliśmy razem na spacer do Ogrodu Bernardyńskiego, gdzie, korzystając z ciepłego pogodnego wieczora, zabawiliśmy dłużej, gawędząc i napawając się pięknym widokiem na malownicze kontury gór i wąwozów, urywających się nad łożyskiem wartkiej Wilejki naprzeciwko ogrodu. Znów się zaczęły nasze wspólne wieczory z Anną, spokojne, serdeczne, opromienione nie tylko głębokim uczuciem wzajemnym, ale i ślicznym czystym nastrojem myśli i wymiany spostrzeżeń i wrażeń, pełnych zawsze ze strony Anny gorącego humanizmu. Czasem, reagując na jakieś zjawisko czy fakt z życia bieżącego, Anna tak głęboko ująć potrafi swą duszą wrażliwą istotę rzeczy, odsłonić ohydę i podłość ludzką, uwydatnić nerw krzywdy, przeciwstawić temu nieskalane piękno sprawiedliwości i szlachetny zapał wolności, że się ma w szarej powszedniej rozmowie, zupełnie niespodzianie, przepyszne perły myśli i uczucia ludzkiego, nieśmiertelne znamiona Boskie, które stanowią chwałę i piękno mojej Anny. Jest to dusza niepowszednia, nie znosząca obłudy, brzydząca się pozorami, miłująca namiętnie prawdę, wolna całkowicie od hipokryzji, na wskroś szlachetna i jednolita.
Z Anną doznaję rozkoszy w obcowaniu duchowym, jakich obcowanie z innymi ludźmi mi nie daje, zwłaszcza tu, w tym Wilnie, gdzie nawet najlepsze pozornie jednostki, te, które z tradycji wyznają rzekomo ideały wolnościowe i humanitarne, są zatrute jadem filisterstwa i stopniowo toną w atmosferze obłudy. Najboleśniej to odczuwam szczególnie w chwilach takich, gdy w stosunkach bieżących zajdzie jakiś fakt, ostrzej poruszający opinię, jak na przykład teraz sprawa gwałtów na Litwinach, dokonanych przez sfanatyzowaną tłuszczę dewotek polskich. Nie ogólniki, lecz stosunek do tych faktów konkretnych jest istotnym probierzem „postępowości” panów postępowców. Tu bowiem trzeba wykazać rzeczywistą moc swych przekonań – wbrew popularnej opinii i wbrew namiętnościom tłumów. I tu nasi „postępowcy” stają po stronie popularnej opinii, bo nie mają odwagi jej się narazić, bo się dają nią zasugestionować. Dla mnie to jest fakt boleśniejszy, smutniej świadczący o upadku ideowości w wileńskich kołach polskich, niż najbrutalniejsze ekscesy ciemnych biednych tłumów, sfanatyzowanych, kierowanych pokątną agitacją, naiwnie z prostotą wierzących w słuszność swej sprawy.

5 (18) maja, rok 1913, niedziela
Skończyłem dziś 33 lata. Są to tzw. lata Chrystusowe. Tradycja głosi, że w tym wieku Chrystus rozpoczął swą misję nauczania ludzi. W tradycji tej mieści się zapewne ziarnko mądrości. Wiek ten nie ma z pewnością tyle wybuchowej wulkanicznej siły, co ma młodość, ale u tych ludzi, których dusza nie została dotąd wystudzona kupieckim zmysłem interesu, względami kariery i wygody osobistej, wypalona namiętnością – wiek dojrzały ma większą moc skupienia wewnętrznego, tego, co zwiemy przekonaniem, i zapał, stąd płynący, ma większą trwałość, ma granitową moc, która mu nadaje wybitne uzdolnienie do czynu.
Napisałem dziś dużą część mojej pracy ze stosunków ekonomicznych krajowych, której się podjąłem dla nowego pisma, kwartalnika, poświęconego sprawom handlu i przemysłu krajowego. Jest to pismo, zainicjowane przez grono kupców i handlowców chrześcijańskich w Wilnie, na którego czele stoi Stadziewicz. Wydawnictwo to ma, zdaje się, mieć charakter spekulacyjny, bo chociaż grupa inicjatorów jego nie liczy na zyski bezpośrednie, jednak spodziewa się zużytkować pismo dla celów reklamy firm handlowych wileńskich. Praca moja dzisiejsza – to artykuł większych rozmiarów, w którym uwydatniam i systematyzuję zasadnicze rysy naszej gospodarki krajowej w dziedzinie stosunków rolnych i przemysłowych. Bez względu na spekulacyjny, reklamowy bodaj charakter pisma, sądzę, że jest ono bardzo na dobie i że może się stać bardzo dodatnim czynnikiem publicystycznym w ożywiającym się ruchu ekonomicznym kraju naszego. Dotąd, jak wiem od Stadziewicza, mają oni do pierwszego numeru zapewnione następujące artykuły, oprócz mojego: wstępny krótki artykulik redakcyjny, uzasadniający potrzebę takiego wydawnictwa i kreślący zadania jego, długi artykuł inżyniera Januszewskiego o drobnym przemyśle ludowym (tak zwanym w terminologii rosyjskiej – „*kustarnym*”), dalej artykuł Władysława Łastowskiego (Białorusina z „Naszej Niwy”) o handlu lnem, wreszcie artykulik porównawczo-statystyczny Wilpiszewskiego o stanie naszego przemysłu z przemysłem Królestwa Polskiego.
Całe poobiedzie spędziłem z Anną. Dzień był ciepły, suchy, bardzo wietrzny. Wiatr robił powietrze wiosenne bardzo aromatycznym, roznosząc woń młodych liści, kwiatów drzew owocowych bzu itd. Byliśmy z Anną w parku przy Kolonii Bankowej na Rossie, potem na cmentarzu Rossie, wreszcie wieczorem wróciliśmy do jej pokoju, gdzie zostałem na herbacie i zabawiłem do godz. przeszło dziesiątej.

6 (19) maja, rok 1913, poniedziałek
Do obiadu zajęty byłem pisaniem dalszego ciągu artykułu do nowego kwartalnika ekonomicznego.
Po obiedzie, korzystając z galówki, wybrałem się z Anną na wycieczkę zamiejską. Pojechaliśmy mianowicie parostatkiem po Wilii do Trynopola. Tam wysiedliśmy i poszliśmy pieszo. Spacerowaliśmy, siadaliśmy wypoczywać, wybierając miejsca bardziej malownicze. Śliczna ta okolica pod Werkami i Kalwarią. Piękna wiosna napełnia widoki życiem. Z widokiem wzgórz zielonych, lasków, dolin łączy się zapach wiosennej roślinności, śpiew słowika, kukanie kukułek i świergot ptactwa, a w osadach wiejskich gwar i krzątanina ludzka, ruch bydła na pastwiskach, wszędzie życie dokoła. Zaszliśmy do jakiegoś folwarku, położonego przy szosie, gdzie napiliśmy się mleka ze świeżego udoju wieczornego. Wycieczka udała się nam znakomicie. Nic nie zamąciło pogody w naturze oraz w naszym stosunku wzajemnym. O godz. 9 wyjechaliśmy powrotnym parostatkiem do Wilna. Odprowadziłem Annę do domu, ale nie

zachodziłem do niej, bo nie chcę w pierwszych dniach jej nowego zamieszkania zbyt manifestować naszego wzajemnego stosunku wobec gospodarzy jej mieszkania.
Zdaje się, że z „Kurierem Krajowym" jest bardzo krucho. Nie wiem, czy pismo zdoła byt swój utrwalić. Źródła, z których można czerpać uzupełniające środki na wydawnictwo, są bardzo szczupłe i już się wyczerpują. Biedny Mańkowski biega po mieście, łata jak może, szuka ciągle doraźnych subsydiów lub pożyczki. Dziś był z tym u mnie. Chyba tylko radykalny środek, oddanie pisma w ręce jakiejś mocniejszej grupy wydawniczej, mogłoby zapewnić byt jego. Ale gdzie i jak taką grupę znaleźć, z tym, aby pismo nie zboczyło z drogi ideałów ludowych.

7 (20) maja, rok 1913, wtorek
Dzień mi zeszedł przeważnie na rozmaitych pilnych prawniczych interesach bieżących. Wieczór, jak zwykle, spędziłem u Anny. Ponieważ było chłodnawo i deszczyk kropił, więc nie chodziliśmy wcale na spacer; siedzieliśmy w jej pokoiku, spożywając improwizowaną kolację wegetariańską, złożoną z redys, chleba, masła, mizerii z ogórków, mleka kwaśnego, babki i herbaty.
Przysłał mi dziś Ślażewicz do przejrzenia tłumaczenie litewskie mojego artykułu, pisanego przed 4 laty, w r. 1909, przeznaczonego do druku w nielegalnym zagranicznym organie Litewskiej partii Demokratycznej „Varpasie". Wtedy już, przed czterema laty, był projekt wznowienia wydawnictwa „Varpasu" jako swobodnego, nie krępowanego cenzurą, organu stronnictwa demokratycznego, nawiązując do świetnych tradycji starego „Varpasu", organu Kudirki i Pawła Wyszyńskiego, natchnionych luminarzy demokracji litewskiej. W dobie reakcji prasa legalna, krępowana więzami przymusu politycznego, wystarczyć nie mogła. Jeżeli wystarczała na bieżące potrzeby czytelnictwa publiczności litewskiej, to nie wystarczała dla celów ustalenia zasadniczych ideowych i programowych drogowskazów stronnictwa demokratycznego wobec życia bieżącego. „Varpas" miał powstać jako organ porozumiewawczy litewskiej inteligencji demokratycznej, jako kuźnica ideowa demokracji. W r. 1909 projekt ten spełzł jednak na niczym. Zabrakło środków, nie tylko pieniężnych, ale i organizacyjnych dla wydawnictwa zagranicznego, przeznaczonego dla tajnego kolportażu w granice państwa rosyjskiego. Dopiero w tym roku projekt ten został wreszcie wykonany. Zostało to ułatwione przez przyjazd i osiedlenie się w Prusach Rimki, jednego z wybitnych publicystów i pracowników litewskiego ruchu demokratycznego, który zmuszony został wyemigrować z Rosji ze względów politycznych. Niedawno wyszedł numer 1 wznowionego „Varpasu", bardzo treściwy i ciekawy, pełny treści programowej. Mój artykuł, który przeleżał lat cztery w archiwum, zostanie teraz wydrukowany w „Varpasie". Artykuł nie zestarzał wcale, nie stracił nic na swej wartości zasadniczej. Jest to powitanie wznowionego „Varpasu" z obozu demokracji polskiej z zaznaczeniem zadań społecznych i narodowych pisma oraz więzów solidarności, która łączy całą demokrację ludową.

8 (21) maja, rok 1913, środa
Dzień „białego kwiatka" na rzecz Ligi Przeciwgruźlicznej. Znowu ten sam dzień, co w roku zeszłym – 8 maja. Ale tegoroczny „biały kwiatek" nie udał się tak, jak ubiegły. Przede wszystkim, zawiodła pogoda. W roku zeszłym był tego dnia upał słoneczny, tłumy wylały się na miasto, nastrój był wesoły, pełny podniecenia, życie uliczne zakwitło nagle w tym jednym dniu w naszym skupionym Wilnie jak prawie na kipiących ulicach ekspansywnego południa. Dziś natomiast od rana było chłodno, mżył deszczyk, słońce się schowało głęboko za chmury. W tym roku nie brałem udziału w sprzedaży kwiatka. Nie było pogody, nie było też nastroju zeszłorocznego na ulicach.

Wilno było sztywne na zewnątrz. Może zresztą nie sama tylko pogoda na to wpłynęła. Może Wilno już wyczerpało swą ekspansywność jak nasze blade słońce północne, które każdy swój promień jaskrawszy każe nam opłacić długimi tygodniami i miesiącami słoty. W roku zeszłym „biały kwiatek" uliczny był dla Wilna nowiną, toteż się zdobyło ono na wesołość wyjątkową, niezwykłą w charakterze jego. Teraz – to spowszedniało. Nie pomógł nic udekorowany „kwiatkami" automobil, sensacyjnie rozjeżdżający po mieście, ani także przystrojony wózek, wyglądający bardzo efektownie. Zresztą pod wieczór nastrój, zdaje się, ożywił. Nie sprawdziłem tego osobiście, bo po obiedzie nie wychodziłem wcale z domu, ale z mieszkania mego słyszałem na ulicy ruch i gwar niezwykły do późnego wieczora. Marynia przejęta sprzedażą „kwiatka", prawie cały dzień bez wytchnienia na ulicy; czuje się w swoim żywiole. Papa, który jest w Wilnie, szukał skwapliwie wrażeń „kwiatka" ulicznego. Daje obficie, kupuje od każdej kwiaciarki, ale zarzuca, że są one za mało natrętne, nie dość energicznie zaczepiają przechodniów.
Z Anną się dziś nie widziałem wcale. Po obiedzie wykończyłem mój artykuł do kwartalnika ekonomicznego. Pod wieczór byli u mnie Mańkowski i Zasztowt – to znaczy był komitet redakcyjny „Kuriera Krajowego". Zebraliśmy się dla uradzenia w sprawie finansowej organizacji pisma. Dotąd pismo żyło łataniną i cały byt jego opierał się na przemyślności Mańkowskiego, który nie tylko miał całą redakcję na głowie swojej, ale i wyszukanie środków na pokrywanie ciągłego deficytu (deficyt obecny wynosi przeszło rb. 200 miesięcznie). Tak dłużej być nie może, bo ostatecznie źródła zasiłków się wyczerpują i niepodobna przeciążać Mańkowskiego najohydniejszą demoralizującą robotą, równającą się niemal żebraninie. Trzeba pomyśleć o tym, aby pismo uspołecznić, oddać go w ręce jakiejś grupy i zwolnić redakcję od niewłaściwej roboty ciągłego poszukiwania pieniędzy. Wszakże nie tak to łatwo wykonać, bo nie wiadomo, na jakiej grupie się oprzeć. Ruch demokratyczny polski jest u nas właśnie dlatego tak słaby, że nie opiera się na żadnej wyraźnej i świadomej warstwie społecznej i nie ma żadnej zorganizowanej grupy, co stanowi siłę niewzruszoną w demokratycznym ruchu litewskim i nawet białoruskim. Ruch demokratyczny polski pcha się dotąd tylko wysiłkami jednostek inteligenckich odosobnionych, oderwanych od podłoża realnego. „Kurier Krajowy" ma wprawdzie swój zastęp sympatyków, ale jak takowych wyłapać i skupić, zwłaszcza że to są przeważnie elementy społecznie niezdyscyplinowane i bardzo rozproszone. W kołach zaś inteligenckich, nawet wśród tzw. „postępowców", jest on bardzo niepopularny. Umyśliliśmy zwołać szersze zebranie sympatyków pisma, których listę wraz z odezwą mamy ułożyć pozajutro. Zebraniu temu mamy zaproponować, aby ono przez jakieś ciało specjalne, wydelegowane z jego łona, ujęło w swe ręce organizację wydawniczą pisma i obmyśliło sposoby ustalenia pisma jako jedynego u nas organu sprawy demokratycznej. W każdym razie uznaliśmy, że „przeglądowców" na to zebranie nie wezwiemy, bo oni są największymi wrogami pisma. Została w zawieszeniu sprawa wezwania do współudziału esdeków – ja jestem bardzo za tym. Możliwe, że wezwiemy do współudziału demokratów-Litwinów.
Papa był dziś u mojej teściowej Edwardowej Römerowej i dowiedział się, że córka moja Cesia chora na koklusz. Na razie ta wiadomość nie bardzo mię poruszyła, jeno doznałem przykrego wrażenia, jak gdybym to ja przez moją obojętność dla córki zawinił wobec niej i nawet był sprawcą mistycznym tej choroby. Stopniowo wieść o chorobie córki zaczęła mię bardziej niepokoić. Pomimo wszystko czuję, że nie jest mi ona obojętna. Boję się pomyśleć o niebezpieczeństwie dla jej życia.

9 (22) maja, rok 1913, czwartek

Korzystając z galówki, spędziłem większą część dnia z Anną. Niepogoda nie dała nam zrobić jakiejś wycieczki zamiejskiej, więc poza miasto nie wychyliliśmy się. Przed obiadem byliśmy z Anną w Ogrodzie Bernardyńskim, po obiedzie chodziliśmy po mieście, byliśmy na kawie w Sielskiej, wreszcie wieczór i skromna kolacja wegetariańska – u Anny. Nie potrzebuję szukać jakichś wrażeń zewnętrznych, gdy jestem z Anną. Owszem – wycieczki są miłe, dostarczają nam rozrywki i przyjemności obcowania z naturą, ale to jest tylko tło, nie zaś treść naszej przyjemności. Treść przyjemności mieści się całkowicie w naszym wzajemnym stosunku. Anna sama dostarcza mi z siebie wrażeń bez liku. Jest ona tak przywiązana do mnie, tak oddana, jak najwierniejsze stworzenie, jak tylko kobieta kochająca wierną i oddaną być umie. Żyje mną tylko, od rana do wieczora myśl jej zwraca się do mnie. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma żadnej pracy, gdy ją nic nie odrywa, całkowicie się w myśli o mnie zamyka. Gdy mnie nie ma, myśli o mnie, przeżywa we wspomnieniach rozmaite ubiegłe szczegóły naszego stosunku. Pamięta najdrobniejsze rzeczy z zadziwiającą ścisłością szczegółów. Biegnie na ulicę Wileńską, choć żeby spojrzeć na balkon mego mieszkania, do okien moich z daleka. Tęskni do wieczora, przez tydzień cały wzdycha do niedzieli. Jeżeli nie przyjdę, gniewa się na mnie i ma żal, jak żebym krzywdę jej wyrządził. Pamięta w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co jej kiedykolwiek opowiedziałem, wie i pamięta z opowiadań moich najdokładniej wszystko o znajomych moich, o rodzinie, o jakichś wypadkach, okolicznościach i rzeczach, o których często ja sam po opowiedzeniu jej zdążyłem zapomnieć. Tak ciągle o tym myśli i tym żyje, że wyćwiczyła sobie w rzeczach, mnie obchodzących lub ode mnie pochodzących, pamięć i wrażliwość zgoła niepospolitą. To ją pochłania, to wypełnia całe jej życie. Spełniła ona zaiste przykazanie Boskie o małżeństwie, podług którego kobieta-żona wciela się w męża i żyje jego życiem. Anna moja urzeczywistnia w najwyższym stopniu ten ideał kobiety kochającej, kobiety-żony. Całą istotą swoją wrasta w życie moje, cała się w nie pogrąża. Nie ma dla niej zabawy beze mnie, nie ma rozrywki i wrażeń poza mną. Wszakże Anna nie zatraca w tym swej osobowości, nie staje się bierną. Przeciwnie – osobowość jej w obcowaniu ze mną nabiera wyrazistości i mocy. I to skojarzenie wybitnej indywidualności z nie mniej wybitnym kobiecym wrośnięciem w życie i osobowość kochanego mężczyzny to jest cechą najcharakterystyczniejszą stanu mojej Anny.

10 (23) maja, rok 1913, piątek

Miało być dziś zebranie „komitetu redakcyjnego" „Kuriera Krajowego", to znaczy zebranie złożone z Zasztowta, Mańkowskiego i mnie – dla ułożenia mniej więcej listy osób, które można uważać za sympatyków „Kuriera Krajowego" i które należałoby zaprosić na projektowane przez nas szersze zebranie dla omówienia sprawy wydawniczej oraz kierunku pisma. Ale Zasztowt nie przyszedł i my z Mańkowskim bez niego nic nie uradziliśmy. Co będzie z „Kurierem Krajowym" – nie wiem. Cóż mówić o szerszym zebraniu sympatyków, kiedy tak ścisła organizacja, jak komitet redakcyjny, złożony z trzech osób, nie jest w stanie funkcjonować. Nie mówiąc już o jakichś systematycznych periodycznych zebraniach komitetu dla stałego kierownictwa pismem – nawet zebrania doraźne dla omówienia poszczególnej kwestii nie dochodzą prawie nigdy do skutku. Koła, wśród których „Kurier Krajowy" może liczyć na sympatię i poparcie, to są koła półinteligencji, młodzieży pracującej w kancelariach, biurach, urzędach itp., nielicznych elementów rzemieślniczych i robotników bardziej uświadomionych. Te elementy są luźne, rozproszone, za mało czynne, za mało uzdolnione i wprawione do jakiejś akcji zbiorowej. Poza tym, są one materialnie bardzo ubogie i zasiłku pieniężnego na pokrycie deficytu wydawniczego dać nie zdołają.

Natomiast sfery inteligenckie polskie, nie wyłączając tzw. „postępowców", są prawie powszechnie pismu wrogie. Względnie najbardziej zwarta i najbardziej wyrazista grupa „postępowa" inteligencka, mianowicie grupa „przeglądowa", jest w jaskrawym antagonizmie do „Kuriera Krajowego". Liczyć przeto, aby półinteligenckie elementy sympatyków pisma, wezwane na zebranie, zdołały sfinansować wydawnictwo – to iluzja. Zebranie takie jest tylko o tyle pożądane, że może ono spopularyzować „Kurier Krajowy", może nawiązać kontakt bliższy między czytelnikami a redakcja, uspołecznić pismo w pewnej mierze. Ale właściwe sfinansowanie pisma tą drogą się nie dokona. Muszą być jakieś źródła inne. Jakimi były dotąd te źródła – to wie dobrze tylko Mańkowski. On sam najwięcej łożył na pismo osobiście, poza tym subsydiowali je po trochę dr Sumorok, Zasztowt, Osmołowski, ja i bodajże głównie Iwan Łuckiewicz ze źródeł jemu tylko osobiście znanych. Ale tego za mało i to się już wyczerpuje. Nie mogę powiedzieć, abym był całkowicie z pisma tego zadowolony, widzę braki redakcji i kierunku, ale bądź co bądź zajęło ono placówkę pracy pożytecznej.
Słyszałem, że się odbyło wczoraj w Klubie Bankowym poufne pewne zebranie polskie dla wyrażenia protestu przeciwko rozporządzeniu Michalkiewicza o zamknięciu wszelkich nabożeństw majowych w kościele św. Jana z powodu niedopuszczenia przez parafian-Polaków nabożeństw litewskich. W zebraniu tym brały podobno udział elementy endeckie i klerykalno-narodowe. Jest to jeden z epizodów w łańcuchu walki polsko-litewskiej, która się toczy na gruncie językowo-kościelnym. Szczegółów zebrania tego oraz uchwalonego protestu – nie znam.

11 (24) maja, rok 1913, sobota
Zdaje się, że nastanie wkrótce moment rozpadnięcia się „Przeglądu Wileńskiego". Nie mówię tu o rozłamie, który się coraz widoczniej zaznacza między ogółem grupy „przeglądowej" a mną i Zasztowtem. Jest to właściwie fakt dokonany. Choć formalnie nie wystąpiliśmy z Zasztowtem z grupy, jednak merytorycznie jesteśmy z nią niesolidarni i od dawna idziemy innymi drogami. Ale i w samym łonie większości grupy rośnie rozdźwięk między opinią ogółu jej członków a jej urzędowym wykonawcą, redaktorem jej organu, Ludwikiem Abramowiczem. Ogół grupy, choć żywi wyraźne aspiracje nacjonalistyczne w postaci zwłaszcza antysemityzmu i dążenia do ostrego odosobnienia akcji demokratycznej polskiej od prądów demokratycznych innych narodowości krajowych, jednak nie godzi się zasadniczo na skrajny wyraz nacjonalizmu, reprezentowany przez Ludwika. W ideologii Ludwika interes narodowy odosabnia się zupełnie od wszelkiego zagadnienia i tła społecznego, na co się ogół „przeglądowców" się nie godzi, bo bądź co bądź wyznaje ideały ludowe i wierzy w siłę twórczą demokratycznego czynnika społecznego. Na tym gruncie pogłębia się rozdźwięk grupy z Ludwikiem, a choć Ludwik dotąd miarkuje w „Przeglądzie" swą osobista ideologię i nie daje jej na szpaltach pisma zupełnego wyrazu, jednak ogół grupy czuje i rozumie, że sytuacja taka jest niebezpieczną i że organ grupy, nie służąc szczerze jej aspiracjom, podążać będzie raczej w kierunku oddalania się, niż zbliżania w stosunku do zadań społecznych takich, jakimi je grupa rozumie. Wobec tego upada w grupie wiara do jej własnego organu i dzieła, do „Przeglądu", i utrwala się myśl o tym, że pismo, nie służąc swemu założeniu, traci racje bytu i staje się rzeczą niepotrzebną, nieprodukcyjnie kosztowną. Na tym tle, jak mię doszły wieści, działać zaczyna Nagrodzki, niewątpliwie najwybitniejszy i najbardziej ideowy z „przeglądowców". Nagrodzki, któremu chodzi szczerze o sprawę ludową, który jej w ofierze składa całą wiarę swoją, od dawna jest do „Przeglądu" zrażony, nie dlatego, żeby mu się nie podobał kierunek przekonaniowy pisma, ale po prostu dlatego, że pismo jest zupełnie niezdatne dla podźwignięcia ruchu ludowego. „Przegląd" to organ wyłącznie i ściśle

inteligencki. Ani tematy w nim poruszane, ani sposób wypowiadania się nie jest przystosowany do potrzeb i umysłowości ludu. „Przegląd" jest po prostu organem garstki inteligencji, która go sama wydaje i czyta. Żadnej roli w ruchu ludowym spełnić nie może. Ze stanowiska Nagrodzkiego, to znaczy ze stanowiska ludowego, „Przegląd" jest rzeczą jałową. Na zebrania dyskusyjne grupy „przeglądowej", gdzie się wciąż wałkują spory subtelnych odcieni ideologicznych i gdzie ostatecznie każdy zostaje przy swoim zdaniu, Nagrodzki nie przychodzi wcale, uważając to za stratę czasu i za nieprodukcyjne próżniactwo inteligenckie. Nagrodzki i z urodzenia, i wykształcenia, i trybu życia, i z umysłowości swojej – nie jest tzw. inteligentem: jest on człowiekiem czynu i idei, jak umie być takim człowiek prosty, syn ludu. Szkoda mu wysiłków, które idą na próżno, bez pożytku dla ludu. Chciałby on zużytkować serce i pieniądze tej inteligencji „postępowej", które idą teraz na „Przegląd", na cele istotnie ludowe. I w tym kierunku zaczął bodaj działać, jak przynajmniej mogłem wywnioskować z pewnych szczegółów, które do wiadomości mej doszły. Dobiera sobie sprzymierzeńców wśród przeglądowców, odwraca ich serca i umysły od „Przeglądu" i skierowuje ich uwagę na sprawę oświaty ludowej. Robi to drogą prywatną, w rozmowach osobistych, poufnych. Widocznie przygotowuje grunt po trochę, aby w stosownym czasie rozbić „Przegląd", i skierować te wysiłki i ofiary pieniężne na drogę innego czynu, którego organizację planuje. Z pewnością ludowe towarzystwo oświatowe będzie czynem donioślejszym od „Przeglądu".

12 (25) maja, rok 1913, niedziela
Dzień spędziłem na wycieczce a Anną do tzw. Zielonych Jezior za Werkami. Słyszałem zawsze dużo o tych jeziorach, ale nigdy na nich byłem. Mają być one bardzo piękne i posiadać barwę niepospolitą, zieloną, przy czym jedni utrzymują, że barwa ta pochodzi od specjalnego odbicia od powierzchni wody zieleni brzegów, inni – że od składu chemicznego wody, budowy dna, roślinności wodnej jeziora itp. Postanowiłem dziś się tam wybrać. Kupiliśmy wczoraj z Anną zapas prowiantu na wycieczkę i dziś rano wyjechaliśmy parostatkiem do Werek. Dzień był dość chłodny, pogoda niepewna, ale pomimo licznych i ciężkich nieraz, przeciągających chmur – obeszło się szczęśliwie prawie bez deszczu. Z Werek ruszyliśmy pieszo wprost do jezior. Po drodze, zaraz za parkiem werkowskim, rozłożyliśmy się w lasku na pagórku nad jakimś stawem wody stojącej i tu, przy dźwiękach orkiestry naturalnej chóru żabiego, spożyliśmy pierwszą przekąskę, wypoczęliśmy, zabawiliśmy się i ruszyliśmy dalej. Nie znając dokładnej drogi, zeszliśmy przedwcześnie z gościńca na bok w lewo i trafiliśmy po jakimś czasie do wioski, zwanej Małą Gulbiną. Tu w jednej z chat włościańskich napiliśmy się mleka i, wziąwszy małego chłopaka, bardzo rezolutnego i sprytnego, Bolesia, za przewodnika, dotarliśmy wkrótce do jednego z jezior „zielonych", zwanego jeziorem Krzyżackim. Łódki dla przejażdżki po jeziorze nie dostaliśmy, bo z dwóch łódek, które posiada stróż – leśnik tameczny, Bartoszka, jedna dziurawa, a drugą ktoś już przed nami wynajął i wyjechał na jezioro. Nie zastaliśmy zresztą też samego Bartoszki, który był w kościele, jeno dzieci jego. Musieliśmy się zadowolić spacerem wzdłuż brzegów jeziora. Jezioro jest na ogół ładne, w kilku miejscach nawet bardzo malowniczo położone, zwłaszcza w zatoczce przy chacie Bartoszki i willi, skąd bierze początek rzeczka. Barwa wody wprawdzie jest istotnie w niektórych miejscach zielona, ale to po prostu z odbicia brzegów pagórkowatych i ostatecznie osobliwą mi się nie wydała. Pospacerowawszy i ukończywszy sjestę obiadową, poszliśmy z powrotem do Werek na gościniec mimo Rzeszy. Po drodze piliśmy jeszcze mleko w wiosce Dworzyszcze i wypoczywaliśmy w lesie sosnowym przy drodze. W Werkach wstąpiliśmy jeszcze do restauracji Słomianki na kolację z jaj, mizerii z ogórków i kwasu żurawinowego i na wieczór wróciliśmy

parostatkiem do Wilna. Wycieczka i duży spacer pieszy choć zmęczyły Annę, ale jej na zdrowie posłużą. Było nam bardzo dobrze i miło we dwoje. Mało spotykaliśmy ludzi, byliśmy przeważnie samotni, co najlepiej lubimy. Trochę posprzeczaliśmy się z Anną nad jeziorem, jak to u nas często bywa, ale nie na długo.

13 (26) maja, rok 1913, poniedziałek
Doszło do wiadomości mojej, że przed paru dniami czy też może wczoraj, odbyło się u Nagrodzkiego zebranie ściślejszego grona tych wybitniejszych postępowców („przeglądowców") polskich, którzy skądinąd należeli dotąd do związku, łączącego elementy demokratyczne wszystkich narodowości krajowych na zasadzie solidarności haseł humanitarnych i współpracownictwa demokratycznego. Na zebraniu tym, oprócz Nagrodzkiego, byli Krzyżanowski, Witold Abramowicz, Piłsudski, Budny, Zasztowt (czy był ktoś więcej – nie wiem). Mnie na to zebranie nie zaproszono, wiedząc z góry, że będę przeciwny zerwaniu wiązadeł, łączących wysiłki demokratyczne polskie z wysiłkami demokratycznymi innych narodowości. Inicjatorzy tego zerwania motywowali potrzebę takowego tym, że elementy demokratyczne polskie powinny się skupić do roboty samodzielnej, mającej na względzie wyłącznie sprawę ludową polską, że przeto więzy, łączące ich organicznie z demokracją nie-polską, mogą uzależnić robotę tą od wpływów obcych lub zmusić jej autorów do nieszczerości która nie powinna mieć miejsca, a dlatego, tak dla uzyskania zupełnej samodzielności, jak dla uniknięcia dwulicowości, należy swój związek z demokracją nie-polską zerwać. Głównym wyrazicielem tej tendencji, głównym motorem zerwania jest Witold Abramowicz. Czy jest nim też Nagrodzki – nie wiem. Grupa „postępowa" polska od dawna jest w stadium ciągłego kształtowania się i sposobienia się do czynu zbiorowego. Obecnie ludowa akcja oświatowa, do której chce ją skierować Nagrodzki, jest istotnie zadaniem poważnym, niezmiernie użytecznym i twórczym. Gotów jestem wierzyć, że to nie będą tylko słowa i że sprężystość, zmysł organizacyjny i szczery głęboki zapał Nagrodzkiego zapłodni dzieło to życiem. Ale nie rozumiem, dlaczego akcja taka miałaby wymagać bezwzględnego zerwania związku z demokracją nie-polską. Mnie się zdaje, że jedno drugiemu nie przeszkadza, skoro akcja przedsięwzięta ma być demokratyczną i ma służyć sprawie ludowej. Związek solidarności demokratycznej międzynarodowościowej nie dotyka w żadnej mierze autonomii w akcji poszczególnych grup demokratycznych i ma jeno charakter organu porozumiewawczego, co najwyżej koordynującego. Ale w tym dążeniu do zerwania związku ujawnia się nurtujący od dawna „postępowców" naszych prąd nacjonalistyczny. Mieści się w nim nieufność i niechęć oraz względy konkurencji z Litwinami i zwłaszcza Białorusinami na gruncie Białej Rusi Zachodniej, katolickiej. Jest to wiązadło w ogniwie postępu nacjonalistycznego naszych „postępowców". Zasztowt oparł się stanowczo zerwaniu związku, inni wszakże są, zdaje się, na zerwanie zdecydowani. Podobno tylko Piłsudski zgłasza jeszcze zastrzeżenia, wahając się między stanowiskiem bezwzględnym Zasztowta a przeciwnym, również bezwzględnym stanowiskiem innych.

14 (27) maja, rok 1913, wtorek
Znowu dzień carski, tabel, wolny od pracy. Znowu więc dzień spędziłem z Anną. Po obiedzie poszliśmy z nią na Zakret do parku, zabawiliśmy tam czas jakiś, wypoczywając w lasku sosnowym, i wróciliśmy do miasta. Po godz. 8 wieczorem rozstałem się z Anną i poszedłem do Szklennika na posiedzenie Towarzystwa Popierania Kooperacji. Na zebraniu obecni byli z członków zarządu tylko Szklennik i ja, kandydat do zarządu Przyłuski oraz dwaj członkowie Towarzystwa – Stadziewicz i Kognowicki. Na wstępie omawialiśmy sprawę organizacji i regulaminu projektowanego

we wrześniu zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych guberni wileńskiej. Podanie do gubernatora z prośbą o pozwolenie na zjazd jest już gotowe i po podpisaniu takowego przez zarząd zostanie ono przesłane do władz. Omawialiśmy sprawę referatów na zjazd oraz innych szczegółów wykonania. Kilku pożytecznych wskazówek praktycznych udzielił nam przy tej sposobności p. Kognowicki, jeden z czynnych działaczy ziemiaństwa kowieńskiego. Dalej przeszliśmy do omówienia przykrej i drażliwej kwestii instruktora naszego Towarzystwa, p. Bębnowskiego. Jak wiadomo, z pieniędzy (koło 1700 rb.), które Towarzystwu naszemu zostały udzielone w postaci zapomogi bezzwrotnej przez Towarzystwo Popierania Pracy Społecznej z Fundacji Montwiłłów, postanowiono nająć stałego instruktora. Pieniądze te postanowiono użyć li tylko na utrzymanie instruktora w ciągu dwóch lat. Wybór padł na p. Bębnowskiego, inspektora asekuracji rolnych w Kownie, zalecanego gorąco przez p. Świąteckiego. Szklennik na razie pokładał duże nadzieje w Bębnowskim, z zapałem go przyjął na instruktora, narzucił poniekąd Towarzystwu tę nominację. Ogólne zebranie Towarzystwa, które się odbyło 28 kwietnia, potwierdziło nominację Bębnowskiego. Atoli Szklennik równie prędko, jak się zapalił, tak teraz zraził do Bębnowskiego. Ze znajomości z nim odniósł wrażenie, że Bębnowski jest po prostu karierowiczem i blagierem, sprawami kooperacji się nie interesuje i nie tylko nie ma odpowiedniej znajomości przedmiotu, ale nie ma też najmniejszego uzdolnienia kooperatywnego. Słowem, Bębnowski jest, zdaniem Szklennika, do niczego jako instruktor. Że nie ma on wprawy i umiejętności, o tym wiedzieliśmy z góry, ale chodziło o wyrobienie człowieka, o stworzenie zeń kooperatysty. Wątpliwości Szklennika, który jest zupełnie do Bębnowskiego zrażony, popiera też prezes Towarzystwa Witold Abramowicz. Dziś właśnie na zebraniu zarządu miała być w obecności Bębnowskiego poruszona sprawa dalszego zajmowania przezeń tej posady. Atoli Bębnowski, który nie był o tym powiadomiony i który wyjechał z Wilna w sprawach asekuracji, na zebranie się nie stawił. Nie było też Abramowicza. Szklennik wyłuszczał szczegółowo racje, dla których uważa Bębnowskiego za niezdatnego. Właściwie tylko ja jeden oprócz Szklennika miałem dziś głos decydujący. Ponieważ osobiście nie mam wyrobionego zdania o kwalifikacjach Bębnowskiego, którego za mało poznałem, i ponieważ uważam, że sprawa ta wymaga gruntownego rozważenia, więc zaproponowałem odłożenie jej do następnego plenarnego zebrania zarządu, na którym powinna być ona podniesiona w obecności samegoż Bębnowskiego. Wszyscy się do tego przychylili. Tak Kognowickiemu, który pośredniczył w rekomendowaniu Bębnowskiego, jak innym, sprawa ta bardzo dolega z wielu względów. Istotnie jest ona bardzo drażliwa i obosieczna. Z jednej strony, nie możemy szafować pieniędzmi społecznymi i lekkomyślnie wydatkować je na nieprodukcyjne utrzymywanie niezdatnego instruktora, z drugiej – musimy się liczyć z zobowiązaniami naszymi względem Bębnowskiego i tylko w takim razie go usunąć, jeżeli istotnie się przekonamy, że nie daje i nie może on nam dać tego, do czego się umówił i za co jest opłacany. Trzeba się też liczyć z tym względem, że tu chodzi o pieniądze, udzielone nam z zewnątrz pod firmą użyteczności publicznej i że tu musimy być szczególnie oględni, aby w żadnym kierunku błędu i lekkomyślności nie popełnić. Co do Bębnowskiego, to wprawdzie istotnie z tego, co słyszę o nim, mam wrażenie, że nie jest odpowiednim, jednak uważam za niezbędną wielką rozwagę w decyzji ostatecznej, albowiem należy pamiętać, że mamy tu do czynienia ze Szklennikiem, który stawia wymagania, mogące być przesadnymi względem człowieka początkującego. Szklennik, będąc sam ideowcem i kładąc całą duszę w sprawę kooperacji, chce w osobie instruktora znaleźć nie tylko pracownika i właściwie nie tylko ideowca, ale całkowitego spadkobiercę jego idei i woli – niemal swego sobowtóra.

15 (28) maja, rok 1913, środa
U Elwiry Mieczkowskiej urodził się syn. Miała przyjechać do nas do Wilna na połóg, ale ciągle zwlekała i zresztą nie umiała ustalić spodziewanego terminu urodzenia – czy w końcu maja jeszcze, czy w czerwcu. Dziś rano była kartka od niej, że jeszcze na dni kilka zostaje i że przyjedzie do Wilna w sobotę. Tymczasem natura sama rozwiązała kwestię, bo dziecko się urodziło, o czym przyszła depesza od Mieczkowskiego po obiedzie. Wielka musi być radość obojga Mieczkowskich, że to syn. Stefan pragnął syna i Elwira dla dogodzenia mężowi też tego pragnęła. No i chwała Bogu – niech się cieszą! I niech ten syn wyrośnie na człowieka uczciwego i dzielnego, żeby miał życie piękne i ażeby zeń kraj i społeczność miały pożytek!
Fakt, o którym pisałem pozawczoraj, dokonał się. Krzyżanowski i Nagrodzki wystąpili ze związku, o czym mię dziś Krzyżanowski formalnie zawiadomił.
Wieczór mi zajęła sprawa sądu polubownego między Šaulysem a księdzem Stefanowiczem. Sprawa była, dla mnie przynajmniej, niesympatyczna i w istocie rzeczy głupia. Chodziło o spór co do należnego Šaulysowi honorarium za wykonaną na obstalunek księdza Stefanowicza pracę literacko-szkolną (wypracowanie szkolne dla wychowanka ks. Stefanowicza, ucznia kursów handlowych Mochowa, na temat o operacjach finansowych). Ks. Stefanowicz, obstalowując tę pracę u Šaulysa, wspomniał o honorarium w kwocie rb. 100. Propozycja ta była zrobiona w toku rozmowy, na wpół żartem, aczkolwiek obstalunek był przez ks. Stefanowicza traktowany zupełnie poważnie. Šaulys pracę wykonał i domaga się przyrzeczonych rb. 100, ks. Stefanowicz zaś, nie kwestionując tego, że honorarium mu się w ogóle należy, uważa wszakże żądanie za wygórowane, a propozycję swą poprzednią za żartobliwą. Niewątpliwie, że praca tyle nie jest warta, jeżeli honorarium taksować podług wartości roboty. Jest to bowiem przeciętne kompilacyjne, aczkolwiek fachowe, wypracowanie szkolne. Ale Šaulys, który się odwołał do sądu polubownego, poddał naszemu orzeczeniu li tylko kwestię o tym, czy propozycja honorarium 100-rublowego miała cechę warunku umowy i czy wobec tego formalnie usprawiedliwione jest jego żądanie. Ks. Stefanowicz, pozwany, zgodził się na to stanowisko formalne. Šaulys powołał na sędziego mnie, ks. Stefanowicz – Antoniego Smetonę, my zaś na superarbitra powołaliśmy Jana Vileišisa. W dochodzeniu sądowym przesłuchaliśmy jedynego świadka, ks. Zajączkowskiego, którego zeznanie wypadło formalnie na korzyść Šaulysa. Musieliśmy uznać słuszność formalną żądania Šaulysa, aczkolwiek w przekonaniu wewnętrznym ja i zapewne wszyscy sędziowie odnieśliśmy wrażenie pewnego niesmaku, bo właściwie stanowisko formalne nie odpowiadało w tym razie sprawiedliwości. W istocie rzeczy miało tu niewątpliwie miejsce nieporozumienie, wyzyskane chciwie przez Šaulysa z krzywdą dla ks. Stefanowicza. Odczuła to znakomicie moja Anna, gdym jej sprawę opowiedział, pomimo że ma nieprzezwyciężony wstręt do księży i że zawsze skłonna jest do komentowania wszystkiego na ich niekorzyść, bo uważa całą ich działalność i całe życie za jeden ciąg kłamstwa, obłudy faryzeuszowskiej i szkodzenia sprawiedliwości. A jednak tu bez wahania zajęła stronę ks. Stefanowicza i to z całą bezwzględnością odruchową, właściwą naturom prostym i szczerym oraz umysłowości ludowej i aż płakała z oburzenia na Šaulysa. Dla mnie też Šaulys ukazał się tu w świetle ujemnym, brzydko charakteryzującym jego naturę etyczną. Tak koślawi ludzi nędza materialna i dlatego jedynie kamienia potępienia na Šaulysa nie rzucam. Sąd nasz polubowny był na wskroś litewski. Litwinami były strony, świadek i sędziowie, prócz mnie, litewskie były obrady i litewski protokół oraz rezolucje.

16 (29) maja, rok 1913, czwartek
Pod wieczór w lokalu wystawy litewskiej odbyło się zebranie zarządu Litewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych („Lietuvių Dailės Draugijos"). Na zebraniu obecni byliśmy: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Kairys, Untulis, ja i nie należąca do zarządu p. Janowa Vileišisowa. Towarzystwo od św. Jerzego najęło własny lokal w domu Śliźnia przy rogu ulic Zawalnej i Nowej, duży i wygodny, za r. 900 rocznie. Wydatek ten jest dla budżetu Towarzystwa ciężki, ale nader intensywny rozwój Towarzystwa robi potrzebę posiadania własnego lokalu wprost niezbędną i jednocześnie pozwala żywić nadzieję, że środki wzrastające stale równolegle do rozwoju działalności wystarczą na spłacenie tego nowego kosztu. Obecna, VII wystawa doroczna, została otwarta w niedzielę ubiegłą we własnym lokalu Towarzystwa. Znowu, jak co roku, a bodaj obficiej jeszcze, prezentuje się pięknie na wystawie dział zdobnictwa ludowego. Dział ten stanowi najciekawszą i najbardziej wartościową pozycję wystaw litewskich. Znowu mamy tkaniny włościańskie, niezliczoną ilość barwnych wzorzystych pasów litewskich (juostos), piękne wyroby artystyczne z drzewa (ozdobne łyżki, cały kołowrotek, rozmaite części kołowrotkowe, „kłumpie" żmudzkie, laski rzeźbione, tabakierki itd.), ornamenty rysunkowe, pisanki itp. Dział ten ma wartość wybitną pod względem etnograficznym i sztuki stosowanej, ilustrując naszą twórczość ludową, uwydatniając jej kierunek i charakter właściwy. Dział sztuki czystej, to znaczy indywidualnych utworów artystów litewskich, jest, zdaniem moim, mniej charakterystyczny, niż ten dział ludowy. Nowe talenty jakoś mało narastają; w wystawie biorą udział przeważnie ci sami artyści, których prace od szeregu lat oglądamy; są wśród nich talenty niewątpliwe, oryginalne, ale postępu czy rozwoju nie widać. Niektórzy, jak Varnas i jak może Kalpokas, trochę się nawet zmanierowali, pierwszy w monotonnym tworzeniu wiecznie tych samych rodzajów obrazków, drugi – bądź w naśladownictwie Čurlanisa, bądź uganianiu się za oryginalnością kompozycji barw nastrojowych. Nie ma natomiast w tym roku wcale Rymszy, nie ma Zikarasa, nie ma żadnej rzeźby. Z młodszych nie ma Wienożyńskiego. Stabrowski dopiero teraz nadesłał kilkanaście prac swoich. Najwybitniejszy jest bodaj Żmujdzinowicz, którego utwory mają dużo harmonii, spokoju, dobrej techniki i czegoś, co bym określił jako „*aisance*" – to znaczy pewność siebie, równowagę w wykonaniu i kompozycji, piękny rozkwit dojrzałości talentu, ale bez tego niepokoju twórczego, który cechuje talenty młode, szukające dopiero własnego wyrazu, walczące z techniką. Z dużych płócien Żmujdzinowicza jedno nabył w pierwszym dniu wystawy gubernator Wieriowkin,, drugie – ksiądz administrator diecezji Michalkiewicz. Dziś wybraliśmy na wystawie cztery obrazy do rozlosowania między członków Towarzystwa (jeden obraz – Kalpokasa, dwa – Varnasa i jeden – Żmujdzinowicza); co zaś do premiowania przedmiotów z działu ludowego, to zleciliśmy takowe komisji specjalnej znawców. Następnie omawialiśmy sprawę zużytkowania lokalu, najmu stróża oraz zaangażowania stałego płatnego sekretarza Towarzystwa. W lokalu Towarzystwa zostanie otwarta stała galeria obrazów Čurlanisa, które są przez wdowę artysty oddane Towarzystwu w depozyt, oraz będą się mieściły zbiory Towarzystwa z zakresu sztuki ludowej, które utworzą nader cenne litewskie muzeum etnograficzno-artystyczne. Zbiory te powstały tak z darów, jak przeważnie z zakupu przez Towarzystwo najcelniejszych eksponatów działu ludowego z wystaw poprzednich. Oprócz tego, jest projekt (popierany przez Vileišisa), aby Towarzystwo, korzystając z lokalu, zajęło się braniem w komis i sprzedażą litewskich ludowych wyrobów przemysłu domowego, mających cechę sztuki stosowanej.
Dziś kupiłem elementarz polski, z którego zamierzam uczyć Annę czytać po polsku. Jako Łotewka – zna ona alfabet łaciński (zresztą zna też gotycki i rosyjski), więc zbyt

trudnym to nie będzie, ale uważam to za wstęp do nauczenia jej w ogóle języka polskiego. Wieczorem rozpoczęliśmy pierwszą lekcję.

17 (30) maja, rok 1913, piątek
Napisałem dziś rano artykulik do „Kuriera Krajowego" na temat o społecznych czynnikach siły narodowej. Uwydatniłem w nim pierwiastek usamodzielnienia się ludu, który staje się coraz bardziej czynnikiem twórczym kultury w społeczeństwach współczesnych i stąd w stosunku do naszego kraju uwydatniłem społeczną i kulturalną wagę narodowych ruchów ludowych, jakie widzimy zwłaszcza w postaci ruchu litewskiego i także białoruskiego. W związku z tym wykazałem, że podstawą kulturalnego utrwalenia polskości w tym kraju na przyszłość może być tylko analogiczny polski ruch ludowy, i że w żadnym razie nie może być takim ten „ruch" „ludowy", który jest dziś całkowicie w ręku szlachty i kleru i jest skierowany nie do usamodzielnienia ludu, lecz do użytkowania go na rzecz utrwalenia przewagi szlachecko-klerykalnej. Istotnie, zdaniem moim, dopóki ludowe elementy polskie w tym kraju, czy to masy miejskie w Wilnie i innych miastach, czy też drobna szlachta lub wyspy ludu włościańskiego polskiego będą powolnym narzędziem przewagi szlacheckiej, dopóty ruchy demokratyczne litewski i białoruski będą przeciwko nim skierowane i będą w nich zwalczały tak społeczną zachłanność szlachty, jak narodową kulturę polską. Mańkowski przyjął ten mój artykuł z rezerwą. Mam wrażenie, że sam nie czuł się dość pewny dla orzeczenia, czy artykuł mój nie wykracza przeciwko zasadzie krajowości i współpracownictwa z innymi narodowościami i że chciał przeto poradzić się poprzednio Antoniego Łuckiewicza, którego ma za wyrocznię. Antoniego Łuckiewicza cenię, mam go za szczerego demokratę, człowieka rozumnego i wyrobionego. Nie obawiam się, jak „przeglądowcy", jego udziału w demokratycznej prasie polskiej, jego wpływu nawet. Ale jeżeli tylko moje wrażenie co do zamiarów Mańkowskiego mię nie myli, to mi się one nie podobają. W razie wątpliwości cenzura artykułów należeć winna do komitetu redakcyjnego, nie zaś do osób choćby najbliższych pismu, ale formalnie nie stanowiących organu kierowniczego.
Los „Kuriera Krajowego" w ogóle coraz bardziej mię niepokoi. Nie mówiąc o redakcji, i administracja, i dziedzina wydawnicza są w zupełnym rozprzężeniu. Co do redakcji, to komitet redakcyjny nie zdołał się ustalić. Zasztowt przy najlepszych chęciach nie nadaje się do systematycznego udziału w komitecie, bo tylko doraźnie i bardzo przygodnie się zbliża do pisma. Ja sam jeden też nie mogę wpływać, bo nie mogę się temu całkowicie oddać, Mańkowski zaś ma za dużo na głowie, a jest niewyrobiony i na ogół nie ma bardzo dobrej głowy. Często więc są grube i rażące błędy w artykułach zasadniczych, jeszcze częściej wodnistość i operowanie jałowymi frazesami. W ostatnich zaś czasach jest przesada w uganianiu się za sensacją brukową, która zniechęca i razi nawet przyjaciół pisma, bo nie można w piśmie demokratycznym ideowym wznawiać tradycji niezdrowej, działającej na zmysły na wyobraźnie instynktów, literatury „Szerlok-Holmsa", która przed kilku laty grasowała powszechnie wśród młodzieży i półinteligencji w dobie upadku porewolucyjnego, a której kult szkodliwy w dostatecznej mierze uprawiają kinematografy i inne podobne przedsięwzięcia. Prasa ideowa powinna w dziedzinie sensacji dziennikarskiej zachowywać wielkie umiarkowanie. Ale najopłakańsza w „Kurierze Krajowym" jest sprawa wydawnicza. Pod tym względem jest zupełny chaos, zupełne rozprzężenie. Niektórzy radzą zawiązanie spółki wydawniczej, opartej na udziałach, jak to jest u Litwinów, a nawet w ziemiańskim „Kurierze Litewskim". Ale z jakich elementów taką spółkę utworzyć? Nie możemy nawet Zasztowta złapać, aby ułożyć listę projektowanego zebrania, które się odwleka bez końca, a tymczasem sprawy dochodzą do upadku. Pismo zaczyna już

nawet mankować zobowiązaniom i może przyjść do skandalicznego bankructwa. Ja osobiście do sprawy wydawniczej nie chcę wcale ani z bliska się dotykać, ale bądź co bądź skandal bankructwa rzuciłby cień na wszystkich, którzy mieli jakikolwiek, choćby tylko redakcyjny, związek z pismem. Skądinąd zaś szkoda byłoby, gdyby pisemko to, przetrwawszy już pół roku i bądź co bądź zdobywszy pewny, choćby szczupły, teren wpływów, miało zamrzeć. Pomimo usterek jest ono jedynym szerszym organem opozycyjnym i ideowo demokratycznym w prasie polskiej. Jako takie ma ono wielką skuteczność i poważne zadanie do spełnienia.

18 (31) maja, rok 1913, sobota
Kupiłem dziś na wystawie litewskiej kilka pasów (juostos). Trochę się co prawda spóźniłem, bo już najpiękniejsze pasy zostały rozkupione. Tegoroczne eksponaty pasów uderzają większą okazałością, niż dotąd. Dużo jest pasów szerokich i na ogół kompozycja deseni i zwłaszcza barw jest bardziej urozmaicona i wspanialsza. Zdaje się, że ten wybitny rozwój w kompozycji pasów jest dziełem wystaw litewskich; pasy bowiem pochodzą przeważnie od tych samych eksponentów, którzy je przysyłali na poprzednie wystawy; zachęceni popytem, eksponenci zaczęli intensywniej pracować nad wyrobem pasów, urozmaicając kompozycję i dążąc do spotęgowania elementów zdobniczych. Pasy te coraz bardziej się modernizują w kierunku jaskrawości barw i geometrycznego układu deseni. Ogólny styl ich znacznie się już różni od starych wzorów. Będzie to rzeczą bardzo dodatnią, jeżeli wystawy litewskie posłużą do odrodzenia i rozwoju tej gałęzi pięknego zdobnictwa ludowego, która już była w stadium zamierania. Jedyna rzecz, której się można obawiać, to zmanierowanie motywów zdobniczych w skutku zbyt nagle przyspieszonego tempa rozwoju. Na ogół dotąd kompozycje utrzymują szlachetny dobór barw i deseni, ale niektóre pasy już są nieco zmanierowane. Zwłaszcza niebezpieczny jest jasnoburaczkowy kolor, który zdaje się zbyt upowszechniać, a który, jako krzykliwy i rzucający się w oczy, działa sensacyjnie na zmysły; przy zbytnim uganianiu się za jaskrawą sensacją efektu kolor ten może łatwo zdobyć przewagę w nowych wzorach zdobnictwa i stać się elementem maniery z ujmą dla dobrego smaku artystycznego. Kolor ten tylko w bardzo umiarkowanym zastosowaniu i umiejętnym skojarzeniu z innymi – może być użyty, a tymczasem w nowych kompozycjach zastosowanie jego nieraz wzrasta przesadnie, wykazując niebezpieczną tendencję do sensacji – źródła maniery.

19 maja / 1 czerwca, rok 1913, niedziela
Odbyliśmy z Anną piękną długą wycieczkę pieszą, która nam cały prawie dzień zajęła. Koło godz. 10 rano wyszliśmy przez ul. Sierocą (Subocz) na Popławy, stamtąd na Belmont i zaraz za Belmontem, nie dochodząc Leoniszek, zeszliśmy z drogi bitej na góry, położone między Leoniszkami a Traktem Połockim. Tam w pięknej pozycji, przy lasku sosnowym, ozdobionym bujnym podszyciem dębowym, mając u stóp wąwozik z zieloną łoneczką i naprzeciw rozległą polankę, okoloną laskiem i zajętą w części pod młody sad leoniski, usiedliśmy dla wypoczynku. Zaczynała się już spiekota południa, upał słoneczny skwarzył nas i sączył pot obfity. W naszym klimacie mamy względnie tak mało ciepła i słońca, że ja sobie bynajmniej nie przykrzę upałem; z rozkoszą biorę to słońce, którego gorące promienie majowe mają złotą moc życiodajną i do którego przez cały rok tak tęsknimy, znosząc słotę jesienną, ponure mroki grudniowe, dżdżyste chłody naszej wiosny itd. Annę zaś upał męczył i rozleniwiał, tak że często i obficie sarkała dziś na mnie w toku wycieczki, narzekając, że jestem jak wielbłąd podróżujący po skwarze słonecznym bez ustanku. Anna chciałaby tylko jak najdłużej gdzieś leżeć w cieniu i jak najmniej się ruszać. Ale ja wciąż podniecałem ją do ruchu i nie

przedłużałem zbytnio wypoczynku. Mieliśmy ze sobą tylko bułkę od Sielskiej, ser biały z kminem, masło, redysy i jaja. Ale masła nie tknęliśmy wcale, ser też prawie nietknięty odnieśliśmy, a z redys i jaj tylko kilka i to bez wielkiej chęci zjedliśmy. Po pierwszym wypoczynku poszliśmy dalej w kierunku Traktu Połockiego, chcąc odszukać pamiątkową dla nas polankę, na której przed dwoma laty odpoczywaliśmy w lipcu na jednym z pierwszych naszych spacerów w pierwszych dniach po wyjściu Anny z Bakszty. Polankę tę odnaleźliśmy. Jak się dużo odtąd zmieniło, jak innym jest nasz obecny stosunek od tego, co było wówczas. Czuliśmy się wtedy zażenowani, dość sztywni, Anna się mnie bała, pełna była niepewności o los swój, pełna rozterki wewnętrznej po tej katordze podłej, z której ją wyrwałem, ja też nie wiedziałem, co będzie z nią dalej i w każdym razie ani śniłem o tym związku naszym, który się miał już wkrótce zresztą utrwalić – spodziewam się: na zawsze. Tam w pobliżu wypiliśmy świeżego mleka i zawróciliśmy do Leoniszek. Pod Leoniszkami w cieniu lasku, nad piękną zieloną łoneczką, znów urządziliśmy popas i ruszyliśmy dalej gościńcem wzdłuż rzeczki Wilejki. Anna chciała tam znów się zatrzymać i zejść nad brzeg Wilejki i wypocząć, nurzając stopy w chłodnej czystej wodzie rzecznej, ale ja gnałem dalej, męczony pragnieniem. W Puszkarni w cieniu dębów znów piliśmy mleko i nieco dalej urządziliśmy trzeci dłuższy popas w lasku. Wreszcie stamtąd przez Kuczkuryszki doszliśmy do miasteczka Nowej Wilejki, skąd wróciliśmy koło godz. 7 pociągiem do Wilna. W Wilnie zabawiłem u Anny jeszcze do godz. 11, spożywając kolację własnej fabrykacji.

20 maja / 2 czerwca, rok 1913, poniedziałek
Upał dziś większy jeszcze, niż wczoraj. Rano, koło godz. 9, termometr pokazywał w cieniu 20° Réaumura, pod wieczór zaś koło godz. 5 było na słońcu 33° Réaumura. Przez cały dzień byłem zajęty bieżącymi interesami, adwokackimi i innymi. Co do zajęć adwokackich, to najuciążliwsze są dla mnie wszelkiego rodzaju zbieranie informacji, łażenie po kancelariach, słowem – żmudna zabiegliwość o drobiazgi i o bieg sprawy. Do tego stanowczo nie mam ani zamiłowania, ani uzdolnienia. Natomiast o ile chodzi o czynność ściśle prawniczą, o wszelakie konstrukcje prawne, o opracowanie motywowanej apelacji czy zwłaszcza skargi kasacyjnej, to nie tylko że takiej pracy nie przykrzę sobie, ale znajduje w niej dużą przyjemność i nawet gotów byłbym się w niej kochać. Niestety – praktyka adwokacka wymaga niezbędnie ciągłej tej roboty czarnej, ciągłego kancelaryjnego deptania sprawy; to jest dla mnie jednym z głównych szkopułów adwokatury, jak drugim szkopułem jest konieczna parcjalność, która nieraz obraża etykę i prowadzi na drogi bolesnych kompromisów sumienia. Prawnikiem jestem z zamiłowania, adwokatem – z bardzo przykrej dla mnie konieczności.
Wieczorem, jak zwykle, po przyjęciu kasy z wystawy litewskiej, poszedłem do Anny. Spędziłem u niej 1 ½ godziny i musiałem się rozstać, bo miałem się spotkać w domu z Kaziem Wołodkowiczem. Potem przed g. 11 znów się z Anną na ulicy w umówionym miejscu spotkałem i zabawiłem z nią do północy, gawędząc na ławeczce w skwerze Świętojerskim.
Ostatni mój artykuł, dany przed kilku dniami do „Kuriera Krajowego", dotąd się w druku nie ukazał. Mańkowski dopatruje się w nim nacjonalizmu (?), specjalnego zapaszku „przeglądowego". Zdaje się, że obawę przed nacjonalizmem polskim posuwa on do przesady, będąc bardziej tolerancyjny do nacjonalizmu litewsko-białoruskiego. Ale zaiste uważać stanowisko ludowe polskie za nacjonalizm zaborczy – to przesąd i nieporozumienie.

21 maja / 3 czerwca, rok 1913, wtorek

Dziś wieczorem odbyło się to zebranie Towarzystwa Popierania Kooperacji, na które odłożona została do załatwienia sprawa stanowiska p. Bębnowskiego jako instruktora Towarzystwa. Na zebraniu obecny był cały zarząd w komplecie, to znaczy Szklennik, Abramowicz Witold, Bociarski, Dowiakowski i ja, członek komisji rewizyjnej p. Żongołowicz oraz dwaj interesujący się szczególnie sprawą Bębnowskiego członkowie Towarzystwa, mianowicie p. Kognowicki, który go na instruktora rekomendował, i Stadziewicz, krewny Bębnowskiego. W kilku słowach poruszyliśmy kilka spraw bieżących, dotyczących projektowanego zjazdu jesiennego oraz rozesłania kwestionariusza do towarzystw spożywczych, i przeszliśmy następnie bezpośrednio do palącej sprawy instruktora, która nam cały wieczór do późnej godziny nocnej wypełniła. Właściwie na zebraniu dzisiejszym sprawa ta miała być w ten sposób rozważana, że wpierw Bębnowski miał dać sprawozdanie z dotychczasowego przygotowywania się do funkcji instruktora i nakreślić mniej więcej plan swych czynności instruktorskich, jak on je pojmuje. Ale Szklennik zaczął od razu od tego, że wysypał cały swój zapas zarzutów względem Bębnowskiego, akcentując zwłaszcza swe przeświadczenie o braku dobrej woli i ideowości jego. Na to znów replikował Bębnowski, odpierając zarzuty Szklennika i przeciwstawiając mu zarzuty swoje, streszczając się do tego, że Szklennik nie tylko mu nie ułatwiał wejrzenia w sprawy kooperacji i Towarzystwa, ale że go wciąż traktował niechętnie, z uprzedzeniem, odsuwając go raczej od wszystkiego i odosabniając zupełnie. W zarzutach jak jednego, tak drugiego była niewątpliwie przesada, ale nie brakło i słuszności. Utarczka ta, przykra i niesmaczna, zbyt się przedłużała i wreszcie musieliśmy ją przerwać. Istotnie, poza opinią Szklennika, grzeszącą, jak zawsze, przesadnym subiektywizmem ideowca, nie mieliśmy żadnych podstaw rzeczowych do uznania Bębnowskiego *a priori* za niezdatnego. Skądinąd wszakże odnieśliśmy wszyscy wrażenie, że istotnie Bębnowski jeszcze całkowicie do rozpoczęcia samodzielnych czynności instruktorskich nie jest przygotowany. Rozumieliśmy, że takie przygotowanie może się wyrobić nie w drodze tylko czytania książeczek o kooperacji, ale nade wszystko w drodze wdrożenia się Bębnowskiego w konkretny tok spraw naszego Towarzystwa oraz zapoznania się bezpośrednio z realnym życiem, potrzebami i sprawami istniejących kooperatyw. Upadł wniosek Abramowicza o tym, żeby wstrzymać pensję Bębnowskiemu i zostawić go w zawieszeniu, wyczekując, aż się on sam o własnych siłach przygotuje i będzie mógł stanąć do samodzielnej pracy instruktorskiej. W przeciwnym, niż Szklennik, kierunku sprawę traktował Bociarski, który chciał oprzeć rzecz na zasadach formalistycznych i żądał, abyśmy uważali Bębnowskiego li tylko jako urzędnika mechanicznego, nie zaś samodzielnego pracownika kooperacji, pomawiając nas przesadnie o żądanie nie funkcjonariusza, lecz apostoła. Szklennik wreszcie zachował rezerwę zupełną, oddając decyzję zarządowi. Bardzo rozumnie i trafnie ujął rzecz Kognowicki, proponując, abyśmy Bębnowskiego uważali za praktykanta do czasu zupełnego przysposobienia się jego do roli instruktora, ograniczając mu ten czas do dwóch miesięcy. W myśl tych wskazań rozwinęliśmy też nasze wnioski dzisiejsze, które mamy zakomunikować Bębnowskiemu jako propozycję zarządu. Bębnowski w dalszym ciągu dyskusji był na zebraniu nieobecny. Wątpię, czy się Bębnowski zgodzi na to ze względu na stosunki jego ze Szklennikiem, ale przynajmniej nie będzie miał na sobie cienia, że go zarząd uznał za nieodpowiedniego i przesądził jego usunięcie.

22 maja / 4 czerwca, rok 1913, środa
W sądzie okręgowym broniłem niejakiego włościanina Jodkę spod Wilna, oskarżonego o drobną kradzież, popełnioną rzekomo w uzbrojeniu i w drodze włamania (wybicie szyby w oknie dla wejścia przez okno do zamkniętego domu). Obiektywnych dowodów

zbrodni nie było i cała sprawa oparta była na wątpliwych zeznaniach dwojga małych dzieci oraz namiętnym oskarżeniu rzekomo poszkodowanych, co do których wszakże się ujawniło, że mieli oni urazy dawne i tzw. „złość” do Jodki. Słowem – wrażenie się otrzymało takie, że cała kradzież była po prostu zainscenizowana przez rzekomo poszkodowanych, którym chodziło o zemstę na Jodce. Toteż prokurator nie bardzo nalegał, a przewodniczący w swoim „*résumé*”, streszczając sprawę, bardzo wyraźnie kierował do uwydatnienia niewinności oskarżonego. Przysięgli wynieśli wyrok uniewinniający. Moja rola była łatwa, a zresztą rezultat byłby ten sam i bez obrony mojej.
Po obiedzie spotkałem się na ulicy z Michałem Biržišką, który mi wręczył napisany przezeń dość obszerny artykuł o robotniczych kasach chorych – z prośbą o wydrukowanie takowego w „Kurierze Krajowym”. Nowa ustawa o tych kasach, która ma obecnie otrzymać zastosowanie, jest powszechnie w prasie omawiana i żywo obchodzi ogół robotniczy. Esdecy biorą w tej sprawie naturalnie żywy udział. Otóż artykuł Biržiški jest właśnie wyrazem usiłowań esdeckich; popularyzuje on i wyjaśnia tę kwestię i w odpowiednim kierunku urabia opinię i wskazówki postępowania dla robotników. Prasa wileńska, która, nie wyłączając demokratycznej, jest burżuazyjną (co najwyżej jest parę organów, jak „Lietuvos Ukininkas” i „Nasza Niwa” – ludowych, ale włościańskich, nie proletariacko-robotniczych), mało, a raczej wcale się tą sprawą nie zajmuje. Wilno nasze, jak cały nasz kraj, jest mało uprzemysłowione i jeszcze mniej fabryczne, toteż proletariat małą tu gra dotąd rolę i sprawy jego w prasie wileńskiej określonego stałego wyrazu nie mają. Wobec tego robotnicy wileńscy nie mają sposobności poznania tej sprawy, a że są dość ciemni i mało świadomi swoich potrzeb i spraw zbiorowych, więc się sami nie umieją zorientować i ustalić swego postępowania, bo zresztą nie mają na czym takowego oprzeć. Temu brakowi ma właśnie zapobiec artykuł Biržiški. Wybór esdeków padł na „Kurier Krajowy” jako organ codzienny, tani, popularny, demokratyczny i wychodzący w języku polskim, a przeto ze wszech względów najdostępniejszy dla ogółu robotników chrześcijańskich. Artykuł Biržiški jest artykułem esdeków, wyrazem akcji zbiorowej. Dając go, Biržiška zamówił do nabycia 500 egzemplarzy tych numerów „Kuriera Kr.”, w których on się ukaże, albowiem esdekom chodzi właśnie o spopularyzowanie artykułu w masie robotniczej. Dla „Kuriera Krajowego” jest to bardzo dobre i bynajmniej nie tylko ze względu na dochód z tych 500 egzemplarzy (artykuł będzie drukowany w trzech numerach, więc ilość egzemplarzy zastrzeżonych wzrośnie do 1500). Ważniejszym od dochodu z egzemplarzy tych jest fakt zwrócenia się esdeków do pisma, nawiązania z tą bardzo nieliczną wprawdzie, ale szczerze demokratyczną i ideowo silną grupą kontaktu w pewnym choćby doraźnym znaczeniu współpracowniczym, i następnie spopularyzowanie pisma wśród elementów robotniczych, które w nim zobaczą odzwierciedlenie swych potrzeb i bądź co bądź zwrócą na „Kurier” uwagę.

23 maja / 5 czerwca, rok 1913, czwartek
Dom nasz w Wilnie ostatecznie się już wyludnia na lato. Stefuś już od dawna wyjechał, dziś wyjeżdża Marynia, a jutro Ewa (Helcia) ze służącą Anusią. Zostanę w mieszkaniu tylko ja i służąca Emilka. Marynia jedzie teraz jeszcze nie do Bohdaniszek, lecz do Robertowa do Elwiry, gdzie mają się wkrótce odbyć chrzciny małego synka Mieczkowskich. Jak mu będzie na imię – nie wiem.
Dzień dzisiejszy spędziłem częściowo w domu, a częściowo z Anną, u której jednak przesiedzieliśmy przeważnie cały czas w mieszkaniu. Na wycieczkę zamiejską nie wybraliśmy się, ponieważ ja nie mogłem całego dnia na to poświęcić, a do chodzenia po mieście nie usposabiał nas upał, który się od tygodnia ustalił i trwa ciągle. Pracować

też w taki upał, zwłaszcza po obiedzie, bardzo ciężko. Człowiek się rozleniwia i chciałby tylko gdzieś leżeć w chłodzie i konsumować napoje chłodzące. Wieczorem rozpocząłem artykulik dla „Kuriera Krajowego", dotyczący ogólnikowo przyszłych, mających się odbyć w jesieni, wyborów do Rady Miejskiej. Kampania wyborcza jeszcze daleko, układ sił walczących nie ustalony, więc artykulik mój jest jeno pierwszym ogólnym zagajeniem sprawy tych wyborów. Nie dokończyłem go dziś wieczorem – zrobię to jutro rano.

24 maja / 6 czerwca, rok 1913, piątek
Bębnowski nie przystał na warunki, zaproponowane mu na podstawie wtorkowej rezolucji zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji i ustąpił z posady instruktora. Tak więc ten przykry dylemat został rozwiązany. Ale teraz trudno już będzie Towarzystwu znaleźć kandydata dla ewentualnego objęcia tej posady. Zapewne, że Bębnowski nie był zupełnie odpowiedni. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że ze Szklennikiem nikt zapewne w roli podwładnego współpracownika nie wytrzyma. Wymagania jego są zawsze ogromne, dochodzące do ideału, a najmniejsze zboczenie z linii, przez Szklennika kierowanej, jest w oczach Szklennika upadkiem. A gdy się już zrazi, to widzi w człowieku bezwzględną niezdolność i niczym się już przekonać nie daje. Zresztą Towarzystwo, po tej niefortunnej próbie z Bębnowskim, nie będzie zapewne zbyt skore do nowego angażowania instruktora na wiarę, bez wypróbowania kwalifikacji jego i bez określenia dokładnego jego stanowiska i obowiązków. Dwukrotnie zebraliśmy się dziś z Witoldem Abramowiczem u Szklennika jako komisja, wydelegowana przez zarząd do opracowania programowych wskazań projektowanego na jesień zjazdu. Kapitalną kwestią, którąśmy omawiali, była kwestia tymczasowej organizacji wspólnych zakupów po zjeździe do czasu utworzenia związku. Zjazd niewątpliwie uzna potrzebę stałego związku stowarzyszeń spożywczych. Propozycję tę na zjazd wniesiemy i otrzymamy dla niej z pewnością uchwałę. Wydelegowana będzie komisja, której zlecone będzie zorganizowanie związku (opracowanie statutu, legalizacja). Ale nie można liczyć na to, aby związek tak prędko powstał i zaczął funkcjonować i zresztą samo powstanie jego nie jest pewne, bo władze mogą odmówić sankcji, uważając to za objaw samodzielności krajowej, a może nawet „intrygi polskiej" (u nas wszystko się przez władze tą miarą polityczną mierzy). Chodzi więc o to, aby w każdym razie owoce zjazdu nie zostały stracone czy to do czasu utworzenia związku, czy na stałe, jeżeli związek formalnie nie będzie mógł powstać. Chodzi o znalezienie formy, w której zaraz po zjeździe kooperatywy spożywcze będą mogły się połączyć dla wspólnego zakupu towarów, co stanowi najbardziej palącą potrzebę zrzeszenia. Z analizy naszej ustawy doszliśmy dziś do wniosku, że nasze Towarzystwo Popierania Kooperacji żadnych czynności handlowych pełnić nie ma prawa, więc się formalnie nie nadaje do tej funkcji, o którą nam chodzi. Wielka to szkoda, bo byłoby najlepiej, gdyby właśnie nasze Towarzystwo mogło się podjąć tych czynności jednoczenia kooperacji; ale bez zmiany naszej ustawy tego robić nie możemy, zmiana zaś ustawy jest rzeczą długą i niepewną, a tym bardziej w tym wypadku niewykonalną, że chodzi nam właśnie o nieujawnianie naszych czynności kierowniczych; Towarzystwo nasze jest zaledwie przez władze tolerowane i może być za lada okazją zamknięte, gdy władze dostrzegą w nim intensywniejszego życia. Łamaliśmy więc dziś głowę nad tym, jak tej potrzebie zadośćuczynić, aby mieć już na zjazd gotowy projekt urządzenia tej kwestii. Rozważaliśmy najrozmaitsze projekty, szukaliśmy sposobu zużytkowania dla tej potrzeby wileńskiej kooperatywy „Solidarność", do której wszakże Szklennik jest zrażony i której nie chciałby przeto użytkować; wreszcie Szklennik zaproponował taką formę organizacji, aby stowarzyszenia po zjeździe związały się umową wzajemną

rejentalną (rodzajem spółki dla wspólnych zakupów) na utrzymywanie w Wilnie biura komisowego, spełniającego zakupy. Ostatecznie nie rozstrzygnęliśmy dziś tego pytania, o którym mamy jeszcze nadal myśleć.
Późnym wieczorem poszedłem do Anny, z którą jedziemy dziś na parę dni na wycieczkę do Trok. O północy wyjechaliśmy do Landwarowa. W Landwarowie wszakże koni do wynajęcia nie dostaliśmy i zmuszeni przeto byliśmy przenocować do ranka w Landwarowie w jakimś hoteliku. Pokój mieliśmy brudny, niemiły. Długo nie mogliśmy zasnąć, a obok w innym numerze mieściła się jakaś parka, której głosy do nas wyraźnie dochodziły. Młoda dziewczyna, głosem płaczliwym, rwanym przez walkę namiętności ze strachem, żaliła się i błagała mężczyznę, aby ją oszczędził i nie żądał od niej ofiary miłości, wystawiając smutne następstwa nierozwagi i chwilowej rozkoszy; mężczyzna zaś nalegał; potem głosy ich stały się pieszczotliwe, potem znów się powtórzyło to samo naleganie mężczyzny i te same jękliwe skargi dziewczyny. Nie mogliśmy z Anną zasnąć. Anna zaczęła mię podejrzewać, że się wsłuchuję w rozmowę z sąsiedniego pokoju, że się lubuję w rozmyślaniach o powabach i rozkoszy dziewczyny, której głos namiętny zmieszany z boleścią, drażnił nasze zmysły. Anna była wściekła na tę dziewczynę i wściekła na mnie z zazdrości. Co zaszło dalej – dokończę jutro.

25 maja / 7 czerwca, rok 1913, sobota
Nie dokończyłem wczorajszego opisu przykrej sceny nocnej. Pisałem, że w sąsiednim numerze hoteliku w Landwarowie mieściła się jakaś młoda parka kochanków, których gruchanie miłosne było przeplatane tonami namiętności i rozpaczy dziewczyny, walczącej z pożądliwością mężczyzny i ostatkami woli broniącej się przeciwko gorącej pokusie zmysłów. Anna, niewyspana, znerwowana, podrażniona dźwiękami tej sceny, trawiła się zazdrością, posądzając mnie o lubowanie się tym melodramatem zza ściany. Daleki byłem od tego, o co mię Anna posądzała, ale nie moja zaiste wina, żem wraz z Anną musiał być mimowolnym świadkiem jęków i tłumionej walki zmysłów tuz obok. Nic wszakże nie mogło przekonać Anny i stłumić jej zazdrości. W sercu jej kiełkować zaczął dramat, podsycany wyobraźnią i ślepą namiętnością zazdrości. Poczuła się nagle samotną, opuszczona, obcą dla mnie. Wyobraziła, że cała uwaga zmysłów moich wytężyła się tam, za ścianę, do nieznanej dziewczyny, płonącej w bolesnej rozterce zmysłów a rozsądku; wyobraziła sobie, że stała mi się obojętną, niezdolną do budzenia we mnie podniety, traktowaną przeze mnie li tylko filantropijnie jako przedmiot litości. To obrażało jej dumę, raniło jej szczere pełne oddania się uczucie dla mnie, napełniało ją wrażeniem zawodu, samotności, pustki. Robiła mi gorzkie wymówki, nie słuchała perswazji mojej, czuła się upokorzona i zbolała. Zamilkła, ale nie spała bynajmniej, szpiegując mój oddech i każdy ruch mego ciała i wsłuchując się pilnie w szczegóły sceny zza ściany. Wówczas ja niebacznie powiedziałem jej zdanie w pewnym rodzaju wymówki, które sprawiło wybuch. Mianowicie spytałem Annę, czy to prawda jest i czy to możliwe istotnie, by mię rzeczywiście kochała, skoro widzi we mnie same wady i same cechy ujemne – zepsucia, egoizmu itd. Anna nie odpowiedziała wcale, ale wkrótce poczułem z drżenia jej ciała, że płacze. Zbliżyłem mą głowę do niej, zajrzałem w oczy, chcąc ją utulić i czując, że boleśnie ją mym powiedzeniem dotknąłem. Wtedy Anna wyrwała mi się z objęcia i z dzikim przenikliwym krzykiem, w którym był płacz i szlochanie, i śmiech, zaczęła się wić na łóżku, rwąc sobie włosy, drapiąc do krwi swą szyję paznokciami i tarzając się w odruchowych konwulsjach. Był to straszny atak spazmów, podobny do epilepsji czy histerii. Nie mogłem jej uspokoić. Na próżno usiłowałem przerwać ten wybuch. Gdym ją otaczał pieszczotą i uspokajał tonem serdecznym pojednania, prosiła, abym tego zaprzestał, bo to ją bardziej jeno drażni.

Brała to za litość, a nie za miłość z mej strony, litości zaś bardziej się boi od obojętności i gniewu, zwłaszcza w takich chwilach znerwowania. Atak ten kilkakrotnie ponawiał się u Anny; nie miałem ani kropli wody w pokoju, aby orzeźwić Annę i zgasić jej gorączkę. Wreszcie legła obok mnie cicho i nieruchomo, z wielkimi oczami otwartymi, drżąc jeno od czasu do czasu nerwowo, jak gdyby targana falami powrotnymi coraz słabszego echa konwulsji. Była wyczerpana i słaba. Przez całą noc nie zmrużyliśmy prawie oka. Rano jeno mała drzemka nas oboje ogarnęła. Obudziliśmy się i wstaliśmy wcześnie. Ani słówka nie zamieniliśmy ze sobą o ataku nocnym Anny. Pojednaliśmy się jeno pieszczotą ranną i aktem obopólnej uciechy zmysłowej.
Po wstaniu najęliśmy furmankę i pojechaliśmy do Trok. Tu mieliśmy z Anną od dawna ułożony projekt kupić kurę i własnoręcznie ugotować sobie z niej obiad przy ognisku na jednej z wysp jeziora. W mieście w Trokach kury nie dostaliśmy i dopiero za miastem, w osadzie Karaimów, dokąd pojechaliśmy łódką, dostaliśmy piękną tłustą kurę, którą nam następnie kobietka z białego domku nadbrzeżnego w ogrodzie miejskim zarżnęła i oprawiła. Z kurą i wszystkimi dodatkami do rosołu popłynęliśmy wreszcie na odległą wyspę (tą samą, na której w roku zeszłym rozkładaliśmy ognisko, kiedy to ulewa nas zlała i Annie kapelusz zepsuła). Ułożyliśmy piec z kamieni, rozpaliliśmy ogień z gałązek sosnowych, postawiliśmy na ogniu przywieziony z Wilna garnek, w którym Anna ugotowała znakomity smaczny rosół z kury z ryżem, koprem i szczypiorkiem. Obiad mieliśmy wspaniały, choć niewyszukany. Kura była tłusta, mięsista, świeżutka (kosztowała dość drogo, bo rb. 1 kop. 80). Po obiedzie tym, w którym Anna była kucharką, a ja kuchcikiem, wypoczęliśmy jeszcze na wyspie i następnie pojeździwszy trochę po jeziorze, koło godz. 9 ½ wróciliśmy do Trok i zaszliśmy na noc do hotelu Nowotrockiego, tego samego, w którym mieszkaliśmy z Anną w roku zeszłym.

26 maja / 8 czerwca, rok 1913, niedziela
Wstaliśmy z Anną koło godz. 10 i poszliśmy zaraz na jezioro do łódki. Znowu mieliśmy spędzić cały dzień na jeziorze i wyspach, sami sobie obiad gotując. Ale już dziś nie było w programie naszym kury, bo to by było za kosztowne na co dzień. Posiłek nasz miał się dziś obyć bez mięsa. Mieliśmy jeść kartofle z kwaśnym mlekiem, jajecznicę ze szczypiorkiem, szpinak z jajami. Kwaśnego mleka wszakże nie dostaliśmy nigdzie w Trokach; kartofle musieliśmy kupić stare, bo świeżych tegorocznych nie było. Z kartoflami więc tylko, jajami, szczypiorem, koprem i chlebem odpłynęliśmy od brzegu. Chodziło nam jeszcze o kwaśne mleko i szpinak. Po to nasze „złote runo" popłynęliśmy do przedmieścia karaimskiego, ale niceśmy tam nie zyskali. Zapewniono nas, że szpinak dostaniemy niewątpliwie w Zatroczu u ogrodnika miejscowego. Przepłynęliśmy więc w poprzek jezioro, płynąc do Zatrocza. Za wyspami na wielkiej otwartej przestrzeni wody fale były coraz większe, aż pod brzegami Zatrocza urosły do pokaźnych wcale bałwanów, uderzających wściekle w naszą wątłą łódeczkę. Wiatr był ostry, fale biegły z pianą na grzbiecie, chwilami tak przechylały łódź naszą, że woda pryskała do wnętrza łódki. Z wielką ostrożnością dotarliśmy do punktu wylądowania. Byliśmy sterroryzowani gwałtownością bałwanów wodnych. Łódeczkę mieliśmy wątłą, leciutką, wygodną wprawdzie, bo łatwą do wiosłowania, ale mało odporną na fale. Nie wiedziałem już, co robić dalej. Nie decydowałem się przedsiębrać podróży na wyspę naszą, na której zwykliśmy sobie obiad gotować. Żeby dotrzeć do niej, należało przeciąć jezioro przeciw wiatru po najbardziej wzburzonej przestrzeni otwartej. Patrząc w tym kierunku na jezioro, widać było bielejące pianą grzywy bałwanów, całą wodę zwichrzoną jak w gotującym się kotle. Tymczasem poszliśmy z Anną do ogrodnika w Zatroczu. Majątek wygląda bardzo pięknie, bardzo okazale i bogato. Szpinaku wszakże nie dostaliśmy ani źdźiebełka, więc cała ta nasza podróż, tak wysilona wśród bałwanów,

okazała się zbyteczna. Wróciwszy do łódki, byliśmy już spokojniejsi. Ochłonęliśmy z wrażenia przestrachu i zdecydowaliśmy się na jazdę do wyspy, tnąc bałwany nosem łódki. Mozolnie, z wielkim nakładem wysiłku fizycznego, dopłynęliśmy do wyspy. Łódka huśtała się i skakała jak niemal na morzu. Przy wyspie za wiatrem woda była spokojna. Anna siadła do wioseł, chcąc spróbować nauki wiosłowania. Bardzo prędko się wprawiła i po kilkunastu ruchach już umiała poprawnie kierować łodzią, nadając jej ruch i kierunek prawidłowy. Na wyspie zgotowaliśmy na piecu wczorajszym nasz skromny posiłek, wypoczęliśmy jeszcze czas jakiś, zajadając cukierki i ruszyliśmy z powrotem do Trok. Jezioro było już zupełnie spokojne. Całą drogę powrotną wiosłowała Anna – bardzo dobrze jak na pierwszy raz. Była już godz. 8, gdyśmy przyjechali do Trok. Wypiliśmy herbatę w hotelu i o godz. 10 wyjechaliśmy do Landwarowa. Tu wszakże spóźniliśmy się na ostatni pociąg wileński i musieliśmy zanocować. Zanocowaliśmy w innym hoteliku, niż pozawczoraj, bo ten pozawczorajszy pozostawił po sobie przykre wrażenie.

27 maja / 9 czerwca, rok 1913, poniedziałek
Rano wróciliśmy z Anną z Landwarowa do Wilna. Dowiedziałem się dziś od Ludwika Abramowicza, że „Przegląd Wileński" ma być przeniesiony do Warszawy. Że „Przegląd" ma być zamknięty – o tym wiedziałem. Wydawnictwo to daje stały deficyt i poczytność pisma bynajmniej nie wzrasta. To zniechęca udziałowców pisma, finansujących je. Widzą oni, że wydawnictwo to jest zabawką zbyt kosztowną w stosunku do rezultatów. Główny filar pisma, Nagrodzki, który przejęty jest sprawą ludową, uważa sypanie pieniędzy na „Przegląd" za marnotrawstwo zbytkowne, na które nie należy sobie pozwalać, gdy jest pilna potrzeba roboty konkretnej, społecznej, na którą brak środków. Dlatego, choć z żalem, „przeglądowcy" za działaniem Nagrodzkiego widzą się zmuszeni do przerwania wydawnictwa „Przeglądu", a subsydia, które szły dotąd na „Przegląd", mają być skierowane, o ile wiem, na akcję oświaty ludowej polskiej w kraju, czynnie przez Nagrodzkiego organizowanej. Tymczasem Ludwik Abramowicz zabiega koło utrzymania „Przeglądu" w innej postaci, przenosząc go do Warszawy. W tym celu szuka on porozumienia się z odpowiednią grupą ludzi w Warszawie. Wszedł w kontakt z Patkiem i młodym Makowskim, traktując z nimi o uskutecznieniu tego przedsięwzięcia. „Przeglądowcy" wileńscy chętnie mu w tym pomagają, bo są do kierunku pisma przywiązani i szczerze by się cieszyli z zachowania go w jakiejkolwiek postaci. Ludwik jest dobrej myśli i wierzy, że układ z Patkiem i Makowskim dojdzie do skutku. Oczywiście, że „Przegląd" przestałby być pismem wileńskim i też by nazwę odpowiednio zmienił. Stałby się jednym z tygodników warszawskich, aczkolwiek zachowałby swój kierunek zasadniczy, układ i redakcję. Zresztą i teraz „Przegląd" nie ma charakteru pisma ściśle krajowego. W myśli Ludwika „Przegląd" miałby być pismem o kierunku wybitnie radykalnym i wybitnie narodowym (niepodległościowym). Osobiście bardzo wątpię w możność pogodzenia kierunku Ludwika Abramowicza z kierunkiem ideowym Patka i Makowskiego. Są to ludzie o głębokich ideałach społecznych, wolnościowych i humanitarnych, radykaliści zbliżeni do socjalizmu, a choć są niepodległościowcami, to jednak dalecy są od nacjonalizmu i rozmaitych kwiatków stylu antysemickiego, którymi mocno trąci Abramowicz i ogół naszych „postępowców" „przeglądowych". Nie wiem, jak się dadzą pogodzić humanitarne głębokie ideały Patka z tymi frazesami, które słyszeliśmy z ust Ludwika niejednokrotnie na zebraniach „przeglądowych" o pogardzie dla „doktrynerstwa" i „sentymentalizmu" haseł humanitarnych i ludowych. Jestem pewny, że kombinacja takiego zespołu w wykonaniu na dłuższą metę się nie utrwali. Ale tymczasem pertraktacje się toczą, z Patkiem w Warszawie, z Makowskim, który tu

przyjeżdżał i dla którego w tym celu odbyło się u Nagrodzkiego zebranie przeglądowców. Ludwik jest dobrej myśli, pewny swego. „Przegląd", przeniesiony do Warszawy, ma jednocześnie uwzględniać sprawy Litwy w większym stopniu, niż inne pisma warszawskie, służąc poniekąd wyrazem tego kierunku „postępowców" wileńskich, którzy zostaną bez własnego odtąd organu. Stanowczo w tej kombinacji jest nieporozumienie, bo połączenie Patka i Makowskiego z naszymi „postępowcami", których nie bez słuszności zaczynają nazywać nacjonal-liberałami, to nonsens, który szczerości jest pozbawiony.
Co do mnie i Zasztowta, to choć formalnie aktu wystąpienia naszego z „Przeglądu" nie było, jednak faktycznie zupełnieśmy już od grupy „przeglądowej" odpadli. Grupa ta taką szybką i „postępową" odbyła ewolucję na prawo, że o demokratycznym charakterze jej programu mowy być dziś nie może. Ostatnie zaś stanowisko „Przeglądu" w sprawie zajść w kościele św. Jana, gdzie gwałty tłumu dewotek sfanatyzowanych nad Litwinami uznał on za wyraz narodowego uświadomienia i akcji demokratycznej, stanowczą kreślą granicę między tym pismem a demokracją.

28 maja / 10 czerwca, rok 1913, wtorek
Od niejakiego czasu rozpoczął się flirt bałamutny „Kuriera Litewskiego" z „Przeglądem Wileńskim". Jest to objaw nad wszelki wyraz charakterystyczny. Jak zawsze i wszędzie, panujący obóz reakcyjny, dostrzegłszy rysy rozdźwięków w szeregach opozycji, skwapliwie je uwydatnia, umizga się do odcienia umiarkowańszego i usposobionego bardziej kompromisowo, podnosi z uznaniem elementy, które go wyróżniają od ogólnego tła opozycyjnego, nie szczędzi mu pochlebstw i pięknych słówek, a trąbi przy tym głośno o dokonanym rozłamie. Polityką tą, która się streszcza w historycznej maksymie „*divide et impera*", obóz panujący dąży oczywiście tylko do utrwalenia własnej przewagi. Hłasko, szef reakcyjnej klerykalno-szlachecko-ugodowej endecji, dojrzał bystrym okiem, co się święci w kołach tzw. „postępowców" wileńskich. Zwrot na prawo, dokonany w grupie „Przeglądu" i uwydatniający się coraz bardziej na szpaltach tego pisma, nie uszedł uwagi lokalnego arcykapłana endecji. Stosunek „Przeglądu" do sprawy żydowskiej, jego niedwuznaczne, aczkolwiek pozornie powściągliwe sympatie do popularnego antysemityzmu, nieufność do demokracji innych narodów w kraju, odseparowywanie się staranne od współpracownictwa obywatelskiego z tą demokracją, wreszcie ocena, dana w „Przeglądzie", zajść w kościele św. Jana, gdzie gwałt sfanatyzowanego tłumu podniesiony został do poziomu aktu świadomości demokratycznej i czynu patriotycznego – to są najjaskrawsze momenty ujawnionego odchylenia się „Przeglądu" od linii opozycji demokratycznej. I szlachecko-klerykalno-endecko-ugodowy „Kurier Litewski" otoczył „Przegląd" sympatią, uznaniem, umizgami flirtu, będącego aktem korupcji w celu zwyciężenia i rozbicia opozycji. Tak już daleko zaszły sprawy i taki jest kierunek, w którym kroczy „Przegląd", zrodzony z ideałów demokratycznych i humanitarnych, a podążający coraz szybciej w otwarte objęcia reakcji. Nie winię Ludwika Abramowicza, który robi na tym karierę i który, jak piskorz, będzie musiał lawirować między Scyllą a Charybdą, między Hłaską wileńskim a Patkiem i Makowskim warszawskimi. Nie winię zaślepionego nerwową wrażliwością i sfilistrzałego w istocie Krzyżanowskiego. Winię nade wszystko ludowca Nagrodzkiego i demokratę Witolda Abramowicza. Ale jakże reaguje „Przegląd" na umizgi i flirt serdeczny Hłaski? Oto w numerze dzisiejszym, potwierdzając akcję Hłaski, skierowaną do rozbicia opozycji i zohydzenia odcienia, wiernego demokracji, mówi o zbyt ciasnym i doktrynerskim pojmowaniu przez „Kurier Krajowy" zasady krajowości i o rzekomym uleganiu „Kur. Kr." wpływom postronnym. Operuje insynuacją, odseparowuje się w obliczu „Kuriera Litewskiego" od pokrewnej

mu przecie ideowo opozycji, a na czyjże to młyn leje wodę, czyim przez to interesom służy? Nie innym, jak interesom reakcji.

29 maja / 11 czerwca, rok 1913, środa
Napisałem dziś artykulik dla „Kuriera Krajowego" na temat, który wczoraj w dzienniku omawiałem. Napisałem powściągliwie, spokojnie, charakteryzując flirt, jaki się rozpoczął w „Kurierze Litewskim" w stosunku do „Przeglądu Wileńskiego" i analizując sposób, w jaki „Przegląd" na flirt ten zareagował, mianowicie jego odseparowanie się od „Kuriera Krajowego", którego w obliczu triumfującej i zacierającej z zadowolenia ręce reakcji odsądza on od wyrazicielstwa dążeń demokracji polskiej i rzuca znaną, powszechnie przez wszystkie reakcje na lewicę i opozycje rzucaną, potwarz ulegania „wpływom postronnym". Gdybym chciał, mógłbym z łatwością, w drodze analizy ujawnionych w ostatnich czasach dążeń „Przeglądu", wykazać, że droga, po której kroczy obecnie „Przegląd", prowadzi prosto w objęcia reakcji. Wszakże nie chciałem jeszcze tego robić. Dopóki ostatecznie nie są zerwane węzły, łączące „Przegląd" z opozycją, nie przestaję go traktować jako organu opozycyjnego, przeciwstawiającego się reakcji i przemawiam doń jeszcze w imię wspólnych nam haseł i założeń opozycyjnych. Jestem pewny, że artykuł mój wywoła odpowiedź „Przeglądu" i ewentualnie wywoła polemikę i pogłębi kwestię stosunku „Przeglądu" do demokracji i opozycji. Od „Przeglądu" będzie zależało, czy się utrzyma w tej polemice na linii opozycyjnej, czy też z niej zejdzie, co by było uwieńczeniem jego ewolucji, ale też byłoby wielką szkodą dla sprawy ogólnej.
Wieczorem zebrało się u dr Sumoroka nieliczne grono sympatyków „Kuriera Krajowego". Zebrańko to zwołane zostało z inicjatywy bawiącego w Wilnie p. Józefa Bukowskiego dla omówienia sprawy finansowania „Kuriera Krajowego". Istotnie wydawnicza, finansowa strona „Kuriera Kr." Jest w stanie zupełnego zaniedbania, zupełnego chaosu, po prostu na opiece Boskiej i sprycie Mańkowskiego, wywijającego się najrozmaitszymi kombinacjami. W zebrańku tym wzięli udział: dr Sumorok, bracia Łuckiewiczowie, Mańkowski, Bukowski, Osmołowski, Leonard Rymkiewicz i ja. Zasztowt nie przyszedł, bo go za późno zawiadomiono i nic przeto o zebraniu nie wiedział. Zaprojektowano utworzenie spółki wydawniczej, opartej na zasadach komandytowych. Podobne spółki istnieją w prasie naszej i innych przedsięwzięciach społeczno-kulturalnych. Taką jest spółka wydawnicza „Kuriera Litewskiego", spółka dla wydawnictwa „Lietuvos Žinios" i „Liet. Ukininkas", dla wydawnictwa „Viltis", spółka białoruska wydawnicza „*Zahlanie sonca i u nasza wakonca*", spółka budowy teatru polskiego w Wilnie. Wybraliśmy komisję specjalną organizacyjną, która ma ułożyć statut spółki, omówić szczegóły udziałów i całej organizacji, opracować memorialik o stanie finansowym wydawnictwa, jego rozwoju i wnioskach, wreszcie zwołać zebranie konstytucyjne spółki. Do komisji tej należeć mamy ja, Osmołowski, Mańkowski, Sumorok i Zasztowt. Zbierzemy się we wtorek u Zasztowta, a do tego czasu Osmołowski i Sumorok wespół z Mańkowskim mają przejrzeć cały stan finansów pisma i dostarczyć nam szczegółowego materiału do referaciku odnośnego, niezbędnego dla organizatorów spółki. Firmowymi imiennymi udziałowcami spółki mają być Bukowski, Zasztowt, Zenon Kuncewicz, Osmołowski i Sumorok, poza tym nieograniczona ilość bezimiennych udziałowców. Spółka taka wzięłaby pismo w swoje ręce, uporządkowałaby rachunkowość i finansowość jego, ustaliłaby komitet redakcyjny (zapewne ten sam, co teraz) i słowem postawiłaby organizację pisma na nogi. Projekt to bardzo dobry i racjonalny. Niezależnie od tej sprawy, porozumiałem się wczoraj z Zasztowtem co do unormowania funkcjonowania obecnego komitetu redakcyjnego, który dotąd jest niemal tylko czymś tytularnym. Odtąd komitet

redakcyjny ma funkcjonować regularnie, zbierając się raz na tydzień i udzielając swej czynności cały wieczór.

30 maja / 12 czerwca, rok 1913, czwartek
Artykuł, napisany wczoraj przez mnie do „Kuriera Krajowego" w odpowiedzi „Przeglądowi Wileńskiemu", jako mający znaczenie programowe, postanowiłem poddać aprobacie komitetu redakcyjnego. Wobec tego odczytałem go dziś, przed daniem do druku, Zasztowtowi i Mańkowskiemu, którzy go z bardzo drobnymi poprawkami zaakceptowali, pisząc się nań całkowicie. Będzie to więc artykuł redakcyjny. Sądzę, że będzie on wstępem do pogłębionej dyskusji miedzy dwoma kierunkami. Zasztowt projektuje, abyśmy się z nim obaj wycofali formalnie z komitetu „Przeglądu Wileńskiego". Co prawda, faktycznie nasz związek z grupą „przeglądową" już został zerwany i w rzeczywistości „przeglądowcy" z nami się nie liczą i zbierają się bez nas, nie zapraszając nas wcale, ale formalnego wystąpienia naszego z grupy dotąd nie było. Zasztowt jest zupełnie zdecydowany zgłosić urzędowo swe wystąpienie, ja wszakże jeszcze się waham. A waham się nie dlatego, żebym chciał zachować wpływ na tę grupę i móc oddziaływać na nią w kierunku demokratycznym, bo wiem, że wpływ ideowy mój równa się tam zeru, ale dlatego, że szkoda by mi było usankcjonować ostatecznie wystąpieniem moim fakt oderwania się „Przeglądu" od opozycji i stracenia dla tej opozycji całej grupy ludzi bądź co bądź myślących, czynnych i postępowych, a poza tym uważam, że wydawnictwo „Przeglądu" jest rzeczą przemijającą, która może rychło już upadnie, a na przyszłość w wielu jeszcze razach może mi wypaść współpracować z obecnymi „przeglądowcami" z pożytkiem dla sprawy demokratycznej. Słowem – boję się zniszczyć lekkomyślnie związku mego z tymi ludźmi, bo choć dziś w „Przeglądzie" związek ten się urwał, jednak w innych okolicznościach i innych robotach może on być bardzo i skuteczny i pożądany. Nie wiem więc jeszcze, na co się zdecyduję.
Po obiedzie napisałem drugi artykulik do „Kur. Kr." z powodu rewelacji, które się ukazały w prasie o petersburskim nacjonalistycznym „działaczu" litewskim, p. Smildze. Wieczorem byłem u Szklennika, gdzie się miało odbyć zebranie komisji dla spraw jesiennego zjazdu kooperacyjnego. Ponieważ Abramowicz nie przyszedł, więc byliśmy tylko we dwoje ze Szklennikiem. Omawialiśmy szczegóły wykonania zjazdu. Co do referatów, to zaprojektowaliśmy następujące: pierwszy referat o stanie kooperacji spożywczej w gub. wileńskiej ma opracować Szklennik na podstawie materiału, który nam dostarczy ankieta; następnie referat o zasadach funkcjonowania kooperacji spożywczej, o biurowości, prowadzeniu ksiąg, obowiązkach zarządu, ogólnych zebrań i całej technice funkcjonowania stowarzyszeń – projektujemy zaprosić na referenta Litwina Putramenta; następnie ma być mój referat, uzasadniający potrzebę założenia związku, jego zasady, jego zadania, dalej sprawa organizacji tymczasowej, którą zaprojektować mamy w postaci projektowanej przez Szklennika wzajemnej umowy stowarzyszeń o utrzymaniu wspólnego biura komisowego w Wilnie dla wspólnych zakupów; następnie referat o roli kredytu w kooperacji spożywczej – domniemany referent Przyłuski, wreszcie na zakończenie referat Szklennika o idei kooperacji z przedstawieniem obrazów świetlnych na ekranie. Omówiliśmy też szereg innych szczegółów organizacji zjazdu. Bylebyśmy tylko otrzymali od gubernatora pozwolenie na zjazd.

31 maja / 13 czerwca, rok 1913, piątek
Odpowiedź moja „Przeglądowi Wileńskiemu" ukazała się dziś na szpaltach „Kuriera Krajowego". Ludwik Abramowicz, z którym się dziś Mańkowski widział, mówił mu, że

zmuszony będzie chyba dla udowodnienia „postronnych wpływów", którym rzekomo ulega „Kur. Kr.", zacytować w druku publicznie szczegóły powstania „Kuriera Kr." i pertraktacji, które się wówczas, na jesieni ubiegłej, toczyły między inicjatorami tego pisma a grupą przeglądową, ujawniając rolę Łuckiewiczów w genezie pisma. Sądzę, że to są tylko pogróżki i że Ludwik nie użyje tego brzydkiego sposobu rewelowania obrad poufnych. Zresztą chyba tylko samo imię Łuckiewiczów jako Białorusinów może być użyte za straszaka popularnego dla dyskredytowania „Kuriera Kr." w oczach prawomyślnych reakcyjnych sfer opinii. Bowiem sam fakt współpracownictwa, a choćby i udziału w redakcji demokraty-Białorusina nie przesądza kwestii „wpływów postronnych". Dopiero wtedy „wpływy" te miałyby istotnie miejsce, gdyby Białorusin ten był nacjonalistą, miał istotnie jakieś tendencje antypolskie i miałby udział rzeczywisty w samym kierownictwie pisma. Jak ja, będąc Polakiem, biorę udział w pracach demokratycznych litewskich i mogę być bez ujmy dla Litwinów i ich narodowych dążeń współpracownikiem ich partyjnego demokratycznego lejb-organu „Varpasu", tak równie demokrata-Białorusin może być współpracownikiem demokratycznego pisma polskiego. Dopiero jeżeli on będzie tego używać dla celów nie demokratycznych, lecz specjalnie nacjonalistycznych białoruskich, wpływ jego będzie „postronnym". Ano – niech Ludwik, jeżeli chce, próbuje. Będziemy się bronić i niezgorzej zdemaskujemy jego – „przeglądowe" – tendencje reakcyjne. Zarzucenie lewicy przez reakcję „wpływów postronnych" – to metoda odwieczna, wszędzie powszechnie praktykowana. Jeżeli „Przegląd" pójdzie dalej w tym kierunku, stanie się on dla sprawy demokratycznej szkodliwszy od prawdziwej jawnej reakcji. Najgorszym wrogiem demokracji jest ten, który występuje pod maską demokratyczną, żywiąc w sercu aspiracje wsteczne i który ma w swej firmie imiona znane, uchodzące w opinii za wyrazicieli postępu i demokracji. Ten schyłek grupy „przeglądowej", to cofnięcie się na drogi reakcji ludzi, z którymi mię przez kilka lat łączyły wspólne usiłowania, nadzieje, ideały, jest dla mnie osobiście nad wszelki wyraz bolesny. To mię po prostu męczy i niemal boli fizycznie. A wiem przecie, że są oni szczerzy i działają w dobrej wierze (wyłączam tu naturalnie Ludwika) . Ale zaślepiły ich uprzedzenia, które się w nich zagnieździły i rozrosły na skutek wielu czynników i pchnęły ich na manowce niebezpieczne i błędne. Zwłaszcza zaś mi żal Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego, ludzi ideowych, których ideały demokratyczne są głębokie i rzetelne.
Do tych wszystkich rzeczy przybyła jeszcze jedna specjalna, równie przykra i mająca właściwie ścisły związek z całą tą rozterką „Kuriera Krajowego" z „Przeglądem". Mianowicie w tym ostatnim numerze „Przeglądu", w którym Ludwik zaczepił „Kur. Kr.", pomawiając go o „wpływy postronne", dał też on notatkę osobną, skierowaną *ad personam* do Antoniego Łuckiewicza jako kierownika „Wieczerniej Gaziety". Z powodu polemiki, która się toczyła w miejscowej prasie rosyjskiej między redaktorem Rodinem a „Wieczernią Gazietą" i podczas której organ Rodina nazwał Łuckiewicza Polakiem, na co Łuckiewicz zaprzeczył, nazywając to złośliwą insynuacją (bo istotnie była to li tylko insynuacja, obliczona na skompromitowanie demokratycznej rosyjskiej „Wieczerniej Gaziety" jako pozostającej rzekomo w ręku polskim i przeto służącej obcym celom polskim), Ludwik Abramowicz podkreśla wyparcie się przez Łuckiewicza polskości i radzi to dobrze zapamiętać, dodając, że w żadnym razie pan, który w swoim piśmie używa terminu „Wilna" (taką istotnie pisownię stosuje „Wieczer. Gaz.") za Polaka poczytany być nie może, „chociażby nawet z tych lub owych względów, w tym lub owym wypadku, za takiego siebie podawał". W taki oto złośliwy sposób Ludwik podsuwa myśl czytelnikowi, że Łuckiewicz dla jakichś powodów ubocznych podawał się kiedykolwiek za Polaka lub przynajmniej mógł się podawać, podszywając się pod płaszczyk polskości dla przemycenia czegokolwiek. Antoni

powołuje za to Ludwika przed sąd honorowy pod zarzutem oszczerstwa, na arbitrów zaś powołał ze swej strony mnie i Mańkowskiego. Wezwanie to doręczyliśmy dziś wieczorem Ludwikowi.
Tak mię te wszystkie sprawy przygnębiły, tak podle oddziałały, sprawiając niesmak, ból i żal, że w drodze reakcji organizm mój zapragnął odwetu. A że w takich chwilach znerwowania wypoczynek nie koi bólu, więc zapragnąłem odwetu przeciwdziałania, to znaczy jakiejś zabawy, uciechy szalonej, hulaszczej zabawy zmysłów. W takim usposobieniu poszedłem do Anny i zaproponowałem jej pójście do Szumana, choćby dla usłyszenia muzyki, śpiewu, orgii zmysłowej, wesela pijanego. Poszliśmy i była to piękna noc spędzona. Piliśmy z Anną i bawiliśmy się, ale nie tylko zmysły nasze zaspokajaliśmy. Obszernie opowiadałem Annie o całej sprawie „Przeglądu", zwierzyłem jej cały mój ból, wszystkie strapienia żalu i zawodów.

1 (14) czerwca, rok 1913, sobota
Po wczorajszym wieczorze u Szumana resztę nocy spędziliśmy z Anną w hotelu „Wersal". U Szumana nie była to właściwie zwykła bibka. Stosunek mój z Anną i wszelkie z nią wspólne hulanki (*notabene* rzadkie teraz) tym się różnią od zwykłych hulanek, że nie same tylko zmysły nasze ulegają podniecie, ale też jednocześnie obcujemy ze sobą umysłowo, psychicznie. Opowiedziałem Annie całe dzieje redakcji „Przeglądu", mój żal z powodu rozłamu, który coraz ostrzej się dokonywa i coraz widoczniej dzieli mię od grupy dawnych towarzyszy pracy. Anna gorąco, żywą intuicją kobiety wyczuwa sytuację i całkowicie współczuje „Kurierowi Krajowemu", płonąc oburzeniem na „zdradę" „Przeglądu Wil." i zwłaszcza żywiąc niechęć do Ludwika Abramowicza. Anna w tych sprawach jest poniekąd sumieniem moim: sądzi prosto, ujmując rzeczy i stosunki w ich naturze istotniej i przeto daje mi zawsze ocenę trafną, w której znajduję kryterium dla mego postępowania. Ma ona tę wielką zaletę umysłów prostych a głębokich, intuicyjnych raczej niż refleksyjnych, że umieją one wydać sąd krótki i kategoryczny o rzeczach, stwierdzający jędrnie i prawdziwie istotna naturę takowych. Jak mile nam zeszła noc u Szumana, tak mile zeszedł koniec nocy i ranek w hotelu. Rozstaliśmy się z Anną dopiero po południu.
Od Ludwika Abramowicza otrzymaliśmy dziś z Mańkowskim odpowiedź na piśmie na wczorajszy nasz pozew w imieniu Antoniego Łuckiewicza przed sąd honorowy. Ludwik daje „wyjaśnienie" co do przedmiotu obrazy. Stwierdza mianowicie, że w odpowiedniej notatce „Przeglądu", którą się Antoni Ł. poczuł dotknięty, nie powiedziano kategorycznie, żeby istotnie fakt podawania się A. Łuckiewicza za Polaka miał kiedykolwiek miejsce. Wyrażenie „chociażby nawet z tych lub owych względów, w tym lub owym wypadku za takiego (tj. Polaka) się podawał" ma, podług obecnego „wyjaśnienia" Ludwika Abramowicza, oznaczać tylko „teoretyczną możliwość podobnego zjawiska". Omawianie zaś takiej możliwości spowodowane było wzmianką w „Siewiero-Zapadnym Gołosie", że kierownik „Wiecz. Gaziety" (tj. Ant. Łuckiewicz) jest „Białorusinem-katolikiem, uchodzącym w kołach polskich za Polaka". Wobec tego Ludwik Abramowicz nie widzi powodu do sądu honorowego i takowy wyłącza, wyrażając wszakże gotowość dania wszelkiej innej satysfakcji Łuckiewiczowi. Ponieważ w myśl mandatu naszego byliśmy z Mańkowskim powołani tylko do zakomunikowania Ludwikowi pozwu i do przyjęcia udziału w sądzie w charakterze arbitrów, przeto nie uważaliśmy się formalnie za uprawnionych do przesądzania, czy „wyjaśnienie" Abramowicza może zadowolić Łuckiewicza, ani tez do pertraktowania z wyznaczonymi przez Abramowicza świadkami (Zwierzyńskim i Kleszczyńskim) co do innych form satysfakcji. Wobec tego protokoły czynności naszych z wpisaną do nich odpowiedzią Abramowicza postanowiliśmy wręczyć Łuckiewiczowi i uznać czynność

naszą na podstawie poprzedniego mandatu za skończoną. Sprawa wszakże na tym się oczywiście nie skończy. Wyjaśnienie Abramowicza nie zadowoli Łuckiewicza, albowiem uznanie „teoretycznej możliwości zjawiska", jak powiada Abramowicz, jest właściwie w tym wypadku uznaniem możliwości konkretnego czynu osoby konkretnej, a ponieważ czyn taki jest hańbiącym (podawanie się w pewnych wypadkach dla jakichś względów za Polaka, gdy się nim nie jest), więc w uznaniu możliwości takowego jest niewątpliwie pierwiastek obrazy honoru; powód więc do zarzutu oszczerstwa czy insynuacji jest, a przeto jest też powód do sądu honorowego. Zresztą L. Abramowicz, choć się teraz powołuje na „Сев.-Зап. Голос", właściwie powiedział o Łuckiewiczu gorzej niż tamto pismo. Tam była mowa o tym, że Łuckiewicz „uchodzi" za Polaka (uchodzenie to jest rzeczywiście nie czynem, lecz zjawiskiem), Abramowicz zaś mówi o możliwości „podawania się" Łuckiewicza za Polaka. Łuckiewicz więc ma teraz wydelegować świadków do pertraktowania ze świadkami Abramowicza i nalegać na sądzie honorowym. Ja świadkiem nie będę, bo Łuckiewicz rezerwuje mię na arbitra do ewentualnego sądu honorowego.

2 (15) czerwca, rok 1913, niedziela
Projektowałem wyjechać z Anną na Zielone Świątki do Puszczy Białowieskiej, ale ostatecznie projektu tego zaniechaliśmy, bo pogoda nie dopisuje, jest zimno i dżdżysto; zresztą pieniądze przeznaczone na tę wycieczkę wydane zostały przez nas pozawczoraj na Szumana. Nie mielibyśmy dobrej wycieczki, bo ja bym chciał łazić po puszczy, a Anna nie chciałaby ani chodzić w czas taki, ani gdzieś w oberży czy chacie włościańskiej samotnie beze mnie siedzieć i stąd by jeno niesnaski i sprzeczki a dąsy między nami były. Co się odwlecze – to nie uciecze. Kiedy innym razem tę wycieczkę odbędziemy.
Obiadu dziś w domu nie jadłem. Poszedłem z Anną na obiad do restauracji w hotelu Bristol. Od dawna nie byliśmy z nią w Wilnie na obiedzie w ogólnej sali restauracyjnej. O ile bywaliśmy w restauracji tej zimy, co zresztą się dość rzadko trafiało, szliśmy zawsze we dwoje do gabinetu, bo wieczorem nie chciałem się na sali restauracyjnej z Anną pokazywać; nie chciałem, żeby nie nadawać Annie pozoru kobiety lekkich obyczajów. Toteż dziś ten obiad w sali restauracyjnej, pełnej ludzi, przy muzyce, bawił nas jako nowość. Przypominało nam to nasze dawne z pierwszej zimy obiady w nieistniejącej dziś restauracji Myśliwskiej lub też zdawało się, że jesteśmy nie w Wilnie, lecz gdzieś w Kijowie czy innym mieście. Przesiedzieliśmy kilka godzin w restauracji bawiąc się dobrze.
Pod wieczór Marynia dziś wróciła od Mieczkowskich z Robertowa. Powiada, że Elwira ma się już po połogu dobrze i dziecko jest zdrowe i bardzo ciche. Mieczkowscy nie mogą jeszcze wybrać imienia dla syna. Stefan chciał, aby był Mieczysław, ale przyznał, że skojarzenie tego imienia z nazwiskiem nie byłoby ładne – „Mieczysław Mieczkowski". Wtedy Elwira zaproponowała Andrzej albo Gustaw, ale Stefanowi oba te imiona się nie podobały. Stanisław, Józef – tez mu do gustu nie trafiły. Stefan chce Karola, ale Elwirze się nie podoba. Słowem – powstała kwestia tak sporna, jak między mocarstwami Europy o status Albanii.

3 (16) czerwca, rok 1913, poniedziałek
Większą część dnia spędziłem z Anną. Za miasto nie wychodziliśmy wcale, bo i pogoda była niepewna, i dnia nie mogłem całego na pobyt z Anną poświęcić. Na obiad bowiem byłem zaproszony do Zuli Tukałłówny i ponieważ obiecałem, więc być musiałem. Zula Tukałłówna spędza biedaczka całe lato samotnie w mieście w mieszkaniu na Zwierzyńcu. Formalnie nie jest niby sama, bo w mieszkaniu tym jest też jej niedołęga

ojciec, sparaliżowany Jan Tukałło, ale w rzeczywistości ojciec ten – to tylko bryła cielska, nie żywy człowiek. Matka zaś Zuli, ciocia Rózia, bawi chora w Warszawie, a potem ma na lato z młodszą córką Niunią wyjechać do Kołobrzegu; z braci zaś Zuli starszy, Mieczyś, mieszka w swym majątku Boracinie, spędzając miodowe miesiące ze swą żonką Klosią, młodszy zaś, Janusz, mieszka w Warszawie.
Z moją siostrą Marynią dziś się rozmówiłem w sprawie, o której się dowiedziałem przed kilku dniami. Mianowicie przed kilku dniami, w czasie nieobecności Maryni, przyszedł adresowany do niej pakiet z Kancelarii Cesarskiej. Otworzyłem takowy i przeczytałem. Kancelaria Cesarska zawiadamia Marynię, że mąż jej, Witold Römer, wniósł podanie na Najwyższe Imię z prośbą o usynowienie swego nieślubnego syna, niejakiego Witolda Jełowicza, wobec czego Kancelaria zapytuje Marynię, czy są z jej strony jakieś przeszkody i jakie mianowicie do uwzględnienia tej prośby. Podług ustaw rosyjskich, usynowienie takie może być dokonane tylko za zgodą ślubnych legalnych dzieci usynawiającego, po dojściu ich do pełnoletności. Usynowienie bowiem daje pewne prawa spadkowe usynowionemu, co oczywiście może być niepożądane dla dzieci ślubnych. Sprzeciwienie się usynowieniu, jeżeli istotnie dziecko tamte jest Witolda, stanowiłoby krzywdę dla tego biedactwa, które w rzeczywistości jest przecie bratem Stefusia i Ewy. Sumienie i humanitarne względy sprawiedliwości nakazywałyby nie przeszkadzać usynowieniu, tym bardziej, że biedny Witold jest faktycznie pozbawiony swej prawej rodziny legalnej i że przeto nie należałoby mu stawiać przeszkód do utworzenia sobie rodziny ubocznej. Skądinąd wszakże wzgląd na dzieci Maryni też nie może być przez nią, ich matkę, ignorowany. Byłem pewny, że Marynia zechce zaprotestować przeciwko usynowieniu i że będzie się też kierowała względami rodowymi, aby nie dać przyzwolenia na dopuszczenie do rodu Römerów gałęzi ubocznej, pochodzącej z nieprawego łoża, acz z krwi tożsamej. Ku memu zdumieniu, Marynia tych względów nie wysunęła i skłania się raczej do zostawienia swobodnej woli Witoldowi, uważając, że zerwanie małżeństwa jej z Witoldem powinno mu otworzyć swobodną drogę w zasadzie – do tworzenia nowej rodziny. Postanowiliśmy z Marynią na razie, że ja mam napisać do Witolda interpelując go w tej sprawie, zwłaszcza dla omówienia kwestii spadkowej ze stanowiska dzieci Maryni.
Pod wieczór spotkałem się dziś w cukierni z bawiącym tu w przejeździe Zenonem Kuncewiczem. Mówiłem mu o projektowanej organizacji spółki wydawniczej „Kuriera Krajowego", w której figurowałby on jako jeden z pięciu firmowych udziałowiczów. Kuncewicz przyjął ten projekt z uznaniem, stając chętnie do współudziału. Mówiąc o „przeglądowcach" i w szczególności o ludowcy Nagrodzkim, Kuncewicz zrobił trafną uwagę, że będąc ludowcem, należy iść z pracą społeczną do takiego ludu, jakim on jest, to znaczy u nas do litewskiego i białoruskiego, nie klasyfikując go pod względem narodowościowym na koszerny i trefny, polski i nie-polski.

4 (17) czerwca, rok 1913, wtorek
Mieliśmy się dziś wieczorem zebrać u Zasztowta z Mańkowskim, Osmołowskim i dr Sumorokiem tak dla spraw redakcyjnych „Kuriera Krajowego", jak dla wykonania czynności przygotowawczych w sprawie organizacji zaprojektowanej spółki wydawniczej tego pisma. Przyszliśmy, lecz, niestety, Zasztowta już nie zastaliśmy. Pod tym względem Zasztowt, przy wszelkich swoich zaletach i gorących chęciach, jest nieznośny: zawsze jest zajęty, nigdy nie ma czasu, nigdy nie pamięta o wyznaczonych terminach – zupełnie niezdatny do systematycznej punktualności. Znowu się więc ta sprawa odwleka, znowu trzeba łapać Zasztowta, znowu się z nim umawiać, znowu zwoływać wszystkich. Utrudnia to niezmiernie robotę i nigdy się nie jest pewnym dobrego skutku. Toż i nasz stały komitet redakcyjny, dzięki Zasztowtowi, tylko o tyle

funkcjonuje, o ile ja zdołam osobiście go przyłapać i doraźnie z nim coś naglącego omówić. Czysta bieda!
Wieczorem napisałem dla „Kuriera Krajowego" artykulik pod tytułem „Kto miał rację?" z powodu wygłoszonej w Dumie mowy posła wileńskiego ks. Maciejewicza. W mowie tej, która dotyczyła ucisku religijnego, ks. Maciejewicz użył metody wyraźnie i jaskrawie ugodowej, zwracając się do stronnictw rządzących w Dumie obecnej, przyznając im charakter gospodarzy w państwie i obiecując dla nich „jak największą korzyść" z ludów podległych pod warunkiem udzielenia im poszczególnych swobód. W artykule moim wykazałem dobitnie ugodową tendencję tej mowy, wytknąłem szkodliwość niepowetowaną takiej „ugody" i zestawiłem te czyny konkretne księdza-posła z zarzutami postępowców i organu ich „Głosu Wileńskiego" w czasie wyborów i tymi argumentami, jakich używali obrońcy kandydatury Maciejewicza. Będzie to jeden z dobrych artykułów.
W „Kurierze Krajowym" zaangażowany został do pracy redakcyjnej Benedykt Hertz. Jest to dla pisma nabytek znakomity, bo Hertz jest dziennikarzem-fachowcem zdolnym i wytrawnym. Udział Hertza w redakcji, choć jest kosztowny, ale dla poczytności pisma b. dodatni. Pod względem tylko ideowego kierunku Hertz będzie musiał być dokładnie kontrolowany – teraz przez Mańkowskiego, a z czasem bodaj przeze mnie. Nie pomogły zabiegi Ludwika Abramowicza, który chciał Hertza odciągnąć od wejścia do „Kur. Kr.". Dla Hertza powab zasadniczy mają pieniądze, a nie sprawy kierunku pisma.

5 (18) czerwca, rok 1913, środa
Spotkałem się dziś w Banku Handlowym ze stryjenką Bolesławową Römerową. Po spotkaniu moim ze stryjenką u Pruszanowskich, po jej bytności i rozmówieniu się z Mamą, zdecydowałem się puścić w niepamięć stare dzieje, zapomnieć żal i wznowić z nią stosunki rodzinne. Stryjenka zresztą, aczkolwiek zawiniła względem mnie i dużo się przyczyniła do skandalu podczas zerwania mego małżeństwa z Reginą, jednak działała niewątpliwie w dobrej wierze i powodowała się żarliwością serdeczną o dobro Reginy. Przesadziła w tej żarliwości, dopuściła się nietaktu, ale nie powodowała się jakimiś złymi intencjami. Zresztą ochłonąwszy z gorliwości i impetu, sama sie spostrzegła, że przesadziła i dziś już innym okiem patrzy na te sprawy i żałuje wielu rzeczy. A czas wszystko koi i powoli wygładza dawne błędy i równoważy stosunki. Toteż wyrzekłem się urazy do stryjenki i po jej wizycie u Mamy złożyłem stryjostwu Bolesławostwu wizytę formalną, wizytę pojednania. Nie zastałem ich wówczas i tylko bilety złożyłem. Dzisiejsze spotkanie w banku na gruncie neutralnym ułatwiło nam wygładzenie stosunku. W krótkiej rozmowie wyraziłem stryjence moje dawne żale, ona zaś usprawiedliwiła przede mną swe dawne postępowanie, uznając pewne błędy takowego. Następnie stryjenka zaczęła mi mówić o córce mojej, że zapewne pragnąłbym ją widzieć i że słusznie mi się to należy, bo moich praw ojca żadna separacja małżeńskwa nie kasuje i żadne złości Reginy nie są w stanie zniweczyć. Stryjenka powiada, że mówiła o tym z Eugeniuszem Römerem i że Eugeniusz to samo potwierdza i uważa, że gdy tylko zechcę widzieć mą córkę, mogę zawsze przyjechać do niego i on mi ją sprowadzi choćby wbrew woli Reginy. Odpowiedziałem stryjence, że choć miło by mi było zobaczyć dziecko i choć może z tego skorzystam, ale ostatecznie więcej by mi zależało na otrzymywaniu czasem wiadomości o nim lub np. fotografii, niż na takim widzeniu przelotnym; dziecko bowiem jest małe, nie zna mię wcale i przy widzeniu się będzie się krępowało, a ja też nie będę miał mu nic do powiedzenia; rozmowy z trzyletnim dzieckiem prowadzić nie mogę i widzieć je tylko przez jakąś chwilę w obcym domu – to względnie niewielka satysfakcja. Nie mogę naturalnie wkładać na

stryjenkę jakiegoś obowiązku dostarczania mi wiadomości o córce, ale gdyby stryjenka mogła mi to ułatwić, byłbym jej wdzięczny.
Zastanawialiśmy się dziś w gronie osób o akcji przygotowawczej do wyborów miejskich, które mają się odbyć w jesieni. Postanowiliśmy utworzyć małe jądro komisji, która by się zajęła akcją przygotowawczą. Do jądra tego mamy należeć ja, Prozorow, Kraskowski, Matulaitis i Ślażewicz oraz uzupełnić takowe jeszcze kilku dobranymi osobami. Komisja ta będzie miała za zadanie wyrobienie cenzusów dla osób, które uzna za potrzebne dla kampanii wyborczej, użytkując do tego cenzusy instytucji i towarzystw oraz kobiet (są to cenzusy przekazywane), dalej ma ustalić zasady programowe platformy wyborczej i wreszcie ma się zająć nawiązaniem stosunków z grupami pokrewnych elementów dla zorganizowania wspólnej akcji demokratycznej na wyborach.

6 (19) czerwca, rok 1913, czwartek
Otrzymałem list z Bohdaniszek od Mamy z opisem pożaru, który przed kilku dniami (zdaje się, że w nocy z poniedziałku na wtorek) wybuchł w wiosce Bohdaniszkach i zniszczył zabudowania gospodarza Zybalisa wraz z dobytkiem (całym inwentarzem żywym). Mam opisała mi barwnie to nieszczęście, które powstało z lekkomyślnej nieostrożności bab; zgotowały one sobie na kolację zacirkę rozkładając ogień na glinianej podłodze w komorze pod starym niskim spróchniałym sufitem; same po zjedzeniu zacirki poszły spać, a ogień się zatlił w suficie i rozgorzał pożarem. Czeladź nasza dworska z ekonomem i Papą na czele oraz włościanie bohdaniscy i okoliczni, którzy się zbiegli, energicznie walczyli z ogniem i zdołali umiejscowić pożar w granicach osady Zybalisa. Okropna to rzecz – pożar na wsi w wiosce. Od lat kilkudziesięciu w Bohdaniszkach nie było pożaru i dzięki Bogu, że tym razem skończyło się względnie szczęśliwie na jednej osadzie. Po umiejscowieniu pożaru nadeszła jeszcze pomoc z Abel i od księdza w ludziach, koniach i narzędziach do ratunku.
Wieczorem byłem na posiedzeniu komisji wykładowej nowego towarzystwa oświatowego „Вестникъ Знанія”, na które zostałem zaproszony. Towarzystwo to założone zostało przeważnie przez Rosjan i Żydów z licznym też udziałem Białorusinów. Jest ono całkowicie w ręku postępowców, a prezesem jego i bodajże głównym organizatorem i *spiritus movens* jest Kraskowski. W ogóle najczynniejszą jest w towarzystwie grupa „Вечерней Газеты” i garstka Żydów postępowych z ruchliwych młodych elementów. Towarzystwo projektuje od jesieni zorganizować cały cykl publicznych wykładów popularnych, obejmujących systematycznie wszystkie gałęzie wiedzy – mniej więcej zarys uniwersytetu ludowego. Wykłady mają być we wszystkich językach miejscowych. Zadanie jest szerokie, w naszych warunkach wileńskich bardzo trudne do uskutecznienia, ale usiłowanie jest niewątpliwie dodatnie. Dziś było zebranie komisji wykładowej z udziałem kilku domniemanych lektorów, jak ja, Janulaitis, Łastowski (z „Naszej Niwy”). Omawiano głównie podział wykładów na wydziały i komisji na sekcje lektorów oraz osoby nadające się do zaproszenia na lektorów. Z Polaków proponowani są na lektorów – ja, adwokat Kulwieć, Wit. Abramowicz, Studnicki, inżynier Adolf, nauczyciel Cywiński, Ruszczyc, dr Boguszewski, dr Kiewlicz, Szklennik, Gulbin i niektórzy inni. Z Litwinów Janulaitis, Bułat, dr Matulaitis, dr Domaszewicz, Michał Biržiška, p. Mašiotasowa, Žemaitis i inni.

7 (20) czerwca, rok 1913, piątek
Dla Anny znalazłem, zdaje się, niezłą lokatę na lato. Z początku projektowałem zalokować ją w Pohulance pod Dyneburgiem. Jest to miejscowość lecznicza dla

suchotników, ma las sosnowy i kumys. Powodowałem się tez względem na to, że bawiąc w lipcu w Bohdaniszkach będę mógł, przy niewielkiej odległości Pohulanki, odwiedzić Anną przynajmniej parę razy z Dyneburga do Pohulanki kilka wiorst statkiem po Dźwinie. Ale Anna, już wracając z Krymu, stanowczo zaprotestowała przeciwko Pohulance, a to ze względu tak na drożyznę, jak na wielką ilość kuracjuszy, którzy by ją krępowali. Wtedy już Anna mi wspomniała o innym projekcie własnym, mianowicie spędzeniu lata gdzieś w wiosce polskiej wśród włościan, gdzie byłoby tanio, swobodnie i gdzie jednocześnie miałaby Anna wprawę w języku polskim, co jest warunkiem pierwszorzędnym dla uczenia się po polsku. Chodziłoby o to, aby się zalokować na wakacje letnie w takim środowisku polskim, gdzie język rosyjski jest zupełnie nieznany. Projekt Anny bardzo mi się podobał, bo pragnę bardzo, aby Anna się po polsku nauczyła. Ale uskutecznienie tego projektu nie było łatwe. Warunków takich w naszym kraju znaleźć niepodobna. Tylko w wioskach litewskich włościanie nie umieją po rosyjsku, ale też nie umieją po polsku. W tych zaś nielicznych miejscowościach, gdzie lud włościański mówi u nas po polsku, język ten jest szkaradną mieszaniną litewsko-polsko-białoruską i zresztą powszechna jest tam znajomość rosyjskiego. Trzeba więc było szukać w Królestwie Polskim, ja zaś tam nie mam żadnych stosunków ze wsią, bo koła moich znajomych w Polsce składają się prawie wyłącznie z inteligencji miejskiej lub co najmniej ziemiaństwa. Łamałem sobie głowę, co zrobić. Myślałem spróbować może pojechać z Anną wprost gdzieś do Królestwa na wieś i szukać. Dopiero przed paru tygodniami Witold Abramowicz, którego zapytywałem o to, poradził mi zwrócić się do panny Kosmowskiej lub Malinowskiego w redakcji „Zarania", którzy mają rozległe stosunki ze wsią polską. Tak też zrobiłem i oto teraz przed paru dniami otrzymałem od p. Kosmowskiej odpowiedź z propozycją zalokowania Anny w Krasieninie pod Lublinem, gdzie p. Kosmowska założyła niedawno szkołę gospodarczą dla dziewcząt włościańskich i gdzie może się znaleźć gościna dla Anny. Będzie tanio, tryb życia wioskowy, Anna będzie miała młode grono 25 dziewcząt, włościanek polskich. Szkoła ta jest typem szkoły w Kruszynku, a że jest w ręku „zaraniarzy" i zwłaszcza takiej działaczki ludowej, jak Kosmowska, więc z pewnością jest bardzo postępowa i ma dziewczęta ze światłych, społecznie uświadomionych rodzin włościańskich, co oczywiście jest warunkiem dla Anny dobrym, gdyż środowisko zacofane i atmosfera klerykalna byłyby dla niej bardzo przykre. Ja się bardzo z tej kombinacji cieszę, Anna trochę się krępuje i sama nie wie, czy ma się cieszyć, ale w każdym razie jest zdecydowana pojechać. Po polsku moja Anna już zresztą teraz mówi coraz lepiej i bardzo pilnie się uczy z elementarza. Jest zdolna i chętna, byle tylko ją traktować łagodnie, bo będąc nerwowa nie znosi niecierpliwości i tonu szorstkiego. Czyta przy mnie i zaczyna już pisać dyktacje, a bardzo starannie się zabiera do nauki, choć jest nieśmiała i ma bardzo dużo ambicji, a mało pewności siebie, wskutek czego się łatwo zraża. Wszystko, co jej zadaję do nauczenia się lub wykonania, spełnia bardzo pilnie.
Hertz już rozpoczął pracę w „Kurierze Krajowym". Jako wykonawca roboty technicznej, czysto dziennikarskiej, jest bardzo dobry, ale za to jego pierwszy debiut dzisiejszy w zakresie artykułów zasadniczych, ideowych był bardzo niefortunny. Wystąpił z artykułem wstępnym, trochę trącącym nacjonalizmem; ale ostatecznie to byłoby mniejsze, bo mówi on tam jednak o solidarności demokratycznej, gdyby nie to, że w końcu artykułu powiada, że oświadczenie o wyznawaniu przez „Kurier Krajowy" ideałów narodowych jest spowodowane tym, iż rzekomo wielu naszych czytelników, a nawet przyjaciół pisma posądza nas o obojętność narodową. Takie oświadczenie jest bardzo niestosowne, bo zdawałoby się, że zaszedł jakiś fakt specjalny, specjalna potrzeba zamanifestowania naszych uczuć narodowych, a przeto niejako przyznania się

do słuszności stawianych nam ze strony nacjonalistycznej zarzutów. Jeżeli były jakieś błędy pod tym względem, to należało je wygładzić w szeregu merytorycznych artykułów, lecz nie oświadczeniem *ad hoc*, które *notabene* podane zostało w postaci oświadczenia redakcyjnego, bez wiedzy i selekcji komitetu redakcyjnego.

8 (21) czerwca, rok 1913, sobota
Przyszedł do mnie Szklennik ze złą nowiną, że gubernator odmówił pozwolenia na projektowany w jesieni zjazd delegatów stowarzyszeń spożywczych guberni wileńskiej. Właściwie nie jest to zakaz, jeno odmowa pozwolenia, motywowana względami li tylko formalnymi, mianowicie brakiem kompetencji. Gubernator komunikuje, że podług przepisów tymczasowych z 1906, o pozwolenie na zjazdy należy się zwracać nie do gubernatora, jeno do ministra spraw wewnętrznych. Zdawałoby się więc, że sprawa nie jest jeszcze stracona. Ale w zakończeniu oświadczenia gubernatora jest ustęp znamienny, który wróży bardzo smutnie o sprawie zjazdu. Gubernator mianowicie oświadcza, że sam skierować nasze podanie do ministra nie uważa za potrzebne, bo nie widzi racji („достаточность оснований”) dla zwołania zjazdu. Oczywiście mamy więc teraz drogę formalnie otwartą do ministra. Ale nie mniej oczywiście, że minister zwróci się poprzednio do gubernatora dla zasięgnięcia jego opinii o zjeździe, opinia zaś ta wypadnie oczywiście na niekorzyść naszą, jak to już z góry każe przewidzieć zdanie końcowe z oświadczenia gubernatora, a wtedy zakaz zjazdu będzie pewny. Horoskopy są więc niepomyślne. Żyjemy znowu w okresie represji i tamowania wszelkiego rozwoju społecznego, jak przed r. 1905, w naszym zaś kraju warunki wszelkiej akcji społecznej są jeszcze gorsze niż gdzie indziej, bo władze węszą wszędzie „intrygę polską” i są ciągle zajęte nasadzaniem rusyfikacji i tłumieniem wszelkich przejawów samodzielności wewnętrznej naszego społeczeństwa krajowego. Na najbliższym posiedzeniu zarządu T-stwa Popierania Kooperacji będziemy musieli się zastanowić nad sytuacją i obmyśleć, co wobec tego mamy robić. Sądzę, że trzeba jednak będzie skierować podanie do ministra, a tu spróbować użyć protekcji dla pozyskania przychylnej opinii władz gubernialnych. Czy się to jednak na coś przyda – wątpię. W każdym razie, powinniśmy przynajmniej spróbować zawiązać biuro komisowe dla wspólnych zakupów stowarzyszeń – w drodze ich wzajemnej umowy rejentalnej.
Napisałem dziś po obiedzie artykulik dla „Kuriera Krajowego” o ugodzie, rozwijając dalej moją krytykę mowy ks. Maciejewicza i zestawiając takową z mową drugiego ugodowca, Litwina ks. Łankaitisa, a przeciwstawiając obydwóm mowę opozycyjną i szczerze demokratyczną litewskiego posła włościańskiego z gub. kowieńskiej Januszkiewicza.

9 (22) czerwca, rok 1913, niedziela
Nerwowy stan Anny ma niewątpliwie cechy histerii. Po kilku dniach pogodnego usposobienia, kiedy moja Anna jest słodka, uśmiechnięta, usposobiona swawolnie, nagle przychodzi kryzys nerwowy. Jakiś drobiazg wytrąca ją z równowagi, sprawia podrażnienie i wtedy sprawa skończona: Anna wpada w przygnębienie, o byle co się obraża, staje się uparta, zacina się w złości, godzinami milczy, to znów zaczyna płakać drżąc spazmatycznie i płacze bez końca, bez żadnego słowa, nie dając się utulić, gniewając się na siebie samą i na wszystkich i wszystko. Jest ona w tych kryzysach po prostu nieprzytomna, zupełnie niedostępna; co się tam wtedy w jej sercu i głowie dzieje, co ona czuje – to jej sekret. W roku zeszłym stan nerwów Anny nie był tak zły, jak obecnie. Sceny takie zdarzają się przy nauce, kiedy najlżejsza uwaga moja lub jakieś słowo trudniejsze do odczytania nagle wywołuje odruch przygnębienia czy gniewu; zdarzają się też one często na skutek zazdrości, która kiełkuje w Annie, gdy widzi, że

uwaga moja zostanie zajęta czymś innym, a zwłaszcza jakąś inną kobietą; często wszakże ataki te są zupełnie bezprzedmiotowe, przynajmniej nie mają żadnych podstaw obiektywnych, jeno się zasadzają na jakichś subiektywnych urojeniach biednej Anny lub na jakichś czuciach wrażeniowych, płynących gdzieś ze źródeł nastrojów i instynktów przedświadomych. Jest to niewątpliwie stan chorobliwy, ciężki, z nerwów kobiety zmysłowej oraz duszy niezmiernie wrażliwej i subtelnej utkany. Sceny te, ataki spazmów, kryzysy nerwów, ataki uporu kamiennego gniewają mię często i zaiste hamują swobodę stosunku naszego. Ale mi potem żal Anny, żal szczery i gorący tej biedaczki z duszą tak piękną, temperamentem tak silnym, naturą tak bujną i bogatą a niepospolicie głęboką. Kobieta – to tajemnicza, pełna kontrastów istota, w której zmysłowość odgrywa niepoślednią rolę. Na takie ataki, na takie kryzysy właściwie najkapitalniejszym lekarstwem doraźnym jest akt obcowania zmysłowego. W całej swej brutalności akt ten ma na kobiecie działanie dziwnie kojące, dziwnie wiążące jej rozstrojone nerwy w zespół harmonii, dziwnie przywracające równowagę. Ale nie zawsze w tych razach mężczyzna ma do tego ochotę, nie zawsze stanąć może do apelu, gdy sam się gniewa na bezprzedmiotowe sceny niewieście.
Od rana dziś Anna była w usposobieniu nierównym, skłonnym do kaprysów nerwowych. Już przy czytaniu nie mogła panować nad sobą i była bliska płaczu oraz kaprysów. Przerwałem więc naukę. Poszliśmy do Ogrodu Bernardyńskiego, potem na obiad do Bristolu, stamtąd do Sztrala na deser. Nastrój był niezły, a w dalszym ciągu coraz lepszy. Potem Anna przyszła do mnie, bo miałem parę pilnych listów do napisania, a nie chcieliśmy się rozstawać. Podczas gdy ja pisałem, Anna przeglądała moje pocztówki i fotografie. W końcu, gdyśmy mieli wychodzić, Anna poprosiła, abym jej oddał dwie fotografie – mojej dawnej narzeczonej Suzanne Richard, Francuzeczki z Sy.-Cloud, i p. Anny Konupek, w której się przed kilku laty kochałem i byłem przez nią kochany. Prosiłem Anny, aby tego ode mnie nie żądała, bo fotografie te są dla mnie miłymi pamiątkami. Anna powołała się na to, że przecie ona mi fotografię swojego pierwszego kochanka w roku zeszłym dała, bo kochając mnie żadnych pamiątek dawnych miłości nie ma. Uległa mojej prośbie, zwróciła mi obie fotografie – Suzanne i Anny Konupek, ale się jednocześnie stropiła, łzy jej w oczach zabłysły, zasępiła się w przygnębieniu. Poszliśmy z nią na miasto i zaszliśmy na jarmark na Placu Łukiskim. Przyglądaliśmy się krzykliwemu wzywaniu publiczności na widowiska przez „artystów" bud jarmarcznych i nagle w jednej z bud zwróciła mą uwagę ciekawa wyrazista dziewczynka-akrobatka, dziecko jeszcze. Zechciałem wejść na widownię, co tez z Anna zrobiliśmy. Byłem wpatrzony w dziecko-akrobatkę i nie czułem dramatu zazdrości i upokorzenia, który szalał w sercu Anny. Gdy akrobatka zaczęła zbierać od publiczności pieniądze „na cukierki", dałem, wbrew protestom Anny, 20 kopiejek. To dopełniło miary. Anna się zagniewała i zacięła. Uparła się i milczała – i tak aż do wieczora, do końca,

10 (23) czerwca, rok 1913, poniedziałek
Spotkałem się dziś z bawiącym w przejeździe w Wilnie rzeźbiarzem Gruberskim, moim dawnym znajomym z czasów paryskich, z którym przed paru laty spotkałem się znów w Wilnie i który wtedy wykonał podobiznę moją (nieudatną zresztą) w płaskorzeźbie. Spędziłem z nim, w towarzystwie studenta Sidorowicza, parę godzin w restauracji w Bristolu, popijając czarną kawę z benedyktynką i gawędząc przeważnie o starych naszych znajomych i wspomnieniach paryskich. Wątku do tego dostarczył nam zwłaszcza nasz przyjaciel paryski, artysta-malarz i Cygan-włóczęga Włodek Terlikowski, od którego właśnie dziś list otrzymałem w odpowiedzi na list mój z zeszłego tygodnia. Zamieniliśmy się listami z Terlikowskim po kilku latach zupełnego

braku wiadomości o sobie. Terlikowski – to był typ niepospolity, pełny zawsze werwy, niewyczerpanej żywotności, człowiek wolny od przesądów i od wszelkiego konwenansu, Cygan w świecie cywilizowanym, łamiący wszelkie formuły i szablony współżycia, a przecie głęboko moralny i humanitarny w żywiołowych odruchach serca i umysłu. Od kilku lat zresztą, po ożenku, ustatkował się i zrównoważył, a ostatnio nawet, dzięki poparciu jakiegoś mecenasa, zyskał pewien dobrobyt i możność pracy twórczej oraz pewną sławę malarską. Przysłał mi właśnie cały stos wycinków z gazet paryskich o sobie z powodu swej wystawy pejzaży zimowych w Owernii, a patentem sławy jest dlań zakupienie jednego z obrazów jego do muzeum luksemburskiego.
Po obiedzie, czując się trochę ociężały po benedyktynie i nie mogąc się przeto zmusić do nudnego odrabiania bieżących interesów adwokackich, zabrałem się do pracy literackiej, mianowicie do odpowiedzi „Przeglądowi Wileńskiemu" na ciągły temat „wpływów postronnych" „Kuriera Krajowego". W dłuższym artykule wstępnym numeru wczorajszego „Przegląd" podnosi rękawicę, rzuconą mu przez nas w odpowiedzi na skierowany poprzednio do nas zarzut „wpływów postronnych" i usiłuje udowodnić, że „Kurier Krajowy" jest istotnie takich wpływów wyrazem, służąc obcym bogom i podporządkowując demokrację polską rzekomo sprawie litewskiej i białoruskiej. Jako ideał swój podaje „Przegląd" zasadę sojuszu z demokracją litewską i białoruską, lecz powiada, że żadne usiłowania jego do nawiązania takiego sojuszu skutku nie wydały, a to rzekomo dlatego, że Litwini i Białorusini żądają od Polaków wyrzeczenia się samodzielności i służenia ich celom jedynie. I otóż my w „Kurierze Krajowym" mamy być tą właśnie grupką, która postawiła sobie za zadanie zaprzężenie demokracji polskiej do rydwanu litewsko-białoruskiego i pchanie takowego na zagładę polskości. Naturalnie, że jednocześnie „Przegląd" zarzuca nam „słabo ugruntowane poczucie narodowe" i „brak wiary w siły polskie". Artykuł „Przeglądu" jest pomimo wszystko dość powściągliwy i nie pali radykalnie mostów do jakiegoś ewentualnego kompromisu z nami jako bądź co bądź demokratami, choćby w opinii „Przeglądu" – nie-polskimi. Odpowiedź, którą napisałem dziś „Przeglądowi", udała mi się dobrze. Odparowałem oskarżenia rzucane przez „Przegląd" w kierunku demokracji litewskiej i białoruskiej, wykazałem niedopuszczalność pomawiania przeciwnika w polemice o „brak wiary" lub „poczucia", które są elementami ściśle subiektywnymi i o których, bez poparcia faktami i czynami, twierdzić niepodobna, przeciwstawiłem posądzeniom „Przeglądu" jasne i kategoryczne słowa jednego z moich artykułów wstępnych w „Kur. Kr.", wreszcie wytknąłem stosowanie przez „Przegląd" odwiecznego manewru prawicy względem lewicy demokratycznej o „wpływach obcych" i określiłem dokładnie zasadę solidarności, łączącej istotnie demokracje ludowe w ich walce z reakcją. W końcu artykułu zająłem w stosunku do „Przeglądu" stanowisko pojednawcze. Będziemy czekali dalszego ciągu. Artykuł ten ukaże się w „Kurierze Krajowym" jako redakcyjny w dwóch numerach kolejnych, jako dwa artykuły.
Wieczorem zebrała się u mnie nasza komisja poufna do sprawy wyborów miejskich. Przyszli tylko Prozorow, Kraskowski i Zasztowt (nieobecni byli Ślażewicz i Matulaitis). Omawialiśmy głównie sposoby utworzenia grupy demokratycznej na wyborach. Doszliśmy do przekonania, że najlepiej będzie utworzyć grupy równoległe litewską, polską i rosyjską, a już następnie po ich utworzeniu dążyć do tego, aby wybrały one wspólny proporcjonalny komitet mieszany dla ułożenia listy kandydatów na radnych. Nasza zaś komisja będzie funkcjonowała stale, tworząc konspiracyjną koordynację roboty w poszczególnych grupach. Co do Litwinów i Rosjan – to będzie łatwe, bo tam nasi ludzie istotnie staną na czele odnośnych grup i zdołają nimi pokierować, ale co do grupy polskiej, to nam z Zasztowtem będzie trudniej, bo tam w kołach demokratycznych będziemy mieli do czynienia z „przeglądowcami" i przede wszystkim

z Witoldem Abramowiczem, który będzie prowadził swoją własną linię i nie wiadomo, czy nas z Zasztowtem do wpływu dopuści.

11 (24) czerwca, rok 1913, wtorek
Poszedłem dziś rano do Bronisława Krzyżanowskiego. Ot, po prostu zatęskniłem do niego. Przywykłem od lat wielu dzielić się z nim myślami i wrażeniami i wspólnie omawiać rozmaite wypadki i zjawiska życia publicznego. Od pierwszych moich kroków na gruncie wileńskim w r. 1905 łączyła mię z Krzyżanowskim wspólność zamiarów i przedsięwzięć społecznych. Był on jednym z najbliższych mi towarzyszy w „Gazecie Wileńskiej", w której wespół z Klottem i ze mną należał do komitetu redakcyjnego, potem przez szereg lat martwych reakcji, kiedy demokratyczna grupa polska żadnych robót systematycznych nie prowadziła i kiedy szeregi tej grupy zmalały i rozproszyły się, Krzyżanowski był jednym z nielicznych spośród tych, którzy wytrwali w ideałach swoich i dochowali nieprzerwanej ciągłości tradycji, piastując zawsze żywą myśl wznowienia pracy zaniechanej. Razem też z nim i prawie jednocześnie weszliśmy do związku z demokracją innych narodowości, razem działaliśmy przy zakładaniu „Przeglądu Wileńskiego", który był pierwszym zwiastunem odrodzenia ruchu demokratycznego w krajowym społeczeństwie polskim. Tak przy zakładaniu „Przeglądu", jak potem w komitecie redakcyjnym tego pisma w pierwszym okresie jego bytu Krzyżanowski był ideowo najbardziej mi ze wszystkich bliski, toteż szliśmy z nim zawsze ręka w rękę, stanowiąc kierunek radykalny w grupie przeglądowej. Dużo było więc więzów szczególnych, które łączyły nas z Krzyżanowskim bardziej niż z innymi. Wprawdzie Krzyżanowski był zawsze fachowcem-adwokatem niz społecznikiem i przeto pod względem ideowości ustępował Nagrodzkiemu i Witoldowi Abramowiczowi w naszej dawnej grupie (tworzącym jej skrzydło prawe), jednak stał zawsze szczerze i konkretnie na stanowisku przekonaniowym jaskrawie postępowym, humanitarnym i wolnomyślnym. Krzyżanowski – to intelektualista wybitny, łączący nadzwyczajny dar logiki i ścisłości z cechami pozornie przeciwnymi, mianowicie z niezwykłą nerwową wrażliwością i odruchową impulsywnością. Życie i fach adwokacki, któremu się oddaje gorąco, pchnęły go już właściwie dawno na tory filisterstwa i nałogu do zdawkowości, to znaczy do brania rzeczy powierzchownie i utożsamiania pozorów przemijających z istotą natury samego zjawiska. Tacy ludzie zatracają zazwyczaj swoje dawne ideały i artykuły wiary, które się utworzyły pracą umysłu młodego i żywego, głęboko przenikającego w naturę rzeczy poprzez skorupę pozorów. Na tym się to zazwyczaj opiera filistrzenie inteligencji, jej zwrot od ideałów młodości do płytkiej praktyki życia. Nieliczne tylko jednostki wybitniejsze i głębsze zachowują swą moc indywidualną wiary i przekonań. Krzyżanowski wszakże ratował się od tego tak wrażliwością swoją na wszelkie bodźce zewnętrzne, jak intelektualizmem, który go drogami ścisłej logiki zwracał zwykle na tory analizy głębokiej i prawdy, wbrew zalewającym go swą władzą pozorom. Ale w gruncie rzeczy był on i jest o wiele bardziej filistrem, niż prawsi lub kompromisowsi od niego Wit. Abramowicz i Nagrodzki. Wreszcie poza tymi więzami współdziałania, które nas łączyły, były jeszcze więzy bardzo bliskich stosunków naszych osobistych: w najboleśniejszych dla mnie chwilach osobistego mego życia, jak w całej sprawie małżeńskiej mojej, Krzyżanowski był jednym z tych, którzy najbliżej tych stosunków dotykali. Od jesieni roku ubiegłego w Krzyżanowskim zaszła duża zmiana, która się w nim rozwijała stopniowo, lecz konsekwentnie i daleko go odciągnęła od jego dawnego stanowiska przekonaniowego. Dziś należy on całkowicie do szeregów prawicy postępowej. Złożyły się na to rozmaite przyczyny, raczej powody – jego stosunek osobisty z Ludwikiem Abramowiczem, perypetie kampanii wyborczej do Dumy i dalsze takowych skutki etc. We mnie zerwanie współpracownictwa mego z

„przeglądowcami”, nasz rozdział ideowy budzi niezmierną tęsknotę i bardzo przykre uczucie zawodu, żalu, często pustki jakiejś. To, co zaszło z Krzyżanowskim, to nie jest przecie ani zdrada, ani wyparcie się ideałów dawnych. W teorii on je wyznaje nadal, z pewnym jeno zaakcentowaniem aspiracji nacjonalistycznych. Ale co jest niewątpliwe i co właściwie stanowi istotę jego zmiany i poprawienia – to to, że się poddał prądowi filisterstwa duchowego, które go zalewa. Co prawda – to jest właśnie najboleśniejsze, bo to widok tonięcia człowieka żywego w manekinie filisterskim. Żal mi, ale zarzutu etycznego nie mogę mu z tego robić. To mię bądź co bądź cieszy i napełnia otuchą, że zalety umysłu i serca Krzyżanowskiego, które są bądź co bądź rzeczą stałą, w odpowiednich okolicznościach wskrzeszą go z filisterstwa. To nie człowiek umarły i nie zaprzaniec. A dziś byłem u niego i długo serdecznie i przyjaźnie rozmawiałem. Nie chciałbym, aby rozdźwięki czy to w przekonaniach, czy pracy społecznej złamały nasz stosunek osobisty, a żywię nadzieję, że się spotkamy jeszcze nieraz w robotach wspólnych na naszym ciężkim gruncie usiłowań demokratycznych.
Wieczorem u Prozorowa zebrała się w komplecie nasza komisja poufna do wyborów miejskich. Byli: Prozorow, Zasztowt, Kraskowski, Matulaitis, Ślażewicz i ja. Omawialiśmy nieco sprawy platformy wyborczej, jej zasady kapitalne, szkic zaś takowej poleciliśmy nakreślić Kraskowskiemu, który ma to teraz na wsi wykonać. Jedną z kapitalnych robót naszych powinno być zapełnienie cenzusów od rozmaitych towarzystw i instytucji przez osoby, które będą dla demokratycznej akcji na wyborach nam pomocne. Tego wszakże nie mogliśmy jeszcze robić, bo nie posiedliśmy jeszcze spisu cenzusowych instytucji. Ja też muszę sobie cenzus wyrobić.

12 (25) czerwca, rok 1913, środa
Debiut Hertza w „Kurierze Krajowym” był krótki. Dziś on z „Kuriera” wystąpił. Stało się to mianowicie tak. Wczoraj zastałem w domu list od p. Stefanii Jabłońskiej, mieszkanki Jezioros, z opisem zajść, jakie tam miały miejsce na tle stosunków polsko-litewskich i z prośba o wydrukowanie takowego w „Kurierze Krajowym”. P. Jabłońska – osoba starej daty, nieprzyjaciółka wszelkiego nacjonalizmu, gorąca zwolenniczka pojednania polsko-litewskiego, wyznawczyni żarliwa ideałów braterstwa i humanizmu w stosunkach ludzkich, a zwłaszcza wśród zwaśnionych synów Litwy. Jest po staroświecku postępowa, w sposób uczuciowy i ewangeliczny. Ma uczucia gorące, wielką wrażliwość, dużo zapału. Jest szlachetnym typem idealistki. Przed paru laty, ku uczczeniu „pięćsetletniej rocznicy grunwaldzkiej”, wydała książeczkę tłumaczonych przez nią poezji litewskich („Poezje odradzającej się Litwy”). W roku zeszłym, bawiąc w Wilnie, odwiedzała rozmaitych tutejszych działaczów polskich i litewskich z obozu postępowego, propagując myśl założenia specjalnego pisma dla omawiania sprawy stosunków polsko-litewskich. Otóż w liście swoim opisuje ona brutalną kampanię przemocy, jaka tłum polski w Jeziorosach uprawiał dla niedopuszczenia nabożeństwa majowego w języku litewskim, oraz akty gwałtu czynnego, jaki miał miejsce tamże na posiedzeniu miejscowego wydziału towarzystwa oświatowego litewskiego „Saulė”. Zajścia były podobne do tych, jakie miały miejsce w kościele św. Jana w Wilnie w pierwszych dniach maja, z tą różnicą, że się nie odbywały w murach kościoła, ponieważ do nabożeństwa litewskiego wcale nie doszło. Skończyło się tylko na prywatnych próbach śpiewów litewskich u organisty, nowy zaś proboszcz, widząc przygotowania do skandalu, uchylił zapowiedziane przez poprzednika swego nabożeństwo. Były więc tylko brutalne groźby gwałtów względem Litwinów, łajanie po mieście, zaczepianie śpiewaków na ulicach itd. Gorsza rzecz zaszła na zebraniu towarzystwa „Saulė”: do sali wpadło kilku drabów, którzy poprzewracali stołki, rzucali się podobno na uczestników zebrania, podczas gdy zebrany na ulicy przed lokalem tłum lżył Litwinów, wrzeszczał,

wygrażał się i pienił. P. Jabłońska gorąco protestuje przeciwko tym skandalom, stanowiącym akty publicznego gwałtu i zniewagi Litwinów. Protestuje w imię uczuć humanitarnych, sprawiedliwości i pięknej, a niestety dziś całkiem zapoznanej dewizy, streszczonej w cytowanym przez nią wierszu:

„Bóg polskiej naszej rozkazał Ojczyźnie,
By wiodła w miłość i mir ludy bliźnie
Niezastraszonej prawości przykładem.”

Opis tych smutnych zjawisk, które miały miejsce w Jeziorosach, na terytorium zamieszkałym przez Litwinów etnograficznych i które przeto są tym mniej usprawiedliwione, wstrząsać musi każde sumienie polskie nie zniepprawione nacjonalizmem. Czy opis ten odpowiada rzeczywistości – tego nie wiemy, bo dotąd nawet w pismach litewskich nie było nic o tym, choć zajścia te datują się z przeszłego miesiąca i choć tu obecnie na zjeździe Litewskiego T-stwa Naukowego („Liet. Mokslo Draugijos”) bawią Litwini z Jezioros oraz sam główny jezioroski działacz litewski dr Bukont, który, zdawałoby się, nie omieszkałby podać o tym do pism litewskich. Ale opis zajść w liście p. Jabłońskiej jest tak kategorycznie podany i nacechowany taką szczerością, że trudno nie wierzyć. Zresztą p. Jabłońska podpisuje się z imienia i nazwiska, biorąc na siebie odpowiedzialność za fakty. Skądinąd zaś jest ona osobą znaną redakcji i godną wiary. Osobiście mam przekonanie, że fakty te są prawdziwe, bo znam siłę uprzedzeń, jaką żywi sfrustrowana masa ludności polskiej czy też raczej spolonizowanej na etnograficznych kresach Litwy i zwłaszcza w miastach i miasteczkach w stosunku do Litwinów i języka litewskiego. Zresztą gwałty te przejawiają się wszędzie w tych samych formach charakterystycznych. Zapewne, że p. Jabłońska, pisząc na gorąco, pod wrażeniem, przesadziła może w barwach, ale niemniej grunt jej opisu musi być prawdziwy, a tendencja szlachetna, płynąca z miłości, sprawiedliwości i humanitarnych pierwiastków patriotyzmu polskiego. Kłamstwem jest, że ten, który krytykuje, boleje i protestuje przeciwko czynom złym, dokonywanym pod firmą narodową, jest złym patriotą: przeciwnie, jest on patriotą najwrażliwszym, bezinteresownym, jest wyrazem odruchu sumienia. Wobec tego list p. Jabłońskiej, zaopatrzywszy takowy dopiskiem i zostawiając fakty na odpowiedzialności autorki, dałem do druku do jutrzejszego numeru „Kuriera Krajowego”. Hertz zaprotestował i wycofał się z redakcji. Sądzę, że to wcześniej czy później byłoby nieuniknione.

13 (26) czerwca, rok 1913, czwartek
List-protest p. Jabłońskiej ukazał się w rannym numerze „Kuriera Krajowego”. Jakie sprawi na mieście wrażenie – nie wiem. Bardzo prawdopodobne, że pisma polskie nacjonalistyczne z „Kurierem Litewskim” na czele napadną z tego powodu na „Kurier Krajowy”, uważając jego rewelacje za chęć spotwarzenia Polaków, za zdradę narodową, za objaw stromych i przesadnych sympatii litewskich. Będą się też zapewne starały zbagatelizować zajścia jezioroskie, może się pokuszą nawet o udowodnienie specjalnej zaborczości Litwinów w „rdzennie polskich” Jeziorosach. Wszystko to możliwe. Nie zaprzeczam, że może w liście p. Jabłońskiej, pisanym na gorąco pod świeżym wrażeniem, jest pewne przejaskrawienie. Nie przesądzam tego. Pod wpływem oburzenia, poczucia krzywdy, jakie napełnia każde szlachetne serce Polaka na wieść o brutalizowaniu Litwinów przez ciemne tłumy ludności „polskiej”, przejaskrawienie jest możliwe. Więcej bowiem niż Litwinów krzywdzą takie fakty Polaków, podkopując moralnie sprawę polską wobec narastającej demokracji budzących się ludów i odradzających narodów. Te ciemne tłumy „polskie”, złożone przeważnie z

wynarodowionych Litwinów lub Białorusinów oraz rozmaitych „tutejszych", oddają dziś najgorszą usługę polskości. Po uświadomieniu tych tłumów z czasem staną się one rzeczywiście podłożem polskości w tym kraju, głębszym i trwalszym od szlachty, ale tymczasem są one dla sprawy polskiej szkodliwe niezmiernie. Nikt bardziej ode mnie z pewnością nie pragnie, aby fakty i zajścia takie, jak w Wilnie u św. Jana, jak w Jeziorosach, nie miały miejsca i okazały się przesadzone. Niestety, są one tak typowo podobne do wszystkich innych tego rodzaju, że niepodobna przypuszczać, aby były z palca wyssane. Może być przejaskrawienie, ale tło jest, niestety, prawdziwe. I właśnie przez miłość dla tej nieszczęśliwej Polski ukrzyżowanej, umęczonej rękami nie tylko obcych, ale też własnymi, o faktach takich sumienie polskie nakazuje wołać i piętnować. Polska, narodów Chrystus, męczennica wielka, rozdarta na kawały i ujarzmiona a najpodlejszej niewoli a świecąca kulturą zachodnią na wschodzie, jakże boleśnie jest doświadczana przez własnych synów i pasierbów, którzy chcą z niej urobić szmatę dla geszeftu czy to sklepikarzy w ruchu antysemickim, czy naszej szlachty w stwarzaniu bratobójczych rozłamów i walk ludu polskiego w tym kraju z litewskim. Natomiast z pewnością ci, którzy są rzeczywistymi inscenizatorami tych walk i „zajść" nieszczęsnych i którzy z nich dla siebie, dla swego stanu posiadania szlacheckiego korzyść ciągnąć pragną, stroić się będą w płaszcz patriotyzmu i nam zarzucać brak takowego, bo dla nich patriotyzmem jest geszeft, a nie sumienie. Nie ręczę, czy i „przeglądowcy" nie zespolą swego głosu z chórem „patriotycznego" oburzenia „opinii" i prasy szlachecko-reakcyjnej. Co zaś do ustąpienia z tego powodu Hertza z „Kuriera Krajowego", to niewielka bieda. U Hertza grają rolę nie przekonania, lecz obawa narażenia się. Nie jest pewny, czy „Kurier Krajowy" się utrzyma, a tymczasem jego udział w redakcji „antynarodowego" pisma, które nawet „postępowcy" przeglądowi uważają za nieprawomyślne narodowo, może mu w opinii kół „patriotycznych" i dobrze myślących zaszkodzić. Niebezpieczne jest wpuszczanie do pisma ideowego i niezależnego – osobnika tchórzliwego i dbającego o swoją popłatną renomę.
Dzień dzisiejszy od południa do wieczora spędziłem z Anną. Byliśmy na obiedzie w Bristolu, potem przez kilka godzin robiliśmy „*kiejf*", to znaczy słodkie „*far niente*" – u mnie w mieszkaniu moim, potem u Sztrala na ul. Wielkiej i wreszcie wieczór u niej. Sprzeczek ani zajść między nami nie było, ale ciągle Anna jest znerwowana. Muszę być z nią ostrożny, bo byle co może wywołać obrazę, płacz lub uparty, godzinami i dniami milczący gniew, który i mnie, i [ją] jeszcze bardziej męczy.

14 (27) czerwca, rok 1913, piątek
Trzymałem do chrztu synka kolegi mego, adwokata Grajewskiego. Grajewski mieszka obecnie i praktykuje w Taurogach, ale dziecko tu przyszło na świat i tu dziś, w mieszkaniu pp. Luboińskich, zostało ochrzczone przez ks. Kretowicza, proboszcza Bernardynów. Do chrztu trzymałem ja z panią Luboińską. Imię małemu dano „:Adolf", jak ojca. Po chrzcie była krótka libacja z wina i owoców w gronie rodziny Grajewskiego.
Dziś na noc wyjechaliśmy z Anną pociągiem na Radoszkowicze do Wiązowca. Anna od dawna pragnęła poznać mój las mamyłowski, o którym tyle zawsze ode mnie słyszała. Dotąd wahałem się spełnić to jej życzenie, bo się obawiałem możliwych przykrych konsekwencji dla naszego stosunku przez obudzenie czujności rodziny. Przyjazd mój do Wiązowca z kobietą młodą i w dodatku nie-Polką może zwrócić uwagę całego otoczenia miejscowego oraz włościan okolicznych, wywołując pewnego rodzaju sensację lokalną i najrozmaitsze komentarze i domysły, o co na wsi zawsze łatwo. Stąd wieść o mojej bytności w lesie z młodą towarzyszką może łatwo dotrzeć do Wołodkowiczów, zwłaszcza do Kazia, a stąd już bezpośrednio do mojej całej rodziny.

Poza tym, dwie siostry Biesiekierskiego, Krystyna i Łucja, z którymi Biesiekierski koresponduje, służą w Bohdaniszkach. Biesiekierski w liście do nich może się podzielić wiadomością o mojej bytności z Anną, a od nich dowiedzą się Rodzice. A szczegół ten, że Anna jest „Niemką" (bo po niemiecku z nią rozmawiam), jest taki zdradziecki, że się nie ukryje przed rodziną i Rodzicami mymi, że to jest właśnie ona. Nie uda mi się zblagować, że to jakaś inna znajoma – a o moim stosunku z Anną w najbliższej rodzinie mojej zapewne dobrze wiadomo, nawet nie tylko dobrze, ale zbyt opacznie. Mogłoby powstać zgorszenie, oburzenie, nawet jakieś kroki bardziej stanowcze. Ale ostatecznie rozważyłem, że przecie ludzie mogą mieć i miewają rozmaite znajomości, jeżdżą sobie gdzie chcą, dobierają się dla wspólnych wycieczek jak chcą i nikomu sprawozdania dawać nie muszą ani się jakiejś kontroli poddawać, a zresztą niczym nie zdradzimy z Anną naszego istotnego stosunku małżeńskiego. Zdecydowałem się więc pojechać do Wiązowca z Anną i dziś pociągiem północnym wyjechaliśmy z Wilna.

15 (28) czerwca, rok 1913, sobota
O godz. 5-6 rano przyjechaliśmy z Anną do Radoszkowicz. Jasiek z koniem czekał na stacji. Zaraz pojechaliśmy prościutko do Wiązowca. Od samych Radoszkowicz zaczął mżyć drobny deszczyk, który towarzyszył nam przez całą drogę bez ustanku, to mżąc, to padając wcale rzęsiście. Przemokliśmy porządnie i zziębliśmy na wilgoci, przenikającej przez wszelkie odzienie. Koło godz. 10 dojechaliśmy do Wiązowca. Annie wszystko się w Wiązowcu podobało: pozycja mojej leśniczówki, domek, mój pokój, moja czeladka Wiązowiecka, ten spokój cichej polanki leśnej, cała atmosfera dokoła, a nade wszystko Bryś, pełny humoru, apetytu, zdrowia, silnie zbudowany, przywiązujący się do człowieka – prawdziwe dziecko natury i piękny okaz psa.
Za każdym przyjazdem do Wiązowca zastaję pewne zmiany i pewien postęp w urządzeniu, który wypływa z wykonania moich poprzednich rozporządzeń. Tym razem zastałem kilka krzewów bzu, zasadzonych po rogach domu, które się przyjęły dobrze i zielenieją, trawnik okrągły przed domem, dróżkę wysypaną żwirem i dobrze utrzymana dokoła trawnika, wewnątrz mój pokój świeżo otynkowany z pobielonym sufitem. Trawki gazonowe, sprowadzone przeze mnie z Wilna i zasiane z polecenia mego na trawniku, rosną, ale rzadko, bo deszcz spłukał nasienie. Zajadaliśmy z Anną jajecznicę, smaczne szpekuchy i bułkę, upieczone na mój przyjazd, a Jaśka posłaliśmy w świat, aby nam kupił koguta na obiad, którego pod wieczór z apetytem zjedliśmy. Bryś na razie trochę warczał na Annę, nie poddawał się jej pieszczotom, chwycił ją nawet za rękę, ale już potem, gdy mu Anna rozmaitych smacznych rzeczy dała, nabrał do niej zaufania i był w najlepszej komitywie, tuląc się do niej i napraszając smaczności i pieszczot. Deszcz tylko i słota na dworze psuły nam przyjemność pobytu. Pokazałem Annie cały mój domek, gospodarkę, obejrzeliśmy zasiewy przy domu. Po raz pierwszy widziałem mój Wiązowiec prawdziwie zagospodarowany, z uprawnymi grzędami ogrodowizny dokoła. Nierad tylko jestem z konia Pryma, który nie tylko się na paszy nie poprawił, ale jeszcze schudł. Wygląda bardzo mizernie i słabowito, jest bardzo niewytrwały i słaby. Nic z niego nie będzie. Trzeba będzie go sprzedać, a kupić natomiast dobrego silnego konika. Ani pasza, ani dokarmianie go owsem i mąką – nie skutkują. Pomimo słoty, przeszedłem się z Anną po lesie przez uczęstek nr XVIII, zajrzałem na łąkę Kowalówkę, obszedłem całą granicę od Kaszyna poza Zaściszkami aż do leśniczówki. Po późnym obiedzie czuliśmy się tak zmęczeni podróżą nocną i wilgocią, że ledwo mogliśmy się doczekać przyzwoitej pory do snu. Kazaliśmy podpalić u mnie w piecu, ale przed ogniskiem sen nas jeszcze bardziej morzył. O godz. 9 poszliśmy spać – ja w swoim pokoju, Anna w izbie Biesiekierskiego z siostrą jego Manią, która jest

tymczasem gospodynią u brata, bo żona Biesiekierskiego wyjechała na połóg do swoich rodziców.

16 (29) czerwca, rok 1913, niedziela
Słota była przez dzień cały. No, już tak nie dopisać, jak nam teraz nie dopisała pogoda na ten nasz przyjazd z Anną do Wiązowca, to trzeba mieć szczególnego pecha. Nie zrażeni wszakże niepogodą i deszczem, chodziliśmy parokrotnie do lasu. Raz poszliśmy rano, przed obiadem. Obeszliśmy dość szczegółowo cały las od leśniczówki i serwitutowy. Podchodziliśmy pod rzeczkę Konotopkę, szliśmy w poprzek i wzdłuż środkiem lasu, przez moczary olchowe, stare gaje osinowe, gęszczary młodniaków jodłowych, nieznośne krzewy leszczyny, suche pagórki sosnowe. Anna podziwiała zwłaszcza piękne, bardzo grube i wyniosłe stare sztuki osinowe, które królują rozmiarami w lesie. Powietrze było wilgotne; zimna nie było, ale wilgoć przenikliwa. Anna ubrała się w moją ciepłą kurtkę jesienną, która chroniła ją znakomicie od wilgoci i chłodu. Brnęła przez las ochoczo, wszystkim się interesując, rozpytując o wszystkie szczegóły a podziwiając urodę lasu. Miałem wielką przyjemność z jej towarzystwa; jej natura wrażliwa chłonęła ciekawie i chciwie nowe dla niej wiadomości, wrażenia i uczucia. Dotarliśmy tak do ruczaju Wiązowca, kilkakrotnie wypoczywając w drodze na pniach lub kłodach niewywiezionego jeszcze przez kupca towaru. Od ruczaju wyszliśmy dróżką na Trusewicze i wróciliśmy stamtąd prosto do domu. Po obiedzie odbyliśmy drugi spacer po lesie; był to już spacer gospodarski z Biesiekierskim. Wszystko, o czym z Biesiekierskim rozmawiałem, Anna kazała mi tłumaczyć sobie najszczegółowiej, interesując się jak dziecko. Imponuje jej poczucie, że las ten, tak piękny a tak gospodarczo skomplikowany, należy do mnie, jej towarzysza, z którym się czuje węzłami stałego współżycia związana. Podoba się jej Biesiekierski, budzi w niej sympatię wszystko, co ciąży ku mnie. Z Biesiekierskim przez las serwitutowy poszliśmy do Gaju, który obeszliśmy cały i wyszliśmy na sam kres lasu. Tam rozstaliśmy się z Biesiekierskim i wróciliśmy z Anną we dwoje, idąc brzegiem lasu. Mieliśmy drogę urozmaiconą, bo trzeba było przez ruczaj przebrnąć, potem Anna natrafiła na grzyby (lisiczki), które zbierać zaczęła, aż tu deszcz zaczął się wzmagać w ulewę, potem przez bagnisko musiała Anna iść po śliskim pniu zwalonego drzewa z wielką ostrożnością. Dzień nam upłynął wesoło i pogodnie mimo niepogody.

17 (30) czerwca, rok 1913, poniedziałek
Anna, jak większość jednostek z ludu, nie należących do tzw. „inteligencji”, ma naturę bezpośrednią. „Inteligenci” tworzą specjalną formację psychiczną, w której jest zawsze przewaga refleksów umysłowych nad duchowością natur prostych, bezpośrednich. Ta cecha Anny w stosunku ze mną, inteligentem, utrudnia nam nieraz porozumienie i staje się źródłem pewnych rozdźwięków, ale skądinąd ma ona dla mnie w wielu razach urok specjalny, podnoszący wartość obcowania z Anną. Mam bowiem w niej zwierciadło czystych elementów duszy ludzkiej, działających bezpośrednio, nie sfałszowanych, nie przetrawionych przez refleksyjność umysłu, która każdy ruch ludzki zaprawia specyficzną barwą intelektualizmu; intelektualizm inteligencki ujarzmia i niweluje wyrazistość pierwotnych zasadniczych elementów duszy ludzkiej. U Anny zaś działają one prosto, samorzutnie, z jaskrawą wyrazistością, a że ma duszę bardzo bogatą, bujną, więc też dostarcza mi niezmiernie ciekawego i barwnego materiału do kontemplacji duszy ludzkiej. Kocham ja właśnie taką, jaką jest i po stokroć wolę, że nie jest „inteligentką” zmanierowaną. Pobyt z Anną w Wiązowcu dostarczył mi wielkiej przyjemności i rozkoszy właśnie dzięki tej bezpośredniości Anny. Przejmowała się ona szczerze wszystkim, wszystkim interesowała. Życie w niej bije intensywnie, jak w

człowieku, nie lalce. Była mi towarzyszka spacerów i wycieczek leśnych bez względu na pogodę i wygodę, była zawsze ciekawą, zawsze żywą wspólniczką każdej mojej myśli, każdego mego rozporządzenia gospodarskiego, każdej kwestii leśnej, która powstawała. A brała wszystko do serca i szczerze głęboko przejęta była wrażeniami, których tu obficie w nowym środowisku doznawała.
Pogoda dziś trochę była lepsza niż dni poprzednich. Deszcz wprawdzie kilkakrotnie padał, ale nie było słoty. Wiatr był duży, atmosfera raczej burzliwa niż słotna. W pauzach świeciło piękne słońce. Przed obiadem chodziliśmy z Anną po lesie nr XVIII i siedzieliśmy na łoneczce Kowalówce, skąd nas wszakże spłoszył wkrótce deszcz z burzą. Na obiad mieliśmy szczawik bielony śmietaną, z jajami (bez mięsa), smaczne świeże szpekuchy, grzyby (lisiczki) w śmietanie z cebulką, kartofle gotowane (dla Anny) i smażone (dla mnie), za napój zaś – sok brzozowy, mocno już skwaśniały, a w niektórych butelkach już fermentujący i nadpsuty. Po obiedzie poszliśmy „robić kiejf", tj. sjestę, na polankę leśną na wprost mojej leśniczówki, na ziemi należącej już do Ludwisia Wołodkowicza. „Kiejf" był miły, ale niezbyt długi, bo musieliśmy się śpieszyć, by wyjechać w porę na pociąg. O g. 7 wyruszyliśmy w drogę. Długa jazda do Radoszkowicz na stację po złej drodze zmęczyła trochę i znudziła Annę. O północy dotarliśmy do stacji kolejowej i zaraz nadszedł pociąg, który nas do Wilna zabrał. Tak się nasza miła majówka Wiązowiecka skończyła.

18 czerwca / 1 lipca, rok 1913, wtorek
Raniutko przyjechaliśmy z Anną do Wilna. Prosto z dworca rozjechaliśmy się każdy do siebie. W domu żadnych ciekawszych nowin nie zastałem: kilka listów, gazety – ot i wszystko. W sobotnim numerze „Kuriera Krajowego" znalazłem wydrukowany mój artykuł. Siła narodowa", który od dawna, może już od miesiąca, leżał u Mańkowskiego w rękopisie. Mańkowski wciąż artykułu tego nie drukował, mając doń jakieś szczególne uprzedzenie i dopatrując się w nim nacjonalizmu, czyli, jak się wyrażał, „zapaszku przeglądowego". W artykule tym zaznaczam, że istotną podstawą narodową polskości i kultury polskiej w tym kraju może być tylko ruch ludowy, samodzielny, demokratyczny, skierowany do wyłamania się spod przewagi szlacheckiej i klerykalnej pod „zaraniarskim" hasłem „sami sobie". Tylko powstanie takiego ruchu w miejscowych masach ludowych, używających języka polskiego i uważających się za polskie, może tu stworzyć na przyszłość podłoże dla kultury i narodowości polskiej i zarazem taki ruch nie będzie wrogim ruchom ludowym litewskiemu i białoruskiemu. Dopóki zaś ta część ludu krajowego, która należy do obozu polskiego, będzie szła, jak to ma miejsce dziś, na pasku szlachty i kleru i służyła za narzędzie do utrwalania przewagi szlachecko-klerykalnej i przeto do poddania ludu całego pod wpływy reakcji społecznej, dopóty ludy współżyjące, zwłaszcza zaś litewski (a także w swych uświadomionych elementach – białoruski), dążące do wyzwolenia, będą z natury rzeczy w pozycji wrogiej do ludu polskiego i sprawy polskiej w kraju. Moc sprawy polskiej i utrwalenia na przyszłość obywatelstwa i wpływów kulturze polskiej polega na zsolidaryzowaniu jej ze sprawą wyzwolenia ludu w demokratyzujących się stosunkach społecznych kraju. Jeżeli polskość pozostanie tu synonimem szlachectwa i starego układu społecznego, to przyszłość dla niej – smutna, pomimo że w obecnej chwili ma ona wszelkie pozory siły tak ekonomicznej, jak kulturalnej. Takie są założenia artykułu mego, w którym Mańkowski dopatrywał się nacjonalizmu. Że założenia te odpowiadają mniej więcej ideałom *leaderów* „przeglądowych" – Witolda Abramowicza i Nagrodzkiego – to pewne, ale nie są one przez to koniecznie złe. Chodzi tylko o to, aby czyn odpowiadał zawsze i istotnie tym założeniom, co właśnie grupa „przeglądowa" nie spełnia. Nastawałem od dawna na tym, aby Mańkowski, mając wątpliwości, poddał ten

artykuł orzeczeniu komitetu redakcyjnego. Oczywiście to teraz w mojej nieobecności wykonał i Zasztowt opowiedział się za drukowaniem go.
Cały dzień do wieczora zabawiłem w domu. Spałem trochę, potem zajęty byłem sprawami zaległymi. O g. 4 odwiedziła mię Anna. Wieczorem ja do niej poszedłem i spędziłem czas do północy.

19 czerwca / 2 lipca, rok 1913, środa
Mam wręczone mi przez Prozorowa spisy instytucji, towarzystw, a także kobiet posiadających cenzusy do wyborów miejskich i wpisanych do listy wyborczej. Spisy te Prozorow wydostał prywatnie z Zarządu Miejskiego i wręczył mi je dla przejrzenia i ewentualnego zużytkowania. Chodzi o to, że instytucje, stowarzyszenia i kobiety władające cenzusem mają prawo głosu przez przedstawiciela. Tą drogą więc, pozyskawszy przedstawicielstwo odpowiedniej osoby, można zyskać prawo głosu na wyborach. Chodzi nam o to, aby w ten sposób, skorzystawszy z cenzusów przedstawicielskich, wyrobić cenzusy dla osób, które się przydadzą w akcji demokratycznej na wyborach. My z Zasztowtem projektujemy zwołać w przyszłym tygodniu zebrańko grona osób, które będą stanowiły jądro akcji demokratycznej. Oczywiście wypadnie przede wszystkim wziąć do tego „przeglądowców" z Witoldem Abramowiczem na czele, bo to będzie grupa najbardziej skonsolidowana i najwyraźniejsza w demokratycznych kołach polskich. Żeby wszakże „przeglądowców" nie zrazić i nie obudzić w nich jakichś uprzedzeń i posądzeń, trzeba uważać, aby nie było żadnych pozorów, że to my z Zasztowtem jesteśmy inscenizatorami ruchu. Postanowiliśmy więc, że Zasztowt prywatnie się porozumie z Wit. Abramowiczem i że zebrańko zwołane zostanie od imienia jego i Abramowicza, żeby w samym założeniu była marka *leadera* „przeglądowego". Zasztowt już rozmawiał z Abramowiczem w tej materii i odniósł wrażenie, że Abramowicz chętnie będzie z nim współdziałać. Ja się też dziś z Witoldem widziałem, wręczyłem mu spisy, o których powyżej mówiłem i wspomniałem o potrzebie rozpoczęcia kroków porozumiewawczych dla przyszłej akcji demokratycznej. Witold bardzo się tymi sprawami interesuje, bo zdaje się sam bardzo pragnie trafić na radnego do samorządu miejskiego. Odniosłem wrażenie, że Witold nie zasypia gruszek w popiele i że już próbował przewąchać, co się w tej kwestii w poszczególnych kołach i grupach gotuje, ale jeszcze nie ustalił swej własnej orientacji, toteż chętnie stanie do udziału w pierwszych naradach poufnych, ażeby namacać grunt działania. Sądzę, że pomimo pewnych tarć ideowych, które miały w ostatnich czasach miejsce między „przeglądowcami" a nami, współdziałanie nasze na wyborach będzie nie tylko możliwe, ale nawet zapewne ścisłe. W ogóle nie należy przesadzać znaczenia tych naszych rozdźwięków wobec pewnych realnych potrzeb i dążeń demokratycznych w dzisiejszych warunkach panowania reakcji.
Nie wiem, czy mnie się uda wyrobić sobie cenzus i wziąć czynny bezpośredni udział w tej kampanii. Jest kwestia sporna, czy już jest po czasie dla wyrobienia sobie cenzusu przez przedstawicielstwo od instytucji czy nie. Termin dla reklamacji co do wpisania do list wyborczych już upłynął, ale nie wiadomo, czy termin ten ma znaczenie tylko w stosunku do wpisania do list samej instytucji, czy też osoby jej przedstawiciela. W każdym razie co do tego cenzusu, z którego ja zamierzam skorzystać, mianowicie przedstawicielstwa od spółki budowlanej Zasztowta, to zdaje się, że to już stracone, bo sama ta spółka do listy cenzusowej wciągnięta nie została. Ale jeżeli wydelegowanie przedstawiciela przez instytucję nie jest ograniczone ubiegłym terminem reklamacji, jeszcze mogę znaleźć instytucję lub stowarzyszenie, wciągnięte do listy, z którego cenzusu będę mógł skorzystać.

Bawił dziś w Wilnie w przejeździe Papa w drodze z Bohdaniszek do Wsielubia do O'Rourke'ów.

20 czerwca / 3 lipca, rok 1913, czwartek
Dziś pod wieczór, między godz. 6 a 8, ciągnęła po ulicach Wilna doroczna uroczysta procesja Bożego Ciała. Procesje te, wznowione od roku 1906, odbywają się z niezwykłą pompą. Cała ludność chrześcijańska wysypuje na ulice, które są literalnie wypełnione po brzegi na drodze, którędy przechodzi procesja (od Katedry ulicą Wielką, czyli Zamkową, do św. Jana, stamtąd Świętojańską i Dominikańską do Wileńskiej, Wileńską do prospektu Świętojerskiego i prospektem do Katedry). Ulice, którymi przechodzi procesja, są udekorowane girlandami zieleni, kwiatami, z balkonów zwieszają się dywany, w oknach i na balkonach wystawione obrazy, przeważnie Matki Boskiej, gdzieniegdzie jarzą się świece jak na ołtarzach przygodnych. Procesja ciągnie okazale, w przepychu dekoracyjnym, jak przystało na uroczystość katolicką, w której zawsze pozory i świetność zewnętrzna, działająca na zmysły tłumu, dominuje nad duchem i treścią. Mnóstwo ołtarzyków, chorągwi, emblematów, obrazów, serc na poduszkach, pełno barw i kunsztownego układu figur pochodu; dzieci, długie szeregi dziewczynek i chłopców, symetrycznie ustawionych i ubranych, grupy dziewcząt w bieli, zawoalowanych, ze wstążkami rozmaitych kolorów, charakteryzujących poszczególne grupy i parafie itd., itd. Widok ze średniowiecza lub z jakiejś baśni pogańskiej. Staliśmy z Anną na balkonie moim i przyglądaliśmy się stamtąd procesji. Obłęd religijny ogarnia dewockie tłumy wileńskie. Procesje takie hipnotyzują masę, przemieniają gromadę ludzką w bezmyślny nastrojowy zespół, ogarnięty pewnym rytmem maniackim. Ze wszystkich bodaj nastrojowych tłumów tłum nastroju religijno-obrzędowego jest najbezmyślniejszy, najpierwotniejszy w swym czuciu, najdalszy od ideałów doskonałości jakiejkolwiek. Kroczy – pewny siebie, rozpanoszony, zaufany w swej doskonałości, pełny pychy i nienawiści do wszystkiego, co się z nastrojem jego nie łączy, ślepy, daleki od wzorów pokory i miłości, które słowami, nie sercem, wyznaje. Dla księży – to geszeft, to narzędzie znakomite dominacji nad masą. Jedno jest wszakże w tych procesjach wileńskich dodatnie – to, że się w nich mieści odruch przeciwko uciskowi i prześladowaniu, któremu u nas katolicyzm ulega.
Napisałem dziś dla „Kuriera Krajowego" artykulik pod tytułem „Prawa kobiety" – artykulik o krzywdzie kobiecej, o dążeniu kobiet, i zwłaszcza ich przodowniczek, sufrażystek angielskich, do równouprawnienia. Swoją drogą, wiem, że artykuliki takie jednają nieraz dużo przyjaciół i dużo entuzjazmu wśród kobiet, zwłaszcza inteligentnych, bez względu na ich kierunek polityczny, co oczywiście też pismu jeno pomóc może. Pamiętam, jak swego czasu mały mój artykulik o sprawie kobiecej w „Gazecie Wileńskiej" dał mnie i pismu piękny plon najgorętszej i najrzetelniejszej sympatii.
Wieczorem u mnie odbyło się małe zebrańko w sprawach „Kuriera Krajowego". Zebrańko to zwołałem dla dwóch powodów: chodziło po pierwsze o przystąpienie wreszcie do wykonania postanowienia, powziętego przed miesiącem (29 maja) na zebrańku u dr Sumoroka, o zorganizowaniu spółki wydawniczej, i po drugie, o porozumieniu się z Janem Vileišisem, który wczoraj zwrócił się do mnie z oświadczeniem, że słyszał, iż stan finansowy „Kur. Kr." jest ciężki, że rozmawiał z tego powodu z niektórymi ze swoich przyjaciół z demokracji litewskiej i że chętnie wielu z nich udzieliłoby pismu wsparcia i pomocy pieniężnej. Vileišis zwracał się do mnie dla porozumienia, w jaki sposób takie wsparcie mogłoby być udzielone i wspominał, że może byśmy ze swej strony przyjęli do redakcji na stałego współpracownika do działu litewskiego jakiegoś Litwina, np. Mich. Biržiškę czy Šaulysa, gdyby się który z nich

mógł tego podjąć. Zasztowt, gdym mu moją rozmowę z Vileišisem powtórzył, był rozentuzjazmowany tym zaufaniem i tą czynną solidarnością i sympatią, jaka się zaczyna dokoła „Kur. Krajowego” wytwarzać spośród demokracji innych narodowości krajowych. Na zebrańko dzisiejsze przybyli: Zasztowt, ja, Mańkowski, Osmołowski, Jan Vileišis i przypadkowo Sergiusz Łopaciński, który zaszedł do mnie wieczorem dla odwiedzenia mnie i któregośmy na zebrańku zatrzymali, bo jest też jednym z domniemanych przyszłych udziałowców spółki. W kilku słowach omówiliśmy zasady przyszłej spółki i wyznaczyliśmy na 1 lipca zebranie ostateczne nasze, na którym Osmołowski z Mańkowskim mają przedstawić szczegółowe sprawozdanie finansowe „Kur. Kr.”, mamy ułożyć listę osób, które mamy wezwać do udziału w spółce i wreszcie postanowić o zwołaniu organizacyjnego zebrania spółki. Vileišis, może zbyt optymistycznie, zapewnił nas, że może do 30 Litwinów pozyszczemy na udziałowców.

21 czerwca / 4 lipca, rok 1913, piątek
Dzień do poobiedzia upłynął mi na oczekiwaniu wyjazdu do Warszawy. Pozałatwiałem niektóre sprawy na mieście, napisałem kilka pilniejszych listów oraz jedno podanie dla klienta, ale robiłem to wszystko śpiesznie, dorywczo, jak się robi zawsze na wyjezdnym. Koło godz. 5-6 spakowałem się i pojechałem po Annę i z nią na kolej. Odprowadzam moją Annę do Krasienina pod Lublinem, gdzie spędzi ona dwa miesiące wakacji letnich na wsi w szkole gospodarczej dla dziewcząt włościańskich, nie jako uczennica, lecz jako gość. Zdobędzie tam Anna wprawę w mówieniu po polsku i będzie miała środowisko 25 dziewcząt-chłopek polskich. Ponieważ szkoła ta jest w ręku „zaraniarzy”, więc z pewnością są to dziewczęta z najbardziej uświadomionych rodzin włościańskich, najbardziej społecznie i umysłowo wyzwolonych. Pobyt w Krasieninie obejdzie się Annie tanio, po rb. 15 miesięcznie. Wobec tego Anna ma możność zatrzymania na lato swego pokoju w Wilnie, gdzie pozostaną jej rzeczy. Po powrocie w jesieni nie będzie miała tej nieznośnej konieczności szukania pokoju do wynajęcia. Odprowadzam teraz Annę tylko do Lublina. Jedziemy z nią wpierw do Warszawy, gdzie spędzimy dwa dni na rozrywce, stamtąd do Lublina, gdzie jeszcze jeden dzień spędzimy razem, i wreszcie we wtorek się rozstaniemy. Na wtorek zapowiedziany jest listownie przyjazd Anny; w Lublinie będą już na nią czekały konie, którymi pojedzie wprost do Krasienina.
O godz. 8 wyjechaliśmy na Warszawę. Jechaliśmy III klasą w wagonie z platz-kartami. Miejsca mieliśmy wygodne. Przekąsiliśmy i koło godz. 9 ½ położyliśmy się spać.

22 czerwca / 5 lipca, rok 1913, sobota
Rano przyjechaliśmy z Anną do Warszawy. Zajechaliśmy do hotelu Saskiego, gdzieśmy się też w roku zeszłym zatrzymywali. Chodziłem z Anną dużo po mieście, przeważnie po Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie, Alejach Ujazdowskich, Marszałkowskiej, Ogrodzie Saskim itd. Wstępowaliśmy do rozmaitych kawiarni i mleczarni, obiad jedliśmy w jakiejś restauracji strasznie eleganckiej i drogiej, choć wcale nie osobliwej, na werandzie w Alejach Ujazdowskich. Anna kupiła sobie kapelusik w jakimś magazynie przy ul. Niecałej, ja sobie kupiłem trochę bielizny. O godz. 5 zwiedziliśmy wystawę wiosenną obrazów w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Tak biegły godziny na wałęsaniu się ciągłym, że aniśmy się spostrzegli, jak nastał wieczór. Warszawa w lipcu jest już bardzo wyludniona. Publiczności eleganckiej mało, ruch w najwspanialszych dzielnicach, jak Aleje Ujazdowskie, słaby. Warszawa ma jakiś wygląd szary, nie ma tego blasku, szyku, tej okazałości zewnętrznej, jaką miewa kiedy indziej. Toteż Annie Warszawa mniej się teraz podobała niż w roku zeszłym, kiedyśmy w maju z nią byli. Warszawa tak wtedy Annę olśniła, że w pamięci

jej pozostała jak jakiś obraz magiczny wesela, szyku, wspaniałości i nieprzerwanego ciągu zabaw. W wyobraźni Anny Warszawa więcej się jeszcze udekorowała niż to, co widziała ona w roku zeszłym w naturze. Obecnie więc musiała się rozczarować. Mieliśmy zamiar pójść jeszcze z Anna wieczorem do Akwarium do kabaretu. Ale gdyśmy wrócili koło godz. 8 do domu, ja się czułem źle: miałem dotkliwy ból newralgiczny w całej lewej połowie twarzy. Anna uprosiła mię, abym już dziś nie wychodził z domu. Zaopiekowała się mną troskliwie, napoiła odwarem malinowym na poty, ułożyła do łóżka i nalała trzy grzałki.

23 czerwca / 6 lipca, rok 1913, niedziela
Dzień dzisiejszy nawrócił znowu Annę do Warszawy. Wczoraj Warszawa wydała się Annie blada, straciła ten olśniewający urok, jaki miała w jej oczach ze wspomnień roku zeszłego. Widzieliśmy bowiem wczoraj Warszawę w dzień powszedni, latem i we dnie – to znaczy w warunkach najgorszych. Gdybyśmy byli poszli na miasto wczoraj wieczorem, zwłaszcza w Aleje Ujazdowskie, czar elegancji wróciłby znowu w całej pełni. Dziś natomiast, w niedzielę, Warszawa od rana lśniła życiem ulicznym. W mleczarni na Nowym Świecie podczas naszego śniadania rannego już było ludno. Przejechaliśmy się automobilem przez Aleje Ujazdowskie, potem dość długo siedzieliśmy w Ogrodzie Saskim. przyglądając się ruchowi tłumów. Im bardziej ku wieczorowi, tym bardziej ulice się zapełniały tłumem strojnym, ruch powozowy wzrastał także. Wieczór poświęciliśmy z Anną na rozrywki. Wieczór był za krótki. Chciałoby się nam jak najwięcej w ten jeden wieczór wpakować i zmieścić rozrywek, wszędzie być, wszystko choć okiem objąć. O godz. 5 poszliśmy wpierw do ogrodu na Dynasy. Jest to miejsce rozrywki ludowej ze sfer półinteligenckich: subiektów sklepowych, rzemieślników itp. Ale w Warszawie wszystko jest eleganckie, wszystko pełne pięknego smaku, nawet gdy jest skromne i ubogie. Obserwowaliśmy z Anną tłum, który powoli napływał do ogrodu: młodzieńcy, dziewczęta, jasne stroje, przelotne znajomości, zaloty, flirt, wesoło dokoła; na torze welocypedowym ukazali się cykliści na rowerach i jeden na motocyklecie. Właściwa zabawa z operetką i kupletami na scenie otwartej, z walką kwiatów itd. miała się rozpocząć dopiero o g. 8, przeto mogliśmy obserwować tylko pierwsze bezprogramowe odruchy zabawy ludu, dopiero zaczynającego się gromadzić, co wszakże było nie mniej ciekawe. W ogóle w Warszawie w życiu ulicznym i zabawie publicznej nie ma, zdaje się, wielkiego przedziału między właściwą burżuazją i inteligencją a masą półinteligencką. Cały tłum ten się miesza w ogólnym szyku dekoracyjnym, błyszcząc modnymi wesołymi strojami młodych jasnych i zgrabnych kobiet na tle gwarnych rozbawionych rzesz męskich. O godz. 6 opuściliśmy Dynasy spiesząc do piosenkowego Taetrzyku Miniatury, dokąd mię zwabiło w reklamie nazwisko mego dawnego kolegi i przyjaciela paryskiego, Alfreda Lubelskiego, podówczas studenta medycyny, z przekonań esdeka, chłopca wesołego i b. sympatycznego, dziś popularnego w Warszawie piosenkarza, szczepiącego na gruncie polskim wzory najlepszych kabaretów paryskich, pełnych dowcipu, satyry, melodyjnego taktu, a wolnych od sprośności. Jakoż trafiliśmy dobrze. Przedstawienie składało się z leciutkiej, niezmiernie śmiesznej, krótkiej operetki, równie krótkiej i śmiesznej krotochwili oraz śpiewu piosenek w przerwach. Uśmieliśmy się na operetce i krotochwili do łez, jak się nigdy w Wilnie nie zdarza, a piosenki dostarczyły nam rozrywki rzetelnie estetycznej, tak co do formy, jak treści. Nie tylko ja, ale i Anna doznała najlepszego wrażenia. Szła ona tam myśląc, że to jakaś sztuka kabaretowa w stylu wileńskiego Szumana, która, chociaż drażni zawsze jej zmysły wrażliwe, jednak budzi w niej w istocie wstręt. Tu bodajże po raz pierwszy w życiu miała Anna okazję do przekonania się, że istnieje sztuka piosenkarska i kabaretowa

specjalnej kultury, nie opartej na elementach sprośnych. Lubelskiego tylko słyszałem na estradzie, ale się z nim nie widziałem, bo nie miałem czasu na przypomnienie się jemu i na rozmowę, a i on też zapewne czasu nie miał. O godz. 8 ½ pośpieszyliśmy z Teatrzyku Miniatury do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim na przedstawienie trupy dramatycznej, gdzie grano „Nauczycielkę" (tłumaczenie z węgierskiego) z Ordon-Sosnowską w roli tytułowej. O godz. 11 ½ po przedstawieniu w Teatrze Letnim pojechaliśmy jeszcze tramwajem na kolację do Bagateli. Było już późno, a że i deszcz kilkakrotnie padał, więc na ulicach było już dość pusto. W Bagateli na scenie zamkniętej kończyło się już przedstawienie. Myśmy tylko na werandzie w ogrodzie kolację zjedli. W Bagateli też mój kolega paryski jest dyrektorem teatrzyku – „trybun" ongi, nawet zdolny, ale jałowy – Tadeusz Ulanowski. Tylko przelotnie, spiesząc z teatru do teatru, oglądaliśmy z Anną ten czarowny, hipnotyzujący elegancją wieczorny tłum Alei Ujazdowskich.

24 czerwca / 7 lipca, rok 1913, poniedziałek
Pożegnaliśmy Warszawę i rannym pociągiem wyjechaliśmy z Anną do Lublina. Zbliża się oto kres naszej pięknej, a tak krótkiej wycieczki. Jutro zaś u mety wycieczki smutne rozstanie na parę miesięcy. Wagon III klasy, którym jechaliśmy do Lublina, był pełny po brzegi; Żydów w wagonie ciżba niesłychana – gwar nieustanny żargonu, tłum niechlujny, wszędzie się wciskający, w każdą szparkę siedzenia. Ale za to tłum charakterystyczny, pełny typowej wyrazistości, w osobliwych strojach, właściwych Żydom polskim, w długich ciemnych lub czarnych sukniach, w maleńkich charakterystycznych czapeczkach na głowach, ciekawy i stylowy w całym układzie swoim, zarówno zewnętrznym, fizycznym, jak obyczajowym i psychicznym, tłum ludu biednego, który, mimo swych cech ujemnych i przykrych, jak brud, wścibstwo, przebiegłość itp., budzi szczerą sympatię, nie tylko dlatego, że posiada dużo cech pięknych, ale też i głównie dlatego, że jest nieszczęśliwy, przez wieki i pokolenia krzywdzony i poniewierany w wiecznej tułaczce, a teraz właśnie w Polsce dotknięty bolesną plagą antysemityzmu. Antysemityzm, czyli bojkotyzm Żydów, grasujący obecnie w Polsce, rzuca się w oczy nawet powierzchownemu obserwatorowi życia. Wystarczyło mi tej krótkiej wycieczki, aby od razu przygodnie kilka takich obrazków antysemickich ujrzeć. Dwa razy było to w wagonie z powodu sprzeczek o miejsce, gdy Polak, otoczony ciżbą Żydów, uniósł się i z taką arogancką butą i pogardą zelżył Żyda, podkreślając właśnie antysemicki charakter obelgi, że doprawdy gdyby coś podobnego spotkało Polaka nie tylko od Żyda, lecz nawet Rosjanina, Litwina, Francuza, to z pewnością Polak by zareagował na to i nazajutrz gazety polskie rozniosłyby szeroko z oburzeniem wieść o publicznej bezczelnej zniewadze polskości. Ale inna miarka stosuje się przez antysemitów do godności ludzkiej i narodowej wszystkich powszechnie śmiertelników, inna zaś – do Żydów. W tym właśnie mieści się najpodlejszy, najszkodliwszy jad moralny antysemityzmu. Jest on zaprzeczeniem humanizmu, chrześcijaństwa, wszystkiego, co kultura ludzka stworzyła wzniosłego w zakresie współżycia. O tym winni pomyśleć „postępowi" antysemici warszawscy w rodzaju Świętochowskiego, Niemojowskiego etc., ponieważ tym jednym ruchem niszczą oni cały gmach swej idei Postępu, Ludzkości, Myśli Wolnej itd. Antysemityzm ten bowiem to nie jest tylko konkurencja ekonomiczna – to w oczach i umyśle tłumu wyrzucenie żydostwa za nawias ludzkości, wyzucie go z praw szacunku i godności. Żydzi zdają się przyjmować tę poniewierkę na pozór ze skruchą, z tchórzliwym przygnębieniem, knując jeno w sercach nienawiść odwetu. Smutne to są rzeczy. Jeszcze gorszą scenę obserwowałem na ulicy w Warszawie, gdy jakiś zdziczały staruszek z kijem

podniesionym w ręku gonił przechodzącego Żydka, lżąc żydostwo publicznie, a nikt się nie upomniał zaniechania gwałtu.
Po drodze do Lublina przyglądaliśmy się z Anną przez okno okolicy. Wygląd wsi polskiej jest tu o niebo całe wyższy w kulturze od ubogiej wsi białoruskiej i podwileńskiej. Tam u nas zboże ubogie, gleba marnie uprawiona, przeważają lasy lub nędzne pastwiska-nieużytki lub, co smutniej, przestrzenie lasów rabunkowo zniszczonych, wyjałowionych i porzuconych. Anna, która nie zna Litwy etnograficznej, sądzi o całym kraju naszym podług guberni wileńskiej i mińskiej. Była też uprzedzona do Polski, wyobrażając sobie wieś polska podobną do białoruskiej, o ludzie zaś polskim wyrobiła sobie uprzedzenie na podstawie ciemnych dewockich tłumów polskich w Wilnie, stanowiących najciemniejszą pono część naszego ludu w Litwie. Tymczasem tu już zaraz przedmieścia Warszawy z licznymi kominami fabrycznymi świadczyły o istniejącym tu skupieniu przemysłowym i robotniczym, będącym już tworem wyższej kultury. Anna ma sympatię szczególną do proletariatu fabrycznego, uważając słusznie takowy za główną dźwignię wyzwolenia mas ludowych, za kapitalny element fermentu i reformy społecznej.
Dalej aż za Otwock biegły wzdłuż plantu ruchliwe letniska, świadczące o potędze wielkomiejskiej Warszawy. Pola pięknie uprawne, zboże bujne, świadczące o intensywnej kulturze rolnej i wysiłku pracy ludzkiej nawet na jałowych piaskach mazowieckich. Za Puławami grunt już z natury żyzny, pszenny – wszędy znać pracowitość i kulturę włościan, co Annie bardzo zaimponowało i zjednało dla Polski. Anna z radością i uznaniem stwierdzała, że kraj ten nie ustępuje jej Łotwie rodzinnej, którą dotychczas uważała zawsze za wzór niedościgły dla nas, czy to Litwinów, czy Białorusinów, czy Polaków. Koło godz. 2-3 przyjechaliśmy do Lublina. Zajechaliśmy do hotelu Europejskiego, gdzie otrzymaliśmy pokój wspaniały, jakiego nie mieliśmy nigdy w naszych wycieczkach. Po zjedzeniu obiadu i kawie u Rutkowskiego chcieliśmy sobie jakąś rozrywkę na wieczór obmyslеć, ale się okazało, że oprócz tandety kinematograficznej nic dziś nie ma. Pochodziliśmy więc po starym mieście i wcześnie poszliśmy spać.

25 czerwca / 8 lipca, rok 1913, wtorek
Nastał dzień rozstania naszego z Anną. Wszakże pół dnia mieliśmy jeszcze do spędzenia ze sobą. Załatwiliśmy rano parę interesów na mieście, pochodziliśmy przyglądając się Lublinowi, który sprawia na Annie wrażenie bardzo dodatnie. Chodząc po mieście zaszliśmy do jakiegoś nędznego ogródka miejskiego, położonego nad rzeczką przy ul. Zamojskiej. Ogródek ubogi, zasadzony drzewami, bez trawy, z prostymi ławeczkami do siedzenia, z dwiema sadzawkami, połączonymi kanałem; nad kanałem mostek, na sadzawce łódki do wynajęcia; w środku między sadzawkami budynek mieszczący kinematograf i może teatr popularny, bo na ganeczku i na ławeczkach przy budynku tym kręciło się grono artystów i artystek, wyglądających dość ubogo i skromnie, widocznie z jakiejś biednej trupy prowincjonalnej. Cały charakter ogródka typowy jako miejsce rozrywek dla uboższej ludności miasta; w ogródku bawiły się biedne dzieci robotnicze, kobiety z ludu przychodziły tu z dziećmi i wnuczętami, poza tym kilka parek gruchających młodzieży z ludu. Annie, która ma głębokie sympatie dla ludu, ten charakter ogródka bardzo się podobał. Przypominało to Annie jej miasta łotewskie, jak Libawę, Windawę itp., gdzie lud się w miastach jakoś więcej i samodzielniej ujawnia niż w naszym Wilnie, mającym szczególne piętno szlacheckie lub klerykalne. Istotnie, w Wilnie nie ma takich ogródków i w ogóle tłumy miejskie albo są w Wilnie nacechowane pretensjonalnością pańsko-inteligencką, albo, jeżeli są masą ludową, to ujawniają się tylko w aktach dewocji lub, jak Żydzi, w

brudach zaułków cuchnących. Skądinąd widok kominów fabrycznych na przedmieściach Lublina, pracowity ruch towarowy na ulicach, włościanie chodzący po mieście w ubiorach porządniejszych od naszych włościan, wyróżniający się w ogóle większym wyrazem inteligencji, to wszystko w związku z wczorajszymi wrażeniami z widoków pól dobrze uprawnych – sprawiało na Annie wrażenie sympatyczne i zjednywało ją coraz bardziej do Lublina. Czuła tu tętno kultury ludu, pracy, życia twórczego, czego w pańskim, dewockim, brudnym Wilnie nie dostrzegała. W śródmieściu zaś Lublina, na głównej ulicy – Krakowskim Przedmieściu – ruch zgoła inny: w Lublinie odbywają się w tych dniach wyścigi konne, toteż liczny jest nader zjazd ziemian, piękne eleganckie zaprzęgi, konie, hotele pełne, ruch szlachty rozbawionej i dokoła hotelów gromadki szwargoczących Żydków, obrabiających jakieś geszefty z przyjezdnymi panami.
Po obiedzie nastała wreszcie pora rozstania się z Anną. Smutno nam było. Znowu będę parę miesięcy samotny, choć tym razem na wakacjach na wsi lżej mi będzie bez Anny niż w Wilnie. Dobrze nam razem, czy to w cichym Wiązowcu, w domku samotnym leśnym wśród słoty, w otoczeniu prostych ludzi i prostego Brysia, czy w eleganckiej wielkomiejskiej Warszawie, czy w skromnym pokoiku Anny przy ul. Monastyrskiej. Toteż rozstanie jest tym bardziej tęskne wspomnieniami i żalem samotności. Jeszcze ciężej było Annie, bo zostaje ona wśród obcych, musi iść na te miesiące do środowiska zupełnie nieznanego. Po wyjeździe moim musi ona się zgłosić do niejakiego dr Jankowskiego, który, jak pisała p. Kosmowska, ma ją wyekspediować z Lublina końmi do Krasienina. Gdzie jest ten Krasienin, jak wygląda, jakie tam Anna zastanie środowisko, jaki ją czeka tryb życia – to wszystko jest mniej więcej zagadką, tylko w ogólnikowych rysach zaledwie nam znaną. Wiemy tylko, że Krasienin jest pod Lublinem, że jest tam szkoła gospodarcza dla dziewcząt włościańskich, założona przez zaraniarzy, że jest w niej 25 dziewczyn – i nic poza tym. Najwięcej niepokoi Annę pierwszą chwilą zgłoszenie się do dr Jankowskiego, mężczyzny obcego, zwłaszcza wobec tak słabego władania przez Annę językiem polskim. O godz. 4 wyjechałem z Lublina, żegnany przez Annę wzruszoną i sam wzruszony. Wieczorem przyjechałem do Warszawy i stamtąd ruszyłem tejże nocy do Wilna.

26 czerwca / 9 lipca, rok 1913, środa
O południu byłem już w Wilnie. Zamierzam tu jeszcze tydzień zabawić, a wtedy pojechać na cały tydzień do Bohdaniszek. Anna nie schodzi mi z myśli. Jak ona sobie tam radę dała, czy zastała dr Jankowskiego, do którego się zgłosić musiała, czy nie było jakichś nieprzewidzianych komplikacji, czy dotarła już do Krasienina i jak tam się w tym nowym i obcym dla niej środowisku czuje? Oto są pytania, które mię zaprzątają, a na które dopiero chyba pozajutro najwcześniej odpowiedź w liście Anny otrzymam. Anna mi obiecała napisać zaraz z Krasienina, ale nie wiadomo, jak tam poczta kursuje. Czuję się trochę niezdrów. Mam coś na kształt kataru, bóle newralgiczne w lewej połowie twarzy, a obfite dozy aspiryny, które codziennie przyjmuję, sprawiają poty i pewien stan gorączkowy.
W Wilnie nie zastałem nic nowego, przynajmniej o niczym nowym się nie dowiedziałem. Z domu prawie że nie wychodziłem. Wieczorem miałem gości u siebie, Rozmawialiśmy o rozmaitych rzeczach, szczególnie o wyborach miejskich. Sprawa tych wyborów jest jeszcze bardzo nieokreślona, choć już tu i ówdzie słychać, że poszczególni działacze miejscy coś się tam krzątają, miewają jakieś narady, zgarniają grupki zwolenników. Ale dopiero na jesieni sytuacja się wyklaruje i zaczną się tworzyć kombinacje kompromisów i układów właściwych. W każdym razie, nie zaszkodzi, aby

się grono „przeglądowców” wespół z Zasztowtem i mną zebrało jeszcze teraz dla ustalenia sobie pewnych wytycznych roboty przygotowawczej.

27 czerwca / 10 lipca, rok 1913, czwartek
Stykam się w tych dniach codziennie z niejakim Szukjanem, felczerem Żydem, który mi robi masaż. Jest to mój dawny znajomy, jeszcze z r. 1906, człowiek ciekawy, wcale nie głupi, o typowej zmysłowości żydowskiej. Lubię go, cenię i mam przyjemność w rozmowie z nim. P. Szukjan jest człowiekiem już starzejącym mocno, ale jeszcze ruchliwym i żywym. Dzieciom swoim dał wykształcenie staranne: syn jego, młodzieniec dwudziestokilkuletni, jest od lat paru pomocnikiem adwokata przysięgłego w Petersburgu; córka skończyła wydział nauk społecznych w Genewie i wyszła niedawno za mąż za swego byłego kolegę z Genewy, Żyda rosyjskiego rodem z Libawy, doktora praw. Pomimo to stary Szukjan nie porzuca swej praktyki felczerskiej, bo jak był biedny, tak nim pozostał, gdyż z najwyższym wysiłkiem łożył wszystko na wykształcenie dzieci. Lubię bardzo rozmawiać ze starym. Jest namiętnym zwolennikiem postępu i humanizmu, aczkolwiek z pewnym sceptycyzmem patrzy w przyszłość, jest idealistą z temperamentu i przekonań, a ponad to wszystko jest gorącym patriotą żydowskim. Bierze tak do serca tragedię i krzywdy swego nieszczęśliwego narodu, jak osobiste i własne. Ma bardzo wybitnie zaakcentowane cechy umysłowości żydowskiej – żywość myśli, łatwość orientowania się, jednostronność i krańcowość dochodzące do zaciekłości, zamiłowanie do propagandy, do dyskusji zacietrzewionej. Dużo wszakże czyta, dużo myśli i zwłaszcza dużo obserwuje. Jest mądry, stary Żyd, marzyciel i idealista. Zruszczały jest, jak wszyscy nasi Żydzi litewscy, pokryci pokostem kultury rosyjskiej inteligenckiej, z której zwłaszcza przyswajają oni sobie najbardziej elementy nihilistyczne, rezonerskie, oderwane od praktyki życiowej. Szukjan nienawidzi szczególnie kleru katolickiego, który uważa za jezuicki, przebiegły, szkodliwy dla wszelkich ideałów humanitarnych, pełny najgłębszej perwersji. W dominacji tego kleru upatruje on największą klęskę ludów i kultur. Dziś opowiadał mi on obrazki ilustrujące zaiste ohydnie obyczajowość i moralność „naszego” kleru katolickiego. Szukjan miał w swym życiu dużą praktykę felczerską, a przeto stykał się i masował ludzi wszelkich narodowości, stanów i zawodów. Miał wśród pacjentów księży wybitnych, znanych w Wilnie, szanowanych. Opowiadał mi, z jakim cynizmem księża katolicy mówią o rozpuście, jak się lubują w sprośności. Nikt z takim smakiem nie mówi o kobietach, organach płciowych, spółkowaniu, jak właśnie księża; mówią o tym z największym wyrafinowaniem, używają najordynarniejszych wyrazów ze szczególnym upodobaniem, a jeden ksiądz, powszechnie w Wilnie szanowany, posunął się w cynizmie do tego stopnia, że rozpytywał starego Szukjana o szczegóły jego spółkowania z żoną, śmiejąc się przy tym i dopytując, czy się Szukjan w trakcie spółkowania poci. Może Szukjan zbytnio uogólnia te fakty, powodując się właściwą mu stronnością w danym razie antypatii, ale rzeczywiście fakty, które mi opowiadał, są wstrętne. Szukjan dał mi dziś do przeczytania jakąś broszurę polemiczną, napisaną z powodu jakiegoś pamfletu na Talmud. Przeczytałem ją, lecz muszę wyznać, odstręczyła mię ona od Talmudu szczerze, mimo że jest pisana w obronie takowego i że go idealizuje. Nigdy się dotąd Talmudem nie zajmowałem, teraz wszakże z tej apologii polemicznej widzę, że istotnie ma on w sobie dużo cech niesympatycznych, zwłaszcza w stosunku do pogan; poniża on ich, stwarza dla nich prawa wyjątkowo ujemne, jest pełny pychy i nietolerancji. Ustępuje olbrzymie pięknej Ewangelii. Co innego, że dziś oficjalni rzecznicy Ewangelii zdradzają ją w praktyce chrześcijańskiej, ale sama w sobie jest ona piękna. Oczywiście, z brzydoty Talmudy nie robię Żydom dzisiejszym zarzutu i nie wyciągam stąd wniosków ku usprawiedliwieniu krzywd, które się im wyrządzają.

28 czerwca / 11 lipca, rok 1913, piątek
Myślałem, że może będę miał dziś list od Anny z opisaniem przyjazdu do Krasienina i pierwszych wrażeń. Listu wszakże nie było. Nie sprawia mi to niepokoju, bo rozumiem, że pierwszego dnia, we wtorek, Anna już napisać nie zdążyła, a jeżeli napisała najwcześniej we środę, to nie wiadomo jeszcze, jak często z Krasienina poczta odchodzi. Zresztą skoro nie ma wieści, to znaczy z pewnością, że wszystko dobrze. W Lublinie dr Jankowski był wszak uprzedzony o przyjeździe Anny i niewątpliwie bez żadnych przygód udało się Annie dojechać do Krasienina. Zresztą nawet gdyby w pierwszym liście Anny były jakieś utyskiwania i skargi, to bym się zbytnio nie przeraził, bo wiem, że moja Anna lubi trochę straszyć, a rozumiem, że na razie będzie jej obco i przykro, nim się nie oswoi.
Opowiadał mi dziś Zasztowt o pewnym zebrańku przedwyborczym (przed wyborami miejskimi), na którym był wczoraj. Zebrańko to było zwołane przez p. Jankowskiego z banku. Osób było 20. Skład osobisty zebrańka był bardzo mieszany. „Przeglądowców" nie było wcale, z elementów demokratycznych byli tylko Zasztowt i Jakubowski (były członek naszego Centralnego Komitetu Demokratycznego na zeszłorocznych wyborach do Dumy). Ogół składał się z osób przeciętnie przekonaniowo bezbarwnych, ale byli i tacy koryfeusze prawicy klerykalno-konserwatywnej, jak dr Rymsza. Wszakże wszystkie postulaty charakteru programowego, które wypowiadali Zasztowt z Jakubowskim, były bez opozycji przez zebranych przyjmowane; Jankowski tylko jedno zrobił zastrzeżenie co do postulatów Zasztowta – mianowicie że warto unikać słów „demokracja" i „demokratyczny" (charakterystyczne!). Była to właściwie tylko pierwsza narada porozumiewawcza – dla namacania gruntu. Zebrani postanowili zwołać na czwartek liczniejsze zebranie w Klubie Bankowym. Wszystkich, kogo zaproponowali zaprosić na to zebranie Zasztowt i Jakubowski, przyjęto bez wahania; w szczególności Zasztowt zaproponował zaprosić cenzusowych „przeglądowców", to znaczy Witolda Abramowicza, Krzyżanowskiego i Nagrodzkiego, a także mnie na tej podstawie, że choć jeszcze cenzusu nie mam, ale staram się o takowy. Gdy natomiast przeciwko zaproszeniu na czwartkowe zebranie niejakiego dr Antonowicza zaprotestowali gorąco Zasztowt z Jakubowskim, ponieważ to jest merytoryczny reakcjonista, to zebrani natychmiast cofnęli Antonowicza. Sam Zasztowt nie wie, co to była za grupa ludzi na tym zebraniu wczorajszym i do czego właściwie ona dąży, ale tymczasem kontaktu zrywać z nią nie warto, bo się ma tam punkt orientacyjny, Gdy Zasztowt dla wybadania postawił zapytanie, kogo grupa uważa za swego przeciwnika i z kim walczyć będzie, odpowiedziano półgębkiem, że nie wiadomo, jakie stanowisko zajmie dr Sumorok. W rzeczywistości to jest zapewne grupa pragnących się dostać do rady Miejskiej i zaczynających urabiać i zdobywać teren, szukając zawczasu punktów oparcia i kompromisów. Ten sam Jankowski, spotkawszy pozawczoraj Mańkowskiego, tłumaczył mu, że ich grupa stoi na stanowisku demokratycznym i że chcą oni iść na wyborach w jak najlepszym porozumieniu z „Kurierem Krajowym". W rzeczywistości jest to nie opozycja, ale pierwsza próba solidarnego kompromisu ogólnego.

29 czerwca / 12 lipca, rok 1913, sobota
Poszedłem dziś do p. Jakubowskiego w sprawie wyrobienia sobie cenzusu wyborczego do Rady Miejskiej. Jakubowski, stary emeryt, postępowiec umiarkowany, ma osobisty cenzus wyborczy jako właściciel posiadłości na Zwierzyńcu i oprócz tego korzysta z cenzusu Towarzystwa Straży Ochotniczej, której jest prezesem. Otóż chciałem uprosić Jakubowskiego, aby mi ustąpił ten drugi cenzus, co dałoby się wykonać w ten sposób, że na zwołanym ogólnym zebraniu towarzystwa wybrałoby się mnie do zarządu, a

następnie zarząd upełnomocniłby mnie, jako swego członka, do reprezentowania cenzusu towarzystwa. Sądziłem, że Jakubowski, jako posiadający już jeden cenzus osobisty, nie będzie zbytnio obstawać przy zachowaniu drugiego głosu. Ale Jakubowski jest staruszkiem ambitnym i upartym. Chodzi mu bardzo o to, ażeby zostać radnym, a uważa, że dwa głosy dają mu większą moc niż jeden, tym bardziej, że, jak powiada, dom może sprzedać, więc pozostanie mu zawsze cenzus zapasowy. Wymawiał się niby trudnościami formalnymi wprowadzenia mię tak na poczekaniu do zarządu, ale widziałem, że chodzi mu bardzo o zachowanie tego cenzusu dla siebie. Obiecał mi natomiast Jakubowski, że postara się o wyrobienie dla mnie i dla Turskiego innych cenzusów od towarzystw, które jeszcze swych przedstawicieli nie wydelegowały, w szczególności zaś chce kołatać o cenzus od warszawskiego towarzystwa „Kalinowski i Przepiórkowski" (fabryka tytoniu „Noblesse") i od towarzystwa „Fraget", które oba mają cenzusy w Wilnie, poza tym spróbować wyrobić cenzusy za pośrednictwem Antoniego Jankowskiego. Może coś z tego będzie, bo Jakubowski jest energiczny i gdy się do czegoś weźmie, to zazwyczaj zrobi. Pragnąłbym bardzo, aby mi się udało pozyskać cenzus. Z wielką ochotą wziąłbym udział nie tylko w akcji wyborczej, ale i w pracy czynnej w Radzie Miejskiej, o ile bym został wybrany. Zdaje się, że właściwie być wybranym, jeżeli tylko o to chodzi, nietrudno. To pozawczorajsze zebranie u Jankowskiego, jak się już sam domyślałem i jak mi dziś Jakubowski ze swych spostrzeżeń potwierdził, było balonem próbnym ugody, puszczonym przez dotychczasowy Zarząd Miejski. Jankowski działa w porozumieniu z Zarządem jako emisariusz właściwie, który ma utworzyć kompromis. Jak powiada Jakubowski, zgodziliby się oni nawet jakichś 10 postępowców naszych wpuścić do Rady, byle zachować całość placówki w swym ręku. Oczywiście wszakże, że w takim razie występowanie na wyborach z jakimś programem jaskrawym lub tym bardziej lub tym bardziej z krytyką dotychczasowej gospodarki miejskiej i zarządu byłoby wykluczone. Szeroka platforma, o której była mowa w naszej komisji poufnej, wytknięcie programu reformy gospodarki miejskiej itd. musiałoby być zaniechane. Za gwarancję wprowadzenia do Rady grona naszych postępowców musielibyśmy się pogodzić z sytuacją istniejącą i zaniechać stanowiska zasadniczego, przenosząc nasze zamiary reformatorskie na czas właściwej pracy w Radzie, gdzie właściwie postępowcy nasi byliby w mniejszości – i wszystko by znów szło po staremu. Zdaje się, że elementy postępowe, którym bardzo chodzi o trafienie do Rady, a które nie mają dziś w masie wyborców swoich grup, pójdą na taki kompromis (Jakubowski z pewnością, Wit. Abramowicz zapewne także). Skądinąd jeżeli do kompromisu tego nie staniemy i wystąpimy na wyborach samodzielnie, choćby z najszerszym programem i z dobitną krytyką gospodarki obecnego Zarządu i Rady, to nic nie wskóramy i zostaniemy zwyciężeni, bo jesteśmy ludźmi nowymi i ogromna większość wyborców nie zechce oddać miasta w ręce nowe, chociażby ręce stare nie były doskonałe. Taka jest sytuacja przed wyborami tymi.

30 czerwca / 13 lipca, rok 1913, niedziela
Przyszedł dziś wreszcie oczekiwany list od Anny, który w tłumaczeniu z naszej gwary niemieckiej brzmi tak: „10 lipca. Twoja Annin z Krasienina. Kochany Michaś, opowiem Ci od Lublina; poszłam zaraz (po rozstaniu się naszym) do doktora. I już tego dnia przesiedziałam u doktora całe pół dnia, dlatego że nie można było dostać koni. Ten doktor (dr Paweł Jankowski z Lublina) jest bardzo sympatyczny, żona doktora mało sympatyczna. Wieczorem z doktorem i jego żoną poszliśmy oglądać miasto, opowiadał mi dużo. Pytał, dlaczego przyjechałam tu do Polski, po co mi to potrzebne; odpowiedziałam, że dlatego, że muszę w Wilnie mieszkać (to znaczy, że mieszkając w

Wilnie Annie potrzebna jest znajomość języka polskiego). Nazajutrz o godz. 9 wyjechałam z Lublina do Krasienina. Jechałam bardzo pięknie, parka pięknych małych koników białych, zupełnie jak przystało pani Romerowej, naturalnie z własnej kieszeni. Do Krasienina przyjechałam o godz. 12 w południe; Krasienin leży o 14 wiorst od Lublina. Gdym już dojechała do tego domu, gdzie jest ta szkoła (szkoła gospodarcza dla dziewcząt w Krasieninie), ujrzałam dużo grubych dziewcząt, wszystkie z czerwonymi chustkami na głowach, biegnących i krzyczących: jedzie, jedzie! Zaraz wyszły dwie nauczycielki, przywitałam się, weszłam do środka, obejrzałam wszystkie pokoje, świnie, krowy, konie itd. Te dziewczęta są bardzo sympatyczne. Tam uczą wszystkiego: czytać, pisać, geografię – przed obiadem. Po obiedzie pracują w ogrodzie; mnie nie dają żadnej roboty, nikt się mną nie zajmuje, ja idę zawsze ze wszystkimi dziewczętami. Wieczorem mnie nie dają pisać, dlatego też dopiero nazajutrz po przyjeździe piszę. Mam swój pokój osobny, w którym śpię. Mój Michasiu, więcej nie wiem, co mam Tobie pisać, nie mam czasu, ponieważ dziewczęta już biegną do mnie i wołają, bym szła do innego pokoju. Całuję mego Michasia i pytam, czy dobrze dojechał do Wilna”. Z listu tego bardzo się cieszę, bo widzę, że Annie jest tam dobrze. Anna zazwyczaj nie jest zbyt skora w szafowaniu epitetem „sympatyczny” względem osób mało znajomych. A tu od razu i doktor na wstępie wydał się jej b. sympatyczny, i dziewczęta „bardzo sympatyczne”. Znaczy – wrażenie Anny jest dodatnie, a to grunt. Widzę, że się czuje w tym nowym środowisku swojsko, bo ma swobodę. Cały list tchnie dobrym usposobieniem. Najwięcej się Anna obawiała skrępowania, zbytniego zajmowania się jej osobą, czego ona nie znosi, bo nie wie wtedy, jak się ma zachować, traci rezon i sztywnieje. A tam w prostym szczerym środowisku dziewcząt wiejskich ma swobodę. W Wilnie teraz strasznie nudno. We dnie duszno, brak powietrza, smrody. Często deszcz pada, codziennie burze. Miasto wyludnione, nuda letnia. Gdy była moja Anna, tom się z nią nie nudził. Z nią mi wszędzie dobrze. A teraz już prędzej na wieś – do Bohdaniszek. Pozajutro chcę wyjechać.

1 (14) lipca, rok 1913, poniedziałek
Sprawa wyborów miejskich bardzo mię zaprząta. Zdaje się, że ewentualny wybór na radnego nie jest bynajmniej tak trudny do osiągnięcia, chętnie zaś bym się oddał tej pracy w samorządzie miejskim. Jest to placówka czynu realnego, gdzie zwłaszcza potrzebni są w naszych warunkach ludzie niezależni. Jeżeli w kampanii wyborczej pójdziemy na kompromis z grupą rządzącą, to możemy zyskać dla opozycji jakiś dziesiątek lub więcej miejsc w Radzie, gdzie już tworzylibyśmy zwartą grupę i moglibyśmy mieć wpływ na kierunek gospodarki miejskiej, a przynajmniej w najgorszym razie wnosić choćby element krytyczny. Ale oczywiście pierwszym warunkiem do udziału w wyborach jest posiadanie cenzusu. To mi więc przede wszystkim w tej chwili na sercu leży. Prosiłem już przed paru dniami Jakubowskiego, by spróbował przez niektóre towarzystwa cenzus mi wyrobić. Niezależnie od tego chcę poruszyć w tym samym celu i inne sprężyny, przede wszystkim zaś Żydów. Żydzi nie mają prawa wyboru do Rady Miejskiej, ale dużo towarzystw cenzusowych (instytucji, towarzystw akcyjnych, spółek itd.) jest faktycznie w ręku żydowskim. A że Żydzi są zawsze za tym, aby do Rady weszło więcej elementów postępowych, bo li tylko od kierunków postępowych mogą się czegoś dla siebie spodziewać, więc zawsze chętnie dopomogą oni postępowcowi do przejścia do Rady i udzielą mu przedstawicielstwa cenzusu towarzystw będących w ich ręku. Wczoraj nadmieniłem o tym felczerowi Szukjanowi, który się bardzo przejął chęcią dopomożenia mi w tym, dziś się w tej sprawie widział z Gordonem i mnie wieczorem do niego skierował. Gordon – to kupiec leśny i przemysłowiec, działacz społeczny, bogaty i wpływowy w społeczeństwie

żydowskim. Należy on tam wprawdzie do kierunku umiarkowanego, do prawicy oportunistycznej, ale w każdym razie jako Żyd nie może być i nie jest wstecznikiem w dążeniu do swobód politycznych i w ogóle haseł wolnościowych. Pojechałem więc pod wieczór osobiście do Gordona na letnisko jego na Belmont. Nie byliśmy z Gordonem osobiście znajomi, choć ze słyszenia wiedzieliśmy naturalnie nawzajem o sobie. Gordon przyjął mię bardzo uprzejmie, przejrzał ze mną spisy cenzusowych towarzystw i obiecał dołożyć starań, aby mi przedstawicielstwo cenzusu od jakiegokolwiek t-stwa wyrobić. Mam nadzieję, że może Gordon potrafi to zrobić. Ostatecznie gdyby nawet i Gordon, i Jakubowski osiągnęli rezultaty dobre i wynaleźli każdy cenzusy, to by wcale nie szkodziło, bo cenzusy te, oprócz mnie, zdadzą się i wielu innym osobom z demokracji, które warto mieć gotowe do wprowadzenia do Rady, które też pragną tego i mogą być bardzo użyteczne, a dotąd cenzusu nie mają, że wymienię tu Turskiego, Janulaitisa, Osmołowskiego, Piłsudskiego i wielu innych.

2 (15) lipca, rok 1913, wtorek
W południe wyjechałem z Wilna. Tym samym pociągiem i także do Abel jechali Żmujdzinowicz i Tadeusz Iwanowski z młodą żoną. Jadą oni do Dusiat, żeby stamtąd, razem z dr Giedminówną i bawiącym już tam rzeźbiarzem Piotrem Rymszą zrobić dużą parotygodniową wycieczkę łódką po rzece Świętej prze Onikszty, Wiłkomierz, Janów i dalej Wilią do Kowna. Inteligenci i artyści litewscy kochają swój kraj i lud ze szczególną tkliwością i lubują się w takich wycieczkach sportowo-krajoznawczych. Pod tym względem zwyczaje i upodobania ich różnią się wielce od zwyczajów naszej inteligencji ziemiańskiej, która nie tylko że przeciętnie nie ma żadnego szczególnego sentymentu do kraju tego, ale nawet żywi doń pewną pogardę lekceważącą jako do ziemi i do ludu niższego rzędu. Wycieczki inteligentów litewskich inne też są niż wycieczki inteligentów polskich. Inteligenci polscy z Wilna, dążąc na wycieczki, podążają przeważnie do miejscowości zaludnionych przez Litwinów spolonizowanych lub Białorusinów-katolików i wybierają zazwyczaj szlaki i okolice pamiątek historycznych z przeszłości polskiej w kraju, przeważnie przeszłości niedalekiej, z pamiętnego w. XIX. Litwini albo szukają dalekich tradycji dziejowych ze swej zamierzchłej przeszłości narodowej, albo, na co Polacy mało uwagi zwracają, szukają zbliżenia do ludu, przyglądają się ciekawie zwyczajom i kulturze ludowej, pogrążają się z rozkoszą głęboko w środowisko miejscowe, siejąc w nim ziarna świadomości społecznej i narodowej i czerpiąc zeń pełną garścią elementy rodzinnej tradycji oraz pierwiastki potrzeb dla dzieła budownictwa narodowego, któremu służą. Wycieczki Litwinów, jak cała ich robota w kraju, mają charakter konstrukcyjny, oparty na żywym zespole z teraźniejszością, podczas gdy wycieczki polskie są u nas jakimiś uroczystymi i smutnymi obrzędami dziadów na mogiłach przeszłości. Jest to charakterystyczne i bardzo symboliczne: Litwini są u nas tym narodem, który się obudził i który się krząta dla przyszłości, Polacy są wciąż trawieni tęsknotą po przeszłości i wytężają oczy ku mogiłom; teraźniejszości nie widzą, nie umieją dostrzec tych kiełkujących twórczych ziarenek życia, które Litwini z miłością i zapałem kultywują.
W tym samym wagonie, co Żmujdzinowicz i Iwanowscy, jechała młoda dziewczyna, urodzona z ojca-Rosjanina i matki-Cyganki. Ładna, kipiąca krwią gorącą, temperamentem, ogniem oczu; jechała z Olity do Dyneburga; mówiła dobrze po litewski, a że łatwa do znajomości, gawędki i flirtu, więc się rozgadała z nami, a tak oczami strzelała, śmiejąc się zalotnie, że ciarki biegły po skórze i nerwach męskich. Już to nikt, jak Cyganki, żar wzniecać w krwi męskiej nie potrafi. Pod koniec zaczęła się przymawiać o pieniądze i dawać do zrozumienia, że chętnie by się każdemu z nas oddała, gdyby ktoś zechciał towarzyszyć jej do Dyneburga, a dał pieniędzy.

Na godz. 5 ½ dojechaliśmy do Abel. Na stacji spotkała mię Marynia. W Bohdaniszkach zastałem Rodziców, Marynię, jej dzieci – Ewę i Stefusia, Henrysia Wołłowicza i nauczycielkę-Francuzkę, młodą dziewczynę pannę Janinę.

3 (16) lipca, rok 1913, środa
Pogoda była piękna, ciepła, mimo że słońce rzadko świeciło. Nie było upału, ciepło w samą miarę. Obszedłem dwór, zajrzałem wszędzie. Zmiana, która stopniowo, od lat kilku, dokonywa się w Bohdaniszkach – to jest zaludnienie dworu przez rodziny parobków-ordynariuszów. Dawniej, za moich lat dzieciństwa i młodości, w Bohdaniszkach żadnych rodzin parobczańskich nie było. We dworze Papa trzymał tylko parobków-kawalerów, którzy byli najmowani na rok na stole gotowym, to znaczy stołowali się we dworze, a lokowali się wszyscy razem w jednej wspólnej izbie w chacie porobczanej. Ordynariusze żonaci mieścili się z rodzinami na kresach majątku, w Kumszach i Karwieliszkach, skąd co dzień przychodzili do dworu na robotę. We dworze nie było przeto żadnych rodzin robotniczych, nie było wcale dzieci chłopskich. Wszakże z roku na rok było, jak powszechnie w naszych stronach, coraz trudniej o robotnika. Szalenie rosnąca emigracja do Ameryki oraz wychodźstwo zarobkowe do miast przemysłowych i portowych Łotwy (zwłaszcza Ryga) oraz Rosji (zwłaszcza Petersburg, a także Rostów nad Donem, miasta kaukaskie itd.) pochłaniały całą młodzież włościańską, szczególnie męską, zdolną do pracy. Parobków-kawalerów brakło coraz bardziej, nie można już było w żaden sposób zebrać kompletu dawnego. Zostawały tylko braki i te się tylko najmowały. O dziewczęta też trudno i zawsze co roku jest bieda z najęciem pełnego niezbędnego kompletu, ale jeszcze jakoś dobrać można. Trzeba było ratować sytuację i uzupełniać niedobór parobków-kawalerów przez ordynariuszów. Robotnicy żonaci, obarczeni rodzinami, zwłaszcza starsi, nie są tak skorzy do emigracji, jak młodzież kawalerska. I oto z roku na rok zwiększa Papa z konieczności ilość ordynariuszów żonatych, natomiast szeregi parobków-kawalerów maleją. To zmusiło Papę do zwiększenia ilości chat dla rodzin robotniczych. Teraz już kilka rodzin mieszka w naszym dworze, mianowicie dwie rodziny w nowej chacie, wybudowanej na miejscu spalonej niegdyś przed laty kilkunastu chatki ogrodnika, oraz dwie rodziny (szeryka, tj. pastucha krów, i koniucha, tj. pastucha koni roboczych) – w chacie parobczanej. Wybudowane też tam zostały z konieczności chlewki i dziś w tamtej stronie dworu, za wielką sadzawką i przy bramie antonoskiej, roi się od dzieci robotniczych, czego nigdy dawniej w Bohdaniszkach nie było.
Chodziłem dziś po obiedzie kąpać się do wielkiej sadzawki w polu – z Henrysiem i Stefusiem. Kąpiel była b. miła, woda ciepła. Przepłynąłem przez sadzawkę tam i z powrotem i na tym poprzestałem.
Wieczorem po kolacji pobawiłem się trochę z dziećmi i ich nauczycielką, panną Janiną, Francuzką (właściwie Polka i nigdy nawet we Francji nie była, jeno skończyła pensję francuską w Petersburgu i mówi po francusku bardzo dobrze). Bawiliśmy się w „piatnaszki", potem śpiewałem im rozmaite pijackie pieśni, imitując pijaka rosyjskiego, wreszcie urządziliśmy pochód komiczny ze śpiewem „*Il avait un numéro*" z odpowiednią gestykulacją i przedstawieniem rozmaitych scenek rodzajowych w drodze komicznej pantomimy. Wszyscy w Bohdaniszkach (wyjąwszy, zdaje się, Henrysia) są zachwyceni panią Janiną. Młodziutka to dziewczyna, cicha, taktowna, miła, ale nieładna dla mnie.

4 (17) lipca, rok 1913, czwartek
Drugi dzień bez deszczu, co jest dla wszystkich gospodarzy źródłem radości, bo już od miesiąca co dzień deszcze padały. Ciepło było, słońca więcej niż wczoraj, ale bez upału.

Termometr nie podnosił się wyżej nad 20° R. Kąpałem się znów z chłopcami, sfotografowałem Henrysia konno, wieczorem z Henrysiem i Stefusiem poszliśmy na spacer do Gaju. Stefuś bał się iść przez las o zmroku i ciągle się nas z Henrysiem trzymał za odzienie, posądzając nas o chęć ucieczki i zostawienia go samego w lesie. Ale, zdaje się, i 19-letni Henryś nie mniejszy tchórz od 13-letniego Stefusia. Gaj, pełny młodych zarośli i gęszczarów, ze swą bujną zwartą roślinnością jest rzeczywiście tajemniczy i imponujący. Toteż do Gaju przywiązane są rozmaite legendy i powiastki o „duchach", które „straszą", o upiorach, które tamtędy wędrują. Podobno przy mostku w Gaju słychać po nocy w ciszy samotnej płacz dziecka. Jest też legenda o koniu Sztucerze. Był to piękny koń rasowy, faworyt i wierzchowiec Papy, który już przed dwudziestu kilku laty zdechł z karbunkułu. Sztucera pochowano w Gaju, nieopodal od dróżki karwieliskiej. I oto powstała legenda, że Sztucer w rzeczywistości żyje jakimś życiem upiornym, co noc wstaje i przebiega przez Gaj galopem; zapewniano, że słyszano tętent kopyt galopującego w lesie konia. Nie spotkaliśmy dziś wszakże w czasie naszego spaceru ani dziecka płaczącego przy mostku, ani galopującego końskiego upiora. Wieczór był piękny, pogodny i cichy. Koło godz. 11 z horyzontu zaczął się podnosić czerwony księżyc. Z okna mojego widziałem go nad Łaszami w dalekiej perspektywie nizin, tworzących system jeziora Sortys (litewskie Sartai); u dołu pod blaskiem księżyca gromadzić się zaczynały lekkie opary, pierwsze zwiastuny mgły. Bohdaniszki, położone na cyplu wysokiego płaskowzgórza nad rozległą przestrzenią dolin, bagien i jezior, mają mgły pod dostatkiem. Podnoszą się one i płyną tu na suche płaskowzgórza i pagórki – od strony południowej, to znaczy od niziny krewieńskiej, od błotnistych łąk i bagien pakieńskich, od bliskiego jeziora Sortys, tworzącego w naszej okolicy ogromny zbiornik wód. Ładne są te mgły nastrojowe, a jeszcze ładniejsze misterne opary, płynące z miejsc mokrych i formujące stopniowo mgłę. Żal mi nieraz, że niepodobna utrwalić pewnych momentów Bożej natury. Utrwalają się one tylko w pamięci, ale to naczynie kruche, które niegdyś obiektywnej prawdy dochować nie zdoła.

5 (18) lipca, rok 1913, piątek

Kąpiel, zabawa z dziećmi, parę listów, trochę lektury, jedna fotografia dziennie – oto mniej więcej program mego dnia w Bohdaniszkach. Zamierzam wykonać tu przez czas mego pobytu parę prac, mianowicie uzupełnienie moich ściślejszych zapisek pamiętnikarskich oraz artykuł z dziedziny ustawodawstwa włościańskiego do prawniczego pisma „Themis Polska", ale zabiorę się do prac tych dopiero w przyszłym tygodniu. Tymczasem oddaję się słodyczy „wypoczynku".

Aparat mój dałem w Wilnie do zreperowania, bo były w nim szparki, przez które światło dochodziło do wnętrza. Czy teraz będzie dobrze funkcjonować – nie wiem jeszcze. Robię co dzień po jednej fotografii, bo do aparatu wkładam tylko po jednej kliszy, a zmieniam klisze tylko w nocy. Dziś sfotografowałem Henrysia i Stefusia w kąpieli. Ciekawsze byłoby fotografowanie jakichś scenek rodzajowych czy typów, widoczków charakterystycznych, krzyżów i zabudowań. Tymczasem wszakże fotografuję tylko rzeczy szablonowe ku uciesze dzieci. Wywołam klisze, gdy się już kilka zbierze.

Po herbacie wieczornej bawiłem się z dziećmi (Ewą, panną Joanną, Henrysiem i Stefusiem) w „króla" w altance lipowej w ogrodzie. Gra ta należy do najciekawszych i najkomiczniejszych w moim repertuarze. Właściwie staje się ona przedstawieniem komicznej pantomimy, w której celuję. „Francuzeczka" panna Joanna aż rozpływa się cała z radości gry – tak się zachwyca i bawi moim komizmem. Młode to jeszcze stworzenie, dopiero w pączku, zdaje się, dość mdłe, jak młoda gąska. Rzeczywiście, że

to jeszcze nie kobieta, ale dopiero dziewczynka przaśna na ciele i tym bardziej na duchu.

6 (19) lipca, rok 1913, sobota
Przyjechał dziś pod wieczór z Wilna korepetytor dla Stefusia, Rosjanin, uczeń VI klasy gimnazjum wileńskiego, Anatoliusz Didenko, brat młodszy Arkadiusza, który spędził lato w Bohdaniszkach w roku zeszłym i pozaprzeszłym. Powiększyła się więc na razie kompania dziecinna, na razie, bo pozajutro ma wyjechać Henryś. Z powiększeniem gromadki dziecinnej zwiększają się szanse zabawy, w „cyrukomę", potem w „piatnaszki".
Z poczty otrzymałem listek od Anny, drugi już z Krasienina. Z treści i tonu listu widzę, że dobrze jej tam, co mię bardzo cieszy. Oto co pisze (w przekładzie): „16 lipca. Mój kochany Michasiu! Twoja Anna jest już od siedmiu dni w Krasieninie; razem z innymi dziewczętami pracuje w ogrodzie, myje (?) świnie, karmi krowy. My mamy dwie krowy i jednego buhaja, sześć świń, kilka kur i kaczek, jednego konia. Ty pytasz, co to jest Krasienin, dwór czy wioska, nie jest to dwór i nie jest wioska. Jest dom i kawałek ziemi, może ze dwie dziesięciny, ale ziemia jest pod ogrodem, tylko troszkę pod owsem i kartoflą. Te dziewczęta są bardzo sympatyczne i kochają mnie; jest mi całkiem dobrze, ale wolę być u mego Michasia! Panna Kosmowska także jest u nas, ale rozmawiam z nią bardzo mało. Mój Michasiu, Twoje dwie kartki już otrzymałam; u nas trudno list otrzymać czy wysłać; poczty nie ma wcale; gdy ktoś jedzie do Lublina, to przywozi listy i wysyła. Gazeta moja (łotewska z Libawy) jeszcze nie przychodzi. Mnie jest zupełnie dobrze, ale przecież u mego Michasia jest jeszcze lepiej. Dziś byłam w lesie, zbierałam czernice, strasznie daleko, i nic nie mogłam zebrać, bo jagód nie było wcale. Gdy byłam w lesie, przyglądałam mu się: nie jest tak piękny, jak las (w Wiązowcu) mego Michasia. Twoja Annin całuje swego Michasia po wiele razy. Twoja Annin."
Poza kąpielą, fotografią i zabawą z dziećmi, napisałem dziś pod wieczór artykulik dla „Kuriera Krajowego" jako odpowiedź „Przeglądowi Wileńskiemu" w dalszym ciągu polemiki, trwającej od miesiąca między tymi dwoma pismami. Artykulik miernej wartości, bo pisałem go „na kolanie", bez głębszego obmyślenia i bez weny. Lenię się pracować w Bohdaniszkach, toteż artykulik napisałem tylko dla uśpienia sumienia, które mi wyrzuca próżniactwo. Poślę go wszakże Mańkowskiemu do Wilna. W toku pisania, jak to często bywa, zarysowały mi się w głowie nowe tematy dla dwóch artykułów, które może w tych dniach zużytkuję. Jeden temat – to uwydatnienie dwóch sprzecznych koncepcji narodowych polskich w tym kraju: jednej, która opiera polskość na szlachcie i w ogóle na elementach starego układu stosunków, wychodząc z założenia, że siła narodowa polska zasadza się w Litwie na tradycji i na wpływach historycznych i że przeto wszystko to, co osłabia potęgę przeszłości i tradycji, i w szczególności demokratyzacja – szkodzi polskości i prowadzi do jej wytępienia i wyparcia przez nowe formacje, zwłaszcza litewską i białoruską. Koncepcji tej hołdują endecy, klerykali narodowi polscy i nawet może niezupełnie świadomie, instynktem raczej, znaczna większość tzw. „postępowców". Druga koncepcja, której wyznawcą i ja jestem, że polskość tylko o tyle się ostoi w tym kraju i zdobędzie trwałość w przyszłym rozwoju, o ile się zasili pierwiastkami demokratycznymi i ustali placówkę w nowej kiełkującej formacji społecznej, opartej na przewadze ludu. Drugi zaś temat do artykułu – to wykazanie jałowości i słabości krajów, pozbawionych indywidualności własnej i będących przedmiotem rywalizacji sąsiadów, jaką była do niedawna Litwa i Ruś, oraz zaznaczenie procesu usamodzielnienia się tego kraju w drodze ruchów narodowych litewskiego i białoruskiego.

7 (20) lipca, rok 1913, niedziela
Bardzo dużo bawiłem się dziś z dziećmi. Większa część dnia na tym mi zeszła. Do obiadu, gdy Papa z Henrysiem i Ewą pojechał do kościoła, bawiłem się z panna Joanną, Anatoliuszem i Stefusiem na górze wpierw chowanego, potem w cyrukomę. Po obiedzie kąpałem się z chłopcami, sfotografowałem czwórkę koni w zaprzęgu, którymi Mama z Marynią miały jechać do Pokrewnia, potem bawiłem się z dziećmi w „piatnaszki", następnie w karty – w nieskończonego „młynka". Po kolacji znowu się z nimi bawiłem w „króla", wysilając dowcip i komizm na scenki rodzajowe. Panna Joanna czy Janina, po francusku „Jeanne" – zupełne dziecko. Do zabawy i do gier dziecinnych ma ochotę większą jeszcze od dzieci. Imponuje jej moja umiejętność zabawy; jest zupełnie pod urokiem moim. Gdybym chciał, mógłbym rozpalić te jej wrażenie i zahaczyć serce dziewczyny uczuciem głębszym. Ileż to razy w taki właśnie sposób zdobywałem dawniej serca panienek. Pochlebiało to mojej ambicji męskiej, a że sam też jestem wrażliwy i miękki, więc zwykle sam też się podkochiwałem. Wszakże teraz nie pragnę tego. Mam moją Annę, którą kocham i przez którą jestem kochany. Serce moje jest pełne, a szczęście, które mi daje związek z Anną, jest tak żywe, że ani na jedną chwilę nie zamarzyłbym, o jakichś nowych przelotnych miłostkach. Mój związek z Anną – to całe życie moje, to wszystko dla mnie. Zamknięty jestem hermetycznie dla innej miłości, jak kobieta zapłodniona zamknięta jest dla nowego zapłodnienia. Nie tylko od miłości, ale i od flirtu jestem daleki. Bawię się z panną Joanną jak z dziećmi, a choć wiem, że mógłbym z niej tony uczucia wydobyć, nie sprawia mi to pokusy. P. Joanna – to jeszcze biała karta niezapisana. Wrażenia kreślą się na niej doraźnie, trwalszych zaś i głębszych zgłosek uczucia dotąd nie zna. Zresztą zdaje mi się, że to natura dość sucha, która po upływie młodości potoczy się szarym łożyskiem życia. Dobra dziewczyna; a zresztą któż w młodości nie ma w sobie znamion anioła!

8 (21) lipca, rok 1913, poniedziałek
Dziś na pociąg ranny Henryś wyjechał z Bohdaniszek. Jedzie do Kaługi do ojca swego, Józefa Wołłowicza. Przeciwny byłem tej jeździe, ale Henryś mię nie usłuchał. Józef Wołłowicz, mimo że ma niezłą posadę na kolei i pobiera, jak mówi Henryś, przeszło 3000 rb. pensji rocznej, nic nie daje na utrzymanie Henrysia. Tymczasem suma, którą obiecali wypłacać rocznie Henrysiowi wujowie jego, nie wystarcza na jego nauki i utrzymanie, tym bardziej, że nie wszyscy, którzy obiecali, płacą regularnie. Już w tym roku musiałem wziąć kilkaset rubli z kapitaliku Henrysia, a w nadchodzącym roku szkolnym stan kasy Henrysia przedstawia się jeszcze gorzej. Procentu od kapitału do wiosny nie będzie, a do Nowego Roku można liczyć tylko na 100 rb. dochodu od p. Józefa Swięcickiego i nic ponadto. Trzeba więc będzie chyba znowu do kapitału sięgnąć, co jest bardzo niepożądane. Kapitalik cały wynosi tylko 2000 rb., które bardzo prędko stopnieją, jeżeli tak nadal szafować będziemy. Wobec tego postanowiłem, jako kurator Henrysia, zażądać od ojca jego, aby też coś dawał rocznie na utrzymanie syna. Domyślam się, że z tym pójdzie trudno, bo Józef jest egoistą i ani się troszczy o syna, uważając, że bogaci krewni muszą się nim zająć. Zdecydowany jestem nawet, w razie oporu Józefa, skierować żądanie na drogę dochodzenia sądowego. Pisałem do Józefa, że jeżeli chce, aby Henryś do niego latem przyjechał, niech oprócz biletu darmowego przyśle mu na drogę, bo w kasie Henrysia nie ma pieniędzy. Józef wszakże pieniędzy nie przysłał. Chciałem więc, aby Henryś nie jechał teraz. Toteż ani kopiejki mu na tę jazdę nie dałem. Ale Henryś, mając bilet darmowy i uzbierane pieniądze z gościńców od Dziadunia i Babuni, uparł się i pojechał. Jest bardzo samowolny i nie zna żadnych hamulców w dogadzaniu sobie. Tak wymiarkował, aby być u ojca na swe imieniny (15

lipca), licząc, że otrzyma gościniec, a poza tym chce się przewietrzyć po świecie, być w Chełmicy u Kazia Wołodkiewicza, w Petersburgu u Cwietkowej, gdzie też liczy na pieniądze i na przeróżne uciechy. Wobec takich pokus nic go nie zatrzyma. Henrysiowi obce są jakiekolwiek troski o pieniądze, o swój kapitalik, o przyszłość. Chce mieć wszystko gotowe i zawsze do rozporządzenia na wszystkie potrzeby i zachcianki. Nie przywykł liczyć się z groszem, a jest z natury zbytkowny, próżny, wymagający. Ciężko mu przyjdzie, gdy wyjdzie spod kurateli i sam o sobie myśleć będzie musiał, a nie będzie miał środków. Resztki kapitaliku niewątpliwie natychmiast puści i zostanie goły, pełny wymagań, zamiłowany w dostatku i egoistycznym sybarytyzmie – słowem, błyszcząca nędza. Doświadczy z pewnością nieraz ciężaru troski o grosz, w najbliższym czasie, będąc jeszcze studentem. A zresztą kto wie? Tacy jak on umieją nieraz zyskiwać ludzi i pieniądze bez pracy, będąc bardzo elastyczni i umiejąc korzystać z okoliczności.
Dzień był dżdżysty i brzydki. Deszczu już jest do zbytku, gospodarze wiejscy utyskują srodze.
Pod wieczór uczyłem Stefusia wywoływać klisze. Ma on wielką ochotę do fotografowania, toteż dam mu tę rozrywkę. Wszystkie cztery klisze, które dotąd sfotografowałem w Bohdaniszkach, udały się dobrze. Po herbacie grałem z dziećmi w karty, w „woza" i „szwarcpetera".
Zacząłem pisać artykulik do „Kuriera Krajowego" na jeden z tematów, o których wspominałem w dzienniku pozawczoraj. Praca ta wszakże idzie mi twardo, jak po grudzie. Myśl jest pełna i głęboka, ale słowo nie dopisuje. Wyrazy i zdania są chropowate, rozwlekłem niecelne.

9 (22) lipca, rok 1913, wtorek
Przez cały dzień słońce nie wyjrzało ani na chwilę. Padał deszcz, chwilami nawet ulewny. Temperatura spadła do 13° R. Deszcze te stają się już klęską w gospodarstwie, przynajmniej w stosunku do zbiorów siana i koniczyny, czyli utrzymania inwentarza żywego w zimie. Niezebrane przemokłe siano gnije po łąkach, miejscami nawet leży w pokosach, bo deszcze nie dają zgrabić je w kupki. Wytrzymalsza od siana koniczyna także ma deszczu do zbytku i już się psuje. Niższe łąki stoją pod wodą, jak na wiosnę.
Kąpałem się dziś z chłopcami, ale woda była zimna. Wieczorem graliśmy z dziećmi w karty, przeważnie w „szwarcpetera".
We dnie pisałem moje artykuły dla „Kuriera Krajowego". Wykończyłem pierwszy, zaczęty wczoraj, i napisałem jeszcze cały drugi, wiążący się z pierwszym. Wdałem się w dziedzinę historiozofii, całkiem nieodpowiednią dla popularnego dziennika, wymagającego strawy aktualnej i lekkiej. W pierwszym artykuliku uwydatniłem rywalizację dwóch wielkich narodów sąsiednich, Polski i Rosji, na ziemiach litewsko-białoruskich. Wykazałem, jak w dalszej przeszłości Litwa była samodzielnym narodowym ośrodkiem Rusi, była jej organizatorką i wyrazicielką właściwą i jak potem, pod wpływem zespołu z Polską i zalewu kraju przez kulturę zachodnią, zaczęła tracić stopniowo swą indywidualność narodową. Stała się ona krajem rywalizacji Polski i kultury zachodniej z Rosją Moskiewską, która w drodze uzurpacji przywłaszczyła sobie stary sztandar tradycji narodowej ruskiej. W drugim artykule uwydatniłem znaczenie nowych formacji narodowych, ściśle krajowych – litewskiej i białoruskiej, które na miejscu historycznej rywalizacji Polski z Rosją zatknąć pragną sztandar indywidualności krajowej: „*Lithuania fara da se*". Zakończyłem to krótką analizą stanowiska, jakie zająć powinni, moim zdaniem, Polacy w tym kraju wobec nowych układów narodowych, wyłaniających się z demokratyzacji społeczeństwa. Pisanie szło mi ciężko, jak jazda po grudzie. Nie wiem, dlaczego tak: czy to lenistwo, które ogarnia na wsi, czy jakiś szczególny brak weny. Wyniosłem się nawet z biurkiem z mego

pokoju do wielkiego pokoju na górze, uciekając od much, które się u mnie namnożyły i dokuczają, ale i to nic nie pomogło. Poślę te artykuły do Mańkowskiego, ale nie będę się gniewał, jeżeli ich nie wydrukuje, bo nieszczególnie mi się udały.

10 (23) lipca, rok 1913, środa
Dzień był od rana pochmurny i chłodny. Dopiero pod wieczór niebo zaczęło się wypogadzać i słonko zaświeciło. Wkrótce po obiedzie wybrałem się z całą gromadką młodzieży, to znaczy z Mademoiselle Jeanne, Ewą, Stefusiem i Anatolem Didenko, na spacer. Poszliśmy z bramy antonowskiej bliższą drogą do Kumsz i nad jezioro. Nad jeziorem Stefuś sfotografował naszą grupę; uchwycił moment niespodziany, kiedyśmy się jeszcze ustawiali i kiedy ja przykucnięty, bez marynarki, układałem psa Żuczka, aby go też w grupie naszej sfotografować. Fotografia więc będzie żywa, bez póz wymuszonych, uchwycona w swobodnym ruchu, ale miny za to będą u nas zapewne dziwaczne, jak zwykle przy utrwaleniu jakiegoś lotnego szczegółu ruchu. Następnie zaimprowizowaliśmy w lasku nad jeziorem grę w „cyrukomę" i wreszcie ruszyliśmy z powrotem. Przy Wielkiej Łące rozstaliśmy się: Mademoiselle z Ewą poszły do domu, ja zaś z chłopcami zostałem dla wykąpania się. Kąpiel była osobliwa: po prostu wykąpaliśmy się nie w żadnym stawie lub ruczaju, lecz na Wielkiej Łące, zalanej wodą na skutek deszczów ostatnich. Łąka była szeroko zalana i wśród tafli wody gdzieniegdzie sterczały krzaki, miejscami małe wysepki, a nade wszystko liczne kupki biednego zmokłego siana, stojącego bezpośrednio w wodzie. Wody było niegłęboko, najwyżej do pół kolan i tylko w rowach, przecinających łąkę, woda sięgała najwyżej do kroku. Brodziliśmy więc tylko i tarzaliśmy się w wodzie, ale dla chłopców moich była to uciecha nie lada, lepsza od prawdziwej kąpieli.
Po obiedzie przyszła depesza od Zuli Tukałłówny, że dziś wieczornym pociągiem do nas przyjeżdża. Marynia pojechała na jej spotkanie; jakoż na kolację Zula przyjechała. Nie jestem wielkim wielbicielem Zuli, bo robi ona na mnie wrażenie dziewczyny pustej, przetrawionej pretensjami naszej sfery oraz tajnym pragnieniem żądz zmysłowych, co się bardzo niesmacznie kojarzy, ale żal mi jej, bo rzeczywiście ma ona warunki domowe ciężkie. Matka jej, ciocia Rózia, ma swoich faworytów, Mieczysia i Niunię, dla których wszystko gotowa poświęcić i wszystko pcha, z krzywdą dla Zuli i dla drugiego syna Janusza; ale dla Janusza to nie tak ciężka sprawa, bo po c. Cesi otrzymał on piękną schedę własną i mieszka zresztą osobno. Zula zaś mieszka z matką, toteż ciągle tych krzywd bezpośrednio doświadcza, i obie z matką drą się ciągle i nie cierpią siebie. Teraz całe lato spędzała Zula w Wilnie, w atmosferze ciągłej kłótni z matką, w nudach i pustce najokropniejszych, a gdy matki przez czas dłuższy nie było i zostawała z ojcem, wujem Janem Tukałło, nie było jej lepiej. Stary wuj Jan Tukałło, sparaliżowany w nogach od lat kilku, bezwładny, na poły zidiociały, jeden ma tylko w życiu ideał i jedną myśl – to pornografię i rozpustę. Przykuty do łóżka, monstrualnie tłusty, brudny, zupełna świnia, gada i myśli wyłącznie o rzeczach sprośnych. Oczy mu się iskrzą, gdy gada o pornografii, jak u dzikiej bestii, a że jest niedołężny, stary, zrujnowany na ciele i umyśle, więc to sprawia jeszcze ohydniejsze wrażenie. Zulę też prześladuje pornografią, a razu pewnego, gdy matki nie było i gdy Zula mu powiedziała, że się wybiera do wanny, zaproponował jej, żeby kazała przynieść wannę do mieszkania i wykąpała się w jego pokoju, że on chce na nią patrzeć gołą, kąpiącą się. U niegodnego starca lubieżność i zamiłowanie rzeczy sprośnych, do czego przez całe życie miał pociąg, stały się dziś manią, chorobą umysłową.

11 (24) lipca, rok 1913, czwartek

Rano pojechałem do Rakiszek, dokąd byłem na dziś zaproszony przez zarząd towarzystwa zaliczkowo-oszczędnościowego. Chodziło o pomówienie co do pewnych szczegółów sprawy przeciwko spadkobiercom H. Kościałkowskiego, którą ja mam prowadzić. Obecny zarząd towarzystwa z Petrulisem na czele pracuje energicznie nad dźwignięciem towarzystwa z upadku. Niełatwe to zadanie, gdy po szeregu systematycznych malwersacji i po zupełnym zaniedbaniu spraw interesy są w stanie zupełnego chaosu i zaufanie do towarzystwa jest w opinii najszerszego ogółu zupełnie zniszczone. Dla dźwignięcia sprawy zarządzono cały szereg środków. Na ogólnym zebraniu zgromadzeni udziałowcy zrzekli się dywidendy za jakiś czas; wszystkich dłużników zalegających wezwano, aby się do św. Michała zgłosili, obiecując ulgi (darowanie peny, obniżenie procentu, rozłożenie spłaty długu na lat 5) dla tych, którzy się do tego terminu zgłoszą i odnowią zobowiązanie, w przeciwnym zaś razie będzie się od nich uzyskiwało wszystko od razu z całą bezwzględnością. Uzyskiwanie starych zaniedbanych zaległości od autorów dawnych malwersacji postanowiono natychmiast rozpocząć, co mnie zlecone zostało. Petrulis mi mówił, że do towarzystwa zaczęli wstępować nowi udziałowcy z pieniężnej arystokracji włościańskiej, to znaczy z gospodarzy zamożnych i światłych, co stanowiłoby dobry zwrot w rozwoju towarzystwa. Natomiast wszystkie dawne elementy udziałowców, to znaczy, rzesze małych, ciemnych i biednych udziałowców, którzy tam lokowali ongi swe drobne oszczędności, wycofują się nadal gremialnie w miarę, jak środki towarzystwa pozwalają spłacać ich udziały. Skandaliczne dzieje tego nieszczęsnego towarzystwa, tylekroć i tak bezczelnie okradanego, sprawiają wielką szkodę tak samej idei spółdzielczej w organizacji drobnego kredytu lokalnego, jako też sprawie unormowania kredytu na potrzeby miejscowe, bo właściciele oszczędności, dotknięci tylu krachami, boją się lokować je nadal w tego rodzaju towarzystwach i lokują je w państwowej kasie oszczędnościowej, zasilając tą drogą kredyt państwowy i wyjaławiając okolicę z gotówki i ruchu kapitałów, które by w innych warunkach szły na potrzeby miejscowe.
Na obiedzie byłem u księdza proboszcza Jankowskiego. Byłem świadkiem przykrej sceny z wariatem, który przybiegł do księdza z jakiejś wsi pobliskiej z prośbą natychmiastowego wyspowiadania, bo wyobraził sobie, że go rodzina otruła. Na próżno ksiądz go uspakajał i chciał się go pozbyć. Gdy zastał zamknięte drzwi kościoła, do którego go ksiądz skierował, wrócił do plebanii i domagał się spowiedzi, klnąc i grożąc a krzycząc. Krążył dokoła plebanii robiąc hałas, kilkakrotnie wdzierał się przemocą do środka, wreszcie, gdy ksiądz drzwi na klucz zamknął, zaczął bić okna. Poradziłem księdzu, aby go przyjął. Ksiądz przewiązał mu rękę skaleczoną o szybę i poszedł z nim do kościoła. Wariat ujął księdza mocno pod rękę i zataczając się a krzycząc, poszedł. Atoli przed wejściem na cmentarz uparł się nie iść do kościoła i zaczął ciągnąć księdza w uliczkę boczną. Ksiądz z wariatem zaczęli się szamotać i wariat zaczął na głos wołać „Городовой”! Cała służba księdza i ja pobiegliśmy z plebanii księdzu na pomoc. Oderwano wariata, który się szarpał wściekły i krzyczał, i zaprowadzono do policji.
Z Rakiszek pojechałem do Kowaliszek. Oprócz całej rodziny Komorowskich, to znaczy Zysia, Elizki, Hektora, Jula, Zitki i Felusi, zastałem tam panną Zolę Komorowską, Litkę Pomorską (córkę najstarszej siostry Zysia) i Felka Morzyckiego. Dość przyjemnie spędziłem tam wieczor i zanocowałem. Zirytowałem się tylko wieczorem przed pójściem spać, gdy psotnik Felek Morzycki przesadził w swawoli i zamknął mię w wychodku, gdzie musiałem długo przesiedzieć, bo z powodu bliskiego sąsiedztwa panien nie mogłem głośno kołatać do drzwi. Gdym wyszedł, wytargałem Felka za uszy i zabroniłem jemu i Julkowi przyjechać do Bohdaniszek.

12 (25) lipca, rok 1913, piątek

Do obiadu zabawiłem w Kowaliszkach. Objechałem z Zysiem prawie całą jego gospodarkę i dużo z nim rozmawiałem. Pomimo że Zyś bardzo się zawsze zapala i przedstawia nieraz rzeczy nie w ich świetle właściwym, lecz takim, w jakim pragnie je widzieć, nie nazwę go jednak blagierem. Wierzy bowiem święcie we wszystkie swoje pomysły, entuzjazmuje się i nadaje najszczerzej wszystkiemu barwę taką, jaką sam w marzeniu wypiastował. Jest zawsze, nawet w prozie gospodarskiej, poetą, a łączy nadzwyczajnie tę swoją przesadę pomysłów z niezmierną pracowitością i wytrwałością iście wołową, która się nigdy i niczym zrazić nie daje. Jakkolwiek bądź traktować przesadę i zbytek subiektywizmu Zysia w pracy ekonomicznej, to jednak nie można zaprzeczyć, że zdziałał i stworzył on bardzo dużo na Kowaliszkach. Fermę znakomicie rozszerzył przez systematyczne i umiejętne zajęcie pod uprawę wszystkich nieużytków i tzw. łąk, podniósł niezmiernie nie tylko mechanizm gospodarki, ale i samą wartość gleby kowaliskiej. Kowaliszki, gdy Zyś brał je w posiadanie przed laty dwudziestu kilku, liczyły się majątkiem o złej glebie, dziś są one jedną z najpiękniejszych ferm w szerokiej okolicy. Teraz kapitalna praca, którą Zyś wykonywa – to drenowanie pól. Drenuje bez inżyniera, podług własnego planu, który sam obmyślił i który wykonywa przez całą partię robotników, obeznanych z drenowaniem (Łotyszów-katolików z Inflant powiatu rzeżyckiego). Jak dotąd – dreny funkcjonują dobrze i zdaje się, że antrepryza ta, wykonana na własną rękę, dość ryzykownie, nie zawiedzie go. Jeżeli mu się te drenowanie uda, to będzie to ważnym przyczynkiem i przykładem dla okolicy. Dużo też ma Zyś pięknych maszyn rolniczych, znakomicie obsługujących fermę i podnoszących wzorowo technikę gospodarki. Od wczoraj zaczął Zyś kosić żyto; cztery żniwiarki i żniwiarko-kosiarki, trzy parokonne i jedna czworokonna, tną łany żyta aż pięknie patrzeć. Wszystko w Kowaliszkach cieszy oko. Urodzaje na świetnie uprawionej ziemi – świetne, robota kipi w rozumnych karbach systemu i kierunku, zabudowania coraz lepsze, we dworze drogi się brukują. Patrząc na Kowaliszki i na wytężoną pracę Zysia, widzi się rozkosz tworzenia, jaką mieć można w pracy na roli, gdy gospodarz chce tworzyć i ma energię i głowę po temu. Jest to piękne i szlachetne pole pracy, działalności niewątpliwie obywatelskiej. Jeżeli Zyś zniszczył lasy kowaliskie doszczętnie, to przynajmniej nie zmarnował tego, co z nich wziął, jeno włożył to do ziemi jako kapitał, który mu w fermie i procentować i rentować będzie. W roku bieżącym Zyś sprowadził do robót polowych kilkudziesięciu robotników sezonowych z Polski, z Chełmszczyzny, z których jest bardzo rad. Na razie byłem dość sceptycznie usposobiony do tej imigracji zarobkowej rolnej robotników z Polski. Podnosiły się też głosy, i tu na miejscu, i w Wilnie, że to nie po obywatelsku, że się sprowadza robotników z Polski dla konkurencji z robotnikiem miejscowym i że to jest krzywdą dla ludności krajowej. Ale konieczność ekonomiczna zmusza do tego. Wychodźstwo do miast fabrycznych i emigracji do Ameryki, szerzące się w kraju naszym w coraz szybszym tempie, wyludnia po prostu wieś naszą. Robotnik nie tylko że drogi, ale go wprost literalnie nie ma. Ta więc imigracja zarobkowa z Polski staje się koniecznością.
Po obiedzie zabrałem Zitkę, którą Elizka uwolniła na dni kilka, i pojechałem z nią do Bohdaniszek.

13 (26) lipca, rok 1913, sobota
Jak zawsze – bawiłem się z dziećmi w rozmaite gry w ogrodzie, przeważnie w „cache-cache” i „cyrukomę”, w karty itd. Poza tym, kąpałem się z chłopcami i sfotografowałem grupę młodzieży. Wieczorem zaś, mając cztery klisze sfotografowane, wywołałem je ze Stefusiem. Wszystkie cztery klisze dobre, lepsze od czterech poprzednich. Oto są tematy klisz dzisiejszych: grupa nad jeziorem Kumczańskim, złożona z Mademoiselle

Jeanne, Ewy, Anatola i mnie, grupa druga w polu z tych samych osób złożona z dodatkiem Zitki Komorowskiej i z tą różnicą, że zamiast mnie jest Stefuś, dalej Zula w otoczeniu szczeniąt Kurty i opodal Anatol, wreszcie mój krzyż kapliczkowy pod Karwieliszkami z moją sylwetką przy nim.
Zula Tukałłówna, która bawi w Bohdaniszkach, bynajmniej przy bliższym poznaniu nie zyskuje. Przeciwnie – dopiero teraz uwydatnia się cała jej czczość bezmierna. Nie bawią jej żadne zabawy ani czytanie, ani rozmowa, ani nic zgoła, prócz zmysłowości. Pieści się, cacka, mizdrzy się w lustrze, smaruje się i pudruje, od świtu do nocy jest znudzona, tonąca w rozmyślaniach zmysłowo-romantycznych. Zajęta jest sobą jak lalka, przeświadczona nad miarę o swych powabach, lubująca się w atmosferze zmysłowości. Gdy była młodszą, była o wiele sympatyczniejszą, a kokieteria jej, którą zawsze miała, była żywsza i nie zmanierowana, jak jest dziś. Zepsuła ją atmosfera środowiska, pełnego lubieżności, intryg i miłostek, w którym spędziła lata ostatnie: okolice Starzynek, w których mieszkała, rozpusta, która się tam bujnie pleniła w całym sąsiedztwie ziemiańskim, z Nusią na czele i Janem Borowskim jako patentowanym uwodzicielem wszystkich młodych samiczek ziemiańskich, życie i stosuneczki jej brata Mieczysia, echa romantycznej przeszłości jej matki, wyuzdanie ojca itd. A że chce się wydać za mąż, więc jeszcze bardziej się pogrąża w zmysłowych nastrojach, suponując, że tą drogą staje się bardziej interesującą. Wszystko, co pachnie lubieżnym erotyzmem, rozpustą, imponuje jej i nęci. Dobrze ją Marynia nazwała – niewolnicą ciała; jest nią aż do znudzenia, do obrzydzenia, jak jakaś roznamiętniona stara panna. Jeżeli tak dalej pójdzie, a nie dostanie męża, to albo się stanie histeryczką, albo zrealizuje swą tęsknotę zmysłów w miłostce. Chodzi ubrana w takich lekkich i przejrzystych strojach, że wygląda jak goła, tak że się aż służba we dworze gorszy i wyśmiewa. Gdy nie ma jak tu nawiązać jakiegoś flirtu, to choć marzy o tym, jak się sfotografować w koszuli lub w hamaku w jakiejś pozie, najbardziej uwydatniającej jej kształty i podniecającej wyobraźnię. Myśląc, że się Papie podoba i że działa podniecająco na starca, przymila się do Papy i próbuje zaczepiać i wywoływać na tłuste żarty i koncepty. Jest po prostu wstrętna. O ileż w porównaniu do Zuli szlachetniej i piękniej się przedstawia druga młoda dziewczyna w Bohdaniszkach, Mademoiselle Jeanne, skromna, miła, naturalna, pełna taktu, wesoła a bardzo obowiązkowa i ani myśląca o spekulacjach zmysłowych. Porównuję te dwie młode kobiety i widzę, jaki bezmiar różnicy jest między młodą dziewczyną, której życie upływa w pracy, a ohydnym typem „panny na wydaniu” ze sfer ziemiańsko-arystokratycznych! Ma rację moja Annin, że nie ma podlejszego świata od bogatej arystokracji i podlejszych kobiet od próżniaczych „panien na wydaniu” z „dobrych” rodzin. Zmysłowymi wszak i my z Annin jesteśmy w miłości, ale tej lubieżności bezprzedmiotowej, tego lubowania się teoretycznego w rozpuście – tego moja Annin nienawidzi i brzydzi się nad wszelki wyraz, a zaiste z całego serca się z nią w tym obrzydzeniu łączę.

14 (27) lipca, rok 1913, niedziela
Dziś wypada trzecia rocznica urodzin mojej córki Cesi Römerówny. Ciekaw jestem, jak teraz wygląda i w ogóle co z niej za człowiek: jaki ma charakter, jakie cechy. Trzyletnia dziewczynka – to już musi nie tylko biegać, ale i gadać, kombinować, mieć swoje kaprysiki, upodobania itd. Pod wieczór przypomniałem sobie tę datę i rozmyślałem, jak się tam w Cytowianach obchodzi dzień dzisiejszy: z pewnością Regina z panną Elizą ufetowały małą Ceśkę, może jej czekoladę zgotowały, nakarmiły łakociami itp. O mnie, o ojcu, Ceśka może dotąd nawet nie słyszała wcale. Miło mi czasem pomyśleć o tym dziecku, choć wielkiej miłości dla niej nie mam. Sądzę też, wnosząc z podobieństwa wyrazu i rysów Ceśki do Reginy, że musi mieć i charakter matki, a jeżeli jeszcze przez

wychowanie nabierze cech nie tylko matki, ale i p. Elizy, to będzie rarogiem skończonym. Tego mi właśnie najwięcej szkoda. Szkoda, że ten materiał na człowieka zostanie prawdopodobnie zepsuty w ręku kobiet zmanierowanych, kapryśnych, jednej głupiej, a drugiej intrygantki i histeryczki.
Rano dziś pojechałem z Papą do kościoła do Krewna na fest. Regularnie co niedziela Papa jedzie do kościoła i szuka sobie towarzysza lub towarzyszkę do jazdy; wtedy odbywa się istna komedia, bo nikt nie chce jechać z Papą, ale nie można tego Papie powiedzieć, wszyscy więc pod rozmaitymi pretekstami się wykręcają, ale wreszcie ktoś musi paść ofiarą i znosić mękę jazdy po złej drodze lub po upale, wysiadywać w kościele, a zwłaszcza wynudzić się gadulstwem Papy i arbitralnością. Ta właśnie ostatnia – arbitralność – jest bodaj najcięższą, bo każdy zniesie chętnie wszelkie niewygody z własnej woli, ale będzie przykrzyć każdą drobnostką, gdy się czuje pionkiem, zależnym od arbitralnej woli zewnętrznej. Dziś na mnie kolej wypadła. Nie byłem zresztą bardzo zmartwiony. Kościółek krewieński jest typowo wiejski i litewski. Dokoła na cmentarzu piękne krzyże, wewnątrz tłum włościański jednolity, bez figur kapeluszowych, bez pretensjonalnych inteligenckich czy półinteligenckich strojów; śpiewy odwieczne, nie zmodernizowane, wszystko archaiczne i pełne tradycji prastarej. Parafia krewieńska, wciśnięta w błota pakieńskie i w półwyspy i wyspy jeziora Sortys, zachowała swój charakter stary, do którego mało przenikły wpływy niwelacyjne modernizmu. W czasie procesji dokoła kościoła my z Papą, zgodnie z tradycją prastarą, prowadziliśmy księdza z monstrancją pod ręcz, co jest przywilejem tradycyjnym parafialnej arystokracji.

15 (28) lipca, rok 1913, poniedziałek
Znowu dżdży, niebo zachmurzone całe, zimno, wiatr północny. O kąpieli już nie ma co i marzyć, nawet spacer lub pobyt na dziedzińcu wykluczone. Paskudne takie lato. Cały dzień trzeba siedzieć w pokoju. Wszystkie możliwe gry z dziećmi dziś wypróbowałem, i w karty, i w „dzienkisa", w „cyrukomę" na górze, w walkę kogutów itd.
Dziwne i smutne wrażenie budzi we mnie oficyna, to znaczy mieszkanie Maryni w oficynie. Nie lubię tam chodzić, doświadczam wrażenia, jakbym wchodził do grobu. Staje tam zawsze przede mną jak żywa mara panny Anny Komysek, biednej słodkiej dziewczyny, opuszczonej na samotną bezdomną tułaczkę nauczycielską. Oficyna żywo mi ją przypomina; każdy pokój, każdy kącik, każdy mebel nuci mi o niej sierocą pieśń. Tu ją widywałem, tu dojrzewała miłość nasza, tu się wszystkie drobne szczegóły naszego stosunku rozwijały, sprzeczki, nadąsanie, zgoda, rozmowy, pisanie i próby wykradania dzienniczka panny Anny. Przez lat parę osoba panny Anny zaludniała tę oficynkę i wrosła w nią jako coś stałego. Smutno, jak tak ludzie drodzy mijają, przechodzą jak cień i zapadają gdzieś w daleką odległość przestrzeni. Panna Anna była więcej niż nauczycielką, była domownicą, była integralną cząstką środowiska bohdaniskiego. Dziś znowu my wszyscy jesteśmy, znowu się ja z dziećmi bawię – a jej nie ma. Tuła się gdzieś po świecie, po nieznanych kątach, samotna, odcięta od nas, znowu obca, a przecie ta sama, ta sama p-a-anna. I znowu inna się uwija po domu nauczycielka, znowu jest przez wszystkich otoczona sympatią, a tamtej biednej, takiej swojskiej, takiej kochanej – nie ma. Była i odpadła, jak grat, jak sprzęt przelotny, a serca żywego tu cząstkę włożyła i serce to się kołacze gorąco we wspomnieniu moim jak wyrzut, jak szloch bolesny. Okrutne są okoliczności na świecie, robiące z ludzi żywych – mary serdeczne i ciała rzucane po przestrzeni jak graty. Ze wszystkich kobiet, które dawniej kochałem, nie wyłączając Suzanne, panna Anna Komysek najgłębiej i najszlachetniej się w mej pamięci wyryła. Pozostała ona jak łza, jak przeczysty anioł

ducha, nieskalany i pełny serca. Ja sobie życie stworzyłem nowe, w prześlicznym związku z moją Annin Wolberg, a ona tam biedna, panna Anna Komysek – co ona ma!

16 (29) lipca, rok 1913, wtorek
Znowu dzień brzydki i chłodny. Po obiedzie pokazywało się słońce, nawet chwilami robiło się gorąco i parno zarazem, ale do końca dnia pogoda się nie ustaliła. Na dziedziniec prawie nie wychodziłem, na spacerze nie byłem, w kąpieli także (zresztą Anatol Didenko ze Stefusiem się kąpali nie zważając na chłód). Mniej też niż innych dni bawiłem się z dziećmi. Humor mi też jakoś nie dopisywał, były drobne sprzeczki z Mamą i Marynią. Targowałem konia od Stašysa z Busiszek do Wiązowca. Biesiekierski bowiem pisał mi w zeszłym tygodniu, że mego poprzedniego konika w Wiązowcu, Pryma, sprzedał, zgodnie z poleceniem moim. Teraz więc muszę sobie tam nowego konia kupić. Próbuję kupić tu, a jeżeli nie, to Biesiekierski ma pojechać na kiermasz do Kojdanowa. Konik Stašysa niewielki, chudy, ale dobrze zbudowany, silny i bardzo rączy. Wszakże Stašys prosi trochę za drogo, 110 rb., ja zaś daję mu 95.
Wywołałem klisze, których znowu się cztery sztuki sfotografowane zebrały. Udały się dobrze, zwłaszcza Zula w hamaku. Zula wybrała umyślnie hamak dla sfotografowania się, ponieważ hamak dobrze uwydatnia kształty ciała, o co głównie jej chodzi. Wśród starych klisz moich jest jedna – Nusia w hamaku; Zula, której imponuje sława lubieżna Nusi, chciała ją imitować. Leżąc w hamaku, gdym ją fotografował, zadarła niby niechcący wysoko spódnicę, pokazując nogi w pończochach aż pod kolana; Zitka, która tam była, z głupia frant niby przez życzliwość, a w istocie na złość Zuli, zwróciła jej uwagę na zbyt podniesioną spódnicę, co zmusiło Zulę, bardzo nieradą, do zrobienia gestu niby opuszczenia spódnicy, ale jednak nogi zostały odsłonięte jeszcze wysoko nad kostki. Chciała Zula pozawczoraj się sfotografować idąc do kąpieli, w koszuli na pół obnażona, ale Marynia jej odmówiła, co ją trochę zirytowało. Ach, te lubieżne panny na wydaniu, niewiniątka, pełne myśli o „ideałach” zmysłowych.
Cieszę się, że mój aparat dobrze funkcjonuje; zabiorę go do Wilna, będziemy z Anną fotografowali razem. Miła to będzie rozrywka. Rozmyślałem dziś o moim szczęściu, które mam w związku z moją złotą Anną. Gdybym jej nie miał, samotność moja byłaby mi kamieniem strasznym. A teraz nie tylko że mam towarzyszkę i żonę, ale też przyjaciela takiego, na którym bezwzględnie polegać mogę i z którym wszystko w życiu dzielę. To jest szczęście największe, bo zespół zupełny i miłość głęboka, pochłaniająca wszystkie władze, całą psyche człowieka.

17 (30) lipca, rok 1913, środa
Deszcz ciągle pada. Nie ma spaceru, nie ma kąpieli, nie ma letnich rozrywek wiejskich. Bawiłem się z dziećmi i Zulą w karty i w niektóre gry w pokoju. Wciąż się nie mogłem dotąd zabrać do zaległej pracy pamiętnikarskiej, którą z dnia na dzień odkładam. Muszę ją wykonać w Bohdaniszkach, bo tu przechowuję rękopisy i nic mi tu w jej wykonaniu nie przeszkadza. Zły jestem na siebie, że przez lenistwo dotąd się do niej nie zabrałem, zmarnowawszy przeszło dwa tygodnie. Jutro muszę już nieodwołalnie wydostać zeszyty i rozpocząć pracę.
Wśród książek, które teraz czytam, jest rocznik Litewskiego Towarzystwa Naukowego („Lietuvių Mokslo Draugija“; tytuł rocznika „Lietuvių Tauta“ – Naród Litewski“). Jest to rocznik dość stary, z roku 1911. Rzecz ta bardzo mię zajmuje, nie tyle przez właściwą treść swoją, która jest dla profana do lektury nużąca, ile przez to, co ona w istocie wyraża. Rocznik jest poświęcony studiom nad litewszczyzną; na czele duża, poważna praca analityczna filologa Kazimierza Bugi z dziedziny studiów nad językiem litewskim, za nią jeszcze cięższa dla mnie, bo pisana po niemiecku, praca Adalberta

Srba również o języku litewskim. Dalej jeszcze nie czytałem, ale z tytułów widzę, że wszystkie prace dotyczące Litwy i jej kultury narodowościowej. Rocznik ten, będący zbiornikiem prac naukowych, nie jest bynajmniej li tylko suchą literą pedantycznej wiedzy. Nauka ta jest przepojona gorącym ukochaniem narodu, jest żywym aktem dźwigania się Litwinów, aktem miłości, wiary i wielkiej woli, wytężonej ku budowaniu przyszłości Narodu – przez analizę pierwiastków kultury rodzimej i przez skierowanie wysiłków na kultywowanie ciągłe takowych. Rocznik naukowy Litwinów – to dzieło ich życia, ich woli do bytowania i do rozwoju. Dzieła takie są jaskrawym i widocznym dowodem, że nikt inny, jak tylko sami Litwini, nie potrafi i nie zechce ocalić z gruzów i utrwalić w najdalszą przyszłość tę kulturę kraju i ludu naszego. Już w tym jednym mieści się wystarczające uzasadnienie tzw. ruchu litewskiego. Bez takowego pierwiastki prastare kultury krajowej, pięknego języka, zwyczajów, psychiki całej zginęłyby na zawsze. Polacy tego by za Litwinów i dla Litwinów nie wykonali. Oto w Wilnie są dwa towarzystwa naukowe, jedno polskie („Towarzystwo Przyjaciół Nauk"), drugie litewskie („Lietuvių Mokslo Draugija"); oba są krajowe, oba z równym pietyzmem badają przeszłość krajową, oba wkładają serce w pracę naukową i snują nić pracy kulturalnej; ale towarzystwo polskie kulturą ludu miejscowego się nie zajmuje albo zajmuje bardzo mało i zgoła inaczej, niż towarzystwo litewskie; w istocie bowiem kultura ta jest dlań obcą, niezrozumiałą, nie pociągającą; bada ona z pietyzmem tradycję szlachecką, nie pozbawioną w naszych smutnych dziejach pierwiastka bohaterstwa i chwały rycerskiej oraz aureoli męczeńskiej; tam w tej tradycji, w tej przeszłości szlachecko-narodowej szuka ono haseł dla teraźniejszości i wzorów dla przyszłości. Towarzystwo zaś litewskie sięga głębokich źródeł tradycji ludowej, sięga kultury i duszy ludu, w niej zasadzając przyszłość. Toteż praca kulturalna Litwinów w tym kraju ma bujną przyszłość i skierowana jest zawsze do dźwignięcia masy ludowej na stopień świadomego czynnika kultury i dziejów krajowych. Jako taką właśnie, kocham ją i cenię, bo potęguje ona i rozszerza dziedzinę twórczości Człowieka w ludzie.

18 (31) lipca, rok 1913, czwartek
Ciągle deszcz, mimo chłodu i wiatru północnego. Dla osuszenia pokoju Mama kazała w piecu w wielkim pokoju podpalić – osobliwość w lipcu, nawet w naszym klimacie. Wreszcie dziś rozpocząłem mą pracę pamiętnikarską, z którą tyle zwlekałem. Jest ona już od dawna rozpoczęta, jeszcze od roku 1911, toteż teraz tylko ją kontynuuję za każdym pobytem w Bohdaniszkach, ale zawsze jestem mocno opóźniony i muszę łapać wypadki i stosunki za ogon, gdy już zaczynają one rozpływać się w mgłach zapomnienia, tracąc wyrazistość aktualnych konturów. Sam zresztą jestem temu winien, bo oto teraz zmarnowałem na próżniactwie przeszło dwa tygodnie.
Po obiedzie dość dużo bawiłem się dziećmi. Grałem z nimi w „cyrukomę" i „cache-cache" na górze, w karty, potem w altance lipowej w „króla", do którego oprócz dzieci i Zula też stanęła. Marynia z Zulą miały dziś po obiedzie jechać do Kowaliszek, ale deszcz przeszkodził, toteż odłożyły jazdę do jutra. Ja jutro wyjeżdżam na dwa dni do Wilna. Gdy wrócę, Zuli nie zastanę, bo w sobotę ma ona wyjechać z Marynią do Pohulanki pod Dyneburgiem, a stamtąd już do Wilna.
Bardzo dawno ni emam listu od Anny. Pozajutro upłyną dwa tygodnie od dnia, w którym otrzymałem jej list ostatni. Wprawdzie nie niepokoję się zbytnio, bo z poprzednich listów Anny widzę, że jej tam dobrze i nic nie zapowiada jakiejś niespodziewanej niepomyślności, ale nierad jestem z tego milczenia. Naturalnie, że przypisuję to pewnemu lenistwu i opieszałości Anny, a może też nieregularnemu kursowaniu poczty między Lublinem a Krasieninem. Bardzo mi brak tego listu i

wiadomości o Annin. Tęsknię do niej i pragnę choć słówka jej ręką skreślonego, gdy jej samej tak długo pozbawiony jestem.

19 lipca / 1 sierpnia, rok 1913, piątek
Rano wyjechałem z Bohdaniszek na pociąg. Z Abel do Kałkun jechałem z byłym nauczycielem ludowym z Krewna, młodym Busilasem. Jest to młody jeszcze chłopak, z wykształcenia należący do kategorii tzw. półinteligentów, bo skończył coś ze cztery klasy gimnazjum i zdał egzamin na nauczyciela ludowego. Jest on synem włościanina z wioski Auksztakoje gminy abelskiej, z byłych poddanych antonoskich, to znaczy Römerowskich. Ojciec jego jest właścicielem dwudziestu kilku dziesięcin gruntu nadziałowego. Młody Busilas dzieciństwo spędził w Petersburgu, gdzie ojciec jego służył czy zarobkował. Tam też chodził do gimnazjum i po zdaniu egzaminu na nauczyciela otrzymał posadę w szkółce wiejskiej w Krewnie w pobliżu swej wsi rodzinnej. Chłopak jest z natury inteligentny, wrażliwy mimo niepozornego wyglądu, chciwy wiedzy, dużo czytający, dużo myślący, dobrze obeznany i dobrze się orientujący w sprawach i zagadnieniach ruchu litewskiego. Ma zresztą umysł żywy i otwarty na wszelkie zagadnienia kultury i myśli ludzkiej, nie zasklepiając się wyłącznie w kwestiach narodowych litewskich. Wychowanie w Petersburgu nie wykoleiło go i nie oderwało od gruntu rodzinnego. Nie tylko że nie dążył „*coute que coute*“ do zdobycia patentu inteligenckiego, do czego mu i brak środków przeszkadzał, ale, musnąwszy nauki i przedsmaku życia inteligenckiego, nie zechciał pójść na utartą drogę jakiejś służby czy posady miejskiej; z całą szczerością i prostotą skierował się do środowiska wiejskiego, z którego sam wyszedł i stanął na ciężkiej placówce nauczyciela ludowego. Już to jedno świadczy o nim dodatnio jako o człowieku hartownym i umiejącym zejść z utartych szlaków „kariery“ półinteligenckiej. Teraz zaś postąpił jeszcze na kursy agronomiczne w Petersburgu, zamierzając osiąść na ziemi i oddać się pracy rolnej na ojcowiźnie. Dziś, gdy się tak powszechnie szerzy uciekinierstwo z zagonów ojczystych i gdy wszyscy, którzy się choć trochę nad najniższy poziom wybiją, zmykają na chleb miejski, a na roli zostają same niedobitki i same niedołęgi, czyn młodego Busilasa jest zaiste ze stanowiska obywatelskiego piękny. Zajmie on placówkę wytwórcy rolnego w kraju i w ciemnym zacofanym środowisku stanie się elementem kultury i postępu. Inteligentny włościanin na roli, z początkami wykształcenia średniego i z wykształceniem zawodowym agronomicznym – to obywatel pierwszorzędnej wagi w kraju. Wszakże jeden musi być niezbędny warunek po temu: żeby wioska Auksztakoje, która dotąd ma ziemię w szachownicy sznurowej, podzieliła się na zaścianki, co podobno ma wkrótce nastąpić. Taki Busilas na zaścianku będzie siłą poważną, w gospodarce zaś sznurowej – będzie niczym, bo tam jednostka ulega rutynie gromady. W młodym Busilasie, z którym dziś jadąc bardzo ciekawie rozmawiałem, są pewne naleciałości rosyjskiego „unikalizmu“ inteligenckiego, zwłaszcza zaś w postaci przesadnego intelektualizmu, ale to, mam nadzieję, odpadnie, bo grunt jest żywy i wola uparta.
Z Kałkun miałem zajechać w pewnym interesie do Dyneburga. Żadnej furmanki nie zastałem, więc poszedłem Grywą nad brzeg Dźwiny pieszo po zalanych łąkach na przełaj. Nie lubię Dyneburga jako miasta, a przecież zawsze mię on interesuje. Dyneburg jest typowym miastem kresowym, miastem, w którym żadna narodowość nie ma swego ośrodka i wszystkie się w jakimś stanie połowicznym, roztopionym mieszają w jakąś dziwaczną kompozycję, pozbawioną określonego wyrazu i typu. Najliczniejsi są oczywiście Żydzi, a z chrześcijan bodajże Białorusini, zupełnie bezbarwni i martwi narodowo, oraz „kacapi“ – starowierzy. Biedna stara stolica Inflant, główne miasto etnograficznej Letgoły. Jak słabi i nieodporni są właściwi krajowcy Inflant, Łotysze-

katolicy, tak słaba jest ich stolica. Pod każdym naciskiem, pod każdym wpływem się ugina i cofa swą osobowość indywidualną.
Na noc wyjechałem przez Kałkuny do Wilna.

20 lipca / 2 sierpnia, rok 1913, sobota
Akurat na dzień mego pobytu w mieście wypadła piękna słoneczna pogoda. Koło godz. 9 rano pociąg mię przywiózł do Wilna. Przez cały dzień byłem w ruchu, załatwiałem interesy, sprawunki, którymi mię z Bohdaniszek obarczono, wieczorem poszedłem do teatru w Ogrodzie Bernardyńskim. Wilno uśmiechnięte, wesołe w dniu upalnym, rade widocznie z dnia pogody. Zwykle miasto latem przykre, jakieś omdlewające w upale, jakby znudzone i ociężałe. Dziś wszakże Wilno sprawiło na mnie wesołe wrażenie. Na teatrze nie bardzo się zabawiłem. Grano operetkę „Piękna Helena“, którą znam i której nie bardzo lubię, potem był niby „kabaret artystyczny“ – szereg piosenek i trochę tańców na scenie.
Nowin trochę zasięgnąłem od Antoniego Łuckiewicza, Witolda Abramowicza i z gazet. „Kurier Krajowy“ w opałach pieniężnych arcyciężkich, dziś nawet numer nie wyszedł wcale, bo Bajewski, właściciel „Drukarni Wileńskiej“, w której się pismo znowu drukuje, zażądał wczoraj kategorycznie uiszczenia pewnej znacznej części zaległości i numeru nie wydrukował, bo mu Mańkowski takowej nie uiścił. Jak się tam Mańkowski wykręci – nie wiem. Przeniesie zapewne pismo do innej drukarni, wegetując nadal, a tymczasem zaległości na wsze strony rosną, kredyt pisma poderwany, a co najgorzej – rośnie przekonanie o nierzetelności wydawnictwa, co stanowi wielki minus moralny. Już też były pracownik pisma, Timiriaziew, wniósł akcję sądową do byłego wydawcy urzędowego, dr Sumoroka o należną mu niewypłaconą pensję. To wszystko jest fatalne, bo grozi bankructwem i nie tylko upadkiem pożytecznego dzieła ideowego, ale też podkopaniem moralnym samej opinii o akcji grupy demokratycznej. Wiele tu winien sam Mańkowski, bo mógł w swoim czasie zabrać się energicznie do utworzenia spółki wydawniczej, zaprojektowanej jeszcze w maju. Tymczasem uganiał się doraźnie za gotówką, a zaniedbał systematycznego uzdrowienia samych podstaw wydawnictwa. Tylko zaś on jeden, jako jedyny kierownik i jedyny znający stan pisma, mógł pokierować akcją stworzenia spółki; inni mogliby się do tego przyczynić, ale nie stworzyć rzecz samą; ja chętnie bym współdziałał w tworzeniu spółki, gdyby się takowa tworzyła, ale sam wziąć na siebie inicjatywę czynu, nie znając stanu rzeczy, nie mógłbym, i nie tylko dlatego, że w ogóle do spraw organizacji techniczno-finansowej nie jestem uzdolniony, ale też dlatego, że boję się brać na siebie odpowiedzialność i zbyt się angażować w rzecz, która grozi bankructwem i której arkany bytu są dla mnie niewyraźne, aby potem nie ponosić skutków moralnych. Teraz w lipcu, gdy mnóstwo osób wyjechało, gdy wszystko jest w rozprzężeniu letnim, nie czas organizować akcję zbiorową. A póki nastanie czas po temu, to oby rosa oczu nie wyjadła.
„Przegląd Wileński“ wychodzi nadal, choć nieregularnie. Ludwik wciąż czeka wojny, uderza w surmę niepodległościową, wzywa do jakiegoś wielkiego hasła, którego czeka, ale którego sam stworzyć nie jest w stanie, przetwarza wszystkie najżywotniejsze żywe zagadnienia na abstrakcyjną polskość dla polskości, która się u niego stała frazesem, profanacją karierowiczowską rzetelnej narodowej sprawy, mieszczącej się w żywych stosunkach, ich układzie i rozwoju. Stanowisko krajowe zupełnie się już z „Przeglądu“ ulotniła, jak gdyby przyszłość polska nie potrzebowała się wcale liczyć z konkretnymi ruchami i zjawiskami kultury, narodowości i bytowania społecznego, które na terenie Litwy i Białej Rusi coraz większej nabierają wyrazistości dziejowej, zmieniając stare układy i tendencje i tworząc nowe głębokie podstawy dla przyszłości. U Ludwika frazes, który brzmi popularnie dla zmęczonego i tak boleśnie wrażliwego ucha

polskiego – wystarcza, bo dla karierowicza naczelną maksymą jest: „*Aprés nous le déluge*“. Byle jemu było dobrze, byle mu to poklask dało, a sprawa sama, idea – to furda, mości dobrodzieju!
O najciekawszej rzeczy, o której dziś się dużo dowiedziałem – o wyborach miejskich nie piszę wcale, bo musiałbym o niczym innym nie pisać, gdyż to by mi całą tę stronę zajęło. Napiszę o tym osobno już z Bohdaniszek.

21 lipca / 3 sierpnia, rok 1913, niedziela
Pociągiem południowym wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek. Upał był duży, słońce parzyło, dobrze, że kurz jeszcze niezbyt wielki po ciągłych deszczach. W Kałkunach spotkałem się z Marynią, która odprowadziła Zulę Tukałłównę do Dyneburga dla porady do dr Noiszewskiego, wsadziła ją do pociągu wileńskiego i sama wraca teraz do Bohdaniszek. Spotkaliśmy też w Kałkunach panią Guidoni, Komarówną z domu, matkę pięknej Milinki. P. Guidoni jechała z nami z Kałkun do Abel i pojechała dalej do swoich Łajłusz. Wystrojona, jak zawsze, pretensjonalnie, modnie, z zacięciem do szyku, z widocznym staraniem uwydatnienia swej zgrabnej figury, a szpetna przy tym na twarzy i mocno stara. Niegłupia to osoba, dobra, miła, ogładzona kulturą, jeno dziwaczna i zawsze pełna pretensji. Do Bohdaniszek dojechaliśmy z Marynią na kolację.
W Bohdaniszkach zastałem już list od Anny, którego się spodziewałem. Nic osobliwego w liście nie ma, bo równe, spokojne życie w Krasieninie nie nastręcza żadnych zdarzeń osobliwych. Oto co mi Annin pisze: „(pierwszy wyraz nieczytelny, jakby: „Bakstis“ – nie rozumiem znaczenia) 28 lipca. Mój kochany Michaś! Tak dawno już nie pisałam do Ciebie, do mego Michasia, a to dlatego, że poczta nie chodzi. Twoja „Leelupueeks“ (jest to przezwisko żartobliwe, którym nazywam czasem Annę) ma się w Krasieninie zupełnie dobrze, nie nudzi się. Co niedziela wszystkie dziewczęta idą do kościoła. Kościół niedaleko od nas, kilka kroków. Raz i ja byłam w kościele, tylko nie mogłam wytrzymać – było strasznie gorąco i złe powietrze, zrobiło mi się słabo i teraz już nie chodzę do kościoła. Te dziewczęta są także trochę dewotkami (cały ten ustęp o kościele Anna wpisała w odpowiedzi na moje zapytanie w jednym z listów do niej; istotnie myślałem, że dziewczęta ze szkoły krasienińskiej, utrzymywanej przez wyklinanych przez kler ludowców, nie bardzo mają się ku kościołowi i nabożeństwu; Anna wszakże już z góry, jadąc do Krasienina, nie chciała wierzyć, żeby Polki nie były dewotkami, toteż teraz oczywiście triumfuje; dewotką zaś w pojęciu mojej Anny jest każda, która spełnia obrzędy religijne, zwłaszcza katolickie, bezmyślne i nakazywane mechanicznie z góry). Wczoraj w niedzielę poszłyśmy o 12 wiorst od nas do jednego hrabiego polskiego (nazwisko tego hrabiego napisała Annin nie bardzo czytelnie, jakby Schmuiski, zapewne powinno być: Zamojski) – zobaczyć, jak mieszka ta wielka rodzina. Wszystkie dziewczęta były bardzo wesołe, dużo mówiły, jakie piękne rzeczy oglądałyśmy! Piękne były rzeczywiście, tak jak w jakimś muzeum, rozmaite stare polskie portrety. Niektóre dziewczęta mówiły: szkoda, że nie mogę być tą hrabiną. Mnie wszakże było zupełnie inaczej, nie byłam tak wesoła, byłam strasznie zła na ten wielki ród, który siedzi, jak jakiś tarakan, na całym polskim ludzie, je i pije i nic nie robi dla swego Narodu (w tej nienawiści do wszystkiego, co tchnie arystokracją rodową, feudalizmem szlachty, poznaję moją Annę! Nieodrodna Łotewka, która z mlekiem matki wyssała nienawiść do sprawców krzywdy ludowej, do baronów w ich zamkach wspaniałych! Witaj mi, moja Annin, moja szlachetna mścicielko krzywd dziejowych!) Dziś jestem zupełnie chora z tego spaceru dalekiego, ale jutro będę znowu zdrowa. Napisz mi, Michaś, kiedy wrócisz do Wilna i kiedy ja mogę do Wilna wrócić. Trochę lepiej teraz mówię po polsku, niż pierwiej. Niech mój chłopiec pisze mi trochę

więcej o sobie, co robi, czy flirtuje dużo z tą Francuzką. Całuję mego chłopca dużo razy. Twoja Anna.“

22 lipca / 4 sierpnia, rok 1913, poniedziałek
Dzień był znowu słoneczny, bez deszczu. Bawiłem się z dziećmi, napisałem parę listów, kąpałem się z chłopcami, fotografowałem. Chcę sobie ukompletować całkowity zbiór wszystkich fotografii mojej roboty, to znaczy od r. 1901, odkąd się nauczyłem i zacząłem fotografować, aż do dnia dzisiejszego. Klisz sfotografowanych mam kilkadziesiąt pudełek: zajmują one całą szafkę w wielkim pokoju, odbitek zaś z nich nie mam. Miałem kiedyś zbiór takowych, ale w r. 1907 zostawiłem je w Krakowie, gdzie też one potem zginęły. Teraz codziennie będę robił po kilka odbitek ze starych klisz, aby znów zbiór całkowity ukompletować. Korzystam z pomocy chłopców, Anatola Didenko i Stefusia, którzy mi gorliwie pomagają w tej pracy.
Napiszę teraz, korzystając z miejsca, słów kilka o akcji wyborczej miejskiej w Wilnie. Jak już wspominałem tu przed kilku tygodniami, z inicjatywy Antoniego Jankowskiego odbyły się w końcu czerwca i pierwszych dniach lipca zebrania przedwyborcze. Na pierwszym osób było bardzo niewiele, a z postępowców tylko Zasztowt i Jakubowski. Ale Zasztowt takie zajął czynne stanowisko w obradach tego pierwszego zebrania, że od razu wysunął się na czoło i zdobył posłuch i wpływ przez wyrazistość swoją. Drugie zebranie odbyło się już w szerokim gronie zaproszonych wszystkich mniej lub więcej znanych wyborców cenzusowych bez różnicy obozu, do którego należą. Postępowców było na zebraniu tym dużo, a ponieważ stanowią oni element żywszy, krytyczny, przeto na zebraniu liczono się z nimi. Elementy umiarkowane nawet, ale pragnące trafić do Rady Miejskiej, bojąc się opozycji postępowej, dla pozyskania i ugłaskania takowej chętnie szły na ustępstwa i otaczały postępowców względami. Wszystkie mniej więcej postulaty programowe, wysunięte przez Zasztowta, zostały przyjęte jako platforma wyborcza. Najważniejsze punkty tej platformy – to zasada municypalizacji urządzeń miejskich, traktowana nie jako przedsiębiorstwo zyskowe, ale jako wyraz funkcjonalny potrzeb ludności, walka z systemem koncesjonalnym, wreszcie wcielenie w życie zasady, że Rada Miejska i jej gospodarka powinny służyć potrzebom nie tylko uprzywilejowanej kategorii cenzusowych kamieniczników, ale całej ludności bez wyjątku i bez różnicy. Na zebraniu tym wybrany został komitet. Do komitetu tego wybrane zostały także osoby, należące albo bądź co bądź zbliżone do postępowców. Ci stanowią w komitecie większość. Do takich należą w komitecie Zasztowt, Witold Abramowicz, Jakubowski, poseł Bańkowski, Solimani, Missuna i inni. Są wszakże naturalnie i elementy nie-postępowe; do takich należy endek dr Witold Węsławski, z prawicy zaś dr Rymsza i niektórzy inni. Ogólna ilość komitetowych wynosi, zdaje się, przeszło dwudziestu. Przewagę mają w komitecie ludzie postępowi, a przynajmniej ludzie nowi, energiczni i względnie niezależni. Obowiązkiem komitetu jest ułożyć listę kandydatów na radnych, ułożyć platformę wyborczą i kierować kampanią wyborczą. Postanowiono, że wyznaczanie kandydatów na radnych ma być dokonywane większością ⅔ głosów w komitecie. Ciekawe jest to, że nikt z merytorycznych wodzirejów starej kliki reakcyjnej do komitetu nie trafił. Przede wszystkim mam tu na myśli Dembowskiego. Dziwne, że Tupalski z Dembowskim wypuścili ze swych rąk kierunek wyborów. Sądzę, że gdyby energicznie na początku się wzięli do akcji przedwyborczej, to mogliby nią pokierować podług swej woli. Czy to abnegacja, niezwykła u tych panów, czy jakiś manewr świadomy, czy też istotna obojętność? Nie rozumiem. W każdym razie, sprawa stoi nieźle i są szanse, że komitet wprowadzi do Rady Miejskiej trochę nowego elementu, co odświeży atmosferę gospodarki miejskiej. Oczywiście wszakże, że akcja ta jest kompromisowa i że całe dawne gros starej Rady

będzie musiało być utrzymane, ale inaczej być nie może, jeżeli elementom postępowym będzie chodziło nie o demonstrację tylko, lecz też o udział w zwycięstwie. Przeciwko wszakże tej akcji kompromisowej komitetu wystąpił dr Sumorok, wieczny opozycjonista, człowiek niezależny, ale ducha warcholskiego. Jako radny miejski, należy on do opozycji i jest pożyteczny przez to, że wnosi zawsze krytykę i zmusza przeto zarząd do ostrożności i liczenia się z opinią; dr Sumoroka większość nie bardzo lubi, ale się go lęka, bo jest popularny w mieście, niezależny i nie dający się ugłaskać i uśpić. Toteż i teraz dr Sumorok wystąpił z opozycją do świeżo upieczonego komitetu i wydrukował w „Kurierze Krajowym“ artykuł, ośmieszający komitet i wykazujący geszefciarską kompromisowość tej akcji. Nie wiadomo, czy to jest wstęp do jakiejś samodzielnej kontrakcji dr Sumoroka, czy tylko wyskok doraźny.

23 lipca / 5 sierpnia, rok 1913, wtorek
Zaczynam coraz wyraźniej dostrzegać, że wrażenie, które sprawiam na Mademoiselle Jeanne, żłobi po trochę ślad głębszy w jej serduszku. Nie jest to miłość, o nie, bo cóż za „miłość“ może się począć w 16-letnim dziewczęciu. Są to tylko pierwsze sentymenty dziewczęce, skromne zwiastuny nieznanej miłości. Kobieta, jak tylko z dziecka wyrastać zaczyna, już jest sobą; już ma wszystkie pierwiastki zasadnicze natury kobiecej. Imponuje jej i podoba się siła, pewność siebie, spryt mężczyzny. Poddaje mu się wtedy, lubi tę siłę doświadczyć na sobie, lubi się pod jej ciężarem uginać. Wszystkie mają tę samą cechę w mniejszym lub większym stopniu. To są źródła sentymentów kobiecych, ich „zakochania się“. Bawiąc się z dziećmi, jestem pełny werwy, dowcipu, pomysłowości i jednocześnie władam tą całą gromadką dziecinną włącznie z Mademoiselle Jeanne, utrzymuję je w karbach, wymagam karności i takową rzeczywiście narzucam. To właśnie olśniewa mię w oczach dziewczyny. Poznaję już po jej nerwowym usposobieniu, po grze jej humorów, po całym jej stosunku do mnie, który jest pełny uległości, połączonej z tajonym zachwytem, szczyptą dziwacznie się kojarzącej z uległością przekorności itd., że wrażenie rośnie w serduszku i dojrzewa. Mademoiselle Jeanne dba o wrażenie, które sprawia na mnie, chce się przede mną odznaczyć, cieszy się z powodzenia, a trapi niepowodzeniem w mojej obecności, słowem – wszelkie oznaki wczesnego stadium uczucia. Nie przeczę, że mi się to podoba i z pewnością jest to głównym bodźcem mojej ochoty do zabawy z dziećmi. Im więcej ją poznaję, tym mi się ta dziewczyna wydaje milsza. Nie ma wszakże ani cienia porównania jej do mojej Anny, która ma duszę głęboką, pełną myśli i uczuć niepospolitych, jest nie tylko kobietą i żoną kochającą, ale też człowiekiem o naturze bogatej i tak pięknej, jaką pierwszą spotkałem. Profanacją mi się wydaje nawet jakieś porównanie kogokolwiek do Anny. Anna moja jest dla mnie tym, czym jest religia dla wyznawców. Czuję jej moc nad sobą, jej tarczę, która mię chroni i która mi spokój w sercu utrzymuje, dając równowagę zawsze i wszędzie. O, bądź mi błogosławiona, Annin, przewodnico moja.
Na obiad przyjechało duże towarzystwo z Kowaliszek: Elizka Komorowska, pani Karola Pomorska (siostra Zysia), jej mąż p. Pomorski (b. dyrektor Akademii Rolniczej w Dublanach pod Lwowem, profesor, obecnie dyrektor Wyższych Kursów Rolniczych w Warszawie), panna Zola Komorowska, panna Litka Pomorska i mała Zosia Pomorska. A że to gość gościa przyciąga, więc wkrótce nadjechała i pani Swiątecka z Poniemuńka. Bawiłem się z dziećmi i pannami, Zolą i Litką, rozmawiałem z p. Pomorskim, byłem z nim w kąpieli. Po kolacji goście wyjechali i zabrali ze sobą Zitkę, która u nas od 10 dni bawiła, oraz zabrali na dni kilka Ewę i Mademoiselle Jeanne.

24 lipca / 6 sierpnia, rok 1913, środa

Dzień był pogodny. Do obiadu zajęty byłem przeważnie rozmaitą pisaniną. Dozorowałem też nad pracą chłopców, zajętych robieniem dla mnie odbitek ze starych klisz moich. Po obiedzie poszedłem z chłopcami do wioski Bohdaniszek dla sfotografowania jakiegoś widoczku. Długośmy się wałęsali po wiosce, szukając ładnego widoczku w dobrym oświetleniu słonecznym, albowiem statywów nie wziąłem i fotografować mogłem tylko migawkowo. Wreszcie wybraliśmy widoczek z południowego krańca wioski na zabudowania gospodarskie starszyny Szeszkusa i chatę Kligysa w głębi. Później wieczorem wywołałem ze Stefusiem cztery klisze sfotografowane, mianowicie widoczek dzisiejszy, grupę złożoną z Maryni, mnie, Mademoiselle Jeanne, Ewy i Zitki, mnie w kąpieli (klisza zepsuta) i fotografię panny Łucji Biesiekierskiej. Poza tym, kąpałem się z chłopcami i trochę grałem z nimi w karty. Dzień upłynął dość monotonnie.
Czekam znowu listu od Anny. Spodziewam się, że w tym tygodniu otrzymam listek. Ciekaw jestem, jak się jej spodobały moje fotografie amatorskie, których kilka jej posłałem.

25 lipca / 7 sierpnia, rok 1913, czwartek
Znowu dzień dżdżysty, szkaradny. Od rana deszczyk kropi, nudny, jednostajny, zaciągający mgłą i wilgocią cały horyzont. Wiatru nie ma, toteż chmury nie ruszają się z miejsca. Żadnej nadziei na pogodę. Tak przez dzień cały.
Pod wieczór poszedłem do Kligysa, któremu obiecałem, że przyjdę. Kligys chciał się ze mną zobaczyć, aby się poradzić, czy warto się wiosce komasować i kolonizować na zaścianki. Ruch komasacyjny w naszej okolicy jest w pełnym toku. Wieś za wsią się kolonizuje. Wkrótce wioski znikną u nas zupełnie lub staną się osobliwością rzadką, a natomiast cała miejscowość się pokryje zaściankami. Ruch ten od lat kilku u nas się rozwija; od kilku lat kwestia ta się rozważa i wałkuje we wszystkich wioskach, stanowiąc kapitalne, najbardziej żywotne zagadnienie bytu włościańskiego w dobie obecnej. Prąd komasacyjny, kiełkujący stopniowo, stał się dziś u nas powszechny. Przed kilku laty pierwsze nieliczne wioski zaczęły się kolonizować, dziś kolonizują się już one masowo, jedna za drugą. Prąd komasacyjno-zaściankowy, idący od zachodu, od Żmudzi i Kurlandii, powstał u nas w drodze ewolucji naturalnej i to akurat w tym samym czasie, gdy polityka rządowa, zapoczątkowana przez Stołypina, skierowała po rewolucji kwestię agrarną na tory rozwiązania w drodze skomasowanej osobistej własności włościańskiej. Polityka ta, dyktowana względami konserwatyzmu, sprzyja, a nawet wprost forsuje gwałtownie komasację gruntów włościańskich i rozbicie wiosek na zaścianki. Małorolni włościanie boją się komasacji zaściankowej, która istotnie jest dla nich gospodarczo mniej dogodna, niż stary system sznurowo-wioskowy. Natomiast gospodarze zamożni, silni wygrywają na komasacji, zyskując niezależność gospodarczą i możność postępu. W wiosce Bohdaniszkach kwestia ta debatuje się, jak wszędzie, od lat kilku. Decyzja jeszcze nie zapadła, ale nie ulega wątpliwości, że ostatecznie wioska się rozkolonizuje. Kligys jest w zasadzie zwolennikiem komasacji, ale ze zwykłą mu chwiejnością ogląda się na argumenty przeciwników reformy i trawiony jest rozmaitymi wątpliwościami *pro* i *contra*. Przeciwnicy komasacji, w śród nich starszyna Szeszkus na czele, chłop bogaty, ale żyjący przeważnie nie z roli, tuczący się dochodami na urzędzie starszyny, nie pragnący zmian żadnych, straszy włościan tym, że komasacja zaściankowa jest wymysłem pańskim i że to panowie opłacają jej koszta, a za to potem włościanie skomasowani obłożeni zostaną specjalnymi podatkami, jakby powtórnym wykupem. Panom zaś chodzi o to, aby włościan przytwierdzić do ziemi, utrudnić i bodaj umorzyć na przyszłość kwestię dodatkowego nadziału z ziem dworskich i rozproszonych chłopów zaściankowych trzymać w garści, co w trybie

wioskowym jest trudniejsze. Przedstawiłem Kligysowi względy istotnie polityczne, którymi się kieruje rząd forsując komasację, co wszakże nie przeszkadza, że komasacja zaściankowa jest dziś w naszym stadium rozwoju gospodarczego zjawiskiem ekonomicznie niezbędnym. Cały szereg kwestii powstaje w związku z kapitalną kwestią komasacji. Włościanie w sprawach swoich potrzeb orientują się znakomicie i umieją bardzo głęboko i mądrze analizować względy *pro* i *contra*. Sprawa ta jest ciekawą wprost dla specjalnej monografii.
Od Kligysa dowiedziałem się, że już i w naszym cichym i zapadłym kątku zaczęły się organizować wieczorki litewskie zupełnie samorzutnie, bez agitacji inteligentów, wzorem tylko innych wsi, z przedstawieniami amatorskimi, deklamacją itd. Wieczorki takie odbyły się już w Bohdaniszkach i Matejkach. Jest to nowy uszlachetniony typ zabawy ludowej, który wciąż się upowszechnia w Litwie etnograficznej, stanowiący jedno z ogniw poważnych postępu kulturalnego oraz uświadomienia narodowego włościan litewskich.

26 lipca / 8 sierpnia, rok 1913, piątek
Po obiedzie pojechałem dziś ze Stefusiem i z Anatolem Didenko do Dydej do Šukysa. Jechaliśmy we trójkę roboczym konikiem, sami się powożąc, w tarantasiku (linijce kurlandzkiej). Była to sobie mała wycieczka dla rozrywki, uplanowana od dawna. Wieźliśmy ze sobą aparat fotograficzny i... żywą świnkę w worku, którą Mama darowała dla Šukysów. Świnką opiekowali się chłopcy w drodze, trzymając mocno worek, aby się nie wymknęła lub nie wypadła z bryczki; mieli też stąd uciechę nie lada, bo świnka się rwała, parę razy nabrudziła, w ogóle zachowywała się niesfornie. Drogą dalszą a niby lepszą, na Kurklecie i Rogiele, dojechaliśmy do Dydej. Józef Šukys już nas czekał, bo przyjazd na dziś był zapowiedziany. Celem przyjazdu były odwiedziny Šukysa oraz kąpiel w Jeziorze Rakiszeckim (jezioro Audra). Miałem przez jezioro przepłynąć. Pływam dobrze i od bardzo dawna. Kiedyś, w r. 1897, przepłynąłem ze Stefanem Pisanim Jezioro Gaczańskie w poprzek tam i z powrotem. Była to pierwsza moja wielka próba pływania, wykonana zresztą zupełnie *ex promptu*. W 11 lat później, w r. 1908, zdobyłem się na nową próbę, tym razem uplanowaną, przepłynąwszy wzdłuż tam i z powrotem przez Jezioro Rakiszeckie. Towarzyszył mi wtedy w łódce Stefan Mieczkowski na wypadek, gdybym w drodze zasłabł. Potem w r. 1909 w Pietrańcach pod Wilnem, bawiąc u Krzyżanowskiego na jego letnim mieszkaniu, próbowałem też przepłynąć dłuższy kawał jeziorem na wyspę, ale z pół drogi zawróciłem, bo się bałem dalej płynąć bez towarzyszącej łódki, panie zaś (Krzyżanowska i Grzymałowska), przyglądające mi się z brzegu, lamentowały już, myśląc, że tonę. W tym roku postanowiłem ponowić wycieczkę pływacką na Jeziorze Rakiszeckim, jak przed laty pięciu. Zbliżając się do jeziora, miałem lekką tremę, trochę się bałem. Bądź co bądź, lata mi przybywają, tusza trochę się zwiększyła, serce już nie to, co we wczesnej młodości. Dął zresztą wietrzyk dość silny, fale na jeziorze dość wielkie, powietrze chłodne, a więc i woda zapewne zimna. Šukys dostał łódkę z Rakiszeczek i siadł do niej z Anatolem i Stefusiem. Ja się rozebrałem na brzegu suchym, odzienie złożyłem do łódki, i poszedłem goły przez mokre, zalane wodą łąki do miejsca, z którego miałem rozpocząć pływanie. Wybrałem umyślnie najdłuższą linię długości jeziora, aby popis był jak najtrudniejszy. Od brzegu przez sitowia przeciągnął mię Šukys uczepionego do łódki; gdy zaś po kilkunastu uderzeniach wiosła wypłynęliśmy na czystą wodę, puściłem z rąk łódkę i popłynąłem; na razie czułem jeszcze pod sobą trawy wodne, które się czepiały rąk i nóg moich i ocierały o brzuch, dalej wypłynąłem na czystą wodę. Z początku trema mię nie opuszczała, strach trochę ogarniał, miałem wrażenie, jakby mię siły opuszczały; fala mi zalewała twarz, a woda była zimna; nogi trochę

kostniały; myślałem, że już nie dopłynę i że będę musiał uczepić się łódki; wkrótce poczułem lekki kurcz w lewej nodze; byłem pewny, że lada chwila wezwę łódkę, która płynęła prawie obok mnie; zadarłem do góry palce w nodze, co na kurcz pomaga zwykle; jakoż kurcz rychło ustał i ja też stopniowo się uspokoiłem i odzyskałem równowagę i pewność siebie, co stanowi główny warunek powodzenia w pływaniu. Tylko pierwsza ćwierć drogi była przykrą i sprawiała mi niepokój. Dalej płynąłem już z zupełnym spokojem, z całą świadomością techniki, z przyjemnością wielką poczucia władania nad żywiołem wodnym. Wkrótce dopłynąłem do połowy jeziora, o czym zresztą sądzić mogłem tylko ze słów siedzących w łódce, bo sam bez *pince-nez* nie mogłem się w środku jeziora orientować, nie widząc niemal brzegów, a zresztą za sobą nie mogłem nic widzieć, bo blask słoneczny w wodzie przeszkadzał. Miałem cel przed sobą w postaci małego krzaczka na przeciwległym brzegu, do którego płynąłem prosto. Wreszcie z zadowoleniem spostrzegłem, że krzaczek rośnie i coraz się zbliża. Oto już bliżej i bliżej. Powoli, pracując równo, bez wysiłku szczególnego, bez zmęczenia, dopłynąłem do brzegu. Wylazłem z wody zziębnięty trochę, ale rześki, czując przyjemne naprężenie muskułów rąk i nóg. Ubrałem się rychło. Wtedy wszedł do wody Šukys i popłynął, a myśmy mu towarzyszyli w łódce. Šukys sądził, że nie będzie mógł przez jezioro przepłynąć, bo choć kiedyś raz przepłynął, teraz przed kilku dniami próbował i nie mógł. Wszakże tym razem udało mu się; dopłynął aż pod sam brzeg, z którego ja płynąłem i dopiero przy brzegu wydało mu się, że się zaplątał w trawach i zaczął rozpaczliwie wzywać naszej pomocy ogarnięty paniką. Uczepił się łodzi i wlazł do środka. Zziąbł tak, że twarz mu posiniała. Wróciliśmy do Šukysa do Dydej, wypiliśmy u niego herbatę z kolacją i pojechaliśmy do domu. Šukys zdał w tym roku egzamin z 6 klas gimnazjum oraz egzamin wstępny do seminarium w Kownie. Zapewne wstąpi do seminarium i pójdzie na księdza. Bardzo to zacny i serdeczny chłopiec, niezmiernie przywiązany do mnie.

27 lipca / 9 sierpnia, rok 1913, sobota
Dzień średniej pogody; do wieczora wszakże dotrzymało jakoś bez deszczu. Po obiedzie poszedłem z chłopcami na dłuższy spacer. Poszliśmy przez wioskę Bohdaniszki krótszą drogą do Staczerag; tam sfotografowałem dom mieszkalny z ganeczkiem piętrowym w zaścianku Zybalisa, chłopcy tymczasem zbierali grzyby w lasku. Potem przez zaścianek Malców zeszliśmy głębokim wąwozem w dolinę Bierżupisu i zawróciliśmy na lewo w kierunku Rukiel. Brodzenie po zamokłej łące i skakanie przez ruczaj Bierżupis bardzo się chłopcom moim podobało.
Dla większej rozrywki zaproponowałem im się wykąpać w ruczaju, co też zaraz zrobili. Obaj tchórze. Anatol Didenko to się jeszcze trochę stopniowo ośmielił i wchodził do głębszych jam ruczaju, i próbował pływać. Ale Stefuś, który umie wcale dobrze pływać, nie mógł się odważyć. Skakał tylko z jednego brzegu na drugi, śmiał się z Anatola, podjudzał go do prób odważnych, a sam do wody prawie że nie wkraczał, a jeżeli już, wstydzony przeze mnie, wchodził i niby płynął parę kroków, to miał taką minę, jak żeby nie lada bohaterstwa dokonał, a przerażenie mu z oczu patrzało. Roiły mu się jakieś pijawki i inne straszne poczwary na dnie strumyka, jakieś głębie nieistniejące itd. Stamtąd przez wioskę Rukiele wróciliśmy do Bohdaniszek. Wielki już czas było wracać, bo miało się ku wieczorowi, a mieliśmy jeszcze z Marynią wybrać się dziś do Norwidyszek z wizytą. Koło godz. 6 ½ wyjechaliśmy. W Norwidyszkach bawi p. Wasilewska stara i córka jej, moja rówieśniczka (urodzona tegoż roku i dnia, co ja), panna Janina Wasilewska, oraz troje małych dzieci Brunona Wasilewskiego. Norwidyszki, niegdyś siedlisko całej gromadki staruszek, które jak grzyby obsiadły folwarczek i tu wiek swój kończyły na łaskawym chlebie nieboszczyka p.

Tomaszewskiego, dziś zupełnie opustoszały. Obecny właściciel Norwidyszek, siostrzeniec i chrzestny syn nieboszczyka p. Brunona Tomaszewskiego, Brunon Wasilewski, inżynier, ma dobrze płatną posadę w Petersburgu i żyje szeroko. O siedzeniu w Norwidyszkach naturalnie ani mu się śni, a nawet latem nie chce tu bawić dłużej, bo żona jego, z miasta rodem, nie może znieść nudy wiejskiej. Ale Brunon przywiązany jest do Norwidyszek, nie chce się ich pozbyć i szanuje ten kawałek ziemi ojczystej (Norwidyszki – to mały trzywłokowy folwark, ale z bardzo dobrymi łąkami nad rzeką Krewną). Matka Brunona i siostra, panna Janina, mieszkały dawniej w Norwidyszkach, ale wreszcie p. Janina nie chciała się już nadal konserwować w nudzie i samotności małego cichego folwarczku i wyjechała do Warszawy na posadę pracownicy biurowej w zakładach Rudzkiego. Za nią pociągnęła i matka. Norwidyszki opustoszały i tylko czasem latem na czas krótki się zaludniają. *Sic transit gloria mundi*. Biedna wieś traci mieszkańców i życie na rzecz miasta.

28 lipca / 10 sierpnia, rok 1913, niedziela
Chciałem dziś jechać do Gaczan dla złożenia wizyty Piotrowi Rosenowi, ale tak trudno u Papy o konie, że zaniechałem projektu. Mam to w charakterze, że nie lubię prosić i gdy wiem, że to, o co mam prosić, sprawia komuś przykrość, to wolę się sam wyrzec tej przyjemności. Nie lubię być u kogoś w zależności i nie umiem i nie lubię wypraszać. Mógłbym wprawdzie pojechać bez wiedzy Papy, bo Papa pojechał na cały dzień do Kowaliszek po Ewę i Mademoiselle, które ma stamtąd przywieźć, ale Piotr Rosen gotów się przy okazji wygadać przed Papą, żem u niego był, a wtedy będzie mi przykro. Nie chcę zaś robić Piotra powiernikiem jakiejś drobnej chytrości i tajemnicy przed Papą. Wolałem nie jechać wcale.
Przed obiadem poszedłem ze Stefusiem i Anatolem Didenko na spacer przez Karwieliszki do Knisy, stamtąd do Busiszek, gdzie Stefuś sfotografował mnie z Anatolem nad Jeziorkiem Ażubalskim, wreszcie przez Gaj z powrotem.
Z poczty otrzymałem list od Anny. Pisze (w tłumaczeniu) tak: „1 sierpnia 1913. Mój kochany Michaś! Piszesz, dlaczego Cię zostawiam tak długo bez listu; to pochodzi stąd, że Twoje listy idą strasznie długo, czasem przez 10 dni leżą na poczcie. Teraz otrzymałam trzy listy od razu, jeden z Dyneburga, jeden z Wilna z czekiem i jeden z czterema fotografiami (wszystkie fotografie, które teraz robię, posyłam w jednym egzemplarze Annie), z których na dwóch jest mój Michaś, przy krzyżu i z Żuczkiem. Pytasz, co mi dają jeść, co dzień kasza i zupa z tłustością. Mój Michasiu, mnie nie tak dobrze („*geht nich so gut*“) jak Tobie, Ty jeździsz czwórką koni (aluzja do fotografii czwórki koni w zaprzęgu, którą Annie posłałem), a my i jednego konia do jazdy nie mamy. Byłyśmy pieszo o 25 wiorst stąd, w Nałęczowie, droga była okropna, dużo wody i dużo błota, aż się utopiłam niemal, zmokłam zupełnie. Więcej nie pójdę tak daleko. Panna Kosmowska już wyjechała do Warszawy. Gazetka moja już przychodzi. Jak mój Michaś znowu do Wilna pojedzie, niech zajdzie do mego mieszkania i spyta, czy nie ma listu do mnie od mojej siostry i zaraz niech mi wyśle. Moja siostra nie ma mego tutejszego adresu. Mnie bardzo dobrze w Krasieninie. Po polsku mówię już teraz trochę lepiej, tylko strasznie (tu wyraz nieczytelny, zdaje się, czy „fałszywie“ czy „prędko“). U nas co dzień deszcze straszne padają, wszystkie zboża są zepsute. Całuję mego chłopca dużo razy i czekam jeszcze fotografii od mego Michasia. Pisz. Twoja Leelupneeks.“
Byłem ucieszony. Listy Anny z Krasienina są wesołe, pełne dobrego humoru, nie tak, jak wiosenne listy z Teodozji. Uśmiałem się z tej pieszej podróży Anny do Nałęczowa; wyobrażam, jak była zakłopotana i nadąsana, wstydząc się wszakże dąsać wobec koleżanek swoich, dziewcząt krasienińskich; oho, gdybym to ja był z nią na tym spacerze, to bym oberwał! Uśmiałem się też z tego „utopienia się“, co Anna w liście

usiłowała wyrazić po polsku, wstawiając do tekstu swego żargonu niemieckiego wyraz „utupilimsja". Paradna.
Na nocny pociąg wyjechałem do Abel. Muszę bowiem dla interesu terminowego być jutro na jeden dzień w Wilnie. Do Abel przyjechałem za wcześnie, toteż wyspałem się na stacji, potem wyspałem się w drodze do Kałkun. Dobrze, że mi się udało wyspać, bo potem w Kałkunach i w dalszej drodze pociągiem nie mogłem spać aż do godz. 7 rano, gdyż nie było ani jednego miejsca wolnego. Dopiero od godz. 7 rano od Święcian mogłem się położyć i zasnąć. W Kałkunach spotkałem się z p. Janem Przeździeckim, z którym dość przyjemnie pogawędziłem.

29 lipca / 11 sierpnia, rok 1913, poniedziałek
Koło godz. 9 przyjechałem do Wilna i cały dzień tu zabawiłem. Z nowin wileńskich dowiedziałem się o następujących. W sprawie wyborów miejskich komitet jeszcze platformy swej nie ogłosił. Platforma ma być ułożona, zdaje się, wcale demokratyczna – podług wskazówek Zasztowta; naczelne miejsce w platformie ma zająć zasada konsekwentnej municypalizacji wielkich przedsiębiorstw miejskich. Wszakże oczywiście nie platforma stanowi kapitalną kwestię. O wiele ważniejszą jest kwestia ułożenie listy kandydatów na radnych, bo ci będą stanowić o wykonaniu platformy. Lista ta nieprędko jeszcze ma być ułożona. Zdaje się, że dr Sumorok nie przedsięweźmie osobnej akcji wyborczej przeciwko komitetowi i ograniczy się tylko na krytyce działania komitetu dla utrzymania ciągłego bodźca w jego pracy. W związku ze sprawami wyborczymi Zasztowt wycofał się z komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego", o czym się z wielkim smutkiem dowiedziałem. Już przed 10 dniami, jak o tym wspominałem, „Kur. Krajowy", wkrótce po zawiązaniu się komitetu wyborczego, wydrukował artykuł dr Sumoroka, zawierający krytykę komitetu, w której było kilka bardzo ciętych momentów i nawet ostrych docinków do kilku osób, należącym do komitetu (inżyniera Wł. Malinowskiego, Petrykowskiego). Chociaż artykuł dr Sumoroka był wydrukowany jako głos wolny, z zastrzeżeniem redakcji, że otwiera ona wolną trybunę dla wypowiedzenia się swobodnego i że odpowiedzialności za opinie wyrażone na siebie nie bierze, jednak w publiczności zrobiło to wrażenie, że „Kurier Krajowy" nie sprzyja oficjalnej akcji komitetu. Oprócz tego, Mańkowski przez nieuwagę popełnił mały błąd, który jeszcze bardziej się przyczynił do zrażenia doń komitetu. Mianowicie stało się tak. Zaraz po zawiązaniu się komitetu w „Kurierze Litewskim" i „Gazecie Codziennej" ukazał się spis członków komitetu. Mańkowski myślał, że spis ten był do tych pism dostarczony przez komitet urzędowo i że „Kurier Krajowy" był świadomie pominięty. Spisu tego nie przedrukował, bo naturalnie w piśmie codziennym przedrukowanie nazajutrz spisu, już opublikowanego wigilią przez inne pisma, chybia celu i raczej źle świadczy o piśmie, nie umiejącym podawać świeże aktualne rzeczy. W kilka dni później otrzymuje Mańkowski od Jakubowskiego, sekretarza komitetu, spis członków komitetu z prośbą o opublikowanie od imienia komitetu. Mańkowski, uważając to za spóźnione, nie wydrukował. Tymczasem nazajutrz w „Litewskim" i „Codziennej" spis od imienia komitetu opublikowany został. Okazuje się, że poprzednie opublikowanie było dokonane prywatnie, bez wiedzy i prośby komitetu, a dopiero teraz komitet urzędowo do wszystkich trzech pism się zwrócił. Niewydrukowanie spisu w „Kurierze Kr." komitet uważa oczywiście za dowód, że „Kur. Kr." nie chce popierać komitetu, a w związku z artykułem Sumoroka wygląda to, że „Kur. Kr." jest do komitetu w opozycji. Zasztowt, który do komitetu wyborczego należy i bierze w nim udział czynny, uznał wobec tego za konieczne wycofanie się z „Kuriera Krajowego". Zapewne też komitet wyborczy nadal pomijać będzie „Kurier Krajowy". Tak wystąpienie Zasztowta z pisma, jak nieusprawiedliwione

dotąd niczym i zresztą mimowolne, przez nieuwagę, odseparowanie się „Kur. Krajowego“ od akcji komitetu wyborczego jest bardzo ujemne. Pismo traci żywy kontakt z życiem, staje się czymś oderwanym, jakimś prądem frazesowo-demokratycznym. Z okoliczności tej cieszy się, zdaje się, tylko dr Sumorok, który teraz znowu gorąco się opiekuje pismem, patronuje mu, zasila, kręci się w redakcji itd. Zasztowt i Sumorok – to dwa bieguny, między którymi balansuje wahadło pisma; dziś zwrócone jest ono do Sumoroka. Moje sympatie są na biegunie Zasztowta. Szkoda jednak, że Mańkowski ma trochę za mało wyrobienia. Trudno mu z tego robić zarzut, zwłaszcza że się bije jak ryba o lód i że ma na sobie wszystko i wszystkiemu musi podołać. Przez cały tydzień teraz pismo nie wychodziło wcale, bo z drukarnią Bajewskiego zerwano, a nowej nie znaleziono. Wreszcie dziś podpisany został kontrakt z drukarnią Kleckina i jutro pismo ma wyjść. Kontrakt podpisany przez dr Sumoroka. I znowu jeszcze jedna chryja – zatarg natury osobisto-honorowej między Mańkowskim i Benedyktem Hertzem: narobili sobie impertynencji na tle zapłaty należnego Hertzowi od „Kuriera Kr.“ honorarium; Mańkowski długo zwlekał z płaceniem, nie mając pieniędzy, Hertz nalegał; pieniądze już zapłacone, ale przy tej okazji obrazili siebie wzajemnie. Ma być podobno pojedynek. Mańkowski teraz nosi się wysoko, jest pełny otuchy; zdaje się, że jest „przy pieniądzach“; skąd ma – nie wiem; zdaje się, że tam Sumorok wytrzasnął.
Znowu, jak słyszałem, zaszły jakieś nieporozumienia i powikłania w sprawach zarządu nowego litewskiego T-stwa Wzajemnego Kredytu. Za długo o tym pisać. Sprawy te mnie jednak interesują.
Ciekaw byłem dowiedzieć się bliższych szczegółów o nowym towarzystwie ekonomicznym, które się w Wilnie zawiązało. Towarzystwo to mogłoby mieć niezwykle wdzięczne pole do działania. Sprawa ta bardzo mię zajmuje i chętnie bym wziął udział w takiej pracy. Niewiele się wszakże dowiedziałem, chyba tylko to, że, zdaje się, głównym inspiratorem jest Litwin Morawski, który tu się z Petersburga przenosi, co mię ni ebardzo przychylnie do towarzystwa usposabia; z tego bowiem, co wiem o Morawskim, jest to osobistość co najmniej niewyraźna i niepewna.

30 lipca / 12 sierpnia, rok 1913, wtorek
Już myślałem, że nie będę mógł dziś z Wilna wyjechać. Wczoraj wieczorem bowiem wpadł do mnie Mańkowski, zaklinając mię na wszystko, abym wstrzymał wyjazd i zgodził się być u jego sekundantem w sprawie z Hertzem. Przed kilku już dniami Hertz skierował do Mańkowskiego swoich sekundantów w osobach dziennikarza-endeka Zwierzyńskiego (z „Kuriera Litewskiego“) oraz inżyniera, również endeka, Brzostowskiego. Mańkowski na jednego ze swoich sekundantów uprosił Antoniego Łuckiewicza, na drugiego zaś postanowił prosić pomocnika adwokata Zbigniewa Jasieńskiego, swego kolegę z korporacji „Polonia“ w Dorpacie, zajadłego endeka, ale osobistego swego przyjaciela. Ponieważ wszakże Jasieńskiego nie było w Wilnie, Mańkowski zatelegrafował do niego i oto otrzymał odpowiedź, że Jasieński jest chory i dopiero we środę będzie mógł przyjechać. Mańkowski wczoraj zakomunikował sekundantom Hertza o zwłoce do środy, atoli w tym samym czasie otrzymał list od nich, w którym piszą, że cztery doby czekali na próżno na wyznaczenie sekundantów Mańkowskiego i że jeszcze tylko jedną dobę, tj. dziś do godz. 4 po południu czekać będą. Wobec tego Mańkowski musiał, nie czekając na Jasieńskiego, wyznaczyć natychmiast sekundantów. Ponieważ latem mnóstwo ludzi się rozjechało, Mańkowski miał kłopot z dobraniem drugiego sekundanta, zwłaszcza że chciał mieć kogoś poważnego i taktownego. I oto przyszedł mię prosić, abym został i zgodził się być sekundantem. Byłem zaskoczony tą propozycją i bardzo nierad. Wymawiałem się

długo, prosiłem Mańkowskiego, aby mię uwolnił, aby znalazł innego. W zasadzie wszakże odmówić usługi honorowej nie mogłem. Byłem nierad nie tylko dlatego, że chciałem do Bohdaniszek wracać, ale też dlatego, że mi się z wielu względów nie podobało figurować w tej sprawie. Nie chciałem, aby zatargowi natury osobistej, który przecie powstał na gruncie spraw „Kuriera Krajowego“, nadawane było jakieś znaczenie walki polityczno-koteryjnej, co mogło wszakże się takim wydawać, gdyby ze strony Mańkowskiego wystąpili w roli sekundantów ludzie najbliżej „Kur. Kraj.“ stojący, jak Ant. Łuckiewicz i ja. To mi się nie podobało, a oprócz tego miałem pewne wątpliwości co do udziału w tej sprawie A. Łuckiewicza, który właśnie świeżo miał zatarg honorowy z Ludwikiem Abramowiczem; w zatargu tamtym, który załatwiony nie został, sekundantem Abramowicza był tenże Zwierzyński. Obecnie więc udział Antoniego mógł sprawiać wrażenie jakiejś chęci czy rehabilitowania się i doświadczenia Zwierzyńskiego, czy choćby jakiejś koteryjności. Wolałem z tej głupiej sprawy pojedynkowej wybrnąć, ale na prośby Mańkowskiego musiałem ustąpić, a Mańkowski miał kogoś innego zamiast Łuckiewicza uprosić. Tymczasem dziś rano Mańkowski mi oświadczył, że już sobie znalazł drugiego sekundanta i że mię zwalnia. Byłem ucieszony i na godz. 10 rano pośpieszyłem na pociąg, gdzie się miałem spotkać z Ludwikiem Krzywickim. Krzywicki jedzie z Warszawy, jak co roku latem, do Litwy dla studiów nad pilkalniami litewskimi. Akurat wczoraj przyjechał do Wilna i tak trafił, że mię tu zastał. Prosił o danie mu wskazówek i poleceń co do osób, mieszkających na pograniczu powiatów święciańskiego i wiłkomierskiego, bo tam chciałby teraz kopać. Chciałem go zapoznać z Mieczysławem Jałowieckim, ale go w Wilnie nie było. Krzywicki wszakże od dr Burbianki otrzymał jakieś wskazówki do księdza w Kołtynianach święciańskich i tam wyruszyć postanowił, biorąc to za punkt orientacyjny. Jakoż dziś pojechaliśmy razem. W Święcianach rozstaliśmy się, ja pojechałem dalej do Bohdaniszek, Krzywicki zboczył na wąskotorówkę święciańską. O godz.7-8 dojechałem do Bohdaniszek.

31 lipca / 13 sierpnia, rok 1913, środa
Znowu popłynęło życie bohdaniskie: fotografie, zabawa w gry rozmaite z dziećmi, trochę pisaniny – i oto wszystko. Kąpieli tylko nie ma, bo powietrze ochłodło i nie zachęca do wody. Przybył za to element nowy w moim życiu bohdaniskim, to wpływ wrażenia, jakie wywiera na mnie Mademoiselle Jeanne. Nie mogę zaprzeczyć, że wrażenie te wzrosło i sprawia mi pewien niepokój, pewien ferment psychiczny. Dziewczyna ta działa mi na nerwy. Jest ładna, nie tyle przez rysy i przez figurę, ile przez młodość 16-letnią, świeżość i wdzięk bezpośredniej wrażliwości, która w tym wieku nie jest jeszcze zamącona refleksją i bruzdami pamięci przeszłości. Oczy ma żywe, śmiech i wyraz przejrzyste, bezpośrednie. To jest ten urok, który działa na zmysły moje, niezwykle wrażliwe, a przez zmysły na pierwotne elementy psychiki. Głębiej to wrażenie nie sięga, uczucia nie budzi żadnego. W uczuciu panuje mi niepodzielnie miłość do Anny, której nic nie tylko wyrugować, ale nawet przyćmić nie zdoła. Anna panuje we mnie głęboko i stale. Jako kobieta w pełni rozwoju indywidualnego, dusza bogata, barwna i tragiczna, wypełnia Anna swą treścią przepiękną cały bezmiar tego świata, zamkniętego w kształtach na pozór (materialnie) małych, a tak w istocie olbrzymiego, jakim jest psychika ludzka, w tym wypadku moja. Najmniejszego porównania być nie może między Anną a tymi dziewczątkami mdłymi, które są dopiero w pączku młodości; mają one bezpośredniość wrażliwości, ale są treści ubogiej i ich władze psychiczne działają słabo, leciutkimi odruchami i wyrazistości nie mają. Anna nie tylko że nad takimi pączkami dziewczęcymi góruje, ale też nad kobietami dojrzałymi, bo ma nie tylko niepospolitą ekspresję i siłę władz psychicznych,

ale też treść piękną, pełną prawdy, zmysłu sprawiedliwości, odzwierciedlenie głębokie kosmosu w jego kształtach i elementach najszlachetniejszych. Ile mi daje szczęścia, bodźców szlachetnych, radości, wiedzy nawet stosunek z Anną, tego żaden inny stosunek i żadne inne wrażenia przelotne dać mi nigdy w życiu nie zdołały. Wrażenie, które na mnie obecnie sprawia Mademoiselle Jeanne, sięga ledwie pierwotnych powierzchownych elementów psychiki i jest dobre jeno na chwile zabawy, na małe smugi uśmiechów wesołości – bez śladu trwałego.

1 (14) sierpnia, rok 1913, czwartek
Oto już sierpień. Czas się zbliża do jesieni. Umyka lato, tak krótkie w klimacie naszym. Tegoroczne zaś było brzydkie, bardzo mokre. Może przynajmniej jesień mieć będziemy suchą i słoneczną, co daj Boże. Oby tylko się nie powtórzyła jesień i zima zeszłoroczne, wilgotne, ciemne, bez śniegów, bez promyka słońca.
Dzień mi zeszedł równo, spokojnie, cicho. Do obiadu pracowałem trochę, pisałem listy i moją pracę pamiętnikarską. Młodzież tymczasem cała zajęta była robieniem sobie odbitek fotografii z klisz starych i nowych. Marynia pojechała do Abel dla dozorowania furmanek, które wiozły superfosfat z kolei. To wielki dzień w Bohdaniszkach. Wszystkie konie i wszyscy ludzie, kto żyw, ruszyli po superfosfat. Oprócz furmanek dworskich, poszły furmanki dzierżawców i rozmaitych włościan, zależnych od dworu, jak np. Janko z Rudel, stanowiących rodzaj wasalów dworskich.
Po obiedzie bawiłem się z dziećmi w gry rozmaite i w karty. Przyjechał z Dydej Józef Šukys i wziął też udział w grach dziecinnych. Poczciwy Šukys jest bardzo kochany przez Stefusia, a wszyscy zresztą mu sympatyzują. Jest to chłopiec bardzo słodki, bardzo przywiązany do rodziny naszej i zwłaszcza do mnie, bardzo wierny i wdzięczny w uczuciu. Bawiliśmy się w „cache-cache“, w „dżenkisa“, w której to grze celują Šukys i Mademoiselle Jeanne, potem w karty.

2 (15) sierpnia, rok 1913, piątek
Papa z Ewą (Helcią) pojechali do Tarnowa na imieniny obydwóch pań Weyssenhoffowych, starej p. Wandy matki, i młodej p. Marji, żony Walunia. W Tarnowie bawi też brat Walunia, literat p. Józef Weyssenhoff, którego gwiazda sławy literackiej jest obecnie w pełnym blasku u szczytu rozwoju. W Tarnowie z okazji podwójnych imienin oraz obecności p. Józefa, stanowiącej atrakcję niepospolitą, spodziewany jest duży zjazd sąsiedztwa ziemiańskiego z bliskich i dalekich okolic. Ani Marynia, ani ja nie mogliśmy z Papą pojechać, bo nie mamy ze sobą w Bohdaniszkach odpowiednich strojów galowych. Pojedziemy tam pozajutro.
Korzystając z nieobecności, Papy urządziliśmy z chłopcami i Mademoiselle Jeanne pod wieczór wielką zabawę w „cyrukomę“ po całym domu na dole (na parterze). Chłopcy zwłaszcza byli zachwyceni.
Przedtem zaś, zaraz po obiedzie, poszliśmy z Mademoiselle Jeanne i chłopcami do lasu do Staczerag po grzyby. Młodzież nazbierała pełny kosz grzybów, przeważnie rydzów, z których wszakże nie mniej niż ⅔ okazało się robaczliwych.
Poczciwa Marynia wzięła na siebie uzupełnienie dla mnie całkowitego kompletu fotografii naszego zbioru klisz. Przez 12 lat fotografowania zbiór klisz wynosi zapewne przeszło 200 sztuk, toteż teraz, gdy postanowiłem zrobić stały komplet odbitek ze wszystkich naszych klisz, robota jest nie lada. Marynia odbija teraz po kilkadziesiąt dziennie i wykonywa tę robotę z wielką starannością. Będziemy mieli przynajmniej choć raz stały zbiór, który ułożę chronologicznie w albumach lub zeszytach, podatuję i zaopatrzę każdy egzemplarz dopiskiem wyjaśniającym.

3 (16) sierpnia, rok 1913, sobota
Przyjeżdżała dziś pod wieczór p. Paulina Antoniowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia. Biedaczka ma pełno drobnych kłopotów majątkowych, drobnych, nic nie znaczących, ale takich, którym nie umie dać rady. Przez całe życie nie stykała się z tymi drobiazgami, które załatwiał nieboszczyk jej mąż; choć był safandułą, choć nigdy żadnej sprężystości nie miał i choć żona go zawsze po trochę gderała i kurstała, jednak tam bieżące drobiazgi załatwiał. Teraz p. Weyssenhoffowa ma to wszystko na swojej głowie, a jest niezaradna i nie umie ani się zorientować w tych kwestyjkach drobnych, ani się na coś zdecydować, toteż drobiazgi te wyrastają w jej głowie do poziomów wielkich trosk i utrapień. Tymczasem spadkobiercy p. Antoniego, synowcowie jego pp. Jan i Henryk (malarz) Weyssenhoffowie, oraz siostra nieboszczyka stara p. Biegańska, nie obejmują formalnie Pokrewnia w swe władanie, bo dotąd nie wyjaśnili jeszcze stosunku wzajemnego i bodajże przy układzie dzielczym i regulacji sprawy spadkowej powstaną wśród nich nieporozumienia i komplikacje.
Wkrótce ma być przywiezione do Pokrewnia ciało p. Antoniego, który zmarł w Łukini u szwagra swego p. Franciszka Kończy i tam czasowo pochowany został.
Wieczorem rozszalała się burza piękna, pełna grozy i siły w naturze. Powietrze o zmroku było ciepłe i parne; z daleka na horyzoncie darć zaczęły niebo błyskawice; w parnej ciszy zdawały się być zaczajone i gotujące się do trafnego skoku żywioły; wtem wietrzyk powiał, za nim skoczył z dzikim szałem wicher, rozwydrzył naturę, lunął deszczem niosąc błyskawice i grzmoty i znów gdzieś odbiegł, wracając po kilkakroć i krążąc po obszarach horyzontu.

4 (17) sierpnia, rok 1913, niedziela
Rano pojechaliśmy z Maryńką i Stefusiem do Gaczan z projektem pojechania stamtąd do Tarnowa. W Gaczanach u Piotra Rosena bawi teraz jego siostra p. Anna Pisaniowa z dziećmi Tadziem i Terenią. Ponieważ się okazało, że towarzystwo gaczańskie też się dziś wybiera do Tarnowa, więc Marynia ze Stefusiem zaraz się zabrała końmi gaczańskimi z p. Pisaniową i jej dziećmi do kościoła do Jużynt i stamtąd już wprost do Tarnowa. Ja zaś zostałem, by pojechać po obiedzie razem z Piotrem. Piotr spał jeszcze, bo przez całą noc grał w karty z braćmi swymi, którzy wyjechali, i z p. Józefem Weyssenhoffem. Korzystając z chwilowej samotności i czasu, usiadłem przy biurku Piotra i napisałem artykulik w sprawie wyborów miejskich, który przeznaczam dla „Kuriera Krajowego“ dla zniwelowania wrażenia, wywołanego przez artykuł Sumoroka w tejże sprawie. W artykuliku tym zajmuję stanowisko pojednawcze względem „bezpartyjnego“ komitetu wyborczego i konkretyzuję zasadę municypalizacji urządzeń miejskich. Artykulik ten umieszczę w piśmie bezimiennie jako głos wolny pochodzący od jakiegoś przeciętnego wyborcy.
Wkrótce wstał Piotr Rosen. Zjedliśmy obiad i wyjechaliśmy z Gaczan. Piotr musiał jeszcze wpierw zajechać do Jużynt na posiedzenie miejscowego kółka rolniczego. Zebranie kółka było nieliczne, ale dość ciekawe. Z uwagą przysłuchiwałem się obradom i starałem się zdać sobie sprawę z poziomu i rozwoju kółka. Na porządku dziennym było kilka spraw bieżących: 1) sprawa prosiąt rasowych, które kółko otrzymało od Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego dla rozdania kilku członkom z warunkiem, aby z przypłodu od nich zwracali pewną ilość prosiąt kółku dla ponownego rozdania ich innym członkom na tych samych warunkach, 2) sprawa kupowania narzędzi i maszyn rolniczych za pół ceny za pośrednictwem ministerium na imię kółka z warunkiem, aby te maszyny i narzędzia obsługiwały szereg gospodarstw włościańskich na zasadach używalności, ustalonych przez kółko (faktycznie z tej zniżki ceny korzystać będą w kółku jużynckim poszczególni członkowie, którzy pod firmą kółka sprowadzać będą

narzędzia i maszyny, osobiście im potrzebne do własnej ich gospodarki), 3) sprawa zorganizowania w jesieni w Jużyntach parutygodniowych kursów mleczarskich; ta ostatnia sprawa zajęła lwią część posiedzenia; propozycja urządzenia kursów wyszła od gubernialnej komisji urządzeń rolnych; kursami ma kierować instruktor gubernialny mleczarski, który przez zimę objedzie w ten sposób całą gubernię; kółko ma mu dostarczyć na czas kursów z osiem krów, które będą obiektem doświadczenia; będą wykłady teoretyczne oraz doświadczenia praktyczne dotyczące karmienia krów i wydajności mlecznej w związku z pokarmem; kursy te wszakże mają być dostępne nie tylko dla członków kółka, ale dla całego ogółu włościan. Kwestia wykonania tych kursów była dziś na zebraniu dość szeroko omawiana i ostatecznie uchwalono urządzić takowe. Kółko jużynckie znam od dawna; powstało ono w r. 1907, jedno z pierwszych w naszych stronach. Do inicjatorów kółka należy Piotr Rosen, Walunio Weyssenhoff z żoną, moja Matka, która jest honorową prezeską kółka oraz kilku światlejszych i zamożniejszych włościan. Z początku w kółku była zbytnia przewaga ziemian, którzy przeważali nie liczbą, ale wpływami. To było dla rozwoju kółka szkodliwe, bo włościanie zaczęli patrzeć na kółko jako na rzecz pańską, na jakąś zabawkę czy intrygę, skierowaną do pozyskania włościan. Zwłaszcza udział Walunia Weyssenhoffa był szkodliwy, bo traktował on kółko jako filantropię i miejsce popisu i zdobywania popularności; wysadzał się na zbytkowne przyjęcia na posiedzeniach kółka, nadawał im ton zebrań towarzyskich, segregując na przyjęciach element ziemiański i inteligentniejszy włościański od ogółu plebsu włościańskiego; włościanie korzystali z przyjęć, jedli i pili, ale śmieli się z tej zabawki i żywili niechęć do kółka, nie uważając go za sprawę swoją, za wyraz potrzeb własnych. Takie traktowanie kółka przez Weyssenhoffa demoralizowało włościan i dyskredytowało ideę kółka. Większość tych, którzy się na razie do kółka wpisali, odpadła wkrótce. Walunio Weyssenhoff też się wkrótce poczuł zrażony nieufnością włościan i teraz już, choć do kółka należy formalnie, nie gra w nim żadnej roli i nie bierze czynnego udziału. W kółku pozostali tylko najbardziej uświadomieni i kulturalni włościanie z zamożniejszego elementu. Teraz po kilku leciech kółko jużynckie wprawdzie członków straciło, jednak jest w stadium dobrego rozwoju. Na czele kółka, oprócz Rosena, który się z ziemian jedyny ostał, stoją właściciel folwarku, zamożny włościanin inteligent Masiulis, nauczyciel ludowy Rudwalis, włościanin z wykształceniem gimnazjalnym - właściciel Annopola – Józef Stawski, zamożni i gospodarni światli włościanie Wołłowicz i Lejkus itp. Kółko liczy tylko 25 członków. Liczba ta nawet się zmniejsza stopniowo, bo na razie należeli do kółka włościanie i z dalszych stron, teraz zaś, w miarę powstawania takichże kółek w innych sąsiednich miejscowościach, jak w Rogielach, w Abelach, obecnie już w Komajach, członkowie z tamtych stron odpadają od Jużynt. Zmniejszenie więc ilości członków w tych warunkach nie świadczy o upadku kółka. Przeciwnie, jest to lepiej, że w kółku grupują się rolnicy z bliższej okolicy, ponieważ mają oni więcej wspólnych spraw i łatwiej mogą swe wysiłki i swe potrzeby zespolić. Właściwie członków czynnych i istotnie korzystających z kółka jest kilkunastu, ale za to stanowią oni element zwarty i uświadomiony, tworzą właściwą podwalinę kółka, mocną i czynną podstawę kooperacji rolnej. Działalność kółka staje się istotnie bardziej intensywną. Szeroki ogół włościan stoi dotąd z dala od kółka – jest ono liczebnie kroplą w morzu środowiska włościańskiego, ale jako czynnik kulturalny stanowi o wiele większą siłę. Ogół włościan żywi dotąd uprzedzenie do kółka.

5 (18) sierpnia, rok 1913, poniedziałek
Nie wystarczyło mi wczoraj miejsca na dokończenie dnia wczorajszego. Wyszedłem z Rosenem z posiedzenia kółka jużynckiego pod wrażeniem dodatnim. Kółko jużynckie –

to w naszych stronach senior tego typu włościańskiej kooperacji rolnej. Dało ono niewątpliwie bodźca do powstania szeregu innych kółek w sąsiednich miasteczkach. Pomimo wielu błędów początkowych, pomimo nawet specjalnej nieufności, którą zasiał w umysłach włościan nietakt Walunia Weyssenhoffa, nie tylko że zdołało się utrzymać, ale wkroczyło na tory niewątpliwego, acz powolnego rozwoju. Skupia ono miejscową śmietankę włościańską, tak umysłową, jak kulturalną i ekonomiczną, i choć dotąd dla masy włościańskiej bezpośredniego pożytku nie daje, bo ogół przeciętny nie rozumie tej sprawy i nie wyczuwa jej potrzeby, jednak już dla tej śmietanki, dla tej nielicznej garstki, która przoduje w postępie gospodarczym i kulturalnym w środowisku włościańskim, jest ono rzeczą potrzebną i pożyteczną. Staje się ono coraz bardziej wyrazem organizacji potrzeb zbiorowych pewnych elementów włościańskich, ich sprawą funkcjonalną, ich dziełem i zarazem narzędziem ich rozwoju ekonomicznego. Jako takie, jako czynnik kulturalny, jest ono sprawą wagi pierwszorzędnej. Niewątpliwie, że w dalszym ciągu, zwłaszcza wobec postępów kolonizacji wiosek na zaścianki i komasacji fermowej gruntów włościańskich, zakres organizacji kółek niezmiernie się rozszerzy. Powstawanie kółek nowych (w Ragielach, Abelach, Komajach itd.) – to są etapy tego rozwoju przyszłego, zwiastuny nowych w kraju naszym form postępu gospodarczego; powstają one obecnie już nie za działaniem filantropii, nie z ramienia ziemian, ale wprost ze środowiska włościańskiego, gdzie przodujące elementy zaczynają dochodzić do większej świadomości i organizować się. Inteligenci i gdzieniegdzie ziemianie grają tu rolę organizatorów technicznych nieraz, jakby instruktorów, ale nie samowładnych nakazodawców czy filantropów. Cieszy mię, gdy widzę, jak kraj nasz, Litwa kochana z jej ludem odrodzonym narodowym dźwigać się zaczyna powoli i wytężać wolę, by dążyć do kultury. O ileż tu jest większe świtanie kultury, niż w sąsiedniej Białej Rusi! Należy przyznać, że w dziele dźwigania kultury ekonomiczno-rolnej i w szczególności w sprawie kółek rolniczych są poważne zasługi pomocnicze tak naszej organizacji ziemiańskiej – Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego, jak rządu w drodze działalności głównie komisji urządzeń rolnych.
Wspomnę tu jeszcze o wczorajszej wizycie w Tarnowie. Z Jużynt pojechałem z Rosenem wprost do Tarnowa. Oprócz Maryni i p. Pisaniowej z dziećmi, które tam przed nami przyjechały, zastaliśmy liczne towarzystwo osób. Całe te towarzystwo spędza w Tarnowie wakacje letnie. A więc przede wszystkim sam gospodarz Walunio Weyssenhoff z żoną i gromadką dzieci. Walunio bez humoru, nadąsany, hamujący w sobie gniew, który u niego ciągle się pleni i ma kształty wybuchowe. Powiadają, że obecnie stosunek między Waluniem a żoną jest lepszy i że gwałtownych scen kłótni i bijatyk nie ma. Ale z usposobienia, w jakim był Walunio, i z kilku przelotnych hamowanych scenek widać, że krucha to zgoda i że porozumienia tam nie ma. Parę razy widziałem, jak Walunio o coś się zagniewał i jak podchodził do żony i szeptem, z pasją największą łajał ją, zaciskając zęby i mieniąc się na twarzy od namiętności gniewu, która go rozsadzała, a którą tłumić musiał wobec gości. Źródłem tych kłótni i awantur domowych, oprócz gwałtownych charakterów obojga i niesnasek majątkowych, jest teraz też fakt zwinięcia mieszkania w Wilnie i zamieszkania na zimę w Tarnowie, co wymógł Walunio wbrew żonie. Pani zaś Waluniowa, w wielkiej ciąży, wygląda schorowana i zmęczona, mimo że pozory humoru i towarzyskości zachowuje. Dalej bawi tam matka Walunia, stara pani Wanda Weyssenhoffowa, siostra jego – p. Sołtanowa z dorosłą już, przystojną i dużo wdzięku mającą córką Hanią oraz z synami kilkunastoletnimi, dalej młoda separatka p. Euzebiuszowa Łopacińska, synowa p. Stanisława, b. posła do Rady Państwa, wreszcie gwiazda Tarnowa, brat Walunia, głośny dziś i modny, a zwłaszcza nieskończenie popularny wśród ziemiaństwa litewskiego – p. Józef Weyssenhoff, autor „Unii", „Sobola i panny" i innych utworów, w których

opisuje ziemiaństwo litewskie, apoteozując jego tradycje i ideały, a z wielkim realizmem odtwarzając typy i charaktery. Przez co popularność jego jest w kołach ziemiańskich niezwykła. Pisarz to istotnie wielkiego talentu, umysł wykwintny i kulturalny, chociaż człowiek mocno zepsuty, z ogromnie, zdaje się, wybujałym egoizmem. Miły jest bardzo pod względem towarzyskim, błyszczący dowcipem i mądrością, pełny werwy i swobody, naturalny, łączący jakoś dziwnie miękkość z drapieżnością. Pływaliśmy łódką po jeziorze, wałęsaliśmy się po domu, piliśmy herbatę, potem [jedliśmy] kolację. Świat ziemiański jest u nas, jak zresztą wszędzie, zamknięty w sobie, odosobniony od społeczeństwa miejscowego jak jakaś kasta odrębna, uważająca siebie za wybraną i lepszą. Wartki potok prądów społecznych, przeobrażających budowę społeczeństwa, w bardzo małym stopniu porusza to środowisko szlechecko-ziemiańskie, w którym, jak w stojącej wodzie sadzawki, utrwalają się niewzruszenie szczątki starych pojęć i zwyczajów, przeżytki kultury społecznej, która dziś ustępuje zewsząd i umiera w nowych demokratycznych kształtach budowy. Po kolacji wróciliśmy wczoraj z Marynią do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach zastaliśmy Zysia Komorowskiego z Hektorem i Julkiem oraz z Felkiem Morzyckim. Wszyscy już spali wszakże, toteż tylko dziś rano zobaczyliśmy się z nimi, ale krótko, bo zaraz po herbacie Zyś wyjechał, śpiesząc do Kowaliszek do pracy. Zyś od lat paru agituje już w naszej rodzinie za tym, aby Papa zdał na mnie zarząd Bohdaniszek. Dziś też na ten temat dużo mówił, wszakże nie wprost, bo mogłoby to drażnić Papę, jeno aluzjami, których tendencyjna treść była aż nazbyt widoczna.

6 (19) sierpnia, rok 1913, wtorek
Otrzymałem list od Anny. Przysyła mi ona fotografię grupy dziewcząt-uczennic krasienińskich, wśród których i sama też stoi, chociaż nie tak jak one ubrana, ale też z chusteczką na głowie, w ogólnym szeregu dziewczęcym. Dziewczęta wszystkie są w ładnych polskich strojach ludowych, bose. Patrząc na tę grupę, dziwnie mi jakoś wygląda te środowisko ludowe z moją Anną w zestawieniu z tym środowiskiem, do którego z urodzenia należę i które mię tu na wsi w sąsiedztwach ziemiańskich otacza. Są to dwa światy odrębne i obce. Moja Anna należy niewątpliwie do tamtego, ludowego środowiska, do którego też moje sympatie i ideały całkowicie się skłaniają, pomimo że się oderwać zupełnie od jednego i zlać z drugim nie mogę. Dopiero też tu w Bohdaniszkach czuję, jaką walkę i jakie ciosy znieść będę musiał, gdy się z Anną po śmierci moich Rodziców jawnie połączę. Ziemianie i arystokraci łatwiej dopuszczą do siebie człowieka zupełnie obcego, niż zniosą człowieka z ich szeregów, który się z takowych wyłamie i naruszy ustalone formy bytowania szlacheckiego. Droższe mi jest życie moje, które się w związku z Anną streszcza, od tych wszystkich niewolniczych form arystokracji ze skamieniałościami przeżytków, głupimi, marnymi, pętającymi duszę ludzką w imię utrwalenia swojej kasty, którą bynajmniej za godną utrwalenia nie uważam.
List mojej Anny brzmi tak: „14 sierpnia 1913 roku. Mój Michaś! Posyłam Ci jedną fotografię, na której stoją wszystkie krasinianki oraz Twoja Anna.
Tego ranka, gdyśmy szły wszystkie do Nałęczowa, sfotografowała nas jedna nauczycielka.
Brałam udział w dwóch wycieczkach – jednej do hr. Zamoyskiego, i drugiej – do Nałęczowa. Teraz za dwa tygodnie wszystkie dziewczęta i wszystkie nauczycielki oraz panna Kosmowska pojadą do Krakowa, Zakopanego i jeszcze do wielu innych miejsc, tam, gdzie kopią węgiel z ziemi.
Powiedz, co myślisz, mój Michasiu, czy mam też jechać z nimi, czy nie. Proszą mnie, abym jechała razem. Jeżeli pojadę, to cały koszt wyniesie tylko 15 rubli.

Pisz, mój Michasiu, jak myślisz, jechać czy nie.
U nas ciągle padają ogromne deszcze, rzadko ładny dzień ze słońcem.
Całuję mego Michasia dużo, dużo razy. Twoja „Leelupneeks".“
Ten projekt jazdy Anny do Krakowa i Zakopanego z wycieczką miłych koleżanek, zwłaszcza taki tani, bardzo mi się podobał. Choć mi smutno będzie w Wilnie bez Anny, bo z pewnością wycieczka ta opóźni znacznie jej powrót, jednak chcę, aby się Anna rozerwała i zobaczyła trochę szerszego świata, a zwłaszcza aby poznała i pokochała, co jest w Polsce pięknego. Zależy mi bardzo na tym, aby Anna pokochała Polskę i nie sądziła jej podług tego, co tu widzi, gdzie polskość jest reprezentowana przez szlachtę ziemiańską lub przez dewotki, urządzające burdę i gwałt na Litwinach w kościele św. Jana w Wilnie. Nie wiem, czy się kiedykolwiek taka dobra okazja i tak za bezcen dla Anny zdarzy. A co za rozkosz będzie dla mnie słuchać opowieści wrażeń Anny z tej wycieczki. Z jej bogatej wrażliwej natury wyczerpię pełną ręką cały ogrom spostrzeżeń i wrażeń, tak jakbym z nią całą tę wycieczkę odbył. Napisałem więc zaraz, aby jechała. Za dłuższą tęsknotę będę sowicie wynagrodzony bogactwem wrażeń w obcowaniu z moją dziewczyną.

7 (20) sierpnia, rok 1913, środa
Rano wyjechała do Wilna Marynia ze Stefusiem i z Anatolem Didenko. Choć jutro ma się odbyć w Pokrewniu pogrzeb zwłok śp. pana Antoniego Weyssenhoffa, a na dziś zapowiedziany jest przyjazd do nas stryjenki Kazimierzowej Römerowej z córkami, jednak Marynia nie mogła już odkładać wyjazdu ze względu na Stefusia, który ma terminową poprawkę w gimnazjum. Marynia już wyjeżdża do Wilna na stałe.
Przed samym obiadem przyjechała stryjenka Kazimierzowa z córkami Renią, Jolą i Marynią. Stryjenka spędziła dwa dni w Tarnowie u Weyssenhoffów i teraz stamtąd do nas przyjechała. Z domem stryja Kazimierza Römera stosunki nasze są niewyraźne. Stryj Kazimierz, człowiek rozumny i bardzo uczciwy, jest konserwatystą fanatycznym i katolikiem niesłychanie konsekwentnym, który nie tylko że sam stosuje zasady katolickie do całego życia swego we wszystkich szczegółach od najdrobniejszych spraw osobistych do spraw i zagadnień publicznych, ale też wymaga takiegoż niezłomnego stosowania tych zasad od wszystkich innych ludzi i tą tylko miarą mierzy ich czyny i ich wartość. Zasady te nie są zasadami chrześcijańsko-ewangielicznymi, ale ściśle katolickimi. Zachodzi bowiem wielka różnica między systematem etycznym chrześcijaństwa jako nauki Chrystusa a systematem społecznym katolicyzmu. Stryj, jako katolik niezłomnych przekonań, uważa oczywiście moje przekonania za złe i całą moją działalność, w czymkolwiek się ona przejawia, za zgubną i społecznie szkodliwą. Dawniej kiedyś, gdym jeszcze był w Paryżu, stryj pisał o mnie do Papy, nie znając jeszcze moich przekonań, tak: „byle się nie zaciągnął w szeregi nieszczęsnej warcholskiej Narodowej Demokracji.“ Nawet endencja wydawała się stryjowi, katolikowi, zbyt radykalną i nie dość katolicką. Jakież było zgorszenie stryja, gdym w r. 1906 wydawać zaczął prawdziwie radykalną, rewolucyjną „Gazetę Wileńską“. Stryj próbował mię wtedy parokrotnie przekonać i nawrócić z drogi, zdaniem jego, zgubnej. Przekonywał mię osobiście i listownie. Wierzył jeszcze wtedy, że to są błędy młodości, złe wpływy ludzi pracujących na zgubę kultury i narodu. Później wszakże, gdy nie widział zmiany we mnie i przekonał się, że istotnie takimi są moje własne i świadome przekonania, próbował oddziaływać na mnie przez Papę, pisał do mnie, grożąc mi zerwaniem stosunków, wreszcie dał za wygraną, ale odtąd uważa mię za człowieka straconego. Papę stryj kocha bardzo, może najwięcej z rodziny, i wszystkim dzieciom swoim wpoił szczególniejszy kult dla Papy. Ze względu wszakże na mnie trzyma swą rodzinę z daleka od domu bohdaniskiego, a zdaje się, że syna swego, Antosia, nie

dopuszcza wcale do jakichkolwiek stosunków ze mną, bojąc się „wpływu“ mego. Obecny przyjazd stryjenki Kazimierzowej z córkami jest wyrazem połowicznego kompromisu między wymogami względów familijnych, wymagającymi wizyty w Bohdaniszkach, gdy się jest w tych stronach, z niechęcią do mnie i do tej „zdrady“, którą, w przekonaniu stryja, stanowią moje ideały i moje czyny. Dwie starsze Römerówny, Renia (Irena) i Jola (Jolanta) są ładne, bardzo dobrze ułożone, mają dużo wdzięku i taktu życiowego. Wychowanie ich jest bardzo staranne i stylowe – w stylu babek i prababek tradycji polsko-szlacheckiej; są bardzo skromne, powściągliwe, bardzo religijne, co nie przeszkadza im być wesołymi i energicznymi. Są one doskonałym odbiciem wzorów tradycji czystej, wolnej od jakichkolwiek domieszek modernizmu. Renia podobała mi się na razie więcej od Joli, bo choć jest mniej na oko efektowna, cichsza, bardziej skupiona w sobie, jednak wydała mi się głębszą, szczerszą i serdeczniejszą od siostry. Stopniowo wszakże Jola przerosła w moich oczach Renię. Głównie mię śpiew Joli do niej przekonał. Ma śliczny głęboki głos, kontralto, bardzo rzadki, przepiękny zwłaszcza do słów tragicznych. Jola jest bardziej wyrazista od Reni, indywidualna, ekspansywna, natura bogata i niewątpliwie głęboka. Jola ma dużo typu Römerowskiego, w wyrazie i śpiewie przypomina mi nieraz stryja Kazimierza, z profilu zaś twarzy i rozmaitych szczegółów przelotnych przypomina mi też Helę Ochenkowską. Trzecia – Marynia – jest bardzo brzydka z twarzy i figury. Ma lat 19, a wygląda na 16-letnią. Jest wszakże wychowana jak siostry i jest dzielna, gospodarna, ma dobrą głowę i dobre serce. Wieczorem przyjechali Zysiowie Komorowscy na noc do nas, by jutro razem wybrać się na pogrzeb p. Antoniego Weyssenhoffa.

8 (21) sierpień, rok 1913, czwartek
Byliśmy na pogrzebie, właściwie przeniesieniu zwłok, zmarłego na początku roku śp. pana Antoniego Weyssenhoffa. Umarł on w Łukini, majątku szwagra swego, p. Franciszka Kończy, i tam był czasowo pochowany. Zwłoki jego teraz przewiezione zostały przez Wiłkomierz, Onikszty, końmi do Pokrewnia, dokąd dziś przyszły i tu złożone do grobów rodzinnych w lasku przy samym dworze. W Krewnie odbyły się wpierw egzekwie i msza żałobna, a potem pogrzeb w Pokrewniu. Zwłok do Krewna nie wożono wcale. Zjazd sąsiedztwa ziemiańskiego był dość liczny. Z najbliższej rodziny była naturalnie wdowa, pani Paulina Weyssenhoffowa, następnie siostra zmarłego, stara p. marszałkowa Biegańska, jej córka – p. Francuzowiczowa, synowiec zmarłego, p. Jan Weyssenhoff z synem Henrykiem; z rodziny dalszej i sąsiedztwa byli: Weyssenhoffowie z Tarnowa, Walunio, Józef, p. Melunia Sołtanowa, Hania Sołtanówna, dzieci, dalej oboje Komorowscy z Kowaliszek, z Gaczan Piotr Rosen i p. Anna Pisaniowa, z Antuzowa panny Elżbieta i Helena Roppówny, z Bohdaniszek Papa, ja i dwie starsze Römerówny janopolskie – Renia i Jola, wreszcie księża – proboszcz krewieński Kuszłejko i proboszcz jużyncki Romunas. Ziemiaństwo uczciło solidarnie pamięć jednego ze swoich, który, mimo że był zawsze człowiekiem biernym i nieczynnym, jednak wierny był przez całe życie tradycjom i ideałom naszej szlachty ziemiańskiej. Tę też cechę nieboszczyka podniósł w swej mowie pożegnalnej jako zasługę Walunio Weyssenhoff. Mowa ta, wygłoszona z rękopisu, miała formę piękną, odwołującą się do dawnych powstańczych ideałów szlachty i do tej przeszłości, kiedy rody szlacheckie tworzyły u nas dzieje i streszczały w sobie prawa i obowiązki obywatelskie. Tak oto teraz ich potomkowie, żegnając jednego z tychże potomków, w społeczeństwie, którego budowa coraz dalej odbiega od tych dawnych wzorów, wpatrzeni tęsknie w przeszłość, gorąco jej ideału wzywali, pojąc się pamięcią świetnych blasków swego zachodu, który w chwilach takich jeszcze się im ich południem wydaje. Przemawiał też ks. Kuszłejko, po polsku i po litewsku, w ciężkiej formie, ale

serdecznie, akcentując społeczny pierwiastek solidarności i moralny braterstwa – ludu z tym panem, który był jego sąsiadem i współobywatelem. Po pogrzebie był suty obiad i długo jeszcze potem, aż do samego niemal zachodu, całe towarzystwo bawiło się rozmową na werandzie. Rozmawiałem przeważnie z p. Janem Weyssenhoffem z gub. mohylowskiej, człowiekiem bardzo miłym, gadułą niewyczerpanym. Potem wszyscy się jednocześnie rozjechali. Były cztery czwórki w zaprzęgu – gaczańska, tarnowska, kowaliska i bohdaniska.

9 (22) sierpnia, rok 1913, piątek
Rano wyjechała stryjenka Kazimierzowa z córkami na kolej, a zaraz też wyjechali Zysiowie Komorowscy do Kowaliszek.
Miałem przykrość. Przyszedł list od Eugeniusza Römera do Papy. Eugeniusz w imieniu Reginy upomina się o alimenty ode mnie; skarży się, że od grudnia przestałem rzekomo płacić Reginie i grozi ewentualnym dochodzeniem sądowym. W istocie płacić nie przestałem i jeszcze niedawno temu, w czerwcu, wpłaciłem rb. 70 na imię Reginy, ale rzeczywiście ostatnie wypłaty moje były stosunkowo mniejsze, niż płaciłem poprzednio. W jesieni roku 1910, po sądzie rodzinnym, który zlikwidował mój zatarg osobisty z Eugeniuszem, stanął między Eugeniuszem, jako przedstawicielem Reginy, a mną w obecności i przy udziale Papy układ, którego mocą ja się zobowiązałem wypłacać Reginie alimenty w kwocie rb. 50 miesięcznie. Układ ten miał być tymczasowy. Na moje i Papy przedstawienie, że chcielibyśmy, aby Francuzka, panna Eliza Courtôt, była usunięta od wpływu na dziecko i że byłoby ewentualne pożądane, aby Regina zamieszkała z dzieckiem czy to u swej matki, czy np. u Stryjenki Bolesławowej, Eugeniusz odrzekł, że kwestii tej kategorycznie stawiać w postaci żądania niepodobna, ale że on sam spodziewa się, że z czasem, może tam od wiosny przyszłej, dojdzie istotnie do tego, że Regina czy zamieszka w Stryjenki Bolesławowej, czy jakoś inaczej się urządzi i że wtedy zasady układu mogą się zmienić. Stanęło na tym, że układ w każdym razie będzie obowiązywać do lata, a potem zobaczymy, co dalej, jeżeli będą podstawy do zmienienia go. Jakoż na wiosnę r. 1911 Regina przeniosła się na mieszkanie z Wilna do miasteczka Cytowian, gdzie dzierżawi domek od Eugeniusza. Uważaliśmy z Papą, że fakt ten zmienia podstawę układu, ponieważ życie na wsi będzie dla Reginy tańsze. W końcu r. 1911 Papa napisał do Eugeniusza o tym, nadmieniając, że nastały warunki do rewizji układu, który miał obowiązywać do lipca 1911. Eugeniusz odpisał, grożąc sądem i nie chcąc nic słyszeć w zmianie układu. Na tym się urwało. Ja zaś w r. 1912 zacząłem płacić już mniej akuratnie niż dotąd, biorąc ± za normę po rb. 35 miesięcznie. Liczyliśmy z Papą, że na wsi to Reginie wystarczy przy rb. 600 rocznie, które ma od matki, w stosunku do tego, co miała w Wilnie. Jak należy teraz postąpić wobec wystąpienia Eugeniusza? Dopuścić do procesu sądowego – byłby to skandal głośny i niezmiernie przykry bez względu na rezultat. Uradziliśmy na razie z Papą – wznowić płacenie po rb. 50 na podstawie starego układu. Przychodzi mi wszakże na myśl, że należałoby może zaproponować Eugeniuszowi rewizję układu i zdanie sprawy na decyzję trzeciej osoby.

10 (23) sierpnia, rok 1913, sobota
Po całym szeregu dni spędzonych wśród gości, którzy albo u nas byli, albo my do nich jeździliśmy (bo i wczoraj byli goście po obiedzie, mianowicie p. Paulina Antoniowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia i p. Jan Weyssenhoff z synem), dziś wreszcie cisza domowa zaległa Bohdaniszki. Jest to mój ostatni dzień w Bohdaniszkach. Kończą się moje wakacje i jutro już do Wilna wracam. Rano wyjechał do Wilna Papa. Zostaliśmy tylko Mama, Ewa (Helcia), Mademoiselle Jeanne i ja. Rad byłem z tego spokoju, który

zapanował. Goście mię najczęściej nużą, zwłaszcza tacy goście mniej lub więcej etykietalni z kół ziemiańskich.
Spisywałem dla Mamy rachunki z administracji Wiązowca w I półroczu roku 1913. To mi zajęło większą część czasu.
Dzień ten mi upłynął głównie pod wrażeniem Mademoiselle Jeanne. Podoba mi się ona i zdaje się, że jest także pod moim wrażeniem. Przez czas, gdy byli goście, mało się z nią stykałem. Jest ona bowiem nieśmiała i nie umie gawędzić i prowadzić jakąś rozmowę ciągłą. Zwykle tylko przy kartach lub w toku jakiejś gry daje ujście swemu weselu, sprytowi, dowcipowi, toteż zawsze ma wielką ochotę do gier i zabaw. W rozmowie zaś detonuje się, traci wątek myśli, odpowiada lub pyta słowami urywanymi, w ogóle nie posiada ekspansji i swobody. Gdy jest z Ewą lub w ogóle wśród kilku osób, to jeszcze jakoś jej raźniej idzie, ale sam na sam – ani rusz. Miła to jest dziewczyna, pełna życia, a jednocześnie ma dużo taktu, dużo wyrobienia i obowiązkowości. 17-letnia młodość i ładna twarzyczka oraz świeżość całej jej natury psychicznej – stanowią główny jej urok. Przez cały ranek aż do obiadu Mademoiselle Jeanne siedziała sama jedna w wielkim pokoju na górze, dokąd się od paru dni z Ewą przeniosła. Ewy nie było w domu – pojechała do Abel. Ja siedziałem przy Mamie na dole i pisałem rachunki. Mademoiselle Jeanne nie siedziała z nami, bo obecność Mamy ją onieśmiela. Kilkakroć pod rozmaitymi pretekstami zachodziłem do niej i trochę rozmawiałem. Wszakże siedzenie ze mną we dwoje tropiło ją, a rozmowy nawiązać nie udawało się. Mademoiselle pisała listy i swój dzienniczek, który ja niby chciałem przejrzeć, ona zaś mi go nie dawała i broniła się z przejęciem. Na obiad wróciła Ewa. Po obiedzie musiałem kontynuować rachunki. Wpadłem wszakże do Ewy i Mademoiselle na górę i tam u nich kawę poobiednią wypiłem. Ewa malowała, Mademoiselle siedziała na uboczu. Wiedziałem, że pragnie zagrać w karty, ale wstydziła się zaproponować. Karty przyniosła na górę, parę razy brała talię do rąk; ja nie proponowałem gry umyślnie, żeby ją podrażnić. Rozmawiałem trochę, żartowałem. Mademoiselle się tropiła i była sama zła na siebie za to, że nie umiała panować nad sobą i przezwyciężyć skrępowania. Zaczęła się dąsać, dostała złego humoru, kaprysiła, a im bardziej się dąsała, tym bardziej była zła na siebie. Umyślnie ją drażniłem z lekka i wreszcie, wychodząc, dałem jej leciutko do zrozumienia, że jest niegrzeczna i że oczywiście chce mnie się pozbyć. Mademoiselle po wyjściu moim była znerwowana i płakała nawet. Zły humor przeszedł w przygnębienie. Gdy zeszła na podwieczorek i potem przewracała z Ewą siano na trawniku, była smutna, milcząca i ponura jak noc, że aż uwagę Mamy zwróciła. Miałem dziś na nocny pociąg wyjechać, ale postanowiłem zostać do jutra dla Madmeisolle Jeanne, żeby mieć przyjemność wypogodzenia jej humoru i zabawienia z nią wieczora w zgodzie i pogodnym nastroju. Wiem bowiem, że u dziewczątek takich po przygnębieniu i humorach nastaje prześliczna pogoda, pełna wesela pomieszanego z odcieniem rzewnej tęsknoty i że są one wtedy jak kwiaty wydające najintensywniejszą przecudną woń, na jaką je stać podług ich natury. Tak też było w istocie. Poszedłem do Mademoiselle Jeanne, przewracającej siano na trawniku, posępnej i na głucho zamkniętej w owym przygnębieniu, pogłaskałem ją kilku ciepłymi słowami, zaprawiłem serdeczność żartobliwością, powiedziałem, że zostaję i zaproponowałem pójść wieczorem po kolacji rozpalić ognisko w Gaju lub ogrodzie. Zaczęła się dziewczyna rozkrochmalać i rozwijać humorek pogodny jak kwiatek swe listki. Przy kolacji była już pogodniejsza, choć cicha. Efekt był zupełny, jakiego pragnąłem. Rzewna tęsknota jak chmurki leciutkie, ustępujące na krańce horyzontu po burzy, prześwietlone słońcem, kojarzyła się z iskrzejącym w oku weselem. Po kolacji, nic nie mówiąc Mamie, poszliśmy z Mademoiselle i Ewą do Gaju; wzięliśmy słomy, nakopaliśmy kartofli i przez ciemny Gaj wyszliśmy na Monticul, gdzie rozpaliliśmy

piękne ognisko. Na tle czarnej nocy efekt był bardzo piękny, a Mademoiselle Jeanne była ucieszona i rzewna, a zawsze wstydliwa. Koło godz. 11 wróciliśmy do domu i Mademoiselle Jeanne zaproponowała jeszcze zagrać w karty na górze w ich pokoju sypialnym. Graliśmy aż do godz. 1 w nocy w gry dziecinne – byliśmy rozbawieni i weseli.

11 (24) sierpnia, rok 1913, niedziela
Południowym pociągiem wyjechałem przez Abele do Wilna. Wysiedziałem się w tym roku w Bohdaniszkach długo, przeszło miesiąc. Pożegnanie nie było ciężkie. Wprawdzie Mademoiselle Jeanne robiła na mnie wrażenie, ale ani z jej, ani z mojej strony nie było uczucia głębszego. Nie była to nawet miłostka. Poza wrażenia stosunek ten nie przekroczył i w niczym nie zmienił ani dotknął miłości dla Anny. Chłonąłem przyjemność wrażeń dostarczanych mi przez stosunek z Mademoiselle Jeanne tak, jakbym się bawił widokiem czy w ogóle czymś pięknym i miłym. Wrażenia te były czyste, dalekie od jakiejś zmysłowości świadomej, dalekie też od głębokich uczuć miłości. Naturalnie, że wrażenie sprawione przez kobietę jest z natury inne, niż wrażenia pięknych widoków przyrody, ale bądź co bądź nie jest ono identyczne z miłością i w moim charakterze przynajmniej – daje się ono umieścić równolegle do miłości innej kobiety, nie rujnując bynajmniej takowej. Milutka Mademoiselle Jeanne nie zrobiła konkurencji Annie, która jest zawsze moją, jedyną i kochaną.
Upał miałem w drodze okropny. Wagony były przepełnione. Spotkałem się w drodze z p. Józefem Drewnowskim, administratorem rakiskim. Spędziłem z nim parę godzin w Kałkunach na rozmowie. P. Drewnowski poruszył znów temat, który coraz częściej w tych latach moi sąsiedzi bohdaniscy wobec mnie poruszają – w sprawie objęcia przeze mnie Bohdaniszek. Najgorliwiej w tym kierunku gada, a nawet stara się po trochę oddziaływać Zygmunt Komorowski, o tym samym mówi Piotr Rosen, a teraz i Drewnowski. Uważają oni, że należałoby mi już osiąść w Bohdaniszkach i objąć gospodarkę, bo już czas po temu, gdyż im dalej, tym będę starszy i tym trudniej będzie bez wprawy zaczynać pracę zupełnie dla mnie nową, a Papie czas się już usunąć, bo jest coraz starszy i coraz mniej ma sił. Za lat kilka z pewnością sprawa ta stanie się coraz bardziej aktualną, bo starość Papy postępuje i znaczy ślady na siłach Jego. Co i jak będzie dalej – tego nie mogę przewidzieć. Tymczasem wszakże projekty takie są niewykonalne. Nie tylko dlatego, że Papa sam nie życzy się usuwać i nawet przeciwnie – coraz twardziej się trzyma zarządu Bohdaniszek i mnie jak najmniej wtajemnicza i wciąga do swej pracy, jakby się obawiając konkurencji mojej, ale też dlatego, że ja sam teraz w tych warunkach nie chcę tego. Dziś, gdybym miał otrzymać Bohdaniszki, miałbym wielką ochotę pracować na nich. Jeżeli je otrzymam po latach kilkunastu czy dwudziestu, mając lat 50, to już może rozpoczynać gospodarstwa nie zechcę, bo będę za stary. Ale wobec charakteru arbitralnego Papy i wobec stosunku naszego, który mię zawsze onieśmiela, gospodarzyć na Bohdaniszkach przy Papie – nie chce i po prostu nie mogę. Musiałbym być bowiem chyba tylko pionkiem uległym, ekonomem, ślepo wypełniającym rozkazy Papy i nic nadto. Inicjatywy nie miałbym żadnej, praca byłaby tylko niewolnicza.

12 (25) sierpnia, rok 1913, poniedziałek
Cały dzień zeszedł mi na załatwianiu pilnych spraw, które się przez czas wakacji nagromadziły. Korespondencja, podania, studiowanie kwestii prawnych – zajęły calutki dzień siedzenia przy biurku. Z domu tylko na krótko wyszedłem, i to w interesach. Czekam bardzo listu od Anny i obawiam się, że tymczasem list jej przyjdzie do Bohdaniszek, bo mogła za późno otrzymać wiadomość o moim wyjeździe do Wilna.

Nie wiem, na kiedy mogę się spodziewać jej przyjazdu, jeżeli weźmie udział w krasienińskiej wycieczce do Krakowa i Zakopanego. Pragnę dla niej tej wycieczki, ale nie rozumiem, w jaki sposób za rb. 15 można tyle podróżować – choćby w wycieczce zbiorowej. Chyba że w Galicji wycieczka będzie miała darmowy przejazd na kolejach i wszędzie darmową gościnę i utrzymanie. Sam paszport zagraniczny kosztuje przeszło rb. 15. Ciekaw jestem bardzo wieści od Anny. Napisałem dziś do niej, zachęcając ją raz jeszcze do udziału w wycieczce i rozpytując o wszystkim.
Wiadomości wileńskich żadnych jeszcze prawie nie mam, bo prawie z nikim się nie widziałem. Dowiedziałem się tylko, że między Mańkowskim a Hertzem pojedynek się odbył – szopka właściwie, bez żadnych konsekwencji, że dalej dr Sumorok organizuje już podobno spółkę wydawniczą „Kuriera Krajowego" – i nic ciekawego poza tym. W sprawie wyborów miejskich – zdaje się nic nowego: sytuacja ta sama, komitet „bezpartyjny" jeszcze właściwie nie działa.

13 (26) sierpnia, rok 1913, wtorek
Napisałem dla „Kuriera Krajowego" artykulik z wrażeń wsi. Bynajmniej wszakże nie z „nastrojów wiejskich", nie zachwyty nad przyrodą lub rozkoszą wczasów wakacyjnych – o nie. Zamierzam w kilku artykulikach ująć aktualne zagadnienia gospodarczo-społeczne naszej wsi włościańskiej, przede wszystkim zaś sprawę podziału wiosek z szachownicą sznurową na skomasowane zaścianki, następnie sprawę kooperacji i zwłaszcza kółek rolniczych i może coś jeszcze z dziedziny zbiorowego życia kulturalnego w stosunkach włościańskich. W dzisiejszym artykuliku omówiłem sprawę komasacyjną. W popularnym dzienniczku ogólnopolitycznym kwestie ekonomiczno-społeczne nie bardzo się nadają do głębszego omawiania. Publiczność żąda od takiego dziennika przede wszystkim łatwej strawy informacyjnej na tematy rozmaitych wydarzeń oraz polityki. Nawet artykuły polityczne, o ile nie dotyczą jakiejś jaskrawej i sensacyjnej aktualności, a mają charakter bardziej zasadniczy, są już trochę dla takiego pisma za ciężkie, a cóż dopiero zagadnienia ekonomiczno-społeczne, które, będąc nawet najbardziej aktualne i żywotne, są rzeczą ciągłą i nie mającą charakteru sensacji. Tęsknię bardzo do powstania w Wilnie specjalnego pisma ekonomicznego. Projektowany na wiosnę przez Stadziewicza, Żukowskiego i innych „Informator Handlowo-Przemysłowy" (nie jestem zupełnie pewny tego tytułu), do którego też dłuższy artykuł dałem, dotąd się nie ukazał. Stadziewicz zapewnia, że wkrótce się już numer pisma tego ukaże, ale czy się utrzyma na stałe, czy nie będzie tylko jedną z licznych prób fajerwerkowych. Bardzo chętnie wszedłbym do redakcji takiego pisma, a może nawet objąłbym kierownictwo. Poza publicystyką społeczno-ekonomiczną, potrzebny też byłby jakiś zespół ludzi interesujących się zagadnieniami tej kategorii i chcących udzielić nieco pracy sprawie poznania stosunków i potrzeb ekonomicznego rozwoju kraju. Niewątpliwie, że takie grono ludzi, gdyby się zrzeszyło i zorganizowało swą pracę, mogłoby nie tylko dużo zdziałać w kierunku czysto statystycznym, ale i wywierać wpływ dodatni na kierunek rozwoju na przyszłość, dostarczając ruchowi ekonomicznemu sprawdzianów i dodając nieraz bodźca lub nawet czynnej pomocy, organizując opinię itd. Latem powstało istotnie w Wilnie towarzystwo ekonomiczne, które ma takie właśnie zadania, ale, jak dotąd, wnosząc z inicjatorów jego, wydaje mi się niewyraźnym i bodaj czy nie piastującym jakieś cele uboczne osobiste czy klasowe. W każdym więc razie, zachowam wobec towarzystwa tego rezerwę, nie przestając mieć nań zwróconą baczną uwagę.
Nocnym pociągiem wyjechałem z Wilna do Radoszkowicz. Jadę do Wiązowca.

14 (27) sierpnia, rok 1913, środa

Wagony III klasy pociągu mińskiego tak były przepełnione, że nie tylko spać, ale nawet siedzieć nie było miejsca. Musiałem więc w drodze dopłacić do I klasy, żeby mieć wypoczynek. Istotnie pospałem trochę, ale za to nawiało mi w głowę ciągiem od okna, tak że gdy przyjechałem koło godz. 6 rano do Radoszkowicz, byłem niewyspany o głowa mię boleć zaczynała. Furmankę do Wiązowca musiałem nająć, bo koń mój poprzedni, Prym, sprzedany, a nowego jeszcze nie kupiłem. Koło południa dojechałem wreszcie do mojej kochanej leśniczówki, do której się bardzo przywiązałem i w której pobyt sprawia mi zawsze wielką przyjemność. W lesie teraz cicho, nic się nie robi. Dopiero z kampanią jesienną ruch się ożywi. Przeszedłem się po lesie z Biesiekierskim, wysłuchałem relacji jego, ale byłem bardzo zmęczony i nie bardzo mogłem kombinować, a głowa mię bolała coraz bardziej. Toteż ledwo się doczekałem zmroku, by położyć się spać. W domu Hrynkiewicz tynkuje teraz ściany w pokoju Biesiekierskiego, Sawicz kończy wstawiać okiennice. Brysia zastałem bardzo wymizerowanego – podobno był chory, nic nie jadł, miał pysk wybrzękły.
Słońce złote sierpniowe zalewało blaskiem polankę, na której stoi moja leśniczówka Wiązowiecka. Czarne ściany lasu dokoła, żółknące listki brzózek na tle ciemnych barw sosny i jodły – sprawiały piękny widok, którym się napawałem, żałując, że nie mogę tu zabawić dłużej i że już jutro będę musiał znowu mój Wiązowiec opuścić. Z wielką chęcią zabawiłbym tu jakiś tydzień, zwłaszcza że po mokrym brzydkim lecie zaczyna się ustalać słoneczna piękna pogoda wczesnej jesieni. Ale muszę się spieszyć do Wilna, a wpierw jeszcze, jutro, muszę być w Radoszkowiczach, gdzie ma się odbyć wystawa włościańska i wieczorek białoruski, i gdzie myślę spróbować kupić konia, a potem muszę być jeszcze w Chełmicy u Kazia Wołodkowicza dla zabrania stamtąd Henrysia Wołłowicza i potem u naczelnika ziemskiego w okolicach Krewa.

15 (28) sierpnia, rok 1913, czwartek
Rano wyjechałem z Biesiekierskim z Wiązowca do miasteczka Radoszkowicz, gdzie cały dzień dzisiejszy spędziłem. Dziś, w święto Matki Boskiej, uroczystość w Radoszkowiczach niezwykła. Po pierwsze, święto wypadło we czwartek, to znaczy w dniu kiermaszu tygodniowego w miasteczku. Po drugie, w dniu tym wyznaczona była wystawa bydła włościańskiego i wyrobów ludowego przemysłu domowego. Wreszcie wieczorem miał się odbyć teatr amatorski w trzech językach (białoruskim, rosyjskim i polskim) oraz zabawa taneczna na rzecz miejscowej straży ochotniczej. Inicjatorem i duszą tak wystawy, jak teatru i wieczorka był naturalnie Własow. Dziwny człowiek – dość ociężały, leniwy, ale razem dzielny i ruchliwy. Oczywiście ociężałość i lenistwo są w nim tylko pozorne. Większą część roku spędza on teraz w okolicach Radoszkowicz, w swoim folwareczku Migówce. Do Wilna wpada tylko dla pchnięcia numeru swego białoruskiego pisma rolniczego „Sacha“. Na wsi Migówka jest mu tylko punktem oparcia. Wprawdzie i nią się zajmuje i ma ciągle pomysły rozmaite, które uskutecznia, zakłada u siebie ogród owocowy, ma szkółkę drzewek szczepionych, zabiera się do stawienia will dla letników, na co ode mnie kupił drzewo, dokupuje ziemię do folwareczku swego, ale nie gospodarzy sam. Żyje po spartańsku – herbatą, chlebem, masłem, mlekiem, gotuje sobie sam na maszynce, poza tym siedzi większą część czasu albo w Radoszkowiczach, albo u szwagra swego bogatego ziemianina Snitki, albo rozjeżdża na rowerze po wsiach dokoła. W śpiącym środowisku głębokiej prowincji, gdzie życie się wlecze leniwie i gdzie ludzie, nie wyłączając tym bardziej inteligentów, są ospali i ledwie własnymi sprawami się zajmują, a już do jakichś wysiłków zbiorowych nigdy się sami nie zabiorą, wnosi Własow pełną garścią zaczyn inicjatywy i organizacji. Zrzesza ludzi, stwarza zawiązki działalności zbiorowej, szerzy czytelnictwo wśród ludu i budzi postęp gospodarzy, analizuje warunki rozwoju społecznego i stanu

ekonomicznego, krzewi ruch białoruski, raczej miłość do kraju i pierwiastków kultury swojskiej itd. Działalność jego, która ma cechy eposu, nie jest pozbawiona pierwiastka romantycznego. Ale romantyzm to zupełnie swoisty, nie mający nic wspólnego z donkiszoterią czy tragicznym bajronizmem wielu ubiegłego. Własow jest pozytywistą, który ruch i postęp społeczny opiera na elementach pracy i kultury, budując takowy od podstaw na zasadach trzeźwości i rachunku; ale pozytywizm jego nie ma w sobie bezpłciowego racjonalizmu – jest on zaprawiony osobliwą liryką miłości kraju i wyczucia wszystkich właściwości indywidualnych kultury i umysłowości ludu. Ale wracam do opisu dnia dzisiejszego. Na rynku szukałem konia do nabycia, ale nie znalazłszy nikogo pewnego, który, znając się na koniach, mógłby mi dopomóc bezinteresownie w wyborze takowego, ograniczyłem się na parokrotnym przejściu się po rynku i tylko powierzchownym obejrzeniu koni. Ani ja, ani Biesiekierski nie bardzo się znamy na koniach. Toteż zaniechałem zupełnie projektu kupna. Młode i ładne koniki, które bym może kupił, były szalenie drogie, poza tym zaś same szkapy. Zresztą samo przyglądanie się ruchowi kiermaszowemu bawiło mię jako obrazek sam w sobie charakterystyczny. Flegmatyczni łagodni Białorusini nie mają wielkiego ognia kiermaszowego i nie mają też temperamentu handlarskiego, który u innych ludów przeradza się na kiermaszach w szczególną namiętność. Tu handel idzie bez zapału, a jeżeli się temperamenty na kiermaszach uwydatniają, to nie w targu, lecz w pijaństwie lub kłótniach, a wtedy są Białorusini bardzo charakterystyczni, pełni animuszu i jakiejś nawet werwy staroszlacheckiej, która czy nie z tradycji sejmikowych szlachty do ludu tego jakoś się wsączyła. Na tzw. wystawę zachodziłem parokrotnie, ale nie bardzo było na co patrzeć. Kilka, może dziesiątek buhajów rasowych, przyprowadzonych przez włościan, wyczerpywało całą wystawę bydła. W dziele wyrobów ludowych było trochę tkanin, rozwieszonych na płocie przy szkole. Widać było brak systematyczności i organizacji w zbieraniu eksponatów; co przyniosło i powiesiło przygodnie kilka bab – to stanowiło całą wystawę. Tkaniny były dość pospolite i niezbyt ciekawe. Ani obfitością wzorów i ornamentyki, ani gustownością, ani wykonaniem technicznym, ani wyrazistością jakiegoś stylu indywidualnego – nie mogły się one ani w dalekim przybliżeniu porównać do wyrobów tkackich ludu litewskiego. Poza tym, był na wystawie model domu, wykonany z wojłoku przez Żydka jakiegoś, oryginalny i ładny, ale nie tworzący jakiegoś typu przemysłu domowego – utwór zupełnie osobisty, pojedynczy unikat i bez określonego użytku. Wystawa ta była zorganizowana przez Własowa pod firmą zdaje się, Wil. Towarzystwa Rolniczego. Wydano włościankom nagrody pieniężne za niektóre tkaniny, co może zachęci je do liczniejszego udziału w wystawie następnej i do staranniejszego wykonywania roboty tkackiej w celu rywalizacji. Nic dziwnego, że wystawa ta była dość słaba. Są to dopiero początki, pierwsze próby działania w tym kierunku w tych stronach. Włościanie stosują się do tych usiłowań dość sceptycznie, nie rozumieją znaczenia, organizatorowie zaś nie mają jeszcze rutyny i nie mają dróg do gromadzenia zbiorów. Toteż wysiłki takie na razie nie mogą dać rezultatów świetnych, ale już są dodatnim zapoczątkowaniem. Nudziłem się długo, czekając wieczora – teatru amatorskiego. Siedziałem u Mowszy Pederskiego, czytałem, zjadłem obiad, piłem herbatę, przechadzałem się po rynku. Dopiero koło godz. 8 teatr się rozpoczął – w szopie straży ochotniczej. Pomimo że miejsca były drogie (siedzące – od rb. 3 i najtaniej do rb. 1, stojące zaś – po kop. 50), szopa była przepełniona i wszystkie miejsca wyprzedane. Publiczność składała się z mieszczan radoszkowickich, z Żydów, z drobnej szlachty, to znaczy rozmaitych dzierżawców, posesorów, właściciel folwarczków i zaścianków, dalej z włościan (tych było względnie mniej), trochę urzędników i zaledwie kilku ziemian (Rosjanin Snitko z rodziną, Kazio Wołodkowicz). Przeważał więc element średni – półinteligencki. Odegrano trzy sztuki

– jedną krótką i najgorzej odegraną rosyjską, potem dwuaktową charakterystyczną bardzo dobrą sztukę białoruską z życia drobnej szlachty „Paulinka“, utwór Janka Kupały, obecnego na wieczorku i entuzjastycznie witanego, wreszcie jednoaktową bezbarwną, ale bardzo śmieszną i z werwą zagraną farsą polską „Chrapanie z rozkazu“. Inicjatorowie dali dowód taktu, wprowadzając do programu sztuki polską obok białoruskiej i obowiązkowej rosyjskiej. Przez to uwzględnili słusznie i uszanowali element polski jako jeden z miejscowych i dali wyraz harmonii współżycia i zgody. Zaś sztuka białoruska, jako równoległa do polskiej i do rosyjskiej, akcentowała równoległość, a przeto odrębność języka i narodowości białoruskiej. Przeważający charakter wieczorku był przecie białoruski. Z zapałem tańczono narodową „lawonichę“, były śpiewy i były stroje białoruskie. W teatrze brał udział stały białoruski zespół amatorski z Mińska – z wielkim talentem. Podczas teatru Kazio Wołodkowicz otrzymał depeszę od Ludwisia o śmierci Ceni Ludwisiowej Wołodkowiczowej. Kazio przypuszcza, że to było samobójstwo. Pogrzeb odbędzie się w Radoszkowiczach.

16 (29) sierpnia, rok 1913, piątek
Zanocowałem po wieczorku wczorajszym w Radoszkowiczach. O godz.7 rano już wstałem i pojechałem na kolej. Omal że się nie spóźniłem na pociąg. Jechałem szkapą tak nędzną, że mimo najgorętszych usiłowań woźnicy, niepodobna było zachęcić jej do biegu. Woźnica upewniał zresztą, że czasu jest dość. Gdyśmy wszakże podjeżdżali dopiero do szlagbaumu przy stacji, zobaczyliśmy już pociąg mój stojący. Schwyciłem jedną walizkę, woźnica drugą i pędem pobiegłem do pociągu po torze na wprost lokomotywy. Gdym dobiegał do lokomotywy, pociąg już ruszał. Wskoczyłem do idącego już pociągu i w ten sposób wyjechałem, inaczej zaś musiałbym czekać do nocy albo do nazajutrz rano. Jechałem do stacji Listopady w powiecie oszmiańskim Kolei Siedlecko-Bołogowskiej w interesie do miejscowego naczelnika ziemskiego. Z Mołodeczna więc musiałem zawrócić w kierunku Lidy i przesiąść do pociągu siedleckiego. Listopady – to druga stacja od Mołodeczna, pierwsza zaś – to Połoczany. Tor kolejowy z Mołodeczna do Połoczan przechodzi tuż przy folwarku Puzele, należącym do Dederków i do pani Gawrońskiej, Dederkówny z domu (w roku zeszłym folwark ten został już przez nich sprzedany). Puzele są dla mnie pamiątkowe przez pobyt w nich Anny przed dwoma laty. Tu ją wtedy przywiozłem i zalokowałem na lato u p. Gawrońskiej zaraz po wyrwaniu jej z tej ohydy na Bakszcie. Tam ją jeszcze raz potem odwiedziłem. Żywo mi w pamięci przetrwały wszystkie szczegóły jazdy z Anną do Puzel, moich i jej trosk, mojego niepokoju itd. Wspomnienia te przywarły do Puzel i choć dużo mieszczą w sobie goryczy, są jednak drogie dla mnie, bo sięgają źródeł naszego stosunku z Anną, który się później tak utrwalił i tak nas skojarzył na zawsze. I choć pobyt Anny w Puzelach był dla niej przykry i pozostał w jej pamięci jako coś gorzkiego, to jednak same Puzele dla mnie mają dziwny urok rzeczy pamiątkowej, jakby przechowującej w sobie cząstkę duszy mojej w genetycznym rozwoju najdroższej dla mnie epopei życia mego: są one żywą pamiątką Anny. Toteż ze wzruszeniem patrzałem z okien wagonu, odtwarzając wzdłuż drogi wspomnienia moje. Gdy wreszcie pociąg mijał Puzele, przecinał drogę, którą jechaliśmy furmaneczką z Anną, mijał lasek, dokądeśmy na spacer chodzili i budkę stróża kolejowego, gdzieśmy pili mleko i gdzie świnka się pasła, wszystko mi żywo w pamięci stawało. Oto widać dworek, oto tu stała przy plancie Anna z panią Gawrońską, żegnając mię i machając chustką, gdym zostawiwszy ją odjeżdżał... Pobłogosławiłem sercem wdzięcznym i rzewnym – Puzelom, które w szeregu innych współczynników piastowały kolebką naszego związku.

Z Listopadów nająłem furmankę do majątku Bohdanowa, siedziby naczelnika ziemskiego. Wiózł mię włościanin-Białorusin, człowiek miły, z którym gawędziłem w drodze. Brak tu jeszcze u włościan świadomości narodowej, a co gorsza – nawet typowa tradycyjna świadomość „tutejszości“ zdaje się po trochę zanikać i podział wyznaniowy na katolików i prawosławnych zaczyna się chwiać pod wpływem uproszczonych pojęć z bałamutnej terminologii – „ruski“ język, „ruski“ naród. Dużo elementów w kulturze dzieli lud białoruski od rosyjskiego, ale nie ulega wątpliwości, że jednak do umysłów włościan przesącza się wpływ niwelacyjny pojęć narodowych rosyjskich i że świadomość odrębności nie tylko że nie wzrasta powszechnie, ale w wielu miejscach słabnie i zanika. Dopóki są realne elementy odrębności, dopóty oczywiście odrębność ta obiektywnie istnieć będzie, choćby nie była powszechnie uświadomiona, a przy zmianie warunków uwydatni się ona jeszcze w całej budowie życia, lecz tymczasem świadomość przeciwna, choćby obiektywnie błędna, nie pozostaje bez wpływu na całą w ogóle zmysłowość ludu. Tak oto mój dzisiejszy woźnica-Białorusin należał do kategorii tych włościan, których świadomość narodowa czy choćby „tutejsza“ zanika na rzecz szablonu ogólnorosyjskiego. To sprawiało na mnie przykre wrażenie, zwłaszcza tu, w pięknych okolicach historycznego Krewa, w tej cząstce Białej Rusi, w której wpływy zachodnie są bardzo wyraźne i żywe i która z kultury stanowczo o wiele jest bliższa Litwy, niż Rosji Moskiewskiej. Kraj to piękny, ziemia żyzna, uprawna, gleby wcale dobre, dobrobyt przeciętny widocznie wysoki. Miejscowość górzysta, widoki rozległe i przepięknie urozmaicone, dużo dworków i folwarków, wiele lasków dębowych, które stanowią ładną ozdobę i dodają wrażenia żyzności i bogactwa natury. Naczelnika ziemskiego nie zastałem, niestety, i ruszyłem dalej do Krewa, w którym byłem po raz pierwszy. Ruiny starożytnego zamku krewskiego sprawiły na mnie imponujące wrażenie. W samych wymiarach ich jest imponująca wielkość masy. Baszta zamkowa zachowana nieźle, w drugim rogu wieża ślepa dla zbrodniarzy upadnie. Dokoła w wydłużonym dużym czworoboku mur. Opisywać szczegółowo nie będę, bo nie ma miejsca i zresztą są opisy kompetentniejsze. Z Krewa wyjechałem na pociąg nocny końmi pocztowymi do Smorgoń.

17 (30) sierpnia, rok 1913, sobota
Koło godz. 6 rano przyjechałem do Wilna. Po dwóch nocach niedospanych byłem bardzo zmęczony i zupełnie niezdolny do pracy i do myślenia. Dzień się wlókł dla mnie długo i nudnie.
Otrzymałem krótki listek od Anny. Pisze, że jeszcze nie wie, kiedy wyjedzie z Krasieniankami na wycieczkę do Krakowa i Zakopanego, bo to zależeć będzie od przyjazdu panny Kosmowskiej, która dotąd jeszcze z Warszawy do Krasienina nie przyjechała. Wszakże wkrótce już, bo w tym tygodniu, p. Kosmowska ma przyjechać i wtedy data wyjazdu do Galicji zostanie określona. Nie wie też Anna, jak długo będzie trwała ta wycieczka; suponuje, że ze dwa tygodnie. Zapytuje mię wreszcie, co chcę, aby mi z Krakowa przywiozła. Listek Anny datowany 26 sierpnia nowego stylu. Jeszcze nieprędko się jej mogę spodziewać, a bardzo mi już tęskno do niej.
Nikt tu jeszcze w Wilnie nie wiedział o śmierci nagłej Ceni Ludwisiowej Wołodkowiczowej. Nikt z rodziny nie otrzymał zawiadomienia o tej śmierci, nikogo nie proszono na pogrzeb, nie było żadnych ogłoszeń w gazetach. Ja pierwszy przywiozłem tu tę wiadomość na podstawie depeszy, którą otrzymał przy mnie w Radoszkowiczach Kazio Wołodkowicz. Wszyscy się domyślają, że to było samobójstwo. Cenia była ekscentryczna, wykolejona, wspominała nieraz, że sobie życie odbierze. Szkoda kobiety młodej, ale właściwie miała życie zwichnięte i zapewne szczęśliwą by już nie była nigdy. Miała lat zapewne nie więcej nad 25-26. Za mąż wyszła bardzo młodo przed 8

laty, mając 17 czy 18 lat. Będąc podlotkiem, podkochiwała się w swoim kuzynie – Ludwisiu Wołodkowiczu jako studencie jeszcze. A że była panna posażna – Ludwiś, długo nie czekając, ożenił się z nią. Posag Ceni (rb. 80 000) posłużył Ludwisiowi za pierwszy szczebel do spekulacji, z których wyrosła obecna duża osobista fortuna Ludwisia. Posagu zresztą już Ceni nie oddał, zatrzymał go dla siebie. Cenię trzymał krótko, był mężem twardym i ciężkim. Samolub do szpiku kości, skąpiec, natura zimna i wyrachowana, a w gruncie łotr, nie cofający się przed żadnymi środkami i dbający wyłącznie o zachowanie wszystkich pozorów – oto sylwetka Ludwisia. Cenia była prawie dzieckiem. Miała narowy, charakter kapryśny i niezrównoważony, inteligencji niewiele. Kochać Ludwisia przestała prędko, ale się bała, jak gimnazistka swawolna boi się srogiego a nudnego profesora. Była piękna, silna, bardzo ładnie zbudowana, miała temperament samicy, pragnęła rozkoszy zmysłowej, słowem – była romansowa. Ludwiś jej nie zaspokajał. Miała z nim dwoje dzieci, jedno umarło, drugie, dziewczynka Anna (nazwana tak na cześć Nusi, w której się Ludwiś poprzednio podkochiwał) żyje. Cenia nie miała taktu. Lubiła flirciki z błaznami, z chłopcami kilkunastoletnimi, których podniecała i którzy ją podniecali, lubiła przygody romansowe, wszakże bez konsekwencji dalszych. Ludwiś naturalnie nie tolerował tego i Cenia musiała cichaczem i ukradkiem dogadzać sobie. W Mińsku, gdzie mieszkali, została naturalnie ogadywana przez złośliwe języki. Wreszcie przed dwoma laty zdobyła się na krok stanowczy. Wyjechała z Mińska, zostawiając męża i dziecko, i zamieszkała z bratem w Warszawie. Formalnie nie urwała z mężem, ale odmawiała wciąż powrotu i żądała, aby Ludwiś opuścił Mińsk. Życie jej było zwichnięte i wykolejone, do końca była piękna i romansowa. Co zaszło teraz i dlaczego umarła – nie wiadomo.

18 (31) sierpnia, rok 1913, niedziela
Pogoda śliczna, jak w pełni lata. We dnie upał, słońce świeci, noce ciepłe. Po brzydkim i mokrym czerwcu i lipcu – sierpień mamy niezwykle piękny i ciepły. Gdyby moja Anna była w Wilnie, z pewnością wybralibyśmy się w taką niedzielę gdzieś na wycieczkę zamiejską. Bez niej muszę siedzieć w mieście, bo cóż mi po jakichś spacerach czy rozrywkach samotnych. Gdybyż pogoda dotrwała do jej powrotu i gdybyż jesień była sucha! Korzystam za to teraz z czasu, który zażywać mogę swobodnie na pracę. Dużo mam zaległej roboty adwokackiej, a oprócz tego wieczorami chcę się zająć intensywniej pracą literacką. Prawie cały dzień przesiedziałem w domu. Oprócz wielu innych robot wykonanych, opracowałem też podanie do sądu o dopuszczenie mię do prowadzenia spraw cywilnych z załączeniem sprawozdania z dotychczasowej mojej działalności. Podanie te wniosę jutro. Obawiam się jednak, żeby sąd mi nie odmówił świadectwa żądanego, bo wykaz moich obron karnych jest bardzo szczupły. Do roku 1913 broniłem tylko po jednej sprawie rocznie i dopiero rok 1913 wykazuje większą ilość obron. Na otrzymaniu świadectwa tego bardzo mi zależy, nie tylko dlatego, że to mi da możność szerszej działalności zawodowej, ale też dlatego, że to będzie szczeblem do zaawansowania na adwokata przysięgłego, co już powinno wkrótce nastąpić.
Wieczorem, leniwie jeszcze, zacząłem się przygotowywać do mojej pracy o ustawodawstwie włościańskim w guberniach litewskich, którą chcę opracować w postaci artykułu dla warszawskiego pisma prawniczego „Themis Polska". Ułożyłem dziś tylko konspekt planu pracy.

19 sierpnia / 1 września, rok 1913, poniedziałek
Spotkałem się z Zasztowtem, który zainterpelował mię, co słychać z cenzusem moim dla wyborów do Rady Miejskiej. Pisałem z Bohdaniszek do Zasztowta, prosząc, aby

postarał się zobaczyć z Gordonem i jeszcze raz przypomnieć mu o obietnicy wystarania się o cenzus dla mnie. Zasztowt nie zdołał się zobaczyć z Gordonem. Wiem wszakże od Antoniego Łuckiewicza, że Gordon nic nie zrobił; widział się on z Antonim, ubolewał, że znaleźć cenzusu nie może, że za późno się do niego zwróciłem itd. Ja osobiście przypuszczam jednak, że Gordon może nie tylko nie mógł, ale może i nie bardzo chciał zapewnić mi cenzusu. Chociaż bowiem Żydzi w ogóle w sprawach politycznych, sprzyjają postępowcom i chętnie gotowi są ich poprzeć, to jednak w sprawach gospodarki miejskiej niekoniecznie są z nimi solidarni. Wiadomo, że w poprzedniej Radzie Miejskiej grupa żydowska (złożona z kilku radnych z nominacji spośród bogatych i wpływowych Żydów, bo radnych obieranych Żydzi nie mają) z Bunimowiczem na czele, popierała kierunek koncesyjny w gospodarce miejskiej przeciwko kierunkowi municypalnemu. Żydzi bowiem w koncesjach upatrują prawdopodobnie własny interes, gdyż jako element ruchliwy i przedsiębiorczy z pewnością by sami do rąk swych koncesje pobrali. Do tego przynajmniej dążą Żydzi bogaci, przemysłowcy, bo plebsu żydowskiego nikt w rachubę nie bierze. Owóż obecnie kampania wyborcza, w której czynne stanowisko zajęły elementy mniej lub więcej postępowe chrześcijańskie, toczy się pod znakiem municypalizacji gospodarki i urządzeń miejskich. Komitet wyborczy bezpartyjny, który się utworzył, zajął kategoryczne stanowisko municypalizacji i zrobił z niej kamień probierczy całej swojej platformy oraz listy kandydatów na radnych. Sądzę więc, że Gordon, który jest jednym z filarów przemysłowców żydowskich, pomimo swoich politycznych sympatii dla postępowców ze społeczeństwa chrześcijańskiego, nie bardzo się kwapi wzmacniać postępowy element w Radzie Miejskiej, wiedząc, że ten reprezentować tam będzie najkonsekwentniej i najdobitniej politykę municypalną przeciwko koncesyjnej. Powiedziałem Zasztowtowi, że na Gordona nie liczę, ale że skorzystam z cenzusu firmy Kalinowskiego i Przepiórkowskiego (warszawskiej fabryki tytoniu „Noblesse"). Cenzus ten jest zapewniony dla mnie. Zarządzający wileńskim oddziałem tej firmy, p. Gdowski, obiecał mi to załatwić. Choć co do tego cenzusu jako przemysłowego są pewne wątpliwości i komplikacje, mianowicie kwestia o tym, czy nie trzeba, korzystając z tego cenzusu i robiąc się fikcyjnie agentem przedsięwzięcia handlowego, opłacić osobnego podatku przemysłowego, a jeżeli tak, to czy to się daje pogodzić z adwokaturą moją, jednak po zasięgnięciu opinii osób kompetentnych i w szczególności adwokata Powołockiego, doszedłem do przekonania, że to się zrobić da i postanowiłem z cenzusu tego skorzystać, nie podnosząc wcale kwestii podatku przemysłowego. Jeden tylko Witold Abramowicz odradzał mi zawsze korzystanie z cenzusu tego i wmawiał, że to dla mnie, jako adwokata, niewykonalne. Witoldowi chodzi o zarezerwowanie cenzusu tego dla Turskiego. Mnie nie bardzo pragnie on widzieć radnym, Turskiego natomiast, który więcej ulega wpływowi Abramowicza, chciałby on przeforsować nie tylko do Rady, ale potem i do Zarządu Miejskiego. Witold nie zasypia gruszek w popiele i w kołach sympatyków postępowych agituje za Turskim i głosi, że cenzus firmy Kalinowskiego i Przepiórkowskiego przeznaczony jest dla Turskiego. Zasztowt się zdziwił, że ja na ten cenzus liczę, bo słyszał, że go bierze Turski. Dziwna jest trochę ta taktyka. Ja sobie ten cenzus wynalazłem, zapewniłem, a teraz mi go chcą zabrać dla Turskiego. Trzeba było im na własną rękę szukać i zatroszczyć się w porę, a nie sięgać po owoc moich zabiegów. Tak też Zasztowi powiedziałem, ale potem, gdym się nad tym zastanowił, doszedłem do przekonania, że w razie alternatywy należy mi ustąpić Turskiemu; dlaczego – o tym brak mi miejsca pisać.

20 sierpnia / 2 września, rok 1913, wtorek

Wczoraj wieczorem wrócił do Wilna z Bohdaniszek Stefuś, którego lekcje od dziś się zaczynają. Opowiadał, że dziewczynki (Ewa i Mademoiselle Jeanne) bardzo się nudzą w Bohdaniszkach i tęsknią już niezmiernie do powrotu do Wilna, że Mademoiselle Jeanne jest bardzo znerwowana i że nocami gada i nawet chodzi przez sen. Że już są znudzone wsią i pustką, która zapanowała w Bohdaniszkach po naszym wyjeździe i że tęsknią do powrotu do miasta – temu się nie dziwię. Ale znerwowanie Mademoiselle Jeanne i objawy takie, jak gadanie i chodzenie przez sen, zastanawiają mnie. Czyżby rzeczywiście prawdą było to, czego się domyślam czuciem raczej, niż rozsądkiem, a co przy zastanowieniu wydaje mi się dziwacznym i nieprawdopodobnym? Znerwowanie Mademoiselle Jeanne zaczęło się ujawniać jeszcze pod koniec mego pobytu w Bohdaniszkach, a drobne epizody tych humorków i kaprysów nerwowych, jak też rozmaite szczegóły zachowania się Mademoiselle Jeanne naprowadziły mię na domysł, że to ja jestem sprawcą takowych i że mają one związek ze stosunkiem Mademoiselle do mnie. Myśl ta wydaje mi się przy rozwadze dziwaczną i wstydziłbym się wypowiedzieć ją przed kimś nawet w postaci domysłu, bo mógłbym być posądzony o śmieszną zarozumiałość, nieusprawiedliwioną ani fizycznymi powabami mymi, ani stosunkiem wieku, jako zachodzi między mną a 17-letnim dziewczęciem, ładnym i dopiero rozkwitającym z całą naiwnością i świeżością do życia. Nie mogę się wszakże pozbyć tego wrażenia czy też złudzenia, które mi szepcze, że tak jest w istocie. Może zresztą w powstaniu tego złudzenia bierze udział nie tylko obserwacja pewnych szczegółów zachowania się Mademoiselle Jeanne, ale i moja własna próżność, bo miło jest zawsze doświadczać wrażenia, że się potrafiło obudzić żywsze uczucie w serduszku jakimś, zwłaszcza dziewczyny ładnej i młodej. Będąc sam niezwykle kochliwym, miałem też w życiu powodzenie i szczęście do kobiet, które sam nie wiem czemu zawdzięczam, bo chyba przecie nie wdziękom fizycznym (pod tym względem jestem wolny od jakiejkolwiek zarozumiałości). Potrafiłem obudzić uczucia miłości tak głębokiej i trwałej, które przez lata całe w najmniej sprzyjających warunkach się utrzymywały w całej sile i mocy, jak u mojej byłej żony Reginy przed ślubem naszym i u panny Anny Konupek, nie licząc całego szeregu mniej lub więcej przelotnych, mniej lub więcej głębokich sukcesów, jak u Suzanne Richard, u Marysi Mieczkowskiej i innych. Że taka miłość, jak Reginy, która trwała przez sześć lat z siłą i uporem niezrównanym, potem po ślubie tak nagle wygasła i przerodziła się w najżywszą niechęć i nienawiść, to okoliczność, która nie zmniejsza mojego poprzedniego niepospolitego sukcesu. Może więc te sukcesy dawne, to szczęście, które mi z taką łatwością przychodziło, dziś mię zaślepia zbytnią pewnością siebie w domysłach względem Mademoiselle Jeanne, ale skądinąd te sukcesy dawne dały mi wielką znajomość natury i duszy kobiecej i umiejętność poznawania uczucia z oznak zewnętrznych zachowania się kobiety. Z tych wszystkich miłości dawnych pozostała mi jedna, trwała i silna, spojona związkiem obopólnym – to miłość nasza z moją Anną Wolberg. Wrażenie Mademoiselle Jeanne czy może nawet jej uczucie dla mnie, jeżeli mię pozory nie mylą – to tylko miła dywersja, sympatyczny epizod gry wrażeń. Choć Mademoiselle Jeanne jest sympatyczna, a zwłaszcza bardzo młoda i świeża i przez to pełna uroku, jednak jest ona wobec mojej Anny jeno bladym cieniem. Tej przepysznej natury, tego bogactwa i trwałego piękna duszy całej, tej wyrazistości, co ma Anna, nie tylko Mademoiselle Jeanne, ale żadna ze znanych mi kobiet – nie ma. Anna mi się wyrzeźbiła w duszy posągowo jako jednolity przepiękny w konturze i treści człowiek – żona-kochanka, która na wieki mi taką pozostanie. Żadne wrażenia przelotne nie dotkną i nie zachwieją we mnie Anny – jedynej.

21 sierpnia / 3 września, rok 1913, środa

Po trochę wciągam się w nowiny i sprawy wileńskie. Spotykam się to z tym, to z owym ze znajomych i od każdego dowiaduję się o sprawach, dotyczących jego stosunków i jego pola działalności. Dziś rozmawiałem dużo z Ludwikiem Abramowiczem, z Frankiem Olechnowiczem, ze Ślażewiczem, z Šaulysem. Od Ludwika Abramowicza dowiedziałem się, że projekt przekształcenia „Przeglądu Wileńskiego“ na pismo warszawskie dochodzi podobno do skutku. Przynajmniej tak twierdzi Ludwik. Tymczasem „Przegląd“ wychodzi jeszcze od czasu do czasu, nieregularnie, ale już wkrótce wychodzić przestanie i przeniesiony zostanie do Warszawy. Jeżeli to nastąpi, nie wróżę pismu trwałości, przynajmniej pod redakcją Ludwika. Nie mogę uwierzyć, aby się mogła utrzymać trwała spółka ideowa takich ludzi, jak Patek i młody Makowski, którzy mają być protektorami pisma, z Ludwikiem Abramowiczem. Tamci, będąc gorącymi patriotami, wierzą w radykalizm społeczny i wyznają gorąco ideały humanitarne; Ludwik z ideałów tych kpi, spraw społecznych nie rozumie i w każdym razie nie łączy ich ze sprawą ludową, a nawet jego nadzwyczajny patriotyzm niepodległościowy, którym się tak nagle od roku zapalił, nie wydaje mi się głęboki i szczery. Zresztą może już teraz przeniesienie „Przeglądu“ do Warszawy zostało zmodyfikowane i nie opiera się już na spółce z Patkiem i Makowskim. Nie pytałem o to Ludwika, a wspominał mi on, że „Przegląd“ ma być organem radykalnych narodowców, co może być bardzo szeroko rozumiane.
W obozie litewskim wre ciągle walka. Aktualnymi są teraz: sprawa dziennika i sprawa świeżo założonego w Wilnie litewskiego towarzystwa wzajemnego kredytu (tzw. banku litewskiego). O tej ostatniej sprawie, która ma dużo momentów charakterystycznych, wypadnie mi jeszcze zapewne mówić, co zaś do sprawy dziennika, to projektuje się takowy w stronnictwie demokratycznym pod wznowionym tytułem „Vilniaus Žinios“. Ma on wychodzić zamiast „Lietuvos Žinios“. Obecnie nie ma ani jednego codziennego pisma litewskiego, toteż do sprawy tej przywiązują Litwini wielką wagę. Demokraci krzątają się energicznie nad sfinansowaniem i zorganizowaniem dziennika ale, zdaje się, że i nacjonaliści i klerykali nie chcą się dać ubiec i też się do dziennika gotują.

22 sierpnia / 4 września, rok 1913, czwartek
Zdecydowałem się już ostatecznie na odstąpienie Turskiemu cenzusu firmy Kalinowskiego i Przepiórkowskiego. Nie chciałem stawać na przeszkodzie kandydaturze Turskiego, która jest bardzo popierana przez elementy postępowe z Witoldem Abramowiczem na czele. Zresztą i dla samego Turskiego możność wejścia do Rady ma wielkie znaczenie. Turski będzie musiał się usunąć z posady sekretarza w Towarzystwie Rolniczym; są tam jakieś nieporozumienia między nim a prezesem T-stwa Hipolitem Korwin-Milewskim, który zarzuca, zdaje się, Turskiemu brak sprężystości, ociężałość, nieumiejętność w pokierowaniu robotą; w rzeczywistości zaś chodzi, zdaje się, głównie o to, że Milewski chciałby mieć na posadzie sekretarza popychadło, które by ślepo wypełniało jego zlecenia i było raczej osobistym podręcznym sekretarzem pana prezesa, Turski zaś na takiego się nie nadaje jako człowiek starszy, niezależny, mający wagę własną. Po ustąpieniu zaś z posady sekretarza T-stwa Rolniczego Turski, o ile nie znalazłby jakiejś innej posady płatnej w Wilnie, musiałby się z Wilna wynosić. Przyjaciele więc jego myślą o daniu mu możności zostania w Wilnie, ceniąc go, jako człowieka i pracownika, postępowego, światłego, uspołecznionego. Stąd też powstała myśl wyboru Turskiego do Rady Miejskiej z tym, żeby go potem wybrać na członka Zarządu Miejskiego. Turski staje się więc domniemanym kandydatem grupy postępowej do Zarządu i przez to kandydatura jego do Rady nabiera większego znaczenia. W tych warunkach, acz z żalem, postanowiłem nie ubiegać się o cenzus, który się może przydać dla Turskiego. Bądź co

bądź bowiem udział jego w Radzie i w Zarządzie uważam za pożyteczny. Nie jest on orłem i sądzę, że wybitnej roli odgrywać nie będzie, udeptując sprawy drobne, ale ma zalety niewątpliwe – że jest niezależny, sumienny w wykonaniu obowiązków i że ma niejaką orientację w sprawach samorządu, gdyż był przez długie lata w Rosji i stykał się z gospodarką ziemską. Odstąpiwszy cenzus Kalinowskiego i Przepiórkowskiego Turskiemu, próbuję jeszcze zdobyć sobie inny. W tym celu poszedłem dziś rano z Janulaitisem, któremu o toż chodzi, do Bramsona. Bramson ma dużo stosunków z Żydami, którzy są przedstawicielami rozmaitych firm cenzusowych i sami jako Żydzi z cenzusów tych skorzystać nie mogą. Przejrzeliśmy z Bramsonem listę firm cenzusowych i Bramson wynotował sobie te, które ewentualnie przez stosunki jego mogą być w tym celu wykorzystane. Bramson ma pogadać z rozmaitymi ludźmi i ma we środę dać mi odpowiedź. Nie jestem wszakże bynajmniej pewny sukcesu. Trochę za późno rozpoczęte te starania. Widziałem się dziś z Uścinowiczem, który jest członkiem komitetu wyborczego. Mówił mi, że w komitecie już się rozpoczęło balotowanie kandydatów na radnych. Zdaje się, że dotąd, balotując w porządku alfabetycznym, przebalotowano do litery D. Procedura ta wszakże odbywa się powoli i jeszcze jest czas na zgłaszanie nowych kandydatur. Zapewniał mię Uścinowicz, że jeżeli uzyskam cenzus, zostanę z pewnością wpisany do listy kandydatów, poleconych przez komitet. O tym samym upewniał mię Jakubowski i Zasztowt. Czy tylko się coś uda zrobić z cenzusem?

23 sierpnia / 5 września, rok 1913, piątek
Pod wieczór byłem na zebraniu zarządu „Žiburėlisu“. Do nowego zarządu, który został wybrany na ogólnym zebraniu Towarzystwa w tygodniu ubiegłym, należą ze starych członków poprzedniego zarządu – p. Bortkiewiczowa i ja, oraz nowi członkowie – p. Andrzejowa Bułatowa i p. Granrogkowa. Te dwie ostatnie panie po raz pierwszy poznałem. P. Bułatowa jest nowo upieczoną Litwinką; z urodzenia jest Rosjanką, nawet Sybiraczką, ale wyszedłszy za mąż za Bułata (ślub ich się odbył czy w jesieni roku zeszłego czy zimą bieżącego) z zapałem adaptowała nową Ojczyznę, Litwę; uczy się języka litewskiego, rozumie już wszystko i sama już mówić próbuje, słowem – pokochała Litwę i chce być Litwinką. Sprawia wrażenie sympatyczne osoby szczerej, gruntownej, łączącej prostotę z taktem. Omówiliśmy sprawy bieżące Towarzystwa, kwestie administracyjne i rozdawnictwa stypendiów.
Po powrocie z „Žiburėlisu“ napisałem artykulik dla „Kuriera Krajowego“ z powodu dzisiejszego artykułu wstępnego w „Gazecie Codziennej“. Artykuł w „Codziennej“ był ohydny. Gazetka rozdziera szaty z powodu pogłoski o zamknięciu przez władze jakichś (nie wiem dokładnie – jakich) stowarzyszeń katolickich, ale występuje bynajmniej nie w obronie wolności stowarzyszeń – broń Boże! Wytyka rządowi niekonsekwencję, wykazując, że nie rozumie on własnego interesu, albowiem wyznaniowe stowarzyszenia katolickie stoją zawsze na straży ładu i konserwatyzmu, tworząc dla państwa wierną ostoję przeciwko rewolucji i wszelkim prądom przewrotowym i antypaństwowym. Gazetka zwraca z tego powodu ostrze nienawiści i gniewu nie w kierunku prześladowcy, lecz w kierunku „socjalistów i masonów“. Od prześladowcy zaś żąda opieki, obiecując mu za to usługi do wspólnej walki z wrogami jego. W artykule moim uwydatniłem zasadniczy pierwiastek – swobody stowarzyszeń jako podstawy i warunku do kultury. To stanowisko przeciwstawiłem stanowisku „Codziennej“, które tylko w końcu artykułu mego skrytykowałem. Niezupełnie rad jestem z takiej budowy artykułu. Należało może większy nacisk położyć na specjalną krytykę podłej ugodowości „Gazety Codziennej“.

24 sierpnia / 6 września, rok 1913, sobota
Byłem dziś w Kownie. Na podróży tej cały dzień mi zeszedł. Wyjechałem z Wilna rano o godz. 9 z minutami, przed g. 1-szą byłem w Kownie, zabawiłem do g. 5 ½ i koło godz. 9 wieczór byłem znów w Wilnie. Jeździłem dla interesów, aczkolwiek niezbyt szczęśliwie się wybrałem, bo nie zastałem w Kownie adwokata Czerniawskiego, na którego widzeniu najbardziej mi zależało. Załatwiłem jednak inaczej to, o co mi chodziło głównie, toteż czasu i podróży tej nie zmarnowałem. W drodze do Kowna jechałem z kilku znajomymi, adwokatem Jundziłłem, adwokatem Strumiłłą, dyrektorem wileńskiego Syndykatu Rolniczego Białorusinem Wacławem Iwanowskim. Wracając z Kowna nudziłem się, bo już pod koniec i czytać nie mogłem, gdyż zmrok zapadł. Rok temu tą samą drogą jechałem do Koszedar na spotkanie Anny wracającej z Libawy. Żywo mi stanęło w pamięci ówczesne spotkanie nasze i wesoły powrót do Wilna. Chwilami doznawałem iluzji, że oto zaraz, po powrocie do Wilna, spotkam się z moją Anną, ale nawet pamięć tłumiła fantazję, przypominając, że Anna daleko i że nie wiadomo jeszcze, kiedy jej powrót nastąpi. Jutro upływa dwa miesiące, jakeśmy się rozstali. Dla mnie rozłąka ta jest bardzo ciężka, a szczególnie teraz, gdy nie mogę przewidzieć terminu jej powrotu. Ta podróż Anny do Galicji niecierpliwić mię już zaczyna. Nie wiadomo, kiedy wreszcie pojedzie i ile czasu tam zabawi. Spodziewałem się, że może zastanę w Wilnie list od Anny, ale się zawiodłem.

25 sierpnia / 7 września, rok 1913, niedziela
Powstają nowe dwa tygodniki polskie w Wilnie, oba ilustrowane. Jeden, który ma zacząć wychodzić już od 1 września (tytułu na razie nie pamiętam), ma być ultraendecki, katolicki, antysemicki, wojujący oczywiście z Litwinami, słowem – arcynacjonalistyczny i pod wszelkimi względami wsteczny, aczkolwiek zapewne demagogiczny. Głównym inicjatorem i filarem tego pisma jest młody Brzostowski, człowiek osobiście sympatyczny, ale endek zajadły. W piśmie bierze też udział Próchniak czy Próchnik, który będzie zapewne kierownikiem czy redaktorem jego, endek barwy klerykalnej, ten sam, który przez czas jakiś, przed objęciem redakcji „Gazety Codziennej" przez Obsta, był jej redaktorem, skąd zresztą został wylany, jest to sobie pospolity dziennikarczyk niższego rzędu, sprowadzony z Królestwa ku „nauczaniu", raczej utrapieniu Litwinów. Drugi tygodnik, pod tytułem „Nasz Kraj" (wychodzić ma od 7 września), jest przedsięwzięciem Świetlińskiego pracującego w „Kurierze Krajowym" i niejakiego Sokołowskiego, który pełni jakąś rolę w „Gazecie Codziennej". Pod względem ideowym, zdaje się, będzie bezbarwny i mało obiecujący, ale w każdym razie ma być umiarkowańszy od poprzedniego, tak żeby nie zrażać postępowowców ani znowu Litwinów czy Białorusinów. Naturalnie że będzie frazesowo „patriotyczny", ma być też „chrześcijański", aczkolwiek bez zacięcia klerykalnego, antysemityzmu uwydatniać jaskrawie nie będzie, chociaż ma nie przyjmować ogłoszeń od firm żydowskich, w stosunku do Litwinów i Białorusinów ma polegać na ogólnikach współżycia i pojednania. Słowem – jakaś letnia woda, nieokreślonej barwy i niewiadomego stanowiska. Chociaż pierwszy tygodnik będzie z pewnością pod względem kulturalnym i narodowym szkodliwszy jako wzmacniający obskurantyzm i odrywający Polaków od stanowiska obywatelskiego w kraju, jednak sądzę, że pod względem przekonaniowym jest czystszy, przede wszystkim – szczerszy od tygodnika Świetlińskiego. Charakterystyczne jest jeszcze to, że tygodnik Świetlińskiego, który tylko dla interesu jest z konieczności „chrześcijański", będzie otwarty z uroczystym aktem „poświęcenia" redakcji przez księdza, a dla zamanifestowania pokojowości nowego tygodnika na „poświęcenie" zaproszony będzie Mańkowski, redaktor „Kur. Krajowego", i Białorusin Łuckiewicz. Słowem – pismo

chce sobie zaskarbić sympatie i na prawo, i na lewo, i u Polaków, i u „obcych". Zresztą – jest to przedsięwzięcie wyłącznie spekulacyjne, obliczone na zyski z ogłoszeń. Tygodniki te, obydwa przede wszystkim spekulacyjne, będą oczywiście konkurowały zajadle, na zabój; zapewne jedno z nich będzie musiało upaść. W każdym razie fakt powstania w Wilnie tygodników ilustrowanych – jest dodatni. Ilustracje mają być z chwili bieżącej i z rozmaitych widoków wypadków i pamiątek krajowych. Wilnu brak było pisma ilustrowanego. A rola Wilna jako kulturalnego ośrodka kraju i rozwój stosunków krajowych – domagały się od dawna specjalnego wydawnictwa ilustrowanego. Od czasu upadku „Tygodnika Wileńskiego", który zresztą krótko tylko w r. 1911 wychodził, pisma ilustrowanego nie mieliśmy. Ale z pewnością ilustracje w tych nowych tygodnikach nie będą stały na takim poziomie artystycznym, jak w „Tygodniku Wileńskim", którego szatą artystyczną opiekował się Ruszczyc.
Wieczorem napisałem artykulik dla „Kuriera Krajowego" o potrzebie dla Wilna wykładów popularnych, jako zawiązku przyszłego uniwersytetu ludowego. W końcu artykułu wspomniałem, że jedno z istniejących w Wilnie towarzystw zamierza dokonać organizacji systematycznych wykładów popularnych. Miałem tu na myśli T-stwo „Вестникъ Знания". Czy topwarzystwo to wszakże wykona swój zamiar zeszłoroczny – o tym nie wiem, bo jakoś nie słychać, żeby się krzątało, choć byłby już wielki czas. I nie wiadomo jeszcze, czy pozwolą mu władze na wykłady popularne w innych językach oprócz rosyjskiego.

26 sierpnia / 8 września, rok 1913, poniedziałek
Występowałem dziś w zjeździe sędziów pokoju w sprawie cywilnej. Choć sprawę częściowo przegrałem, jednak nie odniosłem wrażenia przykrego, bo broniłem stanowiska mego dobrze. Występowanie w sądzie dość lubię, jeno krępuje mię zawsze strój uroczysty, frak; ten pierwszy moment wejścia na salę we fraku jest dla mnie zawsze momentem przykrym; jestem z natury nieśmiały, toteż wstydzę się i krępuję wszelką pompą, w której mam być aktorem.
Od Anny nie otrzymałem listu, choć już by się należało, bo więcej tygodnia upłynęło od ostatniego. Głównie mię trapi niewiadomość tego, gdzie Anna jest: czy jeszcze w Krasieninie, czy już wyjechała do Galicji z wycieczką, a jeżeli nie wyjechała, to czy już wyznaczony termin wyjazdu lub, jeżeli jest w Galicji, to może wiadomo mniej więcej, kiedy wróci. Chodzi mi nie tyle o nowiny lub jej wrażenia z podróży, bo to mi sama najlepiej opowie, ile o możność wykombinowania choć przybliżonej daty jej powrotu do Wilna. Tęsknię już bardzo i zaczynam się niecierpliwić.
Był dziś u mnie p. Jakubowski, żeby się od imienia komitetu wyborczego do Rady Miejskiej poinformować o osobie p. Józefa Bukowskiego, którego kandydaturę na radnego ktoś w Komitecie zgłosił. Ponieważ w Komitecie mało go znają, więc postanowili się zwrócić do mnie po informacje co do osoby. Dałem informację żądaną, charakteryzując p. Bukowskiego jak najlepiej jako człowieka światłego i umysłu głębokiego, choć nie utaiłem, że jest trochę leniwy i że sprężystym wykonawcą jakiejś pracy nie będzie, choć to, co zrobi, będzie zrobione dobrze, a zwłaszcza w obradach będzie zawsze pożyteczny. Jakubowski narzekał trochę, że stanowisko postępowców zostało trochę wKomitecie osłabione, ponieważ Komitet kooptował czterech nowych członków, zdaniem Jakubowskiego, nielegalnie. Postępowcy, to znaczy głównie Witold Abramowicz z gronem towarzyszy, do których i Jakubowski należy, byli poprzednio o tyle silni w Komitecie, że faktycznie rozporządzać mogli większością. Elementy prawe, nie należące do Komitetu, spostrzegłszy przewagę postępowców, postanowiły stworzyć w Komitecie przeciwwagę. Z tą myślą przeforsowano w Komitecie uchwały o kooptacji czterech nowych członków. Postępowcy, zastrzegając, że kooptowani mieć będą głos

tylko doradczy, zgodzili się na to. Dokooptowano więc *leadera* prawicy dr Dembowskiego, którego wpływ wyraża się więcej, niż w jednym własnym głosie swoim, dalej Zabłockiego, który daje się wodzić na pasku konserwatywnym, dalej dr Sumoroka, którego się wszyscy obawiają jako warchoła i umyślnie wciągnęli dla uśmierzenia możliwej opozycji z jego strony, a który Witolda Abramowicza nie lubi i z pewnością podkopuje wpływy jego, wreszcie jeszcze kogoś czwartego. Kooptowani członkowie Komitetu, wszedłszy, zażądali głosu równego, to znaczy decydującego, który im został przyznany. Wpływ tych kooptowanych członków zniszczył podobno obecnie przewagę postępowców w komitecie. Zdaje się, że Zasztowt działa w komitecie solidarnie z postępowcami z grupy Abramowicza. Jakubowski jest trochę stropiony i powiada, że postępowcy dali się podejść; podobno liczyć na jakieś większe zmiany w liczbie radnych, jak się spodziewano na razie, nie bardzo można. W istocie, rola postępowców jest niewielka.
Wieczorem przyjechał Šukys w powrocie z Kowna. Biedny, ma ciągłe niepowodzenia. Na wiosnę zdał do seminarium duchownego w Kownie, został przyjęty i teraz na jesieni wstąpił. Był w seminarium od tygodnia, gdy wtem przyszedł od ministra spraw wewnętrznych zakaz przyjmowania do seminarium tych chłopców, którzy, chociaż mają świadectwo z odpowiedniej ilości klas gimnazjalnych, nie uczyli się w gimnazjum, jeno zdawali egzaminy jako eksterni. Do liczby takich należy Šukys. Władza przeto seminaryjna musiała go usunąć. Šukys ma świadectwo z 6 klas gimnazjum; sam teraz nie wie, co robić; myśli prosić na Najwyższe Imię o pozwolenie wstąpienia do seminarium. Tej jesieni czeka go już wojskowość. Radzę mu spróbować do jakiejś średniej szkoły geometrów lub rolniczej.

27 sierpnia / 9 września, rok 1913, wtorek
I znowu dziś na darmo czekałem listu od mojej Anny. Teraz, gdy czas powrotu Anny się zbliża, staję się coraz bardziej niecierpliwy. Najgorsze jest to, że brak wszelkiej wiadomości od Anny nie pozwala mi na określenie choć w przybliżeniu terminu jej powrotu. Ostatni krótki listek, który od niej otrzymałem, był datowany 26 sierpnia nowego stylu, to znaczy pisany akurat przed dwoma tygodniami. Chyba że już Anna jest teraz z wycieczką krasienińską w Galicji. Gdyby siedziała w Krasieninie, to chyba przecie by napisała.
Musiałem dziś „ratować” biedną Zulę Tukałłównę z tarapatów. Ciocia Rózia bawi w Boracinie u syna, Mieczysia, Zula zaś sama jedna z niedołężnym ojcem w mieszkaniu na Zwierzyńcu w Wilnie. Otóż jest tam w mieszkaniu lokaj, młody chłopiec 17-letni, awanturnik i zuchwały. Zula chce go wyprawić, bo lęka się go trzymać w mieszkaniu i gniewa się na niego. Lokaj ten nie tylko że nikogo nie słucha, kłóci się z dziewczętami służącymi, jest samowolny i nic sobie z nikogo nie robi, ale jeszcze puścił się na taki kawał. Zula, ze względu na to, że c. Rózia czyta zawsze wszystkie jej listy, odbiera swoją korespondencję osobistą na *poste restante*. Przed kilku dniami posłała lokaja na pocztę po listy swoje. Ten, węsząc skandalik, a może mając też na myśli szantażyk, listów, po odebraniu ich z poczty, Zuli nie oddał i sam je otworzył i przeczytał. Chłopak jest sprytny i, jak powiedziałem, zuchwały. Skapował, że skoro panienka odbiera listy swoje na *poste restante*, w sposób zakulisowy, muszą być te listy dla niej kompromitujące. Wśród listów tych był jeden od jakiejś przyjaciółki Zuli, Francuzki, drugi od kogoś, kogo Zula nazywa swoim „przyszłym mężem” i jeszcze parę innych. Oczywiście, że Zula oburzona na lokaja, który ani listów nie oddaje, ani wychodzić nie chce i grozi, że listy odeśle do c. Rózi. Zula ma dziś jechać do Boracina, a tu nie wiadomo, jak się tego chłopca pozbyć, bo niebezpiecznie go zostawiać w mieszkaniu przy samych kobietach i niedołężnym wuju Janie Tukalle. Może okraść i Bóg wie co

zrobić. Wobec tego Zula wezwała mnie do pomocy. Zresztą w ostatniej chwili chłopiec się uciszył i już zdecydował się na oddanie listów, a moja obecność i ton groźny ostatecznie go do pokory doprowadziły. Dopilnowałem jego wyniesienia się.

28 sierpnia / 10 września, rok 1913, środa
Bramson zakomunikował, że udało mu się znaleźć dwa możliwe do zużytkowania cenzusy wyborcze miejskie. Jeden – to cenzus Towarzystwa Akcyjnego Mirkowskiej Fabryki Papieru, drugi – spółki „Wysocki i K^o" w Moskwie, handlującej herbatą. Chociaż do Bramsona zgłaszaliśmy się po cenzusy ja z Janulaitisem, jednak dziś w gronie osób uznaliśmy, że lepiej będzie dać ten drugi cenzus do zużytkowania Bułatowi, niż Janulaitisowi. Bardzo wiele względów przemawia za tym. Bułat w Radzie Miejskiej będzie sprężystym i niezależnym, a choć i Janulaitis byłby niewątpliwie niezależnym, jednak głos Bułata, znanego z Dumy Państwowej trybuna, będzie o wiele więcej ważki i więcej słuchany, niż Janulaitisa. Bułat ma odwagę, ma jaskrawość wymowy i czynu, wielką żywotność, energię i rozpęd oraz dużo tzw. zdrowego rozsądku i trafność zdania. Samo imię Bułata w opozycji Rady Miejskiej i jego ruchliwa a jaskrawa działalność będą stanowiły siłę, bardzo dodatnio wpływającą na bieg spraw miejskich i na ogólną sanację stosunków w Radzie. Przede wszystkim zaś jest wzgląd ten, że Janulaitis nie ma prawie żadnych szans zostania wybranym, bo ani go prawdopodobnie Litwini jako swego kandydata nie wysuną, ani komitet „bezpartyjny" polski, który faktycznie sprawą wyborów kieruje, nie będzie kruszyć kopii o wybór Janulaitisa. Cenzus więc w ręku Janulaitisa będzie zmarnowany i chyba tylko przysporzy jeden głos na wyborach. Janulaitis jest niepopularny. Inaczej się rzecz ma z Bułatem. Z nim, jako osobnikiem bardzo znanym, będą się liczyć niewątpliwie. Ze względów narodowych Polacy, nawet z prawicy, nic mu zarzucić nie mogą, bo nigdy nie wystąpił wrogo przeciwko Polakom jako takim i miał dość taktu, aby się dotąd nikomu w Wilnie nie narazić. W każdym razie, z kandydaturą litewską Bułata komitet „bezpartyjny" musiałby się liczyć i niewątpliwie znalazłaby ona w komitecie dość silne poparcie; ponieważ zaś z pewnością komitet, choćby dla pozorów, udzieli choć jeden a bodaj i parę mandatów Litwinom, więc Bułat miałby wielkie szanse przejścia do Rady. Na tym stanęło. Ja wziąłbym cenzus Wysockiego. Cenzusy te jeszcze zupełnie pewne nie są, bo udzielenie ich nam będzie zależało od zgody zarządów odpowiednich firm. W tych dniach zrobione zostaną w tym kierunku starania przez wileńskich agentów odpowiednich firm.

29 sierpnia / 11 września, rok 1913, czwartek
Rano zaszliśmy z Bułatem do Powołockiego, aby się poradzić i upewnić co do formalności, niezbędnych dla skorzystania z cenzusu, należącego do spółki czy towarzystwa. Ustawa miejska wyborcza powiada głucho, że od imienia towarzystw i spółek, których siedziba zarządu jest poza danym miastem, biorą udział w wyborach ich agenci miejscowi, upoważnieni do tego przez zarząd. Kto ma być tym agentem – nie określono dokładnie. Ponieważ zaś Powołockij korzystał już w przeszłych wyborach z cenzusu towarzystwa akcyjnego jako taki „agent" więc poszliśmy się do niego poinformować, w jaki sposób tę rzecz załatwił. Okazało się, że Powołockij załatwił to bardzo prosto: uzyskał fikcyjną nominację od centralnego zarządu na juryskonsulta i w specjalnym upoważnieniu do wyborów nazwany został „miejscowym agentem-juryskonsultem". Ułożyliśmy z Bułatem tekst upoważnienia dla nas oraz wskazówki, co należy zrobić i zanieśliśmy takowe do Bramsona, przez którego ten interes załatwiamy. W przyszłym tygodniu mieć już będziemy odpowiedź, czy zarządy odnośnych towarzystw zgodziły się udzielić nam reprezentacji swego cenzusu. Zobaczymy.

Otrzymałem wreszcie list od Anny. Jeszcze nie wyjechała i nie wiadomo, kiedy wyjedzie. Oto co pisze: „8 września. Mój kochany Michasiu! Twój list otrzymałam 7 września (oczywiście nowego stylu). Piszesz tam, że może już wyjechałam za granicę, ale tak nie jest, jestem jeszcze w Krasieninie i nie wiem, kiedy pojadę. Panna Kosmowska miała przyjechać 2 września, ale nie przyjechała. Toteż nikt nie wie, co trzeba teraz robić. I nic nie pisze (panna Kosmowska). Dlatego też nie pisałam do Ciebie, czekałam, żeby p. Kosmowska napisała i oznajmiła, kiedy pojedziemy i na jak długo. Teraz sama nie wiem, co mam robić. Za dwa dni będzie już 9 września (Anna wspomina o tej dacie zapewne z tego powodu, że 9 kończy się jej miesiąc w Krasieninie). Jeżeli teraz przyjedzie panna Kosmowska i będzie jeszcze musiała wszystko do wyjazdu przygotować, to potrwa jeszcze miesiąc. Napisz, mój Michaś, co myślisz, czy mnie czekać, czy wracać do Wilna. Pieniędzy mnie nie trzeba. To pisze Twoja Leelupneeks, chce widzieć swego chłopca.”
List ten zasmucił mię. A więc jeszcze tak długo czekać! Bo cóż – wezwać Annę? Szkoda opuścić taką ładną i tanią wycieczkę po Galicji, jaka się jej nadarza. A czekać – to nie wiadomo, jak długo, bo żadnych terminów nie wskazano. Napisałem do Anny, żeby jeszcze poczekała, i prosiłem tylko, żeby się nie leniła pisać do mnie regularnie, przynajmniej co tydzień.

30 sierpnia / 12 września, rok 1913, piątek
Dom nasz jest pełny. Bawi u nas teraz Kotunia Pruszanowska z córkami Irą i Józią, które wiezie za kilka dni do Merentähti w Finlandii na naukę. Nocuje Kotunia w hotelu, ale dnie całe, o ile tylko nie załatwia sprawunków na mieście, spędza u nas. Mieszka też jeszcze u nas syn Kotuni, Gienio, który zdał teraz egzaminy z klasy IV do V w szkole handlowej. Gienio mieszkać u nas stale nie będzie, ale tymczasem nie znaleziono mu jeszcze lokaty zimowej. Bawi też Šukys, który jeździł znowu na dwa dni do Kowna dla poinformowania się o warunkach wstąpienia do szkoły rolniczej w Datnowie i wrócił, a teraz jedzie jutro na wieś do domu i do p. Kazimierza Świąteckiego w Poniemuńku z listem polecającym ode mnie i prośbą, aby Świątecki ułatwił mu, jeżeli może, wstąpienie do owej szkoły. Wreszcie przyjechała już dziś z Bohdaniszek z wakacji Ewa (Helcia) z Mademoiselle Jeanne. Mademoiselle Jeanne zresztą mieszkać u nas nie będzie, bo już skończyła swą misję guwernantki i towarzyszki Ewy; była umówiona tylko na wakacje na wieś. W Wilnie Mademoiselle Jeanne ma ojca i braci. Nie widziałem jej wcale, bo choć zajechała z kolei z Ewą do nas, ale ja byłem akurat w tym czasie zajęty, bo miałem u siebie p. Turskiego, a Mademoiselle Jeanne zaraz pojechała do siebie. Ciekaw jestem, jak się ułożą nasze stosunki w Wilnie, sądzę, że się rozwieją zupełnie jak mgła przelotna, bo zresztą cała ta mała epopeja wrażeniowa była zapewne oparta więcej na iluzji mojej, niż na jakichś realnych podstawach.
Wieczorem miało się u mnie odbyć zebrańko grona osób w sprawie poinformowania się od Zasztowta o sytuacji wyborczej i o działalności komitetu wyborczego. Ponieważ wszakże Zasztowt przyjść nie mógł, bo wyjechać musiał dziś z Wilna, zebrańko zostało odłożone.

31 sierpnia / 13 września, rok 1913, sobota
Zobaczyłem się dziś z Mademoiselle Jeanne, która spędziła u nas większą część dnia. Zdaje się, że przesadzałem w moich domysłach poprzednich. Jest wesoła, swobodna, nie zdradza żadnych osobliwych nastrojów czy stanów uczucia. Utyła i wygląda ładnie i już z kształtów dziewczęcych zaczyna się w niej wykluwać kobieta. Rozmawiałem z nią uprzejmie i przyjaźnie, bez żadnego cienia zalotów, które by wyglądały dość śmiesznie w stosunku moim do 17-letniej dziewczyny. Przed obiadem zaproponowałem

Mademoiselle Jeanne, która przeglądała książki w saloniku, przeczytanie głośno poezji „Na wzgórzu śmierci" Kasprowicza. I przeczytałem jednym ciągiem całą tę piękną rzecz. Choć czytam głośno dość dobrze i zwłaszcza mam dar deklamacyjny do poezji takich, jak Kasprowiczowskie, które kocham bardzo, jednak znudziłem może Mademoiselle Jeanne, bo lektura trwała długo i jednym ciągiem. Naturalnie, że Mademoiselle Jeanne ze zwykłą jej rezerwą nic nie dała poznać po sobie, czy się znudziła, czy nie. Sądzę, że w Wilnie ten wrażeniowy stosunek, jaki się zawiązał między nami w Bohdaniszkach, rozproszy się zupełnie. Za mało u nas punktów stycznych z Mademoiselle Jeanne.
Wieczorem napisałem artykuł dla „Przeglądu Wileńskiego" o głośnej dość sprawie memoriału Polskiej Komisji Tymczasowej oraz deklaracji-protestu Litewskiego Biura Informacyjnego w Paryżu. Sprawa ta w krótkich zarysach przedstawia się tak. Polska Komisja Tymczasowa jest organem zjednoczonych grup niepodległościowych; jest ona rodzajem rządu prowizorycznego polskich współczesnych prądów powstańczych,ześrodkowujących się w Galicji. Przed paru miesiącami komisja ta wystosowała do Konferencji Ambasadorów w Londynie, obradującej z powodu spraw bałkańskich, na ręce Edwarda Grey'a memoriał, streszczający prawno-państwowy program niepodległościowców polskich. W memoriale tym jest ustęp dotyczący Litwy. Mianowicie, żądając organizacji autonomiczno-narodowej dla Polski, memoriał powiada tak: Polski i tej części Litwy, która podług uznania ambasadorów mogłaby być do Polski wcielona (cytuję nie dosłownie, bo tekstu w tej chwili pod ręką nie mam). Komisja więc wciela do programu prawno-państwowego polskiego jakąś nieokreśloną część Litwy i oddaje kwestię inkorporacji Litwy do uznania dyplomacji europejskiej. Takie sformułowanie postulatu litewskiego jest błędem fatalnym i nietaktem. Memoriał nie liczy się z faktem, że Litwa jest krajem żywym, że dokonywują się tu procesy formacji narodów osobnych, że wreszcie ani tradycja dziejowa, ani kultura tego kraju nie upoważniają nikogo do dokonywania jakichś dowolnych podziałów terytorium litewskiego; że dalej postulat taki jest aktem zaboru, wykraczającym przeciwko zasadom prawa narodów i że nie wolno bez układu i porozumienia wcielać dowolnych żądań o Litwie do narodowego polskiego programu prawno-państwowego. Nic też dziwnego, że postulat komisji został przyjęty niechętnie przede wszystkim przez Litwinów – bez różnicy kierunków – i że stał się jednym z dokumentów, uzasadniających nieprzyjazne ich stanowisko względem sprawy polskiej, tak pojętej i tak w uroczystym akcie międzynarodowym sformułowanej. Wszystkie pisma litewskie zaprotestowały w odpowiednim czasie. Aż oto przed kilku tygodniami Litewskie Biuro Informacyjne w Paryżu, od lat kilku i kierowane przez Gabrysa, grającego rolę samozwańczego ambasadora Litwy wobec opinii europejskiej, wystosowało na ręce tegoż Edwarda Grey'a do Konferencji Ambasadorów w Londynie, w odpowiedzi na memoriał komisji polskiej, deklarację-protest. Protest ten wszakże nie tylko prostuje żądania komisji w stosunku do Litwy, ale bierze z tego asumpt do zamanifestowania szczególnej wierności dla Rosji państwowej. W swoim czasie, po ogłoszeniu tego protestu, bardzo rzeczywiście brzydkiego, Mańkowski wystąpił w „Kurierze Krajowym" z artykułem, gwałtownie się domagającym od demokracji litewskiej potępienia stanowiska Gabrysa. Artykuł Mańkowskiego był wielce nietaktownym. Prasa demokratyczna litewska słusznie podkreśliła, że nie ma ona obowiązku prostowania błędów biura paryskiego i że jeżeli od nich się teraz żąda jakichś potępień, to dlaczegoż postępowcy i demokraci polscy sami w swoim czasie nie prostowali zaborczych aspiracji memoriału Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy. Skądinąd wszakże też prasa litewska (demokratyczna) potępiła rzeczywiście serwilizm deklaracji Gabrysa, podczas gdy prasa nacjonalistyczna wyraziła solidarność z Gabrysem.

1 (14) września, rok 1913, niedziela

Dokończyłem dziś rano artykułu dla „Przeglądu Wileńskiego". Chodziło mi o przeanalizowanie tak stanowiska memoriału Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy, jak deklaracji biura litewskiego, ażeby ustalić błędy obu stron w proporcjach należytych ze stanowiska prawa narodów, demokracji i istotnych przesłanek rozwojowych kraju naszego. Wybrałem dla artykułu tego „Przegląd", by móc kwestię należycie pogłębić, co by się w „Kurierze Krajowym" w ulotnym artykuliku zrobić nie dało, a poza tym, chodziło mi umyślnie o organ, który w tej kwestii dotąd zasadniczo się nie wypowiedział, podczas gdy „Kurier Krajowy" zajął w tej sprawie nieopatrznie stanowisko określone i płytkie i, moim zdaniem, fałszywe. W „Kurierze Kr." należałoby dopiero tę sprawę poprawiać, podczas gdy mnie chodziło o jej przedstawienie obiektywne.

„Przegląd" umiera. Abramowicz Ludwik pragnie już jakn ajprędzej zlikwidować wydawnictwo, by się przenieść do Warszawy i rozpocząć nowe, które tam uplanował. Grupa jeno „przeglądowców" odciąga wciąż likwidację, tak że dotąd pismo wegetuje i ani umiera, ani żyje mocno. W Warszawie Ludwik ma stanąć na czele nowego pisma o kierunku jaskrawie niepodległościowym. Nie będzie to, jak się projektowało poprzednio, organem grupy Patka i Makowskiego. Przewidywałem, że Ludwik z Patkiem się nie połączy. Patek i jego kierunek ideowy jest dla Ludwika zanadto społeczny i zanadto społecznie radykalny, a jak to Ludwik nazywa – zanadto „doktrynerski", przywiązujący wagę do „frazesu" (Ludwik zaś kwestię społeczną i tym bardziej wszelki radykalizm ludowy traktuje z pogardą jako głupi i jałowy sentyment). Swoją drogą, upadek „Przeglądu Wileńskiego" uważam za rzecz niedobrą. Nie chodzi mi o ten właśnie „Przegląd", jakim on był w ostatnich czasach, bo był on już teraz zupełnie oderwany od życia krajowego, ale o „Przegląd" jako organ pewnej grupy, która się dość ściśle określiła (grupa tzw. „przeglądowa"). Grupa ta, choć pod pewnymi względami zbacza z drogi demokratycznej i choć ma dużo błędnych iluzji, płynących z nieznajomości kraju i z urojonych koncepcji Witolda Abramowicza, ma jednak niewątpliwie i dość poważne wpływy wśród inteligencji wileńskiej, które bądź co bądź działają na rzecz postępu; brak organu będzie dla grupy tej wielkim defektem, przeszkadzającym do utrwalenia posiadanych wpływów. Bardzo racjonalnie mówi Mańkowski, że „przeglądowcy" powinni byli przekształcić swoje pismo na popularny tygodnik ilustrowany, jakich teraz aż dwa powstaje. Tygodnik popularny byłby dostępny dla szerszych kół miejskich, niezbyt kosztowny i mógłby liczyć na rozszerzenie poczytności, czego „Przegląd", utrzymany na wysokim poziomie inteligenckim, nie był w stanie osiągnąć. Ale, niestety, grupie „przeglądowej" brak ludzi ruchliwych, ludzi, którzy by włożyli zapał w robotę.

O godz. 1 po południu poszedłem z Marynią i Kotunią Pruszanowską na otwarcie I Krajowej Wystawy Ludowego Przemysłu Domowego (należałoby dodać: i zdobnictwa ludowego, bo takowe, jako blisko spokrewnione z przemysłem domowym, jest również reprezentowane na wystawie). Wystawa ta urządzona pod egidą Sekcji Drobnego Przemysłu przy Wileńskim Towarzystwie Rolniczym przy współudziale innych krajowych towarzystw rolniczych oraz Litewskiego Towarzystwa Artystycznego (Lietuvių Dailės Draugija) i Towarzystwa Popierania Przemysłu Domowego i Sztuki Ludowej. Wystawa mieści się w Sali Miejskiej. Przedstawia się imponująco, zwłaszcza jak na pierwszą. Świadczy ona o kulturze naszego ludu, mającej charakterystyczne piętno indywidualne. Świadczy też o bogatym źródle, jakie kraj nasz posiada dla rozwoju przemysłu drobnego w wyższych kształtach organizacji.

2 (15) września, rok 1913, poniedziałek
Nie mam dziś o czym pisać. Dzień dzisiejszy nie nastręcza mi żadnego tematu ciekawego. Napiszę chyba o pewnym projekcie, który mi utkwił w głowie i który mię dziś ciągle zaprzątał, choć się zapewne przy głębszej rozwadze nie utrzyma. Chodzi o kupno działki ziemi na Antokolu, raczej za Antokolem, koło Pośpieszki, na samych kresach miejskich tuż przy granicy powiatu. Sprzedawały się tam parcele niejakiego Trajkowicza, po kilkaset sążni każda. Wszystkie zostały tego lata rozkupione przez sam „kwiat“ dziennikarsko-artystyczno-literackiej inteligiencji wileńskiej. Nabywcami tych działek są: Studnicki, dr Boguszewski, Hertz, Brensztejn, Rouba, Jan Bułhak, Wierzyński. Są to wszystko ludzie (oprócz Rouby) nowej generacji inteligencji wileńskiej, ludzie, którzy dość świeżo, w ostatnich kilku leciech, ściągnęli do Wilna z rozmaitych stron, przywabieni rozpoczynającym się tu nowym tętnem życia kulturalnego i, zająwszy tu rozmaite puste placówki, zaczynają się już opierzać i z wędrownych włóczęgów stawać osiadłymi obywatelami miasta. Są wśród nich karierowicze i kondotierzy, poszukiwacze przygód, są i ludzie talentu, jednostki pożyteczne i szczere; do pierwszych bym zaliczył zwłaszcza Wierzyńskiego, Brensztejna i Hertza, do drugich – Bułhaka, Studnickiego, dr Boguszewskiego. Nabywanie placów przez tych ludzi i osiadanie ich na własność, ich, typowych włóczęgów i Cyganów, jest symptomatyczne. To znaczy, że zaczynają już nasiąkać monetą i stają się ociężalsi, stateczniejsi, urabiając z siebie kadry przyszłych wzorowych filistrów i ojców miasta. Są oni wszyscy, bez różnicy talentu i wartości osobistej, sprytni, obrotni, pełni węchu doskonałego i praktyczności. To jedno już dobrze świadczy o tych placach, bo nie rzuciliby się oni gremialnie do kupna, gdyby to była rzecz niepraktyczna. Zresztą traktują oni to, przynajmniej nie wszyscy, nie jako spekulację dochodową, ale jako wygodne „*pied à terre*“. Obecnie pokupowali te place tanio, po 1 ½-2 rb. za sążeń, z czasem zaś, gdy Antokol i Pośpieszka połączone zostaną z miastem tramwajem elektrycznym, co niewątpliwie w ciągu lat paru nastąpi, place te podskoczą z pewnością w cenie i staną się wygodne do zabudowania nie tylko dla letnisk, ale i dla stałego zamieszkania. Ludzie ci, których większość ma pewną wysoką kulturę estetyczną, chcą się tam ładnie i wygodnie zabudować, tworząc kolonię miasta-ogrodu. Jest projekt połączenia ich w rodzaj spółki na gruncie Towarzystwa Urządzeń Mieszkań, żeby zabudować i ozdobić tę dzielnicę praktycznie i gustownie. Otóż obok działki Studnickiego jest jedna działka 400-sążniowa, należąca obecnie do jakiegoś szewca, która się podobno sprzedaje. Szewc ją kupił przed dwoma laty po rb. 1 za sążeń i może by teraz po rb. 1 ½ odsprzedał. Przychodzi mi na myśl, czy nie warto by kupić tej działki na imię Anny. Byłaby to bardzo pewna, choć bezprocentowa, lokata dla naszych oszczędności. Są jednak skądinąd poważne względy przeciwko temu.

3 (16) września, rok 1913, wtorek
Otrzymałem od Anny listek, który mię ucieszył, a który w przekładzie z żargonu niemieckiego brzmi tak: „14 września. Mój kochany Michasiu! Panna Kosmowska jest już w Krasieninie. 25 września (nowego stylu) wyjedziemy do Galicji na dwa tygodnie. Podróż ta będzie piękna, choć ciężka, bo trzeba będzie dużo iść pieszo. Mój Michasiu, czy wiesz, jak będę ubrana – w polskim stroju ludowym z czerwoną chusteczką na głowie. Teraz zostałam już zupełną Polką. Mój kochany Michasiu, pisz, co porabiasz teraz sam jeden w Wilnie. To pisze Twoja Leelupnecks.“ Listek ten, powiadam, mię ucieszył, bo choć zapowiada on powrót Anny do Wilna nieprędko jeszcze, najprędzej chyba koło 1 października nowego stylu, ale przynajmniej ustala pewne wyraźne daty i daje podstawę do orientowania się i obliczenia terminów tak wyjazdu Anny do Galicji,

jak ewentualnie jej powrotu do Wilna. Cieszę się też, że wycieczka Anny, tak dla niej ciekawa, dojdzie do skutku.
Wieczorem byłem u Szklennika na miesięcznym zebraniu zarządu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Z członków zarządu obecni byli tylko prezes Szklennik, ja i Przyłuski, poza tym byli: członek towarzystwa p. Turski i pp. Kolendo i Skinder. Szklennik referował nam bardzo wyczerpująco i ciekawie o wszechrosyjskim zjeździe kooperatystów w Kijowie, w którym brał udział. Następnie omawialiśmy sprawy bieżące. Uznaliśmy, że nie należy z powodu odmowy gubernatora zaniechać projektu zwołania zjazdu delegatów stowarzyszeń spożywczych z guberni wileńskiej i uchwaliliśmy skierować odpowiednie podanie do ministra spraw wewnętrznych oraz wznowić działanie naszej zjazdowej komisji organizacyjnej, która ma się tą sprawą zająć (do komisji tej należą Szklennik, Witold Abramowicz i ja oraz chcemy wciągnąć do niej także p. Putramenta, Litwina, człowieka czynnego i oddanego kooperacji, spełniającego obecnie obowiązki gospodarza w spółdzielczym sklepie spożywczym wileńskiego towarzystwa „Solidarność"). Przyłuski i ja umówiliśmy się ze Szklennikiem o dyżurach naszych na wystawie drobnego przemysłu, gdzie nasze Towarzystwo Popierania Kooperacji ma swój osobny pawilon, raczej swoje osobne miejsce,jako wystawca działu, bardzo blisko z drobnym przemysłem związanego. Wreszcie przeszliśmy do ostatniej kwestii dzisiejszego porządku dziennego, kwestii instruktora. Po niefortunnej wiosennej próbie z Bębnowskim, nauczeni doświadczeniem, musimy być bardzo ostrożni w wyborze instruktora; ponieważ nie możemy pozyskać na tę posadę człowieka wykwalifikowanego, bo takowych w zakresie kooperacji jeszcze nie mamy, musimy więc zawsze wybierać po omacku, opierając się na znajomości człowieka lub referencjach o nim i z konieczności narażeni jesteśmy na możliwe zawody. Obecnie kandydatem na instruktora był p. Kolendo, rekomendowany przez Turskiego i gorąco zalecany przez Szklennika, który jest nim zachwycony, co nie przesądza wcale, że w bardzo prędkim czasie Szklennik, człowiek kapryśny, może radykalnie zmienić o nim zdanie i wręcz go uznawać za niemożliwego. P. Kolendo na czas pertraktacji o nim opuścił zebranie. Turski tak go nam zarekomendował, tyle cnót w nim przedstawił, że naturalnie, biorąc słowa Turskiego na wiarę, nie zostawało nam nic innego, jak zaakceptować tę nominację, zwłaszcza że i Szklennik pragnął tego. Ponieważ zaś posada ta wymaga ciągłego współpracownictwa ze Szklennikiem, który jest bardzo kapryśny i arbitralny, więc oczywiście można przyjąć na nią tylko takiego człowieka, do którego Szklennik ma zaufanie. Na wypadek jakichś późniejszych ewentualnych nieporozumień, jak to było z Bębnowskim, żeby nie można było zarzucić zarządowi, że przyjął pracownika, nie określiwszy funkcji jego, ustaliliśmy z Przyłuskim, aby do protokołu wpisane zostało przynajmniej w ogólnych zarysach określenie obowiązków nowego funkcjonariusza towarzystwa. P. Kolendo jest synem powstańca, urodzonym na wygnaniu w Rosji. Jako student brał udział w ruchach politycznych i był więziony i relegowany z uniwersytetu, toteż wyższego zakładu nie skończył. Liczy lat 35, jest żonaty z b. kursistką kursów bestużewskich, ma być człowiekiem uspołecznionym i ideowym.

4 (17) września, rok 1913, środa
Jesień mamy piękną, suchą, pogodną i niezwykle ciepłą. Można chodzić jeszcze, nie tylko we dnie, ale często i wieczorem, bez paltotu i w słomianym kapeluszu, a nawet spać przy oknie otwartym.
Nie mam jeszcze wiadomości o moim cenzusie dla wyborów miejskich. Wileński przedstawiciel towarzystwa akcyjnego Mirkowskiej Fabryki Papieru, niejaki p. Joffe, pojechał przed kilku dniami do Warszawy, gdzie się mieści zarząd centralny tego

towarzystwa. Miał on tam załatwić i sprawę mojego cenzusu, to znaczy albo przywieźć mi gotowe już, formalne pełnomocnictwo do reprezentowania tej firmy w wyborach miejskich, albo odmowę, gdyby zarząd warszawski nie zechciał mi tego pełnomocnictwa wydać. Zachodziłem dziś do Bramsona po wiadomość, ale Bramson nic jeszcze nie wie; Joffe zapewne jeszcze nie wrócił. Pozyskanie tego cenzusu dlatego mi się nie wydaje zupełnie pewne, że w zarządzie centralnym w Warszawie siedzą Natansonowie, Żydzi-Polacy, tj. asymilatorzy, którzy politycznie są powaśnieni z Żydami tutejszymi narodowcami. Zwłaszcza w czasie zeszłorocznych warszawskich wyborów do IV Dumy Państwowej zaostrzył się konflikt między kierunkiem Żydów, do którego należą Natansonowie, a kierunkiem, popieranym przez ogół narodowej inteligencji żydowskiej, do którego należą chyba wszyscy Żydzi wileńscy i wśród nich też Joffe. Natansonowie byli za tym, żeby Żydzi głosowali na Kucharzewskiego, Żydzi zaś narodowi uznawali to za niemożliwe ze względu na nieprzyznanie przez Kucharzewskiego zasady bezwzględnego równouprawnienia. Z powodu tego konfliktu politycznego obawiam się, że Natansonowie mogą nie zechcieć udzielić pełnomocnictwa swego do udziału w wyborach miejskich osobnikowi, zalecanemu im przez Joffego. Gdybym zawczasu wiedział o tym cenzusie, byłbym poczynił poza tym starania, aby Natansonom zarekomendował i poparł moją kandydaturę ktoś inny z Warszawy z kół działaczy, z którymi by się oni może bardziej liczyli. Zresztą zobaczymy.
Wieczorem w sprawie wyborów miejskich odbyło się u mnie małe zebrańko specjalne ściślejszego grona naszych przyjaciół, na którym byli: Zasztowt, Prozorow, Kraskowskij, Bułat, Iwan Łuckiewicz i ja. Chodziło nam o poinformowanie się od Zasztowta, jak stoją sprawy we wszechmocnym „komitecie bezpartyjnym“, do którego Zasztowt należy. Zresztą przeważnie omawiana była sprawa reprezentacji postępowej grupy rosyjskiej. Co do nas z Bułatem, to Zasztowt robi nadzieję, że dałoby się nas przeprowadzić.

5 (18) września, rok 1913, czwartek
Rozpocząłem nową pracę literacką, odpowiedź na ankietę rosyjskiej „Grupy Pracy“ („Trudowaja Gruppa“ – „Trudowiki“) w sprawie narodowościowej w Rosji. Zacząłem z miejsca pracę tę obszernie, głęboko, na wielką skalę, dając jej tło analizy historycznej o ukształtowaniu się narodowym Litwy i Białej Rusi. Z tej historycznej dopiero analizy, jako z punktu wyjścia, przejdę do rozważania stosunków obecnych, to znaczy do układu prądów i koncepcji narodowych w kraju oraz do samego problemu narodowościowego, traktowanego pod kątem demokratycznym. Czuję, że pracę tę ująłem od samego początku za głęboko jak na ankietę, ale mi szkoda ją zmieniać i szkoda tego bogatego materiału, który mi się w umyśle ułożył i który pod ręką tryska twórczą myślą i pięknem wielkiego obrazu dziejowego. Toteż poprowadzę ją tak dalej i wyczerpię całość zagadnienia, choćby mi to dało tylko osobistą rozkosz tworzenia i wykładu myśli. Jeżeli to będzie za obszerne i za ogólne na ankietę, to może zużytkuję to w jakiś inny sposób. Ale ankietę tę trzeba byłoby właściwie opracować zbiorowo, wspólną pracą demokratycznych elementów wszystkich naszych grup narodowościowych. Może moja praca posłuży za tło dla takiej odpowiedzi zbiorowej, tworzącej całość problemu narodowościowego w Litwie i Białej Rusi. Trzeba będzie zaproponować przyjaciołom naszym zorganizowanie takiego współpracownictwa zbiorowego. Zaproponuję to, jak będę miał szkielet mojej głównej pracy historycznej już gotowy.
W sprawie cenzusu mego do wyborów miejskich nic jeszcze nie zrobiono. Dowiedziałem się, że Joffe jeszcze nie jeździł do Warszawy, bo się dowiedział, że

Natansona w Warszawie nie było. Teraz ma pojechać do Warszawy w niedzielę, tak że do jakiejś środy przyszłej sprawa zostaje w zawieszeniu.

6 (19) września, rok 1913, piątek
Napisałem dziś dwa artykuliki dla „Kuriera Krajowego“, jeden z powodu wczorajszego wyboru p. Stanisława Łopacińskiego na posła do Rady Państwa z gub. wileńskiej, drugi na temat ogólniejszy, z powodu uroczystości otwarcia nowej guberni chełmskiej – o nieustającym życiu i dążeniach prawno-państwowych (autonomicznych) krajów i narodów ujarzmionych i pozbawionych formalnego bytu, w szczególności Polski i Litwy. Drugi zwłaszcza z tych artykulików udał mi się znakomicie.
Ludwik Abramowicz zwrócił mi dziś rękopis mego artykułu, który pisałem w zeszłym tygodniu dla „Przeglądu Wileńskiego“ – o memoriale Polskiej Komisji Tymczasowej i deklaracji Litewskiego Biura Informacyjnego w Paryżu. Artykuł nie będzie drukowany w „Przeglądzie“ ze względów, jak powiada Ludwik, cenzuralnych. Tak więc nie sądzone mi już widocznie przemówić raz jeszcze ze szpalt tego „Przeglądu“, w którym w roku zeszłym tylekroć przemawiałem jako w organie wyrażającym moje idee. Wtedy idee te były wspólne dla całej grupy naszej, dziś – „przeglądowcy“ od nich odbiegli. A że „Przegląd“ wkrótce już zapewne zemrze, więc więcej już ze szpalt jego przemówić mi z pewnością nie wypadnie.
Wieczorem odbyło się zebranie starego zeszłorocznego komitetu rodzicielskiego przy gimnazjum Winogradowa. Wybory nowego komitetu mają się odbyć w niedzielę lub, gdyby zabrakło kworum, w następną drugą niedzielę. Dzisiejsze zebranie starego komitetu było zwołane głównie dla narady o nowej kandydaturze na prezesa komitetu, ponieważ prezes obecny (zeszłoroczny) p. Konrad Niedziałkowski ze względu na brak czasu nie zgadza się przyjąć ponownego wyboru. Nic zresztą nie uradziliśmy, bo nie wymyśliliśmy jeszcze innego kandydata. Wypłynęła przede wszystkim kandydatura p. Kopańskiego, człowieka, który ma dużo czasu wolnego, ale p. Kopański, który się czuje obrażony, że go kiedyś po dwuletnim prezesostwie nie wybrano ponownie, odmawia. Zdaje się, że pragnąłby bardzo być wybranym, ale chciałby, żeby go bardzo proszono i żeby z wielką pompą, niby wbrew woli jego wybrano. Nie jest to jednak człowiek zupełnie odpowiedni na prezesa. Jest niedołęga i nie ma często taktu, bywa opryskliwy i zarazem to chwiejny, to uparty. Wspominano i o mojej kandydaturze na prezesa, ale jej nie przyjąłem. Główny wzgląd jest ten, że mógłbym być nie zatwierdzony przez kuratora jako „неблагонадежный“ – czerwony. Skądinąd zaś przypuszczam, że moja kandydatura na prezesa nie byłaby dobrze widziana przez wszystkich prawowiernych klerykałów i endeków, przez całą reakcję rodzinną. Zapewne więc nie przeszedłbym i byłbym jeno wystawiony na agitację wrogą, a nawet w razie wyboru nie zadowalałbym może wielu rodziców i nie miałbym ich zaufania. Zanadto wyraźną mam markę.

7 (20) września, rok 1913, sobota
Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu członków Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego. Do towarzystwa tego wpisałem się dopiero na wiosnę, tak że jestem w nim *homo novus*. Towarzystwo jest międzynarodowe; należą doń Rosjanie, Żydzi, Litwini, Polacy, Białorusini, przeważnie z kół artystów-malarzy, literatów i dziennikarzy oraz jednostek z inteligencji wolnych zawodów, sprzyjających gorąco rozwojowi kultury artystycznej. Polaków, względnie do ich inteligenckiej przewagi liczebnej w Wilnie, jest w towarzystwie mniej niż innych; to się tłumaczy pewną niechęcią Polaków w ogóle do łączenia się z elementami innych norodowości w tym kraju, pewną jakąś niewiarą i obawą przed niwelującymi prądami międzynarodowymi. Polacy mają tendencję do odosabniania się i przestrzegają zazdrośnie swego stanowiska

gospodarzy Wilna, czego inne grupy narodowe nie chciałyby im przyznać. Toteż zawsze prawie jest pewien utajony rozdźwięk między innymi narodowościami a Polakami, którzy nie tylko się poczuwają za gospodarzy Wilna, ale i za członków narodu wielkiego, nie mogącego się równać czy to z Litwinami, czy Białorusinami, czy tym bardziej Żydami. Polacy są też wszyscy prawie wyznawcami idei państwowości polskiej, którą znowuż prawie wszyscy rozciągają mniej lub więcej jawnie, w duszy przynajmniej, jeżeli nie w słowach – na Litwę, uważaną przez nich za państwową schedę polską, co właśnie stanowi zasadniczy błąd dziejowy narodowej ideologii polskiej, błąd, który winien być naprawiony jako nie odpowiadający prawdzie życiowej i logice rozwoju kraju naszego. Co zaś do Rosjan, to są jeszcze względy szczególne, bardzo szanowne, aczkolwiek nie zawsze i nie przez wszystkich stosowane konsekwentnie, które Polaków odstręczają od obcowania wzajemnego. Powiadam, że Polaków jest w tym towarzystwie względnie mniej w proporcji do ich siły liczebnej w Wilnie, ale to nie znaczy, aby ich na ogół było w towarzystwie mało. W ogóle w Towarzystwie Artystycznym dominują elementy czy też nastrój – postępowy. Towarzystwo urządza co roku wystawy obrazów, w roku zeszłym (właściwie obecnym kalendarzowym na wiosnę) urządziło wystawę utworów dziecinnych („Sztuka w życiu dziecka“). Oprócz tego, Towarzystwo Artystyczne urządzało w roku zeszłym raz w tygodniu wieczór artystyczny z improwizacjami, swobodną zabawą, uczciwą sztuką kabaretową itp. W roku bieżącym dniem wieczorów artystycznych mają być soboty – od października. Mają być produkcje muzyczne, żywa plastyka itd. w tonie poważnym, odczyty o sztuce, osobno zaś zabawa kabaretowa (zawsze wszakże przyzwoita). Na zebraniu oprócz tej kwestii omawiano jeszcze sprawę lokalu dla wystaw towarzystwa.

8 (21) września, rok 1913, niedziela
Zebranie rodziców w gimnazjum Winogradowa dla wyboru komitetu rodzicielskiego, zwołane na dziś, do skutku nie doszło, bo przepisana cyrkularzem ministerialnym liczba rodziców (⅔ ogółu rodziców mieszkających w mieście) nie stawiła się. Odłożono więc wybory do następnego zebrania w przyszłą niedzielę. Wszyscy, którzy dziś przybyli, zobowiązali się przybyć sami na następne zebranie i objechać osobiście wszystkich nieobecnych rodziców z wezwaniem do stawienia się, żeby się komplet potrzebny zebrał.
Mój artykulik o wyborze Stanisława Łopacińskiego do Rady Państwa z gub. wileńskiej, drukowany we wczorajszym numerze „Kuriera Krajowego“, zrobił, zdaje się, na mieście wrażenie. Zwykle wybory do Rady Państwa przechodzą u nas spokojnie, bez roznamiętnienia. Wyborcami są ziemianie, to znaczy jedna klasa społeczna; o jakiejś więc głębokiej walce ideowej nie ma zwykle mowy; grono ludzi wpływowych, z Hipolitem Korwin-Milewskim na czele, mianuje zazwyczaj kandydata, którego ogół ziemiańskich wyborców posłusznie na posła wybiera. Tym razem było wszakże inaczej. Już na długo przed wyborami rozeszła się wiadomość, że grono przemożnych patronów z Hipolitem Milewskim i Kończą na czele wystawia kandydaturę Stanisława Wańkowicza, znanego ugodowca i wstecznika. Wańkowicz, będąc posłem w Dumie, dwukrotnie jaskrawie się popisał: raz w czasie obrad, zdaje się, nad ziemstwami zachodnimi, palnął mowę ultraugodową, nacechowaną lojalizmem względem państwowosci rosyjskiej, drugi zaś raz, akurat w czasie, gdy miano głosować nad ustawą o wyodrębnieniu Chełmszczyzny, wyjechał sobie w jakichś potrzebach romansowych na południe Francji i trzebaż, że cały szereg artykułów tej ustawy, skierowanych przeciwko Polakom, przeszedł w Dumie większością jednego głosu. Teraz więc na wieść o kandydaturze niepopularnego Wańkowicza – zawrzało. Tak elementy postępowe, jak endecy, rozpoczęli zgodnie energiczną agitację przeciwko

niemu. Z opozycji wysunięto kontrkandydaturę wybitnego i znanego Stanisława Łopacińskiego, człowieka rozumnego, z wielkim taktem, pracowitego, uspołecznionego, z przekonań – umiarkowanego postępowca, liberała. Na zebraniu przedwyborczym, pomimo forsownej protekcji Kończy i Milewskiego, ogromną większością zabalotowano Wańkowicza i ustalono kandydaturę Łopacińskiego, który też nazajutrz został wybrany. Roznamiętnienie było duże i nie obeszło się bez zajścia. Na zebraniu przedwyborczym jeden z wyborców, Bolesław Malinowski, ostro skrytykował Wańkowicza, wytykając mu dobitnie jego grzechy poselskie. Kończa poczuł się tym dotknięty i jako przewodniczący oraz jako formalny gospodarz zebrania (zebranie bowiem było przez Kończę zwołane) przeprosił publicznie Wańkowicza i „swoich gości" za niestosowne i ostre słowa B. Malinowskiego. Zwrócono Kończy uwagę, że to nie jest zebranie towarzyskie jego gości, jeno zebranie przedwyborcze, na którym wolno swobodnie krytykować kandydatów. Malinowski zaś nazajutrz posłał do Kończy sekundantów z żądaniem satysfakcji honorowej (sądu). Kończa odmówił i teraz Malinowski odgraża się, że zmuszony będzie sam sobie wymierzyć czynnie satysfakcję na Kończy. W prasie wszakże, po dokonanych wyborach, przemilczano o walce przedwyborczej i tylko jeden „Kur. Krajowy" w moim artykule, witając wybór Łopacińskiego i dając charakterystykę osoby jego, wytknął ujemne cechy jego kontrkandydata Wańkowicza. Podobno ten numer „Kuriera Krajowego" został przez kogoś rozesłany do wszystkich wyborców ziemiańskich po hotelach i zrobił wrażenie. Kilka osób z tych, którzy nigdy „Kur. Krajowego" nie czytają i którzy nic wspólnego z kierunkiem jego nie mają, winszowało mi dziś tego artykułu.

9 (22) września, rok 1913, poniedziałek
Dowiedziałem się od Bramsona, że uzyskanie cenzusu miejskiego dla Bułata, o który się starano od zarządu firmy „Wysocki i Ska" w Moskwie (towarzystwo handlu herbatą), nie udało się. Z niewiadomych powodów zarząd firmy w Moskwie, zapytany listownie, odmówił udzielenia przedstawicielstwa swego cenzusu Bułatowi. Dziwne to, bo Bułata tam znają i w zarządzie firmy są ludzie, którzy jego są politycznymi przyjaciółmi. Szkoda, bo kandydatura Bułata mogłaby mieć szanse powodzenia, a udział jego w Radzie Miejskiej byłby niewątpliwie pożądany. Jest to człowiek żywy, dobrze się orientujący, człowiek na arenie publicznej pożyteczny. W opozycji byłby on pierwiastkiem czynnym i pełnym zawsze zmysłu praktycznego. Może uda mu się jeszcze uzyskać na własną rękę cenzus skądinąd. Coraz bardziej wątpię, aby i mnie się udało pozyskać cenzus z Warszawy od Natansonów.
Od kilku dni Mademoiselle Jeanne, która w pierwszych dniach powrotu do Wilna co dzień zaglądała do nas, przestała zupełnie przychodzić. Dziś wreszcie przyszła pod wieczór, zabawiła parę godzin i została na herbatę. I znowu stosunek jej do mnie zdaje mi się być osobliwy. Naturalnie, że wszystko się opiera tylko na domniemaniach i przelotnych spostrzeżeniach; żadnej pewności nie mam, bo nie tylko że nie ma i być nie może żadnych zwierzeń między nami, ale nie ma i dalekich aluzji do jakichkolwiek uczuć możliwych. Nie ma też ani krzty flirtu, broń Boże, bo, *primo*, Mademoiselle Jeanne nie jest ani odrobinę kokietką, a *secundo*, nigdy bym sobie na taki flirt nie pozwolił. Wstydziłbym się go ze względu na różnicę wieku przy braku pewności jakichś uczuć osobliwych, a poza tym, jeżeli domysły moje są prawdziwe, zbyt szanuję dziewczynę i jej ewentualne uczucia, abym sobie na flirt zdawkowy pozwolił. Faktem jest, że Mademoiselle Jeanne ma jakąś głęboką troskę, jakiś ból, który ją męczy, gryzie i pozbawia swobody i wesołości. Ból ten pochodzi bodaj nawet nie tyle z jakiegoś uczucia, ile z widocznego pragnienia przezwyciężenia w sobie, stłumienia czegoś, co się Mademoiselle Jeanne wbrew jej woli nie udaje. Zdaje się więc, że to nie tyle ból

uczucia, ile męka woli. Zwłaszcza zaś obecność moja działa deprymująco na Mademoiselle Jeanne; tropi się wtedy bardzo, na przemian to się zasępia, to usiłuje się uśmiechnąć swobodnie i jasno, znacząc ciągłe kontrasty na wyrazie twarzy; słowem – traci przy mnie równowagę i staje się sztywną i wymuszoną, próbując to pokryć wysiłkiem woli, co jej się wszakże nie udaje, bo ma naturę raczej szczerą, naturę, która nie umie maskować obłudą wrażenie bezpośrednie. Toteż widzę w niej ciągle tę rozterkę i walkę bolesną wysiłków woli z odruchami przygnębienia. Tak się łamie biedna dziewczyna i tak biedaczka się smuci i traci na humorze! Nie ma już tej wesołej swobodnej Mademoiselle Jeanne, dziewczyny-dziecka, jaką była w pierwszym czasie w Bohdaniszkach. Powtarzam, że wszystko to jest tylko moim spostrzeżeniem, które może grzeszy subiektywizmem. A gdybym się nawet mylił, to niekoniecznie świadczyłoby to jeszcze o jakiejś miłości czy podobnym sentymencie dla mnie. Może to pochodzić z uczucia, ale może pochodzić i z innego źródła: może obecność moja po prostu ją tylko onieśmiela, może czuje ona domysły moje i mojego otoczenia i chciałaby im właśnie kłam zadać, a nie umie i tym się gryzie, że daje powód do utrwalenia tych domysłów. Może więc to być droga podkochiwania się dziewczęcego, lecz może być i droga szczególnej niechęci do mnie, podsycanej złością na wręcz przeciwne pozory. W każdym razie, nie chcę robić żadnych kroków w kierunku utrwalenia możliwych sentymentów dziewczyny. Mam dla niej sympatii dużo, ale mam i szacunek, a że wiem, iż nic z tego być nie może i że dla Mademoiselle Jeanne ewentualne uczucie stałoby się jeno źródłem boleści i nieszczęścia, więc byłoby niesumiennie tym się bawić i rozmyślnie forsować krytyczną sytuację. Zachowuję z Mademoiselle Jeanne ton przyjazno-żartobliwy i nie daję jej poznać, że się czegoś domyślam.
Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu wileńskiego oddziału ligi przeciwgruźliczej w sali urzędu miejskiego.
Nocnym pociągiem wyjechałem z Papą do Radoszkowicz. Papa wybrał się na koniec na obejrzenie Wiązowca, toteż muszę mu w tej podróży towarzyszyć.

10 (23) września, rok 1913, wtorek
Raniutko przyjechaliśmy z Papą do Radoszkowicz. Zastaliśmy na stacji konie Kazia Wołodkowicza z Chełmicy, który przysłał nam czwórkę w wygodnym krytym faetonie. Zjedliśmy z Papą krótkie lekkie śniadanie w zajeździe Ginzburga przy stacji i wyruszyliśmy w drogę. Faeton kryty bardzo się przydał, bo mżył drobny deszczyk jesienny z wiatrem chłodnym; w powietrzu była przenikliwa wilgoć. Im bliżej Wiązowca, tym, jak zawsze, droga stawała się gorsza i wreszcie już po prostu ohydna. Paradnie, czwórką koni zajechaliśmy koło godz. 4 przed moją leśniczówkę, która jeszcze nigdy takiej świetności zaprzęgu nie oglądała. Tu wypiliśmy herbatę, zjedliśmy jajecznicę, którą nam naprędce Biesiekierska przyrządziła, nałożyliśmy długie buty i byliśmy z Papą gotowi do drogi w las. Przybiegł i Biesiekierski, który właśnie chodził po lesie z szafarzem, cechując sosny, wyznaczane do porębu zimowego, zwabiony głosem trąbki mojej. Tak oto nastąpiły te zapowiadane od dawna oględziny lasu przez Papę. Ale jakże inaczej ja sobie wyobrażałem, niż miały miejsce w rzeczywistości. Wyznam, że się tej inspekcji Papy zawsze obawiałem i że w sekrecie pragnąłem gorąco, aby nigdy do skutku nie doszła. Sądziłem, że Papa się będzie o wszystko dopytywać, że ze zwykłą arbitralnością i brakiem kurtuazji względem syna, którego uważa za „*quantité négligeable*“, wyszpera wszystko, aby tym łacniej skrytykować wszelkie rozporządzenia moje i wykazać swoją wyższość, a moją nieumiejętność czy niepraktyczność, że wreszcie, krytykując mnie, narazi na szwank mój autorytet wobec Biesiekierskiego. Niczego podobnego nie było. Poszliśmy najprzód w las nr XVIII pod Kaszyn, stamtąd zawróciliśmy granicą z powrotem, minęliśmy znowu leśniczówkę,

zawróciliśmy pod Konotopkę i stamtąd przez las serwitutowy, przez ruczaj Wiązowiec i cały Gaj przeszliśmy aż na kraniec ostatni do granicy bućkowskiej. Z początku Papa się trochę interesował, oglądał niektóre pojedyncze sztuki, coś niecoś zapytywał; ale bardzo rychło się biedak zmęczył i szedł ciężkim krokiem, powoli, jak odbywając pańszczyznę. Stracił werwę, mówił ciężko, a na las to już wcale nie patrzał, żal mi było biednego starego Ojca, bo widziałem, jak się wysila i z jakim zmęczeniem idzie, wypatrując tylko rychłego końca. Znając wszakże słabość Papy, który nade wszystko lęka się posądzenia o brak sił, udawałem, że nie dostrzegam Jego zmęczenia. Z tego też powodu nie mogłem zaproponować Papie wypoczynku, bo wiem, że poczułby w tym posądzenie zmęczenia i że to większą by Mu sprawiło przykrość, niż samo zmęczenie. Papa broni się przeciwko starości jak może i wysila się, żeby tylko zamanifestować swe siły, nadrabia miną i myśli, że tym oszuka czy siebie, czy innych. Smutna to rzecz – starość. Tak był Papa zmęczony, że już lasu nie widział i o nic nie rozpytywał i nie był w stanie się orientować. Wróciliśmy drogą przez Trusewicze. Na próżno się lękałem tej inspekcji Papy. Nie był to groźny i bezwzględny mentor, szukający okazji do karcenia, jeno słaby kochany starzec, zajęty troską o upozorowaniu sił, których mu brakło. Po powrocie do Wiązowca z lasu wypiliśmy herbatę i wyjechaliśmy z Papą do Chełmicy. Las na ogół nie bardzo się Papie podobał, choć co prawda niewiele oglądał. Sumiennie odbył pochód przez cały las, ale go właściwie nie obejrzał. Miał Papa przesadne wyobrażenie o cudach tego lasu, toteż rzeczywistość wydała się Papie bledsza, niż jest w istocie. Biesiekierski Papie się podobał, z czego rad byłem. W Chełmicy zastaliśmy Kazia i Stasia z żoną. Po kolacji i herbacie wcześnie poszliśmy z Papą spać.
W drodze Papa nagle dziś odezwał się do mnie: „Nie bałamuć tylko panny Janiny" (to znaczy Mademoiselle Jeanne), a gdym zapewnił, że nie żywię podobnych zamiarów, Papa dodał: „Bo może w tobie zakochać się", a po chwili znowu: „Tak ze wszystkiego wygląda, że jest w tobie zakochana". Zbagatelizowałem tę uwagę Papy, ale byłem wielce zdziwiony. Potem znowu, w kilka godzin później, Papa jeszcze raz wrócił do tegoż tematu, ale już z innej beczki: „A ty czybyś nie zakochał się w pannie Janinie?" Upewniłem, że nie. Widocznie Papa ma już zwróconą na to uwagę i niepokoi się, żebym czasem nie zechciał wdać się w jakąś romantyczną awanturę rozwodu i projektów małżeństwa z Mademoiselle Jeanną lub w ogóle jakichś niespodzianek miłości. Nie wie Papa, że mam inną żonę, niż ex-legalna Regina – to Anna moja.

11 (24) września, rok 1913, środa
Zabawiliśmy z Papą w Chełmicy u Kazia Wołodkiewicza do godz. 1 po południu. O 12 zjedliśmy obiad i zaraz po obiedzie wyjechaliśmy na kolej do Radoszkowicz. Tam rozjechaliśmy się z Papą w różne strony: Papa – na Mińsk i Bobrujsk w odwiedziny do Pruszanowskich i Mieczkowskich (do Bielcza i Robertowa), ja – do Wilna. O godz. 6 z minutami byłem w Wilnie. Wieczorem poszedłem do Jana Vileišisa, u którego w mieszkaniu odbyła się narada grupy członków wileńskiego litewskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (urzędowa nazwa towarzystwa: Trzecie Wileńskie T-stwo Wzaj. Kredytu). Ja należę do tego towarzystwa nie w moim imieniu, lecz za plenipotencją Anny, którą wpisałem na członka-udziałowca, wnosząc udział z oszczędności naszych, lokowanych na jej imię. Towarzystwo to jest bardzo młode, ale już ma dzieje niezwykle burzliwe. Inicjatorami jego byli głównie Domaszewicz i Morawski, dwaj byli esdecy litewscy, którzy dziś, ochłonąwszy z esdeckich porywów młodości, stali się okrutnie patriotycznymi i okrutnie praktycznymi mężami. Chcą oni dziś okrutnie zbawiać naród przez spekulacje finansowe, rozwój przemysłu i handlu, robienie pieniędzy i bogacenie się Litwinów, a ponieważ sami poczuwają się za członków narodu, więc oczywiście nie chcą zapominać i o sobie. Zakrzątnęli się oni, zwłaszcza Domaszewicz, bardzo

energicznie nad zorganizowaniem tego towarzystwa, które skądinąd niewątpliwie oddać może poważne usługi rozwojowi słabego jeszcze handlu i przemysłu litewskiego. Ale, organizując towarzystwo, mieli przede wszystkim siebie na względzie, żeby wytworzyć dla siebie placówki posad finansowych, dyrektorów nowego banku, na razie mało płatne, ale obiecujące na później stanowiska dochodowe i pewne. Morawski już w tym celu przeniósł się z Petersburgu do Wilna. Byli oni pewni sukcesu, gdy wtem stała się niespodzianka. Morawski jest w ogóle niepopularny i nielubiany, nie ma wiary i zaufania ludzi. Rozeszły się też rozmaite, może i wręcz fałszywe pogłoski o nim, podsycane przez niechęć i niewiarę w szczerość jego. Toteż na zebraniu organizacyjnym przeciwko kandydaturze Morawskiego powstała opozycja energiczna. Na próżno Domaszewicz i grono jego przyjaciół z dr Matulaitisem, Prusasem i innymi próbowało forsować swego kandydata. Ogromna większość, z Bułatem na czele, stanowczo kandydaturę tę odrzuciła. Domaszewicza natomiast chciano wybrać, ale on oświadczył, że tylko w takim razie przyjmie wybór, jeżeli wybrany będzie jednocześnie Morawski. Wybrano więc ostatecznie do zarządu (dyrekcji) Kimonta, Mašiotasa i Czesława Landsberga, do rady zaś sześciu innych, a pośród nich Bułata i Jana Vileišisa. Wolno było Domaszewiczowi i kompanii proponować Morawskiego, wolno było wyboru nie przyjąć, gdy Morawski wybrany nie został. Ale grupa Domaszewicza, Morawskiego i Matulaitisa wypowiedziała walkę na śmierć towarzystwu. Ogłosili oni zebranie i wybory za nieważne, zaczęli wymyślać jakieś kruczki formalne, pisali protesty, nie chcieli wydawać papierów i pieniędzy nowemu zarządowi, słowem – rozpoczął się skandal. W towarzystwie przewagę posiedli demokraci, toteż oni stali się celem pocisków. Na pojutrze zwołane jest nadzwyczajne ogólne zgromadzenie dla wyboru kilku członków do rady i jednego członka zarządu na miejsce Landsberga, który się musiał usunąć, i wreszcie dla rozpatrzenia i zlikwidowania protestów opozycji Domaszewiczowskiej. Na naradę dzisiejszą zebrało się 24 osoby u Vileišisa. Postanowiono na zebraniu pojutrzejszym odrzucić protesty opozycji jako niesłuszne, co zaś do wyborów, to do zarządu (dyrekcji) wybrać młodego Šilinga, do rady zaś na miejsce ustępujących wybrać Płatakisa, Smetonę i dr A. Vileišisa. Wreszcie zobowiązano się do solidarności na zebraniu pojutrzejszym.

12 (25) września, rok 1913, czwartek

Dziś, jeżeli tam tylko projekty nie uległy jakiejś zmianie, musiała moja Annin wyruszyć z wycieczką uczennic krasienińskich – w świat, do Galicji, to znaczy „za granicę". Cieszę się z tej rozrywki Anny i z tego, że dużo zobaczy ciekawego i kształcącego, co w jej umyśle wrażliwym ślad zostawi. Wyjazd też ten zbliża termin powrotu Anny do Wilna, co mię też niezmiernie cieszy, bo stęskniony do niej jestem – bardzo. Wieczorem byłem u Szklennika. Miał być i Witold Abramowicz i mieliśmy omówić sprawę projektowanego zjazdu, czy będziemy się starać dalej o pozwolenie na takowy i jaką drogą, czy nie. Witold wszakże nie przyszedł. Był tylko oprócz mnie i Szklennika – Jan Piłsudski. Rozmawialiśmy więc tylko w ogóle o sprawach kooperacji, o ciężkich warunkach prawnych, w jakich zmuszony jest rozwijać się wszelki ruch społeczny w kraju naszym, o stosunku komisji urządzeń rolnych do kółek rolniczych włościańskich itd. Szklennik bardzo zadowolony z udziału naszego Towarzystwa Popierania Kooperacji w wystawie drobnego przemysłu. Powiada, że zwiedzający wystawę chętnie się zatrzymują przy dziale kooperacji i że w ogóle zainteresowanie jest widoczne. Mnie się jednak zdaje, że jest niezupełnie tak. Ogół naszej publiczności jest jeszcze bardzo słabo uświadomiony w zakresie spółdzielczości, toteż dział kooperacji, pełny tablic, ksiąg rachunkowych, plakatów, książek poważnych wydaje mu się suchym, zwłaszcza że tuż obok eksponaty drobnego przemysłu nęcą oko barwą i deseniem, działającymi na

zmysły i nie wymagającymi dla przeciętnego widza skupienia uwagi. W istocie zaś kooperacja – to rzecz wielka przyszłości i potężna dźwignia dla tegoż drobnego przemysłu.

13 (26) września, rok 1913, piątek
Otrzymałem króciutki listek od Anny, datowany 24 września nowego stylu, tj. pozawczoraj. Zawiadamia mię Anna, że tegoż dnia, właściwie w nocy ze środy na czwartek o godz. 2, mają one, to znaczy cała wycieczka uczennic krasienińskich, wyruszyć pieszo z Krasienina do Lublina. Z Lublina dalej mają jechać pociągiem. Pisze Anna, że w podróży tej mają one połowę drogi odbyć koleją, połowę zaś pieszo. Nie rozumiem tego i nie wyobrażam sobie, gdzie w wycieczce po Galicji mogą one aż połowę drogi iść pieszo. Z listów Anny wiem, że mają być w Krakowie, w Zakopanem, w Galicyjskim Zagłębiu Węglowym, to znaczy w cząstce Galicji Zachodniej pod granicę rosyjską i Śląsk Cieszyński, gdzieś w stronach Krzeszowic. Rozumiem, że wycieczki piesze mogą one odbywać dla zwiedzania okolic Krakowa, kopalni węgla w Zagłębiu Zachodniogalicyjskim, wreszcie w Tatrach pod Zakopanem. Ale chyba kapitalne przejazdy z jednego miejsca w drugie będą zawsze odbywały koleją, bo inaczej wycieczka trwać by musiała o wiele dłużej, niż dwa tygodnie. Prosi mię wreszcie Anna o przysłanie jej pieniędzy do Lublina za tydzień, bo nie będzie miała za co wrócić do Wilna. Z tego wnoszę, że wycieczka nie potrwa dłużej nad jakieś dwa tygodnie. Wszakże przed 1 października nie chcę powrotu Anny, bo koło św. Michała będę w Bohdaniszkach i dopiero po św. Michale wrócę, a chcę być na jej przyjazd w Wilnie.
Wieczorem w lokalu „Ruty“ odbyło się ogólne zebranie III Wileńskiego (litewskiego) Towarzystwa Wzajemnego Kredytu. Wigilią zebrania, wczoraj, przeciwnicy zarządu i samego towarzystwa, mianowicie Domaszewicz, Morawski i Matulaitis, rozesłali do członków obszerne memoriały i odezwy drukowane, krytykujące ostro zarząd oraz rzekomą zachłanność grupy demokratycznej (zwłaszcza Bułata, Ślażewicza i J. Vileišisa), która, ich zdaniem, zagarnęła towarzystwo i prowadzi je do zguby. Domaszewicz i Morawski, którzy wystąpili już formalnie z towarzystwa i, jak słychać, zabierają się do organizowania nowego, nie byli na dzisiejszym zebraniu. Obecny był z ich grupy dr Matulaitis, który, choć także zgłosił swe wystąpienie, jednak zgłosił je w sposób nieformalny, toteż liczy się dotąd urzędowo członkiem. Na zebraniu opozycję Matulaitisa popierali tylko dwaj Smilgiewiczowie i Juraszajtis, ale nader nieumiejętnie. Zebranie olbrzymią większością odrzuciło wszelkie twierdzenia i wnioski tej opozycji o rzekomej nieprawomocności poprzedniego zebrania i wyboru zarządu i przeszło nad całą tą agitacją protestantów do porządku dziennego. Nie podobała mi się wszakże taktyka Ślażewicza, który przewodniczył na zebraniu dzisiejszym, i Bułata. Zbyt bezwzględnie traktowali oni opozycję i zamiast złagodzenia sprawy podrażnili i rozjątrzyli grupę protestantów. Ślażewicz zbyt kategorycznie i ostro przecinał dyskusję i w ogóle zachowywał się za szorstko, za bezwzględnie korzystał z widocznej większości. Bułat zaś, polemizując z Matulaitisem i Juraszajtisem, używał metody ośmieszania ich, korzystając ze swojej przewagi dialektycznej. Efekt osiągał wprawdzie jaskrawy, ale naturalnie przez to konfliktu i rozjątrzenia nie uśmierzał. A zdaje się, że w stosunku do Matulaitisa można byłoby osiągnąć pewne złagodzenie przy innej metodzie dyskusji. Ale Bułat dawał się unosić werwie demagogicznej, która mu zapewniała powodzenie z trybuny Dumy Państwowej, lecz tu nie bardzo była stosowna. Do zarządu i rady wybrano ogromną większością te same osoby, których kandydatury były ustalone na pozawczorajszej naradzie u Vileišisa.

14 (27) września, rok 1913, sobota
„Kurier Krajowy“ rozpoczął od wczoraj umieszczanie w piśmie, wśród tekstu, karykatur aktualnych ze stosunków wileńskich. Jako karykatury są one dobre, ale ja osobiście mam pewne wątpliwości co do tego, czy są one w piśmie stosowne. Nie przeczę, że przyczyniają się one do rozpowszechniania pisma, co w warunkach materialnych „Kuriera Krajowego“ jest rzeczą wielkiej wagi; jak wszelka sensacja, zwłaszcza podana w postaci dowcipnej i lekkiej, dają one powodzenie i rozgłos. Znam sam osoby, które nigdy „Kuriera Krajowego“ nie czytają, przynajmniej nie czytują w nim artykułów, a pismo kupują lub prenumerują tylko dla takich rzeczy, jak obecnie karykatury lub drukujące się od jakiegoś czasu sylwetki (charakterystyki) imienne radnych miejskich. Nie byłbym nawet bardzo przeciwny, jeżeli będzie zachowana miara i takt. W każdym bowiem razie, karykatura – to rodzaj sztuki, mogący mieć nawet pewne znaczenie społeczne jako satyra plastyczna; w każdym razie, mając cechę sensacji, stoi ona o niebo wyżej od innych sensacji prasy brukowej, takich jak opisy zbrodni, zwyrodnienia seksualnego itd., w których się lubują czytelnicy świstków brukowych i które szerzą jeno miazmaty zepsucia. „Kurier Krajowy“ i pod tym względem grzeszy czasem, co mu stanowczo mam za złe. Ale karykatura jest pod innym względem niebezpieczna. W pogoni jaskrawością wyrazu i dowcipem układu karykatura może przekroczyć w złośliwość lub, co jeszcze gorzej, w zupełną abnegację jakichś względów ideowych, byle tylko zdobyć efekt chwilowego powodzenia. Trzeba dużego taktu i zmysłu czystości ideowej oraz etyki, aby posługując się karykaturą nie nadużyć tej formy wypowiedzenia się. A tego właśnie Mańkowskiemu brak. Jest on zdolny, ruchliwy, ale taktu wielkiego nie ma, nie ma poczucia miary i harmonii ideowej. Jest trochę w rodzaju Jerzego Jankowskiego (Szuma), który, przy większych jeszcze zdolnościach, ma tę samą wadę braku czystości i braku taktu i miary. Dzisiejsza karykatura, przedstawiająca dr-ową Vileišisową z Donatem Malinowskim i garścią satelitów „litwomańskich” bardzo dobrze wykonana, ledwo że nie stała się takim wybrykiem, nie licującym z ideowym stanowiskiem pisma. Na karykaturze tej pochód p. Vileišisowej z orszakiem jest witany przez policjanta, salutującego doktorową. Otóż w głębi widniał na karykaturze tej kościół św. Jana w Wilnie, a u dołu miał być nadpis: „Nie kcemy po polskiemu!” – wyglądałoby, że to jest scharakteryzowanie znanych majowych zajść w kościele św. Jana lub w ogóle domagania się Litwinów ich praw językowych w kościołach. Zdawałoby się, że taką jest właśnie cała ta akcja: garść rozwydrzonych awanturników, zapalonych nienawiścią do polskości, w sojuszu z policjantem. Takie scharakteryzowanie ruchu, który ma głębsze podłoże kulturalne i społeczne, byłoby w jaskrawej sprzeczności z ideowym traktowaniem tych spraw w tymże piśmie. Dopiero na moją interwencję wykreślony został kościół św. Jana i zmieniony nadpis.

15 (28) września, rok 1913, niedziela
Odbyły się wybory do komitetu rodzicielskiego w gimnazjum Winagrodowa. Pomimo że wszyscy rodzice i opiekunowie byli wzywani i przez zaproszenia drukowane, i przez odezwy w całej prasie, i wreszcie osobiście, stawiła się ich ilość za mała. W kilku klasach, a w szczególności w V, w VI i w VII, brakło *quorum*, które jest wymagane w ilości ⅔ ogółu mieszkających w Wilnie. Trzeba było jeszcze telefonować, jezdzić, aby uzupełnić liczbę. Wreszcie *quorum* było ukompletowane. Rodzice rozeszli się po klasach. Ja, jako kurator Henrysia Wołłowicza, biorę udział w wyborach w kasie VII. Wybrani zostali w tej klasie do komitetu jednogłośnie ci sami, co w roku zeszłym, to znaczy dr Węsławski, p. Szachnowicz i ja. Wybory prezesa i wiceprezesa komitetu rodzicielskiego, których wybiera cały ogół rodziców, dokonały się też prawie

jednogłośnie. Zeszłoroczny prezes, p. Niedziałkowski, który wpierw nie chciał przyjąć kandydatury, zgodził się kandydować. Kandydatem na wiceprezesa był dr Węsławski. Żadnych kontrkandydatur, a przeto i żadnej walki czy agitacji wyborczej nie było. Obaj zostali wybrani. Tak więc komitet rodzicielski został ukonstytuowany. Tylko trzy szkoły wileńskie będą miały komitet w roku bieżącym – to nasze gimnazjum Winagrodowa, I gimnazjum rządowe (nazwane od roku przyszłego: gimnazjum im. Aleksandra I) i gimnazjum żeńskie Winagradowej. W innych szkołach wybory komitetu nie doszły do skutku z powodu braku *quorum*.
O godz. 6 pod wieczór byłem na zebraniu sekcji Čurlanisa przy Litewskim Towarzystwie Artystycznym. Zebranie było bardzo nieliczne – tylko 5 osób: członek zarządu sekcji Szyling, p. Granrogkowa, Jan Vileišis, inżynier Čurlis i ja. Projektowane jest wkrótce otwarcie stałej wystawy dzieł Čurlanisa. Zdaje się wszakże, że już we wrześniu nie można będzie wystawy otworzyć, bo czasu za mało. Postanowiliśmy otwarciu wystawy nadać charakter uroczysty. Rozesłane będą zaproszenia honorowe osobom wybranym, mają być przemowy. Co do przemów wszakże, to odbędą się one na otwarciu tylko o tyle, o ile gubernator pozwoli na przemówienia w innych językach, oprócz litewskiego i rosyjskiego. Gdyby wolno było przemówić tylko po rosyjsku i litewsku, bez polskiego, to postanowiliśmy wcale nie przemawiać, żeby nie drażnić Polaków. Na wniosek Čurlisa postanowiliśmy wydać katalog ze wstępem, zawierającym biografję i krótką rzecz o twórczości Čurlanisa. W sprawie umowy z wdową Čurlanisową o warunkach stopniowego zakupienia dzieł artysty przez sekcję na własność narodową, dotąd nic nie zostało ustalone. Čurlanisowa nie daje żadnej wyraźnej odpowiedzi i o jednym tylko myśli – żeby jak najwięcej wypompować pieniędzy z obrazów nieboszczyka męża i jak najmniej się związać zobowiązaniami. Baba jest strasznie chciwa.
Wieczorem byłem z Marynią na odczycie p. Tadeusza Dowgirda z Kowna o drobnym przemyśle domowym. Dowgird jest gorącym miłośnikiem sztuki ludowej, artystą, który rozumie i ceni twórczość kultury ludowej. Jest to człowiek, który cały swój zapał, całą energię życiową wkłada w ukochane przezeń dzieło poznawania i rozwoju kultury i sztuki ludu. Jest entuzjastą i człowiekiem czynu. Uważa się za Litwina i kocha lud litewski, składając całe swe życie w ofierze ukochanej przezeń sprawie. Odczyt jego był w ścisłym związku z obecną krajową wystawą drobnego przemysłu w Wilnie. Uchodzi on w sferach ziemiańskich i polskich za dziwaka, bo jest indywidualny i pełen entuzjazmu. Odczyt jego był bardzo sympatyczny, choć audytorium, niestety, było nieliczne.

16 (29) września, rok 1913, poniedziałek
Miałem dziś aż dwa spotkania niespodziewane z osobami, które znałem dawniej i z którymi łączyły mię kiedyś bliższe stosunki, a z którymi od dawna się już nie widziałem. Jeden – to Gabrys, Litwin. Poznałem się z nim w r. 1907 w Krzeszowicach pod Krakowem, gdzie spędzałem lato, pisząc moją książkę o odrodzeniu narodowym Litwinów – „Litwę". Gabrys dopiero co skończył wtedy uniwersytet, zdaje się – w Odessie, i wyjechał w świat za granicę, ponieważ w Rosji groziła mu odpowiedzialność za udział w ruchu włościańsko-rewolucyjnym w r. 1905. Gabrys znał mnie ze słyszenia, jako redaktora „Gazety Wileńskiej" i autora dłuższego i bodajże pierwszego w tym rodzaju artykułu o stosunkach narodowych na Litwie, drukowanego w r. 1906 w „Krytyce" i wydanego w broszurze osobnej. Wiedział, że sprzyjam Litwinom i słyszał, że piszę moją książkę. Przyjechał odwiedzić mię i zapoznać się ze mną w Krzeszowicach. Ja też wiedziałem trochę o nim ze słyszenia jako o działaczu ludowym z doby rewolucyjnej, młodym adepcie litewskiego kierunku demokratycznego.

Spędziliśmy z nim mile czas, nagadaliśmy się o sprawach i stosunkach krajowych do syta, co mi sprawiało wielką przyjemność z dala od kraju. Ponieważ Gabrys jechał stamtąd do Tylży, skorzystałem z tego, by go prosić o dostarczenie mi z archiwów stronnictw litewskich w Tylży rozmaitych druków, odezw i programów, które mi były potrzebne jako materiał do pracy. Istotnie Gabrys mi wielu materiałów dostarczył, za co wyraziłem mu podziękowanie we wstępie do mojej książki. Odtąd korespondencja nasza z Gabrysem trwała przez lat kilka.
Wyjechał on wkrótce do Paryża i tam zamieszkał. Z początku nawiązał tam stosunki z kolonią polską, miewał odczyty o Litwie, wstąpił do *Ecole des Sciences Politiques*. Stopniowo zapoznał się z działaczami francuskimi, wszedł w tok stosunków i ruchów społecznych we Francji i zajął się informowaniem opinii zachodnio-europejskiej o sprawach litewskich – w prasie, na naradach działaczy i polityków, na zjazdach itd. Zrobił sobie z tego specjalność i wykwalifikował siebie na coś w rodzaju ambasadora litewskiego wobec Europy. Przed paru laty założył w Paryżu Litewskie Biuro Informacyjne specjalnie w tym celu. W działalności tej zboczył na tory skrajnego nacjonalizmu, odrzucając całkiem grunt demokratyczny i skierował całą robotę na dyskredytowanie Polaków, uwydatnianie ucisku polskiego, godząc się natomiast coraz bardziej z państwowością rosyjską i akcentując coraz bardziej sympatie do sojuszu nacjonalizmu litewskiego z nacjonalizmem rosyjskim, wymierzonego przeciwko Polsce i Polakom. Na tej drodze posunął się do ostateczności; z demokratami litewskimi zerwał już zupełnie, natomiast zyskał poparcie i oklaski nacjonalistów. Dziś należy on już do nich, jest ich agentem. On to jest autorem artykułu w „La Croix", przed paru laty, on jeździł do Londynu na jakiś zjazd, zdaje się – etnograficzny, z referatem o sprawie litewskiej, on siedząc w Paryżu, pracuje cichaczem i otwarcie we wszelkich grupach i kierunkach nad dyskredytowaniem imienia polskiego, on wreszcie jest autorem głośniej deklaracji litewskiej, przesłanej w tym roku do londyńskiej Konferencji Ambasadorów, w której manifestacyjnie przeciwstawia lojalizm litewski względem Rosji – buntowniczości Polaków. Dziś spotkałem go niespodzianie w Banku Handlowym. Jedzie do Petersburgu w interesach i w przejeździe bawi w Wilnie. Kierunek działalności jego jest taki, że stał się on figurą niewątpliwie podejrzaną, mogącą być wprost agentem rządowym. Jego jazda do Petersburga, związana z jego działalnością, może mieć na celu takie „interesy", od których obym był jak najdalej. Przywitałem się z nim i zamieniłem parę słów zdawkowych, pożegnawszy czym prędzej. Jest on dziś „działaczem" najpodlejszego gatunku, pracującym na rzecz spodlenia i niewoli Litwinów. Od takiego osobnika wolę być jak najdalej.
Drugi, którego dziś niespodzianie spotkałem – to p. Łopieński, akwaforcista z Warszawy, człowiek bardzo sympatyczny i słodki, o wielkiej kulturze artystycznej, cichy i spokojny, ale rozumny. Bawił on cały rok w Paryżu, w r. 1904-1905, gdzieśmy się z nim poznali i byli w stosunkach bardzo przyjaznych i serdecznych. Odtąd nic nie słyszałem o nim. Przyjechał do Wilna dla poruszenia sprawy udziału Wilna w wystawie sztuki graficznej, która ma się odbyć w roku przyszłym w Warszawie. Chodziłoby o to, aby Wilno nadesłało swoje eksponaty, potem zaś ewentualnie wystawa ta mogłaby być do Wilna przeniesiona i uzupełniona działem retrospektywnym grafiki wileńskiej. Obiecałem moje pośrednictwo w tej sprawie, o ile zajdzie potrzeba.
Nocnym pociągiem wyjechałem z Wilna. Jadę do powiatu oszmiańskiego do naczelnika ziemskiego na sprawę mojego klienta Rajki.

17 (30) września, rok 1913, wtorek
Miałem dzień podróży męczącej. Celem mojej podróży było miasteczko Zaberezie (może po polsku: Zabrzezie) w powiecie oszmiańskim, gdzie dziś naczelnik ziemski

miał rozważać sprawę klienta mego p. Rajki z arendarzem jego folwarku, niejakim Raczkiewiczem. Miasteczko Zaberezie położone jest o kilka wiorst od stacji Listopady Kolei Siedlecko-Bołogojskiej. Z Wilna trzeba jechać albo pociągiem mińskim na Mołodeczno i stamtąd zawrócić na Listopady, albo pociągiem poleskim na Lidę i zawrócić stamtąd. Ale wczoraj nie zajrzałem zawczasu do rozkładu jazdy kolejowej i gdy się wieczorem zacząłem szykować do drogi i kombinować, jak jechać, to dopiero spostrzegłem, że ani na Mołodeczno, ani na Lidę na czas do Listopadów nie dojadę. Ponieważ zaś nie mogłem opuścić terminu, musiałem jechać do Smorgoń tylko koleją, a ze Smorgoń nocą końmi do samego Zaberezia. Z Wilna więc wyjechałem pociągiem nocnym i koło godz. 3 byłem w Smorgoniach. Ze stacji zajechałem do miasteczka Smorgoń do jakiegoś obskurnego hoteliku, w którym przekąsiłem i zdrzemnąłem się do godz. 5 ½ rano. O świcie furmaneczką żydowską potoczyłem się ze Smorgoń w pięciomilową drogę do Zaberezia. Woźnicę-Żydka miałem b. sympatycznego, koń dobry, ale za to siedzenie w karach nieznośne. Siedzenie było niskie, a że siano, z którego się składało siedzenie, pod moim ciężarem się ścisnęło, więc siedziałem zupełnie prawie na dnie kar z nogami przed siebie wyciągniętymi i w dodatku z tyłu nie miałem żadnego oparcia. Droga trwała długo. Dopiero koło godz. 11 dojechaliśmy do Zaberezia. Po drodze w wiosce Łoski (o wiorst ± 8 od Zaberezia) widziałem piękną majestatyczną pilkalnię litewską – stare grodzisko przedhistoryczne. Pilkalnia olbrzymia i typowa. Dziś ludność tu jest białoruska, ale niewątpliwie kiedyś musieli tu mieszkać Litwini, o czym świadczy pilkalnia. Kraj tu jest piękny, gatunek ziemi dobry. W Zabereziu naczelnika ziemskiego jeszcze nie było. Wypiłem herbatę i czekałem. Spodziewałem się dobrego rezultatu sprawy. Po południu przyjechał naczelnik ziemski. Koło godz. 3 była sądzona nasza sprawa. Pomimo zmęczenia, argumentowałem dobrze i treściwie. Były wszelkie szanse, że sprawa zostanie wygrana. Niespodzianie wszakże dla mnie – naczelnik ziemski zasądził na korzyść mego przeciwnika. Bardzo był dla mnie uprzejmy, wezwał mię po sprawie do osobnego pokoiku, częstował papierosem, gawędził, usprawiedliwiał się, że nie jest prawnikiem i że argumentacji jurydycznej dobrze nie kapuje (zaiste dziwny tupet „sędziego"!), więc zasądził tak, jak mu się zdawało, a niech sobie już zjazd w drodze apelacyjnej głowy suszy i decyduje ostatecznie. Rzeczywiście naczelnik ziemski nic się nie orientował w sprawie i w ogóle robi wrażenie człowieka głupiego. Z włościanami zaś jest brutalny, bezwzględny jak ostatni cham. Taki człowiek ma być tym wymarzonym opiekunem i ojcem włościan, jak tego chciał Aleksander III, stwarzając instytucję naczelników ziemskich! Rzeczywiście włościanie są zdani na łaskę i niełaskę samowoli takiego naczelnika, który ani zna prawo, ani szanuje włościan, ani ich za ludzi uważa. Zna on tylko jedną siłę – to łajanie brutalne i przymus. Zabija do reszty poczucie prawa i zmysł obywatelski zbiedzonych i zahukanych włościan. Po sprawie wyjechałem do Listopadów na pociąg. Z Listopadów do Mołodeczna jechałem z jakimś młodym księdzem z Grodna, który się okazał Białorusinem, co jest rzeczą rzadką. Ale choć jest patriotą białoruskim i należy do grupy, subsydiującej organ katolicko-białoruski „Biełarus", obawia się radykalnego stawiania kwestii białoruskiej w sprawach kościelnych, aby to się nie zwróciło na młyn rosyjsko-prawosławny, wobec zupełnego nieuświadomienia narodowego chłopców-Białorusinów. O godz. 11 wieczorem byłem już w Wilnie.

18 września / 1 października, rok 1913, środa
Całe poobiedzie aż do nocy upłynęło mi na pisaniu artykułu o odrodzeniu narodowym Litwinów dla nowego pisma dla młodzieży, zaczynającego wychodzić w Warszawie pod nazwą „Z bliska i z daleka". Pismo to wychodzić będzie pod redakcją p. Stefanii

Sempołowskiej, znanej literatki z obozu postępowego. Kierunek pisma będzie, zdaje się, szczerze postępowy, bez domieszki modnego obecnie w postępie warszawskim prądu antysemickiego, dochodzącego do żądania ograniczeń prawnych dla Żydów i zaprzeczającego zasadniczym hasłom humanizmu. Gazety nacjonalistyczne i klerykalne z góry już trąbią, że to będzie pismo żydowskie, że należy strzec młodzież od zgubnych jego wpływów. Dla nich wszystko, co staje pod hasłem humanizmu, demokracji, swobodnej myśli, wyzwolenia ludu, jest „antynarodowe" i „obce", jak gdyby kultura polska miała być płaszczykiem dla uprawiania obskurantyzmu klerykalnego i interesu szlachecko-mieszczańskiego.
Tygodnik „Z bliska i z daleka" przeznaczony jest dla młodzieży 14-15-letniej. Przed tygodniem otrzymałem od redaktorki Sempołowskiej list, w którym mię zawiadamia, że z okazji 500 rocznicy Unii Horodelskiej ma być wydany numer specjalny, poświęcony tak rozważaniu historycznemu tej rocznicy, jak życiu obecnemu ludów, z którymi ongi połączyła Polaków ta unia, to znaczy Litwinów i Rusinów. U mnie, jako znawcy stosunków litewskich, zamawia Sempołowska artykuł o odrodzeniu narodowym Litwinów i o ich stanie rozwoju obecnym. Tę właśnie pracę dziś wykonałem, chociaż obawiam się, czy nie będzie ona niedostępna dla młodzieży 14-letniej. Ująłem temat głęboko, ale może dla poziomu umysłowości podlotków za głęboko. Żałowałbym, gdyby artykuł się zmarnował, bo jest dobrze napisany i przeto wartościowy. Wyślę go, a niech już tam Sempołowska decyduje.

19 września / 2 października, rok 1913, czwartek
Spotkałem się dziś w sądzie z Witoldem Abramowiczem, który na stereotypowe zapytanie moje: „Co słychać?", odparł na wpół żartobliwie, na wpół znacząco: „Cóż, kiedy nie wiem, jak z tobą mówić". Zrozumiałem, że to niby wymówka, niby aluzja do tego, żeśmy się rozeszli i oddalili w naszych stanowiskach ideowych i dążeniach, tworząc dziś dwa kierunki, choć może w pewnych punktach odrębne, ale przecież zasadniczo różne. Wiem, że Witold Abramowicz boleje nad rozdziałem naszym, może nie tyle sentymentem, ile rachunkiem, ponieważ posiadanie mię w szeregach swej grupy ideowej uważa za atut dodatni. Pragnąłby on skupić wszystkie elementy choć trochę pokrewne pod jednym sztandarem; zawsze do tego dąży i zawsze to na prawo, to na lewo mu się ludzie, na których chciałby liczyć, wymykają. Mam skądinąd szczerą sympatię dla Witolda Abramowicz, którego ceni, jako człowieka ideowego i zaiste nie przez fantazję, lecz z konieczności ideowej musiałem od wiosny wystąpić z szeregów tej grupy „przeglądowej" czy jakkolwiek byśmy ją nazwali, którą Witold tak troskliwie budował. Zbyt głębokie rysy różnic ujawniły się między moim stanowiskiem przekonaniowym z coraz wyraźniejszą ewolucją tej grupy w kierunku nacjonalistycznym, zbaczającym od założeń demokratycznych i krajowych. Moje wycofanie się z szeregów tej grupy było jeno aktem szczerości. W tonie żartobliwym oświadczyłem Witoldowi, że oczywiście, jeżeli ma jakieś sprawy poważne na sercu, które tylko wtajemniczonym mógłby wyjawić, to nie nastaję, ale że znów tak dalece nie staliśmy się sobie obcy, abyśmy nie wiedzieli, jak ze sobą mówić. Na to Witold wciąż w tym samym tonie, akcentując wszakże dobitnie aluzję, powiedział, że tak się przecie złożyło, iż oni poszli za Warszawą, ja zaś wybrałem Petersburg. Teraz zrozumiałem wyraźnie, o co chodzi, a jednocześnie pojąłem, że za aluzją tą kryje się pewna propozycja, chęć pomówienia, maskowane żartem. Stary dyplomata Witold nie przestaje układać kunsztownych kombinacji i snuje swoją robotę. Przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie byliśmy sami. Wiedziałem, że Witold mówi o tym związku różnonarodowych elementów demokratycznych, który trwa u nas od lat kilku i z którego on z gronem „przeglądowców" się na wiosnę wycofał, a w którym ja i z

Polaków jeszcze Zasztowt zostaliśmy. W związku z tym zostałem wyłącznie przez uznanie solidarności demokracji krajowej, nie zaś dla Petersburga. Petersburg jest dla nas w tej sprawie martwy, a że z Petersburga czy w ogóle z Rosji przyszła do nas forma, która niby trwa, to nie przesądza charakteru rzeczy. Idea jest w tym krajowa i li tylko przez nią i dla niej na gruncie postulatów humanitarnych jesteśmy sami połączeni dla działania tu i oddziaływania na Petersburg. Ani na chwilę nie myślimy się od Petersburga uzależniać i być jego sługami. Od dawna słyszałem, że secesja polskiej grupy „przeglądowej" ze związku była połączona ze skonsolidowaniem się jej na gruncie innej formy związkowej takiejże, mianowicie norodowo-polskiej. Teraz Witold mi to wyraźnie potwierdził całą treścią rozmowy swojej. Zaproponował mi wreszcie, żebym może przyjął na siebie pośrednictwo w zainicjowaniu takiejże formy związkowej narodowo-litewskiej jako zupełnie samodzielnej, z tym, że potem takie swobodne związki narodowe mogłyby się porozumiewać między sobą jako równe z równymi, tworząc skupienia odrębnych idei państwowych. To samo mogłoby, zdaniem Witolda, powstać z czasem u Białorusinów. Witold prosił mię, abym o tym pomyślał. Sądzę, że z tego nic nie będzie i że potrzebna jest właśnie wspólna krajowa forma demokratyczna.

20 września / 3 października, rok 1913, piątek
Miałem dziś aż trzy obrony karne w Sądzie Okręgowym z udziałem sędziów przysięgłych. Ponieważ jestem bardzo nerwowy i wszelkie wystąpienia publiczne, szczególnie może w sądzie i to zwłaszcza karnym, porusza mię bardzo, więc ten dzień trzech obron z góry mię niepokoił i zastraszał. Była to jakby zmora, którą przez cały tydzień czułem wciąż obecną jak jakieś fatum, które przyjść musi. Wszystkie trzy sprawy – były to drobne nędzne kradzieże, popełnione przez recydywistów, złodziei zawodowych: kradzież pary bucików z magazynu obuwia, kradzież paltotu w hotelu Żorża i kradzież kieszonkowa zegarka na Placu Łukiskim podczas jarmarku. Sprawy same przez się nędzne, nie bardzo zasługujące na uwagę i na takie napięcie nerwów, jakiego doświadczałem, zwłaszcza że i winowajcy byli nieciekawi, należący do szumowin społecznych. Ale wystąpienie publiczne na sądzie działa na mnie samo przez się, niezależnie od sprawy, o którą chodzi.
Spraw ogółem sądzono sześć – w trzech obronę wnosiłem ja, w trzech innych – młody pomocnik adwokata Kosiński. Choć się przygotowałem do obron wczoraj z wieczora, jednak z doświadczenia wiedziałem, że podniecenie nerwowe w chwili samego wystąpienia sprawia, że się zapomina poprzednie przygotowanie i że najczęściej wypada ostatecznie improwizować. Podniecenie zaś wyraża się u mnie bądź w postaci depresji, a wtedy brak mi słów, frazesy wychodzą z ust ociężałe i niezgrabne, myśl działa bez sprężystości, głos nawet staje się jakiś martwy, bądź też w postaci niezwykłego wytężenia władz, kiedy myśl, a za nią słowo biegnie płynnie, wyrazistość mowy staje się plastyką, natchniona intuicja tworzy sama, bez udziału refleksji, klarując świadomość i wyrażając doskonale cały tok rozwiązania zadania. Nigdy nie mogę przewidzieć z góry, czy nastąpi depresja czy wytężenie. W pierwszej obronie, choć nie miałem osobliwej depresji, byłem bezbarwny. Druga obrona była już żywsza, bardziej zaakcentowana, ale jeszcze niedoskonała. Potem szły sprawy Kosińskiego, który biedak bardzo się nerwował i, przeceniając siły swoje, próbował zwrotów krasomówczych, łamiąc się na nich, plącząc i zbijając z toku, że aż go żal było słuchać. Podniecenie moje, z powodu długiego czekania na ostatnią obronę, doszło do zenitu, rozpalając mię do natchnienia. Czułem się już mocny i pewny siebie, zdolny do twórczości. Jakoż w ostatniej obronie osiągnąłem pełnię ekspresji i wypowiedziałem mowę dobrą. Czułem się zadowolony, rad z sukcesu. Sędziowie przysięgli wszystkich oskarżonych uznawali

bez pardonu za winnych. Ostatniego wszakże oskarżonego, złodziejaszka z Łukiszek, uniewinnili. Wyszedłem z sądu o godz. 5 po południu. Długie podniecenie tak mię wyczerpało, że już nic potem pracować nie mogłem.

21 września / 4 października, rok 1913, sobota
Przez cały dzień załatwiałem pośpiesznie rozmaite interesy, ponieważ dziś wieczorem wyjeżdżam z Wilna na cały tydzień.
Od Anny nie miałem listu od czasu, jak wyjechała na wycieczką galicyjską. Tak ją prosiłem, aby mi stamtąd napisała – i nic. Zresztą może jeszcze list nadejdzie, ale szkoda, że w czasie mojej nieobecności. Poprosiłem Marynię, aby mi odsyłała listy do Bohdaniszek. Wycieczka Anny ma się już zapewne ku końcowi, bo już przeszło 10 dni, jak wyruszyła, a wycieczka miała trwać koło dwóch tygodni. Pisałem do Anny, aby po powrocie z wycieczki do Krasienina nie wracała zaraz do Wilna, ale jeszcze kilka dni zabawiła w Krasieninie, aż ja wrócę do Wilna, bo chcę ją spotkać.
Wieczorem dziś złapał mię na ulicy Mańkowski i domagał się, abym dał ze 25 rb. na „Kurier Krajowy“, bo dziś dzień wypłaty, a w kasie pusto. Interesy „Kuriera Krajowego“ są teraz lepsze, ale deficyt wciąż jeszcze jest duży. Musiałem dziś, niestety, odmówić, bo już mię nie stać na ciągłe subsydiowanie pisma. Zaiste ludzie w Wilnie przeceniają w Wilnie moje środki materialne i liczą mię za „bogatego“, co jest grubą pomyłką. Zeszłej zimy Mańkowski wycisnął ze mnie obietnicę dawania miesięcznie po rb. 10 na „Kurier Krajowy“. Oczywiście, że poza tymi 10 rb. wyciągnął ode mnie nieraz znacznie więcej, bo trudno odmówić w chwilach krytycznych. Teraz wszakże, w sierpniu i w wrześniu, szczególnie dużo na pismo dałem ponad normę miesięczną, a już i miesięczne ratówki wpłaciłem z góry i za wrzesień i za październik. Wydatków i wypłat mam w tych czasach moc, tak że kieszeń moja jest strasznie nadszastana. Mańkowski był zły na mnie, że mu odmówiłem, uważa to za dowód obojętności mojej dla pisma; zapowiada, że wobec tego numer jutro nie wyjdzie i to właśnie z mojej winy. Gdybyż znał stan mojej kasy!
O godz. 8 z minutami wieczorem wyjechałem z Wilna. Jadę na Radziwiliszki do Rakiszek, żeby dojechać jutro raniutko. Jadę teraz na kiermasz (tzw. kiermasz św. Mateusza) dla kupna konia, którego potrzebuję do Wiązowca. Dopiero z Rakiszek po kiermaszu pojadę do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach zabawię już do św. Michała, to znaczy cały tydzień.

22 września / 5 pażdzienika, rok 1913, niedziela
Wyspałem się w drodze nieźle. Od Wilna do Radziwiliszek spałem jednym ciągiem, w Radziwiliszkach przesiadłem z pociągu na pociąg; na razie miejsca nie było, ale po przejechaniu dwóch pierwszych stacji położyłem się w przedziale I klasy i spałem znowu aż do Rakiszek, gdzie stanąłem koło godz. 6 ½ rano. Na stacji spotkał mię Kazimierz, który przyjechał po mnie jednym koniem linijką kurlandzką. Ponieważ do targu końskiego było jeszcze daleko, bo dopiero po południu targ ten się na dobre zaczyna, więc uradziliśmy z Kazimierzem pojechać na śniadanie do Kowaliszek. Tak też zrobiliśmy. Zdziwienie było wielkie w Kowaliszkach, gdy mnie zobaczono. Spędziłem tam czas do obiadu i dopiero koło godz. 2 ½-3 pojechałem do Rakiszek na kiermasz. Zastałem tam ekonoma Ignacego Kulisa z wioski Bohdaniszek, którzy pomogli mi oglądać konie. Wybór był niewielki. Koni prostszych roboczych, zwłaszcza starych i brakownych, było dużo, ale lepszych „gospodarskich“ – mało. Transakcje też szły słabo, nie było kupców z Prus, nie było ruchu. Dla mnie wybór był jeszcze mniejszy z tego powodu, że nie chciałem ogiera, tylko konia-wałacha lub jeszcze lepiej – klacz. Parę tylko koni znalazło się takich, o które ewentualnie chciałem tentować.

Zwłaszcza mi się podobała jedna klaczka, ciemnosiwa, dobrze zbudowana, młodziutka, na trzecią zimę, dość wysoka i kształtna. Sprzedawała ją jakaś szlachta folwarkowa. Cena była wielka, 170 rb., ale klaczka warta tych pieniędzy. Młoda, więc jeszcze w cenie pójdzie w górę, a i ze źrebiąt byłby dochód. Trochę się tylko bałem, żeby mi jej w Wiązowcu nie zepsuli, ale już się decydowałem ją kupić. Dawałem 155 rb., ale szlachta niżej 170 nie ustępowała. Był jeszcze drugi konik siwy, pięcioletni, też niezły, za 150 rb., którego też ewentualnie mógłbym kupić. Wszakże zapaliłem się już do klaczki i chciałem ją nabyć. Posłałem więc znów ekonoma, aby się jeszcze raz spytał, czy nie ustąpią coś z jej ceny. Niestety – właściciele klaczki na rynku już nie było; wieczór się robił, ludzie się zaczęli rozjeżdżać i moja szlachta z klaczką już się wyniosła. Byłem bardzo obżałowany, ale nie było co robić. O koniku siwym za 150 rb. już nie myślałem. Wyjechałem z Rakiszek – bez konia. O godz. 7 ½ wieczorem przyjechałem do Bohdaniszek.

23 września / 6 października, rok 1913, poniedziałek
Znowu dziś pojechałem do Rakiszek, próbując kupić konia. Liczyłem na to, że na dzisiejszym, zwykłym kiermaszu tygodniowym, wypadającym nazajutrz po wielkim kiermaszu Mateuszowkim, koni będzie więcej niż zwykle i że uda mi się może coś kupić. Żywiłem też poniekąd nadzieję, że może szlachta wczorajsza przyprowadzi znowu tę klaczkę, na którą miałem wielką ochotę. Rachuby moje pod wszelkimi względami zawiodły. Nie było szlachty z klaczką, nie było żadnego wyboru koni. Trochę było starych szkap, dość dużo małych rocznych źrebiąt, kilka młodych braków – i wszystko. Koników roślejszych i piękniejszych, poza brakami, nie było wcale. Był tylko zwykły jesienny towar koński targów poniedziałkowych. I już targ koński był nie na dużym placu w polu za cerkwią, jak wczoraj i jak zawsze na dużych kiermaszach, jeno w końcu rynku za pocztą, przy drodze do dworu. Oglądałem konie z lokajem Kazimierzem, Stanisławem Janką i Ignacym Kulukiem. Był jakiś konik względnie niezły jakiegoś włościanina z Wiżejć, jasny kasztanek czteroletni, dość krępy, ale za mały dla mnie i trochę spędzony na nogi przednie; właściciel prosił zań 115 rb. Nie zdecydowałem się go kupić, choć to był jedyny, o którym warto było się zastanowić. Coraz więcej żałuję, że nie kupiłem wczoraj tej klaczki siwej lub przynajmniej konia siwego za 150 rb. Teraz chyba będę musiał znowu przyjeżdżać z Wilna za parę tygodni na wielki koński kiermasz komajski w początku października, co mi jest bardzo nie na rękę. Wróciłem więc znowu z Rakiszek – bez konia – na wieczór do Bohdaniszek. Wielka szkoda, że tak straciłem tę okazję wczorajszego kiermaszu.

24 września / 7 października, rok 1913, wtorek
Rano Papa wyjechał do Wilna; jedzie na zjazd koleżeński byłych wychowańców b. Instytutu Szlacheckiego w Wilnie, który istniał w połowie w. XIX (zdaje się, że skasowany został w czasie lub po powstaniu, to znaczy koło r. 1863). Zjazd ten ma się odbyć jutro. Papa korzysta zresztą skwapliwie z każdej okazji, aby się wyrwać do Wilna i „przewietrzyć".
Cały dzień wysiedziałem w domu, w wielkim pokoju przy Mamie. Czas mi schodził trochę na rozmowie z Mamą, głównie zaś na pisaniu listów i odrabianiu rozmaitej pisaniny w sprawach moich klientów. Żeby dać Mamie korzystać z mojej obecności, pracowałem ciągle przy niej, nie zaś u siebie na górze. Mama jest cała zajęta kwestią posady Stefanostwa Mieczkowskich w Bielczu. Mieczkowscy zażądali od Pruszanowskich podwyższenia pensji o 200 rb. rocznie (z 800 rb. na tysiąc); Ezechiel nie zgodził się na podwyższenie i Mieczkowscy mają teraz szukać innej posady. Wprawdzie Mieczkowscy mają być jeszcze cały rok u Pruszanowskich, ale już w

zasadzie rzecz ustąpienia ich jest postanowiona. W rodzinie naszej wszyscy uważają, że Mieczkowscy robią głupstwo, a Mama to najbardziej bierze do serca. I rzeczywiście Mieczkowscy, zdaje się, kapitalnie się mylą w rachubach. Mają w Bielczu stanowisko niezależne, mają wygodę, siedzą w osobnym majątku, mają dom cały dla siebie, trzymają pięć krów, mnóstwo ptactwa, oprócz tego Stefan dzierżawi kilkaset dziesięciu łąk, z czego też ma zysk dodatkowy. Nigdzie tych warunków i tej wygody Stefan i Elwira mieć nie będą na posadzie prywatnej, choćby nawet pensja była nieco wyższa. Zawsze będzie zależność skrępowania, a najczęściej i środowisko administracji dóbr, pełne intryg itd. Ale Stefan i Elwira chcą i umieją dostrzegać przeważnie strony ujemne tego, co jest, i są zawsze niezadowoleni. Nie powiadam, żeby mieli raj u Pruszanowskich, ale tu Stefan siedzi już mocno, jest ceniony i potrzebny i w przyszłości coraz bardziej może liczyć na wzmocnienie i polepszenie swego stanowiska. U obcych na posadzie prywatnej w dobrach ziemskich może być o wiele gorzej.
Bardzo mało wychodziłem dziś z domu. Dzień był piękny, słoneczny i suchy, ale zimny. Rano był wielki przymrozek. Chodziłem tylko trochę po dziedzińcu i do ogrodu. Widziałem pieska Czuwaja, syna Kurty, który się hoduje dla Bohdaniszek. Wyrósł już, jest wesoły i ładny. Zapewne wyrośnie na wielkiego psa. Kurta już starzeje, ma 8 lat, a biedny Żuczek przeznaczony jest, zdaje się, na prędką zagładę. Żuczek jest stary, ma lat 9, ale jeszcze ma się nieźle, zwłaszcza po ciężkiej chorobie (całkowity paraliż), którą miał przed czterema laty. Żuczek jest niezwykle przywiązany do mnie, po prostu mnie ubóstwia – biedne psisko. Utworzyła mu się tzw. bolenizna na plecach, to znaczy takie liszaje świerzbiące i sierść spełzła w kilku miejscach. Choroba ta jest zaraźliwa dla innych psów i w ogóle nieprzyjemna, nawet obrzydliwa. Papa chce kazać Żuczka zastrzelić.
Pod wieczór przyjechała na parę godzin p. Hermancja Przeździecka. Oboje Przeździeccy teraz mi się o wiele więcej podobają niż dawniej; oczywiście, mają oni wady swoje i jako ludzie, i z pochodzenia, i stanowiska swego. Może być, że p. Przeździecka jest trochę pyszna i trochę lekceważąca dla osób, które nie dorównują jej urodzeniem i stanowiskiem, choć teraz to mi się mniej widocznym być zdaje. Ale jeżeli nawet tak jest, to winno może temu raczej pochlebstwo, które ją otacza i które ona musi dostrzegać, niż jej własny popęd. W każdym wszakże razie, ma ona i zasługi społeczne; dużo robi dla Rakiszek, dużo świadczy dla wszelkich zapoczątkowań kulturalnych, organizuje wiejski przemysł tkacki w Rakiszkach, utworzyła szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt w Abelach, bardzo pożyteczną itd. Nie jest to przecie tylko lalka, arystokratka, myśląca wyłącznie o sobie. Usiłowania jej są pod wielu względami bardzo dodatnie.
Otrzymałem list od Sempołowskiej, redaktorki nowego pisma dla młodzieży pod tytułem „Z bliska i z daleka". Pisze, że artykuł mój (o odrodzeniu narodowym Litwinów) spóźnił się, niestety, bo numer pisma, poświęcony rocznicy Unii Horodelskiej, dla którego był przeznaczony mój artykuł, już wyszedł. Bardzo z tego powodu ubolewa, bo artykuł mój się jej podobał. Powiada wszakże, że panna Kosmowska chce drukować ten artykuł w „Zaraniu", więc zapytuje mię, czy na to pozwolę. Odpisałem, że nie tylko pozwolę, ale będę to poczytywać za zaszczyt dla siebie, bo uważam „Zaranie" i cały ruch zaraniowski ludowy za jedno z najszczytniejszych działań w kulturze polskiej.

25 września / 8 października, rok 1913, środa
Mama jest coraz bardziej przejęta sprawą Mieczkowskich, zgorszona ich zamiarem opuszczenia Bielcza i szukania innej posady. Cały czas o tym prawie wyłącznie mówi i ulega, jak zawsze, gdy jest czymś poruszona, gorączce działania, a przynajmniej pisania

listów, bo żadnej innej formy działania nie ma. Nadzwyczajna jest żywotność Mamy i temperament, mało stępione przez wiek. O ile fizycznie jest Mama sterana i niedołężna, o tyle pod względem umysłu i woli jest jeszcze pełna energii i sprężystości. Nie umie się zdobyć na spokój filozoficzny, jest zawsze gorąca, bierze niektóre rzeczy ogromnie do serca, zapala się w kierunku jednostronnym, mając umysł agitatorski i nie umiejąc zachować obiektywizmu. Pisze teraz bruliony listów, odczytuje mnie, radzi się, potem znów pisze nowe, bardziej jaskrawe, chciałaby już jechać do Kowaliszek, żeby się nagadać o tej kwestii z Zysiem i Elizką, wypowiedzieć swoje oburzenie i swoje argumenty, układać plan działania itd.
Napisałem przed obiadem artykulik na temat o legendzie mordów rytualnych z powodu procesu Bejlisa w Kijowie, oskarżonego o zabójstwo rytualne chłopca chrześcijańskiego. Ponieważ prasa polska (prawie cała) dyskretnie przemilcza tę sprawę lub się ogranicza do notatek informacyjnych, bojąc się wobec popularnego antysemityzmu wystąpić otwarcie z potępieniem ohydnej insynuacji, rzucanej na Żydów, więc uważałem, że należy tym bardziej wypowiedzieć się w tej sprawie wyraźnie i kategorycznie, chociażby oportunizm nakazywał milczenie. Nie wolno bowiem dla oportunizmu poświęcać elementarnych wskazań humanizmu, który należy „*quand même*“ szczepić w prasie polskiej, pomnąc na wielką rolę pierwiastków humanitarnych w kulturze. Artykulik ten, przeznaczony dla „Kuriera Krajowego“, przesłałem do Wilna.
Chodziłem po obiedzie na spacer do Karwieliszek dla obejrzenia mego krzyża oraz budującej się tam nowej odryny. Słońce świeciło ładnie, było sucho i nawet dość ciepło. Towarzyszyły mi w spacerze psy – Żuczek i Kurta. Po powrocie nakarmiłem konie stajenne burakami, potem byłem w wannie. Poza tym, spędziłem dzień w domu.
Poczta nie przyniosła mi oczekiwanego listu od Anny. Prosiłem Marynię, aby mi tu listy moje odsyłała, ale widocznie nic nie było. Nie wiem nawet, gdzie jest Anna – czy jeszcze na wycieczce w Galicji, czy już może wróciła do Krasienina. Pisałem do niej, że już w następny poniedziałek lub wtorek może wyjechać do Wilna.

26 września / 9 października, rok 1913, czwartek
Strasznie był brzydki dzień. Od rana kropił deszczyk, wiatr huczał po drzewach, potem wilgoć zasnuła powietrze mgłą. Widok był smutny i posępny. Siedziałem w domu, na spacer nie wychodziłem wcale. Trochę tylko pochodziłem po dziedzińcu, ale wilgoć była tak przykra i przenikliwa, że czym prędzej wróciłem.
Pod wieczór zabrałem się do dalszego ciągu mojej obszernej odpowiedzi na ankietę narodową trudowików. Pracę tę traktuję bardzo obszernie, dając całkowite tło historyczne formacji narodowej naszego kraju (Litwy i Białej Rusi). Mam wrażenie, że traktuję tę pracę zanadto głęboko, nie w stosunku do zadań ankiety, ale skoro się już wciągnąłem do roboty, nie chcę jej przerywać do końca. Spodziewałem się ją wykończyć przez czas mego obecnego pobytu w Bohdaniszkach, ale kilka dni zużyłem na inne zajęcia i obecnie mi na tę pracę tylko jeszcze dwa dni, oprócz dzisiejszego, zostaje.
Z poczty znowu nie doczekałem się listu od Anny. Może jeszcze Papa mi go jutro z Wilna przywiezie. Wycieczka Anny musiała się już chyba skończyć. Jeżeli jej jeszcze nie ma w Krasieninie, to chyba lada dzień przyjedzie i będzie się już wybierała do powrotu do Wilna.
Marynia w Liście do Mamy przysłała wycinek z „Kuriera Krajowego“; jest to artykuł wstępny podpisany przez „Wiesława Kalinowskiego“ (pseudonim Antoniego Łuckiewicza), omawiający ofiarność Wilnian bez różnicy wyznania na „kwiatek“ sprzedawany w tych dniach w mieście na rzecz towarzystwa dobroczynnego

żydowskiego. Ofiarność ta, jako wyraz solidarności ludzkiej w rzeczach pomocy bliźnim, bez oglądania się na narodowość i wyznanie potrzebujących, zamanifestowana w czynie zbiorowym, zestawiona jest w artykule z ohydnym procesem kijowskim Bejlisa, w którym wyciągana jest znowu krwawa potworna legenda o rytualnej krwi chrześcijańskiej, używanej rzekomo przez żydów. Dziwi mię, że Maryni ten artykuł się podobał, bo jest on pisany w duchu równości i braterstwa względem Żydów, a Marynia w gruncie, jak cały nasz świat „pański", hołduje antysemityzmowi.

27 września / 10 października, rok 1913, piątek
Dzień był jeszcze brzydszy od wczorajszego – taki, jak w później jesieni: od rana było mokro i zimno, dął ostry wiatr północny. Koło południa z deszczem zaczął padać śnieg, drobny, przenikliwy, smagany wiatrem. Temperatura spadła niżej 0 i na dworze rozszalała zawieja; wkrótce biały całun zaczął pokrywać trawę i liście drzew. Nie wychylałem się zupełnie z domu. Pisałem dalej moją pracę – odpowiedź na ankietę trudowików. Jeżeli tak będzie na św. Michał, to chyba niewielu gości się doczekamy. Wieczorem wrócił Papa z Wilna. Przywiózł mi list od Maryni, która mi odsyła depeszę z Wilna. Jest to depesza od Anny mojej, wysłana z Warszawy tej treści: „Сегодня выеду девять вечером. Вольбергъ." Depesza wysłana pod datą wczorajszą; znaczyłoby to, że Anna dziś już do Wilna przyjechała. Nic nie rozumiem, jak się to wszystko stało. Czyżby Anna, wracając z wycieczki galicyjskiej, nie zajeżdżała do Krasienina, lecz wprost z Warszawy zawróciła do Wilna? Ale przecie nie brała ze sobą na wycieczkę wszystkich rzeczy swoich, musiała więc chyba po nie zajechać do Krasienina? A zresztą musiała przecie przed powrotem odebrać pieniądze w Lublinie, o które sama mię prosiła i na które przekaz posłałem jej do Krasienina? Jeżeli zaś zajeżdżała do Krasienina, to musiała z listów moich dowiedzieć sę, że wyjechałem z Wilna i że ją proszę o zaczekanie do mego powrotu do Wilna do poniedziałku przyszłego? A jeżeli nawet nie mogła zaczekać i musiała już wracać, to po cóż było telegrafować do mnie do Wilna, wiedząc z listów moich, że mnie w Wilnie nie ma? Moja Annin zawsze mi jakiegoś figla spłata i zrobi własną głową, nie licząc się ze zleceniami mymi. Tak już przeczuwałem, że akurat jej powrót wypadnie na czas mojej nieobecności w Wilnie. szkoda. No, ale niech już tam. Grunt w tym, że Anna już jest w Wilnie, to znaczy, że już ją mam i że skończyło się sieroctwo moje. W poniedziałek, wracając do Wilna, zastanę ją. *Vivat*!

28 września / 11 października, rok 1913, sobota
Nadspodziewanie po szkaradnym dniu wczorajszym od samego rana pogoda dziś była śliczna. Kładąc się wcześnie spać w Bohdaniszkach, budzę się też rano wcześnie, o świcie i już spać nie chcę. Czytam jeszcze z godzinkę w łóżku i koło godz. 8 zaczynam się ubierać, co bardzo marudnie się odbywa, bo, zgodnie z uświęconym moją własną tradycją zwyczajem podczas ubierania się rannego i rozbierania wieczornego segreguję i układam moje stare papiery, szpargały i listy do systematycznych zbiorów archiwum mego.
Budząc się dziś rano, byłem zdumiony, widząc jasny pogodny wschód słońca, którego się nie spodziewałem po dniu wczorajszym. Mocny przymrozek i resztki śniegu wczorajszego bieliły ziemię i trawy.
Przed obiadem i po obiedzie zajęty byłem pisaniem w dalszym ciągu mojej pracy na ankietę trudowików. Później, wieczorem, napisałem skargę apelacyjną do Zjazdu Oszmiańskiego w sprawie mego klienta Rajki.
Przed obiadem przyjeżdżał do mnie Józef Šukys, który się dowiedział o moim pobycie w Bohdaniszkach. Biedny Šukys wciąż jeszcze nie znalazł dla siebie lokaty. Gdy mu się

nie powiodło ze wstąpieniem do seminarium duchownego w Kownie, poradziłem mu wstąpienie do średniej szkoły rolniczej w Datnowie. Ponieważ wiek jego spóźniony, bo ma lat 21, a do szkoły tej wiek normalny jest od 16 do 18 lat, więc trzeba było specjalnych starań o umożliwienie mu wstąpienia. Dałem mu w Wilnie list polecający do p. Kazimierza Świąteckiego, do którego Šukys pojechał. P. Świątecki skierował go z listem do p. Zygmunta Węcławowicza do Narun, który jest członkiem rady kierowniczej szkoły datnowskiej z ramienia Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego. P. Węcławowicz dał Šukysowi wskazówki i skierował go z poleceniem od siebie do dyrektora szkoły. Dyrektor zajął się uzyskaniem od ministerium pozwolenia na przyjęcie Šukysa ze względu na wiek, ale poza tym będzie Šukys musiał zdawać egzaminy wstępne ze wszystkich przedmiotów. Boi się on tych egzaminów, bo konkurencja jest duża, a czasu na powtórzenie nauk mało. Za parę dni już wyjeżdża na egzaminy. Dla Šukysa wstąpienie do szkoły rolniczej byłoby rzeczą świetną. Gdyby wszakże nie udało mu się wstąpić, byłoby to dlań rzeczą arcyciężką, bo tej jesieni w październiku musiałby stawać do powinności wojskowej.
Spodziewaliśmy się przyjazdu na noc Komorowskich z Kowaliszek, bo Elizka pisała do Mamy, że może dziś jeszcze przyjadą, aby przedłużyć świętomichalską wizytę. Coś im przeszkodziło wszakże, bo nie przyjechali.
Mama rozkarmia mię i pieści przez czas mego pobytu w Bohdaniszkach. Opływam tu w same smaczności najwyszukańsze, na jakie stać wieś i kuchnię bohdaniską. Karmi mię Mama świetnymi pasztetami z kaczek we francuskim cieście, ulubioną moją zupą z prosięciny lub pomidorową, majonezami z kur, jabłkami we francuskim cieście, nie mówiąc o konfiturach i innych, bardziej pospolitych specjałach.

29 września / 12 października, rok 1913, niedziela
Św. Michał. Tradycyjna uroczystość imienia Papy w Bohdaniszkach. Jak pamięcią sięgam w najdalsze czasy mojego dzieciństwa, zawsze pamiętam w dniu tym fetę w Bohdaniszkach, polegającą na zjeździe całego okolicznego sąsiedztwa ziemiańskiego. Teraz, im starszy jest Papa, tym bardziej uroczystość św. Michała nabiera charakteru patriarchalnego, jako wyraz tradycyjnego hołdu sąsiedztwa dla sędziwego solenizanta. Papa, zwłaszcza teraz, po śmierci p. Antoniego Weyssenhoffa, jest najstarszy z ziemian okolicznych. Właściwie są to też i moje imieniny, ale ja, jak księżyc wobec słońca, gasnę wobec Papy i nie bardzo nawet kto pamięta, że jestem też solenizantem. Są to w całej pełni imieniny Papy, a nie moje. Pierwsi przyjechali rano chłopcy Komorowscy, Hektor i Julek; po nich koło południa zawitali ich rodzice, Zyś i Elizka, z siostrą Zysia starą panną Jadwigą Komorowską oraz z maleńką ich córeczką Milusią (Felusią) i jej boną. Po obiedzie przyjechali pp. Przeździeccy z Rakiszek – p. Jan i pani Hermancja, którzy zabawili ze trzy godziny i odjechali, ponieważ p. Hermancja karmi córeczkę i nie może przeto na długo jej opuszczać. Koło zmroku przyjechali młodzi Römerowie z Antonosza – piękny Bronek i Tadzio, i p. Paulina Antoniowa Weyssenhoffowa z Pokrewnia. Wieczorem przyjechali jeszcze Piotr Rosen z Gaczan i Walunio Weyssenhoff z Tarnowa. Był i ksiądz proboszcz Kuszłejko z Krewna, ale zabawił tylko jedną chwilkę dla złożenia powinszowań i życzeń i odjechał, bo się spieszył do wioski Bohdaniszek na poświęcenie krzyża i potem na noc do Rakiszek na fest jutrzejszy. Nastrój był na ogół serdeczny i miły. Przykrym bardzo dla mnie tonem w rozmowie było kilkakrotne omawianie głośnej kijowskiej sprawy Bejlisa. Wszyscy naturalnie, jak przystało na ziemian-wsteczników, pielęgnujących wszelkie przeżytki średniowiecza, zgadzali się z posądzeniem Żydów o mord rytualny dla pozyskania krwi chrześcijańskiej, traktując legendę tę za pewnik. Jeden tylko Bronek Römer, aczkolwiek bynajmniej nie występował zasadniczo przeciwko możliwości zabójstw rytualnych,

zdawał jednak sprawę z tego, że cały ten proces jest zainscenizowany przez reakcję rosyjską w celach politycznych. A już Zyś Komorowski to naturalnie trzymał prym w uzasadnianiu najwsteczniejszych pomysłów. Ile się przy tym nasłuchało antysemityzmu i deptania wszystkiego, co tchnie wolną myślą i jakimś dążeniem demokratycznym – o tym nie ma co mówić. Wszystko, co trąci reakcją i obskurantyzmem, jest przez ziemian naszych gorliwie faworyzowane i otaczane nimbem patriotyzmu i wszelakich zasług społecznych, natomiast wszelkie prądy młode i zmierzające do postępu i do wyzwolenia ludu są traktowane z pogardą i złośliwą niechęcią, nicowane i sponiewierane. Straszliwie reakcyjne jest środowisko naszej szlachty ziemiańskiej. Co tu mówić o jej „postępowości", w którą wierzą nasi postępowcy w rodzaju Abramowicza. Z pewnością, że nawet tacy październikowcy rosyjscy są o wiele postępowsi społecznie od ziemian naszych. Tylko to jedno ich różni od skrajnej prawicy rosyjskiej, że należą oni w Rosji do narodu prześladowanego i że przeto z konieczności są zepchnięci do opozycji, ulegając ograniczeniom prawnym. Sprawa litewska przyprawia naszych ziemian o wściekłość. Nie wstrzymacie jednak życia, panowie!

30 września / 13 października, rok 1913, poniedziałek
Na pociąg południowy wyjechałem z Bohdaniszek i koło godz. 7-8 wieczór byłem w Wilnie. Spieszno mi było, bo wiedziałem, że Anna od dni kilku jest w Wilnie, a stęskniony do niej jestem nad wszelki wyraz po trzymiesięcznym przeszło niewidzeniu. Zajechałem wpierw jeszcze do mego mieszkania, żeby złożyć rzeczy itd. Chciałem się tylko przebrać i lecieć do Anny. Niestety – przyłapali mię w domu klienci i zatrzymali, tak że dopiero o godz. 9 ½ wybiegłem z domu, uprzedziwszy Marynię, że na noc dziś nie wrócę. Pojechałem na Monastyrską – do Anny. Służąca mi otworzyła drzwi, potwierdziła, że Anna od piątku już jest w Wilnie, ale, ku wielkiemu zmartwieniu memu, powiedziała, że Anna wyszła z domu i że kazała mi powiedzieć, abym napisał i zostawił w jej pokoju na stole kartkę. Wszedłem zasmucony do pokoju Anny, odświeżonego, czyściutkiego; ujrzałem nową białą kapę zasłaną na łóżku, nad łóżkiem zawieszoną fantazyjnie barwną wstążkę krakowską – ślad wycieczki Anny – stolik przy łóżku zasłany czerwoną chusteczką, w której domyśliłem się chusteczki noszonej na głowie przez uczennice krasienińskie, o czym z listów Anny wiedziałem, na stoliku figurki i drobiazgi, pamiąteczki z wycieczki Anny; w jednej figurce pieska poznałem, że jest z soli, liznąłem – rzeczywiście słony, ślad, że Anna zwiedziła Wieliczkę. Wszystko mi w pokoiku Anny świadczyło o niej, wszystko było porządnie ułożone z widoczną chęcią ozdoby i czystości. Zdziwiło mię, że Anna wieczorem i to na długo, skoro poleciła służącej powiedzieć mi, nie żebym zaczekał, lecz napisał kartkę. Na zapytanie zaś moje służąca potwierdziła, że Anna z pewnością wróci nieprędko. Domyśliłem się, że pewno jest dziś jakiś wieczorek w towarzystwie łotewskim w lokalu „Ruty". Przejrzałem leżące na stole jakieś świeże druki i awizacje i znalazłem śród nich istotnie jedno zawiadomienie o wieczorku łotewskim na dziś (data nie września, na co nie zwróciłem uwagi, sądząc, że to na dziś). Choć chcę, aby Anna bywała na tych wieczorkach i miała rozrywkę, jednak zabolało mię to, że dziś właśnie tam poszła, wiedząc o moim przyjeździe i po trzech miesiącach rozstania. Był to dowód niezrozumiałej dla mnie obojętności Anny, a choć starałem się wyperswadować sobie, że ponieważ jest młoda, więc pragnie zabawy, a wie, że mnie będzie już miała co dzień, jednak w duchu byłem zmartwiony i dotknięty tym jakimś zlekceważeniem naszego powitania i naszej miłości przez Annę, tę samą kochaną Annę, która tak zawsze lgnęła do mnie gorąco i tak bezwzględnie, tak impulsywnie [wykorzystywała? smakowała?] zawsze każdą chwilkę pobytu ze mną, nieraz wprost mię gwałcąc i nie dając mi rozporządzić czasem na niezbędne jakieś czynności. Czyżby długie rozstanie tak

wystudziło Annę? Cóż miałem napisać w tej kartce? Napisałem, że żałuję niezmiernie, iż nie zastałem. Postanowiłem wszakże ją znaleźć. Poszedłem więc do kawiarni i napisałem kartkę, wzywającą Annę, w kopercie zamkniętej. Sam do „Ruty" zachodzić nie chciałem, bo mię krępowało manifestacyjne spotkanie się z nią na wieczorku publicznym, zwłaszcza ze względu na nią, bo wobec znajomych jej Łotyszów byłoby to dla niej żenujące, szczególnie gdybyśmy mieli z nią wyjść zaraz. Zawołałem więc stróża domu, w którym jest „Ruta" i przez niego kartkę w kopercie przesłałem, polecając wręczyć Annie do rąk. Stróż wkrótce wrócił, oznajmiając, że powiedziano mu, iż Anny tam nie ma (w istocie była to tylko próba teatru łotewskiego, nie zaś wieczorek, czego wszakże nie wiedziałem i od stróża dowiedzieć się nie mogłem). Przypuszczałem, że stróża źle poinformowano o nieobecności Anny, ale spróbowałem znowu pojechać na Monastyrską. Anny tam wszakże nie zastałem. Wtedy postanowiłem bądź co bądź samemu pójść do „Ruty" i sprawdzić, czy istotnie Anny tam nie ma. Poszedłem, ale już w „Rucie" było ciemno i nikogo nie było. Wrzałem z tęsknoty i smutno mi było. Po raz trzeci pojechałem na Monastyrską; w oknie Anny zobaczyłem światło, zapukałem do okiennicy, Anna wybiegła i otworzyła mi drzwi; wśród radosnego powitania Anna mi zaczęła wymawiać, żem jej w kartce nie napisał, gdzie i czy się spotkamy, a że ona do tej pory siedziała na dworcu kolejowym, czekając mego przyjazdu z każdego pociągu. Rzecz się zaraz wyjaśniła. Nie było żadnego wieczorka w „Rucie" i wszelkie moje posądzenia o obojętności Anny były urojone i spowodowane nieporozumieniem. Wyszliśmy zaraz z Anną – na kolację do restauracji przy hotelu Niszkowskiego i potem stamtąd na noc do naszego hotelu „Wersal". Było nam serdecznie i ślicznie ze sobą. Annin kochana promieniała. Rozmawialiśmy z nią po polsku – mówi już po polsku dość biegle, choć oczywiście robi błędy i akcent ma obcy. Rozmowa nasza przeciągnęła się do późnej nocy, bo też niewyczerpane miała Anna źródło opowieści z Krasienina i z wrażeń wycieczki. Zwiedziła ona Piaskową Skałę i Ojców, przeszła ze wszystkimi Krasieninienkami przez granicę za półpaskami na cudze imiona, zwiedziła Kraków i Wieliczkę, z powrotem Częstochowę, w Zakopanem nie była wcale.

1 (14) października, rok 1913, wtorek

Cały prawie dzień spędziłem z Anną. Z rana do godz. 3 po południu bawiliśmy w hotelu, na obiedzie byłem w domu, a cały wieczór spędziłem u Anny w jej pokoiku przy ul. Monastyrskiej. Całą rozmowę wypełniła mi opowieść Anny o Krasieninie i wycieczce galicyjskiej, jej wrażenia i wymiana myśli między nami na tle tych wrażeń. Skorzystała Anna z tego pobytu w Krasieninie i z wycieczki bardzo dużo. Umysł jej, bardzo wrażliwy i niepospolicie zdolny, był tam ciągle czynny. Przede wszystkim, dużo się nauczyła, bo bywając na lekcjach historii, geografii i innych przedmiotów oraz na pogadankach z zakresu rozmaitych tematów i zjawisk, które się w Krasieninie odbywały, chłonęła wszystko chciwie; nie była ona tam uczennicą, jeno, że tak powiem, wolną słuchaczką, ale umysł jej i serce, żądne wrażeń i wiedzy, były otwarte na wszystko, co słyszała i widziała. Anna zaś nie jest bierna i ma naturę taką, która przetrawia i opracowuje czynnie wszystko to, co w postaci wrażeń wchłania. Taka też tylko wiedza i taka obserwacja życiowa istotnie kształci człowieka, bo wtedy człowiek nie jest tylko naczyniem biernym, ale jest sam twórcą i sam wytwarza pracą swoich władz psychicznych nowe elementy świadomości, myśli i czucia. Anna dużo zdobyła wiadomości z historii i zwłaszcza z geografii i życia oraz kultury narodów europejskich. Sama też obserwacja życia w Krasieninie, obcowanie z nauczycielkami i środowiskiem uczennic-włościanek, wycieczki, przyglądanie się i wtajemniczanie w najrozmaitsze przejawy i wyrazy życia społecznego w Polsce – ogromnie się przyczyniły do

rozszerzenia sfery myślowej Anny. Była ona w Ojcowie, widziała piękną naturę, oglądała tam i w Krakowie i gdzie indziej zabytki dziejowe i pomniki kultury, szła pieszo duże przestrzenie po Polsce, stykała się z ludźmi, środowiskami i prądami rozmaitymi, ze środowiskiem włościańskim, z ruchem ludowym, z organizującymi się prądami powstańczymi w postaci organizacji strzeleckich i innych w Galicji, ze światem kultury narodowej w muzeach krakowskich, na Wawelu i wielokrotnie indziej, ze światem przemysłu wielkiego przy oglądaniu fabryk częstochowskich – i ze wszystkiego, jak pszczoła, ssała skwapliwie miód wrażeń i wiedzy. Anna w Krasieninie obcowała najwięcej z tamecznemi nauczycielkami i instruktorkami, a w wycieczce i w Krakowie zapoznała się z ludźmi najrozmaitszych sfer. Wszystko dla niej było nowe i ciekawe i wszystko ogarniała i przetrawiała w swych myślach. Opowiadanie jej było niezmiernie ciekawe i pełne głębokich a trafnych spostrzeżeń i sądów. Biedna Anna teraz odczuwa pewną pustkę swego życia wileńskiego. Tu w Wilnie jest ona oderwana od życia publicznego, jest samotnicą; streszcza się tu cała tylko w miłości do mnie i przeze mnie tylko poznaje świat i życie miejscowe. Tam natomiast była w szerokie życie wciągnięta, była w toku idei i prądów, które się toczyły dokoła, siedziała – słowem – w życiu bezpośrednio. To jej dawało materiał do obserwacji i do intensywnych wzruszeń psychicznych. Taki człowiek, jak Anna, marnuje się w swej samotności wileńskiej. Zajęcie w pracowni kapeluszniczej, praca modystki, którą tu ona uprawia, zabija jeno czas i chroni od nudów i próżniactwa, ale nie wypełnia treścią jej indywidualnego życia psychicznego. Czuje to Anna biedna i rozumiem to ja, ale na razie nie ma nic do zaradzenia na to. Inaczej życia jej ułożyć teraz nie możemy. Wspominała mi Anna o tym, że pragnęłaby gdzieś móc zamieszkać na wsi, mając żywe zajęcie w gospodareczce swojej i mogąc mieć związek z jakąś działalnością społeczną czy kulturalno-ideową na miejscu. Wiem o tym, że byłoby to dobre dla niej, ale przede wszystkim nic takiego wymyślić na teraz nie można, po drugie, sama gospodareczka by nie wystarczyła, a do zorganizowania jakiejkolwiek akcji społecznej w naszych warunkach Anna nie ma środków i umiejętności, wreszcie obecność jej w Wilnie jest dla mnie potrzebna, bo bez niej miałbym tu pustkę okropną. Zapewne, że i moim byłoby ideałem zamieszkać gdzieś z Anną czy na wsi, czy gdzieś w miejscowości fabrycznej, gdzie rozwinięty jest ruch kulturalny i społeczny i wspólnie z nią w tym ruchu być czynnym. Oboje mamy podobne aspiracje, ale, niestety, na dziś niewykonalne. I czy będą one dla nas wykonalne kiedykolwiek? Do Krasienina Anna się przywiązała. Dostrzega w nim braki, ale ceni rzecz samą i gorąco się interesuje rozwojem tej instytucji, której życie poznała i na której tyle elementów swej duszy kształciła. Prześliczne głębokie myśli wypowiedziała mi dziś Anna w sprawie urządzenia i braków Krasienina, myśli, które należeć mogą do pereł humanizmu i do wieczystych prawd kultury ludzkiej.

2 (15) października, rok 1913, środa

Wczoraj i pozawczoraj pisałem o Annie, toteż nie miałem miejsca na inne rzeczy. Powetuję to teraz. Chcę mianowicie wspomnieć o moim cenzusie dla wyborów miejskich. Od dawna, jak już poprzednio pisałem, miałem obiecany cenzus z Warszawy od Mirkowskiej Fabryki Papieru. Agent tego towarzystwa, Joffe, miał pojechać do Warszawy i tam wystarać się od Natansonów, którzy są w zarządzie tego towarzystwa akcyjnego fabryki mirkowskiej, przedstawicielstwo ich cenzusu wileńskiego dla mnie. Nie wiadomo było, czy Natansonowie zechcą mi tego przedstawicielstwa udzielić. Od Joffego nie miałem żadnej odpowiedzi i Bramson, przez którego się z Joffem komunikowałem, też o niczym nie wiedział. Z komitetu zaś wyborczego przyjaciele moi, którzy mi obiecywali ustalenie mojej kandydatury w komitecie, ciągle mię

napędzali, abym się prędzej o cenzus wystarał, bo lista kandydatów na radnych, układana w komitecie, ma się już ku końcowi i wkrótce będzie zapełniona, a wtedy już będzie za późno na stawianie nowych kandydatur; dopóki zaś nie mam cenzusu, kandydatura moja nie może być postawiona. Myślałem, że już nic z tego nie będzie, bo przestałem już liczyć na udzielenie mi cenzusu przez Natansonów. Atoli pozawczoraj, wróciwszy z Bohdaniszek, zastałem w mieszkaniu pełnomocnictwo Natansonów na przedstawicielstwo cenzusu. Tego wieczora nic już nie przedsięwziąłem, bo zajęty byłem Anną. Wczoraj atoli widziałem się z Zasztowtem i Witoldem Abramowiczem, którzy należą do komitetu wyborczego i mają tam moją kandydaturę stawiać i popierać. I trzebaż, że właśnie pozawczoraj wieczorem, to jest tegoż wieczora, gdy ja cenzus otrzymałem, odbyło się zebranie komitetu wyborczego, na którym lista kandydatów została ostatecznie ukompletowana i formalnie zamknięta. Zasztowt i Abramowicz, a także Solimani, z którym się dziś widziałem, obiecują, że jednak postarają się na następnym zebraniu komitetu (w piątek) przeforsować moją kandydaturę, aby ją komitet w drodze wyjątku wpisał do listy już po jej formalnym zamknięciu. Naturalnie wszakże, że dobry skutek jest teraz mniej pewny, niż gdyby kandydatura moja była postawiona przed zamknięciem listy. Kandydatura moja może mieć przeciwników w komitecie spośród prawych elementów. Abramowicz spodziewa się, że przy staraniu dałoby się jednak zdobyć dla mojej kandydatury 2/3 głosów w komitecie, wymaganych dla przyjęcia. Ale przeciwnicy mogą się teraz opierać na zasadzie formalnej, że już zapadła uchwała o zamknięciu listy. Rzecz ta się rozstrzygnie w piątek. W każdym razie, mogę liczyć na energiczne poparcie w komitecie szeregu osób, jak Abramowicz, Zasztowt, Solimani, Uścinowicz, stary Jan Umiastowski, dr Sumorok i inni. Dziś zarejestrowałem mój cenzus w Zarządzie Miejskim.

3 (16) października, rok 1913, czwartek
Z „Kurierem Krajowym” dzieje się źle. Pismo niewątpliwie się rozszerza i zdobywa teren. Chociaż rozszerzanie się można w znacznej mierze położyć na karb sensacji, uprawianej w piśmie do zbytku, jednak są też inne, dodatnie, względy, wpływające na popularyzowanie się pisma: jest to przede wszystkim niezależność jego i jego zasady demokratyczne i zwłaszcza krajowe, które w pewnych kołach społeczeństwa są cenione. Dla tych właśnie ostatnich względów pismo jest warte utrwalenia: jest ono gotową placówką do oddziaływania w kierunku odpowiednim. Jako takie, jest ono na dobrej drodze, bo miałoby już dziś szanse utrzymania się na stałe. Ale fatalnym dla pisma i dla samej nawet sprawy demokratycznej jest zabagnienie moralne wydawnictwa i redakcji. Winny tu jest Mańkowski. Brak jakiegokolwiek uregulowania sprawy finansowej wydawnictwa, ciągłe chwytanie grosza ze wszystkich stron i przelewanie sie sum pieniężnych przez ręce Mańkowskiego – zdemoralizowały go. Od dawna już zauważyłem, że Mańkowski miesza wydatki osobiste z wydatkami pisma w jedno, że kasa pisma a kasa jego zlewają się w jedną kaszę, bez żadnej rachunkowości i ładu. Jest to zawsze złe, a tym bardziej, gdy na pismo, prócz osobistych pieniędzy Mańkowskiego, idą tez pieniądze rozmaitych sympatyków i mecenasów, to znaczy pieniądze publiczne. Teraz dowiedziałem się, że sytuacja pod tym względem pogorszyła się ostatecznie. Mańkowski nocami całymi gra w karty, śpi dniami, do redakcji wpada nie więcej niż na ½ godziny na dzień, wieczory spędza na szukaniu pieniędzy, słowem – wykoleił się zupełnie, a karty, wydatki na pismo, dochody pisma, wydatki wszelkie Mańkowskiego – to jedna kasza. Mnożą się zaległości, rachunki są nie opłacane, pracownicy nie opłacani, pismo żyje z dnia na dzień i z dnia na dzień jest zagrożone upadkiem, i co dzień prawie jest niepewność wydania na dzień następny, i coraz częściej drukarnia strajkuje i nie drukuje numeru, nie będąc opłacona. Słowem,

jest chaos zupełny, tak w wydawnictwie, jak w redakcji. Mańkowski nie pisze nic, nie pracuje wcale, pismo wychodzi bez żadnego kierownictwa, jak Bóg dał. Sytuacja jest straszna, upadek moralny paskudny.

4 (17) października, rok 1913, piątek
Może przesadziłem trochę wczoraj pisząc o Mańkowskim. W zbyt czarnych barwach przedstawiłem jego upadek moralny. Tak źle ostatecznie jeszcze nie jest: Mańkowski zajmuje się pismem i kieruje nim. Ale prawdą jest, że zgrywa się nocami w karty, że miesza kasę i wydatki osobiste z kasą i wydatkami pisma, że wreszcie pismu nadaje ton zbyt sensacyjny i brukowy, przejaskrawiając rozmaite skandaliczne rewelacje i zajścia i spekulując na instynktach tłumu, lubującego się w opisach rozmaitych zbrodni, morderstw i erotyczno-seksualnych skandalów, co nie licuje z ideowym charakterem pisma. Poza tym, są też i pewne zboczenia od kierunku ideowego, spowodowane czasem obawą narażenia się, czasem chęcią przypodobania się utartej zdawkowej opinii. To są wszystko braki poważne, podkopujące moralne stanowisko pisma. Mańkowski brnie w niebezpieczną sytuację; niebezpieczeństwo grozi i jemu osobiście, i tej placówce społecznej, jaką przedstawia pismo. Widzą to wszyscy przyjaciele pisma i Łuckiewiczowie, i Zasztowt, i dr Sumorok i chcieliby to jakoś uratować, póki czas. Ale rzecz jest trudna, bo trzeba byłoby usunąć Mańkowskiego i zastąpić go kimś innym oraz wejść do pisma z pieniędzmi i na pokrycie zobowiązań i zaległości, i na dalsze wydawnictwo. Zaległości zaś są duże i nie są ściśle wyjaśnione. Możliwe byłoby utworzenie spółki wydawniczej, bo grono ludzi chętnych by się znalazło, ale czy zebrałoby się tyle pieniędzy, aby opłacić zaległości – to kwestia. Ludzie chętnie by dali na prowadzenie wydawnictwa, ale na niepewne nikt dać nie zechce. Nie ma gwarancji, że spółka mogłaby coś więcej dokonać, niż likwidacji pisma, a dla samej likwidacji nikt spółki tworzyć nie zechce. Kwestia redaktora jest też bardzo ciężka. Zdaje się, że niektórzy, jak Łuckiewiczowie i zapewne Sumorok, mieliby ochotę wprowadzić na redaktora Jerzego Jankowskiego, który bawi w Wilnie i który chwilowo jest wolny. Ale Jankowski, choć ma duży talent, wybitne zdolności i wielką odwagę oraz niezależność, nie jest jednak człowiekiem czystym ideowo. W Wilnie jest on szczególnie skompromitowany tak w obozach prawicy, jak lewicy. Trudno mieć do niego zaufanie, gdy w przeszłości występował on w przeróżnych postaciach, to jako fanatyk antyklerykalny i socjalista, to znów jako pogromca socjalny i obrońca kleru itd., robiąc to poza tym jaskrawo – trywialnie. Dlatego pomimo zalet jego, jestem przeciwny jego kandydaturze na redaktora. Kompromitowałby on pismo ideowe. Przychodzi mi na myśl na redaktora Franek Olechnowicz – nie ma on wybitnych kwalifikacji, ale może mógłby nim być przy współudziale moim.

5 (18) października, rok 1913, sobota
Co dzień spędzam po kilka godzin z Anną lub u Anny. Wyciągam z niej po trochę dalsze i szczegółowsze wrażenia z Krasienina i wycieczki do Galicji. Robię to oszczędnie, jak skąpiec, który żałuje wypić od razu cały zasób doskonałego miodu przepięknych wrażeń, jaki się ma z tych opowieści Anny. Wrażenia Anny są piękne i głębokie, pełne myśli i uczucia, pełne doskonałych spostrzeżeń i mądrej prawdy życiowej. Natura uposażyła Annę duszą nie lada; jest w niej materiał niepospolicie bogaty, jest świetny organizm myślowy i czuciowy. Rozmawiamy z Anną teraz po polsku i idzie to nam zupełnie dobrze, nie gorzej, niż dawniej w naszym żargonie quasi-niemieckim. Anna pragnie bardzo nauki, więcej niż kiedykolwiek, tęskni do wiedzy. Szczególnie ciekawa jest historii i geografii, a także chce się nauczyć rachunków i arytmetyki. Mam ją uczyć wieczorami. Trzeba będzie ułożyć plan tej nauki.

Większą część dnia zajęty byłem dziś układaniem projektu bardzo skomplikowanej umowy o kupnie („запродажной”), połaczonej z interesem parcelacyjnym, na sprzedaż majatku Gierstuciszki mego klienta p. Bojki p. Bażeńskiemu.
Stefuś, syn Maryni, jest bardzo chory. Od dwóch dni leży, ma ogromną gorączkę, bredzi nawet, nic nie je. Maryni zaś akurat nie ma – wyjechała na kilka dni z Ewą (Helcią) do O'Rourke'ów do Wsielubia. Sprowadzałem do Stefusia dr Kowarskiego; lękałem się, czy to nie tyfus, ale doktor znalazł, że to wielkie przeziębienie. Zresztą w pierwszych dniach trudno jest określić chorobę. Jestem bardzo niespokojny o Stefusia, szczególnie że muszę dziś wyjechać, a Marynia dopiero jutro wraca. Wyjechałem o godz. 8 wieczorem pociągiem na Radziwiliszki do Abel. Jadę na jutrzejszy kiermasz koński do Komaj dla kupienia konia do Wiązowca. Muszę już kupić jutro konia koniecznie, bo to ostatni wielki kiermasz jesienny w naszych stronach, a gdzieś na kiermaszach dalekich kupować nie mogę, bo za mało się znam na koniach, abym mógł samodzielnie się decydować na wybór. A zresztą same jazdy będą mię tyle kosztować, że koń w dwójnasób będzie drogi.

6 (19) października, rok 1913, niedziela
Cel mojej podróży, kupno konia, został osiągnięty. Cały dzień byłem w ruchu, nie spocząłem prawie na chwilę. O godz. 7 rano przez Radziwiliszki przyjechałem do Abel. Nie czułem się bardzo zmęczony, bo prawie całą drogę od Wilna spałem. W Abelach czekały mię już konie bohdaniskie, którymi zaraz do Bohdaniszek pojechałem. Tam czekała mię Mama z sutym śniadaniem. Zabawiłem w Bohdaniszkach parę godzin i koło godz. 10 ½ rano wyruszyłem do Komaj na kiermasz. Kiermasz koński na błoniach przed miasteczkiem przy cmentarzu był ożywiony i duży. Wybór koni był wielki, ale i ceny wielkie. Na kiermaszu zastałem ekonoma bohdaniskiego, p. Grażyńskiego, który pomagał mi w wyborze konia. Byłem otoczony całą świtą pomocników czy doradców, którzy chodzili ze mną ciągle po kiermaszu i oglądali mi konie detalicznie, udzielając mi rady i wskazówki jako rzeczoznawcy. Oprócz ekonoma Grażyńskiego, byli tam w mej świcie Stanisław Janko, gospodarz Stašys z Busiszek i garbaty Żydek z Kurkleć Pejsach Ruch. Oprócz tego, doraźnie udzielał mi informacji o każdym koniu, na którego już szczególną uwagę zwróciliśmy, stary ojciec Janka, znakomity znawca koni oraz obecny na kiermaszu Piotr Rosen. Obeszliśmy cały plac kiermaszu, obejrzeliśmy wszystkie konie. Wiele z takich, które by ewentualnie mogły mi się podobać, były tak szalenie drogie, że nie próbowałem wcale tentować. Decydowałem się na cenę od 100 do 150 rb. Jednego kasztanka upatrzył już ekonom przed moim przyjazdem; dawał zań ekonom 140 rb., ale właściciel żądał 180 rb. Wśród mnóstwa koni zwróciliśmy szczególną uwagę na jakiegoś siwka siedmioletniego, chudego, ale zbudowanego nieźle i bez braków, za którego żądano 120 rb., my zaś dawaliśmy 115 rb., i drugiego też siwka trzyletniego, chudego, dość zgrabnego i niezłego, za którego żądano 100 rb. Ten drugi zwłaszcza wydawał mi się dość wątły, toteż gotów byłem zdecydować się na pierwszego i gdyby mię towarzysze moi nie wstrzymywali od dodania 5 rb., o które się rozchodziło, byłbym już go kupił. Piotr Rosen wszakże z tych dwóch poradził mi raczej kupić drugiego, młodszego, choć mówił, że oba są marne i słabe i że nie warto ich brać, a skoro już kupować, to kupować konia rzeczywiście dobrego. Stary Janko, obejrzawszy młodszego siwka, odradził mi go stanowczo jako wątłego. Odpadła mi ochota od obu i znów zacząłem myśleć o kasztanku, upatrzonym przez ekonoma. Dawałem już za kasztanka 150 rb., właściciel spuścił do 160 rb., ale taniej nie chciał. Wreszcie po długich targach dobiliśmy handlu za rb. 157. Konia przepędzano, objeżdżano konno, w zaprzęgu, obejrzano detalicznie we wszelkich szczegółach. Braku nie ma żadnego. Tylko stary Janko, świetny znawca koni, po dokładnym obejrzeniu nóg

i kopyt orzekł, że koń się ściga, co się później sprawdziło, ale tylko trochę; zresztą i Janko doradzał kupienie. Konik jest młody, czteroletni, żywy, bardzo dobrze zbudowany, silny, znakomicie osadzony na krótkich nogach, zdrów; wzrostu ma mniej więcej 2 arszyny z 1 wierszkiem; do niedawna był ogierem, teraz świeżo przed trzema tygodniami wykastrowany, rana po operacji jeszcze niezupełnie zagojona; jest kasztan o jasnej płowej grzywie i takimże ogonie; gryzie ludzi na pół żartem, przez zabawę, broni się zręcznie brykaniem na bok, gdy go ludzie obcy bardzo dotykają i opatrują. Słowem – konik młody, ładny, wesoły i miły. Najcięższe były przejścia przy odprowadzaniu konia do Bohdaniszek. Ponieważ ekonom prowadził już jednego luzaka, więc mego konia wziąłem do prowadzenia jaPrzywiązaliśmy go na dwa sznury do powozu mego z tyłu. Konik szedł przez całe Komaje i potem po gościńcu rakiskim doskonale, biegnąc równo za powozem. Dopiero po ujechaniu paru wiorst zaczęły się niepowodzenia. Właściwie nie tyle niepowodzenia, ile przygody, bo ostatecznie tylko prowadzeniu zawdzięczać mogę szczęśliwy koniec takowych. Raptem na gościńcu w równym biegu konik mój podskoczył, targnął głową i zerwał uzdeczkę; kazałem furmanowi stanąć i akurat w porę, bo uzdeczka zerwana spadła koniowi z głowy. Furman zeskoczył i wziął go za łeb, nim się koń spostrzegł, że jest wolny. Akurat za nami jechał Pejsach Ruch, który zaproponował, abyśmy przywiązali konia do jego bryczki, co rzeczywiście było lepsze, bo przy naszym powozie koń swawoląc mógł się uderzyć lub złamać nogę o wystające resory powozowe. Tak też zrobiliśmy. Po kilku wiorstach zjechaliśmy z gościńca na boczną dróżkę w las, jadąc na folwark Kroszty i wioskę Audrę. Tymczasem ściemniało zupełnie i noc zapadła czarna jesienna, niebo zachmurzone, powietrze zamglone leciutkim deszczykiem. Księżyc miał wstać dopiero za parę godzin. Wyjechaliśmy z lasu i posuwaliśmy się powolutku po ciemku po dróżce ledwie widocznej. Nagle Pejsach Ruch krzyknął i ujrzeliśmy mego konia, który się zerwał, pędzącego w cwał w podskokach przez pole. Zaraz też znikł nam z oczu. Szukajże tu wiatru w polu! Koń pobiegł przez pole w tym samym kierunku, w którym jechaliśmy. Dojechaliśmy prędko do folwarku Kroszty i tu przy wjeździe zatrzymaliśmy się. Chcieliśmy zajrzeć do folwarku, czy nie wbiegł tam nasz koń. Słaba wszakże była nadzieja. Myśleliśmy już, że koń stracony i że trzeba będzie zaraz do policji oznajmić i szukać przez policję, jeżeli go ktoś tymczasem nie ukradnie. Nagle usłyszeliśmy na łące naprzeciw piski i rżenie koni, hałas, brykanie i awantury gryzących się koni. Zrozumieliśmy, że to nasz koń natrafił na pasące się konie i gryzie się z nimi. Podjechaliśmy tam i furman pobiegł po niego. Koń dał się wziąć bez żadnego oporu – widocznie nie boi się ludzi, co świadczy, że się z nim u poprzedniego właściciela dobrze obchodzono. Furman przyprowadził go i znów przywiązał na dwóch uździenicach do wozu Pejsacha, lecz ledwie ujechaliśmy ½ wiorsty, znów zerwał obie uzdy i pobiegł w pole. Nim furman Józef odwiązał sznur, usłyszeliśmy znów z tejże łąki rżenie i piski końskie. Znowu pobiegł Józef z Pejsachem i przyprowadzili konia. Teraz już postanowiliśmy prowadzić go w ręku. Józef go prowadził, ja siadłem na kozłach i sam się powoziłem parą koni po ciemku, po nieznanej drodze w strachu, bo nic nie widziałem. Wkrótce wszakże zaczęło się rozwidniać od księżyca, a Józef siadł na konia konno. Tak powolutku dojechaliśmy na godz. 9 wieczora do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach spędziłem godzinkę i na nocny pociąg wyjechałem do Abel, spiesząc do Wilna z powrotem. Konia zostawiłem na kilka tygodni w Bohdaniszkach.

7 (20) października, rok 1913, sobota
Wieczorem zaszedłem do dr Sumoroka dla pomówienia z nim o „Kurierze Krajowym”. Dr Sumorok zapatruje się dość różowo na szanse utworzenia spółki i utrzymania wydawnictwa. Powiada, że ogólna suma zaległości wynosi koło 1000 rb., a oprócz tego

na koszta wydawnictwa do końca roku trzeba mieć 500 rb. Na czym opiera dr Sumorok te cyfry – nie wiem, powiada wszakże, że są one dość ścisłe. Jeżeli tak jest istotnie, to rzeczywiście możliwe jest utworzenie spółki; do spółki tej, jako jej jądro, weszliby zapewne dr Sumorok, Zasztowt, Józef Bukowski, Osmołowski, ja, może Sergiusz Łopaciński i jeszcze parę osób, których spodziewa się pozyskać Sumorok, a dalej zbierałoby się udziałowców nieograniczenie. Jeżeli trzeba tylko 500 rb. do końca roku, to suma taka byłaby możliwą do zebrania, zaległości zaś dałyby się rozłożyć na wypłaty, co by też zbyt uciążliwe nie było. Boję się tylko, czy w rzeczywistości stan zaległości nie jest gorszy, bo widzi mi się, że w wydawnictwie panuje chaos okrutny. Pod tym względem przy zawiązywaniu spółki niezbędna jest wielka ostrożność. Dr Sumorok obiecuje zebrać u siebie we czwartek grono domniemanych założycieli przyszłej spółki i przedstawić im dokładne cyfry zaległości, zobowiązań i preliminarza pisma. Druga sprawa – to sprawa redaktora. Choć zdaje się to, co słyszałem o Mańkowskim z ust głównie Łuckiewiczów i co przed paru dniami zanotowałem w dzienniku, jest mocno przesadzone, jednak rzeczywiście Mańkowski jest na drodze do wykolejenia i powinien być, tak ze względu na jego własne dobro, jak tez na dobro pisma, zwolniony od redaktorstwa. Niech sobie jedzie do Dorpatu czy Petersburga kończyć studia na uniwersytecie, a tu trzeba innego redaktora. Dr Sumorok, jak się okazuje, nie życzy także na redaktora Jerzego Jankowskiego, choć z innych względów niż ja. Dr Sumorok stawia kandydaturę Sokołowskiego z „Gazety Codziennej"; jest to podobno człowiek z pewną wprawą techniczną; dr Sumorok powiada, że Sokołowski pracuje w „Gaz. Codziennej" tylko z konieczności, dla zarobku. Nie znam tego człowieka, ale mam poważne wątpliwości co do jego kwalifikacji ideowych, bo obawiam się zawsze ludzi, którzy mogą pracować kolejno w pismach o wręcz przeciwnych zasadniczo kierunkach. Nad takim redaktorem miałbym objąć kierownictwo ideowe ja. Kombinacja niewyraźna.

8 (21) października, rok 1913, wtorek
Dziś dopiero ma być w komitecie wyborczym rozstrzygnięta sprawa mojej kandydatury do rady Miejskiej. Sumorok, Solimani, Zasztowt zapewniają mię, że kandydatura moja zostanie w komitecie przyjęta. Formalnie lista kandydatów jest już zapełniona i zamknięta, ale jest nadzieja na to, że nie wszyscy może z kandydatów, wpisanych do listy, zgodzą się kandydować. Właśnie członkowie komitetu mieli w tych dniach objeść wszystkich zaprojektowanych kandydatów i spytać się, czy się zgadzają. Jeżeli ktoś się zrzecze, co jest bardzo możliwe na 80 przeszło kandydatów, to na opróżniony wakans mogłaby być postawiona moja kandydatura. W innym razie komitet może mię wpisać do listy jako kandydata zapasowego. Dziś wieczorem ma się to rozstrzygnąć na posiedzeniu komitetu. Jest wszakże pewien szkopuł poważniejszy co do ojej kandydatury. Wspominał mi Bułat, że widział jakieś świeżej daty wyjaśnienie Senatu, w którym powiedziano, że dla skorzystania z cenzusu wyborczego tytułem przedstawicielstwa od spółki czy towarzystwa akcyjnego trzeba być istotnie zarządzającym oddziałem miejscowym tegoż towarzystwa. Ja zaś mam pełnomocnictwo na przedstawicielstwo cenzusu Fabryki Mirkowskiej nie jako zarządzający jej wileńskim oddziałem, lecz jako juryskonsult wileńskiego oddziału. Nie jest więc wykluczone, że gubernator czy to przed wyborami, czy nawet po ewentualnym wybraniu mię na radnego może skasować mój cenzus jako nieważny. No, będę próbować przeskoczyć fuksem.
Stefuś, syn Maryni, chory na tyfus. Dr Jabłonowski był dziś powtórnie wezwany do niego i orzekł, że jest to tyfus z pewnością. Stefuś ma stałą wysoką gorączkę i jest

niezmiernie osłabiony. Ewę Marynia zalokuje na ten czas gdzie indziej, Stefusia zaś łóżeczko postawi w pokoju jadalnym.
Wieczór, jak zwykle, spędziłem u Anny. Uczę ją teraz co dzień, gdy tylko jestem u niej wieczorem. Nauki nasze składają się z historii polskiej, geografii, arytmetyki, gramatyki języka polskiego, głośnego czytania i dyktacji. We wszystkich tych przedmiotach uczy się Anna dopiero samych początków. Ale jest chętna, zdolna i ma dobrą pamięć, jeno trochę cierpliwości brak.

9 (22) października, rok 1913, środa
Spotkało mię niepowodzenie z kandydaturą do Rady Miejskiej. Komitet wyborczy na posiedzeniu wczorajszym odmówił wpisania mię do listy kandydatów. Dowiedziałem się o tym od Witolda Abramowicza. Ponieważ lista kandydatów już była poprzednio skompletowana i formalnie zamknięta, więc uznano, że nie ma racji robić dla mnie szczególnego wyjątku i otwierać na nowo listę po to, aby moją kandydaturę wpisać, szczególnie że wszyscy wpisani kandydaci oprócz jednego wyrazili zgodę na kandydowanie, a na miejsce wakujące był już poprzednio wyznaczony kandydat zapasowy, który teraz został do listy wpisany. Wobec tego większość w komitecie odrzuciła propozycje przyjęcia mojej kandydatury. Co robić. Muszę się pogodzić z faktem. Przykro mi to, bo miałem ochotę należeć do rady i dużo poświęciłem czasu i starań na pozyskanie cenzusu – nadaremnie.
Bawi teraz u nas Stefan Mieczkowski, który jeździł do Warszawy dla odebrania części spadku dla Elwiry po cioci Cesi Tukałłowej i teraz wraca do Robertowa. Projekt Mieczkowskich opuszczenia Bielcza i Robertowa i usunięcia się z posady u Pruszanowskich trwa, ale nie ma kształtów określonych. Ani Stefan, ani Elwira sami jeszcze nie wiedzą, co przedsięwziąć i dokąd się podziać. Mam nadzieję, że do upływu roku, kiedy mają niby opuścić Robertów, sami się rozmyślą i zdecydują pozostać, co byłoby najrozumniejsze.
Tyfus Stefusia ma dotąd przebieg względnie lekki. Gorączka jest, dziecko osłabione, ale przytomne, je trochę i chwilami nawet się uśmiecha i żartuje.

10 (23) października, rok 1913, czwartek
Spadają na mnie niepowodzenia. Dziś aż dwa naraz spadły, z dwóch stron, w dwóch ważnych sprawach. Nie zraża mię to jednak i nie odbiera otuchy. Przeciwnie – zapala mię energią.
Jedno niepowodzenie – to w sprawie mojej adwokatury. Jak, zdaje się, wspominałem w dzienniku, wniosłem na początku jesieni podanie do Sądu Okręgowego o wydanie mi świadectwa na prawo prowadzenia spraw cywilnych w tym sądzie. Świadectwo takie opłaca się podatkiem specjalnym po 75 rb. półrocznie; bez tego świadectwa pomocnicy nie mają prawa występowania w Sądzie Okręgowym. Mój staż pomocnikowski (pięcioletni) jest już w roku bieżącym ukończony, ale ponieważ względnie dość mało mam praktyki za sobą, którą mógłbym wykazać, więc boję się jeszcze zatwierdzać na adwokata przysięgłego, aby nie narazić się na odmowę. Z tego względu chciałem wziąć teraz świadectwo na prawo prowadzenia spraw w sądzie, wystąpić w szeregu spraw, dać się poznać i mieć do wykazania obfitszą praktykę, następnie na Nowy Rok odnowić świadectwo i wreszcie między Nowym Rokiem a drugim półroczem wykwalifikować się na przysięgłego. Słyszałem, że przed paru tygodniami odbyło się posiedzenie Ogólnego Zebrania Sądu, na którym miała być rozważana i moja prośba o wydanie świadectwa. Czekałem, że decyzja zostanie mi ogłoszona. Nie mogąc się doczekać takowej, poszedłem dziś dla poinformowania się do kancelarii prezesa sądu. Sekretarz dał mi do przeczytania rezolucję, która orzeka prośbę moją „отклонить по причинам

неформального свойства", czy też „по неформальнымъ основаніямъ". Musiałem się podpisać, że rezolucja został mi oznajmiona i na tym poprzestać, bo od sekretarza żadnych wyjaśnień nie otrzymałem. Do prezesa Cariuka też nie było po co iść, bo prezes nie obowiązany dawać żadnych wyjaśnień co do motywów odmowy. Rezolucja ta nie podlega żadnemu zaskarżeniu, wypływa z władzy dyskrecjonalnej sądu i jest ostateczna. Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że przyczyną odmowy jest moja „nieprawomyślność" polityczna („политическая неблагонадежность") z punktu widzenia rządowego. Jakież bo mogą być inne „przyczyny natury nieformalnej", jak nie względy „moralne" co do mojej osoby, „moralne" zaś w znaczeniu urzędowym znaczą tyle, co uległość polityczna. Zapewne moja stara sprawa „Gazety Wileńskiej" odegrała tu rolę główną, mimo że zostałem wyrokiem sądowym w stosunku do zarzutu zbrodni stanu uniewinniony. Odmowa obecna może miec dla mnie konsekwencje poważne. Jest to wskazówką, że sąd wileński może mi odmówić przyjęcia na adwokata przysięgłego i że wypadnie mi może wobec tego zatwierdzać się na przysięgłego przez Petersburg, gdzie funkcjonuje korporacyjna Rada Adwokacka. W każdym razie, ten wypadek odmowy wydania świadectwa nie jest zjawiskiem pospolitym. Dawniej faktów odmowy wydania świadectw pomocnikom nie zdarzało się nigdy. Ale przy obecnym prezesie sądu, Cariuku, który jest skrajnym prawicowcem i wysługuje się nacjonalizmowi państwowemu, a jest bardzo arbitralnym i bezwzględnym, fakty takie zaczęły się zdarzać. Tak w roku zeszłym odmówione było świadectwo Burhardowi i dopiero energiczna protekcja dopomogła mu do pozyskania takowego po pewnym czasie. Nie wiem jeszcze, co dalej w tej materii przedsięwezmę. Trzeba będzie się poradzić ze straszymi kolegami i członkami komisji adwokackiej.
Drugie niepowodzenie spotkało mię dziś wieczorem w innej, tez niemałej wagi, sprawie. O ile w pierwszej sprawie przyczyną była moja „nieprawomyślność" polityczna, o tyle w drugiej przyczyną była moja rzekoma „nieprawomyślność" narodowa. Pisałem przed paru dniami, że w komitecie wyborczym do rady Miejskiej większość odmówiła samego postawienia na balotowanie mojej kandydatury na tej zasadzie, że lista kandydatów została już zamknięta i że nie ma wolnego wakansu. Dziś wieczorem znowu odbyło się zebranie komitetu. O przebiegu wiem od Zasztowta, który z posiedzenia komitetu przyszedł do Sumoroka, gdzieśmy byli zebrani w sprawach „Kuriera Krajowego", i opowiedział nam o wszystkim. W liście kandydatów trafił się wakans, bo usunięto tam jednego z kandydatów, ponieważ okazało się, że jego cenzus jest wadliwy. Wnet przez Zasztowta postawiona została moja kandydatura. Nad kandydatura moją wywiązała się dyskusja niezwykle gorąca i zażarta. Cała prawica klerykalna i nacjonalistyczna energicznie wystąpiła do walki przeciwko mnie. Zarzuty przeciwników moich polegały na tym, że jestem rzekomo nie dość narodowy, że skłonny jestem zawsze do faworyzowania wszystkich innych narodowości ze szkodą swojej własnej (polskiej) i że we wszystkich sporach i sprawach narodowych zawsze staję po stronie obcej i winę zrzucam na Polaków i że przeto zachodzi obawa, iż w Radzie Miejskiej będę szedł ręka w rękę z Żydami i opozycją rosyjska przeciwko gremium polskiemu. Oczywiście, że istotnym motywem dla większości rządzącej był ten, że jako osobnik niezależny, będę w jawnej opozycji, wiedzą zaś, że przejednać mię jakąś posadą czy synekurą nie zdołają. Znają moją prostą stałość przekonaniową, wiedzą, że względami karierowiczowskimi powodować się nie będę i że tą drogą ugłaskać mię nie zdołają, a że jestem w mieście znany i głos mój jest bądź co bądź słuchany na mieście z szacunkiem, więc mnie sobie do opozycji dobierać nie życzą. Boją się we mnie człowieka niezależnego i, jak zawsze, starają się nie dopuścić mnie do stanowiska i siły, aby mię dla rządów klik swoich unieszkodliwić. A że stroją się przy tym w pozory narodowe i że swoje rządy utożsamiają z patriotyzmem – to manewr

pospolity, obliczony na połechtanie popularnych nastrojów i obaw tłumu. W sporach narodowych staję zawsze po stronie sprawiedliwości i humanizmu, nie zaś endeckiego „egoizmu narodowego”, bo dobro narodu nie w tym „egoizmie” widzę, a Naród kocham i dla Niego działam z pewnością więcej od pełzaków reakcji, którzy zajęci są interesem osobistym. Przeciwnicy moi zażarcie zwalczali moją kandydaturę i w głosowaniu tylko 7 głosów zostało podanych na mnie na dwudziestu kilku głosujących. Zamiast mnie przeszedł na kandydata Litwin Mašiotas. Poniosłem więc porażkę, ale taką, która nie hańbi i nie sprawia mi przykrości, choć żałuję, że do Rady nie wejdę. Zasadniczo wszakże mam nawet pewne zadowolenie. Jest mi to świadectwem, że wrogowie ideałów moich nie lekceważą mię i boją się mnie.

11 (24) października, rok 1913, piątek
Napiszę o wczorajszym zebraniu grona osób w sprawie „Kuriera Krajowego”, o którym napisać pod datą wczorajszą dla braku miejsca nie mogłem. Zebrańko to odbyło się u dr Sumoroka; obecni byli dr Sumorok, Mańkowski, Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Osmołowski, Zasztowt i ja. Sytuacja nie o wiele się wyjaśniła. Ujawniło się, że w razie zawiązania spółki wydawniczej musiałaby ona przyjąć zaległości pisma na sumę koło 2000 rb. i na pokrycie deficytu do Nowego Roku jeszcze koło 800 rb. Po rozważeniu wszystkich okoliczności i względów doszliśmy do przekonania, że zobowiązania te są za ciężkie dla niewielkiego grona osób, które mogłyby wstąpić do spółki, zwłaszcza wobec słabych widoków na przyszłość; poza tym, pismo w ostatnich czasach tak zmarniało goniąc za jaskrawą sensacją z uszczerbkiem dla stanowiska ideowego i tak podupadło moralnie w opinii powszechnej stając się świstkiem brukowym bez powagi i wpływu, że dziś chyba nikt by się nie kwapił do należenia do spółki i że nawet niektórzy z nas samych, jak Zasztowt i ja, byśmy się obawiali łączyć imiona nasze z takim pisemkiem. Przez nieumiejętność Mańkowskiego, brak taktu i wyrobienia, przez nadmierne przeciążenie go ciągłą demoralizującą pogonią za groszem – pismo to, które w pewnych momentach stawało się poważną placówką demokratyczną, zmarnowało się dziś szkaradnie. Okazało się w dalszym ciągu, że najpilniejsze zaległości, których uregulowanie jest natychmiastowo nieodzowne, jeżeli pismo ma wychodzić nadal, wynoszą od 600 do 700 rb. Jeżeli się teraz sumę tę pokryje, to na Nowy Rok sytuacja znowu będzie ta sama, co dziś, bo ile teraz z zaległości ubędzie, tyle do Nowego Roku narośnie nowego deficytu. Żadnego treściwego rozwiązania sytuacji nie znaleźliśmy. Kwestia utworzenia spółki obecnie sama przez się upadła. Uznaliśmy, że gdyby się dało otrzymać skądś 600-700 rb., to kwestię utworzenia spółki należy odroczyć do Nowego Roku. Wtedy będzie dogodniejszy moment do orientowania się o przyszłości pisma i poza tym do Nowego Roku można będzie ewentualnie naprawić to, co się w piśmie zepsuło, postawić je na lepszej stopie niż dziś (ja osobiście wątpię w to polepszenie pisma dopóki zostaje ono pod redakcją Mańkowskiego). Ostatecznie jest się w błędnym kole; obecność i kierownictwo Mańkowskiego jest dla pisma szkodliwe, usunąć zaś Mańkowskiego można tylko przez wzięcie pisma w swoje ręce, to znaczy przez przyjęcie zobowiązań pieniężnych, a to jest znowu niewykonalne dziś wobec skompromitowanego stanowiska pisma. Wyjścia więc, zdaje się, nie ma i pismo chyba upadnie, o ile Mańkowski sam go dźwignąć nie zdoła. Nie wierzę w utworzenie spółki nie tylko dziś, ale i na Nowy Rok, o ile sytuacja pozostanie ta sama, a nic nie zwiastuje zmiany i poprawy stałej. Tymczasem niektórzy z nas mają przez stosunki prywatne spróbować zebrać trochę pieniędzy na pismo (od Sergiusza Łopacińskiego, Zenona Kuncewicza, Zubowa), żeby zapchać lukę najpilniejszych zaległości. W każdym razie jednak, o ile ja się do takiego zbierania przyczynię, to tylko najzupełniej prywatnie, odseparowując siebie od pisma, bo nie chcę łączyć siebie ze sprawą zbyt

skompromitowaną i brać odpowiedzialności moralnej za długi wydawnictwa. Stan jest bardzo kiepski.
Dużo dziś rozmawiałem z kolegami adwokatami o odmowie wydania mi przez sąd świadectwa na prawo prowadzenia cudzych spraw cywilnych. Wszyscy są oburzeni, ale czy się znajdzie sposób naprawienia tego, dopóki Cariuk jest prezesem sądu – to nie wiadomo. Wśród innych rozmawiałem też o tym z członkami komisji adwokackiej Wygodzkim i Witoldem Abramowiczem. Stanęło na razie na tym, że Wygodzki ma się poinformować prywatnie u niektórych członków sądu (Czeważewskiego, Andruckiego), jakie były mianowicie względy, dla których mi odmówiono świadectwa. Następnie sprawa ta ma być omówiona prywatnie w komisji adwokackiej. Ewentualnie członkowie komisji i starsi koledzy adwokaci może będą mogli pomówić o tym z Cariukiem i postarać się wpłynąć na niego w kierunku dla mnie przychylnym, aby mi wydano świadectwo na półrocze następne, chociaż Cariuk jest człowiekiem twardym, który się z wpływami adwokatów nie liczy. Tymczasem trzeba zaczekać aż do wyjaśnienia w drodze prywatnej rzeczywistych motywów odmowy.

12 (25) października, rok 1913, sobota
Wracając jeszcze do sprawy odmowy wydania mi przez sąd świadectwa, zaznaczę tu jeszcze pewien szczegół charakterystyczny. Jednocześnie z moim podaniem rozważane były na posiedzeniu sądu podania o świadectwa dwóch innych pomocników adwokatów, Jasińskiego i Przyłuskiego. Co do obu sąd poprzednio zwrócił się do komisji adwokackiej dla zasięgnięcia o nich opinii, jak to jest we zwyczaju. Obu też świadectwa zostały udzielone. Co do mnie zaś, to nie tylko że mi świadectwa odmówiono dla przyczyn „nieformalnych” (?), ale nawet wcale nie zwracano się z zapytaniem do komisji. Widocznie więc odmowa była już z góry przesądzona i opierała się na jakichś informacjach określonych. Nie wiadomo, czy to mój stary proces z „Gazety Wileńskiej”, czy jakieś inne wiadomości o osobie mojej sprawiły ten skutek. W każdym razie, odmowa jest widocznie kategoryczna, przesądzona z góry. To robi sytuację jeszcze cięższą. Nie wiem jeszcze, co mi należy przedsięwziąć. Każdy prawie co innego doradza. Niektórzy radzą mi użycie protekcji osób wpływowych, inni radzą, abym się wystarał i przedstawił do sądu świadectwo prawomyślności od gubernatora itd. W każdym razie, pierwszą rzeczą jest zasięgnięcie języka od członków sądu co do rzeczywistych motywów odmowy.
Dziś miało miejsce otwarcie nowego gmachu teatru polskiego na Pohulance. „Całe Wilno” śpieszyło na tę uroczystość. Miałem też ochotę być, ale nie postarałem się dość energicznie o bilet, toteż zostałem bez takowego. Zresztą ogromna większość osób śpieszyła na to pierwsze przedstawienie po prostu przez próżność, żeby swą obecność zamanifestować wobec wszystkich i żeby siebie w kole „całego towarzystwa” umieścić. Po przedstawieniu miał się odbyć uroczysty raut okolicznościowy w pałacu p. ordynatowej Tyszkiewiczowej. Raut był składkowy, po rb. 6 od osoby. Wielu postępowców zasadniczo nie szło na ten raut, uważając to za niemożliwe, dopóki p. Tyszkiewiczowa nie oczyściła się z zarzutów rozpusty i sadyzmu, które zaciążyły na niej przez rewelacje w głośnej sprawie Francuzki – panny Sahut.

13 (26) października, rok 1913, niedziela
Przed obiadem jeździłem dziś z Anną na Antokol dla obejrzenia tej działki ziemi, o której słyszałem, że się tam sprzedaje obok działki, zakupionej przez Studnickiego. Mając wszakże jeno ogólnikowe wskazówki o położeniu tej działki, nie mogliśmy jej znaleźć i tylko w przybliżeniu oglądaliśmy miejscowość, gdzie prawdopodobnie ona się znajduje. Miałbym ochotę zakupić dla nas z Anną taką działkę, tę albo inną, na kresach

Antokola. Na zabudowanie jej pieniędzy nie mamy, bo rozporządzamy wszystkiego jakimś niespełna półtora tysiącem rubli, ale nawet jako lokata kapitału może to być wcale dobre. Prawda, że plac pusty, bez budynków, nie da procentu, ale niech tylko przejdzie przez Antokol tramwaj elektryczny, a nie ulega chyba wątpliwości, że jedna z linii tramwaju będzie musiała iść przez Antokol, to cena placów podskoczy tam od razu grubo. Można więc to traktować choćby tylko jako spekulację. Co do placu, który dziś chcieliśmy obejrzeć, do zraża mię tylko sąsiedztwo dość pretensjonalnych inteligentów z kół dziennikarsko-artystycznych, którzy zakupili tam szereg placów i chcą, zdaje się, udawać statecznych filistrów, a przeto może węszyć zaczną sensację w stosunku naszym z Anną i „gorszyć się". Wracając z Antokola nędznym obecnym tramwaikiem konnym, widzieliśmy z Anną na jednym z domków ogłoszenie o sprzedających się działkach. Zwrócimy się tam innym razem – może znajdziemy miejsce dogodniejsze, choć może i trochę droższe, jeżeli to będzie w kierunku Wilii lub koło głównej ulicy antokolskiej. Nabycie placu bardzo nas tentuje.

14 (27) października, rok 1913, poniedziałek
Tyfus Stefusia płynie normalnie, bez żadnych szczególnych komplikacji. Wprawdzie doktor mówi, że stan nie jest lekki, jednak wobec tego, co się słyszało o tyfusie, np. w czasie choroby Elwiry przed laty dziesięciu, Henrysia w roku zeszłym, obecny tyfus Stefusia wydaje się, z pozorów przynajmniej, lekkim. Stefuś jest ciągle przytomny, choć najczęściej drzemie z osłabienia, zdaje sobie sprawę ze stanu choroby i panuje nad sobą, spełniając ostatecznie wszystko, co jest nakazane i znosząc wszystko, co się z nim robi. Że przy tym gderze trochę matkę – to głupstwo. Zmusza się do przyjmowania pokarmów nie mając apetytu, nie ma żadnych wybryków, majaczeń itd., zwykłych w tyfusie. Choć osłabienie jest wielkie, jednak nigdy nie traci świadomości. Biedna Maryńka dopatruje go wyłącznie sama, z wielką troskliwością i oddaniem. Całe dnie spędza przy nim, z domu prawie że nie wychodząc. Zresztą czuwanie to nie męczy ją zbytnio, bo nocami czuwać nie potrzebuje, gdyż Stefuś śpi znakomicie.
W sprawie wyborów miejskich słychać, że Galiński opracowuje samodzielną druga listę kandydatów, która ma konkurować z listą, ułożoną przez komitet bezpartyjny. Galiński – to taki sobie malkontent i, zdaje się, trochę warchoł, który i na poprzednich wyborach miejskich przed 4 laty ogłosił osobną listę kandydatów. Wtedy jego lista w stosunku do listy komitetowej zebrała jednak ilość głosów odpowiadającą stosunkowi 7:10. Jeżeli teraz wystąpi znowu, jak chodzą wersje, z listą osobną, to choć ostatecznie zapewne nie zwycięży listy komitetowej, jednak może w niej nawet pewne wyłomy poczynić. Większość kandydatów znajdzie się zapewne na obu listach konkurujących, ale co do niektórych osób, które będą tylko na jednej liście, to głosy mogą się rozstrzelić i rezultat może być rozmaity. Galiński ma stosunki i wpływy na przedmieściach. Nie wiem jeszcze, jak się ewentualnie zachowam na wypadek, gdyby Galiński zechciał mnie wpisać do swojej listy kandydatów, jeżeli takową istotnie ogłosi. Ze względu na to, że przedsięwzięcie Galińskiego ma charakter nie zasadniczy ideowy, lecz przeważnie warcholski, miałbym skrupuły przyjąć kandydaturę z jego ramienia po zabalotowaniu mię w komitecie. Wstyd by mi był łączyć się z rzeszą malkontentów, pozbawioną oblicza ideowego.
Wieczorem dziś byłem w teatrze polskim w nowym gmachu na Pohulance, który dopiero pozawczoraj otwarty został. Teatr jest wewnątrz ładny, sala widowni jest wykonana prosto i gustownie, biała o równych prostych liniach, wygląda tylko mała, choć to może złudzenie, pochodzące z zestawienia wymiarów poziomych z wysokością sali; zbytniej elegancji nie ma, miejsce jest wyzyskane umiejętnie dla pomieszczenia jak największej ilości widzów. Powiadają, że z niektórych miejsc galerii i głębi parteru źle

widać sceną. W teatrze dość było zimno i zwłaszcza przykre są ciągi. Wspaniały natomiast i elegancki jest podjazd zewnętrzny.

15 (28) października, rok 1913, wtorek
Dziś w majątku Wojczyźnie pp. Daszkiewiczów w gub. grodzieńskiej odbywa się wesele młodego Macieja Römera z Antonosza, syna starszego nieboszczyka stryja Bronisia Römera, z panną Marią Daszkiewiczówną. Na weselu tym jest Papa, zaproszony jako najstarszy z bliższych krewnych rodziny nowożeńca. Dwaj tylko Römerowie płci męskiej są starsi wiekiem od Papy, to przeszło 80-letni generał Jan Römer z Zamosza i przeszło 70-letni Bolesław Römer, ale obaj są dla Macieja dalszymi krewnymi. Z linii zaś naszej, to znaczy z linii starego pradziada Michała, żyją tylko dwaj wnukowie jego – Papa i stryj Kazimierz Römer, a z nich Papa jest starszy. Papa więc, jako senior rodziny nowożeńca, został zaproszony na wesele, a stanowisko to zobowiązało Papę do wygłoszenia mowy na uroczystości weselnej; mowę tę Papa napisał i uczył się jej pilnie jadąc na wesele. Będzie miał Papa tremę, bo mówcą nigdy nie był i nie jest. Ja dziś na wesele posłałem depeszę tej treści:
„Krynki. Wojczyzna. Maciej i Maria Römerowie. Przyjmcie gorące życzenia w dniu szczęścia Waszego. Niech się Wam szczęście osobiste łączy i opromienia miłością Ojczyzny i Ludu w imię ideałów przodków naszych. Miłość, której wyrazem ślub Wasz, niech się rozszerzy i ustokrotni w pracy waszego życia. Michał Römer”. Wyraz „ideały przodków naszych” – to poniekąd „*licentia poetica*”: należałoby powiedzieć nie „ideały przodków naszych”, lecz „ideały przodka naszego, pradziada Michała”, bo właściwie ten jeden z bliższych przodków naszych przekazał nam istotnie spuściznę wielkiego serca i gorącego czynu obywatelskiego. Boję się tylko, czy mój telegram nie zostanie przekręcony w transkrypcji, bo zawiera słowa mało popularne.
Wieczór, jak co dzień, spędziłem u Anny. Mieliśmy z nią lekcję geografii i gramatyki. Gramatyka idzie kochanej Annie dość ciężko, szczególnie subtelności rozróżniania rodzajów spółgłosek w początkowych stadiach tej nauki. Anna, gdy czegoś nie rozumie, pomimo że z całym wytężeniem stara się uchwycić wątek wykładanej treści, zniechęca sie i przygnębia, tracąc zaraz wiarę w swe zdolności i siły. A trudno jej rzeczywiście uchwycić istotę subtelności nauki o spółgłoskach dźwięcznych i bezdźwięcznych itp., gdy nawet języka samego doskonale nie zna i gdy nie wszystko z samego toku wykładu zrozumieć może. A zresztą są to szczegóły takie, które nie mają dla nauki gramatyki wielkiego znaczenia i na które szkoda tracić energię. Samą zaś istotę i główne pojęcia Anna przyswaja prędko; jak tylko coś zrozumie, to już wnet umie, bo ma świetną pamięć i znakomitą sprawność myślenia. Wszystkie nauki, a zwłaszcza geografia i historia, które są jej ulubionymi, interesują ją bardzo. Nauczanie to sprawia mi wielką przyjemność.

16 (29) października, rok 1913, środa
Sprawdziły się naturalnie przypuszczenia, że przyczyna odmowy Sądu Okręgowego wydania mi świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych był wzgląd na moją „nieprawomyślność polityczną” („политическая неблагонадежность”). Dziś członek komisji adwokackiej, adwokat Wygodzki, miał okazję do pomówienia o tym z członkiem sądu Czeważewskim. Czeważewski nie lubi prezesa sądu Cariuka, totaż Wygodzki wiedział, że się wygada w tej sprawie odmowy, która niewątpliwie przez Cariuka przeforsowana została. Jakoż Czeważewski potwierdził, że istotnie przyczyną odmowy były jakieś plamy z mojej przeszłości (zapewne sprawa moja, sądzona w r. 1909 w Izbie Sądowej pod zarzutem nawoływania do buntu i obalenia istniejącego ustroju, w której zresztą z zarzutu tego uniewinniony zostałem); Czeważewski podzielał

oburzenie Wygodzkiego i zapewniał, że sam był przeciwny tej odmowie i głosował za udzieleniem mi świadectwa, tym bardziej, jak powiadał, że ja nie jestem już młokosem i że nie ma powodu obawiać się jakichś wybryków z mojej strony, zwłaszcza w działalności zawodowej adwokackiej. Plan dalszego postępowania mego wobec tej odmowy powziąłem więc ostatecznie taki: 1) postarać się o otrzymanie od gubernatora Wierowkina świadectwa o prawomyślności politycznej mojej, a dla pewności otrzymania tego świadectwa zwrócić się do gubernatora bezpośrednio z kimś, którego on zna i z którym się liczy; 2) poprosić kogoś wpływowego o pójście specjalnie do prezesa sądu Cariuka i pomówienie z nim o mnie, wykazując, że jestem człowiekiem zrównoważonym i spokojnym, co do którego obaw żywić nie można, i uwydatniając, że skończyłem Szkołę Prawowiedów i że juz to jedno świadczy o mojej „prawomyślności", a że moja sprawa sądowa była tylko nieporozumieniem, bo choć byłem tytularnym redaktorem „Gazety Wileńskiej", jednak inkryminowany artykuł był wydrukowany w gazecie bez mojej wiedzy; 3) na Nowy Rok wnieść do sądu nowe podanie o udzielenie mi świadectwa, załączając do podania świadectwo gubernatora o prawomyślności; 4) jeżeli jednak znowu będzie odmowa, to już nie pozostanie nic innego, jak przypisać się do okręgu petersburskiego.
W niedzielę ma być otwarta wystawa wszystkich obrazów Czurlanisa, będących w depozycie Litewskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych („Lietuvių Dailės Draugijos"). Będzie to wystawa stała, rodzaj galerii obrazów zmarłego artysty. Wystawa będzie się mieścić w lokalu własnym towarzystwa przy rogu ulic Zawalnej i Nowej. Na prośbę Żmujdzinowicza napisałem dziś po obiedzie artykulik o wystawie tej i w ogóle o twórczości Czurlanisa. Artykulik ten spróbuję dać do „Kuriera Litewskiego"; jeżeli zaś Hłasko nie zechce go drukować ze względu na to, że się w nim zachwala artysta litewski i że tu chodzi o przesięwzięcie kulturalne litewskie (a Hłasko w stosunku do Litwinów pozwala swemu pismu być co najwyżej powściągliwym, jeżeli nie wprost niechętnym, chwalenia zaś i wyrażania im w czymkolwiek uznania – unika), to trzeba będzie go gdzieś indziej zużytkować. Artykulik udał mi się nieźle. Wieczorem z okazji otwierającej się wystawy odbyło się w lokalu „Dailės Draugijos" zebranie zarządu tego towarzystwa. Obecni byli: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis, Kairys, ja, najęty płatny sekretarz towarzystwa – jakiś młody człowieczek, i Žemaitis, który choć urzędowo do zarządu nie należy, jednak faktycznie w ostatnich czasach bierze w zarządzie i w całej pracy towarzystwa udział bardzo czynny. Głównym i prawie że jedynym tematem dyskusji była kwestia mów na uroczystości otwarcia wystawy. Zarząd postanowił przywitać gości mowami. Jednogłośnie uznano, że mowy powinny być wygłoszone w czterech językach – po litewsku, po polsku, po rosyjsku i po białorusku. Pierwszą na uroczystości litewskiej ma być oczywiście mowa litewska. Chodziło jednak o to, czy po litewskiej ma być wpierw polska, a potem rosyjska, czy odwrotnie. Wszyscy uznawali, że zasadniczo i podług sprawiedliwości należy się w Wilnie pierwszeństwo mowie polskiej przed rosyjską; zachodziła tylko obawa, czy nie staną temu na przeszkodzie względy policyjne i czy to nie spowoduje jakichś napaści lub złych konsekwencji dla towarzystwa ze strony władz rządowych. Po długich debatach znaleźliśmy takie wyjście, że wpierw przed mowami sekretarz zarządu Vileišis oznajmi w języku urzędowym, że z zezwolenia władz mowy odbędą się w językach miejscowych, mianowicie litewskim, polskim, rosyjskim i białoruskim, a następnie wygłoszone zostaną same mowy w porządku wskazanym, to znaczy polska zaraz po litewskiej i przed rosyjską. Projektowano na razie, abym polska mowę wygłosił ja. Wszakże my z Vileišisem wskazywaliśmy, że byłoby stosowniej, żeby polska mowę wypowiedział rodowity Litwin, witając gości Polaków. Gdybym mówił ja, to Polacy mogliby uważać, że nikt z Litwinów przemówić nie zechciał, a na mnie by

znów napadano, że służę za parawanik Litwinom i wypożyczam się im na okazyjne występy. Stanęło więc na tym, że mowę litewską wygłosi prezes zarządu Żmujdzinowicz, polską – Kairys, rosyjską – Žemaitis, białoruską zaś mam wygłosić, raczej odczytać (bo po białorusku umiem tylko czytać, ale nie mówić) – ja.

17 (30) października, rok 1913, czwartek
Zaniosłem dziś do redakcji „Kuriera Litewskiego" mój wczorajszy artykulik o wystawie Czurlanisa. Hłasko artykulik wziął, przeczyta go dziś wieczorem i jutro da odpowiedź, czy go będzie drukować w swym piśmie czy nie.
W redakcji „Kuriera Litewskiego" spotkałem się z Korolcem. Gawędziliśmy z nim o tym i owym, wreszcie zeszliśmy na temat wyborów miejskich. Wspomniałem, że, jak słychać, Galiński układa i ma ogłosić osobna listę kandydatów, inną niż komitetowa. Korolec to potwierdził i dodał jeszcze, o czym nic nie słyszałem, że on sam także ułożył listę osobną, konkurującą z komitetową. Lista Korolca ułożona została przez jakieś grono, które utworzyło doraźny komitecik (nazwę tego nowego „komitetu" Korolec mi wymieniał, ale jej nie pamiętam). Tak więc już trzy listy będą konkurowały na wyborach – lista „komitetu bezpartyjnego", lista Galińskiego, lista Korolca, a może do dnia wyborów przybędą jeszcze inne, nowe. Korolec jest bardzo zażalony na „komitet bezpartyjny", na który piorunuje i zarzuca mu „politykę osobistą", prywatę. Zdaje się, że za głównego winowajcę uważa dr Sumoroka, który w „komitecie bezpartyjnym" rzeczywiście bardzo namiętnie zwalczał niektórych kandydatów i przyczynił się do ich obalenia. Grupa Korolca opiera się, zdaje się, na malkontentach, którzy zostali w komitecie bezpartyjnym zabalotowani i usunięci; jest wśród nich kilku dawnych radnych, jak Antonowicz, Bunk, członek zarządu Karpowicz, są ludzie nowi, którzy by z pewnością pragnęli wejść do rady, a których w komitecie zabalotowano, jak Władysław Malinowski, jak, zdaje się, sam Korolec. Głównie czują się oni dotknięci nie samym faktem zabalotowania, ale tym, co o nich w komitecie mówiono i jakie im zarzuty stawiano; obrady komitetu i wypowiadane tam opinie były szeroko po mieście kolportowane, toteż mnóstwo osób jest zadraśniętych. Grupa Korolca wpisała podobno do swej listy kandydatów postępowców, figurujących na liście komitetowej, ale na ogół lista Korolcowska bynajmniej nie będzie miała cech jakiegoś zasadniczego kierunku, jeno przeważnie rewanżu na komitecie bezpartyjnym. Zdaje się, że grupa Korolca zyskała poparcie „Gazety Codziennej", której redaktor Obst też zabalotowany został w komitecie bezpartyjnym.

18 (31) października, rok 1913, piątek
Miałem przykrość. Przed obiadem poszedłem do redaktora „Kuriera Litewskiego" Hłaski dla otrzymania odpowiedzi w kwestii, czy artykulik mój o Czurlanisie będzie drukowany w piśmie. Hłasko oświadczył, że się na drukowanie zgadza, ale ma przede wszystkim cały szereg zastrzeżeń co do samej wystawy, co do których chciałby mieć poprzednio wyjaśnienie ode mnie, wie bowiem, że jestem członkiem zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Ponieważ, jak powiada, artykulik mój poza samą charakterystyką twórczości Czurlanisa ma jeszcze charakter reklamowy względem wystawy, więc Hłasko, redaktor, mając go drukować w swym piśmie, chce mieć pewność, że wystawa ta w niczym dotykać nie będzie Polaków. Rozumiałem, że Hłasko ma na myśli „precedens" z zeszłorocznej wystawy litewskiej r. 1912, mianowicie ową sławną i głośną awanturę z nieszczęsną rzeźbą Rymszy „Walka" („Kova"). Spytał mię więc przede wszystkim, czy na wystawie dzieł Czurlanisa nie będzie jakiegoś utworu w rodzaju owej „Walki", który by mógł obrażać Polaków. Zapewniłem, że wśród dzieł Czurlanisa nie ma, o ile wiem, żadnych, które by miały charakter specjalnie polityczny i

agitacyjno-spekulacyjny. Pytał dalej, czy na wystawie będą napisy polskie, polskie katalogi i tekst polski na afiszach. Zapewniłem go co do wszystkich tych punktów i dodałem jeszcze o mowach przy otwarciu i w szczególności o mowie polskiej. Nie bardzo mi się ta indagacja podobała, bo ostatecznie „Lietuvių Dailės Draugija" sama ma przecie świadomość tego, co należy robić, a zresztą ja sam, jako Polak, należąc do jej zarządu, służę gwarancją uwzględnienia słusznych należnych Polakom względów. Należało Hłasce przyjąć artykuł, jeżeli go uznaje za odpowiedni, a co do zastrzeżeń swoich zaufać mnie, nie kwestionując, a rezerwując sobie na potem krytykę choćby najostrzejszą, gdyby się okazało, że wystawa obraża Polaków. Takie zaś indagowanie z góry ma cechy jakiejś niewiary, jakiegoś posądzania z góry. Indagacja ta dotknęła mię trochę, ale ostatecznie, ponieważ miała charakter poufny, więc nie odmówiłem Hłasce tych wyjaśnień. Na koniec Hłasko dotknął sprawy najdrażliwszej, mianowicie kwestii zaproszenia redakcji „Kuriera Litewskiego" na otwarcie wystawy. W czasie głośnego zajścia z „Walką" Rymszy na wystawie z r. 1912 członkowie redakcji „Kuriera Litewskiego" odesłali zarządowi bilety zaproszeń na otwarcie wystawy, załączając protest przeciwko obrażaniu uczuć polskich wystawianiem dzieł takich, jak „Walka". Jednocześnie w „Kurierze Litewskim" ukazał się wtedy artykuł namiętny, nazywający wystawienie „Walki" prowokacją. Wiadome są losy „Walki", którą sam artysta-autor, Rymsza, własnoręcznie rozbił, zdenerwowany zajściem. Zarząd „Lietuvių Dailės Draugijos", reagując na komentarze opinii polskiej, opublikował wtedy komunikat, w którym oświadczył, że niczyich uczuć obrażać nie chciał, że obce mu są całkowicie jakiekolwiek tendencje polityczne i że oceniał rzeźbę Rymszy wyłącznie ze stanowiska sztuki, artyzmu. Pomimo to „Kurier Litewski" ani cofnął, ani złagodził swego zarzutu prowokacji. Wobec tego na doroczną wystawę litewską r. 1913 zarząd towarzystwa litewskiego nie posłał zaproszenia do redakcji „Kur. Litewskiego", bo o tym była mowa na pozawczorajszym zebraniu zarządu. Sądziłem wszakże, że sprawa nie jest stawiana w zarządzie zbyt ostro i kategorycznie i że, skoro Hłasko zgodzi się na drukowanie w „Kurierze Litewskim" mego artykułu o Czurlanisie i wystawie, to zarząd „Dailės Draugijos" nie odmówi mu posłania zaproszenia. Na zebraniu zarządu odczytywałem mój artykulik, który się wszystkim bardzo podobał, i wspomniałem, że spróbuję go dać do „Kuriera Litewskiego". Chciałem nawet wczoraj, przed daniem artykułu Hłasce, pomówić ze Żmujdzinowiczem i upewnić się, że w razie przyjęcia artykułu zaproszenie będzie do redakcji „Kur. Lit." posłane, ale później tego nie zrobiłem, bo byłem pewny, że to się bez trudności da zrobić. Toteż na napomknienie Hłaski w sprawie zaproszenia zapewniłem go, że takowe będzie do redakcji przysłane. Z domu napisałem o tym w kartce do Żmujdzinowicza prosząc, aby koniecznie zaproszenie wysłał. Tymczasem gdym o godz. 7 przyszedł do lokalu „Dailės Draugijos", zastałem tam członków zarządu Żmujdzinowicza, Żmujdzinowiczową i Kairysa, gorąco debatujących nad tą kwestią i uznających niemożliwość ustąpienia na tym punkcie i wysłania zaproszenia. Szczególnie Kairys zupełnie twardo stał na tym gruncie, wysuwając względy zasadnicze, że towarzystwo zostało przez „Kur. Litewski" poważnie obrażone i nie może, bez uchybienia swej godności, zapraszać tej redakcji i robić jakiś krok do zgody i kurtuazji. Było mi strasznie przykro, ale nie było co robić. Nie podzielam zdania Kairysa i Żmujdzinowiczów, uważam, że choć była istotnie obraza ze strony „Kur. Litewskiego" przed laty dwoma, ale bądź co bądź obraza wynikła na gruncie nie zelżenia się prywatnego, lecz sprawy zasadniczej, i że sam „Kurier L." uważał się, słusznie czy niesłusznie, za obrażonego w imieniu Polaków, i ze zresztą nie należy przedłużać w nieskończoność zatargu i obrazy, lecz z biegiem czasu rzucić płaszcz zapomnienia i wyrozumiałości na urazy przeszłości; szczególnie, że w tym razie „Kurier Litewski", drukując mój artykulik o wystawie, pochodzący od członka zarządu

i reklamujący wystawę, robił też krok do zgody i zapomnienia, toteż nie byłoby tu jednostronnego poniżającego aktu skruchy ze strony „Dailės Draugijos”, jeno obustronne zaniechanie dawnych uraz i żalów. No ale większość zarządu myślała inaczej. Choć mię to narażało na wielką przykrość osobistą, nie mogłem mieć do moich kolegów z zarządu żalu, bo kierowały nimi względy zasadnicze, których choć nie podzielam, ale szanuję. Musiałem zaraz pośpieszyć do redakcji „Kuriera Litewskiego” do Hłaski; powiedziałem mu, że zarząd postanowił nie wysłać zaproszenia do redakcji, przeprosiłem go osobiście za to, że mu dziś inaczej tę rzecz przedstawiłem, no i oczywiście artykuł mój wobec tego wycofałem. Sprawa ta była dla mnie niezmiernie przykra.
Wieczorem u mnie odbyło się zebranie „komisji polsko-litewsko-białoruskiej”, wybranej w lipcu roku 1912 na pierwszym zebraniu w rocznicę Napoleońską dla wydania broszury popularnej w trzech językach powyższych o roku 1812 na Litwie. Komisja ta była dotąd bezczynna. Należą do niej: Polacy – ja i Studnicki, Litwini – M. Biržiška i Janulaitis i Białorusini – Łastowski i I. Łuckiewicz. Zwołałem na dziś te komisję, bo niepodobna być bezczynnymi, gdy są pieniądze publiczne na ten cel zebrane. Jeżeli broszura nie ma być wydana, to w każdym razie trzeba obmyślić i zaproponować ofiarodawcom jakiś inny sposób zużytkowania pieniędzy. Postanowiliśmy jednak broszurę wydać, a ułożenie jej polecone zostało Łastowskiemu, który ma ją napisać w porozumieniu ze mną.

19 października / 1 listopada, rok 1913, sobota
Listy wyborcze się mnożą. Malkontentów moc, grupek rozmaitych urosło tak, jak grzybów po deszczu. Kampania wyborcza miejska, która do niedawna była zupełnie mdła i ledwie wegetowała w łonie jedynego „komitetu bezpartyjnego”, nagle się niezwykle ożywiła w sam przeddzień wyborów, które się odbędą 24 października we czwartek. Oprócz listy „komitetu bezpartyjnego”, ukazała się już lista tzw. „mieszczańska”, która przypisują zabalotowanemu w „komitecie bezpartyjnym” członkowi Zarządu Karpowiczowi, i lista „zjednoczona” Korolca, Obsta i Ko. Na liście Karpowicza kandydatów postępowych, którzy są wpisani do listy „bezpartyjnej”, nie ma, z wyjątkiem tylko dwóch – Abramowicza i Jakubowskiego. Przeważają w niej elementy ze starej Rady Miejskiej. Na liście zaś Korolca, oprócz wpisanych wszystkich zabalotowanych malkontentów, jak Korolec, Karpowicz, Antonowicz, Władysław Malinowski, Obst itd., są też wszyscy postępowcy z listy bezpartyjnej, jak Abramowicz, Nagrodzki, Krzyżanowski, Uścinowicz, Jakubowski, Umiastowski Jan, Zasztowt i inni i dopisany jeszcze Józef Bukowski. Prozorow natomiast, o którego się toczył bój długi i zacięty między „komitetem bezpartyjnym” a grupą postępowców Rosjan i którego ostatecznie do listy bezpartyjnej nie wpisano, figuruje na liście Karpowicza, na Korolcowskiej zaś go nie ma. Sumorok, główny sprawca złości malkontentów, na liście ich (Korolcowskiej) naturalnie nie figuruje. Mnie też nie ma na żadnej. Lista „zjednoczona” Korolca, choć postępowców uwzględnia szeroko, jest zasadniczo nijaka: jest to lista malkontentów, lista obrażonych ambicji. Lista Karpowicza, bardziej prawicowa, jest bądź co bądź pod względem ideowym bardziej jednolita i zasadnicza. Poza tymi listami mają być jeszcze, jak słychać, wydane listy następujące: a) lista tzw. bankowa, najbardziej prawicowa, pochodząca ze sfer Banku Ziemskiego, podobno układana i zainicjowana przez adwokata Zmaczyńskiego, mająca same tylko podobno nazwiska starych radnych; b) lista Galińskiego, o której nic jeszcze nie wiadomo; c) lista prawicy rosyjskiej, która ma podobno zwiększyć ilość kandydatów Rosjan z 13, jak jest ustanowione w zasadniczej liście „bezpartyjnej”, do 25; d) wreszcie ostatnia, siódma, lista pod nazwą „niezależna”, układana przez kilku ludzi z przyjaciół „Kuriera

Krajowego" na własną rękę; autorami tej listy są przeważnie Mańkowski i Jerzy Jankowski; listę tę układają oni ze skombinowanego doboru nazwisk z innych list i jutro mają ją w „Kur. Krajowym" ogłosić, a też wydrukować w odbitkach, jak wszystkie inne, i rozesłać do wyborców (na liście tej i ja mam figurować – doradcą autorów tej listy jest Sumorok). Tak więc Wilno mieć będzie całą powódź list, przejdzie zaś zapewne, jak sądzę, lista „bezpartyjna" jako najstarsza i najwięcej autorytetu mająca. Ostatecznie lista „bezpartyjna" nie jest wcale zła. Nie jestem jej wrogiem nieprzejednanym, mimo że mię do niej nie wpisano.
Postanowiłem odmówić się od wygłoszenia, raczej odczytania mowy białoruskiej na jutrzejszym otwarciu wystawy Czurlanisa. Uważałem, że moje występowanie z mowami na uroczystości litewskiej od imienia Litwinów nie bardzo jest stosowne. Mogę brać czynny udział w życiu kulturalnym Litwinów, ale nie do mnie należy rola ich reprezentanta na zewnątrz. Poza tym, ze względu na wczorajsze przykre zajście z redakcją „Kuriera Litewskiego", wolałem się na otwarciu wystawy na czoło nie wysuwać. Napisałem więc tylko mowę, którą przetłumaczył Antoni Łuckiewicz, i uprosiłem Ślażewicza o odczytanie jej na uroczystości jutrzejszej. Wieczorem byłem na zebraniu zarządu „Dailės Draugijos". Marynia przysłała przeze mnie dla „Dailės Draugijos" ofiarę pieniężną w kwocie 25 rb. z ładnym listem, w którym oświadczając, że syn jej, Stefuś, będzie może kiedyś artystą, składa ofiarę na Towarzystwo Artystyczne, prosząc Boga, żeby mu wrócił zdrowie w tyfusie.

20 października / 2 listopada, rok 1913, niedziela
O godz. 1 po południu odbyło się uroczyste otwarcie stałej wystawy dzieł Czurlanisa. Osób na otwarciu było ogółem koło 40, prawie wyłącznie Polaków i Litwinów; ze szczupłej garstki inteligencji białoruskiej było tylko dwóch braci Łuckiewiczów. Z Rosjan i Żydów nie było nikogo. Z Polaków zauważyłem następujące osoby: Paweł Kończa, p. Kończanka, zdaje się – Anna Mohlówna, Bagiński, panna Stanisława Studnicka, Ludwik Abramowicz, Renard-Carnocki, Jezry Jankowski, Mańkowski, Jan Bułhak i jeszcze inni, których nie pamiętam lub których nie znam. Przeważali naturalnie Litwini (Żmujdzinowiczowie, Janostwo Vileišisowie, Kairys, wdowa artysty – p. Zofia Czurlanisowa, brat i, zdaje się, ojciec artysty, Janulaitis, Žemaitis, Ślażewicz, Sapkowska, p. Bortkiewiczowa, Juranaitis, Ślażewiczowa, dr Vileišis z żoną i wielu innych). Że nie było Żydów – temu się nikt nie dziwił. Mimo że stosunki między Litwinami i Żydami są dobre, a nawet w polityce się oni wzajemnie popierają, to jednak faktycznie należą oni do dwóch światów odrębnych. Choć Litwini się z Polakami ciągle kłócą, jednak są oni sobie bliżsi i daleko więcej mają punktów stycznych, niż z Żydami, z którymi zatargów nie mają i z którymi się nawet doraźnie popierają. Niestety, między Żydami a społeczeństwem miejscowym chrześcijańskim nie ma żadnych prawie form łączności poza dziedziną życia ekonomicznego. Życie kulturalne Żydów jest zupełnie odosobnione od życia reszty społeczeństwa i, niestety, kraju. Poza własną swoją kulturą, która się u nich coraz bardziej unaradawia, ulęgają oni wpływom kultury rosyjskiej i przeto od życia krajowego się oddalają, co niewątpliwie jest dla nich samych w konsekwencjach swych ujemne. Złożyło się i składa na to wiele przyczyn i nie oni sami są temu winni, a przynajmniej nie świadomie, ale niemniej jest to fakt i fakt ujemny. Zwracała tez uwagę nieobecność Rosjan. Nawet tych kilku Rosjan postępowych, którzy są bliżsi życia krajowego i na których obecność liczono, bo byli zaproszeni, jak Powołockij, artysta Rybakow, nie przyszło, bo akurat trafiło się, że przyjść nie mogli. Z Rosjan był tylko jeden przedstawiciel „władzy", policjant pilnujący porządku i godności państwowej. Nie było więc wcale dla kogo wygłaszać mowy rosyjskiej, która była w programie otwarcia przewidziana. Ale że trzeba było dla

względów policyjnych przemówić też koniecznie po rosyjsku, skoro były i inne mowy, więc suche oświadczenie sekretarza zarządu, Jana Vileišisa, wygłoszone na wstępie w kilku słowach w języku państwowym o tym, że gubernator pozwolił na wygłoszenie mów w językach „miejscowych" i że zatem takowe się odbędą, uczyniło zadość konieczności „państwowej" i zastąpiło mowę rosyjską. Tym lepiej. Następnie wygłoszone zostały mowy właściwe: Żmujdzinowicz powiedział po litewsku, Kairys po polsku, Žemaitis odczytał po białorusku napisana wczoraj mowę przeze mnie. Najpiękniejszą była mowa polska Kairysa, głęboka, wypowiedziana z siłą wewnętrznego przeświadczenia a bez patosu, zakończona niezmiernie wyrazistym i pięknym uwydatnieniem humanizmu, który łączy przez sztukę ludzi bez względu na dzielące ich różnice i waśnie stanowe, przekonaniowe, religijne czy narodowe. Na tym się uroczystość otwarcia skończyła.
Rano przed wystawą Czurlanisa pojechałem z Anną na Antokol dla obejrzenia sprzedających się tam działek ziemi, o których wyczytaliśmy ogłoszenie. Są tam działki z posiadłości niejakiego p. Syrwida, położone między centralną ulicą Antokolską a Wilią ku końcowi Antokola o jakieś ½ wiorsty czy trochę mniej od kresu dzisiejszej konnej linii tramwajowej. Przy samej ulicy Antokolskiej działki są droższe, toteż nie reflektujemy na nie, bo są one zdatne głównie na zabudowanie się, podczas gdy nam chodzi tylko czy o spekulację na wyczekaniu wzrostu ceny, czy też ewentualnie o zużytkowanie jej na mieszkanie Anny i na założenie przez Annę i dla niej ogrodu. Najzdatniejsze dla nas byłyby z obejrzanych dziś działek działki nad samą rzeką na płaszczyźnie dolnej, gdzie wszakże grunt jest suchy i ładny. Cenią się one po rb. 10 za sążeń, podczas gdy przy ulicy cenią się po rb. 20m i dalej po rb. 15. Jeżeli zaś wziąć działkę na równinie nad rzeką z kawałkiem spadzistości wzgórza powyżej, to cena sążnia z 10 rb. spada do 5 rb., ale spadzistość ta jest kryniczna i niezdatna do niczego. Na zakupienie jakichś 400 sążni nad rzeką musielibyśmy wydać 4000 rb., co nam jest ciężko, bo mamy tymczasem tylko trochę ponad 1000 rb., choć kupno mogłoby być zrobione za rok lub dwa lata. Działki nad rzeką są ładne i Annie bardzo się podobają. Marzyliśmy z Anną, jak by tam ona w małej chałupce zamieszkała i sama uprawiała ogródek, ale Anna z marzeń tych wkrótce się z żalem wyrwała i zasmuciła, tracąc wiarę w możność uskutecznienia tych pięknych dla niej perspektyw. Nie odrzucam możności kupienia tu działki nad rzeką, ale chcę się wpierw jeszcze poradzić ze Stadziewiczem, mieszkańcem Antokola, który zna tameczne działki i warunki na wylot. Stadziewicz mi opowiadał o sprzedającej się ziemi w miejscowości zwanej Szwajcaria w odległości 1 ½ – 2 wiorst od ulicy centralnej Antokolskiej. Ma być tam 5 dziesięcin do sprzedania po kop. 60 za sążeń. Dla mieszkania Anny i ogrodu byłoby to bodaj lepiej od działki 400-sążniowej nad rzeką. Za tańsze pieniądze moglibyśmy dwie dziesięciny kupić. W każdym razie, chcę się gruntownie poradzić i obejrzeć ze Stadziewiczem.

21 października / 3 listopada, rok 1913, poniedziałek
Wieczorem u p. Niedziałkowskiego odbyło sie pierwsze zebranie nowego komitetu rodzicielskiego gimnazjum Winogradowa, wybranego na bieżący rok szkolny. Wybrano komisję tzw. wychowania fizycznego, poza tym, zajmowano się głownie sprawą opłacenia wpisów szkolnych za niezamożnych uczniów. Podań o opłacenie wpisu przez komitet rodzicielski wpłynęło, zdaje się, osiem; obliczyliśmy, że ogólna suma wpisów, gdybyśmy wszystkie podania zaspokoili, wyniosłaby czterysta kilkadziesiąt rubli na półrocze, co a budżet komitetu jest trochę za ciężko. Ale trudno odmówić, gdy wszyscy proszący rzeczywiście bardzo potrzebują. Może niektórym dopomożemy częściowo, dla innych może dyrektor i sam trochę daruje, przynajmniej częściowo, opłatę. Ostatecznie nie powzięliśmy dziś jeszcze decyzji stanowczej w tej sprawie, odkładając takową do

następnego zebrania. ogóle jest tendencja w komitecie do uwzględnienia i zaspokojenia wszystkich podań, dając wszakże pierwszeństwo tym, którzy w roku zeszłym pobierali stypendium i którzy są w klasach wyższych.
W ostatnim numerze „Przeglądu Wileńskiego", który zdaje się nie zostanie zamknięty, bo grupa przeglądowa uchwaliła wydawać pismo nadal – artykuł wstępny Ludwika Abramowicza jest znów skandaliczny. Napada on ostro na postępowe ideowe codzienne pisemko popularne rosyjskie „Вечерняя Газета" (redagowane przez Antoniego Łuckiewicza) właśnie za to, że jest ono postępowe i demokratyczne. Uważa je Ludwik za najszkodliwsze, bo, zdaniem jego, takie właśnie pismo najskuteczniej szerzy w kraju wśród ludu rusyfikację, skuteczniej od urzędowych „obrusitielów", posługujących się metodą Murawjewowską gwałtu i ograniczeń. Tu bowiem wpływy rosyjskie sączą się pod ponętną formą popularnych haseł wolnościowych i demokratycznych i przeto stają się w tej szacie dla mas strawne i wsiąkają w psychikę ludu, asymilując się łatwo z podłożem. Totez Ludwik woli akcję rusyfikatorską urzędową, woli „Виленскій Вестникъ" i tradycję Murawjewowską od demokratycznej akcji rosyjskiej. Ale zapomina, że „Вечерняя Газета" zajmuje stanowisko krajowe i że bądź co bądź językiem rosyjskim posługują się u nas Żydzi i całe masy drobnych urzędniczków, dla których nie można zamknąć dostępu do życia i do myśli demokratycznej. Lepiej więc, że te elementy, tak Żydzi, jak drobni urzędnicy, mają w „Вечерней Газете" wyraz demokratycznej myśli, opartej na stanowisku krajowym, co ich uobywatelnia i właśnie sprowadza z torów bezpłciowego demokratyzmu popularnych frazesów na tory krajowej akcji, niż gdyby mieli tylko strawę demokratyczną, rozpływającą się w centralizmie wszechpaństwowym, jak to robi większość również „postępowych" pisemek geszefciarskich żydowsko-rosyjskich, jak np. Rodinowskie „Наша Копейка" i „Сев.-Зап. Голосъ". Argumentacja Ludwika przypomina bardzo argumentację nacjonalistów litewskich czy białoruskich względem prasy i akcji społecznej polskiej. Mówią oni, że wolą pisma polskie szlacheckie i prawicowe od demokratycznych i postępowych, bo pierwsze są całkiem obce i do ludu nie trafiają wcale, podczas gdy demkratyczny ruch polski jest „najszkodliwszy", bo dociera do ludu i szerzy polonizację. Argumantacja wszystkich nacjonalistów jest kubek w kubek ta sama. Prawdą zaś jest, że wszyscy się mogą rozwijać swobodnie w ramach krajowych.

22 października / 4 listopada, rok 1913, wtorek
Dzień prawie cały, korzystając ze święta rosyjskiego, spędziłem z Anną, przeważnie w jej pokoiku. Odbyliśmy dwie długie lekcje, geografii i gramatyki, z których druga jest dla Anny bardzo ciężka. Wieczorem miałem iść na ogólne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które się po raz pierwszy odbywało w nowym własnym domu przy rogu zaułka Gazowego i przedłużenia ulicy Mostowej. Wobec tego kupiłem dla Anny na wieczór dzisiejszy bilet na galerię do teatru polskiego, aby ją w ten sposób przebłagać za drugi z kolei wieczór świąteczny, spędzony przeze mnie bez niej i pożegnałem ją, odprowadziwszy aż do drzwi teatru. Sam wszakże nie poszedłem na zebranie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bo przyszło mi na myśl odwiedzić Henrysia Wołłowicza i dać mu na gorąco reprymendę, która mu się należała za pewien ujawniony brzydki czyn. To mi zabrało parę godzin czasu. Koło godz. 10 ½ wróciłem do domu i zasiadłem do artykułu, który chcę napisać i dać do „Przeglądu Wileńskiego" w odpowiedzi na artykuł Ludwika Abramowicza o „Вечерней Газете", o którym pisałem w dzienniku pod data wczorajszą. Wiem, że mój artykuł w „Przeglądzie Wileńskim" będzie potraktowany po macoszemu, to znaczy wywoła albo dopisek, albo replikę od redakcji, bo redakcja „Przeglądu" inaczej niż ja na tę kwestię się zapatruje, ale bądź co bądź chodzi mi o to, żeby głos Ludwika Abramowicza, pomawiający

„Вечернюю Газету” o szerzenie rusyfikacji i ogłaszający ten nowy prąd demokratyczno-krajowy w prasie rosyjskiej, którego wyrazem jest to pismo, za szkodliwszy od „Виленскаго Вестника” i od metody Murawjewowskiej, nie był jedyny. Chcę zabrać głos i uzasadnić i wykazać to właśnie, co jest dodatniego w kierunku reprezentowanym przez „Вечернюю Газету”, jest to bowiem kierunek, który kładzie tamę postępom rusyfikacji elementu rosyjsko-białoruskiego i stanowi zwrot ku ukrajowieniu tego elementu, ku oderwaniu go od niwelacji wszechpaństwowej. Niech więc Ludwik daje dopiski do mego artykułu, byle go tylko wydrukował i byle tylko czytelnicy mogli i tę drugą, moją, opinię o „Вечерней Газете” usłyszeć.
Do „Przeglądu Wileńskiego” też mam dać mój artykulik o Czurlanisie, który miał poprzednio być drukowany w „Kurierze Litewskim”.

23 października / 5 listopada, rok 1913, środa
Rano dokończyłem artykuł do „Przeglądu Wileńskiego” w sprawie kierunku „Вечерней Газеты” i zanisłem takowy razem z artykulikiem o Czurlanisie do Ludwika Abramowicza do redakcji „Przeglądu”. Ludwik artykuł mój zamieści, zaopatrując go dopiskiem, w którym naturalnie będzie obalał wywody moje. Zażądał Ludwik, abym podpisał artykuł przynajmniej inicjałami mymi, powiadając, że to jest potrzebne ze względu na to, że artykuł ten wyraża nie opinię redakcji, jeno osoby prywatnej reprezentującej, jak ja, kierunek odrębny, któremu się daje w piśmie głos przez gościnę. Zrobiłem to.
W „Kurierze Krajowym” nie mogę teraz, niestety, pisać. Jest on takim świstkiem brukowym, tak jałowym i jaskrawie sensacyjnym, że dla artykułów ideowych nie nadaje się wcale. Toteż choć nieraz miałbym ochotę zabrać głos w jakiejś sprawie właśnie w dzienniku, nie zaś w niepopularnym tygodniku, muszę jednak zrezygnować. Postanowiłem do „Kuriera Krajowego” nie pisać, aż się chyba zmieni. Wątpię zresztą, czy się utrzyma. Skąd jeszcze teraz czerpie Mańkowski środki na wydawnictwo – nie wiem. W ostatnich dniach „Kurier Krajowy” gorąco się rzucił do walki wyborczej miejskiej, forsując gwałtownie swoją listę „różową”, ułożoną od imienia „grupy jedenastu niezależnych”; na liście tej figuruje w liczbie kandydatów i moje nazwisko. W ogóle walka wyborcza niezmiernie się ożywiła, jak bodaj nigdy dotąd w Wilnie na wyborach miejskich. Lista „biała” półarkuszowa „komitetu bezpartyjnego”, lista „błękitna” Korolca i Bitnera, jakaś druga też Korolca, który zerwał z grupą błękitną, lista „szara” Galińskiego, lista „różowa” „Kuriera Krajowego”, lista prawicy rosyjskiej, czyli lista Andrejewa... Lista „błękitna” ma najwięcej cech prywaty, będąc listą malkontentów i obrażonych ambicji, ale jednocześnie jest ona najpoważniejszą konkurentką głównej listy „komitetu bezpartyjnego”. Agitacja za listą błękitną jest bardzo energiczna i forsowana przez urzędników Zarządu Miejskiego. Komitet bezpartyjny dla agitacji na swoją listę użył pisemka „Promień”, które z zapomogi komitetu bezpartyjnego wskrzeszone zostało. Jest to pisemko p. Łapińskiej, właścicielki drukarni przy zaułku Ihnatowskim. Pisemko to w postaci nowego dzienniczka kopiejkowego wychodziło przez krótki czas w końcu czerwca i lipcu i po kilkunastu numerach z braku środków upadło. Teraz odżyło dla agitacji „komitetu bezpartyjnego”. Komitet bezpartyjny, czyli raczej prezydium jego, posługuje się „Promieniem” tylko w zakresie artykułów dotyczących wyborów, poza tym zaś nie odpowiada za treść i kierunek pisemka. Poza sprawami wyborczymi, pisemko to ma charakter brukowo-antysemicki w najlichszym gatunku, uprawiając rzemiosło szczucia na Żydów. Bądź co bądź, komitet bezpartyjny mógł sobie zawarować pewne minimum wymagań co do charakteru tekstu pisemka, bo tak – to ta asocjacja propagandy za listą bezpartyjną z

propagandą ultraantysemicką wygląda bardzo brzydko i kompromituje panów z komitetu.
Żałuję, że nie byłem wczoraj na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zebranie było liczne i bardzo burzliwe. W toku obrad powstała pewna kwestia, która wywołała niezwykle namiętną dyskusję – i bardzo charakterystyczną. Chodziło o połączenie zbiorów T-stwa Muzeum Nauki i Sztuki ze zbiorami T-stwa Przyjaciół Nauk. Towarzystwo Muzeum Nauki i Sztuki jest założone przez Tyszkiewiczów, jest ich niejako instytucją rodzinną. Otóż Tyszkiewiczowie postawili za warunek przyłączenia zbiorów do T-stwa Przyj. Nauk, ażeby dwaj z nich, Władysław i Antoni, zostali wprowadzeni na stałych członków zarządu T-stwa Prz. Nauk. Jest to niemożliwe do zagwarantowania, bo sama ustawa T-stwa Prz. Nauk nie pozwala na to, ponieważ zarząd jest corocznie wybierany. Powstała kwestia mianowania Tyszkiewiczów członkami-protektorami, ale się wyjaśniło, że im to nie wystarcza. Wówczas Węsławski zaprojektował mianowanie ich członkami honorowymi. Cały szereg osób z młodszych żywszych elementów, chociaż endekujących, ale ceniących naukowy charakter instytucji, zaprotestował żywo. Brensztejn, Studnicki, dr Boguszewski protestowali, ponieważ członkami honorowymi mogą być tylko ludzie nauki. Oponentom nie dawano mówić, gwizdano. Ogół inteligencki chciał uczcić hrabiów. I tu wystąpił „demokrata” Iwan Łuckiewicz z apologią Tyszkiewiczów, owacyjnie przez ogół oklaskiwany.

24 października / 6 listopada, rok 1913, czwartek
Dzień wyborów miejskich. Koło południa poszedłem do Sali Miejskiej, gdzie się odbywają wybory i złożyłem do urny mój głos. Nie podałem żadnej z list drukowanych. Sam wpisałem na arkuszu papieru 96 nazwisk kandydatów na radnych, których wybrałem z rozmaitych list kursujących. W czasie, gdym składał mój głos, na sali nie było nikogo z głosujących; ale w przedsionku było sporo grupek, wśród których się uwijali gorliwie agitatorowie poszczególnych list. Na ogół ruch wyborczy był bardzo ożywiony; w przedsionku dochodziło do scysji między agitatorami i grupami. Z tysiąca paruset uprawnionych do głosu głosowała mniej więcej połowa, co świadczy o dość żywym zainteresowaniu, bo zazwyczaj dotąd na wyborach miejskich głosowało jeno paruset wyborców. Większe zainteresowanie się wyborami i namiętne współubieganie się kandydatów o mandaty, co się daje spostrzec w niezwykłej ilości konkurujących list, tłumaczy się wielkim ożywieniem spraw miejskich w Wilnie w chwili obecnej. Wilno wzrasta szybko i jest w stadium intensywnego rozwoju. Gorączka budowlana podniecа spekulację prywatną, miasto się rozrasta, ceny placów idą, skaczą raczej, w górę; kto żyw – coś zakupuje, zabudowuje się, spekuluje. Jednocześnie cały szereg spraw pierwszorzędnej wagi jest na porządku dziennym gospodarki miejskiej. Kanalizacja i wodociągi są jeszcze niedokończone, a dalej wyrasta pierwszorzędna sprawa tramwajów elektrycznych, rozszerzenia ulic i wielu, wielu innych zagadnień, jak sprawa gazowni, sprawa mięsna itd., itd. Gospodarka miejska wobec tych olbrzymiej wagi zadań komplikuje się i oczywiście dotyka bardzo żywotnych interesów rozmaitych grup, które pragną zapewnić sobie wpływ na nią. A że zasada municypalizacji przedsiębiorstw miejskich stanowczo przeważyła, przeto wpływy radnych na kierunek spraw miejskich stały się o wiele głębsze. Toteż apetyty wzrosły.

25 października / 7 listopada, rok 1913, piątek
O rezultatach wyborów wczorajszych jeszcze nie wiem. Dziś odbywa się obliczanie głosów. Nie wątpię, że zwycięży lista „biała” komitetu bezpartyjnego. Lista ta wprowadza do Rady Miejskiej szereg elementów nowych, sił świeżych, reprezentowanych przez „postępowców” z Witoldem Abramowiczem na czele. Ale

bądź co bądź lista ta jest dziełem poprzednich gospodarzy miasta, jest kompromisem, przyzwoleniem elementów starych na wejście sił nowych. Idzie ona po linii „starodumskiej”, utrwala gospodarkę dawnych elementów, wchłaniając dopływ nowych, które się z nią rychło zasymilują. Jak powiada p. Tadeusz Wróblewski, za pół roku ujrzymy te „nowe siły” na stanowiskach płatnych, pogodzone i stopione ze starymi, wspólne pchające taczkę spraw miejskich po utartych torach. Prywata góruje tu z pewnością nad pierwiastkiem publicznym, ale ostatecznie inaczej być nie może, dopóki podstawą wyborów jest cenzus majątkowy. Demoralizujący wpływ cenzusu jest tak silny, że żadna z konkurujących list nie zdobyła się na stanowisko zasadnicze, na jakąś platformę ideową. Inaczej i być nie mogło. Co do listy „bezpartyjnej”, to nie wątpię, że dlatego właśnie komitet odrzucił moją kandydaturę, nie oponując przeciwko wielu innym „postępowym”, które zaaprobował, że wiedział czy się domyślał, że mnie przekupić i pozyskać do kompromisu ofiarowaniem jakiejś płatnej posady się nie da i że stopień uspołecznienia jest taki, iż drzemać i pozostać biernym nie zechcę. „Postępowców” przyjęto wielu, ale albo takich, którzy się dadzą ugłaskać stanowiskiem płatnym (sądzę, że do takich należy przede wszystkim sam Witold Abramowicz), albo tez takich, którzy nie są niebezpieczni, bo są zajęci wyłącznie swą pracą zawodową i co najmniej mogą czasem wyskoczyć z czymś efektownym, zapalając się na chwilę ogniem jaskrawym, ale bez siły ciągłości i wytrwałej akcji (np. Krzyżanowski, a nawet Zasztowt). Ja nie należę ani do jednej, ani do drugiej kategorii, toteż mnie się bano i nie puszczono. Słusznie.
Wieczorem zaszedłem na chwilkę za jakimś interesem do Antoniego Łuckiewicza i zastałem go debatującego gorąco z Mańkowskim. Dyskusja toczyła się w sprawie zorganizowania redakcji „Kuriera Krajowego”. Wiem, że już od pewnego czasu Łuckiewiczowie są niezadowoleni z Mańkowskiego, któremu zarzucają zabagnienie pisma sensacją, brak konsekwentnej ideowości w kierunku pisma, wreszcie zdyskredytowanie się moralne przez grę w karty i nieregularność życia. Niewątpliwie, że mają w dużym stopniu rację. Otóż Łuckiewiczowie uważają, że głównym warunkiem uratowania „Kuriera Krajowego” jest usunięcie Mańkowskiego od kierownictwa. To samo uważam ja i wielu innych sympatyków pisma, ale nikt z nas tego wykonać nie może inaczej, jak gwarantując pismu subsydiowanie pieniężne, a na to nikt się nie decyduje. Natomiast Łuckiewiczowie decydują się na to, przynajmniej częściowo i zabierają się czynnie do przeforsowania reform w „Kurierze Krajowym”; na redaktora angażują Jerzego Jankowskiego, a Mańkowskiemu proponują zostanie w roli kierownika technicznego pod ręką Jankowskiego. Mańkowski nie chce się zgodzić na tę degradację, która mu się wydaje szczególnie dotkliwa teraz, gdy krążą o nim rozmaite zarzuty natury moralnej; boi się, żeby degradacja ta nie wydała się potwierdzeniem tych zarzutów. Boli go zapewne sam fakt ustąpienia na plan podrzędny. Walczy więc z taką decyzją Łuckiewiczów, ale będzie musiał zapewne ustąpić, bo jest od Łuckiewiczów i ich udziału zależny materialnie. Dla mnie to rozwiązanie kwestii nie wydaje się dobre: Jankowski Jerzy redkatorem!

26 października / 8 listopada, rok 1913, sobota
Na radnych miejskich wybrani zostali wszyscy kandydaci listy „białej” komitetu bezpartyjnego, jak to było do przewidzenia.
Wiedziałem, że dziś odbędzie się druga z kolei w sezonie tegorocznym „sobota” Wileńskiego Towarzystwa Artystycznego. Chciałem być na niej, ale potem się rozmyśliłem, bo byłem w marynarce, a słyszałem, że na „soboty” pożądane jest przychodzenie w tużurku. Że zaś nie byłem wieczorem w domu, więc wracać dla przebrania się nie miałem ochoty, bo zresztą zbyt mnie ta „sobota” nie tentowała. Ale

wracając późnym wieczorem, koło północy, od Anny, spotkałem na ulicy Łuckiewiczów idących właśnie na „sobotę”. Wyperswadowali mi oni tużurek i zaciągnęli na „sobotę”. „Soboty” te odbywają się w lokalu szkoły rysunkowej Rybakowa. Lokal jest odpowiednio urządzony: pierwszy pokój od przedsionka jest salą koncertową; lampeczki elektryczne są otoczone zamkniętymi kolorowymi abażurami z papieru, tak że zapalając tylko część lampek, w pokoju panuje półmrok błękitnawy, a znów zapalając wszystkie, wśród których jest połowa w jaskrawych żółtych abażurach, ma się pełne światło łagodnego tonu; w rogu pokoju fortepian; siedzenia składają się z ław długich pod ścianami i małych stołków (taburetów) w kształcie równych kubików na niskich nóżkach, stanowiących stylową formę modnej w sztuce współczesnej maniery „kubizmu”. Obok sali koncertowej salonik, w którym zresztą nikt nie siedzi. Za salą koncertową w rogu za fortepianem mały pokoik – „*fumoir*” z wydawnictwami artystycznymi na stole i biblioteczką. Za „*fumoir*’em” pokój-kabaret, urządzony sztucznie na wzór kabarecików nocnych paryskich w suterenach piwnicznych w okolicach Hal. Nad wejściem do pokoju-kabaretu szyld z nazwą kabaretu „*au chien errant*”. Ściany i niski sufit sklepienia w kabarecie zrobione z tektury szarej i z takiejże tektury filary; w ścianach malutkie sine okienka piwniczne; tu bufecik (bez alkoholu), kilka prostych stołów drewnianych z desek niemalowanych i takież proste ławy, na stołach pisma ilustrowane („*au hasard*”); w jednym kącie małe podniesienie na estradę dla improwizacji kabaretowych, za filarem przy bufecie mały dziwaczny gramofonik, kupiony za dwa ruble, wygrywający w szalonym tempie ochrypłym głosem karczemne piosenki i arie; na ścianach imitacje zdartych afiszów itp. Kabarecik urządzony bardzo typowo i zręcznie. Tu też leżą i przechodzą z rąk do rąk zeszyty improwizowanego „wydawnictwa” rękopiśmiennego „sobót” pod nazwą „Субботникъ”, przepełnionego charakterystycznymi karykaturami członków zarządu i zwykłych członków Towarzystwa Artystycznego oraz scenek rodzajowych z życia Towarzystwa i z kabaretu oraz „sobót”. Publiczności było koło 30-40 osób. Z Polaków byli tylko Mańkowski, karykaturzysta Camillus (pseudonim), ja i jeszcze parę osób, których nie znam; z Litwinów Żmujdzinowicz, Grigaitis z żoną, która śpiewała kilkakrotnie w dziale koncertowym, Białorusini Łuckiewiczowie, poza tym ogromna większość Rosjan i Żydzi-artyści. Była tez cała banda aktorów teatru rosyjskiego. Po kilku dość dowcipnych występach anegdotystów rosyjskich na estradzie kabaretowej oraz produkcji zabawnego karła-gramofonu ruch się zrobił w bandzie aktorów rosyjskich. Posypały się anegdoty, śpiew chóralny, tańce ludowe rubaszne w stylu wielkoruskim, wreszcie cała banda z kołem publiczności roześmianej rosyjsko-zydowskiej przeniosła się do sali koncertowej w pełnym nastroju rozbawienia. Ten rosyjski charakter zabawy raził mię uczuciowo, choć wiem, że to nie było jakimś sztucznym i tendencyjnym celowym wytworem. Wątpię, czy się tu uda przyciągnąć publiczność polską i polskich aktorów, jak było zamierzone. Za wielka przepaść dzieli nas, Polaków, od Rosjan. Są to dwa światy przeciwne i zawsze kultura rosyjska, „wielkoruska”, w jakimkolwiek bądź charakterze, będzie u nas znamieniem najazdu państwowego i przemocy wrogiej. Bo to już nawet nie tylko język rosyjski, ale rdzenna zabawa wielkoruska z charakterystycznymi pieśniami, tańcami i wykrzyknikami. Ten element, zupełnie zreszta naiwnie, bez premedytacji tendencyjnej, bez woli politycznej, wnoszą do zabawy aktorzy rosyjscy, ludzie cyganerii, wyraziciele prości rosyjskiej kultury, rosyjskiego nastroju. A to dla nas, pogwałconych, jest zawsze odrażające, bośmy tu na swoich śmieciach przez tę kulturę sponiewierani.

27 października / 9 listopada, rok 1913, niedziela

Cały prawie dzień, jak zwykle w niedzielę, spędziłem z Anną. Parę razy wychodziliśmy z nią na miasto, raz do cukierni Sztrala, drugi – dla kupienia kaloszów dla mnie i kuoienia dla Anny na jutro biletu do teatru. Anna jest wielką amatorką teatru i teraz chodzi doń często wieczorami, kiedy ja jesten zajęty i do niej przyjść nie mogę. Bierze bilet na galerię za 37 kop., co nie sprawia wielkiej szczerby w jej budżecie. Ja się z tego cieszę, bo ma biedaczka rozrywkę miłą i kształcącą i jednocześnie oswaja to ją ze słowem polskim i zbliża do polskiej kultury, o co mi chodzi. Na jutro Anna wzięła aż dwa bilety, jeden dla siebie, a drugi dla gospodyni mieszkania, w którym najmuje pokoik; jeżeli zaś gospodyni nie zechce wziąć tego biletu, to Anna daruje go swej towarzyszce i jedynej w Wilnie przyjaciółce, biednej dziewczynie – pannie Filomenie, modystce, pracującej w pracowni Sapkowskiej. Anna woli iść do teatru z kimś niż sama jedna, raz dlatego, że się sama iść trochę krępuje, a po wtóre dlatego, że nie wszystko rozumie samam po polsku i chce, aby jej ktoś dodatkowo tłumaczył. Poza tym, moja Annin ma takie serduszko złote, jak często u osób wrażliwych, że lubi niezmiernie zrobić komuś, którego kocha, przyjemność, a dla p. Filomeny ma przyjaźń serdeczną i wielkie współczucie, wiedząc, że jej ciężko. W domu z Anną odbyliśmy lekcję arytmetyki i historii. Anna jest teraz bez zajęcia. Z powodu spóźnionego przyjazdu do Wilna trafiła już na koniec właściwego jesiennego sezonu w kapelusznictwie i nigdzie, w żadnej lepszej pracowni, miejsca już nie znalazła. W mniejszych zaś i gorszych pracowniach nie chce brać posady, bo to psuje markę dla modystki. Musi więc teraz próżnować przez parę czy kilka miesięcy aż do następnego sezonu.

28 października / 10 listopada, rok 1913, poniedziałek
Depesze wieczorne przyniosły wyrok w ohydnym procesie kijowskim Bejlisa, ciągnącym się już od miesiąca. Werdyktem przysięgłych Bejlis został uniewinniony. Potworna koszmarowa legenda mordu rytualnego, uprawianego rzekomo przez Żydów dla dodania krwi chrześcijańskiej do maców, legenda posępnego średniowiecza, trwająca w zabobonie ludów chrześcijańskich do dziś, ale już na Zachodzie Europy z praktyki sądowej wyrugowana, w Rosji inscenizuje się jeszcze z całą pompą, jak w tym nieszczęsnym procesie Bejlisa. Werdykt kijowskiej ławy przysięgłych, choć uniewinnia Bejlisa, nie jest jednak zupełnie wyraźny i daje ewentualnie obrońcom mordu rytualnego podstawę do twierdzenia, że fakt rytualnego mordu został dowiedziony, a nie dowiedziona jest tylko wina, tj. udział Bejlisa w zbrodni. Werdykt bowiem opiewa, że fakt zabójstwa Juszczyńskiego w cegielni Zajcewa (żydowskiej) jest udowodniony, a w opisie faktu tego jest mowa o specjalnie obfitym i celowym wytoczeniu krwi z ofiary. . Chociaż więc nie powiedziano wprost, że morderstwo miało cechę rytualną i zostało popełnione przez Żydów, jednak stwierdzenie dowiedzionej celowości wytoczenia krwi oraz dokonania zabójstwa na gruntach cegielni zdaje się potwierdzać wnioski oskarżenia o szczegółach podejrzanych tej zbrodni. Taki charakter werdyktu pochodzi oczywiście z odpowiedniego sformułowania pytania, które postawione zostało przysięgłym. Stwierdzając, że fakt zbrodni miał miejsce, stwierdzili oni jednocześnie wszystkie akcesoria jego tak, jak zostały one w pytaniu sformułowane. Ale takie połowiczne zwycięstwo rzeczników legendy rytualnej jest bądź co bądź ich porażką, bo cała inscenizacja pompatyczna wielkiego procesu okazała się próżną wobec braku winowajcy, pomimo olbrzymich wysiłków do uwikłania Bejlisa w sidła oskarżenia. Fakt jest ten, że Bejlisa uniewinniono.
Dowiedziałem się od Mańkowskiego, że sprawa organizacji redakcji „Kuriera Krajowego" została już zdecydowana. Redaktorem zostaje Jerzy Jankowski, Mańkowski zaś wycofuje się zupełnie z redakcji i wyjeżdża z Wilna (zapewne dla dokończenia studiów uniwersyteckich w Dorpacie czy Petersburgu). Zmiana ta ma się

dokonać w dniach najbliższych, bodajże od 1 listopada, o ile Jerzy Jankowski wróci z Warszawy, dokąd przed paru dniami wyjechał. Wprawdzie obecność Mańkowskiego na stanowisku redaktora, zwłaszcza w ostatnich czasach, uważałem za ujemną i pragnąłem usunięcia jego, bo w jego rękach „Kurier Krajowy” w ostatnich miesiącach zeszedł z pisma ideowego na jałowy świstek brukowy, pełny pustej sensacji a zupełnie pozbawiony powagi i myśli, jednak nie wiem, czy nie należy się jeszcze bardziej obawiać redaktorstwa Jankowskiego. Jankowski kocha się też w jaskrawości i sensacji, tak że pod tym względem nie ustąpi może Mańkowskiemu, a pod względem ideowym jest on dla mnie zagadką: Bóg jego wie, jakie zajmuje on stanowisko w sprawach krajowych; ma zaś nieobliczalne wybryki i grzeszy ohydnie brakiem miary i skłonnością do przejaskrawiania, a choć ma dużo talentu pisarskiego, jest rzeczywiście niezależny i odważny, to za to ma ten kapitalny feler, że jest w Wilnie we wszystkich obozach strasznie skompromitowany. Obym był złym prorokiem! W każdym razie, zajmę wobec „Kuriera Krajowego” stanowisko ostrożne i wyczekujące. A zależałoby mi niezmiernie na tym, aby pismo odzyskało wyrazistość ideową i zajęło tak zaniedbaną, a tak niezbędną u nas placówkę demokratyczną w społeczeństwie polskim Litwy.
Wojciech Baranowski, były redaktor „Kuriera Litewskiego”, który zresztą i dotąd liczy się formalnie współredaktorem równoległym z Hłaską, a który jest obecnie dyrektorem (przedsiębiorcą) teatru polskiego, wręczył dziś przez moje ręce stały sezonowy bilet wejścia (darmowy) do teatru dla redakcji pisma litewskiego „Lietuvos Žinios”, organu demokratów litewskich, który ma od końca roku bieżącego stać się dziennikiem (obecnie wychodzi co drugi dzień). Jest to bardzo dobry krok ze strony Baranowskiego, dobre zapoczątkowanie dla zaznaczenia wobec Litwinów pokojowych cech takiego przejawu kultury polskiej, jak teatr. Kultura polska powinna być różdżką oliwną, powinna godzić Litwinów z ich współobywatelami tej ziemi, Polakami. Historia tego zapoczątkowania Baranowskiego taka. Gdy była mowa w zarządzie „Liet. Dailės Draugijos” o rozsyłaniu zaproszeń na otwarcie wystawy Czurlanisa, zaproponowałem wysłać zaproszenie do Baranowskiego jako dyrektora teatru polskiego. Na to zaoponował Žemaitis powiadając, że Baranowski nie przysłał biletu wejścia redakcjom litewskim na otwarcie teatru polskiego, podczas gdy w redakcji (zapewne „Liet. Žinios”) spodziewano się takowego i chciano być na otwarciu i dać wzmiankę w piśmie o święcie kulturalnym Polaków, jakim jest pozyskanie własnego gmachu teatralnego. Przy spotkaniu z Baranowskim powiedziałem mu, że źle zrobił pomijając redakcje litewskie i powtórzyłem mu szczegóły odmowy wysłania mu zaproszenia na otwarcie wystawy Czurlanisa. Baranowski odparł, że na otwarcie teatru nie dawał biletów wejścia żadnym redakcjom, nie tylko litewskim, ale nawet polskim, toteż Litwini błądzą robiąc mu z tego zarzuty. Był tym dotknięty i prosił, abym go przed Litwinami wytłumaczył, wyjaśniając, jak się rzeczy miały. Teraz zaś, gdy mię po raz drugi spotkał, oświadczył, że chce dać stały bilet wejścia jednej z redakcji litewskich i prosi, abym mu wskazał, której dać należy. Poradziłem mu dać „Lietuvos Žinios” i sam ten bilet do redakcji zaniosłem.

29 października / 11 listopada, rok 1913, wtorek
Zaprząta obecnie myśl moją sprawa ściślejszego zespolenia elementów demokratycznych polskich w Wilnie. Z przesunięciem się „postępowców” („przeglądowców”) na prawo w kierunku wyraźnego nacjonalizmu placówka demokratyczna w społeczeństwie polskim – że się tak wyrażę – „zawakowała”. Są wprawdzie luźne jednostki pośród inteligencji, wyznające konsekwentnie ideały demokratyczne, ale jednostki te, rozproszone, nie stanowią żadnej określonej siły. Są to

ludzie, którzy poprzednio czy to należeli wprost, czy grawitowali do grupy „przeglądowej", a którzy dziś nie poszli za ewolucją tej grupy i zostali osamotnieni, samopas. Do takich należy w pierwszym rzędzie Zasztowt, ja, dalej mniej lub więcej taki p. Józef Bukowski, taki Osmołowski, taki Stadziewicz, taki, zdaje się, Kazimierz Ostachiewicz; znalazłoby się zapewne i sporo innych jeszcze, mniej więcej podobnie myślących. Grupa „przeglądowa" dawniej je łączyła, dziś wszakże stała się dla nich dość daleka. Grupa „przeglądowa" przez posunięcie się na prawo zyskała wprawdzie na konsolidacji i niewątpliwie poszerzyła swe wpływy w szerszych kołach inteligenckich; dziś stanowi ona pewną siłę, jest bądź co bądź grupą miarodajną, z która się opinia liczy i która jest w stanie oddziaływać na stosunki i brać udział czynny w życiu publicznym. Już wybory obecne do Rady Miejskiej pokazały wagę tej grupy, a w dalszym ciągu wejście przedstawicieli tej grupy do Rady wzmocni i utwierdzi jej wpływy. Grupa też, obrastając w pierze wpływów, postanowiła utrzymać swój organ „Przegląd Wileński", który już miał być skazany na zagładę. Wcieliły się do niej elementy neo-nacjonalistyczne, jak dr Boguszewski, zaczyna się już z nią asymilować lewica endecka, a co jest charakterystyczne i co najwymowniej świadczy o wzroście wpływów tej grupy, to ciążenie do niej elementów karierowiczowskich, które pod sztandarami ideowości szukają właściwie punktu oparcia dla własnych ambicyjek i geszeftów. Zręcznym *leaderem* tej koalicyjnej grupy jest ex-socjalista, zachowujący bądź co bądź pewne demokratyczne aspiracje, Witold Abramowicz, zdolny organizator, człowiek hartowny i czynny a uspołeczniony. Grupa ta zasługuje rzeczywiście na nazwę nacjonal-liberałów, jak ich określa Jerzy Jankowski. Wpływów na masy „przeglądowcy" nie mają prawie żadnych, bo nie znają zresztą i nie rozumieją mas ludowych, a ideologia ich jest zanadto kunsztowna, zanadto oderwana od życia, aby mogła zdobyć popularność w tłumie. Brak im też organów oddziaływania na masy. Jest to formacja na wskroś inteligencka. Niewątpliwie, że z łona „przeglądowców" wytwarza się u nas nowy kierunek w układzie społeczno-kulturalnym i „ideowym", zawiązek może nowego stronnictwa. Poza wszakże inteligencję ruch ten nie sięga wcale. W szeregach zaś inteligenckich zużytkowany on zostanie, jak wszelki ruch, nie opierający się na podłożu ludowym, na rzecz zaspokojenia ambicji i apetytów klik, kliczek i koterii. Wątpię, aby on zdołał stworzyć jakiś wielki format ideowy, jakąś wielką akcję twórczą w społeczeństwie naszym. Będzie on zapewne wyrazem kompromisu, wsiąknie w bagienko filistersko-mieszczańskie jako jeden z dopływów burżuazyjno-nacjonalistycznego morza. Nie tylko właściwych mas ludowych, ale nawet rzesz półinteligencji miejskiej nie poruszy; poza Wilnem zaś będzie, jak jest dziś, zupełnie martwy, bo kraju i jego układu społeczno-kulturalnego nie zna i z nim się nie liczy, biorąc stosunki inteligencko-wileńskie za stosunki i potrzeby wszechkrajowe. Organ tej grupy – „Przegląd Wileński" – do ludu nie dociera wcale i jest dlań zupełnie niedostępny ze względu na swój poziom za wysoki w stosunku do umysłowości ludowej i nieaktualność treści, która prawie żadnego nie ma związku ze sprawami i życiem kraju i ludu. Lud wileński polski jest prawie wyłącznie w ręku kleru, który jest świetnym organizatorem społecznym, oraz poniekąd w ręku „Narodowej Demokracji". Te zaś elementy czy koła ludowe, które są poza wpływami klerykalnymi i endeckimi, są bardzo od grupy „przeglądowej" i jej ideologii dalekie. Aktualna i żywa sprawa organizacji kas chorych, która w ostatnich czasach poruszyła koła robotnicze w Wilnie i ożywiła ruch społeczny ludowy w bardzo zresztą nielicznej i słabej w naszym mieście klasie robotniczej, była zupełnie przez „przeglądowców" ignorowana, co zresztą jest zrozumiałe, bo tu wchodzą w grę czynniki klasowe, zupełnie kierunkowi „przeglądowców" obce. Sprawa ta skupiała się na stanowisku esdeckim, dając nieco krwi i życia zmartwiałym w letargu kilku czy kilkunastu socjalistom-inteligentom,

stanowiącym szczątkową pozostałość partii S.-D. Zwalczać pozycję esdecką w tej sprawie próbowali klerykali przez swą „Gazetę Codzienną”, chcąc wytworzyc kontrdziałanie w tym ruchu, podczas gdy „przeglądowcy”, jak wszystkie inne kierunki inteligencko-burżuazyjne, zachowały się biernie, zostając zupełnie na uboczu. Esdecy skorzystali w tej sprawie, poza bezpośrednim działaniem wśród robotników, z poparcia i gościnności szpalt postępowej „Вечерней Газеты”, ale nigdy „Przeglądu Wil.”. Wreszcie Klub Rzemieślniczy, organizacja postępowa i demokratyczna, jedyna bodaj, o której „przeglądowcy” mogliby marzyć i którą rzeczywiści pragnęliby pozyskać, wymyka się im z rąk i to *notabene* wymyka świadomie.
Temat, który tu poruszyłem, jest bardzo ciekawy i żywy, o którym warto i o którym chcę pomówić. Tu muszę przerwać dla braku miejsca, lecz postaram się doń wrócić za parę dni, gdy będę w Bohdaniszkach na urlopie, dokąd jutro wyjeżdżam.

30 października / 12 listopada, rok 1913, środa
Place antokolskie nie dają mi spokoju. Myślę o nich często i mam ochotę kupić jakiś jeden dla nas z Anną. Chwilami projekt ten wydaje mi się chybiony, bo nie dość kupić plac, trzeba go jeszcze wyeksploatować i potrafić zarobić na nim. Gdyby chodziło tylko o spekulację na podniesieniu się ceny na ziemię, to byłoby jeszcze łatwiej. Ale tu chodzi o połączenie spekulacyjnej kombinacji z kombinacją zagospodarowania placu przez Annę. Oszczędności nasze są bardzo niewielkie, trochę więcej ponad 1000 rubli. Jeżeli to przy pewnym zasiłku kredytu wystarczy na kupienie, to już na zabudowanie porządne i zagospodarowanie pieniędzy nie będzie. Mnie też samemu trudno bezpośrednio zająć się placem na Antokolu, mieszkając w śródmieściu i będąc zajęty czym innym, poza tym, brak mi żyłki praktycznej do umiejętnego wyzyskania gospodarczego jakiegoś przedsięwzięcia. Cały więc mój rachunek polega na wzroście ceny ziemi, która zwłaszcza podskoczy po przeprowadzeniu tramwaju elektrycznego, i na tym, że Anna, mieszkając na tym placyku, własna pracą i dozorem z pobieranej przez się pensji potrafi go urządzić, zagospodarzyć i eksploatować w postaci ogrodu, do czego ma wielką ochotę. Naturalnie, że wobec braku pieniędzy i poniekąd umiejętności, nie mamy warunków do doskonałego wykorzystania takiego placyku, który by się opłacił i stał zyskowny głównie w drodze porządnego dochodowego zabudowania i również dochodowej kultury ogrodowej. Ale Anna zyskałaby na tym zajęcie i może pewny dochód, co by mi ulżyło w łożeniu na jej życie, miałaby przyjemność, a w każdym razie straty by nie było wobec stałego wzrostu ceny.
Projekty te bardzo się nam z Anną uśmiechają. Uprosiłem wczoraj Stadziewicza, mieszkańca Antokola, posiadającego tam placyk kupiony i domek, aby zechciał się tam wybrać ze mną i pokazać mi place i działki, które są w tamtych stronach do nabycia. Stadziewicz pokazał mi cały szereg takich parceli do ewentualnego nabycia. Zna on znakomicie miejscowość i warunki każdego sprzedającego się placu. Dziś przed obiadem wybrałem się tam z Anną i śladami wczorajszej naszej wycieczki ze Stadziewiczem obszedłem z nią i obejrzałem wszystkie sprzedające się parcele. Jest do sprzedania kilka placów nagich, kilka zaś zabudowanych. Wszystkie są położone na końcu Antokola w bok od ulicy centralnej Antokolskiej w kierunku przeciwnym od rzeki, w stronę wzgórz, porosłych laskami sosnowymi. Wszystkich placyków opisywać nie będę, jeno wskażę na te dwa, które się nam szczególnie podobały i na które ewentualnie reflektować będziemy. Jeden należy do posiadłości długiej i wąskiej, ciągnącej się od ulicy Antokolskiej między placem ćwiczeń kozackich a drugim obszernym niezabudowanym placem przed karczmą Pośpieszką; posiadłość ta ciągnie się długim sznurem aż het o parę wiorst w góry sosnowe (nazwiska właściciela nie pamiętam); otóż jest tam działka 400-sążniowa do sprzedania, kształtu wydłużonego, na

łagodnej pochyłości wzgórza, zwrócona ku stronie zachodniej czy południowo-zachodniej, w odległości mniej niż ½ wiorsty od centralnej ulicy Antokolskiej i od tramwaju, w miejscowości dość zabudowanej; ceni się po rb. 5 za sążeń, sprzedaje się za gotówkę; widok jest ładny i rozległy, pozycja wesoła, ziemia niezła na ogród. Druga parcela jest znacznie dalej i od ulicy Antokolskiej, i od miasta, ale ma swoje lepsze strony, mianowicie ma 1100 sążni i jest zabudowana; stoi na niej domeczek o dwóch pokojach i z kuchnią w środku i o dwóch salkach z kuchenką na górze, otoczony z trzech stron werandami; budyneczek średniej wartości, ale bądź co bądź jest zdatny do mieszkania i do wynajmowania na lato na letnisko; ziemia niezła, ale z jednej strony ma stromy spadek z góry na północ; jest tam mały młodniak sosnowy, a oprócz domu jest jeszcze składzik obszerny z desek, w domu zaś sklep i lodownia. Placyk ten należy do posiadłości Trejkowicza, rozprzedanej tego lata na parcele całej gromadce inteligentów z Wilna, o czym już raz w dzienniku wspominałem. Naokoło więc zaraz wszystko się zabuduje; ale to właśnie sąsiedztwo inteligentów-dorobkiewiczów mię zraża nieco, bo się lękam ich plotkarstwa i obmowy ze względu na ewentualne zamieszkanie tam Anny. Warunki sprzedaży tego placu są bardzo dogodne: trzeba przy robieniu kupczej wpłacić ¼ część gotówką, reszta rozkłada się na wypłaty na lat 20; cena ogólna wynosi 5000 rb. Ma się przy tym od razu domek, to znaczy i mieszkanie, i siaki taki dochód przez lato. Oba te placyki mocno nas z Anną tentują. Pierwszeństwo dajemy pierwszemu, niezabudowanemu placykowi (400 sążni), który jest niezmiernie miły i wesoły. Zdaje się, że ten już z pewnością kupię; kupno jego wyniesie niewiele więcej nad 2000 rb., na co już mogę się zdobyć. Ale marzymy z Anną o kupieniu ewentualnie obu tych placów, to znaczy i tego zabudowanego. Może da się to zrobić w drodze zaciągnięcia pożyczki od Mamy. Jak wrócę z Bohdaniszek i Wiązowca, dokąd się teraz wybieram, to w każdym razie zabiorę się do kupienia placyku pierwszego; co zaś do drugiego, to wstrzymam się z decyzją do wiosny.
Wieczorem wyjechałem z Wilna. Jadę do Bohdaniszek dla wyekspediowania do Wiązowca mego konia i bryczki. W tym celu sprowadzam z Wiązowca Jaśka Podolskiego. Jaśka spotkałem w Nowej Wilejce, skąd wyruszyliśmy razem następnym pociągiem do Kałkun. W pociągu spotkałem się z Lulem Goreckim, moim dawnym znajomym z Paryża, wnukiem Adama Mickiewicza. Mieszka on teraz w Łyntupach u krewnego swego p. Byszewskiego, po którym, zdaje się, weźmie spadek. Miły to człowiek, dobry i wesoły towarzysz, jeno bardzo głupi i pusty, a blagier niepospolity. Dojechałem z nim do Święcian, dalej do Kałkun spałem.

31 października / 13 listopada, rok 1913, czwartek
Od 4 w nocy do g. 10 rano przesiedzieliśmy z Jaśkiem w Kałkunach. Jaśka spotkała w drodze przykra przygoda. W Nowej Wilejce wykradziono mu kieskę z biletem kolejowym, kwitkiem bagażowym i przeszło rublem pieniędzy. Jasiek po raz pierwszy jedzie koleją (jechał raz w roku zeszłym, ale tom pociągiem towarowym, wiozący konia do Wiązowca), toteż od razu padł ofiarą kradzieży kieszonkowej; sama mina Jaśka widocznie zachęciła jakiegoś złodziejaszka do skradzenia mu kieski. Był bardzo zmartwiony, ale myślał, że to się nie wyda i że przejedzie bez biletu; toteż nic mi nie powiedział na razie o stracie, ale naturalnie konduktor w drodze spytał go o bilet i rzecz się wykryła; musiałem mu dokupić nowy bilet. W Kałkunach wyspałem się nieźle do godz. 9 rano, a o godz. 10 pojechaliśmy z Jaśkiem dalej. W wagonie spotkałem młodego p. Kozakowskiego (zdaje się, że takie jest jego nazwisko), brata p. Janowej Vileišisowej, właściciela Bawiszek, z którym przegawędziliśmy aż do Abel. Jest on zaręczony z jedną z panien Kościałkowskich z Podziałówki, córką nieboszczyka p. Rudolfa Kościałkowskiego. O południu byłem w Abelach. Tu wypadło zamarudzić

jeszcze z godzinkę na stacji dla otrzymania z bagażu rzeczy, które wiózł Jasiek. Ponieważ kwitek bagażowy był stracony, więc była trudność z odebraniem rzeczy, które naczelnik mi wreszcie wydał, wziąwszy ode mnie kartkę z zobowiązaniem odszkodowania kolei na wypadek, gdyby posiadacz kwitka pretendował do tych rzeczy. Wreszcie ruszyliśmy końmi w paskudnej wysokiej miękkoresorowej żółtej bryczce, której tak nie cierpię, do Bohdaniszek. Czas był brzydki, chłodny i wilgotny, wietrzny. Droga zła, błotnista. W Bohdaniszkach zastałem tylko oboje Rodziców. Jasiek był ucieszony widokiem Bohdaniszek, w których już od roku nie był. Poleciał do wioski do swojej matki, potem obleciał cały dwór, dzielił się wrażeniami z Białej Rusi z całą oficyną, słowem – wypoczywał i cieszył się na łonie rodzimego środowiska. Krótko potrwają wakacje biednego chłopca, bo już w niedzielę wyjedzie w drogę, wioząc znowu w wagonie towarowym, jak w roku zeszłym, konia. Myszy mnóstwo w Bohdaniszkach, jak nie pamiętam nigdy. O zmroku i wieczorami urządzają we wszystkich pokojach pod podłogą formalne hece: biegają, uganiają się, hałasują. Czy nie jest to zapowiedź srogiej zimy? Powiadają, że przed wczesną i srogą zimą myszy gromadami uciekają z pól i chronią się do budynków zamieszkałych.

1 (14) listopada, rok 1913, piątek
Mgła przez cały dzień była tak gęsta, że z domu mieszkalnego ledwie widać było kontury oficyny. Koło zmroku mgła stała się jeszcze gęstsza. Przez mgłę przedmioty i cały szczupły widzialny dokoła krajobraz zabarwiały się na ton blady, wodnisto-mleczny, smutny jakiś, cichy i pokorny. Przez okna wielkiego pokoju na taras ogrodowy mgła zamykała widnokrąg tuż za domem, na samych krańcach tarasu, który zdawał się jakąś wyspą, tonącą w nieprzejrzanej próżni czy też w jakimś chaotycznym nieprzejrzanym żywiole. Wieczorem mgła się rozpierzchła, natomiast padać zaczął deszcz.
Pod wieczór przyjechali z Kowaliszek Zysiowie Komorowscy, uprzedzeni przez Mamę o moim przyjeździe i zaproszeni. Przywieźli też swoją małą córeczkę Milusię (Felusię) z boną Polką. Spędzili cały wieczór i zanocowali.
Korzystając z wolnego czasu i braku tematów aktualnych z pobytu mego w Bohdaniszkach, wrócę do spraw wileńskich, o których pisałem przed trzema dniami. Pisałem o ewolucji, jakiej ulegli „przeglądowcy". Na skutek tej ewolucji odpadły od „przeglądowców" elementy szczerze demokratyczne. Ale elementy te pozostały dotąd luźne, bez spójni organizacyjnej. To sprawia, że „przeglądowcy" są jedyną zorganizowaną grupą, ogarniającą wszystko, co się mieści na lewo od endeków. Luźnie jednostki na lewicy, nie mieszczące się w szrankach „przeglądowych", nie idą w rachubę; „przeglądowcy", zdobywając cały teren na prawo aż do urzędowej endecji, włącznie nawet z lewicą, czyli frondą endecką, uzurpują jednocześnie monopol na postęp i demokrację, głosząc się jedyną demokratyczną organizacją. Nienawidzą też i nie uznają żadnej grupy i żadnej akcji demokratycznej, która może powstać nie z ich łona, bo nie chcą utracić ani piędzi terenu na lewo. Dlatego też tak nienawidzą „Kurier Krajowy", który jest zaprzeczeniem ich monopolu i cieszą się z każdego niepowodzenia tego pisma, pracując nieustannie nad zdyskredytowaniem go i ujałowieniem ostatecznym. Starają się też przyciągnąć do siebie i pochłonąć wszystkie te elementy demokratyczne, które są poza nimi. Solą w oku jest dla nich nieobecność w ich szeregu Zasztowta i mnie. Na mnie już nie bardzo liczą i nie spodziewając się mnie pozyskać starają się mnie zdyskredytować, ogłaszając mnie za „doktrynera" lub za „Litwina", ponieważ nie należę do ich grona. Zasztowta zaś usiłują jeszcze zwerbować i wciąż go do siebie wabią. Dopóki elementy demokratyczne, nie pochłonięte przez „przeglądowców", będą tak rozproszone, jak są dziś, dopóty istotnie będą one zupełnie

jałowe i do żadnej akcji niezdolne. „Przeglądowcy” będą nadal panami położenia i będą mieli pozory rzeczywiście jedynej demokratycznej grupy, choć wcale demokratami nie są. We wszelkiej akcji, czy to w wyborach miejskich, czy wyborach do Dumy, czy w pieczy nad klubem rzemieślniczym itd., będą przywłaszczali rolę jedynych prawych przedstawicieli demokracji i będą faktycznie rządzili. Dlatego też niezbędną jest rzeczą nam się połączyć, zrzeszyć, znaleźć jakąś formę organizacji, aby rozwinąć akcję własną, równoległą do „przeglądowej”, a istotnie idącą po linii demokratycznej. Bez tego pozostaniemy martwi. Dziś np. z Zasztowtem nic mnie organizacyjnie nie łączy, toteż aby coś zdziałać, musiałbym się specjalnie z nim spotkać i coś omówić. Byliśmy z nim więcej zbliżeni, gdyśmy obaj należeli do grupy „przeglądowej”, tworząc w niej opozycję, niż teraz, gdyśmy dla tych samych powodów solidarnie z grupy wystąpili. „Kurier Krajowy”, który mógł się stać i nawet przez czas pewien był tą placówką i tą żywą akcją, która nas łączyła, przez zboczenie na manowce sensacji i przez brak konsekwentnej ideowości stracił dal nas na dziś tę rolę. To więc sobie teraz stawiam za zadanie, aby dokonać tego połączenia naszego. Formą organizacji stać się dla nas może środowisko naszego związku humanitarno-demokratycznego, w którym należy skupić rozproszone jednostki demokratycznej inteligencji polskiej. Obcując ze sobą ciągle w łonie tego związku, nawiążemy stały kontakt i zdołamy posiąść placówki wpływów i pokierować akcją na własną rękę.

2 (15) listopada, rok 1913, sobota
Komorowscy Zysiowie, korzystając oczywiście ze świąt (wczoraj Wszystkich Świętych, dziś dzień Zaduszny i jutro niedziela), przyjechali wczoraj z tym, aby zabawić w Bohdaniszkach kilka dni, przez cały czas mego pobytu na wsi, co jest bardzo pięknie z ich strony i świadczy o ich poczciwej intencji spędzenia tych dzionków nie tylko z Rodzicami, ale też ze mną. Dzień jesienny na wsi nie daje wielkiego urozmaicenia. W kółku wszakże rodzinnym upływa on przyjemnie, bo nie ma skrępowania i sztucznego bawienia siebie. Każdy jest sam sobą i wszyscy razem się uzupełniają i spędzają czas swobodnie. Poza rozmową, chodziliśmy z Zysiem na spacer po polu, potem Zyś dużo deklamował w domu, do czego ma dar wybitny, wreszcie przeglądaliśmy z nim cały szereg książek z mojej biblioteki. Biblioteka moja w Bohdaniszkach stanowi już pokaźny księgozbiór, złożony z przeszło 1000 dzieł. Wszystkie książki są zanumerowane i wpisane do katalogu, chociaż bez porządku systematycznego, bo co lat kilka wpisuję do katalogu pod numerami kolejnymi nowe książki, które się przez ten czas uzbierały. Podstawą tej biblioteki jest księgozbiór Tyszkiewiczów z Pleszczenic, darowany mi w r. 1901 przez ciocię Kasię Tyszkiewiczową po śmierci jej jedynego syna Józia Tyszkiewicza. Są to po większej części książki, zgromadzone przez męża cioci Kasi, wuja Witolda Tyszkiewicza. Księgozbiór ten wynosi przeszło 600 dzieł; poza tym, do biblioteki mojej weszło kilkadziesiąt wartościowych książek Mamy oraz grupa starych książek babki mojej, matki Ojca, Witalii z Kobylińskich Römerowej, *secundo voto* Żukowskiej. Reszta – to książki mego własnego zbioru, których jest kilkaset. Księgozbiór ten jest dość chaotyczny co do treści, po dyletancku zbierany, ale ma sporo dzieł pięknych i wartościowych. Oprócz mojej osobistej biblioteki, jest w Bohdaniszkach wielke biblioteka Papy, wynosząca parę tysięcy dzieł; kiedyś obie te biblioteki połączą się zapewne w jedną całość, która stanowić już będzie poważną książnicę.
Wdzięczny jestem Zysiowi i Elizce, że unikali podnoszenia przy mnie rozmowy na temat sprawy Bejlisa i mordu rytualnego. Są oni, jak całe nasze ziemiaństwo na wsi, nie wyłączając Papy i Mamy, przekonani święcie, że mord rytualny istnieje i że Bejlis jest winien. Pod tym względem nasze środowisko ziemiańskie piastuje gorliwie

najdziwaczniejsze przesądy średniowiecza i grzeszy takim obskurantyzmem, na jaki się nie zdobywa nawet najwsteczniejsza prasa polska, jaka istnieje. Nasza szlachta ziemiańska – to strasznie konsekwentna w reakcyjności kasta. Ale Zysiowie mieli dość taktu, aby sprawy tej nie wywlekać na tory dyskusji, rozumiejąc, że będzie dotykać moich przekonań i razić mię w sposób przykry.
Oryginalne dziecko jest mała córeczka Zysiów – pięcioletnia Milusia. Jest bardzo rezolutna, ma dużo temperamentu, woli, spostrzegawczości i sprytu. Jest bujna fizycznie i duchowo. Będzie z pewnością niegłupia, stanowcza bardzo i indywidualna. Ale ma w sobie niezmiernie dużo egoizmu i pychy. Elizka tak ją wychowuje, aby w niej nie tylko tych cech nie wyplenić i nie osłabić, lecz chyba je właśnie rozwinąć. Dziecko jest utrzymywane w pojęciu swojej wyższości nad innymi ludźmi jako dziecko pańskie, jako centralna osoba, której inni muszą służyć jako niżsi. To w dziecku wytwarza przedwcześnie poczucie wyższości, poczucie należnych mu prerogatyw i hołdu. Maleńka duszyczka dziecinna zatruwa się egoizmem, wyniosłością, brakiem serdecznego współczucia i brakiem zmysłu solidarności ludzkiej, zmysłu braterstwa. Elizka, która jest próżna i której imponuje wielkość rodowa i hrabiowska osobliwość, chce z dziecka swego zrobić przede wszystkim nie człowieka, lecz hrabiątko. Biedna dziecina, której duszę ludzką tak zawczasu paczą. A przecie hrabianka musi być „chrześcijanką". Chrześcijańska miłość bliźniego i idea braterstwa ludzi toleruje się tylko w sakramentalnych słowach pacierza, którym praktyka życiowa od pierwszych dni rozwoju dziecka kłam zadaje. Kształci to obłudę i tę podłą „podwójną moralność", na jakiej się zasadza całe życie arystokracji. Dziwi mię, że Elizka, kobieta rozumna, nie widzi i nie czuje, jaką krzywdę dziecku wyrządza i jak spacza bogatą naturę córeczki.

3 (16) listopada, rok 1913, niedziela
Byłem dziś niezdrów; miałem wielką niedyspozycję żołądkową. Podczas moich wizyt w Bohdaniszkach Mama mię ta zawsze karmi smacznościami, że tym razem rozchorowałem się kapitalnie; miałem w nocy wymioty i żołądek fatalnie zepsuty. Toteż dziś nic prawie nie jadłem prócz jaj i talerza czystej zupy na obiad, a gdy wieczorem spróbowałem w Abelach trochę mięsa, znów wymiotów dostałem. Naturalnie, że to minie przy zachowaniu diety, ale samo przez się cierpienie to jest nie tylko przykre, ale i brzydkie jako pochodzące z wulgarnego objedzenia się. Mam też, korzystając z mego pobytu i smaczności, którymi mię obficie traktuje, po kilku dniach mego pobytu zaczyna chorować, bo sama przy tym je bardzo dużo. Toteż dziś i wyglądała Mama gorzej, i skarżyła się na rozmaite dolegliwości, co zapewne głównie z żołądka pochodziło. Wszakże zdrowie Mamy kochanej nie jest na ogół dobre. Wyszła Mama obronną ręką z ciężkiej choroby przed dwoma laty, ale do zupełnego zdrowia daleko.
Dziś opuściłem Bohdaniszki, wracając do Wilna i wywożąc konia do Wiązowca. Naczelnik stacji w Abelach polecił przyprowadzić konia na dziś na godz. 5 po południu. Spóźniliśmy się nieco, bo dopiero na godz. 7 przyjechaliśmy z Jaśkiem Podolskim do Abel. Przyjechaliśmy moim koniem i tarantasem kurlandzkim, który też się z koniem ekspediuje do Wiązowca. Za nami Kazimierz ze starym Jerzym wieźli w parokonnych karach koniczynę i owies dla konia oraz rzeczy, które się razem wysyłają. Konik długo nie chciał wejść do wagonu; trzeba my było wreszcie oczy zakryć workiem i z tyłu sznurami zaciągać, aby go do wagonu wprowadzić. Wreszcie wagon został naładowany, koń ustawiony; Jasiek Podolski towarzyszy koniowi w podróży. Wagon z koniem przyczepiony został do pociągu towarowo-osobowego, idącego po północy do Kałkun. Tym samym pociągiem i ja wyjechałem. W Kałkunach jeszcze raz zajrzałem do konia, dałem zlecenia Jaśkowi i pożegnałem go, śpiesząc dalej osobno do Wilna. Jasiek

dopiero najwcześniej we wtorek, a może i we środę dojedzie do Radoszkowicz, gdzie do czwartku rano kazałem mu na mnie czekać. we czwartek rano ja sam do Radoszkowicz przyjadę i odprowadzę konia do Wiązowca.

4 (17) listopada, rok 1913, poniedziałek
Rano przyjechałem do Wilna.
Dzień spędziłem na załatwianiu interesów, wieczorem byłem u Anny.
Chciałem być u p. Lucjana Kobylińskiego, którego mam prosić o pomówienie w mojej sprawie z prezesem sądu Cariukiem i wpłynięcie na jego opinię o mnie, aby mi nie robił przeszkód w wydaniu świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych oraz w przyjęciu mię na adwokata przysięgłego. Byłem u Kobylińskiego, ale go nie zastałem. Pójdę innym razem. Lucjan Kobyliński jest krewny moim przez Papę, który się z Kobylińskiej rodzi. Jest to człowiek stary, kawaler, bardzo bogaty. Jest on bardzo dobrze widziany w sferach rosyjskich, bo choć jest Polakiem, jednak jest figurą na poły rządową. Utrzymuje stosunki towarzyskie z kołami wyższych urzędników krajowych, ma wpływy i stosunki rozległe w Petersburgu, bierze czynny udział w wileńskich instytucjach rosyjskich, przeważnie filantropijnych, takich jak „Доброхотная копейка", różne „prijuty" itp. Jest ultralojalny i niemalże „*istinno-russki*". Toteż jego wstawiennictwo, jego poparcie może mi dużo zrobić w opinii takiego reakcjonisty i państwowca rosyjskiego, jakim jest Cariuk. Jeżeli już Kobyliński mię zarekomenduje jako swego krewniaka i człowieka „prawomyślnego" i jeszcze wskaże na to, że jestem „prawowiedem", to chyba będzie marka dla takiego Cariuka najlepsza. Bo już Kobyliński o faworyzowanie elementów jaskrawych i rewolucyjnych nie może być posądzony. Kwestia tylko, czy Kobyliński zna osobiście Cariuka i czy zechce to dla mnie zrobić. Mam jednak nadzieję, że zechce, bo jest wielce w stosunkach rodzinnych ugrzeczniony.

5 (18) listopada, rok 1913, wtorek
Wieczorem byłem na dwóch zebraniach. Wpierw na zebraniu zarządu Towarzystwa „Žiburėlis". Obecni byli członkowie zarządu: p. Felicja Bortkiewiczowa, p. Bułatowa i ja (zebranie odbywało się w mieszkaniu Bułata). Omówiliśmy sprawy bieżące. Głównym tematem była sprawa pieniędzy, których w tej chwili w kasie towarzystwa nie ma, a które są bardzo potrzebne, bo na początku miesiąca trzeba wysyłać raty miesięczne wszystkim stypendystom, których jest koło 8 (po rb. 20 miesięcznie; dokładnej ilości stypendystów nie pamiętam). Zgodziłem się pożyczyć towarzystwu rb. 100 do grudnia; postanowiliśmy na 18 bm. zwołać zebranie zarządu i komisji finansowej dla obmyślenia jakiegoś wieczorku czy loterii na korzyść towarzystwa, poza tym zgłosić się po zapomogi do instytucji i klubów. Omawiana też była sprawa wyzyskiwania zaległych długów od byłych stypendystów towarzystwa.
Stamtąd poszedłem na zebranie T-stwa Popierania Kooperacji u Szklennika. Zebrańko, zwykłe miesięczne, było względnie liczne i ożywione. Obecni byli: Szklennik, Witold Abramowicz, Dowiakowski, Jan Piłsudski, Przyłuski, Stadziewicz, Stanisław Iwanowski i ja. Ożywienie było spowodowane nie tylko przez obecność liczniejszego nieco, niż zazwyczaj, grona osób, ale też na skutek bardzo ciekawych, aktualnych i poważnych tematów obrad. Przede wszystkim, ze spraw samego towarzystwa omawiane były dwie pierwszorzędnej wagi zasadnicze sprawy – to sprawa zjazdu delegatów kooperatyw spożywczych gub. wileńskiej i sprawa akcji Moskiewskiego Banku Spółdzielczego. Co do zjazdu, to potwierdzono poprzednie postanowienie starania się o pozwolenie ministra na zwołanie takowego. Zjazd ten, choć dla względów formalnych ograniczony będzie sztucznym terenem gub. wileńskiej, przez co urzędowo

wyłączona z niego będzie przodująca w kooperacji gub. kowieńska, ma tak olbrzymie znaczenie dla rozwoju ruchu spółdzielczego w kraju całym, stanowiąc podwalinę przyszłego związku kooperatyw, że trzeba wszystkich starań dołożyć, aby go do skutku doprowadzić. Toteż bez względu na wiosenną odmowę gubernatora, która, choć była motywowana powodami prawnymi, mianowicie tym, że udzielenie pozwolenia wykracza poza kompetencje gubernatora, mieściła w sobie charakterystyczny ustęp o tym, że skądinąd gubernator nie dostrzega szczególnej potrzeby takiego zjazdu, co niewątpliwie służy wskazówką nieprzychylnej opinii władz miejscowych i co zaważyć może i na decyzji ministra, który niewątpliwie zasięgnie zdania gubernatora, jednak, powiadam, bez względu na te horoskopy ujemne, postanowiliśmy tentować nadal. Postaramy się, podawszy prośbę do ministra, wpłynąć na gubernatora przez osoby wpływowe i przez stosunki, aby go do sprawy zjazdu usposobić przychylnie. Zresztą gubernator, jak też inni przedstawiciele władzy, w ostatnich czasach mogli nieco przychylniej się usposobić do naszego towarzystwa, poznawszy je na wrześniowej wystawie krajowej, w której towarzystwo nasze też w charakterze eksponenta udział brało, mając osobny dział (czy pawilon) własny. Gubernator na wystawie oglądał szczegółowo nasz dział kooperacji i wykazywał (szczerze czy nieszczerze) wielkie nim zainteresowanie. Uznaliśmy też, że koniecznym jest załączenie do podania do ministra opracowanego już i gotowego regulaminu zjazdu oraz szczegółowego porządku dziennego z wykazaniem referatów i prelegentów, co się podobno zawsze robi. Toteż wykonanie tego zleciliśmy znów naszej dawnej komisji zjazdowej, do której i ja należę, a która powinna się teraz sprężyście do pracy zabrać. Wszakże z powodu wyjazdu Szklennika komisja ta przed grudniem funkcjonować nie zacznie.
Druga sprawa, która była gorąco omawiana i która przeszła na tory ogólniejsze – to sprawa akcji Moskiewskiego Banku Spółdzielczego. Przed rokiem czy półtora, gdy się bank ten otworzył, towarzystwo nasze nabyło dwie akcje jego. Bank ten jest organem Moskiewskiego Związku Kooperatyw, którego tendencje centralistyczne są aż nadto znane. Gdy bank ten powstawał i gdy zwrócono się do nas z Moskwy z propozycją rozpowszechniania akcji jego wśród naszych kooperatyw krajowych, dyskutowano u nas szeroko nad tym, czy warto nam go poprzeć i ewentualnie nabyć akcje jego czy nie. Moskiewski związek, dzięki swej polityce centralistycznej, jest konkurentem czy antagonistą naszym, ponieważ nasze usiłowania skierowane są do organizacji wręcz wobec naszych warunków politycznych, gdy władze tamują nam na każdym kroku przeciwnej, mianowicie do samodzielnej organizacji krajowej. Na naszym gruncie i rozwój wszelkiej organizacji krajowej, centralistyczna akcja związku moskiewskiego jest szczególnie niebezpieczna, rywalizacja dwóch prądów, centralistycznego i krajowego, byłaby zjawiskiem naturalnym, gdyby była swobodna, gdyby obie strony mogły działać w warunkach równych. Ale w istocie akcja związku moskiewskiego ma przywilej uznania w oczach potężnego rządu, co sprawia, że warunki nie są równe. I podczas gdy prąd organizacyjno-krajowy jest sztucznie tamowany, to prąd centralistyczny moskiewski jest faworytowany. Zjazd dyneburski i projekt hurtowni związku moskiewskiego w Dyneburgu – to były etapy prób akcji centralistycznej do zawładnięcia naszą kooperacją krajową. Akcja ta wszakże owoców nie wydała. Otóż gdy chodzi o ewentualne nabycie akcji banku moskiewskiego, wahaliśmy się mocno. Szklennik, który jest przeciwnikiem polityki moskiewskiego centralistycznego kooperatywizmu, był przeciwny nabyciu tych akcji. Poparł wszakże tę myśl wówczas najgorliwiej Witold Abramowicz w nadziei, że to nam ułatwi otwarcie w Wilnie takiegoż banku spółdzielczego pod postacią filii banku moskiewskiego. Nabyliśmy za pożyczone pieniądze dwie akcje. Płacimy teraz procent od pożyczonych pieniędzy, dochodu zaś z akcji nie mieliśmy żadnego i skądinąd zawiodły nas nadzieje na

ewentualne powstanie filii w Wilnie. Wznowiono więc znów kwestię, czy warto mieć te akcje i popierać w ten sposób politykę, której nie sprzyjamy, a to tym bardziej, że właśnie cała kooperatywna Ukraina i południe Rosji walczą obecnie z centralizmem Moskwy i stosują się z rezerwą do banku moskiewskiego. Postanowiliśmy się z tych akcji wycofać. W chwili obecnej będzie to miało cechę demonstracyjną, ale nie myśmy temu winni.

6 (19) listopada, rok 1913, środa
Wczorajsze zebranie w Towarzystwie Popierania Kooperacji było bardzo ciekawe. Prócz tematów i spraw, dotyczących bezpośredniej działalności Towarzystwa, o których wspomniałem pod datą wczorajszą, była na porządku dziennym jeszcze jedna, całkiem niezwykła. Nie pisałem o niej wczoraj, bo miejsca nie było, a zasługuje ona na szczególną uwagę. Jest to sprawa nie dotycząca właściwie kooperacji ani bezpośrednio naszego Towarzystwa, sprawa zupełnie samodzielna, posiadająca wielką doniosłość społeczną, jeżeli tylko nie jest dziwactwem czy fantazją. Oto jest jakiś pan, którego nie znamy i którego nawet nazwiska nie wiemy, jakiś dziwny biały kruk, który pragnie ofiarować na cele społeczne dwa majątki, położone jeden w powiecie lepelskim, drugi – w pow. dziśnieńskim, dające każdy po 1000 rb. dochodu. Pan ten wszakże nie jest w stanie określić konkretnego celu, nie umie znaleźć dla swej ofiary stosownego użytku, nie wie zresztą, co i jak dla urzeczywistnienia swego zamiaru wykonać. Pan ten za pośrednictwem p. Cezara Meduniedkiego, średniej miary ziemianina i znanego działacza spod Dzisny, trochę dziwaka i oryginała, ale człowieka bardzo zacnego i uspołecznionego, a już starszego, zwracał się do Szklennika z zapytaniem, co Szklennik myśli o ewentualnym założeniu w jednym z tych majątków czy w obu – szkoły rolniczej. Szklennik projekt ten zganił, wskazując, że dla założenia szkoły rolniczej potrzebne są środki o wiele większe, niż 1000 czy 2000 rb. dochodu rocznego, nie mówiąc już o innych trudnościach dla należytego i pożytecznego funkcjonowania takiej szkoły. Wówczas pan ten za pośrednictwem tegoż Cezarego Meduniedkiego zwrócił się do Towarzystwa Popierania Kooperacji jako instytucji wybitnie społecznej, pracującej na terenie sprawy rdzennie demokratycznej i grupującej siły inteligenckie Wilna, z prośbą o danie mu rady i wskazówki, jak, zdaniem Towarzystwa, należy konkretnie pomysł ten i ofiarę wykonać, w jakiej formie i na jaki użytek. O tym więc debatowaliśmy wczoraj. Sprawa jest poważna, myśl arcypiękna, inicjatywa obywatelska pierwszorzędnej wagi. Niestety, trudno na poczekaniu coś wykombinować, aby było celowe i jednocześnie praktyczne, zwłaszcza że nie wiemy, ani jakie są majątki, ani jakie warunki prawne zamierzonej ofiary. Niepodobna zaś się ograniczyć do jakiejś zdawkowej formalistycznej porady takiego czy innego ogólnikowego projektu. Wyłaniały się w toku naszej pogawędki rozmaite projekty i pomysły, jak osadzenia w jednym z majątków specjalisty montera dla usprawniania maszyn i narzędzi rolniczych (Szklennik), rozszerzenia tegoż projektu w postaci stworzenia warsztatów ślusarsko-kowalskich (Piłsudski), założenia „gniad sierocych”, skombinowanych z parcelami wzorowymi (Iwanowski, Przyłucki), założenia szkoły gospodarstwa domowego z rozmaitymi działami zastosowawczymi specjalnymi dla dziewcząt wiejskich z rodzin gospodarskich (Szklennik, ja) lub dla dziewcząt czy chłopców (Abramowicz), założenia fermy wzorowej (Stadziewicz), fermy wzorowej na parcelach, odpowiadających warunkom włościańskim (ja). Rozumieliśmy wszakże, że wskazanie tylko jakiegoś ogólnika – to prawie to damo co nic, bo to i sam ten pan może rozumieć, że wszystko to jest dobre, ale chodzi mu o to, jak mianowicie i co dokładnie wykonać. Uznaliśmy, że sprawa jest tak poważna i wymagająca takiej rozwagi, że należy przede wszystkim skomunikować się bezpośrednio i osobiście z tym panem i wspólnie z nim nie tylko

projekt konkretnie omówić i ustalić, ale ewentualnie i wykonać. Mieliśmy prosić tego pana, aby on sam tu do nas przybył, ale Witold Abramowicz nastał na tym, że przede wszystkim trzeba, aby ktoś do niego pojechał dla poznania warunków i nawiązania pertraktacji i zdaje się, że sam Witold się do niego wybierze z naszego ramienia. Pociągiem nocnym wyjechałem do Wiązowca.

7 (20) listopada, rok 1913, czwartek
Przez całą noc jechałem pociągiem i koło godz. 6 rano byłem w Radoszkowiczach. Zastałem już tam Jaśka z koniem i bryczką. Wagon Jaśka z koniem przyszedł do Radoszkowicz wczorajszej nocy i wczoraj z rana został wyładowany. Podług mego zlecenia, Jasiek nie odjeżdżał, lecz czekał na mnie. Chodziło mi o to, aby koń wypoczął po drodze i zmęczeniu i przynajmniej dobę przestał w stajni, nim pójdzie po złej drodze jesiennej do Wiązowca. Bojąc się zmęczenia dla konia, nająłem osobną furmankę pod rzeczy i Jaśka wyprawiłem z tą furmanką. Sam zaś siadłem do mojej kurlandki, do której zaprzągłem mego konika i pojechałem sam jeden. W miasteczku Radoszkowicza popasałem i wyruszyłem wkrótce dalej. Pogoda mi sprzyjała wyjątkowo jak na tę porę. Słońce świeciło, było ciepło, jasno i wesoło. Jadąc wymyśliłem imię dla mego konia. Będzie się nazywał Secundus. Mój pierwszy koń w Wiązowcu nazywał się Prym, co po łacinie znaczy „pierwszy” (*primus*), niech więc ten się nazywa Secundus (po łacinie „drugi”). Konik mój się lenił. Już to gorący nie jest, raczej tępy, ale to dobrze, bo przynajmniej nie tak łatwo się da zepsuć; tępość jest poniekąd środkiem samoobrony biednego zwierzęcia, tarczą przed wyzyskiem sił jego. Jest za to silny i zdrowy, zgrabny przez proporcjonalność budowy; szczególnie zaś ma piękną głowę. Irytował mnie trochę swym lenistwem, a nie bardzo mogłem na to poradzić, bo był nieokiełznany i nie miałem bicza. Szczególnie jest nudny, gdy spotyka furmanki lub gdy ktoś jedzie za nim; jest widocznie towarzyski i lubi konie, bo na każdego konia się ogląda, często rży i przy mijaniu każdej furmanki zwalnia kroku i gotów się zatrzymać zupełnie. Gdy czuje też za sobą furmankę czy konia, to ledwo się wlecze, ogląda się wciąż i chce się z koniem tym zapoznać. A ponieważ był dzień kiermaszowy w Radoszkowiczach, więc spotykaliśmy jednym ciągiem furmanki śpieszące do miasteczka i mój Secundus zupełnie się rozleniwił. w Dużym lesie baksztańskim, ciągnącym się od Udranki pod Bakszty, pełno w dniu kiermaszowym charakterystycznych stanowisk żydowskich; Żydzi przekupnie zajmują w lesie przy gościńcu stanowiska, z których, jak pająki, oglądają każdą przejeżdżającą na kiermasz furmankę włościańską i targują towar, który chłopi wiozą do miasteczka; mają ze sobą wagi, a opodal w lasku stoi ich koń z wózkiem, do którego składają towar nabyty. Każdy Żyd ma swoje stałe stanowisko, z którego żaden inny go wyrugować nie śmie. Włościanin, nim dojedzie do kiermaszu, musi minąć cały szereg takich stanowisk-zasadzek, z których Żydzi starają się go namówić do sprzedania im towaru. Niejeden sprzeda, często za bezcen, bo Żydzi ci spekulują na tym, że włościanin jadący na kiermasz nie zna jeszcze ceny rynkowej na swój towar, a namówić włościanina, nastraszyć, przekonać nikt tak nie potrafi, jak Żyd wiejski, znający na wylot duszę chłopską w tej zresztą jednej tylko sferze – handlowej. A w tej sferze dusza chłopska jest naiwna jak dziecka. Chłop zaś woli nieraz sprzedać towar przekupniowi w drodze, niż się narażać na hazard konkurencji rynkowej. Toteż na gościńcu handel kwitnie.
Koło godz. 3 dojechałem do Wiązowca. Biesiekierski nie był zachwycony moim konikiem Secundusem, którego wyobrażał sobie efektowniej. Reszta dnia zeszła mi bardzo mile w moim ustroniu leśnym.

8 (21) listopada, rok 1913, piątek

Za dnia do samego niemal zmroku zajęty byłem, wraz z Biesiekierskim i Jaśkiem, wyznaczaniem miejsc, gdzie mają być wykopane doły do zasadzenia na wiosnę drzew owocowych. Zamierzam bowiem założyć w Wiązowcu sad. Będzie on zasadzony od domu aż do granicy Ludwisia Wołodkowicza na całej długości polanki między dwiema ścianami lasu i prawie że do drogi wjazdowej od mostu do domu. Drzewka owocowe obiecał mi dać na wiosnę ze swej szkółki w Migówce Własow (Ŭłasoŭ – redaktor „Naszej Niwy" i „Sachi") bezpłatnie, jako premium za ofiarowanie przeze mnie tego lata osiny z lasu Wiązowieckiego na pokrycie dachu w szopie straży ochotniczej w Radoszkowiczach, gdzie się odbywają wieczorki i przedstawienia amatorskie białoruskie. Poza tym, Własow obiecał, że przyśle do mnie na wiosnę nauczyciela ludowego z Radoszkowicz dla zasadzenia tych drzewek, na czym się ten podobno zna dobrze. Jaki będzie los Wiązowca w przyszłości, komu z nas (z rodzeństwa) on wypadnie w dziale czy też go może sprzedamy – nic dziś naturalnie nie wiadomo, ale w każdym razie chcę, o ile można, doprowadzić go do jakiegoś dobrego stanu i zrobić zeń coś porządnego. Zawszeć to stracone nie będzie, zawsze się ta kropla dodatnia ostanie.
W kraju tym, na Białej Rusi, jest dziwne pomieszanie Wschodu z Zachodem. Odbija się to na całej zmysłowości ludu, wyraża się w całym charakterze kultury miejscowej. Białoruś – to kraj przymierza Europy Zachodniej ze światem bizantyjskim. Oba te światy dwóch cywilizacji, dwóch kultur dziejowych, tak sobie przeciwne, tak nieprzejednane jak dwa bieguny, tu w duszy ludu żyją równolegle w zgodzie ze sobą. Najwyraziściej podział ten wyraża się w religii – w prawosławiu wschodnim i katolicyzmie zachodnim. Tu obie te religie istnieją obok siebie, a masa ludowa, bez względu na należenie jednostek do tej lub innej religii, obie zarówno uznaje. Jak festy i rozmaite obchody i uroczystości prawosławne ściągają w pewnych datach do pewnych miejsc całą ludność, nie tylko prawosławną, ale i katolicką włącznie z rzeszami drobnej szlachty zaściankowej, okolicznej i folwarcznej, tak znów wielkie festy katolickie służą atrakcją dla ludności prawosławnej nawet z dalekich stron. Ludność ulega tu zwyczajowi, zaznacza bezwiednie swą jedność kultury i wiary, swą solidarność wielkiej gromady, rozdwojonej ba dwa światy, na dwa formalne wyznania. Ale w tych odruchach bezwiednych jest głęboka treść dziejowej roli Białej Rusi, jest żywotność starej Unii kościelnej i kulturalnej, która się dokonała tu ongi i która wbrew jej skasowaniu trwa i żyje ciągle. Zmiana wyznania prawosławnego na katolickie i odwrotnie dokonywa się tu bez zaprzaństwa, bez jakiejś głębszej przemiany w tresci kulturalnej i duchowej osobników ludzkich. Środowisko ludowe, tak włościańskie, jak drobnoszlacheckie, jest przesiąknięte i jakby nasycone w równej mierze obu pierwiastkami, wschodnim i zachodnim, które mają równe prawo obywatelstwa, równy udział w psychice ludowej.

9 (22) listopada, rok 1913, sobota
Dokończyłem rozplanowania przyszłego sadu owocowego w Wiązowcu. Ogółem wypadnie 80 drzewek na przeszło pół dziesięcinie gruntu. Jaśkowi kazałem wykopać jamy w miejscach zaznaczonych do zasadzenia. Dziś już Jasiek trzy takie jamy wykopał.
Zaszedł przykry wypadek. Rano, leżąc jeszcze w łóżku, posłyszałem gwar podniesionych głosów w izbie Besiekierskiego. Słyszałem kilka głosów męskich i szczególnie jakiś głos kobiecy. Wiedziałem, że siedzi tam Czebotar, ale nie mogłem przypuścić, aby taki dworak układny jak on wdawał się w tak hałaśliwą dyskusję, wiedząc o mojej obecności w sąsiednim pokoju. Tym mniej mogłem przypuścić, aby głos kobiecy, który dobiegał uszu moich, należał do Biesiekerskiej, takiej zawsze cichej i łagodnej. Uchyliłem drzwi do sieni i zawołałem Biesiekerskiego. Przyszedł i wyjaśnił

mi, o co chodzi. Przyszedł włościanin Strelicki z wioski Mamyłów (Średniej) z córką starszą i małą 13-14-letnią córeczką ma skargę, że Bryś pokąsał dziecko dziś rano. Inicjatorką skargi i główną rzeczniczką krzywdy była starsza córka, dziewczyna lat dwudziestu paru, „włóczęga", jak ją Biesiekierski nazywa; dziewczyna ta służyła dawniej u Stasia Wołodkowicza i była pono jego kochanką, potem wyjechała do Petersburga, skąd teraz przyjechała w gościnę do domu na trzy miesiące; ubrana po miastowemu, w modnym jesiennym paltocie kroju kimono jak panna-elegantka, dziwacznie wyglądająca przy ojcu Białorusinie siermiężnym w łapciach; rezolutna, wygadana, upominająca się krzywdy, przyciągnęła starego ojca, który się ociągał i widocznie nie bardzo miał ochotę wszczynać dochodzenie, oraz małą ofiarę krzywdy, młodszą poranioną siostrzyczkę. Biesiekierski twierdził, że sam fakt ukąszenia dziecka przez Brysia jest wątpliwy, bo Bryś przez noc był zamknięty na dziedzińcu, potem nad ranem, gdy przyszedł Sawicz dla pomalowania szafki, był przywiązany, potem zaś widział go Czebotar przejeżdżając opodal po drodze do Trusewicz, a gdy z Trusewicz przyszedł do nas, to Brysia przy domu zastał i odtąd Bryś był i jest. Dziecko wszakże twierdzi, że ukąsił je właśnie Bryś, którego zna dobrze. Strelicki też twierdzi, że widział Brysia, gdy po ukąszeniu dziecka wybiegał z wioski. Zanim się ubrałem i zdołałem rozmówić ze Strelickimi, już oni wyszli, dążąc na skargę do „wyższej instancji" – do starosty Waszkiewicza do Trusewicz. Na czele szła elegantka petersburska, energicznie machając rękami, za nią kiwał się niezgrabnie wysoki chłop-ojciec, obok drobnymi kroczkami szła wysmukła dziewczynka-ofiara. Poszedłem z Biesiekierskim do lasu, gdym zaś wrócił koło godz. 3, zastałem znów całą trójkę oczekującą na mnie. Wobec mnie dziewczyna jednak, która poprzednio bardzo ostro się stawiała, zachowywała się z wielkim respektem i umiarkowaniem. Szrama wszakże na nosie dziecka, pochodząca, jak oni powiadali, z ukąszenia, była istotnie wielka, pokryta grubą powłoką spiekłej krwi. Chociaż nie było udowodnione, że to rzeczywiście Bryś jest winowajcą, nie mogłem jednak stanowczo kłamu im zadać wobec bardzo kategorycznego ich twierdzenia, co jest rzeczywiście możliwe, bo Bryś jest strasznie złośliwy dla obcych i gdy nie jest przywiązany, lata dużo po okolicznych wioskach, żerując i szukając towarzystwa psiego. Zapewniałem, że odtąd stanowczo nakażę przywiązywać Brysia i zaofiarowałem Strelickiemu 2 rb. na doktora. Ten wszakże pieniędzy tych nie przyjął, twierdząc, że sama furmanka do Radoszkowicz kosztować będzie 1 ½ rubla, a doktor i apteka też kosztować będą. Starsza córka jego domagała się 5 rb. odszkodowania. Gdym odmówił zapłacenia nad to, pieniądze zostawili i wyszli. Starsza dziewczyna idąc wymyślała głośno na krzywdę i na samowolę pańską. Sprawiło to na mnie wrażenie ciężkie i sumienie moje nie było potem spokojne. Czułem, że mają oni rację i że istotnie należy się im większe współczucie i większa odpowiedzialność za wybryki psa, którego trzymam. Będę musiał tę rzecz naprawić. Co zaś do Brysia, to z niego stróż dla leśniczówki wybornym ale musi on być rzeczywiście trzymany na uwięzi, bo staje się plagą okolicy całej, która znosi dotąd cierpliwie psa pańskiego. Gdyby to tak robił pies chłopski we dworze, dawno by go zastrzelono. Przywiązywanie Brysia to zresztą tylko paliatywa. Choć w ten sposób okolica się od jego najść i ekscesów uwolni, to dla psa będzie to męczarnia. Trzeba będzie przywieźć suczkę, aby Bryś miał towarzyszkę, albo go wykastrować. Wtedy odpadnie mu ochota odbiegania domu, szukania towarzystwa i przygód.

10 (23) listopada, rok 1913, niedziela
Rano wyjechałem z Wiązowca, śpiesząc na pociąg do Wilna. Wziąłem ze sobą Biesiekierskiego, który odjedzie ze stacji z powrotem. Konik mój Sekund (postanowiłem tak go zwać przez skrócenie, zamiast – Sekundus), szedł dobrze, nie

lenił się wcale, nie zmęczył się drogą, biegł raźnie i lekko. Bardzo jestem zeń zadowolony, a i Biesiekierski, który go na razie nie upodobał, zaczyna go teraz już chwalić.
Sensację wielką budzi tu dokonane przed paru dniami niezwykle zuchwałe okradzenie Chełmicy. Kradzież ta, właściwie rabunek nocny – miał miejsce w nocy z czwartku na piątek. Nieznani złoczyńcy wynieśli całe odzienie Kazia Wołodkowicza, rozmaite sprzęty drobne, jak łyżki srebrne, zegarek nawet ze stolika przy łóżku Kazia itd. Kazio był w domu i spał w najlepsze podczas kradzieży. Był on tego dnia w Nowym Dworze u Stasia i o godz. 11 wrócił do Chełmicy, gdzie mieszka jeszcze aż do czasu działu, który, zdaje się, wkrótce już będzie u nich dokonany. Położył się i do godz. 12 czytał jeszcze w łóżku gazetę, którą potem położył na stoliku, zgasił światło i zasnął. Jak weszli do domu rabusie – nie wiadomo. Drzwi wejściowe okazały się otwarte z wewnątrz, bez uszkadzania zamku; otwarte też znaleziono drzwi wyjściowe z kuchni, które zazwyczaj zamykano na noc na kruczek. Może ktoś ze złoczyńców we dnie już wszedł do domu i gdzieś się wewnątrz ukrył, może ktoś z domowych go wpuścił. W gabinecie złoczyńcy wzięli świecę. W sypialnym pokoju Kazia wzięli ze stolika jego złoty zegarek z łańcuszkiem i zapewne szukali pugilaresu z pieniędzmi, który Kazio miał zwyczaj kłaść pod poduszkę. Może nawet macali pod poduszką, bo na podłodze blisko od poduszki nakapano świecą; złoczyńcy więc świecili na Kazia i musieli ze światłem zaglądać pod poduszkę. Tego wieczora wszakże Kazio położył pugilares z 200 rublami na stoliku, a potem gazetą pugilares nakrył. I pugilares pod gazetą został nietknięty. Całe szczęście, że się Kazio nie obudził, bo niewątpliwie nastąpiłaby tu krwawa katastrofa: albo Kazio by się na złoczyńców rzucił, albo, co jeszcze prawdopodobniejsze, złoczyńcy by go wpierw sprzątnęli. Taki rabuś, który wchodzi do pokoju sypialnego ze światłem i tam rzeczy zabiera, z pewnością gotów jest na morderstwo, bo dać się poznać nie zechce. Oprócz zegarka i szukania pieniędzy, wzięto z pokoju Kazia i wyniesiono koszulę dzienną. W pokoju jadalnym złoczyńca przymocował świecę do małego stolika, wybrał z koszuli spinki i koszulę rzucił, wziął z bufetu łyżeczki srebrne, zostawiając łyżeczki nakładanego srebra. Potem otworzył kasę (kluczyk od kasy wisiał na łańcuszku zegarka), w której wisiały klucze, zabrał je, otworzył szafę z odzieniem, z której wybrał wszystkie futra, paltoty i ubranie, otworzył inną szafkę dębową, z której wziął woreczek z 15 rublami drobnicy srebrnej, przygotowanej dla wypłat, szafy pozamykał, klucze odłożył do kasy, gdzie też zostawił koniuszek świecy, kasę zamknął na klucz. Oprócz tego wiem, że wzięto kołdrę i kapę z jakiegoś łóżka i wynoszono też poduszki. W tym czasie zapewne na folwarku zadzwoniono na krowy, co widocznie spłoszyło złodziei. Poduszki rzucili oni na dziedzińcu i odjechali, uwożąc rzeczy zrabowane. Gdyby nie to, to może by jeszcze obudzili Kazia i zażądali pieniędzy. Przy wjeździe na dziedziniec od drogi nowodworskiej stał koń rabusiów z furmanką, jak świadczyły ślady. Sądząc ze śladów, rabusie z Chełmicy pojechali w kierunku Nowego dworu, nie dojeżdżając zawrócili nazad i mimo Chełmicy przez las pojechali drogą mamyłowską; koło majątku Szereszno przewrócili się i zebrawszy manatki pojechali dalej. Ślad dalej nie został ustalony. Kazia obudzono koło godz. 3 w nocy; obudził go lokajczyk, 15-letni Janek; miano wysyłać do Mińska jakiegoś parobka, który sobie palce skaleczył i Kazia obudzono dla wyekspediowania go. Tu się ujawniła kradzież. Naturalnie, że sprawcami kradzieży musieli być ludzie dobrze obeznani nie tylko z dworem, ale i domem samym. Dokonali jej albo ludzie domowi, albo ze współudziałem i za wiedzą domowych. W domu oprócz Kazia spała stara ochmistrzyni, stary, przeszło 80-letni kucharz Bekisz, ojciec gospodarza z Trusewicz, głuchy i już ledwie żywy i 15-letni lokajczyk Janek, sierota, wzięty z przytułku jakiegoś. Żadne poszukiwania, mimo że się wzięto

energicznie, nie dały rezultatów dotąd. Policja została uruchomiona. Kazio nader energicznie rzucił się do kierowania poszukiwaniami. Dokonano szeregu rewizji po wioskach w okolicach głównie Mamyłów u znanych złodziei lub ludzi, którzy mieli styczność z Chełmicą. W Daszkach, Bućkach, Hołowaczach „trzęsiono" (rewidowano) wielu włościan. Dokonano też licznych rewizji we dworze. Rewizje te nie dały rezultatów. W szczególności u lokajczyka znaleziono wprawdzie czapkę Kazia i 8 arszynów płótna niewiadomego pochodzenia, co mogłoby wskazywać na złodziejskie skłonności chłopca, ale nie jest samo przez się dowodem jego bezpośredniego udziału w tej sprawie. W każdym razie, ten chłopiec może być podejrzany. Kazio sprowadza teraz z Mińska agentów policji śledczej. Rabunek to niepospolity.
W Radoszkowiczach w pociągu spotkałem Kotunię Pruszanowską z córką jej, Elizką. Jadą obie do Finlandii, do Merentähti, do młodszej córeczki Kotuni, Irenki, która jest mocno chora na bronchit i koklusz. Kotunia wezwana tam została telegraficznie. Jedzie mocno zaniepokojona. Jechaliśmy dalej razem.

11 (24) listopada, rok 1913, poniedziałek
Wczoraj wieczorem, przyjechawszy do Wilna, nie poszedłem do mego mieszkania wcale. Umówiliśmy się bowiem z Anną, że się z nią wieczorem spotkamy i spędzimy razem wieczór i noc całą. Dawnym zwyczajem poszliśmy na kolację do gabinetu w restauracji Niszkowskiego, stamtąd zaś na noc do hoteliku Wersal. Chcieliśmy odnowić naszą dawną tradycję, ale jakże inaczej działały na nas te same zewnętrzne wrażenia dawniej a dziś. W pierwszym roku naszego związku, a nawet w pierwszej połowie drugiego, tj. jeszcze zeszłej jesieni, urządzaliśmy często takie kolacyjki, zakończone nocą w tym samym hoteliku. W pierwszym roku było to u nas rzeczą zwykłą, a nieraz się zdarzało, że i po dwie noce spędzaliśmy razem. W zeszłym roku już to było rzadziej. Teraz zaś przestało nas to bawić. W ogóle w stosunku naszym pierwiastek zmysłowy, który na początku dochodził do pasji, niezmiernie się stępił. Szczególnie ze mnie pierwiastek zmysłowy jeżeli nie ulotnił się, to przynajmniej ostygł bardzo; u Anny gra on trochę większą rolę, ale tez względnie mniejszą niż dawniej. Dziś o wiele większą w naszym związku rolę gra pierwiastek psychiczny, duchowy. Toteż okazało się, że to, co nas dawniej bawiło i nawet do ekstazy doprowadzało, jak kolacja z alkoholem i noc wspólna w hotelu, dziś już tak nie bawi. Natomiast zaczynają się w nas budzić inne wrażenia w tej atmosferze nocno-hotelowej, takie, których dawniej nie doświadczaliśmy, bośmy byli zasugestionowani podnieceniem zmysłowym – to mianowicie wrażenie brudu. Hotelik Wersal jest typowym hotelikiem przygodnych schadzek i miłostek płatnych. Wszystko w nim jest brudne, wszystko tchnie rozpustą, a nade wszystko rażący jest brud fizyczny, budzący wstręt: meble, dywany wytarte, tandeta sprzętów brudnych i starych – wszystko obrzydliwe. Toteż nade wszystko doznawaliśmy obrzydzenia i postanowiliśmy oboje z Anną, że tu więcej nie przyjdziemy. Dawniej nie spostrzegaliśmy tego; zresztą i służba hotelowa dawniej nas tu znała i czuliśmy się tu zawsze swojsko i mile. Teraz to uczucie brudu i obcości zatruwało nam przyjemność obcowania ze sobą. Wolimy czas spędzać ze sobą w czystym skromnym pokoiku Anny na rozmowie lub nauce, lub snuciu projektów, niż się bawić zmysłowo wśród otaczającego brudu. Spędziliśmy jednak noc w hoteliku. Po południu dziś opuściliśmy hotelik i poszliśmy do Anny, gdzie zabawiłem do godz. 6 wieczorem. Stamtąd poszedłem na banhof po rzeczy i odjechałem do domu.

12 (25) listopada, rok 1913, wtorek
Stan zdrowia Stefusia, syna Maryni, który już od miesiąca przeszło jest chory na tyfus, znowu się w ostatnich kilku dniach pogorszył. Na ogół przebieg choroby Stefusia jest

zadowalający; komplikacji żadnych nie było, nie było też kryzysu ostrego ani chwil niebezpieczeństwa dla życia. Od jakichś trzech tygodni gorączka zaczęła spadać i rozpoczęła się po trochę rekonwalescencja. Wreszcie przed tygodniem Stefuś spróbował wstać z łóżka; ubrano go, ale Stefuś był tak słaby, że o własnych siłach iść nie mógł; Marynia zaprowadziła go pod ręce do drugiego pokoju i stamtąd nazad; zaraz też się rozebrał i znów położył. Ale to go widocznie zbyt wyczerpało, bo zaraz nazajutrz gorączka się podniosła i dotąd jest stale podniesiona. Doktorowie, Jabłonowski i Sumorok, zapewniają jednak, że to nie jest recydywa tyfusu, jeno skutek wysilenia osłabionego organizmu.
Zaczyna się robić pogoda – zdaje się, że nastąpią mrozy. Nie jest mi to na rękę, bo chciałbym, żeby Jasiek w Wiązowcu zdążył wykopać jamy pod drzewka przed nastaniem mrozów. Jest tam 80 jam do wykopania, co zajmie koło 20 dni pracy. Zaczynam wątpić, czy to się da zrobić w jesieni. Zakładam sad owocowy w Wiązowcu na pół oficjalnie. Przed Papą nie będę się tym chwalić, bo Papa jest przeciwny wszelkim nakładom i zarządzeniom w Wiązowcu. Mama się zgadza, gdy jej przekładam projekty moje, ale też się kosztów obawia, więc zbytniego nacisku przed nią nie robię i zakładam ogród trochę cichaczem, nie bardzo się tym chwaląc. Natomiast Kotunia Pruszanowska, z którą się spotkałem pozawczoraj w wagonie, bardzo chwali mój zamiar założenia sadu i na ogół, co mię bardzo cieszy, pragnie zachowania tego kawałka ziemi i wolałaby nawet, aby lasu w Wiązowcu nie wycinać do tła i nie kasować. Cieszy mię to, bo przynajmniej jest przeciwwaga tendencjom Komorowskich i Papy, którzy chcieliby jak najprędszego spieniężenia całego lasu i całego Wiązowca, czemu ja jestem przeciwny. Mama, mając przy sobie Papę i Komorowskich, też się przeważnie skłania do wyrąbania lasu, choć nie forsuje mię wcale. Cieszę się, że w Pruszanowskich i Mieczkowskich mam zwolenników utrzymania tej własności leśnej.

13 (26) listopada, rok 1913, środa
Zaczynamy wykonywać to, o czym pisałem niedawno jako o pilnej potrzebie sprawy demokratycznej w Wilnie. Chodzi mianowicie o to, żeby elementy demokratyczne polskie, odosobnione i rozproszone, skupić w pewnym środowisku i nawiązać przeto stałe ich wzajemne obcowanie. Z takiego obcowania mogą powstać pewne konkretne wspólne czyny, z początku choćby tylko doraźne, które wszakże z czasem mogą się wykształcić w zorganizowaną ciągłą działalność zbiorową, zwłaszcza jeżeli elementy te mieć będą w ręku jakąś placówkę działania w rodzaju pisma. Może „Kurier Krajowy", jeżeli się nadal utrzyma i jeżeli wyporządnieje pod redakcją Jerzego Jankowskiego, stanie się taką placówką dla tych elementów. Nie przesądzając wszakże teraz ewentualnych form tej przyszłej wspólnej działalności, trzeba dążyć przede wszystkim do nawiązania stałego obcowania tych elementów. Środowiskiem, które może dziś te elementy połączyć, jest naturalnie nasz Związek Demokracji Krajowej. Związek ten jest rozczłonkowany na parę ognisk poszczególnych. Otóż element demokratyczny polski, ze względu na szczególnie pilną potrzebę skupienia go, należy ześrodkować w jednym ognisku związku. W tym celu jako pierwszy krok w tym kierunku postanowiliśmy w naszym ognisku wciągnąć do nas Zasztowta, który dotąd był w ognisku drugim. To drugie ognisko jest zresztą bardzo ociężałe i na poły martwe, toteż tym bardziej pożądane jest i usprawiedliwione pozyskanie Zasztowta, człowieka żywego, dla naszego ogniska. Zasztowt wyraził zgodę i przeto fakt się dokonał. Wyznaczyliśmy jako kandydatów do wciągnięcia do naszego związku następujących ludzi – demokratów polskich: Kazimierza Ostachiewicza, Józefa Bukowskiego i Osmołowskiego, co wespół z Zasztowtem i mną utworzy już grono pięciu, mogące się stać z czasem zawiązkiem stałej nowej grupy demokratycznej polskiej, równoległej do

grupy „przeglądowej”. Powstanie i skonsolidowanie takiej grupy spośród luźnych i rozproszonych jednostek jest rzeczą bardzo pożądaną. Oczywiście taka grupa w całym szeregu działań zewnętrznych szłaby solidarnie z „przeglądową”, ale nie uzależniałaby się bezwzględnie od kierunku „przeglądowego”, jeno na zasadzie kompromisu odchylałaby linię wspólnego działania na lewo ku ideałom i zasadom demokracji, poza tym zaś miałaby własną sferę działania i dążyłaby do ustalenia własnych wpływów. Jądro tej grupy mieściłoby się w naszym Związku Demokracji Krajowej, całość jej wszakże byłaby poza związkiem jako osobna organizacyjka. Słowem, byłaby ta sama forma organizacji, jaką miała grupa „przeglądowa” w pierwszym okresie swego istnienia do czasu przesunięcia się „przeglądowców” na prawo.
Ze związku naszego do Rady Miejskiej należeć obecnie będą dwaj – Zasztowt i Rosjanin Kraskowskij. W nowej Radzie Miejskiej układ grup zaczyna się już formować. Większość polska zapewne się rozpadnie na trzy równoległe skupienia: prawicę, centrum i lewicę, której ośrodkiem będą „przeglądowcy” z ich liderem Witoldem Abramowiczem na czele (z „przeglądowców” do Rady należeć będą W. Abramowicz, Krzyżanowski, Nagrodzki, Budny, Turski). Do grupy lewicy „przeglądowej” postarają się wciągnąć i wciągną niewątpliwie jeszcze kilka jednostek mniej lub więcej pokrewnych i postępowych, ale z pewnością sami tworzyć będą jej jądro zaangażowane, z którego wychodzić będą dyrektywy. Zasztowt zamierza wstąpić do tej grupy lewicy z pewnymi zastrzeżeniami. W tej chwili, choć nowa Rada Miejska jeszcze funkcjonować nie zaczęła, wszystkie grupy już się zbierają, organizują i planują swą taktykę, a to tym bardziej, że w najbliższej przyszłości mają się odbyć wybory uzupełniające do Zarządu Miejskiego. Jedno miejsce w Zarządzie jest do obsadzenia. Lewica prowadzi Turskiego, ale wątpliwe, czy to się jej uda.

14 (27) listopada, rok 1913, czwartek
Wieczorem byłem na ogólnym zebraniu Spółdzielczego Towarzystwa Spożywczego „Solidarność”. Zebranie odbyło się w lokalu Towarzystwa Opieki nad Dziećmi (przy zaułku Górzystym 8). Towarzystwo „Solidarność” powstało, zdaje się, na początku r. 1912, wszakże rozpoczęło działalność, to znaczy otworzyło sklep spożywczy i zaczęło być czynne dopiero przed samym Nowym Rokiem 1913. Sklep ten mieścił się z początku gdzieś na kresach miasta, zdaje się, że w dzielnicy Pohulance. Toteż w pierwszym półroczu sklep dał deficyt. Od św. Michała sklep „Solidarności” przeniesiony został do nowego domu Zasztowta przy ul. Portowej, to znaczy, że teraz mieści się w śródmieściu w dobrym punkcie; operacje sklepu bardzo się teraz ożywiły, a i nowy zarząd, wybrany w sierpniu po zrzeczeniu się starego, bardzo energicznie i starannie pracuje. Najczynniejszym w zarządzie jest p. Putrament, Litwin, urzędnik intendentury, człowiek żywy i oddany ideowo kooperacji. Nowy zarząd stara się urządzić sklep wzorowo tak pod względem handlowym, jak ideowo-kooperacyjnym. Większość członków tego towarzystwa rekrutuje się ze średnich sfer inteligencji, z urzędników bankowych, asekuracji itd. Wszakże poziom uświadomienia kooperacyjnego większości członków jest bardzo niski, co naturalnie ogromnie utrudnia rozwój stowarzyszenia. Ogromna ilość członków nie kupuje wcale towarów w sklepie; bardzo wielu wpisało się na udziałowców i wpłaciło udział niejako na odczepnego, jak się daje na jakiś cel filantropijny i teraz drży tylko o to, aby się nie narazić na jakąś odpowiedzialność materialną, nie wiedząc nawet, że odpowiedzialność ta wyczerpuje się tylko udziałem; inni znowu wpisali się na członków li tylko z myślą o ewentualnym zysku, traktując kooperację tę za rodzaj geszeftu spekulacyjnego i nie zdając sobie i nie zdając sobie zupełnie sprawy z doniosłego społecznego znaczenia kooperacji. Ten ostatni kierunek wyraża się nawet wśród niektórych członków zarządu (młody

Łukaszewicz, Juszkiewicz). W tych warunkach rozwój towarzystwa musi być powolny, ale niemniej postęp się dostrzega. W dzisiejszym zebraniu, choć na ogół na zebrania przybywają bardziej uświadomieni członkowie, , poziom i nastrój kooperacyjny nie były arcywysokie, co zwłaszcza ujawniło się w stosunku do odczytu Szklennika. W zebraniu wzięło udział do ± 50 osób. Oto grono nazwisk spośród obecnych, których znam: Putrament, Turski, Wrześniowski, Lisiecki, K. Ostachiewicz, Stadziewicz, Bębnowski, Jakubowski, Wyszyński, Żongołowicz, Dowiakowski, Szklennik, Bućko, Petrykowski, Steckiewicz, Łukaszewicz itd. Ze spraw ciekawszych i mających ogólniejsze znaczenie, omówionych i rozstrzygniętych na zebraniu, wspomnę głównie o sprawie sprzedaży trunków alkoholowych w sklepie. Dotąd sprzedaży tej nie uskuteczniano. Otóż teraz zarząd zaprojektował rozpocząć tę sprzedaż i zwrócił się po aprobatę do ogólnego zebrania, aby ono go upoważniło do wzięcia patentu na prawo tej sprzedaży. Członek zarządu wszakże Putrament gorąco oponował przeciwko temu, motywując to zasadniczą niedopuszczalnością handlu alkoholem jako sprzecznego z ideowymi zasadami kooperacji. Kilku innych członków też się gorąco wypowiedziało przeciwko alkoholowi i wreszcie wniosek zarządu w głosowaniu upadł, pomimo że zwolennicy takowego sarkali mocno na moralizatorskie tendencje, które mają być narzucane członkom, jak gdyby ci życzyli i potrzebowali opieki, oraz wykazywali korzyści spekulacyjne takiego handlu. W obaleniu wniosku o handlu alkoholem był nawet piękny moment entuzjazmu. Dalej uchwalono asekurować towary w sklepie i upoważniono zarząd do wydawania weksli przy zakupie towarów, wszakże do wysokości 1000 rb. Wreszcie odbył się odczyt Szklennika – sprawozdanie ze wszechrosyjskiego zjazdu spółdzielczego w Kijowie. Sprawozdanie Szklennika było niezmiernie ciekawe i treściwe, ale pomimo to audytorium było tak mało uświadomione, że widoczne było znużenie i brak zainteresowania u słuchaczy. Sprawozdania ze zjazdu międzynarodowego w Glasgow Szklennik wcale nie wygłosił, choć to było w programie, bo gdy zarządzono przerwę, wszyscy się rozeszli. Poznałem p. Cezarego Meduniećkiego, bawiącego w Wilnie. Po zebraniu „Solidarności” byłem z nim i ze Szklennikiem w cukierni Sztrala. Człowiek to niegłupi i uspołeczniony, ale dziwak w poglądach swoich i trącący zaśniedziałością, spotęgowaną przez manierę oryginalności.

15 (28) listopada, rok 1913, piątek
Ponieważ zdecydowani jesteśmy z Anną na kupno tej parceli 400-sążniowej na Antokolu, którąśmy oglądali przed paru tygodniami, a która należy do posiadłości niejakiego p. Sienkiewicza czy też ciotki jego p. Sipowiczowej, więc poszedłem dziś do Stadziewicza, który mi tę parcelę wskazał i który mi w tej sprawie pośredniczy, z zawiadomieniem, że się decyduję na kupno i że proszę go o nawiązanie rokowań z właścicielem. Parcela ta się ceni po rb. 5 za sążeń, ale Stadziewicz spodziewa się, że się da coś utargować. Parcela ta jest na ziemi czynszowej, której tytuł własności należy do miasta. Zastrzegłem, że sprzedawca powinien przyjąć na siebie obowiązek wykupienia ziemi od miasta na własność i powinien mi ją sprzedać jako własną. Również zastrzegłem sobie przeprowadzenie drogi przez właściciela poza brzegiem parceli nabywanej, tj. przyszłej mojej. Stadziewicz w tych dniach zacznie traktować z p. Sienkiewiczem; umowę wstępną o kupnie (tzw. „запродажная”) sporządzilibyśmy zaraz z zapłaceniem jakichś paruset rubli zadatku, kupcza zaś z zapłaceniem reszty pieniędzy – na wiosnę.
Przy tej okazji rozmówiłem się ze Stadziewiczem w innej sprawie. Stadziewicz zaczął wydawać tu i redagować pismo ekonomiczne specjalne pod tytułem „Przegląd Handlowo-Przemysłowy”. Inicjatorami tego pisma są głównie Stadziewicz i Żukowski,

współwłaściciel firmy „Borkowski i Żukowski” i drukarni „Znicz”. Właściwie jest to myśl grona handlowców i kupców chrześcijańskich wileńskich. Pismo miało zacząć wychodzić na wiosnę, ale potem, głównie z powodu długiej choroby , zostało odłożone i numer 1 wyszedł w październiku, teraz zaś w grudniu przed Nowym Rokiem ma wyjść numer 2 (pismo jest kwartalnikiem). Jakie są fundusze wydawnictwa – nie wiem; prenumerata z pewnością minimalna, sprzedaż detaliczna też zapewne nie nazbyt wielka; koszt wydania numeru 1 zdaje się opłacił z ogłoszeń, bo w ogóle pismo jest w znacznym stopniu przeznaczone do szerzenia reklamy o wileńskich firmach handlowych chrześcijańskich, które się w piśmie ogłaszają. Sam tekst pisma wszakże nie jest reklamowy i ma charakter wyłącznie kwestii ekonomicznych krajowych. Pismo takie polityką w ścisłym znaczeniu naturalnie się nie zajmuje wcale i nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego. Wszakże wśród inicjatorów są tendencje na ogół postępowe i krajowe, przyjazne dla Litwinów i Białorusinów (sam Stadziewicz, choć po litewsku nie umie, uważa się za Litwina i nawet myśli o tym, żeby z czasem w tekście pisma dawać i artykuły po litewsku, w pewnych sprawach, dotyczących ściślej Litwy etnograficznej). Pismo takie, jak w ogóle zainteresowanie sprawami ekonomicznymi naszego kraju, jest bardzo pożądane. W numerze 1 był drukowany obszerny mój artykuł „O gospodarce krajowej” i szereg innych ciekawych. Redaktorem pisma jest Stadziewicz, ale funkcja ta jest dlań dość trudna, bo nie jest on literatem ani publicystą i jest poza tym bardzo zajęty. Otóż teraz chce on sprząc ściślej pismo z jakąś grupą czy instytucją, aby mu dać oparcie mocniejsze i jednocześnie myśli o złożeniu redakcji tekstu w czyjeś fachowsze ręce. O tym właśnie dziś gawędziliśmy. Zamierza on utworzyć komitet redakcyjny; naradzaliśmy się więc, kogo do takiego komitetu powołać. Stadziewicz słusznie chce wciągnąć do komitetu i element litewski i białoruski. Ma więc wejść do komitetu Litwin Morawski, niedawno osiadły w Wilnie, ruchliwy i bardzo zajęty kwestiami ekonomicznymi, Białorusin Wacław Iwanowski, dyrektor syndykatu rolniczego, ja, poza tym jeszcze z Polaków, aby nie było na komitecie marki zbyt lewej, Seweryn Ludkiewicz, brat redaktora „Tygodnika Rolniczego”, i Bębnowski. Chodzi bowiem o to, że Iwanowski, Morawski i ja moglibyśmy się na zewnątrz wydawać trójcą zbyt jaskrawą, więc trzeba też mieć elementy politycznie umiarkowańsze, choćby to byli ludzie endekowaci, tzw. „narodowcy”, jak Bębnowski. Mnie zaś Stadziewicz angażuje na kierownika literackiego, to znaczy właściwie redaktora.

16 (29) listopada, rok 1913, sobota

Wieczorem w lokalu biblioteki „Знание” (tamże redakcja „Вечерней Газеты”) zwołane zostało przez Łuckiewiczów zebranie w sprawie „Kuriera Krajowego”. Od dawna kiełkowała myśl o tym, żeby do udziału w tym piśmie, przede wszystkim materialnego, powołać też demokrację litewską. Sojusz demokracji polskiej z litewską tak w ogóle, jak w szczególności na gruncie tego pisma, wypływa nie tylko z zasadniczych założeń solidarności demokratycznej, ale też z realnych zupełnie interesów. Dla demokracji litewskiej nie może być obojętne, jakie kierunki i prądy ideowe szerzyć się będą wśród mas ludowych w kraju polskich czy tylko mówiących po polsku. Szerzenie się prądów nacjonalistycznych nie tylko utrudnia Litwinom współżycie z masami polskimi i uwzględnianie ich słusznych praw, ale też pozyskuje i wciela do polskości te elementy pod względem narodowym nieokreślone, które się odrywają od pnia litewskiego. Na kresach etnograficznych Litwy, w miastach wśród ludności napływowej ze wsi elementy litewskie, pod względem świadomości narodowej bierne, ulegają ciągle jeszcze polonizacji. Jest jeszcze w kraju cała masa ludności „tutejszej”, narodowo nieokreślonej. O duszę jej, o narodowość tej masy toczy się ciągły spór, ciągła walka

między Litwinami a Polakami z jednej strony, Polakami a Białorusinami z drugiej. Otóż kierunek demokratyczny krajowy polski, zdaniem moim, jest właśnie tym kierunkiem sprawiedliwości i pokoju, który do waśni tej wlewa hasła miłości i poszanowania praw wszystkich stron walczących. W tej bowiem walce o duszę i narodowość nieokreślonej masy „tutejszych" tkwi główny element tzw. kwestii polsko-litewskiej i polsko-białoruskiej w jej stanie aktualnym. Kierunek demokratyczny krajowy polski w zakresie spraw społecznych, wychodząc z założeń demokratycznych, dąży do wyrobienia samowiedzy i samodzielności masy ludowej, to znaczy dąży do rozwinięcia woli ludu i nadania jej znaczenia czynnika twórczego, a przez to wyklucza jakiekolwiek forsowanie tej masy w kierunku polonizacji; dalej kierunek ten, uwydatniając wartość kulturalną odrodzenia litewskiego i białoruskiego jako zasadniczych czynników rozwoju społecznego kraju, nie tylko nie zniechęca, ale daje masie „tutejszej" jak najlepszą rekomendację sprawy litewskiej i białoruskiej, a przez to nie odciąga nikogo od tych spraw, nie zamyka nikomu drogi do unarodowienia się litewskiego i białoruskiego – inaczej bowiem zaprzeczyłby własnemu pojmowaniu stosunków krajowych; przeciwdziała on zohydzaniu litewskiej i białoruskiej sprawy przez nacjonalistów polskich i z tego względu musi być dla Litwinów i Białorusinów pożądany i sprzymierzeńczy; organizując zaś świadomą pod względem narodowym demokrację polską, kierunek ten opiera się na zasadach krajowych obywatelskich i przysparza Litwie i społeczności krajowej, nową siłę, która w ręku nacjonalistów jest odrywana od kraju i wykolejana. Demokratyczny krajowy kierunek polski dąży do ustalenia społeczności polskiej w kraju jako jednej z rdzennych społeczności lokalnych na równi z litewską i białoruską. To też atut dla kraju, choć niekoniecznie dla nacjonalizmu litewskiego i białoruskiego, które chciałyby może zupełnego zaprzeczenia bytu demokracji polskiej w tym kraju. Powiadam: oprócz masy „tutejszej", względem której forsować unarodowienia nie powinniśmy, jest jeszcze demokracja, to znaczy masa ludowa – polska, już unarodowiona i mająca prawo do własnego bytu narodowego w ramach społeczności krajowej. Niestety – większość Litwinów-demokratów i Białorusinów rozumie, że istnieje tylko ta masa „tutejsza", którą uważa za swój wyłączny żer i biorąc się do poparcia „Kuriera Krajowego", chciałoby zrobić z tego pisma wyłącznie narzędzie do unarodawiania „tutejszych" w kierunku litewskim i białoruskim. Na zebraniu dzisiejszym byli przedstawiciele czterech grup: od grupy białoruskiej demokratycznej Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Wacław Iwanowski i Własow, od partii demokratycznej litewskiej Jan Vileišis i Ślażewicz, od esdeków litewskich Michał Biržiška i Kairys (i nie należący do żadnej grupy, ale zbliżony ideowo do esdeków Litwin Šaulys), wreszcie od demokratów polskich redaktor pisma Mańkowski, Zasztowt, Osmołowski, dr Sumorok i ja. Szczególnie demokraci litewscy i zwłaszcza Białorusin Iwanowski wypowiadali się w kierunku tym, że pismo być powinno wyrazem nie demokracji polskiej, której, ich zdaniem, nie ma, ale krajowej, mając na myśli masę nieokreśloną „tutejszych", mającą służyć za materiał chyba tylko dla Litwinów i Białorusinów. Ich cele tchnęły nacjonalizmem litewskim i białoruskim. Łuckiewiczowie i Kairys, choć się też wypowiadali za tym, żeby pismo było organem demokracji krajowej, a nie tylko polskiej, uznawali jednak i potrzeby, i zasadę bytu i rozwoju demokracji polskiej, zaznaczając jeno, że w stosunku do masy „tutejszej" należy wykluczyć wszelkie forsowne unarodawianie i dawać jej istotny obraz wszystkich krajowych kultur narodowych, strzegąc tu wspólnego działania całej demokracji krajowej. Zasztowt gorąco popierał zasadę demokracji krajowej, ja obstawałem za polską.

17 (30) listopada, rok 1913, niedziela

Będę miał zapewne okazję wrócić wkrótce do tematu wczorajszego zebrania. Zaznaczę wtedy, jakie prądy się ujawniły i jakie było stanowisko poszczególnych grup i osób w stosunku do demokratycznego pisma polskiego i w ogóle do sprawy demokratycznej wśród ludności mówiącej po polsku. Rzecz to ciekawa i zasadnicza, dotycząca samej podstawy naszych stosunków krajowych. W kilku słowach dziś jeszcze o tym nadmienię. Otóż zdaje się, że jest stanowczą tendencją znacznego odłamu demokratów Litwinów i Białorusinów negowanie istnienia i nawet samej możności istnienia w tym kraju demokracji polskiej i ludu polskiego. Cała ludność klas niższych, używającą języka polskiego, uważają oni za litewską i białoruską i dążą do jej odzyskania; używanie przez nią języka polskiego, a nawet fakt sympatii i świadomości polskiej narodowej uważają oni za rzecz przemijającą, za wypływ nienormalnych stosunków, co powinno być z gruntu zmienione. Za polską uznają oni tylko inteligencję, wyższe ziemiaństwo i szlachtę ziemiańską. Tylko Iwanowski Wacław sformułował wczoraj taki pogląd otwarcie i prosto, ale niewątpliwie demokraci litewscy (jak Ślażewicz, Vileišis, Bułat) tak samo się na to zapatrują i mówiąc o piśmie jako organie demokracji krajowej, a zaprzeczając mu charakteru organu demokracji polskiej, w gruncie rzeczy chcą tego, aby akcja demokratyczna w języku polskim służyła odzyskaniu na rzecz Litwinów i Białorusinów ludności mówiącej dziś po polsku i nawet uważającej się za polską. Zasztowt, który stosunków żywych i istotnych celów i dążeń historycznych rozmaitych grup społecznych i narodowych w kraju nie zna, upaja się pięknym frazesem o demokracji krajowej i naiwnie bierze słowa pozorne za treść istotną. Co do mnie, to mam na tę sprawę pogląd inny. Zgadzam się, że ogromna część tej masy, która to niby jest uważana za polską, jest w gruncie rzeczy dotąd pozanarodową; są to Białorusini katolicy, ludność litewska na wschodniej granicy etnograficznej Litwy, rzesze drobnej szlachty na Białej Rusi i Litwie. Są całe zastępy ludu, w rdzeniu swoim litewskiego i białoruskiego, które nie mają świadomości narodowej, siebie nazywają „tutejszymi" albo „katolikami", a przez wpływy kościoła, tradycji itd. zbliżone do polskości i nawet używające zepsutej gwary polskiej. Polonizować gwałtem te rzesze, przywłaszczać je do narodowości polskiej i pretendować do jakiegoś monopolu w stosunku do nich – naturalnie nie należy, zwłaszcza zaś demokracji polskiej. Rzesze te powinny same określić świadomie swą narodowość i do niej się wcielić; przede wszystkim więc trzeba rozwinąć w nich myśl, trzeba, żeby im się oczy otworzyły, żeby umysł ich wyzwolił się od przesądów i przeżytków, żeby się one uzdolniły do zrozumienia swych potrzeb i celów oraz dróg rozwoju, a to się dokona zwłaszcza na drodze oświaty i uspołecznienia ich, to znaczy na drodze demokracji. Ponieważ te rzesze czytają po polsku, więc słuszne jest, aby demokratyczna prasa polska, która je obsługuje, dawała im nie tylko gotową kulturę polską, lecz też informowała bezstronnie o kulturze litewskiej narodowej i białoruskiej, wyjaśniała istotę i znaczenie ruchu litewskiego i białoruskiego, dążenie Litwinów i Białorusinów do zdobycia sobie praw rozwoju narodowego itd. Słuszne jest, aby w piśmie polskim równolegle do Polaków powołany był do tej czynności współredaktor Litwin i Białorusin – i owszem. To będzie sprawiedliwe i piękne współdziałanie demokracji polskiej z litewską i białoruską. Ale o ile demokracja polska nie powinna przeszkadzać świadomemu litwinizowaniu się i białoruszczeniu tych biernych dotąd i pozanarodowych mas „tutejszych", o tyle też demokracja litewska i białoruska nie mogą i nie powinny odmawiać tym masom prawa do również świadomego polonizowania się. Masy te z pewnością z biegiem czasu zróżniczkują się narodowo i skierują się w trzy łożyska – litewskie, białoruskie i polskie, co już i teraz się dobywa. Wszystkie te łożyska powinny być równie uprawnione. Poza tymi zaś masami istnieje też już dziś ludność polska – demokracja polska, pod względem narodowym już ustalona. I dla tej demokracji polskiej pismo musi być polskie. Pismo

zatem takie musi być organem demokracji polskiej ze współdziałaniem demokracji litewskiej i białoruskiej w stosunku do masy surowego materiału, który poza ludem polskim korzysta z pisma w polskim języku. Takie jest moje wyznanie wiary – toteż chcę, aby organizacja pisma była zbudowana na tych założeniach. Sądzę, że takie elementy, jak Szaulys, Biržiška, Kairys nawet, jak Łuckiewiczowie, Własow, zasadniczo się z tym godzą.
Byłem dziś na odczycie ekonomisty polskiego Radziszewskiego o kooperacji. Odczyt był ciekawy i piękny, choć grzeszył zbytnim przymilaniem się do konserwatystów i wsteczników. Napisałem o nim sprawozdanie w postaci artykułu do „Kuriera Krajowego". Większą część dnia spędziłem z kochaną Anną. Rozczula mię Anna pilnością i starannością w nauce oraz rzewnym przywiązaniem, ajkie wykazuje do mnie na każdym kroku, w każdym drgnieniu uczucia swego, w każdym atomie swego życia.

18 listopada / 1 grudnia, rok 1913, poniedziałek
Pod wieczór rozpocząłem artykuł do następnego, drugiego numeru „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego", który ma wyjść w druku w grudniu. Stadziewicz prosił mię o napisanie artykułu, a ponieważ mam wejść do komitetu redakcyjnego tego pisma i ewentualnie nawet objąć jego kierownictwo osobiście, więc naturalnie bardzo dbam o danie artykułu i to dobrego. Miałem pisać o dzielnicowym zjeździe Izby Eksportowej rosyjskiej, który ma się odbyć, zdaje się, w Wilnie tej zimy w sprawie odnowienia traktatu handlowego z Prusami. Zjazd ten ma dość poważne znaczenie dla kraju naszego i teraz instytucje ekonomiczne i handlowe kraju gotują się do niego czynnie, a nad należytym zorganizowaniem zjazdu krzątają się energicznie głównie p. Paweł Kończa, dyrektor Banku Wileńskiego Ziemskiego, i Morawski, Litwin, ten sam, którego Stadziewicz ma powołać do komitetu redakcyjnego „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego". Stadziewicz miał mnie dostać od Morawskiego materiały dotyczące tego zjazdu, ale tymczasem Morawskiego w Wilnie nie ma, a artykuł do numeru bieżącego jest już potrzebny, więc zacząłem pisać na inny temat. Zatytułuję artykuł zapewne: „Pieniądz" i uwydatnię funkcje ekonomiczne pieniędzy w ogóle i w szczególności w stosunku do kraju naszego. Bardzo się palę do redagowania tego pisma ekonomicznego; chętnie bym się podjął tej roli w charakterze zupełnego redaktora i gorąco bym się tej pracy oddał; sprawy bowiem ekonomiczne zajmują mię bardzo i rozumiem ich wielką wagę dla rozwoju kraju. Stadziewicz projektuje przekształcić pismo z kwartalnika na miesięcznik – tym lepiej. Nie wiem tylko, jak się materialnie to wydawnictwo przedstawia i czy ma ono szanse trwałości. Nie wiem, też, czy Stadziewicz chce mię angażować na płatnego czy bezpłatnego kierownika; chciałbym oczywiście być płatnym, bo tylko wtedy mógłbym się pracy poważnie i swobodnie oddać, a zasiłek pieniężny jest mi niezmiernie potrzebny.
Wieczorem byłem u Bułata na zebraniu zarządu „Žiburėlisu". Była tylko p. Bortkiewiczowa, ja i członek komisji finansowej towarzystwa Bułat. Omawialiśmy sprawę urządzenia wieczoru z koncertem na dochód „Žiburėlisu" – w styczniu. Bułata poznaję coraz lepiej i zyskuje on w moich oczach większą sympatię. Jest to umysł trzeźwy i praktyczny a bardzo ruchliwy. Dużo też temperamentu połączonego z rubasznością, a przecie zarazem przenikliwością. To robi zeń doskonałego polemistę, doskonale władającego audytorium w szermierce z przeciwnikiem. W tym właśnie jest sekret, dlaczego Bułat jest tak nielubiany przez swoich przeciwników esdeków litewskich. Jest on dla nich straszny i zawsze ich pokona w szermierce, a tego nie lubią.

19 listopada / 2 grudnia, rok 1913, wtorek

Całe pół dnia do samego niemal obiadu zajęty byłem dokończeniem zaczętego wczoraj artykułu do „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego". Z pracy tej jestem zadowolony. Mam wrażenie, że to artykuł nieszablonowy, poruszający rzecz ciekawą i żywotną w życiu ekonomicznym, mianowicie rolę pieniędzy w gospodarce społecznej i uwzględnianie nie tyle ich ilości, ile właśnie ich funkcji w sprawach i zagadnieniach gospodarczych kraju. Artykuł po napisaniu zaniosłem do Stadziewicza. Uważam, że w każdym numerze tego pisma, oprócz artykułów sprawozdawczych lub omawiających jakieś tematy czy sprawy zupełnie konkretne, powinien być przynajmniej jeden artykuł zasadniczy, mający poniekąd charakter naukowy, co nie przeszkadza mu być aktualnym.
Głowa mię dziś bolała i czułem się niezupełnie zdrów. Chwilami się nawet bałem, żeby ten ból głowy nie był zwiastunem tyfusu, którym się mogłem zarazić od chorego Stefusia.
Wieczór, jak wszystkie wolne wieczory, spędziłem u Anny. Czas nam z nią schodzi na nauce i rozmowie tak mile, że ani się obejrzeć zdołamy, jak nastaje pora rozstania. Anna uczy się bardzo pilnie i na ogół jest zdolna, zwłaszcza gdy się zważy trudności, które musi pokonać z powodu nieznajomości języka i braku inteligenckiego wyćwiczenia umysłu w subtelnościach naukowych. Ale sam ten fakt, że ja tak pragnę dla niej nauki i tyle wagi do tego przywiązuję, służy mojej kochanej Annie za potężny bodziec do pilności i pokonywania ciężkich przeszkód. Miłość gorąca i ofiarna mojej Anny do mnie i jej szlachetna dumna natura sprawiają, że z całym wytężeniem oddaje się tej nauce, pragnąc godnie odpowiedzieć zaufaniu i życzeniu memu. A gdy się jej nauka udaje dobrze, gdy widząc jej postępy pochwalę ja i uścisnę, promienieje cała ze szczęścia i garnie się do mnie z uczuciem wdzięczności i wstydliwego wesela. Natomiast nie znosi Anna tonu szorstkiego i niecierpliwości z mej strony. Wtedy się zraża, wpada w przygnębienie, wątpi w swe siły, zacina się czasem w płaczu i milczeniu. Ta nauka stała się nowym cementem, który nas coraz bardziej łączy. Stosunek nasz, choć jest różny, jednak tak samo świeży i gorący, jak był w pierwszym roku.

20 listopada / 3 grudnia, rok 1913, środa
Rano byłem u Lucjana Kobylińskiego. Udało mi się go wreszcie zastać. Prosiłem go o pomoc dla mnie, o protekcję do prezesa sądu Cariuka w sprawie wydania mi na następne półrocze świadectwa na prawo prowadzenia spraw cywilnych. Kobyliński bardzo uprzejmie wysłuchał mej prośby i obiecał zrobić, co może. Wszakże do Cariuka się nie zwróci, bo go zna bardzo mało, toteż nie miałby okazji do pomówienia z nim na ten temat. Zwróci się wszakże i pomówi z wiceprezesem sądu p. Malininem oraz, co ma już mniejszą wagę, z członkiem sądu Andruckim. W każdym razie, wybada Malinina, jak się przedstawia sytuacja i jakie są ewentualnie szanse lub drogi. Kobyliński chętnie zawsze udziela protekcji, gdy może w czyimś interesie dopomóc, zwłaszcza dla krewnych i spowinowaconych oraz w ogóle ludzi z rodzin arystokratycznych i szlacheckich. Lubi też, gdy go się o protekcję prosi i uważa to, zdaje się, za swoje główne powołanie. W tym to głównie celu zachowuje stosunki z przedstawicielami władzy i w ogóle obcuje ze sferami rządzącymi. Uważa się za rzecznika spraw rodzinnych i społecznych ziemiaństwa, niejako za dyplomatycznego ambasadora arystokracji u sfer rządowych. Z gruntu jest to człowiek dobry, wielki galant, elegancki i niezmiernie ugrzeczniony, gładki, ruchliwy mimo starości – wielki pan starego szlacheckiego autoramentu, nawet w fizycznym typie swoim, z dużymi włosami siwymi i długim siwym wąsem na twarzy białej o wyrazistych i rasowych pięknych rysach, podobny do hetmanów i panów polskich z Targowicy. Politycznie jest to także

poniekąd typ targowicki, opierający byt polski narodowy na arystokracji i szlachcie, gardzący i nie umiejący nawet zrozumieć jakiejś sprawy ludowej, zakładający sprawę społeczną na lojalizmie względem państwa i dynastii, wierzący w siłę stosunków, wpływów i łaski panujących i rządzących. W toku rozmowy z Kobylińskim zrozumiałem, jaka jest jednak wielka różnica między karierowiczami z arystokracji a karierowiczami z chłopów, jakim jest np. taki Cariuk. Arystokrata robiący karierę nie spodli się jednak tak, jak się spodli karierowicz pospolitego pochodzenia, bo arystokrata zakłada karierę na stosunkach i stanowisku swoim rodowym, podczas gdy taki chłop za jedyną dźwignię kariery osobistej ma własną zręczność, toteż patrzy jak pies w oczy panu, przenika sprytem dominujący w tej chwili u góry prąd czy nastrój i służy mu niewolniczo, forsując takowy w swojej działalności z całą bezwzględnością; arystokrata zaś, nawet karierowicz, jest z samego stanowiska swego niezależniejszy, a przeto względniejszy i bardziej ludzki.
Wieczorem dziś do Anny nie poszedłem, choć miałem wieczór wolny, a to dlatego, że moja Anna jest dziś na dorocznym ogólnym zebraniu wileńskiego towarzystwa łotewskiego (i balotuje się jako kandydatka do komisji teatralnej). Wstąpiłem na chwilę w jakiejś sprawie do Antoniego Łuckiewicza, a że on szedł właśnie do klubu białoruskiego na posiedzenie sekcji literackiej, więc z nim tam razem poszedłem. Klub białoruski (urzędowa jego nazwa brzmi, zdaje się: Białoruskie kółko Muzyczno-Dramatyczne) ma już teraz własny lokal w domu Wolbeka przy ul. Wileńskiej nr 29 (w tym samym domu, w którym ongi mieściła się redakcja „Gazety Wileńskiej") i tak, jak litewska „Ruta" i jak polska „Lutnia" (choć na mniejszą oczywiście skalę, to jest bez porównania uboższy, zwłaszcza od tej ostatniej), urządza co tydzień wieczorki taneczne, ma własny chór śpiewacki, ma trupę amatorską teatralną itd. Przy klubie tymześrodkowują się rozmaite zrzeszenia i funkcje ruchu białoruskiego i tu się ogniskuje tętno całej ich sprawy, promieniując stąd w szeregu zapoczątkowań i działań poszczególnych. Stan ruchu białoruskiego i jego organizacja są bardzo ciekawe i tętnią życiem, które tu się dopiero widzi.

21 listopada – 4 grudnia, rok 1913, czwartek
Całe przedobiedzie i parę godzin pod wieczór spędziłem z Anną, korzystając ze święta prawosławnego. Odbyliśmy z nią lekcję historii i głośnego czytania, wybraliśmy razem w magazynie obicie, które kupiłem do Wiązowca, pospacerowaliśmy trochę. Anna po raz pierwszy ubrała się w swoje ciepłe palto pluszowe z futrzanym kołnierzem lisim, które sobie sprawiła kosztem wielkiego wysiłku pieniężnego, bo się zadłużyła u mnie do 60 rb. i teraz będzie mi spłacała po 10 rb. miesięcznie. Anna nie jest zadowolona z paltota, uważa je za zanadto grube dla siebie i martwi się, że za taką cenę nie ma tego czego by chciała. Wstydziła się wyjść po raz pierwszy w tym nowym paltocie, które jest ciepłe i jest istotnie dla niej do twarzy: wygląda porządnie bardzo i statecznie a ładnie. Po obiedzie był u mnie Stadziewicz z młodym Sienkiewiczem z Antokola, od którego plac kupuję. Umówiliśmy się o cenie i warunkach kupna i jak tylko Sienkiewicz wygotuje osobny planik sprzedawanej parceli, to sporządzimy umowę o kupnie („запродажную").
Wieczorem poszedłem do teatru z Ewą (Helcią) i Henrysiem, którym zafundowałem bilety. W teatrze był też Papa z Elizką Pruszanowską (Papa odbywa swą comiesięczną wizytę w Wilnie, a Elizka Pruszanowska bawi tu z matką, Kotunią, która wraca z Finlandii i odwozi do domu swoją chorą na koklusz córeczkę Irkę). W teatrze grano dramat Hauptmanna „Święto pokoju", karykaturalną satyrę na szczęście rodzinne. Zwabiony byłem nazwiskiem Hauptamanna, autora utworów niepospolicie głębokich i pięknych, jak „Dzwon zatopiony", „Hannele", „Furman Henschel", „Tkacze". Wszakże

tym razem Hauptmann zawiódł. W „Święcie pokoju” myśl jest niewątpliwie głęboka, ale doprowadzona w przesadzie do karykatury i wykonanie jest strasznie rozwlekłe. Czytelnik czy słuchach dawno już zrozumiał myśl i tragedię życiową dramatu, a autor wciąż mu ją jeszcze tłumaczy i ilustruje, ilustruje bez końca – do zupełnego znudzenia. A że sama przez się rzecz jest ciężka, więc znudzenie staje się wreszcie niesmakiem. Gra artystów była kiepska.

22 listopada / 5 grudnia, rok 1913, piątek
Wieczorem odbył się dalszy ciąg zebrania z ubiegłej soboty w sprawie organizacji „Kuriera Krajowego”. Zebranie było mniej liczne niż pierwsze. Z Polaków obecny był tylko dr Sumorok, Mańkowski i ja, z Litwinów Jan Vileišis i Šaulys, z Białorusinów jeden Antoni Łuckiewicz. Kwestia zasadnicza, która była tak szeroko omawiana na ubiegłym zebraniu – czy pismo ma być organem demokracji polskiej czy tez demokracji krajowej – nie była tym razem dyskutowana. Zeszłą razą większość opowiedziała się za demokracją krajową, przeciwko czemu najgoręcej oponował Mańkowski i na co też ja się niezupełnie godzę. Dziś kwestię tę złagodzono. Przede wszystkim dr Sumorok zaznaczył na wstępie, że wystąpienie w piśmie w charakterze „demokracji krajowej” obudziłoby wśród publiczności polskiej, zwłaszcza wileńskiej, ogromną nieufność do pisma, bo już dziś wrogowie nasi, nie wyłączając „przeglądowców”, starają się zdyskredytować „Kurier Krajowy” jako nie-polski. W tych warunkach można byłoby się narazić wprost na bojkot. Bez dyskusji więc przyjęliśmy określenie, że pismo ma być „polskim organem demokratycznym”. Jest to formuła nieokreślona, mająca być kompromisem między stanowiskiem „demokracji polskiej” a „demokracji krajowej”. W rzeczywistości, jeżeli organizacja projektowana dojdzie do skutku, pismo będzie wyrazem współdziałania czy współpracownictwa demokracji polskiej, litewskiej i białoruskiej. Postanowiliśmy bowiem ustalić komitet organizacyjny z dziewięciu osób – trzech Polaków (dr Sumorok, Bukowski i ja), trzech Litwinów (Vileišis, Šaulys i Kairys) i trzech Białorusinów (Antoni i Iwan Łuckiewiczowie i Wacław Iwanowski). W grupie litewskiej Kairys jest reprezentantem nie tylko Litwinów jako takich, ale zwłaszcza esdeków, którzy też mają należeć do pisma jako jedna z równoległych grup, zastrzegając sobie pewną autonomię i prawo wpływu, co nam zresztą jest bardzo na rękę, bo udział esdeków wpłynie na uwydatnienie społecznego kierunku w piśmie i spopularyzuje je w masach robotniczo-rzemieślniczych. Wolałbym o wiele, żeby do reprezentacji polskiej w komitecie organizacyjnym wszedł Zasztowt zamiast Sumoroka, który jest warchołem i kieruje się nieraz więcej fantazją i sympatią osobistą niż przekonaniem. Zasztowt ideowo przedstawia większą siłę od Sumoroka, ma też zapewne większą sferę wpływu; poza tym zaś Zasztowt, który jest dla sprawy demokratycznej bardzo cenny, jest nastrojowcem i przeto musi być trzymany w ciągłym bliskim kontakcie z samym ośrodkiem działania, aby się nie ulotnił. Sumorok zaoponował dziś wszakże przeciwko wpisaniu Zasztowta, bo ma do niego jakąś ansę. Na razie więc Zasztowt nie został wpisany, ale postaramy się go wciągnąć, bo wszyscy, prócz Sumoroka, mieć go w swym gronie pragną. Sumoroka się obawiam szczególnie ze względu na Radę Miejską; ma on tam swoją własną politykę sympatii osobistej i będzie szedł przeciwko postulatom zasadniczym, które reprezentować będzie Zasztowt z innymi elementami opozycji. Swoje tendencje Sumorok i pismu narzucić zechce, bo to człowiek arbitralny i samowolny, pozbawiony cnoty karności. W tym składzie mają się nadal odbywać zebrania w sprawie organizacji pisma. Od razu tez wyznaczono tymczasowy komitet redakcyjny z trzech osób: mnie, Antoniego Łuckiewicza i Šaulysa; mamy dostarczać dla pisma artykułów wstępnych, dawać wskazówki Mańkowskiemu itd.

Najpoważniejszą sprawą będzie stała organizacja redakcji, bo Mańkowski jest tylko tymczasowo. Kandydaturę Jerzego Jankowskiego na redaktora odrzuciliśmy, bo mu nie ufamy. Obecnie na pomocnika redaktora postanowiliśmy przyjąć niejakiego Sokołowskiego, który był w „Gaz. Codziennej".

23 listopada / 6 grudnia, rok 1913, sobota
Biedny Janulaitis chory jest ciężko na tyfus plamisty. Dziś jest już, zdaje się, dziesiąty dzień choroby. Stan jest groźny. Dowiedziałem się o jego chorobie dopiero wczoraj. W adwokaturze koledzy są bardzo zasmuceni i zaniepokojeni, bo Janulaitis jest ogólnie lubiany, zwłaszcza zaś cieszy się sympatią elementów żywszych i postępowszych (prócz „przeglądowców" zresztą, którzy go nie nazbyt lubią),
Co sobota regularnie w „Kurierze Krajowym" bieda z wypłatą tygodniową zecerom i drukarni. Zawsze brak w kasie gotówki i zawsze rozpoczyna się upędzanie się za wydębieniem od kogoś pieniędzy. I dziś też wieczorem spotkałem na mieście Antoniego Łuckiewicza, który śpieszył wziąć ze sobą Mańkowskiego i ruszać po flotę, kołatać do rozmaitych sympatyków i mecenasów pisma. Na przyszłość Łuckiewiczowie zapewnili stałe subsydium miesięczne dla pisma w kwocie rb. 400 (co miesiąc). Jakie jest źródło tego subsydium – nie wiem; oczywiście, że to nie z ich własnych funduszów, bo takowych nie mają; podobno to Iwan Łuckiewicz znalazł kogoś, który się podjął wypłacania tej sumy na „Kurier Krajowy", nie życząc się wszakże ujawniać. Nie darmo nazywają Iwana Łuckiewicza białoruskim ministrem finansów; umie on istotnie przez swą nadzwyczajną obrotność wynajdywać źródła na wszelkie potrzeby i sprawy białoruskie lub pokrewne demokratyczne. Subsydium miesięczne 400-rublowe prawie że bezwzględnie zagwarantuje byt dalszy pisma, jeżeli tylko nie zawiedzie. Pozostają wszakże jeszcze poważne zaległości, wynoszące do 3000 rb., subsydium bowiem będzie pochłonięte przez wydatki bieżące. Otóż te 3000 rb. muszą być pokryte z udziałów Litwinów i demokratów polskich.

24 listopada / 7 grudnia, rok 1913, niedziela
Wieczorem poszedłem z Anną na przedstawienie teatru ukraińskiego, bawiącego w Wilnie i dającego dziś ostatnie przedstawienie pożegnalne (w gmachu cyrku na Placu Łukiskim). Anna przed teatrem była na zebraniu Łotyszów w „Rucie" i tak była stęskniona do mnie, tak podrażniona tym, że to zebranie łotewskie pozbawiło ją kilku godzin zabawienia ze mną, i to właśnie w niedzielę, którą Anna tak zazdrośnie rezerwuje zawsze dla nas, że gdy wróciła i gdy trzeba było iść do teatru, była biedaczka nieutulona w żalu i prosiła mię, abyśmy zostali w domu. W teatrze bowiem nie posiada mię Anna tak wyłącznie dla siebie, jak w domu, gdy jesteśmy we dwoje. A przywiązanie Anny jest tak silne, tak gorące i wyłączające wszelkie dzielenie się mną z kimkolwiek lub czymkolwiek, że nie ma dla niej większego szczęścia, jak być ze mną i tylko ze mną we dwoje. Jest zazdrosna o wszelką rzecz, która pochłania uwagę moją, o wszelkie wrażenie, które nie z niej pochodzi. I gdy musi być ze mną wobec ludzi, gdy spędza czas ze mną poza domem, tęskni do mnie, bo mię nie czuje całkowicie i niepodzielnie swoim. Żal jej każdej chwilki naszego stosunku strwonionej jak skąpcowi żal pieniędzy wydanych. Przecudny jest ten liryzm tęsknoty, którym Anna tak naiwnie zabarwia nasz stosunek! Ma ona niepospolitą ekspresję w uczuciu, płynącą z głębokiej szczerości jej natury.
Ponieważ bilety do teatru były kupione, poszliśmy. Toteż miałem podwójną przyjemność z wieczora, bo oprócz samego teatru i w stopniu o wiele silniejszym miałem wrażenie artystyczne z mojej Anny, która się garnęła do mnie z wyrazistością przepiękną tęsknoty i miłości oraz smutku pewnego, co nadawało jej wygląd

niezmiernie uduchowiony i ładny, pełny szlachetności i dystynkcji. Miłość i głęboka szlachetna natura mojej Anny podnoszą ją do poziomu, który to proste dziecko ludu stawia ponad szeregi ludzi kultury i arystokracji, tonącej tak pospolicie w filisterstwie użycia i uciechy.
W teatrze ukraińskim grano dwie sztuki: jedną komedyjkę rodzajową i operetkę „Zaporożec za Dunajem" z czasów wojen kozacko-tureckich. Gra artystów ukraińskich była dobra, a choć sztuki, zwłaszcza pierwsza, były dość ubogiej treści, jednak miały obie charakterystyczne zacięcie temperamentu ukraińskiego, demokratyzmu i barwnej tradycji narodowej tego pięknego ludu, łączącego rzewność i rozlewny tęskny smutek stepów rodzimych z hajdamacką awanturniczością i temperamentem dzikich natur pierwotnych, za hartowanych w jaskrawych dziejach wojen kresowych. W kostiumie, w dziejach, w mowie tego ludu, w charakterze jego dźwięczą dotąd krwawe, awanturnicze, zaprawione miłością swobody dzieje Ukrainy i jej kwiatu – Zaporoża. Nie tyle sztuki same dzisiejszego teatru, ile obserwacja tej duszy ukraińskiej sprawiały na mnie wrażenie artystyczne, budząc poczucie realnego bytu narodów i ludów jako żywych fragmentów i osobników historii. Jakże inną jest Ruś Ukraińska od Rosji, jakże inną jest ona znowuż od takich ludów (również demokratycznych), jak np. Łotysze, do których moja Anna należy, lub Litwinów! Każdy naród, każdy lud – to żywa odrębna rzeczywistość. Demokracja łotewska – to twardy lud Północy, lud wysiłku i mocy niezmordowanej, jakże inny w swej potędze i głębi twórczej od również twórczej głębi Ukrainy.

25 listopada / 8 grudnia, rok 1913, poniedziałek
Ponieważ przyjąłem wybór do tymczasowego komiteciku redakcyjnego „Kuriera Krajowego", więc się czuję zobowiązanym do pewnej pracy na rzecz pisma. W ostatnich czasach, gdy „Kurier Krajowy" bardzo podupadł i stał się po prostu śmietnikiem brukowym tracąc cechy pisma ideowego, zaprzestałem zupełnie współpracownictwa w nim. Od kilku wszakże tygodni „Kur. Krajowy" znów się trochę zaczął poprawiać – przynajmniej sensacja przestała w nim być wystawiana na czoło, toteż raz przed tygodniem zdecydowałem się na umieszczenie w nim artykuliku sprawozdawczego z odczytu Radziszewskiego. Komitecik redakcyjny, który został wyłoniony na zebraniu piątkowym, jest dość nieokreślony. Wchodzą doń trzy osoby – Antoni Łuckiewicz, Šaulys i ja. Nie jest to stały komitet, jeno tymczasowy pomocniczy, związany z rozpoczętą akcją ratunkową. Kwestia stałej organizacji redakcji pozostaje otwarta, bo się uzależnia przede wszystkim od znalezienia dopiero osoby przyszłego redaktora. Znaleźć takiego człowieka dla pisma demokratycznego polskiego w Wilnie – bardzo trudno. Mańkowski jest redaktorem tylko prowizorycznie. I sam on nie chce pozostać na stałe (nie może nawet, skoro ma kończyć studia uniwersyteckie), i jego nie bardzo chcą. Ale ponieważ na razie nie ma wyboru i *volens nolens* Mańskowski musi jeszcze na czas jakiś pozostać, więc do pomocy mu i do czuwania nad ideowym kierunkiem pisma utworzony został nasz komitecik tymczasowy. Najwięcej wszakże, co dać pismu możemy przez ten komitecik – to dostarczenie mu kilku artykułów wstępnych na tydzień, dalej krytyka i wskazówki natury ideowej. Šaulys to zdaje się, że będzie dobry tylko do krytyki, bo na artykuły nie umie się zdobyć na poczekaniu – nad każdym artykułem musi tygodniami ślęczeć. My więc tylko z Antonim dostarczać pismu będziemy artykuły wstępne. Dziś mnie wypadło napisać. Nie miałem żadnego tematu przygotowanego, toteż ledwie się zdobyłem na wymyślenie i napisanie artykuliku o serwitutach z powodu nowego projektu o skasowaniu takowych. Obowiązek periodycznego dostarczania artykułów wstępnych do popularnego dziennika nie jest łatwy i dogodny, gdy się w redakcji stale nie pracuje. Człowiek jest zajęty czym

innym, a tu trzeba na poczekaniu wynaleźć temat aktualny, nie mogąc jednocześnie myśli rozwinąć i pogłębić, bo artykulik musi być króciutki.

26 listopada / 9 grudnia, rok 1913, wtorek
Był u mnie znowu Stadziewicz, który teraz co kilka dni wpada do mnie bądź dla poradzenia się w sprawie zorganizowania komitetu redakcyjnego „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego”, bądź dla oceny przeze mnie artykułów przeznaczonych dla pisma. Materiału jest dużo; jeżeli tak dalej będzie, to nawet przy zmianie pisma z kwartalnika na miesięcznik będzie kłopot raczej z nadmiaru, niż z braku rękopisów do druku. Teraz, oprócz artykułu mojego o pieniądzu, są już w rękopisach artykuły: Hertza o uprzemysłowieniu rolnictwa, inżyniera Gustawa Wołodkowicza o historii papieru, artykuły Antoniego Łuckiewicza, Bębnowskiego, jakiegoś pana spod Dyneburga o lnie i obiecane lub będące w przygotowaniu artykuły Folejewskiego, Morawskiego, W. Łastowskiego, Januszewskiego. Słowem – zaczyna się ruch literacki na gruncie tego nowego pisma, co świadczy o tym, że zainteresowanie sprawami ekonomicznymi kraju jest i że takie pismo może być żywotne.
Stadziewicz zmienił trochę projekt co do sposobu zorganizowania komitetu redakcyjnego. Zamierzał on wpierw sam dobrać komitet redakcyjny i zwołać takowy od razu jako taki. Teraz chce on zwołać już trochę więcej osób na zebranie organizacyjne z tym, żeby zebranie to wybrało samo komitet, Myśl ta podoba mi się. Będzie to zebranie grona współpracowników i sympatyków pisma. Poradziłem Stadziewiczowi, aby nie tylko zaproponował zebraniu temu wybrać komitet, lecz też utworzyć rodzaj stałej grupy współpracowniczej, zwoływanej kilka razy do roku dla omówienia ogólnych potrzeb pisma; komitet redakcyjny byłby organem tej grupy, posiadając jej sankcję, odwołując się do niej periodycznie i ulegając pewnej kontroli lub dyrektywom. Będzie to dobre, bo zwiąże pismo z pewnym gronem ludzi, da mu podstawę, której teraz brak. Pismo takie nie powinno być puszczone samopas; stanie się ono wyrazem pewnej grupy współpracowniczej ekonomistów, na czym i samo zyska, i przyczynić się ewentualnie może do utworzenia zawiązku zorganizowanych studiów krajowo-ekonomicznych. Takie więc zebranie ma zwołać Stadziewicz na poniedziałek. Ustaliliśmy spis osób, które mają być na to zebranie zaproszone, a więc: ja, Seweryn Ludkiewicz (brat redaktora „Tygodnika Rolniczego”, administrator tegoż pisma, człowiek przekonań postępowych, były pps-owiec, mój dawny i dobry znajomy z Paryża, człowiek niegłupi i chcący pracować realnie, nieźle się znający na sprawach handlowych, dobrze widziany w kołach ziemiańskich), inżynier Wilpiszewski (nie znam go osobiście; w numerze 1 pisma był jego artykuł statystyczno-przemysłowy), Marian Bębnowski, Józef Folejewski (dobra głowa, zdolny i dla pisma ekonomicznego pożyteczny, chociaż dla mnie osobiście bardzo niesympatyczny, karierowicz bardzo rozważny i daleko sięgający a wytrwale dążący do celu, teoretycznie niby esdek, z czego się jednak prędko wyleczy, bo wszelkie przekonania pasują w nim przed względami kariery, ale dość rozumny, aby nie dać pozorów brutalnej parweniuszowskiej zdrady przekonań), inżynier Januszewski, Lucjan Uziębło (właściwie archeolog i miłośnik-szperacz przeszłości i pamiątek wileńskich, trochę grafoman; sam się jednak zgłaszał do Stadziewicza, a że może wygrzebać ze swoich notatek i wiadomości uniwersalnych jakieś przyczynki do spraw ekonomicznych, więc go przyjąć można, a zresztą człowiek cichy, który nikomu nie zaszkodzi), dalej Litwin Morawski, Litwini Michał Biržiška i Jerzy Šaulys, Białorusini Wacław Iwanowski (dyrektor wileńskiego syndykatu rolniczego) i Wacław Łastowski (z „Naszej Niwy”). Nie wiem dobrze, jaką rolę przeznacza Stadziewicz mnie w organizacji redakcyjnej. Angażował mię na „kierownika literackiego”, ale dotąd nie określił bliżej, na czym polegać mają moje

funkcje w przyszłości. Tymczasem tylko przynosi mi wszystkie rękopisy do przejrzenia i radzi się w każdej sprawie, ale decyduje ostatecznie sam. Chciałbym zająć stanowisko bardziej samodzielne, bo rola doradcy, chociaż się jej chętnie zawsze podejmę, nie może wyczerpywać funkcji kierownika. No, ale to się określi chyba na zebraniu poniedziałkowym.

27 listopada / 10 grudnia, rok 1913, środa
Kraskowski opowiadał dziś o zjeździe autonomistów-federalistów, który się świeżo odbył w Moskwie. Kraskowski wraz z Iwanem Łuckiewiczem brali udział w zjeździe w delegacji białoruskiej. Zjazd ten miał wznowić ideę autonomiczno-federacyjną, która kiełkowała dość silnie w Rosji w latach 1904-1907, a która później w czasie reakcji zamarła. Właściwie idea ta jest wciąż żywa na kresach państwa rosyjskiego, u ludów i narodów ujarzmionych. Ale nie miała ona w ostatnich leciech jakiegoś zorganizowanego wyrazu, jakiejś formy żywej wymiany i obcowania poszczególnych ludów. Każdy lud osobno żywił ją w tej czy innej postaci, w tym czy innym stopniu. U nas zjazdy autonomistów odbywały się w r. 1904 w Wilnie z udziałem inteligencji demokratycznej narodowości krajowych, Polaków, Litwinów, Białorusinów i Żydów. Potem w r. 1905 w dobie rewolucji idea autonomii, nawet państwowości krajowej (Litwy i Białej Rusi) zdobyła sobie popularność ogromną i stała się podstawą politycznych programów demokracji. W I i II Dumie posłowie ludów nierosyjskich utworzyli grupę pozapartyjną specjalną pod nazwą Związku Autonomistów-Federalistów. Zjazd obecny miał nawiązać nowe obcowanie ludów na gruncie idei autonomicznej i spróbować wcielić ją w stałą organizację czynu. Na zjeździe tym reprezentowani byli Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Gruzini i Estończycy. Polska reprezentacji nie dała, zupełnie świadomie, tak samo jak Finlandia, Ponieważ Polska, jak Finlandia, stoi wyraźnie na gruncie nie tylko dopiero autonomii, ale całkiem odrębnej samodzielnej państwowości własnej. Nie było Łotyszów, nie było Tatarów (muzułmanów), nie było Żydów i Ormian. Litwini też byli nieobecni, ale polecili reprezentacji białoruskiej wyrazić zasadniczo swoją gotowość do współudziału. Zjazd był zwoływany na zasadzie narodowo-terytorialnej i dzielnicowej, toteż co do reprezentacji narodowości bezterytorialnych zachodziła wątpliwość o dopuszczalności takowej. W takiej pozycji są przede wszystkim Żydzi, Ormianie i także – Polacy litewscy, białoruscy i ukraińscy. Po dyskusji wszakże uznano, że nadal i Żydzi, i Ormianie powinni być dopuszczeni. Co do Polaków litewskich, to okazuje się, że za staraniem Lednickiego była na zjazd zaproszona grupa „przeglądowa" i oczekiwany był przyjazd Witolda Abramowicza, który jednak nie stawił się. Lednicki grupę „przeglądową" wystawiał jako jedyną demokratyczną polską, ujmującą wszystkie elementy postępowe, przeciwko czemu oponowali Białorusini, wskazując istnienie innych elementów demokratycznych polskich poza „przeglądowcami". Rosjan przedstawiali głównie kadeci, których na zjeździe było pięciu (w tej liczbie Lednicki jako reprezentant kadetów, nie zaś delegat polski). Kadeci zachowywali się nieszczerze, hamując tendencje autonomiczne na rzecz aspiracji centralistycznych (imperialistycznych). Drugi zjazd ma być zwołany w maju. Chcemy zwołać wkrótce zebranie inteligenckie rozmaitych narodowości dla wysłuchania sprawozdania Kraskowskiego ze zjazdu i omówienia tej sprawy.

28 listopada / 11 grudnia, rok 1913, czwartek
Depesze przyniosły wiadomość o odrzuceniu przez większość petersburskiej Rady Państwa języka polskiego w samorządzie miejskim Królestwa Polskiego. Ten nowy brutalny zamach na elementarne prawa narodowe, dokonany pod hasłem imperializmu

rosyjskiego – to nowy cios i nowa klęska nie tyle dla Polski, której mocy to złamać w najmniejszej mierze nie zdoła, ile dla „ugodowej" praktyki polityków burżuazyjno-endeckich Koła Polskiego. Czy warto coś mówić i oburzać się na większość Rady Państwa? Postąpiła ona tak, jak postąpić muszą zawsze rabusie i podli rzecznicy gwałtu i niewoli. Dziwić by się raczej należało, gdyby w tym gnieździe najpodlejszej z reakcji zwyciężyły raptem pierwiastki szlachetne i względy szacunku dla prawa, życia i ludzkości. Z powodu tej uchwały Rady Państwa napisałem artykuł wstępny do „Kuriera Krajowego".
W mieszkaniu naszym przeprowadzamy teraz z Marynią elektryczność. Wprowadzamy ją tylko do trzech pokojów – do saloniku, przedpokoju i jadalnego. W moim pokoju elektryczności nie będzie, bo jej nie lubię. Jestem pod tym względem konserwatystą. Dwóch rzeczy spośród współczesnych, coraz bardziej upowszechniających się wymogów komfortu nie lubię – to elektryczności i telefonów, i dopóki mogę, obchodzę się bez nich. Za to pod innym względem zdobyłem się na postęp w domu – to opalanie pieców węglem kamiennym zamiast powszechnego jeszcze w Wilnie opału – drzewa. Dopiero od roku, wobec wielkiego podrożenia drzewa opałowego, węgiel zdobywać zaczyna w Wilnie prawa obywatelstwa.

29 listopada / 12 grudnia, rok 1913, piątek
Wieczorem zebrali się u mnie Antoni Łuckiewicz, Šaulys i Mańkowski dla pomówienia o sprawach redakcyjnych „Kuriera Krajowego". Przyszedł też esdek-Litwin Michał Biržiška, zaproszony na to zebrańko przez Šaulysa. Niedługośmy zresztą rozmawiali; jedną z głównych naszych czynności będzie dostarczanie pismu przez nas artykułów wstępnych. Ja się podjąłem dawać dwa artykuły wstępne na tydzień, tyleż Antoni Łuckiewicz, Šaulys – jeden artykuł, wreszcie Biržiška też przyrzekł jeden artykuł wstępny na tematy ze stosunków i spraw robotniczych. Zapewne że czasem ktoś z nas skrewi i nie da na dzień obiecany artykułu, ale w każdym razie większość dni w tygodniu będzie przez nas zaopatrzona w artykuły wstępne, co już wielce ulży w pracy Mańkowskiemu i szczupłym siłom redakcyjnym. Zresztą chodzi nam właśnie o to, aby artykuły te były nie przez Mańkowskiego pisane, bo nie uważamy go za zbyt odpowiedniego do zabierania głosu w sprawach zasadniczych, dotyczących bezpośrednio naczelnego kierunku pisma. Poza tym Šaulys podjął się stałego zapełniania rubryki z życia litewskiego (notatki informacyjne). Wreszcie ustaliliśmy, że zebrania nasze będą się odbywały regularnie raz w tygodniu w piątki o godz. 7 wieczorem u mnie. Na zebraniach tych będziemy planowali tematy, które należy uwydatnić, będziemy dokonywali ewentualnie krytyki pisma i udzielali wskazówek Mańkowskiemu, który będzie się uważał (na co się zgodził) za wykonawcę naszych wskazań.

30 listopada . 13 grudnia, rok 1913, sobota
Rozmawiałem dziś w sądzie z Bagińskim. Ucieszyłem się, bo z rozmowy tej przekonałem się, że Bagiński nie przestał być człowiekiem żywym i że bezczynność i pustka, które obecnie w jego ideowym życiu zapanowały, ciążą mu i sprawiają przynajmniej tęsknotę. Po aresztowaniu esdeków w czasie wyborów zeszłorocznych do Dumy Bagiński był jednym z nielicznych, którzy ocaleli. Szczupła grupka esdeków wileńskich została rozbita. Z czynnych i wiernych sztandarowi esdeków-inteligentów pozostali poza represją tylko Litwini – Michał Biržiška, Kairys i Janulaitis, i jeden Polak Bagiński. Dla Litwinów to rozbicie garstki esdeckiej nie było takim ciosem, jak dla Bagińskiego. Nie osamotniło to ich w tym stopniu, co Bagińskiego, bo w demokratycznym społeczeństwie litewskim ideowe prądy socjalistyczne mają ciągły

kontakt z życiem bieżącym. Wśród inteligencji demokratycznej litewskiej kierunek socjalistyczny ma swoje wpływy, ma swoje działanie, nie tylko w postaci bezpośredniej, ale tez jako element składowy jej ideologii w najrozmaitszych układach i prądach społecznych. Toteż esdecy-Litwini w swoim środowisku społeczno-narodowym, wśród którego żyją i działają, mieli wciąż pole czynu dla swych ideałów i aspiracji najistotniejszych. W gorszej pozycji był Bagiński. W społeczeństwie polskim na Litwie, przepojonym kulturą szlachecką, pierwiastki socjalistyczne zupełnie niemal nie istnieją, a jeżeli nawet przenikają z zewnątrz, to pod wpływem środowiska kulturalnego ulegają spaczeniu i wylewają się w kształty dziwaczne, niezgodne z ich własnym założeniem ideowym. Tu nawet „postęp" i „demokracja" wyrażają się w kształtach zgoła innym niż gdzie indziej i jeno z olbrzymim trudem torują sobie drogi wątłego działania w stosunkach społecznych. Biedny Bagiński został zupełnie wykolejony i osamotniony. Posądzałem go nawet o rozmyślne zobojętnienie do wszelkich w ogóle ideałów. Myliłem się. Bagiński sam cierpiał dużo z powodu tego bezwładu, w jakim się znalazł. A że ponadto były powody do obawy, aby represje i na niego nie spadły, więc musiał się tym bardziej odosobnić i zejść z dróg czynu. Toteż chętnie teraz garnie się do roboty i do udziału w nowej organizacji „Kuriera Krajowego" czy w tworzącej się naszej grupie demokratycznej.

1 (14) grudnia, rok 1913, niedziela
We dnie dziś byłem na posiedzeniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Oprócz spraw bieżących omawialiśmy też sprawę zareagowania towarzystwa na piękny czyn p. Stanisława Montwiłła, który wybudował swoim kosztem teatr w Poniewieżu, przeznaczając go do użytku wszystkich narodowości miejscowych. Tak Polacy, jak Litwini, Żydzi i Rosjanie będą mieli w równej mierze prawo użytkowania tej sceny dla teatru swojego. Dziś właśnie ma miejsce w Poniewieżu uroczystość pojednania – pokoju i miłości, kultury. Stanisław Montwiłł zwieńczył godnie swoje stanowisko obywatelskie, dał wzór ofiarnej, czynnej cnoty. Nie wiem na razie szczegółów wykonania tego dzieła, ale, niezależnie od wykonania, myśl sama w sobie jest pełna zasługi. A inicjatywę Montwiłła tym bardziej u nas cenić należy, że jest ona zapoczątkowaniem nowym i otwiera drogę w przyszłość, tworząc wzór niezwykły. Ludzi ofiarnych u nas nie brak i szlachta oraz arystokracja polska w tym kraju nie jest pozbawiona szlachetnych jednostek i uczynków, ale ofiarność ta skierowuje się najczęściej do Królestw lub Galicji, słowem – do Polski etnograficznej, na cele ogólne narodowe. Uchowaj Boże, abym te cele uważał za złe i ganił ofiarność taką. Ale równolegle do tych celów są potrzeby krajowe nasze, niezmiernie pilne i doniosłe, a zaniedbane, bo wysiłki społeczne i praca zbiorowa nie są u nas zbyt rozwinięte. Otóż w porównaniu do ofiarności na cele ogólnonarodowe polskie, ogniskujące się w Warszawie czy Krakowie, ofiarność na potrzeby kulturalne i społeczne krajowe jest zbyt uboga. Taki czyn Montwiłła właśnie tę drugą, nader pilną, formę ofiarności wyraża.
Postanowiliśmy od imienia Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" posłać depeszę do Montwiłła, witając dzieło jego.
Wieczorem w klubie inteligentów odbył się obiad adwokacki składkowy na uczczenie jubileuszu 25-lecia działalności zawodowej adwokata Żyda Friedmana. Na obiedzie było kilkudziesięciu adwokatów. Spiłem się jak bela i bynajmniej się nie zabawiłem dobrze. Wyniosłem jeno wrażenie niesmaku i głęboki smutek z powodu tej słabości mojej oraz wstyd wobec sumienia własnego.

2 (15) grudnia, rok 1913, poniedziałek

Spiłem się wczoraj i przełajdaczyłem noc całą jak bydlę. Toteż dziś czułem się zmęczony i chory, a do niedomagania fizycznego dołączyły się wyrzuty sumienia i wrażenie brudu moralnego. Nie mogę sobie darować tej słabości mojej. Teraz zdarza mi się to rzadko, bo nie piję i nie hulam wcale. Pod tym względem zbawienny jest dla mnie wpływ Anny i jej miłości, która jak puklerz strzeże mię od hulanek i od szumowin namiętności. Nie doświadczam teraz tych jakichś głuchych tęsknot zmysłowych, pragnienia szału i pociągu do orgii hulackich, jakie się budziły we mnie dawniej czasami. Dziś samo wspomnienie Anny, samo poczucie tej miłości gorącej, a pełnej takiego bezmiaru szczerości koi mię i daje szczęście, budząc odrazę do miłostek sprzedajnych i do sztucznych podniet alkoholu. Toteż nie doświadczam nawet w tym kierunku pokusy. Każdą godzinkę wolną chciałbym tylko Annie, jej jednej poświęcić. Ale oto taki obiad zbiorowy, jak wczorajszy, zdolny jest jeszcze sprowadzić upadek. Gdy zaczynam pić, to piję jeszcze i jeszcze, aż tracę miarę i wreszcie świadomość oraz władzę moralną nad sobą; wtedy wypełzają jakieś głuche instynkty i kierują mnie do jaskiń upadku i chuci. Tak było i wczoraj. Przez cały obiad byłem przytomny, potem jeszcze dość długo gawędziłem z rozmaitymi kolegami, piłem z nimi, dysputowałem z p. Tadeuszem Wróblewskim, słuchałem pięknego basowego śpiewu Witolda Abramowicza, przyglądałem się zabawom, aż przy tym powtarzanym ciągle piciu straciłem świadomość, jak wyszedłem z klubu i kiedy, jak wędrowałem – nie wiem. Wiem tylko, gdzie się nad ranem obudziłem. A do upokorzenia moralnego przyłącza się jeszcze żal z powodu wydanych rozrzutnie na tę noc łajdacką pieniędzy. Jestem zły na samego siebie i smutny.
Napisałem krótki artykulik dla „Kuriera Krajowego” o otwarciu w Poniewieżu teatru Montwiłłowskiego. Wieczór spędziłem u mojej złotej Anny.

3 (16) grudnia rok 1913, wtorek
Wieczorem byłem u Szklennika na miesięcznym zebraniu Towarzystwa Popierania Kooperacji. Obecni byli członkowie zarządu Szklennik, Witod Abramowicz i ja, instruktor towarzystwa Kolendo i członkowie towarzystwa Stadziewicz i Bębnowski. Idąc na zebranie, spotkałem Witolda Abramowicza, który mię uprzedził, że Szklennik znów jest zrażony do Kolendy, jak był na wiosnę zrażony do jego poprzednika Bębnowskiego i że znów, jak wtedy, wytoczyć ma na dzisiejszym zebraniu zarządu cały proces zarzutów i żalów do niego. Jakoż po omówieniu na wstępie kilku spraw bieżących, Szklennik postawił na porządku dziennym kwestię instruktora. Przypomniawszy, że Kolendo, angażując się we wrześniu na posadę instruktora, obiecywał, że za dwa miesiące, to znaczy do 1 listopada, o tyle się przygotuje, że będzie w stanie pełnić samodzielnie funkcje instruktora, a więc móc objeżdżać stowarzyszenia, udzielać im wskazówek, sprawdzać ich rachunkowość itd., wreszcie dawać wyjaśnienia w sprawie zakładania nowych stowarzyszeń itd. i stwierdziwszy następnie, że dziś, po trzech miesiącach, Kolendo jeszcze tym, co obiecywał, nie jest, zaczął go Szklennik indagować, co on myślał i na co liczył, dając obietnicę i w jakiej mierze uważa się w chwili obecnej za uzdolnionego do spełniania przyjętych obowiązków. Sposób tej przemowy i zapytania był tak indagacyjny, taki jakiś pełny nieufności do Kolendy, przykry i jakby przesądzający jego nieudolność i niedotrzymanie słowa, że Kolendo, odpowiadając zaczął tez robić zarzuty względem Szklennika, wywołując znowu repliki z jego strony. Sprawa zaczęła się przemieniać na utarczkę między Szklennikiem a Kolendą. Sądziłem, że wytoczy się znowu takiż zatarg, jaki był onego czasu z Bębnowskim. Obecność Bębnowskiego na dzisiejszym zebraniu dodawała specjalnego tonu tej nowej rozprawie, budząc świeże reminiscencje i wrażenia. Musieliśmy się wdać w tą zbaczającą na manowce zatargu dyskusję, przede wszystkim ja, potem

Abramowicz i inni; udało się nam skierować ją na tory rzeczowego omówienia najbliższych czynności przygotowawczych Kolendy i zatarg zażegnać, choć nie ręczę, czy Szklennik, który się łatwo zraża, będzie w stanie traktować Kolendę bez uprzedzeń i mieć go za współpracownika swego. Kolendo będzie miał teraz praktykę, która wykaże, czy się on nadaje do pełnienia w przyszłości funkcji instruktora czy nie. Sam Kolendo jest człowiekiem niegłupim i głębokim, ale jest trochę powolny, nie ma inicjatywy i zdaje się, że brak mu ścisłości w myśleniu i metodycznej sprężystości w czynie.

4 (17) grudnia, rok 1913, środa
Poszedłem wieczorem na zebranie miesięczne Towarzystwa Przyjaciół Nauk w nowym gmachu własnym towarzystwa. W gmachu tym byłem po raz pierwszy, bo na zebraniu poprzednim, które się odbywało jednocześnie z uroczystością otwarcia gmachu, nie byłem obecny. Zresztą gmachu dziś nie oglądałem, jeno widziałem przedpokój czy szatnię oraz salę posiedzeń, obszerną, wygodna dla zebrań towarzystwa, choć chłodną. Osób na zebraniu było ± 40-50. Przewodniczył Bronisław Umiastowski. Na początku, gdy p. Paweł Kończa referował o rezultatach układu z Tyszkiewiczami w sprawie przyłączenia do zbiorów towarzystwa przyjaciół Nauk – zbiorów Tyszkiewiczowskiego Towarzystwa Muzeum Nauki i Sztuki, nie byłem obecny. Sprawa ta na poprzednim zebraniu, jak o tym zdaje się wspominałem, wywołała gorące debaty, w których grono oponentów z Brensztejnem i Studnickim na czele gorąco w imię godności nauki protestowało przeciwko udzielaniu jakichś tytułów honorowych i szczególnych zasług Tyszkiewiczom, choćby za cenę pozyskania ich zbiorów. Dziś opozycji tej nie było. Z oponentów był jeden tylko Studnicki, przyłączył się też do niego w głosowaniu Stanisław Kościałkowski, który nie jest stworzony do dyskusji publicznej i który zawsze skromnie się trzyma na uboczu. Zresztą dyskusji gorącej nie było, trafiłem jeno na sam jej koniec, gdy Studnicki dowodził konieczności zachowania Towarzystwa Muzeum Nauki i Sztuki jako instytucji samodzielnej, choćby tylko fikcyjnie, powołując się na trudność zakładania nowych instytucji polskich i przeto konieczność utrzymania przynajmniej form zewnętrznych towarzystw istniejących. Oponował więc przeciwko rozwiązaniu tego towarzystwa z powodu przelania jego zbiorów Towarzystwu Przyj. Nauk i chciał, aby zebranie wyłoniło komisję do ustalenia nowego układu z zachowaniem T-stwa Muzeum N. i Szt. Zwrócono mu słusznie uwagę na to, że Towarzystwo Przyj. Nauk nie może ze swej strony domagać się zachowania innego towarzystwa, które jedynie samo jest kompetentne do decydowania o swoim życiu lub rozwiązaniu.
Potem omawiane były sprawy finansowe. Wśród innych rzeczy zaakceptowane zostały dwie darowizny pieniężne warunkowe na rzecz towarzystwa – jedna od generała Wojnickiego w kwocie 10 000 rb. z obowiązkiem dożywotniego wypłacania jemu i żonie 6% od tej sumy oraz użycie pieniędzy na urządzenie gmachu bez prawa wydatkowania na opłacanie zaległości za roboty poprzednio wykonane, i druga od niejakiego p. Świeżyńskiego, ziemianina, w kwocie 5000 rb. z obowiązkiem dożywotniego wypłacania mu 7% od tej sumy. Na ostatku inżynier p. Januszewski wygłosił ciekawy referat o źródłach wodnych, ich składzie chemicznym i naturze w rozmaitych pokładach ziemnych miasta Wilna na podstawie długoletnich badań osobistych. Referat ten był ciekawy nie tylko pod względem czysto teoretyczno-naukowym, ale też ze względu na uwydatniony w nim czynny związek nauki z potrzebami życia. Inżynier Łastowski (leśnik) zaproponował, aby Towarzystwo poprosiło prelegenta Januszewskiego o ułożenie tablic i złożenie ich do archiwum Towarzystwa jako przyczynku do studiów o Wilnie. Studnicki zaś rozszerzył wniosek

Łastowskiego i zaproponował, aby przy Towarzystwie utworzona została komisja, złożona ze specjalistów rozmaitych gałęzi wiedzy dla gromadzenia materiałów krajoznawczych ze wszelkich dziedzin, tak przyrodniczej, jak ekonomicznej, statystyczno-ludnościowej itd. Wniosek przyjęto z uznaniem i polecono Studnickiemu opracować w postaci projektu.

5 (18) grudnia, rok 1913, czwartek
Jak co roku, miał się odbyć dziś i zapewne odbył obiad koleżeński zamieszkałych w Wilnie prawowiedów. Nie wziąłem w nim wszakże udziału, będąc zbrzydzony do pijaństwa po niedzielnej bibce adwokackiej i zresztą nie gustując bynajmniej w towarzystwie prawowiedów, karierowiczów i rusyfikatorów wileńskich, wsteczników moskiewskich z krwi i kości. Ani mi są drogie moskiewsko-patriotyczne i ultra-reakcyjne „tradycje” prawowiedów, ani zachęcające toasty za cara na ich obiedzie lub wspólny śpiew ohydnego hymnu „Боже, царя храни!”.
Poszedłem wieczorem na zebranie grupy współpracowniczej „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego”, zwołane przez Stadziewicza w jego mieszkaniu. W zebraniu tym wzięli udział: urzędowy redaktor pisma Stadziewicz, inżynier Wilpiszewski, inżynier Januszewski, Seweryn Ludkiewicz, Marian Bębnowski, ja, Antoni Łuckiewicz, Morawski, Michał Biržiška i Jerzy Šaulys. Oprócz tego, byli zaproszeni, lecz dla tych czy innych powodów nie mogli przybyć Łastowski z „Naszej Niwy”, Iwanowski Wacław, Folejewski, Uziębło, Studnicki. My ze Stadniewiczem poinformowaliśmy na wstępie obecnych, że zebranie dzisiejsze jest zwołane dla zaprojektowania organizacji pisma i w szczególności wyboru komitetu redakcyjnego do pomocy Stadziewiczowi w kierownictwie i dla nadania pismu charakteru bardziej planowego, że grupa współpracownicza, która się dziś zebrała, ma nadal pozostać i zbierać się od czasu do czasu dla udzielenia komitetowi wskazówek, krytyki wykonywania przezeń pracy, wreszcie dla utrzymania żywego kontaktu pisma i redakcji z gronem osób zbliżonych doń przez współpracownictwo i w ogóle interesujących się sprawami ekonomicznymi kraju naszego. Taka grupa współpracownicza mogłaby się stać ewentualnie zawiązkiem kółka ekonomistów, którego potrzeba jest u nas od dawna wyczuwana i nieraz podnoszona. Zaraz na początku wywiązała się dyskusja na temat, czy dla pisma należy ustalić á priori jakiś określony kierunek, czy też robić tego na razie nie warto. Antoni Łuckiewicz wyraził zastrzeżenie co do niedopuszczalności na przyszłość kierunku antysemickiego, którego pewnych aluzji dopatrzył się w artykule p. Stefana Okulicza w nr 1 „Przeglądu Handl.-Przem.”. Wilpiszewski natomiast skłaniał się do uznania właśnie kierunku antysemickiego za wskazany, uważając za główny cel pisma popieranie handlu i przemysłu chrześcijańskiego, nawet ściślej polskiego, w walce jego z przemysłem i handlem żydowskim. Nikt jednak nie poparł ideowo Wilpiszewskiego, uznawano, że pismo służyć powinno potrzebom krajowym, a chociaż wszyscy niemal zdawali sobie sprawę z tego, że w takiej sferze, jak stosunki ekonomiczne, rozwój z konieczności wysuwać musi i będzie rozmaite przeciwieństwa interesów czy to klas społecznych, czy wielkiego przemysłu i handlu z drobnym itp., czy też tendencje, rozbieżne nieraz, rozmaitych grup narodowych i że przeto wcześniej czy później kierunek pisma tak ekonomiczny, jak nawet polityczno-społeczny będzie musiał się ujawnić i skonkretyzować, to jednak dziś z góry formułować go nie będziemy. Oczywiście kierunek ten zostanie ustalony przez pracę komitetu redakcyjnego, który wybieramy. Wszyscy zresztą, którzy dziś byli obecni, reprezentują ideę demokratyczną, toteż wielkich sporów nie było, unikano jednak zbytniej jaskrawości i zbytniego pogłębiania zróżnicowań, możliwych w naszym łonie. Jeden tylko Wilpiszewski nieco się mocniej wyróżniał w kierunku pewnego nacjonalizmu. Nawet zaś Bębnowski, który

jest trochę zbliżony do endecji, solidaryzował się ze stanowiskiem większości. Zresztą żadnych uchwał o kierunku nie było. Zupełnie odrębnie się trzymał Morawski. Z arogancją, która wszystkich oburzyła, zaczął nam narzucać jakiś układ z tworzącym sie niby Towarzystwem Popierania Handlu i Przemysłu, które on tu próbuje założyć, opierając się głównie na elementach ziemiańskich. Traktował nas z góry, nie szczędząc morałów i nawołując do zaprzężenia się na służbę temu niby towarzystwu, łudząc nas zapłatą od zasobnego w finanse towarzystwa. Jeszcze i samo to towarzystwo nie zostało zawiązane, i pieniędzy tych nie ma, a już Morawski nas straszył, że o ile nie pójdziemy na usługi jego, to towarzystwo założy z czasem własny organ i zabije nasze pismo. Zachował się jak cham i jak sowizdrzał. Mam wrażenie, że całe to towarzystwo – to tylko szwindel Morawskiego do wyłudzenia pieniędzy od łatwowiernych ziemian, których Morawski łudzi obietnicą współpracownictwa z demokratyczną inteligencją litewską. W końcu zebranie wyłoniło komitet redakcyjny z trzech osób. Do komitetu tego wybrani zostaliśmy: ja, Seweryn Ludkiewicz i Michał Biržiška.

6 (19) grudnia, rok 19l13, piątek
Większą część dnia spędziłem z Anną, korzystając z galówki carskiej. Wieczorem wszakże rozstaliśmy się: Anna śpieszyła do „Ruty" na próbę łotewskiego teatru amatorskiego, w którym ma w niedzielę wystąpić w jednej z głównych ról, ja – do domu na mające się u mnie odbyć tygodniowe zebranie komiteciku redakcyjnego „Kuriera Krajowego" oraz dla przygotowania się do jutrzejszej obrony karnej w sądzie. Komitecik redakcyjny zebrał się tylko częściowo. Oprócz mnie przyszedł tylko Šaulys i redaktor Mańkowski. Niedużośmy też mieli do omawiania. W ogóle pod względem redakcyjnym, tj. względem treści i układu pisma oraz charakteru ideowego, nastąpiło od paru tygodni wybitne polepszenie. Pismo pozbyło się jaskrawości sensacyjnej, zapełniło się obficiej popularną treścią społeczną, artykuły wstępne stały się rzeczywiście ideowe i zasadnicze. Przyczyniło się do tego poniekąd dostarczanie artykułów wstępnych oraz pewnych notatek przez nas (ja dałem w tych dwóch tygodniach trzy artykuły wstępne i dwa artykuliki sprawozdawcze, Šaulys – artykuł wstępny i szereg informacyjnych notatek z życia literackiego, parę artykułów dał Antoni Łuckiewicz), ale w jeszcze większym stopniu przyczynił się świeżo zaangażowany przez nas współpracownik redakcyjny – Sokołowski. Daje on codziennie do numeru kilka drobnych artykulików kompilacyjnych na żywe i zajmujące tematy społeczne i polityczne, pisze poprawnie i lekko, z pewnym zacięciem swady dziennikarskiej, szczególnie ma cenną zaletę wynajdywania tematów żywych. Dał też parę artykułów wstępnych, z których szczególnie jeden pt. „Recepta na udręki" zwrócił na siebie ogólną uwagę grona sympatyków pisma. Artykulik ten jest napisany bardzo rzeczowo, z bardzo trafnym ujęciem stanowiska robotniczego, szczerze i rzetelnie demokratyczny. Dopóki nie wiedzieliśmy, że go napisał Sokołowski, sądziliśmy, że pochodzi on od któregoś z esdeków. Ja przypuszczałem na razie, że go pisał Biržiška, inni zapewniali, że to z pewnością Kairys, powołując się na sposób ujęcia tematu i na styl. Nikt się nie domyślał, że autorem jest skromny Sokołowski, podrzędny dziennikarz wędrowiec tułający się po pismach najrozmaitszych kierunków, do niedawna współpracownik ultraklerykalno-antysemickiej „Gazety Codziennej". Sądząc z tych prac, które Sokołowski umieszcza teraz w „Kurierze Krajowym", można przypuszczać, że byłby on zupełnie odpowiedni dla nas na redaktora pod warunkiem pewnego ściślejszego dozoru któregokolwiek z nas; pod względem technicznym byłby on o wiele lepszy od Mańkowskiego, którego tylko z konieczności musimy w musimy w piśmie do czasu zachować. Mańkowski naturalnie pod względem ideowości osobistej stoi wyżej od Sokołowskiego, który pracuje tylko dla chleba, nie mając wielkich aspiracji, ale pod

względem zdolności i umiejętności wykonania Sokołowski byłby niewątpliwie lepszy. Sokołowski wie i czuje, że się nad jego kandydaturą na redaktora zastanawiamy, toteż wszystkich sił dokłada, aby się nam w swej pracy zaprezentować dobrze. Jeden jest tylko wzgląd, który poważnie co do kandydatury jego zastanawia i budzi wątpliwości – to jego bardzo świeże wystąpienie z redakcji „Gazety Codziennej". Ale najważniejszą teraz kwestią co do organizacji „Kuriera Krajowego" jest zorganizowanie administracji, usunięcie zupełnego chaosu i anarchii, które istnieją. To zadanie komitetu organizacyjnego. Šaulys nosi się z projektem ewentualnego zgłoszenia swojej kandydatury na lektorat języka litewskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, wakujący po dymisji Herbaczewskiego.

7 (20) grudnia, rok 1913, sobota
Broniłem w sądzie okręgowym niejakiego Kaciełowicza, włościanina spod Wilna, oskarżonego o to, że w jesieni roku zeszłego, będąc w stanie podniecenia i afektacji i chociaż bez premedytacji, ale rozmyślnie, zadał ciężką ranę łopatą żelazną po głowie innemu włościaninowi z tej samej, co on, wsi, niejakiemu Maksimowiczowi. Zajście to miało miejsce w czasie kłótni i bójki po dobrym uraczeniu się całej kompanii piwem i wódką. Tak oskarżony Kaciełowicz, jak poszkodowany Maksimowicz, jak wszyscy świadkowie, stający czy to ze strony oskarżenia czy obrony, należeli do najciemniejszych pijackich elementów podmiejskiej ludności włościańskiej. Dziś też przed sądem uraczyli się zapewne tęgo wódką. Oskarżony i poszkodowany dyszeli ku sobie nienawiścią, a wszyscy świadkowie zeznawali stronnie na korzyść tej lub innej strony. Oskarżony Kaciełowicz był pijaniutki i w czasie rozprawy sądowej wyrywał się ciągle z opowieścią o zajściu, mówiąc rozwlekle i od rzeczy, plącząc i wikłając się w szczegółach. Broniłem go nieźle. Udało mi się zepchnąć oskarżenie z torów zarzutu pierwotnego na tory zbrodni o wiele lżejszej, bo tylko udziału w bójce („драка"), bez zamiaru zadania rany. Przysięgli tak też orzekli winę Kaciełowicza i w dodatku określili zadaną ranę jako lekką. Wobec tego Kaciełowicz otrzymał prawo pogodzenia się z poszkodowanym, który decydował się na zgodę za rb. 30. Ale pijany Kaciełowicz tak był zajadły i wściekły na przeciwnika, że się nie chciał za tę cenę godzić. Wobec tego sędziowie wyznaczyli mu karę 8 miesięcy więzienia i 45 rb. odszkodowania na rzecz Maksimowicza. Smutny był widok tego roznamiętnienia złości i tej bezmiernej ciemnoty tych ludzi.

8 (21) grudnia, rok 1913, niedziela
O południu wybraliśmy się z Anną het na kresy miasta w okolice stacji towarowej do hyclów dla kupienia suczki, która mi jest potrzebna do Wiązowca. Potrzebna ona dla towarzystwa Brysiowi, który sam jeden się nudzi i nie może usiedzieć w domu, gdy jest nie przywiązany, biegnie wtedy do wiosek, znika czasem na dni kilka, a co najgorzej, że kąsa tam ludzi; za tę dziewczynkę, którą w listopadzie pokąsał, Biesiekierski (naturalnie, że z moich pieniędzy) zapłacił potem parę rubli; nie o samą tylko zapłatę chodzi, ale o niedopuszczalność kąsania ludzi przez psa. Jakoż u hyclów znaleźliśmy suczkę odpowiednią, jest prosta, niewielka, może nawet trochę dla Brysia za mała, ale zdrowa, tłusta, akurat taka, jakiej trzeba, zapłaciłem za nią rubla i jeszcze napiwku hyclowi, który mi ją przyprowadził do domu. Będzie siedzieć tymczasem u mnie w mieszkaniu, pod wieczór już się trochę oswoiła, bo z początku była bardzo onieśmielona, ma apetyt wielki, choć jest tłusta i była u hyclów karmiona mięsem końskim. Jest tylko nieokrzesana, bo od razu dziś nabrudziła w pokoju.
Wieczorem Anna poszła do „Ruty", gdzie dziś grać będzie w łotewskim teatrze amatorskim. Ja zaś poszedłem do domu. Odbyło się u mnie zebranie komitetu

organizacyjnego „Kuriera Krajowego". Obecni byli: Jan Vileišis, dr Sumorok, Iwan i Antoni Łuckiewiczowie, no i ja. Sprawa organizacji redakcyjnej nie była omawiana, bo pod tym względem stoi nieźle, a choć redakcja ostatecznie jeszcze nie jest uregulowana, to jednak tymczasem funkcjonuje zupełnie zadowalająco. Omawialiśmy więc organizację administracyjną. Obecnie można powiedzieć, że takowa nie istnieje wcale. Jest to wydawnictwo bez żadnej administracji. Mańkowski jest wszystkim, a razem jest zupełnym niczym. Jest po prostu zdumiewające i niesłychane, jak w takich warunkach pismo cały rok wytrwało i nie tylko że wytrwało, ale nie straciło prenumeratorów. W ostatnich czasach pismo regularnie, przynajmniej jeden dzień w tygodniu, a czasem i więcej nie wychodziło. Oprócz tego numeru straconego, jeszcze przynajmniej raz na tydzień, a czasem i dwa, i trzy, poczta była nieopłacona i przeto prenumeratorowie zamiejscowi i znaczna część wileńskich, otrzymujących gazetę przez pocztę, nie otrzymywała jej przez tyleż dni. Ekspedycja była „pod psem", całe mnóstwo prenumeratorów nie otrzymywało go, pomimo ciągłego reklamowania, innym zaś, po skończeniu prenumeraty, posyłano przez całe miesiące gratis, nie zgłaszając się po uiszczenie należności. Pozyskiwanie ogłoszeń nie było wcale praktykowane, wszystko było w zupełnym rozprzężeniu. I pomimo to pismo nie utraciło prenumeratorów i rozchodzi się dziś jeszcze, włącznie ze sprzedażą detaliczną i numerami zamiennymi, w 3000 egzemplarzach.
Najlepsze pismo bez administracji nie może prosperować i w takich warunkach żadne pieniądze, żadne zasiłki nie wystarczą, bo jest to to samo, co sypanie pieniędzy do błota. Teraz pieniądze mają być, a choć nie będzie ich za dużo, jednak trzeba tylko potrafić je zużytkować, aby nimi podnieść pismo na stopę interesu. Postanowiliśmy poprosić p. Mochowa, kierownika wileńskich kursów buchalteryjnych, o zaprowadzenie ksiąg i rachunkowości w piśmie; buchalterię na stałe prowadzić przez Kwiatkowskiego, młodego specjalistę, buchaltera „Вечерней Газеты"; na administratora zaangażować Świetlińskiego, na inkasenta zaś Piotrowicza.

9 (22) grudnia, rok 1913, poniedziałek
Przed obiadem cały niemal czas spędziłem w zjeździe sędziów pokoju, gdzie występowałem w sprawie cywilnej niejakiej p. Paszkowskiej, dopominającej się zaległego komornego od oficera Popowa. Sprawa była bardzo łatwa. Wygrałem też ją bez trudności.
Wieczorem był u mnie Šaulys, z którym mieliśmy pójść do Litwina Šilinga dla pomówienia w pewnej sprawie. Šilinga nie zastaliśmy, więc wstąpiliśmy na chwilę do Łuckiewiczów. Antoni Łuckiewicz odradzał zaangażowanie Świetlińskiego na administratora „Kuriera Krajowego", jak to na wczorajszym zebraniu zostało postanowione. Rozmawiał on w tej sprawie z Sokołowskim, który stanowczo uważa Świetlińskiego za nieodpowiedniego do tej czynności. Wobec tego zaangażujemy zapewne Piotrowicza.
Wieczór spędziłem u Anny. Odbyliśmy z nią lekcję historii, poza tym zaś gawędziliśmy. Nigdy nam nie nudno ze sobą, choć siedzimy wieczory całe we dwoje w jej pokoiku malutkim. Nigdy nam nie braknie tematu do rozmowy, do opowiadania czegoś sobie, do dyskusji, a zresztą i bez tematu, bez rozmowy nie nudzimy się wcale. Teraz przez jesień i zimę nie mamy tego urozmaicenia wrażeń, jakie miewamy na wiosnę lub latem, gdy robimy wycieczki i spacery.
Śnieg wypadł i od dziś stanęła sanna. Mrozik niewielki, śniegu niedużo, ale dość.

10 (23) grudnia, rok 1913, wtorek

O godz. 2 po południu zebraliśmy się w redakcji „Kuriera Krajowego” dr Sumorok, Iwan Łuckiewicz i ja, którym polecono wykonać uchwałę niedzielnego zebrania komitetu organizacyjnego w sprawie zorganizowania administracji pisma. Wykonanie tego zadania miało pewien moment drażliwy i przykry, należało bowiem przede wszystkim usunąć Mańkowskiego, zawiadomić go o organizowaniu administracji bez jego udziału i niezależnie od niego. Gdyśmy się zebrali, zamknęliśmy się z Mańkowskim w gabinecie redaktora i tam powiedzieliśmy mu o decyzji komitetu i o funkcji, która nam zlecona została. Zagajając sprawę i komunikując Mańkowskiemu o uchwale komitetu, starałem się ustrzec od jakiejkolwiek krytyki jego osoby i działalności, motywując potrzebę zorganizowania samodzielnego administracji tym, że wobec bliskiego terminu wyjazdu Mańkowskiego (mówił on nam poprzednio, że zgadza się zostać czasowo tylko do Nowego Roku) koniecznością jest ustalenie machiny administracyjnej zaraz i to na takiej stopie, aby mogła ona funkcjonować trwale, niezależnie od jego wyjazdu. Potem przeszliśmy do omówienia samego sposobu i szczegółów zorganizowania administracji oraz ewentualnego preliminarza pisma. Widoczne było, że Mańkowski odczuł naszą chęć usunięcia go i że go to zabolało mocno. Zrozumiał, że sprawę tę organizować pragniemy sami, bez jego udziału i pośrednictwa i że tylko przez kurtuazję go do obecności przy tym dopuszczamy. Próbował ratować sytuację i przeforsować niejako swój udział w tworzeniu administracji, ale myśmy z linii naszej nie zbaczali. Był mocno zażalony, gdyśmy chcieli wezwać Sokołowskiego do poradzenia się z nim w tej sprawie, chciał przeszkodzić temu, ale myśmy Sokołowskiego wezwali. Sama sprawa administracji przedstawia się tak. Łuckiewiczowie prosili już Mochowa o ustalenie ksiąg buchalteryjnych wydawnictwa. Mochow się zgodził, ma to być zrobione, jak tylko zaangażowany będzie nowy administrator. Co do administratora, to postanowiliśmy zaangażować Piotrowicza, który chwilowo wyjechał z Wilna, lecz w tych dniach ma być z powrotem. Oprócz stałego buchaltera, którego da nam Mochow i administratora Piotrowicza, będzie jeszcze ekspedytor. Jeden z nich podejmie się też czynności inkasenta ogłoszeniowego. Redakcja zaś będzie się składała z dwóch stałych pracowników – Sokołowskiego jako „kierownika literackiego”, czyli głównego twórcy numeru i Świetlińskiego jako wykonawcy kroniki i korektora. Oprócz tego, kilka artykułów wstępnych (po cztery przeciętnie) tygodniowo dostarczać będą pismu członkowie komitetu redakcyjnego. Prawdopodobnie po jakimś czasie , jak tylko sytuacja się polepszy, trzeba będzie dobrać trzeciego stałego pracownika redakcyjnego. Co do finansów pisma, to subsydium 400 rb. miesięcznie jako dodatek do dochodów normalnych z prenumeraty, sprzedaży detalicznej i ogłoszeń , byłoby wystarczające do pokrycia wydatków bieżących. Zostaje wreszcie jeszcze od 1500 do 2000 zaległości, które muszą być opłacone, a na które środków brak. Cała więc kwestia, a przynajmniej całe jej jądro mieści się teraz w znalezieniu pieniędzy na pokrycie tej luki, w której może utonąć sam byt pisma.

11 (24) grudnia, rok 1913, środa
Przyjechał dziś z Petersburga jeden pan, wybitny działacz, objeżdżający całą Rosję przed Nowym Rokiem. Przywiózł nam książkę osobliwą, łączącą z formą legalną treść zakonspirowaną. Książka to szczególna, która może leżeć w bibliotece i być czytana przez wszystkich profanów, przez samą cenzurę nawet, nie budząc żadnych posądzeń i nie ujawniając swej treści istotnej. Dopiero ludzie wtajemniczeni są w stanie wyczytać jej zawartość rzeczywistą. Dla ludzi tych przemawia ona choć tymiż zgłoskami i słowami, ale inną całkiem treścią. Książka ta mówi i głosi to, o czym dla profanów milczy. Dziwnie się kształtuje mistyka konspiracji.

Na ciekawej dyskusji z powodu zbliżającego się styczniowego zebrania upłynął wieczór. Poza tym, dzień upłynął dość bezbarwnie. Wieczór tylko wynagrodził ciekawie szarzyznę dnia. We dnie załatwiałem interesy, byłem zajęty robotą powszednią. U Anny zabawiłem krótko przed obiadem, bo gdy nie mogę być u niej wieczorem, to zawsze choć we dnie staram się wpaść do niej.
W tym tygodniu nic jeszcze nie napisałem do „Kuriera Krajowego". Trzeba będzie chyba jutro lub pojutrze napisać artykuł wstępny, jeżeli mi czas pozwoli. Bieda tylko, że w tym tygodniu mam czas bardzo zajęty i nie wiem, czy zdążę się jakąś pracą literacką zająć.

12 (25) grudnia, rok 1913, czwartek
Moja Anna jest rozmarzona myślą o placyku i domku na Antokolu. Tak przylgła biedaczka do tych marzeń, do rojeń o swej gospodareczce i ogródku, który tam założy i tak się tym cieszy, tak się przejmuje, że aż miło na nią patrzeć! Zastałem ją dziś wertującą pilnie książeczki ogrodnicze łotewskie, które sobie sprowadziła. Przyznała mi się, że przez cały dzień dzisiejszy była zajęta tylko myślą o tym swoim przyszłym ogródku i domku. Dla Anny mojej ten placyk z przyszłym domkiem i gospodareczką ma urok niezwykły. Pochodzi ona z biednej rodziny, jest córką włościan, oderwanych od gruntu i przerzuconych na bruk miejski, od dzieciństwa rosła w warunkach ciężkiej biedy, wychowywana przez matkę-wdowę, zmuszoną do ciągłego zarobkowania na chleb powszedni dla siebie i dzieci, potem sama doświadczyła tułaczki i nędzy służby, w ciągłym niedostatku i niedoli. Toteż posiadanie domku swego i swojej gospodareczki, swojego ogródka, w którym będzie sama u siebie panią, ma dla mojej biednej Anninki urok szczęścia i nie zaznanej dotąd rozkoszy. Cała lgnie do tych marzeń o domku i ogródku, a studiując książeczki ogrodnicze snuje wątek rojeń i tęskni coraz więcej. Jest już teraz szczęśliwa na skutek samego myślenia i marzenia. Marzy też, żeby z czasem z dochodów z ogródka wykupić ode mnie ten placyk na swoją własność wyłączną, bo obawia się, abym nie zechciał potem placyku tego sprzedać, gdy się podniesie scena na ziemię; z góry już, na kredyt, przywiązała się do tego placyku i przyszłego, niewiadomego jeszcze domku i gorąco protestuje przeciwko sprzedaży go, gdy tylko o tym, jako o rzeczy kiedyś w przyszłości możliwej, wspomnę. Chce, kładąc pracę i uczucia w tę przyszłą gospodareczkę i ogródek, nie dopuszczać myśli o sprzedaży, o wyzbyciu się, sama myśl o tym boli ją. Cieszy mię ten zapał i ta tęsknota rzewna Anny do własności ziemi i własnej gospodarki. Jest to u niej istotnie instynkt własności, ale nie tej własności kapitalistycznej, służącej za narzędzie do eksploatacji pracy cudzej, własności-przywileju społecznego, jedno tej własności chłopskiej, pojętej na modłę psychiki ludu, to znaczy własności jako warsztatu pracy własnej i jako uzupełnienia samej istoty pracownika. W tym pojęciu własności warsztat pracy, w danym razie ziemia, zlewa się niejako z samą osobą właściciela, streszczając w sobie jego pracę, jego uczucia i wolę. W tym znaczeniu instynkt własności jest rzeczywiście zjawiskiem trwałym i naturalnym. Protest przeciwko własności kapitalistycznej jest może właśnie dlatego tak silny, że własność ta przeczy jaskrawie elementarnemu pięknemu instynktowi własności. I samo żądanie proletariatu robotniczego do uspołecznienia własności kapitalistycznej i do uznania robotników za uprawnionych współwytwórców w fabryce pochodzi bodaj z tego samego elementarnego instynktu własności. Pracując, to znaczy biorąc udział w produkcji, nie mogą się oni pogodzić ze stanowiskiem najemników, to znaczy handlarzy swej siły roboczej i żądają dla siebie praw udziału we własności, praw udziału do warsztatu wytwórczego. Dlatego też monarchizm i syndykalizm jest o wiele głębszy i zgodniejszy nie tylko ewolucją ekonomiczną, ale i z naturą ludzką niż socjalizm, opierający się na kolektywizmie państwowym. Moja Anna

jest dla mnie żywą szkołą mądrości społecznej tak w tym wypadku, jak w bardzo wielu innych.

13 (26) grudnia, rok 1913, piątek
Na dziś na godz. 7 wieczór wyznaczone było, zgodnie z powziętą na stałe decyzją, tygodniowe zebranie komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego”. Zaprosiliśmy też na zebranie p. Stanisława Sokołowskiego, obecnego kierownika pisma, który już teraz praktycznie zastępuje w redakcji dawne miejsce Mańkowskiego. Zresztą sytuacja nie jest pod tym względem dokładnie ustalona, bo formalnie Mańkowski dotąd nie został usunięty, a choć już faktycznie Sokołowski z naszego ramienia zajął stanowisko redaktora i on też całe pismo zapełnia i układa, jednak Mańkowski od czasu do czasu się wtrąca i daje rozporządzenia, stawiając Sokołowskiego w pozycji niewyraźnej, dwoistej: nie może on być ani zupełnie samodzielny, ani zupełnie zależny od Mańkowskiego, a ta połowiczność i nieokreśloność kierownictwa redakcyjnego jest oczywiście i dla pisma złą, i dla Sokołowskiego niedogodną. Ale w sprawach tego pisma i we wszczętej akcji ratunkowej jest mgławicowość, taki splot zawikłania, że po prostu wybrnąć niepodobna. Ustalenie administracji i buchalterii, które zostało uchwalone, nie może jeszcze dojść do skutku z powodu nieobecności chwilowej Piotrowicza, którego na administratora zaangażować mamy. Najgorzej wszakże jest ze sprawą finansową. Od dawna już Iwan Łuckiewicz oświadczył, że ma jakieś źródło u jakiegoś ofiarodawcy, który zgłosił stałe miesięczne subsydium dla pisma na r. 1914 w kwocie 400 rb. co miesiąc. Jakie to źródło, kto jest tym ofiarodawcą – nie wiadomo, bo Iwan tego nie ujawnia, twierdząc, że ten „ktoś” nie życzy sobie ujawnienia. Naturalnie, że złe języki, głównie z kół „przeglądowych”, szerzą wersję, że subsydium to jest wątpliwej czystości. Wskazują to na Szeptyckiego, metropolitę unickiego we Lwowie, to na ministerium austriackie spraw zagranicznych jako na domniemane źródła, subsydiujące ruch białoruski za pośrednictwem I. Łuckiewicza, a więc też i „Kurier Krajowy”, uchodzący w opinii „przeglądowych” patriotów za ekspozyturę białorusko-litewskiej sprawy. Teraz zaś z tych samych kół zaczęto kolportować bajkę o rzekomym pochodzeniu zasiłków na pismo od niejakiej księżnej Radziwiłłowej, pałającej jakąś szczególną nienawiścią do polskości na gruncie jakiejś urazy osobistej i sypiącej pieniądze na „wrogie” i „szkodliwe” dla sprawy polskiej akcje. W bajki te oczywiście nie wierzę i rozumiem, że płyną one z zawiści i z zadawnionej niechęci panów „przeglądowców” do samej idei kierowniczej „Kuriera Krajowego” i do ludzi zgrupowanych przy tym piśmie. Bądź co bądź nieujawnianie przez Łuckiewicza źródła zgłoszonego subsydium daje bajkom tym strawę i nie jest dobre w kierunku obudzenia zaufania. Ja zaś osobiście gotów jestem posądzać, że ofiarodawca taki nie istnieje wcale i że to zapowiedziane subsydium jest mitem – manewrem dyplomatycznym pomysłowego Iwana. Podejrzewam to. Możliwe jest, że rozumiejąc dobrze, iż chcąc zogniskować grono ludzi dokoła zachwianego pisma i wycisnąć od nich pieniądze dla zatkania luk, trzeba wykazać jakąś realną istniejącą podstawę, po prostu stworzył on do czasu bajkę o subsydium, widmo fantazyjne, otoczone tajemnicą, która służyć ma za wabika, dopóki się pismo przez innych materialnie nie zorganizuje. Obawiam się to twierdzić, ale podejrzewam, że tak jest, a przynajmniej jest możliwe. Wiem tylko, że w listopadzie mówiło się, iż te 400 rb. wpłyną na 1 grudnia; potem termin zrealizowania tych pieniędzy odroczony został do 10, potem do 15 grudnia. Dzisiaj zaś przed zebraniem Iwan przyleciał do nas wzburzony, wyrzekając na Mańkowskiego i oświadczając, że ten tajemniczy pan, ofiarodawca, dał już, jak się okazało, 125 rb. do rąk Mańkowskiego na rzecz subsydium grudniowego i że Mańkowski te pieniądze zapewne wydał na własne potrzeby (długi czy kochanki), bo nic o ich otrzymaniu nie

mówił; że teraz tajemniczy pan ten odmawia wypłacenia reszty za grudzień i że będzie dawać w przyszłości tylko pod tym warunkiem, że Mańkowski istotnie usunięty zostanie i że nowa organizacja pisma, o której się tyle mówi, rzeczywiście uskuteczniona zostanie. To, że się wina zwala na Mańkowskiego w postaci zarzutu tak kategorycznego, nie daje jednak zupełnej gwarancji, że to jest prawdą; Mańkowski bowiem, gdyby nawet był obecny, jest tak moralnie podkopany i tak od Łuckiewiczów zależny, bo strwonił czy to na pismo, czy na własny użytek tak duże sumy z pieniędzy, za które odpowiadać muszą Łuckiewiczowie, że bałby się pisnąć przeciwko Łuckiewiczom. Co prawda, Iwan Łuckiewicz jeżeli nie z kieszeni tego pana, to z własnej czy też ze źródeł będących w jego rozporządzeniu włożył już istotnie w tym miesiącu do pisma sumę nie mniejszą od tego subsydium, którą zgadza się teraz nie odzyskiwać – *á fond perdu*. Ale bądź co bądź sytuacja jest taka, że oto znów jutro sobota i tak dalej przynajmniej do Nowego Roku – są ciągłe wypłaty bieżące pilne, nie mówiąc o naglących zaległościach, a pieniędzy nie ma, prócz niewystarczających dochodów z napływającej wciąż prenumeraty i sprzedaży detalicznej. I znowu błędne koło – rozpaczliwe, fatalne. Na zebranie przyszli członkowie komitetu redakcyjnego Antoni Łuckiewicz, Šaulys i ja, faktyczny kierownik pisma Sokołowski, wreszcie Iwan Łuckiewicz i Michał Biržiška. Nic nie wspominaliśmy Sokołowskiemu o nowych finansowych kłopotach wydawnictwa, żeby go nie zniechęcać i podrywać w nim zaufanie, skądinąd wszakże było to krępujące, bo się miało świadomość, że mówimy z Sokołowskim o wykonywaniu pracy bez pewności, czy w ogóle praca ta będzie miała miejsce. Sokołowski bardzo dzielnie pracuje w kierunku ożywienia i urozmaicenia pisma oraz nadania mu treści popularnej i społecznej równolegle do informacyjnej. Zostaliśmy z niego bardzo zadowoleni.
Po tym zebraniu od godz. 9 do godz. 11 ½ odbyło się u mnie drugie zebranie – komitetu redakcyjnego „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego”. Obecny był komitet redakcyjny w osobach Seweryna Ludkiewicza, Michała Biržiški i mnie oraz redaktora Stadziewicza. Popracowaliśmy par€ godzin intensywnie i bardzo treściwie. Odczytaliśmy głośno i omówiliśmy szczegółowo wszystkie rękopisy, zgłoszone do pisma, oprócz tylko mojego rękopisu o pieniądzu i pracy inżyniera Gustawa Wołodkowicza o historii fabrykacji papieru, któr bez głośnego odczytywania, na samą tylko recenzję moją, zakwalifikowaliśmy do druku. Niektóre z tych materiałów były wątpliwe, bo miały w sobie pewne cechy kierunku politycznego, niezupełnie odpowiadającego naszym poglądom i naszemu zrozumieniu zadań pisma. W każdym wszakże z tych artykułów były dzielne i trafne myśli, nadające im wartość niewątpliwą. Chodziło więc tylko o wyeliminowanie z nich tego, co było w nich nieodpowiedniego, zachowując całokształt. Do takich artykułów należał zwłaszcza artykuł Wilpiszewskiego o hurtowniach, zawierający kilka bardzo rzeczowych wskazań, jeno trącący nieco antysemityzmem; usunięcie zeń odcienia antysemickiego poleciliśmy Biržišce, który ma go do druku ułożyć. Taką samą wątpliwość, aczkowliek w kierunku odwrotnym, sprawiającym wrażenie może pewnego szczególnego filosemityzmu, budził artykuł A. Łuckiewicza, napisany nieco felietonowo; w drodze przestawienia paru frazesów rzecz tę naprawiliśmy; bardzo ciekawy, choć kompilacyjny i pisany dorywczo, artykuł Bębnowskiego p.t. „Bankokracja” poleciliśmy Łuckiewiczowi, który ma go poniekąd przygładzić i usystematyzować. Artykuł Hertza zakwalifikowaliśmy bez zmian, artykuł zaś Morawskiego polecono mnie skrócić. Wreszcie ustaliliśmy kolejność artykułów do następnego numeru, który ma wyjść zaraz po Nowym Roku. Pragnęlibyśmy bardzo, aby pismo mogło się stać z kwartalnika miesięcznikiem.

14 (27) grudnia, rok 1913, sobota

Miałem dziś w sądzie okręgowym dość poważną obronę karną. Sama istota zbrodni, inkryminowanej oskarżonemu Prokopowiczowi, którego bronić miałem, była bagatelna, ale sprawa była dość skomplikowana, bo chodziło jednocześnie aż o trzy drobne oszustwa, z których każde miało swoje właściwe okoliczności, swoich odrębnych świadków i nieco inną kwalifikację prawną; wszystkie zaś trzy „oszustwa" miały jedno psychologiczne tło wspólne, płynące z dramatu miłości, która wykoleiła człowieka dotąd bardzo porządnego i statecznego oraz wtrąciła go w stan nędzy, znerwowania i błędnego koła pozycji bez wyjścia. Wszakże nie tylko same okoliczności i tło sprawy nadawały mojej obronie szczególnie odpowiedzialne i trudne zadanie. Najcięższe było to, że obrońcą współoskarżonej Prokopowicza, kochanki jego, młodej i pięknej Andzi Kochanowskiej, był p. Tadeusz Wróblewski, luminarz i gwiazdor adwokatury, świetny mówca, wytrawny mistrz sztuki obrończej. Już samo to zestawienie z p. Tadeuszem nakładało na mnie ciężką odpowiedzialność dobrego wywiązania się z zadania obrony. Cięższe zaś jeszcze było to, że interesy obrony kochanki nie były zupełnie solidarne z interesami obrony Prokopowicza i że, jak już z góry było wiadomo, p. Tadeusz, dla uwydatnienia niewinności dziewczyny, zamierza oprzeć swą obronę na przejaskrawieniu dramatu rzekomej jej zależności, nawet, jak się wyraził, niewoli płciowej („половое рабство"), w jakiej była Kochanowska w stosunku do Prokopowicza. Byłem więc oczywiście dość poruszony. Ale już szereg obron, które miałem w tym roku, oswoił mię nieco z wystąpieniami sądowymi i dał mi pewną umiejętność metody. Toteż broniłem względnie nieźle, choć naturalnie nie tak świetnie, jak by tego wymagała rywalizacja z p. Tadeuszem. Wróblewski rzeczywiście przejaskrawiał sytuację i ponad istotną potrzebę obciążał mojego klienta. Miałem wrażenie, że umyślnie się bawi dodawaniem ciężaru mojej roli. Przysięgli zresztą, których skład był bardzo dla sprawy obrony dodatni (przewodniczącym ławy przysięgłych był muzyk Gałkowski), wynieśli dla obojga podsądnych werdykt uniewinniający.
Po obiedzie chodziłem z Šaulysem do Sergiusza Łopacińskiego dla poproszenia go o udzielenie jakiegoś pieniężnego zasiłku dla „Kuriera Krajowego". Łopaciński, który jest skąpy, nic nie obiecał, choć się pismem interesuje i sprzyja mu. Może uda się jeszcze coś od niego zyskać później. Zaprosiliśmy go na przyszłe zebranie naszego komitetu organizacyjnego, spodziewając się, jeżeli przyjdzie, że z bliska więcej się zachęci i poniekąd zobowiąże do dopomożenia wydawnictwu.

15 (28) grudnia, rok 1913, niedziela
O godz. 6-7 w biurze Zasztowta zebrało się grono osób, zaproszonych na zebranie sprawozdawcze ze zjazdu autonomistów-federalistów w Moskwie. Z 40 zaproszonych zebrało się 19 osób. Obecni byli: Polacy Zasztowt, dr Sumorok, Kazimierz Ostachiewicz i ja, Litwini Šaulys, Šiling i Janulaitis, Białorusini Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Łastowski i poeta Jan Kupała (prawdziwe nazwisko Łucewicz), Żydzi dr Jerzy Romm, Czernichow i Czarny, Rosjanie Kraskowski (z pochodzenia Białorusin z gub. grodzieńskiej, jeno kultury rosyjskiej, na moskiewskim zjeździe autonomistów-federalistów reprezentował delegację białoruską), Morowskij, Mochow, Szwedow i, zdaje się, Ignatowski. Poza tym, byli zaproszeni, ale na zebranie z tych czy innych względów nie przybyli lub przybyć nie mogli Polacy Bagiński, Józef Bukowski, Osmołowski, Seweryn Ludkiewicz i hr. Sergiusz Łopaciński, Litwini Jan Vileišis, Bułat, Ślażewicz, Michał i Wacław Biržiškowie, Kairys, Bortkiewiczowa i Pietkiewiczówna, Białorusin Wacław Iwanowski, Żydzi dr Szabad, redaktor Katz, Bromson i Lewin, Rosjanie Powołockij, Radkiewicz i Carik.

Mnie wybrano na przewodniczącego zebrania. Kraskowski wygłosił sprawozdanie ze zjazdu w Moskwie, poinformował o zawiązanym, raczej wznowionym Związku Autonomistów-Federalistów, wreszcie o projektowanym II zjeździe majowym i o zasadach jego organizacji. Następnie toczyły się debaty. Dyskusji właściwie nie było, bo wszyscy wypowiadali się dość zgodnie. Przynajmniej zasadniczych rozdźwięków nie było żadnych. Od imienia Białorusinów wypowiadali się głównie Łuckiewiczowie, od imienia Litwinów – Šiling, od Polaków – ja, od Rosjan Morowskij i od Żydów – głównie Czernichow. Ten ostatni zwłaszcza, którego ogół zgromadzonych znał mało, sprawił na wszystkich wrażenie bardzo dodatnie. Czernichow należy do rzadkich jeszcze wyjątków wśród Żydów, którzy nie tylko że uznają Żydów za naród osobny, ale też istotnie pragną dla nich samodzielnej kultury narodowej i zwalczają mechaniczne wcielanie się inteligencji żydowskiej do kultur narodów dominujących. Jest on nacjonalistą żydowskim, ale nacjonalistą tego typu i kierunku, co występuje wrogo przeciwko rusyfikacji duchowej ogółu inteligencji żydowskiej – zjawiska bardzo w kraju naszym upowszechnionego i szkodliwego. Żydzi, przynajmniej tak liczna ich inteligencja, nawet w swych obozach postępowych, ulegając rusyfikacji duchowej i uznając postęp na modłę szablonu wszechpaństwowego, a właściwie pragnąc tylko jednej rzeczy – równouprawnienia w całym państwie – nie ma żadnego związku z życiem, kulturą i dążeniami poszczególnych narodów i krajów, które zamieszkuje, co gorsza nawet – nie interesuje się nimi wcale i lekceważy je sobie lekkomyślnie, stając się przewodnikiem rusyfikacji i rzecznikiem państwowości rosyjskiej, to znaczy występując przez to w roli poplecznika tej niewoli, przeciwko której zwrócone są najgłębsze wysiłki ludów i krajów poszczególnych.
Z toku debat wyłonił się projekt utworzenia w Wilnie wydziału Związku Autonomistów-Federalistów z reprezentacją pięciu narodowości (to znaczy nie wykluczając Rosjan). Ponieważ dziś skład zebrania był dość przypadkowy, bo nie wszyscy zaproszeni przybyli i niektóre grupy, jak Partia Demokratyczna litewska, nie były wcale reprezentowane, więc wybrano tylko komisje z pięciu osób po jednym przedstawicielu.

16 (29) grudnia, rok 1913, poniedziałek
O wszystkim napisać w dzienniku nie mogę, bo brak mi miejsca. Chciałbym oto napisać o Annie, o jej serdecznym wrażliwym uczuciu, o przedziwnej subtelnej szlachetności, jakiej mi ciągle daje dowody i jaka na przykład się zaznaczyła w dniu wczorajszym i dzisiejszym nie w jakichś czynach czy faktach obiektywnie doniosłych, lecz w całym toku nastrojów, myśli i odruchów jej uczucia na tle czy raczej z powodu i na skutek małego dysonansu, który zaszedł między nami wczoraj przy zwiedzaniu przez nas placyku antokolskiego. Muszę wszakże zaniechać tego, nie chcąc opuścić streszczenia spraw natury publicznej, o Annince mojej mówić mogę zawsze i mówić będę jeszcze stokrotnie, więc chwilowo wybaczy mi ona, że składając jej hołd czci, opuszczę nasz kochany stosunek dla spraw zewnętrznych.
O godz. 7 byłem w mieszkaniu Bułata na posiedzeniu zarządu „Žiburėlisu". Byli tylko sami członkowie zarządu: p. Bortkiewiczowa Felicja, p. Bułatowa i ja. Omówiliśmy i zaprotokołowaliśmy w kilku słowach sprawy bieżące, których nie było tak dużo. Chodziło tylko o jakiegoś nowego petenta zgłaszającego się o zapomogę, studenta wyższych kursów rolniczych w Petersburgu, dalej o chroniczny brak pieniędzy w kasie towarzystwa i sposoby do usunięcia go przez publiczne wezwanie w prasie do społeczeństwa litewskiego o nadsyłanie ofiar i przez urządzenie w styczniu wieczorku z koncertem i loterią. Na godz. 9 wróciłem do domu, gdzie wyznaczone było inne zebranie – komitetu organizacyjnego „Kuriera Krajowego". Na zebraniu tym obecni

byli: Polacy dr Sumorok i ja, Litwini Jan Vileišis, Kairys i Šaulys i Białorusini bracia Łuckiewiczowie. Niestety, administracja pisma dotąd nie została zorganizowana, a to z tego powodu, że p. Piotrowicz, którego postanowiliśmy zaangażować na administratora, dotąd nie przyjechał do Wilna, co wszakże ma lada dzień nastąpić. W każdym razie postanowiono, aby już zaraz ktoś z naszego ramienia zaczął codziennie inkasować wszystkie pieniądze, które wpływają do kasy. Wiemy, że teraz przed Nowym Rokiem napływa co dzień po kilkanaście przekazów pocztowych z pieniędzmi na prenumeratę, ale gdzie się takowe podziewają, nie wiemy wcale. Odtąd, do czasu objęcia posady administratora przez Piotrowicza, pieniądze te inkasować będzie codziennie dr Sumorok. Poza tym, omówiliśmy preliminarz pisma, który na rok przyszły, o ile tylko 400-rublowe subsydium okaże się pewnym, jest zupełnie zadowalającym. Cały ciężar sytuacji polega obecnie li tylko na pokryciu zaległości dotychczasowych, wynoszących jednak sumę przeszło 1000 do 2000 rubli.

17 (30) grudnia, rok 1913, wtorek
Polepszenie się „Kuriera Krajowego" staje się coraz bardziej widoczne nie tylko dla nas, którzy najbliżej pisma stoimy, ale i dla kół i osób, stojących na uboczu. Dostrzegli to i mówili mi o tym Litwini, esdecy, a dziś mi nawet Krzyżanowski to wyznał. To znaczy, że już nie tylko nasi sympatycy ideowi, jakimi są demokraci litewscy lub esdecy, ale i tacy tradycyjni przeciwnicy, jak „przeglądowcy", których jednym z najzagorzalszych przedstawicieli jest Krzyżanowski, nie mogą zaprzeczyć oczywistości. Wszyscy zgodnie przyznają, że pismo wyzbyło się jaskrawej sensacji, że artykuły wstępne są treściwe i ideowe, że cała treść pisma stała się poważniejsza, głębsza i żywsza. Krzyżanowski zgłasza wprawdzie jeszcze pewne zastrzeżenia i zarzuty, ale już nie bagatelizuje w czambuł pisma, jak to robił dotąd on i wszyscy jego towarzysze z „Przeglądu". Zresztą „przeglądowców" nie zadowolimy i nie pozyszczemy nigdy. Zawsze ostatecznie pozostanie między nami a nimi rozdźwięk nie tylko ideowy, ale i ten rozdźwięk wzajemnych żalów i nastrojów, który się wytworzył ze stosunków poprzednich i który w dużym stopniu wypływa z tarć i niechęci osobistych. Chodziło mi też nie o nadzieję jakiegoś istotnego zbliżenia się z „przeglądowcami", co do której nie mam złudzeń, ale o zaznaczenie, że nawet w tym obozie dostrzeżono i stwierdzono obiektywnie zmianę zaszłą w „Kurierze Krajowym" w kierunku jego spoważnienia ideowego.
Teraz wspomnę o innej rzeczy, związanej także z „Kurierem Krajowym". Przed paru tygodniami pisałem o otwarciu teatru w Poniewieżu, wystawionego przez p. Stanisława Montwiłła i oddanego przezeń na użytek wszystkich narodowości miejscowych. Otwarcie tego teatru odbyło się uroczyście 1 grudnia, zakończone bankietem, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich narodowości miejscowych, nie wyłączając Żydów. Sama uroczystość otwarcia oraz przemówienie miały charakter święta pojednania i miłości. Otóż Montwiłł wziął z tego asumpt do zainicjowania jakiejś stałej akcji pojednawczej w stosunkach polsko-litewskich. Wygotował on list otwarty do redakcji dzienników polskich i litewskich, w którym wzywa, raczej kreśli luźny szkic następującej organizacji wykonania zasad pojednawczych w prasie: 1) unikać umieszczania artykułów drażniących lub podawania faktów niesprawdzonych, 2) publikować fakty, podawane przez korespondentów pod warunkiem, że korespondenci zgodzą się w razie potrzeby ujawnić swoje nazwisko i wziąć przeto za nią odpowiedzialność osobistą, nie chowając się za płaszczykiem tajemniczych pseudonimów, 3) mieć we wszystkich zakątkach kraju ludzi zaufania, tak Polaków, jak Litwinów, do których można byłoby się odwołać dla sprawdzenia na miejscu jakichś faktów lub oskarżeń wzajemnych. Poza tym, Montwiłł, będąc w Wilnie i rewizytując

Litwinów, których był zaprosił na uroczystość otwarcia teatru poniewieskiego i którzy bądź byli obecni na takowej, bądź mu odpowiedzieli listownie, poruszył myśl zorganizowania stałego komitetu polsko-litewskiego do czuwania nad wykonywaniem tych zasad przez dzienniki i ewentualnie do wybrania dziennika jednego lub kilku, który lub które podjęłyby się pełnienia tych zadań pojednawczych, wyrażając nawet gotowość ewentualnego materialnego subsydiowania tych pism. Mówił o tym Šaulysowi, mówił Biržišce. Tak Šaulys, jak Biržiška zwrócili jego uwagę na „Kurier Krajowy". Montwiłł sam o „Kurierze Krajowym" nie ma pojęcia. Ma on za sobą cziczerone w osobie p. Stefana Okulicza, któremu bezwzględnie ufa i na którego wskazówkach całkowicie polega. Dla nas przysłanie zasiłku materialnego na wydawnictwo byłoby niezmiernie ważne. W zakresie wskazań Montwiłła o pojednawczym kierunku polsko-litewskim „Kurier Krajowy" spełnia już obecnie tę funkcję. Oczywiście wszakże, że w żadnym razie, nawet dla otrzymania zasiłku, nie moglibyśmy odstąpić od naszych zasad demokratycznych, ale zdaje się, że o to obawa nie zachodzi, bo staruszkowie ci, - Montwiłł i Okulicz, co do stanowiska społecznego żadnych określonych tez nie stawiają. Wszakże Stefan Okulicz, który we wszystkich kołach się obraca, słyszał dużo zarzutów i skarg na „Kurier Krajowy", co go do tego pisma zniechęca. W dodatku zaś nie wiedzą oni i nie mogą się dowiedzieć, kto mianowicie stoi na czele i kto reprezentuje „Kurier Kr.". Wieczorem dziś przybiegł do mnie Żmujdzinowicz z wiadomością o tym, że Montwiłł i Okulicz z nim także rozmawiali o swoich zamiarach akcji pojednawczej i że rozpoczęli pertraktacje z „Przeglądem Wileńskim". Zrobiłem więc zaraz ruch, aby przez Šaulysa i Biržiškę zaproponować na jutro wspólne zebranie z gronem osób, Polaków i Litwinów, grupujących się przy „Kurierze Krajowym".

18 (31) grudnia, rok 1913, środa
Od godz. 2 do 4 po południu odbyło się dziś u dr Sumoroka zebranie grona przyjaciół „Kuriera Krajowego" dla pogawędki z pp. Stanisławem Montwiłłem i Stefanem Okuliczem. Chodziło na razie tylko o danie możności tym panom zapoznania się tak z ludźmi, grupującymi się przy piśmie, jak z organizacją jego i stanowiskiem głównie w sprawie stosunków narodowościowych. O pieniądzach, o materialnym poparciu pisma przez Montwiłła mowy nie było. W zebraniu wzięli udział z przyjaciół pisma Polacy dr Sumorok, Józef Bukowski, Osmołowski i ja, Litwini Šaulys i Ślażewicz oraz Białorusini bracia Łuckiewiczowie. Poinformowaliśmy tych panów o zasadach organizacji pisma, o tym zwłaszcza, że jest ono w obecnym swym stanie wyrazem współdziałania demokracji polskiej z litewską i białoruską. Żadnych zgrzytów nie było. Panowie ci raczej interpelowali nas, niż dyskutowali. Dłuższą nieco wymianę zdań wywołała sprawa zatargów językowo-kościelnych w stosunkach litewsko-polskich, chociaż i pod tym względem jakieś zasadnicze różnice się nie ujawniły. Panowie ci tylko wyrażali pewne obawy, czy czasem, dotykając tych kwestii, nie działamy lub działać nie zamierzamy w kierunku podkopywania samej religii w masach ludowych. Pod tym względem żadnych zamiarów takich, o ile wiem, nikt z nas nie żywi. O społecznym stanowisku demokratycznym nie było właściwie mowy, bo choć podkreśliliśmy je wyraźnie, panowie ci większej wagi do tego nie przywiązywali. Chodziło im li tylko o względy stosunków narodowościowych. Jakie ci panowie wynieśli wrażenie z pogadanki – nie wiem, bo Montwiłł jest bardzo zawsze skryty i raczej nieufny, Okulicz zaś, choć jest naiwny, nie bardzo zdaje się umie się orientować szybko w rozmaitych odcieniach kierunków i różnic między nimi. Montwiłł zaprenumerował tylko pismo na rok i poprosił o dostarczenie mu numerów, w których były artykuły o zajściach majowych w kościele św. Jana, Okulicz poprosił o dostarczenie mu tych numerów, które wyszły od czasu reorganizacji pisma, tj. od 2-3

tygodni. Oczywiście, że muszą się oni wpierw zapoznać z pismem, nim ewentualnie zdecydują na jakieś poparcie. Czy poparcie to nastąpi, trudno orzec. Montwiłł dał nam do druku swoją odezwę, o której wczoraj wzmiankowałem. Stefana Okulicza zaprosimy może do udziału w komitecie organizacyjnym, bo jest to człowiek dobrej woli, szczerze sprzyjający pojednaniu narodowości, kochający kraj i ludzi. Jeden tylko Iwan Łuckiewicz, który w ogóle taktem nie grzeszy, wyrwał się w toku pogadanki z aluzją do jakichś widoków na kieszeń Montwiłła, dając do zrozumienia, że pragnęlibyśmy od niego poparcia i że jest nam ono bardzo potrzebne, a przy tym kadząc Montwiłłowi pochlebstwem. Nikt z nas nie podniósł tych aluzji i przeto kwestia ta, tak niestosowna, nie weszła wcale na porządek obrad. A trzeba jeszcze wiedzieć, że Montwiłł szczególnie nie lubi pochlebstw, gniewa się za nie i nic go tak jak pochlebstwo nie irytuje i nie zraża.

19 grudnia rok 1913 / 1 stycznia, rok 1914, czwartek
Miałem przykre nieporozumienie z Bagińskim. Zobaczywszy go w sądzie, powiedziałem mu na poły żartem, na poły z wymówką, że dlaczego nie był w niedzielę na zebraniu sprawozdawczym autonomistów-federalistów. Może być, że w tonie moim była jakaś nuta zarzutu, która widocznie dotknęła Bagińskiego. Toteż zwrócił się on do mnie po chwili z poważną zupełnie pretensją, zastrzegając sobie, abym nie pozwalał sobie traktować go lekceważąco-żartobliwie, jak to nieraz, w ostatnich zwłaszcza czasach, bywało, ponieważ on bynajmniej sobie tego nie życzy i nie myśli poddawać swojego postępowania jakiejś kontroli mojej – zresztą wie sam, co robi. W tej chwili przyszedł p. Tadeusz Wróblewski i przerwał rozmowę naszą. Później zaś Bagiński gdzieś odszedł i ja śpieszyć musiałem, tak że na tym się rzecz urwała. Ten żal Bagińskiego sprawił na mnie ciężkie wrażenie. Później przez cały dzień nie mogłem ochłonąć z tego wrażenia, które mię ciągle gryzło. Lubię bowiem i szanuję Bagińskiego, nie miałem nigdy zamiaru ani obrażania go, ani wyrządzania mu przykrości, a ton żartobliwy, może żartobliwie ironiczny, jaki rzeczywiście czasami względem niego przyjmowałem, nigdy właściwie w intencji mojej nie zawierał lekceważenia. Po prostu pozwalałem sobie traktować go poufale ze względu na nasze dawne zażyłe stosunki. Przeciwnie – rozumiałem dobrze ciężki stan Bagińskiego i szczerze mu współczułem; po rozbiciu grupki esdeckiej w Wilnie Bagiński był osamotniony, nie miał żadnego terenu dla swych aspiracji ideowych, musiał doznawać uczucia pustki i rozterki duchowej. Pragnąłem go zbliżyć do ruchu społecznego, liczyłem, że go wciągnę do spraw ideowych. Toteż bynajmniej go nie lekceważyłem i nie chciałem mu robić zarzutu z tej smutnej rozterki, w której się znalazł. Ale widocznie ta rozterka, to wrażenie pustki duchowej i bezczynności wywoływało u niego szczególną drażliwość, szczególne przeczulenie na gruncie ewentualnych, żywych w nim wymagań ideowych. Powinienem był to wyczuć i być ostrożniejszy, subtelniejszy w stosunku do niego. Niechcący wyrządziłem mu krzywdę, której gorąco żałuję.

20 grudnia rok 1913 / 2 stycznia, rok 1914, piątek
Przy spotkaniu dziś Bagińskiego w sądzie wytłumaczyłem się przed nim z mojego postępowania względem niego, zapewniłem, że nigdy nie miałem intencji lekceważącego traktowania go i przeprosiłem, jeżeli go w czymkolwiek obraziłem niechcący. Nie tylko że nie miałem nigdy intencji zaznaczenia Bagińskiemu lekceważenia i nigdy go w istocie nie lekceważyłem, ale nawet owszem – pragnąłem i pragnę pozyskać go do naszego związku demokracji krajowej. Jak już raz wspomniałem, pragnę na gruncie tego związku stworzyć podwaliny nowej demokratycznej grupy polskiej, która by skupiła i połączyła pewną organizacją

rozproszone elementy demokratyczne inteligencji polskiej. Potrzeba utworzenia takiej grupy jest bardzo aktualna. Spodziewam się, że to się da do pewnego stopnia wykonać. Elementy takie są, chodzi tylko o ich dobór i o zespolenie. Na razie będzie to tylko zespolenie w pewnym środowisku, nawiązanie stałego kontaktu ideowego między nimi. W dalszym zaś ciągu będzie chodziło naturalnie o danie im wspólnej placówki czynu konkretnego. Taką placówką czynną będzie mógł być przede wszystkim „Kurier Krajowy", do którego organizacji trzeba będzie zastosować tę grupę. Poza tym, znajdą się i inne placówki działania. Elementy dla tej nowej projektowanej grupy rekrutować się będą z demokratów szczerych, wolnych od specyficznego nacjonalizmu, jak Józef Bukowski i ja oraz z sympatyków socjalizmu, niepartyjnych esdeków, jak Zasztowt np. lub Kazimierz Ostachiewicz. Przede wszystkim więc w obecnym stadium formacji tej przyszłej grupy, należy elementy te wciągnąć do naszego związku demokracji krajowej. Oprócz mnie i Zasztowta, pozyskaliśmy już dotąd do naszego związku Ostachiewicza i Osmołowskiego oraz w najbliższym czasie pozyszczemy Józefa Bukowskiego, co do którego wszystko już jest przygotowane. W dalszym ciągu mam na myśli pozyskanie jeszcze do naszego związku spośród Polaków właśnie Bagińskiego oraz Seweryna Ludkiewicza. Ten ostatni bardzo by do nas pod względem ideowym pasował, jeżeli tylko jego umysł trzeźwy i mający pewien kierunek praktyczny nie usposobi go ujemnie do udziału w organizacji, mającej raczej teoretyczne, abstrakcyjno-ideowe cechy. Co zaś do Bagińskiego, to choć to jest esdek, że tak powiem, patentowany, jednak sądzę, że w dzisiejszych warunkach, gdy esdecja partyjnych dróg działania w Wilnie nie ma, współudział jego w akcji demokratyczno-ludowej będzie zupełnie możliwy, szczególnie, że mamy nie partię ścisłą stworzyć, jeno grupę elementów pokrewnych dla wspólnego skoordynowanego działania.
O godz. 7 odbyło; się u mnie tygodniowe zebranie komitetu redakcyjnego „Kuriera Krajowego". Przyszli Antoni Łuckiewicz, Šaulys i ja oraz redaktor techniczny Stanisław Sokołowski. Ułożyliśmy tekst noworocznego prospektu pisma i omówiliśmy sprawy bieżące. W numerze niedzielnym postanowiliśmy dać wzmiankę o opuszczeniu przez Mańkowskiego stanowiska kierownika z powodu wyjazdu jego z Wilna. W ten sposób Mańkowski już faktycznie zostanie odcięty od pisma, o co nam bardzo chodzi. Wprowadziliśmy zasadę, aby każdy artykuł wstępny był codziennie przed wydrukowaniem dawany do przeczytania p. Józefowi Bukowskiemu, który się obiecał tej czynności podjąć. Każdy artykuł wstępny musi pozyskać jego sankcję. Chodzi tu nam nie tylko o jednolitość kierunku, ale zwłaszcza o stałą kontrolę nad Sokołowskim pod względem stanowiska ideowego. Zaprojektowany przez nas kandydat na administratora pisma, Piotrowicz, wrócił już do Wilna i został zaangażowany; od jutra już obejmuje stanowisko.

21 grudnia rok 1913 / 3 stycznia, rok 1914, sobota
Zdaje się, że z tych pertraktacji z Okuliczem i Montwiłłem żadnej pieniężnej korzyści dla „Kuriera Krajowego" nie będzie. Sam Montwiłł może by się zbliżył do pisma i udzielił mu poparcia, ale bez porady Okulicza nie zdecyduje się na to, a na Okulicza liczyć chyba trudno. Jest to staruszek poczciwy, ma dobre chęci i przywiązany jest do kraju i do ludzi na modłę staroszlachecką, ale w głowie ma bigos kompletny. Nie orientuje się w poszczególnych kierunkach dążeniach, chciałby tylko wszystkich ze wszystkimi godzić, wszystko łączyć w kupę serdeczno-nastrojową, bez określonych postulatów, bez wyraźnej ideologii. Rzeczywiście stara się on zbliżyć do wszystkich grup, do wszystkich pism, wszędzie swoje trzy grosze wścibić. Był on kiedyś jednym z udziałowców „Gazety Wileńskiej", miał konszachty z ugodowo-ziemiańskim „Kurierem Litewskim", współdziałał z endeckim „Gońcem", pisywał w wybitnie

katolickim „Słowie i Czynie”, obecnie ma stosunki ze zjednoczonym ugodowo-endeckim „Kurierem Litewskim”, należy do organizacji ultra-klerykalnej i demagogicznej „Gazety Codziennej”, ma stały kontakt z postępowo-nacjonalistycznym „Przeglądem Wileńskim”. Ma podobno ogłosić w „Przeglądzie W.” swój program pojednawczy względem Litwinów, pertraktuje z nami, jednocześnie bierze udział w zebraniach redakcyjnych „Gazety Codz.”. nie ma, zdaje się grupy i kierunku, z którym by nie nawiązał stosunków. W każdym razie trudno go zapewne będzie zaprosić do naszego komitetu organizacyjnego, jakeśmy projektowali, - nie dlatego żeby zaproszenia nie przyjął, ale dlatego, że będzie on dla nas elementem obcym i stanowiska demokratycznego nie pojmie i nie zajmie.
Napisałem dziś artykuł do ‘Przeglądu Wileńskiego” p.t. „Ugoda”. Scharakteryzowałem krytycznie kierunek „ugodowy” w polityce i w drugiej połowie artykułu przedstawiłem „ugodowca” litewskiego w Dumie – posła księdza Łankaitisa. Do „Przeglądu Wileńskiego” pisują teraz artykuły ze stosunków litewskich, informacyjne i krytyczne. Przed paru tygodniami dałem artykuł o rozłamie w litewskim obozie klerykalno-nacjonalistycznym, teraz ten drugi, następnie mam dać w styczniu recenzję o nowej książce Kutrzeby o ustroju państwowym Litwy. Zastrzegłem w redakcji „Przeglądu W.”, że artykuły te będą płatne. Jestem zdania, że nie należąc do organizacji „Przeglądu W.” z powodu różnic ideowych, jakie zachodzą między mną a „przeglądaczami”, mogę jednak być współpracownikiem tego pisma, zwłaszcza w pewnych poszczególnych działach i w zakresie informacyjnym. Podług mego osobistego pojmowania różnice, które mię od „przeglądowców” dzielą, choć są poważne i zasadnicze, nie są jednak tak bezwzględne, aby wykluczały zupełnie wszelką możność współpracownictwa mego w tym pionie. Niektórzy wszakże z grupy „Kuriera Krajowego”, jak szczególnie np. Łuckiewiczowie i Šaulys, dziwią się, że uważam za możliwe pisywanie do „Przeglądu” i zapatrują się na to dość nie chętnie. Nie wiem, jak inni na to patrzą, bo nie rozmawiałem o tym, ale myślę, że też nie bardzo aprobują mój udział współpracowniczy w „Przeglądzie”. Łuckiewiczowie i Šaulys uważają to za niestosowne, mówią, że przy istniejącej niechęci i pewnej walce między kierunkiem „Kuriera Kr.” a „Przeglądem W.” fakt mojego udziału literackiego w „Przeglądzie” jest zjawiskiem rażącym, bo *primo* daje pozór mojego należenia do „Przeglądu” i daje „przeglądowcom” możność powoływania się na zewnątrz na mnie, jako na ich człowieka, a po wtóre podkopuje przewagę kierunku „Kuriera Kr.”, gdy ja, *leader* tego kierunku, pisuję w organie przeciwnego a zwalczającego się z „Kur. Krajowym” kierunku. Względy te i we mnie samym budzą pewne wątpliwości, ale dotąd nie umiem jeszcze ich rozstrzygnąć. Gdybym był przekonany, że między kierunkiem „Przeglądu W.”, a kierunkiem „Kuriera Kr.” Jest istotnie taka rozbieżność bezwzględna, która wyklucza na przyszłość wszelką możność współdziałania i sprawia konieczność radykalnego zwalczania się, to bym się nie wahał. Ale właśnie że nie jestem tego pewny i myślę, że wobec wspólnego wroga w osobie klerykalizmu i politycznie ugodowej endecji nie tylko że można będzie, ale z pewnością trzeba będzie w działalności zewnętrznej, jak np. przy wyborach do Dumy itd., działać nam, demokratom-krajowcom, solidarnie z „przeglądowcami” na zasadzie kompromisu. W tym celu, tworząc grupę osobną, aby mieć siłę własną, równoległą do „przeglądowców”, taką, z którą by się oni liczyć musieli, aby wspólne działanie z nimi było istotnie rezultatem kompromisu, a nie ślepego podporządkowania się naszego ich nakazom, należy zachować z nimi pewien kontakt, nie palić zbyt radykalnie mostów; obawiam się, aby to przedwczesne palenie mostów nie było lekkomyślnym zamykaniem sobie na przyszłość dróg do współdziałania. Przewiduję, że jeżeli tylko obie strony nie dadzą się unieść temperamentowi i zbytniej skłonności do przeceniania rozdźwięków wzajemnych, oraz

utemperują z rozwagą swą niechęć, która w dużym stopniu nie tyle na kierunkach, ile na osobach się funduje, to przyszłość da nam jeszcze niejedno pole do wspólnego działania na zewnątrz. Dlatego też, dopóki można, staram się tego kontaktu z „przeglądowcami” nie zrywać. A jednym z wyrazów tego kontaktu jest moje współpracownictwo w „Przeglądzie”. Może być, że się mylę. Powiadam, że to się jeszcze niezupełnie wyklarowało w mojej świadomości.

22 grudnia rok 1913 / 4 stycznia, rok 1914, niedziela
Dziś wyjechałem z Marynią i jej córką Ewą do Bohdaniszek na święta Bożego Narodzenia. Z Aninką moją przed wyjazdem nie zdążyłem się dziś zobaczyć. Pożegnałem się z nią już wczoraj wieczorem. Krótkie to wprawdzie rozstanie, bo w przyszłą niedzielę muszę być z powrotem w Wilnie, ale każde rozstanie w naszym serdecznym stosunku sprawia tęsknotę wzajemną. Szczególnie dla Anny ta świąteczna samotność tygodniowa będzie smutna. Ja bowiem będę na wsi wśród rodziny, podczas gdy ona spędza święta tu jedna, sama w swoim pokoiku maleńkim. Brak stałego zajęcia zostawia Annie dużo wolnego czasu. Zapełnia go jednak Anna zawsze umiejętnie i wskutek tego nie doświadcza nudy. Czyta dużo książek łotewskich, które czerpie z biblioteki wileńskiego towarzystwa łotewskiego (”Wilniu Latwceschu Beedriba”), wybierając zawsze dzieła kształcące, poważne studia literackie, historyczne lub naukowe albo poezję, w której się szczególnie lubuje; moja Aninka ma w lekturze gust wybredny i nigdy się sensacyjnymi romansidłami, tą tandetą literacką, nie karmi. Poza tym, studiuje teraz pilnie książeczki o ogrodnictwie, hodowli ptactwa itd., marząc o placyku antokolskim. Następnie uczy się zadanych przeze mnie lekcji z gramatyki polskiej i arytmetyki. Wreszcie bierze czynny udział w towarzystwie łotewskim i łotewskim teatrze amatorskim, ucząc się ról i uczestnicząc ciągle próbach teatralnych w „Rucie”. Te same zajęcia będzie miała Annin moja i teraz, w tym tygodniu świątecznym, ale moja nieobecność sprawia jej taką pustkę, której nic nie wynagrodzi. Od czasu powrotu Anny z Krasienina, to znaczy przez cały październik, listopad i grudzień, nie było ani jednego dnia (oprócz tylko dni spędzonych przeze mnie poza Wilnem, w Bohdaniszkach czy Wiązowcu), abyśmy się z nią nie widzieli. Jeżeli wieczorem nie byłem u niej, to przychodziłem do niej we dnie. Jestem dla Anny jedynym człowiekiem bliskim, kochającym i kochanym, toteż beze mnie jest ona jak bez duszy. Żadne zajęcia nie zastąpią jej mojej obecności, nie wypełnią pustki, którą sprawia mój wyjazd. Anna chciała bardzo pojechać do Libawy do matki na święta, ale nie ma na to pieniędzy. Zostaje więc przez święta w Wilnie – samotna. Ma sobie kupić malutką choinkę i zapalić w pokoiku swoim, zdobiąc ją drobiazgami. Biedaczka sama samotna przy tej choince zasiadać będzie. Ma sobie też ciasto słodkie upiec, słowem – będzie sobie sprawiać święta, raczej iluzję świąt w swym pokoiczku malutkim, wyczekując mego powrotu.
Wyjechaliśmy z Marynią i Ewą z Wilna o południu. Bilety mieliśmy kupione do Rakiszek, bo, jak Mama pisała i telegrafowała, wszystkie drogi do Abel są tak zawiane śniegiem, że niepodobna dojechać na stację. Z Rakiszek gościńcem jest lepiej. Przejeżdżając wszakże przez Abele, wyszedłem z wagonu na stację, by zobaczyć, czy czasem nie ma koni z Bohdaniszek. I akurat znalazł się parobek, młody Jodialuk, z Bohdaniszek, który przyjechał jednym konikiem. Zaraz więc wybrałem z wagonu część rzeczy i zostałem w Abelach. Marynia zaś z Ewą i resztą rzeczy pojechała dalej do Rakiszek. Przy mrozie kilkustopniowym i ostrym wietrze ruszyłem z Jodialukiem do Bohdaniszek w małych saneczkach z bardzo niskim siedzeniem i bez żadnego okrycia na nogi. Toteż bardzo marzłem w nogi przez całą drogę i w ogóle zimno mię wskroś przenikało. Jechaliśmy naokoło przez Antonosz drogą letnią, bo wszelkie inne drogi są

niedostępne. Zawieja, która przez tydzień przeszło szalała, nawiała ogromne masy śniegu. Po drodze raz tylko jeden wywróciliśmy się w Buciszkach. W Bohdaniszkach dowiedziałem się, że po Marynię nie posłano koni do Rakiszek, bo nic nie wiedziano, że dziś przyjedzie.

23 grudnia rok 1913 / 5 stycznia, rok 1914, poniedziałek
Z domu nie wychodziłem wcale. Zawieja przez cały dzień, wiatr, śnieg, początek odwilży. Śniegu są takie masy, że chodzić prawie niepodobna. Tym trudniej byłoby używać takich rozrywek zimowych, jak jazda saneczkami, do której dzieci Maryni – Ewa i Stefuś – miałyby wielką ochotę.
Mama niedobrze się ma, ma katar wielki. Sama przez się nie jest to choroba ciężka, ale dla Mamy wszelkie cierpienie, szczególnie w płucach, jest niedobre. Jednak biedaczka Mama, choć tak szczęśliwie uratowana została z ciężkiej choroby sprzed dwóch lat, posunęła się bardzo. Rzadko już miewa ten swój humor wspaniały i swoją werwę dawną, a za to wszelkie troski i niepokoje bierze niezmiernie do serca i trapi się nimi ponad wszelką miarę. Cicha jest na ogół, serdeczna, słaba, bardzo, potrzebująca ciepła i troskliwości, jakby przybita trochę. Biedna kochana Mama.
W Bohdaniszkach miały dziś miejsce urodziny. P. Krystyna Grażyńska, żona ekonoma i sama ochmistrzyni, Biesiekierska z domu, siostra mojego leśniczego Józefa Biesiekierskiego, w Wiazowcu, powiła koło południa synka. Połóg był ciężki i bolesny. Bóle połogowe zaczęły się w sobotę wieczorem i trwały 1 ½ doby. P. Grażyńska odbywała pierwszy połóg, a że ma już trzydziestkę z dobrą górą, bodaj czy nie 38 lat, więc naturalnie, że połóg musiał być ciężki. Dziecko to urodziło się w 6 miesięcy po ślubie rodziców, widocznie okres narzeczeństwa musiał być romantyczny. Wszystko jest dobre, co się dobrze kończy.

24 grudnia rok 1913 / 6 stycznia, rok 1914, wtorek
Dzień kucji. Od rana znać było nastrój przedświąteczny, zwłaszcza przygotowania do uczty wigilijnej. Na kucję czekamy gości z Kowaliszek. Mama wydaje dyspozycje, kucharka Kostusia Niemeykszówna, służąca Ewka z małą pomocnicą Emilką Podolską, lokaj Kazimierz, apteczkowa panna Łucja Biesiekierska krzątają się nad przygotowaniem kolacji oraz sprzątaniem w domu. W kuchni skrobią rybę, przyrządzają sosy i przyprawy, orszadę, podsyto itp. Na górze opalają się wszystkie pokoje, ścielą łóżka dla gości, sprzątają. Marynia i Ewa osobiście czuwają nad wykonaniem robót. Dla małej Milci Komorowskiej ma być wieczorem po kucji choinka. Toteż koło południa pojechaliśmy z Ewą, Stefusiem i leśnikiem w rozwalinkach do Gaju dla wyrąbania i przywiezienia jodełki na choinkę. W młodym jedlniaku pod Karwieliszkami za krzyżem moim, brnąc po kolana, a nieraz po pas w głębokim śniegu, chodziliśmy z Ewą i leśnikiem od drzewa do drzewa, wybierając choinkę. Wybraliśmy wreszcie jedną, piękną i wielką, a równo ze wszystkich stron i zgrabnie gałązkami obrosłą, którą leśnik zrąbał. Przywieźliśmy choinkę do domu i ustawiliśmy w nowym salonie, a dzieci pod komendą Maryni zajęły się zdobieniem drzewka. Koło godz. 3 nadjechali z Kowaliszek Hektor i Julek Komorowski. Hektor przywiózł nam na święta dwa piękne bażanty, upolowane w zeszłym tygodniu w Kurmanie. Był on tam na wielkim polowaniu na bażanty, w którym zastrzelono przeszło 250 sztuk tego ptactwa. Po raz pierwszy, zdaje się, w życiu będę miał okazję zakosztowania mięsa bażantów, które ma być szczególnie delikatne i smaczne. Czekając na przyjazd reszty towarzystwa kowaliskiego, poszliśmy z Hektorem i Julkiem oraz Stefusiem wypróbować nową sikawkę, sprowadzoną przez Mamę, a potem wypróbowaliśmy jeszcze przywieziony przeze mnie aparat „Minimax” do

gaszenia pożaru. Ułożyliśmy na trasie ogrodowym przed oknami wielkiego pokoju płaski stos drew ze słomą, który oblaliśmy naftą i zapaliliśmy. Wtedy spróbowaliśmy gaszenia aparatem. Aparat funkcjonował dobrze i wykazał wielkie przymioty. W tym czasie nadjechała reszta towarzystwa z Kowaliszek, a więc Elizka i Zyś, ich mała 5-letnia córeczka Milcia ze swą boną, dalej panna Jadwiga Komorowska, starsza siostra Zysia, i kilkunastoletnia Zosia Pomorska, córka drugiej siostry Zysia. Przed godz. 5 zasiedliśmy do kucji, spożywanej podług tradycji na stole, zasłanym sianem (pod obrusem). Wieczerza składała się z dań następujących (po opłatku): lekki kwasek bielony z kluseczkami z ryby, sądacz na zimno z sosem majonezowym, śliżyki z makiem, leszcz smażony, ryż słodki na zimno z rodzynkami z sokiem i kisielek z mlekiem. Po kolacji zapalono choinkę i raczono się słodyczami i bakaliami z herbatą. Takeśmy się zabawili do godz. 10 wieczór i poszliśmy spać.

25 grudnia rok 1913 / 7 stycznia, rok 1914, środa
Święto Bożego Narodzenia upłynęło bardzo cicho. Chodziłem z Zysiem i Hektorem na spacer do Gaju, co przy dużych zaspach śnieżnych nie było bardzo wygodne. Poza tym i nade wszystko dużo się jadło. Mama, Elizka, panna Jadwiga Komorowska i Hektor przez większą część dnia grali w karty. Papa najwięcej siedział w swoim gabinecie. W Bohdaniszkach Papa w ogóle najwięcej czasu spędza u siebie, sam w swoim gabinecie, wychodząc do gości tylko chwilowo i przygodnie. O ile w Wilnie nadzwyczajnie się w Papie podnieca żyłka towarzyska, o tyle w domu na wsi Papa zamyka się w samotności. Takie jest dziwne usposobienie Papy. Zyś i Marynia tułali się większą część czasu po kątach, bez określonego zajęcia, Zyś wertował encyklopedię, trochę rozmawiał to ze mną, to z Marynią, to z Papą. Dzieci za to bawiły się ciągle w najlepsze. Julo wśród nich rej wodził, imponując konceptami i Stefkowi wyprawiając psikusy. Trochę i ja się pod wieczór z dziećmi bawiłem, to w karty, to w dżenkisa, a raz nawet w „cirukomę”. Bardzo miłe dziecko ta 11-letnia Zosia Pomorska, córka profesora Pomorskiego i p. Karoli, Komorowskiej z domu, siostry Zysia: jest bardzo energiczna, rozwinięta, niezmiernie naturalna, amatorka sportów męskich (do spacerów ubiera się po męsku). Dzień upłynął tak łagodnie, tak po filistersku, że nie ma nic właściwie do zanotowania w dzienniku.

26 grudnia rok 1913 / 8 stycznia, rok 1914, czwartek
Słońce od rana świeciło pięknie, bieląc pola śnieżne i złocąc je iskierkami połysku. Mróz dochodził do 12° Reaumura, ale wiatru nie było wcale, toteż na spacerze nie było zimno bynajmniej.
Zaszła dziś maleńka scysja między Mamą a Zysiem, mała burza w szklance wody. Poszło o projekt Maryni pożyczenia pieniędzy cioci Masi Bohdanowiczowej na żyro Michała Ordy. Ciocia Masia w roku zeszłym wspominała Mamie, że chciałaby pożyczyć dwadzieścia kilka tysięcy rubli. Odradziłem wtedy Mamie udzielania pożyczki, bo nie wiemy, czy c. Masia ma jakąkolwiek własność na swoje imię. Wiemy, że c. Masia zlokowała cały swój fundusz u synów, którzy jej wypłacają procenty coroczne, ale czy ten fundusz jest zlokowany formalnie na imię cioci, czy formalnie przeszedł na własność synów – Mieczysia i Ignasia – nie wiemy. Nie ma więc pewności, czy po śmierci c. Masi synowie jej zechcieliby płacić jej długi i czy będzie jakiś jej fundusz własny, z którego dałoby się dług uzyskać. Mówiłem wtedy Mamie, że tylko pod tym warunkiem można pożyczyć cioci, jeżeli Mieczyś poręczy czy zażyruje. Na tym sprawa upadła. Teraz Marynia, biorąc spadek po śp. cioci Cesi w kwocie kilkunastu tysięcy, przypomniała sobie o zeszłorocznej propozycji c. Masi i napisała do niej, zapytując, czy nie zechce pożyczyć pod warunkiem zażyrowania długu przez Ordę

(zięcia cioci Masi) na 7% rocznie. C. Masia odpowiedziała telegraficznie, że życzy i na warunki się zgadza. O ile wiemy, c. Masia chce mieć te pieniądze dla dania ich swej córce Mani, żonie Michała Ordy. Michał Orda kupił w roku zeszłym duży majątek Dąbrowa w Pińszczyźnie od p. Staszewicza za 250 000 rb. i z pewnością potrzebne mu są teraz pieniądze. Słychać nawet, że myśli o sprzedaży swego własnego dziedzicznego majątku Berezicz. Marynia zdecydowała się ostatecznie na pożyczenie pieniędzy c. Masi, a już i Elwira Mieczkowska, kwapiąc się na wyższy procent, chce także pożyczyć c. Masi swoją schedę spadku po śp. cioci Cesi. Pod wpływem tych projektów Mama także zaczęła myśleć o zlokowaniu jakiejś kwoty w pożyczce c. Masi. Zresztą co do Mamy, to są to tylko przelotne *desiderata*, których Mama z pewnością nie urzeczywistni, bo ja sam dla wielu względów nie będę Mamy do tego zachęcać. Otóż Zyś usłyszał o tym i zaniepokoił się wielce. Głównie naturalnie przejęty jest Zyś tym, aby w razie ewentualnej śmierci Mamy można było jak najrychlej spieniężyć i podzielić jej fortunę, toteż przeciwny jest wszelkiemu lokowaniu kapitałów Mamy w czymkolwiek innym, jak w gotówce brzęczącej lub papierach wartościowych. Z tego względu jest on też takim nieubłaganym przeciwnikiem Wiązowca i chciałby, aby cały Wiązowiec z lasem i ziemią został jak najprędzej przetopiony na monetę, zdatną do natychmiastowego podziału po śmierci Mamy. Od razu więc Zyś się nasiadł przeciwko projektowi pożyczki, a choć go zapewniłem, że Mama nie pożyczy, nie mógł wytrzymać, aby nie rozwinąć natychmiast agitacji choćby na zapas. Zyś ma naturę ekspansywną, zapala się do agitacji i przejaskrawia takową zawsze aż d przesady. Jest przy tym wścibski, uważa się za powołanego do udzielania wskazówek i rady, i po prostu gwałtem chce przeforsować swoją tendencję, a sam uważa siebie za nieomylnego. Toteż nie tylko że zafrasował się o pożyczkę Mamy, ale też gorąco się zapalił do udaremnienia pożyczki Maryni i Elwiry. Co do pieniędzy Maryni, to może miałby sam ochotę je dla siebie pożyczyć. Zresztą może się tym bezinteresownie zajął. Dość , że ze zwykłą przesadą w najczarniejszych barwach przedstawiać losy tej pożyczki. Ordę przedstawił za bankruta, za firmę zupełnie pieniężnie niepewną, c. Masię za narzędzie do ratowania Ordy cudzym kosztem, a cały interes pożyczki za jakąś oszukańczą spekulację do wyłudzenia z rąk Maryni jej drobnego kapitaliku. Gadał już ze mną o tym wczoraj, potem pobiegł do Papy, zamknął się z Papą w gabinecie i przez dobrą godzinę wmawiał swoje argumenty, znając łatwe poddawanie się Papy jego inspiracjom; i rzeczywiście Papa zaraz po rozmowie już z Zysiem zaczął próbować odmawiać Marynię; dziś na spacerze znowu mi Zyś o tym samym gadał, przejaskrawiając sytuację aż do poziomu jakiegoś pewnika klęski, potem już wezwał Marynię na górę do swego pokoju i jej to samo wmawiał. Unikał tylko starannie Mamy, bo jej się lęka, wiedząc, że Mama zdemaskuje i odeprze ostro jego inspiracje. Ale Marynia, wróciwszy z góry, podrażniona gawędami Zysia, przeniosła dalszy ciąg rozmowy przed publiczne forum Mamy. Zyś, wbrew chęci, musiał kontynuować w obecności Mamy. A zły był na Marynię za to, że nie poddała się perswazji i zaczął wygrzebywać dawne jej winy i przez niego urojone co do stracenia Ikaźni i jakichś pieniędzy, wyłudzonych przez Korzeniewskiego od Witolda na skutek lekkomyślnej słabości Maryni. Mama, która się zawsze zapala i odzyskuje lwią energię, gdy chodzi o odparcie zarzutów, skierowanych do jej dzieci, z całą bezwzględnością zaczęła zaprzeczać i zarzucać fałsz Zysiowi. Powstała ostra scysja i Zyś obrażony wybiegł z pokoju i kazał zaprzęgać konia, by wyjechać. Ledwo udało się mnie, Maryni i szczególnie Elizce załagodzić Zysia i doprowadzić Mamę z nim do zgody. Zyś , który jest łagodny, zmiękł i dał się ukoić. Wieczorem już w najlepszej zgodzie grał z Manią, Elizką i Hektorem w karty.

27 grudnia rok 1913 / 9 stycznia, rok 1914, piątek
Po ślicznym pogodnym dniu wczorajszym już wczoraj z wieczora dąć zaczął coraz silniejszy wiatr południowo-wschodni ze śniegiem. W nocy wiatr przeszedł w szaloną wichurę śnieżną, rodzaj huraganu, sypiącego z gwałtownym pędem cały potop śniegu. Przez cały ranek i południe szalała dzika zamieć. Mróz spadł do 1° R., ale odwilż nie nastała. Ogromne zaspy śnieżne, które się nagromadziły w ostatnich trzech tygodniach ciągłych zawiei, powiększyły się znakomicie nowymi masami lotnego śniegu nocy i dnia dzisiejszego. Od rana we dworze rozkopano drogi zawiane, ale za obrębem dworu wszelka komunikacja zewnętrzna stała się chwilowo niemożliwa. Komorowscy, którzy mieli wyjechać dziś rano, musieli z konieczności zostać, bo o dotarciu do Kowaliszek w zawieję i przy takich zaspach – mowy być nie mogło. Wszystkie drogi znikły pod śniegiem, a już o przejazdach przez wioski, przy wszelkich płotach i krzakach lub drzewach, oraz w dolinach między wzgórzami, gdzie się za wiatrem skupiają i osiadają masy śnieżne, nie ma co myśleć. Powietrze było gęste od padającego śniegu, który mgłą zasłaniał najbliższy horyzont. Po obiedzie koło godz. 2-3 wicher ucichł i śnieg ustał. Gdyśmy poszli o zmroku z Marynią, Julkiem, Ewą, Stefusiem i Zosią Pomorską na spacer pod łaźnię, brnąc po śniegu nawet na rozkopanej drodze, widok był śliczny. Dokoła wyrastały białe wzgórza śnieżne, miękkie i lekkie jak puch, wszystko tonęło w świeżej czystej a gęstej bieli; puchy śnieżne pokrywały wszystkie gałązki drzew, a ogromna świeża powłoka miękkiego śniegu, niwelująca wszelkie kontury i twarde kształty, tłumiła akustykę i napawała przestrzeń olbrzymią ciszą. Przy bramie, wiodącej na drogę antonoską, spaliliśmy kilka fajerwerków ku uciesze dziatwy parobczańskiej. Dzieci nasze z Julkiem na czele bawiły się i używały sobie w śniegu; trącały się i przewracały do zasp, rzucały się śnieżkami, tonęły w miękkich puchach zimy. Ku wieczorowi w wielkiej ciszy, która nastała, mróz się trochę wzmógł.
Zima tegoroczna, przynajmniej teraz w grudniu, jest w pełnej mierze zimą co się zowie. Takie masy śniegu, jakie mamy teraz, mogą się mierzyć ze śniegami jedynej podobnej zimy, jaką pamiętam – z roku 1907 na rok 1908. I teraz, jak wtedy, nie ma dróg, nie ma komunikacji prawidłowej. Masy lotnego śniegu zaściełają całą przestrzeń ziemi, a co się drogi trochę wyjeżdżą, to nowe śnieżyce zasypią i znowu nie ma nic prócz jednolitej masy, raczej jednolitego puchu pyłków śnieżnych niezgłębionej warstwy.

28 grudnia rok 1913 / 10 stycznia, rok 1914, sobota
Od samego rana Papa posłał parobków torować drogę i rozkopywać śnieg na drodze przez Prapultinię i Staczeragi aż do gościńca rakiskiego w Kurkleciach. Tędy bowiem mają dziś wracać do Kowaliszek Komorowscy i tędy mam jechać na pociąg ja. O dojechaniu na stację do Abel nie ma nawet mowy. Wiatr, który był ustał wczoraj pod wieczór, dziś od ranka zaczął się podnosić. Tym razem zmienił kierunek i dął z północy. Wzmagając się stopniowo, przy niewielkim mrozie, zaczął wkrótce grozić nową zawieją. Koło godz. 10 w powietrzu się ukazały pierwsze, drobne jeszcze, płatki śniegu, gnane wiatrem. O godz. 11, przy zaczynającej się zawiei, wyjechali Komorowscy. O południu zawieja była już w całej pełni. Gęstość spadającego śniegu była trochę mniejsza niż wczoraj, ale wiatr nie mniejszy i całe masy lotnego śniegu wczorajszego, zrywane z ziemi wiatrem, łączyły się ze śniegiem świeżym spadającym i, tworząc tumany zamieci, w dzikiej kurzawie pędziły po polach, osiadając przygodnie w nizinach, zagłębieniach, przy płotach, chatach itd. oraz zasypując i równając wszelkie nowe ślady dróg. Musiałem wyjeżdżać, aby być jutro w Wilnie. Przed wyjazdem bowiem z Wilna byłem u p. Aleksandra Meysztowicza i prosiłem go o udanie się do gubernatora Wieriowkina dla wysondowania go w sprawie wydania mi świadectwa prawomyślności („свидетельство благонадежности”). Świadectwo to jest mi

potrzebne dla przedstawienia do sądu przy ponownej próbie uzyskania świadectwa prowadzenia w sądzie spraw cywilnych. Nie jestem pewny, czy gubernator mi je wyda przy zasięganiu o mnie informacji od policji, dlatego też chcę tu użyć protekcji p. Meysztowicza. P. Meysztowicz, bawiący wtedy w Wilnie w przejeździe z Petersburga po zamknięciu sesji Rady Państwa, której jest członkiem, obiecał mi pomóc najchętniej, ale nie miał czasu zrobić tego przed świętami, przyrzekł mi więc, że po powrocie ze wsi do Wilna czwartego dnia świąt, to znaczy jak dzisiaj lub najdalej jutro, będzie u gubernatora w mojej sprawie. Muszę więc być tam jutro, aby się dowiedzieć o rezultacie i móc ewentualnie pójść jeszcze do gubernatora z Meysztowiczem, o ile zajdzie potrzeba. Żeby być w Wilnie jutro rano, dość mi wyjechać z Abel czy Rakiszek pociągiem północnym. Ale po nocy, choć noce są jasne księżycowe, w zawieję jechać końmi na stację niebezpiecznie. Musiałem więc wyjechać tak, aby za dnia dojechać do Rakiszek na stację i tam już na pociąg północny zaczekać. Jakoż o godz. 2 wyruszyłem w drogę. Jechałem sankami z furmanem, poprzedzony przez parobka Jodialuka, który w rozwalinach wiózł rzeczy moje. Droga do gościńca do Kurkleć była ciężka. Konie brnęły przez zaspy, ale jeszcze ślad rozkopania rannego był znaczny. Wiatr mieliśmy z boku, a miejscami z tyłu. W niektórych miejscach, np. w Prapultini, wicher gnał takie chmury śniegu w szalonym pędzie, że powietrze zdawało się być jedną masą śnieżną, równą masie leżącej na ziemi, z tą tylko różnicą, że pierwsza była ruchoma. W miejscach zaś zacienionych, jak np. za lasem staczeraskim po drodze do Kurkleć, powietrze było przepełnione drobnym jak proszek pyłkiem śnieżnym, osiadającym tutaj, ale niezmiernie lotnym na skutek właśnie swego rozpylenia krańcowego. Na gościńcu droga była lepsza i ruch ciągły, więc bądź co bądź podstawa drogi, choć z wierzchu zasypanej, jest twarda, utorowana, a że gościniec ten idzie przeważnie po równej otwartej miejscowości, więc śnieg lotny nie może się tu zatrzymywać i jest zwiany dalej, a przeto zaspy na tej drodze są rzadkie. Za to w wioskach, jak np. Lejbgalce, gdzie zaspy śniegu się nagromadziły i droga się już na nich utorowała, jedzie się na poziomie wierzchołków płotów, a czasem wyżej jeszcze, na dachach zaś od strony za wiatrem leżą takie pokłady śniegu, jak góry całe. Mróz był tylko kilkustopniowy, ale wiatr północny tak ostry, tak mroźny i przenikliwy, że gdy wiał nam od frontu, jak np. Za karczmą łajbgalską do lasu szyłańskiego, to mroził straszliwie twarz całą, a przenikał przez futro do kości. Wolałbym mróz 20-stopniowy od takiego wiatru. Do Rakiszek na stację dojechałem dość prędko, bo już o godz. 4 tam byłem. Furmana i parobka odprawiłem natychmiast, bo mię o to prosili, aby zdążyć jeszcze wrócić do domu, gdyż po nocy w zawieję niebezpiecznie. Miałem do pociągu 8 godzin. W poczekalni na stacji było zimno jak w stodole, mimo że piec był letni. Dałem stróżowi gościńca, aby w piecu napalił, a z nędznego bufetu stacyjnego kazałem sobie podać herbatę. Głucho było na stacji. Przeszedł jakiś pociąg towarowy, później o godz. 6 ½ osobowy z Kałkun. Wicher straszliwy wył za ścianami budynku, zimno wiało przez szpary okien. Pasażerów tylko kilku, zziębniętych. W poczekalni II klasy tylko ja i kobiecinka jakaś, jak się później pokazało: Mejnelisowa, Daszczarówna z domu. W pierwszej ogólnej poczekalni raz w raz zbierała się dla ogrzania się gromadka robotników z łopatami, rozkopujących śnieg na torze kolejowym w najbliższym promieniu stacji. Ich rozmowy, tupot nóg w ciężkich butach – sprawiały wrażenie łoskotu w martwych zimnych ścianach budynku. Potem na wieczór tylko jedna jakaś lokomotywa przesunęła się, dążąc od Kałkun w kierunku Radziwiliszek. Opowiadano, że w zawiejach tej zimy zginęło na mrozie 18 ludzi w parafii rakiskiej. W Poniewieżu wczoraj na skutek zawiei i niemożności widzenia ogni sygnalizacyjnych nastąpiło zderzenie pociągu towarowego z manewrującym: zginął konduktor, któremu nogi odcięło i ręce potrzaskało. Mówiono też na stacji, że jakaś lokomotywa ugrzęzła gdzieś

w śniegach na linii i zasypana została i że ją teraz rozkopują. Skracałem sobie czas lekturą. Mam ze sobą trzy książki ciekawe, które na przemian czytam: pamiętniki Lady Schelley z początku XIX w., Kutrzeby Historia ustroju Litwy i dzieł Krasińskiego tom II. Krasińskiego całość dzieł czytam, wstyd wyznać, po raz pierwszy w życiu. Byłem doń uprzedzony, ale znajduję w nim przepiękne rzeczy i przeczyste myśli w sferze idei, jak szlachetne „Psalmy przyszłości" i „Dzień dzisiejszy". Inaczej się wprawdzie kształtuje moja idea niż jego, ale w pierwiastku idei naszych, jak zresztą każdych, wyrosłych z kultury naszej, jest duże pokrewieństwo. Krótki utwór Krasińskiego, zatytułowany „Ostatni" poruszył we mnie głębokie wrażenia dziecinne. Ten wiersz kiedyś, mając lat 8-9 (w roku 1888-1889), przepisywałem do mego kajetu i odczytywałem ze szczególnym wzruszeniem. Wywierał on wtedy na mnie głębokie wrażenie, potem zapomniałem o nim. Teraz oto go znowu odnalazłem i żywo odczułem dziecinne wrażenia. Koło północy stróż stacyjny oznajmił, że pociągu naszego nie będzie i że nawet wcale nie wyszedł on z Radziwiliszek. Położyłem się więc spać w futrze na ławie w poczekalni.

29 grudnia rok 1913 / 11 stycznia, rok 1914, niedziela
Choć twardo było leżeć na ławie drewnianej i choć niewygodnie i zapewne niehigienicznie spać w futrze z kołnierzem nastawionym i w kaloszach, jednak wyspałem się zupełnie dobrze i zmęczenia rano nie czułem. O godz. 7 ½ zbudziło mię zajadłe szczekanie pieska bufetowego, którego w sąsiedniej ogólnej sali drażnił znudzony i czekający też zapewne jak ja na pociąg Żydek. O pociągu żadnej wieści. Stacja, choć już obudzona, cicha tak jak wczoraj. Wicher huczy nie mniejszy, ale śnieg nie pada, zawiei nie ma. Mróz za to, zdaje się, znacznie większy. Minęła pora już nie tylko pierwszego, północnego, pociągu, ale i drugiego, rannego, który powinien przychodzić do Rakiszek o godz. 6 rano. A tu nic, żadnego śladu pociągu, żadnej wskazówki, aby się zbliżał. Głucho i martwo dokoła. Tylko wicher dmie, świszczy, huczy, wyje wściekle za ścianami budynku stacyjnego, wciskając się we wszystkie szczeliny do środka i wiejąc mroźnym tchnieniem we wnętrzu. Na tle szalejącego na zewnątrz wichru sam budynek stacyjny wydaje się czymś wątłym, niepewnym. Zimno bardzo. I tylko piesek szczeka w sąsiedniej sali, stróż dyżurny drzemie i Żydek próbuje dla rozrywki drażnić psa; zaspana bufetowa stara się okutać cieplej; a w poczekalni ja i moja towarzyszka niedoli Mejnelisowa, która się przespała w pokoiku damskim, raczej ziębnąc i drżąc, niż wypoczywając; Mejnelisowa z cierpliwą rezygnacją znosi los czekania na pociąg, poczęstowała mię smacznym jabłkiem, za co się ja wywdzięczyłem, częstując ją kowaliskimi orzechami w cukrze. Kobiecina gawędzi ze mną, skracając sobie czas i zaspakajając potrzebę ciekawości i chęć wypowiedzenia się. Jest ona z urodzenia moją współparafianką z wioski Gigieliszki nad jeziorem Sorty parafii krewieńskiej. Należy do bogatszej, a więc wyższej sfery włościańskiej. Jest z domu Daszczarówna, a zamężna za Mejnelisem, rodzonym bratem słynnego w okolicy „bogacza" Mejnelisa, zmarłego przed kilku laty. Mejnelis, chłop prosty, miał kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy rubli kapitału. Skąd doszedł do tego funduszu, tego ja nie wiem. Nie był nigdy inteligentem i nie miał wcale pretensji do tego. Nawet po wzbogaceniu się nie myślał nigdy się wynosić i piąć nad stan swego urodzenia. Był to chłop litewski starego autoramentu. Chłopem się urodził i chłopem pozostał do śmierci. Miał powagę, cenił swoją godność, ale ani parweniuszowskiej żyłki pięcia się do szlachty nie miał, ani też nie pragnął grać jakiejś roli przywódcy ludowego. Jak parweniuszowskie „państwo", tak demagogia były mu zupełnie obce. Był konserwatystą z krwi i kości. Nie był nigdy narodowcem litewskim w znaczeniu nowożytnym, ale nie przestał być patriarchalnym Litwinem z obyczaju, tradycji, z krwi

po prostu. Cenił i uznawał układ społeczny, przekazany przez przeszłość i nie rozumiał po prostu żadnych prądów nowych, żadnych „nowinek”. Był skąpy i rozważny a stateczny, natomiast ofiarny na kościół, księży i w ogóle wszystko, co się wiązało ze sprawą „zbawienia duszy” po śmierci. To „zbawienie duszy” było główną troską, i jedyną namiętnością pobożnego patriarchalnego chłopa litewskiego Mejnelisa. Miał jednak swoją fantazję, swoją hojność – mianowicie w gościnności. Przyjęcia imieninowe u Mejnelisa były świetne: nie żałował wtedy na przekąski drogie, na wina. Zjeżdżali się do niego wtedy księża, których szczególnie cenił jako szafarzy zbawienia, arystokracja włościańska, szlachta, nawet ziemianie-arystokraci, jak np. ongi stryj Bronisław Römer. Sława jego świetnych przyjęć pochlebiała mu, ale nigdy nie schodził ze swego stanowiska bogatego Mejnelisa Litwina katolika, nigdy ani się garnął za pan brat do arystokracji ziemiańskiej czy szlachty, ani jej schlebiał, ani też nią gardził. Nigdy się nie ożenił i umarł kawalerem. Folwark swój zostawił braciom (niewielka to scheda), kapitał zaś przeznaczył całkowicie na „zbawienie duszy” do rozporządzenia ks. proboszcza rakiskiego Jankowskiego, to znaczy na cele katolickie ze szczególnym uwzględnieniem sprawy jego osobistego zbawienia. Taki typ Mejnelisa – to typ stary bogatych chłopów litewskich, typ, który się dziś ciągle przekształca w kierunku podłym plutokratów-dusigroszów, którym imponuje li tylko pieniądz, siła i użycie, bądź w kierunku szlachetnym ideowych narodowców i społeczników. Wszakże pierwiastki typu Mejnelisa nie zanikły dotąd bynajmniej w sferach bogatego włościaństwa litewskiego, typ ten jest dotąd jeszcze żywotny i częsty na Litwie, przynajmniej w naszych stronach. I moja kobiecina, Mejnelisowa, Daszczarówna z domu, też do tego typu należy. Ale wracam do losów moich w tej niefortunnej podróży do Wilna. Mejnelisowa zabawiała się ze mną gawędką, opowiadaniem. Zna moich rodziców, o których zachowała pamięć wdzięczną, a fakt współparafiaństwa naszego z urodzenia jest w jej oczach, starym trybem, nie tylko faktem zewnętrznym, ale istotnym łącznikiem, pewnym wiązadłem społeczno-duchowym. W toku gawędki naszej usłyszeliśmy ponowny dźwięk dzwonka stacyjnego. Wybiegłem na zwiady, sądząc, że to może nasz pociąg wyszedł z sąsiedniej stacji Poniemuńka i zbliża się do nas. Dowiedziałem się wszakże na peronie, że to tylko dwie lokomotywy, dążące do Kałkum i poprzedzające z daleka, bo o kilka godzin, nasz pociąg, wyruszyły z Poniemuńka. Dowiedziałem się przy tym, że to właśnie dwie lokomotywy są winowajczyniami niewyjścia wczoraj z Radziwiliszek naszego pociągu. Ugrzęzły one wczoraj pod wieczór w zaspie śnieżnej pod Szadowem i wkrótce zostały zasypane przez śnieg jeszcze bardziej. Trzeba było szukać ludzi po wioskach do ich odkopywania, co w zawieję nie było łatwe. Do 100 robotników pracowało w nocy nad uwolnieniem ugrzęzłych potworów. Dopiero w kilka godzin po północy uwolniono je tak, by mogły ruszyć i oto teraz dążą do Kałkun, a za nimi o kilka godzin drogi posuwa się nasz pociąg, który o godz. 3 ½ w nocy wyszedł z Radziwiliszek i tu dopiero na godz. 11 może być spodziewany. Wkrótce stacja nasza zaczęła się ożywiać. Zaczęli coraz liczniej napływać pasażerowie na pociąg dzienny. Gwar, ruch – wypełniły pustą i głuchą dotąd stację. Wreszcie o godz. 11 ½ przed południem przybył pociąg i zabrał nas. W wagonie miałem miejsce wygodne; było ciepło, toteż z rozkoszą ogrzałem zziębłe członki. Tymczasem już na dworze znowu szalała zawieja. Pociąg szedł nierówno, przez zaspy. Dojechaliśmy do Abel. Tu musieliśmy się skrzyżować z innym pociągiem osobowym, wyekspediowanym z Kałkun. Staliśmy długo, a przez ten czas zawieja naniosła takie mnóstwo śniegu pod koła pociągu, tak wypełniła nim resory, maszynerię kołową lokomotywy itd., że gdy przyszło ruszyć z miejsca, pociąg przez czas długi, pomimo rozpaczliwych wysiłków, nie był w stanie się dźwignąć. Koła nie chciały i nie mogły się obracać, były chwilowo unieruchomione. Patrząc na te wysiłki,

doznawało się wrażenia, że lokomotywa i pociąg jest jakąś istotą żyjącą i żal się robiło biednego potwora żelaznego. Wreszcie udało się ruszyć. Nim dojechaliśmy z Abel do Jodłówki, zawieja ustała. Wiatr się nieco uciszył, śnieg przestał padać. W Jodłówce znów wypadło czekać na pociąg towarowy, idący od Kałkun. Pociąg ten przyszedł wkrótce, ale się okazało, że w drodze zostawił na torze 9 wagonów towarowych. Zaraz więc lokomotywa ruszyła dla zabrania i przyciągnięcia tych wagonów, bo inaczej my byśmy wpadli na nie. Wreszcie wagony przywleczono i my wyruszyliśmy do Kałkun dokąd przybyliśmy o godz. 3 ½ po południu. Tu się dopiero okazało, że co do komunikacji na Wilno, to nic pod tym względem nie wiadomo. Pociągi idące z Wilna, choć z pewnym opóźnieniem, jednak wszystkie szły, co zaś do pociągów, idących z Petersburga, to jeszcze teraz, w niedzielę pod wieczór nie przeszły przez Kałkuny te, które tu być musiały wczoraj, to znaczy w sobotę rano. Dziś rano dwa jakieś pociągi na Wilno przeszły przez Kałkuny, ale były to dopiero te, które tędy iść musiały z piątku na sobotę. Cała więc masa pociągów z dwóch dni tkwi gdzieś w drodze, walcząc z przeszkodami śnieżnymi. Przy mnie zaczęły przebiegać przez Kałkuny wczorajsze kuriery nocne – kijowski, odeski, warszawski i wierzbołowski, spóźnione o 12-15 godzin, a wyprzedzające inne pociągi osobowe jeszcze bardziej spóźnione. Na szczęście, natrafiłem na jakiś pociąg lokalny, idący z Dyneburga, którym o godz. 7 ½ wyjechałem i teraz już bez przeszkód do Wilna dojechałem.

30 grudnia rok 1913 / 12 stycznia, rok 1914, poniedziałek
Gdym przyjechał po północy do Wilna i wpadł do mego mieszkania, byłem do tego stopnia niezmęczony, mimo nocy wczorajszej, przespanej na ławie drewnianej w Rakiszkach na stacji, żem postanowił się nie kłaść wcale. Chciałem bowiem opisać w liście do Bohdaniszek moje przygody i wrażenia z tej dwudniowej „podróży" do Wilna. Po drodze z Kałkun do Wilna spałem w wagonie przez jakieś cztery godziny, więc się już czułem wypoczęty. W domu chłód w pokojach był dotkliwy. Mrozy, a zwłaszcza wiatry paraliżują działanie pieców. Kazałem Anusce podpalić u mnie w piecu, nastawić samowar i, marznąc w nogi, zasiadłem przy biurku do pisania. Napisałem list sążnisty do Bohdaniszek z opisem mojej „podróży", potem dziennik, zrobiłem porządki u siebie i w lot mi upłynął czas do ranka. Rano pośpieszyłem do Anny. Zaniosłem jej trochę łakoci i drobiazgów, przywiezionych z Bohdaniszek. Aninka spała jeszcze, gdym przyszedł. Poczekałem, żeby się ubrała i wszedłem do niej. Przywitała mię gorąco, stęskniona. Opowiadałem jej szczegółowo z wielką werwą perypetie mojej jazdy do Wilna. Potem poszliśmy z nią na miasto. Przywiozłem Annie z Bohdaniszek na jej prośbę mój aparat fotograficzny, będzie się uczyć fotografować, co jej sprawi rozrywkę. Wieczór znowu u niej spędziłem. Gdym koło godz. 11 wieczorem wrócił do domu, zastałem Zysia Komorowskiego z Julkiem, którzy najniespodzianiej przyjechali do Wilna. Julek jedzie stąd do Warszawy na jakieś wykłady rolnicze, Zyś przyjechał dla poinformowania się w sprawie przypisania się Julka do wileńskiego okręgu wojskowego.

31 grudnia rok 1913 / 13 stycznia, rok 1914, wtorek
Koniec roku 1913. Nie był to dla mnie rok zły. Miał, jak każdy, pewne fakty ujemne, ale na ogół nie zapisał się w kronice mego życia zgłoskami jakichś klęsk lub nieszczęść. Moje życie osobiste w tym roku płynęło dość równo, a nie brak było i czynników dodatnich. W moim stosunku z Anną byłem zupełnie szczęśliwy i kończę ten rok stary z głębokim przeświadczeniem o rzetelnej trwałości tego związku. Pod tym względem wątpliwości mieć żadnych nie mogę. Związek ten jest stanowczo jedną z najgłębszych podstaw mojego życia. Nasze pożycie z Anną w początku tego roku było zabarwione

troską i smutkiem obaw o zdrowie Anny, zdawało się, że Anna ma już początki groźnych suchot, obecnie obawy te prysły zupełnie, już po powrocie z Krymu stan zdrowia Anny przestał budzić obawy, pobyt zaś letni w Krasieninie i jej stan obecny – zupełnie wykluczają myśl o niebezpieczeństwie. Pod koniec roku wykrystalizował się projekt nabycia placyku na Antokolu, który się może stać zawiązkiem ustalenia materialnych podstaw tak bytu Anny, jak przyszłej formy naszego związku.
W sprawach moich osobistych dość poważną rolę odegrało odmówienie wydania mi świadectwa w sądzie okręgowym na prowadzenie spraw cywilnych. Może się to stać źródłem poważnych komplikacji co do ustalenia mojego stanowiska zawodowego w adwokaturze. Ale nie tracę nadziei, że to się jeszcze da naprawić.
Do spraw już raczej publicznych, ale dotyczących blisko mego życia osobistego, należy dokonany w tym roku rozłam w obozie postępowców polskich w Wilnie. Ostry zwrot tzw. „grupy przeglądowej" na prawo w kierunku nacjonalizmu i wyparcia się haseł humanitarnych zmusił mię do ideowego zerwania z tą grupą. Wprawdzie nie była to dla mnie zupełna niespodzianka, bo wyczuwałem od dawna różnice zasadnicze, dzielące mnie od najwybitniejszych *leaderów* tej grupy, jak zwłaszcza Witold Abramowicz i Nagrodzki, nie mówiąc już o Ludwiku, i wiedziałem, że te tkwiące zasady różnic ideowych z czasem w biegu akcji wspólnej się rozwiną i uwydatnią, dzieląc drogi nasze, jednak nie sądziłem, żeby to nastąpiło już tak prędko i tak widocznie, niemal bezwzględnie. Niespodzianką było dla mnie tylko Krzyżanowskiego przesunięcie się do stanowiska Abramowiczów. Dokonany w skutku tego faktu rozłam osamotnił mię trochę na czas jakiś. W grupie bowiem, z której się usunąłem, zostali moi najbliżsi towarzysze z moich lat wileńskich. Stąd wszakże zaczęła się ku końcowi roku wyłaniać potrzeba scementowania elementów szczerze demokratycznych polskich dla utworzenia z nich nowej grupy, nowego ogniska zespołu i działania. Pomocnym w tym będzie nasz związek demokracji krajowej, tworzący naturalne środowisko dla zapoczątkowania tego zespołu, oraz placówka realna, jaka jest w postaci „Kuriera Krajowego" (jeżeli się to pismo utrzyma i jeżeli uchroni od niebezpieczeństwa zachłanności koterii). Jednocześnie „Kurier Krajowy" w obecnej swojej fazie reorganizacji stać się może czynnym żywym wyrazem współdziałania demokracji krajowej, stanowiąc pod tym względem świetny pierwowzór na przyszłość.
Rano dziś napisałem dla „Kuriera Krajowego" do numeru noworocznego artykulik krytyczno-retrospektywny: „Rok 19l13 w Wilnie". Omówiłem w nim dokonane w roku ubiegłym wybory miejskie, krajową wystawę przemysłu domowego (we wrześniu w Wilnie), przejawy ruchu spółdzielczego w Wilnie (towarzystwa spożywcze „Solidarność", „Mrówka"), powstanie prasy poświęconej sprawom handlu i przemysłu krajowego („Przegląd Handlowo-Przemysłowy" i „Miesięcznik Leśny i Melioracyjny") oraz prasy ilustrowanej („Wiadomości Ilustrowane" i „Nasz Kraj"), zakończenie budowy i otwarcie teatru polskiego, otwarcie gmachu Towarzystwa Przyj. Nauk, wystawy sztuki z r. 1913, utworzenie stałej orkiestry i koncertów symfonicznych.
W tym tygodniu odbywa się w Wilnie wystawa prac uczniowskich szkoły rysunkowej p. Rybakowa. Na wystawie tej jeszcze nie byłem, ale muszę ją zwiedzić. Ogromnym powodzeniem cieszą się na tej wystawie rysunki siostrzeńca mojego, syna Maryni, Stefusia Römera, który wraz z siostrą Ewą uczęszcza na niedzielne lekcje rysunku w szkole Rybakowa. Dr Jan Boguszewski, który jest profesorem anatomii w szkole Rybakowa, dał do „Kuriera Krajowego" artykulik sprawozdawczy z tej wystawy, drukowany w dzisiejszym numerze. Wyraża się on tam z wielkim uznaniem o rysunkach Stefusia. Artykuł ten posłałem zaraz do Bohdaniszek – jest to pierwsze trofeum sławy Stefusia, pierwsza o nim wzmianka w druku. Talent Stefusia jest istotnie niepospolity i na wskroś oryginalny i twórczy. Rysunki jego są wszystkie jego

własnymi kompozycjami i wyłącznie treści architektonicznej (jakieś gmachy, budynki, zdobnictwo architektoniczne, wazy, urny ozdobne itd.). Przedziwnie się utrwalił w naszej rodzinie Römerów talent rysunkowy, wciąż się odradzający w coraz nowych osobnikach.
Spotkaliśmy Nowy Rok z Zysiem Komorowskim we dwóch u mnie w domu przy herbatce.

1 (14) stycznia, rok 1914, środa
Rok nowy. Chociaż złożyłem w redakcji „Kuriera Litewskiego" ofiarę „na naukę języka polskiego – zamiast powinszowań i wizyt noworocznych", jednak parę wizyt noworocznych było niezbędnych. Po raz pierwszy, zdaje się, spędzam Rok Nowy w Wilnie, toteż pierwszy raz składam tego rodzaju wizyty. Przede wszystkim, musiałem złożyć z konieczności dwie wizyty: p. Lucjanowi Kobylińskiemu i p. Aleksandrowi Meysztowiczowi, to znaczy tym dwóm panom, którzy mi łaskawie udzielają pomocy w sprawie uzyskania w sądzie świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych, a stąd ustalonego stanowiska adwokackiego w sądzie wileńskim. Nim przejdę do opisu wizyt, skreślę sytuację w tej sprawie. Przez Kobylińskiego staram się oddziałać przychylnie dla mnie na sfery decydujące w sądzie, przez Meysztowicza zaś zapewnić sobie udzielenie mi przez gubernatora świadectwa prawomyślności („бланонадежности"), którym chcę poprzeć moje starania w sądzie. P. Meysztowicz miał być w Wilnie czwartego dnia świąt, to znaczy w sobotę i wtedy już zwrócić się do gubernatora dla pomówienia w tej sprawie, dlatego to tak spieszyłem z powrotem moim z Bohdaniszek. Okazało się wszakże, zaspy śnieżne ubiegłego tygodnia przeszkodziły przyjazdowi p. Meysztowicza na czas określony. W piątek wieczorem wyjechał z Petersburga, przyjechał zaś do Wilna dopiero w poniedziałek rano! Wczoraj go widziałem w Banku Ziemskim, którego jest dyrektorem. Nie był jeszcze u gubernatora. Ma być u niego dziś z wizytą noworoczną i prosić o audiencję osobistą na jutro dla pomówienia w mojej sprawie. Od p Meysztowicza niczego się dziś dowiedzieć nie miałem, jeno mu złożyć wizytę przez grzeczność, gdy on jest tyle grzeczny, że z taką kurtuazją i uczynnością śpieszy mi dopomóc swoją protekcją. Kobyliński zaś miał pomówić o mojej sprawie z wiceprezesem sądu Malininem. Poza tym go nie widziałem, ale gdym wrócił z Bohdaniszek, zastałem bilet wizytowy Kobylińskiego, który w czasie mojej nieobecności zachodził i polecił służącej powiedzieć, że ma do mnie pilny interes. Domyśliłem się, że ma mi coś do zakomunikowania. Spieszę więc do niego nie tylko z wizytą formalną, ale też i dla sprawy mojej. Wybraliśmy się z tymi wizytami razem z bawiącym w Wilnie Zysiem Komorowskim, który zresztą umyślnie w tym celu został w mieście jeszcze o dzień dłużej. Zyś, przyjechawszy do miasta po ciągłym siedzeniu na wsi, lubi zobaczyć ludzi, odświeżyć znajomości, porobić nowe, nagadać się do syta. Zresztą i ja go mieć dziś bardzo chciałem ze sobą, po pierwsze dla zaznaczenia tym panom, że sprawą tą interesuje się i rodzina moja, po wtóre dlatego, że ewentualnie w razie jakiejś potrzeby szczególnej Zyś mógłby mi być nawet pomocny, zwłaszcza wobec gubernatora, którego zna dobrze. Ruszyliśmy więc przed południem, nasamprzód do Kobylińskiego. Staruszek przyjął nas w szlafroku rannym, bardzo przyjaźnie, serdecznie nawet, z właściwą mu zawsze galanterią i wielkopańskim podkreśleniem stosunków krewieńskich. W szczególności zakomunikował mi, że z Malininem już rozmawiał w mojej sprawie i że ten mu obiecał, iż na posiedzeniu poprze mię osobiście, powie nawet, że mię osobiście dobrze zna i rzecz będzie załatwiona. Naturalnie, że Kobyliński zapewnił Malinina, iż jestem jak najlojalniejszym poddanym prorosyjskim, wiernym rządowi, człowiekiem przekonań konserwatywnych, który daleki jest od jakichkolwiek knowań przeciwrządowych. Malinin powiedział, że ogólne

zebranie w sądzie odbędzie się w początku stycznia, i radził, abym podanie wniósł jak najprędzej, aby się sprawa wtedy rozstrzygnęła, bo on na tym posiedzeniu będzie. Ten pośpiech mi trochę nie na rękę, bo nie wiem, czy będę mógł mieć tak prędko świadectwo gubernatora, choć Meysztowicz obiecał to załatwić niezależnie od świadectwa gubernatora, ale, jak mówi Kobyliński – „kasza masła się nie lęka", to znaczy, że świadectwo gubernatorskie w każdym razie nie zawadzi Wobec tego wszakże wniosę podanie do sądu zaraz, a świadectwo gubernatorskie, jeżeli jeszcze na czas pośpieje, załączę później. Tak więc ta sprawa moja przyjmuje, zdaje się, względnie niezły obrót, chociaż z takim wściekłym człowiekiem, jak prezes sądu Cariuk, jeżeli się uweźmie, trudna rada. Z Kobylińskim porozmawialiśmy jeszcze o tym i owym. Jest on jednak niegłupi i nawet, choć rzeczywiście wysługuje się figurom urzędowym i Rosjanom dla zdobycia większej wagi i wpływów, jednak w istocie nie jest sam z przekonania bynajmniej „figurą rządową", za jakiego uchodzi. Orientuje się znakomicie w jałowym, a nawet szkodliwym działaniu biurokratycznych metod rządzenia urzędników rosyjskich i wykonywaniu przez nich jakichkolwiek „reform", które zawsze służą li tylko prywacie i napychaniu kieszeni uprzywilejowanych urzędników, nie posuwają naprzód sprawy publicznej. Nie jest on też bynajmniej rzecznikiem jakichś sympatii dla rządu czy Rosji i uważa się za rzecznika „sprawy naszej", to znaczy w jego pojęciu sprawy ziemiańskiej na Litwie, jeno że uważa tę drogę, którą obrał, drogę niedrażnienia władz i zdobywania tam wpływów osobistych, za najskuteczniejszą. Od Kobylińskiego poszliśmy do Meysztowicza, którego nie zastaliśmy, więc tylko mu bilety rzuciliśmy. Zyś mię namówił, aby pójść jeszcze z wizytą do stryjostwa Bolesławów Römerów i do teściowej mojej. Choć mi było spieszno do mojej Aninki, która mię czeka i z którą mamy dziś być na obiedzie w restauracji, jednak zdecydowałem się na te wizyty. U Bolesławów od czasu zajść przy zerwaniu mego małżeństwa – nie byłem jeszcze. Przez trzy niespełna lata stosunki moje ze stryjenką Bolesławową były zupełnie zerwane na skutek jej zachowania się w czasie tych przykrych i bolesnych spraw. Dopiero ubiegłej zimy stosunki te zostały nawiązane, a stryjenka sama dużo zrobiła, aby naprawić tę smutną przeszłość. Uznała poniekąd swoją winę, przynajmniej nierozwagę, a serdecznością wynagrodziła wszelkie krzywdy. Toteż tak ja, jak najbliższa rodzina moja, zupełnieśmy się wyrzekli żalu i ze stryjenką szczerze pogodzili. Jest ona bardzo serdeczna i szczera osoba, bodaj najserdeczniejsza, gorętsza w uczuciu ze wszystkich Römerów, a do tego jest bardzo nieszczęśliwa i godna już przez to sympatii i zapomnienia urazy, bo ten syn jedyny, którego tak kocha, – Stefan – jest ciągłą plamą, ciągłym bólem serdecznym, nieukojonym, raniącym w jej życiu. Gdy Papa przed Bożym Narodzeniem po trzech leciech niebywania, poszedł wreszcie do stryjostwa, stryjenka była tak wzruszona, tak serdeczna, że Papę w rękę pocałowała. Bardzo się też stryjostwo dziś ucieszyli z naszej wizyty i okazali nam dużo serdeczności i radości. Stamtąd poszliśmy do teściowej mojej – Edwardowej Römerowej, u której też bawią jej kuzynki, bardzo dla mnie przyjazne i serdeczne zawsze, kochane i poczciwe trzy ciotki Kościałkowskie – Wilhelma, Barbara i Józefa. I Kościałkowskie, i teściowa były bardzo serdeczne. Doznałem tam wielkiego wzruszenia, bo teściowa pokazała mi ostatnią fotografię mojej córeczki. Chcę o tym specjalnie pomówić, toteż wrócę do tego pod datą jutrzejszą.

2 (15) stycznia, rok 1914, czwartek

Wrócę jeszcze do dnia wczorajszego, mianowicie do fotografii mojej córki Cesi, którą mi wczoraj teściowa pokazała. Na fotografii dziecko wygląda bardzo bujne i zdrowe, jakim też jest istotnie, sądząc z tego, co wszyscy mi o nim mówią. Ceśka ma ładne włoski i ma ten sam wyraz uwagi i pewnego zamyślenia, który dostrzegłem u niej

dawniej. Na mnie wszakże wygląd jej na fotografii sprawił wrażenie braku wybitnej wyrazistości w rysach twarzy, chociaż teściowa i Zyś byli innego zdania. Natomiast twarz ta wydała mi się szczególnie swojska, jak gdyby znajoma, taka, jakąm ją przeczuwał: zdaje się, jakoby poza tą rozlewnością rysów, w tym braku jaskrawej wydatności zewnętrznej taiła się głęboka natura psychiczna, jakoby wszystko w tym dziecku skupiło się i cofnęło w głąb, ku samym źródłom ducha, co się wyraża w zamyśleniu i powadze twarzyczki. Może to są tylko fantastyczne rojenia ojca, moje własne subiektywne nastroje, które w myśl o moim dziecku wcielam. Wszyscy dostrzegają niezmierne podobieństwo dziecka do mnie. I Zyś, i teściowa, i ciotki Kościałkowskie – znajdywali to podobieństwo bardzo widoczne, bardzo dokładne. Mnie samemu trudno o tym sądzić, ale wrażeniowo, uczuciowo twarzyczka ta rzeczywiście wydała mi się niezmiernie swojska, niezmiernie moja. Widok fotografii tego dziecka sprawił na mnie wielkie wrażenie, budząc tęsknotę i głębokie uczucie miłości. Teściowa mi obiecała dostać dla mnie jedną taką jej fotografię. Będzie to dla mnie radość wielka. Kiedy ją żywą zobaczę?!
Dziś przez całe przedpołudnie, właściwie aż do obiadu samego, byłem zajęty gorączkowo jedną tylko sprawą – znalezienia kandydata do wyjazdu do Moskwy, co jest dla nas konieczne, na zjazd naszego związku.
Wieczór spędziłem w domu, bo Anna poszła na zebranie towarzystwa łotewskiego. Widziałem się z Anną tylko po obiedzie, poszliśmy z nią tylko trochę na miasto i wkrótce musieliśmy się rozstać. Spacery z Aninką i towarzyszenie jej przy załatwianiu przeze mnie interesów na mieście – to dla nas obojga rozrywka wielka, gawędzimy wtedy, dzielimy się wrażeniami, żartujemy, a moja Aninka jest świetną obserwatorką i znakomite robi spostrzeżenia i wnioski o ludziach, faktach i zjawiskach, z którymi się styka w toku tych spacerów i interesów moich, obserwując samym wzrokiem i słuchając opowiadań i uwag moich. O ile dziś krótko się z Aninka widziałem, o tyle wczoraj spędziłem w jej towarzystwie śliczny dzionek, właściwie pół dzionka tylko, bo od godz. 9 do końca dnia. Byliśmy z nią wczoraj na obiedzie we wznowionej restauracji Myśliwskiej, co się nam teraz prawie nigdy nie zdarza ze względu na oszczędności. Potem chodziliśmy po mieście, przyglądaliśmy się pożarowi na rogu prospektu i ulicy Arzamaskiej, wieczór u niej spędziliśmy.

3 (16) stycznia, rok 1914, piątek
Rano załatwiałem interesy na mieście w towarzystwie Anny. Jest to dla mnie największa rozrywka, gdy mi Aninka moja towarzyszy. Potem się z nią pożegnałem, bo musiałem już dłużej zabawić w banku i w sądzie.
W sprawie jazdy do Moskwy udało mi się skłonić Šaulysa, który też nocnym pociągiem wyjechał.
Poszedłem do p. Aleksandra Meysztowicza, żeby się dowiedzieć o rezultacie jego wczorajszej rozmowy z gubernatorem. Rezultat jest dobry, przynajmniej dobrze się zapowiada. Meysztowicz powiedział gubernatorowi, o co chodzi, prosił o wydanie mi świadectwa prawomyślności, które jest potrzebne dla otrzymania od sądu świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych. Gubernator nic zresztą o mnie nie wiedział i o żadnych przewinieniach moich nie słyszał. Zapytywał, co za jeden jestem i z jakich to Römerów, i dlaczego są mi robione jakieś trudności tak, że aż trzeba protekcji Meysztowicza. Meysztowicz powiedział, że w r. 1905 czy 1906, pod wpływem bardzo popularnych wtedy nastrojów rewolucyjnych, redagowałem w Wilnie jakąś gazetkę, która została za jakiś artykuł zamknięta i że to stanowi główną winę moją, ale że z pewnością jako prawowied i ze stanowiska materialnego oraz z urodzenia muszę być dzisiaj, gdy minęła gorączka rewolucyjna, bardzo daleki od ówczesnych moich

poglądów. Gubernator powiedział na to, że uważa, iż na wybryki z r. 1905 należy dziś już położyć zasłonę zapomnienia i polecił, abym się doń zgłosił z podaniem o świadectwo prawomyślności. Na tym się skończyło. Sądzę, że świadectwo żądane otrzymam. Będę musiał się osobiście do gubernatora zwrócić.
Zaniosłem też dziś do sądu moje podanie o wydanie mi świadectwa na prowadzenie spraw cywilnych. Sekretarz prezesa, któremu podanie wręczyłem, oświadczył mi jednak, że na styczniowe ogólne zebranie sądu, które się odbędzie jutro, podanie moje już w żadnym razie nie trafi i zostanie odłożone do następnego zebrania – 8 lutego. Co prawda, do jutra nie miałbym jeszcze świadectwa gubernatora, więc z tego względu odroczenie decyzji do lutego może być dla mnie korzystne. Z innego wszakże względu jest to niedobre. Mianowicie bowiem wiceprezes sądu, Malinin, który obiecał Kobylińskiemu, że poprze moją sprawę, prosił, abym wniósł podanie na sesję styczniową, w której on udział weźmie; czy Malinin weźmie udział w sesji lutowej – tego nie wiem, a poparcie jego jest dla mnie bardzo ważne. Poza tym, Malinin ma teraz jeszcze świeżo w pamięci prośbę Kobylińskiego, a dobrze jest zawsze kuć żelazo, póki gorące. No, ale jeszcze zobaczymy.

4 (17) stycznia, rok 1914, sobota
Dzień mi zeszedł na załatwianiu do obiadu interesów na mieście, w czym mi towarzyszyła Anna, potem po obiedzie na odrabianiu rozmaitych spraw bieżących, przeważnie z dziedziny adwokackiej. Kupiłem dziś dla naszej nauki z Anną wypisy polskie i podręcznik arytmetyki. Koło godz. 7 wieczorem zabrałem się do artykułu, który zamierzałem przeznaczyć dla nowego tygodnika warszawskiego „Widnokrąg”. Jest to pismo, założone przez mojego kolegę z Paryża, Józefa Wasercuga, Żyda zasymilowanego, z przekonań radykała (Wasercug był przez czas pewien redaktorem „Izraelity”, organu asymilatorów żydowskich w Warszawie). Pod względem kierunku pismo to („Widnokrąg”) jest zdaje się identyczne z zeszłorocznym, już obecnie zmarłym „Tygodniem” Jerzego Jankowskiego. Jest to więc organ tego odłamu postępowców warszawskich, który nie dał się unieść popularnej fali antysemityzmu („bojkotyzmu”). Pismo hołduje zasadom wolnej myśli, radykalizmu i humanizmu, a przede wszystkim jest niezależne. Mówiąc, że jest ono „organem odłamu postępowców”, wyraziłem się nieściśle, bo właściwie nie jest organem żadnej określonej grupy, jedno jest najbardziej bliskie ideowo temu odłamowi. Wasercug, zakładając w jesieni pismo, zwracał się do mnie listownie z prośbą o współpracownictwo, co mu też w zasadzie obiecałem. Otóż chciałem teraz obietnicę tę wykonać i napisać artykuł. Zacząłem na ulubiony mój temat – o układzie stosunków i prądów dziejowych, kulturalnych i narodowych w Litwie i Białej Rusi, mając nawiązać czyli wysnuć z tego – wskazania co do stanowiska i zadań Polaków w obecnym (i przyszłym) rozwoju kraju. Napisałem tylko początek, ale w toku pisania przyszła mi chęć zmienić przeznaczenie tego artykułu i skierować go nie do „Widnokręgu”, lecz do krakowskiego „Świata Słowiańskiego”, w którym przed paru laty drukowałem obszerniejszą nieco pracę o Litwinach pruskich. Dla „Widnokręgu” obecny artykuł może jest nieco za ogólny, za zasadniczy, nadaje się on bodaj właśnie dla miesięcznika i to właśnie takiego, jak „Świat Słowiański”, którego zadaniem jest poważna analiza stosunków i prądów narodowo-kulturalnych na ziemiach Słowiańszczyzny oraz ludów, historycznie ze Słowiańszczyzną związanych. I choć „Św. Słowiański” nie jest pismem o kierunku demokratycznym, to jednak może umieszczać wszelkie studia poważne w zakresie tej analizy, bo pod tym względem nie krępuje on zbytnio zasadniczego stanowiska autorów. Dla „Widnokręgu” bym coś innego napisał. Zresztą zobaczymy jeszcze, dokąd artykuł ten po wykończeniu skieruję.

Wieczorem wróciła z Bohdaniszek ze świąt Marynia z córką Ewą. Stefuś został na wsi jeszcze na parę tygodni.
Resztę wieczora spędziłem u mojej Aninki.

5 (18) stycznia, rok 1914, niedziela
Większą część dnia spędziłem z Anną, ale nam jakoś humory nie dopisywały, bo ciągle z drobiazgów się wywiązywały jakieś głupie sprzeczki, które nam psuły nastrój. Dąsaliśmy się nad miarę zupełnie niepotrzebnie, bo zaiste nie było o co.
Wieczorem miała przyjść do Anny jej znajoma, niejaka panna Zofia, jedna z nauczycielek ludowej szkoły gospodarskiej żeńskiej w Krasieninie, bawiąca chwilowo w Wilnie. Wobec tego koło godz. 8 pożegnałem Annę i wróciłem do domu. Tu pisałem w dalszym ciągu rozpoczęty wczoraj artykuł. Artykuł ten układa mi się bardzo dobrze; czuję sam, że jest pełny treści i zawiera dużo myśli; ale nie wiem dlaczego pisanie idzie mi bardzo powoli; chciałbym ten artykuł wykończyć prędko, tymczasem nie jestem nawet w pół drogi, choć już drugi wieczór, jak go piszę. Zdecydowałem się na skierowanie tego artykułu do „Świata Słowiańskiego" w Krakowie. Nie jestem tylko pewien, czy to pismo jeszcze wychodzi i czy jest tym samym, czym było. Napisałem więc do Herbaczewskiego do Krakowa, prosząc, aby mi w tym pośredniczył, to znaczy udzielił mi informacji o obecnym stanie tego wydawnictwa i ewentualnie porozumiał się z redaktorem (czy redaktorami, bo było ich, zdaje się, dwóch – Marian Zdziechowski i Koneczny), czy zechcą się z artykułem mym zapoznać dla zakwalifikowania go do druku. Herbaczewski (Józef-Albin) – to mój dobry znajomy i przyjaciel z Krakowa. Jest to Litwin, literat-publicysta, umysł bardzo oryginalny, głęboki i jaskrawy, z pewną domieszką mistycyzmu, ale krańcowo jednostronny, bo ulegający przesadzie własnych uniesień, i niezrównoważony. W r. 1907 łączyły mię z Herbaczewskim stosunki bardzo zażyłe. Potem przez kilka lat korespondowaliśmy ze sobą stale. Od paru lat stosunki nasze się powoli urwały.

6 (19) stycznia, rok 1914, poniedziałek
Nie szczęści mi się z suczką, którą chciałem do Wiązowca sprowadzić. W grudniu nabyłem jedną od hyclów, już się była oswoiła, spędziła trzy tygodnie w moim mieszkaniu wileńskim, gdy wtem jednego ranka zginęła, wyszła z mieszkania na dziedziniec i już nie wróciła; nazywała się Nana. Dziś więc znowu wybrałem się do hyclów na kresy miasta, aby inną suczkę dostać. Poszliśmy tam z Anną. Znalazłem sobie odpowiednią suczkę, zapłaciłem za nią rubla i Anna prowadziła ją na sznurku, gdy wtem w drodze się urwała i uciekła. Byliśmy tym z Anną bardzo zirytowani, ale nie było co robić. Wróciliśmy jeszcze do hyclów, ale innej suczki nie było.
Wieczorem Anna miała pójść na zebranie zarządu towarzystwa łotewskiego, więc spędziłem wieczór w domu. Ułożyłem podanie do gubernatora w sprawie świadectwa prawomyślności, potem pisałem w dalszym ciągu mój artykuł przeznaczony dla „Świata Słowiańskiego".
Marynia była dziś z wizytą u teściowej mojej i oglądała fotografię córki mojej. Podobieństwa córki do mnie Marynia nie dostrzegła, powiada, że jest wielkie podobieństwo dziecka do Reginy, chociaż „*en beau*". Okazuje się, że fotografia ta jest amatorska, zrobiona przez Stasia Römera, brata Eugeniusza. Teściowa ma poprosić Stasia, aby przysłał jeden egzemplarz tej fotografii dla mnie. Ja to z pewnością się do Stasia o to nie zwrócę, jeżeli jest tak gruboskórny, że mu samemu na myśl nie przychodzi robiąc fotografię mojej córeczki przysłać mnie jedną odbitkę. Nietrudno mu chyba się domyślić, czym jest dla mnie posiadanie fotografii mego dziecka w tych warunkach, kiedy dziecka tego widywać nie mogę. Staś mógłby zrozumieć, jaką by mi

przez to sprawił przyjemność, więcej nawet niż przyjemność. Jego by to nic nie kosztowało, a dla mnie byłoby rzeczą wielką. Ale świnia jest zawsze świnią i nigdy jej na myśl nie przyjdą ludzkie uczucia.

7 (20) stycznia, rok 1914, wtorek
Dziś miałem pójść do gubernatora dla złożenia mu podania o świadectwo prawomyślności. Podług bowiem relacji p. Aleksandra Meysztowicza, gubernator polecił, abym mu złożył to podanie i Meysztowicz radził, abym je złożył osobiście. Licząc na to, ze gubernator może zechce mię zapytywać o powód moich wątpliwości co do uzyskania świadectwa prawomyślności, bo oczywiście musiały być wątpliwości, skoro uważałem za potrzebne udać się do protekcji Meysztowicza i że w rozmowie ze mną zechce może zapoznać się z wyrokiem sądowym w moim procesie z „Gazety Wileńskiej", chciałem mu dać ten wyrok ewentualnie do przeczytania, aby go zupełnie przekonać o tym, że zostałem z zarzutu winy z artykułu 129 ustawy karnej uniewinniony, uznany winnym tylko nieopatrzności w pełnieniu funkcji redaktorskich. Wyszukałem więc w papierach moich kopię tego wyroku, aby ją mieć przyszykowaną dla ewentualnego pokazania gubernatorowi. Ale gdym zajrzał do tekstu wyroku, który mi się już z pamięci ulotnił, spostrzegłem, że brzmienie jego jest fatalne i stanowi jak najgorszą rekomendację prawomyślności. Oto dosłowne brzmienie motywów wyroku: *„Судебная Палата признала подсудимого Михаила Михайлова фон-Ромера, 26 летъ, виновнымъ въ томъ, что состоя редакторомъ издающейся въ гор. Вильне ежедневной газеты на польскомъ языке „Gaz. Wil.", по неосмотрительности допустилъ выходъ въ светъ 22 іюля 1906 г. № 103 названной газеты, въ которой помещена передовая статья подъ заглавіемъ „Огненный полукругъ", заключающая въ себе призывъ къ учиненію бунтовщического деянія и къ ниспроверженію существующего въ Россійскомъ государстве общественного строя и проведеніе мысли, что революціонерамъ для большего успеха ихъ деятельности въ Россіи, ввиду невозможности завладенія Пегербургомъ, представляющимъ собою мозгъ существующего до сихъ поръ государственного строя, следуетъ окончательно отказаться отъ мысли сделать его главнымъ пунктомъ революціонной борьбы и обратить все вниманіе на окраины Россіи и поддерживать тамъ сие вспышки революціи матеріально и людьми, т. к. революція, захвативъ Свеаборгъ, Ревель, Кронштадтъ и развивъ решительную борьбу въ Царстве Польскомъ и на Кавказе, принимаетъ форму огненного полукруга, который производитъ давленіе на охваченное имъ пространство и, постепенно расширяясь на сотни миль, задушитъ въ своихъ объятіяхъ Пегербургъ, парализуя самодержавно-бюрократическе силы."*[5] Sama zaś rezolucja

[5] Izba Sądowa uznała Michała, syna Michała, von Römera, lat 26, winnym tego, że będąc redaktorem wydawanej w m. Wilnie gazety codziennej w języku polskim „Gazeta Wileńska", z niedopatrzenia dopuścił do wydania 22 lipca 1906 roku nr 103 rzeczonej gazety, w której zamieszczony był artykuł wstępny pod tytułem „Ogniste półkole", zawierający wezwanie do działań buntowniczych i obalenia istniejącego w Państwie Rosyjskim ustroju społecznego oraz myśl, że rewolucjonistom, dla większego powodzenia ich działań w Rosji, wobec niemożności opanowania Petersburga, stanowiącego mózg istniejącego jeszcze ustroju państwowego, należałoby odrzucić ostatecznie myśl uczynienia zeń głównego punktu walki rewolucyjnej i zwrócić uwagę na obrzeża Rosji, i wspierać tam wybuch rewolucji materialnie i ludźmi, ponieważ rewolucja, po zdobyciu Sweaborga, Rewla i Kronsztadu i rozwijając stanowczą walkę w Królestwie Polskim j na Kaukazie, nabiera kształtu ognistego półkola, które wywiera nacisk na ogarnięte nią tereny i rozszerzając się stopniowo na setki mil zadusi w swych objęciach Petersburg, paraliżując siły samodzierżawno-biurokratyczne.

wyroku brzmi: *„1, подсудимого дворянина Курляндской губерніи Михаила Михайлова ф.-Ромера, 26 летъ, подвергнуть денежному взысканію въ доходъ государственного казначейства въ размере четырехсотъ рублей, а при несостоятельности его къ уплате этой суммы – заключить его въ тюрьму на шесть месяцевъ; 2, судебные по сему делу издержки возложить на осужденного Ромера, а при несостоятельности его принять на счет казны; 3, вещественные доказательства, № 103 газеты „Gazeta Wileńska", уничтожить и 4, того же подсудимого Михаила Михайлова фон-Ромера по обвиненію въ преступленіи, предусмотренномъ 1 и 2 п. п. I ч. 129 ст. Угол. Улож., на основаніи 1 п. 771 ст. Уст. Угол. Суд., считать оправданнымъ по суду."*[6] Formalnie wyrok ten jest dla mnie dobry, bo w stosunku do kapitalnego oskarżenia o świadomym i rozmyślnym rozpowszechnianiu utworu, wzywającego do buntu, obalenia istniejącego ustroju, uniewinnia mię zupełnie. Wina moja, podług wyroku, polega na wydaniu odpowiedniego występnego numeru gazety na skutek nierozwagi mojej („по неосмотрительности"). Oczywiście, że nierozwaga taka, brak rozmyślności i świadomego skierowania woli na dokonanie „zbrodni", usprawiedliwia mię, ale sam fakt, że ktoś mógł dać do pisma taki artykuł, że uważał za możliwe drukowanie w piśmie artykułu tej treści, choćby bez wiedzy redaktora, świadczy o tym, że kierunek redagowanego przeze mnie pisma musiał być „nieprawomyślny" ze stanowiska państwowego. A artykuł jest niezmiernie jaskrawy i w wyroku uwydatniony w całej wyrazistości. Nie dziwię się, że reakcjonista Cariuk, przeczytawszy taki wyrok, uznał mię za osobnika wątpliwej „prawomyślności" i odmówił świadectwa na prawo występowania w sądzie. Inkryminowany artykuł „Gaz. Wileńskiej" był pisany przez pps-owca Barlickiego i ma na wskroś pps-owy charakter. Postanowiłem więc nie pokazywać zupełnie gubernatorowi tego wyroku. Ale gdym poszedł do gubernatora, nie widziałem go zupełnie, spóźniłem się bowiem na audiencję ogólną, a audiencji osobistej gubernator mi specjalnie nie udzielał. Wręczyłem podanie moje dyżurnemu urzędnikowi do szczególnych zleceń, który zaniósł je gubernatorowi i oznajmił mi, że odpowiedź zostanie mi zwykłym trybem przez policję zakomunikowana.
Pociągiem nocnym wyjechałem w towarzystwie Anny do Radoszkowicz. Jedziemy z nią do Wiązowca.

8 (21) stycznia, rok 1914, środa
Przez całą noc prawie nie zmrużyliśmy z Anną oka. W wagonie III klasy, w którym jechaliśmy, pełno było ludzi. My z Anną mieliśmy wprawdzie jedną ławeczkę we dwoje i Anna mogła się położyć, ale ją zęby strasznie bolały, męczyła się, używała rozmaitych środków na uśmierzenie bólu, nie mogła zasnąć. Wreszcie gdzieś koło Zalesia czy Prudów zadrzemała, ja zaś siedziałem przy niej, zapaliłem świeczkę i czytałem. W Mołodecznie wagon się trochę wyludnił i ja znalazłem sobie miejsce do snu. Ale już za następną stacją Uszą wstałem i nie spałem więcej, aby nie przespać Radoszkowicz. W wagonie było strasznie gorąco i duszno. Wreszcie koło godz. 5-6 przyjechaliśmy do Radoszkowicz. Jasiek czekał na nas z koniem. Zaraz zaprzągł i pojechaliśmy. Rzeczy mieliśmy ze sobą dość dużo, bo oprócz rozmaitych podróżnych wiozłem ze sobą obicie dla mego pokoju w Wiązowcu i moje niedźwiedzie na wypadek

---

[6] 1, oskarżonego szlachcica guberni kurlandziej Michała, syna Michała, von Römera, lat 26, ukarać grzywną na korzyść skarbu państwa wysokości czterystu rubli, a jeśli nie będzie w stanie zapłacić tej sumy – zamknąć go w więzieniu na sześć miesięcy, 2, kosztami procesy sądowego obarczyć oskarżonego Römera, a jeśli nie będzie w stanie zapłacić, przyjąć na koszt państwa, 3, dowody rzeczowe, nr 103 gazety „Gazeta Wileńska", zniszczyć i 4, tegoż Michała, syna Michała, von Römera, oskarżonego z p.p. 1 i 2 cz. I art. 129 Kod. Kar., na podstawie p. 1 art. 771 Kod. Kar. sąd uniewinnia.

wielkich mrozów czy zawiei. Oprócz tego, Jasiek przywiózł jeszcze z Wiązowca burkę moją. Ale mrozu wielkiego nie było, jechałem w moim zwykłym futrze, Anna zaś na swój ciepły paltocik nałożyła jeszcze moją burkę. Jasiek usiadł na przedzie sań na rzeczach. Sekund biegł rączo. Po dobrej sannej drodze po szosie dojechaliśmy do miasteczka Radoszkowicz. Już rozedniało. Wstąpiliśmy w miasteczku dla wypoczynku i wypicia herbaty do żydka Symela, który naprzeciwko poczty utrzymuje piwiarnię i do którego zawsze wstępuje Biesiekierski. W lokalu piwiarni, pustym o tej porze dnia, brudno i wstrętnie. Na stolikach resztki śledzi, okruchy bułki, plamy rozlanych trunków i powietrze ciężkie, przepełnione wyziewami z wczorajszego dnia – alkoholu, dymu tytoniowego i tłuszczy ludzkiej. Gdyśmy tam bawili z Anną czekając na samowar, przez ulicę miasteczka przejechały zaprzężone parą koni „*á la anglaise*" duże sanie z dzwonkami, w saniach siedziało parę osób. Byli to jacyś panowie ze dworu, może Stasiowie Wołodkowiczowie, może Hieronim Wołodkowicz lub ktoś z jego gości. W jakiś kwadrans później znów się rozległ dźwięk dzwonka i znów ulicą przemknęły sanie parokonne. Nie wyszedłem zobaczyć, kto to jedzie o tak wczesnej porze. Ponieważ byłem z Anną, obawiałem się spotkać kogoś znajomego lub z rodziny mojej, bo by się zaraz wykryła obecność Anny, a stąd poszłyby plotki, gawędy, obmowa, domysły itd., które rozeszłyby się szeroko i trafiły do Maryni i może nawet do Rodziców. A w pojęciach i w ustach ludzkich nasz stosunek z Anną i taka nasza wspólna wycieczka do Wiązowca byłyby rozpustą i jakimś przywożeniem przeze mnie do mej leśniczówki „kochanki" dla uciechy. Nie rozumieją ludzie i tym bardziej nie rozumieją tacy ludzie, jak moi krewni, należący do kategorii „panów", nie rozumieją słodyczy związku wolnego i głębokiej szczerości i czystości tego obcowania dwojga kochających się ludzi; dla nich może istnieć tylko trywialne pojęcie „kochanki" jako narzędzia lubieżnej uciechy. Tak sądzą ci, którzy nie mają „uprzedzeń" i „przesądów", ci zaś inni, którzy takowe mają, nie sądzą nic wcale, a po prostu uważają wszelki związek przed małżeństwem kościelnym za zgorszenie i występek przeciwko obyczajności i „zasadom". W ogóle moja jazda z Anną do Wiązowca jest wysoce niebezpieczna ze względu na plotki i obmowę, których się w moich warunkach rodzinnych, materialnych i społecznych muszę bardzo strzec, ale widząc przyjemność, jaką to sprawia Annie, widząc jej zapał i jej uczucie, jakich doświadcza wśród tych wrażeń wiejskich, nie mogę odmówić jej i sobie tej przyjemności i zabieram ją ze sobą, narażając się na niebezpieczeństwo rozgłoszenia i przesądzenia tej jazdy. Dojechaliśmy dobrze. Od pół drogi Anna już sama powoziła. Upodobała sobie niezmiernie Sekunda, który jest ładny, a zwłaszcza jest wesoły i pełny werwy; charakter Sekunda jest bardzo wyrazisty, jest to koń samodzielny, stanowczy, pomysłowy i rezolutny, uparty i złośliwy, a pełen fantazji i życia, ma wszakże pysk bardzo miękki, więc pomimo uporu daje się powodować i kierować dobrze, a że jest wrażliwy, więc biegnie dobrze, gdy się go umie (z biczem) zażyć. Przyjechaliśmy do Wiązowca wcześnie, bo koło godz. 12 w południe.
Byliśmy bardzo zmęczeni i senni po nocy niewyspanej, ale po przekąszeniu (jedliśmy kiełbasę, szpekuchy i bułkę oraz piliśmy herbatę) poszliśmy do lasu. Biesiekierskiego w domu nie zastaliśmy. Był on od rana w lesie na obliczaniu i numerowaniu towaru wyrobionego. Poszliśmy z Anną we dwoje i chcieliśmy Biesiekierskiego odszukać. Anna ubrała się w grubą wierzchnią kurtkę Jaśka. Śniegów tu nie ma takich, jak w gub. kowieńskiej, ale w lesie przecież trzeba brnąć nieraz po kolana, a czasem i wyżej. Mnie w długich butach dobrze, ale Anna w bucikach lekkich zamoczyła nogi i zmęczyła się. Pomimo że trąbiłem donośnie i że Biesiekierski miał świstawkę, którą mi, jak później mówił, odpowiadał, nie znaleźliśmy go w lesie. Po powrocie namówiłem Annę, aby pojechała z Jaśkiem, który wybierał się do Trusewicz po wodę. Anna miała wielką ochotę przejechać się Sekundem, ale się wstydziła trochę. Dała się namówić i pojechała.

Wróciła zachwycona jazdą i powożeniem. Wszystko ją tu cieszy – i las, i gospodarka, a szczególnie Sekund i Bryś. Kolację mieliśmy ze śledzi, kartofli, polędwicy, herbaty i konfitur. O godz. 8 ½ poszliśmy spać, ja w moim pokoju z Biesiekierskim i Jaśkiem, Anna w drugiej połowie domu z Biesiekierską i dziećmi.

9 (22) stycznia, rok 1914, czwartek
Mróz łagodny, niewielki i bez wiatru, jak wczoraj. Przed obiadem przeszedłem się trochę z Anną po lesie nr XVIII, gdzie kilku robotników kupca oczyszczało powalone sztuki z kory. Długośmy chodzić nie mogli, bo Anna w swoich bucikach w głębokim śniegu zamoczyła nogi. Po obiedzie dopiero poszedłem na dobre do lasu, aby go cały obejrzeć. Wichura, która tu szalała 14 grudnia, nałamała dużo drzew, zwłaszcza jodły i osiny. Pował ten trzeba będzie wyprzedać. Kupców zgłasza się sporo, a i szafarz Morgensterna, Chodysz, chciałby wszystko odkupić, aby inni kupcy nie gospodarzyli w lesie, dopóki towar zasadniczy nie wywieziony i nie robili konkurencji w najmie furmanek. Ze dwie godziny chodziłem po lesie, brnąc głęboko, nieraz po kolana i wyżej. Anna tymczasem miała się przejechać Sekundem na spacer w saneczkach. Gdym wreszcie wyszedł z lasu na brzegu Gaju koło Trusewicz i zatrąbił, Anna, która przejeżdżała akurat w pobliżu, usłyszała trąbkę moją i nadjechała, aby mię odwieźć do domu. W lesie ruch względnie niewielki. Zrąbanych sztuk tej zimy jest już niespełna 2000, zostaje do zrąbania jeszcze koło tysiąca. Kilkaset sztuk jeszcze jest nie wybranych przez kupca i nie zacechowanych do rąbania. Teraz Biesiekierski zajęty jest głównie obliczaniem, numerowaniem i kwitowaniem z szafarzem kupca towaru wyrobionego. Wywóz lasu postępuje dość ospale: szafarz się nie spieszy. Rąbanie jest chwilowo prawie że wstrzymane. Szafarz Chodysz zapytywał mię dziś, czy się nie zgodzę ustąpić, to znaczy zwolnić kupca od obowiązku brania ostatnich 700-800 sztuk do 5000, proponując mi ustępstwo po 1 rb. do 2 rb. na sztuce od ceny kontraktowej i obiecując mi za to wywiezienie całego wziętego towaru tej zimy. Naturalnie, że się nie zgodziłem, bo to, co dotąd wzięto, to były sztuki najgrubsze i najcenniejsze, a zostają do wzięcia oczywiście najgorsze i stosunek ceny jednych do drugich jest z pewnością większy, niż ten, jaki się w proponowanej przez szafarza różnicy wyraża. Szafarz chciał mię straszyć, że o ile nie ustąpię, to oni jeszcze mi na przyszłą zimę gotowi w lesie z towarem zostać, do czego podług kontraktu mają prawo i co oczywiście mi nie jest dogodne, bo dla dalszej sprzedaży to brak, gdy poprzedni kupiec nie wyniósł się jeszcze z lasu. Ale nie bardzo się lękam, bo gdy pieniądze należne z kontraktu będą w całku zapłacone tej wiosny, jak to kontrakt wymaga, to kupiec nie będzie miał interesu do trzymania towaru w lesie i pośpieszy go wywieźć. Zresztą niech w ostateczności siedzi – zbyt strasznego nic w tym nie ma.
Włościanie to mają w tych latach piękne zarobki leśne, choć w tym roku ceny zarobkowe, zdaje się, nie rosną w tym tempie, co w roku zeszłym w zimie. Włościanie z Trusewicz uważają mój las poniekąd za specjalną swoją dziedzinę zarobkową, nie monopol wprawdzie, ale przywilej w stosunku do innych wiosek. W ogóle stosunki na Białej Rusi i pojęcia prawne włościan w stosunkach ziemskich mają wiele przeżytków starej organizacji społecznej z epoki poddaństwa.

10 (23) stycznia, rok 1914, piątek
Tak, rzeczywiście, jak to wspomniałem wczoraj, liczne są jeszcze i mocne w pojęciach prawnych włościan białoruskich przeżytki starej poddańczej organizacji społecznej. Ma to szczególnie miejsce w stosunkach posiadania ziemskiego. Wsie, które należały dawniej do pewnego dworu, i dotychczas mają w pojęciu mieszkańców ściślejszy związek tak między sobą, jak z tym właśnie „swoim” dworem. Tak np. włościanie z

wiosek Średniej, Kukielewszczyzny i Trusewicz, którzy (właśnie których przodkowie) byli ongi poddanymi dziedziców Mamyłów, i dotąd w stosunku do obecnych nowych dziedziców tego dworu nazywają siebie ich ludźmi: „My pańskie ludzie”, włościanie zaś z innych wsi – to „cudzy ludzie”. Ta więź dworu z wioskami jego byłych poddanych przetrwała w pojęciach włościan, ale dotyczy już nie osobistych stosunków włościan do dziedzica, jeno stosunku wsi jako takiej do dworu jako jednostki gospodarczej i ziemskiej stałej, niezależnej od osoby dziedzica. Włościanie wyemancypowali się zupełnie od poczucia zależności prawnej od pana, mimo że zwracając się do dziedzica „swego” dworu i chcąc mu pochlebić, nazywają siebie „pańskimi”, to znaczy jego ludźmi, nie lubią panów i są w gruncie bardzo niechętni dziedzicom. Ale z dawnej więzi z dworem zachowali w stopniu bardzo wybitnym poczucie przysługujących im przywilejów w stosunku do dworu; wszelkie zarobki, szczególne względy itd. należą się im, byłym poddanym, przed innymi, obcymi włościanami. Do obszaru dworskiego wolno rościć pretensje tylko im, wioskom byłych poddanych, obcym zaś wara od ziemi dworskiej. Włościanie uważają się poniekąd za prawowitych spadkobierców praw dziedzica do dworu, z którym ich łączyły stosunki poddańcze. Dziedzic ma na dworze własność przywileju, własność, przez ustawy uznaną, ale w pojęciu włościan elementarna i jedyna sprawiedliwa własność – to własność włościańska, na pracy oparta. W myśl tych pojęć, własność ziemska powinna wcześniej czy później przejść w ręce włościan – tak przynajmniej jeszcze przeciętny ogół sądzi. I oto w tej regulacji posiadania ziemskiego, w tej reformie własności, która ma nastą[ić, obszary dworskie powinny przejść w ręce wiosek ich byłych poddanych. W r. 1905, gdy popularne były hasła nowego nadziału włościan z ziem dworskich, włościanie pilne przestrzegali, aby nikt „obcy”, tj. należący do wiosek, które nie były poddane temu dworowi, nie śmiał pretendować do obszaru dworskiego. Obszar dworski jest dziedzictwem b. poddanych względem własności ziemskiej na przyszłość, a na dziś przywilejem zarobków i rozmaitych korzyści szczególnych. Po podziale Mamyłów do mojej schedy przywarła wieś Trusewicze, podczas gdy Średnie i Kukielewszczyzna pozostały przy właściwym funduszu mamyłowskim i Kaszynie. Trusewicze mają w mojej schedzie serwitut pastwiskowy w lesie, toteż do tej schedy obecnie ograniczyli oni swoje przywileje i pretensje. Jak dział nastąpił między nami, współwłaścicielami dawnych Mamyłów, tak nastąpił też i między wioskami byłych poddanych dworu. Ta więź dworu z byłymi poddanymi zachowała się tu może silniej, niż gdzie indziej, tak z powodu serwitutów, które sprzyjają trwałości przeżytków dawnych form organizacji i pojęć, jak z tego powodu, że osoba dziedziczki Mamyłów, śp. Babuni Tukałłowej, bezpośrednio do ostatnich czasów wiązała teraźniejszość z przeszłością poddańczą. Babunia należała jeszcze sama do pokolenia, które w okresie poddaństwa władało ziemią i poddanymi, sama do ostatka zachowywała we dworach swoich tradycje związku z wioskami byłych poddanych i uważała te wioski za „swoje”, poczuwała się do rozmaitych obowiązków względem tych b. poddanych swoich. Ten patriarchalizm przetrwał tu do śmierci Babuni, tj. do r. 1909. Babunia była pod wielu względami typową wyznawczynią starych wymierających pojęć tak społecznych, jak narodowych. Ciekawe jest na przykład, że Babunia mówiła zawsze, że „my”, to znaczy ona i cała jej rodzina (Babunia Tukałłowa była Bohdanowiczówna z domu), a nawet bodaj cała szlachta Białej Rusi, „jesteśmy Rusinami, a nie Polakami”; narodowość łączyła Babunia tradycyjnie z pochodzeniem i przynależnością krajową, nie zaś kulturą i językiem i dlatego uważała się za „Rusinkę”. Ale tą narodowość czy ten swój naród rusiński, ruski (nie – rosyjski) Babunia, w myśl racji i tradycji ostatnich wieków, łączyła politycznie z Polską i Litwą w jedną wspólną i nierozdzielną całość. Było to echo starych pojęć pokoleń szlachty Rzeczypospolitej, pojęć, które na wspólnej tarczy herbowej łączyły

Anioła Rusi z Orłem Polski i Pogonią Litwy, uważając państwo wspólne Rzeczpospolitą i naród szlachecki za potrójny: polski, litewski i ruski. Ten naród Rusinów, jak go Babunia pojmowała i do którego się sama zaliczała z dumą i powagą, to było zupełnie coś innego niż narodowości istniejące we współczesnym znaczeniu tego pojęcia. Ten naród Rusinów – to nie byli Białorusini; przeciwko uważaniu etnograficznego elementu białoruskiego za naród i utożsamianiu go z narodem Rusinów, do których siebie i swój ród zaliczała, Babunia protestowała gorąco. Jej „naród Rusinów" to była kategoria formacji historycznej, lecz nie narodowość w pojęciu współczesnym.
Dzień mi zeszedł w Wiązowcu spokojnie i prędko. Nic osobliwego nie zaszło, jeżeli nie liczyć tego, że Bryś ukąsił Annę i że sekund omal jej w twarz nie bryknął.

11 (24) stycznia, rok 1914, sobota
Śniegi w lesie są duże, tak że trudno chodzić. Ponieważ zaś Biesiekierski jest przez cały dzień, od samego rana do zmroku, obliczaniem wespół z szafarzem i numerowaniem wyrobionego towaru [zajęty], więc chodzić po lesie prawie że nie mam możności i potrzeby. Sam bowiem już obszedłem las cały pozawczoraj, a z Biesiekierskim go obejść powtórnie nie mogę, towarzyszyć mu zaś przy numerowaniu – to tylko bezcelowa włóczęga od pnia do pnia w niewielkim obrębie. Wobec tego po lesie mało dziś chodziłem. Bilans gospodarczy mojego obecnego przyjazdu jest tylko ten, że nająłem na miesiąc dodatkowego stróża leśnego w osobie Pietraszkiewicza z Trusewicz, głównie dla dozoru przy wywożeniu towaru z lasu i przy rąbaniu, aby lasu przy tym nie psuto, rozporządziłem się co do wydania rekwizytu szafarzowi na spław wiosenny, wreszcie wydałem rozporządzenie co do uprzątnięcia powału, bardzo obfitego tej zimy na skutek huraganu grudniowego: pował jodłowy odprzedałem kupcowi na warunkach przewidzianych w kontrakcie co do złomków jodłowych przy rąbaniu, pował sosnowy poleciłem Biesiekierskiemu sprzedawać detalicznie podług taksy na werszki, na pował zaś osinowy poleciłem szukać kupca dla sprzedania go na sążnie na drwa.
Spisałem dziś te wszystkie rozporządzenia detalicznie, sprawdziłem rachunki itd.
Wzięliśmy z Anną do Wiązowca aparat fotograficzny. Sfotografowałem dziś Annę przed gankiem domu stojącą przy koniu Sekundzie. Nie mając statywów, mogę fotografować tylko migawkowo, słońca zaś nie ma wcale, toteż nie wiem, czy światło będzie wystarczające i czy fotografia się uda.
Annie biednej ciągle zęby bolą. To jej odbiera humor i nastraja zgryźliwie. Nie tylko bowiem, że ból jej często dokucza straszliwie, ale i wyspać się nie może w nocy. Anna, będąc znerwowana, staje się bardzo przekorna. Obecny więc jej pobyt w Wiązowcu nie jest ani dla niej, ani dla mnie tak miły, jak był latem. Jedyna rozrywka jaką ma biedaczka – to przejażdżka w saneczkach Sekundem. Droga dobra, Sekund biegnie żwawo, saneczki lekkie, toteż Anna używa tej przyjemności w całej pełni. Przez cały dzień tęskni do tej jzady i namiętnie to lubi. Lubi jechać prędko – z werwą i zacięciem. Poza tym, lubi Anna karmić Brysia, bawiąc się widokiem jego wyrazistej dzikiej natury, która zwłaszcza przy karmieniu intensywnie się wyraża w grze pierwotnych uczuć chciwości, zazdrości, lęku, pokory i gwałtownej zaborczości. Choć Bryś wczoraj rzucił się raz na Annę i pokąsał ją, to jednak mu już to przebaczyła i pogodziła się, jeno się go obawia teraz trochę i jest ostrożna.

12 (25) stycznia, rok 1914, niedziela
Wyjeżdżamy dziś z Anną z Wiązowca. Ponieważ z wielu względów nie tylko że nie chcę, ale i nie mogę ujawniać wobec rodziny mojej związku mego z Anną, więc pobyt jej w Wiązowcu zawsze mię niepokoi, bo stąd do ujawnienia tego związku bardzo

niedaleko. Biesiekierski koresponduje ze swymi siostrami w Bohdaniszkach, plotki włościańskie mogą donieść o Annie Wołodkowiczom, stworzyć domysły i gawędy. Niepokój, który na skutek tego odczuwam, zatruwa mi tu werwę i humor w stosunku do Anny. Wolałbym z tego względu, aby tu nie przyjeżdżała, ale mi to przykro jej powiedzieć, bo to by ją martwiło biedną. Jak dotąd, to się udało uniknąć rozgłosu, ale możliwość takowego trwa, a przy częstszych przyjazdach to szydło wylezie z worka i z pewnością się rozgłosi. Zwracać to też musi uwagę samego Biesiekierskiego i Jaśka, którzy wiedzą, że jestem formalnie żonaty i że z żoną moją, Reginą, nie żyję, więc oczywiście Anna żoną nie jest. Jest młoda, nie-Polka, więc kimże jest dla mnie? Choć Anna nocuje w Wiązowcu w osobnym pokoju i choć unikamy jakichkolwiek pozorów naszego pożycia małżeńskiego, jednak sam fakt, że osoba młoda i oczywiście nie należąca do rodziny mojej przyjeżdża tu ze mną we dwójkę i bawi kilka dni razem i że nazywa mię po imieniu i na „ty", świadczy aż nadto wyraźnie o jakimś szczególnym stosunku, który nas łączy. A Anna nie umie udawać i nie umie inaczej, choćby przy ludziach, mówić do mnie, jak po imieniu.
Zajęty byłem dziś od rana pisaniem skargi kasacyjnej, bardzo pilnej, którą muszę przed wyjazdem do Wilna wykończyć, a której przez lenistwo poprzednich dni nie napisałem. Poza tym, zrobiłem kilka zdjęć fotograficznych na wyjezdnym, zmieniając klisze w spiżarence ciemnej. Sfotografowałem mianowicie: 1) Biesiekierskiego z rodziną, 2) Annę z Brysiem skaczącym do rąk jej po chleb, i 3) domek wiązowiecki z Czebotarem i Jaśkiem na froncie.
Po obiedzie koło godz. 1-2 wyjechaliśmy na kolej. Mrozu było tylko koło 3 stopni, ale wiatr dość ostry. Do miasteczka Radoszkowicz powoziła Anna, ale Sekund strasznie się lenił i droga się zepsuła wskutek zawiania jej przez śnieg, toteż Anna nie miała wielkiej frajdy w powożeniu. Pod koniec drogi Anna zziębła, a w Radoszkowiczach na stacji znowu się jej zęby rozbolały. Pociągiem wieczornym wyjechaliśmy i przez całą drogę spaliśmy, a przed północą przyjechaliśmy do Wilna i rozjechaliśmy się każdy do siebie.

13 (26) stycznia, rok 1914, poniedziałek
Sam nie wiem, co myśleć o sprawach „Kuriera Krajowego" i kwestiach z nimi związanych. W ostatnich czasach, wyjeżdżając z Wilna, nie czytałem tego pisma. Słyszę wszakże od Łuckiewiczów, że pismo ma wciąż charakter świstka brukowego i przez czas świąteczny, gdy my go nie zasilaliśmy naszymi artykułami, niczym się nie różnił od „Gazety Codziennej": było tylko informacyjne, mdłe, bez żadnego wyrazu ideowego. Czy tak jest – tego nie wiem, ale jeszcze przed świętami miałem wrażenie, że nasz „redaktor techniczny" Stanisław Sokołowski nie dość odpowiada naszym wymaganiom ideowym. Na razie z pierwszych kilku artykulików, które napisał bardzo udatnie, obudził on wśród nas wielkie nadzieje, ale już wkrótce przekonaliśmy się, że w istocie to jest dziennikarczyk płytki i nie kwalifikujący się na redaktora w pisemku choć popularnym i ulotnym, ale ideowym, bo o takie tylko pismo nam chodzi. Poza tym, pismo znowu jest w stanie krytycznym – sytuacja materialna nie polepszyła się wcale. Pismo żyje z dnia na dzień nędzną łataniną i ciągle grozi nam krach ostatecznej ruiny, a tymczasem rosną zaległości, przybywają zobowiązania, słowem – jest nie lepiej, ale coraz gorzej. Żadnej pomocy regularnej, żadnej nowej podstawy zasiłków, żadnego utrwalenia bytu na jakichś wyraźnych źródłach nie ma. Pcha się, co się da złapać, a kto właściwie pcha, ile i skąd – tego nie bardzo wiadomo. Tymczasem Łuckiewiczowie występują z projektem zaangażowania na redaktora – Jerzego Jankowskiego. Kandydatura Jankowskiego była już przez nas poprzednio odrzucona, ale teraz Łuckiewiczowie ją wznawiają. Że Sokołowski nie jest bardzo odpowiedni, to tak, ale Łuckiewiczowie wyzyskują tę okoliczność dla przeforsowania Jankowskiego.

Niezdatność jednego redaktora nie jest jeszcze sama przez się argumentem na korzyść drugiego. Łuckiewiczowie chcą z tego zrobić dylemat i tą drogą wymusić na nas aprobatę Jankowskiego. To mi się nie podoba. Ale jeszcze bardziej mi się nie podoba inny manewr w tym kierunku. Pisałem już o tym tajemniczym subsydium miesięcznym 400-rublowym, którym nas wciąż łudził Iwan Łuckiewicz i które ma być kapitalną podstawą bytu pisma, na tym subsydium właściwie gruntowała się cała wszczęta przez nas akcja ratunkowa. Źródło tego subsydium miało pozostać tajemnicą dla nas wszystkich. Tymczasem subsydium to dla jakichś powodów zawodziło, bo ten tajemniczy „ktoś", który miał dać pieniądze, wciąż miał jakieś „ale". Zacząłem wątpić, jak to już pisałem, w samo istnienie tego „ktosia" i jego subsydium. Zacząłem posądzać, że mityczne subsydium jest tylko ostrogą dla nas, przynęta do zorganizowania jakiegoś gremium wydawniczego i wyciśnięcia tylko od nas lub przez nas pieniędzy. Teraz znowu ten „ktoś" jest rzekomo niezadowolony z pisma pod redakcją Sokołowskiego i żąda mianowania redaktorem Jerzego Jankowskiego, uzależniając pono od tego subsydium. Co o tym myśleć – nie wiem. Rozmawiałem dziś o tym z Šaulysem, który jest też mocno niezadowolony z takiego traktowania rzeczy przez Łuckiewiczów i mocno zirytowany. Słusznie mówi Šaulys, że sytuacja taka jest niedopuszczalna, aby istniał „ktoś", niewiadomy dla nas, ukrywający się pod tajemniczym *incognito*, a wciąż dyktujący nam jakieś warunki i przywłaszczający sobie rolę gospodarza pisma, a nas za pachołków swoich używając. Pośrednictwo Łuckiewiczów między tym „kimś" a nami jest co najmniej dziwne. Albo ktoś, nie chcący się ujawnić, daje pieniądze na jakąś akcję, ufając nam i nie narzucając swej woli, albo, jeżeli chce mieć głos, niech przyjdzie na zebranie nasze, zastrzegając tajemnicę na zewnątrz i niech się z nami rozmówi, niech wypowie swoje *desiderata*, a wtedy zobaczymy, czy się da nam wspólnie coś robić. Trzeba będzie zwołać wkrótce zebranie naszego komitetu organizacyjnego i kwestię tę wyjaśnić. Ja osobiście, jak Šaulys i może jeszcze inni, w tych warunkach nie chcę się do tej roli stosować i usuwam od całej roboty. Niech sobie pismo będzie organem własnym tego „kogoś", organem Łuckiewiczów, jeżeli to oni pod płaszczykiem tego kogoś działają. Albo gospodarzami są Łuckiewiczowie lub ten „ktoś", albo nasz komitet organizacyjny. Po cóż w takim razie nas do służby zaprzęgać? Czy tylko dla wyzyskania firmy naszej jesteśmy potrzebni? Jeżeli tak – to basta. Na rzecz niewiadomą, niewyraźną, na jakąś służbę dawać swej firmy nie życzę. Poza tym co do Jankowskiego, to tak ja, jak Šaulys, esdecy i w ogóle wszyscy, komu drogie stanowisko demokratyczne, zgodzić się nie możemy, bo nie mamy gwarancji co do natury ideowej tego osobnika. Zresztą może w ogóle nie warto próbować przedłużać w tych warunkach wegetacji nieszczęsnego pisma. Szkoda placówki – to pewne, ale skoro sił nie ma, to lepiej zamknąć, niż iść na tory dróg niewyraźnych, narażając ideę samą na spaczenie. Bądź co bądź, zaród organizacji demokratycznych sił polskich, o co dziś nade wszystko chodzić nam winno, zachowamy w naszym związku demokracji i humanizmu niezależnie od bytu tego pisma.

Prawdziwie chyba innej rady i innego wyjścia nie będzie, jak zamknąć pismo. Bo my sami, bez stałego zapewnionego subsydium, własnymi środkami go nie utrzymamy. Jeżeli zaś cofniemy się od niego, zdając je całkowicie na gospodarkę i własność Łuckiewiczów, to też musi upaść, bo coraz coraz bardziej nabywam przekonania, że ten „ktoś" i to subsydium 400-rublowe nie istnieją wcale i jeno przynętą na nas. A gdyby subsydium to rzeczywiście istniało, to musimy znać jego pochodzenie. Co do Łuckiewiczów zachodzą w obecnej chwili rzeczy bardzo przykre, o których pomówię jutro.

14 (27) stycznia, rok 1914, wtorek
Nie jestem bynajmniej szczególnym adoratorem Łuckiewiczów, nie łudzę się co do ich szczególnych zalet, nie zapoznaję ich wad. To prawda, że cenię ich ruchliwość, sprężystość i poświęcenie się dla sprawy, której służą; co do Antoniego, to cenię jeszcze poza tym jego pracowitość, wybitne wyrobienie i dobrą głowę, ogromną wytrwałość, wolę i stanowczość oraz umiejętność wyzyskiwania okoliczności. Jest to nieoceniony pracownik, który by w każdym ruchu zdobył sobie stanowisko wybitne. Jest to człowiek, który żyje wyłącznie sprawą i dla sprawy, w którą wierzy i której służy, oddając się jej duszą i ciałem z zupełnym zaparciem się celów osobistych. Sprawą tą – jest ruch białoruski, powiedziałbym szerzej nawet – jest emancypacja społeczeństwa Białej Rusi, ukrajowienie jego. Nie tylko bowiem sprawa narodowa białoruska jako taka, nie tylko budzenie w biernej białoruskiej masie włościańskiej świadomości społecznej i narodowej zaprząta uwagę Łuckiewiczów, są oni istotnie *leaderami* roboty białoruskiej, lecz nie ograniczają się tym wyłącznie; łączą się poza tym z miejscowymi postępowcami i demokratami rosyjskimi i stają do ich szeregów, a nawet wysuwają na czoło ich roboty, skierowując takową na użytek haseł i potrzeb krajowych, do źródeł swojskich; łączą się też z demokratycznymi elementami inteligencji polskiej, przykładając rękę do zaszczepienia społeczeństwu polskiemu tzw. zasady krajowej, opierającej stanowiska społeczne na pierwiastku obywatelskim, to znaczy na stosunku do wewnętrznego układu czynników rozwoju w kraju. Obaj Łuckiewicze służą tej sprawie, jeno Antoni jest mędrszy i głębszy, on też głównie pełni samą robotę, podczas gdy Iwan działa bardziej na zewnątrz. Na skutek tych robót są oni znienawidzeni przez nacjonalistów tak rosyjskich, jak polskich, którzy darowaliby im udział w ruchu białoruskim, lecz nie darują nigdy udziału w demokratycznym i antynacjonalistycznym (krajowym) polskim czy rosyjskim. A że nacjonaliści poznali w nich wrogów niebezpiecznych, bo żelaznej wytrwałości, więc też walczą z nimi wściekle, starając się ich zniweczyć za wszelka cenę. Skądinąd dostrzegam wady Łuckiewiczów i ich cechy ujemne, nieraz przykre bardzo: mają oni ducha koteryjności, są mściwi, nieraz nie przebierający w środkach, poniekąd intryganci. W szczególności zaś Iwan jest bardzo nietaktowny, gadatliwy nad miarę, kompromitujący się na każdym kroku. Toteż Iwan dostarcza wrogom z obozu nacjonalistów coraz to środków do zwalczania go, a przez niego do zwalczania też i dyskredytowania całej roboty, która się przez Łuckiewiczów lub z ich udziałem prowadzi. Dlatego też jest on niebezpiecznym nie dla wrogów tylko, lecz i przyjaciół. Wielką sensację w ostatnich czasach sprawiły w całej Polsce rewelacje niejakiego Krysiaka, endeka, który jakimś sposobem wykradł i opublikował listy działacza ukraińskiego z Galicji, unickiego popa Hanickiego do przywódcy hakatystów pruskich Tiedemanna. Listy te ujawniają stosunki nacjonalistów ukraińskich, przynajmniej pewnych ich elementów, z Hakatą pruską dla wspólnej walki czy też i „obrony” przed Polakami. Otóż w paru listach Hanickiego są wzmianki o tym, że hakatystom dla większej skuteczności ich akcji nad zgnębieniem polskości należy zwrócić uwagę na ruch litewski i białoruski na ziemiach b. Rzeczypospolitej w państwie rosyjskim i ewentualnie poprzeć te ruchy, aby tą drogą uderzyć na Polaków i zagrozić ich tyły. Poza tą ogólną radą Hanickiego, są w listach jego jeszcze wzmianki nieco konkretniejsze – mianowicie jest mowa o pewnym Białorusinie, który ma do sprzedania jakieś zabytki czy wykopaliska znad Morza Czarnego i dalej propozycja nabycia tych przedmiotów przez Tiedemanna za 50 000 na cele polityczne. Osoba Białorusina nie wymieniona, ale ponieważ znane są ogólnie stosunki Iwana Łuckiewicza z Ukraińcami galicyjskimi, jego ciągłe wyjazdy do Lwowa, jego konszachty z metropolitą Szeptyckim, jego skądinąd niewybredność w zawieraniu stosunków z ludźmi, jego nietakt, a znów wiadomo, że się zajmuje archeologią, że handluje starożytnościami, że

subsydiuje roboty białoruskie i wszelkie inne, w których udział bierze, że majątku żadnego nie ma, a przecie z czegoś żyje i ma skądś środki na to subsydiowanie, najoczywiściej z tego handlu lub stosunków, więc zaraz w osobie owego Białorusina z listów Hanickiego zaczęto się domyślać Iwana Łuckiewicza. Cała nacjonalistyczna prasa polska podchwyciła tę sprawę i splotła z tego oskarżenie na Łuckiewicza. Pierwszy „Kurier Litewski", za nim „Wiadomości Ilustrowane" i wreszcie postępowo-nacjonalistyczny „Przegląd Wileński", mający zadawnione żale i porachunki tak ideowe, jak osobisto-koteryjne z Łuckiewiczami, bardzo niedwuznacznie rzuciły posądzenie o stosunki białoruskiego „handlarza starożytności" z hakatystami. Nazwisko Łuckiewicza nie zostało ani razu w druku wymienione, ale osoba jego wskazana tak przejrzyście, że nie może być wątpliwości. Najciężej zaś, najjaskrawiej uderzyły Łuckiewicza „Wiadomości Ilustrowane". Sprawa ta jest bardzo przykra. Stosunki z hakatą pruską, pomoc od niej – jest bez względu na cel ohydą taką, której usprawiedliwienia być nie może. Jestem pewny, że Łuckiewicz tego nie robił, ale czy w swoich stosunkach z działaczami ukraińskimi nie miał jakiejś styczności z Hanickim, który mógł potem bez jego wiedzy popierać jego interesy przed Tiedemannem, za to nie zaręczyłbym.

15 (28) stycznia, rok 1914, środa
Iwan Łuckiewicz powinien reagować na łączenie go przez prasę nacjonalistyczną z ohydną treścią rewelacji Krysiaka. Stosunki z hakatą – to zarzut tak poważny, tak niweczący etycznie człowieka, że zostawienie go bez repliki równa się zupełnemu upadkowi. Zbyt wyraźnie skierowany jest ten zarzut do I. Łuckiewicza, aby można go ignorować na tej podstawie, że nazwisko jego nie zostało wymienione. Dziś rozmawialiśmy o tym w kółku naszych przyjaciół. Zdania się podzieliły. Ale wpierw nim streszczę zdania nasze co do tego, co należy teraz Łuckiewiczowi robić, jak reagować, opiszę tu, jak w rzeczywistości miały miejsce fakty, z których oczywiście wysnute zostały owe zarzuty i posądzenia. Antoni; Łuckiewicz dziś nam dokładnie całą rzecz zreferował. A więc sprawa miała się tak. Ale jeszcze wpierw słówko o samych stosunkach popa Hanickiego z hakatystami. Jak wiadomo, do Prus skierowuje się co roku z rolniczych dzielnic Polski tzw. obieżysastwo, tj. wychodźstwo robotników rolnych na zarobki sezonowe do majątków ziemskich. Wielka ilość tych obieżysasów dostarcza szczególnie rolnicza, mało uprzemysłowiona Galicja. Pruscy właściciele ziemscy – Niemcy, korzystający z pracy obieżysasów polskich, dla większej kontroli i władzy nad obieżysasami utworzyli specjalną organizację. Organizacja ta ma charakter z natury rzeczy ekonomiczny, lecz element hakatystyczny, mający także wpływy w tej organizacji, wnosi do niej także pewne tendencje polityczne antypolskie. Otóż niektórzy działacze ukraińscy z Galicji, jak oto pop Hanicki, zamierzyli wyzyskać nienawiść Niemców do Polaków, niechęć do robotników polskich dla zastąpienia obieżysastwa polskiego przez ukraińskie pragnąc upiec przy tym i własną pieczeń w postaci zwiększenia swych wpływów na lud. Ponieważ organizacja pruskich właścicieli ziemskich mogłaby dbać mniej o względy czysto polityczne i przede wszystkim liczyłaby się z ekonomicznymi, podczas gdy Ukraińcy fundowali swoje zamiary właśnie na politycznych i narodowych, więc Hanicki uznał za korzystne działanie na tą organizację przez wpływy hakatystyczne i w tym celu zawiązał pertraktacje z szefem Hakaty Tiedemannem, znając jego wybitne stanowisko i siłę wpływu w organizacji. Przed Tiedemannem roztaczał naturalnie szkodliwość narodową dla Niemców obieżysastwa polskiego i względy potrzeby walki z polskością we wszystkich dziedzinach, a więc i ekonomicznej przede wszystkim. Tiedemann, niezadowolony z zaniedbywania przez organizację narodowych i politycznych celów na rzecz czysto

ekonomicznych, popierał starania Hanickiego. Dla nacjonalistów ukraińskich zorganizowanie na własną rękę samodzielnego obieżysastwa ukraińskiego było bardzo pożądane. I dotąd w szeregach obieżysasów polskich z Galicji dużo było chłopów ukraińskich, tonęli oni wszakże w szeregach polskich, popadali w zależność od Polaków i nawet się przez to obieżysastwo polonizowali. Zorganizowanie samodzielnego obieżysastwa ukraińskiego wyzwoliłoby tych chłopów od zależności polskiej i polonizacji. To dla nich atut pierwszy. Dalej kierownictwo takim ważnym dla chłopów źródłem zarobków, jak obieżysastwo, wzmocniłoby znakomicie wpływy nacjonalistów ukraińskich w masach ludowych. Taki był schemat intrygi hakatystycznej Hanickiego *et consortes*. A teraz co do sprawy Iwana Łuckiewicza. Rzeczywiście, w swoich stosunkach z Ukraińcami i wycieczkach do Lwowa poznał się on przed kilku laty z Hanickim. W rozmowie, jaką mieli, Hanicki zwrócił uwagę Łuckiewicza na to, że, korzystając z niesnasek polsko-niemieckich w Poznańskiem i specjalnej nienawiści Niemców do Polaków, można byłoby zorganizować obieżysastwo do Prus z Litwy i Białej Rusi i skierować tam falę wychodźstwa zarobkowego z tych krajów. Przy tym Hanicki wskazał na istniejącą w Prusach organizację właścicieli ziemskich, z którą czy przez którą można byłoby tę rzecz spróbować nawiązać. O stosunkach z hakatystycznym Ostmarchverein, o zużytkowaniu w tym celu intrygi brudnej z Tiedemannem na gruncie konszachtów wspólnictwa antypolskiego – nie było mowy, bo Hanickij o tym się przed Łuckiewiczem nie chwalił. Organizacja pruskich właścicieli ziemskich ma charakter ekonomiczny, toteż układy z nią dla zorganizowania obieżysastwa z Litwy i Białej Rusi nie mają w sobie samo przez się nic zdrożnego. Nic naturalniejszego nad to, że Białorusini czy Litwini, czy w ogóle działacze demokratyczni z naszego kraju chcieliby się zająć unormowaniem wychodźstwa zarobkowego naszego ludu, emigrującego masowo i chaotycznie do Ameryki, do miast przemysłowych i portowych Łotwy, Rosji, Kaukazu, wyzyskiwanego nielitościwie przez niesumiennych agentów emigracyjnych, oddanego na pastwę przypadku ruchów żywiołowych. Dla Białorusinów zaś zorganizowanie tego obieżysastwa miałoby jeszcze szczególne znaczenie narodowe i polityczne, bo dałoby im związek bliższy z masą ludową w zakresie jej potrzeb żywotnych i jednocześnie odciągało, przynajmniej masy emigrujące, od wschodu, działającego rusyfikacyjnie. Dopóki sprawa ta mieści się w tych ramach, nie ma w niej nic brzydkiego. Jest to owszem działaniem zupełnie obywatelskim. Dopiero byłoby brzydko, ohydnie i podle, gdyby fundować tę rzecz na konszachtach z Hakatą, na intrydze antypolskiej, wyzyskującej złodziejskie gwałty nad nieszczęsnym narodem, zawierającej niecną zmowę z najnikczemniejszą bandą prusactwa. Łuckiewicz po powrocie do Wilna rozmawiał w tej sprawie z Litwinami (zdaje się – ze Ślażewiczem i grupą „Lieturos Žinios"). Nigdy oczywiście mowy ani przypuszczenia nie był o związku z Hakatą, jeno o zorganizowaniu wychodźstwa ekonomicznego. Akurat w tym czasie utworzona została w Wilnie filia warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Emigrantami. Do towarzystwa tego weszli Polacy, Białorusini i Litwini. Towarzystwo otworzyło własne biuro, kierowniczką tego biura była p. Kremerowa, *primo voto* Knochowa, była pracowniczka „Gazety Wileńskiej", potem sekretarka „Gazety Wileńskiej" i jej spadkobierczyni „Jutrzenki", osoba zaufana endeków odcienia ludowego; biuro towarzystwa emigracyjnego, zdaje się, zostało później zamknięte dla braku środków i sił pomocniczych w tej trudnej i skomplikowanej robocie, jaką jest organizacja pomocy wychodźcom. Otóż Łuckiewicz chciał nawiązać sprawę zorganizowania obieżysastwa z Litwy i B. Rusi do Prus – do działalności tego nowego towarzystwa i rozmawiał w tej sprawie z kierowniczką biura p. Kremerową. Z tych samych wszakże powodów, z jakich upadło biuro, i ta sprawa nie

mogła być wykonana i projekt zamarł. Na tym koniec całej „afery”. Jutro napiszę w dalszym ciągu.

16 (29) stycznia, rok 1914, czwartek
Napiszę tu dalej o sprawie Łuckiewicza. Napisałem, jak się rzecz miała w kwestii owych kombinacji co do obieżysastwa. Poza tym, jest jeszcze druga kwestia – owych skarbów czy wykopalisk znad Czarnego Morza, o których wspomina pop Hanicki w liście do Tiedamanna; Hanicki pisze, że pewien Białorusin zwracał się do niego z propozycją sprzedaży tego skarbu na cele polityczne i zapytuje Tiedemanna, czy nie nabyłby go za 50 000 (nie wiem – rubli, marek czy koron), wiążąc naturalnie tę sprzedaż ze sprawą wzajemnego popierania się we wspólnej walce z polskością. Owóż, jak powiada Antoni Łuckiewicz, rzecz się miała tak: „Skarby te należały nie do Iwana Łuckiewicza, lecz do jakiegoś urzędniczka pocztowo-telegraficznego w Mińsku, niejakiego Romanowicza, który dostał je po wuju swoim i chciał spieniężyć; składały się one z jakichś podobno monet starożytnych złotych itp., znalezionych podobno w gub. chersońskiej i pochodzących rzekomo ze starożytnych czarnomorskich kolonii greckich czy włoskich. Ten Romanowicz zwrócił się do Iwana Łuckiewicza jako trudniącego się handlem starożytności z prośbą pośredniczenia w tej sprzedaży. Iwan, który utrzymuje stosunki stałe z ukraińskim muzeum narodowym we Lwowie, zwrócił się do tej instytucji z propozycją nabycia tych przedmiotów. Były one ocenione zresztą nie 50 000, lecz 2000 (rubli?). Z Hanickim wcale o tym nie traktował. Rzecz zresztą upadła, bo okazało się, że te przedmioty „starożytne” (były tam nie tylko monety) są sfałszowane. Tak się przedstawiają te sprawy w świetle słów Antoniego Łuckiewicza. Że Antoni nie kłamie, o tym nie wątpię; mówi on ze słów Iwana. Nie wątpię nawet, że Iwan nie był wtajemniczony w intrygę Hanickiego z Hakatą. Samo przez się więc fakty te nie mają nic zdrożnego, nic kompromitującego dla Iwana. Kompromitujący jest tylko fakt stosunków z Hanickim. Otóż to jest właśnie winą i ujemną cechą Iwana, że nie przebiera on w stosunkach z ludźmi i miewa układy i konszachty z osobistościami niepewnymi, z nacjonalistami, intrygantami itd., którzy później okazują się zawikłanymi w brudne sprawy i jego też ze sobą wikłają. Nie ręczyłbym też, znając Iwana, czy nie wygadywał on przed Hanickim w ten sposób na Polaków, że Hanicki mógł go uważać za ewentualnego sojusznika swego w konszachtach z Hakatą i dlatego już na własną rękę zalecał Tiedemannowi świadczenie poparcia dla spraw Łuckiewicza. Iwan rzeczywiście ma wielką elastyczność moralną, po prostu brak zmysłu czystości; z Polakami jest poplecznikiem rzekomo kultury polskiej, wobec szlachty chce uchodzić za obrońcę szlacheckich ideałów, z demokracją jest przyjacielem ludu. Robi to przez „dyplomację”, ale robi niezręcznie i jeno się na wszystkie strony kompromituje, kompromitując jednocześnie ludzi, z którymi współdziała i sprawy, do których rękę przykłada. Z tego względu jest on niebezpieczny i dlatego wolałbym jak najmniej się z nim stykać w jakichś wspólnych robotach. Na nieszczęście jest on, co się nazywa, zachłanny, to znaczy, że się wszędzie pcha i że się go trudno pozbyć, gdy się gdzieś raz dostanie, a to tym bardziej, że ma popleczników i ma największego poplecznika w osobie brata, Antoniego, człowieka mądrego i bardzo w wielu razach potrzebnego i pożądanego. To są moje ogólne wnioski o osobie Iwana i o niebezpieczeństwie wspólnego z nim działania. Co zaś do obecnej sprawy, to zdaje mi się, że żadnej świadomej winy jego dostrzec niepodobna, tylko ta sama jego wieczna nieostrożność, to samo nieopatrzne wdawanie się w Bóg wie jakie stosunki z Bóg wie kim, co rzuca później cień na osobę jego i daje przeciwnikom politycznym narzędzie najgorsze do walki, bo narzędzie zniesławiania jego. Iwan Łuckiewicz napisał do redakcji dzienników polskich w Wilnie list, zaprzeczający stanowczo jakimkolwiek stosunkom

jego z działaczami Hakaty pruskiej, protestujący przeciwko łączeniu w jakikolwiek sposób jego imienia z konszachtami Hanickiego z Hakatą. List ten ukazał się w dzisiejszych numerach pism. Na wszelkie dalsze rozsiewanie o nim plotek i insynuacji w związku z tą sprawą wbrew jego zaprzeczeniu będzie on reagował jak na obelgę osobistą. Wczoraj, gdyśmy w naszym kółku przyjaciół omawiali tę sprawę, zdania się podzieliły co do sposobu reagowania przez Łuckiewicza na te zarzuty. Šaulys i ja uważaliśmy, że ze względu na opinię publiczną i na ludzi uczciwych i czystych, u których zarzuty te mogą jednak obudzić wątpliwości, należałoby dążyć do merytorycznego wyjaśnienia całej sprawy i całej wewnętrznej treści zarzutów, aby nie zostało nic niedopowiedzianego; czy to robić w drodze sądu honorowego, czy jakiegoś trybunału obywatelskiego – to byłaby rzecz do obmyślenia , choć niewątpliwie co do formy trudna. Kraskowskij i Bułat stali na innym punkcie widzenia. Ich zdaniem, ponieważ sprawa ta i te zarzuty są wyrazem walki politycznej, wyrazem chęci utopienia i zdyskredytowania wrogów politycznych, więc o sądzie „honorowym" z autorami tych zarzutów nie może być mowy. Jest to nie zatarg honorowy, w którym chodzi o wyświetlenie prawdy i honoru, jeno walka polityczna. Bułat był zdania, że jeżeli tu reagować można, to chyba kijem i pięścią. Kraskowskij wskazywał na to, że przekonywanie o czymś tych, którzy nie chcą być przekonani i chcą wierzyć w prawdziwość zarzutu, bo to im dla ich celów politycznych potrzebne, jest bezcelowe i że dewizą tych zarzutów jest „*Calomnier, il en restera toujours quelque chose*".

17 (30) stycznia, rok 1914, piątek
Słychać, że w Rosji poza ruchem rewolucyjnym szerzy się obecnie też specjalny ruch antydynastyczny, ogarniający nawet sfery arystokratyczne. Ile w tym jest prawdy i jak popularny jest ten ruch w kołach, mogących ewentualnie dokonać przewrotu oraz jaka jest natura tego ruchu, jaki jego podkład ideowy – tego dobrze nie wiem, ale o ruchu tym słyszałem ze źródeł poważnych.
Wieczór spędziłem dziś w domu, bo Anna wybrała się na koncert symfoniczny za wstępem bezpłatnym, udzielonym jej przez jej znajomego Łotysza, grającego w orkiestrze. Nie mogłem więc być u niej. Odwiedziłem więc ją tylko we dnie, jak zawsze, gdy się wieczorem widzieć nie mamy. Dziś rocznica urodzin Anny – skończyła 23 lata. Na podarek urodzinowy kupiłem jej za 4 rb. maszynkę „Primus". Kupiliśmy też z nią rozmaitych substancji chemicznych dla przyrządzenia płynów do wywoływania klisz, czym się mamy zająć w niedzielę.
Wieczorem, po przygotowaniu się do jutrzejszych obron karnych, pisałem moją pracę o układzie narodowym na Litwie i Białej Rusi. Pracę tę już od paru tygodni piszę; rozrasta się ona bardzo; daleki jeszcze jestem od jej końca. Lękam się, żeby nie była za długa nawet jak na artykuł dla „Świata Słowiańskiego". Rozmaite inne zajęcia odrywają mię od tej pracy i nie dają wykończyć jej jednym ciągiem. Brak mi już trochę cierpliwości, ale chce ją bądź co bądź dokończyć. Gdy piszę, to się do niej zachęcam i nawet przesadzam jej wartość, gdy zaś pisać przestaję, to się okropnie lenię znów do niej zabierać. Dziś mi przyszło na myśl wydać ją ewentualnie w postaci książeczki osobnej, ale chyba że tego nie zrobię. To tylko pomysł chwilowy pod wpływem podniecenia przy pisaniu.

18 (31) stycznia, rok 1914, sobota
Miałem dziś dwie obrony karne w sądzie okręgowym. W jednej sprawie broniłem jakiegoś Żydka, oskarżonego o ukrywanie rzeczy kradzionych, w drugiej niepełnoletniego złodziejaszka, oskarżonego o jakąś piątą kradzież. Żydek został uniewinniony, złodziejaszek skazany na 6 miesięcy więzienia.

Wieczorem poszedłem do cyrku ze Stefusiem i z bawiącym przejazdem w Wilnie Julkiem Komorowskim. Od dawna już przyrzekłem Stefusiowi, że go zaprowadzę do cyrku i dziś wreszcie spełniłem tę obietnicę, a ponieważ Julek bawi w Wilnie, więc i jego wziąłem. Lubię dość przedstawienia cyrkowe. Atmosfera zmysłowa cyrk jest zasadniczo różna od również zmysłowej atmosfery kabaretów. W kabarecie szansonetowym zmysłowość ma kształt lubieżności, podnieca pragnienie rozkoszy cielesnej, żądzę wyuzdania instynktów i pławienia się w rozpuście. Cyrk zaś uwydatnia giętkość, siłę fizyczną; zmysłowość cyrkowa jest przeto jędrniejsza, pożądanie, które ona wywołuje, ma zabarwienie nie rozpusty, nie wyuzdania, ale mocy i zdobywczości ciała, dominacji nad ciałami innymi. Ostatecznie zmysłowość u mężczyzny zawsze się streszcza do kobiety, ale kobieta w cyrku, kobieta, że tak powiem – pożądana przez pryzmat zmysłowości cyrkowej – to nie tyle lubieżne narzędzie rozkoszy, jak dziewczyna u Szumana, ile wyraz panowania ciała nad ciałem, posiadanie władzy. Cyrk stwarza zupełnie specjalną atmosferę zmysłowości. Oczywiście że mówię o moim wrażeniu osobistym, o moim własnym stanie zmysłów w cyrku i w kabarecie. Sądzę wszakże, że nie należę o wyjątków i że zjawisko to jest normalnie takim. Czy piękne ćwiczenia koni, ich kształty szlachetne w ruchu, czy gimnastyka nadpowietrzna, wyrażająca się w doskonałym obliczeniu ruchów, ich sprężystości, wysilenia i wzajemnego ustosunkowania, czy jazda i skoki amazonek cyrkowych, czy poskramianie zwierząt drapieżnych i dzikich, podporządkowanych woli poskromicielki – wszystko się przetapia u widza w zmysłowość szczególną, skierowaną do kobiety, ale o wiele szlachetniejszą od pijanej kabaretowej. W cyrku spotkałem się z p. Iżyckim-Hermanem i rozmawiałem z nim w antrakcie. Jest to człowiek postępowy i, zdaje się, umysł niezależny. Jest czy był może ziemianinem z powiatu bobrujskiego. Znam go i miewałem stosunki od dość dawna. Za czasów „Gazety Wileńskiej" był on jej sympatykiem i pisywał czasem. Potem znów się z nim spotkałem przy zakładaniu „Przeglądu Wileńskiego". Od lat paru mieszka on w Wilnie i teraz świeżo został wybrany na radnego miejskiego. Ma on pewną znajomość spraw gospodarki miejskiej, bo był radnym w Bobrujsku. Nowa nasza Rada Miejska, wybrana w jesieni, dopiero teraz funkcjonować zacznie. Dotąd odbywały się tylko zebrania grup, które się ukształtowały i jedno zebranie wspólne w charakterze „narady przedwstępnej", bo to nie było jeszcze posiedzenie regularne. Pierwsze posiedzenie regularne nowego kompletu radnych dopiero się w przyszłym tygodniu odbędzie. Większość radnych rozpada się na dwie główne grupy – na obóz zarządowy, że tak powiem – prawicę, i obóz tzw. „niezależnych", zorganizowany przez „przeglądowców" z Witoldem Abramowiczem na czele i elementy pokrewne, obóz bardzo zresztą różnorodny. Ta grupa „niezależnych" nie ma wszakże jakiejś wyraźnej fizjonomii programowej, która by ją cementowała i nadawała jej oblicze opozycji zasadniczej. Ten brak właśnie programowości, obawa przed zasadami i ścisłością, chęć zgrupowania wielkiej ilości i opierania siły swojej na tej właśnie ilości, zamiast na programie i zasadzie – to organiczny błąd Witolda Abramowicza zawsze i wszędzie. Może nie błąd zresztą, a świadoma taktyka, skierowana do celów praktycznych, zupełnie nie ideowych. Iżycki-Herman był na jednym zebraniu „niezależnych", ale się do ich grupy nie wpisał, bo nie ma wiary do nich i ma wrażenie, że grupa ta spekuluje także jak zarządowa na ambicjach i faworytyzmie celów i interesów osobistych i koteryjnych. Natomiast powiada Iżycki-Herman, że sympatyczne sprawiają wrażenie radni Rosjanie (postępowcy), może, powiada, dlatego, że z natury rzeczy nie mogą liczyć na udział w korzyściach działu „общественного пирога".

19 stycznia / 1 luty, rok 1914, niedziela

Z powodu rewelacji Krysiaka i szczególnie z powodu pogłosek, zarzutów i insynuacji, skierowanych przez wileńską prasę endecką z tego powodu nie tyle do osoby Łuckiewicza, ile do ruchu białoruskiego poprzez pryzmat jego osoby jako „prowodyra” ruchu tego, napisał Janulaitis artykuł i wręczył mi dla „Kuriera Krajowego”. Artykuł ten zawiera sporo myśli i uwag bardzo trafnych o aferze, jaką na tym robią nacjonaliści, o ich metodzie działania i o istotnej antyludowej naturze obecnej nagonki. Ale napisany był chaotycznie, urywanymi frazesami – zwykłym stylem Janulaitisa. Dopiero więc siedząc u Anny przerobiłem go całkowicie, wystylizowałem, uzupełniłem gdzieniegdzie, rozwinąłem. W rezultacie wypadł świetny artykuł, polemiczny zarazem i zasadniczy. Przeczytałem go dziś szeregowi osób spośród przyjaciół naszych – wszyscy są zachwyceni. Wydrukujemy go w numerze wtorkowym „Kuriera Krajowego” w całku, mimo że jest trochę za obszerny.
Na godz. 4 po południu zwołane było u dr Sumoroka zebranie komitetu organizacyjnego „Kuriera Krajowego”. Na zebraniu obecni byli: dr Sumorok, ja, Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Jan Vileišis, Šaulys, Kairys i Jerzy Jankowski. Zebranie przeciągnęło się do jakiejś godz. 7 ½. Wszystkiego, co było na zebraniu omówione i postanowione, dziś nie opiszę, dokończę jutro. Tu tylko dotknę jednej kwestii, bardzo zasadniczej – to tych 400 rb. subsydium z niewiadomego dotąd dla nas źródła. Sądziłem poprzednio, że w rzeczywistości subsydium tego nie ma wcale i że zostało ono tylko zmyślone przez Łuckiewiczów, aby nas do popierania pisma zachęcić i wciągnąć. Okazało się, że tak ni jest. Od dawna mówiłem, że należałoby, aby Łuckiewiczowie przynajmniej nam, ludziom najbliżej pisma będącym, powiedzieli, skąd pochodzą te pieniądze. Nie nalegałem wszakże. Wobec jednak podniesionych przez endeków pogłosek o rzekomych konszachtach Łuckiewicza Iwana z hakatystami, w pierwszej chwili, nim się zorientowałem co do istoty natury tej insynuacji, zaniepokoiłem się i, widząc się koło nowego roku z Osmołowskim, wspomniałem mu, że powinniśmy, biorąc pieniądze, wiedzieć przynajmniej, skąd one pochodzą, choćby pod najściślejszym sekretem. Tym bardziej uważałem to za niezbędne, gdym w rozmowie z Šaulysem, a potem od Antoniego Łuckiewicza dowiedział się, że podobno ten czy ci, którzy dawać mają pieniądze, żądają podobno zaangażowania na redaktora Jerzego Jankowskiego. Jeżeli, dając pieniądze, mają stawiać warunki, to znaczy się zawiązuje rodzaj układu, wzajemnych zobowiązań, a w takim razie powinniśmy już koniecznie znać tych panów, wiedzieć, z kim mamy traktować, wobec kogo przyjmować zobowiązania. Sprawa pisma nie jest tylko interesem materialnym, geszeftem kupieckim, bo chodzi tu o publicystykę ideową, demokratyczną. Jeżeli w interesie strony umawiające się muszą być sobie wzajemnie znane, to tym bardziej w sprawie wydawnictwa demokratycznego, bo tu układ jest możliwy tylko o tyle, o ile strony łączy wspólny pierwiastek ideowy, inaczej bowiem spółka byłaby brudna, a więc niedopuszczalna. Takie było moje pojmowanie tej sprawy, takie też Šaulysa. Pogłoski o stosunkach Iwana Łuckiewicza z Hanyckim, a przez Hanyckiego z hakatystami – zaniepokoiły nie tylko mnie, ale też Jana Vileišisa i dr Sumoroka. Vileišis, spotkawszy się z Osmołowskim, wpadł na niego z wyrzutami, że ukrywanie źródła subsydium 400-rublowego jest niedopuszczalne i że chyba są to istotne pieniądze pochodzenia brudnego, pieniądze z piętnem Hakaty, piętnem podłości i hańby. Sumorok zaś, widząc się ze mną, ubolewał nad szerzeniem się pogłosek o Łuckiewiczach, kompromitujących też „Kurier Krajowy” i dodawał, że jednak przecie chyba z palca tych wieści nie wyssano i że coś musi być w nich prawdy. Taka więc wytworzyła się w naszym kole sytuacja, taki nastrój, że nie można było dłużej trwać w niedomówieniu i ukrywać źródło 400-rublowego subsydium. Zresztą, dla uspokojenia pierwszego popłochu, Osmołowski powiedział już prywatnie Vileišisowi, skąd się biorą te pieniądze, Antoni

Łuckiewicz powiedział mnie, ja – Šaulysowi. Tylko więc dr Sumorok i Kairys spośród dziś obecnych na zebraniu nie wiedzieli, a skądinąd my, którzyśmy wiedzieli, chcieliśmy, aby rzecz została w naszym kole wspólnie omówiona, aby usunąć wszelkie wątpliwości i wspólnie się naradzić, czy możliwe jest i w jakiej postaci korzystanie z tej zapomogi. A więc rzecz ma się tak: pieniądze te pochodzą od kilku Żydów wileńskich. Są nimi: przemysłowiec i kupiec leśny Adolf Gordon, drukarz Syrkin, dr Załkind i niejaki Frumkin. Żydzi ci znali osobiście Łuckiewiczów i wiedzieli, że Łuckiewiczowie mają z wydawnictwem „Kuriera Krajowego" ścisły związek. Gdy antysemityzm rozszalał [się] w społeczeństwie i całej prasie polskiej, szerząc się nawet w szeregach postępowych z przerażającą siłą rozpędową, panowie ci, oceniając wartość takiej prasy, która, jak „Kurier Krajowy", nie dała się unieść popularnemu prądowi antysemickiemu i pozostała wierna zasadom równouprawnienia Żydów i uznania ich za współobywateli, zadeklarowali Łuckiewiczom pomoc pieniężną dla pisma w kwocie rb. 400 miesięcznie, wiedząc, że pismo jest materialnie zachwiane. Taka jest rzeczywistość, a o tym, jakeśmy się wobec tej wiadomości zachowali, napiszę jutro.

20 stycznia / 2 lutego, rok 1914, poniedziałek
Wracam do opisu wczorajszego zebrania „Kuriera Krajowego". Wspomniałem, że przed tym zebraniem niektórzy z nas wiedzieli już prywatnie, od kogo pochodzą pieniądze, ofiarowane na pismo za pośrednictwem Łuckiewiczów. Publicznie wszakże to dotąd powiedziane nie było, a niektórzy z nas, jak dr Sumorok i Kairys, nie wiedzieli jeszcze nic zgoła. Od razu na wstępie podniesiona została kwestia materialnego bytu wydawnictwa, umyślnie w tym celu, aby wywołać na jaw sprawę owego 400-rublowego subsydium i ją w pierwszym rzędzie omówić i tak lub inaczej rozstrzygnąć. Wówczas Iwan Łuckiewicz wystąpił z oświadczeniem, że subsydium to pochodzi od grupy Żydów, nie wymieniając nazwisk ofiarodawców, którzy, sympatyzując kierunkowi pisma, zadeklarowali stałą zapomogę. Dodał, że byłoby może najpraktyczniej i najsłuszniej, aby dla oparcia wydawnictwa na ścisłych podstawach utworzyć spółkę (choćby nieformalną i niejawną) z zadeklarowanymi udziałami i określonymi zobowiązaniami członków, do której należałoby może zaprosić także ową grupę żydowską. Iwan zastrzegł, że to jest nie jego wniosek, jeno ewentualny projekt, podany przez Osmołowskiego, nieobecnego na tym zebraniu. Dotąd imiona tych ofiarodawców Żydów nie zostały wymienione publicznie. Wtedy ja zabrałem głos i oświadczyłem, co następuje: dla powołania tych Żydów do takiej spółki musielibyśmy mieć pewność, że to jest grupa, która ideowo stoi na tym samym, co my, stanowisku; obecnie organizacja „Kuriera Krajowego" łączy grupy demokratyczne – polską, białoruską i litewską oraz grupę esdecką; oczywiście, można byłoby się zastanowić, czy jest słuszne i potrzebne przyjąć do tej wspólnej roboty i demokratyczną grupę żydowską; zasadniczo przeszkód po temu nie ma, o ile tylko taka grupa żydowska byłaby rzeczywiście demokratyczna i rzeczywiście solidarna z nami ideowo w robocie, którą prowadzimy i w celach, do których dążymy; a jak od wszystkich grup, połączonych w naszej wspólnej robocie, możemy przyjmować bez skrupułów pieniądze, tak też ewentualnie od tej grupy żydowskiej, gdybyśmy się z nią połączyć mogli, przyjęlibyśmy bez wahania; dopóki wszakże tej pewności nie mamy, nie możemy decydować o tworzeniu wspólnej organizacji z Żydami czy grupą Żydów niewiadomego nam oblicza ideowego; jeżeli ci Żydzi chcą nam udzielić zapomogi, bo dla tych czy innych względów sprzyjają naszej robocie lub pewnym jej celom, pewnym dążeniom, nie będąc ideowo ludźmi naszego obozu, to możemy od nich przyjąć zasiłek co najwyżej tak, jakbyśmy go przyjęli np. o takiego p. Stanisława Montwiłła; p. Montwiłł nie jest człowiekiem naszego kierunku, ale może na przykład sprzyjać naszej

robocie pod pewnym określonym względem co do łagodzącego działania naszego w sprawie stosunków narodowościowych polsko-litewskich, może szczególną cechę naszej roboty cenić sobie tak wysoko, że gotów dla niej całą naszą robotę subsydiować, choćby pod innymi względami zasadniczo się z nami różnił; taki zasiłek przyjąć możemy, ale tylko pod warunkiem, że jest dany nam bez zastrzeżeń, do naszej dyspozycji całkowicie; wówczas nie bierzemy na siebie żadnych zobowiązań i jesteśmy czyści, bo nie zdradzamy sprawy naszej dla pieniędzy; rozumiemy, że p. Montwiłł sympatyzować może pewnym szczegółom naszej roboty nie w imię ideałów, którym my, robiąc to, służymy, lecz w imię swoich specjalnych celów czy ideałów, na przykład dla wzmocnienia pozycji ziemiaństwa i szlachty, zagrożonych na skutek wybujałego nacjonalizmu i zbytniego rozjątrzenia walki polsko-litewskiej; słowem – te cele i te pobudki, dla których taki p. Montwiłł może sprzyjać pewnym tendencjom naszej roboty i chcieć je wspierać, nie są bynajmniej naszymi celami, toteż wchodzić z nim w układ organizacyjny, wiązać się zobowiązaniami, dopuszczać go do wspólnictwa w wykonywaniu i kierownictwie naszej sprawy – znaczyłoby uzależnienie się od niego i podporządkowanie się jego celom, jego ideałom; to byłby kompromis, byłoby zboczenie z ideowego stanowiska, zabagnienie się; przykład z Montwiłłem wziąłem dlatego, że niedawno była o tym kwestia, że gdyby Montwiłł zdecydował się coś dać, byśmy przyjęli, ale tylko na powyższych zasadach; to samo z tymi Żydami; możliwe, a jeżeli to nie są demokraci, to na pewno – chcą oni nam dawać tylko dlatego, że w danych okolicznościach i warunkach dziejowych i kulturalnych pewne elementy ideałów demokratycznych i humanistycznych są na rękę dla ich celów szczególnych, zasadniczo różnych od całokształtu naszej idei i naszej sprawy; my głosimy równouprawnienie Żydów, jak wszystkich innych, w imię braterstwa ludzkiego i sprawiedliwości, uznajemy prawa obywatelskie bez różnicy narodowości i wyznania w imię przyśpieszenia zwycięstwa ludu, które kres położy obecnym cechom wyzysku i jarzma w organizacji społecznej; oni natomiast cenią fakt obecny przeciwdziałania przez nas antysemityzmowi; chwilowa, doraźna, przygodna solidarność pewnych elementów naszej roboty z elementami pragnień i pożytku tych panów, jak to się często zdarza w pewnych momentach dziejowych (to samo ma miejsce w przykładzie z Montwiłłem i miewało miejsce na większą skalę w całej historii ludzkości ciągle), nie świadczy bynajmniej o tożsamości, a choćby solidarności ideowej naszej sprawy z ich sprawą; sprawy te mogą być zasadniczo różne, wręcz nawet przeciwne sobie i wykluczające się wzajemnie w konsekwencjach ostatecznych lub choćby nieco dalszych, dlatego też, jeżeli może być mowa o przyjęciu zasiłku od tych panów, to tylko w postaci ofiary bez zastrzeżeń, bez zobowiązań, bez układuna zasadzie „*do ut des*" i w żadnym razie nie może być mowy o tworzeniu z tymi panami wspólnej organizacji kierowniczej; a co do samej kwestii przyjęcia, to tu decydującym powinien być wzgląd, czy ludzie ci są etycznie czyści, czy nie są sami przez się elementem, wykluczającym jakąkolwiek możność styczności z nimi. Tak się ja wypowiedziałem zasadniczo w tej kwestii. Iwan próbował zapewniać, że Żydzi ci są w każdym razie „kadeci", a więc nie „wstecznicy" i nie wrogowie „demokracji"; to niczego nie dowodzi, bo wiadomo, że Żydzi, nawet najwsteczniejsi, fabrykanci i kapitaliści, nie tylko dalecy od demokracji ludowej, ale wręcz wrogowie jej, z natury okoliczności politycznych w Rosji są „kadetami" (wyznawcami i rzecznikami haseł partii „Konstytucyjno-Demokratycznej"), co nie może być utożsamiane z ich rzekomym „demokratyzmem" ideowym. Wszyscy obecni bez wyjątku zgodzili się z moim stanowiskiem zasadniczym jako jedyną możliwą podstawą naszego stosunku do tych panów i ich zapomogi. Dalszy ciąg do jutra.

21 stycznia / 3 lutego, rok 1914, wtorek
Ciąg dalszy pozawczorajszego zebrania „Kuriera Krajowego”. Gdy wszyscy zebrani potwierdzili bez zastrzeżeń moje stanowisko w sprawie subsydium od Żydów, nie mogliśmy jednak nic decydować, dopóki nie ogłoszone zostały nazwiska, to znaczy osoby tych Żydów. Wówczas Antoni Łuckiewicz wymienił wszystkich czterech: przemysłowca leśnego Gordona, drukarza Syrkina, dr Załkinda i Frumkina, zastrzegając oczywiście zupełną tajemnicę tak co do tych osób, jak samego faktu udzielenia przez nie subsydium. Mówiliśmy, że możność przyjęcia zapomogi zależy od tego, czy źródło samo przez się nie jest brudne i następnie tylko pod warunkiem, że się do niczego nie zobowiązujemy, w żaden układ z ofiarodawcami nie wchodzimy, w żadnej mierze ich celom się nie podporządkowujemy;. Nie przeczę, że w praktyce sam fakt przyjęcia zasiłku jest niebezpieczny, bo bardzo trudno jest uniknąć w tych warunkach zależności, ale toteż tym bardziej należy to zastrzec wyraźnie i ściśle tego nadal przestrzegać. Jak tylko zostały wymienione nazwiska ofiarodawców, uznaliśmy zaraz, że o tworzeniu z tymi panami wspólnej organizacji kierowniczej nie może być mowy, bo to nie są przedstawiciele demokracji żydowskiej i o ich ideowej solidarności z nami nie ma mowy. O Frumkinie i Załkindzie nic nie wiem, co zaś do Gordona i Syrkina, to należą oni wśród Żydów do prawicy i choć na gruncie ogólnopaństwowym wyznają się za zwolenników programu kadeckiego, nie przeszkadza to im jednak wewnątrz społeczeństwa żydowskiego zwalczać prądy demokratyczne. Dr Sumorok, który zna wszystkich panów, dał nam ich charakterystykę: ze słów jego wynika, że dr Załkind i Syrkin są to ludzie niesympatyczni, nieszczerzy, niezbyt przebierający w środkach; Gordon, choć należy do prawicy żydowskiej, jest człowiekiem bardziej ideowym i człowiekiem niewątpliwie czystym, najsympatyczniejszy zaś i najszanowniejszy ma być Frumkin, który, będąc radnym miejskim, zyskał sobie ogólny szacunek i uznanie kolegów chrześcijan. Dr Sumorok oświadczył, że na samym początku wydawnictwa „Kuriera Krajowego” Gordon zwracał się do niego z zaofiarowaniem zapomogi dla pisma, ale Sumorok takowej nie przyjął; teraz ze wzdraganiem się i przykrością, gdy się ona stała faktem, nie odrzuca jej, choć chciałby, aby najprędzej ustała jej potrzeba i w każdym razie odrzuca jakiekolwiek wiązanie się, jakikolwiek układ i zespół z tymi panami. Wszyscy bezwzględnie z największym naciskiem zaznaczyli o niewiązaniu się i że gdyby panowie ci chcieli jakichś od nas gwarancji czy układów, to musimy ich zapomogę odrzucić, choćby wypadło przerwać wydawnictwo. Łuckiewiczowie pośpieszyli zapewnić, że ci panowie żadnych gwarancji nie żądają, żadnych warunków nie zastrzegają, a nawet nie życzyli, aby ich zapomogę wobec nas ujawniać. Zainterpelowaliśmy jeszcze Łuckiewiczów co do pewnych faktów, które mogłyby wskazywać, że tak nie jest i że ci panowie roszczą pewne pretensje wtrącania się do spraw pisma. Pierwszy fakt to ten, że w grudniu, gdy Mańkowski na własną rękę wziął od nich część tych pieniędzy i następnie pieniędzy tych na pismo nie zużył, lecz je strwonił (przehulał czy przegrał w karty), a bezpośrednio potem pismo przez kilka dni nie wyszło, panowie ci odmówili wypłacenia pismu reszty za grudzień. Drugi fakt – że panowie ci żądają teraz rzekomo, aby na redaktora został zaangażowany Jerzy Jankowski. Otóż co do pierwszego faktu, ten właściwie daje się łatwo wytłumaczyć i oczywiście, że pieniądze nie mogły być przeznaczone na hulanki Mańkowskiego, toteż gdy fakt taki się zdarzył, panowie ci postanowili przeczekać, aż Mańkowski rzeczywiście usunie się całkowicie od pisma, co już było przez nas postanowione. Co zaś do Jerzego Jankowskiego, to panowie ci żądania takiego nigdy nie wystawiali, jeno rzeczywiście zaniepokojeni byli objęciem kierownictwa pisma przez Sokołowskiego, byłego współpracownika „Gazety Codziennej”, którego i my też nie uważamy za zdatnego do naczelnego kierownictwa. Kandydatura Jankowskiego nie przez tych

ofiarodawców jest wymagana, którzy nawet nic o niej nie wiedzą, jeno się stawia sama przez się, tym bardziej, że żadnych innych kandydatur w obecnych warunkach nie ma. Po wyjaśnieniu wszystkich szczegółów i zastrzeżeń zebranie przeszło do omówienia zgłoszonej kandydatury Jerzego Jankowskiego. Poprosiliśmy Jankowskiego, aby się usunął do innego pokoju, by nam dać możność pomówienia swobodnie o kandydaturze jego w jego nieobecności. Ja wypowiedziałem się w ten sposób, że Jerzemu Jankowskiemu, na podstawie znajomości jego cech osobistych, nie ufam i nie mam go za człowieka ideowego, jeno za warchoła, za umysł awanturniczy, trawiony ambicją, a nawet nie tyle ambicją, ile właściwą mu gorączką błyszczenia, choć mu nie odmawiam wielkiego talentu i jaskrawej wyrazistości, tzw. wielkiej swady pisarskiej. Rozumiejąc wszakże, że Sokołowski nie może na stanowisku redaktora nas zadowolić i do kierownictwa wystarczyć i nie widząc istotnie żadnego innego kandydata odpowiedniego poza Jerzym Jankowskim, a skądinąd ceniąc sam fakt utrzymania pisma, bo w razie jego upadku prasa polska, nie wyłączając „Przeglądu Wil.", będzie oddana na pastwę nacjonalizmu ze szkodą dla demokracji i dla stanowiska krajowego społeczeństwa polskiego, nie chcę przeszkadzać tej koniecznej pono, acz dla mnie nieprzyjemnej, kandydaturze Jankowskiego. Wycofam się więc tylko sam z komitetu redakcyjnego, bo nie mając zaufania do redaktora, nie mogę i nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za całość kierunku pisma. Wycofując się z komitetu, nie wycofuję się od udziału we współpracownictwie i w ogóle od udziału doradczego. Na moje miejsce do komitetu redakcyjnego postanowiono zaprosić p. Józefa Bukowskiego. Jerzy Jankowski został więc zaangażowany. Kairys od imienia esdeków oświadczył, że w ich grupie redaktorstwo Jankowskiego też budzi wątpliwości i musi być jeszcze omówione na ich zebraniu grupowym, aczkolwiek widząc sytuację istniejącą nie oponuje on przeciwko temu. Dla względów zupełnie innej natury wycofał się z komitetu redakcyjnego Šaulys.

22 stycznia / 4 lutego, rok 19l14, środa
Przez tydzień, a szczególnie kilka dni ostatnich, mój dziennik był tak pochłonięty sprawami „Kuriera Krajowego" i Łuckiewiczów, że o niczym innym pisać nie mogłem. W tym czasie bawili u nas Hektor i Julo Komorowscy, bawiła też w Wilnie, w przejeździe do Warszawy, Kotuńka Pruszanowska z najstarszą córką Elizką. Mile nam czas schodził wśród stosunków rodzinnych. Chłopcy Komorowscy latali po mieście, ożywiali nasz dom, zaraz też i Henryś Wołłowicz, i Gienio Pruszanowski odwiedzali nas częściej, żeby się spotkać z Komorowskimi, razem na miasto wybiegać, młodość swą i wrażenia z ich młodością i wrażeniami łączyć. Hektor wyjechał dziś, śpiesząc do jakiegoś majątku w gub. kieleckiej (powiecie miechowskim) na praktykę rolniczą, Julek wyjeżdża jutro, wracając do Kowaliszek po parotygodniowym pobycie w Warszawie, gdzie uczęszczał na jakiś cykl wykładów rolniczych. Tu w Wilnie Julek się zatrzymał dla poinformowania się o warunkach ewentualnego przypisania się do wileńskiego miejskiego rewiru dla odbywania powinności wojskowej, to się wszakże okazało niemożliwym wobec tego, że stracił on już termin normalny do przypisania się i teraz będzie musiał się przypisać już tylko do lokalnego rewiru, do którego należą Kowaliszki. Tej jesieni Julek będzie już musiał stawać do wojska, a ponieważ nie posiada odpowiedniego cenzusu wykształcenia, będzie musiał iść za prostego żołnierza koszarowego. Mają się robić starania o uwolnienie go, ale sam Julek, zdaje się, tak już strasznie się nie lęka tej wojskowości, szczególnie gdyby mu wypadło służyć w wojsku gdzieś dalej, np. na Kaukazie lub w Azji. Samo życie koszarowe nie przestrasza go zbytnio, a poznanie dalekich krajów i społeczeństw zajmowałoby go i stanowiło

rozmaitość, ślęczenie zaś w Kowaliszkach w ścisłej zależności od rodziców, bez własnego zajęcia, bez stanowiska, nuży go i nudzi.
Anna jest od paru dni chora. Ma gorączkę, kaszle, ma bóle żołądkowe, była jakaś znerwowana, przybita; dziś już leży w łóżku, a humor jej się poprawił pod wpływem troskliwości i serdeczności, jaką jej wykazywałem. Nabycie placyku na Antokolu dochodzi do skutku. W piątek mam już podpisywać umowę o kupnie („запродажную”).
Fotografie, któreśmy z Anną w Wiazowcu zrobili, wywołaliśmy w niedzielę wieczorem. Tylko dwie się udały dobrze – Anna z Brysiem i rodzina Biesiekierskich.

23 stycznia / 5 lutego, rok 1914, czwartek
Nie ukończyłem jeszcze mojego obszernego, na wielką skalę zaprojektowanego, artykułu dla „Świata Słowiańskiego”, a już zacząłem dziś inny, na temat podobny, który przeznaczam dla pewnego pisma żargonowego żydowskiego w Wilnie (zdaje się, że jest to miesięcznik, tytułu nie pamiętam). Będzie to wszakże artykuł mniejszy od pierwszego. Miesięcznik żydowski, dla którego to piszę, jest wydawany przez grupę, reprezentującą kierunek nowy, moim zdaniem, bardzo dodatni w społeczeństwie żydowskim. Jest to kierunek ten sam, któremu hołduje kolega Czernichow (adwokat). Redaktorem pisma jest przyjaciel Czernichowa, młody Żyd-publicysta, piszący pod imieniem Niger (nazwisko jego – Czarny czy Czornyj). Kierunek ten jest ludowy i zarazem narodowy. Uważa on Żydów za naród osobny, samodzielny, jak każdy inny, i dąży do tego, aby w społeczeństwie żydowskim, które dotąd jest w dużym stopniu sektą rasowo-wyznaniową, utrwalić formację narodową. Kierunek ten jest wprawdzie przeciwny asymilacji Żydów z narodami innymi, ale też walczy zarazem przeciwko tej jakiejś abnegacji żydowskiej, tej bezobywatelskości kosmopolitycznej, która pochodzi z tego, że Żydzi, rozproszeni po całym świecie, nie mają żadnej kościstości poza rasą i wyznaniem, nie mają organicznego stosunku z określonymi społeczeństwami narodowymi, są wszędzie obcymi i jednocześnie obojętnymi na sprawy krajowe, i która sprawia, że np. u nas Żydzi stają się mechanicznie narzędziami rusyfikacji, przewodnikami poniekąd antyspołecznych i antykrajowych prądów. Kierunkowi temu chodzi o unarodowienie Żydów i następnie w związku z tym i na skutek tego uspołecznienie ich i ukrajowienie. Uważając Żydów za naród i pragnąc zjawisko to utrwalić, mocno na masach ludowych żydowskich ufundować, kierunek ten pragnie oczywiście uobywatelnić naród żydowski. Uobywatelnienie – to jest więcej niż samo tylko mechaniczne równouprawnienie, którego się przeciętni inteligenci żydowscy typu „kadeckiego” domagają. Pozyskanie zaś praw obywatelskich z konieczności wymaga przyjęcia też obowiązków obywatelskich. Otóż na tę świadomość praw i obowiązków obywatelskich kierunek ten kładzie wielki nacisk, rozumiejąc, że pierwszym stopniem do tego jest poznanie i ustalenie stosunku swego do kraju i społeczeństwa, w którym lud żydowski żyje i rozwijać się pragnie. Uobywatelnienie i ukrajowienie Żydów jako narodu – to poważna sprawa, szczególnie u nas, gdzie stanowią oni znaczną ilość ludności, dotąd przeważnie obcą większości społeczeństwu krajowego. Bądź co bądź, Żydzi w kraju naszym mieszkają i mieszkać będą, a więc nie może być dla kraju obojętne, jakie zajmować będą stanowisko i jaką grać rolę w kraju przyszłym. Otóż redaktor tego pisma żydowskiego zwrócił się do Litwinów, Białorusinów i do mnie jako Polaka-demokraty, z prośbą o artykuły informacyjne o stosunkach społecznych, kulturalnych i narodowych w kraju.

24 stycznia / 6 lutego, rok 19l14, piątek

Dziś u adwokata Janka Klotta podpisaliśmy z p. Sipowiczową umowę o kupnie placu na Antokolu. Na mocy tej umowy p. Sipowiczowa zobowiązała się mnie sprzedać, ja zaś od niej kupić plac z należącej do niej ziemi. Plac ten jest już zmierzony na wykonanym *ad hoc* planie. Jest to ten sam placyk, który oglądałem w końcu października wpierw ze Stadziewiczem i potem z Anną i który spośród wielu innych z Anną wybraliśmy. Zajmuje on ogółem 454 sążnie kwadratowe po rb. 5 za sążeń, co wynosi rb. 2270 za całość. Dziś przy podpisaniu przedwstępnej umowy o kupnie zapłaciłem rb. 300 zadatku (z naszych z Anną oszczędności), 19 lutego będę musiał zapłacić jeszcze rb. 200, resztę zaś (rb. 1770) przy podpisaniu „kupczej" tj. właściwego aktu kupna. Ziemia ta należy do p. Sipowiczowej na prawie wieczystego czynszu, tytuł zaś własności należy do miasta Wilna. Mnie wszakże p. Sipowiczowa musi sprzedać ziemię na prawie własności, to znaczy, że będzie musiała odkupić ją wpierw od miasta sama. Z tego względu termin sporządzenia aktu kupna nie został w umowie dzisiejszej dokładnie określony, jeno wskazane, że akt ten musi być sporządzony w dwa tygodnie po dokonaniu wykupu od miasta z tym zastrzeżeniem, żeby to nastąpiło nie wcześniej, niż w maju i nie później, niż 1 września. Realizuje się więc nasz projekt placyku na Antokolu. Pierwotnie miałem na myśli dokonać tego kupna wyłącznie w celach spekulacyjnych, jako lokatę oszczędności naszych, licząc na wzrost cen na ziemię na Antokolu, szczególnie w razie zbudowania tramwaju elektrycznego. Potem wszakże, gdy się Anna zapaliła do myśli o zagospodarowaniu tego placyku i mianowicie założeniu na nim ogrodu dochodowego, projekt nasz nabrał nieco innego wyrazu. Placyk będzie mógł się stać poniekąd podstawą bytu Anny; mieszkając tam sama i sama się ogrodem zajmując, Anna będzie mogła mieć pewne dochody, nie tylko zabawkę, co mi ulży w wydatkach na nią. Skądinąd, jak cena ziemi znacznie podskoczy, można będzie i spekulacji nie stracić, sprzedawszy później placyk. W każdym razie, cieszę się z tego nabytku. Oby nam z Anną placyk wyszedł na dobre! Jest to, zdaje się, pierwsza spekulacja w moim życiu.